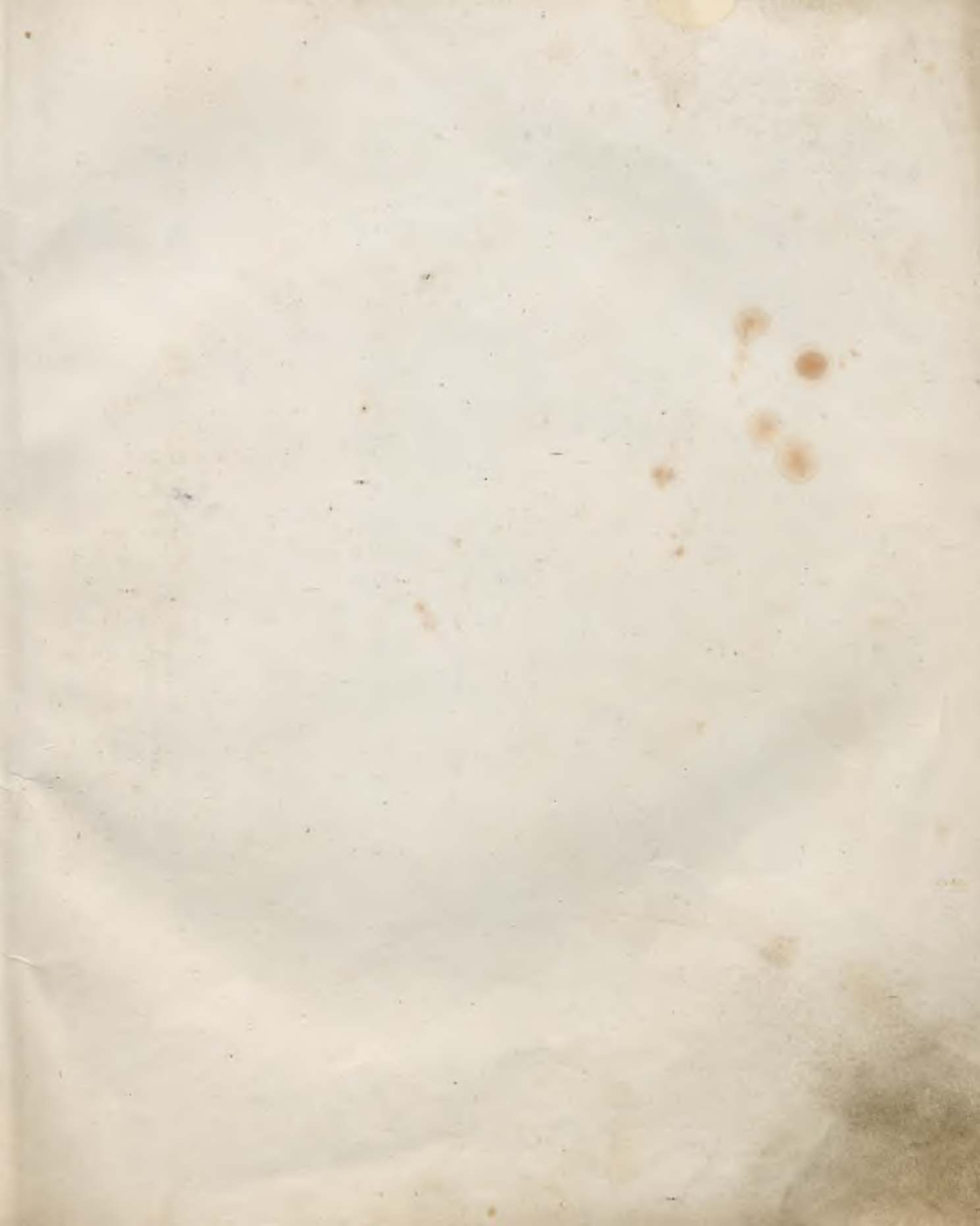


CMENTARZ POWAZKOWSKI

POD WARSZAWĄ.

CHYTALNY POLYAKOWSKI

100 WARSZAWA





CMENTARZ POWĄZKOWSKI

POD WARSZAWĄ,

OPISZE

K. Wł. Wójcicki.

LITOGRAFIJA M. FAJANSA. — RYCINY A. MATUSZKIEWICZA.

„Tak ludzie przeciągając za ojców koleją,
I kolebki i trumny niosą za nadzieją:
Dziś różą, dziś cyprysem uwieńczeni smutnie,
Tu biją w dzwon pogrobny, tam w weselne lutnie.”

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.



TOM I.

WARSZAWA.

W DRUKARNI S. ORGELBRANDA

przy ulicy Miodowej Nr. 495.

1855.



nr. 626

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1854 roku.

Starszy Cenzor, Radca Dworu, **J. Papłoński.**

~~III 5406~~



Cyfr

K. 231/53

BZ08PK/020-11

I.

Któż patrząc na wyniosłe gmachy Warszawy, na liczne wieże kościołów starego grodu, a wewnątrz murów na tyle życia i gwaru, pomyśli: że niedaleko za nim, w miasta samego obrębie, jest drugie miasto, które mieszkańców tej mazowieckiej siedziby, już od wieku przyjmuje i mieści; tylko w szczuplejszych domach i w ciaśniejszej ustroni! To miasto: — cmentarz powązkowski — miasto przeszłości samej Warszawy; a te szczuplejsze domki, — to groby, czy w wyniosłych katakumbach zmurowane, czy w dole piaszczystym, łopata grabarza wyrzuconym. Drzewa cienia długie ulice, po mogiłach i grobowiskach zielenieje bujna trawa, lub kwiaty wyrastają; a ciszę w około, gdy żaden nowy orszak z żyjącego miasta nie przybywa, przerwie tylko skrzyp żółtego piasku pod twoją stopą, tylko cichy szept modlitwy żebractwa przy furcie, — czasem głos dzwonu daleki, i reszta gwaru Warszawy, ale uciszonego; co go wiatr z chmurą nad obszarem Powązek przewiewa.

Ile razy zwiedzałem to miasto umarłych, zawsze nowy obraz mi dawało! A czyż je policzę w pamięci? — Każde odwiedziny Powązek, godziły mię coraz więcej z trudem życia, widząc, że śmierć człowieka, czy po dłuższej, czy po krótszej walce przejścia do spoczynku, jest przedmiotem tylu łez, takiej pamięci, i tak wzniosłej miłości!....

Gdzie rzucisz okiem, wszędzie staranność; — czy to około małych mogiłek dzieci, co je ręka matki i ojca przystroiła w kwiaty; czy około krzyżów i grobowców pod cieniem drzew, na których zawieszono lub u stóp złożono wieńce zawsze świeże, wymowne godła miłości rodzinnej, albo pamięci przyjaźni. Tylko katakumby stoją samotnie, bez kwiatów, bez wieńca, świecąc złocistemi napisy na czarnym marmurze; a leżący w nich w coraz wyższych piętrach, jedni na drugich, nie posłyszają cichej lzy serdecznej, nie poczują woni świeżego kwiatu, tą lzą zwilżonego.

Nie wszyscy z nich przecie pragnęli tych piętrowych grobowców. Znałem wielu ludzi głowy i serca, którzy gdyby mogli objawić wcześniej wolę swoją, wybraliby ohotnie święte łono matki ziemi na wieczny spoczynek: bo zostawili tu wiele serc zakrwawionych, których rany mogły się jedynie zagoić balsamem gorących łez, skrapiających ich mogiły.

W katakumbach, tylko grobowce wskazywać można zdala, a jak w wyższych piętrach, tylko po drabinie włączając i napisy odczytać. Smutne to, najsmutniejsze siedlisko zmarłych, bo je żadne z uczuć wymownych okolic i dotknąć nie może!

Jak zapamiętam, mały cmentarzyk Powązek, okolony murem, wystarczał na przesiedliny mieszkańców Warszawy, z grodu życia i gwaru, do grodu śmierci i spokoju. Daleki od wszelkich zabudowań, na wydmie piaszczystej, miał cechę więcej wiejskiego cmentarza. Nie miał ani tych pięknych drzew, co tak teraz wybujały i cień dają; ani tej darni zielonej, ani krzewów i kwiatów rozlicznych. Opuszczony, zaniedbany, bolesny smutek wzbudzał; bo nie czuć było w nim ani troskliwości w zachowaniu mogił i grobów, ani staranności w tych, co nad nim z obowiązku czuwali. Zdawało się patrząc wówczas na Powązki, że mieszkańcy Warszawy uciekają od niego jak od moru, że po pogrzebie zmarłego, już się przerwały wszelkie ogniwa. Tak zwane wyższe klasy mieszkańców, nie zajrzały już więcej, lud tylko w dorocznej processyi nie zapominał o tej ustroni. Dziś wszystko zmieniło się w Powązkach do niepoznania. Troskliwość, szlachetną wiedzioną myślą, upiękniała ten spoczynek wieczysty mieszkańców Warszawy. Zasadzone drzewa, wzniosło wybujały, ścieżki uproszczono, rozszerzono o kilkakroć większy obręb od pierwotkowego; krzewy, kwiaty, wieńce, przystroili krzyże, mogilki i groby. Przez ten porządek, ład, czystość wykwintną, ogrodową; na pierwszy rzut oka nie budzi on wstrętu jak dawniej, ale rozlewa jakieś smętne a rzewne uczucie. Jedna mnie tylko uderzyła wybitna różnica: — w owym dawnym, opuszczonym cmentarzyku, była większa cichość, a co najglówniejsza, żadna budowla nie przypierała tak blisko, żeby gwar, krzyki i odgłos wrzaskliwej dolatywał muzyki. Dziś, kiedy w *starym*, pierwszym, a najwięcej upiękuszonym marzysz cmentarzyku, razi cię przykro, rzec można boleśnie, wrzaskliwa katarynka, z niedalekiego szynku wódczanego. Słusznie Brodziński rzucił kłatwę na te maszynki grające, bo one zabijają nam rodowych skrzypaków wiejskich; — tu zaś, w tej zaciszy cmentarnej, są jakby wrzaskiem bezbożnym, szyderskim. I kiedy zapominasz o gwarze miasta, kiedy zapominasz o kale ziemskim; zabrzmi ci naraz krzyk pijacki, z chrapliwym wrzaskiem katarynki, jakby śmiech szatański. Marzenia twoje, wzniesione myśli, wystraszone — ulatują, nikną już niedoścignione; a tobie znów w jaskrawszych jeszcze barwach, staje obraz nędzy i upodlenia ludzkiego, bacząc, jak namiętność i rozpusta, zakłóca spokój nawet duchów. Uciekasz w dalsze ustronie cmentarza, szczęśliwy, gdy znajdziesz upragnioną ciszę!....

Są przecież chwile długiego milczenia i spokoju — a bywa to wieczorną dobą, gdy orszaki żałobne nie przeciągają smutnym korowodem, gdy dzwony kościoła powązkowskiego umilkną, gdy grabarze po trudach dziennych spoczywają, a gromady żebraków niespodziewając się już żadnych jałmużn, do gniazd się swoich rozwloką.

W wieczór pogodny, gdy księżyc zaświeci jasno, cudny przedstawia obraz cmentarz powązkowski; i to właśnie chwila uroczą, do smętnej zadumy dla duszy, co przeczuwa, że niedługo nadejdzie pora wyzwolenia z ciała. W pośród tego ogrodu przystrojonego w krzyże i kamienne grobowce, co bieleją jak widma osłonięte białymi płachty wśród tła zieloności, rzucając długi cień po jasno rozświetlonym obszarze, myśl twoja niepokalana żadną cząstką ziemskiego błota, rozwija śmiało skrzydła do podlotu nadziemskiego. Marzysz o wszystkiem co wielkie, piękne, szlachetne; staje ci przed oczyma i cały ciąg wspomnień przebytego żywota, i cała przeszłość nie zbadana, nie pojęta. Ale gdy ci przyjdzie zdać sobie sprawę z twoich dumań, marzeń i myśli:

gdy pochwycisz pióro aby je skryztałizować *słowem*: one jak ptaki przed burzą spłoszone, uciekają bezpowrotnie. I nabierasz przekonania: że gdyby Bóg dobry dał ci władzę pochwyce-
nia za świeża twych myśli, dumań, i bez uronienia ich mocy, woni, barwy, dozwolił ująć
w żywe słowo; arcydzieła nie byłyby trudnemi, nie byłyby osobliwością. Niestety! myśl
nieraz wielka, natchniona anielską poezyą, zanim przeleje się na papier, zanim ją przystroisz
w słowa, zmaleje, zkarłowacieje, i straci ów puszek, pyłek cudny; a pod piórem będzie wyglą-
dała jak ów motyl, co go pochwyliło nieuważnie pacholę za skrzydła, starło z nich złotą barwę,
że zostały jak szkła jeno zbrudzone: i wtedy nikt nie pozna, jaka to była cudna ozdoba przyrody,
gdy bujała swobodnie po nad pola i łąki. Tym cudnym motylem — myśl, co z twój duszy podle-
ciała do nieba, i z rajskich kwiatów ssie słodycz bożą, a pochwycona w powijaki słowa,
będzie motylem z wytartą bez śladu barwą!

Jakże odmienna postać cmentarza wśród dnia białego! Zwyczajnie codzien dzwony przy
bramie uderzają najmniej piętnaście razy, wzywając grabarzy do nowej pracy, i głosząc przy-
bycie nowego gościa z gwarnej Warszawy. Piętnaście razy żałobny korowód przeciąga
ulicami cmentarza wśród żałobnego śpiewu, wśród płaczu, składając zwłoki zmarłych, to
w dolach piaszczystych, to w murowanych katakumbach.

To dań najmniejsza, którą co dnia Warszawa składa cmentarzowi Powązek; a były czasy
niedawne, gdy mór uderzył na miasto i zaczął dziesiątkować ludność; że tutejsze dzwony były od
świtu do nocy po trzysta przeszło razy, kiedy ustawały ręce grabarzem, bo do północy grzeba-
no zmarłych (1).

Wtedy poraz pierwszy w trwodze powszechniej ucichły, i nie odbijały się o groby wrza-
skliwe tony katarynki; ale szynki nie wypróżniły się wcale; skromniejsi nawet, w rozpacz
i przestachu zwiększali liczbę pijaków. Tylko krzyki dolatujące nie były tak rozpustne i rozpa-
sane jak dawniej; dosłyszałeś w nich jakby jęk bólu serca, a w drżącym wrzasku, jakby
stłumione przemocą łkanie!..

W ciągu trzech miesięcy wypełnił się cmentarz tak bogato trupami, że jak zwykle, i przez
lat trzy, tyle mogił nie wysypie. Płacz i jęk, razem z odgłosem dzwonów, nie ustawały na chwi-
lę; mieszały się ony z żałobnym śpiewem kapłanów, z głośną modlitwą żebractwa rozsiadłego
pod murem kościelnym i na drodze cmentarza.

I dla kroniki tutejszej przybyły nowe imiona, nowe wspomnienia, które zapisały się w pa-
mięci rodzin, przyjaciół i kraju, rzewnymi łzami, głębokim żalem, a trwałym smutkiem.

Bo kronika cmentarza Powązek, to jak otwarta księga, w której zaczynam pierwsze
początkowe karty: — czas je dalej i obca już ręka zapisywać będzie.

(1) Rok 1852, miesiące: Lipiec, Sierpień i Wrzesień

II.

POWAŻKI.

Na początku XV wieku, nazwa Powązek występuje. Janusz Książę Mazowiecki w przywileju swoim z roku 1408 wspomina wieś Powązki. W roku 1765 w *lustracy*, liczyła się jako należąca do Starostwa Warszawskiego.

W tych czasach panowania Stanisława Augusta, w miejscu dzisiejszego cmentarza, rozciągało się obszerne pole piaszczyste, nieplenne, na którym gdzie niegdzie tylko cząstkowo zieleniał zasiew. A za tém polem, w żyznej już okolicy, powiewał liściem gaj obszerny— wabił śliczny ogród, staw czystej wody, po którym pluskało stado białych łabędzi.

Ztąd cudny rozwijał się krajobraz, — ztąd ujrzałeś i wieże kościoła Kamedulów na Bielanach wychylające się z sosnowego boru; i *Wolę* słynną elekcyami Królów— *Młociny*, *Wawrzyszew* i *Marymont* w gęstej *puszczy* (1), ulubiona knieja Jana Sobieskiego, — w ostatku mogłeś widzieć i część Warszawy.

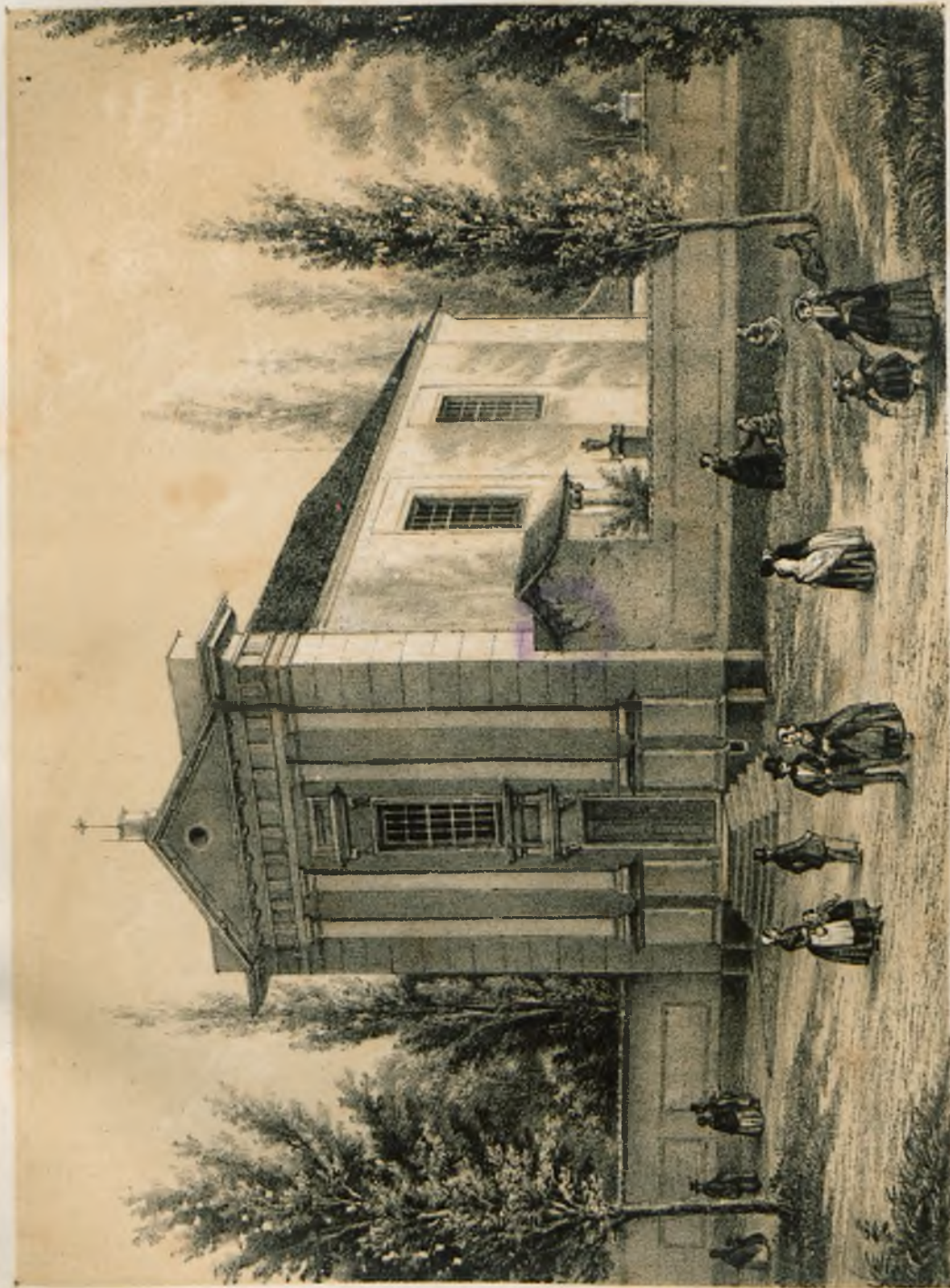
Pod owym gajem, przy stawie wśród kwiatowego ogrodu, pod trzciniowém poszyciem, stała chata, której ściany z nieokrzesanój olszyny, zwiastowały chudobę i prostotę. Ale zaledwie drzwi uchylił, z podziwieniem cofałeś się, bo nagle jak czarami, stawałeś na progu wspaniałego pałacu. Ta chata uboga zewnątrz, — to pokrowiec tylko na zbytek i przepych; — to pałacyk Księcia A. Czartoryskiego G. Z. P. i Izabelli z Flemingów. Oprócz wytwornych mebli i przyborów pańskich, gabinet Księżnej zdobiły malowania *scen wiejskich J. P. Norblina*, które podziwiał w roku 1779 J. Bernoulli w swojej podróży (2). Liczne obrazy pierwszych mistrzów, zdobiły wspaniałe ściany, — zajmowała osobną komnatę dobrana biblioteka, powiększėj części z dzieł polskich złożona (3).

(1) Za Stanisława Augusta, dzisiejszy gaj Marymontski, był rzeczywiście puszczą: pamiętało ją wielu ze zmarłych w czasach Księstwa Warszawskiego. Puszcza ta była jak wyraża Trembecki:

„ od lat wielu żelazem nietkniętą! — (Poemat: *Powązki*).

(2) *Reisen... Leipzig 1780 r. VI.* Były w Powązkach i inne roboty Norblina, z których część przeniesiono do *domku gotyckiego* w Puławach (*E. Rastawiecki: Słownik Malarzy Polskich*, T. II. str. 64).

(3) Książki tej biblioteki oprawne były całe w skórę ozdobnie, — na okładce pod koroną książęcą cyfra w połączeniu liter I. C. (Izabella Czartoryska) a poniżej wybicie złotem: „Bibliothèque de Powonski.” Mamy właśnie jedno dzieło polskie tak oprawne przed oczyma.



Przez A. Matuszaka w Warszawie.

Odmoto w Lit. M. Egzemplarz w Warszawie: III Długa 500.

Lit. M. Fojana

KOŚCIÓŁ POWĄZKOWSKI



nr. 626

Tój to ustroni książęcej, Stanisław Trembecki poświęcił oddzielny poemat, p. n. *Powązki*. W nim jak zwykle wyborym językiem, z wielkim zasobem i pomocą mitologii, wraz z wonnym kadzidłem pochlebstwa, opisał pańskie mieszkanie — współczesne sobie Powązki..

. „Domek wielce miły,
Wart, by go lepsze rymy od mych uwieczniły;
Jego niewinna zdrada zadumienie czyni,
Wierzech podobien do chaty — środek do świątyni.”

Poemat ten wyprzedził o lat wiele *Zofjówkę*, którą w sędziwych już latach opisał.

Było to pierwsze ustronie wiejskie Księżnej Izabelli, zanim urządziła w Puławach *Sybillę* i *Domek gotycki*.

W roku 1794 z owój palacowej chaty, wszystko przewieziono do Puław.

Wśród pożogi wojennej, zapewne to ustronie niszczało, gdyż późniejszych wspomnień o niem nie mamy; a *Powązki* przybrały żałobne znaczenie cmentarza, od roku 1790 (1).

W początkach swoich zdala był on od miasta, — powoli z latami, Warszawa zbliżała się coraz do téj ustroni wieczystej dla jej mieszkańców. Wytknięta ulica przybrała nazwę *Powązkowskiej*, i połączyła nieprzerwanym ogniwem stary gród mazowiecki, z tém obszerném miastem zmarłych (2).

Jak Warszawa rozszerza się i garnie w swoje mury okolice poblizsze; tak i cmentarz Powązkowski, powiększa z latami szczupły pierwiastkowo swój obręb — a w nim na sen wieczysty, już krocie braci naszych spoczęło!

(1) Przy pierwszym założeniu w pomienionym roku cmentarza Powązkowskiego, miał tylko obszaru 349 łokci długości, a 178 szerokości. Odtąd do języka naszego przybyły wyrażenia i przysłowia: — „*Patrzeć na Powązki*” — „*Dezertę z Powązek*” — „*Pójdzie na Powązki*” — na oznaczenie człowieka bliskiego śmierci. Wyrażenia te upowszechniały się w ustach głównie mieszkańców Warszawy.

Za Stanisława Augusta, już nawet po założeniu cmentarza na Powązkach, był u *Langa* ogródek uczęszczany przy wycieczkach letnich (*Opis Warszawy F. M. Sobieszczańskiego*.) O ile nam wiadomo, ogródek ten był urządzony, w zniszczonej już, a dawniej siedzibie Księżęcej.

(2) Według taryfły domów Warszawy w 1821 r. ogłoszonej, *ulica Powązkowska*, była 197 ulicą z porządku idącą, miasta. W roku 1844—1853 już była 208. Od czasu zamknięcia cmentarza Święto-Krzyskiego, cmentarz Powązkowski obejmuje parafje: Świętego Jana, Panny Maryi, Ś-go Andrzeja, Ś-go Krzyża i Ś-go Aleksandra.

(Taryfła domów miasta Stołecznego Warszawy 1821 r. 8vo — Taryfła miasta Warszawy i Przedmieścia Pragi, 1844, w 12ce — Kalendarz Warszawski J. Ungra — Warszawa 1853 r. in 4to).

Fr. Karpiński pisze, że Powązki pod Warszawą była to wieś mała, gdzie mieli domki swoje dzieci Księżnej Izabelli Czartoryskiej, i przyjaciółki: każde osobny domek, z wierzchu słomą pokryty i prosto postawiony, wewnątrz najwykwintniej umeblowany.

Po zgonie Księżniczki Teresy, co się przypadkowo spaliła (a tę chwilę pięknie i z talentem opowiedział nam Julian Bartoszewicz), domek jej przeniesionym i na ustroniu w lasku, w miejscu najdzikszym postawiony został.

III.

Pierwszą myśl założenia cmentarzy za miastem, winniśmy Zgromadzeniu Księży Misyonarzy Warszawskich, którzy bacząc, że stolica ówczesna rzeczywospolitéj coraz się rozszerza, a pomór turecki częściej nawiedzać począł;— chowanie zaś ciał zmarłych w obrębie miasta, szczególniej sprzyjało zarazie; mając obszerne grunta w polu za miastem,— poczęli w roku 1745 przysposabiać materyały do budowy nowego cmentarza. Myśl ta wyprzedziła o wiele lat naprzód inne kraje, które daleko później zaczęły krzątać się w przeniesieniu swoich cmentarzy za mury miasta.

Różne przeszkody stanęły na zawadzie wykonaniu téj myśli za czasów Augusta III. Dopiero Książę Stanisław Lubomirski Marszałek Wielki Koronny, przesłaną notą pod d. 23 Sierpnia 1770 roku do Biskupa Poznańskiego i Kanclerza Wielkiego Koronnego, zwrócił na nowo uwagę na konieczną potrzebę przeniesienia cmentarzy parafijalnych, które dotąd znajdowały się przy kościołach, za miasto; w słusznój troskliwości o zachowanie zdrowia mieszkańców Warszawy, żyjących w ścieśnioném mieście i gęsto zabudowaném, a ciasnych ulicach.

Cztery kościoły parafjalne miały przy sobie cmentarze: Katedra, czyli kościół Ś-go Jana, Ś-go Jerzego, (gdzie fabryka braci Ewans), Panny Maryi i Ś-go Krzyża (1).

Kiedy podniósł głos swój Lubomirski, brakowało już ziemi na cmentarzach na przyjmowanie zwłok umarłych, brakowało i miejsca w samych kościołach. Biskup Młodziejowski chętnie popierał myśl przeniesienia za miasto cmentarzy, ale nie było pokoju w kraju;— Konfederacya Barska w całej sile wznosiła okrzyk wojenny. Rozniecony fanatyzm, który w najniewinniejszej rzeczy, największe niby pokrzywdzenie religii uważał, (jak wyraża sam Kanclerz Młodziejowski) kazał tę myśl w wykonaniu, na spokojniejsze czasy zachować. Ale gdy te nadeszły, widział silne zawady w przełamaniu uprzedzenia nie tylko ludu, ale znakomitszych obywateli, którzy zamiejskie, nie przy kościołach cmentarze, za niepoświęconą uważali ziemię. Uznał więc za rzecz konieczną, wybrane miejsca obmurować, przy nich zbudować kaplice lub kościoły, uroczyscie poświęcić, aby wzbudzić cześć dla spoczynku zmarłych; dozwolił murować groby dla rodzin całych, i przygotował katakumby. Nie dosyć: przewidział Kanclerz potrzebę, oprócz

(1) Przy kościele tym na ulicy Święto-Jerskiej, był cmentarz przeznaczony na chowanie ciał osób na śmierć skazanych;— zkład też na chorągiewce był wizerunek człowieka mającego uciętą głowę. (*Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy, Ł. Gołębiowskiego 1827 r.*).

silnego wpływu duchowieństwa, pomocy, tak powagą Księcia Marszałka Wielkiego Koronnego wspartej; jak Departamentu Policji i samego N. Króla z Radą nieustającą.

Dla zjednania powszechniej opinii, i zmniejszenia przeważnej liczby fanatyków, przeciw przeniesieniu cmentarzy za miasto, którzy już mową, już pismem, groźnie powstawali; przetłómaczono edykt króla francuzkiego z d. 4 Czerwca 1776 r. o cmentarzach wydany, pod powagą arcybiskupów i wyższego duchowieństwa w Paryżu zebranych; którym polecono w całej Francji, przeniesienie za miasto cmentarzy, ze słusznej obawy zarazy (1).

Po przełamaniu trudnych zawad, założony został piérwszy cmentarz w roku 1784 przez Księży Missyonarzy na własnym gruncie, dla parafian zmarłych, obejmujący łokci kwadratowych czterdzieści tysięcy; — cały obmurowano, wybudowano kościołek, wystawiono katakumby, i w dwóch rogach dwie kostnice. Pomimo uroczystego poświęcenia i odprawianych nabożeństw, pomimo zachęcań z kazalnicy, chowanie nawet zmarłych Księży i zakonnic Sióstr miłosierdzia; parafianie nie chcieli grzebać zmarłych w polu, nie uważając nowych cmentarzy za miejsca święte; a rozkazy wydane potemu, brali za prostą zniewagę.

Przykład dopiéro księdza Gabryela Wodzyńskiego Biskupa Smoleńskiego, który testament swój w kościele Ś-go Krzyża z kazalnicy odczytał, a w nim polecił pochowanie zwłok swoich na cmentarzu Święto-Krzyskim; widok wspaniałego pogrzebu tego Biskupa dnia 27 Listopada 1788 roku i obchodu na tym cmentarzu uroczystego; silne wrażenie na umysły wywarł, i przesąd przelamał (2).

(1) - W przypisach do niniejszej części, znajdzie czytelnik korespondencye na drodze urzędowej w przedmiocie przeniesienia cmentarzy za obręb miasta.

(2) „Od zaprowadzenia religii chrześcijańskiej, było przyjętóm i w zwyczaj weszło, że zmarłych prawowiernych chrześcijan, przy kościołach chowano. Do tego prowadziło przodków naszych łatwe następstwo: tu chrzest święty przyjmowali; tu nauki chrześcijańskiej słuchali; tu Sakramenta święte przyjmowali, tu się modlili, najpiękniejsze uczucia i łzy w szczęściu i niedoli Panu Bogu przesyłając; tu rodzinę i przyjaciół pochowali; najtkliwsze wspomnienia zostawili, tu nakoniec kości swoje złożone mieć chcieli, spodziewając się szczególnej pomocy przed Bogiem od rodziny i przyjaciół. Z tego przeto zwyczaju chowania wiernych przy kościele, i stawiania ołtarzy na szczątkach czyli kościach świętych męczenników, wyprowadzamy samą nazwę kościoła.

Obszerny cmentarz Księży Missyonarzy, położony był zaraz przy samym kościele Ś-go Krzyża wchodząc po lewój ręce, w miejscu gdzie jest wybudowana w roku 1826 kamienica Nr. 406/407 przy ulicy Krakowskie Przedmieście. Gdy się z czasem miasto szerzyć zaczęło, a pomor turecki częściej nawiedzać; uważano, że chowanie umarłych w obrębie miasta, szczególniejsz sprzyjało zarazie. Księży Missyonarze mając obszerne grunta w polu za miastem, poczęli w roku 1745 przysposabiać materyały do budowy nowego cmentarza, który w polu (nateraz przy ulicy Nowogrodzkiej Nr. 1600 lit. B.) założyli.

Cmentarz ten Święto-krzyskim zwany, obwiedli wysokim murem, wybudowali murowany kościołek z trzema ołtarzami, i dom dla usługi cmentarza. Wystawili następnie murowane pieczary, czyli katakumby, których liczba potem do 826 dochodziła, i tam się parafianie Święto-krzyscy, a nawet Ujazdowscy, z otwarciem cmentarza, (które nastąpiło przy dedykacji kościoła dnia 9 Sierpnia 1783 r.) chować poczęli.

Zmiana jednak takowa, czyli przeniesienie cmentarza, nie udało się tak łatwo jak mniemano. Parafianie zmarłych, w polu grzebać nie chcieli, uważając to za zniewagę, jakby dzisiaj nie być pochowanym na miejscu świętém. Długi czas Księży Missyonarze musieli oświecać lud z kazalnicy, długo nad tym pracowali, chociaż nawet zmarłych księży i zakonnic, to jest Siostry miłosierdzia, na nowym cmentarzu chowano.

Ksiądz Gabryel Wodzyński Biskup Smoleński, chcąc skuteczniejsz uprzedzenie takowe usunąć, rozkazał testament swój w kościele Świętego Krzyża z mównicy odczytać. Testamentem tym albowiem rozkazał: aby po

W dziewięć lat później, powstał cmentarz Powązkowski. Melchior Szymanowski Starosta Klonowski, darował na ten cel w roku 1790 sążni kwadratowych 6,902 gruntu. Darowizny tej pamiątkę, mamy w rogu muru przy początku katakumb na cmentarzu, w pomniku kamiennym z herbem Korwin, i napisem: „Przodkowie tej rodziny, część jurydyki nazwanój Szymanowem, podarowali na cmentarz publiczny roku 1790” (1).

jego śmierci, ciało na nowym cmentarzu Święto-krzyżkim, pochowane było. Co też po jego zejściu dnia 27 Listopada 1788 roku nastąpiło.

Powoli parafjanie poczęli się oswajać z wolą Władzy duchownej i cywilnej, a nakoniec uprzedzenie zniknęło zupełnie, i dobry zamiar, pomyslnym skutkiem uwieńczony został. Zwyczaj więc chowania ciał zmarłych na cmentarzach, nie jest tak dawny.

Potrzeba chowania umarłych w tym nowym i odległym od miasta cmentarzu, wymagała przyzwoitego od prowadzenia ciała, z tego powodu najpierwsi Księża Misyonarze, sprawili i zaprowadzili w użycie śmiertelne wozy, czyli karawany, które w miarę potrzeby i żądania, dwoma lub czterema końmi czarnym sukniem okrytych, zaprzężone bywały. Do takowej parady pogrzebowej, dodawano potrzebną ilość żałobników, asystujących przy karawanie z latarniami lub pochodniami czyli wachlami.

Przed tym czasem składano ciała umarłych przy kościele w grabarni czyli kostnicy, ale od r. 1807 nakazała policja wynosić umarłych prosto na cmentarz.

Z powodu niskiego położenia gruntu, przesyconego zaskórnią wodą, przepelnienia cmentarza tego zmarłeni ciałami chorych ze Szpitala Dzieciątka Jezus, S-go Rocha, lazaretów wojskowych, oraz parafjan Święto-krzyżskich i Ujazdowskich, (nateraz parafii S-go Aleksandra), Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych Duchownych i Oświecenia Publicznego, przez pośrednictwo Kommissarza Jeneralnego Warszawskiego, poleciła pod dniem 17 Marca 1836 roku zamknąć cmentarz Święto-krzyżski, który odtąd żadnych ciał do chowania nie przyjmuje.” (Wypis z rękopismu p. n. „*Dom Warszawski Zgromadzenia Księży Misyonarzy*”).

(1) Na tym pomniku są następane napisy: „*Tu spoczywa Stanisław Korwin Szymanowski General b. Wojsk Pol- (skich) zmarły dnia 14 Kwietnia 1831 roku*”.

Poniżej: „*Maryannie z Magnuskich Szymanowskiej 1 Sierpnia 1839 zmarłej, wdowie po s. p. Teofilu Korwin Szymanowskim Radcy Prokuratorji G.(eneralnej) K.(rólestwa) P.(olskiego) dziedzica jurydyki ziemskiej jego nazwy stroskane i wdzięczne dzieci, pomnik ten wystawiły 1842 r. Wieczny odpoczynek ich duszom*”.

Z lewego boku pomnika, na czarnej marmurowej płycie:

Ossa sepulta Josephi de Szymanowo Korwin Szymanowski, hic cernis viator. Si quaeras quis fecit Poesinobilis, consilii prudens, animo integer, opere pius, societatis Litterariae Varsoviensis et Instructionis publicae decus eximium. Serenissimi Stanisłai Augusti Regis Poloniae Aulicus Lepidus. Caetera mortalis. [Quem, ut virtutes posteris relictas coelo eant, precare. Natus 1745 † 1801”.

Poniżej: „*Antonius Korwin Szymanowski. Aoe Ma—natus 1764 † 1834 — ria. Piae memoriae suorum Patruorum Felix Fran. Szymanowski*”.

Kościół przy cmentarzu Powązkowskim wymurowano w roku 1790. Katakumby w tymże roku pod dachówką holenderską, pierwiastkowo długie 197 lokci podłużnych były. W latach 1837, 1843 i 1846 dobudowywano, gdy cmentarz Powązkowski stał się jedynym i głównym do chowania ciał zmarłych wyznania rzymsko-katolickiego. Posadzka w nich ceglana; piwnice pod temiż na tymczasowe wstawianie ciał zmarłych.

Oplata za pochowanie w tych katakumbach, dzieli się na trzy klasy:

1. Za pochowanie w dwóch dolnych rzędach — za grób rsr. 35 kop. 40.
2. Za pochowanie w dwóch środkowych rzędach — rsr. 42 kop. 90.
3. Za pochowanie w dwóch górnych rzędach — rsr. 27 kop. 90.

Ziemia na cmentarzu na grób familijny i własność, za lokcie kwadratowy, kosztuje rsr. 2 kop. 25.

Są groby zwane *jeneralne*, dla ubogich — tu razem w jednym dole chowają ciała, wraz z dziećmi, przed ukończeniem lat 7 zmarłeni.

Gdy okazał się cmentarz ten za szczupłym, w roku 1837 J. O. Księżę Namiestnik, darował na rozporządzenie 10kci kwadratowych 299, 790. Grassująca cholera w 1852 roku znaczną część tego gruntu zapelnila trupami.

Cmentarz Powązkowski, w początkach zwany *polowym* cmentarzem, przeznaczony był na chowanie parafijan zmarłych w parafijach: Ś-go Jana, Panny Maryi i Ś-go Jerzego, dla których osobne miejsca na tym cmentarzu oddzielone były.

W roku 1830 powstał trzeci cmentarz pod nazwą *Ujazdowskiego*, ale po ośmiu latach zamknięty; tak więc, gdy wcześniej jeszcze, bo w r. 1826 zamknięto cmentarz Święto-krzyski, Powązkowski został głównym cmentarzem do chowania ciał zmarłych rzymsko-katolickiego wyznania (1).

Temu też szczegółowy poświęcamy najprzód opis.

Przy kościele są dwa dzwony. Jeden ważący funtów 283, sprawiony z funduszu pokładnego, ma napis: „*Alexander Josephus die 27 Junii 1847, ab Antonio Melchiore Fijałkowski Episcopo Hermopolitanensi consecratus Ecclesiae et Coemetario Povoscoviensi designatus*”. Drugi dzwon mniejszy, przeniesiono z cmentarza Ujazdowskiego.

Gdy kościółek Powązkowski założony przez Stanisława Augusta nadniszczał, ozdobnie go odnowiono w zupełności, i w roku 1850 dnia 22 Września otwarto dla pobożnych, po uroczystej konsekracji. (Obszerny opis w tej mierze, znajdzie czytelnik w *Kuryerze Warszawskim* z r. 1850 Nr. 249 i 250).

W miejsce dawnego, a malowanego tylko ołtarza wielkiego, stanął wspinały, przyozdobiony dwoma kolumnami ołtarz murowany, i odnowiono obraz godny uwagi, pędzla Józefa Wahla polaka, a ucznia Racciarellego. — Obraz ten wyobraża patrona świątyni, Ś-go Karola Boromeusza, a na pierwszym planie, przywodzi na pamięć historię Stanisława Augusta, i to ocalenie jego przez Kuźmę, które spowodowało zamówienie obrazu przez Księcia Prymasa Michała Poniatowskiego brata króla; i ofiarowanie go temu kościołowi w roku 1793. Nie przeczuwał wtedy Prymas dawca, że w rok niespełna, spocznie w katakumbach powązkowskich.

(1) Cmentarz pod nazwą *Jazdowski*, (Ujazdowski) dla chowania ciał zmarłych chrześcijan parafii Świętego Aleksandra przeznaczony, blisko folwarku *Koszyki* położony, założony został z woli J. C. M. Wielkiego Księcia Konstantego w roku 1830, a poświęcony w roku 1831, a to z uwagi: że miejsce dla chowania ciał zmarłych, przeznaczone dla parafijan parafii Ujazdowskiej, po zniesieniu cmentarza tegoż nazwiska, naznaczone przy cmentarzu Święto-krzyskim, było jak i cały cmentarz, niedogodne z przyczyny zbyt wilgotnego i twardego gruntu, jakoteż dla zbytnej odległości parafijan zamieszkałych nad Wisłą. Cmentarz ten zamknięty zupełnie został, i wzbroniono chowanie ciał od dnia 1 Października 1838 roku.

Dodamy tu, że przy rozbieraniu kościołka Ujazdowskiego w roku 1818 spoczywające tamże zwłoki Księcia Kazimierza Poniatowskiego (starszego brata Króla Stanisława Augusta) Podkomorzego Wielkiego Koronnego, zmarłego dnia 13 Kwietnia 1800 roku w wieku 79 lat; przeniesiono i pochowano w katakumbach dolnego kościoła Świętego Krzyża (w miesiącu Wrześniu 1818 r.). Dotąd jednakże gdzie złożone zostały, żadnego napisu nie ma.

Dodajemy tu wiadomość o cmentarzu istniejącym dawniej przy kościele Ujazdowskim.

Podług Taryffy miasta Warszawy z roku 1784, która była uskutecznioma do pierwszego numerowania domów w tem mieście, taką znajdujemy o tym cmentarzu wiadomość na str. 145 M. S.

Numer 1749, plac z górą na którym rezydencya W. J. X. Bogusława Rachowicza Kanonika Inflantskiego, Proboszcza Ujazdowskiego znajduje się, ma od frontu ulicy Ujazdowskiej łokci koronnych 193 ćwierci 2.

Cmentarz i wejście do kościoła Ujazdowskiego pod tytułem Ś-tój Malgorzaty będącego, ma od frontu téjże ulicy łokci 75 ćwierci 3.

Plebanija, cmentarz i kościół (pisze P. Alex. Wejnert w udzielonej mi notatce) leżały między possessją Nr. 1718 składającą się w roku 1784, z dworku drewnianego Księżnej Lubomirskiej, Marszałkowej W. Kor. a Nr 1720 składającym się z oficyn i wjazdu pałacu Belwederem zwanego.

Kościół Ujazdowski rozebrany został wówczas, gdy wzniesiono kościół Świętego Aleksandra i parafija Ujazdowska przeniesioną do niego została.

Prawdopodobnie że i cmentarz dawny Ujazdowski istniał do chwili rozebrania kościoła.

Podług téjże Taryffy do probostwa Ujazdowskiego należały następujące posiadłości:

1. Nr. 1716 domek w którym organista mieszkał.
2. Nr. 1717 domek drewniany z komornikami.
3. Grunta aż do okopów mające szerokości od frontu ulicy Ujazdowskiej łokci koronnych 168.

Jeżeli cmentarz Powązkowski ładem i czystością rzewne wzbudza uczucie, to cmentarz Ś-to-krzyski, jako opuszczone najpierwsze zamiastowe schronienie umarłych, boleścią i zgrozą przejmuje. Obszar cały, choć murem obwiedzionej ziemi, pogarbiony, poprzepadany, jakby ten cmentarz dopiero co nawiedziło silne trzęsienie ziemi; — z rozszarpanych grobów, sterczą szczęty spróchniałych trumien — zardzewiałe blachy z napisami, nagie czaszki i kości strupieszale. Dwa tu depczem pokłady, jedno na drugich złożone trupów; katakumby w części zawalone w gruzach, drugie chylące się co chwila do upadku. Nie masz widoku nad ten smutniejszy. Ruiny wspaniałych naszych zamków i grodów, opromieniają poetycznie wspomnienia przeszłości — nad każdym rumowiskiem historia rozwija swą kartę, na cześć i podziw potomnych; — tu rozwaliny katakumb, potraskane kamienie nagrobne i ziemia z rozwartém łonem swoim, jakby wyrzucając z siebie prochy zmarłych, na wieczny zagrzebane w niej spokój, bolesne obudzają uczucie. Nie dosyć że tylu spustoszeń nurtujące strumienie były powodem; — i ręce ludzkie bezbożne, pomagały do coraz większego spustoszenia cmentarza Święto-krzyskiego.

Grabieżcy, co noc tłumem wchodzili, dla wydzierania tablic marmurowych, i już je wszystkie prawie zabrali! Tak zniknęła tablica wielka, z napisem jenerałowi Sokolnickiemu, wmurowana w katakumby; dziś gotowe do upadku; — pozostały tylko płyty kamienne, i na nich ślady zbójcekiej siekiery a młotu, co próbowały, szukając na zdobycz, kosztowniejszego marmuru!

Kiedym zwiedzał te ruiny cmentarza, wiele tablic marmurowych wydartych z grobowców i ustawionych pod murem, oczekiwało na swoich nocnych złodziei. Leżał i młot zapomniany przez nich za jedną płytą. Stróż, który czuwa, nie wiele może podolać; bo łupieżcy, gromadnie dzieło zniszczenia pod cieniem nocy wykonywają.

A tu spoczęli oprócz tysiąca zapomnianych imion: *Jan Krasieński* Starosta Opinogórski, w kwiecie wieku zgasły; jenerał *Tadeusz Lipski*; *Chrapowiecki* Kasztelan Mściślawski; *F. Czapski* Wojewoda Chelmiński; ów pierwszy Biskup Smoleński, *Gabryel Wodzyński*, co przesąd w chowaniu ciał za miastem, przełamał; *Józef Epifani Minasowicz*; *Józef Szymanowski*; *Wawrzyniec Surowiecki* i ksiądz *Kajetan Ghiggioły* kanonik Warmiński. I tych kości, w gruzach zawalonych, same się zagrzebały.

Cmentarz Powązkowski, otwiera nam księgę bogatych wspomnień. Spoczął tu potężny zastęp ludzi zasługi, godnych naszego holdu i wspomnienia. Jednych pamięć w katakumbach na marmurze przechowała się dotąd; drugich w pojedynczych nagrobkach rozrzuconych po tém obozowisku zmarłych, a największej liczby posagowych postaci, spoczywają prochy, bez nagrobku, bez napisu żadnego, bez pewności nawet miejsca, gdzie pogrzebanemi zostały.

Cienia znakomitych i zasłużonych mężów! Przychodzę wam uderzyć czołem, i wzbudzić z cześcią wspomnienia wasze!!..



IV.

DO

JANA CHRYZOSTOMA ŚLAWIANOWSKIEGO

SĘDZIEGO APPELLACYJNEGO.

Od lat dziecinnych już lzy moje widział mały i szczupły w on czas cmentarz Powązkowski, — ale w tym wieku prędko ony wysychają na młodem licu, radość i uśmiech szybko je zacierają bez śladu, — tylko w pamięci wspomnienie wyryje się głębiej, na cały żywot człowieczy.

Szedłem za trumnami krewnych, przyjaciół, ojca, i dziatwy mojej w ostatku, — zawszem coraz rzewniejszą boleść przynosił, a to w tych chwilach, gdy cmentarz ten przybierał coraz obszerniejsze rozmiary, wciągał w siebie kawaly pól granicznych, domostw i ogrodów, i przystrajał się to w pomniki grobowe i krzyże coraz gęściej, to w zbite szeregi mogił.

Dziwny to gwar życia Warszawy, dziwna jego potęga! Zaledwie miniesz granice cmentarza — już cię ogarnia, już cię czaruje. Patrząc obojętniejszém okiem na żałobne korowody, słyszysz nie z tém rzewném uczuciem, żałobnych pieśni kapłanów, — bo echo życia tego wielkiego grodu wąlli i osłabia smutek i wrażenie śmierci!

Ileż to razy widziałem drużyny weselne, radośne, co się spotykały z pogrzebowym orszakiem, — nieraz téż biała suknia i świeże kwiaty, zdobiły dziewicę pannę młodą, spieszącą do ołtarza po nowy zawód życia, i dziewicę zmarłą, co ją wiedli w bieli także, w wieńcu kwiatowym, na wieczny do Powązek odpoczynek!

Dziwna to mieszanina ziemską, splatająca wieniec z łez i bólu, ze śmiechu i radości, — ale więcej smutku spotykając orszaki żałobne, wiodące w kwiecie wieku zgasłych z naszego grona braci; zasypywać wilgotnym piaskiem oczy tych, których się cenilo i kochało!

Jakżeż wymownie opłakał Brodziński zgon swego przyjaciela, i żałobny z nim rozdział!

„Kiedy wieczór dni wszystkich człowieka oskoczy,
Smutno jest, na niepewną podróż zamknąć oczy,
Trzymać się milczącego za dłoń Anioła,
Co przez tak ciemne drogi, do Ojca nas woła!
Lecz smętniej, gdy przyjaciel gaśnie w pośród grona.
Trzeba od bijącego oderwać go łona,
Coś uczcił, coś ukochał, musisz bez sposobu
Zarzucić w zimnych szczytkach do zimnego grobu,
I z niczém nie powrócić z pogrzebnej kolei
Oprócz spomnień pamięci — dalekiej nadziei!”

Powązki, to wielkie grobowisko naszego miasta; od niemowlęcego wieku do sędziwej starości, wszystkich co już skończyli turnieje życia, przyjęły w łono swoje (1).

Tu spoczęły prochy wojowników, co przebiegali z orężem w rękę całą Europę — co przepalili oblicza swoje skwarném słońcem południowej Ameryki, walcząc z Murzynami na Saint-Domingo — z bitnym ludem Hiszpanii i we Włoszech. Szczupłe tu ich grono — reszta znalazła spoczynek wśród obszarów świata.

Jakże wasze bez wspomnienia ominąć groby, młode dziewice, młode niewiasty i poważne nasze matki! Nie głośnemi były wasze za życia imiona, chociaż przeważniejsze wasze zasługi nad tyłu, co tu na czarnych płytach marmuru, złotemi literami mają wyryte długie, pochwalne i zaszczytne napisy. W ciszy domowego progu, z sercami pełnemi miłości i poświęcenia, spoczęłyście po krótszej lub dłuższej pielgrzymce życia obok mężów, braci, synów i ojców waszych, co zapracowali sobie uczciwie na dobre między ludźmi wspomnienie. I wasze zacne serca, były jedném uczuciem z tymi, których pamięć jest nam drogą. Jeżeli imiona wasze w rodzinném kółku brzmiały tylko, tu na tym cmentarzu odbieracie cześć należną, a rzewną. Czytaj przechodniu napisy dla matek i żon, dla młodych nawet dziewic, — w prostych nie raz słowach z zakrwawionego i rozdartego serca, głos prawdy i żalu na kamieniu się wyrył — a przewaga tych napisów świadczyć musi, o ciężkich ciosach jakie rodziny odbierały w naszym społeczeństwie, tracąc te wierne kapłanki domowego ogniska. Ileż to skarbów miłości i uczucia nie pokryła wilgotna ziemia cmentarza Powązkowskiego? — któż tych niewiast naszych dzieje życia i walk serca zdoła opowiedzieć? Zaledwie jeden napis grobowy wskazał *ofiary przesądu* (2) w pogrzebanej dziewicy; — drugie podanie miejscowe zachowało, że babce kościelnej od Ś-go Krzyża, w kilka lat po jej śmierci, rodzina jako Księżnie, wystawiła okazały nagrobek (3). Reszty zmarłych polek dzieje, pokryła mgła niepamięci; — przemknęły jak owe w marzeniu senném anioły, budząc po sobie tęsknotę i żalobę! I tu na tym cmentarzu, próżność ludzka wymowne zostawiła ślady; — mijam napisy z szumnemi tytułami, wymienianiem dziedzictw, wsi lub domów posiadanych, — ale spostrzeżesz na dawnych grobowcach świeżo rzezane herby barwiste i złocone. Mech starości pokrył napis, herb świeży młodo błyszczący.

Obok tego miło się spotkać z tklivym dowodem przyjaźni dla zmarłego. Stał krzyż drewniany, omszony, poświęcony pamięci wojownika. Kiedy rozporządzono, aby odnowiono wszystkie pomniki, gdyż w przeciwnym razie, takowe usunione z cmentarza zostaną; ubogi współtowarzysz broni, chciawszy stary krzyż ocalić, za grosz oszczędzony nakupił gwoździ, i sam wybił na nim następujący napis:

„Tu leży podpułkownik Janitkiewicz, umarł d. 24 Stycznia 1815 roku.”

I pomnik ten prosty ocalił, który dotąd stoi.

(1) Najstarszy wiekiem spoczywa na tym cmentarzu Chajęcki, obywatel zmarły dnia 23 Października 1848, miał bowiem lat 101. Ze stuletnich starców pochowano tu zwłoki: Ignacego Jeziorańskiego, zmarłego 29 Marca 1846. — Doroty Prokurat wdowy, zmarłej w Grudniu 1848. — Michała Karkowskiego, urodzonego w Wilnie stolara, a zmarłego 18 Stycznia 1851 r.

(2) Zobacz napis grobowy Wandy Morskiej.

(3) Patrz poniżej napis Katarzynie Księżnie Mirskiej poświęcony.



Rys z natury A. Matuszkewicza.

Odbita w Lit. Ring w Warszawie Ul. Rymarska N°741

Lit. W. Walkiewicz

GRÓB ZYGMUNTA KORZENIOWSKIEGO.



no. 626

Na uboczu, w równej prawie linii z katakumbami, zaległo obszerne* pole cmentarzem, gdzie pogrzebiono zmarłych na *cholere* w 1852 r., która tak straszliwie zdziesiątkowała ludność Warszawy. Wtedy to po raz pierwszy miasto nasze przybrało uroczystą żalobę, odpowiednią klęsce, którą Bóg nas dotknął; — żalobę, co przytłumiła gwar dawny, ochoczy i wesoly. Wtedy po raz pierwszy silny powiew smutku, wiejący z cmentarza Powązek, przemógł on gwar i zdławił w samym grodzie, a pogrzebowe orszaki, ciągnące od rana do zmroku, jak niegdyś stada ptaków moru i śmierci, roznosiły trwogę, a ponurą cichością zalegały domy i ulice, z których pełne powabu uleciało życie. W Powązkach jak na wielkiem pobojuwisku, wznosiły się dzień po dniu rzędy mogił; — w Warszawie pod chmurném, gorącym spiekotą niebem, lud słał gorące modły do Boga o odwrócenie téj straszliwej klęski. Dzień po dniu wszystkie *figury*, wizerunki świętych patronów, jaśniały oświecone lampami i latarniami — pobożni na klęczkach wznosili modły, a drżącą ręką składali w ofierze wieńce i kwiaty, w oczekiwaniu miłosierdzia Bożego. Piękny to i budujący był za prawdę widok, jak po wszystkich ulicach gdzie stały wizerunki Chrystusa, Panny Maryi i Świętych, w pomroce wieczornéj zapalano światła, a gromadnie wznoszone brzmiały pieśni nabożne. Nie tylko lud tam wznosił błagalne pienia — lachmany ubóstwa ocierały się o atlasy bogate; białe i delikatne ręce zarówno złożone w szczeréj modlitwie, jak zgrubiałe i narobione prostego wyrobnika. Postrach moru łączył w jedną gromadę tych, co zdala przez całe życie od siebie po téj ziemi chodzą; śmierć ścieląca szerokim pokosem codziennie trupy, zatarła ziemską próżność: — wieczność otwarła szerokie podwoje do swego przybytku — i przyszła skrucha i poznanie małości tych, co się wywyższali kiedyś. Pomór ten, zapisał się niestartami zgłoscami w kronice Warszawy, a wielki obszar ziemi na cmentarzu Powązkowskim, co pogrzebał tysiące tego moru ofiar, zostanie wieczystym pomnikiem a wymownym gniewu Bożego.

Małoż to obrazów rozwijało się w oczach moich, w częstych wycieczkach do cmentarzy naszych? Jak szczupła przestrzeń ziemi z progów domowych do grobu — a iluż łzami, jaką boleścią i rozpaczą nie naznaczona? Grono rodziny osierocone zgonem ojca czy matki, jak nagle znajduje pustkowie w tym domu, co przed chwilą brzmiał szczęściem i radością. Te dramata smutne, przechodzą po kilkakroć co dzień w kólkach rodzin naszych, przygłuszone szalem życia wielkiego miasta. Mogiła za mogiłą — grób za grobem, co dzień powstają nowe; czas łzy osusza, ukaja boleść — wzywa do życia. W zakątkach tylko, tuli się uczucie tych serc prawych, niewidzialne łzy płyną, i ciche westchnienie w bólu i jęku ma odzew, co umieją długą pamięć przechować straty szlachetnych i zacnych istot!

Powiedział nasz wielki poeta, że nie masz:

„I boleśniejszych i czystszych na ziemi;
Jak łzy rodziców nad dziećmi własnymi.” (1).

A te stanęły mi na myśli w d. 2 Maja r. b. (1854) kiedym po nabożeństwie, w skromnym Powązkowskim kościółku, towarzyszył orszakowi żalobnemu z sędziwemi rodzicami, na poświęcenie grobu pierworodnego ich syna Zygmunta Korzeniowskiego. Śpiew smętny kapłanów

(1) Seweryn Goszczyński.

przy tym grobie, nie potrafił przytłumić łkania biednej matki, co daleko od kraju będąc, ukochanemu zawsze dla niej dziecięciu, sama nie zamknęła powiek. Oplakata stratę tę, co rozdarła jej serce, w obcej ziemi; — dziś na klęczkach wita jego grobowiec na własnej — i na wiązanie w dniu imienin, całuje i oblewa zimny kamień gorącymi łzami. Śpiew żałobny nie przytłumił jęku głuchego sędziwego ojca, co zajmwszy tak znakomite miejsce w literaturze ojczystej, i tyle jej przeważnych oddawszy usług, schylił z pokorą tę głowę obnażoną i spruszoną szronem wieku, zoraną zmarszczkami lat i pracą myśli; ale pełną wiary; bo ręka jego nakreśliła ten napis na grobowcu zmarłego syna:

„Za prędko życia jego zniknęło zaranie,
 Uciekła z ziemi dusza, pokorna i czysta,
 Więc wieczny odpoczynek racz mu dać o Panie!
 I spraw to, niech mu świeci jasność wiekuista!
 A nam, cośmy zostali — daj święte ufanie
 Że ta droga za grobem, niepewna i mglista
 Na którąś rzucić raczył cienie tajemnicze;
 Złączy nas — i przed Twoje sprowadzi oblicze” (1).

Kto nie poniósł takiej straty, kto nie płakał rodzicielskimi łzami tryskającymi z głębi rozdartego serca; tu poznał całą wielkość boleści, na której ukojenie Bóg tylko przeciągiem czasu zlewa balsam gojący. Rzewnie było patrzeć na tych, co wystawiając grobowiec dla zbyt wczesnie zgasłego syna, przygotowali zarazem i dla siebie obok na wieczny spoczynek, cichy zakątek w ziemi cmentarnej.

Nie dawne dni także, gdy najpiękniejszy obraz pogrzebu mieliśmy przed oczyma (2). Wspaniały, dawno nie widziany obchód żałobny, zwrócił uwagę Warszawy. Kilka tysięcy ludu napelniało ulice miasta:—drugie tyle zapelniło wczesnie cmentarz Powązkowski, w oczekiwaniu na zwłoki zmarłego, któremu cześć tak znakomitą oddawano. Był to pogrzeb wielkiego artysty, zgasłego starca, co dożył blisko 90 lat — pogrzeb Józefa Elsnera.

Przed karawanem artyści orkiestry teatrów Warszawskich, odegrywali marsz pogrzebowy (3); z odkrytą głową wiódł te grono muzyków, znany zaszczytnie Dyrektor Opery J. Dobrzyński. Zwolna postępował wielki orszak żałobny — a nie można było bez rzewnego uczucia, pooglądać na ten hołd powszechny, a tak wymowny dla zmarłego starca. W połowie drogi, trumna z karawanu przeszła na ramiona tych zwolenników sztuki pięknej, którzy cenili pamięć Elsnera.

Zaludniła się nagle ta cicha ustronń zmarłych niewidzianym rojem od lat wielu mieszkańców Warszawy. Katakumby i mogiły odbiły grobowym echem smętne tony muzyki, które były ostatnim wyrazem pożegnania ukochanego mistrza. Obecni opuścili cmentarz Powązkowski z tém błogiem uczuciem: że prawa zasługa, nigdy u nas zapomnianą być nie może — że są

(1) Pomnik ten kamienny wzniesiony w kształcie krzyża ustawionego na postumencie spoczywającym na grobie rodziny Korzeniowskich; wykonał były uczeń naszej szkoły sztuk pięknych, *Myszkowski*. Na górnem ramieniu krzyża wyryte słowa: „Pociesz nas i umocnij” — poniżej na czarnym marmurze: „Zygmunt Korzeniowski, ur. 1824 um. 1853”.

(2) Dnia 10 Kwietnia w Piątek 1854 r.

(3) Utwór Ignacego Dobrzyńskiego, wyłącznie na ten smutny obchód napisany.

zawsze gotowe serca, oddać jój cześć należną: — a to uczucie za prawdę, winno być miłą pociechą dla pracowników w każdym zawodzie sztuki — pociechą, co może nie jedno cierpienie, troski i gorycz, ciernistój drogi życia osłodzić i opróżnić!

Święto Bożego ciała obchodzone solennie w kościele Ś-go Karola Boromeusza na Powązkach, uroczysty daje obraz temu cmentarzowi. W ponurych katakumbach zdobne wzniesione ołtarze, i w kapliczkach grobowych przyległych; — lud tłumnie z rozwianemi chorągwiami idąc zwolna od ołtarza do ołtarza, śpiewa owe znane pieśni:

„U drzwi Twoich stoję Panie,
Czekam na twe zmiłowanie”.

albo:

„Twoja cześć, chwala, nasz wieczny Panie,
Na wieczne czasy niech nie ustanie!
Tobie dziś dajem z mnóstwem tych ludzi
Pokłon i pienie — my twoi słudzy.”

Echo tych pobożnych pieśni, odbija się żalobnie o groby, mogiły — i w długich a ciemnych sklepieniach katakumb piętrowych. Ale żadna z tych pieśni nie wzbudzi tyle smutku, tyle rzewnego uczucia, jak gdy zabrzmie w pośród tego miasta zmarłych, owa pełna prostoty pieśń Karpińskiego, co już przeszła na własność narodu:

„Zróbcie mu miejsce — idzie Pan nieba,
Pod przymiotami ukryty chleba —
Zagrody nasze widzieć przychodzi,
I jak się dzieciom Jego powodzi.
Otocz go w koło rzeszo wybrana,
Przed twoim Bogiem zginaj kolana,
Pieśni chwały jego śpiewaj z weselem;
On twoim Ojcem, On przyjacielem.

.....
On winy nasze przebaczać lubi,
Jego się wsparciem ten naród chlubi:—
W domu i w polu daje nam dary,
Serc tylko naszych żąda ofiary.
Niesiemy ci je Boże, niesiemy!
Dawaj nam łaski — sercać dajemy;
I tój zamiany między stronami,
Niebo i ziemia będą świadkami:
My niesłyszemy jak nam niebiosy,
Odpowiadają swemi odgłosy!”

Dzień *zaduszny* napelnia rojniój cmentarz Powązkowski, choć to pora ponura, zimna dżdżysta, a często i śnieżna. Dzień to bowiem przeznaczony na żalobne nabożeństwo poświęcone pamięci zmarłych. Krewni, przyjaciele, osieroczone rodziny, gromadnie tu schodzą modlić się za zgasłych, odwiedzać ich groby, mogiły, i lżę rzewnego uczucia, ich pamięci poświęcić.

Kilka mamy opisów Warszawy — już całego grodu, ⁽¹⁾ już pojedynczych świątyń i gma-

(1) Z tych Łukasza Gołębiowskiego, i zupełniejsze a czerpane z nieznanych źródeł F. M. Sobieszczańskiego, ogłoszone drukiem. Księdza Kurowskiego dotąd zostaje w rękopiśmie, i w małych tylko wyjątkach znane. I my sami przed Ł. Gołębiowskim, wzięliśmy się w roku 1828 do opisu Warszawy — a obszerne wyjątki z tój pracy znajdzie czytelnik w Dzienniku Warszawskim redakcyi J. K. Ordyńca.

chów; ⁽¹⁾ a nikt nie zwrócił uwagi, by obszerniejszém wspomnieniem uczcić cmentarze nasze, co blisko od wieku przyjmują w łono matki ziemi, mieszkańców nadwiślańskiego miasta

Praca to i zawód nie mały! W najdawniejszym po za obrębem Warszawy cmentarzu Ś-to-krzyskim, połowa katakumb w gruzy się zawaliła — większą część na marmurach napisów zniszczono. Późniejszego Powązkowskiego cmentarza spisy zmarłych, porządkiem utrzymywane, zaczynają się dopiero od roku 1836, a od roku 1842 i napisy nagrobkowe.

Wszelki ślad akt miejscowych z lat 46^{ciu} bez śladu zniknął. Od roku 1790 po 1854, w przeciągu lat 64 przyjęły Powązki w swój obręb przeszło 200,000 zmarłych — w téj liczbie nie mały zastęp ludzi pełnych zasług i głośnego imienia — a ci po większej części nawet najskromniejszych pomników grobowych nie mają.

Masz tu w tém dziele nie mały ich poczet, w różnych zawodach: kapłanów, literatów, artystów, niewiast, towarzyszy tych chorągwi, które przeszły w księgę dziejów; — wszyscy tu spoczęli snem jednym, nieprzespanym, — wieczystym.

Życiorysy które podaję, nie są jakbym pragnął należycie oddane, ale nie potrzebuję taić, jak wielkie nieraz do udokładnienia ich stanęły na przeszkodzie zawady. Szczegóły i zarysy mogące malować zmarłego, jako człowieka i jako artystę, zniknęły bez śladu w urzędowych *pochwałach*, w których nieraz nawet nie doczytałeś dokładnej daty urodzin i śmierci. Kazimierz Brodziński czytając wspomnienie o Józefie Lipińskim, pierwszy dopiero wyrzekł, że pisząc o tyle zasłużonym mężu, — „*chciał uniknąć wszelkiej pochwały*” — to też odmalował go nam wierniej.

Zmarli, i ci co znali bliżej znakomitsze postacie spoczywające na cmentarzu Powązkowskim, — rodziny nie zawsze troskliwe były w zachowaniu jakich pamiątek i papierów po zgastych a zasłużonych mężach: — a gdy i tradycya w żywém słowie umilkła, nic dopowiedzieć nie mogła, gdy sam się stosunkami i wspomnieniem nie zbliżyłem więcej; — nie było więc zkad brać szczegółów i barwy do życiorysów zmarłych, tym więcej, że i pozostawione lub ogłoszone pisma, przy braku strony oryginalnej, samodzielnej — żadnej nie podały pomocy.

Poświęcamy w niniejszém dziele ustęp oddzielny cmentarzowi Święto-krzyskiemu; — nie przepomniem i cmentarzy innych wyznań; mimo to czujemy sami braki w naszej pracy. Robimy wszakże śmiało początek w przedmiocie nieobojętnym jak sądzimy dla nas, a niczym nie dotkniętego piórem; ufni, że w czasie późniejszym, zdolniejsza da Bóg ręka, uzupełni niniejsze dzieło, mając już nie mały zasób po temu zebrany

Pracę tę, owoc sześćioletnich zabiegów, starań i ślęczeń, Wam zacny przyjacielu przypisuję; — nie obce są ci trudy literackie, — nie obcy cel tego pisma, i powody, aby uchronić wspomnienia tych, co zarobili sobie na dobrą i znaną pamięć pomiędzy ludźmi. A w różnych czasach, w różnych kolejach narodu, kładąc zasługi, każdy szedł w swoim zawodzie tą drogą prawości, co wiodła wedle wyrażenia Jana Kochanowskiego, do *poczcivej sławy*.

K. Wł. Wójcicki.

Pisałem w Mokotowie pod Warszawą, dnia 1 Lipca 1854 r.

(1) Częściowo kościoły i gmachy Warszawy, opisywali: X. Kurowski, Michał Baliński i Julian Bartoszewicz.

KORESPONDENCYE

NA DRODZE URZĘDOWEJ,

względem założenia za miastem **Warszawą Cmentarzy,**

PROWADZONE.

KORRESPONDENZ

1888

Wichtigste Ereignisse im letzten Vierteljahr

1888

N^o 1.

Jako jest najpierwszą powinnością urzędu mego, czułość ku konserwacyi Obywatelów pod bokiern J. K. Mości przemieszkujących; tak zarównym obowiązkiem ostrzegać i oddalać wszelkie okoliczności które by onym, przykrości i uszkodzenia przynosić mogły. Od wielu mieszkańców w poblizkości cmentarzów, miejsc ku grzebaniu zmarłych destynowanych; mam nieustanne użalenia, iż mnóstwo pogrzebionych w zacisku miejsc do tego wyznaczonych, w opasanych i wysokich murach, z zamknięciem zdrowego powietrza, świeżej nie dopuszczając wentyllacyi, sprawują fetor nader przykry i zepsucie aury wiele zdrowiu szkodzącej, co jest mi potwierdzeniem przez delegowanych odemnie do weryfikacyi.

Pomnażają się tu przedemną użalenia, mianowicie w czasie terazniejszym, gdy gorącość, większość i nieznośność fetoru sprawuje. Pomnaża się trwoga i bojaźń każdego, mianowicie w czasie zagęszczonych chorób zaraźliwych w części kraju naszego grassujących, co każdego z mieszkańców sprawiedliwie i mocno czyni trwożącym.

Wypełniając więc w tym powinności mojej względy, czynię to przełożenie godnemu miejsca Jego Pastorzowi, a zawsze o dobro owczarni swojej troskliwemu, iż nieuchronną jest potrzebą, ażeby tak na zapobieżenie przykrości sąsiedzkiej, jako na oddalenie jakowej zarazy z tego poblizkiego fetoru wynikać pewno mogącej; dla zaspokojenia oraz troszczącego się ludu, bojaźnią utraty zdrowia i życia napełnionego, raczyłeś Jaśnie Wielmożny Wmci Pan Pasterską swoją mocą i powagą nakazać: aby ogólnie wszelkie cmentarze od dalszego pogrzebania zmarłych wolne zostały, a natychmiast inne miejsca od miast tutejszych dalsze na wolnem powietrzu ku obrządkowi temu pobożnemu zdadne, na spoczynek zmarłych wybrane i wyznaczone były, podług przykłądu w miastach innych Państw chrześcijańskich, a nie dawno w Królestwie Francuzkim ustanowionym.

W czém pośpiech jak wielce jest potrzebnym i od Obywatelów upragniony, tak z urzędu mego o skutek jak najprędszy, dopraszam się.

Dan w Warszawie die 23 Augusti 1770 Anno.

Stanisław Lubomirski HE. W. K.

N^o 2.

DO ŁASKAWÉJ I PRZEZORNÉJ UWAGI ILLUSTRISSIMI Dⁿⁱ LOCI ORDINARIJ,
WZGLĘDEM PRZENIESIENIA CMEN TARZA PARAFIALNEGO W POLE OD X. PROBOSZCZA Ś-to-KRZYSKIEGO,

Reflexye podane.

Jak tylko usłyszał X. Proboszcz Święto-krzyski o zamysle i woli Zwierzchności tak duchownej jako i świeckiej, ażeby cmentarze z miasta Warszawy, a zatém i od jego kościoła parafialnego Ś-go Krzyża, były przeniesione

za miasto, nie mógł tego nie przyjąć z należytą poddannością, i dla powagi tych obudwóch zwierzchności, i dla ważnych wielce przyczyn, dla których to uczynić postanowiły; — a że było mu zaraz zalecono, ażeby z strony swojej myślił i radził o cmentarzu dla parafii swojej, nie mógł i tego omieszkąć.

Jakoż namyślając się o exekucyi tego dzieła, te cztery rzeczy w niej upatrzył:

1. Ażeby grunt czyli plac przywoity był upatrzony i dany.
2. Ażeby go obmurować, bo oparkanie, ledwie bez połowę by mniej kosztowało, a nie długo by trwało.
3. Ażeby sposób zaprowadzania trupów, na miejsce tak odległe i przez tak złą drogę, był obmyślony, i do kogo będzie należał, determinowany.
4. Nabożeństwo i obrządki religii powszechniej nad umarłymi, jak się będą miały zachowywać, ażeby było przepisano.

ad 1. Lubo nie bez małej trudności (bo kościół parafijalny Święto-krzyski ledwie dotąd przy połowie tylko włóki dotalnej, i to w cudzej parafii, między Lesznem i Grzybowem leżącej, zostaje) obmyślił już ksiądz Proboszcz plac jak mógł najprzyzwoitszy, (według approbacyi zesłanego od zwierzchności duchownej) na włóce zgromadzenia swojego, lubo także w obcej parafii, co zwierzchność duchowna ułatwić może.

ad 2. Obmurowanie tego cmentarza 150 łokci w kwadrat obszernego, kosztować będzie przeszło na dwadzieścia trzy tysiące, według podanego nie dawno wyrachowania, nie inkludując jeszcze w to pomieszkania dla człowieka, który się zdaje tam koniecznie potrzebny.

Na ten koszt ksiądz Proboszcz żadnym sposobem nie wystarczy, w te osobliwie czasy, kiedy na potrzeby licznego zgromadzenia swego, nie mało już długu, jako wielu może być wiadomo, zaciągnąć musiał.

Żeby kto w nadzieję pozwolonej sobie od grzebiących się pewnej płacy, (jak nazywają pokładnego) chciał łożyć koszt na obmurowanie tegoż cmentarza; chętnieby ksiądz Proboszcz z strony swojej, na to przystał: — ale podana od niego nie dawno nota, informuje jak mało sobie obiecować można tego dochodu przez rok, wyłączwszy małe dzieci i ubogich, których najwięcej umiera. Chcąc zaś co znacznego za pokładne nałożyć, byłoby nieznośno ludziom etiam dostateczniejszym, od których dotąd nic się nie pobierało od miejsca na cmentarzu kościelnym.

Najprzyzwoiciej by się zdało, ażeby wszyscy parafijanie na ten koszt złożyli się, gdyż to ich jest rzecz tycząca się. Parafijanie pospolicie kościoły i cmentarze sobie erygują, parafijanie je sobie utrzymują, jako się to po wielu innych miastach i wsiach widzieć daje, cóż dopiero kiedy tak znaczna i kosztowna, jako tu jest, odmiana około nich zachodzi.

Ale mała nadzieja o tym sposobie składanki od pospólstwa, choćby była rzecz im tak przyjemna, jak było wymurowanie szkółki parafijalnej na Bielinie dla ich dzieci, na co się złożyć obiecali i pisali, aż gdy ksiądz Proboszcz zebrawszy cokolwiek od nich, tę fabrykę zaczął, tak potem ustali, że sam przez połowę na kontynuowanie musiał ze swego przyłożyć, i od dwóch lat, jeszcze rzecz zupełnie nieskończona. Cóż dopiero obiecować sobie po składanie na rzecz, tak im, jako słyhać, nieprzyjazną, jaką jest przeniesienie cmentarza w pole, czego oni potrzeby i przyczyn nie przenikają.

Jedyny i najskuteczniejszy sposób zdaje się być, ażeby Ichmsć Magnates, którzy najlepiej przyczyny tego dzieła pojmują, którzy najprzezorniej potrzeby i dla swoich osób i dla prostego pospólstwa w nim upatrują, i najusilniej o nie nalegają; raczyli się do wypełnienia jego według wspaniałości, żarliwości i możliwości swojej przyłożyć. Uważając znaczną liczbę takowych osób, którą parafija Święto-krzyska jest uszczęśliwioną, zdaje się iżby to najłatwiej poszło, ile kiedy to przyłożenie się, nie tylko małą kwotą pieniężną (biorąc proporcycę do znacznej liczby i do możliwości tych osób) mogło by się odbyć — ale też, to wapnem, to cegłą (gdzie także nie mało jest cegielni w tej parafii). Ksiądz Proboszcz z zgromadzeniem swoim ofiaruje ze swojej, dziesięć tysięcy cegły.

Względem ostatnich dwóch punktów, w czasie dalszym (jeżeli rozkaz zajdzie) Ksiądz Proboszcz myśli swoje opowie.

Dan w Warszawie u Ś-go Krzyża 3 Febr: 1771.

N^o 3.

SPECYFIKACYA

POGRZEBIONYCH W PARAFII WARSZAWSKIEJ Ś-go KRZYŻA PRZEZ LAT TRZY.

<i>Roku 1767.</i>	W samej parafii dorosłych	190	}	370
	dzieci	152		
	U zakonników (oprócz XX. Reformatów)	28	<hr/>	
	W szpitalu generalnym i Ś-go Kazimierza			284
<i>Roku 1768.</i>	W samej parafii dorosłych	203	}	444
	dzieci	178		
	U zakonników (oprócz XX. Reformatów)	63	<hr/>	
	W szpitalu generalnym i Ś-go Kazimierza			348
<i>Roku 1769.</i>	W samej parafii dorosłych	217	}	525
	dzieci	259		
	U zakonników, (oprócz XX. Reformatów i Dominikanów)	49	<hr/>	
	W szpitalu generalnym i Ś-go Kazimierza			138
	Summa przez trzy roky	1339		770
	To jest dorosłych tak w parafii jak u zakonników	681		
	dzieci podobnie	658	<hr/>	
				1339

Więc na 1 rok dorosłych 227 po fl. facit. Dzieci na pierwszy rok 219 po fl. facit.

A że przez połowę większą nie można sobie pokładnego obiecować tak od dorosłych jako i od dzieci, a to dla ubóstwa (jako się dotąd widzieć daje) kiedy ledwie ich na koszulę śmiertelną stanie.

Więc by tylko obiecować sobie na rok.

N^o 4.

OBMUROWANIE CMENTARZA W PARAFII ŚWIĘTO-KRZYSKIEJ.

Obszerność tego cmentarza, ma być na łokci 150, w kwadrat, co uczyni na około łokci 600.

Muru wysokiego z fundamentem, na łokci 6, a szerokiego czyli grubego w świetle na łokieć 1, a w ziemi w fundamencie na półtora łokcia. Wyniesie wszystkiego muru łokci kostkowych 3,900.

Mularzom od wystawienia tego muru po złp. 1 od łokcia	fl: 3,900.
Cegły, licząc po sztuk 64 na łokieć, wynidzie 249,600 a fl: 43	fl: 10,732 gr. 24.
Zwiezienie téj cegły, przynajmniej po fl: 5, od tysiąca z bliższych cegielni	fl: 1,245.
Wapna licząc do 10 tysięcy cegły, po półtora łaszta, wyniesie łasztów $37\frac{1}{2}$ po dukatów 6 łaszt	fl: 4,050.
Zwiezienie tego wapna po fl: 10 od łaszta	fl: 375.
Piasku fur 1,500, fura po fl: 1	fl: 1,500.
Dachówki sztuk 5,000 po fl: 129 tysiąc	fl: 645.
Zwiezienie téj dachówki po fl: 12 od tysiąca	fl: 60.
Kopanie fundamentu, od łokcia po fl: 1	fl: 600.
Brama z fórtką i z swémi zamknięciami	fl: 200.
Summa facit	fl: 23,307 gr. 24.

N^o 5.

PANOWIE MAJĄCY PAŁACE I INSI DYSTYNGWOWANI

MIESZKAJĄCY W PARAFII Ś-go KRZYŻA.

W ulicy Nowego-Świata za Kościołem Ś-go Krzyża ku Ujazdowu i w pobocznych ulicach.

Pałac JW. Imci Pana Koniuszego Koronnego — Dwór Ichmość PP. Póławskich. — Pałac JW. Imci Pana Kuchmistrza Koronnego. — Pałacyk Pana Belgrama. — Pałac JW. Imci Pana Wojewody Sieradzkiego. — Pałacyk JW. Imci Pana Kasztelana Wyszogrodzkiego. — Ichmość Książąt Sulkowskich — XX. Missyonarzy. — Pałac JW. JPana Karasia Kasztelana Wiskiego. — Pałac JW. Pana Dłuskiego. — Pałac JW. Pana Wojewody Podlaskiego. — Pałac Ordynacki.

Z drugiej strony kościoła Świętego Krzyża ku miastu.

Pałac JW. JPana Czapskiego, Starosty Knyszynskiego. — Pałac JW. JPana Wojewody Wołyńskiego. — Pałac JW. Imci Xdza Szeptyckiego Biskupa Płockiego. — Pałac Saski, stoją w nim: W. Imci Pan Jakubowski, Brygadyer wojsk francuzkich. — W. Imci Pan Baron Reaucour. — Pałac JW. Pana Kasztelana Wileńskiego. — Pałac JO. Księcia Wojewody Ruskiego. — Kamienica Imci Pana Pułkownika Hiża. — Pałac JO. Księcia Radziwiła. — Pałac JO. Księcia Marszałka W. Koronnego. — Pałac Wizytkowski, stoi w nim: JW. Imci Pan Wojewoda Płocki. — Pałac JO. Księcia Podkomorzego Koronnego. — Dwór drewniany Wizytkowski, stoi w nim: Imci Pan Starosta Zakroczymski. — Pałac Rzpłtój Kazimierzowski, — stoją w nim: Gwardya Litewska i Korpus Kadetów.

W Trębalskiej ulicy.

Kamienica JW. JX. Biskupa Kujawskiego. — Pałacyk Ich PP. Kanoniczek — stoi w nim: Imci Pani Starościna Opeska. — Pałac Potockich. — Pałac Bryhlowski. — Ichmei Panny Kanoniczki. — Pałac Błękitny, JO. Księcia Imci Generała Ziem Podolskich. — Pałac Bielińskich. — Pałac Dębowskich, stoi w nim: JW. JX. Biskup Kujawski. — Pałacyk Pleyszowski. — Pałacyk JW. Imci Pana Małachowskiego, Starosty Stężyckiego. — Na

Starościńskim Rezydencya PP. Paziów Królewskich.— Pałac Pani Hemkini.— Pałac Ichmśc PP. Dąbskich.— Pałac JW. Imci Pana Oboźnego Koronnego.— Pałac JW. Imci Pana Wojewody Witebskiego.— Pałac JW. P. Gadomskiego Podkomorzego Sochaczewskiego. — Pałacyk XX. Missyonarzów, stoi w nim: JW. Imci Pan Kasztelan Raciązki.

N^o 6.

O ZAŁOŻENIU CMENTARZY ZA MIASTEM WARSZAWĄ, DLA CHOWANIA CIAŁ UMARŁYCH.

Kościół parafialne Warszawskie, tak są ścieśnione przyległemi domami, że albo bardzo małe, albo żadnych nie mają cmentarzy do chowania ciał umarłych, — w pierwszym razie, są kościoły Panny Maryi i Ś-go Krzyża— w drugim Ś-go Jana i Ś-go Jędrzeja.

Na szczupłych bardzo cmentarzach dwóch pierwszych kościołów, ciała umarłych pakować muszą jak śledzie w beczkach; w drugich zaś dwóch parafijach, niektóre ciała umarłych stawiają w grobach tak tychnie kościołów parafjalnych jak i innych, wreszcie zaś po cmentarzach XX. Zakonników, które także bardzo małe są, — trzeba szukać na pochowanie kąta.

Czyli zaś na takowych cmentarzach, czyli po grobach kościołów chowają się ciała umarłych (zwłaszcza w czasie gorącym) powstają exhalacye zarażające powietrze, które zdrowiu, tak nawiedzających kościoły, jak przechodzących koło nich, dopieroż blisko mieszkających, niezmiernie są szkodliwe.

Dzisiejszy Biskup Poznański, Kanclerz Wielki Koronny, zaraz od czasu przeniesienia swego na toż Biskupstwo, stosując się do zwyczaju w wielu miejscach za granicą chwalebnie zachowującego się — i dla zapobieżenia wielkiemu niebezpieczeństwu uszkodzenia zdrowia obywatelów i odwrócenia chorób zaraźliwych, które się chowaniem ciał umarłych po kościołach i na cmentarzach do nich przyległych, łatwo bardzo zagaść mogą, zamysłał o założeniu za miastem na miejscach wolnych i od domów mieszkalnych dobrze odległych, cmentarzy, do którychby po odprawionych obrządkiem kościelnym w parafijach lub innych kościołach exekwijach, ciała umarłych wszystkich bez excepcyi, jakiegokolwiek bądź kondycyi i stanu urodzenia, odwołane były.

Ale jak wszystkie rzeczy, by też najużyteczniejsze, zwykły na początku swoje znajdować przeszkody; tak i ta myśl o założeniu za miastem cmentarzy, wielorakimi trudnościami była zatamowana. I tak, że się nie wspomni okoliczności rewolucyi, która na ówczas cały kraj ogarnęła, a wygurowany fanatyzm upatrywał w najniewinniejszych rzeczach, największe niby pokrzywdzenie religii, żeby podległego przesądom ludu i przeciw cmentarzom za miastem, już uprzedzonego, nie zajątrzył bardziej umysłów, a zatem nie dał okazji nowemu zamieszaniu do zaspokojenia trudnemu, trzeba było to dzieło spokojniejszemu czasowi zostawić. Mimo jednak tej przeszkody, były też inne, które się zaraz wypiszą.

1. Przełamanie uprzedzenia nie tylko pospółstwa, ale godniejszych obywatelów, żeby tam a nie gdzie indziej ciała umarłych były chowane.

2. Zapobieżenie aby po cmentarzach lub kościołach XX. Zakonników ciała umarłych nie chować, ile że dotychczas wolno każdemu obierać sobie gdzie chce pogrzeb.

3. Opatrzenie gruntu czyli placów przyzwoitych na założenie tych cmentarzy.

4. Obmurowanie tychże cmentarzy i przyzwoite ozdobienie.

5. Sposób zaprowadzenia trupów na miejsca tak odległe i częstokroć przez złe drogi.

Te to są pryncypalniejsze trudności, które dopełnienie tego chwalebego dzieła dotychczas tamowały. Nie można go wszelako spuszczać z myśli, ale owszem należy ułatwiać zachodzące trudności, aby rzecz z siebie chwalebną i Publico użyteczną, do skutku przywieść.

Przebiegnijmy każdą w szczególności przeszkodę.

1. Przelamanie uprzedzenia nie tylko pospółstwa, ale i godniejszych obywatelów, żeby tam, a nie gdzie indziej ciała umarłych były chowane.

Władza Duchowna, powinna użyć wszystkich sposobów do przekonania duchowieństwa świeckiego i zakonnego, że przeniesienie za miasto cmentarza jest rzeczą potrzebną, chwalebną i zgadzającą się z miłością bliźnich, bo dla zachowania ich zdrowia od szkodliwych exhalacyi czyni się. Dopieroż zalecić należy temuż Duchowieństwu, ażeby na kazaniach, naukach, nawet i w posiedzeniach, uprzętałi złe o cmentarzach za miastem, pospółstwa uprzedzenie, dla pewniejszego skutku, potrzebne by było wdanie w to powagi i JW. X. Nuncyusza, a to co do Zakonników.

Mimo tego po założeniu i przyzwoitym obmurowaniu tychże cmentarzy, uczynić potrzeba poświęcenie ich obrządkiem najuroczystszy, ażeby tak pospółstwo, miało te miejsca przeznaczone na chowanie ciał umarłych, w większym poszanowaniu, a wszelkiego od nich wstępu pozbawiło się.

Wiele by także do tego pomogło, żeby w pośrodku tych cmentarzy albo blisko nich, postawione były kaplice, albo też małe kościółki, w którychby nie tylko w dzień zaduszny i przez całą oktawę uroczyste nabożeństwo za umarłych odprawiało się; ale też żeby w nich co święto i niedziela była msza święta, a po południu nauka chrześcijańska moralna.

Tym sposobem dogodziłoby się wielu katolikom po miejscach oddalonych od parafijów i kościołów mieszkającym, którym daleko iść w święto i niedziele do kościoła — a zatem tej powinności chrześcijańskiej częstokroć zaniedbują, rzeczy do wiary i sumienia ich obowiązku nie umieją. Zgoła, bez wszelkiej trudności założyłyby się kościółki, tam gdzie ich po rozszerzeniu dzisiejszym Warszawy, najbardziej jest potrzeba, a wcale ich nie masz, powiększałaby się wygoda katolików — uczyniłaby się większa sposobność tak duchowieństwu w nauczaniu ludu rzeczy do religii i obowiązków każdego stanu należących, jako ludowi pożytkownia z tychże nauk, a zatem stawania się co dzień cnotliwszemi obywatelami.

Idzie znowu o godniejszych obywatelów którzy wstąpić mogą do chowania się na tych cmentarzach wraz z pospółstwem. Ten przesąd, oświecenie, o którym wyżej, przelamywać będzie. Nadto pozwolić się może, aby na tych cmentarzach, familije groby sobie zakładać mogły, w którychby ciała umarłych nie stawiane ale grzebane, albo w przygotowanych na to katakumbach były zamurowywane.

Nakoniec zaraz jakby się te cmentarze obmurowywały, w jednej ścianie muru zrobiło się gotowych ze 200 katakumbów takich, jakie widzieć można w grobach Ś-go Krzyża — w te więc gotowe katakumby, wolno by było wstawiać ciała umarłych wyższej kondycyi, a wstawiwszy, katakumby kamieniem zawałać, na których kamieniach wolnoby zapisać nadgrobek, jaki familije zechcą.

Jeżeli zaś trzeba było koniecznie excypować kogo od chowania się na tych publicznych cmentarzach za miastem; tedy excepcya służyć by mogła tylko:

1. Duchowieństwu, pozwalając aby ich ciała były w grobach kościoła przy których umarli, nie stawiane, ale kopane, albo zamurowane.

2. Fundatorom kościoła i familii prosto od nich pochodzącej, ale także z kondycją zakopania ich albo zamurowania w grobie lub katakumbach.

2. Zapobieżenie aby po cmentarzach lub kościołach XX. Zakonników ciał umarłych nie chować, ile że dotychczas wolno każdemu obierać sobie gdzie chce pogrzeb.

Sama Władza Duchowna nie może sobie pochlebiać, ażeby przy wszystkim swoim staraniu, mogła tego dokazać — a zatem trzeba, aby ją w tym razie Władza świecka posiłkowała, tak zaś jest potrzebne ubezpieczenie wczesne tego artykułu, iż na nic by się nie zdały cmentarze i wszystkie starania i koszta na ich zakładanie, a zatem nie odwróciłoby się to bezprawie, dla którego uprzątnienia mają się te cmentarze zakładać—zgoła, potrzebna tu jest powaga Księcia Marszałka Wielkiego Koronnego, a nawet Departamentu Policji i samego Najjaśniejszego Króla z Radą nieustającą, i nim to nastąpi, zacząć się nawet dzieło umyślone nie może.

3. Opatrzanie gruntu czyli placów przyzwoitych na założenie tych Cmentarzy.

Miejsca do założenia cmentarzy najprzyzwoitsze być się zdają. Jedno miejsce, między Stawkami i Cuchthauzem, i tam byłby cmentarz kościoła Panny Maryi, — drugie w tyłach pałacu Wojewodziny Sie-radzkiej w polu blisko folwarku nowego XX. Missyonarzy, i tam byłby cmentarz kościoła Ś go Krzyża, — trzecie za Lesznem ku Woli, i tam byłby cmentarz kościołów: Ś-go Jana i Ś go Jędrzeja.

Kościół Ś-go Krzyża, miałby cmentarz na własnym gruncie, ale drugie parafije, musiałyby nareszcie na czynsz wziąć ten grunt, któryby dla nich na cmentarze był destynowany, i ta okoliczność jako mniejszej wagi, nie powinna by zatrudniać skutecznienia dzieła, o którym mowa.

4. Obmurowanie tych Cmentarzy i przyzwoite ozdobienie.

Już jest obrachowana rzecz, że obmurowanie cmentarza długiego i szerokiego 150 łokci, kosztowałyby najmniej złp. 20,000; katakumby zaś o których wyżej, powiększyłyby jeszcze kilka tysiącami ten expens: — chciawszy zaś zaraz postawić kościołki o których się wyżej mówiło, to byłby znowu nowy rodzaj znacznego expensu, — dla tego, jeżeliby się nie znalazł pobożny fundator, czego ciężko się spodziewać, tedy teraz trzeba przestać na samym obmurowaniu cmentarzy i postawieniu w środku ich małych kaplic, — ten zaś ciężar dla miłości dobra publicznego, musiałyby wziąć na siebie Duchowieństwo, luboby się nie obeszło bez tego, żeby nie miało długu zaciągnąć i nim onerować fundusz kościoła. Zgoła, byleby artykuł drugi był dostatecznie ubezpieczony, musi Duchowieństwo zatrudnić się i wziąć na siebie obowiązek wyszukania gruntu i przyzwoitego jego obmurowania, do czego Zwierzchność Duchowna, jak najskuteczniej się przyłoży.

5. Sposób zaprowadzania trupów na miejsce tak odległe, i częstokroć przez złe drogi.

Jeżeli nie w każdej parafii, tedy przynajmniej w jednej sporządziłby się wóz przystojny z przykryciem, cały suknem czarnym obity: — utrzymywało by się parę dobrych koni, któremiby ze wszystkich parafij, albo bardzo rano, albo wieczorem, ciała umarłych na cmentarze były wywożone.

Kupienie koni, utrzymanie ich, równie jak stangreta, tedy naznaczyłaby się taxa dyskretna, co by się płacić miało od wywiezienia ciała umarłego, zachowując proporcją między dobrą i złą drogą, a potem alboż by Pan Bóg zdarzył w czasie fundusz dla folgi ubogich zwłaszcza ludzi, ażeby darmo ciała umarłych wywozić na cmentarz.

Oto są w krótkości wyrażone myśli, względem przeniesienia za miasto cmentarzy i podane środki, któremiby to chwalebne dzieło do skutku przyprowadzić. Ci, których Opatrzność postawiła na urzędach

a zatem włożyła na nich obowiązek upewnienia od niebezpieczeństwa zdrowia obywatelów, i wprowadzenia rzeczy pożytecznych krajowi; niech do skutecznego tegoż dzieła, ręki i powagi swojej przyłożą.

Młodziejowski B. P. K. W. K^o mp.

N^o 7.

PRZETŁUMACZENIE EDIKTU KRÓLA FRANCUZKIEGO de 4 JUNIJ 1776 A^o.

O CMENTARZACH.

Ludwik etc: etc.

Arcy Biskupi, Biskupi i inne osoby duchowne, zgromadziwszy się roku przeszłego za pozwoleniem Naszém, w mieście Naszém Paryżu, przełożyli nam, iż od kilku lat odbierają z różnych stron z dyecezyj swoich użalenia, z okazji złych skutków, pochodzących z częstego chowania w kościołach, jako też z zbytnej onychże pobliskości z wielu bardzo cmentarzami, dla których by miejsce zdatniejsze być mogło za miastami, miasteczkami i wsiami różnych prowincyj naszego Królestwa. Tak sprawiedliwe reprezentacye, na tym większą uwagę wzięliśmy, gdy jesteśmy uwiadomieni, iż urzędy naszego Królestwa, od niejakiego czasu troskliwość swoją okazują, względem téj części policyi krajowej, i życzą sobie jakiego w téj okoliczności prawa, któreby nie sprzeciwiając się ustawom duchownym, z względem na zdrowe powietrze, pogodziło razem przywileje Arcy-Biskupów, Biskupów, Proboszczów, Kollatorów — fundatorów różnych kościołów w Naszém Królestwie. Pobudzeni tak sprawiedliwemi żądaniami, osądziliśmy aby nie zwlekać dalej ogłoszenia Naszych myśli, będąc pewni, iż nasi poddani przyjmą z wdzięcznością ułożenie, do którego nam była powodem miła troskliwość, którą mamy i mieć będziemy o ich zachowanie. Z tych powodów:

1. Żadna osoba tak duchowna jako i świecka, jakiegokolwiek bądź kondycyi, stanu lub godności, prócz Arcy-Biskupów, Biskupów, Plebanów, Kollatorów, Sędziów miejscowych — fundatorów kaplic; nie będzie mogła być chowaną w kościołach ani w kaplicach, tak publicznych jako i prywatnych, ani w Oratoryach, słowem na żadnym miejscu zamkniętém, lub obwiedzioném, gdzie prawowierni dla nabożeństwa i odprawowania obrządków kościelnych zgromadzać się zwykli, a to pod żadnym jakimkolwiek bądź pretextem.

2. Ta zaś excepcya zwyż wyrażona dla Arcy-Biskupów, Biskupów, Plebanów, Kollatorów, Sędziów i fundatorów kaplic, nie ma się inaczej rozumieć pod żadnym pretextem, jak szczególnie, iż Arcy-Biskupi i Biskupi, nie będą mogli być chowani tylko w kościołach swoich katedralnych: Plebani w kościołach swoich parafii: Kollatorowie i Sędziowie, pierwsi w kościołach w których są kollatorami, drudzy w kościołach podpadających pod ich jurysdykcją: fundatorowie kaplic, w kaplicach przez nich wystawionych i do nich należących, a to z kondycją, aby przez nich wymurowane były w kościołach i kaplicach sklepy, pokładane wielkimi tak wewnątrz jako i zewnątrz kamieniami, które sklepy powinny mieć przynajmniej 72 stóp kwadratowych wielkości — grzebienia zaś w nich powinny być na sześć stóp głęboko w ziemi.

3. Właściciele tych sklepów, nie będą mieć mocy nikomu ustąpić swego prawa chowania się w nich, pod żadnym jakimkolwiek pretextem, ani też w dalszym czasie to prawo ustąpione być może pod tytułem fundacyi. W przypadku zaś gdyby fundatorowie kaplic aktualnie będących, rozdzielili się na różne familije i linije; wtenczas chcemy, aby wielkość sklepów powiększona była, w proporcyi liczby tychże familii — miara albowiem 72 stóp, w przeszłym artykule wyrażona, ma zawsze tylko służyć dla jednej linii.

4. Insze osoby mające aktualnie prawo chować się w kościołach, przy których są krużganki, mogą się chować w wyrażonych krużgankach i kaplicach przy nich będących, byle te krużganki nie były zamknięte lub

obwiedzione, z kondycją jednakże wymurowania podobnie sklepów, podług formy i miary wyrażonej w artykule drugim, i aby grzebenia w nich były sześć stóp w ziemi głęboko. To pozwolenie, nikomu nie będzie dane pod żadnym pretextem tylko tym, którym prawo pozwala chować się w wyrażonych kościołach, przy których te krużganki i kaplice znajdują się.

5. Ci którzy mają prawo chować się w kościołach, nie mających przy sobie żadnych krużganków, jakie są kościoły parafijalne, mogą sobie wybrać na cmentarzach tychże kościołów miejsca osobne na groby, mogą je nawet kazać przykryć i wymurować sklepy lub nagrobki, byle to miejsce nie było zamknięte lub obwiedzione; — to pozwolenie chować się w rzeczonych kościołach, nie będzie dane na potym nikomu, tylko tym którym na to prawo aktualnie służy. aby tym sposobem zawsze na cmentarzach było miejsce potrzebne na chowanie prawowiernych.

6. Zakonnicy i zakonnice, tak *exempti* jako i *nieexempti*, jako też i Kawalerowie zakonu Maltańskiego, będą obowiązani obrać sobie w krużgankach, lub gdzie indziej w okręgu klasztoru, czyli domu, miejsce przyzwoite, oddzielone od kościołów, na groby, z obowiązkiem zrobienia w nich sklepów zwyż wyrażonych, proporcjonalnych do liczby osób w tychże sklepach chować się mających.

Przełożeni zaś tychże zakonów, powinni przestrzegać, aby ten artykuł był dopełniony; w przypadku zaś zaniebdania onego, powinni donieść swoim Arcy-Biskupom i Biskupom, aby obmyslili zadosyć uczynienie prawu.

7. Na fundamencie wyrażonych dyspozycyi, cmentarze do mieszczenia ciał prawowiernych za małe, mają być powiększone; — te zaś które się znajdują w pośród budynków mieszkalnych, a przez to powietrzu szkodzić mogą, będą przenoszone podług sposobności na miejsca oddalone, według rozporządzenia Arcy-Biskupów i Biskupów, do którego uskutecznienia, każdy z Sędziów miejscowych Urzędników i Obywatelów, przykładać się powinien, tyle, ile do każdego należać będzie.

8. Pozwalamy Miastom i Zgromadzeniom, które będą musiały przenosić cmentarze na insze miejsca podług artykułu przeszłego, nabywać grunta potrzebne na zakładanie cmentarzęd, a uchylając tym końcem tyle ile okoliczność wyciąga, Edykt miesiąca Augusta 1749 roku, mieć chcemy: aby te miasta i zgromadzenia były uwolnione od płacenia wszelkich czynszów i podatków z nowonabytych gruntów, byle te jedynie na zwyż wyrażone cmentarze obrócone były, zostawując sobie dyspozycją względem cmentarzy naszego miasta Paryża, jaka Nam się zdawać będzie z memoriału, który na ten koniec od Imci Xdza Arcy Biskupa Paryskiego, jako też od naszego Parlamentu i od Plebanów naszego miasta, podany sobie nieodwłocznie mieć chcemy.

N° 8.

NOTA.

Departament Policyi w Radzie Nieustającej, mając sobie od Najjaśniejszego Pana i Prześ: Rady zleconą do roztrząśnienia Notę, względem przeniesienia cmentarzęd za miasto Warszawą, od JW. Imci X Biskupa Poznańskiego Kanclerza Wielkiego Koronnego podaną, pragnie końcem łatwiejszego ułożenia swego zdania, zasiągnąć w tój mierze Rady od J. O. Xcia Imci Marszałka Wielkiego Koronnego, jako na czele Policyi Warszawskiej zostającego, — mianowicie względem uspokojenia trudności w drugim punkcie Noty wyrażonych, to jest: *jakim sposobem Jurisdykcyja świecka, mogłaby najskuteczniej wesprzęd Jurisdykcyją duchowoną, gdy ta zwyczaj chowania ciał umartwych po kościołach, wykorzenić sechce?* Ażeby zaś myśli projektującego, obszerniej J. O. Xciu Imci były wiadome, Departament Policyi one in copia komunikuje.

Dau na Sessyi Departamentu Policyi, dnia 22 Lutego 1777 roku.

J. Rzewuski M. n. K.

N^o 9.

Marszałek Wielki Koronny, na odebraną od Departamentu Policji Notę pod dniem 22 Lutego roku teraźniejszego datowaną, z przyłączeniem do niej projektu JW. Młodziejowskiego Biskupa Poznańskiego Kanclerza Wielkiego Koronnego, do wyprowadzenia cmentarzy za miasto, z Warszawy rezydencji Jego Królewskiej Mości, dążącego; ma honor odpisać:

Iż do tak chwalebnych staranności Prześwieta: Rady Nieustającej i Departamentu Policji, o dobro mieszkańców w rezydencji Jego Królewskiej Mości, Marszałek Wielki Koronny chętnie stosuje się, ile gdy w nich, dawniejszych zamysłów swoich, jeszcze w roku 1770 o przeniesienie cmentarzy przedsięwziętych wzór znajduje. Czego są dowodem, 23 Augusti w tymże roku, do pomienionego Biskupa Poznańskiego pisane noty.

Cele i zamysły w projekcie JW. Biskupa Poznańskiego, do przeniesienia cmentarzy za miasto, są tak dokładnie określone, iż przeświadczać każdego o ich istotnej dobroci.

Doprowadzenie do skutku tak zbawiennego dzieła, nie przez nowość i trudność onego, ale przez zniesienie wkorzonego wiekami chowania się przy, lub w kościołach, zwyczajowi, jedynie od starań i zabiegów zwierzchności duchownej i całego Prześwieconego Duchowieństwa zależy.

Użyte w pierwszym punkcie sposoby, do przekładania publicznie (to przez pisma, to na ambonach, katechizmach) z tej nowej ustawy pożytków, najdokładniejsze będą, i skłonią umysły prawowiernych do Jego przedsięwzięcia.

Pasterska zwierzchność, moc i powaga, sama tylko odwrócić może, trafić się mogące w samymże Duchowieństwie zawady, by powzięta niechęć do nowych ustaw, bądź z przywiązania do dawnych obrządków, bądź z ujemy kościoła swego dochodów, potajemną inspiracją upadku religii, nie rozkrzewiała do podobnych nowości pospolite w mieszkańcach wstręty, i nie stała się przeszkodą zamysłom godnego Pasterza.

Excepcya dla duchownych osób i fundatorów, aby w kościołach chowani być mogli, przyzwoicie jest umieszczona;— sądziłbym dołożyć wzorem ustaw w innych Państwach, a mianowicie w Królestwie Francuzkiem, podług Edyktu świeżo wypadłego 7 Junii 1776, aby ciała z podobnych excepcyi chowane w grobach kościelnych, któreby zamurowane nie były, wpuszczane zostawały w ziemię na głęb łokci 3, wszystkie zaś takowe groby, kamieniami zawsze zabrukowane.

Co się tyczy punktu drugiego, zapobieżenia by się w klasztorach i cmentarzach nie chowano; Marszałek Wielki Koronny, będzie zawsze pomocą JW. Pasterzowi, w czem tylko przepisy praw urzędowi jego służące, pomocnym być jemu dozwolą. Lecz że ta pomoc w ogólności jest żądaną, a w szczególności wiedzieć należy, w czem ma być udziałaną; Marszałek Wielki Koronny znosić się będzie z JW. Biskupem dla porozumienia się zupełnego, w czem i jak może *prodesse*, tak zbawiennemu rozrządzeniu. W tym zaś Marszałek Wielki Koronny jest zupełnie przeświadczony, iż uskutecznienie tego, zupełnie zależy na zwierzchności biskupiej, gdyż dziś w żadnym klasztorze chować się nikt nie może, ani żaden klasztor ciała do grzebania przyjmować, bez zezwolenia *Loci Ordinarii* lub Parochi.

Wybór miejsc na cmentarze jako punkt trzeci, zawiera w sobie, jest przyzwoity i dosyć odległy od zabudowania, których jednak wyznaczenie, powinno być z zniesieniem się z Jurysdykcją Marszałkowską, by nie stanęły na zawadzie dalszej budowy miasta i wyznaczeniu ulic.

Wielkość takowych cmentarzy zdawałaby się być do proporcji parafijanów i liczby corocznie umierających, tak, by przez lat przynajmniej dziesięć, zawsze w świeżych chowano dołach, bez naruszenia dawnych. Głębokość zaś onych, aby zachowana była do przepisu wyżej już namienionego.

Nie mniejsza jest potrzeba wyznaczenia cmentarzy kościołowi małemu S^{go} Krzyża, przy którym się Gwardya Koronna chowa, tudzież kościołowi Ujazdowskiemu, ku któremu łatwo i wprędce zabudowanie

domów przedmieść Warszawskich zbliżyć się może, a nie małą liczbę mającemu parafijanów, nie tylko z Ujazdowa, Szolca, Nowego-Świata, ale i Mokotowa.

Obmurowanie cmentarzy, wystawa kaplic i przyzwoite ich opatrzenie, podług punktu czwartego, są przedsięwzięcia od Duchowieństwa wielce chwalebne.

Co do punktu ustanowienia tacy od wywożenia zmarłych na miejsce do pogrzebienia wybrane, Marszałek Wielki Koronny da bacność, aby bez *depaktacyi* oznaczona była. Sądzi jednak iż wywóz ciał zmarłych swemi końmi, lub nawet wyniesienie onych pieszo na toż miejsce, do woli każdego pozostawiać się powinno.

Datum w Warszawie 19 Mart. 1777.

N^o 10.

NOTY

DO JW. Jmci KSIĘDZA KANCLERZA WIELKIEGO KORONNEGO d. 11 Aprilis 1770 A^o.

OD

JO. Xcia Jmci MARSZAŁKA WIELKIEGO KORONNEGO PODANEJ.

Marszałek Wielki Koronny, mając od Departamentu Policji komunikowaną sobie notę JW. Jmci Xdza Biskupa Poznańskiego Kanclerza Wielkiego Koronnego podaną Pnej Radzie, o *założenie cmentarzy za miastem Warszawą*; gdy w punkcie 2 końcem tego dzieła JW. Jmci Xiądz Biskup odwołuje się do pomocy urzędu Marszałka, — Marszałek Wielki Koronny ma honor oświadczyć: iż pragnie być pomocą JW. Pastorzowi w czém tylko przepisy praw urzędowi jego służące, pomocnym być jemu dozwolą. Dla czego w oczekiwaniu będzie wyznaczenia czasu i dnia dla porozumienia się zupełnego w czém i jak może prodesse temu rozrządzeniu.

Dan w Warszawie d. 11 Aprilis. 1777.

N^o 11.

PRO MEMORIA

DO TRAKTOWANIA WZGLĘDEM ZAŁOŻENIA NOWYCH CMEN TARZY.

1. Biskup Poznański Kanclerz Wielki Koronny zniósłszy się cum Rectoribus Ecclesiarum Parochialium Varsaviens: wyda publiczne pismo, jako od czasu zostania jego Biskupem Poznańskim, już to od wielu godnych Obywatelów w pobliskości cmentarzy Warszawskich mieszkających, już od Jurisdycyi Łaski Marszałkowskiej miał przełożenia względem inkonwienicy w chowaniu ciał umarłych po kościołach i na szczupłych cmentarzach kościołów Warszawskich zewsząd zabudowanych: jako nakoniec przychylając się do woli Królewskiej i Departamentu Policji, zakłada nowe cmentarze za miastem, które z największą uroczyością będą poświęcone, i tam wszystkie ciała umarłych chować się mają. Że excepcya od chowania się na cmentarzach, służyć ad summum będzie Duchowieństwu, które wolność mieć może, kazać się chować w kościołach, ale nie innym sposobem, tylko przez kopanie ciał ich trzy łokcie w ziemię. Ta sama excepcya, ale pod podobnym warunkiem, regulować się będzie do fundatorów kościołów i familij ich in linea recta, także do tych osób, które

mają swoje po kościołach groby. Zostawi się jednak zupełna wolność do odprawiania exekwii po kościołach za umarłych. Także dodaje się, że nie wolno będzie dawać XX. Proboszczom pozwolenia chowania się gdzie indziej prócz na nowych cmentarzach. Doniesie zaś publico, że na tych cmentarzach założą się kaplice, a w czasie przy pomocy Boskiej kościoły, w których mogłyby się odprawić prócz innych nabożeństw, exekwije za zmarłych, na tych nowych cmentarzach chować się mających.

2. JO. Xżę Imci Marszałek Wielki Koronny raczy zesać kogo z ramienia swojego, któryby z delegowanym od Biskupa Poznańskiego Kanclerza Wielkiego Koronnego upatrzył najzręczniejsze miejsca do przyszłych cmentarzy, i doda pomocy do nabycia tychże gruntów, na których mają być cmentarze założone.

3. Po założeniu cmentarzy, obmurowaniu ich i poświęceniu, Xżę Imci Marszałek Wielki Koronny wyda na piśmie deklaracją, jako z obowiązku urzędu swojego, starając się o to wszystko cokolwiek może służyć do polepszenia policyi i zapobieżenia uszczerbkowi zdrowia Obywatelów miasta rezydencyonalnego Jego Królewskiej Mości, ponieważ są założone cmentarze za miastem, cierpieć nie będzie mógł, żeby nie na nich, ale gdzie indziej chować chciano ciała umarłych, a przeto Jurisdykcyja jego przeciw osobom gdzie indziej a nie nowych cmentarzach ciała umarłych chować starających się, sądownie postąpi etc. etc.

4. Xżę Imci Marszałek Wielki Koronny, raczy upewnić że drogi, albo bruki każe poprawić, lub podawać do nowych cmentarzy, żeby do nich był dobry przystęp i przejazd, — a zatém żeby w błocie gdzie z trupem nie uwieziono, coby bardzo publicum w oczy było.

5. Myśl jest aby cztery założyc cmentarze— to jest: pierwszy dla kościoła Ś go Krzyża— drugi Panny Maryi— trzeci Kollegiaty, i Ś-go Jędrzeja — czwarty Ujazdowski. (Z kościołka w polu Ś-go Krzyża, umarli chować się będą na cmentarzu kościołka Panny Maryi,—) i na to się plan uczyni. Gdyby jednak tego roku chociaż dwa stanęły, było by dobrze — i na tych dwóch ze wszystkich parafij, chowanoby ciała umarłych.

W ostatnich trzech latach, pochowano umarłych w Warszawie 9,589, więc na rok przypada 3,196 dzieląc zaś 3,196 na cztery cmentarze, wypada na każdy do pochowania circiter 799; że zaś między umarłymi większa połowa była dzieci, więc biorąc środek między miejscem wystarczającym na pochowanie dorosłego człowieka i dziecka, rachując zatém na pochowanie każdego umarłego miejsca na przykład łokci trzy, wypada na pochowanie 799, łokci kwadratowych 2297, moltiplikując zaś tę kwotę przez pięć, aby na cmentarzu *przez pięć lat zawsze na osobnych miejscach trupów chowano*, wypada, że każdy cmentarz powinien zawierać łokci kwadratowych 11485, ale że trupa przy trupie kłaść nie można, i że z czasem może być większa populacya, a zatém pójdzie iż więcej też trafi się pogrzebów, dla tego każdy z nowych cmentarzy, będzie długi łokci 150 i tyleż szeroki, zamykać więc w sobie będzie miał łokci kwadratowych 22,500.

d. 12 Majj. 1777.

Młodziejowski B. P. K. W. K. mp.

N° 12.

REPLIKA NA PRO MEMORIA PODANE OD JW. BISKUPA POZNAŃSKIEGO, MARSZAŁKOWI WIELKIEMU KORONNEMU, WZGLĘDEM USTAWY CMENARZÓW.

ad 1. W pierwszym punkcie, nie masz więcej nad wychwalać przezorne rozrządzenie doskonałych myśli JW. Pasterza.

ad 2. W czasie i dniu umówionym będą designati od Jurisdykcyi Marszałka Wielkiego Koronnego do widzenia placów, które JW. Pasterz obiera na cmentarze, i przełożą swoje myśli, jeżeliby co sądzić rozumieli potrzebnego, ex motivo Jurisdykcyi swojej.

Do nabycia zaś tych placów, Jurysdykcyja innéj w władzy swojej nie znajduje pomocy, jako bona media persuasionis, gdyż do zbycia, ustąpienia swéj własności, nie ma mocy z prawa kogo przymuszać.

ad 3. Chowanie ciał jako jest obrządkiem Duchowieństwa, tak od tego, obwieszczenia, surowe nakazy, zagrożenia, wychodzić mają, aby tam a nie gdzie indziej chowane były. Jurysdykcyja zaś Marszałkowska nie może involare in Jus alienum, a témbardziej sądownie postępować, gdyż z przepisu praw nie może sub nullitate sądzić, nad to, co jej z prawa przepisany.

ad 4. Marszałek Wielki Koronny, nie może upewniać o naprawie dróg, dania bruków, reparacyi onych po ulicach, które do cmentarzów przyjazdem będą, gdyż to, a facultatibus kassy brukowej dependować będzie, a JW. Pasterz wie, że nic w niej nie masz, że Rada nieustająca, supplementu na bruki żadnego wydać nie nakazuje, luboli Marszałek Wielki Koronny podaje noty, i lubo od 1. 7bris. 1776 Skarb Koronny winien kassie brukowej 192,000.

Lecz gdy będą miejsca już na cmentarze determinowane, Jurysdykcyja Marszałkowska na piśmie wyrazi które drogi, ulice, ku téj potrzebie brukować i reparować nieodbicie potrzeba, wiele kosztować będą, osądzi, i te poda Radzie nieustającej, która jeżeli na to wyda assygnacją do Skarbu Koronnego, a Skarb Koronny onę wypłaci; Jurysdykcyja przedsięwzięmie to wszystko skutecznie.

ad 5. Wprawdzie, iż razem przytrudnym jest wszystkie ustanowić cmentarze, lecz do dwóch tylko zniewalać grzebieńie wszystkich będzie summa incommoditas, choć na pierwsze lata będzie szemranie, utyskiwania, ohyda cmentarzów, a ztąd i nieposłuszeństwo; więc zdaje się, iż lepiej zacząć gdy zupełne wszystkiego będzie wygotowanie.

Co do obszerności cmentarzów, zdawałoby się Marszałkowi Wielkiemu Koronnemu aby powiększone były, tak, aby przeciąg chowania się wzruszaniem już pochowanych, wypadł na lat dziesięć, tak, jako Marszałek Wielki Koronny obszerniej w zdaniu swoim, de 19 Mar: 1777 Radzie nieustającej wyraził.

Datt. d. 7 Junij. 1777.

N^o 13.

TRUDNOŚCI DO UŁATWIENIA WZGLĘDEM ZAŁOŻENIA CMEN TARZY ZA MIASTEM WARSZAWĄ DO CHOWANIA CIAŁ UMARŁYCH.

Biskup Poznański Kanclerz Wielki Koronny, od czasu jak tylko został przeniesiony na tutejsze Biskupstwo, stara się o założenie cmentarzy za miastem Warszawą, bo zna tego wielką potrzebę i użyteczność. Wszakże przyprowadzać do skutku dzieła tego, chociaż z siebie najużyteczniejszego, nie można, bez uprzątnienia wprzód zawad, któreby wkrótce całe ułożenie pomieślały, i nie tylko rzecz samą uczyniłyby nieskuteczną, ale i Autora jéj próżnoby na nienawiść i wzgardę wystawiły.

W dawniejszych pismach względem założenia cmentarzy za miastem, podanych; za najważniejsze przeszkody do tego dzieła są wyrażone:

1. *Przełamanie uprzedzenia nie tylko pospólstwa albo téż godniejszych obywatelów, — żeby tam, a nie gdzie indziej ciała umarłych chowano.*

Biskup Poznański Kanclerz Wielki Koronny, użyje wszystkich sposobów do przekonania Duchowieństwa świeckiego, że przeniesienie za miasto cmentarzy, jest rzeczą potrzebną i zgadzającą się z miłością chrześcijańską bliźnich, bo dla zachowania ich zdrowia od szkodliwych exhalacyi, czyni się.

Zaleci nadto temuż Duchowieństwu świeckiemu, ażeby na kazaniach, naukach i nawet w posiedzeniach, uprzętałi złe o cmentarzach za miastem pospółstwa uprzedzenie. Mimo tego jest jego zamierzeniem po założeniu i przyzwoitem obmurowaniu tychże cmentarzy, uczynić poświęcenie ich obrządkiem najuroczystszy, ażeby tak pospółstwo miało też miejsca przeznaczone na chowanie ciał umarłych w większym poszanowaniu, a wszelkiego wstrętu od nich pozbawiło się. Zna także iż wieleby do tego pomogło, żeby w pośrodku tych cmentarzy, albo blisko nich postawione były kaplice, albo też małe kościołki, w którychby nie tylko w dzień zaduszny i przez całą oktawę, uroczyste nabożeństwo za umarłych odprawiało się; ale też żeby w nich co święto i niedziela, była msza święta, a po południu nauka chrześcijańska moralna. Te więc i podobne czyniąc ostrożności, Biskup Poznański pochlebia sobie, że złe uprzedzenie przeciw cmentarzom za miastem, potrafi uprzętać, i lubo nie spodziewa się wielkiej trudności z strony Duchowieństwa świeckiego; ale za Zakonników upewnić nie potrafi, którzy będąc jak ludzie podlegli przesądom, a mając dotychczas użytki z pogrzebów, nie miło im będzie patrzeć na nowo założone cmentarze, na które się mają przenieść wszystkie grzebani ciał umarłych. Któż upewni że nie będą podbudzać pospółstwa do szemrania albo powstania przeciw cmentarzom.

Delikatny wezmą pretext Religii, do którego może się przywiązać fanatyzm i zamieszanie wybuchnąć. Zakonnicy podlegają immediate Jurisdycyji Nuncyusza. Idzie zatem, że z Nuncyuszem konieczne potrzebne jest wprzód porozumienie się, bo mógłby być przypadek, że od niego samego, mogliby być Zakonnicy poddymani. Wiedzieć zaś trzeba, że jak przeszłemu tak dzisiajszemu Nuncyuszowi, nie przypada do myśli założenie cmentarzy za miastem.

2. Zapobieżenie żeby po cmentarzach lub kościołach księży zakonników ciał umarłych nie chować, ile że dotychczas wolno każdemu obierać sobie gdzie chce pogrzeb.

Z tego co się dopiero powiedziało, wynika, że sam Biskup Poznański nie potrafi skutecznie zaradzić i zapobiedz chowaniu ciał umarłych po kościołach Zakonników, bez pomocy Imci X. Nuncyusza, z którym traktowanie poprzedzić winno.

Potrzebne także będzie obwieszczenie Księcia Imci Marszałka Wielkiego Koronnego in supplementum rozrządzenia Duchownego, ażeby po założeniu cmentarzy, nie gdzie indziej jak w nich ciała umarłych chowano. Przeciw zaś osobom świeckim sprzeciwiającym się temuż ułożeniu, Jurisdycyja Marszałkowska, musi sądownie agere. Tak zaś potrzebne ubezpieczenie wczesne tego artykułu, iż na nichby się nie zdały cmentarze i wszystkie starania i koszty na ich zakładanie, a zatem nie odwróciłyby się w bezprawie, dla którego uprzętnienia mają się te cmentarze zakładać.

3. Opatrzenie gruntu czyli placów przyzwoitych na założenie tych cmentarzy.

Miejsca do założenia cmentarzy, najprzyzwoitsze być się zdają: jedno między Stawkami i Cehtauzem, tam byłby cmentarz kościoła Panny Maryi, — drugie w tyłach Pałacu Wojewodziny Sieradzkiej w polu blisko folwarku nowego XX. Missyonarzy, i tam byłby cmentarz kościoła Ś-go Krzyża, — trzecie, za Lesznem do Woli, i tam byłby cmentarz kościoła Ś-go Jana i Ś-go Jędrzeja. Dla kościoła zaś Ujazdowskiego, najzręczniejszy byłoby mieć cmentarz na ustroniu placów Ujazdowskich, blisko okopów — i na ten cmentarz zapewne Najjaśniejszy Pan nie załowałby kazać wyznaczyć kawał gruntu. Kościół Ś-go Krzyża miałby cmentarz na własnym gruncie, ale drugie parafije, musiałyby się starać o place, kupować je, albo na czynsz brać. I to jest jeden rodzaj zatrudnienia i expensy dla nich — ale wszelako daleko mniejszy od tego który następuje.

Obrachunek przyłączony N^o 1 pokazuje: że obmurowanie jednego cmentarza długiego łokci 150 i tyleż szerokiego, potrzebuje nakładu, blisko 20,000 — chcąc zaś na tych nowych cmentarzach zrobić kaplicę murowaną, jak się w pierwszym artykule powiedziało, — także chcąc założyć katakumby, które do chowania ciał ludzi dystyngwowańszych, zdają się być konieczne potrzebne, a to dla tego samego, żeby publicum

bardziej przysposobić do chowania ciał na tychże nowych cmentarzach, expens przyjdzie ad alterum tantum, to jest: do 40,000 złp.— zkadże parafije wezmą tak znaczną summę!

Nie mówi się nic o kościele parafijalnym S-go Krzyża, który ściśle mówiąc i wejrzawszy w jego dochody i rozchody, nie ma nic nadto, ale przecież zdobyć się może jakośkolwiek na expens;— ale drugie parafije, zkad wezmą pieniędzy na ten zakład? Kiedy tu poczawszy od Kanoników Warszawskich, żaden duchowny z tutejszego dochodu swojego funduszowego, nie ma do 2,000 złp.

Była myśl Biskupa Poznańskiego, żeby parafije zaciągnęły summy na założenie tych cmentarzy, z obligacją upłacania pewnej co rok kwoty ad extinctionem długu; ale księża gruntownie explikują się, że zwłaszcza też w terażniejszym ścisku na pieniądze, nie podobna im znaleźć takiego kredytora.

Z tej okazji przychodzi Biskupowi Poznańskiemu na myśl, że gdyby P. Kommissya Edukacyi skończyła była z nim o obligacye duchowne przeszłych Jezuitów Poznańskich, które są zapewne bardzo wielkie, tedyby jedną summę duchowną pojezuicką na założenie cmentarzy w Warszawie, sakryfikował, a obligacye na tę summę przypadające, rozłożyłby do odprawienia na duchownych.

4. *Sposób odprowadzania trupów na miejsce tak odległe, i częstokroć przez złe drogi.*

Zostawi się wolność każdemu wywiezienia, lub wyniesienia ciała umarłego który go może interessować, ale że ledwie dziesiąty miałby do tego sposobność, więc przywoitą jest rzeczą, ażeby jeżeli nie przy każdej parafii, tedy przynajmniej przy dwóch mieć wozy do tego umyślnie przyrządzone i suknem czarnym obite, a do tych wozów utrzymywać po parę koni dobrych i człeka, nie rachując coby kosztowało sporządzenie takich wozów i kupienie koni, samo utrzymywanie wozu, koni i człeka do nich, potrzebowałoby expensy na rok 2,000 złp.— zkadże na to nakład? i nie jest że to nowy ciężar na niedostatecznie opatrzonych duchownych?

Jeżeli kto powie, że duchowni parafijom służący, brać będą pokładne od cmentarzy i nadgrode za wywożenie ciał umarłych, — najprzód to jest oczewista okazy nowego nieukontentowania i szemrania na duchownych, że się ludziom naprzykrzają i wycieńczają ich, do czego Biskup Poznański najmniejszego powodu dać nie chce, i stara się żeby w całej jego dyecezyi, niczego się nie domagało od administracyi Sakramentów i usług do których z religii są obowiązani, ale przestawali na tém, jeżeli i co im kto z pobożności ofiaruje. Wiedząc zaś że wielu jest ubogich ludzi, którzy choćby chcieli nie mogą nic dać, niemniej i takich, którzyby choćby mogli, tedy nie chcą i nie mają tyle pobożności i delikatności, żeby co dali duchownemu, a jeszcze parafii służącemu, — jakże na tych duchownych, których jeszcze fundusze co dzień przez rozmaite ułożone sposoby zmniejszają się, nowy i tak ciężki ciężar zwałac?

Zgoła do założenia cmentarzy za miastem, niezbitcie potrzeba:

1. Pomiarować się z Imci X. Nuncyuszem, żeby Zakonnicy nie byli w niczém na przeszkodzie.
2. Udeterminowanie miejsc na też cmentarze.
3. Obmyślenie funduszu na obmurowanie ich i postawienie kaplic — także ułożenie sposobu i funduszu na wywożenie ciał umarłych.

N^o 14.

OBMUROWANIE JEDNEGO CMEN TARZA.

Cmentarza tego obszerność ma być na łokci 150 w kwadrat, — co uczyni na około łokci 600.

Obmurowanie wysokie na łokci 6 i z fundamentem, a grube w świetle na łokieć 1, a w ziemi na półtora łokcia — wyniesie wszystkiego muru łokci kostkowych 3,900.

Mularzom od wymurowania tego muru po złp. 1 od łokcia	fl.	3,900
Cegły licząc po sztuk 64 na łokieć, wyniesie 249,600— tysiąc po fl. 30	fl	7,470 gr. 20
Zwiezienie téj cegły po fl. 5 od tysiąca, jeżeli zbliżka	fl.	1,245
Wapna, licząc do 10,000 po półtora łasztu, uczyni łasztów 37 po fl. 100 łaszt	fl.	3,700
Zwiezienie tego wapna po fl. 10 od łasztu	fl.	375
Piasku fur 1,500 po fl. 1	fl.	1,500
Dachówki sztuk 5,000 po fl. 90	fi.	450
Zwiezienie téj dachówki po fl. 12 od tysiąca	fl.	60
Kopanie fundamentu po fl. 1 od łokcia	fl.	600
Brama z fórtką i ze swoimi zamkami	fl.	200
in Summa		fl. 19,500 gr. 20

N° 15.

NOTA

DO JW. Imci Xdza KANCLERZA WIELKIEGO KORONNEGO, d. 30 Junii. 1777 A°.

Marszałek Wielki Koronny, przychylając się do żądania JW. Imci Xdza Kanclerza Koronnego, wyznaczył JP. Winnickiego Regenta Kancellaryi Kommissyi Brukowej do pomocy, w oznaczeniu miejsc przyzwoitych na cmentarze destynowanych, który to wyznaczony do uskutecznienia téj czynności, dependować będzie od uwiadomienia i rozkazów JW. Imci Xdza Kanclerza Wielkiego Koronnego.

Kommunikowane sobie Reflexye JW. Imci Xdza Nuncyusza Apostolskiego, Marszałek Wielki Koronny uznaje być godne uwagi, oraz uskutecznienie ich, zupełnie zależące od Pasterskich JW. Imci Xdza Biskupa rozporządzeń.

Co się zaś tyczy cmentarzów dyssydentskich by te za miasto, zarówno jak katolickie były przeniesione, Marszałek Wielki Koronny sądził być zawsze tę okoliczność do rozrządzenia téj nowej ustawie podległą; w uskutecznieniu której, Rada nieustająca najdoskonalej zaradzi.

Datt w Warszawie d. 30 Junii. 1777.

S. Lubomirski M. W. K.

N° 16.

ZALECENIE JXX. MINSSYONARZOM.

Jurisdycya Marszałka Wielkiego Koronnego, widząc w oddaleniu zarazy w mieście J. K. Mości Rezydencyonalném Warszawy, przez chowanie ciał zmarłych, na cmentarzu kościoła parafijalnego Ś-go Krzyża, mieszkaniami pobliskiemu zacieśnioném, wynikającej, wspólnego z JW. Pasterzem tutejszój Dyecezyi usiłowania skutki: że WW. Ichmość XX. Missyonarze i powinnym kościoła katolickiego obrządkom względem umarłych, i politycznej przyczynie w zachowaniu od zarazy powszechności względem żywych dogadzając,

gruntu swego na założenie cmentarza i kościołka w odległości od miasta i nacisku domów mieszkalnych, na włoce do kościoła swego przy ulicy Nowy-Świat stojącego, należącej—odstąpili, i na tém miejscu nietylko cmentarz na chowanie ciał umarłych, ale też kościółek przy tym cmentarzu, podług obrządku kościoła katolickiego Rzymskiego, własnym sumptem wystawili; co i dla innych Parafii za gorliwym i przykładnym JW. Pasterza usiłowaniem, wzorem będzie.

Przeto zapobiegając aby w przyszłości tak chwalebne dzieło zbliżaniem się domów w zamiarze swym, nie poniosło uszczerbku; z Władzy sobie co do świeckich rozporządzeń służącej, zaleca WW. Ichmość XX. Missyonarzom Zgromadzenia Warszawskiego, aby na gruntach do ich dziedzictwa i possessyi należących, zbliżania się budowlami do cmentarza przez nich obmurowanego, na łokci 120 nikomu niedozwalali, ale raczej tak, jak grunta ich zachodzą podług nastąpić mianego przez Ur. Regenta Jurysdykcyi swęj odmiaru i palów zakopania, gruntów za palami zakopanymi, aż do cmentarza i kościołka bez stawiania budowli wszelakiej, używali.— A to pod zniesieniem jakichkolwiek i przez kogokolwiek wystawionej budowli i kar w Sądach Marszałkowskich koronnych z mocy praw, wskazaniem.

Datt. w Warszawie d. 23 Junii. 1783.

N^o 17.

ZALECENIA MAGISTRATOWI MIASTA STAREJ WARSZAWY.

Ponieważ Wielebni Ichmoście XX. Missyonarze Warszawscy, skutkując zalecenia Jurysdykcyi Marszałka Koronnego i zagrzeni przykłądną i chwalebnią gorliwością JW. Pasterza Dyecezyi tutejszėj, dla oddalenia zarazy z cmentarza onychże szczupłego a domami mieszkalnymi otoczonego, od ciał tamże chowanych wynikającej; cmentarz takowy, oraz przy nim kościółek w pole na włoce własnej przy gruntach miasta Starėj Warszawy leżącej, w tyłach ulicy Nowy Świat zwanej, swym sumptem z miłości dobra publicznego, wymurowali. Zaczém aby w przyszłości przez nacisk zbliżonych do cmentarza tego domów, takowy cmentarz równėj przykrości mieszkańcom, jak dotąd przy kościele parafijalnym S-go Krzyża będący, nie sprawiał, — z Władzy Urzędu Marszałkowskiego Koronnego, zalecam Szano: Prezydentowi, Ekonomij i całemu miastu Starėj Warszawy, ażeby na gruntach miasta swego przy cmentarzu i kościółku przez Ichmość XX. Missyonarzów nowo-wymurowanym, leżących, placów do zabudowania jakiegokolwiek na łokci 120 tak, jak Ur. Winnicki Regent Kommissyi Brukowej do tego wyznaczony, oznaczy, nikomu teraz i na potém nie pozwalali, lecz takowych gruntów od palów zakopać się mających, aż do samych murów kościołka i cmentarza, bez stawiania budowli wszelakiej, używali — a to pod zniesieniem jakiejżekolwiek budowli, i kar w Sądzie Marszałkowskim Koronnym, wskazaniem.

Datt: w Warszawie d. 23 Junii. 1783.

N° 18.

NOTY**JO. Xcia Imci LUBOMIRSKIEGO MARSZAŁKA WIELKIEGO KORONNEGO,
DO JW. KANCLERZA WIELKIEGO KORONNEGO.**

W zupełném ukontentowaniu, Marszałek Wielki Koronny, staraniem usilném JW. Imci Księdza Okęckiego Kanclerza Wielkiego Koronnego, Poznańskiego i Warszawskiego Biskupa, z gorliwości prawdziwie pasterskiej ku dobremu dycieczów swych pochodzącym, na przeniesiony przez Wielebnych Imci Księża Minssyonarzów Warszawskich ku chowaniu ciał zmarłych od nacisku zagęszczonych domów cmentarz, zapatrując się, a w równym z Urzędu swego oddalenia zarazy od mieszkańców w mieście Rezydencyonalnym J. K. Mości zostając, usiłowaniu; — ma honor komunikować JW. Imci Xdzu Kanclerzowi Wielkiemu Koronnemu, jako miejsca tego Pasterzowi, zaleceń swych, tak do wielebnych XX. Missyonarzy Warszawskich, jako też Szano: Magistratu miasta Starej Warszawy, w téj materji potrzebnych, pewnym będąc, że do udoskonalenia i opatrzenia tak chwalebnie zaczętego dzieła, JW. Imci ksiądz Kanclerz Wielki Koronny miejsca tego Pasterz, dalszego starania swego z usilnością Marszałka Wielkiego Koronnego łączyć zechce sposoby.

Dan w Warszawie dnia 23 Czerwca 1783 r.

N° 19.

Rozrządzenia JO. Księcia Imci Marszałka Wielkiego Koronnego, zakazujące zbliżania się budowlami do cmentarza przez XX. Missyonarzów na zachowanie ciał zmarłych za miastem obmurowanego, jako są przezorne i potrzebne do dojścia zamiaru w oddaleniu zarazy od mieszkańców, w którym Jurisdykcyja duchowna nie tylko wspomniony cmentarz, ale wszystkie radaby za miasto przenieść, tak Biskup Poznański i Warszawski, Kanclerz Wielki Koronny, komunikowane je sobie przyjął z ukontentowaniem, wyrównywajacém swojemu życzeniu które ma, aby w działaniu wszystkiego, w czymkolwiek pomoc z Jurisdykcyi tegoż JO. Księcia Imci Marszałka Wielkiego Koronnego dla duchownej jest potrzebna, w tym wspólnej jego doznawał ręki, i podług tego z strony swojej Biskup Poznański i Warszawski, ufności JO. Księcia Imci Marszałka Wielkiego Koronnego włączeniu się z Jurisdykcyą jego, w staraniu i sposobach do udoskonalenia zaczętego wspomnionego dzieła odpowiadać skutkami, starać się będzie.

w Warszawie dnia 26 Czerwca 1783 r.

(podpisano) *Okęcki B. P. K. W. K.*

I.

SPOCZYWAJĄCY

NA CMENTARZU POWĄZKOWSKIM W ZIEMI,

Z POMNIKAMI GROBOWEMI I BEZ POMNIKÓW.

MALCZEWSKI.

Antoni Malczewski spoczywa na cmentarzu Powązkowskim bez nagrobku i napisu, a nawet niewiadome z pewnością miejsce, gdzie złożono jego zwłoki. Napróżno przewertowałem spisy zmarłych tu pogrzebanych, napróżnom dopytywałem ludzi oznajmionych z miejscowością:—wszelki ślad zniknął. Jak mało są znane szczegóły życia wielkiego poety, jak po wydaniu *Maryi* nie doczekał się choćby jednego słowa pociechy i zachęty; tak i po zgonie, gdy przyszła chwila uznania jego genialnego utworu, nie można wynaleźć szczupłego zakątka ziemi, gdzie zakopano jego kości!...

Żadne z pism spółczesnych nie poświęciło choćby słów kilku pamięci Malczewskiego, — tylko Kurjer Warszawski z d. 5 Maja 1826 r. w tych słowach zachował nam wspomnienie zgonu poety: „Obecni tu przyjaciele ś. p. W. J. Pana Antoniego Malczewskiego, oddali mu ostatnią chrześcijańską przysługę, znajdując się przy pochowaniu jego zwłok na cmentarzu Powązkowskim.”

Historyk, poeta i powieściopisarz, któremu Malczewski *Maryą* przypisał, nie poznał się wcale na wartości poematu; przyjął przypisanie jako hołd należny sobie, a skromne wyrażenie się jéj autora, za słowa niezaprzeczonej prawdy.

„Nie znajdziecie (mówi Malczewski) w moich wierszach tego powabu, który swoim nadawać umiecie: tęszne i jednostajne jak nasze pola i jak mój umysł, ciemną tylko farbą zakreślą wam niewykończone obrazy; ale jeżeli ten hołd słaby, oddany waszém zasłudze, wznieci w was jakie miłe uczucie, już ja wtedy hojnie zapłacony będę za moje posępne malowidło, kiedy się choć chwilę zastanowicie, jak to ziomkowie wysoko cenić umieją wasze przymioty i prace.”

Pisał to Malczewski na kilka miesięcy przed śmiercią.

Sprzedaż poematu szła z oporem. Zostawił w jednym znajomym sobie domu kilkadziesiąt egzemplarzy *Maryi*, po cenie niżonéj, bo tylko po pięćdziesiąt groszy za egzemplarz, a jednak nikt nie kupił!!!.....

Umarł d. 2 Maja 1826 roku.

Po jego zgonie, Rządca domu Nr. 796 przy ulicy Elektoralnéj, Wawrzyniec Kruszyński, dnia 16 Maja tegoż roku podał prośbę do Prezesa Trybunału Cywilnego Województwa Mazowieckiego, w której donosząc o śmierci Malczewskiego, a zarazem że się zadłużył za mieszkanie; uprasza o ustanowienie Kuratora do spisania i oszacowania ruchomości, sprzedania takowych drogą publicznej licytacji i wyprzątania lokalu (1).

(1) Oto jest dosłowne wzmiankowane podanie, wyjęte z Akt Sądowych:

Do JW. Prezesa Trybunału Cywilnego Województwa Mazowieckiego.

„Niżej podpisany Rządca domu Nr. 796 przy ulicy Elektoralnéj, mam zaszczyt JW. Prezesowi donieść: że Antoni Malczewski, rodem z Gubernii Wołyńskiej, bezżenny, mieszkający w naszym domu przez trzy kwartały,

Cment. Powązk. T. I.

Ze spisu rzeczy po Antonim Malczewskim okazuje się: iż oprócz kilku książek w języku francuzkim i angielskim, dzieł Byrona, jego portretu i trzech egzemplarzy *Maryi*; pozostała po nim bardzo mała ilość sprzętów i garderoby, i te sprzedane zostały przez licytacją; ale wartość ich nie starczyła nawet na zapłacenie lokalu i długu w aptece Celińskiego, za lekarstwa w ostatniej chorobie zaciągniętego. Reszta drobiazgów podług zeznania wspomnianego Wawrzyńca Kruszyńskiego, zabrana została przez panią Rucińską krewną Malczewskiego, obecną ostatnim chwilom zmarłego.

W roku 1830 kilku młodych pisarzy, postanowiło uczcić pamięć zmarłego wieszczą, położeniem kamienia z prostym napisem: *Autorowi Maryi*, ale już wtedy szukali napróżno miejsca, gdzie zagrzebano jego zwłoki. Mieli oni nadzieję odkrycia mogiły przy pomocy jednej z osób towarzyszących w szczupłym gronie pogrzebowi Malczewskiego, ale nie znaleźli już wtedy nikogo z tej liczby, a zamiar spełził na niczym późniejszymi wypadkami...

Został tylko ślad niepewny, że zwłoki poety złożone zostały u progu katakumb starych, w samym ich końcu, kilka kroków na lewo. Byłoby to miejsce w okolicy pomnika Szymanowskich Korwinów, którzy tę ziemię darowali na cmentarz.

Brak pewnych szczegółów życia poety, był powodem rozmaitych niedorzecznych wieści, które przeszły nawet w życiorysy Malczewskiego, ogłoszone przez znakomitych naszych pisarzy, jak *Augusta Bielowskiego* i autora *Sobótki*.

Ten ostatni mówi:— „Tajemniczość, która zapewne nie jest bez głębszej przyczyny, pokrywa tak dalece życie Malczewskiego, a zwłaszcza ostatki jego, że wieści nie zgadzają się nawet na rodzaj jego śmierci, są twierdzenia jakoby trucizna przyspieszyła koniec jego cierpieniom, i w tym jeszcze wahanie się: czy dobrowolnie z własnej ręki, lub z obcej mimo wiedzy zażyta.”

Tymczasem wiadomo dokładnie, że w czasie podróży za granicą, złożony ciężką chorobą w Marsylii, tam uczuł pierwszy zaród nieuleczonej choroby, która się później rozwinęła i zgryzotami dojrzała. Umarł na skira wewnętrznego.

Dla powzięcia dokładnych a pewnych szczegółów życia naszego poety, zgłosiliśmy się do osoby, która mogła je jak najdokładniej podać. Była to pani Zofija Rucińska. List jej pisany d. 16 (28) Kwietnia 1850 r. z Berdyczowa, podaje nam nieznane, a wielkie rzucające światło, tak na żywot Malczewskiego, stosunki jej z poetą tak szeroko i bezwzględnie drukiem ogłoszone, jak równie i na jego utwór, — *Maryą*.

Oto są słowa jej listu:— „Ś. p. Antoni Malczewski spokrewniony był ze mną; — w domu mych wujostwa, a stryjostwa Antoniego, Ksawerostwa Malczewskich, w dzieciństwie bawiłam,

po słabości zakończył życie dnia 2 Maja r. b., zaś pozostałe po nim ruchomości w meblach, w tymże domu zejścia jego, przez Sąd właściwy opieczętowane zostały w najętym mieszkaniu za które się zadłużył. Gdy nie wiadomo nateraz, gdzie się zmarłego Malczewskiego familija znajduje, a zabezpieczenie pozostałych ruchomości od straty, z powodu zepsucia, lub rozszczonych większych kosztów lokalu, koniecznie jest potrzebne; upraszam najpokorniej JW. Prezesa: aby raczył najlaskawiej w tym względzie Kuratora ustanowić, upoważnić wedle prawa, dla spisania i oszacowania tychże ruchomości, i drogą publicznej licytacji sprzedać; albowiem lokal dziś zajęty uprzętnionym być musi dla nowego lokatora od Ś-go Jana r. b.”

gdzie Antoni Malczewski wówczas starszy odemnie znajdował się, i tam, jak prawdziwie krewni znaliśmy się. Następny czas nas rozłączył. Ja byłam w domu méj matki, on zaś zaczął publiczną edukacją w szkole Krzemienieckiej. Przez cały ciąg w niej pobytu był celującym i odbierał tam szkolne nagrody.

„Ś. p. Czacki Starosta Nowogrodzki, kochał go bardzo, znajdując w nim wszelkie zdatności i popędy ku dobremu. Ztamtąd wyniósł zasoby, które go uzdatniły na bardzo dystyngwowanego człowieka, czego dawszy tylko próbkę, znikł z tego świata, za nadto prędko dla siebie, familii i publiczności. Ukończywszy szkoły był w wojsku. I tam nie był ostatnim. Potém wojażował lat pięć za granicą. Zwiedził szczyt góry Montblanc, miał różne znajomości w świecie wyższym i ukształconym, lecz zwięźlejszą z dwoma Anglikami lordami: Oswaldem i Byronem; z tym ostatnim zdaje mi się że się poznał w Wenecyi. Tam odezwał się w nim jenijusz pobratymczy Byrona, — od niego duchem poezyi natchniony został. Zwiedził całą Francją, zatrzymał się długo w Paryżu; tam uczęszczał na wszystkie naukowe zebrania i kursa literatury co namiętnie lubił. Pod włoskiem niebem mieszkał lat trzy, najdlużej we Florencyi. Zwiedził Angliją, w Niemczech się naostatku zatrzymał.

„Charakter Malczewskiego był czuły, ale i energiczny. Dużo umysłowo pracował, rodowitym językiem tłumaczył się dobrze i znał go doskonale. W ostatnich chwilach życia, był bardzo nabożny.

„Powróciwszy do kraju, osiadł w małej wiosce w Włodzimierskim Powiecie, w sąsiedztwie naszego mieszkania. Ja wtenczas długą już chorobą i ciężką obciążona, znajdowałam się na kuracyi w Krzemieńcu. Tam okropne ponosząc cierpienia, gdy wyczerpane prawie zostały sposoby wszystkie lekarstw zwyczajnych, doktor używał magnetyzmu dla uwolnienia mnie od akcesów męczących mię niemilosiernie paroxyzmów. Ten środek od wielu niepojmowany, a jednak prawdziwie istniejący, łagodząc niejako cierpienie na ciele, stał się potém przyczyną innych udręczeń moralnych...

„Antoni Malczewski przy wielu innych zaletach, był bardzo czułym. Po powrocie moim z Krzemieńca do domu, bywał u nas często — a gdy przy nim dostawałam męczących cierpień, ujął mię za głowę, usnęłam, i jego magnetyzm wiele mi ulżył. To go zachęciło do dalszego i częstego działania. Ja się poddawałam temu, nie przewidując udręczeń mnie czekających. Używając magnetyzmu codziennie, przeniósł się do naszego domu, i po całych dniach był nieodstępny. Tak trzy lata trwało, i działanie to, odbywało się zawsze pod okiem męża i brata. Nakoniec związek téj niepojętej mocy zrzucił konieczność rozvodu, który już był na skończeniu, kiedy Malczewski umarł, po co wyjechaliśmy do Warszawy. Mąż mój na tę bolesną rozłączenia się naszego konieczność, zezwolił. Ta to jest jedyna przyczyna — żadna inna — że ja z Antonim Malczewskim przez sześć lat byłam razem. Bóg tylko jeden zniszczył to, co nie było z jego wolą (1).”

(1) Zofija Rucińska wróciła do męża, i obecnie, — jak otrzymuję wiadomość — już zmarła. Wypuszczam tu mały z tego listu ustęp, w którym wyraża, jak wiele ją łez gorzkich kosztowało wydanie Lwowskie *Maryi* z r. 1843, gdy przeczytała żywot w niej załączony Antoniego Malczewskiego, w którym stosunek jej ze zmarłym poetą, tak niekorzystnie na jej stronę przedstawiono.

„Wiém, że zostało wiele pism ś. p. Malczewskiego; z pewnością donieść mogę, że takowe wszystkie zabrał pan Karol Kossowski, który w owym czasie będąc znajomym z Malczewskim, przybył zaraz po jego zgonie. Na co on zabrał bez méj wiedzy, i pomimo to, że one powinny były przy mnie pozostać — i co z niemi zrobił? nie wiem. Ja po śmierci Antoniego Malczewskiego, ani siły, ani przytomności téj nie miałam: abym się o nie upomniała. Portretu Antoniego Malczewskiego nie posiadam; mam tylko portret jego matki, bardzo do syna podobny, z małą różnicą w oczach, bo te były szafirowe. Matka moja, z jego matką były w ścisłej przyjaźni. Pani jenerałowa Malczewska swój portret ofiarowała na pamiątkę mojej matce, odmalowany suchemi farbami i w wielkiej bardzo fryzurze, jakie wówczas nosili.”

Co do zabrania papierów przez Karola hrabiego Kossowskiego, rzecz się ma zupełnie inaczej, jak w liście pani Rucińskiej wyrażono. Znalazły się bowiem Akta Sądu Spornego Powiatu i miasta Warszawy Wydziału 2, dotyczące się opieczętowania pozostałości po niegdy Antonim Malczewskim, w których nowe znajdujemy szczegóły (1). Przywiodę tu co dosłownie protokół w całości opieczętowania mieszkania naszego poety.

„Działo się w Warszawie przy ulicy Elektoralnej, w domu Nr. 796 na drugim piętrze, a w szczególności w byłém mieszkaniu Antoniego Malczewskiego d. 2 Maja 1826 r. po południu.

Sąd Pokoju Powiatu i miasta Warszawy Wydziału 2 Oddziału Spornego, spowodowany doniesieniem Karola hr. Kossowskiego pod Nr. 1346 zamieszkałego, o potrzebie opieczętowania pozostałości po Antonim Malczewskim obywatelu państwa rossyjskiego, w stanie bezżennym i bez pozostawienia tu wiadomych sukcesorów, dziś zmarłym, zjechał tym celem w miejsce w akcie wyrażone, gdzie stawili się:

1. Józef Skotnicki Rządca domu Nr. 1346 jako z polecenia hr. Kossowskiego, aktu tego żądający, i około pochowania zwłok nieboszczyka zajmować się mający.

2. Wawrzyniec Wincenty Kruszyński, Rządca domu w akcie wyrażonego.

Poczem po zasięgnięciu w tém miejscu od stawających, a mianowicie JP. Kruszyńskiego wiadomości, że nieboszczyk z Wołynia przybyły, wprowadził się do domu tego po Ś. Michale r. z. i mieszkał aż do dnia dzisiejszego, jako dnia śmierci, wspólnie z niejaką panią Rucińską, która dziś po zgonie ś. p. Malczewskiego *zabrawszy rzeczy* jakoby swoje, wyprowadziła się, i pobyt jój terażniejszy, Karol hr. Kossowski wskazać może, gdyż do wypuszczenia onój z rzeczami, wzięciem na siebie odpowiedzialności, deklarującego spowodował; służący zaś ostatni, co był przy zgonie nieboszczyka *Tomasz Swierzbński*, również odszedł po zgonie jego, i gdzie jest teraz nie wiadomo.

Opieczętował Sąd *pokój zielony*, do którego wszystkie rzeczy zniesionymi zostały, a które się składają z mebli nie wielkiej wartości, i różnych drobniejszych rzeczy, położeniem pieczęci Sądowych *wewnątrz* na drzwiach od sali, i *zewnątrz* z przed pokoju.

Nieopieczętowanymi pozostały: sofa, dwa prześcieradła, wałek, derka, stół, szafa, i łóżko ordynarne. Gdy nic więcej do opieczętowania nie znaleziono, ani skonsygnowania, *z tém wy-*

(1) Vol: 89.

rażném nadmienieniem, iż papierów żadnych, ani gotowizny nie widziano; na tém więc Akt niniejszy zamknięto, klucz od otworu ostatniego opieczętowanego pokoju, do depozytu wzięty— a protokół po onego odczytaniu i przyjęciu podpisany; dozór zaś nad pozostałością, miejscowemu Rządcy domu JP. Kruszyńskiemu poruczono, który takowy na siebie przyjął.

Rejestruje się, iż po zamknięciu drugostronnego protokołu, na wniosek JP. Józefa Skotnickiego, wydano mu z pod opieczętowania rzeczy do ubioru nieboszczyka potrzebne, następujące: frak, spodnie i kamizelka czarna sukienka, koszula, pończochy jedwabne czarne, i chustka perkalowa biała, nakoniec trzewiki, z których odebrania kwituje w obecności dozór mającego.”

Z protokołu powyższego okazuje się, że żadnych papierów nie było, co zgadza się zupełnie z podaniem hr. Kossowskiego, że Malczewski przed śmiercią, wszystkie swoje papiery spalił. Po wydaniu Maryi, napisał drugi poemat, który sam wyżej nad pierwszy swój utwór cenil; ale zniechęcony obojętném przyjęciem Maryi, już go nie wydał. Czy zaś rękopism tego poematu był pomiędzy spalonymi przez Malczewskiego papierami, to mi zupełnie nie wiadomo.

Do tych wiadomości zupełnie nieznanymi, dla uzupełnienia życiorysu Malczewskiego, dodamy: że urodził się roku 1793 w Warszawie. Był on synem starszym Jana Malczewskiego generała wojsk polskich i Konstancyi z Bleszyńskich. — Radziwiłłów, Kniehinin i Chodźcza, były własnością jego rodziców, którzy później mieszkali w Dubnie, gdzie Antoni pierwsze pobierał nauki. Wychowany po francuzku, musiał się później ojczystego języka z pracą uczyć. Przy pięknej powierzchowności, która wpływ najszkodliwszy na całe życie jego wywarła, okazał wczesnie wysokie zdolności umysłowe i chęć do nauk. Matematyki słuchał pod *Józefem Czechem*, i znaczne w niej czynił postępy, jakby przeczuwając najbliższą swoją przyszłość, w której się tą nauką miał dobrze posilkować. Lubił rysunki, i chętnie im wolne chwile poświęcał.

„Tadeusz Czacki (mówi bijograf Malczewskiego A. Bielowski) przebywał często w domu jego rodziców, a młody Antoni był jego ulubieńcem. Zamiłowanie tego męża w kraju i naukach, a bardziej jeszcze religijna fantastyczność, jaka szczególnie ostatnie lata jego cechowała, odbiła się żywo, acz późno w Malczewskim. Zawód wojskowy w który ze szkół się rzucił, rozjaśnia jakby czarodziejskie światło, namiętna ku swojej siostrze stryjecznej Annie miłość. Było to w roku 1811 i 1812. Wstępując jako ochotnik w szeregi wojska polskiego, tuszył zarazem usunąć trudność z nierówności majątków wynikającą, i za pomocą dobrze łożonych zasług, otrzymać rękę Anny. Wiadomości matematyczne, które dawniej tyle lubił, były mu teraz wielce przydatne; i łatwo uwierzyć, iż w ciągu tych lat kilku, odznaczał się jako zdatny oficer inżynieryi pod generałem Maleckim (Maletem); drukował nawet w Warszawie broszurę, zawierającą zdanie o projekcie nowego umocnienia twierdzy Modlina.”

Zawiedziony w swoich nadziejach, gdy widział je znikające jak ogniki błędne, gdy nadto Anna, którą tyle kochał, poszła za obywatela majątnego; popadł w głęboką melancholiję, jaka jego utwór cechuje.

W roku 1812 stojąc przez czas kampanii załogą w Modlinie, znajdował się ze zmianą stosunków politycznych, w orszaku ś. p. Cesarza Aleksandra.

Bijografowie Malczewskiego, nie zgadzają się co do powodu wyjścia jego ze służby: jeden mówi, że złamał przypadkiem nogę i opuścił wojsko w roku 1816 — drugi, że w skutek przemówienia się i sporu z przyjacielem swoim, a następnie pojedynku, odniósłszy ciężki postrzał w nogę, opuścił służbę wojskową (1).

Co do pojedynku, rzecz się ma zupełnie inaczej: pojedynkował się brat jego starszy Konstanty, który od lat wielu zamieszkał w Ameryce, i tak już ojczystej zapomniał mowy, że przyznaje się w liście pisanym przed kilku laty, iż z polskiego języka, jeden tylko wiersz z *Barbary Felińskiego* pamięta.

Z podróży po Europie odbytych, została praca: Opis podróży Malczewskiego na górę Białą (Montblanc). Pisał ją po francuzku w kształcie listu do profesora Picteta. Przywiódł ją w polskim przekładzie przy swém wydaniu A. Bielowski, wraz z kilku nie wielkiej wartości utworami, które pisał przed zaczęciem *Maryi*.

Skołatany burzami życia, po powrocie z podróży, w wiejskiem zaciszu zaczął tworzyć swój poemat. Obraz Ukrainy, z podaniem o znanym wypadku Szczęsnego Potockiego z Gertrudą Komorowską, który w opowieści tak poetycznie zachwycał młodą myśl Malczewskiego, przy silnym wpływie Byrona, którego znał zblizka, którego olbrzymie utwory silnie się wypiętnowały na wrażliwej a namiętniej duszy naszego poety; — wszystko to odbija w *Maryi*. Malczewski miał angielskiemu poecie podać treść do Mazepy. Ta zażyłość z wieszczem Albionu, który szukał spokoju w tułactwie z daleka od swój ojczyzny, zostawiła zbyt wyraźne ślady w utworze *Maryi*, a których żaden z krytyków naszych nie umiał wytlómaczyć.

Mamy przed oczyma *Souvenir d'amitié*, w którym wiele jest kart zapisanych ręką Malczewskiego, i dwa utwory jego własne; — na pierwszej stronie wiersz następujący:

„Jeżeli jest istota pełnie doskonała,
Z ciebie zapewne wzory cnót i wdzięków brała.
Powiadają, że anioł nie dojrzany okiem,
Ja nie wierzę... gdy ciebie mam przed moim wzrokiem.”

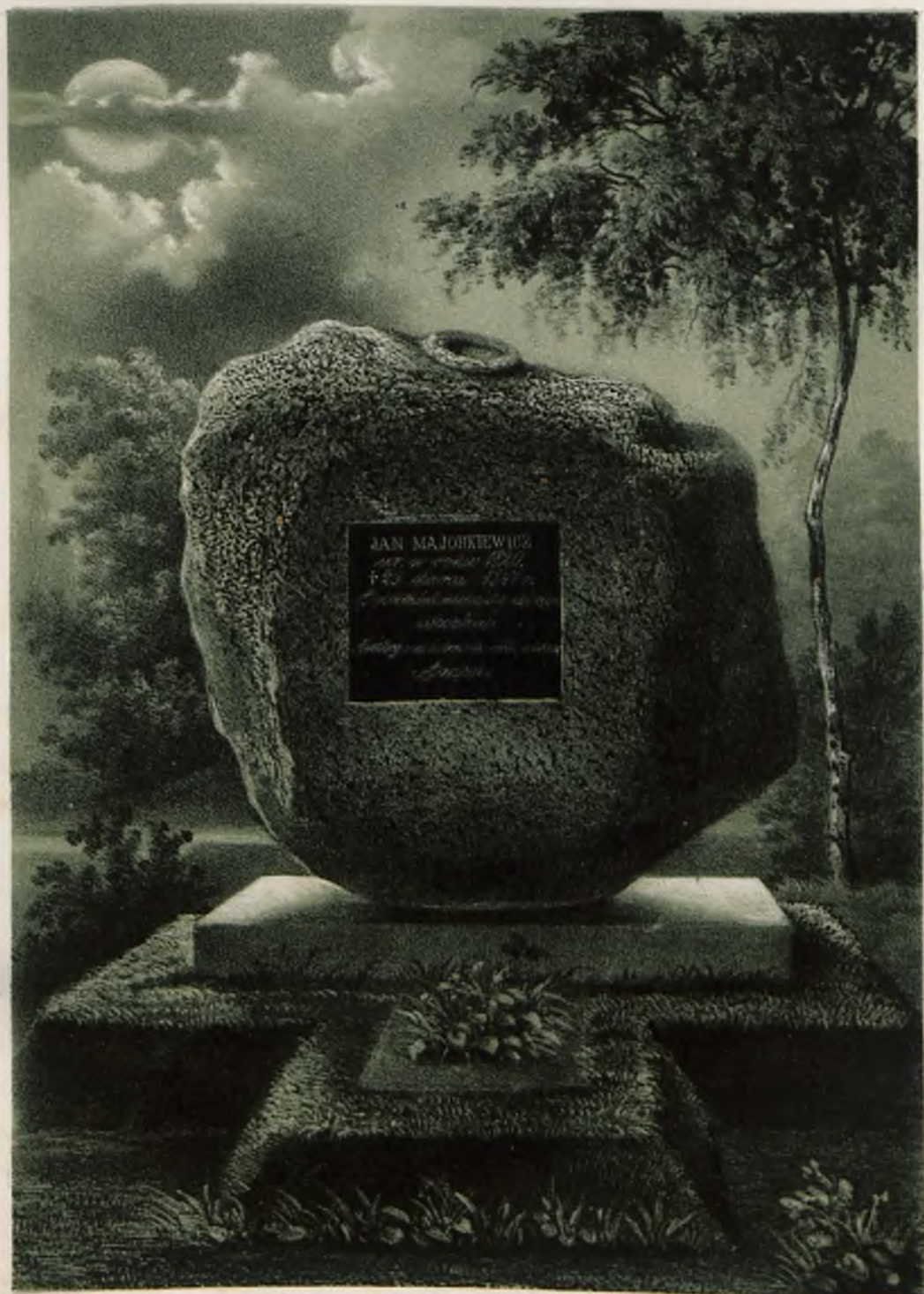
Daliej *Oda do wojny*, trzynasto-zgłoskowym wierszem — która zapewne do najpięrszych prób poetycznych Malczewskiego należy; — utwór ten pomimo całej swojej słabości, szczególnie w porównaniach i przenośniach, przypomina niekiedy pióro autora *Maryi*. Nie masz tu daty, dla tego z pewnością roku oznaczyć nie możemy w którym pisaną ta oda była (2).

(1) P. Cezar Biernacki w Dzienniku Warszawskim (Nr. 433 z r. 1854) podał nam z urzędowego źródła szczegóły dotyczące wyłącznie służby wojskowej Malczewskiego: które tu dosłownie podajemy.

„Malczewski Antoni syn Józefa, urodzony w Warszawie dnia 3 Czerwca 1793. Według rysopisu był twarzy okrągłej, oczu niebieskich, nosa małego, włosów ciemnych, czoła niskiego. Powierzchności więc jak się zdaje łagodnej i ujmującej. Stan służby jego obejmuje następujące szczegóły:

„Wszedł w służbę na Podporucznika dnia 1 Września 1811 r. do Korpusu Inżynierów. Dnia 1 Maja 1812 r. postąpił na Porucznika do artylleryi konnaej. Dnia 1 Lipca t. r. przeniesiony na Adjutanta polowego, do sztabu Jenerała Ksawerego Kosseckiego. Dnia 29 Maja 1815 r. do sztabu kwatremistrzostwa jeneralnego odkomenderowany. Odbył kampaniję w r. 1813 w Polsce, znajdując się w oblężeniu twierdzy Modlina, w skutku kapitulacyi, której dostał się do niewoli. Dnia 28 Grudnia 1815 r. na własne żądanie otrzymał dymissję.”

(2) Zabytek ten winniśmy uprzejmości Szambelana Skibickiego, który znał osobiście Malczewskiego, i był obecny pisaniu tych wierszy w Albumie. Pod żadnym z nich ani się nie podpisał, ani nawet nie położył cyfr swojej Malczewski.



lit. A. Matuszkiewicz

Odbito w Lit. M. Kupała, w Warszawie, Ul. Długa 550.

lit. M. Szymański

GROB JANA MAJORKIEWICZA



no. 626

Zbyt jest znanym poemat Malczewskiego, powtarzany w kilkunastu wydaniach; znane są jego rozbiory—wiadomo że jest tlómaczony na języki: francuzki, niemiecki i czeski;—nie podaję więc ani treści, ani sądu o nim. Dziś stanowisko tego pisarza i jego utworów oznaczone jasno—powtórzmy tylko z naszym ulubionym poetą, co wyrzekł o Malczewskim:

„Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu,
W poecie, jest to może najwyższy dar losu:
Autorowi Maryi... napis, i dość na tém,
Lecz Polska, jak jest cała, potrzaśła go kwiatem.”

Szczególnym zbiegiem okoliczności, gdy Malczewskiego mogily śladu wynaleźć nie mogłem na cmentarzu Powązkowskim; z krwawego dramatu który mu posłużył za osnowę *Maryi*, spoczywa w katakumbach blizka krewna nieszczęśliwej Gertrudy, Zofija Komorowska, rodzona siostra Jakóba Komorowskiego, a rodzona ciotka zaduszonej małżonki Szczęsnego Potockiego, którą widzimy w poetycznej postaci Maryi.

Otóż napis na marmurowej tablicy:

„Zofija z hrabiów S. P. R. Komorowska, Ksieni S. W. W. Kanoniczek Warszawskich, dama orderu N. P. M. N. P. (Najświętszej Panny Maryi Niepokalanego Poczęcia) życia pobożnością i urzędu przez lat 45 miłém sprawowaniem chwalebna; umarła dnia 20 Lipca 1793 roku, wieku swego lat 76.”

„JAN MAJORKIEWICZ

„URODZONY W ROKU 1820 † 23 MARCA 1847 ROKU. A ŚWIATEOŚĆ WIEKUISTA KTÓRĄ TAK UKOCHAŁ,

„NIECHAJ MU ŚWIECI NA WIEKI WIEKÓW. AMEN.”

Do rzędu zgasłych w niedawnych latach, których zgon serca nasze wielką boleścią zranił, należy Jan Majorkiewicz w kwiecie wieku, bo w 27 roku życia zmarły. A nasza żaloba była tém dotkliwszą, że w tym młodym pracowniku, straciliśmy jedną z świetnych gwiazd naszej literatury, która z laty, corazby większego nabierała blasku. Tak młody, a jakiż wielki zasób nauki rozwinął, jaki sąd dojrzały, jakie podniosłe stanowisko. Nie mały téż owoc pracy swojej, która go zabiła, zostawił na wieczną po sobie pamiątkę.

Urodził się w miasteczku Płońsku na Mazowszu, pierwiastkowe wychowanie odebrał w domu rodzicielskim, później w szkołach XX. Reformatów w Żurominie, a następnie w Gimnazjum Płockim. Chciwy nauki przybył do Warszawy, tu uczył się na kursa pedagogiczne i prawne, a w końcu udał się do Moskwy na Uniwersytet tamtejszy, oddając się nauce prawa, prócz tego uczył się na wydział filologiczny.

Będąc jeszcze w Warszawie, napisał ważną rozprawę i wydał: „Nowa metoda uczenia się Jeografii.” W Moskwie oddając się z całą sumiennnością i zapalem młodej duszy chciwej nauki, wybranemu zawodowi, napisał obszerne we dwóch tomach dzieło: p. n. *Historia serca i rozumu* (uczucia i wiedzy).

Tam zaczął tę pracę, tam ją ukończył. Oto przedwstęp do dzieła w którym maluje uczucia swoje, patrząc na gród odwieczny.

„Nie masz chwili życia bez myśli, bo myśl, duch, *niestworzoność*, zawsze i wszędzie w stosunkach doczesnych się przebija. I w tej chwili kiedy to piszę nad wąwozem wśród krzewiny, gdy na łonie natury oddycham pełnemi piersiami, pełniejszą jeszcze myślą, uczuciem tchnie dusza moja. Przedemną obrazy, a we mnie myśli, tak odpowiednie tym obrazom, jak duch naturze. Przedemną w milowej przeszłości dali, w głębi wąwozu, złąca się kopuły cerkwi, a na tych cerkwiach podwójne krzyże Carogrodu! Bieli się stolica Monarchów, i gmachy i wieże, a na tych wieżach czarne, dwugłowe po Paleologach orły Carogrodu! Nad białym grodem to słońce świeci, to się niebo chmurzy, bałwani, jakby się rozprute chmury porwały na szmaty, i znów się wypogadza, przejaśnia, a welniste obłoki rozpostarte jak białe runo, jak płaszcz z wilgoci tkany, spięły od wschodu dwie szmaragdowe chmurki, na precudnym tle błękitu.

„Białawe obłoczki splakane deszczem, nabrzmiałe wilgocią, wyglądają jak wyspy białego piasku, jak śnieżne góry. To białe życie człowieka wezbrane winą. Ten nieskończony ocean błękitu, to może tło wieczności, ubarwione różnorodnością życia, życia stałego tylko na chwilę, jak te chmury, obłoki, a zresztą zmiennego, nikłego, pełnego jednak wdzięku, nawet w swych rozpraszających się smugach chwilowego istnienia. O! nie! morze błękitu, to nie tło wieczności, bo cóżby to była za wieczność stworzona równo ze słońcem? Czémże ta nieskończoność będzie, kiedy zagaśnie słońce, a duch Boży świat ożywić przestanie, i barwić nieskończoność doczesnym błękitem? To raczej świat, ludzkość, dzieła stworzenia, ujęte w odwiecznych prawach swojego bytu, na tle których tyle chmur nieszczęścia, obłoków dumy, tyle złego w chwilowym przejściu przez życie.

„Wątpią o prawach odwiecznych ludzie małej wiary, słabiej głowy, poglądnąc na ulotnione z ziemi wyziewy, na małe widnokrąg życia, co jest ledwie tysiączną, milionową cząstką, kropką, na widnokregu ziemi; a i tu obłoki nabrzmiałe ziemską wilgocią, są najczęściej li częścią i zalegają tylko nie wiele wzniesione nad padół ziemski przestrzenie, zalegają dziś, jutro, a może się do jutra jeszcze wypogodzi. Dla czegoż podczas chmurnej jesieni, przebijając duchem zatoczone grubą mgłą niebo, domyślasz się wypogodzonego gdzie indziej błękitu, i tak ci luba, tak ponętna myśl: że w innej stronie jaśniejsze niebios przestrzenie? Dla czego? Bo miło przeczuwać, bo trzeba, i chce się wierzyć w stałe, niezienne odwieczne ustawy, wśród świata zjawisk. Gdy burza, kiedy chmury widnokrąg w którym żyjemy, zatoczą, to konieczna wilgoć żywota, co wyparowała z łona ziemi, i unosi się nad nami, by deszczem rosą nieba, piorunem wreszcie, ożywić powietrze życia.

„A to słońce? nie patrzysz na nie, a oświeca cię. Zakryte nawet chmurami, rozlewa wszędzie światło i ciepło swoje. Zwróć ku niemu oko, a olśni cię. Nie obraz że to Boga jedyne, który wysoko jak to słońce, który głęboko jest, bo w naszej duszy, w rdzeniu wszechistnienia, w niebiosach! Obraz to zaiste cień cienia, napomknienie dalekie. W życiu człowieka napomknień tyle, tyle pomysłów budzą zjawiska przemijające, budzą tyle myśli nie z tego świata, a jednak dla świata. Bo i na cóżby je Bóg zesłał na ziemię? To zesłanki nieba, biedne osie-

rocone jak my na téj ziemi, a jednak konieczne dla tajemnego powabu, uroku, niewymownego wdzięku rozlanego w dziełach stworzenia, które Bóg rozpostarł jako podnóże swojej potęgi i chwały, po obszarach istnienia; rozwinął i porozwieszał w przestrzeni i czasie, jako szatę swoją, szatę niezszywaną.

„Wzbijaj się myśli ku ogólności, by ogarnąć całość stworzenia. Bujaj po niebie ducha, jak chmura oderwana od ziemi, dla skrapiania jój deszczem rześystym, lub ożywnym pokarmem rosy. Odrywaj się wolo! niech się i uczucie odrywa od namiętnostek, samolubstwa, i nikczemności, niechaj się nie przywiewują do zlego, do prochu i pychy. Myśli moja! chmuro moja! przewodni obłoku Izraelitów na puszczy, obłoku mędrców w wędrowce do żłobu Boga-Człowieka jasna i świetna gwiazdo zbawienia! myśli moja! duchu mój! tyś arką przymierza rozumu i wiary, zesańcem nieba, zwiastunem przyszłości, przeszłość proroikiem, prawdziwą muzą natchnienia.

„Boże natury! święte są prawa Twoje, w najdoskonalszym dziele rąk Twoich, w najświętszej księdze na ziemi! Błagam Cię Ojcze! jak dziecię o natchnienie prawdy, na początku hymnu stworzenia, i pieśni żywota; bo Stwórca tylko dla nieśmiertelnego ducha, muzą natchnienia, najlepszym Ojcem stworzenia.”

Modlitwa ta którą swój wstęp do dzieła kończy, była szczerą i z głębi duszy. Oddany z całym zapalem nauce i pracy, nigdy nie zapomniał owéj modlitwy, której się od matki w domu rodzinném nauczył. Do późnej nocy pracując, zawsze z pół godziny modlił się klęcząc; w Moskwie żadnej niedzieli ani święta nie opuścił, ażeby nie wysłuchał Mszy Świętój. Te szczegóły w dzisiejszych czasach może na nie jednego ustach śmiech zdobędą! Nie dziwota: styraliśmy w sobie dawną wiarę, i prostotę ojców naszych. My w téj modlitwie zgasłego Majorkiewicza, widzimy prawdę uczuć, prawdę wiary, tak potrzebne, tak konieczne zarówno wieszczom naszym, jak i opowiadaczom prawd Zakonu Chrystusowego. Wybrani to pomazańce Boga — co umieli dochować, wśród brudów ziemi, i ową czystą wiarę, i prawdziwe szczęście w chwili rzewnej modlitwy, wzniesienia swojej myśli do Boga!

Żelazną pracą zdobywając skarby wiedzy, opartej na wierze, musiał rozwinąć charakter; w sobie pełen szlachetności i prostoty. Jakoż przy wielkiej nauce, daleki był zarozumiałości zwykłej młodemu wiekowi: czczył i kochał prawdę, jasno i śmiało ją głosił, ale nie narzucał, nie znał próżności — każdą chwilę życia poświęcał pracy.

Wróciwszy z Moskwy, po ukończonej aplikacji Sądowej, umieszczony w Kommissyi Sprawiedliwości, zaledwie rozpoczął nowy zawód życia, choroba spowodowana nadludzką pracą, przykuła go do śmiertelnego łóża.

Rozpoczął właśnie druk dzieła swego: „*Literatura polska w rozwinięciu historycznym.*” Pracował nad nim zaraz po powrocie z Moskwy: po całych nocach czytał i studjował pisma starych autorów naszych, których dawniej nie znał; opracowane pojedyncze poprzednio ustępy dziejów literatury polskiej łączył w całość, i w ciągu sześciu miesięcy, wygotował w zupełności do druku rękopism, spiesząc się, jakby przeczuwał, że wkrótce łązy i wspomnienie tylko, zostawi po sobie.

W tém pośpiechu myśli swoje i postrzeżenia, jak wyciągi z licznych dzieł spisywał poprzędno na oddzielnych arkuszach, a ułożywszy je w porządku, od razu przygotowywał do druku; nie miał więc kopii całego dzieła, jak tylko rozproszone notaty, bo wykończony w zupełności rękopism, był w jednym i jedynym egzemplarzu. Druk już rozpoczęty znacznie posunięty został, gdy nieprzewidzianym zdarzeniem część rękopismu do 60 arkuszy wynosząca, zaginęła.

Strata ta srodze dotknęła autora, już złożonego na łożu nieuleczoną chorobą piersiową. Trawiony ciągłą gorączką, oblewany zimnym potem, martwiejącą prawie ręką na nowo z notat swoich i pamięci zaczął pisać.

Zagubiony rękopism obejmował w części *zwrot drugi*, a w zupełności zwrot ostatni literatury polskiej. Ale pamięć już osłabła, ręka drżąca zaledwie pióro utrzymać mogła; patrzałem z boleścią, na tę walkę tak silnego niedawno ducha, tak żelaznej woli i pracy, z niemocą i wåtłością upadającego pod cierpieniem ciała.

Ztąd cały ustęp obejmujący *Zwrot trzeci Literatury Polskiej*, ma przerwy i niedokładności, skrócony do niepoznania, od wypracowanego pierwotkowo rękopismu.

Konający prawie Majorkiewicz, pośpieszał druk dzieła, ażeby co rychlój uisćić się w przyrzeczeniu daném licznyim prenumeratorom swoim, czuł sam niedostatek obrobienia ostatniego okresu, ze wszystkich najważniejszego, ale już temu podolać nie mógł. To mu zatrulo wiele godzin ostatnich! (1).

Iskra życia gasła w nim z każdą godziną widocznie: na chudém obliczu, gorączkowy rumieniec krasił chorobliwie, szlachetne rysy młodzieńca. Wyciągał rękę przyjaźnie do uścisku, tym co go kochali, i przychodzili nawiedzać; ale gdyś ję dotknął, gdyś spojrział na jego nikłą postać, na pierś i czoło świecące dziwnym połyskiem bladości i skroplone zimnem potem, łzą ci nabiegały oczy, bo stawała przed twoim wzrokiem ta pewność bolesna — że śmierć wkrótce, powoła go na łono wieczności. A Majorkiewicz w chwilach swobodniejszego oddechu, gdy Bóg mu zsyłał ulgę, marzył o przyszłości, o przyszłych pracach, i co jeszcze wykonać musi! Te widzenia jego, ta nadzieja tak zwodna, prawie w chwili gdy anioł śmierci, gasił pochodnie życia tego życia, tak czystego, tak prawego, rozdzierać musiały serca przyjaciół.

Na cztery dni przed zgonem, odwiedził go X. Wnorowski, dawny towarzysz szkolny. Majorkiewicz wyrzekł te do niego słowa:

„Dla człowieka nie wystarcza sam rozum, drugą jego częstką jest wiara, ta dopełnia niedostatek mądrości ludzkiej, bez tój drugiej części wiary, życie człowieka byłoby zbyt zimne, zbyt ziemskie, i niezaspokojone.” Zapisał je sobie młody kapłan i powtórzył w przemowie nad grobem zgasłego (2).

W przed dzień śmierci, kiedym go odwiedził — już męczyło go każde wyrzeczone słowo, często zamykał oczy; jeszcze chwilowo, gorączkowy rumieniec zabląkał się na wyżółkłym

(1) Wspomniałem już o tem w dziele samego Majorkiewicza: *Literatura Polska*, przy drugim wydaniu.

(2) Przemowa nad grobem miana na cmentarzu Powązkowskim, przy pogrzebie s p. Jana Majorkiewicza, urzędnika Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, zmarłego w d. 23 Marca 1847 roku, przez X. Wnorowskiego Z. Professora Akademii Duchownej. Warszawa, w Drukarni St. Strąbskiego 1847, 8-vo str. 12.

obliczu, a on marzył o przyszłości ziemskiej, i czasem uśmiech bolesny siadał na ustach sinych, spalonych.

Skonał nazajutrz ten, „co nie próżno żył na ziemi, bo żył w prawdziwém słowa tego znaczeniu, jak człowiek, istota rozumna, żyć powinien: bo on, chociaż nie wiele lat liczył, ale te lata wystarczą mu za wiele, bo on, jak Pismo Święte mówi: „W niewielu latach, wypełnił wiele czasów (1).”

Majorkiewicz od czasu kiedy po skończeniu szkół przybył na wyższe nauki do Warszawy, został współpracownikiem stałym *Przeglądu Naukowego*, i jego prace rzecz można, głównie wpływały na wartość tego pisma. Podpisywał się zwykle: *Mazur z Płockiego*.

Za życia swego wspomnieliśmy co wydał: po zgonie, księgarz G. Sennewald, nabywszy pozostałe rękopisma, wydał w pięciu tomach.

Tom 1 stanowi: *Literatura Polska w rozwinięciu historycznym* (drugie wydanie) 1850 8^{vo}.

Tom 2 i 3 „*Historja serca i rozumu*”. (Uczucia i wiedzy) 1851 z wizerunkiem zmarłego autora.

Tom 4 i 5 Zbiór rozpraw i pism, które drukował w *Przeglądzie Naukowym* (2).

W tomie 4 mieszczą się rozprawy naukowe, w których umieścił i pierwszą swoją pracę: „Nową metodę uczenia się Jeografii” zupełnie przerobioną; w tomie 5: Przejazdźki swoje po kraju, wyjątki z rozpraw niewykończonych, i rozbiory różnych dzieł, pisane dla *Przeglądu Naukowego*.

MACIĘJ KAMIENSKI.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI MACIEJA KAMIENSKIEGO (3), KTÓRY ŻYJĄC LAT BLIZKO 87, ZAKOŃCZYŁ ŻYCIE
DNIA 25 STYCZNIA 1821 ROKU. POZOSTAŁA PO NIM WDOWA PROSI O WESTCHNIENIE DO BŹGA.”

W zachodniej stronie kościoła Powązkowskiego, na marmurowej tablicy, czytamy powyższy napis, z którego niktby nie powziął wiadomości, że tu spoczywa właśnie twórca pierwszej opery polskiej.

Urodził się Kamiński dnia 13 Października 1734 roku, w miasteczku Edyburgu w Węgrzech, nad granicą Austryacką, a pochodził, jak samo nazwisko wskazuje, ze krwi Słowaków, ludu, jak wszystkie plemiona słowiańskie, śpiewnego i muzycznego. Pierwszą młodość swoją spędził w témże miasteczku u rodziców; następnie w nadworniej kapeli hrabiego Hentzel,

(1) X. Wnorowski w powyższej przemowie

(2) Gruntowny rozbiór prac ś. p. Majorkiewicza, umieścił Michał Gliszczyński w *Gazecie Warszawskiej*.

(3) Powinno być: *Kamińskiego*, bo tak się zawsze podpisywał. Prostujemy też datę zgonu, który nastąpił nie 15, ale 25 Stycznia 1821 r. jak mylnie w *świecie dramatycznym* podano. Mamy właśnie przed oczyma klepsydę drukowaną d. 27 Stycznia t. r. Pogrzeb był dnia 28 tegoż miesiąca, a exekwije w kościele Księży Pijarów w tydzień później.

ówczasowego tych dóbr właściciela, wzięwszy początki muzyki, w Wiedniu się w swym zawodzie wydoskonalił.

Szczegóły życia i czas przybycia do Polski, nie wiadome. Przez długi czas trudnił się daniem lekcyj na fortepianie, zyskał imię wybornego nauczyciela i powszechnie był wziętym w Warszawie. Ale imię jego dopiero rozgłosu nabrało, kiedy dał się poznać przez napisanie muzyki do opery Fr. Bohomolca, p. n. „*Nędza uszczęśliwiona*.”

Pozostał w zbiorze p. Aleksandra Wejnerta (znanego autora dzieła: „*Starożytności Warszawy*,”) własnoręczny Macieja Kamieńskiego „*Krótki rys o exystencji najpierwszej oryginalnej opery polskiej*”, — który jako szacowny zabytek a nieznany dotąd wcale, dosłownie podajemy:

„Gdy w roku 1776 Włochy, Francuzi, Niemcy, bawili publiczność operami, tak sobie Król życzył, aby i Polacy to uczynili. Z tym Król zachęcał JMci Księdza Bohomolca, aby dla Polaków operę napisał; co wypełniwszy napisał operę pod tytułem: „*Nędza uszczęśliwiona*”, która miała być najprzód grana w Korpusie Kadetów, (a że nie przyszło do skutku, to mi powód niewiadomy). Ja przypadkiem dostałem tę książkę, która była drukowaną; to ja moją własną chęcią i wolą, skomponowałem do tych wierszów muzykę, która od znawców, gdiem tylko co produkował, bardzo miło przyjętą była. W tym się dowiedział p. *Montbron* entrepreneur, wezwał mnie do siebie, że sobie życzy, aby ta opera była na publiczném teatrum wystawiona; a ja przychylając się do tego, żądałem, aby aktorów wyznaczył. Więc zostali wyznaczeni: Jmci panna Dezner, Jmpani Gronowic, Jmpan Bogusławski, Jmpan Bagiński i Jmpan Harasymowicz. Przez tych pięciu aktorów, w krótki czas wystawiłem tę operę na publiczném teatrum. Ale tylko dwa razy była grana, gdyż się przez ten czas entrepreneurowie poróżnili, i kazano im teatr zamknąć; a z tym się skończyła najpierwsza exystencya opery oryginalnej polskiej.

„A że Król tój opery jeszcze nie widział, więc Księżę ex-podkomorzy kazał ją grać w swoim teatrum na Solcu. Jak i tam, tak i tu w publiczném teatrum otrzymała aprobatę, choćby opisać, to nie danoby wiary.

„Gdy znowu pozwolono na otwarcie teatru, to tylko same tlómaczone sztuki grali, z muzyką swoją właściwą.

„Po mnie był najpierwszy Jmci pan Antoni Wejnert. Zostając w kapeli dworskiej królewskiej komponował muzyki do następnych dzieł oryginalnych: „*Skrupuł niepotrzebny*. *Donnerweter kapral na werbunku*. *Kantata z baletem* na urodziny królewskie. *Djabeł alchimista*; — te wszystkie dzieła były za każdą reprezentacją od Publiczności oklaskami przyjęte.

Po nim był Jmci pan Stefani, także z królewskiej kapeli; skomponował on muzykę do opery *Krakowiaków* (1), która po dzisiejszy dzień, szacunek swój ma. Za tym przykładem poszedł pan *Gajetano* Dyrektor kapeli królewskiej; także zbogacił on swoją muzyką, jedną operę narodową polską, teatr (2).

„A gdy w roku 1792 nadchodziły festyny, to na rozkaz królewski, musiałem skomponować

(1) Drugą operą Stefaniego, było: „*Drzewo zaczarowane*.”

(2) Opera ta miała tytuł: „*Żołnierz Czarnoksiążki*.”

muzyki do kantaty *in auguratio* statui Króla Jana Sobieskiego, która grana była w Łazienkach i w Warszawie w nowym teatrze na Krasin'skich.

„Kilka razy powtarzana, za którą dostałem nagrodę od króla 50 dukatów i złoty zegarek; a mój syn, co rysunkiem ozdobił pierwszą kartę na inskrypty partytury, także dostał złoty zegarek; a partytury odebrali do repertorium.

„Gdy znowu żądano od publiczności, aby ta najpierwsza opera była grana, a już przez przypadek nie exystowała; więc ja na obligacyą Kanclerza *Borcha* i innych znakomitych panów, z popiołów wskresilem i oddałem z drugą oryginalną operą, pod tytułem: „*Tradyty ułatwiona*,” do repertorium, a ztamtąd ktoś pożyczył i więcéj nie oddał; a ja musiałem przestać dla moich czynności, dalszą usługę dla teatrum poświęcać.

„Sztuki moje teatralne są: 1) *Nędza uszczęśliwiona*. 2). *Zośka* ⁽¹⁾. 3) *Prostota szczęśliwa*, w której najpierwéj Jmpani Billerowa wstąpiła na teatr. 4) *Balik gospodarski*. 5) *Słowik*. 6) *Tradyty*. 7) *Kantata Jana Sobieskiego*, która była śpiewana przez Jmpana Kaczkowskiego, pannę Sitańską, panią Jasińską i JmP. Rudnickiego.

„Do opery w niemieckim języku „*Sultan Wampun*,” komponowałem muzyki przez niemiecką trupe tu exystującą graną, aż dowiedzieli się, że to był portret Króla Pruskiego, pod którego rządem my zostawali, więc bali się na publiczném teatrum wystawić. Druga opera w niemieckim języku dla Jmci pana Konstantyniego, pod tytułem: „*Anton i Antonetta*,” także nie przyszła do skutku, gdyż korzystniejszy angagement dostał, tak Warszawę opuścił.”

(podpisano) *Maciéj Kamiński*.

Na oryginalnym exemplarzu opery *Nędza uszczęśliwiona*, który mam przed oczyma, czytamy takie przypisanie:

„Do Najjaśniejszego Króla Jego Mości Stanisława Augusta, Pana mojego miłościwego.”

„Panowanie Waszój Królewskiej Mości, oprócz poprawienia rządu, wskrzeszenia nauk i wprowadzenia różnych kunsztów do kraju, będzie w kronikach narodowych najpierwszą epoką otworzenia teatru polskiego. Zachęczone protekcyą Waszój Królewskiej Mości dowcipy poddanych, dokazały tego, że teatrum polskie co do Komedyi, z najprzedniejszych w Europie równać się poczęło. Niedostawało mu jeszcze opery muzyki. Jmci Książdz Franciszek Bohomolec, jako pierwszy w Polsce komedye oryginalne pisać zaczął, tak też najpierwszy wydał operetkę, pod tytułem: *Nędza uszczęśliwiona*. Doświadczając sił swoich, przydałem do niej muzykę. Powodzenie onéj tak było pomyślne, a co największa dla mnie, iż Waszój Królewskiej Mości aprobacyą otrzymałem; chcąc tedy wieczną zostawić pamiątkę, tak oświadczonej mi w tym łaski Waszój Królewskiej Mości, jako i przysługi mojej, najpierwszój narodowi uczynionéj, odważam się też samą operetkę, z jak największą pokorą ofiarować Waszój Królewskiej Mości, i mnie samego najłaskawszój oddać protekcyi.”

Exemplarz ten, który ma datę własnoręcznie przez Kamińskiego dopisaną, rok 1778, nie był złożony Królowi. Na odwrotnej stronnicy, ma taką do czytelników własnoręcznie dopisaną

(1) *Zośka* czyli *Wiejskie zaloty*, graną była w r. 1779 przy otwarciu nowego teatru, i tak się podobała, że w ciągu roku jednego, 76 razy odegraną była.

uwagę przez kompozytora: „Te śpiewy *po modnemu* nie są skomponowane dla krytykusów, ale dla tego, aby także Polacy śpiewali.”

Dla dopełnienia tej autobiografii, dodamy tylko niektóre szczegóły. Słusznie uważanym jest dotąd za ojca opery polskiej Maciej Kamiński. Słowak ródem, wprowadził w swoje utwory muzyczne, nie tylko słowiańskie melodie mile a dźwięczne, ale i narodowe polskie śpiewy i tańce. On pierwszy ośmielił i ukształcił śpiewaków opery polskiej, i słusznie z tego mógł się chlubić.

Połączony węzłem małżeńskim z Anną z Dobresów pierwszego ślubu Gelinek, dożywszy lat 87, bez żadnej poprzedniej słabości, w domu swoim Nr. 1777, przy ulicy Święto - Jerskiej w Warszawie, spokojnie zasnął na wieki. W posiedzeniu wesóły, w obowiązkach swoich pilny, w uczeniu był cierpliwy i niezmordowany; a chociaż miał zawistnych wielu sobie, jak niemal każdy człowiek wyższego talentu, nigdy złém słowem cudzej niewulczał sławie.

Na rok przed śmiercią utworzył jeszcze na klawikord: „*Taniec polski*,” na temat z opery Kopciuszek: „Skromna, posłuszna dziewczynka.” Tą ostatnią iskierką swojej wyobraźni, pożegnał świat muzyczny (1).

Szczególném zdarzeniem, że pierwszy ten twórca opery polskiej, właśnie spoczywa w tym obrębie cmentarza, który nazywamy *ustronią artystów*. Jak przodkował im co do czasu i zasług, tak przodkuje i grobowcem na cmentarzu!

JAKÓB BOGUSŁAWSKI.

Przy samym kościele Powązkowskim z prawej strony od cmentarza w murze granicznym od drogi, stoi zmurowany grobowiec z poddaszem, z godłami tarczy, hełmu i sztandarów; a na płycie marmurowym, następny wyryty napis, obejmujący życiorys wojownika dokładny, który tu spoczywa.

„JAKÓB FERDYNAND BOGUSŁAWSKI,

Pułkownik, Dowódzca Korpusu Inwalidów i Weteranów, urodził się dnia 20 Maja 1759 r., w Brzesko Litewskim. Wszedł w służbę w r. 1770 jako Kadet do wojska polskiego, w którym dostąpił stopnia Kapitana. W tymże odbył kampanię w r. 1792 i 1794, był w bitwach: pod Szepetową, Zieleńcami, Włodzimierzem, Dubienką, w oblężeniu Warszawy, pod Labiszynem i Bydgoszczą. W roku 1795 wszedł do wojska francuskiego jako Kapitan, w którym roku odbył kampanię nad Renem—był w bitwie pod Koblenz, w roku 1796 przeszedł do legionów polskich we Włoszech, odbył tamże kampanię w r. 1796, 1797, 1798, 1799, 1800, 1801. Znajdował się w bitwach pod Legnano, Weroną, w oblężeniu Mantui, przy wzięciu Pischery i Mantui. W roku 1799 był w niewoli austriackiej. W roku 1802 i 1803 na Wyspie St. Domingo w Ameryce południowej; był w bitwach przy wzięciu fortecy Accen, Port au Prince, Port Coral, pod l'Anglais i w oblężeniu twierdzy Cayes, gdzie wzięty w niewolę angielską w r. 1804. W roku 1805 w Wenecyi, w roku 1806 w Kalabrii, pod Nicastro, St. Eufemia, Cosenza i Constenty.— W r. 1807 powrócił do Polski i wszedł do wojska Księstwa Warszawskiego, był w tymże roku w bitwie

(1) Tygodnik Muzyczny dramatyczny przez Karola Kurpińskiego 1820—21, Nr. 5.



Rys. A. Matuszkiewicz.

Odbito w Lit. M. Fajansa, w Warszawie Ul. Długa 550.

Lit. M. Fajans.

GROB J. BOGUSŁAWSKIEGO.



nr D. 626

pod Osterode. W r. 1809 przeciw Austrii, był w bitwach pod Radziminem, Górą Kalwaryą, przy zdobyciu i oblężeniu Sandomierza. W r. 1812 w Rosyi. W nagrodę męstwa otrzymał Krzyż Kawalerski wojskowy polski. Nakoniec osłabiony będąc na zdrowiu z przyczyny wielu ran odniesionych i długoletniej służby, dnia 10 Stycznia 1813 r. mianowany został Pułkownikiem, Dowódcą Korpusu Inwalidów i Weteranów. Złożony ciężką chorobą, dnia 21 Lipca 1819 życie zakończył."

Bogusławski, niskiego wzrostu, szczupłej postaci, człowiek łagodnego i cichego charakteru, pomimo woli miał sześćdziesiąt pojedynków, i piętnastu przeciwników zabił w tych szrankach. Przywidzę znany mi jeden tylko szczegół.

Stojąc w Wenecyi, za urlopem po cywilnemu przebrany, przybył do Padwy i wszedł do traktyerni na obiad. Zaledwie zajął na ustroni miejsce, wbiega kapitan i trzech niższej rangi oficerów francuzkich; siadają naprzeciw, a widząc niepocieszoną postać Bogusławskiego, zaczęli szydzić z niego, różne mu dając przydomki. Spokojnie to znosił, ale gdy jeden z nich, gałką z chleba uderzył go w czoło, powstał, zbliżył się do nich i rzekł:

— Panowie! jestem kapitanem w legii polskiej; żądam od was wszystkich zadosyć uczy-nienia: na gałki chlebowe, odpowiem wam ołowianą kulą.

— Służemy panu! — odrzekli wszyscy.

— Nie tu moi panowie! Ponieważ nie jeden z was zginąć musi, niechęć tego robić w ukryciu. Panowie macie garnizon w Weronie, tam jadę i czekam na nich.

Jakoż bezwlocznie do Werony przybył, i stanąwszy przed dowódcą pułku, rzecz całą opowiedział, żądając dla siebie dwóch sztabs-oficerów na sekundantów. Plac pojedynku wyznaczono za koszarami. W oznaczonej godzinie, stanęło czterech przeciwników z sekundantami, i Bogusławski; reszta oficerów, z polecenia pułkownika pozostała z drugiej strony murów. Wkrótce usłyszano ośm wystrzałów w przerwach; a niedługo wyszedł blady i pomieszany pułkownik z sekundantami: za nimi, spokojny jak zawsze Bogusławski. Każdy pierwszy strzał przeciwników wytrzymał z niezmrużonem okiem; pierwszego, co go uderzył kulą chleba w czoło, na miejscu trupem położył, dwóch co szydzili, tak postrzelil śmiertelnie, że we trzy godziny umarli, najmniej winnemu, obie nogi przestrelil.

Ogólne milczenie wszystkich, przyjęło Bogusławskiego przybranego już w mundur legjonisty; skłonił się obecnym i odjechał do Wenecyi ten *piekielny człowiek*, jak go wówczas nazwali francuzi, ubiwszy w jednym pojedynku trzech oficerów.

W roku 1814, kiedy już był Pułkownikiem i Dowódcą korpusu Inwalidów, wchodzi do niego wracający z niewoli Rossyjskiej, urodnej postaci Pułkownik Lefevre, i zapytuje czy tu mieszka Pułkownik Bogusławski?—Ja to jestem: odrzekł sędziwy wojak.—A ja jestem Lefevre, jeden pozostały z rodziny, z której kilku braci moich, Pułkownik w pojedynkach na tamten świat wyprawileś.—Mój pułkowniku (smutno odpowiedział Bogusławski, którego trochę ciarki przeszły na pierwsze słowa oficera francuzkiego) już bym teraz tak celnie nie potrafił strzelać: ręka drży i oko nie dowidzi.—Nie przychodzę tu wcale z zemstą, ale żebym cię poznał, i zgodą serdeczną, stare zatarł niesnaski: a widząc spojrzawszy na ścianę, dwa pistolety wiszące: — To

zapewnie będą te same, których pułkownik używał w pojedynkach?— Tak te same.— Daruj mi je na pamiątkę: one to pozbawiły mnie braci.— Chętnie bym to zrobił, ale już je ofiarowałem memu siostrzeńcowi, i żałuję, że tój jego prośbie odmówić muszę.

Długo, do późnej nocy zabawiał gość ochoczo, u naszego dowódcy Inwalidów, uczęszczany z staropolską gościnnością. Wyjechał wkrótce do Francyi, pełen czci i przyjaźni, dla sędziwego Bogusławskiego.

„TU LEŻY OFIARA PRZESĄDU

W A N D A M O R S K A,

UMARŁA DNIA 20 LIPCA 1807 ROKU.”

Taki napis na kamieniu już omszonym czytamy; wmurowanym on został w téjże samej stronie ściany kościoła, jak był niegdyś, po świeżém odnowieniu powązkowskiej świątyni, tylko niżej, bliżej ziemi.

Szczególny ten napis był powodem nie jednej bajki. Od lat dziecinnych go pamiętam, — wskazywał mi go nieraz mój ojciec, a podanie jakie pomnę, było tylko takie: że pokochawszy się a niewidząc nadziei żadnej, nie mogąc przełamać przesądu z powodu nierówności urodzenia i majątku, smutna miłości ofiara, tu pochowaną została. Z napisu widać, że kamień ten i napis, położyła ręka kochanka, albo jego przyjaciela, dla uczczenia pamięci zmarłej, a wzgardy przesądu.

GARBIŃSKI KAJETAN.

(*Spoczywa w sklepionym dole z żelaznemi drzwiami, a na tych napis*):

„GRÓB RODZINY GARBIŃSKICH”

Kajetan Garbiński urodzony dnia 7 Sierpnia 1796 r. w Warszawie z Józefa i Urszuli Garbińskich, właścicieli szlacheckiej części Reguły, umarł w Warszawie dnia 6 Maja 1847 roku w pięćdziesiątym drugim roku życia (1).

Pobierał nauki w Warszawie w szkołach XX. Pijarów, świadectwo *maturitatis* otrzymał z datą 20 Września 1816 r. W tymże samym roku, mając lat 20 przyjętym został przez Komisją Rządową Oświecenia za Kandydata stanu nauczycielskiego, i w następnym roku, kosztem Rządu wysłany do Paryża dla kształcenia się w tym zawodzie. Po powrocie z za granicy 1820 r. przeznaczony na profesora *Jeometrii wykresłnej w Lyceum* i w Warszawskim Uniwersytecie.

(1) W domu Nr. 791, przy ulicy Elektoralnej, zkład w dniu 9 Maja, wyprowadzono zwłoki na cmentarz Powązkowski.

Doktoryzowany d. 22 Sierpnia 1822 r. W roku 1824 dnia 29 Października, mianowany został stałym Professorem wyższej matematyki w tymże Uniwersytecie. W następnym (dnia 23 Czerwca 1825 r.) examinatorem Towarzystwa do ksiąg elementarnych.

Przy otworzeniu *Szkoły przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego*, Garbiński przeznaczonym został na Dyrektora tej szkoły (dnia 21 Grudnia 1825 r.).

Towarzystwo Królewsko - Warszawskie Przyjaciół nauk, wybrało Garbińskiego (d. 7 Marca 1824 r.) na Członka przybranego; we trzy lata (d. 4 Lutego 1827 r.) na Członka czynnego.— Francuzkie Towarzystwo nauk przyrodzonych, (La société des sciences physiques, chimiques etc., arts agricoles etc., industriels de France etc.,) na posiedzeniu swém z d. 7 Kwietnia 1839 roku, zaprosiło go na Członka honorowego. Cesarsko - Królewsko Galicyjskie Towarzystwo Gospodarskie, na posiedzeniu swém dnia 29 Stycznia 1847 roku, przyjęło Garbińskiego do grona swego jako Członka Korrespondenta.

Mieszkał w Warszawie do r. 1833, w którym wyjechał wraz z rodziną swoją w Lubelskie do ordynacyi hrabiów Zamojskich. Przez lat sześć zawiadował kluczem Szczepreskim, mieszkając w *Niedzieliskach*, o ćwierć mili od *Klemensowa*, gdzie jednocześnie bawił Andrzej hrabia Zamojski, z którym coraz ściślejszym węzłem przyjaźni się łącząc, w roku 1839 przeniósł się z całą rodziną w Stanisławowskie do miasta *Jadowa*, będącego własnością tegoż hrabiego Zamojskiego. Tu przy umiejętném zagospodarowaniu dóbr, z największą tak dla dziedzica jako i miejscowych włościan korzyścią, przez szczęśliwe zastosowanie systematu kolonizacyi włościan, dobry byt tychże znakomicie podniósł, i dochód z dóbr jednocześnie dziedzicowi w kilkakroć pomnożył.

Ożeniony w roku 1824, zostawił wdowę, dwóch synów i cztery córki. Pomimo licznych prac i zajęć, sam głównie kierował wychowaniem dziatwy swojej, i zajęciu temu poświęcał z zapalem wszystkie wolne chwile dnia każdego. Miał bowiem w sobie Garbiński te zalety wyższości, prawdziwej nauki, i niepospolitej znajomości serc ludzkich, że obok głębokich i obszernych umiejętności, umiał być miłym w obęjsciu z mniej umiejętnymi, z prostaczkami nawet.— Kochał młode pokolenie, i jak jasnym wykładem otwierał skarby nauki, tak obęjsciem swoim, umiał zjednywać sobie miłość i przywiązanie. Któryż z uczniów dawniej szkoły Politechnicznej nie wspomni z miłym uczuciem wdzięczności Garbińskiego, co umiał tak zachęcać do korzystania z nauki, tak być zarazem wyrozumiałym i przystępnym.

W rodzinném gronie potrudach codziennych, każdą wolną chwilę poświęcał na rozwinięcie umysłu dzieci swoich, na zaszczipianiu w ich młodocianych sercach, cnoty i wiary. W starszym ich wieku ukazywał im, że owa edukacya, którą powszechnie ludzie za ukończoną poczytują, właśnie dopiero początkiem jest dalszego kształcenia się: że wszystkie wiadomości przed tém nabyte, są tylko kluczem wielkiej skarbnicy nauk, jutrzeńką dopiero; że na tej drodze zawsze dalej i dalej iść trzeba, a za najlepszy sposób dojścia celu, czytanie ciągle, pożyteczne wskazywał. Czytanie takowe, wybranych przez niego dzieł, odbywało się w długie wieczory zimowe: następowały po ukończeniu różne sądy i zdania z całą swobodą, których poważny ojciec z uwagą słuchał, cierpliwie czekając, aż gwar ucichnie;— a gdy każde upornie (jak zwykłe w młodym

wieku) upierało się przy swoim, — on dopiero z lekka błędy każdemu w wydanym sądzie wskazywał, i te zdania rozdwojone łączył, objaśniał i przekonywającą ukazywał prawdę, — a w tym swoim wykładzie, dawał im naukę i otwierał skarb myśli szlachejnych, którymi wpływał przeważnie na ukształcenie serca, czy to jak dawniej uczniów swoich, czy jak później działaczy swojej.

We wszystkich trudnych kolejach życia i goryczach jakie przechodził, umiał ze słodyczą wlać to przekonanie swoje w otaczających go bliżej: że podległość wyrokom Opatrzności, i zdanie swego losu opiece Bożej, stanowi rzetelne szczęście człowieka.

Małego wzrostu, ułomny; w wątłym i schorzałym ciele, mieściła się dusza piękna, mocna i pełna hartu.

Z pism zostawił Garbiński:

1. Wykład systematyczny własności powierzchni skośnych, z ich przystosowaniem do konstrukcji maszyn, sklepień kamiennych i t. p. Rozprawa w zamiarze otrzymania stopnia Doktora filozofii r. 1822 (Sapalski w dziele: Geometrya wykreslna T. I str. 122 pisze: „że porządek i jasność, zalecają tę rozprawę”).

2. Rys filozoficzny rachunku losów, czyli rachunku prawdopodobieństwa. (W Pamiętniku Warszawskim 1823 r., T. VI). (1).

3. W piśmie „Ogólny programat kursów wykladać się mających w Szkole przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego, w roku szkolnym 1829/30 w Warszawie. Znajduje się „Zdanie sprawy z roku szkolnego 1828/9 czytane przez *Dyrektora szkoły*, którym to Dyrektorem w ówczes, był Kajetan Garbiński.

4. W Pamiętniku Warszawskim, umiejętności czystych i stosowanych (T. 4, str. 43 — 68). umieścił Garbiński rozbiór dzieła: „Początki architektury dla użytku młodzi akademickiej“ napisanego przez K. Podczaszyńskiego Professora Architektury w Cesarskim Uniwersyt. Wileńskim.

5. Obraz życia i prac uczonych ś. p. X. Antoniego Dąbrowskiego, Doktora filozofii, Członka Towarzystwa Przyjaciół nauk i Professora Królewsko Warszawskiego Uniwersytetu, czytane na publicznym posiedzeniu tegoż Uniwersytetu, odbytym 16 Października 1826 r.

6. Zagadnienia: „wykreślić ściśle linią prostą, któraby cztery linije proste w przestrzeni dane, a po dwie nie na jednej płaszczyźnie leżące, pospołu przecinała.“ Podał Garbiński dwa rozwiązania: jedno w Annales de mathematiques de Mr: Gergonne T. VIII, a drugie, w niemieckim piśmie poświęconym nauce matematyki A. L. Crelle T. V, 1830 r., oba w języku francuzkim pisane.

Mieszkając w *Jadowie* na starym Mazowszu, jako założyciel i Redaktor główny *Roczników Gospodarstwa Krajowego*, zajmował się niemi aż do chwili zgonu, i wiele w tym piśmie prac swoich zamieścił.

(1) Rozprawa ta czytana na posiedzeniu Królewsko Warszawskiego Uniwersytetu d 18 Września 1823 r. Ogłoszoną została zaraz drukiem u N. Glücksberga in 4to, str. 45, później ogłosił ją Pamiętnik Warszawski.

DROZDOWSKI JAN.

(w ziemi, bez nagrobka).

Jan Drozdowski urodził się 1759 r. w krakowskiem; umarł d. 20 Grudnia 1810 r. o godzinie 3 z rana.

W 20 roku życia przybywszy 1779 r. do Warszawy, zaczął pracować w kancelaryi *Rady Nieustającej*. Kiedy rząd uległ zmianie i Warszawa przeszła z częścią kraju pod panowanie Pruskie, Drozdowski pędził w niej życie w zaciszy, aż do utworzenia Księstwa Warszawskiego; wtedy na nowo wszedł do służby cywilnej i doszedł do stopnia Szefa wydziału religijnego w Ministerjum Spraw Wewnętrznych, i w tym stopniu zmarł, mając lat 51 wieku ⁽¹⁾.

Cichy i skromny przy dowcipie, którego ślady wymowne w utworach swoich literackich zostawił, przyjemny w towarzystwie i obejściu, rzetelny a szczerzy przyjaciel; musiał zyskać szacunek powszechny. Wolne chwile od zatrudnień urzędu, poświęcał pracom literackim, z tych ogłosił drukiem:

1. *Literat z biedy*, komedia w 4 aktach wierszem, w Warszawie, w Drukarni p. Dufour 1786 r. 8^{vo}. (Grana była przez aktorów narodowych nadwornych Jego Królewskiej Mości, na teatrze Warszawskim i Grodzieńskim. Król Stanisław August był obecnym pierwszemu wystawieniu téj sztuki, i młodego autora zaszczycił i zachęcił swoją pochwałą).

2. *Umizgi dla przysługi*, komedia w 3 aktach wierszem, przez aktorów narodowych nadwornych J. K. M. na teatrze Warszawskim reprezentowana. Warszawa nakładem i drukiem Michała Grölla 1788 r. 8^{vo}.

3. *Bigos hullajski*, czyli *Szkoła trzpiotów*, komedia we 2 aktach, oryginalnie wierszem napisana. Warszawa 1803 r. 8^{vo} ⁽²⁾.

4. *Meropa*, tragedia w 5 aktach pana de Voltaire, z francuzkiego tłumaczona. Warszawa 1803 r. 8^{vo}.

W rękopiśmie zostawił przekład *Orestesa*; Operę *Dwie siostry z Pragi*, z muzyką Mullera; i sztuki pisane do czasowych okoliczności, a przedstawiane na teatrze narodowym; wiele drobnych wierszy, w których przebija i myśl szlachetna i zaćne uczucie.

Drozdowski używał głośnego imienia, jako komedyo-pisarz; sławę jego utrwaliła komedia *Bigos hullajski*. Jakoż rzeczywiście z utworów jego, jest to sztuka najlepsza. *Literat z biedy*—*Umizgi dla przysługi*, niektórymi ustępami mogą tylko zająć; *Bigos hullajski*, całością, a do tego swobodą wiersza i dowcipem, których to zalet, dwa pierwsze utwory nie mają, bo wiersz w nich ciężki, język skażony, czego się nie ustrzegł i w przekładzie *Meropy*. *Bigos hullajski* widać pisał w prawdziwym natchnieniu, i w dojrzałości już talentu. Gdyby więcej podobnych utworów zostawił, śmiało mógłby stanąć obok Franciszka Zabłockiego.

(1) Jakób Adamczewski (Gazeta Warszawska Nr. 2 z r. 1811).

(2) C. Godebski o téj komedii takie dał współcześnie po jej przeczytaniu zdanie: „Dowcipna krytyka obyczajów, zdania wyborne, i gładkość wiersza, są jej zaletą.”

REGULSKI JÓZEF.

(w ziemi, bez napisu).

Józef Falk Regulski, urodził się dnia 7 Października 1773 r. we wsi *Wielki-las*, w h. województwie Lubelskiem, pod Kurowem, z ojca Feliksa dawnego Mecenasa Trybunału i Anny z Górskich. W kilka lat ochrzcił go znany w dziejach ksiądz Marek karmelita; a młodzieńcza pamięć Regulskiego tak żywe wspomnienie poważnej postaci tego kapłana zachowała, że w 70 kilka lat, bo na rok przed zgonem swoim, gdy ujrzał u mnie portret olejny księdza Marka, przypomniał sobie rysy twarzy jego i z lubością się wpatrywał w ten wizerunek, co rozbudzał w starcu, zapomniane dni dzieciństwa:

Po ukończeniu nauk w Krzemieńcu, a następnie w Warszawie; 1 Kwietnia 1790 r. wszedł do pułku 4 piechoty, buławy wielkiej koronnój.

W roku 1794 pełnił obowiązki adjutanta polowego przy jenerale Grochowskim, poległym pod Szczekocinami, gdzie miał ubitego pod sobą konia. Później podczas oblężenia Warszawy, znajdował się przy głównej kwaterze.

W roku 1797, wszedł do drugiej legii polskiej we Włoszech, w stopniu kapitana adjutant-majora. W roku 1799 był adjutantem polowym przy jenerale Rymkiewiczzu poległym, pod *Magnano*; w téjże bitwie otrzymał postrzał w rękę od kuli karabinowój.

W roku 1800 i 1801, pełnił też obowiązki przy jenerale dywizyi Dąbrowskim, a następnie w stopniu szefa batalionu, powinności szefa głównego sztabu legii polskiej włoskiej, w służbie francuzkiej będącój.

Od r. 1802 do 1807, znajdował się w oblężeniu *Peschiery, Mantui*, podczas zajęcia przez wojska Rzymu i królestwa Neapolitańskiego, w bitwie pod *Castel-franco*, przy opanowaniu powtórném tegoż królestwa i obsadzeniu dwóch prowincyj Kalabryi.

R. 1807 umieszczony w nowo-uorganizowanej legii nadwiślańskiej, jako szef batalionu, i przeznaczony do pełnienia obowiązków szefa sztabu téjże legii.

R. 1808 objął dowództwo pułku 2 w téj legii, po zmarłym pułkowniku Białowiejskim, i udał się do Hiszpanii przez Francję.

Przybywszy pod mury Saragossy, gdy już baterje ukończone i uzbrojone zostały, d. 3 Sierpnia rano, zaczęto bombardowanie miasta. Na ponowioną odezwę do układów względem poddania miasta; zamiast wyliczenia warunków, odpowiedział jenerał *Palafox* po spartańsku:— „*Walka na noże.*”— Dnia 4 podczas ogólnego szturmu, sapery francuzkie mieli wykuć otwór na prawej stronie bramy *Carmen*, dla batalionu 2 pułku Regulskiego. Jakoż wybili wylom, i wszedł nim pułkownik Regulski. Ale napróżno ci waleczni dalej przedrzeć się usiłowali; wszystkie domy opatrzone były strzelnicami i napełnione chłopstwem, które ślało śmierć w nasze szereg. — Tu padli: kapitan Rybiński, porucznicy: Ojrzanowski i Skaliński, podporucznik Jachowski. Tu był rannym podporucznik Mikołaj Dobrzycki (1). Tu kulą karabinową ranny Regulski, przez przywiązanych żołnierzy uniesionym został z téj morderczej walki. Batalion ten po ogromnej stracie,

(1) J. Mroziński oblężenie i obrona Saragossy. Pamięt. Warszawski 1819 r. T. 13.

zmuszonym został do cofnięcia się napowrót wylodem. Z 80 grenadjerów, którzy za mur się dostali, a teraz ostatni wychodzić ztamtąd musieli, 27 tylko powróciło.

Do roku 1812, przez pięć lat niemal, zostawał w Hiszpanii; był w bitwie pod *Tudella*; w podwójnem oblężeniu Saragossy; w bitwach, pod *Maria* i *Belchite*; w oblężeniu *Tortozy* i *Sagunto*; w bitwie pod tą twierdzą, a w oblężeniu *Walencyi* pełnił obowiązki majora *de-tranchée* ataku *Olivet*; w nagrodę czego był mianowany komendantem cytaelli miasta Walencyi,

R. 1812 w Marcu, mianowany kawalerem państwa francuzkiego z wyposażeniem 2,000 franków na dobrach Westfalii, odbył kampaniją rossyjską, znajdował się w walnej bitwie pod Borodinem, należał z całą Legiją Nadwiślańską do przedniej straży armii francuzkiej pod dowództwem owczasowego króla Neapolitańskiego Murata; a później w cofaniu się resztek wielkiej armii, aż do Poznania; z kąd przy końcu Stycznia 1813 r., był wysłany z rozkazu vice-króla Eugeniusza do Katisza, dla odebrania dla legii rekrutów. Po bitwie 13 Lutego 1813 r. przeprowadził tysiąc kilkaset nowo zaciężnych, przez Szląsk do Lipska, a następnie do Magdeburga, gdzie utworzywszy dziesięć kompanij, uzbrojone i ubrane, odprowadził do Erfurtu dla wcielenia ich do szczątków legii, które pozostały z oblężenia twierdzy Spandau. Dnia 14 Lipca 1813 r. na rewii pod Wittembergiem objął dowództwo nad zakładami pułków nadwiślańskich i innych polskich na żołdzie francuzkim, a zostających w garnizonie w Dreźnie.

Upoważniony przez cesarza Napoleona, do uorganizowania, ubrania i uzbrojenia w przeciągu pięciu dni, nowego pułku złożonego z jeńców odbitych polskich, liczącego we dwa batalijony do 1800 ludzi, a oficerów wybranych z zakładów; po odbyciu przeglądu przez samego Napoleona, otrzymał rozkaz odprowadzenia go do korpusu 8 dowództwa księcia Józefa Poniatowskiego, aby został wcielonym do pułków Księstwa Warszawskiego.

Po kapitulacyi Drezna, dostał się do niewoli Austryackiej, i odprowadzony do Węgier, gdzie zostawał w komitecie *Szala-Egerzech*, aż do abdykacyi Napoleona. Przybył z Węgier do Warszawy d. 15 Czerwca 1814 r. Dnia 16 Września tegoż roku, powołany został przez Kommissyą oświecenia publicznego, za zgodą Stanisława Potockiego jeneralnego komendanta korpusów kadeckich, na Komendanta Korpusu Kadetów w Kaliszu, po zmarłym pułkowniku Wincentym Podczaskim. Ta nominacya została potwierdzoną przez Komitet wojskowy i Wielkiego Księcia Konstantego, jako Naczelnego Wodza wojska polskiego, d. 28 Września tegoż roku. Przez półtora roku, to jest do 8 Kwietnia 1820 r. Korpus Kadetów został na nowo urządzonym, wyćwiczonym, tak, że pozyskał pochwały i potwierdzenie ś. p. samego Cesarza Alexandra I, Jeneralnego Komendata Kadetów, i Kommissyi oświecenia publicznego. Następnie gdy Korpus ten przeszedł pod rozkazy Naczelnego Wodza, powierzono jego komendę jeneralowi Wasilewskiemu, a później pułkownikowi Mycielskiemu, — pułkownik zaś Regulski, przeznaczonym został na Dyrektora nauk. Obowiązki te sprawował do 10 Listopada 1824 r., w tym czasie zastąpiony przez pułkownika Koss, umieszczony na reformie, a później d. 5 Maja 1826 r. w liczbie oficerów niebędących w czynnej służbie. Odtąd na łonie swojej rodziny, w zaciszy domowego życia, pułkownik Regulski przepędził resztę dni swoich. Wysoko naukowo wykształcony, w nauce i w utworach literatury, znajdował dla siebie rozrywkę i zabawę. Umarł w Warszawie

d. 24 Lipca 1851 roku, a w 78 wieku swego. Był kawalerem krzyża Legii honorowej i wojskowego polskiego, które zdobył krwią swoją, na polu bitew morderczych.

Pomiędzy gronem przyjaciół i dawnych towarzyszy broni, którzy zwłoki ś. p. Regulskiego odprowadzili na cmentarz Powązkowski; postępował siwizną okryty weteran z krzyżem Legii honorowej, żołnierz może ostatni z ostatnich, co składali batalion zmarłego pułkownika, z którym szedł na przebój w mury Saragossy.

ALOJZY ŻÓŁKOWSKI.

„ALOJZY GONZAGA ŻÓŁKOWSKI, ARTYSTA I AUTOR DRAMATYCZNY, ŻYŁ LAT 45,
„UMARŁ DNIA 11 WRZEŚNIA 1822 ROKU.”

(Cmentarz stary, ustron Artystów).

Alojzy Fortunat Żółkowski, urodził się d. 2 Listopada 1777 r. w Województwie Nowogrodzkiem, z rodziców, obywateli szlachty tamtejszej. Szkoły odbył w Krzemieńcu, w 19 roku życia, wszedł do wojska w 1794 r. i odbył krótką kampaniją. W tymże samym czasie, kiedy trzeba było zawód wojskowy porzucić, utracił młody Alojzy rodziców; zostawili oni pamięć nieskazitelnego imienia i obywatelstwa, lecz żadnej innej swym dzieciom spuścizny (1). Najbliższy krewny, rodzony stryj, Jenerał Żółkowski, mieszkający we Lwowie, przyzwał go do siebie, a upatrując w młodym żołnierzu rzadkie zdolności, przeznaczył mu stan prawniczy, i oddał do kancelaryi sławnego Adwokata Józefa Dzierzkowskiego (2).

Twardy i surowy nowy przewodnik młodego Żółkowskiego, nie wiele mógł w nim do zawodu prawnika ochoty rozbudzić. Właśnie wówczas Bogusławski przynaglony okolicznościami opuścił Warszawę i z towarzystwem artystów dramatycznych przybył do Lwowa. Widząc Żółkowski wzór tak znakomity, widząc, jak wspólnie ze sławnym Owińskim, zbierali pełne zapalu powszechne oklaski, uczuł niepohamowaną chęć do artystycznego zawodu. Obliczywszy wszakże, że w owym czasie przesądów jeszcze, kiedy niechęciano chować aktorów na cmentarzach, ani u stryja nieotrzyma pozwolenia, ani u zwierzchnika swego wyrozumienia; opuszcza Lwów tajemnie, i piechotą po większej części, odbywa podróż do Warszawy.

(1) Świat dramatyczny, W. Szymanowskiego. T. 2, 1838 roku.

(2) Józef Dzierzkowski słynny z początku Adwokat, następnie Vice-Marszałek Królestwa Galicyi i Lodomeryi, Deputat Stanów Galicyjskich, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie i Krakowskiego, Doktor filozofii w Uniwersytecie Lwowskim, głośnym był ze swój nauki jak i otyłości ciała. Żył w ścisłych stosunkach przyjaźni ze Stanisławem Kostką Potockim i Niemcewiczem. Współcześni wielkie na nim pokładali nadzieje, że piśmiennictwu polskiemu odda znakomite zasługi. Obiecywał napisać historię Ormian w Polsce.— Nadzieje te zawiedzione zostały, piękną bowiem tylko bibliotekę zostawił. Jak był miłym w towarzystwie, tak surowym i niewyrozumiałym dla młodzieży pod jego sterem zostającej. Nie dziwota że Żółkowski skrycie od niego wyniósł się i piechotą niemal przywędrował do Warszawy. Józef Dzierzkowski był rodzonym stryjem naszego powieściopisarza Józefa Dzierzkowskiego, którego utwory, powszechną wziętość znalazły.



Rys. A. Matuszko-wicz.

Odbito w l. 1875, w Warszawie Ul. Długa 550.

Lit. M. Fajars.

POMNIK A. ŻOŁKOWSKIEGO.



nr 626

W r. 1797 przybywa do stolicy, gdzie zastaje teatr pod przewodem Truskulawskiej, występuje na scenę, i odtąd przez lat 26 był rozkoszą publiczności Warszawskiej. Zbierał od początku do końca zawodu swego ciągle oklaski, a imię jego było tak powszechnie znajome, że zawsze prawie teatr był pełny, ile razy miał na scenę wystąpić. Pisarze dramatyczni starali się usilnie, aby Żolkowski przyjął jakakolwiek rolę w ich utworach, bo byli pewni powodzenia sztuki, tak umiał bowiem rzecz nie nieznaczącą podnieść i uświetnić, a przedmiot suchy, natchnąć życiem i świeżością.

Oprócz gry na scenie, pracował dla niej i piórem: literatura dramatyczna pomnożoną została przez niego 74 dziełami, pomiędzy którymi są oryginalne, jak opera *Szarlatan* (1). Komedia *Swiątynia nudów*, i kilka napisanych do czasowych okoliczności; wiele tłómaczył i naśladował, z tych ważniejsze: *Wszystkowiedz*, *Dwóch Siechiechów*, *Pałac Lucypera*, *Guwerner*, *Mali projektorowie*, *Kozioł*, *Czaromysł*, *Dwóch Piotrów*, i wiele innych, wszystkie znalazły chętne przyjęcie od publiczności.

Na lat kilka przed zgonem, Żolkowski zaczął uczuć wewnętrzne, nader dotkliwe boleści, za nadto ufając czerstwości i sile własnego zdrowia, mniej zważał na nie, i zbywał uśmiechem troskliwość przyjaciół radzących wczesny ratunek. Scena była jego żywiołem, niemógł się od niej oderwać; dręczony bólem, występował zawsze z tym pogodnym obliczem, z tą swobodną wesołością, tak że publiczność rozweselona Żolkowskiego talentem i dowcipem, nie mogła dostrzedz wewnętrznych cierpień, których doznawał artysta, w chwili gdy teatr cały trząsł się od śmiechu, i powszechne grzmiąły oklaski. Żolkowski w tém przyjęciu, w tym śmiechu i oklaskach, szukał ulgi i osłody w bólach, one przygłuszały w nim cichy jęk, ciche westchnienia.

Dyrektor owczesnego teatru narodowego L. Osiński, troskliwy o zachowanie zdrowia tak znakomitego artysty, ułatwił mu podróż do wód zagranicznych. Żolkowski przeczuwał swój zgon blizki. Udał się do wód Szlązkich, ale ratunek był późny. Za powrotem ukazał się na scenie podwakroć, i w sile wieku zakończył dni swoje, nie tylko z zalem Warszawy, sceny, towarzyszków sztuki, przyjaciół krewnych i znajomych; ale całego kraju, gdzie tylko język polski dosięga.

Cóż imię Żolkowskiego tak zdołało upowszechnić? czy talent wielkiego artysty, czy pisane i tłómaczone sztuki teatralne? Ale to imię brzmiało w zapadłych ustroniach kraju, pod poddaszami ubogich ziemian, którzy w życiu swoim nie widzieli teatru, ani żadnej dramatycznej sztuki nie czytali; czemuż to więc przypisać?

Oto została po nim mała książeczka, a na jęj pierwszej stronnicy wypisany jeden wyraz: *Momus*. Pojedyncze tego pisemka numeru, drukowane starym i zbitym drukiem, na szaręj bibule, rozlatały się po całym kraju; a gdzie taki świstek zawitał, zbierało się grono ciekawych—wszy-

(1) Po zbyt wczesnym zgonie tego artysty, wydano tę operę w 2 aktach z muzyką Karola Kurpińskiego, p. n. „*Szarlatan, czyli wskrzeszenie umarłych*”. Warszawa 1828 r. 8-o. Do wydania tego załączono trafny wizerunek artysty, a pod nim taki dwuwiersz:

„Mistrzowskim w sztuce swojej postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów, a grających wzorem.”

Dochód ze sprzedaży tego dziełka, obrócono na wystawienie Żolkowskiemu pomnika grobowego na Powązkach.

stko milkło, słuchało i śmiało się serdecznie. Żadne dzieło dzisiaj najwięcej okrzyczane, żadne pismo obchodzące ogół, nie jest tak dziś oczekiwane, jak w tamte czasy numer *Momusa*.

Cóż więc był ów *Momus*? Musiało to pismo być zajmujące i mieć wartość niezwykłą, kiedy tak wszyscy go czytali i rozchwytywali.

Zaprawdę był to skarbiec dowcipu, humoru, wielkich, nieraz gorzkich prawd, osłoniony w uśmiechającą się szatę żartu.

Aby dać objaśnienie wyraźniejsze tego oryginalnego utworu Żółkowskiego, poświęcimy mu obszerniejszy ustęp: *Momus* bowiem, tak się zespolił z życiem swego autora, że rozdzielać pisma tego od osoby Żółkowskiego, nie możemy.

Już od r. 1811, zaczął puszczać w obieg pisane gazety—treścią ich były śpiewy dowcipne, i fraszki prozą, zupełnie w tym samym rodzaju, jakie później *Momus* ogłaszał. Chwytał w nich codzienne, ważniejsze, to zdarzenia polityczne, to miejscowe Warszawskie, a nicując na śmiesznej stronie, podawał. Więcej tu rubaszości, nieraz i żart tłusty zawadził, ale to uchodziło w piśmie niedrukowanym. Uniknął tego Żółkowski w drukowanych *pot-purri* swoim i *Momusie* (1).

Jemu winniśmy pokazanie bogactwa naszego języka w tak zwanych *kalemburach*, z których słynie tyle francuzki (2); on wprowadził z nadzwyczajnym dowcipem ową grę wyrazów, co nie małą stanowi zaletę mowy polskiej; ukazał jej nieznaną dotąd giętkość i dowiódł przykładem: że jeżeli nasz język jest skarbnicą do wydania poważnych, mężkich, rzewnych i najwyższej poezji myśli i uczuć; śmiało w lekkości, dowcipie i w igraszce słów, może się spierać z mową francuzko-salonową, a tak w każdym rodzaju jest wyższość po stronie narodowego języka. Cały kraj chwycił chciwie *facecye* Żółkowskiego jak wtedy zwano, śmiał się z nich serdecznie, dziwił dowcipowi i polykał wesoło wielkie, a gorzkie nieraz prawdy. Jak Krasicki satyrą, całą generacją szlachty bawiąc uczył, tak Żółkowski w mniejszym zakresie *fraszkami*, dopinał tego celu. A te fraszki mieniły się jak tęczą; to w nich czytałeś żartobliwie podane najświeższe wypadki polityczne, to czasem wspomnienia dziejowo-krajowe dawnych i współczesnych czasów; to stara

(1) Mamy pod ręką jeden numer takiej pisaniej Gazety z d. 2 Grudnia 1811 r. i przywiedziem tu niektóre z niej fraszki:

„Z *Afryki*. — Murzyni utrzymują że dusza jest podszewką ciała, i dodają: że gdyby się Europejcykowie przeniecowali, toby niektórzy tak czarni byli jak murzyni.

„Z *Portu*. — Morze utrzymuje że więcej znaczy od ziemi, bo na morzu tylko podczas burzy bywają *batwany*, a na ziemi zawsze.

„Z *Obserwatorium*. — Nie ogon komety był przyczyną upałów tegorocznych, ale spalenie towarów angielskich narobiło ciepła.

„Z *Ołimpu*. — Ponieważ na ziemi więcej teraz piją piwa jak wina, przeto *Bachus* zdjął z głowy laur z liści winnych, a obwiązał sobie łeb chmielem”.

(2) Naprzykład, kilka kalemburów przywiodeę:

„Strudzony *pod-różą* spoczywa. — *U-lani* mleko wydoili. — *Szał-bierz* z pani. — Zabawa starego *biblio-tekę* młodego. — *Bas-grata* na fortepianie. — *Przez-cie-radło* zgubiłem. — *Jaś-nie* wielmożny pan. — *Paro-beczek* upił się.

„Mazurki winnibyśmy oceniać wysoko,
Gdyż grane bawią ucho, tańcowane, oko.
W nich to uczuć się dają rozkosze prawdziwe,
Smakują nam pieczone, zachwycają żywe.”

surową prawdę, ale w świeżą przędzę skłuiącego dowcipu osnutą, co bawił wdzięcznie ostrość myśli i gorycz piolunową osładzał; to ową grę wyrazów, w której wskazywał rozmaite ich znaczenie (1), to z tych znaczeń składał fraszki, a zawsze pełne dowcipu (2). Mody współczesne, zdarzenia znane w stolicy powszechnie lub w kraju, wreszcie miejscowości Warszawy, (3) Krakowa (4) i t. p. podały mu treść do niejednej fraszki (5).

Momus samodzielnością pomysłów i układu swego, jest zupełnie oryginalnym dziełem i wyłączną własnością Żolkowskiego, przez co nie może być przetłómaczonym na żaden obcy język, bo cała jego wartość znikłaby zupełnie. Tym którzy sądzą że łatwo naśladować jego dowcip — jak redaktorom późniejszego w rodzaju *Momusa* piśmka p. n. *Śmieszek*, nie udawały się ani fraszki, ani anegdoki.

(1) „Żywego człowieka *w pole* wyprowadzić, jest oszukaństwem, a umarłego zasługą. — Jeden pijany narzekał że nie może *przyjść do siebie*; a chory mu powiedział, ja jestem u *siebie*, a nie mogę *przyjść do siebie*. — Rycerze póki żywi, to się biją, a jak zginą, to się *chowają*. — Mamy tu dworek tak pochyłony, że właściciel nie wie na kogo on *spadnie*. — Muzykalność aż do więzień zachodzi, mamy tu bowiem ichmościów *raz wiązanych i dwa razy wiązanych*, a wszyscy *bas* znają. — Warszawa lubi żyć bez *żeny*, ludzie *goli* chodzą po ulicach. — Jeden jegomość chodzi z wędką na *sumy*, ale nie złapać nie może, bo kapitaliści pozamykali swoje sadzawki. — Zwykle mówią, że uczeni *gotują się* na to. lub na owo, ale czasem *niedogotują się*, i dla tego mamy wielu *niedowarzonych*. — *Rusztowanie* odbiera człowiekowi życie, a kamienicy przeciwnie, rusztowanie daje wzrost i życie. — Pewien jegomość chce przystać do matematyki, już mu wyglądają *dwa boki proste*, chciałyby tylko dla siebie dostać *kąta*, a za to przyrzekają służyć za *prostopadłą* przed każdą wyższą osobą. — Według teraźniejszego słownika, *obywatel* pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy *obywać* musi. — Tak często kontusze brano za *wyloty*, że już prawie wszystkie *wyleciały*, a przynajmniej niewiele ich widać. — Powiadają że ten a ten jegomość mocno się *zaszargał*, jakże to być może, kiedy on zawsze *karęta* jeździ? — Kij nigdy się nie modli, a jednak bywa na *pacierzach*.”

(2) „Co tylko spospolicieje, upaść musi, dla tego *Rzeczpospolita* upadła. — Sądząc o ilości urzędników z nazwiska tylko, zdaje się że *komorników* jest najwięcej.

„Cieleta muszą teraz wiele dokazywać, bo ustawnie odbijają się nam o uszy te wyrazy: *stanowi-ciele. urządzi-ciele, zwodzi-ciele poprawi-ciele, wierzy-ciele, burzy-ciele*. — Gdyby żydzi założyli miasto, pewnieby w niem zakazane były *szynki* (ale wieprzowe). — Kiedy się komu przy obiedzie kość dostanie, to *ma-gnat*. — Ponieważ *gmin* zwykle *grafom* zarzuca zmienność serca, przeto kiedy *grafy* litują się nad nim, to się zowie *lito-graftą*. — W szpitalach zawsze można widzieć trajedę Kornela, Horacyusza i Kuracyusza; bo chorzy to są *Horacyusze*, a ci co ich kurują *Kuracyusze*. — Farsa, robienie farsy, znane już było u starożytnych, wszak *Lukan* pisał *Farslią*. — Kalendarze wychodzą zawsze z tytułem na *rok pański*; podobno przyszły wyjdzie na *rok chudo-pacholski*. — Stary *Alwar* powiada, że kobiety płochę, należą do *generis masculini*; szalejący za plecią niewieścią są *generis feminini*, skromne zaś dziewczęta są *generis neutrius*. — Język Słowiański ma być najpierwszy: już za Jowisza, kiedy *Minerwa* miała się z głowy jego urodzić, to on rzekł z ruska: „czolo *mene-rwe*” i ztąd zrobiła się *Minerwa*.”

(3) „Tylko nasza stolica może jeździć i chodzić do *Woli*, a żadna inna tego nie dokáže. — Pewien jegomość dosyć na Warszawę zakrawa, bo ma *bagatele* w głowie, *favory* u panów, a *Czyste* w kieszeni. — Kto ma *Nalewki* w gardle, pewno buduje *utrąę* w kieszeni” (*). — Miłośnik cudzoziemczyzny gdy przyjechał do Warszawy i obaczył piękny pałac *Krasińskich*, spytał się, czy on jest w Warszawie budowany, czy też z kąd sprowadzony?

„Czterech tylko prawdziwych właścicieli domów jest w Warszawie, to jest: *Ś. Jan, Ś. Michał, Nowy Rok, i Wielka-noc*; gdyż na wywieszonych kartach innego nieznajdujemy napisu. jak tylko: *do najęcia od Ś. Jana* — do najęcia od *Ś. Michała*; a nie od tego pana lub owego.

(4) „Osobliwie Kraków jest urządzony, bo jego przedmieście jest w Warszawie, a on sam aż pod *Karpatami*. — Lubo na całym świecie piękniejsze nowe suknie, niżli nicowane, w Krakowie atoli, najpiękniejsze są stare *sukiennice*.

(5) „W Poznaniu tylko w zimie *Warta* stoi a innych czasów nie. — Musi być stara Galicya, kiedy aż *Brody* ma.

(*) *Wola*, wieś w okolicy Warszawy. — *Bagatela* ogród z palacykiem; podobnież *Favory*; — *Czyste* wieś z ogrodem, mające przechadzki mieszkańców Warszawy. — *Nalewki* ulica miasta; — *Utrata*, karczma znana przez lud Warszawski.

W czasach gdy Żółkowski ujął pióro i zaczął puszczać po Warszawie swoje *Gazety*; piśmiennictwo perjodyczne nasze, w zupełnym było odrętwieniu: jedna Gazeta Warszawska tylko wychodziła. Była to przerwa od r. 1810 do 1815.

Wtedy zyskał rozgłos Marcin Molski wierszykami do okoliczności zastosowanymi, których mała część drukowana, więcej się w rękopismach rozchodziła; wtedy też imię Żółkowskiego głośne talentem wielkiego artysty—komika, i na polu piśmiennictwa główne zajęło miejsce.

Żaden z artystów dramatycznych, żaden literat nie był tak popularnym jak Żółkowski: zbierając na scenie rzesiste oklaski, w gronie przyjaciół i znajomych, jaśniał tym dowcipem, humorem, nie do naśladowania, których część przelał w swe pisma.

Anegdorki i dowcipy jego wieczorem powiedziane, krążyły zaraz nazajutrz po całym mieście, a wkrótce i po całym kraju; dość było wymówić Żółkowskiego imię w zebranym towarzystwie, aby wszystkich zwrócić uwagę ciekawą: bo to imię było godłem dowcipu i radości.

Stanowiskiem swoim jako artysta i pisarz, stał się postacią historyczną; ktokolwiek dotknie czasów od 1811 do 1822 r., a zwróci uwagę na Warszawę, stanie mu znakomita Żółkowskiego postać przed oczyma, z tym wyrazistym zwrokiem, z którego przemawiała myśl wyższa, a uczucia prawe i szlachetne, z tą pozorną swobodą, a bólem wewnątrz co trawił artystę, jakoby wymowny obraz ducha tamtych czasów.

Każdy więc pojmie łatwo, jak wielki żal nietylko w Warszawie, ale w całym kraju obudziła wieść zgonu Żółkowskiego: żal ten najpiękniejszym jest pomnikiem uwielbienia dlań współczesnych, bo imię swoje niezatartemi zgłoskami zapisał, na kartach naszej literatury, w kronice sceny narodowej i w dziejach samej Warszawy! (1).

(1) Przy życiorysie wielkiego artysty, nie mogę przepomnieć wiernego jego posługacza, znanego w Warszawie powszechnie pod imieniem *famulusa*; z takim podpisem rysownik Sliwicki wylitografował go w całej, bardzo trafnej postaci.

Był to Łukasz Nowicki, synu wyrobnika, urodzony w Warszawie; utrzymywał się początkowo ze służby, a potem zostawał przy Teatrze narodowym jako *kompars* czyli *figurant*.

W takim charakterze 1800 r. występował pierwszy raz w Komedyi L. A. Dmuszewskiego p. n. „*Cnota przędź czy później bywa nagrodzoną*“

Tak mu się ten tytuł podobał, że go często powtarzając, nazwany był *Cnota Nowicki*. Nazwę tę utracił, gdy go Żółkowski przezwiał *famulusem*, i używał do rozrzucania po mieście różnych pisemek i gazet pisanych, w których dowcip tego artysty tak szczególnie wybijał Nowicki z uciechą od swego pana przyjął nazwę nową; ale gdy nań chłopcy ulicznicy zaczęli wołać: „*famulus Nowicki! famulus!*“ gniewał się wielce, i nieraz staczał z nimi bitwy po ulicach Warszawy.

Po sześciu latach służby przy teatrze, w r. 1807 puścił się na włóczęgę po ulicach Warszawy. — Niby pierwszy strojniś miasta, grubo chustkę na szyi zawiązywał z wielką kokardą, i wysokim z białego papieru kołnierzem. Kapelusz częścię stósowany jak okrągły, mocno zszarpany i dziurawy, ozdobny nieraz w piórka frendzle i kutasy szychowe: surdut lub frak łatany, w takichże butach, ledwie nie boso. — Wesoły, z uśmiechem na twarzy, przebiegał ulice miasta, wstępował do kawiarni, na billardy i do traktyerni; uniżenie się gościom kłaniał, a nosząc w kieszeniach i pod pachą paki z gazetami, facecjami, nocnikami pisanymi, a utworami Żółkowskiego, jak później z potpurami i momusami drukowanemi, które w darze od tego artysty i pisarza dla siebie dostawał, niosąc zarazem afisze teatralne, lub na inne widowiska, mające być dane wieczorem; ofiarowywał obecnym po egzemplarzu, otrzymany dar czasem dosyć chojny, niedługo przechulał. Nie mając stałego mieszkania, włóczył się z wieczora z szynkowni do szynkowni, i tam zwykle nocowywał.

JAN STEFANI.

Spoczywa w ziemi bez nagrobku.

Jan Stefani artysta i kompozytor muzyczny, urodził się w Pradze Czeskiej 1746 r., umarł dnia 23 Lutego 1829 r, w Warszawie, mając lat 83.

Od młodych już lat okazując szczególną skłonność i zdolność do muzyki, kształcił się w tej sztuce z zapalem i w 20 roku życia, już był kapelmistrzem w pulku wojsk austriackich, który nosił nazwę pulku Kińskich.

W roku 1773, kiedy brat rodzony Króla Stanisława Augusta, Książę Andrzej Poniatowski generał - porucznik wojsk austriackich, ożeniony z Kińską (a ojciec księcia Józefa co zginął w Elster,) poznał Stefaniego, namówił go, aby z Wiednia, gdzie naówczas w orkiestrze teatru Cesarskiego zostawał, udał się do Warszawy. Książę Poniatowski dał mu polecające listy, jakoż zaraz po przybyciu na dwór Króla Stanisława Augusta został pomieszczony w nadwornój tego Króla kapeli, przy której aż do rozpuszczenia dworu królewskiego 1796 roku zostawał, jako Dyrektor opery teatru nadwornego.

Gdy w roku 1794, Wojciech Bogusławski napisał oryginalną operę w dwóch aktach, pod napisem: *Cud mniemany, czyli Krakowiaczy i Górale*; Stefani podjął się napisać do niej muzykę. Jako Czech pobratymiec, znał już melodje ludu czeskiego, przejęty potrzebą poznania muzyki polskiej ludowój, co niedziela i święto wyjeżdżał na wieś, aby się nasłuchał pieśni, napatrzył tańców ochoczego ludu naszego. Wracal do miasta, a mając świeżo w pamięci sielską melodję, zasiadał i podkładał pod libretto Bogusławskiego.

Pierwszy raz d. 4 Maja 1794 r. przedstawiona ta opera, z nieopisanym zapalem przyjęta została. Do dziś dnia powtarzana, miała sto kilkadziesiąt przedstawień (1).

Stefani zachęcony tak świetnym przyjęciem pierwszej próby, napisał muzykę do oper następných:

Wdzięczni poddani panu swemu, pierwszy raz wystawiona w r. 1796. *Drzewo zaczarowane*, 1797 r. *Frozyna, czyli siedem razy jedna*, 1806 r. *Rotmistrz Gorecki*, 1807 r. *Polka*, (2) 1807 r. *Stary Myśliwy*, 1808 r. *Papirius*, 1808 r.

Przywiązany był szczególnie do Żółkowskiego; uwielbiał tego artystę, który go też ciągle wspierał. — Śmierć tego wielkiego komika, tak potężne na biednym famulusie uczyniła wrażenie, że stracił zupełnie swoją wesołość dawną. Na pogrzebie Żółkowskiego łkał rzewnie i zanosił się od płaczu; — od tej też chwili, gdy odprowadził zwłoki na cmentarz Powązkowski tego, którego tak ukochał; smutny i osowiały, rzadko się kiedy pokazywał na ulicach. — W rok zniknęła ta postać oryginalna Warszawy. Nowicki zapadł na zgnilą gorączkę, oddany do Szpitala Siostr Miłosierdzia Śgo Ducha pańien Marcinkanek, w dniu 18 Listopada 1823 r. tam życie zakończył, mając lat około 50 wieku. Pochowany na starym cmentarzu Powązkowskim, w dole wspólnym, dla biednych oznaczonym.

(1) Muzyka ta, w znacznej części użytą została do baletu: „*Lesle w Ojcowie*.”

(2) Operę tę w trzech aktach wierszem napisał Wybicki i wydał p. n: „*Polka, Opera w 3ch Aktach*.” Warszawa 1788 r. w Drukarni Scholarum Pijarum. Wybicki przypisał ją żonice Potockiego, z domu Mniszchów, którą pojął Szczęsny Potocki po tragicznej śmierci pierwszej małżonki, Gertrudy Komorowskiej.

Nad wszystkie jednak opery, Krakowiacy i Górale, utrwaliły pamięć Stefaniego. Skarb melodyi który wiernie zaczerpnął z bogatej krynicy ludowej, i wiernie zachował, dotąd miły znajduje odgłos, i częściowo przeszedł w pierwotne swoje gniazdo, bo w usta tegoż samego ludu.

Oprócz przeszło 200 tańców polskich własnego utworu, napisał wiele muzyk kościelnych, i przewodniczył kapeli w Niedziele i święta uroczyste w Kościele Metropolitalnym Ś. Jana; gdzie dotąd jeszcze przypomina się Stefani z poza grobu, utworami na cześć Bożą złożonemi.

Pomimo podeszłego wieku, grywał w orkiestrze narodowego teatru, gdzie czasowo zastępował Dyrektora; na kilka dni dopiero przed śmiercią opuścił swoje stanowisko, które zajmował jako artysta.

Dwóch synów i córka jego, spoczywa tu na cmentarzu w ziemi, bez żadnego także napisu:

Kazimierz Stefani, solo-skrzypek orkiestry teatru narodowego, zmarły 1814 r. mając lat 20; — Jan także solo-skrzypek w tymże teatrze, zmarły 5 Września 1826 r. w wieku lat 48; i Eleonora Stefani, artystka opery, miła i wdzięczna śpiewaczka, co grywała pierwsze role w operach jak: *Przerwana Opera*, *Kamilla czyli loch podziemny*, *Sardzino uczeń miłości*, *Gryzelda*, *Westalka*, *Jan z Paryża*, *Janek i Stefanek*, i wielu innych; w młodym także wieku zgasła, ta ulubiona od publiczności Warszawskiej artystka, zmarła dnia 28 Kwietnia 1834 roku, mając lat 26.

MARYANNA TAŃSKA.

„MARYANNIE Z CZEMPIŃSKICH TAŃSKIEJ, UR. 6 WRZEŚNIA 1772 R. ZM. 29 SIERPNIĄ 1825 R.
NAJLEPSZEJ MATCE WDZIĘCZNE DZIECI.”

Jan Chrzyciel Czempiński, sławny lekarz w Warszawie, w kalendarzu, w którym obyczajem polskim wpisywał ważniejsze zdarzenia, zapisał:

„R. 1772 po południu 6 Września w Poniedziałek o godzinie w pół do pierwszej, dał Pan Bóg córkę żonie mojej. Dzięki Panu Bogu i przyczynie Matki Boskiej, dało się na cztery msze święte, i na cztery świece funtowe, dwie do Matki najświętszej, dwie do Pana Jezusa, niechaj żyje na chwałę Boską i pociechę naszą.

„Osmeo Septembra w Środę o godzinie pół do piątej, chrzcila się u Fary u Ś. Jana, i dały jej się imiona: Maryanna, Zofija, — trzymał ją do chrztu JW. Pan Mikołaj Piaskowski, Podkomorzy Krzemieniecki, z siostrą swoją rodzoną JW. Panią Sobolewską Pisarzową ziemską Włodzimierską, na chwałę Boską i pociechę naszą niechaj żyje, Amen.”

Z ośmnaściorga rodzeństwa, Marya była piątą z rzędu, dom rodziców patryarchalny, w wspomnieniu został dla niej najmiłszym obrazem; szanująca starsze siostry i braci, nawzajem szanowaną była od młodszych: wszystkie zaś razem, czciły jak bogów ziemskich ojca i matkę, a swobodne, niewinne, wesole, nieprzeladowane naukami, kochające się, pędziły dni najszcześniejsze. Rodzice zajmowali pierwsze piętro dwuoknowej kamienicy w Rynku starego miasta



Rys. A. Matuzkiewicz

Odbito w Lit. M. Fajansa, w Warszawie Ul. Długa 590.

Lit. M. Fajansa

GROBOWIEC MARYJANNY TAŃSKIEJ.



nr 626

Warszawy pod Nr. 68; córki z guwernantką francuzką Madame *Dutrieux*, drugie; male dzieci trzecie; a synowie czwarte. Co dzień rano, o godzinie 7ej schodzili się wszyscy do sypialnego pokoju rodziców, i tam ojciec, głośno modlitwy poranne odmawiał; potem wyjeżdżał do chorych, jeżeli był który niebezpieczny, dzieciom modlić się za niego zalecał, na mszę do Fary posyłał, nie wracał do domu aż o 12ej. Zawsze jedna z córek, i to z kolei, czekała na niego z szlafrokiem, bo skoro wrócił przebierał się, i w szlafroku jadł obiad.

Kiedy pierwszy raz na Maryą ta kolój przyszła, ręce jej tak drżały z radości i obawy, że ledwie znalazła rękaw do podania go ojcu. Po obiedzie jeździł znowu ale o 5ej wracał; letnią porą w małym ogródku, zimową w pokoju bawił się z gośćmi kartami do 8ej godziny, potem lekką jadł wieszczkę z samych słodczy złożoną, które lubił niezmiernie, odmawiał modlitwy wieczorne z domowymi i dziećmi, często odczytywał *żywota świętych* Skargi, a do 10ej zapisywał dziennik chorych swoich, bo ten utrzymywał jak najrzetelniej. W ciągu zaś dnia, skoro był w domu, każdy chory ubogi przystęp miał do niego, a cisnęło się ich wielu, bo nie tylko radził dobrze, ale i pieniądze dawał. Często także bywał na teatrze, na polski i włoski miał łoże, i dzieci brał z sobą z kolei. „Taką w nich (mówi wnuka, Klementyna Hofmanowa) wzbudzał bojaźń i miłość razem, i żona jego także do tego stopnia tę sztukę doprowadzić umiała, iż żalować prawdziwie należy, iż nie zostawili jej zasad na piśmie: byłoby to dzieło rzetelnie użyteczne dla trudniących się edukacją, tém bardziej, że tajemnica tej sztuki, zdaje się, zupełnie w wieku dzisiejszym zaginęła.”

Maryą krótko używała tego szczęścia, tego zupełnego przykładu, jaki jest w domu, kiedy oboje rodzice żyją, i żyją zgodnie. Miała rok 13ty kiedy jej ojciec umarł; a już wtedy starał się o jej rękę Tański, i pisał o niej, do żeniącego się Antoniego Siemianowskiego:

„Ale największą sercu ulgę czyni,
Rosnąca z wiekiem piękność mój Maryni.
Już ją szanować młode każą wdzięki,
I za szczęśliwość pożądać jej ręki.
Obym wzajemnie zyskał przywiązanie,
Nic mi do szczęścia życzyć nie zostanie.”

W cztery lata po śmierci ojca, 29 Stycznia 1791 r. połączoną została ślubem z Ignacym Tańskim, znanym pisarzem. (1) Obrączki ślubne dawnym zwyczajem miały napis: „*Bóg nadzieja nasza.*” W doznanej niedoli, przyszła wtedy pomoc prawdziwego przyjaciela; Tański ściśłą był złączony przyjaźnią z Janem Łuszczewskim, całą młodość spędzili razem, w jednych szkołach, potem w jednym mieszkaniu, prawie razem się pożenili; i Aleksandra z Cieciszowskich Łuszczewska, szczerze pokochała Maryę Tańską. Kiedy w r. 1796 schronili się do dóbr swoich, Łuszczewski szlachetnie ofiarował Tańskim w dzierżawę, jedną z wiosek swoich *Wyczulki*.

(1) Pisma Tańskiego zebrane razem z portretem i krótkim życiorysem, wyszły staraniem wdowy jego, w drukarni XX Pijarów, p. n. — „Ignacego Tańskiego wiersze i pisma różne“ Dzieło pogrobowe, Warszawa r 1808 w formacie zbioru Pisarzy polskich Tadeusza Mostowskiego, i dziś takowy uzupełniają. Oprócz tego jego pracą jest ważny materiał dziejowy, ogłoszony drukiem, p. n. „Relacya Deputacyi do examinowania sprawy o bunty oskarżonych, na sejmie r. 1790 uczyniona,” — który jako Sekretarz Deputacyi wykonał. Na końcu tego dzieła jest głos posła Pińskiego, starosty Butrymowicza, w którym jako członek tej Deputacyi, wystawia Stanom Rzeczypospolitej, gorliwe prace Tańskiego własnym kosztem podejmowane, upraszając o należącą się jego zastugom nagrodę.

„Opowiadała to nam matka nasza, (przywodzim tu słowa Klementyny z Tańskich Hofmanowej) ile też łez wylała opuszczając Warszawę, jak okropną była pierwsza zima spędzona w chacie drewnianej, słomą pokrytej, nieopatrzonęj; ale zdrowie, młodość, wzajemne przywiązanie, w Bogu ufność i zgadzanie się z Jego wolą, wiele siły dodać mogą. Pierwsza więc tylko zima była okropną, późniejsze lata, choć w prostej chacie, schodziły mile w Wyczulkach, zwłaszcza, że sąsiedztwo było przyjemne. W Wyczulkach już mieszkali rodzice nasi, kiedy się okazało, że matka trzeci raz przy nadziei. Matka z westchnieniem myślała, że przybędzie trzecia jeszcze istota niemal na biedę, a dwie słabości odbywszy we wszelkich wygodach, ani pojmowała, jak potrafi przebyć trzecią w chacie i jeszcze w początkach zimy. Intraty wiejskie wówczas tak były ograniczone, że lubo rodzice nasi skutkiem dobrego gospodarstwa i rządu, wypłacali regularnie dziedzicom Zł. pol. 3000, przecież prócz najskromniejszego utrzymania się nie mieli, i na nadzwyczajne wydatki grosza nie było. Kochana matka przemyśliwała zawczasu, czém opędzi konieczne wydatki połogu, upatrywała w gospodarstwie jakiego zasilku, i upatrzyła go w rzepie. Obrodziła się w tym roku nadzwyczajnie ta jarzyna, i ktoś doradził matce, żeby nie sprzedawać jój zaraz po wyrwaniu, ale w doły zakopać, i dopiero w twardej jesieni na targ wywieść. Tak uczyniła; troskliwy mąż dogadzając życzeniom żony, a wreszcie rachując też na rzepę, przystał na to: aby mimo ciężkich czasów, nająć stancyjkę w Warszawie na dwa miesiące, i żeby tam odbył się połóg. Ustąpił pokoiku doktor i akuszer *Waylep* w domu swoim na Nalewkach,—a jako był przy pierwszych dwojgu dzieciach, tak i przy trzecim za daleko mniejszą cenę być się zobowiązał; i wszystko ułożyło się jak najlepiej. W środku Listopada, matka czując zbliżający się czas, chciała już wybrać się do Warszawy, ale wypadło naprzód wyprawić rzepę. Zbierają się ludzie, odkopują doły, wyziew najokropniejszy wszystkich uderza; jesień była bardzo dżdżysta, zgniła rzepa do szczętu. Rozpaczy matki naszój, trudno opisać, bo sama jój wypowiedzieć nigdy nie mogła; trzy dni płakała, nareszcie ojciec nasz otworzył do szafy, wybrał najkosztowniejszy sprzęt srebrny, dwa piękne lichtarze, (co było wielką ofiarą, bo nienawidził sprzedaży i marnowania) i pozwolił jój z tym sprzętem, w miejscu rzepy, jechać do Warszawy. Ochłodła z żalu i strachu, i pojechała. Tam zastała nie bardzo wygodny pokoik, bo nad stajnią pełną koni, gdzie 23 Listopada 1798 r. w nocy, urodziła córkę. Na krótko przed tém czytała romans Ryszardsona: *Grandyson*, tak ją zajął, że powiedziała sobie: że jeżeli syna mieć będzie, nazwie go Karolem; jeżeli córkę, Klementyną. I mnie, bo ja byłam tą córką, ochrzcili pod tém imieniem. Trzymali mnie do chrztu dziad i baba; innych rodziców chrzestnych nie miałam.”

Niedługo Tański z żoną osiadł w Puławach, z obowiązkiem dopełniania poleceń Księcia G. Z. P. być mu w jego literackich pracach pomocą i ciągłym towarzyszem. W r. 1805 zakończył życie, zostawiając osieroconą wdowę i małoletnie dzieci. Dziedzice Puław, zapewnili jój rocznej pensyi 3,000 złp. Po trzech latach osiadła w Warszawie, i ogłosiła przedpłatę na wydanie pogrobowych pism jój męża. Sowiecie płacili jój niektórzy za prenumeratę, tak, że zebrany z niej fundusz, połączony z pensją otrzymaną, dawał jój możność porządnego wychowania dzieci i utrzymania, zaprowadziwszy jak największą w domu oszczędność, z wyrzeczeniem się

tych nawet małych przyjemności, do których nawykła. Na jej rękę skończyła dni swoje, jej przyjaciółka Ministrowa Łuszczewska.

Wśród trosk, zabiegów codziennego życia, powydawała córki swoje za mąż, i cieszyła się dobrze zasłużoną sławą córki swojej *Klementyny*, gdy dotknięta nieuleczoną chorobą *skira*, d. 29 Sierpnia 1825 r, o 7ej godzinie w wieczór umarła.

Zostawiła po sobie Dziennik zdarzeń, który za namową swjej córki Klementyny, zaczęła pisać w Kalendarzach, dopiero w roku 1820, i ciągnęła go przez lat 5. Po jej śmierci zebrany w jedną księgę, znajduje się dziś w rękę jej rodziny.

Na cmentarzu Powązkowskim spoczywa jej córka Marya, młodsza siostra Klementyny, która artystycznie malowała miniatury i widoki, i ma następujący napis:

„*Tu spoczywają zwłoki ś. p. Maryanny z Tańskich Hermanowej, urodzonej d. 1 Kwietnia 1804 r. zaślubionej d. 30 Maja 1822 r. a zgasłej na zawsze d. 28 Kwietnia 1830 r. Nieukojony w żalu mąż, wystawił ten pomnik na wieczną pamięć.*”

AUGUSTYN KOMOROWSKI.

(*W ziemi bez nagrobku.*)

Urodził się dnia 24 Sierpnia 1769 r. w Warszawie. Umarł d. 8 Czerwca 1842 r.

Od roku 1789, rozpoczął służbę wojskową w dawniej kawaleryi narodowej, jako towarzysz w brygadzie Dzierżka i w niej zostawał do 4 Grudnia 1794 r. W r. 1796 udał się do Włoch: zamieszczony jako ochotnik w legionie włoskim, następnego roku mianowany Podporucznikiem, następnie 1798 r. Porucznikiem.

Odbył kampanije w latach 1792, 1794 w kraju, — w latach 1798, 1799 we Włoszech. — Był w bitwach pod *Boruszkowcami*, *Zieleńcami*, *Dubienką*, *Markuszowem*, w oblężeniu Warszawy: przy wzięciu miast *Fiorentino*, *Frosinone*, *Terracina*, *Magliano*, *Neppe*, *Falari*, przy wzięciu baterji *Ś. Jędrzeja*, miasta *Itri*, twierdzy *Gaety*, miasta *Castelforte*, w odparciu nieprzyjaciela z pod *Fondi*, nakoniec w potyczce pod *Pasteno*. Będąc w garnizonie twierdzy *Gaeta*, ranny został przez silne przygnięcie całego ciała murem, przy wysadzeniu magazynu prochowego, tak, że z 39 towarzyszyów znajdujących się w rzezonym magazynie, sam tylko z gruzów wydobyty, przy życiu został. To spowodowało go do uwolnienia się z pod chorągwi i powrotu do kraju.

W r. 1806, wrócił do służby wojskowej w stopniu Porucznika kwatermistrza, w następnym roku przeszedł do służby cywilnej, jako nadleśny lasów rządowych Kolskich i Konińskich, to Uniejowskich.

Od r. 1812 mianowany Szefem biura w wydziale działań wojennych w ówczesnym Ministerjum Wojny; w r. 1813 otrzymał stopień Kapitana w wojsku Księstwa Warszawskiego, peł-

niąc obowiązki Szefa. W odwołaniu wojsk do Saksonii pozostał za rozkazem z aktami wojennymi w Krakowie. Od r. 1814 przeszedł jako Szef wydziału do Kommissyi Rządowej Wojny, i w tym stopniu dosłużywszy do roku 1821, otrzymał żądane z pensją uwolnienie od służby, i resztę dni spędził w spokoju i zaciszy rodzinnego grona. Umarł w sędziwym już wieku, przeżywszy lat 73.

DZIUBIŃSKI MATEUSZ.

LIRNIK.

(*Pochowany w wspólnym grobowisku ubogich*).

W roku 1809, zjawiał się w Warszawie lirnik, którego poznałem w latach mój młodości. Wysoki, nachylony nieco laty, siwy jak gołąb', poważnego i czerstwego oblicza, które zdobiła gęsta, choć krótka broda, okryty zawsze jasno-niebieskim szerokim płaszczem z krótkim kolnierzem, pod którym nosił lirę. Chodził od gospody do gospody grając na lirze, przyśpiewując drżącym głosem dawne dumy i piosnki rozmaite. Zwiedzał traktyernie, kawiarnie i porządniejsze szynkownie; ⁽¹⁾ tu przyśpiewywał piosnki wesole lecz skromne zawsze: z Franciszka Karpińskiego, „*Tęskność na wiosnę*,” „*Do Justyny*,” „*Już ja nie ten*,” *Laura i Filon*.”

Śpiewał i piosenki swojego, jak utrzymywał układu, przed odejściem na zakończenie odśpiewywał zawsze z ujmującym uśmiechem do słuchaczy:

„W parze gołębie
Siedzą na dębie,
Skubią mech, mech, mech!
Kto nas nie kocha,
Kto nas nie kocha
Bodaj zdech, zdech! zdech!”

I powstając z siedzenia, klaniał się i odbierał w kapelusz lub czapkę nagrodę pieniężną, albo siadał do kolacyi którą mu goście dać kazali, za co pozostawał do późna w wieczór, aż póki ostatni jego słuchacz nie wyszedł. ⁽²⁾

Często i na publicznych przechadzkach usiadłszy obudzał smętne tony swojej liry. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa zmarszczkami okryta, ale szlachetna, z której rozpusta nie spędziła młodzieńczego rumieńca, ten włos siwy w długich splotach, co wiatr rozwiewał, płaszcz długi, ubiór nie zwykły, przy wykwiutnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy używających przechadzki, cała postać wspaniała, ten głos drżący, co się tak dobrze godził z jęczącą struną liry; silnie na młodzieńczym umyśle musiał czynić wrażenie. Był to ostatni lirnik śpiewak, co wśród wielkiego miasta, dobywał grobowego głosu, do wyśpiewania nieraz starodawnej pieśni, której słabe echo nie odbiło nawet. Któż wtedy zwrócił na niego uwagę?

(1) W domu ojca mego przy ulicy Podwale pod Nr. 52½ w oficynie od ulicy, długie lata utrzymywał szynkownią niejaki Skowronski, tam najczęściej widywał lirnika i słuchał jego gry i śpiewu.

(2) Notaty Grzegorza Jaholkowskiego.

dziatwa tylko lgnęła do starca i z tęsknotą oczekiwała na jego przybycie. Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić zagłuszony wrzaskliwą katarynką: — „Źle że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta!”

Kochały starca tego dzieci, i on je wzajem; to też pomnę, z jaką uciechą przystrajał lirę i zaraz śpiewał, gdy mnie ujrzał z łatką wyproszonym od matki.

„Siadaj tu panosko moje, mówił z uśmiechem, coś ładnego ci zaśpiewam, ja tego nigdzie nie śpiewam, tylko dla was moje dzieci.”

A było to jak latem na podwórzu, siadał pod cieniem topoli na kamieniu, i wtedy wyśpiewywał drżącym głosem, choć silnym i wyrazistym, jakieś dumy, to o Sobieskim, to o krwawych bitwach. Tu po raz pierwszy usłyszałem z ust starca dźwięk ukraińską, i ten język melodyjny, śpiewny. W przerwach kiedy umilkła jego lira, opowiadał zdarzenia ciekawsze których doznał w życiu. Nie zapomnę nigdy jakiego wzruszenia doznałem na opis walki, w której starzec miał udział, i odniósł dwie rany widome jeszcze, na piersiach i na głowie. Lirnik wspominając tę chwilę i gorącość bitwy, miał łzy w oczach;— ja rzewnie płakałem. Uważałem że tylko z nami dziećmi śpiewał i mówił z całą swobodą;—bo bywało jak zacznie śpiewać o Sobieskim albo Sawie, lub też opowiadać, a starsi natrętni zawsze słuchacze otoczyli go; to zaraz zmieniał pieśń na jaką zwyczajną, albo powieść urywał i przygrywał na lirze. Nie znałem wówczas jego nazwiska, zwano go tylko od ubioru *Niebieskim płaszczem*. — *Niebieski płaszcz!* na ten odzew, rzucałem wszystko i biegłem do starca, pewny milego przyjęcia.

Nie tylko w mojej pamięci ta postać głęboko utkwiała. Roman Zmorski w swoich *wspomnieniach* (1) poświęcił jęj ustęp:

„Między tą całą Warszawską gawiedzią nie miał on zapewne gorętszego wielbiciela i słuchacza nademnie, siedmioletnie na ówczas dziecię. W domu gdzie mieszkałem bywał częstym gościem, a czasami zostawał i na nocleg u poczciwego stróża Bazylego, Rusina z Podlasia. Każdy taki nocleg staruszka był dla mnie wielką uciechą, bo go wtedy do woli nasłuchać się mogłem. Lubił mnie on bardzo, pozwalał brząkać na swój lirze, bawić się z brodą, opowiadał mi i śpiewał chętnie, tak długo aż zmorzony usnąłem na kolanach jego, albo też gwałtem do domu mnie wzięto. Te jasne letnie wieczory, nie raz ku północy przeciągnięte, najczęściej sam na sam z dobrym lirnikiem spędzone, należały do najmiłszych chwil mego dzieciństwa, a dziś do najmiłszych jego wspomnień.”

W roku 1824 wyszedł na wędrowną po kraju; był w Kielcach, później z kompaniją poszedł do Częstochowy i wiódł ją grając na lirze i śpiewając pieśni nabożne. Tu w tym świętym miejscu bawił kilka tygodni, i zarobiwszy sporo grosza, wrócił jeszcze czerstwy do Warszawy w r. 1828. W jesieni widziałem go kilkakroć, grał i śpiewał nowe pieśni, opowiadał wędrowną swoją do Częstochowy i cuda jakich tam pielgrzymi pobożni doznali. Z pierwszym śniegiem już się więcej nie pokazał; napróznom go utęskniony oczekiwał tam, gdzie zwykł codziennie przychodzić, nie ujrzałem już więcej niebieskiego płaszcza.

(1), „Domowe wspomnienia i powiastki.” Warszawa 1854 r. w 12.

Lirnik ten nazywał się Mateusz Dziubiński (1), służył w młodych latach wojskowo, odznaczył się nawet w kilku bitwach;—gdy zachorował a znalazł przytulisko u wyrobnika na powiślu, dawnego towarzysza broni, już więcej nie powstał.—Pochowano go w tym samym niebieskim płaszczu na cmentarzu Powązkowskim w wspólnym dole ubogich; a lira na której nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecenia ogniska ubogiej rodzinie, co pielęgnowała w ostatnich dniach życia i zamknęła oczy przyjazną dłonią, temu ostatniemu lirnikowi Warszawy!

DĄBROWSKI ANTONI

PIJAR.

(W ziemi bez nagrobku).

Antoni Dąbrowski urodził się w r. 1769, we wsi Piszczowie na Wołyniu. Umarł d. 5 Marca 1825 r. w Warszawie.

Po ukończeniu szkół Pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim, po wczesnej stracie zacnych i ukochanych rodziców, pełen zapалу dla nauk, wstąpił nie mając jeszcze lat 16 do zgromadzenia XX. Pijarów. Po pięciu latach pobytu w Seminarium, wykładając różne przedmioty, w r. 1800 przybył do Warszawy do Kollegium Pijarskiego, na profesora fizyki i historii naturalnej.

Wątłego zdrowia, oddany cały naukom, uległ ciężkiej niemocy, w najpiękniejszej życia porze; opuszczony od najbieglejszych lekarzy, ufny jedynie w pomoc Bożą, w wiejskiej ustroni wychnawszy, sam się postanowił wyleczyć.

Z chciwością rzucił się do czytania dzieł lekarskich, ale to zajęcie nieznaną w nim trwożę zbudziło, bo widział wielu chorób od razu zarody w sobie. Po długim wahaniu i niepewności, mając silną wiarę i ufność w Bogu, trafił na myśl szczęśliwą: że jedynie dobrze uporządkowany sposób życia, skromność w jadłach i napojach, miara w pracy i spoczynku, pokrzepia i umacnia siły. Zbadawszy gruntownie własną naturę, poznawszy co może szkodzić, a co pomaga; ściśłym zachowaniem zbadanego sposobu, wstrzeźliwością życia, przetrwał 40 lat w nauczycielskim zawodzie.

W roku 1804, gdy wybrany został Członkiem Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół nauk, obrał sobie za główny przedmiot matematykę, lubo inne nauki wykładał, jak: religiją, historią polską, historią filozofii, literaturę polską,—przez lat kilka nawet tłumaczył w klassach wyższych Lyceum, Cyclerona *de officiis*, i Horacyusza, *de Arte poetica*. Po kilku wszakże latach, oddał się wyłącznie nauce matematyki, i jako jej professor, do końca życia pozostał. (2).

(1) Notaty Grzegorza Jaholkowskiego: porównać z tem co pisałem o tym lirniku w dziele: „Stare Gawędy i Obrazy” i sprostować co mówi R. Zmorski w dziełku wyżej przytoczonym.

(2) K. Garbiński (w Życiorysie Dąbrowskiego).

Tę naukę wykladał w szkołach Księży Pijarów w wyższych klassach ⁽¹⁾. Pamiętam z jakim uczniowie byli dla niego uszanowaniem, z jaką nawet cześcią. Nie tylko żaden niepokój, ale żaden szmer nie przerwał jego lekcyi. Skoro się ukazał we drzwiach sali, wszyscy powstawali jak zwykle na przyjęcie profesora, ale jak najciszej zajmowali znowu swoje miejsca. Książd profesor stawał na katedrze: niska ś. p. Dąbrowskiego i niska postać, nie odejmowała mu powagi; wyraz surowy malował się na obliczu pociągłem. Zwyczajnie rozpoczynał swoją godzinę od jakiej opowieści, do której powód zawsze znalazł: uczniowie z wlepionym węń wzrokiem, chwyтали każde słowo, chociaż glos jego był słaby i cichy. Jeżeli ujrzeli na twarzy profesora uśmiech (co było bardzo rzadkiem, a powodem jego była treść opowieści dowcipnej, wesołej) cała klasa brzmiała głośnym śmiechem, ale wnet gdy umilkł glos profesora, wracała cichość głęboka. Tak zwykle przechodził kwadrans lub pół godziny, dopiero właściwa zaczynała się lekcyja. Wszyscy rozochoceni już, z nadzwyczajną słuchali uwagą, i zaprawdę, z pół godzinnego wykładu więcej zkorzystali, niż z kilkogodzinnego innych nauczycieli. ⁽²⁾.

Jeden z uczniów ś. p. Ks. Dąbrowskiego, który imię swoje w dziejach literatury trwale zapisał, tak go nam maluje jako pedagoga. ⁽³⁾.

„Z wysokiego stanowiska zapatrując się na powołanie nauczycielskie Książd Dąbrowski, z pilnością i rzadkiem upodobaniem, rozmyślając dzieła sławniejszych francuzkich i niemieckich filozofów, tak wielkiej pod względem pedagogicznym nabył biegłości i wprawy, że mimo tylu wrodzonych sobie niejako przeszkód, tak w szkołach Pijarskich jak i w Liceum Warszawskim, gdzie od roku 1809, aż do założenia Uniwersytetu był professorem, bez najmniejszego ze swojej strony natężenia, podług upodobania, władał najdzikszą i najuporniejszą nawet młodzieżą. Umiał on zręcznie w każdym razie uprzedzać chwilę niesmaku, który pospolicie po zmordowaniu uwagi następuje; a jego dowcip, a szczególnież téż nadzwyczajna pamięć, tysiącznych mu dostarczały myśli i różnego rodzaju powieści, któremi oszczędnie i jakby od niechcienia rzucając w różnych chwilach, nie tylko pożytecznie, ale i przyjemnie nauczał. Najbardziej ograniczony, zupełnie nawet powątpiewający o możliwości pojęcia rzeczy, nie śmiał wtenczas gdy Dąbrowski mówił, czém inném jak wykładem jego zaprzętać głowy; bo pamiętał to dobrze, że jeśli przy swojej usilnej uwadze, zrozumieć czego nie zdoła, nauczyciel zamiast groźnego łajania, powie mu: że tak się zwyczajnie dzieje, że naukę zrozumie tak dobrze jak drugi, i że tém, iż to nie teraz ale trochę później nastąpi, wcale się zrażać nie powinien. A niechby któremu przypadkiem z tych, co już od dzieciństwa nie wiele z siebie obiecują w przyszłości, zdarzyło się na chwilę zapomnieć, i przerwać niecną jaką sprawką, głęboką cichość współtowarzyszów: albo, co gorsza, na powszechnie ztąd powstałe oburzenie, niedość się czułym okazać, zapewne, po otrzymanej nauce, nalogi swoje na drugi raz lepiej nauczył się powściągać. Wtenczas to bowiem

⁽¹⁾ W Warszawie. na Długiej ulicy.

⁽²⁾ W Liceum Warszawskim na lekcyi skradziono Ks. Dąbrowskiemu exemplarz *Biblii*. Tego wypadku przez całe życie zapomnieć nie mógł, bardzo więc często o nim wspominał nam w klassach. a nieraz z takim obrzieniem i wymownie malował ohydę kradzieży, że zimny dreszcz całą młodzież przejmował

⁽³⁾ K. Garbiński. Posiedzenie publiczne Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu na uczczenie pamiętki uczonych mężów, a mianowicie Polaków, d. 15 Lipca 1826 r. Warszawa

Dąbrowski, w jednej chwili zebrać umiał całą przytomność i przenikliwość swoją. Jednym ruszeniem głowy lub ręki, albo też innym na pozór nie znaczącym znakiem, dając poznać nieukontentowanie swoje; do tego stopnia uwagę wszystkich natężyć umiał, iż każdy, z obawy stracenia choćby najmniejszego słówka z mającej nastąpić sceny, oddech w sobie zatrzymywać się zdawał. Po takowem dopiero przygotowaniu, Dąbrowski o połowę jeszcze cichszym jak zwykle głosem, obojętnie niby, a ze szczególniejszém urozmaiceniem w opowiadaniu, z samego zdarzenia, lub innego malującego dobitnie skłonność winowajcy, którego zwykle nie wymieniał, ułożył na prędce historijkę; i z niej w tak dowcipnych wyrazach, i łatwo lgnących w pamięci, uczynił zastosowanie; iż czyn przez który lekcja przerwana została, nie tylko na miejscu zyskał pogardę, ale, co okropniejszém nie raz dla jego sprawcy było, dał powód do jakiego nowego przysłowia lub przypowieści, które uczniowie wszyscy, z upodobaniem nie tylko pomiędzy sobą opowiadali, ale może kiedyś i wnukom swoim dla nauki powtarzać będą”.

W roku 1809, kiedy król Saski a książę Warszawski życzył sobie mieć przy boku swoim polaka, obeznanego należycie z naukami, który by mu objaśniał miejsca trudniejsze, na jakie w czytaniu dzieł polskich natrafiał, i zarazem synowcom jego dawać mógł lekcye języka polskiego i literatury: przedstawiono temu monarsze Księdza Dąbrowskiego.

Przy tworzeniu się Uniwersytetu Warszawskiego, *Ministerium Oświecenia*, pragnąc przez rodaków a nie cudzoziemców podźwignąć i rozszerzyć matematykę w kraju; wybranych Dąbrowskiego uczniów, na doskonalenie się za granicę, a mianowicie do Paryża, wysłało; tymczasowie zaś, dowolny niektórych części matematyki wyższej wykład, *Armińskiemu* i Dąbrowskiemu powierzyło.

„Dąbrowski” (słowa K. Garbińskiego) chociaż znacznie wyżej, aniżeli plan szkół wymagał, obeznany był z matematyką; nigdy przecież aż do téj epoki, nie miał ani dość czasu, a tém bardziej sposobności, poznać gruntownie i należycie wszystkie jéj części, które zwłaszcza pracami nowszych jeometrów, nie tylko nadzwyczaj rozszerzone, ale nadto i nieznanemi wynalazkami zubożone zostały. Ta trudność nie zraża wcale Dąbrowskiego, a zamiast pogardzania wszystkiém czego nie znał lub nie rozumiał, (jakby to może nie jeden na jego miejscu uczynił) ożywiony szlachetną żądzą dobra, chcąc własnym przykładem, uczniów za granicę wysyłanych, do pracy, a nadewszystko do wytrwania, zachęcić; ochoczo się wspólnie z nimi ubiega. Mimo dość już podeszłego wieku, zwłaszcza skołatanego ciągłym prawie cierpieniem i 30 letnią służbą publiczną, tego dokazać umiał; że nim kochający go rywale wrócili, on już najtrudniejszą gałąź matematyki, rachunek *różniczkowy i integralny*, ze zwykłą sobie łatwością i zamilowaniem wykładał.”

Do téj wytrwałości w nabywaniu ciągłej nauki, do téj bez przerwy pracy, łączył Dąbrowski wszystkie przymioty dobrego chrześcijanina, zacnego nauczyciela, pożądanego towarzysza w każdym zebraniu dobrzańszém.

Z pism zostawił:

1. *Arytmetykę*, wzorową pod względem pedagogicznym, umieszczoną w książce powszechniej, znanéj p. n. *Nauka czytania*.

2. *Jeometrię podług Lacroix*, przeznaczoną na szkoły ówczesne Wojewódzkie. Dwa wydania dzieła tego wyszło; trzecią do druku ze zmianami w ostatnich chwilach życia przygotował.

3. *Algebrę Elementarną*, dla szkół Wojewódzkich.

W pismach społecznych perjodycznych, jak *Pamiętniku Warszawskim*, F. Dmochowskiego, L. Osńskiego i F. Bentkowskiego, w różnych przedmiotach pisane, umieszczał swoje rozprawy, jak: *O pokarmach i napojach: o różnych częściach antropologii podług Kanta: uwagi nad sposobami dawania po szkołach matematyki, i w. i.*

W rękopismach zostawił:

4. *Zastosowanie Algebry do Jeometrii, linii i powierzchni rzędu drugiego.*

5. *Rachunek różniczkowy z ważniejszymi zastosowaniami.*

6. *Rachunek integralny i różnicowy z przystosowaniem.*

7. *Algebrę transcendentálną.*

8. *Stereometrię.*

9. *Trygonometrię sferyczną.*

Dnia 5 Marca 1825 r. właśnie po mszy studenckiej rannéj, gdy uczniowie wychodzili z kościoła, na korytarzach rozległ się odgłos dzwonka, zapowiadający śmierć jednego z profesorów.

Przestrach z początku, a wielki żal następnie przejął wszystkich, gdy się dowiedzieli: że w téj chwili kona ukochany professor. Wbiegłem do celi księdza Dąbrowskiego, na wazkiem i twardém łożu, już dogorywał; usłyszałem ciężkie, ostatnie jego westchnienie. Przy łożu kłęczała jakaś w Wieku kobieta, a blizka krewna zmarłego, płacząc rzewnie i modląc się zarazem. W głowach stał w kącie ściany pęk lasek z różnego drzewa, które z każdej swéj podróży, z każdej wycieczki po kraju, z piękniejszych i sławniejszych okolic, zachowywał na pamiątkę i napisem oznaczał.

Nie jedna Iza i współtowarzyszów w zawodzie nauczycielskim, i przyjaciół, i wdzięcznych uczniów, uświęciła pogrzeb zgasłego księdza Dąbrowskiego, w 56 roku życia. (1).

KAROLINA SKIBICKA.

(Pomnik kamienny z podziemnym sklepem).

„STROSKANY SYN, MAŻ I OJCIEC, POLEGA POBOŻNYM WESTCHNIENIOM: NAJLEPSZĄ MATKĘ JULIANNĘ SKIBICKĄ, ZMARŁĄ D. 10 LIPCA 1843 R. NAJLEPSZĄ ŻONĘ, HELENĘ Z DRZEWIECKICH SKIBICKĄ ZMARŁĄ D. 18 KWIETNIA 1842 R. NAJLEPSZĄ CÓRKĘ, KAROLINĘ SKIBICKĄ ZMARŁĄ W PARYŻU D. 7 LISTOPADA 1849 R.”

Kiedy Bóg chce w ludziach obudzić myśl o znikomości świata, i zwrócić na przyszłe w wieczności życie; wybrane dusze, odziane w powłokę cielesną, piętnuje tym wyrazem woli swojej; i każe im zstąpić na krótką ziemską gościnę.

(1) Ksiądz Andraszek Pijar, znany a uczony filolog, skreślił życiorys ks. Dąbrowskiego, w którym mówi: „że trafny i szybki a gruntowny sąd jego o każdej rzeczy, nadawał zdaniu jego tyle szacunku i powagi:” „*ul facile omnium animis dominari posse videatur.*”

Jenjusz młodości wie dzie je ścieżką światową, a Anioł stróż wskazuje tylko przestrzenie niebios, i myśl a serce owija świętą przędzą, że żadne nie zwala się kałem ziemskim, nie zwróci do jego uciech i roskoszy.

Spojrzyj na te wybrane istoty; ich oczy pełne ognia życia, jakaś mgła smętna łzawi; uśmiech rzewnością tylko barwny, nie ma cechy radości świata; wśród jego gwaru, one tęsknią, wśród zabawy, dumają; ale ich serca pełne miłości dla braci, jak i Pana, ich myśl obudzona wznosząc się do Stwórcy, i dla bliźnich skłania. Ziemia nie ich celem, to krótka jeno pielgrzymka, jakoby próba skrzydeł młodego do polotu sokoła; ten pewny ich mocy, ufny że posłuszne jego woli, ulatuje z gniazda, aby szybować pod słońcem, po nad szczyty gór i lasów; te, powłokę ziemską składają w chłodnej ziemi, aby duszą ulecić, i zacząć inne w wieczności życie.

Patrzałem na te wybrane istoty, znałem je z bliska, i korzyłem się przed niemi.

Miałem takiego towarzysza szkolnego, na jednej z nim ławce przesiedziałem lat kilka. W bardzo młodym wieku porzucił szkoły, uciekając od światowego gwaru; przywdział habit Kameduły na Bielanach pod Warszawą, i tu doszedłszy godności Przeora, w trzydziestu kilku latach życia, skończył dni swoje, i spoczął w pieczarach zakonnych.

Pierwszy raz poznałem co to dziewiczość uczuć w młodzianie, którego czoło Bóg napiętnował jako wybranego na służbę swoich oltarzy. To wzniosłe godło, zmuszało żywą nawet młodzież do szczególnego uszanowania; miał on tę wyższość, którą zdobywali drudzy zdolnością, dowcipem, nauką, śmiałością i odwagą; a tę wyższość zjednywał sobie tym łzawym spojrzeniem, co na cierpienie, doznana krzywdę, nie ma słów w ustach, ale je czytasz w oczach: a wzrok ten, rozbraja gniew i zaciętość samą, budzi współczucie, i miękczy kamienne nawet serca. Tę wyższość zdobywał owym uśmiechem rzewnym, bolesnym, co w niém czytasz i radość nie ziemską, i cierpienie ziemskie, i modlitwę szczerą, i skargę zarazem.

Takiego uśmiechu ludzie zwyczajni nie znają; ich usta nie potrafią się ułożyć do niego, jest to bowiem uśmiech duszy w zachwycie będącej, gdy myśl promienieje natchnieniem Bożem. Taki uśmiech miewa czasem w samotności artysta-poeta, malarz, muzyk, w chwili tworzenia, gdy pióro czy pędzel wierne i posłuszne ma swemu natchnieniu, a które także jest Bożem natchnieniem. Nie zna go świat, ani żadne choćby najświetniejsze salony; bo to rzadkie zjawisko uśmiechu artystycznego, mignie najczęściej w skromnej chudobie, gdzieś na poddaszu, przy świeczce łojowej, lub płomieniu lucywa. Widziałem go tam właśnie nie raz, i mogłem porównać z uśmiechem onych pielgrzymów Bożych.

Rzadkie to bardzo przykłady, spotkać młodzieńca tak wybranego na służbę oltarza; częściej w młodych dziewicach dopatrzysz to piętno Boże. Ale że się wyrażę słowami ś. Ambrożego:

„Któż pojmie jej życie? kiedy ona za prawami była natury... ona w niebiosach czerpała, aby naśladować na ziemi.”

Wzniosłe to wyrażenie jakże wybornie maluje ten stan wyjątkowy dziewicy, której ludzie zrozumieć nie mogą, bo *„ona w niebiosach czerpała, aby naśladować na ziemi.”*

I stąd, taki wysłany anioł na ziemię, obleczonej w wąż powłokę ciała, choć wyraźne nosi znamiona pochodzenia swego, choć wymusza cześć i podziw; niepojęty dla wielu, musi tęsknić

do swęj ojczyzny, i częściej smętnemi oczyma zapatrywać się w same niebiosa, choć czuje, jak ma krótki tylko naznaczony przelot przez ziemię.

Do takich dziewic naszych należała ś. p. Karolina Skibicka. Postać to wydatna, mogąca być perłą powieści, ale powieści nie zwyczajnej, jakiej literatura nasza nie zna, której treścią i wątkiem myśl Boża, zesłana na zasilek duszny, w postaci młodych i uroczych apostołów.

W staręj naszęj Rzeczypospolitej, takie postacie wybranych, od chwili dziejowej, gdy dwaj aniołowie nawiedzili skromną chatę Piasta, nie były tak rzadkiemi zjawiskami. Pobożność ojców naszych, obmyśliła dla tych dziewic schronienia, które w zakonie małżeńskim, nie widziały celu swego posłannictwa. Czuwało troskliwe oko starszych nad niemi, i rodzice z równą radością wiedli swoją dziewczkę pod zasłonę zakonną, jak do ślubu na stopnie ołtarza. O! bo wtedy ich serca, były kościołem wiary, poświęcenia i miłości: ta trójca, opromieniała każdy dzień żywota, i błogo wiodła drogą od kołyski do grobu.

Czas, w naznaczonej godzinie woła Przedwiecznego, zamknął wielką księgę przeszłości naszęj, a zapisane jęj karty czynami, życiem i myślą praojców, z dzisiejszych potomków za ledwie który potrafi odczytać nie całość, ale małe ustępy, przed którymi czołem skłonić musi. Na tych kartach, jawią się gęsto takie postacie, ale nie obudzały podziwu wśród narodu, pełnego wiary i myśli Bożęj.

Nie będę wam opowiadać biegu życia zmarłej dziewicy, której grobowiec dłużej nas zatrzymuje. Całą postacią, od dzieciństwa do dojrzałości dziewiczej, jak i obliczem, jaśniała tym wyrazem nie ziemskim, co znamionował przelot pomiędzy nami, jakby ptaka wędrownego z krajin nieznaných. Twarz ściąglą wieńczyła bogata kosa jasnych włosów; w niebieskich oczach, choć światło młodego tła życia, mgła smętna je mroczyła. Taka postać pięknej i dorodnej polskiej dziewicy, musiała podziw i holdy obudzać.

Nie dla nięj był gwar świata i jęgo uciechy; słuchajmy własnych jęj słów, jak w poufnych listach do przyjaciółki, na rok przed zgonem, otwierała serce i myśli swoje:

„Wyrzucają mi, że stałam się małowowiącą, nudną, nieznośną; i ja to sama czuję, ale bo wszystko to, co po za domem otacza mię, takie zimne, takie światowe. Często bardzo westchnij za mną, bo czuję potrzebę, żeby się kto za mnie pomodlił.”

„Myśl, że znowu wejđę w świat, od któregoś się na czas uchylila, mięsza mnie. Boję się że- bym w nim nadto przyjemności nie znalazła. Stał mi się tak obcy, a ja dla niego tak się nie czuję stworzoną, że w nim obcą będę; a powoli może zechcę powrócić do jęgo form i sposobu myślenia. Żle by było, bo bym zamknęła serce na głos Boży, który je powołuje na inną wznioślejszą drogę.”

*

*

*

„Ciagle są wieczory, tańcujące nawet: przykro mi na nich nie być, przykro sprzeciwiać się woli ojca. Nie bałabym się wieczoru lub balu, widząc że tylko to robię dla tego, że muszę przez posłuszeństwo; a choć to czas bardzo stracony, jednak mi to Bóg przebaczy, i nieodejmie swęj świętęj łaski; ale co mnie trwoży, to to: że widzę moją duszę skłonną do odstąpienia drogi, którą sobie byłam obrała. Widzę jak powoli przywykam do tych zabaw, które mnie na początku

trwożyły, jak zaczynam lubić je nawet; a do modlitw, do wzniesienia myśli do Boga, wszystkich cnót, jaka wtenczas niechęć, jaka oziębłość, i jaka okropna czczość w duszy. Jak pomyślę o zeszlém lecie, o twojej przyjaźni, jak mi się też często łzy z oczu potoczą!"

„Ty mnie zrozumiesz, pojmiesz, ty wiesz jak są słodkie religijne pociechy. O! jak okropna musi być myśl wpadnięcia znowu w sidła światowe, i zostania jedną z tych istot, których od niejakiego czasu nie pojmowałam, i niedorzecznemi znajdowałam. Nie pojmujesz jak sercu bolesno widzieć osoby, które mnie najwięcej kochają i które ja kocham, ciągnące mnie do mego nieszczęścia, podług moich wyobrażeń, rwące to, co mi najdroższe, i ścierające wszystko, co mi najmiłsze w moich uczuciach.”

Wyjątki te pokazują w całym świetle, ową walkę młodej duszy, co zna i rozumie swoje postąnnictwo, a przykuta do ziemi, lęka się świata powabów i jego złudzeń. Znać obawę, co z bijącym sercem, jak trwożny gołąbek, spogląda na wabne kwieciste ustronie, i on strumień w cieniu żywej wody, a lęka się w polocie tu zmordowaném skrzydłem odpocząć, bo przeczuwa sidła niewoli, co ją pozbawia swobody. Zdobywa więc w sobie siłę potrzebną, i choć oczy w ten uludny zagaj zwraca, leci dalej w swoją drogę!

Na dziesięć miesięcy przed zgonem, ś. p. Karolina Skibicka, jeszcze czerstwa zdrowiem, z uniesieniem opisuje swoje modły w kościele PP. Wizytek w Warszawie.

„A i moja dusza wzniesioną była ku Panu; *zdawało mi się żem nie skrępowana do ziemi, do świata; ale że tak jak te dusze wybrane, mogę żyć i nasycać się jedynie Jego miłością.* Śliczna muzyka, zwiększała jeszcze moje rozczulenie, łzy gęste puściły mi się z oczu; jakby ciężar jakiś spadał mi z serca, a dusza napawała się tém świętém szczęściem, którego była spragnioną. O! gorące były natenczas moje modlitwy.”

Wkrótce opuścić kraj musiała; zątrwajające znaki śmiertelnej choroby, mogły tylko być uleczone południowym klimatem; oznaczona dla téj dziewicy godzina, do zrzucenia powłoki cielesnej i powrotu do właściwej jej ojczyzny, zdawała się wybijać, przejmując trwogą i rodzinę i przyjaciół. Ostatnie modły swoje, na rodzinnéj ziemi, złożyła u stóp cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie.

Przybyła do Paryża aby w nim skonać. Znikł rumieniec z lica, blask życia z oczu: siedziała z różańcem w ręku, prosząc obecnych, aby za nią modły wznosili. Wszystkie środki nauki lekarskiej, na nic się nie przydały; asnęła snem cichym, spokojnym, wieczystym, d. 7 Listopada 1849 r. mając lat 49 (1).

W Maju następnego roku, w przystani *Hawru*, okręt norwegski czekał w pogotowiu; kapitan i marynarze stali z odkrytymi głowami na pokładzie, małe grono osób, ze łzami na licach, z pochylonymi głowami, klęczało na nim, przyjmując zwłoki zmarłej dziewicy. Skończono modły, okręt przewiózł je do Gdańska, ztąd parowy nasz statek *Kopernik* złożył na Bielanach. Przeniesione do rodzinnego grobu na powązkach, spoczęły na swojej ziemi, obok prochów babki i matki.

(1) Urodziła się d. 5 Lipca 1830 r. na Wołyniu, we wsi Werbie.

Otóż cała droga młodej dziewicy, cały jej zawód ziemski. Wnuka legijonisty, (1) w kwiecie wieku skończyła dni swoje: „*aby złość nie zmieniła umysłu, a błąd nie skaził jej duszy. Podo-
bała się Bogu, dla tego przyspieszył ją wywieść z pośród nieprawości,*” (Lib. Sap.).

Druga wnuka legijonisty improwizatorka nasza *Deotyma*, uświęciła pieśnią pamięć znanęj sobie dziewicy. Pod tém świeżem wrażeniem potęgi słowa tej pieśni; gdym wieczorem błędząc po cmentarzu, stanął u grobu rodzinnego Skibickich, zdalo mi się że widzę w jasnej gwiazdzie, co przyświecała na pogodném niebie, uroczą postać zmarłej Karoliny!

KLEMENS URMOWSKI.

„KLEMENS URMOWSKI SĘDZIA APPELLACYJNY, UR. 23 STYCZNIA 1780 R. UMARŁ DNIA 4
PAŹDZIERNIKA 1827 ROKU.”

(*Na starym cmentarzu kamień zamazowy i ledwie czytelny: przy nim dwa kamienie z napisami,
gdzie pochowano dwóch jego synów.*)

1. „TU SPOCZYWA OBOK CZCIGODNEGO SWEGO OJCA, KLEMENS URMOWSKI PISARZ SĄDU POPRAWCZEGO, ZMAREY
D 7 LUTEGO 1847 R. ŻYŁ LAT 24“

„Kochał swe obowiązki, szedł gościńcem cnoty,
Był podporą rodziny, i wsparciem sieroty.”

2. „TU LEŻY ALEXANDER URMOWSKI, URZĘDNIK SĄDU APPELLACYJNEGO, ZMAREY D. 21 PAŹDZIERNIKA
1841 R. W 32 ROKU SWEGO ŻYCIA.”

„Znany z uczciwości, serca poczciwego
I czynem i sercem, ukochał bliźniego”

Urodził się we Lwowie umarł w Warszawie. (2). Po ukończeniu chlubnie nauk, oddał się idąc w ślady ojca swego zawodowi urzędnika w królestwie Galicyi i Lodomeryi.

W r. 1809 tymczasowy Rząd Województw, następnie przyłączonych do Księstwa Warszawskiego, wezwał Urmowskiego aby jeneralnego sekretarza w głównym rządzie zastępował. Przeszedł następnie na Prezesa Sądu Kryminalnego Lubelskiego, a na własne żądanie przeniesiony na Sędziego Cywilnego Trybunału w Lublinie, był zarazem egzaminatorem kandydatów na urzędy, i czynnym gorliwie członkiem dozoru szkolnego.

W r. 1813, Szpitale w Lublinie przepelnione były choremi: zaczęj pamięci Urmowski, nie tylko osobiste usługi i czas wolny od urzędowania poświęcał usłudze chrześcijańskiej, niosąc pomoc rannym i chorym, ale złożył ofiarę z miernego swego majątku.

Od r. 1815 mianowany Sędzią Appellacyjnym w Warszawie, odznaczał się nieskazitelną prawością, gorliwością i nieustanną pracą, która téż zwałiła jego siły. Przy końcu życia miano-

(1) Po matce: Helena z Drzewieckich Skibicka, była córką Józefa Drzewieckiego znanego pod imieniem *Szefa*, i autora nader ważnych pamiętników ogłoszonych w *Athaeneum* J. Kraszewskiego.

(2) Wizerunek Urmowskiego z podpisem: „Klemens Urmowski Sędzia Appellacyjny Królestwa Polskiego. Doktor Prawa, Professor Encyklopedyi, Metodologii i Filozofii prawa w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie.” Litografował *J. Sonntag* z olejnego obrazu (niewiadomego artysty) w formacie wielkiego arkusza.

wany Pisarzem Sądu Sejmowego. Jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego wykładał: *Encyklopedyą Prawa, Zasady prawa natury, Statystykę, Instytucję prawa Rzymskiego*: następnie jako profesor stały, wykładał *prawo Kryminalne i Kościelne*.

Był członkiem towarzystw: *Warszawskiego Przyjaciół Nauk i Naukowego w Krakowie*: otrzymał doktorat Prawa w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ks: Szaniawski, przyjaciel Urmowskiego, skreślił rys jego życia i czytał go na publicznym posiedzeniu Uniwersytetu Warszawskiego 15 Lipca 1828 roku. W nim taki nam kreśli obraz zmarłego, a musimy wierzyć słowom nieskazitelnego w charakterze, kochającego jedynie prawdę, mówcy (1).

„Codzień zbywające chwile od zwykłych zatrudnień, obracał Urmowski na czytanie użytecznych książek, na pisanie własnych postrzeżeń i uwag. Z uzyskiwanego pracowitym życiem majątku, własnym wygodom ujmował, aby grosz oszczędzony, mógł łożyć na zakupowanie wyborowych książek: dobraną też posiadał bibliotekę: starał się nadto korzystać z bibliotek publicznych, i z uproszonych dzieł od przyjaciół. Nie miał dostatecznego czasu do wydania dzieła obszerniejszego, ale krótsze jego pisma w znacznej liczbie upowszechnione są drukiem. Wiele rękopismów zostawił służących do wykładu nauk w Uniwersytecie Warszawskim. Pełen stodoły, łagodności, domowe cnoty w najwyższym stopniu zachowywał. W licznych stosunkach przyjaźni, w obywatelstwa zawodzie, w urzędowych działaniach, dokładnym był wzorem ścisłego dopełniania obowiązków, i najwyższych chęci i usiłowań, aby dobro drugich pomnażać. Piastując znakomity w towarzystwie ludzkim urząd Sędziego, wszelkie łożył staranie aby bezstronność zachowywać najzupełniej. Usuwając najmniejsze pod tym względem powody, przykazywał najmocniej wszystkim w domu swoim służącym, aby nie przyjmowali żadnych ofiar dla niego, któreby strony, mające jaki w sądownictwie interes, nie śmiejąc wyraźnie, bo wiedziały iżby nie przyjęto, choć drogą uboczną składać chciały. Obojętny w nabywaniu i używaniu rzeczy dla siebie Urmowski, czułym był o dobro rodziny, trudnił się troskliwie wychowaniem liczego potomstwa, ubolewał przewidując, że widoczne sił jego ustawianie, przeszkodzi do osobistej pomocy dzieciom.”

Z pism zostawił:

W r. 1815 wydał Noworocznik literacki: p. n. *Almanach Lubelski*: który jako pismo zbiorowe na owe czasy, nie ma sobie równego, i stoi na czele wszelkich tego rodzaju publikacyj (2).

W r. 1816: „*Rozmowę Styłpona o wyborze naczelnego trybuna w Megarze*, (rzecz z Wie-

(1) Posiedzenie publiczne Królewskiego Uniwersytetu na uczczenie pamiętki uczonych mężów a mianowicie Polaków przy ukończeniu kursu rocznego nauk odbyte dnia 15 Lipca 1828 r. Warszawa 4.

W r 1819 Henryk L N Bando wydał w Warszawie dziełko o 51 stronnicach w 8 po łacinie p. n.

„Carmina quae cecinit Romana voce Polonus, Henricus L. N. Bando.”

Pismo to przypisał Klemensowi Urmowskiemu i Odę IV na cześć jego poświęcił Dziełko pomienione już dziś należy do bibliograficznych osobliwości.

(2) „*Almanach Lubelski na rok 1815 dla amatorów literatury ojczyznej*. W Lublinie u Jana K. Pruskiego.” w 12, str. 135. Na czele jest zwyczajny Kalendarz po nim następuje: „*Opis Historyczno Malarski Departamentu Lubelskiego*.” Rzecz starannie ze znajomością przedmiotu dobrze wypracowana p. Kazimierza Puchałę. Sztych,

landa wolno tłómaczona); podjął tę pracę Urmowski bacząc na trudność wyboru urzędników zdolnych, których się okazała potrzeba w pierwszych latach Królestwa Polskiego.

W przypisie do Stanisława hr. Potockiego Ministra Oświecenia Narodowego, tak się zaczęła pamięci Urmowski wyraża: „Wszystko od ludzi zawisło! Tak o tym z dziejów światowych i z własnego doświadczenia przekonany jestem, że nigdy tego powtarzać nie przestanę. Prawa nawet niedokładne, powierzone ludziom łączącym potrzebne do ich administrowania przymioty, nie tylko że nie będą ze swój wydane niedoskonałości, lecz przez zachowaną im powagę, przez nadaną tak potrzebną każdemu *prawu* sprężystość, utrzymać zdołają porządek, do uszczęśliwienia każdej społeczności tak konieczny: a do którego gdy ludzie raz nawykną i swój własny w nim poznają pożytek, tak przykro im potem przychodzi występować z kolei, w którą raz się wdobyli, że pomimo skłonności ludzkiej do nowości, pokoleń trzeba, aby prawa stare, doskonalszym ustąpiły. Przeciwnie *prawa* wyczerpujące wszystkie niemal przypadki, prawa tak doskonałe, w jakie nasz wiek jest obfity, w którym nauka rządzenia ludźmi, po przyznaniu praw im służących, już prawie do najwyższego doszła stopnia: prawa mówię takowe, powierzone do wykonania ludziom albo niezdatnym, albo złośliwym, lub co się także zdarza będącym tém obojgo: tracą na swój doskonałości, i albo nadużywane, albo wcale nieużywane bywają. A jeżeli cel ich bywa czasem dopięty, to wtenczas tylko zwykło następować, gdy się dostaną w ręce piastunów, odpowiadających chęciom samychże prawodawców. Bolesną prawdziwie jest rzeczą, gdy nie prawo ludźmi, lecz odwrotnie ludzie prawami władają. Tak się dzieje w świecie! i kiedy te złote nastąpią czasy, w których nienaruszoną będzie praw świętość, trudno naznaczyć: a pono napróżno cieszyć się tą przyszłością, przynajmniej póty, póki trwać będzie dzisiejszy sposób myślenia, podług którego, każdy za własnymi tylko idzie korzyściami, zapominając o dobru publiczném. Nie inaczej! póki o tém świętém prawidle starożytnych: *Salus publica, suprema lex esto*, wykonawcy praw z gruntu przekonaniem nie będą, prawa nie przestaną być bezskutecznymi.”

przedstawiający rozwaliny Zamku Firlejów w *Dłubrowicy* pod Lublinem, ręki brata wydawcy, Leona Urmowskiego Porucznika Korpusu Inżynierów w. p. Największą część tego Noworocznika, zajmują prace Józefa Sygierta, przyjaciela Klemensa Urmowskiego. Urodzony w ziemi Sanocekiej 1780 poświęciwszy się naukom filologicznym a głównie językom greckiemu i łacińskiemu zapragnął celniejsze utwory starożytnej literatury, w ojczyźnie oddać mowie. Przetłóżył z greckiego *Tucydidesa* historyka: pieśni *Tyrteusza*, *Biona*, *Moscha*. „Przykro mu było jak wyraża Urmowski) czytać Homera nie z greckiego tekstu przetłóżonego, i podjął trudną pracę, wykazania uczonym rodakom, jak wiele traciła *Iliada* w tłumaczeniu Dmórchowskiego, aczkolwiek wielkie zalety w sobie mającym.” Tłómaczył z angielskiego pieśni *Ossjana*: z łacińskiego niektóre *Elegije Klemensa Janickiego*. Z tych prac, w tym Noworoczniku mamy: cztery *pieśni Tyrteusza*, ułamki z *Moscha i Biona*; *Janickiego* wiersz do *potomności*: *elegije do Piotra Knity* i do *Rafala Wargawskiego*. Z *Ossjana*; *Kalton i Kolmala* dumę. We wszystkich tych utworach śliczny język, wierność przekładu, wielka staranność formy, wzbudzają żal po stracie zbyt wczesnej, bo w 24 roku życia *Sygierta*. Przed śmiercią na rok, zaczął zbierać materiały do historii literatury polskiej, mając wielką w tém pomoc w bibliotece Józefa hr. Max Ossolińskiego w Wiedniu, wybrany na bibliotekarza przez tego uczonego męża, po znanym Bogumile Linde. Zmarł *Sygiert* w Lipcu 1804 r. Almanach Lubelski miesiąc jeszcze pomniejsze prace *Sygierta* prozą i wierszem: resztę rękopismów zmarłego przyjaciela jakie posiadał, przyrzekł wydać Urmowski, ale późniejsze okoliczności stanęły na przeszkodzie. Wielka część rękopismów młodego pisarza, pozostała w bibliotece Ossolińskich: tam został też *Tucydidesa* przekład. Urmowski zamknął swój piękny Almanach dwoma Odami: Fr. Morawskiego i K. Tymowskiego, które wywołały ówczesne wypadki.

(Stilpon rozmowa patryotyczna o wyborze Naczelnego Trybuna w Megarze zastosowana do krajów, w których wybory urzędników miejsce znajdują. Z dzieła niemieckiego C.M. Wielanda. Warszawa 1816, w 12, str. 93).

W r. 1819: „Rozprawę o środkach nadania prawom powagi i jej zachowania,” (w 12 str. 71 w Warszawie). W przypisie Staszicowi, objaśnia, że rozprawa ta, jest dalszym ciągiem *Stilpona*.

Na publicznych posiedzeniach Uniwersytetu Warszawskiego, czytał własne rozprawy. W r. 1821: „*O Salomonie Maimonie filozofie polskim.*” W r. 1824: „*O wpływie religii chrześcijańskiej, na udoskonalenie najważniejszych prawnych stosunków ludzkich.*”

Niemaló prac zostawił Urmowski w rękopismach: wyliczemy je tu wszystkie, bo dają świadectwo wymowne, wytrwałej pracy, i zasług zmarłego męża.

1. *O Sądzie Kassacyjnym.*
2. *O większości głosów przy wyrokowaniu w sprawach kryminalnych.*
3. *Historja polska*, wyjęta i przelożona z historyi Powszechnej Daniela Ernesta Wagnera, do której własne dodał uwagi.
4. Rozprawa o *Niewdzięczności*, przekład z niemieckiego Adolfa Barona Knigge.
Zostawił do druku gotowe kompendja:
5. *Prawa natury.*
6. *Prawa kryminalnego, i uwagi nad témże prawem.*
7. *Prawa kościelnego.*

Które to przedmioty wykladał jako professor w Uniwersytecie Warszawskim.

Pisał wiele do *Gazety Warszawskiej i Korrespondenta*: między tymi najważniejsze są podane szczegóły do życiorysu T. Kościuszki.

W Kalendarzyku Politycznym (Warszawa 1823), ogłosił opis historyczno-malarski Województwa Sandomierskiego.

WALENTY SKOROCHÓD MAJEWSKI.

„CIENIOM Ś. P. WALENTEGO SKOROCHODA MAJEWSKIEGO REJENTA METRYKI KORONNEJ K. (RÓLESTWA) P. (OLSKIEGO) BYŁEGO DEPUTOWANEGO M. (IASTA) S. (TOŁECCZNEGO) W. (ARSZAWY) NA SEJM W R. 1820 I 1828: MĘŻA KTÓREGO PIERWSZĄ POWINNOŚCIĄ BYŁA CNOTA, A OZDOBĄ GŁĘBOKA NAUKA: ŻYŁ LAT 73: UMARŁ DNIA 3 LIPCA 1835 ROKU, ŻONA MĘŻOWI.”

(Kamień na ziemi położony na granicy starego i nowego cmentarza).

Niedawne to czasy, kiedy z jednego domu Święto-Jańskiej ulicy, ukazywała się codziennie wyniosła postać polonusa w kontuszu i żupanie, przechodząca poważnie to do kościoła kate-

dralnego Ś. Jana na mszę świętą, to ukazująca się na placu zamkowym: rzadko kiedy w innej części miasta. Polonus ten ubiorem swoim, już tak rzadkim, zwracał uwagę wszystkich. Był to Paa Skorochód (jak go zwykle zwano) Metrykant Koronny i Członek Izby Poselskiej.

W jednym z dzieł swoich, taką samą o sobie podał wiadomość: (1)

„Urodziłem się w r. 1764, w zarody następnych przygód krajowych okwitym, w części dawnego Województwa Podlaskiego do Dyecezyi Wileńskiej należnej, na łonie licznej rodziny, służbą wojskową i uprawą własnej roli od wieków ciągle zajętej. Ze strony macierzyńskiej miałem wuja, młodszego mojej ś. p. matki brata, który rozpoczynając nauki publiczne w Szcuczyźnie Mazowieckim, później dla wszczętych wstrząśnień krajowych, na ukończenie onych do Warszawy był odesłany. Jemu, i mojej matce, winienem początkowe i dalsze moje prowadzenie.

„Mając rodzinny szczupły księgozbiór w puściźnie, i naukowe od mego wuja w darze książki, przy gorliwości mojej dobroczynnej ś. p. matki, usposobiłem się do rozpoczęcia szkół publicznych. Ale ówczesowe zaburzenia krajowe, a następnie zniszczenia tej przestrzeni obywateli, długo stały temu na przeszkodzie. Dopiero na początku r. 1779, od mego wuja wezwany do Warszawy, zdałem dowody moich domowych usposobień, i jedynie dla obeznania się z dyalektem mazowieckim od podlaskiego różnym, tudzież dla posuniętego biegu rocznych nauk, do pierwszej klasy, w szkołach X. X. Pijarów zapisany zostałem. Początkowe klasy dla moich domowych przygotowań, podług dawnego układu prędko z korzyścią przeszedłem, ale nierównie korzystniej za nowego układu, przez Kommissyą Edukacyi Narodowej zaprowadzonego, pod dobraniem z tegoż szanownego Zgromadzenia nauczycielami, jako to: Filipem Ner. *Golańskim* wymowy i literatury, J. K. *Łańcuckim* geometryi i historyi naturalnej, Patrycem *Przeczyskańskim* Matematyki i loiki, później tychże nauk, a mianowicie loiki podług Kondyllaka, z którego całym biegiem nauk, dla jednego z panujących Książąt włoskich, pod szanownym ile sobie przypomnieć mogę J. X. Sokolowskim, szczególnym moim dobroczyńcą, jako też z zasadami *Lejbnitza*, tak w biegu nauk publicznych, jako w prywatnym udzielaniu się, oswoilem: pod ś. p. Anzelmem *Zdzieńskim*, mężem wyłącznie dla dobra ówczesnej młodzieży i kraju urodzonym, w fizyce i wszelkich tej umiejętności gałęziach, z jakowych wyciągi znaczną część zebranych przezemnie materiałów składają, uprawilem się. Pod Kornelimi *Meszczyńskim*, a nieco później pod czcigodnym ś. p. Teodorem Ostrowskim podlasiąninem, moim prefektem i dobroczyńcą, odbyłem podwójny bieg historyi powszechnej i szczególnych, prawa natury, powszechnego rzymskiego, narodów, politycznego i polskich do rzymskiego zastawianych. W języku francuzkim pod świeckimi nauczycielami: a mianowicie do niemieckiego pod moim ś. p. za polskiego i pruskiego rządów kolegą *Neumanem* od 4 do 6 klasy ukończyłem. Ale że miałem powierzony sobie obowiązek dyrektora szkolnej młodzieży, a w zachodzącej potrzebie i zastępstwo nauczycieli klass niższych, przeto nie będąc w możności udania się, do jednego z ówczesnych naszych Uniwersytetów, przy emolumentach z dyrektoryi mianych, jeszcze parę lat, dla wydoskonalenia się w językach francuzkim i niemieckim, tudzież dla czerpania ze źródeł na miejscu łatwiejszych, wyższych nauk, pozostać w szkołach postanowilem.

(1) Grammatyka mowy starożytnych Skuthow, Warszawa 1828 roku 4.

Łatwość dostania dzieł potrzebnych z zamożnego księgozbioru tegoż zgromadzenia i biblioteki publicznej Żaluskich a nawet od wielu moich dobroczyńców, co mi wybór do mojego przedmiotu wskazywać raczyli, ujrzałem się w stanie ukończenia nauk. Lecz chodziło o wybór powołania. Jeden z moich dobroczyńców, radził mi stan wojskowy, drugi praktykę prawa, stosownie do nabytj w dawanych naukach teorii. Pierwszego krótko, drugiego zaś dłużej próbowałem. Wreszcie skutkami bezżenności, jakowe zawczesny zgon memu wujowi, dobroczyńcy, i spadkodawcy przyspieszyły, i podług dawanych mi przez niego samego za życia przestroóg, obrałem może zawcześnie, bo 22 roku mego życia wiele obiecującego, stan małżeński. Nowe to powołanie, zwróciło mnie po części naukom.

W r. 1791 od uczonego ś. p. J. X. tyle razy wspomnionego zgromadzenia Kajetana Skrzetuskiego profesora historyi, moralności i prawa w szkole Kadetów, proboszcza Większego Książa w dyecezyi Krakowskiej, łącznie ze swym powinowatym uczonym ś. p. Wincentem Skrzetuskim, dawniej moim prefektem i nauczycielem języka francuzkiego, zawcześnie zmarłym, do moich szczególnych dobroczyńców sprawiedliwie liczonych, za jego zastępcę władzom tego wstawionego Instytutu podany: dla obawy, abym oczekiwań jego i tychże władz nie zawiódł, upraszałem o rok czasu do zebrania niezbędnie potrzebnych w tym szczytnym zawodzie przygotowań. Władze chętnie do tego przyczynić się raczyły, a przeznacni ś. p. M. *Hube* i niedawno zmarły *Wulfers*, członkowie tego instytutu, gorliwie mnie wspierali w tym mozolnym zawodzie, wskazując i udzielając mi źródeł, z jakowych moje poszyty do prelekcyi zbierać musiałem. Mój też szczupły księgozbiór z samych klasyków, z dzieł nowszych jeograficznych, historycznych i moralnych był złożonym, tudzież wskazywanemi znacznie pomnożonym został.

Roczna tego rodzaju praca, okwity w poszytach moim dobroczyńcom następnie udzielanych dla przeglądu, plon przyniosła, i wprowadziła mnie na drogę ku wschodowi, po jakiej zachodzące wówczas ciemności w historyi powszechnj, a mianowicie względem wędrówek ludów w rozmaitych kierunkach, a szczególniej od wschodu ku zachodowi, i nawzajem, wyjaśnić można."

Oderwały go od tój pracy wstrząśnienia krajowe: szkoła Kadetów upadła. Majewski zamienił pióro na szablę; ale wkrótce burze przeminęły, osiadłszy w domowej zaciszy zajął się napowrót dawnemi badaniami dziejów starożytnych, i nauką prawa. Zasiadał w Kommissyi trzech Dworów, ustanowionj do obliczenia upadłości banków: Tepera, Szulca i Prota Potockiego.

Wielką miał łatwość do nauki języków: kiedy w r. 1796, uczuł potrzebę gruntownego poznania języka niemieckiego: tyle dolożył starań, że w pół roku nauczył się go doskonale.

W roku 1809 wezwany został na członka Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk: tu znalazł nowe zachęty do prac swoich, obeznał się z dyalektami wschodniemi, a szczególniej (jak sam wyraża) „z mową, matką starożytnych Azyi i Europy *Skuthów* czyli Indo-Skytów, wielką łączność z językami i dyalektami starożytnych i terażniejszych Słowian Europy, mającą."

W roku 1799 był powołany na główno-krajowego Archiwaryusza metryk koronnych: idąc drogą zasługi, został następnie Metrykantem Koronnym i Pisarzem Koronnym Królestwa. Jego

staraniem rozpoczęto porządkować dawne akta, spisano inwentarz, i pod jego kierunkiem przeniesiono do nowego składu. (1).

Położywszy sobie za główną i jedyną myśl dowieść pochodzenia Słowian od Indów, skierował ku niej wszystkie swoje badania, całą usilność i pracę, i tak na drodze dziejów, jak badaniami językowemi, z wolna przystępował do zamierzonego celu: ale ogromowi pomysłowi tego, mało życia jednego człowieka! Poświęcił temu nie tylko cały swój czas, ale i znaczny majątek, bo przeszło 200,000 zlp. Ogrom przygotowanych materiałów zostawił w rękopismach, małą częśćkę ogłosił tylko drukiem:

1. *O Sławianach i ich pobratymcach. Warszawa 1816 r.*

2. *Rozkład i treść dzieła o początku licznych Słowiańskich Narodów, tudzież każdego w szczególności. Warszawa 1818 r.* Jest to prospekt i objaśnienie obszerne w 4 tomach dzieła, które pozostało w rękopiśmie.

3. *Zbiór rozpraw podług działów nauk i umiejętności, historyą wędrowek, przesiedlen i przenosin, ogólną i szczególną, ludów i narodów odrębnych rass czyli plemieni, z jednej do drugiej krawędzi kuli ziemskiej wyjaśniających, i za przypisy do tejże historyi rozbiorowo i chronologicznie zebranych służących, w miejsce wstępu do obszernego dzieła rozpoczęty Warszawa 1828 r. stronie 256 i mappa.*

4. *Grammatyka mowy starożytnych Skuthow czyli Skalnych Górali, Indo-Skythów, Indyków Budhynów Herodota. Samskrytem czyli dokładną mową zwaną. Z oryginału Samskryckiego. Warszawa 1828 r. 4. (2).*

5. *Brahma-waiwarta-Puranam, osnowa z rękopismu Biblijoteki Królewsko-Berlińskiej przepisana, z przydatkiem przekładu łacińskiego A. F. Stenzlera ogłoszona: z Samskrytu przełożona. Warszawa 1840.*

6. *Grammatyka języka Tureckiego b. m. i r. dzieło o stronicach 92^{ch} in 4. całe litografowane.*

Większą część badań swoich zostawił jak wspomnieliśmy w rękopiśmie: że zamierzał je wydać, dowodzi zbiór rycin już odbitych, i wcześniej do druku dzieła wielkiego, przysposobionych.

Z ogłoszonych drukiem, są znane rozprawy Majewskiego, czytane na posiedzeniach Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

1. *Rzecz o Archiwach, 1809 r.*

2. *Rzecz o sztuce dyplomatycznej, czyli umiejętności rozpoznawania Dyplomatów i Rękopismów r. 1814.*

Oddany z zapalem swoim badaniom, szczęśliwą obdarzony pamięcią, zapytany w jakimkolwiek przedmiocie, umiał zręcznie odpowiedzieć i każdego pragnącego nauki oświecić. Dzieła

(1) Przegląd naukowy 1842, T. 3.

(2) E. Dembowski w Przeglądzie Naukowym Tom 3, 1842 r. z tego dzieła mylnie aż dwa zrobił: podał bowiem tę grammatykę raz wydaną w r. 1828, drugi raz w r. 1833, niespostrzegając, że tylko kartę tytułową w 1833 r. przedrukowano.

prawne, poezje starożytne, badania geologiczne, tak różne od siebie przedmioty, posiadał niemal z całą dokładnością. Zwiedzający Warszawę znakomici uczeni, przyznawali mu w wysokim stopniu erudycję. Kiedy schwytanym został zręczny oszust, co udając się za bankiera Indostany, zmyśliwszy niezgrabnie *charaktery* samskrytu, utrzymywał księgi handlowe w tym mniemanym języku, wydawał weksle, i zmyślał na paszportach podpisy; po instytucjach naukowych wożony, dla zbadania prawdy, i papiery jego do zdecyfrowania przesłane zostały, do najbliższego nam Cesarsko-Królewskiego Uniwersytetu. (1). Przełożony zagnonym był Władzom Rządowym odpisać: „iż tylko Walenty Skorochód Majewski w Warszawie, ten przedmiot objaśnić zdoła.” O zdarzeniu tém sam Majewski z chlubą i pociechą wspomina. (2).

Na dwa niespełna lata przed śmiercią, wydał: „*Przedmowę do drugiej części grammatyki samskryckiego języka, oraz do zarysu dzieł dotąd ogłoszonych i do ogłoszenia przygotowanych autora tejże gramatyki.*” (4 w Warszawie 29 Października 1833 r. 1½ arkusza). Tu sędziwy już starzec, z jednej strony przywołując sobie na pamięć młodsze lata, i prace swoje, i zachęty do niej, z goryczą wspomina zarazem jak nakładem na druki. na potrzebne książki, uszczuplił znacznie fortuny własnej, i znalazł w ostatku na te badania, obojętnych rodaków. Prawie nikt nie kupował drukiem ogłoszonych pism Majewskiego, rozdawał je darmo: i wielu prac jego tym sposobem rozrzuconych, wyczerpał się cały zapas.

„Ze smutném doświadczeniem (pisze) przekonał się wydawca, że wielu rodaków niesmakując w tym przedmiocie, za pokupne romansiki pozamieniali, lub za marną cenę handlującym niekompletnemi książkami posprzedawali.” Wzywa więc wszystkich tych posiadaczy aby mu *czytane lub nie* raczyli zwrócić: „albowiem początkowo ogłoszonych, i w większej połowie zmarnowanych, na nowo wydawać nie myśli.”

Po tylu latach zawodu, marzył jeszcze zacny starzec, że znajdzie współczucie, że znajdzie miłośników tego przedmiotu, któremu całe życie od lat młodych poświęcił, że prenumerata wesprze go, aby mógł pozostałe rękopisma drukiem ogłosić. Ale odezwa jego nie znalazła żadnego przychylnego echa! (3).

Ubioru polskiego do końca życia nie zmienił.

(1) Majewski nie wymienia szczegółowo tego Uniwersytetu.

(2) Zbiór rozpraw, Warszawa 1818.

(3) Majewski własnym kosztem założył w r. 1815. i utrzymywał drukarnię Samskrytu. pierwszą „(jak sam wyraża) w sławiańszczyźnie.” Głównie nią kierował i drukował biegły w tym przedmiocie, Podlasiąnin, współziomek Autora, Tomasz Piętka, a następnie Urzędnik, o którym nieraz w swych pismach wdzięcznie Majewski wspomina.



Rys. A. Matuszkiewicz

Odbito w Lit. M. Fajans w Warszawie Ul. Długa 550.

Lit. M. Fajans

GROBOWIEC CYPRYANA GODEBSKIEGO.



nrD.626

CYPRYAN GODEBSKI.

„CYPRYAN GODZIEMBA GODEBSKI, PUŁKOWNIK PUŁKU 8 PIECHOTY WOJSK POLSKICH, CZŁONEK TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK, KAWALER ORDERU KRZYŻA WOJSKOWEGO, UR. 1765 POLEGŁ POD RASZYNEM 19 KWIETNIA 1809 — F. X. K. PRZYJACIELOWI.”

Na bocznych stronach sarkofagu z godłami rycerskimi tarczy i oręża, były napisy, z których jeden jest tylko czytelny:

„*A krótkie w czasach krwawych trąb wojennych przerwy,
Przyjemnym poświęcali zabawom Mjnerwy.*”

Urodził się w r. 1765 na Polesiu Wolyńskiem: wychowanie i pierwsze początki nauk odebrał w Dąbrowickich szkołach Pijarskiego zakonu. Po ukończonych naukach wszedł w publiczne obowiązki w Wydziale Sprawiedliwości, i przez czas niejaki sprawował urząd aktowego Wiceregenta w powiecie swoim. Rodzice Godebskiego zostawili go dziedzicem szczupłej, lecz na utrzymanie się przyzwoite, wystarczającej włości. Niedługo wszczął się o nią spór sądowy i została własnością sąsiada. Przyjaźń jaką mieli przed procesem, nie uległa u obudwóch żadnej zmianie: Godebski spędził czas długi w domu Hr. Olizara, a ten zawsze mile wspominał towarzystwo Godebskiego. W domowym zaciszu oddał się wyłącznie naukom. Posiadając gruntownie ojczysty i łaciński język, zgłębił klassyczną literaturę Rzymian, i zaczął przekłady znakomitszych jej utworów. Wypadki krajowe powołały go na inne pole. Józef Kalasanty Szaniawski w pochwałę zgasłego męża, obszernie i wymownie opisał cały ten okres życia Godebskiego (1).

Wstępuje nakoniec do legijonów i przy jenerale Rymkiewiczu obowiązki adjutanta pełni. Zaledwie powitał rodzzonego brata pod *Legnano*, gdy ten padł ugodzony od kuli armatniej. W bitwie pod Weroną traci przyjaciela w jenerale Rymkiewiczu, sam posunięty na placu boju na porucznika, otrzymuje śmiertelny postrzał, i byłby tam dokonał życia, gdyby go nie uratowały przyjaźń i szacunek kolegów. Mniej ranni znalazłszy taczki, na tych o kilka mil włoskich uwieźli go z pobojuwiska. Dostał się do Mantui: w lazarecie przetrwał całe oblężenie, a po podaniu się twierdzy, wyjechał do Paryża. Przygody tej podróży opisał w powieści: „*Grenadyjer-filozof*.” Krótki pobyt w Paryżu poświęcił naukom: w legii Naddunajskiej otrzymał stopień kapitana. W trudach wojennych otworzyły się na nowo rany już zagojone: udał się do wód Akwizgrańskich. Tam poznał przyszłą swoją żonę, która uniesiona litością, olaczała go starannością swoją. Zaledwie zaczął przychodzić do zdrowia, gdy rozpoczęta wojna w 1800 r. powołała go na powrót w szeregi walczących nad Menem, dawnych towarzyszków broni. W bitwie pod *Offenbach* pomimo zrażającej hystrości Menu, rzucił się pierwszy w wodę, i przeprowadził swą kompaniję. Za jego przykładem poszedł cały batalijon, uderzył na prawe skrzydło nieprzyjaciela i zapewnił zwycięstwo. Okazał nie mniejszy dowód odwagi w bitwie pod *Hochstädt*. Kiedy

(1) Dzieła wierszem i prozą Cypryjana Godebskiego. Warszawa 1821, 2 tomy.

prerażony nieprzyjaciel i z pola boju spędzony, za nadejściem znacznych jeździe posiłków, wrócił pod noc i z natarczywością napadł na obozujących zwycięzców: Godebski dowodząc wtedy batalijonem, zgromadził go pierwszy i stanął w obronie całego obozu. Nieprzyjaciel odparty, przypłacił wielką stratą w zabitych i rannych, swój napad. Przy oblężeniu *Philipsburga*, w sławnej i stanowczej bitwie pod *Hohenliden*, pod *Wassenburgiem*, przy przebyciu rzeki *Inn*, w bitwach pod *Lajbach*, wszędzie Godebski miał udział i okrył się sławą. Po *Lunewilskim* pokoju, kazano udać się legii Naddunajskiej przez Szwajcaryją do Toskanii: Godebski odprowadził swój batalijon do Włoch. Osłabione zdrowie nie dozwoliło dłużej mu znosić trudów wojennych: otrzymawszy uwolnienie przybył do Paryża, by tam jeszcze czas jaki poświęcić naukom. Wrócił wreszcie prawie kaleką do kraju, i wówczas napisał swój *żał*:

„Zbladło życia mego zorze,
Urok dawnych marzeń znika,
A w burzliwej wieku porze,
Wieczór z porankiem się styka.

Zgryźliwa troska zatrula wiek młody,
Wszędzie jak cień snujący śledzi moje kroki,
Martwem okiem spoglądam na wiosny uroki,
I zmiennej jesieni szkody!

Miłośnik grobów i burzy,
Rozważam z dziką rozkoszą,
Jak się gniewne niebo chmurzy,
I gromy trwogę roznoszą.

I gdy kapłanka nocy blada,
O czarne jodły promienie roztrąca,
Ach! wtedy tylko czasem iza gorąca,
Na wybladłe lica spada.

Powolna moja lutnia, cyprysem zwieńczona
Pierwszych mych uczuć ponęta,
Oderwana zbyt wczesnie z przyjaznego łona
Leży milcząca, nietknięta!" (1)

Czas do roku 1806, poświęcił wyłącznie pracom literackim: za wniściem Francuzów, wraca do dawnych sztandarów, tworzy pułk pieszy, mianowany Pułkownikiem: obejmuje w dowództwo twierdzę Modlin. Nadszedł rok 1809. — Austryjacy stają pod Warszawą na równinach Raszyna. Godebski z pułkiem swoim wieczorem wyrusza z Modlina, o północy przechodzi Warszawę, pomimo dróg błotnistych i trudnych do przebycia, i czasu słotnego. przybywa na stanowisko oznaczone, i prosi o zaszczyt pierwszeństwa do boju.

„Dzień 19 Kwietnia (pisze J. K. Szaniawski) został dniem pamiętną w dziejach wojennych bitwy pod Raszynem. Nieprzyjaciel był w pięciornasób liczniejszym, a po większej części walczył wprawionymi do boju pułkami, przeciw świeżo ukształconemu żołnierzowi. Pierwszy batalijon pułku ósmego i kompanija grenadyjerów pod Godebskiego dowództwem (w swoim stanowisku na prawym skrzydle) miały do odpierania przeważające kilkakrotnie siły austriackie. Przytomność umysłu dowódcy sprawiła, iż przez zręczne posunięcie linii naprzód, morderczy

(1) Z rękopismu.

ogień nieprzyjacielskiej artylerii, przestał rozszerzać szeregi. Lecz przyszło wkrótce do okropniejszej bitwy. Ufny w siły liczbą przemagające, parł nieprzyjaciel swym ogromem szczuple naszych oddziały, którym już nie pozostawało, jak tylko walczyć o własne ocalenie. Z odwagą i przytomnością umysłu, wraca Godebski kilkakrotnie do porządku swe wstrząśnione szeregi, i odpięra natarczywą siłę. Z ubitego pod sobą konia, przesiada spokojnie na innego, i niebawem odbiera postrzał w lewą nogą. Rana nie wstrzymuje go ani na chwilę od dowodzenia walczącym: zwraca on nieraz jeszcze los boju na swą stronę, pomimo że już zbyt zbliżony ogień przemagającego nieprzyjaciela, stawał się coraz okropniej morderczym. Kompanije odważnych grenadyjerów zmniejszone były do trzeciej części. Posuwa się na ich czele z kilkadziesiąt przybranimi fizylijerami nieustraszony dowódzca, jak gdyby chciał ostatnią wywrzcić usilność; już z bagnetem w rękę szczęśliwie zmuszał natarczywych do cofania, kiedy od zbyt bliskiego strzału, śmiertelną poniżej piersi odbiera ranę, i z konia spada. Przywiązani żołnierze, unosili ranego na płaszczu z placu boju; prosił żeby nie dozwolono mu zostać łupem Austryjaków. Musieli przerywać sobie nieustannie drogę bagnetem w pośród nieprzyjaciela, który ich ciągle otaczał. Obok unoszonego zginął odważny Porucznik *Dobiecki*. Gdy z zemdlonym przez ubieg krwi pułkownikiem, spoczywano na ustronnem i niejako bezpieczniejszém miejscu, odebrał on nowy jeszcze postrzał w lewe udo, i rzekł spokojnie: „Więc i ty mnie także nie mijasz.” Były to ostatnie wojownika słowa. Sierżant wówczas grenadyjerów, a następnie Porucznik Żorawski, odwoził go bryczką do miasta na rękę swoich. Pora nocna była już znacznie spóźniona, i ranny nie mógł zostać opatrzonym: w ciągu godziny ubiegła krew do ostatniej kropli.”

Godebski jako pisarz niepoślednie zajmuje miejsce we właściwym sobie okresie, to jest od końca panowania Stanisława Augusta do 1809 roku. W tym bowiem jeszcze roku 18 Stycznia przesłał swój wiersz do *Arysta* L. Osńskiego, do Pamiętnika Warszawskiego który redagował,

Tłómaczył z Delila: *Ziemiaństwo: Z la Harpa Heroide: Sokrates do swoich przyjaciół*. Pisał bajki i powieści: a zarazem on pierwszy nas oznałmł z arcydziełm: *Wyprawa Igora przeciw Polowcom*” podał treść i piękniejsze wyjątki wierszem. Ale nie brał utworu tego jako zabytek wierny starożytności, ale jako poema *Alexego Iwanowicza Mussin Puszkina*. Uderzony pięknoscią wyraża, że uważa raczej: „za plód podrzutny (apokryf) a przynajmniej jako obraz przekształcony w swojém odnowieniu.” Tłómaczył też z rosyjskiego: *starożytny romans rosyjski: Czerna Xieźna Czerniechowska*.

Wychowany na wsi, wzdychał zawsze do wiejskiej ustroni, znudziły go włóczęgi po świecie i w trudach spędzone życie. Posłuchajmy co pisze do przyjaciół z Kassel pod Moguncyą (dnia 13 Grudnia 1802 r.) ranami okryty wojownik.

„Gorzką łzą przyjaciela zaleje się nieraz, myśląc, czém był mój ojciec, czém ja jestem teraz. On na ziemi swych przodków szczęśliwy, nie miał praw do dostatków, ale nie był głodny: mając w zimie kominek, a ogródek w lecie, wiatrów, czyli nadziei, nie gonil po świecie. Nie włóczył się z projekty od miasta do miasta, nie pisał do przyjaciół o mil półtorasta.

..Pamiętam jak się srodze nie raz na to żalił,
Że się raz był od domu na miesiąc oddalił,

Nie masz (mówił) nieszczęścia jak przez dni trzydzieści,
Nie mieć żadnych o naszych przyjaciółach wieści”

Kiedy wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie, marzył o wsi, o ustroni rodzinnej, gdzie młode przepędził lata: przecież nie był wiekiem obciążony, bo liczył dopiero 37 rok życia, ale zmęczony trudami i zawodem w swoich nadziejach, tak się w *wierszu do samego siebie odzywa*:

Jam niegdyś w pośród szczupłego zagonu,
Ledwo o górach słyszał Helikonu,
Próżnom pasterzy nad *Styrem i Piną* (1)
Pytał, gdzie zdroje Kastylijskie płyną?
Napróżnom zwiedzał lasy i strumienia,
Ciekawy Faunów i Satyrów pienia:
Wszędzie milczenie panowało głuche!
Niekiedy dzieciół zakął w sosny suche,
Czasami wicher, gość w tych miejscach srogi,
Wywracał dęby, broniące mu drogi.
Zamiast pasterzy Arkadyjskich pienia,
Kmiotek od zmroku do samego dnienia,
Na cudzej niwie własnym potem zlany,
Klął na swą dolę, sroższe jeszcze pany;
Albo wylęgle w zgniłych próchnach bąki,
Rykiem bydłęcym napełniały łąki,
A gdy Morfeusz me zmysły ułudził,
Komar mnie ze snu swoją trąbą budził!
Lecz ten stek bagien, owadu siedlisko
Gniazda mojego słodziło nazwisko!

Oprócz pism Godebskiego, które syn jego Ksawery wydał w Warszawie 1824 r. we dwóch tomach: redagował wraz z Ksawerym Koseckim, nieodłącznym przyjacielem swoim pismo periodyczne, pod napisem: „*Zabawy przyjemne i użyteczne.*” Były to lata 1803 do 1806, w których wydał 5 tomików tego zbiorowego pisma, i tu najwięcej własnych utworów oryginalnych lub tłómaczonych pomieścił (2). Oceniając to pismo ze stanowiska współczesnego, nie możemy mu odmówić rzeczywistej wartości i doboru przedmiotów. Tu najwięcej prac swoich pomieścił Godebski (3).

Z trzech przyjaciół których on liczył: J. K. Szaniawski napisał i czytał pochwałę jego po zgonie; na śmierć Jenrała Rymkiewicza, sam ciężko ranny ze łzami patrzył; Ksawery Kosecki wystawił mu pomnik na Powązkach. O ostatnim wszędzie z tkliwém uczuciem wspomina.

„Mógłżebym (pisze) kiedy zagrześć w pamięci tę chwilę, gdy powziąwszy mylną wiadomość o mojej śmierci pod *Weroną* dałeś mi uczuć żyjącemu, jakim byłbyś dla mnie po moim zgonie? O! jakby dobrze było umrzeć na chwilę, dla poznania prawdziwych przyjaciół! Odezwa twoja, którą później odebrałem w Lugdunie, jest zawsze nową dla serca mojego i jedyném dla mnie pismem, na którém oczy moje czytać przestaną. Przyjmij choć spóźnioną na nią odpowiedź, w poświęceniu powieści o *Wspaniałym Grenadyjerze* wspaniałemu przyjacielowi.”

(1) Rzeki łączące się z sobą w rodzinném miejscu Godebskiego.

(2) W r. 1803, wyszedł T. 1;— w r. 1805 T. 2 i 3;— w r. 1804 T. 4;— w r. 1806 T. 5.

(3) Z prac najpierwej ogłoszonych drukiem była: *gra geograficzna dla dzieci*: którą wydał z głębokiego przekonania o potrzebie pism elementarnych dla młodego wieku.

W roku 1805, obrany został Członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

W pismach Godebskiego, oprócz silnie wydatnej strony uczuciowej, odbija niemały dowcip i skłonność do satyry. Nieraz rzewny ustęp, łączy się z satyrycznym poglądem na świat i ludzi. Ztąd nie wszystkie pisma w zbiorze przez syna wydanym, ogłoszone zostały. Wiele pozostało w rękopiśmie, jak np. *List do przyjaciela z Warszawy z dnia 6 Maja 1803*, wierszem, w którym surowy i bezwzględny robi przegląd członków towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk.

Umarł w samą sile wieku, bo liczył 44 lat życia. — Przy grobowcu Godebskiego spoczywa jego żona Justyna z *Godfrinon* Godebska, zmarła 7 Stycznia 1824, mając lat 39.

MICHAŁ WYSZKOWSKI.

(*Spoczywa w ziemi bez napisu*).

Urodzony dnia 14 Września 1770 r. we wsi Krupinie dziedzicznej rodziców swoich, umarł dnia 4 Maja 1829 r.

Oddany w siódmym roku życia do szkoły Ks. Pijarów w Wieluniu; kształcił się następnie pod Onufrym Kopczyńskim w Warszawie, którego staraniu, młody Wyszkowski był poręczony w stolicy Rzeczypospolitej. Mając lat 18, rozpoczął zawód życia publicznego 1788 r. w Kommissyi Skarbu Koronnego, gdzie przez lat kilka pracował bezpłatnie. Okazawszy prawość i zdolności, w roku 1792 został Kontrolerem jeneralnym bilansów w złączonej wówczas Kommissyi Skarbowej obojga narodów, od której wysłany z poleceniami obrachunków do Poznania, gdy prowincyją Wielkopolską zajmowali Prusacy, z niebezpieczeństwem osobistej wolności, uratował reszty zapasów pieniężnych i papiery skarbowe. Po rozbiórce kraju, usunął się od służby publicznej. — W roku 1806 za wnijsciem Francuzów, Wyszkowski znany z zdolności, wezwany został do Izby Administracyjnej Departamentu Warszawskiego w stopniu Asesora i sprawował go lat dwa bezpłatnie; a w roku 1808 na pożegnaniu z tą Izłą, otrzymał od jej członków następne, a nader chlubne dla siebie świadectwo:

„Członkowie Izby Administracyjnej wychodząc ze stosunków urzędniczych z Michałem Wyszkowskim, w czulej zachowują pamięci gorliwe uczestnictwo jego w usłudze krajowej i poświęcaniu jej światła, talentów i zdolności swojej; a na mało wyrażającym niechcąc przestać dziękczynieniu, zapewniają go, iż wdzięczność, szacunek, i przyjaźń dla szanownego kolegi, powzięte, nie tam granice mają, gdzie koniec jest zawodu publicznego; — każdy z nas poniesie do domowego zacisza i zachowa w sercu te uczucia, które prawdziwa tylko cnota wzbudzić może, które tak jak ona, są niezmiennie.”

W kilka miesięcy wyrwany z zaciszy domowej, wezwany został do składu utworzonej oddzielnie „Kommissyi żywności wojskowej.”

„Ile mogoło, (pisze bijograf Wyszkowskiego) pracy i trudności w tej pełnej goryczy magistraturze użyć mu przyszło, ten tylko oceni, kto był obecnym świadkiem, albo wystawić sobie

może stan burzliwej wojny, nagłość przechodów wojska i groźne żywienia go nakazy, które jednakże ze zniszczeniem kraju godzić ile możności należało." Że się chlubnie wywiązał w obowiązkach swoich, dowodzi dekret Króla Saskiego mianujący Wyszowskiego zastępcą Prezesa w téjże Kommissyi. Następnie w czasach Księstwa Warszawskiego, był Konsyliarzem Ministerstwa spraw wewnętrznych. Za czasów królestwa w témże ministerjum sekretarzem jeneralnym; w ostatku Radcą stanu nadzwyczajnym, i w tym stopniu skończył swój zawód.

Wyszowski wolne chwile od zajęcia urzędowego poświęcał literaturze, i sam pisał, a chętnie rad udzielał wytrawnego zdania przyjacielom swoim, jak Tymienieckiemu, Tańskiemu, Fełińskiemu. Ostatni wyższy talentem od Wyszowskiego, szukał u niego rady literackiej i wysoce ją cenił. Po śmierci Tańskiego, przyjaźń swoją przeniósł na zmarłego córkę Klementynę (Hofmanową) która w pismach swoich, nie jedno rzewne wspomnienie, pamięci Wyszowskiego poświęciła, i zapisała wdzięczność, za doznaną pomoc w zawodzie literackim. Zebrał Wyszowski i wydał pisma Konstantego Tymienieckiego w dwóch tomach, skreśliwszy na czele żywot tego zacnego pisarza. Pisma samego Wyszowskiego, zebrane razem wyszły w Warszawie 1830 roku, poprzedzone życiorysem jego, napisanym przez Krystyna Lacha-Szyrmę (1). Mało tu utworów oryginalnych, więcej tłómaczeń, zebrane razem, dają wierny obraz owego ducha literatury, co się wypiętnował w ciągu z górą lat 30, od 1790 do 1825 r.

Wyszowski sam skreślił swój charakter, wiernie się w nim odmalowawszy. Ciekawy ten ułamek w całości tu podamy, jako dopełnienie życiorysu zacnego męża.

„Rys ten, główne przymioty i główne wady moje skreślający, będzie krótki i ogólny, lecz szczerzy i rzetelny. Niech czytający nie posądza mnie o dziwactwo, płochą próżność, lub samolubstwo. Zdania ludzi o drugich, częstokroć bywają mylne i przesadzone lub podejrzone, któż lepiej znać może jak człowiek siebie samego, kiedy się z uwagą bez namietności nad upłynionem życiem, czynami swymi, i ich pobudkami zastanowi? I dla tego to starożytnych mędrców główną było zasada: „*Nosce te ipsum.*” — Wiem bardzo dobrze, iż w ród, talenta, naukę niezamozny, imie moje nie będzie głośnem po zgonie, ani tego żądam, lecz dla czegoż nie miałbym zdaleka naśladować tylu mężów, którzy chwalebny zwyczajem, zostawili nam własne i najprawdziwsze o sobie wyobrażenie. Oni pisali dla świata, mnie niech będzie wolno odkryć się szczupłej liczbie przyjaciół i znajomych. Skromność przewodniczyła wszystkim moim postępkom skromność i w tém wyznaniu, piórem kierować będzie. Wszystko com umiał, sobie samemu winien jestem. Byłbym może miał nieco przyrodzonej zdatności, mianowicie do poezyi i muzyki; lecz stan nierny i okoliczności mego wychowania, do rozwinięcia tych władz umysłu, w pierwiastkach na zawodzie stanęły. Następnie oddany do stolicy, lubo gorliwie i czynnie pragnąłem nabycia różnych wiadomości zasłyszanych ledwie w szkołach publicznych, lubo dzięki nieskończone nauczycielowi memu, niewygastłej pamięci Onufremu Kopczyńskiemu, iż we mnie przykładem i pracą, ochotę do nauk zaszczepił; lecz już wtedy wątłe zdrowie jakim od natury

(1) „Poezye Michała Wyszowskiego,“ wydanie pośmiertne.—Warszawa, nakładem i drukiem A Gałęzowskiego i komp. z wizerunkiem autora, 8^o str. 181.

odebrał, tamowało głębsze i ciągle natężanie umysłu, ani nie dalo znacznych w literaturze uczynić postępów. Nazwisko tylko *przyjaciela nauk w towarzystwie królewskiem warszawskiem*, mnie istotnie przystało. Szczupły obręb osobistych stosunków, nie pozwolił mi w życiu publicznym nic znakomitszego przedsiębrać, ani dokonać. — Pewnie nawet przy słabiej fizyczności, nie posiadałem dosyć tęgości charakteru i męstwa na odpieranie zwykłych na téj drodze przeciwności;— ale też dzięki niebu! daleki od wszelkiej żądy znaczenia, nie miałem dumy piąć się na świetne, lecz śliskie stopnie: podchlebstwem zaś i podłością, nigdy się nie zmasał. Szlachetna dusza zginać się przed możnymi nie umie, i podług mego zdania, oburzająca pycha, mniej jeszcze złego zrządza między ludźmi, nad zmyśloną niewczesną pokorę, bo ta jest pierwszej żywością. Obierając zawsze towarzystwa między równymi mnie osobami, do których wabiła przyjemność, troskliwie unikałem wielkiego świata, gdzie powszechnie czczość i obłuda panuje. Sposób mój myślenia prosty i otwarty, znali przyjaciele, z którymi bliższe mnie związki łączyły. Ani fałsz i podejścia, nikczemne występki, ani zazdrość, podejrzenie, chciwość lub zemsta, dręczące serca przywary, nie miały do mnie przystępu, i nigdy mi dni pogodnych nie struły. Brzydłem się ochydnym kłamstwem, bolejąc nawet nad smutną potrzebą momentalnego zmyślenia, które ściśle biorąc, jest zawsze pokrewnym z obłudą, którego jednak, żyjąc wśród zepsutych ludzi, używać często musimy za broń do odparcia natręctwa i podłości, a świat je fałszywie *przyzwoitością* mianuje. Szkalująca obmowa była dla mnie nieznośna; lecz z upokorzeniem wyznam, że czyli to jakaś tajemna (a ludziom tak powszechna) złośćka, czy chęć popisania się z dowcipem, podniecały mnie to częstokroć, w poufalszych posiedzeniach do przestąpienia granicy, której między szkodliwą obmową, a trafnym opowiadaniem, tak trudno jest oznaczyć. Uprzejmość w postępkach i słodycz charakteru, są ujmującymi darami, których dosyć ocenić nie podobna. W porównaniu z drugimi, nie mogę się poszczycić zupełnym ich posiadaniem, lecz usiłowałem przynajmniej, trzymać się w tém rozsądnego prawidła, to jest: być grzecznym bez różnicy dla równych i niższych; wyższym zaś, podług stopnia ich osobistej wartości, okazywać lub uszanowanie rzetelne, lub barwioną tylko oziębłość. Ograniczony w potrzebach, przesta- wałem zupełnie na drobnym mieniu, którego mi skąpy los i własna użyczyła praca. Jedyne, szczęście do którego zawsze wzdychałem i do dziś dnia wzdycham, jest błoga niepodległość największe dobro człowieka, jeżeli z wewnętrzną spokojnością spojone. Lecz niestety! tego szczęścia odmówiło mi zawistne przeznaczenie. Zniewolony służyć i podlegać, starałem się zawód życia publicznego uczciwie i nieskażenie zapełnić; a czy to w obowiązkach urzędu, czy w prywatnym pożyciu, prawda, jasność i zdrowa loika, była najpierwszą moją zasadą i jedynymi mistrzami. Takie są wszystkie moje zalety. Mnóstwo wad, lubo że wrodzona każdemu miłość własna skrzętnie zakrywały, nie były i nie są tajne. Lecz pocóż mam ich tu na zawstyżenie własne i nudy czytelników wyliczać? *Homo sum, nihil a me humani alienum puto*. Tém się tylko pocieszam, iż najsurowszy sędzia mych czynów, odkryje w nich najwięcej błędów pochodzących z nadzwyczajnej zdrowia słabości, których więc, winie mojej własnej, przez słuszność przypisywać nie będzie. Ciało dręczącą męczarnią chorób zwątlone, nie może być siedliskiem zwałtowanego umysłu, z tego to nieszczęsnego źródła (zdaniem badaczy natury stwierdzonego) wyply-

wały u mnie na przemian: ociężałość, lenistwo, niesmak, opryskliwość, to szkodliwe w działaniu o siłach moralnych powątpiewanie, ta bojaźliwa nieufność; a nakoniec owa niezdolna obojętność i odrażająca cierpkość w charakterze, która nie była nigdy jego przyrodzoną cechą, i którą przebaczenie mi przyjaciele! bom je sam w sobie nie nawidził; lecz przeciwnie walcząc, oprócz się niekiedy nie miałem mocy. Przy zamknięciu pisma tego, mógłbym tu zdanie moje o obyczajach, prawach i innych ważniejszych przedmiotach, dla uzupełnienia głównego obrazu w ogólności przytoczyć. Wyjawienie to ma z czynami związek, lecz o tém zamilczam zupełnie. Myśli podobne skrytemi były za mego życia i po śmierci tajemnicą zostaną. Jeżeli błędem jako człowiek, miałem licznych towarzyszków; a jak trzymając się własnego przekonania, nie naśladowałem żadnych obcych zdań w tej mierze; tak też mojego rozumowania, zaprzykład wystawić bym się nie ważył."

Pisał to Wyszkowski w Warszawie w Październiku 1819 r. przy końcu swojego zawodu, mając lat 49 życia. Spowiedź ta jego, że była szczerą i pełną prawdy; wszyscy co go znali z bliska, potwierdzili.

JAN AUGUSTYN SPISKI.

Spoczywa przy katakumbach: grób w ziemi murowany, obwiedziony sztachetami żelaznymi i na drzwiach żelaznych napis:

„GRÓB SZANOWNEGO, JANA AUGUSTA SPISKIEGO 1844.“

Urodził się 1794 r. pod Skalmierzem, umarł w Warszawie dnia 9 Lutego 1844 roku.

Znakomity kupiec i obywatel miasta Warszawy, dziedzic dóbr Raszyna i Falent, sędzieja trybunału handlowego i członek towarzystwa dobroczynności, jeden z najgorliwszych i najchojniejszy w ofiarach. Sam dorobił się wielkiego majątku, nieustanną pracą i zabiegliwością uczciwą. Śmierć jego pokazała dopiero, ilu w tajemnicy wspierał nieszczęśliwych, jak liczne dary pracowitą ręką udzielał, z jak szlachetnym uczuciem podupadłym przychodził w pomoc.

Pogrzeb jego dnia 11 Lutego 1844 r. wymowny dowód stawił, ile potrafił sobie zjednać szacunku i cześci, ile łez wycisnął z oczu tych, co hojne wsparcie z dobroczynnej jego dłoni otrzymywali.

Popiersie Spiskiego wykonane przez rzeźbiarza Kaufmana, zalecające się podobieństwem oblicza zmarłego, przyjaciele, koledzy i ci którym drogie zostało na zawsze oblicze zmarłego, rozebrali pomiędzy siebie.

Ciche, chrześcijańskie były zasługi Spiskiego, nie szukał w nich rozgłosu; to też i w gwarnej mieście jak Warszawa, przebrzmiało jego zasłużone imię: ale pamięć zmarłego, przechowała serc wiele. Syn ubogiego szlachcica, co żył na małym folwarczku, dzierzawionym od klasztoru księży Cystersów Jędrzejowskich (1), a pozbawiony i tego sposobu, umarł w nędzy; jako sierota, zostawiwszy matkę i rodzeństwo na opatrzności bożej, przybył do Warszawy, i tu

(1) Jędrzejów w Krakowskim, sławne pobytom naszego historyka i błogosławionego Kadłubka.

pracą i uczciwością doszedł do wielkiego majątku. Kiedy obdarty i z zębnięty, pierwsze znalazł przytulisko i spoczynek kilkudniowy w Falentach, czyż mógł wtedy pomyśleć, że w kilkadziesiąt lat potem, zostanie ich dziedzicem.

Wiele podań o tym zacnym człowieku krąży w ustach mieszkańców Warszawy, a zmarły Marcelli *Skotnicki*, ze szczegółów które mu sam Spiski opowiadał, zajmującą napisał powiastkę, p. n. „*Chłopiec z pod Skalmierza*” (1). Do niej odsyłamy naszych czytelników, którzyby chcieli bliżej poznać życiorys Spiskiego.

IGNACY WEROWSKI.

„IGNACY WEROWSKI, ARTYSTA DRAMATYCZNY, UMARŁ D. 8 SIERPNIA 1841 R. ŻYŁ LAT 58.”

(*Kamień kwadratowy na darni, na nowoprzybranym cmentarzu za kościołem*).

Urodził się w Wilnie 2 Sierpnia 1783 r. Wychowanie i nauki pobierał w szkole Księży Pijarów Wileńskich. Od dzieciństwa pokochawszy sztukę dramatyczną, w 19 roku życia w Mińsku, wystąpił pierwszy raz na scenę, w roli Ryszarda, syna strażnika lasów królewskich, w komedyi Bogusławskiego: *Henryk VI na łowach*; — i tam lat 11 od r. 1802 do 1813, poświęcał się temu zawodowi.

Teatrem Mińskim zarządzał wtedy najprzód Maciej Każyński, znany później w Wilnie dyrektor sceny polskiej; nie mogąc się utrzymać z dochodów jakie samo tylko przynosiło miasto, — dla tego ze swém towarzystwem robił wycieczki do miast białoruskich, jak do *Połocka*, *Witebska*, *Mohilewa* nad Dnieprem i wielu innych. Werowski towarzyszył wszędzie nierozdzielnie grywając role komiczne tak w komedjach, jak i w mniejszych operetkach.

Każyński, który dawniej w r. 1797 otworzył teatr polski w Moskwie i hojny zysk zebrał, pomny dobrego przyjęcia, postanowił w r. 1806 z teatrem Mińskim udać się do stolicy państwa rosyjskiego! Przybywszy do Petersburga, otrzymał pozwolenie dawania widowisk w *Teatrze Wielkim*. Werowski przez cały czas tu pobytu, doznawał jak najchlubniejszego przyjęcia od Petersburskiej publiczności. Szczególniej podobał się w operze Wojciecha Bogusławskiego, *Krakowiacy i Gorale*, w roli goralą *Bryndusa*. Teatr polski w tej stolicy, pomyślnie przetrwał lat kilka. Od r. 1813 do 1815, Werowski był artystą teatru Wileńskiego, na którego czele stanął tenże sam zasłużony Maciej Każyński. Słynął podówczas w stolicy dawniej Litwy uniwersytet; wiele bardzo zamożnych rodzin, już dla wychowania dzieci swoich, już z powodu ówczesnych wypadków, zamieszkiwało w Wilnie. Teatr licznie odwiedzany, zasobny był w wyższe dramatyczne talenta. Szczególniej na usposobienie artystów wpływały przeważnie zdania światłych profesorów i młodzieży akademickiej, zawsze gotowej wspierać scenę krajową wszelkimi siłami.

(1) „*Chłopiec z pod Skalmierza*,” przez Marcellego Skotnickiego — Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1845 r. 8vo str. 161. Dziełko to w rok po śmierci Spiskiego wyszło

To korzystnie też wpłynęło na ukształcenie artystyczne Werowskiego, który jako komik zbierał ciągle oklaski, i stał się ulubieńcem publiczności wileńskiej. Postępując wszakże w latach i doświadczeniu sceniczném, pojął, że wyższy go zawód czeka, na polu poważnej trajedyi i nowocześniejszego dramatu. We wszystkie zasoby potemu, hojnie go uposażyła natura. Wzrost wyniosły, głos czysty, wyrazisty, dźwięczny a silny; twarz wydatna, oko duże, poruszenia składowe i ujmujące. Werowski przy wyższém ukształceniu, umiał tych bożych darów użyć dla podniesienia sztuki; wkrótce też stanął w rzędzie pierwszych artystów dramatycznych wileńskiej sceny.

Ludwik Osieński dyrektor teatru warszawskiego, tak głośnej sławy artystę, sprowadził do naszej stolicy; tu Werowski pierwszy raz wystąpił na scenie teatru narodowego, w roli *Otella*, i od razu zyskał powszechny oklask. Odtąd każde wystąpienie było dla niego coraz nowym tryumfem; wkrótce w roli *Cyda*, wywołał grzmoty oklasków, a publiczność z zapalem przyjęła Werowskiego jako jednego z pierwszych artystów. Świetne to było widowisko i pamiętne dla niego. Potęgą talentu królował w tej trajedyi Werowski; widzowie oczarowani grą jego i wymową, zdawali się patrzeć na prawdziwego *Cyda*. We wszystkich trajedjach tłómaczonych jak *Alzjry i Mahometa Proroka*, Woltera; *Horacjuszach* i *Cydzie* Kornela, jak i oryginalnych: *w Barbarze Radziwiłłównie*, Felińskiego; *Ludgardzie*, Kropińskiego; *w Bolesławie Śmiałym*, F. Wężyka, i wielu innych; w rolach: Bolesława Śmiałego, Kmity, Sambora, Zamory, Kuracjusza, każdy charakter oddał z znakomitą talentem, pojęciem i odcieniowaniem. Przez ciąg cały na scenie Warszawskiej role pierwszych *kochanków* zajmował, aż do chwili, kiedy potężny talentem młody Piasecki, zajął miejsce wysłużonego dobrze scenie naszej artysty. Grywał Werowski i w komedjach; któż może zapomnieć wybornie oddanej roli w *Wszystkowiedzu*, w *Dwóch Sieciechach*; porucznika w *Damach i Huzarach*, jak Szambelana w *Jowialskim*, w obu komedjach Fredry?

Dawniejsze towarzystwo artystów dramatycznych teatru narodowego, niekiedy zwiedzało główniejsze miasta dawniej Polski. Płock, Kalisz, Poznań, zaszczytnie przyjmowały Werowskiego. W r. 1821 postanowił odwiedzić rodzinne strony swoje. Przybywszy do Wilna, z zapalem od współziomków powitany, przez rok cały musiał zostawać w tearze tamtejszym. Wróciwszy w następnym 1822 roku do Warszawy, już jej aż do zgonu nie opuścił.

W szkołach jeszcze będąc, zapoznałem się bliżej z Werowskim. Zapalony zbieracz książek polskich, chciwie czytał wszystko czego nie znał, a co się szczupłym w moim księgozbiornie mieściło. Sam posiadał piękną bibliotekę, na której pomnożenie, zawsze połowę dochodu ze swego *benefisu* poświęcał. Każdy piękny utwór literacki, każdy wiersz wyższej wartości, unosił go i zapalał. Widziałem łyż rzewne jego, gdy czulsze ustępy czytywał znakomitej artystce *Ledóchowskiej*, (z którą ciągle grywał na scenie) z powieści L. Kropińskiego, *Julija i Adolfa*. Werowski w sile wieku i talentu, doczekał się, gdy scena nasza, przechodząc zaczęła powoli z dramatów tak zwanych *klassycznych* do *romantycznych*. Pierwszy w tym rodzaju Szyllera *Dziewica Orleańska*, żywo zajęła publiczność i nowy obudziła zapał. Werowski odegrał wybornie rolę *Lionela*. Następnie ukazał się więcéj jeszcze romantyczny: „*Matka Rodu Dobratyń-*

skich," przekład z niemieckiego Stanisława Starzyńskiego. Trajedyja Szyllera, przez Andrzeja Brodzińskiego trzynastozgłoskowym wierszem przełożona, w której tłumacz stronę liryczną zatarł, obcięta przez Osińskiego, nie przedstawiła wielkiej różnicy od trajedyi *klassycznej*: *Matka Rodu Dobratyńskich*, miarą wiersza i treścią, zupełnie się nową szkołą romantyczną odznaczała. Zaledwie przeczytał ten dramat Werowski, wyuczywszy się całej roli *Dobromira*, przybiegł do mnie i z młodzieńczym zapalem, unosząc się nad tym nowym utworem, całą mi rolę odegrał. Trzeba wiedzieć, że po Ludwiku Osińskim, co był mistrzem w cudnym czytaniu i owym umiejętnym władaniu głosem do przedmiotu i treści; pierwszym był Werowski, lubo miał organ silniejszy i mniej rzewny. Przypominam sobie owe silne wrażenie, jakie po odegranej w stancyjce mojej na trzecim piętrze, roli Dobromira, wypiętnowało się w myśli mojej i sercu. Blade widmo *Matki rodu Dobratyńskich*, w zmroku wieczornym, to po promieniu księżycy, co się w pogodnej nocy wdzierał przez okienko, snuło się ciągle w oczach moich, jak je z przestrachem wskazywał i widział Werowski. Przedstawienie tego dramatu na scenie, nowym było tryumfem dla artysty, i z nowej strony dało poznać wielki jego talent.

Nie znalazłem artysty więcej troskliwego o prawdę historyczną w kostiumie, jak był Werowski. Kiedy miał przedstawić jaką postać dziejową, starał się zarówno jak poznać jej charakter, jak zbadać owoczesną epokę, tak zarazem wyszukiwał wzorów do stroju, któryby był najwięcej odpowiednim, mającemu się przedstawić bohaterowi. Miał zbiory kostiumów potemu; a gdy z polskich dziejów przedstawiał postać, pilnie śledził i badał stare wizerunki i drzeworyty, po naszych starych kronikach i herbarzach. Werowski nie tylko że znał dokładnie literaturę ojczyzną, ale i w wolnych chwilach tłumaczył sztuki dla teatru wierszem i prozą, które pozostały dotąd w rękopiśmie. Wydana powieść z czasów Bolesława Chrobrego p. n. *Piotr Krempa*, w r. 1853 w Warszawie z wizerunkiem i życiorysem artysty (z którego korzystaliśmy w niniejszym co do dat zarysie) nie jest wcale utworem Werowskiego. Powieść ta jest pióra jednego ze zdolniejszych, a dziś już nieżyjącego akademika uniwersytetu warszawskiego, na którą pożyczył mu nasz artysta kilkadziesiąt złotych. Rękopism pozostał w księgozbiórce Werowskiego, i mylnie go jako autora ogłoszono.

Ze szkicu J. J. Piwarskiego, znakomity rysownik Jakób Sokółowski, wyrzył na miedzi w całej postaci Werowskiego w roli *Sambora*, w trajedyi L. Kropińskiego: Ludgarda, w scenie pierwszej, pierwszego aktu, kiedy przemawia: „A rozszerzając państwa, sławę i granicę, tron wsparłem, ocalilem naród i stolicę.” *W pracach dramatycznych* J. S. Jasińskiego w tomie V, wystawiony jest także na rycinie, w roli *Parawiedesa*.

Ostatni raz wystąpił na scenie 20 Kwietnia 1844 r. w dramie *Korsykanka*, w szlachetnej roli *Gregoryja*. W cztery nie spełna miesiące, już nie żył! Nad mogiłą jego w Powązkach, L. A. Dmuszewski oddał należny hołd zasłudze i talentowi, znakomitego artysty.

ANTONI MAGIER.

„ANTONI SZELIGA MAGIER PROFESSOR NAUK PRZYRODZONYCH, CZŁONEK B. TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK.
UR. D. 2 CZERWCA 1762 R. ZMARŁ D. 6 LUTEGO 1837 R.”

Do wydatnych postaci naszego miasta, należał zaprawdę Magier. Lud tego grodu, patrząc codziennie na szczycie dachu domu jego na *Piwniej* ulicy pod Nr. 95 wystawiane stopnie zimna i ciepła, wspominał go z owém uszanowaniem, jakby się wyrażał o przemożnym czarodzieju. Sam w młodych latach nieraz słyszałem pogawędki starych mieszczan i naszych przekupek ze Starego-miasta, które pojąć nie mogły, jakim sposobem Magier może wiedzieć, wiele Bóg dał stopni *mrozu* czy *gorąca*? Mało go znało z postaci, to też dziwne prawili o nim dziwołagi. Bliscy sąsiedzi przyzwyczajeni do tej figury chudój a wysokiój, patrzyli ciekawie za wychodzącym na ulicę; a jeżeli w czas pogodny szedł z parasolem w rękę, pewni byli i wierzyli w bliską zmianę powietrza.

Magier urodził się w Warszawie z dawniej rodziny osiadłej w tém mieście; dziad jego albowiem był winiarzem, a wuj jezuitą. Początkowe nauki pobierał od roku 1773 do 1774 u niejakiego *Roberta*, w rynku Starego miasta pod Nr. 69 pensją utrzymującego; od r. 1776 do 1778 chodził do szkół po-jezuickich na ulicy Jezuickiej pod Nr. 73 wtedy istniejących (1). Młodość swą następnie przepędził na dworze Franciszka Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego. Wcześniej oddał się z całym zapalem nauce fizyki i astronomii. Przy utworzeniu b. Liceum warszawskiego, professorem tych nauk wybrany, słynął ze swoich spostrzeżeń meteorologicznych, które w gazetach umieszczał, a nad którymi w domu swoim, na samym szczycie dachu, w osobnym do tego urządzonej miejscu, spostrzeżenia czynił, i ztąd od r. 1803 przez lat 25 okazywał mieszkańcom miasta Warszawy stopnie zimna i ciepła. Umarł Magier mając lat 75 w tym samym domu, w którym się urodził, a który w szczególny sposób urządził (2). Uniósł on z sobą do grobu szacunek wszystkich którzy go znali, przyjaźń licznych wielbicieli, miłość przywiązanych krewnych, i wdzięczność mnóstwa nieszczęśliwych, których był dobroczyńcą. Z szczupłym majątkiem który zostawił, podzielił się z kochanym przez siebie miastem, zapisując w testamencie urzędownie sporządzonym, następane summy:

1. Dla Urzędu Muncypalnego miasta Warszawy, na wystawienie kompasu w miejscu przystępnym dla publiczności, złp. 1000.
2. Dla Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci, złp. 2000.
3. Dla Towarzystwa Dobroczynności na fundusz zupy rumfordskiej, złp. 1500.
4. Dla Szpitala warszawskiego Dzieciątka Jezus, złp. 1000.
5. Na fundusz wieczysty dla wysłużonych aktorów sceny warszawskiej, złp. 1000.

W ogóle złp. 6500, który to zapis, Rada Administracyjna Królestwa Polskiego na posiedzeniu swoim z d. 22 Czerwca 1838 r. zatwierdziła.

(1) Rys historyczno-statystyczny miasta Warszawy 1848 r. str. 190. F. M. Sobieszczański. — (2) Tenże —

Oprócz znanych Magiera prób, czyli miar do wódek i wszelkich spirytusów za urzędowe uznanych, i techniczne miano od jego nazwiska mających (*próby Magiera*), które dotąd jeszcze są używane, również barometrów przez niego sporządzonych, jako autor, wydał następujące dzieła:

1. *O używaniu barometrów i termometrów. Warszawa, 1802 r. w 8^{ce}.*

2. *O próbach, czyli sposobach próbowania wódek i spirytusów; wydanie 3^{cie}, Warszawa, 1814 r.*

3. *Fizyka dla dzieci, czyli łatwe i proste tłómaczenie niektórych tej nauki części. Warszawa 1815 r.*

4. *Dostrzeżenia meteorologiczne, czynione w Warszawie od r. 1813 do r. 1824*; umieszczone w Rocznikach towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, w tomie XVIII.

5. *Dostrzeżenia meteorologiczne*, w Warszawie z r. 1826, umieszczone w Dzienniku Wileńskim na r. 1826. T. 2. str. 45 (1).

W ciągu 25 letnich badań nad stanem naszego klimatu, uczynił obserwacyj *termometrycznych*, to jest nad zmianami ciepła i zimna, w liczbie 27,393; *barometrycznych*, czyli nad zmianami ciśnienia powietrza, tyleż; *hygrometrycznych*, czyli nad zmianami wilgoci w powietrzu 23,203; obserwacyj z *anemoskopem*, to jest ściągających się do kierunku wiatru, 27,393; *udometrycznych*, czyli do ilości spadającej wody z powietrza w stanie deszczu, śniegu, gradu i t. p. uczynił około 3120; *atmedometrycznych*, to jest nad ilością wysychającej wody, około 555; na ostatek nad stanem nieba, czyli nad zmianami pogody, słoty i t. p. uczynił dostrzeżeń 27,393. W ogóle więc liczba obserwacyj zrobionych i zapisanych przez Magiera, jak się można zapewnić z jego dzienników przez rząd po śmierci zakupionych, wynosi z okładem 138,000. Oprócz tych dostrzeżeń, wykonywanych przez samego Magiera w jego obserwatoryjum przy ulicy Piwniej, pomieszczone są jeszcze w owych dziennikach, wszystkie podobne dostrzeżenia czynione przed nim w Warszawie i te które od 50 lat zapisywane są przy moście nad wzbieraniem i opadaniem Wisły. Z tych wszystkich dostrzeżeń ułożony został obraz przedstawiający stan naszego klimatu, który pod napisem:

6. „*Karta meteorologiczna stolicy królestwa polskiego, Warszawa 1829 r.*” wyszła z pod prasy litograficznej w małej liczbie exemplarzy, wraz z objaśnieniem w polskim i francuzkim języku.

Zajmując się później historią obyczajową miasta Warszawy, dostarczał wiele krótkich, lecz nader zajmujących wiadomości, które były w *Kuryerze Warszawskim* w swoim czasie umieszczane; jeden zaś z obszerniejszych pod tym względem w *rozmaiłościach* do Korrespondenta Warszawskiego na rok 1824 Nr. 12 i 13, pod napisem:

7. „*Zabawy zapustne, reduty, bale, pikniki i assamble w Warszawie*” (2).

Dla historii Warszawy, uczynił nieocenioną przysługę swoimi pamiętnikami, a właściwie notatami, które w rękopiśmie zostawił. Jest tu nie mały skarbiec drogocennych wspomnień, szczegółów życia domowego, głównie należących do czasów panowania Stanisława Augusta, i tak zwanych *pruskich*, po r. 1808.

(1) F. M. Sobieszczański. — (2) Tenże. —

Praca Magiera, natchnęła i zachęciła F. M. Sobieszczańskiego do skreślenia z nowych i nieznanych dotąd źródeł: „*Rysu historyczno-statystycznego wzrostu i stanu miasta Warszawy.*”

Mamy właśnie w swym zbiorze ten rękopism pisany ręką *Józefy z Czarnomskich Łuszcze-wskiej*, siostrzenicy Magiera, a własną jeją ręką poprawiany, opatrzony wstępem i obszernymi przypiskami własnoręcznymi. Napis tego obszernego, bo do 200 arkuszy in folio obejmującego rękopismu, jest następujący: „Estetyka ⁽¹⁾ miasta stołecznego Warszawy, czyli historyczne opisanie rozmaitej zmiany postaci tego miasta, obyczajów mieszkańców różnego stanu, sposobu ich życia, zabaw, wychowania młodzieży, wzrostu literatury, kunsztów, rzemiosł, handlu i odmieniającego się gustu w strojach, w sprzętach, pojazdach i t. d. Od początku panowania króla polskiego Stanisława Poniatowskiego; tudzież z krótkim zarysem życia jego domowego, aż do terażniejszych czasów, wraz z opisem niektórych w tych latach przytrafionych zdarzeń.”

W przemowie zaś swojej wyraża: „Miasto stołeczne jest punkt średni, do którego gromadzą się dostatki krajowe, tu się rozpraszają, stąd grosz idzie w zamianę za towar zagraniczny, zbytkowy, lub nieodbicie mieszkańcom potrzebny. Stolica jest skazówką pomyślności lub upadku krajowego, i w kolei odmienia swoją postać. Tu mieszkanie panującego, zjazd cudzoziemców wprowadzających z sobą różny sposób życia, dobre lub złe obyczaje, które tu przyjęte, udzielają się po kraju. Tu się młodzież kształci, tu także znajduje szkodliwe dla siebie wzory. Mnóstwo zabaw jest tu miłym powabem dla różnego stanu. Im większe miasto, większe w niem zbytki, większa w nich przesada: zbytki rodzą niestałość, odmianę w życiu, w zwyczajach, ubiorze, mieszkaniach. Naoczny świadek sześciu panowań w przeciągu blisko lat 70, opisałem wiernie wszystkie prawie odmiany, i niektóre przygody w kochanej naszej stolicy w tym czasie wydarzone, który to opis niejakić czasem drobnostek, nieraz wierszem ówczesnych poetów, do okoliczności zastosowanym, przeplatany, więcej podobno mi sprawił zabawy, niżeli u czytelnika zasłużyć sobie może na jakąś zaletę. Zajęty przez lat 25 dostrzeżeniami odmian napowietrznych w Warszawie, w późniejszych zastanawiałem się nad niestałością obyczajów i mniemań w témże mieście, w czasie upłynionego mego wieku, odmiennych. Ułożyłem to opisanie w sposobie u nas dzienników familijnych, o których Niemcewicz wspomina: „Uwielbiałem ja ten zwyczaj przodków, za naszych dni niestety! zupełnie zaniedbany; widać w nich obraz czasów i ludzi, wierniejszy nad wszystkie dzieje.”

Rozpoczyna się ten rękopism listem szambelana króla Stanisława Augusta, porównywający czasy dawniejsze, z r. 1826 ⁽²⁾. Po nim idzie *Estetyka, czyli historyczny obraz miasta stołecznego Warszawy, od r. 1764*; kończą *przypiski* obszerniejsze od estetyki. Cały rękopism tak dla historyka jak i badacza dziejów domowego żywota przodków, a głównie też dziejów Warszawy i dworu królewskiego, bogate zasoby, szczegółów ważnych i ciekawych, podaje ⁽³⁾.

(1) Sam Magier tak objaśnia co znaczy użyta tu *Estetyka*: „wyraz grecki, pod różnym względem wzięty, bierze się także za ogólną wiadomość o obyczajach i sztukach wyzwolonych, ich początkach postępie i rozgałęzieniu.”

(2) List ten drukowałem w Kalendarzu Powszechnym S. Orgelbranda na rok 1854. Opis zaś dworu króla Stanisława i domowego życia tego monarchy: „w *Archiwum domowém.*”

(3) Ma tu łączność rękopism Jerzego Dawidsohna szweda czy irlandczyka, zmarłego w Warszawie 1792 roku w późnej starości, zawierający postrzeżenia meteorologiczne wraz z notatkami szczególnych zdarzeń w Warszawie.

BRANDT FRANCISZEK.

Grób w ziemi, nad nim kamień piaskowy z wklęsłemi czarnemi literami: herb i napis: (1).

„FRANCISZEK BRANDT DOKTOR MEDYCYNY I CHIRURGII, UR. D. 27 MARCA 1777, UMARŁ D. 21 WRZEŚNIA 1837 R.”

Obok grób w ziemi, syna jego: i kamień z napisem:

„ALFONS BRANDT DOKTOR MEDYCYNY I CHIRURGII, UR. D. 26 LUTEGO 1812, UMARŁ D. 10 MARCA 1846 R.”

Brandt Franciszek Doktor Medycyny i Chirurgii, professor anatomii i bandażów, medycyny prawnej, policyjnej i weterynaryi w wydziale akademicko-warszawskim nauk lekarskich, tudzież professor Instytutu sztuki położniczej, członek rady ogólnej lekarskiej i towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, urodził się w Warszawie: ojciec jego był właścicielem domu na ulicy Nowy-Świat. W ósmym roku życia stracił rodziców, a opiekunowie dozwoiliwszy zupełnego upadku majątku, używając sierotę do posług domowych, pozbawili szczęścia nabywania nauk. Dopiero w 10 roku życia, uprosił opiekuna o posyłanie do szkół, w których 4 klasy ukończył (2). W r. 1791 obrawszy sobie za stan cyrulictwo, oddany został w termin do słynnego wówczas Piotrowskiego. Gdy w roku 1794 chirurg królewski Stanisław Stoll utworzył w Warszawie szkołę chirurgiczną dla młodzieży, udał się do niej Brandt młody, a pilnością i bystrym pojęciem nauk chirurgicznych, celował przed innemi uczniami, i tym sposobem ściągnął na siebie uwagę doktora Fryderyka *Spaetha* przewodniczącego tej szkole, i przez jego starania jako chirurg przy wojsku polskiem umieszczony został.

Za czasów rządu pruskiego w r. 1799, posłanym był Brandt do Pepiniery w Berlinie, i tam odznaczał się wśród wszystkich uczniów niezrównaną pamięcią, bystrym pojęciem i nadzwyczajną pilnością; jemu też celnijsze przyznawano nagrody, które jako pierwszy hold wdzięczności przesyłał do Warszawy doktorowi *Spaeth*, dobroczyńcy swemu. Po skończeniu kursów w r. 1802, na profesora akuszeryi do Warszawy przysłany. Odtąd zaczyna się zawód publicznego życia Brandta: raz tylko Warszawę opuścił dla doktoryzowania się w Hali. Do r. 1818 był ciągle professorem akuszeryi i dyrektorem tego instytutu. Od r. 1806 był członkiem oraz sekretarzem rady ogólnej lekarskiej, a w r. 1808, fizykiem miasta Warszawy. Od czasu zaprowadzenia ospy ochraniającej w Polsce, ciągle był dyrektorem instytutu szczepienia ospy. Wszystkie te obowiązki wypełniał z gorliwością wzorową, lecz całą duszą był oddany wydziałowi lekarskiemu, który on rzec można założył. Gdy w czasie kampanii austryjackiej r. 1809: okazał się brak wielki w wojsku polskiem zdatnych lekarzy, Brandt powziął myśl założenia szkoły le-

Był on własnością *Magiera*, który go wielu ciekawemi przypisami zbogacił. Dziś znajduje się w ręku p. *Karola Bajera* znanego numizmatyka naszego.

(1) Jest to herb *Przysługa*, nadany Brandtowi w roku 1824.

(2) Życiorys dokładny Fr. Brandta, napisał Dr. Adam Helbich, i ogłosił w Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego. Warszawa w tomie I str. 396, na r. 1837.

karskiej w Warszawie. Łączyła wtenczas Brandta ścisła przyjaźń z doktorami: Józefem Cze-
kierskim i Augustem Wolfem, przyjaźń, której wiernie dochowali sobie do grobu. Brandt myśl
swoją objawił dwom przyjaciółom, którzy ją przyjęli z zapalem. Przybrali do grona swego zna-
nych z nauki Dr. Dziarkowskiego, Hoffmana i Józefa Celińskiego aptekarza. Izba edukacyjna,
ulożony przez nich projekt zatwierdziła, i dom w Warszawie Nr. 73 na ten cel przeznaczyła.
Przez lat kilka założyciele szkoły lekarskiej nauczali bezpłatnie, każdy wielkie czynił po-
święcenia, lecz Brandt pracował prawie nad siły. Nauczał on *anatomii* w całej obszerności,
wykładał *weterynaryę, medycynę prawną i policyjną*, dawał praktyczne ćwiczenia na *fantomie*
w akuszeryi, i naukę zakładania opasek. „Zważywszy przytém iż był professorem *sztuki ba-
bienia* dla kobiet i dyrektorem instytutu położniczego, każdy przyzna, iż takiemu brzemieniu
pracy, wielkie tylko dusze wydołać są zdolne, gdy całą nagrodę znajdują jedynie we własném
sumieniu i przekonaniu, że się dla dobra ogółu działa.” (1).

W r. 1805 powołany Brandt na członka towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, wi-
dząc że w tym gronie, rzecz lekarska ubocznym tylko mogła być przedmiotem, powziął wraz
z innemi lekarzami myśl założenia oddzielnego towarzystwa lekarskiego, i doprowadził ją do
skutku w r. 1820. August Wolf obranym został prezesem, Brandt vice-prezesem. Kiedy obciążo-
ny laty i pracą Wolf się usunął w zacisze wiejskie: Brandt jego miejsce zajął, i do skonu przez
lat ośm przewodniczył temu towarzystwu. Wszystkie wolne chwile wieczora, poświęcał pisaniu
dział i rozpraw lekarskich. Będąc professorem anatomii wydał naukę tę w całej obszerności
w pięciu tomach. Pisząc pierwszy w polskim języku w tym przedmiocie, musiał walczyć z wiel-
kiemi trudnościami w doborze wyrazów: ile był w nich szczęśliwy, jaką okazał trafność, do-
wodzi upowszechnienie nomenklatury Brandta. Dzieło to przez cały ciąg trwania wydziału le-
karskiego, służyło uczniom za przewodnika. Rozprawy Brandta zamieszczone były w roczni-
kach towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk: najważniejsza była o chorobie naszego kraju
koltunie.

Wydął własnym kosztem swoje prace:

„*Nauka o muszkulach, dla uczniów trudniących się rozczłonkowaniem praktycznym na tea-
trze anatomicznym w Warszawie. Przełożone z niemieckiego. Warszawa, 1810.*”

„*Splanchnologija. Warszawa 1815.*”

Pod przewodnictwem Brandta, zaczął wychodzić *Pamiętnik Lekarski Warszawski*, w ro-
ku 1823.

W szpitalach warszawskich trawił dnie i noce, tam zaprawiał syna do posługi nieszczęśli-
wym, tam niósł pomoc i słowa pociechy, a o każdego chorego potrzebie miał staranie: był też
między niemi jak ojciec wśród dzieci.

Gdy nieznaną dotąd w Polsce choroba *cholera* panować zaczęła, w r. 1831 utworzył ko-
mitet lekarski, w którym pracowano nad poznaniem téj choroby, i środkami jej leczenia.

Na lat kilka przed zgonem, usunął się w zacisze domowe, zajęty obowiązkami powołania
i nauką dzieci. W r. 1837 wywołała go znowu do posług publicznych *cholera*: wolą Rządu po-

(1) A. Helbich: Pamięt Tow. Lekarskiego. T 1 1837 r

wołany został do urządzenia szpitali cholerycznych i służby lekarskiej. Praca i poświęcenie gorliwe, przy skołataném zdrowiu, przyspieszyły zgon nagły. Umarł tknięty apopleksją dnia 21 Września 1837 r. w 60 roku życia. W r. 1811, ożenił się Brandt z córką nauczyciela i dobroczyńcy swego Dra Spaetha. Zdrowie nadwreżył pracą, a majątek uczciwie zebrany, dobroczynnemi ofiarami; uczony lekarz, zacny obywatel, mąż, ojciec i przyjaciel, wyrozumiały i łagodny nauczyciel, dobroczyńca nieraz w potrzebie dla wielu, oto zasługi, które imię jego wdzięcznej pamięci oddają. Tysiące ludzi towarzyszące pogrzebowi Brandta, okazało wymownie, jak chciano uczcić tego zwłoki, który ciąg cały żywota swego, tyle poświęceń oddał krajowi i współrodakom.

Obok grobu czcigodnego ojca, spoczywa syn jego Alfons Brandt: ukończywszy nauki w uniwersytecie warszawskim, udał się do Berlina, i tam otrzymawszy stopnie doktora medycyny i chirurgii, rozpoczął zaraz praktykę w Warszawie. Kiedy cholera i tyfus, silnie się szerzyły, młody Brandt poświęciwszy się z całą gorliwością i pilnością w ratowaniu cierpiących na te choroby w szpitalu Dzieciątka-Jezus, umarł w młodym wieku, mając lat 34.

SKRODZKI JÓZEF.

(Stary Cmentarz).

„TU LEŻY JÓZEF KAROL SKRODZKI B. DZIEKAN I PROFESSOR UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, ŻYŁ LAT 45.

UMARŁ D. 15 MAJA 1832 R. STROSKANA ŻONA CIENIOM MĘŻA NAGROBEK TEN POŚWIĘCA.”

(obok)

D. O. M.

„LUDWICE Z CICHOWSKICH SKRODZKIEJ ZMARŁEJ D. 24 KWIETNIA 1839 R. POZOSTAŁE DZIECI W DOWÓD

NIROGRANICZONEJ WDZIĘCZNOŚCI I PRZYWIĄZANIA KŁADĄ TEN POMNIK ŻAŁU, ŻYŁA LAT 39.”

(Oba kamienie położone na ziemi, na niskiem podmurowaniu: napis ś. p. Skrodzkiego zamazany i przytarty, ledwie daje się odczytać).

Józef Karol Skrodzki, urodził się na Litwie dnia 19 Marca 1787 roku. Ojciec jego służył w wojsku dawniej Rzeczypospolitej, w stopniu kapitana; młody Józef pobierał nauki najprzód w gimnazjum, a następnie w uniwersytecie wileńskim. Od roku 1807 poświęcił się stanowi nauczycielskiemu, i był professorem szkół publicznych na Litwie, do roku 1811. W tym czasie przybył do Warszawy i początkowo w liceum warszawskiem, a następnie w uniwersytecie aleksandrowskim sprawował aż do śmierci obowiązki profesora fizyki; odbywszy w tym przeciągu naukową podróż po różnych krajach Europy, gdzie ze znakomitemi współczesnymi uczonymi znajomość zabrał, z ich nauk korzystał, i przez nich do uczestnictwa w kilku uczonych zgromadzeniach był powołany. „Od roku otworzenia uniwersytetu warszawskiego, (pisze to Fr. hrab. Skarbek, przyjaciel i współtowarzysz w zawodzie naukowym jako professor

tegoż uniwersytetu) pracował z niezmierną gorliwością nad udoskonaleniem i nauczaniem umiejętności, której całe życie swoje poświęcił, i rzetelnie powiedzieć można, oddał w ofierze. Zawód nauczycielski nie we wszystkich gałęziach wiadomości ludzkich, równe nastęrcza trudności. Łatwiej nauczać tam gdzie erudycja, szczęśliwa pamięć i zdrowe zdanie, raz na zawsze ustalone zasady naukowe, wyklądać pozwalają; trudniej daleko tam, gdzie mamy do czynienia z umiejętnością postępującą krok w krok za każdym udoskonaleniem, i rozszerzeniem pojęcia i wiadomości ludzkich; gdzie nieraz trzeba się wyrzec już nabytych wyobrażeń, a nowych ciągle się uczyć, gdzie nie można wierzyć na słowo mistrzom, lecz każde nowe ich doświadczenie, każdą naukową prawdę, własnej rozwadze poddać, i należyście zgłębić potrzeba, nim się ją uczniom, jako wyraz własnego przekonania udzieli. Mało cenią w pospolitem pożyciu umysłową pracę, zwłaszcza, gdy nie widzą dzieł drukiem ogłoszonych, któreby o niej świadczyły. Wielu jest takich, co nie chcą wierzyć umysłowemu znużeniu i wątleniu sił organicznych człowieka, przez zbytne natężenie władzy pojęcia, dla tego mało jest takich, co poświęcenie się i mozół wyższego nauczyciela, należyście ocenić umiej. Skrodzki należał do rzędu tych nauczycieli, którzy nie tylko gorliwie, lecz nawet z narażeniem zdrowia własnego, obowiązkom powołania swego się poświęcają. Fizyczne siły jego nie wydołały dzielności umysłu; i jeżeli szlachetne chęci namiętnością zwaćby można, powiedziałbym, że namiętne oddanie się badaniom w naukach przyrodzonych, i chęć przelania w licznych uczniów swoich, wiadomości przez siebie zgłębionych, stały się przyczyną przedwczesnej jego śmierci. Był on razem nauczycielem fizyki w trzech wyższych instytutach publicznych, a czas wolny od prelekcji pozostały, przepędzał bądź sam, bądź z uczniami w gabinecie fizycznym, na czynieniu doświadczeń i badań, nieraz dla osłabionego zdrowia jego szkodliwych. Prócz tego śledząc pilnie w dziełach i pismach zagranicznych postępy nauki swojej, licznymi rozprawami peryjodyczne pisma krajowe i zbiory prac uczonych towarzystwa przyjaciół nauk, zbogacał. Prócz takich rozpraw pojedynczych, nie wydał za życia żadnego większego dzieła, lecz pracował nad obszernym wykładem fizyki, której tom pierwszy zupełnie wykończony, w pozostałych po nim rękopismach się znajduje.

„Wspomniawszy o zasługach Skrodzkiego w zawodzie naukowym i nauczycielskim, jużesmy go przez to polecili dostatecznie wdzięcznej pamięci narodu, dla którego pracował. Miło jest do wspomnienia zasług publicznych, dołączać obraz pięknych przymiotów serca, dobrze jest dla poeciehy i wzoru pozostałych, okazać w zmarłym nietylko użytecznego dla kraju męża, lecz uczciwego i dobrego człowieka w pożyciu z rodziną, z przyjaciółmi i współzawodnikami swoimi; byleby rysy obrazu naszego, piętno prawdy na sobie nosiły. Liczna drużyna przyjaciół, która zwłoki Skrodzkiego do zaciszy grobu odprowadzała, powtarzała w ciągu tego smutnego obrzędu, że to był człowiek od wszystkich kochany: proste a wymowne świadectwo, na które sobie każdy uczciwy przy rozstaniu się z tym światem, zasłużyć pragnie; a które się tak słusznie Skrodzkiemu należało. Znamionującą cechą charakteru jego, była usilność wykazywania zalet każdego, jakiegokolwiek zasługi lub zdolności mającego człowieka, i stawania w obronie tych, których przed nim potępiano. Nigdy go nie słyszano obmawiającego innych, a nawet mniej życzliwych sobie, i trzeba było wielkich dowodów złości, lub nieprawości, aby go skłonić do tego, iżby potępia-

jące o kim dał zdanie. Przy największej słodyczy charakteru, przy pobłażającej dobroci dla wszystkich, nie był to człowiek słabego umysłu, któryby się chwiał w zdaniu swoim, lub szedł za namową obcą, albo za natchnieniem chwili; nie zboczył nigdy z drogi obowiązków którą mu uczciwość raz wytknęła. Posiadał on miłość uczniów i zaufanie kolegów, którego mu kilka razy dali dowody, przez powołanie go do piastowania wyższych urzędów uniwersytetskich. Spokojny w sumieniu, przejęty pociechą jaką ta spokojność jedna, był cierpliwy i wesoly w długich cierpieniach, aż do ostatniej chwili życia, tak iż gdybyś go był widział na godzinę przed śmiercią, rzekłbyś, iż się uśmiecha do anioła śmierci, z którym ma pełną nadziei drogę, do wieczności odbyć (1)."

Kiedy F. Bentkowski przestał redagować *Pamiętnik Warszawski*; Brodziński, Skarbek i Skrodzki, dla utrzymywania tego pisma objęli wydawnictwo w r. 1822, i wydali do r. 1823 tomów sześć. Tu znaleźć można wiele rozpraw Skrodzkiego, który sumiennie pracował jako współredaktor tego pisma.

JÓZEF KROGULSKI.

„PAMIĘCI JÓZEFA WŁADYSŁAWA KROGULSKIEGO ZNAKOMITEGO ARTYSTY MUZYCZNEGO, UR. D. 4 PAŹDZIERNIKA 1815 R. ZMARŁ. 9 STYCZNIA 1842 R. ORAZ JEGO CÓRCZE JÓZEFIE, ŻYJĄCJĘ MIESIĘCY 4, ZMARŁEJ 13 KWIETNIA 1842 R. POŚWIĘCA PRZYJAŹŃ I ŻONA MĘŻOWI, A MATKA CÓRCZE.”

Józef Krogulski, jako fortepianista od pierwszej młodości, bo prawie w dzieciennym wieku podziwiany; wczesnie poznawszy właściwą drogę cel i przeznaczenie, rzucił błyskotki sztuki, opuścił pole poklasków świata bez żalu, i poszedł za uczuciem które do jego przemawiało serca. Jakby przezuwał krótką swoją pielgrzymkę na ziemi, oddał się z zapalem młodzieńczego wieku utworom religijnym (2). Od początku zaraz przez swego przewodnika Józefa Elsnera wprowadzony na tor właściwy, zdązał do celu z godną podziwienia wytrwałością, ze skromnością i niezachwianą odwagą, co są godłami prawdziwego talentu. „Pierwszych sił w nowym zawodzie (mówi jego bijograf J. M. Wiślicki) doświadczył Krogulski na kilku małych utworach, których wyuczył wychowanki Instytutu Świętego Kazimierza w Warszawie, i razem z nimi co niedziela wykonywał. Pobłogosławił Bóg dobrym zamiarom jego; wnet około młodzieńczego kompozytora, zebrała się szczupła gromadka lubowników śpiewu kościelnego; dalecy oni będąc od gwaru światowego, wraz ze swym przewodnikiem, obrali odległy od miasta kościółek Trynitarzy na Solcu, do wykonywania pieśni chwale Bożej poświęconych.

„W cichości pracował Krogulski nad zgłębieniem śpiewu chóralnego, a w miarę powiększania się swego towarzystwa, tworzył nowe i coraz większe dzieła. Nadeszła chwila otwarcia kościoła księży Pijarów przy ulicy Śgo Jana; Krogulski już był w stanie ze swoim chórem

(1) Fryd. hr. Skarbek. Tygodnik Polski, redakcyi Damazego Dzierzynskiego. T. 2, 1832 roku.

(2) Józef Krogulski jako kompozytor religijny przez Józefa M. Wiślickiego. Warszawa 1843 r. str. 14. 8vo.

zając godnie ofiarowane miejsce. Odtąd z coraz wzrastającą liczbą lubowników, stale co niedziela i każde święto, wykonywał w ojczystym języku msze, po największej części przez siebie napisane. I zaczął poglądać z miłą nadzieją, że jego prace, najdroższe życzenia w poświęceniu swego talentu chwale Bożej, ziszczone zostaną i błogie owoce w przyszłości wydać mogą. Aby nadać rozciąglejszy zakres usiłowaniom i zapewnić trwałość swemu chórowi z lubowników złożonemu, zaprowadził u siebie Krogulski szkołkę, w której uboższym bezinteresownie wykładał naukę śpiewów. Garnęła się młodzież dla korzystania; jedni w tej szkole wykształceni uczniowie, stanowią dotąd zasadę główną chóru pijarskiego, drudzy powołani ze swych obowiązków na prowincje, założyli tam kilka podobnych szkółek, których uczniowie w przybytkach Pańskich, wykonywają ze zbudowaniem ludu, śpiewy kościelne. Krogulski na tém się nie ograniczył: chciał on, aby i dalej sięgał wpływ jego. W tym celu przeto, zaczął kolejno wydawać msze polskie swojej kompozycyi, zaczawszy od najłatwiejszej, na trzy głosy; takowe obok istniejących Kurpińskiego, Elsnera, przyszedłszy w porę wiejskim i miejskim organistom, korzystnie rozpowszechniały śpiew kościelny.

„I tu nie zawiódł się Krogulski na swém oczekiwaniu; wnet z najodleglejszych zakątków kraju, przybywały żądania o msze, szła nauka muzyki chóralnej, rozpowszechniał się smak dotykając swemi promieniami najdalsze krańce, ustalało się przekonanie, że nie same arje światowe ukształcają głos, nadają pewność muzyczną śpiewowi, a nadewszystko, szerzyła się chwała Przedwiecznego. Oto był cel życia Krogulskiego, oto najchlubniejszy zakres talentu, skierowanego ku pożytkowi ludzi i czci stwórcy; dopiął on go w krótkim przeciągu czasu, kiedy inni długich lat na to potrzebowali, bo mu w tej pracy towarzyszyło Boże natchnienie i prawdziwie religijne uczucie. Tém ożywiony Krogulski, od najpierwszej młodości, od pierwszych początków przedsięwzięcia, wylewał na papier myśli duszy, wzniecone miłością Boga. Któż w jego kompozycjach kościelnych, nie dopatrzy tego smętku, rzewności tułacza, który wśród ziemskiej pielgrzymki wzdycha do lepszego życia; przebija się tam radość i nadzieja chrześcijanina wiodąca w krainy nieskończonego szczęścia. Uważając Krogulski pielgrzymkę ludzką jako wielki dramat napojony Izą smutku i religijnej pociechy, udramatyzował swoje kompozycje temi odcieniami; jego muzyka daleka od jednotonności i rozwlekłych okresów, jest melodią duszy chwalcą Najwyższego, co przecierpiała koleje życia, w spodziewaniu wyższej niebiańskiej nagrody. Taką cechę nosi szczególnie jego msza żałobna, i oratorium na wielki piątek, ostatnie dzieło przed śmiercią napisane. Krogulski jakby przeczuwał bliski kres życia, rzekł do mnie skoro ukończył to wielkie dzieło: „Spełniłem moje przedsięwzięcie, teraz umrę spokojnie.” I zgasł w samym kwiecie wieku, bo w 27 roku życia.

Portret jego jest na chórze przy organach w kościele księży Pijarów w Warszawie.



MD. 626



Rys. A. Matuzkiewicz

Odbitw Lit. M. Fajana, w Warszawie Ul. Długa 560

Lit. M. Fajana.

GRÓB KAZIMIERZA LUXA.

KAZIMIERZ LUX.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. KAZIMIERZA LUXA, SZTABS-OFCERA B. WOJSK POLSKICH, NASTĘPNIE KOMMISSARZA OBWODU PŁOCKIEGO I PRZASNYSKIEGO, A W KOŃCU EMERYTA, KAWALERA ORDERÓW WOJSKOWYCH I CYWILNYCH, KTÓRY PRZEŻYWSZY LAT 66 BEZ SKAZY, W D. 16 LIPCA 1846 R. PRZENIOŚĘ SIĘ DO WIECZNOŚCI.”

Kazimierz Lux urodził się w Warszawie 4 Marca 1780 r. W wieku prawie dzieciennym, bo w 16 roku życia wszedł do służby 1796 r. wojskowej, jako furyjer do legijonów polskich we Włoszech; we dwa lata awansował na sierżanta starszego; w r. 1800 na podporucznika, stopień ten okupił krwią własną w bitwie pod *Marengo*. W r. 1802 mianowany porucznikiem, 1809 kapitanem, w 1812 majorem. Służył w 6, następnie w 16 i 17 pułku piechoty ⁽¹⁾. Odbывał kampanije od r. 1796 do 1804 we Włoszech, był w bitwach pod *Trebio*, *Novi*, *Marengo*, *Mincio*, *Mantua*; należał do korpusu który zajął Rzym, Neapol, Gaetę. W r. 1802, walczył w Ameryce na wyprawie do St. Domingo, pod górą *Cotar* i bronił miasta *Cayes*, gdzie ranny powtórnie, przez kapitulacyję, dostał się d. 20 Grudnia 1802 r. do niewoli angielskiej; zawieziony jako braniec do wyspy Jamajki, następnie do Anglii, zostawał na pontonach w jassyrze blisko lat dwa, bo dnia 9 Września 1804 r. Wrócił do służby, a w 1807 ze szczątkami rodaków przybywszy do Europy, wszedł w szeregi wojsk księstwa warszawskiego. Tu walczył w r. 1809 przeciw Austryjakom w oblężeniu Torunia, w latach 1812 odbył wyprawę jako szef batalijonu, i ozdobiony został krzyżem wojskowym złotym; a w r. 1813 w oblężeniu Modlina zostawał. W r. 1815 wszedł w szeregi b. wojska polskiego w stopniu majora, lecz słabość zdrowia nie pozwoliła mu pozostawać długo w zawodzie, któremu najpiękniejszy wiek życia swojego poświęcił. W r. 1820 uzyskał żądane przez siebie uwolnienie ze służby wojskowej z pensją i pozwoleniem noszenia munduru. Rok niecały był dostatecznym do pokrzepienia nadwątłego zdrowia; w roku 1821 wszedł do służby cywilnej, jako komisarz obwodu Płockiego, a następnie w 1832 r. przeniesiony do obwodu Przasnyskiego, odznaczał się jako czynny i gorliwy urzędnik, umiejący pogodzić jego obowiązki, ze szlachetnym i godnym postępowaniem obywatelskim.

Po czterdziestoletniej służbie wojskowej i cywilnej, Lux z pensją emerytalną, usunął się w domowe zacisze. Więcej swobodny i mając czas wolny, zaczął pracować nad opisaniem świetnych wypadków w których miał udział, co już się zapisały niestartami zgłoskami, na kartach historyi. Obóz był jego szkołą, przebiegając z bronią w ręku całą Europę, walcząc w St. Domingo, czy zostając w niewoli, zdobywał wiadomości, naukę. Przykra to zaprawdę i mozolna szkoła. W tych trudach, w tém tulactwie, wyuczył się pięciu języków, a jeżeli myśl powrotu do rodzinnej zagrody przynosiła mu nieraz pociechę i ulgę w ciężkiej powinności obozowego życia; to zarazem była mu pobudką do kształcenia się ciągłego, do zbierania i nabywania wia-

(1) „Lux Kazimierz, syn Michała i Emilii, kondycyi: obywatel Księstwa; twarzy ściągłej, ospowatej, oczu niebieskich, nosa koniczatego, włosów ciemnych, czoła wysokiego; ma calów 73. Czyta i pisze, posiada języki: francuzki, włoski, hiszpański, angielski i niemiecki.” (Wypis z racyjonału pułku 2 strzelców).

domości, ażeby z korzyścią nauk i doświadczenia, do swoich powrócił. Wszędzie gdzie był, jak mi sam mówił, na miejscu robił notatki, to we francuzkim, to w angielskim, to w hiszpańskim, to we włoskim i niemieckim języku; czy to walcząc w St. Domingo, w Włoszech, w kraju własnym, czy smutne pędząc godziny w niewoli na pontonach angielskich. Teraz przyszedł czas te notatki uporządkować, zebrać i ułożyć w całości. Tę pracę poświęcał więc czas cały, osiadłszy stale w Warszawie. Mieszkając w pobliżu saskiego ogrodu, od wiosny do późnej pogody jesienniej, szukał w nim odpoczynku i rozrywki. Tu pod cieniem drzew, na jednej ławce w r. 1845 zbierało się szczupłe już grono jego starych towarzyszków; tu odżywiali zwątlone już siły wspomnieniem świetnej dla siebie przeszłości. „Oddaliłem się, (pisze Lux w pozostawionej notatce) od zgiełku błędnego świata, i od lat czterech w domowym zaciszu spoczywam. W letniej porze szukam roztargnienia w ogrodzie *saskim*, pomiędzy kolegami, którzy przybrali nazwę *junt antyków*: W niej prezyduje *Kirkor*, jako najstarszy i najzdrowszy, reszta zaś członkowie. Wszyscy łążą, żaden podług dawniej nauki nie stawia nogi, żeby brał palce na dół, tylko już posuwa, inni zaś stawiają wprzód pięty, a dopiero palce. Kiedy się zbieramy na jedną ławkę, a czasami bywa nas najwięcej ośmiu, (bo prawie co rok liczba się zmniejsza, i z naszego kółka dezertują na *Powąski*) obliczywszy lata, mamy razem 582 lat.” I poniżej dołączył piosenczkę, którą ułożył dla tej junty antyków.

„Do dawnych czasów nie wrócim,
Więc zgięci lata, nie skaczem,
Tylko się dręczym, lub smucim,
I coraz częściej zapłacem.

Ale nawet i ta pora,
Częstokroć przyjemną bywa,
Jest to pogadanka tkliwa,
W pośród parnego wieczora,
Z doświadczonego przyjaciąłem,
O tém, co serc naszych celem.
Zawsze się na starość żalim,
Zbiegłe tylko czasy chwalim.

Zaledwie wiemy że czujem,
Życie liczym na godziny,
I jak pająk z pajęczyny,
Z tego wielkiego przędziwa,
Które lada wietrzyk zrywa;
Pociechy snujem!”

Pisał to w r. 1845, na rok przed śmiercią; i w końcu obliczył: że z liczby 841 oficerów z legjonów polskich we Włoszech i nad Renem, od r. 1797 do końca 1806 r. pozostało przy życiu 49. Ś. p. Lux, jak mówiliśmy, gdziekolwiek los go rzucił wojny, zapisywał swoje uwagi, spostrzeżenia, co tylko mocniej uderzyło jego myśl i obudzało silniejsze uczucie. Nie jeden worek takich notat, przywłókt do kraju ze swych wędrówek po świecie. Powoli zabierał się do ich uporządkowania i ułożenia wedle przedmiotu w całość. Najprzód ułożył historją legjonów polskich, głównie z zwrotem uwagi na kampanię włoską i wyprawę do Sant-Domingo. Rękopism ten obejmował tysiąc dwie stronic, i z niego pułkownik *Piotr Bazyli Wierzbicki*, pod swoim imieniem

w Bibliotece Warszawskiej w tomie 1, z 1847 r. dał małe wyjątki; przyswoiwszy go na własność sobie (1). Drugi rękopism pozostały w papierach po zmarłym Luxie, jest we francuzkim języku, obejmuje arkuszy 19 foliowych, i ma napis: „L'Angleterre vue à Londres et dans ses provinces; en 1804.” Trzeci obszerniejszy, pod napisem: „Wyspa Sant-Domingo, pod względem statystycznym opisana, według notat porobionych na miejscu 1805 i 1806 roku” (2).

JÓZEF WOLSKI

ARTYSTA DRAMATYCZNY.

(*Spoczywa w pierwszej połowie nowego cmentarza od strony drogi bitój, bez nagrobku.*)

Urodził się w Warszawie r. 1785, i tu odebrał staranne wychowanie. Po ukończeniu nauk, przyjął obowiązki domowego nauczyciela, u jednej ze znakomitszych rodzin na Wołyniu. Gdy uczeń jego lat doszedł, Wolski udał się do Wilna, i poczuł pociąg do poświęcenia się sztuce dramatycznej. Tam wszedł do miejscowego teatru, i wkrótce, prawie jednocześnie ze Zdanowiczem i Werowskim przybył do Warszawy, gdzie w teatrze narodowym pod dyrekcją Ludwika Osiańskiego, w poczet artystów dramatycznych, policzonym został. Wysoki wzrost, piękna postawa, ułożenie szlachetne, wymowa dźwięczna i silna, pojęcie i zrozumienie roli w nich wielkie; stawały Wolskiego jakkolwiek nie w rzędzie pierwszych, zawsze niepoślednich artystów teatru warszawskiego. Brak rzeczywiście znakomitego talentu dramatycznego, umiał Wolski pokryć wykształceniem naukowym i sumiennością w oddaniu roli. Bo téż zaprawdę, nie łatwe było odznaczenie się na scenie, gdzie oddawna jaśnili tacy artyści, jak Bogusławski, Kudlicz, Werowski, Szymanowski, Żółkowski, Zdanowicz, a w ostatku najpotężniejszego talentu Piasecki. Wolski, gruntownie naukowo znając język francuzki, obok wystąpień na scenie, udzielał tego języka, pragnącym w nim nabycia wyższej naukowej znajomości. Jakoż otrzymał posadę

(1) Zasłużony ten wojownik i obywatel, spoczywa także na Cmentarzu Powązkowskim. Wierzbicki wszedł jako kadet do służby wojskowej w r. 1791, do 10 pułku piechoty *Działyńskiego*; w r. 1797 został chorążym. W dwa lata później, przeszedł w służbę *francuzką* jako ochotnik, a w r. 1794, jako kapitan umieszczony był w pułku 1. legjonów włoskich, gdzie postąpił na majora. Służba jego odznaczała się zawsze gorliwością, to téż szybko przechodził stopnie wojskowe, i w r. 1811, został szefem sztabu dywizyi 3. W latach 1794 w kraju, w 1796 w *Korsyce*, w 1797 we *Włoszech*, w 1801 na wyspie *Elbie*, w r. 1802 do 1805 na Sant-Domingo, oraz w 1812 i 1813 odbywał wszystkie kampanije, i znajdował się we wszystkich bitwach. W r. 1812 dowodził dywizją nadbużną, w 1813, w bitwie pod Lipskiem dostał się w niewolę. W nagrodę swych zasług, ozdobiony został krzyżem kawalerskim wojskowym. Po tylu trudach osiadł w dobrach swych *Jędrzejniki* w powiecie Stanisławowskim, a następnie w Warszawie, gdzie w czasie grasującej i morderczej cholery, umarł d. 16 Sierpnia 1852 r., przeżywszy lat 86. Wierzbicki wielką oddał pamięcią, którą do chwil ostatnich życia, starość nie osłabiła, wielką był pomocą *Luxowi* przy układaniu i spisywaniu pamiętników. Pamiętał nietylko imiona i nazwiska wszystkich oficerów, ale najdrobniejsze szczegóły i daty jak najdokładniej. Ta pamięć i wdzięk opowieści, odznaczały starca i jednały mu serca słuchaczy. Co za niedożałowana szkoda dla naszych dziejów, że Wierzbicki sam nie chciał spisać własnych wspomnień; gdyby zachował to życie i wdzięk jakie miały jego opowiadania, byłoby to dzieło niezawodnie pamiętnikiem nowszych czasów różnej wartości, jak nasz stary *Pasek*.

(2) Rękopism ten wydrukowałem w Bibliotece Warszawskiej na rok 1854.

nauczyciela do wykładu języka francuzkiego w szkole dramatycznej przy b. konserwatoryjum, gdzie z wielką dla uczniów korzyścią, wykładał swój przedmiot przez lat kilkanaście, dopóki trwał ten zakład naukowy (1). W ścisłych zostając stosunkach przyjaźni ze znanym Antonim Magierem, zachęcony przez niego, Wolski zaczął od r. 1822 pracować nad ułożeniem słownika francuzko-polskiego. Tytuł następny objaśnia treść zamierzonej pracy:

„Dykcyonarz gramatyczny francuzki, zawierający w sobie: 1) Celniejsze trudności tego języka, rozbierane przez przedniejszych gramatyków francuzkich. 2) Przestrogi dla polaków, jakich się szczególnie polonizmów wystrzegać mają, mówiąc i pisząc po francuzku. 3) W przysłówkach wskazane jest miejsce, które mogą się kłaść między posilkowém słowem a imiesłowem, a które tylko po słowie w składanych czasach. 4) W przymiotnikach, które mogą się kłaść przed rzeczownikami, a które po rzeczownikach. 5) Tablica formowania czasów. Czasy pierwotne słów nieforemnych, a pod każdym z tych czasów, te które się z nich formują w słowach ułomnych przestroga, jakich im czasów brakuje. 6) Gallicyzmy, słowa jakimi rządzą przypadkami. 7) Źródłostów wyrazów francuzkich pochodzących z greckiego. Nakoniec uwagi nad niedokładnościami dykcyonarza akademii francuzkiej, wskazane przez uczonych francuzów, a wsparte przykładami wyjętymi z autorów klassycznych. Ułożony przez Józefa Wolskiego A. D.” Chciał Wolski w tym dykcyonarzu objąć całą mowę obudwu narzeczy; nadto co do użycia wielkiej liczby wyrazów, tudzież zwrotów mowy, mieścił przykłady, wsparte powagą i wypisami z dzieł najznakomitszych, dawniejszych i współczesnych polskich i francuzkich pisarzy. Obszerny plan, na wykonanie którego, zdawało się na pozór, że mało życia jednego człowieka. Przedsięwzięcie to, oprócz długoletniej usilnej pracy, wymagało dzieł, z którychby autor mógł czerpać potrzebną mu pomoc; to téż Wolski, nie żałował wydatku na nabywanie dawnych i nowych dzieł w tym przedmiocie, a odkładając corocznie z grosza ciężko zapracowanego, część nie małą; zebrał wyborową bibliotekę do 4000 ksiąg wynoszącą, która go wciągu lat kilkunastu, przeszło 30,000 złp. kosztowała (2). Był to uczciwy, szlachetny w obranym zawodzie pracownik. Najlepiej się téż sam Wolski maluje zapisaniem godła do swego słownika: „Nauka przyciąga do siebie wdziękiem nieopisanym. Nie jeden nie żąda nic więcej za swą pracę, jak tylko tego szczęścia, że może pracować!” Nie miał téż innej, i nie widział innej nagrody, jak pracę samą. Ogromne materiały zostawił Wolski do swego słownika; obrobioną część, w zupełności wykończył litery *A.*

(1) W r. 1824, występował Wolski i na teatrze francuzkim w Warszawie.

(2) Na jednej księdze ś. p. Wolski zapisał dochód swój z beneficjów: przywiódę tu ciekawą tę notatkę:

	<i>Czystego dochodu.</i>
Rok 1813, 29 Grudnia, w środę. Mężyków na Syberyi, dukatów	170
— 1816, 8 Listopada. Leszek Biały, dukatów	65
— 1818 30 Października, piątek Op. Julija, K. Feralis, dukatów	164
— 1819 3 Września. Kazimierz Wielki i objadek z Magdusią, pół benefisu, dukatów	60
— 1820. 12 Listopada. Dyanna i Lunatyczka, pół benefisu, dukatów	70
— 1821. 12 Października. Nowe Westalki i Niespodzianka, pół benefisu, dukatów	72
— 1822. 15 Listopada. Oszukujący oszukani. Matka współzalatnica, dukatów	35

Razem dukatów 636

B. i *C.* do wyrazu *Charge*. Zakochany w swęj pracy, nieprzerwanie, z upodobaniem, każdego dnia poświęcał jęj kilka godzin, i z radością serca posuwał ją coraz dalej. Miał nadzieję i policzył już lata, w których ukończy swój słownik, a potrzebował tylko lat kilka; gdy w sile wieku i zdrowia, zmarł d. 13 Maja 1838 r. Troskliwy o los przyszły swęj pracy, Wolski testamentem wczesnie sporządzonym, przekazał ją głośnemu z imienia ś. p. Adryanowi Krzyżanowskiemu, z prośbą: aby słownik jego, gdy mu śmierć nie dozwoli zupełnego wyrobienia, ukończył i zajął się wydaniem. Słownik przecież Wolskiego, w tym stanie jak go odumarł, w rękopiśmie pozostaje; ogromne folijały świadczą tylko o żelaznej jego pracy; ale słusznie powątpiewać możemy, czy znajdzie się równie udolna, tak żelaznej woli ręka, aby zaczęty dykcyjonarz Wolskiego, wykończyć potrafiła podług pierwiastkowego, a w tak rozległych ramach, planu. W charakterze prawy i szlachetny, wysoko ukształcony naukowo, sumienny w wykonaniu swoich obowiązków, przyjaciel szczery a wierny, umarł w 53 roku życia, bezżenny. Oszczędzony grosz z krwawęj pracy, rozpiisał krewnym i przyjaciolom, a mimo to, nie ma nawet skromnego, choćby najskromniejszego grobowego pomnika!

JÓZEF RYCHTER.

„TU SPOCZYWA JÓZEF RYCHTER ARTYSTA MALARSKI, ZMARŁY DNIA 22 MAJA 1837 ROKU.

NAJLEPSZEMU OJCU, PRZYWIĄZANA CÓRKA TEN POMNIK POŚWIĘCA.”

Urodził się r. 1780 w Dreźnic. Po wychowaniu domowém, gdy okazał talent do rysunków, ukształcony w szkole znakomitego rysownika i professora *Zinka*, był jednym z tych, co się bardzo wczesnie w swoim odnaczyli zawodzie. Prędko też zyskał rozgłos i imię; znany z prac i wziętości swego talentu, powołany został w r. 1806 do jednego z pierwszych domów w Polsce, a Lubelskie, tyle słynne z pięknych okolic i bogatych w pomysły ogrodów, były pierwszym jego zamieszkania miejscem. Tam mając tylko jedną godzinę dziennego obowiązku, miał też czas z zapalem młodego serca, oddać się sztuce ulubionęj. Z postępem czasu i dojrzewającego talentu, wpatrzywszy się oczyma artysty, w owe szczytne twory przyrody, zmienił wkrótce rodzaj szkole *Zinka* właściwy, przewycięzył trudności i przywłaszczył sobie ową artystyczną lekkość w układzie drzew, ową prawdę i życie, którymi nacehował swoje utwory (1). W Lubelskiém a następnie w Galicyi, w ciągu kilkonastoletniego pobytu swego, wiele prac wykonał i żył swobodnie, oddany wyłącznie swemu zawodowi. Na 17 lat przed zgonem zamieszkał w Warszawie już z głośnym talentem i znakomitego artysty imieniem. Tu oddać się musiał mierzalnym nauczyciela obowiązkom; obok nich, wykonał kilka oryginalnych dzieł, tak w *sepii*, jako też i olejnych widokach (peizażach), które na wystawach publicznych, pierwszemi nagrodami w złotych medalach uwieńczone zostały. Rychter z duszą artysty, miał chwile goryczy i bólu, znosił je z rezygnacją, oddany cały wychowaniu od niemowlęctwa i pielęgowaniu jedynęj

(1) Życiorys tego artysty, skreślony piórem J. F. Piwarskiego jest umieszczony w *Kuryerze Warszawskim* z 1837 roku.

córki, którą troskliwością matki i starannością ojca otaczał; ona była mu téż jedyną osłoda, jedyną pociechą, gdy wszedł na ciernistą drogę życia. Skończył dni swoje w 57 roku życia. Liczny poczet przyjaciół, znajomych i wielbicieli talentu Rychtera i przymiotów osobistych, najlepiej dowiódł: że umiano w nim uczcić i niepospolitego artystę, i człowieka godnego żalu i pamięci.

KAROL SKALSKI.

(Bez nagrobku, pochowany w ziemi).

Karol Skalski urodził się dnia 4 Listopada 1787 r. w mieście Kielcach, umarł d. 22 Kwietnia 1844 roku w Warszawie, w 54 roku życia. Po ukończeniu szkół wyższych w Krakowie, wszedł do służby wojskowej w 1809 r. do pułku artylleryi pieszej wojsk Księstwa Warszawskiego, skończył zawód jako kapitan dowódzca raketników w wojsku polskim. Odbił kampanija 1812, 1813 i 1814 r. był ozdobiony krzyżem wojskowym polskim, i znakiem nieskazitelnej służby. Zamieszkał po r. 1834 we wsi własnej *Milanówek* pod Warszawą, i oddał się rolnictwu. W charakterze prawy i szlachetny, waleczny i dzielny w boju, zasłużył na długą a wdzięczną pamięć.

BARTŁOMIĘJ CZYCHY.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobku).

Bartłomiej Czychy, rodem Morawczyk, braciszek zgromadzenia XX. Pijarów, umarł w Warszawie dnia 20 Sierpnia 1832 roku. Obok kości znakomitych mężów zgromadzenia Pijarów, spoczęły na tym cmentarzu i *Czychego*, którego wszyscy co odbierali nauki w szkołach Pijarskich na Długiej ulicy w Warszawie, znali doskonale. Pracowity ten braciszek powierzony mając dozór kościoła, w oczach uczniów małych, miał wielkie znaczenie i powagę. On to bowiem dobiegał z licznego grona proszących i żebrzących studentów, tych co mieli służyć do mszy ś. wręczał im mszał i potrzebne przybory, ubierał w komże. Czychy na znak wielkiej łaski, brał z sobą na wieżę do nakręcania zegaru; przeznaczał również w dniu uroczyste do usługi nabożeństwa, dozwalał mieścić się na chórze, lub wybierał do bicia we dzwony, do czego zawsze miał nawał ochotników. Postać to była, co po księdzu rektorze i księdzu prefekcie, najwięcej się wdrażała w studencką pamięć. Łagodny, wyrozumiały, umiał dziwnie wszystkich malców zbiegających do zakrystyi, chęci i pragnienia zaspokoić. Trudno było wszystkim ochotnikom dać zajęcie do razu; ci którzy z niczém wracać musieli, nie smutnieli, bo Czychy, tego pogłaskał, tamtemu obiecał dać ważniejszy *urząd*, jak wyrażał, w dzień inny; ten dostał obrazek lub oplatki, tamtego wpuścił na chór, lub kazał uprzętać w zakrystyi, choć w niej zawsze było czysto i porządkie. Wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej, chudy, jakkolwiek powolny był w ruchach, wszystko szło gładko i składnie. Kochali go wszyscy szczególnież klass niższych studenci,



Rys. A. Matuszkiewicz

Odłobow Lit. M. Fajansa w Warszawie ul. Długa 550.

Lit. M. Fajans.

GROB JANA KRUSZYŃSKIEGO.



MD. 626

bo ci byli najskwapliwsi do posług kościelnych. Już zacząwszy od IV klasy, mniej zaglądali do zakrystyi, zostawując to zajęcie młodszym. W troskach, w strapieniu, nie jeden znalazł w Czychym pocieszyciela, co otarł i łzę młodą, i chmurę zgryzoty zażegnał. Sam przypominam sobie, jak wkrótce po zapisaniu się w rząd uczni pijarskich, przystrojony w komżę, wraz z towarzyszem, wyszedłem dumnie z zakrystyi i zadzwoniłem, poprzędzając księdza Politowskiego profesora matematyki, co miał mszę świętą odprawiać. Nie umiałem wówczas służyć do mszy, ale liczyłem na mego towarzysza, co od roku już służywał i jak pacierz wszystko umiał. Ukląkwszy przeto mruczałem, naśladując odpowiedzi mego towarzysza; ale podstęp się nie udał, bystre oko i ucho księdza profesora odkryło nieuka. Po mszy, wchodząc do zakrystyi, poczułem rękę jego na mojem uchu, i zakręcenie niem tak silne, aż mi lzy trysnęły: „To ty ty... nie umiesz do mszy służyć,” rzekł zwolna ciągnąc jeszcze za ucho ksiądz Politowski, „naucz się drugi raz!” Czychy widział wszystko, kazał mi się zatrzymać; a gdy ksiądz profesor wyszedł na śniadanie, wtedy pocieszał, dał książeczkę w której cała msza w pytaniach i odpowiedziach była, pogłaskał, otarł lzy dziecięce i w końcu dodał jeszcze piękny obrazek. Nazajutrz wziął z sobą na wieżę; a tak troskę chwilową, rozwiął dobrocią swoją.

W tej chwili gdy to piszę, gdy wspomnienie pokryte blisko czterdziestoma laty ożywiam; widzę tę łagodną i miłą postać Czychego, z uśmiechem na twarzy, otoczonego wieńcem drobnej młodzieży. Szacunek i wdzięczną pamięć każdy z uczni zachowywał dla niego, czy złożywszy examen dojrzałości, opuszczał pijarskie szkoły, aby w uniwersytecie poświęcić się wyższemu naukom; czy przywdziewał mundur wojskowy; czy pracował jako urzędnik, lub oddawał się pracy obywatelskiej ziemiańskiej; ile razy odwiedzał te gmachy szkolne, gdzie tyle wspomnień najpiękniejszych lat życia zostawił; nie przepomniął żaden wstąpić do kościelnej zakrystyi, i wstępował do niej ochotnie, aby powitać i pozdrowić życzliwie braciszka *Czychego*, którego postać wplatała się tak silnie, w owe rzewne wspomnienia młodości!

KRUSZYŃSKI JAN.

„JAN POMIAN KRUSZYŃSKI UR. D. 28 PAŹDZIERNIKA 1773 R. UMARŁ D. 29 SIERPNIA 1845 R.”

Obok na małym żelaznym pomniku napis:

„BARBARZE Z POŚWIATOWSKICH KRUSZYŃSKIEJ, DOBRĘJ ŻONIE I DOBRĘJ MATCE, MĄŻ JAN, I TROJE MAŁYCH DZIECI, WŁADYSŁAW, JÓZEF I JÓZEFA, TE PAMIĄTKĘ PEACZĄC POŁOŻYLI, ZACZEŁA ŻYĆ 15 LISTOPADA 1788, PRZESTAŁA 30 CZERWCA 1821 ROKU.”

Jan Kruszyński syn Antoniego podstolego Upitskiego i Rozalii z Szczygielskich Kruszyńskich, w dziesiątym roku życia odesłany do szkół w Rawie i oddany pod opiekę Jana Białobrzezkiego mecenasa assessoryi koronnej a przyjaciela domu. Tu przebył lat trzy, w r. 1785 przeszedł do szkół pijarskich w Warszawie. Ksiądz Antoni Okęcki biskup poznański i kanclerz koronny, wziąwszy młodego Kruszyńskiego w opiekę i pragnąc go poświęcić stanowi duchownemu, umieścił

go w seminarium przy kolegium Ś. Jana w Warszawie, na funduszu *Pstrokońskiego*, przeznaczonym dla młodzieży. Odtąd zaczął chodzić do szkół po-jezuickich, a ukończywszy sześć klas, w r. 1791 w Czerwcu, spełniając wolę opiekuna, biskupa Okęckiego, i usilne życzenia własnej matki, lubo nie chętnie, obłócił czarną suknię i udał się na nauki duchowne do seminarium Ś. Krzyża, u missyonarzy warszawskich. Słuchał w tém seminarium filozofii, a następnie lat dwa teologii. W r. 1794 po śmierci biskupa Okęckiego, nie mając żadnego powołania do duchownego stanu, zrzucił czarną suknię, i spiesząc na ważniejszą usługę krajowi, wszedł za poprzednim examinem z matematyki, do korpusu inżynierii koronnej na podoficera; przeznaczony do korpusu generała Sierakowskiego, odbył kampaniją. Za odznaczenie się otrzymał stopień podporucznika, pełnił służbę aż do wzięcia Warszawy. Porzuciwszy służbę wojskową, nie chcąc być matce ciężarem, w r. 1795 przyjął obowiązki *guwenera*, w domu Józefa *Niemirycza* podstolego Stężyckiego, za roczną placę zlp. 400. Cztery lata tu przebył, nie mogąc się przy tak lichém wynagrodzeniu utrzymać, w r. 1799 podjął się wychowania dwóch synów Jana *Ramochkiego* w Dobrzyńskim, za roczną pensyę 50 dukatów złotem. Zniechęcony wszakże mozolną pracą jakiej każdy oddać się musi, przyjąwszy obowiązki guwenera na wsi; w r. 1800 wrócił do Warszawy, i na pensyi *Badera* dawał lekye łacińskiego i francuzkiego języka; był tam z Kruszyńskim nauczycielem i Ludwik Osiniski. Przeniósłszy się następnie do pensyonu *Riepol-tza*, zabrał znajomość z Józefem *Kossowskim*, i uproszony przez niego, towarzyszył mu w podróży do Francyi. Zabawiwszy rok blisko w Paryżu, wrócił Kruszyński do Warszawy, a pragnąc zobaczyć matkę bezzwłocznie, pojechał na Wołyń do *Berezdowa*, dóbr księcia Stanisława Jabłonowskiego, gdzie jego ojczym Jan *Pernet* b. kapitan gwardyi pieszej litewskiej, trzymał część gruntu z dwoma poddanymi. Dowiedziawszy się o przybyciu Kruszyńskiego, książę Jabłonowski, znając go w Paryżu, wezwał do *Annopola*, i poruczył mu wychowanie swego syna Antoniego, wyznaczwszy sto dukatów rocznie i wszelkie wygody. W Annopolu przebył lat trzy, w końcu roku 1804 przybył z Jabłonowskim razem do Puław; przedstawiony księżnie Izabelli z Flemingów Czartoryskiej, łaskawie przyjęty, poruczony zaraz miał sobie dozór nad jej zbiorem starożytności polskich w świątyni Sybilli, z placą roczną 150 czerwonych złotych i z wszelkimi wygodami. Od r. 1804 Tadeusz Czacki zapragnął ściągnąć Kruszyńskiego na profesora literatury. Owoż podamy tu list przez Czackiego pisany dnia 28 Listopada 1804 r. z Porycka, w tym celu (1). „Czytałem w Pamiętniku Warszawskim pisma WP. Dobrodzieja, JP. Wiszniowski uczynił mi te ukontentowanie, iż dał mi Satyry które dowcipny Boileau wydał, a W. P. D. tak wybornie przełożyłeś. Po tak pięknych dowodach szczęśliwój pracy, niech mi się godzi wznieść życzenie, abyś W. P. D. mógł całej społeczności narodowój służyć, w uczeniu literatury w gimnazjum Podolskim lub Wołyńskim. Nie umiem jeszcze oznaczyć czasu, w którym sprawa publiczna będzie potrzebować jego usługi, lecz chciałbym wiedzieć, czy mogę być pewnym, że nie wymówisz się z tego obowiązku, który zapewne jego sercu będzie najmilszy. Pracujmy, aby nowsze pokolenie umiało lepiej czuć cenę nauk, niż obecne, aby postępując w cnocie i świetle,

(1) Przepisany z autografu jak i wszelkie poniżej zamieszczone listy.

mogło odebrać korzyści z tego wychowania, które dobroczynna opieka rządu, gorliwość ziomków i praca uczących, udziela. Zostaje z winnym szacunkiem, najniższy sługa, „Czacki.” Kruszyński przyjął ofiarowane sobie miejsce: Czacki pod dniem 19 Maja 1805 z Porycka pisze: „Z prawdziwą pociechą odebrałem wiadomość od W. P. D. iż podejmujesz się obowiązku nauczyciela literatury w Krzemieńcu. Od 1 Octobra jest dla niego oznaczona katedra. Przedstawienie natychmiast prześle: proszę tylko podług formy u nas będącej napisać. 1. Ile masz lat? 2. Gdzie się uczyłeś? 3. Czy pełniłeś jakie publiczne usługi. 4. Czy wydałeś jakie dzieło? Raczysz W. P. D. przysłać jakiego dzieła, które bądź oryginalnie napisałeś, bądź przetłumaczyłeś znaczną część, aby ta formalność dla innych koniecznie potrzebna uchybioną nie została. Poehlebiam sobie że biblijoteka będzie godną uwagi W. P. D. Wydział klassycznych autorów jest doskonale dopełniony. Mile każde będzie dla mnie zdarzenie, w którym będę mógł dawać W. P. D. dowody wysokiego szacunku, z którym mam honor zostawać W. P. D. najniższy sługa, „Czacki.” Ale Kruszyński nie miał żadnej wydrukowanej z prac swoich, nie mógł dopełnić wymaganej formalności: częściami tylko kiedy niekiedy ogłaszał w pismach ówczesnych małe ustępy ze swoich przekładów. Czy to był główny powód, czy inne znalazłszy się przeszkody, dość, że był zmuszony, odmówić Czackiemu, i podziękować za katedrę literatury. Żywo to uczył Czacki, w rozdrażnieniu pisze list drugi, pewny że Kruszyński przybędzie przed rozpoczęciem roku szkolnego do Krzemieńca (1). Wszakże i ten list nie skutkował: Kruszyński pozostał w Puławach. Tu jak i następnie w Warszawie poznał się i zaprzyjaźnił, z najpierwszemi z owych czasów osobami. W papierach Kruszyńskiego znajdują listy księżnej Izabelli z Flemingów Czartoryskiej: Księżca jenerała ziem podolskich, ich córki księżnej Maryi (z Czartoryskich) Wirtemberskiej, autorki Malwiny (2); księżca Jabłonowskiego kasztelana, Staszica, Matuszewicza, Woronicza, Prażmowskiego, i w. i. (3). W Puławach poznał córkę Ignacego Żegoty Poświatowskiego podpułkownika b. gwardyi koronnej, Barbarę, wychowankę księżnej, i rękę jęj otrzymał. Przed obrzędem weselnym wyjechał jeszcze na Wołyń, celem otrzymania błogosławieństwa matki, a powróciwszy w dniu 17 Maja 1806 r. w pałacu puławskim na *złotěj sali*, dał mu ślub ksiądz Marcin *Ostrowski* pleban Włostowiecki, w obliczu wielu zgromadzonych gości (4). Przeniósłszy

(1) Z dnia 14 Września 1805 r z Porycka.

(2) Malwina czyli domysłność serca, 2 tomy.

(3) Jako miłą zawsze pamiątkę autorki *Malwiny*, przywiode tu list w całości własnoręcznie pisany do Kruszyńskiego, z daty 26 Kwietnia z Warszawy. ale bez roku, zdaje się wszakże że rok 1817. „Pani Grabowska, ciotka W. W. Pana, przez różne przypadki wpadłszy w nieszczęście, udała się do towarzystwa naszego społeczeństwa dobroczynności! Chcąc jęj jakąś ulgę uczynić, chcemy awans jęj jakiś uczynić, aby mogła sobie sposób jakiś do dalszego bytu wynaleźć, ale na to potrzeba zaręczenia osoby znanęj, któraby towarzystwu naszemu upewnić mogła, że ten awans powoli i w przeciagu czasu naznaczonego wyplaconym zostanie. Nie wątpię znając W. W. Pana, że nie zechcesz odmówić krewnęj tak bliskiej i nieszczęśliwej staręj osobie te zaręczenie, które jest jedynym sposobem ratowania jęj, i jestem pewna, że dobroć serca i obowiązki krewnego i litościwego chrześcijanina chętnie W. W. Pana do tego zachęcą. Proszę przyjąć przy tym wyraz mego szacunku, z którym zostaję uniżoną sługą, „*Maryja X. Wirtemberska.*”

(4) W dziele „*Życiorysy znakomitych ludzi*” Warszawa 1851 r. T. 2, str. 181. podaliśmy bijografią Kruszyńskiego, a w przypisie *Intercyzę ślubną*, w której księżna Izabella Czartoryska, zapisała dla małżonki jego Barbary Poświatowskiej 1,000 dukatów złotem. Tu podajemy więcej szczegółów z papierów jakie otrzymaliśmy od synów zmarłego.

się do Warszawy w r. 1812 mianowany sekretarzem jeneralnym ministerjum przychodów i skarbu, pełnił te obowiązki przez lat 16. W r. 1828 mianowany referendarzem stanu, w tym urzędzie doczekał się emerytury.

W Puławach bawiąc, miał pod nadzorem swoim i bibliotekę: przeniosłszy się do stolicy stosunki z rodziną książęcą przyjazne pozostały na zawsze. Jenerał ziem Podolskich z Siewiawy dnia 29 Kwietnia 1812 pisze: „List W. W. Pana odebrałem. Mile mi są wyrazy jego, i z wdzięcznym sercem przyjmuję uczucia, któremi przejęty jesteś. Los jego nigdy nas interessować nie przestanie, a jego powodzenie, zawsze dla nas będzie rzetelnym ukontentowaniem, którego mu życząc, zostawam z winnym szacunkiem W. M. Pana *szczerze życzliwym bratem i sługą uniżonym.* „A. X. Czartoryski.”

Sama księżna Izabella Czartoryska, przybywszy do Warszawy, pisze do Kruszyńskiego dnia 3 Kwietnia 1815 r.: „Z dawnego żartu nazwaliśmy w naszym posiedzeniu wszystkich kawalerów, co u mnie wieczór bywają *rakami*. W dzień mego święta, oddali mi wiersze, które tu przyłączam (1). Ja w wigilią mego wyjazdu daję kolację dla wszystkich *raków*. Proszę pana Kruszyńskiego, żeby mi odpowiedź na te wiersze wierszami napisał, niedługie, ale stosujące się do rzeczy. Chciałabym żeby było wyrażone: Że na raki prózną potwarz rzucają że leniwe i opieszale: że ja mogę dowieść, że gdzie przyjaźń lub chęć przyłożenia się do przyjemności lub szczęścia przyjaciół zachodzi, tam *raki* powagę na bok i lenistwo odłożywszy, w cwał lecą, nigdy nie uchylając takowych okoliczności; że będąc o tém więcej jak kiedy przekonaną, kontenta jestem, że im moją wdzięczność okazać mogę. Proszę żeby to wszystko wyrazić, ale wesoło, proszę jeszcze, żeby to ja mieć mogła jutro wieczór, albo we środę rano; bardzo będę mocno wdzięczna. Proszę jeszcze nikomu na świecie o tém nie mówić, bobym chciała *que la surprise soit complete.*”

Wysokie stanowisko jakie Kruszyński zajął przy ówczesnym ministrze skarbu, było powodem, że mnóstwo osób staralo się, to o wdanie się jego i opiekę, to polecając mu licznych na posady kandydatów. X. Woronicz prosi go i zaklina o przyspieszenie wypłaty należnej kompetencji (2). Staszic wstawia się za mieszkańcami swego miasteczka Rubieszowa, o wyjednanie konsensu na wprowadzenie soli warzonki do departamentu Lubelskiego; to dla siebie o przedłużenie konsensu na konsumcyą Rubieszowską: nie licząc wielu, i wielu innych. W roku 1817 w Warszawie, utworzyło się *towarzystwo biblijne*; X. Prażmowski pisze w tym przedmiocie do Kruszyńskiego. „Doniosłem Xięciu Jmci o przychyleniu się W. P. D. przyjęcia urzędu sekretarza towarzystwa biblijnego, które raczyłeś oświadczyć, na uczynioną mu przezemnie propozycyję.

(1) Wierszy tych nie znamy.

(2) Oto jest list w całości J. Woronicza z daty 12 Czerwca 1815 roku. „Wielmożny Mości Dobrodzieju! „Jeżeli jest co jeszcze między ludźmi świętego, to na wszystko żebrzę zaklinam W. P. D. abyś odesłaną *Rezolucyą Rady* i w szczególności JW. Nowosilcowa z zaleceniem JW. de Colomb przemienienia assygnacyi Łomżyńskiej na tu-tejszą kasę jeneralną, w wypłaceniu mi zabranej przypadkowo przez skarb kompetencji złp 12497. całem życzliwym dla mnie sercem poparł i przyspieszył. Czekaj już dni kilka na te pieniądze gromada rzemieślników którym się jak mogę opędzam. Niech przemówi za mną do serca W. P. D. ów *Damian Woronicz*, który wyświecony z moich papierów, zawiąże między nami bliższe związki. W. P. D z serca przywiązany i najniższy sługa, „J. Woronicz.”

Pierwszym tego skutkiem jest prośba do niego o przetłómaczenie na język polski listu prezydenta towarzystwa Londyńskiego, który ma być umieszczony, w mającej się drukować książeczce. Jeślibyś W. P. D. życzył widzieć się z Xięciem Jmci Czartoryskim, mógłibyśmy razem być u niego we czwartek rano, bylebyś mnie o godzinie dla siebie dogodnej uwiadomił. Warszawa d. 26 Lutego 1817.

Następnie w dniu 12 Marca tegoż roku, sam Xiążę Czartoryski, taką odezwę przesyła: „Towarzystwo biblijne warszawskie, wzywa członka swego P. Jana Kruszyńskiego, aby przyjął w niem miejsce sekretarza, i zajął się czynnościami w art. 8. zasad wyrażonemi, wspólnie z pełniącemi je aktualnie sekretarzami towarzystwa.”

Bawiąc jeszcze w Puławach, zawiązał stosunki ściślejszej przyjaźni z T. Matuszewiczem, późniejszym ministrem spraw wewnętrznych. Matuszewicz znany jest z kilku przekładów, i właśnie wtedy tłómaczył z Delila poemat: „Imaginacya.” (O wyobraźni) zasięgał rady Kruszyńskiego, przysłał mu rękopism do przejrzenia i poprawy. Posłuchajmy co pisze w tym przedmiocie:

Jasieniec 20 Julii 1807. „Mea culpa! Gdy to piszę biję się w piersi, masz tedy akt wyznania i skruchy, przydaję akt poprawy, bo przysyłam *Marcina Bielskiego*, podług wszystkich więc praw teologii i nauki ojców świętych, powinienem dostąpić odpuszczenia grzechu. Dobra sprawa z arcycapłanem Apollina, nowicyjuszowi w tym zakonie na to tylko podobno przeznaczone-mu, aby wiecznie został laikiem: nie tylko mi za moje winy, nie naznaczasz pokuty, ale święte błogosławieństwo i łaskę twoją ofiarujesz. Tak nazywam, bo tak uważam ekliwą i nużącą pracę, nie tak pielienia kwiatów z ostu i pokrzyw (bo to jest wyraz zbyt pochlebnej grzeczności pańskiej) ale raczej czyszczenia dzikich i błotnistych zarośli, bo ten obraz właściwiej niezgrabnym mazaniom moim odpowiada. Nic dla mnie w świecie nie byłoby dogodniejszego, jak leżąc do góry brzuchem, korzystać z tak ważnej przysługi i *pieczone gołąbki nieść do gąbki*: ale mnie z jednej strony napadają prawdziwe skrupuły, żebyś miał czas drogi, czas zbogaceniu literatury polskiej tak istotnie potrzebny, i tak już szczęśliwie przydatny, trwonić nad kurowaniem niedoleżnej kaleki, plodu niedonoszonego, i niezaslugującego (szczerze to myślę) aby miał kiedykolwiek oglądać oblicze słońca; z drugiej strony zły nałóg, co się już prawie stał drugą naturą pobudza mnie prosić, abyś mi wrócił i książkę i gryzmy moje; tak te które już poprawiałeś, jak i te które ręki mistrza jeszcze nie uczyły. Wyjeżdżam w drogę, wiele długich godzin przyjdzie mi przesiedzieć w powozie, nim się dotoczę do Wiednia: czytać słabe oczy nie pozwalają, zamiast strzelenia bąków, wolę się męczyć nad poprawianiem grubszych przynajmniej błędów; wróci się to znowu pod sąd pański, ale może przynajmniej mniej się zostanie cierni kolących, nad którymi musiałbyś ręce krwawić. Chciój więc odesłać mi *imaginacyą* dobrze zapakowaną, aby z niej nadziewania niewypadły, a raczej oddaj ją Rochowi Orłowskiemu, który proszony odemnie w innych komisach, znajdzie sposobność przesłania staruszka Bielskiego (kronikę). Samego siebie poleca dobroci pańskiej nędzny laik, ale dobry przyjaciel i sługa, *T. Matuszewicz*” (1).

(1) Niemogę tu opuścić jednego szczegółu jako wielce charakteryzującego owe czasy, a głównie panów polskich. Książę Stanisław Jabłonowski, razem z Kruszyńskim odwiedzili rodzinę Boskich. Boski sam był wujem,

Towarzystwo królewsko-warszawskie przyjaciół nauk, oceniając naukę Kruszyńskiego, wezwało go w r. 1813 na członka przybranego, a w r. 1827 wybranym został członkiem *czynnym*. W roku 1812, prezes ówczasowy *rady stanu i ministrów*, Stanisław *Potocki*, w chlubnej odezwie wezwał Kruszyńskiego do objęcia katedry literatury w akademii krakowskiej, z pensją profesora pierwszego rzędu złp. 6,000 rocznie, pewny że przyjmie „w widoku” (jak się wyraża *Potocki*) „ozdoby i użyteczności, jakie wnijscie jego do akademii krakowskiej sprawić dla kraju może.” Kruszyński pomimo szlachetnej chęci, nawykły do mozolnej pracy, dla słabości piersi, odmówić musiał tak zaszczytnego dla siebie miejsca. W roku następnym 1813 wezwany przez *dyrekcyą ministeryi spraw wewnętrznych*: „W tém zaufaniu (słowa téj odezw) iż przez znaną chęć podniesienia sceny narodowej, od przyjęcia miłych obowiązków w instrukcyi dyrekcyi teatralnej, wymawiać się nie zechce; światło jego, gust, znajomość dzieł teatralnych, zaręczają za najpomysłniejszy wyboru skutek. Przykładając się czynnie do postępu i uświetnienia widowisk narodowych, dopełni prawdziwój w tym przedmiocie dla kraju usługi.” Kruszyński przyjął te obowiązki, i czynnie radą i piórem pomagał w postępie sztuki dramatycznej na teatrze warszawskim. Przekład jego opery, p. n. „*Opera włoska w podróży*,” jest z tego powodu, i zostanie ważnym pomnikiem w dziejach literatury dramatycznej naszej; że Kruszyński pierwszy, pokonawszy wszelkie trudności, dotąd w przekładach oper włoskich uważane za nieprzewyciężone, przy zachowaniu myśli i ducha, zachował tożsamość wyrazów, nawet przy całym wdzięku ojczystego języka, najdokładniej przytém podkładając słowa do muzyki. Kruszyński był jednym z najuczestniejszych literatów polskich, posiadając gruntownie języki: łaciński, włoski, francuzki, angielski, rossyjski i niemiecki, miał w sobie tę sumienność przy wytrwałości żelaznej, że przedmiot nad którym pracował, starał się wielostronnie poznać i zgłębić. Ale przy głębokiej nauce, żył w owych czasach, kiedy polot samodzielny krępowwały niewolnicze formy; a za najwyższej szczyt sławy literackiej uważano dobre i wierne tłómaczenie, to z łaciny, to z francuzkiego języka. Poszedł tym torem i Kruszyński, i całą działalność ducha, całą bujność fantazyi wrodzonej i uczucia poetyckiego, styrał na przekładach zaprawdę wybornych, ale w których śladami wzorów swoich, stapać musiał niewolniczo! Cichy i skromny, w rodzinnym gronie pełen dobroci, w charakterze prawy i nieskazitelny, wielbiony dla słodczy charakteru i uprzej-

Prażmowskiego, późniejszego Biskupa Płockiego i Członka Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Przyjęcie jakiego tam doznał *Książę Jabłonowski* utkwilo mu dobrze w pamięci. Piszę więc do Kruszyńskiego 1 Kwietnia 1807.

„W nadzieję stałej przyjaźni której się od niego spodziewam, umyśliłem użyć go do małej negocjacyi, która może być obu stronom dogodną. Przypominasz sobie zapewne dom zacy Państwa *Boskich*, w którym razem byliśmy, i gdzie z taką przyjaźnią nas przyjęto. Mając teraz nowy kawałek ziemi, umyśliłem oddać go w dobre ręce, lubo mam uczynione sobie propozycye już z kilku stron, wołę dać pierszeństwo tym Państwu, i w téj mierze list przyłączam. Jeżeli to nie jest wielką indyskrecyą, radbym żebyś go sam zawiózł, dla dokładniejszego rozmówienia się i prędszej determinacyi. Jeżeli sam tam być niemożesz, to łatwo uprosisz o posłańca, któryby ten list odwiózł. Wytlómaczyłem w nim mój projekt, jeżeli chcą go przyjąć, łatwo skutecznym być może przez blankiety, którebym do *Puław* na pewne ręce przesłał. Nie żądam więcć jak pięćset dukatów przy podpisaniu punktów, na resztę złożyliby skrypta do kassy *Księstwa* i podług umowy te skrypta sobie wykupywali. *Intromissyą* i kontrakt mogliby sobie wziąć zawczasu na lat trzy lub sześć, zdaje się że niemożna dogodniejszej zrobić propozycyi, i nie można lepiej użyć kapitałów, jeżeli ich mają.” Tak to w niedawne czasy, sami panowie szukali obywateli na dzierżawców dóbr swoich; a dobra każdego opinija, pomagała do poprawienia losu, i opatrzenia godziwego, chlebem.

mości milój, a zarazem dla prawdziwej nauki i głębokiej a rzetelnej erudycji; skromny w wyrzucaniu swych zdań i myśli, obdarzony wielką pamięcią a wierną mu do późnej starości; w cichości pracował i rzadko kiedy owoce swój pracy udzielał. Zaczawszy od *Pamiętnika* L. Osieńskiego, w pismach peryjodycznych i *Rocznikach* b. towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, są rozrzucone utwory Kruszyńskiego, tak oryginalne jak i tłómaczone, a tych najwięcej. Najglówniejsze prace w zupełności dokonane pozostały w rękopiśmie. Wyliczymy je tu wszystkie: *Przekłady z języka łacińskiego*: Wirgiliusza, pierwsza *pieśń Ziemiaństwa*, kilkanaście *Od Horacego*, i kilka *Heroid Owidjusza*. *Z włoskiego*: *Opera włoska w podróży*, opera z muzyką Fiorowantego. *Z Alfieriego* trajedye, *Orest*, *Antygona*, *Polinik*, niektóre *Sonety* tegoż poety. *Z angielskiego*: Kilka *Od i pieśni Morre'a*. *Z francuzkiego*: *Rassyna* trajedye: *Atalia*, *Brytanik*, *Fedra*.—*Woltera*: *Edyp*, *Tankred*, kilka pieśni *Henryady* tegoż, jakoteż niektóre *Satyry Boala* i *poezyi Thomasa*, oraz wiele pomniejszych przekładów z różnych autorów. W siedmdziesiątym drugim roku wieku, z tą spokojnością umysłu, jaka znamionowała całe życie Kruszyńskiego, zmarł po trzechdniowej chorobie, a przeszło dwudziestoletniej dolegliwej słabości, w Warszawie. Pochowany w oddzielnym grobie, zaraz za kościółkiem Powązkowskim.

ROMAN WIKTOR.

(*Pochowany w ziemi bez nagrobku i napisu*).

Urodzony w roku 1786, zmarł w Warszawie dnia 4 Lutego 1847 roku. Był synem Placyda Romana Szambelana i Anieli z Grabowskich Podczaszanki Rzeszyckiej.

W 20 roku życia jako ochotnik wszedł do wojska w roku 1806, i zaraz znajdował się przy zdobyciu *Stolpen*, a przy oblężeniu Gdańska, mocno został ranny. W r. 1807 jako prosty żołnierz zamieszczony w tworzącym się w ówczas pułku lekko-konnej gwardyi (*Cheveaux legers lanciers*); i razem z tym pułkiem, podniesionym później przez cesarza Napoleona I, do godności starej gwardyi, poszedł do Hiszpanii. Na tej pięknej i cudownej ziemi, *Roman* nie zwyczajnie wiódł życie, bo złożone na przemian z bitew krwawych, utarczek z gerylasami, przeplatane miłostkami pięknych hiszpanek o ognistém spojrzeniu, a ostrym sztylcie; o namiętném uczuciu, a zabójczej truciznie. *Roman*, wówczas kapral dowodzący 24 gwardzistami, wysłany został ze swoim oddziałem na ujęcie jednej z grandes hiszpańskich, o której wiadano, że się w ustronnym domku ukrywa, i z tamąd się z nieprzyjaciółmi cesarza Napoleona znosi. Po 24 godzinnym pochodzie, po większej części po zalaném wybrzeżu morskiem, tak że konie częściej płynęły niż szły, *Roman* przybył do owej willi na odosobnieniu stojącej; a obsadziwszy drzwi i okna, z dwoma towarzyszami wchodzi do pokoju, gdzie znalazł panią domu młodą i piękną niewiastę, a przy niej mnicha i doktora. Kiedy się dowiedziała że ma oddać wszelkie papiery, rzuciła ze wzgardą klucze na ziemię, mówiąc: że pieniądze i brylanty więcej jak papiery, są celem przybyłych żołdaków. „Podnieś księżę klucze, chodź z nami, abyś poświadczył co zabierzemy!“ odrzekł kapral; a odbywszy rewizyją, i zabrawszy papiery, wrócił zawsze w towarzystwie mnicha

do dumnej hiszpanki. Niebawem nadszedł i doktor błądy, wystraszony, bo w każdych drzwiach, w każdym oknie, którędy chciał się wymknąć; ujrzał wąsate i groźne oblicze wojaka, i polskie: *kto idzie?! a co go śmiertelną nabawiło obawą.* Opowiadał więc pięknej hiszpance o ogromnej armii otaczającej jej domek, i niepodobieństwie jakiego bądź oporu. Trzeba było teraz, stosując się do wydanego rozkazu, razem z zabranymi papierami i panią domu do głównej kwatery dostawić; ależ kobiety tak jeszcze pięknej i młodej, nie można było wsadzić na jednego z hulaniem konia, a tu nie tylko pojazdu, ale najskromniejszego wózka nie było. Wiedząc teraz o niespodzianej podróży, urodna niewolnica zapomniawszy dumy, z prawdziwie kobiecą słabością, rozpaczając nad swoją dolą zaczęła. W tak ciężkim razie, nicobojętny kaprał na lzy swojej branki, zabezpieczywszy w dobrze zamkniętej piwnicy mnicha i doktora, rozesłał swój oddział na wyszukanie jakowego pojazdu. Szczęśliwym trafem, karetą jakiegoś dygnitarza kościoła z sześcioma mułami, dostała się w ręce hulaków, w niej więc czarnooka branka, w orszaku zbrojnym, dłuższą ale bezpieczniejszą drogą, dostała się do głównej kwatery. Niewiadomo nam, jakie później zachodziły stosunki między piękną niewolnicą, a młodym i grzecznym kapralem; ani umiemy oznaczyć stopnia wdzięczności za sześć-mułową karete, w hiszpanki sercu; to tylko wiemy: że Roman udający się na bitwę pod *Burgos*, dostał od swjej branki na pamiątkę długi splot czarnych włosów, który po wieloletnich wędrówkach, starannie owinięty, opatrzony napisem, do Polski przybył, i jako droga snąc pamiątka z owych czasów, po śmierci jego znalezionym przez spadkobierców został.

W dniu 30 Listopada 1808 r. stanął pułk Romana pod pamiętnym wąwozem *Sommo-Sierra*. Cesarz Napoleon postanowił go zdobyć i przebyć, i w tym celu przeznaczył hulaków polskich. Wiadomo z dziejów, czém był wąwóz *Sommo-Sierra*, najeżony bateryjami i osadzony strzelcami. Roman wówczas wschmistrz pierwszego plutonu, pod wodzą dzielnych oficerów, szedł na czele swojego oddziału. Ale strzały kartaczowe i ręcznej broni, przeredzając szeregi szwoleżerów, oficerowie idący na czele, padają, i nagle wachmistrz Roman, po zdobyciu kilku bateryj, został chwilowo najstarszym w całym szarżującym oddziale, i objął dowództwo. Zdobyto wąwóz, Roman padł ostatni, ranny kartaczem w biodro, i dostawszy w brzuch kulę (1). Został za to podporucznikiem i zapisano mu w liście oficerskiej przez cesarza Napoleona podpisanej te wyrazy: „Il com-

(1) Bitwa i zwycięstwo przez zdobycie wąwozów *Sommo-Sierra*, należy do najświetniejszych czynów, w całym ciągu wypraw Napoleona. Odnosił je pułkownik *Kozietulski* z trzecim szwadronem pułku lekko-konnych. Uważamy przeto za rzecz stosowną w tym miejscu, podać szczegółowy tak życiorys tego wojownika, jako też i opis samej bitwy, czerpany z wiarogodnych źródeł. Jan Leon Hipolit *Kozietulski*, syn Antoniego i *Maryanny*, urodził się dnia 4 lipca 1781 roku we wsi *Skierniewicach*, powiecie *Warszawskim*, województwie *Mazowieckiem*. W 25tym roku życia, wszedł młody *Kozietulski* jako ochotnik do *gardji honorowej*, która robiła służbę przy *Napoleonie*. Po krótkiej a stanowczej kampanii w r. 1807, przeszedł w stopniu szefa szwadronu do pułku pierwszego lekko-konnych (*Cheveaux-legers Lanciers*) *gardji* (a). W roku 1808 pułk ten wyruszył do *Hiszpanii*; pod *Sommo-Sierra*, *Kozietulski* odebrał mocną kontuzję w lewą nogę, gdzie komenderował szwadronem, który pierwszy przebił się przez wąwóz liczną piechotą obsadzony, i tam zabrał 12 armat, które broniły tego przejścia; w tej krótkiej lecz morderczej bitwie, utracił większą część szwadronu; czterech oficerów na miejscu zabitych zostało, a dwóch mocno rannych. Sam miał konia zabitego i surdut przestrzelony (b).

(a) Wyciąg z *Rodowodu*. — (b) Wyciąg z *Rodowodu*.

manda le 4^{er} peleton de l'escadron qui chargea Sommo-Sierra, et donna l'exemple, de cette témérité et bravure qui lui mérita, mon estime." Roman, pozyskanie stopnia podporucznika i te kilka słów pochwały, opłacił ciężką, ledwie nieśmiertelną chorobą, po wyjściu z której walczył jeszcze w bitwach pod *Znam*, pod *Wilkomierzem*, *Połockiem*, *Smoleńskiem*, *Mozajskiem*, pod *Podolskiem* gdzie znowu był rannym lancą w czolo, głowę i rękę: pod Jarosławem i Kraśnem, pod Dreznem, Peterswald, Lipskiem, Frejburgiem, Hanau i Moguncją: w Hollandyi pod Ostraten i Breda: pod Chateau-Brienne dwa razy, Soison, Mont-mirail, Chateau-Thierry, Champ-aubert, Ginè, Montereau, Reims, Beri-au-beu, Craon, Laon, Arcis sur Aube, i St. Dizier. Te wspo-

Za świetne to zwycięztwo zostal oficerem legii honorowej i baronem cesarstwa francuzkiego z dotacyą 6,000 franków; a pulk jazdy lekko-konnej, odtąd część gwardyi cesarstwa francuzkiego skladać zaczął (c).

Kozietulski był w bitwie pod Wagram i miał udział w odniesioném zwycięztwie, które raną opłacił. W roku 1812 dwa razy był ciężko ranny, raz pod Smoleńskiem, drugi raz pod *Malym-Jarosławcem*, gdzie kwaterę główną cofającego się wojska, przeciw zwycięzkim silom zasłonił, i ocalić walecznością swoją potrafił; za co stopień majora pulku gwardyi otrzymał (d).

Wrócił z Francyi z korpusem pod dowództwem Wincentego hrabiego Krasieńskiego, a po nowej organizacyi wojska polskiego, przeznaczony zostal dnia 9 marca 1815 r. na dowódcę 4go pulku hulaków. Styryani trudami, podupadły na zdrowiu od poniesionych ran ciężkich, w roku 1820 dnia 2 maja przeniesiony à la suite (e); umarl w 41 roku życia d. 3 lutego 1821 r. wykreślony jako zmarły z kontroll, Rozkazem dziennym 28 stycznia (6 lutego) 1821 r.

„Zwłoki s p. Kozietulskiego przy assystencyi duchowieństwa świeckiego i zakonnego, zaprowadził w dniu 7 lutego t. r. z ulicy Leszno do kościoła OO. Kapucynów, Arcybiskup Warszawski Hołowczyc, Prymas Królestwa Polskiego; a za ciałem szedł J. C. W. Wielki Książę Cesarzewicz KONSTANTY, otoczony gronem jenerałów i oficerów obu wojsk. Nazajutrz bylo nabożenstwo za duszę s p. Kozietulskiego, po którym miał pogrzebowe kazanie JX. Kotowski. Zakończyło *Castrum Doloris* odprawione przez arcybiskupa i biskupów: Wollowicza, Zambrzyckiego, Ostrowskiego i Koźmiana“ (f). Oto krótka biografia tego wojownika, którego za życia otaczały cześć i przywiązanie osiwiłych w boju mężów. Cóż jego imie zrobiło pamiętném i zapisało trwale na karcie dziejowej?— Oto jedno zwycięztwo, zwycięztwo endowne rzec można, zdobycie wąwozów Sommo-Sierra.

Pulk lekko-konnych gwardyi, będąc w Hiszpanii, zostawal przez dlugi czas w dywizyi sławnego i walecznego jenerala kawaleryi La Salle; po bitwie pod *Burgos* przyłączony do korpusu piechoty, udal się do Arandy ku *Catalajud*; ale nowemi wstrzymanymi rozkazami w miasteczku *Osmá*, zwracając się ku Madrytowi przez Ajlon i Rianza, stanął późno już wieczorem pod górami Sommo-Sierra zwanemi, naprzeciw obozu hiszpańskiego; gęsto rozłożone ognie, liczny korpus oznaczaly (g). Rozległe pasmo zewsząd niedostępnych gór, nigdzie podobienstwa do przejsścia nie zostawialo: jedna tylko droga (za czasów Karola III zrobiona, na ośm lub dziesięć łokci szeroka), wciskala się i wykręcala międzygórami, idąc zawsze coraz wyżej w górę. Wojsko hiszpańskie z 14,000 ludzi złożone, góry te i wąwozy obsadziło; na każdym załomku drogi, ustawiono piętrami po 4 armaty; wzgórek zaś który przy wyjściu z wąwozu nad całym tym wąwozem panował, ośmio działami obwarowany zostal (h). Tak obronne naturą i sztuką położenie, zdawalo się być nie przystępném; przypuszczać albowiem trudno do myśli, żeby konnica mogla się zapędzić w podobną dla niej otchlań; gdyż prócz ognia armatniego, piechota z obu stron wąwozu ustawiona, zewsząd do niej bez najmniejszego dla siebie niebezpieczeństwa strzelać mogla. Z tej to zapewne przyczyny, żądnych przeciw napadowi konnicy nie zrobiono przygotowań, rów albowiem przez drogę przekopany, też same nawet działa na poprzek dla zatarasowania drogi postawione, nieprzelamaną dla niej stalyby się przeszkodą (i).

Nazajutrz po przybyciu pod te wąwozy, Napoleon przed wschodem słońca wyjechał, i kazal natychmiast całemu korpusowi stanąć do broni. Postrzegłszy, że nieprzyjaciel cofnął się i obsadził góry, wyslal część znacznej wojska do okrążenia pozycyi, sam zaś z resztą armii wyslawszy przed sobą jeden tylko szwadron 3ci lekko-konnych, na służbę do jego osoby przeznaczony, zbliżył się aż pod same góry. Pulk lekko-konnych tuż za nim idący, stanął w kolumnie ściśnionej, po lewej stronie drogi (k). Właśnie byla to chwila, kiedy francuzka pie-

(c) Gazeta Warszawska z d. 10 lutego 1821 r. Nr. 24.

(d) Z téjże Gazety. — (e) Rodowód. — (f) Gazeta Warsz. 1821 r. Nr. 24.

(g) Tomasz Lubieński „Wanda Tygodnik polski“ Nr. 33. Rok IVty. — (h) Tenże. — (i) Tenże. — (k) Tenże.

mnienia gdzie miał udział w krwawych i morderczych bitwach Roman, czytamy w liście stanu służby jego; ale ileż to jeszcze czynów dopełnił nie dla nagrody, bo takich rzeczy nie wynagradzano, nie zapisywano nawet, tak były wtedy zwyczajne, lecz tylko jako traf, urozmaicenie życia; a jednak dzisiejsze pokolenie, nie zechce wierzyć temu, i jako bajkę przyjmie, gdy opiszemy, jak Roman w chwili po przerwanej bitwie, widząc przyjaciela swego *Brodzkiego* wziętego do niewoli i uprowadzanego przez dwudziestu nieprzyjaciół; sam jeden jak był, rzucił się na nich; i odurzonym nagłością napadu odbił jeńca, a trzymając ich w odwodzie palaszem, wypuściwszy nogę z strzemiesienia, i podając lewą rękę oswobodzonemu, zawołał aby siadł za nim

choła wystawiona na podwójny ogień artylleryi i piechoty hiszpańskiej, napróżno usiłowała wdrzeć się na górę (1), i gęsto się trupami kładła. Rzęsisty ogień nieprzyjacielski dochodził zewsząd pułk lekko-konnych; kiedy Napoleon niecierpliwie patrząc na wszystkie przeszkody, które mu bramy Madrytu zamykały, chcąc nawet uprzedzić nieomylny, ale zbyt wolny skutek, który sobie obiecywał z okrażenia pozycyi, licząc na odwagę wojska pod jego prawie oczyma bić się mającego; rozkazał trzeciemu szwadronowi służbowemu uderzyć na nieprzyjaciela. Podpułkownik *Kozietulski* który tym szwadronem dowodził, zformował kolumnę po czterech, miejscowość bowiem nie dozwalała szerzej się rozwinąć; wysłał na czoło znanego mu z odwagi i zaciętości porucznika *Krzyżanowskiego* z 4ma ludźmi i puścił się w wąwóz z tą bystrością i lotnością, która odwadze tego pułku zawsze towarzyszyła. Huknęły mordercze strzały połączone, armat i ręcznej broni. Waleczny *Krzyżanowski* ze wszystkimi żołnierzami z nim wysłanymi (oprócz brygadiera *Wasilewskiego*) padają trupem. *Kozietulski* wpada na baterję i 12 dział zdobywa (1). Na tych baterjach rozpoczyna się ręczna walka z artylerzystami hiszpańskimi. Porucznik *Niegolewski*, który z wachmistrem *Sokołowskim* na sam szczyt góry do czwartej dotarł baterji, otrzymał dziewięć ran bagnietami (n), na zdobytych prawie armatach, za niezwyłego był zostawiony. Wachmistrz *Roman*, gdy wszyscy oficerowie i starszyzna wybici lub ranni; przez chwilę był najstarszym w szwadronie 3cim dopóki nie spadł z konia, ugodzony dwoma postrzałami. Pułkownik sztabu Napoleona, hrabia *Filip Segur*, świadkiem będąc tego dzielnego ataku, ciężkie odniósł rany.

Kozietulski bohater dnia tego, mając pod sobą konia zabitego, silnej dostawszy kontuzji, zdał dowództwo kapitanowi *Dziewanowskiemu*. Niezmordowany i pełen odwagi *Dziewanowski*, zebrał natychmiast rozbiegłych żołnierzy, i nie tracąc czasu, nie czekając żadnego rozkazu, uderzył powtórnie na nieprzyjaciela, zdobył następną baterję, ale padł ofiarą swego męstwa śmiertelne odebrawszy rany. Porucznicy: *Rudowski* i *Rowicki* na placu polegli, kapitan *Piotr Krasiński* niebezpiecznie kartaczem ugodzony został

„Zeromadzali garstkę pozostałych ludzi, porucznik *Szeptycki* i wachmistrz szef *Zielonka* (mówi w swoim opisie generał *Tomasz hrabia Lubiński*) gdy nadjechałem do objęcia komendy, wysłany przez pułkownika *Krasińskiego* dowódcy pułku lekko-konnych. Wzmocniony świeżym plutonem, pod dowództwem porucznika *Rostworowskiego* i plutonem szaserów gwardji konnej, uszykowałem jak mogłem najprędzej nowy szwadron zwinąwszy się w kolumnę po czterech, i uderzyłem na nieprzyjaciela. Idąc utorowaną przez dwa pierwsze tak skuteczne natarcia drogą, przeszliśmy resztę wąwozu, i ostatnie nawet [działa z łatwością i prawie bez straty odebraliśmy; wdzierająca się albowiem w góry francuzka piechota, zajęła uwagę artylerzystów hiszpańskich.

„Niespodziewane przejście tak mocno obwarowanego wąwozu, zajmowanie następnie zdobytych stanowisk przez nadchodzące za nami wojska; strwożyło tak dalece nieprzyjaciela, że bez żadnego porządku poszedł w rozsypkę. Co spostrzegłszy gdym wyszedł z wąwozu, nie chcąc zostawić nieprzyjacielowi jednę nawet chwili do namyślenia się, zgromadziłem szwadron. i co koń wyskoczy, puściłem się w pogoń, napadając wszędzie, nabierać się chcące kupy, tak piechoty jako i konnicy. Zatrzymałem się dopiero za miasteczkiem *Buytrago*, i przeszło dwie mile hiszpańskie od placu potyczki, na rozkaz Napoleona, który mi przywiózł szef szwadronu *Ordener*. Niewolniki, działa, sztandary, a nawet i kassy wojenne, stały się łupem armii zwyciężkiej (m). Jedna z tych kass, zatrzymana właśnie, gdym za *Buytrago* przednie ustawiał czaty, rozdana była z mojego rozkazu pomiędzy żołnierzy, wszyscy albowiem nasi oficerowie, dobrowolnie odstąpili swoich części” (n).

(1) „Wanda Tygodnik“ T. 4. przywodzi z dzieła przez francuzkich wojskowych w Paryżu wydane, a opisującego zwycięstwa i wyprawy od r. 1792 do 1815, o tem natarciu bez skutku piechoty francuzkiej. — (1) *Rodowód*.

(m) List pułkownika *Niegolewskiego* do Generała *Lubińskiego* *Tomasza*, dnia 7 stycznia 1855 r. z Paryża.

(n) „W tej ostatniej pogoni, dwa przykłady ludzkości i karności dobrze zrozumianej, odznaczyły żołnierza naszego“ — piasenacny świadek

na konia; lecz ten z pośpiechu, zamiast za rękę, schwycił za cugle, i tym sposobem odwrócił konia do nieprzyjaciół. Ci umieli z tego wypadku korzystać: dźgając raz po raz lancami w ulańską czapkę Romana, przycisnęli mu głowę do lba końskiego, i tak go obsaczyli, że już nie mogąc ostrzem, gifesem pałasza opędzał się od nich. Na szczęście łuska podpinająca czapkę, pękła; a Roman mając swobodną głowę, i obaczywszy że Brodzki już uszedł; pałaszem się wyrwał z tój zgrai, wziąć się nie dal, i szczęśliwie powrócił do swoich, jakkolwiek z mocno ranioném czolem, pokaleczoną głową, przebitą ręką, i kilku ranami w ciele od lanc nieprzyjacielskich. W czasie chwilowego zawieszenia broni, dowodząc wyższości lancy nad pałaszem, założył się z czterema oficerami jazdy nieprzyjacielskiej: że on sam jeden uzbrojony tylko lancą z chorągiewką, ich czterech razem uzbrojonych w pałasze, pobije. Wygrał zakład, i za to z każdym

„Po skończonej całej przeprawie, (pisze tu pułkownik Szeptycki, a wówczas porucznik), szef Łubieński posłał mnie do pułkownika Krasińskiego, a gdybym spotkał cesarza, do samego cesarza, z oznajmieniem tego wypadku; i po dalszy rozkaz dla szwadronu. Z zadziwieniem spostrzegłem Napoleona na pół drogi, niepoprzedzonego żadnym wojskiem, jadącego sobie stępo. Jenerałowie: Savary i Durosnel o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili mnie o wielkiem zadowoleniu Napoleona. W samej rzeczy znalazłem go w najlepszym humorze, kazał mi oświadczyć oddziałowi, że są warci być jego gwardyją powtarzając kilka razy z widocznym ukontentowaniem: „*Vous êtes des braves polonais.*” Zresztą, kazał szwadronowi czekać przybycia całej gwardyi, a kasę zarówno między wszystkich podzielić. Po danym rozkazie oficerowie dzielili garściami złoto i srebro, zaczynając od żołnierzy; tu nie należy zapomnieć, że byli tacy, którzy swoją część darowali żołnierzom. Wkrótce nadeszły gwardyje: stare granadyjery i szasery którzy tylko między sobą żyli, wpadli do naszego biwaku, ściskali Polaków z rozrzewnieniem i nazywali odtąd ich kamratami; a widząc że byli zmordowani, sami wieczrze dla nich gotowali. Oficerowie ich, dalecy od grzeczności dworaków, nie wynosili nas pod obłoki, ale nie zazdrościli; równie dobrzy jak szczerzy, otwarcie wyznali, że my im odtąd nie zazdrościć nie potrzebujemy. Tymczasem Napoleon który nie miał zwyczaju tylko po wielkich i stanowczych bitwach dyktować bulletyn, uznał Sommo-Sierre godną swego pióra, a powątpiewając, albo nie przypominając sobie podobnego natarcia jazdy, nazwał je: „atakem świetnym, jakiego nigdy nie było“ (o).

Nadwyczał ważne były skutki tego zwycięstwa; opanowano albowiem warowne i niezdobyte przedmurze stolicy hiszpańskiej, łatwe zbliżenie armii francuzkiej pod Madryt, i poddanie się tego miasta po kilkodniowém oblężeniu, a to przed przybyciem jenerała *Castanos*, który porażony pod Tudelą, chciał się połączyć z wojskiem w stolicy będącém (p).

Zwłoki pułkownika Kozietulskiego przeprowadzone do wsi *Belska* (w pobliżu Grójca w Mazowszu) pochowane zostały na cmentarzu parafialnym w rodzinnych katakumbach (r).

Szeptycki b. Pułkownik.—, „Pierwszy o pół mili od Sommo-Sierra, gdzie nas srogi widok przeraził: kilkunastu niewolników francuzkiej piechoty powiązanych, w części poklutyk, a w części porąbanych, i jakby umyślnie na drodze nam podrzuconych. Żołnierze nasi zgrozą przejęci, bliacy jeszcze zakrwawionego grobu tylu ofiar ojezycznych, nie splamili żadną zemstą tego dnia chwaly; chociaż im nie brakło bezbronych różnego stopnia. Drugi przykład pod samém *Buytrago* się zdarzył. Jużśmy ostatni furgon przechodzili, kiedy niektórzy żołnierze spostrzegli na nim kobietę, biorąc ją za kantynierkę (markietankę obozową), prosili oficerów, ażeby im pozwolili wina się napić, na co gdy otrzymali pozwolenie, bardziej znuzeni pobiegli do wozu, lecz zamiast wina, znaleźli kasę, i zaraz napowrót wstąpili do szeregów“ (Wanda Tygodnik polski T. 4. str. 213).

(n) Wanda Tygodnik.

(o) To wyrażenie znajduje się w urzędowym owoczesnym *Monitorze*. Brat Cesarza, król hiszpański Józef, nazywał odtąd żołnierzy polskich *ludźmi żelaznemi*.

(p) Thiers w historii Cesarstwa i Konsulatu, przypisał wzięcie tego wąwozu wyłącznie francuzom. Pułkownik Niegolewski współuczestnik zwycięstwa pod Sommo-Sierra, energicznie wystąpił przeciw temu fałszowi, i zmusił Thiersa do odwołania kłamstwa, niegodnego pióra historyka. Eugeniusz Fieffe urzędnik przy Ministerjum wojny, w dziele swoim: „*Histoire des troupes étrangères au service de France*“, jako głównego dowódcę szwadronu 3, co zdobył wąwozy Sommo-Sierra, nie Kozietulskiego, ale Tomasza Łubieńskiego wymienił; lubo z całej naszej opowieści ułożonej wedle naoecznych świadków i działaczy, jak z opisu samego jenerała Łubieńskiego okazuje się, że ten przybył w samą porę, aby świetne zwycięstwo Kozietulskiego dzielnie poprzeć i utrzymać. Co do walecznego szwadronu, ten na szczycie góry samej (wedle podania pułkownika Niegolewskiego) zredukowany został do kilku tylko żołnierzy; wedle biografii s. p. Kozietulskiego, umieszczonej w *Gazecie Warszawskiej* z roku 1821, z całego szwadronu, zostało przy życiu 36 hulaków.

(r) Kościół z cmentarzem w Belsku, starannie utrzymywany, obejmuje katakumby, w których spoczęły popioły zmarłych członków rodzin Walickich, Kozietulskich i Wichlińskich.

z osobna musiał się pojedynkować według ówczesowego zwyczaju na pałasze, a wyszedł z tych turniejów z chwałą i zwyciężko.

Towarzysze broni Romana opowiadali, jak wysłany na rekonsans w kilkadziesiąt koni do niewielkiego, ale mocno obwarowanego miasta (nie pomnę jego nazwiska); źle strzeżoném przejściem dostał się wewnątrz, a wzięwszy dowódcę załogi w niewolę, sam garnizon z kilkuset ludzi złożony rozbroił i zamknął; a wysławszy wiadomość do armii o tém co się stało; osobiście w bramach zdobytego przez siebie miasta, cesarza Napoleona przyjmował. Wićcież jaką za to otrzymał nagrodę? oto klepiąc go po ramieniu Napoleon wyrzekł: „Tu cię poznaję, ostatni dowódzco szarzy na Sommo-Sierra.” W roku 1814, Roman w stopniu starszego kapitana stariej gwardyi, z krzyżem Legii honorowej i krzyżem złotym (Ordre de la reunion), obdarowany tytułem i donacją na kanale *du Loing*, wrócił do kraju, gdzie umieszczony w tymże stopniu w szwadronach wzorowych hulaków gwardyi (utworzonych właśnie z niedobitków *cheveux-leger*ów), przeobionych później na strzelców konnych gwardyi, dosłużył się stopnia podpułkownika, a w roku 1825 dla słabości zdrowia przeniesiony w stopniu pułkownika z mundurem do biur b. Komisji Rządowej Wojny, i ozdobiony w r. 1830 znakiem nieskazitelnej służby oficerskiej, umarł mając lat 61. Roman należał do liczby tych wojowników naszych, których czyny gdyby były wierne i troskliwie spisane, utworzyłyby księgę owych przykładów szalonej odwagi, bohaterskiego męstwa, to scen rzewnych, uczuciowych, w których tak miłość, jak litość i poświęcenie, obok najwykwintniejszej grzeczności dla kobiet, spletały urozmaicony wieniec życia. Jeżeli Roman miał chwile, w których czuł wyższość swoją; i dla drugich jego towarzyszków broni, los nie skąpił w owe czasy wypadków, w których równie pokazać mogli i swoją waleczność, i stronę wyższych, szlachetniejszych uczuć. Zajął on obok innych naszych wojowników, niepoślednią kartę w téj kronice ciągłych bojów, które przez lat tyle, podziwem napelbiały świat cały.

Obok popiołów starca, leży ukochane dziecko jego, młoda, bo zaledwie dwudziestoletnia synowa, *Antonina z Lachnickich*, zmarła w 1845 roku.

ALEXY NĘDZYŃSKI.

„D. O. M.

ALEXY NĘDZYŃSKI MAGISTER NAUK I SZTUK WYZWOLONYCH, PROFESSOR KURSÓW PEDAGOGICZNYCH I CZŁONEK KOMITETU EXAMINACYJNEGO, UR. W W. X. POZNAŃSKIM D. 14 LIPCA 1800 R. UMARŁ W WARSZAWIE D. 9 GRUDNIA 1846 R. ŻONA NAJLEPSZEMU MĘŻOWI.”

Urodzony w majątności rodzinnej Nendza w W. X. Poznańskim powiecie Ostrzeszowskim, odebrawszy początkowe nauki pod okiem rodziców, w r. 1814 zapisany został w poczet uczniów ówczesnej szkoły departamentowej w Kaliszu, w której, po zamianie jej na wojewódzką, złożył examen dojrzałości w r. 1820, a przez rok następny pełnił w niej obowiązki pomocnika uczących. Przeszedł następnie do uniwersytetu Warszawskiego na wydział filologiczny, kształcąc się do zawodu nauczycielskiego. W ostatnim roku wypracował obszerny komentarz do mowy Cyncerona

za Marcellem. (Comentarius perpetuus et plenus in orationem M. T. Ciceronis pro M. Marcello) (1). W r. 1824 otrzymał stopień magistra nauk i sztuk wyzwolonych. Od młodych lat, nie miał odpowiedniego do prac mozolnych swego zawodu, zdrowia. Z przyczyny słabości uwolniony na lat dwa od obowiązków służby nauczyciela, poświęcił ten czas dwom naukowym pracom. W r. 1825 wydał przypisami i postrzeżeniami własnymi udokładniony, znany atlas do geografii starożytniej, p. n. „Atlas orbis antiqui constans decem et quatuor tabulis geographicis, additis observationibus et tabulis historicis, secundum quintam editionem e Germanico Latinus factus.” W r. 1826 na zadanie wydziału nauk i sztuk pięknych królewsko-warszawskiego uniwersytetu: „Colligantur et illustrentur singulis locis propositis observationes interpretum de stylo Livii” odpowiedział; a praca jego na publicznem posiedzeniu uniwersytetu d. 15 Lipca 1826 r. złotym medalem większym, uwieńczoną została. Od r. 1826 pełnił Nędzyński sumiennie i gorliwie obowiązki nauczycielskie. Jako zastępca profesora w liceum warszawskiem, ogłosił w programie tej szkoły na rok 1829 rozprawę swoją: „O przymierzu Rzymian z Sabinami.” Szwaynic w swojej historii narodu i państwa rzymskiego, powołuje się na tę pracę Nędzyńskiego; była ona drugi raz powtórzona drukiem w Bibliotece Warszawskiej, powiększona dodatkami i poprawiona przez autora (2). W r. 1833, Nędzyński jako członek komitetu egzaminacyjnego zasiadał; a 1837 r. pełnił obowiązki profesora literatury łacińskiej i języka greckiego w tak nazwanych *kursach dodatkowych*, i w gimnazjum. Pod wpływem mozolnej praktyki, wygotował gramatykę łacińską, zastosowaną do użycia w szkołach krajowych, która dotąd w rękopiśmie zostaje. Po zamianie *kursów dodatkowych* na *pedagogiczne* powierzono w nich Nędzyńskiemu w r. 1842 wykład pedagogiki, dodając w rok później, obowiązek wykładania tamże języka łacińskiego. „Zbogacony doświadczeniem i postrzeżeniami w ciągu przeszło dwudziestoletniej pracy nauczycielskiej zebranemi, Nędzyński wzięwszy w pomoc dzieła Niemeyera, Schwarza, Benekego, Fritza i innych znakomitych pedagogów, tak niemieckich jako francuzkich, nie przywiązując się jednak do żadnego z nich niewolniczo, ale za własnem przekonaniem idąc; wygotował zupełny kurs pedagogiki, odznaczający się doskonałym układem, gruntowną znajomością rzeczy, i jasnym jej przedstawieniem”. (3). Ta ważna praca zajmowała myśl jego ciągle; na krótko przed zgonem przerabiał, dopełniał, w chęci przygotowania do druku; śmierć zbyt wczesna, wytrąciła mu pióro z ręki. Prócz wyżej wymienionych prac naukowych, zostawił mnóstwo przygotowanych materyałów do przekładu na język polski dzieł Horacyjusza, Wirgilijusza, Sarbiewskiego i niektórych Cicerona. Nędzyński prawy charakterem, surowy w dopełnianiu obowiązków swoich, nawykły do żelaznej pracy umysłowej, nieraz nad siły, był jednym z owych przestawicieli naszych prawdziwej nauki, i zwolenników literatury klassycznej, na której poznanie i zgłębienie, całe życie swoje poświęcali. Rozprawa jego: „O przymierzu Rzymian z Sabinami,” jako przypis do księgi I rozdziału 13 historii Liwjusza; pokazuje podniosłe stanowisko Nędzyńskiego, z jakiego poglądał i badał zamierzchłą tylu wiekami przeszłość. Rozprawa ta sama, wymownie wskazuje, ile literatura nasza straciła, przez zgon zbyt wczesny, tak znakomitego na tej niwie pracownika.

(1) Rozprawa ta została w rękopiśmie. Biblioteka Warszawska. Tom II, str. 124. z 1847.

(2) Tom II, z 1847. — (3) Biblioteka Warszawska. T. II, z 1847.

ANTONI JAKUBOWICZ.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku*).

Syn kupca Jakóba, utrzymującego handel towarów tureckich, bławatnych i jedwabnych w Warszawie; urodził się na okręcie w roku 1789 pod Konstantynopolem.

W dzieciennym wieku utracił rodziców; jako sierota gdy opieka pozbawiła go majątku, oddany został do Dzieciątka-Jezus. Z tej sierociej ochrony, codziennie biegło do szkoły na Długą ulicę do ks. Pijarów, drobne pachole, chciwe nauki, choć było chłodno i głodno: bo już pojmowało, że tylko nauka da mu poczesne współcześnie miejsce, i ochroni od biedy i nędzy, z którymi dobrze się już zapoznał. Ukończywszy nauki w szkole XX. Pijarów Warszawskich, w r. 1808 wszedł do służby wojskowej do korpusu artylleryi jako kanonier. Odbył kampaniją w 1809 i 1812 r. Po bitwie pod Mozajskiem wzięty do niewoli i zaprowadzony do *Saratowa* (1); jako wykształcony naukowo, posiadający kilka języków, przeznaczony został na tłumacza do kancelaryi Horodniczego tego miasta. Tu zostawał do roku 1815, w którym wróciwszy do Warszawy, wszedł napowrót do służby wojskowej, i dosłużywszy się w artylleryi stopnia porucznika, na tym zakończył w r. 1831 zawód wojskowy. W r. 1832 wszedł do służby cywilnej do Kommissyi Rządowej przychodów i skarbu, jako sekretarz tłumacz do języka rossyjskiego. Od lat wielu cierpiąc na kamień, długo się sam leczył wedle dzieł lekarskich; gdy jednakże w Maju 1842 r. tak ciężko zachorował, że bez ciągłego dozoru obejść się nie mógł; jako bezzenny, przeniósł się na kuracyą do *domu zdrowia*, (2) i po kilkutygodniowych cierpieniach, w 53 roku życia umarł dnia 13 Czerwca 1842 r. Jakubowicz oddany nauce, wszystkie wolne chwile jęj poświęcił, głównie na polu filologiczném. Z początku zbierał jedynie dzieła do swego przedmiotu, ale niedługo przeszedł w zapalonego zbieracza ksiązek, bez braku wyboru. Mieszkanie jego złożone zawsze z 4 lub 5 pokoji, ostawione szafami pułkowemi, było na oko jakby jaką księgarnią. Ogół jego księgozbioru przenosił już 40,000 dzieł najrozmaitszj treści. Celował tu wszakże dobór słowników w różnych językach. Zaraz po śmierci Jakubowicza sprzedano przez publiczną licytacją i ten księgozbiór, i szczerpy zbiór medali i monet polskich. Licytacja ta okazała, jak różnorodne dzieła zmarły uczony pisarz zbierał, bez żadnego wyboru. Obok najlichszych romansów, znajdowałaś dzieła ważnej treści, broszurki nadzwyczaj rzadkie, dzieła wielotomowe zdefektowane, a przytém bardzo wiele ksiązek z nierozciętymi nawet kartkami. Jakubowicz zgromadził swój księgozbiór, nietylko płacąc gotowizną antykwaryuszom, ale większą część zebrał przez zamianę z księgarzami, za dzieła własne. W tym ogromie sam nie pamiętał co ma, dla tego znalazło się po kilka jednego dzieła exemplarzy, jednej nawet edycyi. Wiele dzieł opracował i wydał; wliczymy je tu porządkiem lat jak wychodziły: Rok 1822. *Arytmetyka i pierwsze zasady algebry*. Rok 1824. *Wiadomości o broni ręcznej i palnej*. Rok 1825

(1) Jest to toż samo miasto w którym Ewa Felińska pisała znaczną część *wspomnień swoich*. (Zobacz wspomnienia z podróży po Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie). Tomów 3. Wilno 1853 r.

(2) W pałacu Nr. 2874 na Ordynackiem, wówczas przez Rząd, kosztem miasta, założonego.



tytuł i napisy w rycinie A. Matoszkiewicz

w Litografii Banku Polskiego

GROB JAKOBA REDLA.



no. 626

i 1828. *Słownik rossyjsko-polski, ułożony podług słowników akademii rossyjskiej, pierwszego i późniejszego wydania; pomnożony wyrazami technicznymi.* Wydał go w dwóch tomach u Nathana Glücksberga własnym nakładem; pracując nad nim ciągle przez lat 12.— Rok 1833. *Nowa grammatyka francuzka, z licznymi ćwiczeniami ortografii, składni i przecinkowania, wyjętymi z najlepszych autorów, i porządkiem prawideł rozdzielonemi przez P. Noel generalnego inspektora uniwersytetu, kawalera legii honorowej, i P. Chapsal, profesora grammatyki powszechnej. Dzieło policzone między książki klassyczne. Przekład z 21 wydania paryzkiego P. A. J. Warszawa, w tłoczni przy ulicy Rymarskiej 1833 r. (Takich wydań było trzy. Grammatyka ta drukowana była w dwóch częściach, to jest: 1. Grammatyka, Grammaire. 2. Ćwiczenia, Exercices) wydane kosztem autora. 1834. Wydał ułożoną przez siebie *Grammatykę rossyjską z ćwiczeniami i słownikiem w polskim i rossyjskim języku.* 1836. *Początki języka rossyjskiego,* obejmujące poznanie zgłosek, czytania, i wymawianie z wzorem do pisania i słowniczkiem. *Historija starego i nowego testamentu.* Warszawa w tłoczni przy ulicy Mazowieckiej 1836 r. (Oddzielnie *stary*, a oddzielnie *nowy* testamet wydany.) Jako tłumacz w Kommissyi Rządowej przychodów i skarbu, wytłómaczył tom V, zbioru praw cesarstwa rossyjskiego.*

Jakubowicz niskiego wzrostu, subtelnej budowy ciała, nie poczesnej postaci, był rzeczywiście człowiekiem wielkiej pracy, i gruntownie znającym przedmiot, który wziął za cel badania i opracowania swojego. Nie miały pisma jego rozgłosu, ani imienia swego wydatniejszém uczynił, bo cichą a skromną była praca jego, chociaż nie małego użytku dla społeczeństwa, któremu ją poświęcił.

JAKÓB REDEL.

D. O. M.

„JAKÓB REDEL UR. 20 LIPCA 1769 R. OD R. 1788 KANONIJER, OD R. 1816 GENERAL, DOW(ÓDZCA) ARTYL(LERYI) PIESZÉJ B. WOJ. POL. ORDERÓW Ś. STAN(ISEAWA) I. KLASSY, Ś. ANNY II. KLAS(SY) Z BRYL(ANTAMI), KRZYŻ(A) WOJS(KOWEGO) POL(SKIEGO) I NEAPOL(ITAŃSKIEGO, OB(OJGA) SYCYLIJI, KAWALER, LEGII HONORO(WEJ), URZĘD(NIK), OZDOB(IONY) ZNAK(IEM) HONOR(OWYM) NIESK(AZITELNEJ) SŁUŻBY ZA LAT XXXV. W KRAJU, W LEGI(JONACH) I RÓŻNYCH STRO(NACH) EUROPY ODBYŁ KAMP(ANII) 18, ZNOSIŁ RANY I NIEWOLĘ. SPOCZAŁ W BOGU DNIA 20 KWIET(NIA) 1845 ROKU.”

Urodził się w Warszawie; nieposiadając żadnego majątku po rodzicach, do 14 roku życia, pobierał nauki w szkołach Jezuitów, zkąd wszedł d. 8 Maja 1788 r. jako kanonijer do korpusu artylleryi koronnój. Przykładając się pilnie do nauk właściwych téj broni w szkole artylleryi, przechodząc wszystkie stopnie podoficerskie, przeniesiony został w r. 1792 jako chorąży do korpusu artylleryi litewskiej; miał w tymże roku udział w kampanii i bitwie pod *Grannem*. W r. 1793 mianowany podporucznikiem, w następnym porucznikiem, w bitwie pod *Niemenczy-nem* d. 24 Kwietnia, ranny w lewą nogę, został wzięty do niewoli, w której zostawał lat dwa, do r. 1796. Powróciwszy do kraju, krótko w nim bawił; dostał się do Włoch, i tam postąpił

na kapitana w 1797 r. w artylleryi legii włoskiej; we dwa lata na kapitana dowódcę baterii. W r. 1802 przeszedł do kawaleryi polsko-włoskiej; w r. 1807 mianowany szefem szwadronu, zostawał przy boku marszałka państwa francuzkiego Masseny. Za utworzeniem księstwa warszawskiego 1808 r. postąpił na podpułkownika dowódcę batalijonu 1. artylleryi pieszej księstwa warszawskiego. W następnym roku, majorem; a w r. 1810 pułkownikiem w korpusie artylleryi i inżynierów. W skutek organizacyi wojska w Zittau, w r. 1813 objął dowództwo całej artylleryi polskiej 8 korpusu wojska. W r. 1814 przeznaczony na szefa sztabu kawaleryi, pod dowództwem generała Paca. Był w bitwach we Włoszech pod Castel-franco, i w oblężeniu Mantui; nad Renem pod Hohenlingen, Lejbach, Wetz, Lejfen i Schtejer. Od r. 1800 do 1806 w królestwie Neapolitańskim w różnych bitwach z brygantami; w bitwie pod Heilberg i Friedland; następnie pod Raszynem i Wrzawami; pod Grodnem, Koreliczami, Krasnem, Smoleńskim, Wiazmą, Dorohobużem, Gzackiem, Możajskiem, Tarutynem, i we wszystkich bitwach zaszytych przy odwróceniu wielkiej armii w 1812 r. W r. 1813 pod Gabel i Lipskiem, gdzie ranny był w głowę; w r. 1814 we Francyi pod Craonne, Laon, Berry-au-Bac. W Kwietniu 1814 r. objął dowództwo artylleryi polskiej; następnie przeznaczony na dowódcę brygady artylleryi pieszej; w r. 1817 mianowany generałem brygady, z przeznaczeniem na dowódcę artylleryi pieszej, i w tym stopniu, na łonie rodziny swojej umarł w Warszawie. Oto wszystko cośmy mogli zasięgnąć wiadomości o tym zgasłym mężu, którego imię nieraz w świetnych buletynach armii wspomniano. Taką treściwą wiadomość tylko, podają nam stany służby, które zaledwie cię słaby podają, przeżytych tylu lat wojownika w pośród gwaru wojennego, wędrówki po świecie i licznych doznanych trudów. Ale przychodzi nam tu w pomoc ciekawy i ważny pamiętnik dostojnej i szanownej małżonki zmarłego generała Barbary z Dąbrowskich. W sędziwym wieku, zacna ta matrona, dla pamięci wnuków swoich, z opowiadań męża, zebrała ważniejsze wspomnienia jego życia wypadków, i już to własnymi słowy, już wprowadzając opowieść samego generała, skreśliła pełen życia pamiętnik. Skorzystamy z tej szacownej pracy, i w pełniejszych zarysach podamy biografią ś. p. generała Redla.

Wróciwszy z niewoli do Warszawy, która wraz z częścią dawnego Mazowsza przeszła pod zarząd Pruski; otrzymawszy paszport do Berlina, ztąd dostał się do Paryża, a następnie wyjechał do Włoch, gdzie zajął się jako kapitan, utworzeniem kompanii artylleryi konnej, i zaraz został przeznaczony do fortecy Mantui, pod dowództwo marszałka Masseny. Tu w roku 1799 z dnia 6 na 7 Sierpnia, miał powierzonym sobie stanowisko niebezpieczne, na wysepce zwanój Theé pod Mantuą. Wiedziano, że tędy na przebój austryjacy uderzą. Redel, oszańcował się z kilkunastu działami; przed nocą wszakże, pościagał armaty swoje z okopów i ustawił je wzdłuż grobli pomiędzy krzakami, którą przewidywał najście. Wydał najsurowszy rozkaz, aby kanonijerzy jak najciszej leżeli na ziemi, chociaż ujrzą nieprzyjaciela, dopóki nie wyda hasła. Stało się jak przewidywał, austryjacy nie widząc dział na wałach, mniemali że stanowisko opuszczonym zostało. Z pewnością więc i zaufaniem wprowadzili na tę groblę swoją artylleryją, a kiedy zajęli wzdłuż całą drogę, nagle rażeni zostali gradem kartaczy. Prerażeni, straciwszy przytomność, w ślepym zapędzie ratowania życia, jedni topili się w bagnach, drudzy od kul legli. Redel nie straciwszy ani jednego żołnierza, zdobył kilkanaście armat; pobrał więc nie-

wolnika niż wynosiła jego komenda. Zwycięstwo to ogłoszono rozkazem dziennym z 6 na 7 Sierpnia 1799 r. zapisaném zostało w dziejach wojennych Francyi; a Redel otrzymał krzyż legii honorowej (1). Przetrwał cale sławne oblężenie Mantui, której bronił marszałek Massena. Znosił wraz z drugimi straszliwy głód, zmuszony jeść szczury, koty, myszy i zupę z rzemieni gotowaną. Trudy i niewygody, nabawiły go febry. Osłabiony i wycieńczony, dostał się do szpitala Siostr Miłosierdzia w *Franche-Comté* (we Francyi), gdzie legł na łożu boleści. Blisko miesiąc cały leżał bez przytomności trawiony nerwową gorączką. Zwątpiono o jego życiu. Kiedy zaczął odzyskiwać przytomność, i spoglądać w około, jakież rzewny dla siebie ujrzał obraz: sędziwy kapłan siedział w głowach jego łoża i odmawiał modlitwy nad konającym, dwie zakonnice siostry miłosierdzia klęcząc, modliły się szczerze. Z radością ujrawszy że młody Redel otworzył oczy, jedna z zakonnice pobiegła do doktora, który przybywszy, wesóło wykrzyknął: „Ocalony jesteś mój kapitanie! żyć będziesz dopóki będziesz chciał, kiedyś tę okropną gorączkę przemógł.” Odzyskawszy zdrowie, powrócił Redel do armii; w r. 1807 Napoleon I. ogłosił księstwo warszawskie, ksiązę Józef Poniatowski mianowany naczelnym wodzem; porzucił więc służbę francuzką w której był teraz adjutantem Masseny. Marszałek ten, z żalem rozdzielał się z ulubionym towarzyszem broni; na pożegnaniu napisał list do księcia J. Poniatowskiego, w którym mu winshawał, że będzie miał pod swemi chorągwiami tak zdatnego i chlubnie zasłużonego wojownika jak Redel. W tym właśnie czasie, Włodzimierz Potocki własnym kosztem wystawiał pułk artylleryi konnej; potrzebował do pomocy doświadczonego i obeznanego z tą bronią oficera. Ksiązę Poniatowski przeznaczył w tym celu kapitana Redla. Pułk ten doborny, odznaczał się zawsze na polu bitwy świetnie, a w kampanii 1809 r. cuda waleczności dokazywał. Redel przeszedł później do sztabu wodza naczelnego, i jako szef sztabu bióra artylleryi i inżynierów w stopniu majora, zaprowadził w Warszawie szkołę artylleryi i inżynierów. Następnie zostawszy pułkownikiem, dowodził pułkiem artylleryi pieszej. W r. 1810 a w 40 roku życia, ożenił się; i gdy zapragnął spoczynku przy domowém ognisku, w chwili niemal kiedy mu się syn urodził, powołany został do owój pamiętnój 1812 r. wyprawy. Przetrwał trudy, głód i niewczas; pod Berezyną, wstąpił na on prawie most tonący, z którego w tłoku jeden drugiego spychał między bryły płynące lodów; szczęśliwie go przeżył, uratowawszy kilku rodaków; i pieszo do Wilna doszedł, zkąd z odmrożoną twarzą i nogami, wrócił do Warszawy. Zaledwie kilka tygodni odpoczął, gdy nowy rozkaz powołał go do boju. Zaszła straszna walka 1813 r. pod Lipskiem. Dnia 16 Października ksiązę Józef Poniatowski, dowodząc piątym korpusem wielkiej armii, stał obozem we wsi *Grossbeeren*, na przeciw licznego nieprzyjaciela. Nazajutrz miała nastąpić bitwa; ksiązę objeżdżał cały swój obóz, dla przejrzenia czy wszystko było w gotowości do walki. Otoczony sztabem, w połowie objazdu zatrzymał się ksiązę, gdy jeden z oficerów poczęstował wódką i ciastem wodza i kolegów. Tą samą drogą chciano jechać dalej; kiedy Redel zdala jadący, a mający wzrok bystry, spostrzegł: że w tym samym kierunku jak zmierzali, w rów głę-

(1) Wspomina o tym świetnym czynie kapitana Redel, Ernest Ludwik Posseln, w dzienniku niemieckim *Dzieje Europy*, wychodzącym w Tubingen 1804 r.

boki spuszczał się z pośpiechem tyralijery nieprzyjacielscy; i już w nim uszykowani, celują ku jadącym. Nadbiega pułkownik Redel, i ostrzega księcia o niebezpieczeństwie; lecz ten niemogąc dostrzedz tyralijerów których mu wskazywał pułkownik, podjeżdżał szybko ze sztabem coraz bliżej. Strzelcy zaczajeni, nagle powstają i dają ognia, ale z pośpiechu znać nie dobrze mierzyli, bo nikt nie zginął. Kule gwiznęły po nad głowami. Książę miał odstrzeloną szpinkę, która utrzymywała burkę na jego ramionach; Redel ugodzony został kulą w głowę, ale dzięki grubiej blasze miedzianej którą miał na kaszkiecie, rana nie była śmiertelną. Krew oblała twarz całą, i głowa od silnego uderzenia spuchła. Książę dał znak; nadbiega pędem jazda szaserów pod dowództwem pułkownika Kurnatowskiego, i piechota z Kazimierzem Małachowskim, cały pułk zaczajonych tyralijerów zniesiony do szczytu (1). Rozpoczęła się krwawa i mordercza bitwa; Napoleon I musiał się cofać. Tu przywiedziem własne słowa Redla, jak opowiadał zgon księcia Józefa Poniatowskiego, i swoje ocalenie. „Już mostu na *Elstrze* nie było, bo go Napoleon spalić rozkazał, aby się zabezpieczyć od ścigającego nieprzyjaciela; ale nie mało jeszcze na drugiej stronie pozostało wojska, które, jak i gdzie mogło, przebywało tę rzekę. Książę otoczony kilkunastu wojskowymi, pomiędzy którymi i ja byłem, szukał także dogodnego miejsca do przeprawy. Długo krążyliśmy nad brzegiem, nareszcie w ogrodzie przez który ta rzeka płynie, trafiliśmy na miejsce, które się zdawało dobrém; a czasu tracić już nie można było, bo dochodziły nas krzyki zbliżających się nieprzyjaciół. Wskoczył książę w rzekę, i już się więcej nie pokazał!... Podobno w tym skoku, popręg pękł, koń się przewrócił, i zgniół jeźdźca. Widząc tak okropny koniec tego wojownika, dałem koniowi ostrogę, aby stracić z oczu widok tego miejsca. Podjechawszy dalej, zawsze nad brzegiem, spostrzegam w poprzek rzeki kilka sterczących palów, na które sapery francuzkie zarzucili belki leżące na brzegu. Na jednej z tych belek, siedział jakiś oficer francuzki, którego sapery francuzcy na drugi brzeg przeciągali. Nie wiele myśląc, zeskoczyłem z konia i puściwszy go, wskoczyłem za tego oficera; że zaś z powodu rany, miałem głowę obwiązaną bandażem który mi się zsunął na oczy, przeto lękając się stracenia równowagi w tak niebezpiecznej przeprawie, uchwyciłem się za poły surduta siedzącego przedemną. Położenie jego pogorszyło się tym sposobem, bo belkę z dwoma, ciężej było ciągnąć; nie oglądając się za siebie, wołał tylko ciągle francuz: „cheesz mię utopić,” i kopał w tył nogami. Ale ja nic na to nie zważałem, tylko się mocno trzymałem za jego poły; w tém, belka osunęła się, i obadwa wpadliśmy w wodę..... szczęściem że to było już blisko brzegu, i sapery wyciągnęli nas. Stanąwszy na brzegu, poznałem że ten, z którym tę osobliwą przeprawę odbyłem, był marszałek Makdonald. On mnie także poznał, i nawzajem przepraszaliśmy się, i wieszowali sobie tak szczęśliwego ocalenia. Na drugiej stronie rzeki, napotkałem karetę, w której siedział cesarz, ja mu pierwszy zaniósłem tę smutną wiadomość o śmierci naszego wodza. Zapytał mnie, czym to na swoje własne oczy widział? a skoro mu odpowiedziałem że tak jest: smutnie wzruszył ramionami, nie

(1) Na obrazie przedstawiającym ten wypadek, utworu Januarego Suchodolskiego, który ofiarował go w przyjacielskim darze jenerałowi Redel; widać zdala wieś Grossbeeren, i obóz piątego korpusu wielkiej armii. Na wzgórkach książę Józef Poniatowski konno, dalej pułkownik Szumlański szef sztabu; adjutanci: Kieki i Potulieki, dalej pułkownik dowódca kirysyjerów, Dziekoński, pułkownik Kurnatowski, i jeneral piechoty Małachowski.

nie odrzekłszy" (1). Redel straciwszy swoje bagaże, ranny i cierpiący, poszedł do Francji. Król neapolitański Murat, znając jeszcze z wypraw włoskich Redla, namawiał go aby wszedł do jego wojska; ale ten, wierny swojej chorągwi, podziękował za ten dowód jego łaski. Pozostałe resztki armii polskiej po tej morderczej bitwie, uorganizowano na nowo. Ze wszystkich pułków jazdy, utworzono jedną dywizyją, a dowództwo jej oddał cesarz generałowi Pacowi; chcąc zaś zdolnego dać szefa sztabu, przeznaczył na tę posadę pułkownika Redla, jak to świadczy rozkaz cesarski datowany z Paryża d. 3 Marca 1814 r. Pierwsza bitwa była pod *Craon*; siła nieprzyjacielska przemagająca, co większa, Francuzi zrażeni klęskami, stracili dawną wytrwałość i odwagę. Popłoch trwogi padł na nich, i po pierwszej porażce uciekać zaczęli. Ani prośbą, ani groźbą, wstrzymać popłochu nie można było. Generał Pac ranny w prawą rękę, stracił dwa palce od strzału; pułkownik Redel miał zabitego pod sobą konia, obaj o mało co niedostali się do niewoli. Rozbitki wróciły do Paryża. Wielki dramat historyczny skończył się, pamiętną klęską Napoleona I. pod Waterloo! (2).

Ś. p. Redel był charakteru łagodnego i słodkiego, a przy tém uczuciowy i żywo biorący do serca, nie tylko troski swoje, ale przyjaciół i towarzyszków broni. Domowe ciche życie przekładał zawsze nad zgiełk świata. Surowy dla siebie, przedewszystkiém był ścisły w pełnieniu obowiązków swoich. Straciwszy wiek cały w obozach i krwawych bitwach, niezrównany był

(1) Porównaj tę opowieść ś. p. Redla z broszurą wydaną w Warszawie 1819 r. p. n. „*Dzień ostatni księcia Józefa Poniatowskiego, opisany przez naoczego świadka*“ 8vo str. 32. Wojownik ten. poprzednio rzeczkę *Pleissę* przebył w pław, ale konia ugrzęzłego w niej zostawił; masztalerz podprowadził mu drugiego; na nim to rzucił się w nurty Elstery, w której grób swój znalazł. (Zobacz powyżej cytowaną broszurę str. 27).

(2) W ciągu długiego zawodu wojskowego i wędrówek po Europie, ś. p. Redel nie raz doznał widocznej opieki Bożej nad sobą. Spoczywając przez dni kilka po marszu w Ferrarze (we Włoszech) udał się wówczas będąc jeszcze kapitanem wraz z towarzyszami broni, do kawiarni; a że był dzień bardzo gorący, wyszedł z pokoju na ganek i usiadł na ławce. W tém zatrzęsła się ziemia i wystawa runęła. Redel zsunął się pod ławkę, na której siedział i tym sposobem uniknął skałeczenia, bo ławka tworzyła nad nim niejako sklepienie, po którym gruz się staczał; gdy ci co pozostali w pokoju, srodze poranieni zostali: budynek bowiem cały w gruz się zawałił. W r. 1807, kiedy Napoleon I znajdował się w Osterode (w Prusach); marszałek Massena mając przesłać cesarzowi ważne doniesienia, ale ustnie, aby nie wpadły w ręce nieprzyjacielowi, wysłał do niego Redla, jako swego adjutanta. Redel przybywa do miasteczka Altenburga na pocztę, żąda co prędzej koni, ale tych właśnie zabrakło, bo je liczni kuryerzy rozebrali. Musiał więc czekać, dopóki z pola niesprowadzono parę fornalskich. Wsiada na bryczkę, mały chłopak powozi. Zaledwie ujechał staj kilka, kiedy drugi chłopak zjawia się przy bryczce i woła aby stanęli. Jakoż wiozący zatrzymał, a tamten przysiadł się obok niego. „Co to znaczy?“—pyta Redel—„czego ty chcesz?“— „Jestem z poczty“—odpowiada nowo przybyły—„zabraliście ostanią parę koni, muszę z lasu przyprowadzić inne.“ Wjechali właśnie do lasu, chłopak ów zeskoczył, a bryczka jechała dalej. W tém nagle wybiega z obu stron lasu kilku uzbrojonych w strzelby chłopów, krzyząc „halt!“ Kapitan staje w bryczce i woła na chłopca aby popędzał konie, dopomagając płazami pałasza. „Napastnicy (opowiada sam ś. p. Redel) dali ognia, lecz kule nie doścignęły mnie. Oglądam się i widzę, żeśmy już dosyć daleko od nich się oddalili; kiedy nieszczęściem czy naumyślnie bryczka się wywraca, uzbrojeni nadbiegają. Ja się podnoszę z ziemi w mój płaszcz uwikłany, zaczynam uciekać, a oni w pogon za mną, krzyząc: „halt francuz! halt!“ Biegnę póki mogę, nareszcie temu mi zabrakło. Doganiają mnie i nderzają z tyłu kolbą w głowę. Odurzony padam i tracę przytomność. Gdym zaczął przychodzić do siebie, uczulem się skrępowany i do drzewa przywiązany. Rozebrali mnie do koszuli; tylko buty zostawili, których nie mogli ściągnąć, bo nie zdejmując ich przez parę dni, nogi mi nabrzękły. Tak skrępowany, nie mogłem ani stanąć, ani usiąść, tylko prawie byłem zawieszony. Napastnicy opodal odemnie, dzielili się tém, z czego mnie obdarli: zegarek mój mój (droga od przyjaciela pamiątka), sakiewka, pugilares, pałasz i mantelzak z całą moją gar-

w sposobie opowiadania bądź pojedynczych przypadków swego życia, bądź całych wypraw i walk morderczych. Opowiadania jego nigdy nie były za długie; było w nich bowiem tyle obrazowości, tyle prawdy, tyle zajmujących szczegółów; tak umiał zręcznie zająć swoich słuchaczy przeplataniem faktów historycznych wielkich bitew cesarstwa, z nieodstępnymi od nich anegdotami, że jeżeli słuchacza, na chwilę przeraził jakim okropnym obrazem jednej z setnych, a zawsze krwawych potyczek z brygantami w Kalabryi; lub zmroził, rozwijając przed jego oczyma jaki okropny obraz ze straszego odwrotu z Rossyi 1812 r. wynagrodził go za to niespodzianie jaką wesołą dykteryjką, w której najczęściej prostoduszny i poczciwy charakter naszych wiarusów, grał rolę. Zawsze będąc wśród nich, znał ich język, ich sposób opowiadania, obrazowy a zawsze jędrny i treściwy; i tego też to języka zwykle używał, chcąc przedstawić którą ze scen biwakowych, a takich właśnie bywał świadkiem. Kochanym też był od żołnierzy: nieraz w kampanii rossyjskiej, spoczywającego na chwilę pułkownika Redel wśród śnieżnej i mroźnej nocy, poczciwe kanonijery okrywali resztkami na pół zdartej i spalonej odzieży; nieraz skórami padłych koni, osłaniali go od strony śnieżnej zamieci. Temu to zaprawdę zobopólnemu przywiązaniu, przypisać należy, że ogólne rozprzeżenie w tym ogólnym odwrocie, nie doszło do artylleryi.

derobą, wszystko było w ich ręku. Czekałem tylko chwili, w której, podzieliwszy się swą zdobyczą, zastrzelą mnie. Co się w tém oczekiwaniu we mnie działo, trudno opisać; w tylu od kilkunastu lat bitwach ciągle będąc, przy Bożej pomocy wyjść mogłem szczęśliwie; a tu od kilku łotrów tak sromotnie zginąć. Zaczęli radzić pomiędzy sobą... W tém, jakby coś posłyszeli, rozbiegli się w różne strony lasu, a mnie tak skrepowanego zostawili. Widziałem przed sobą śmierć nieochybną, gdyż to było wśród ciężkiej zimy, i śnieg mocny padał. Zostając tak bez ruchu w jednej koszuli, za parę godzin byłbym zmarł. Westchnąłem do Boga! W myśli pożegnałem ojczyznę i rodzinę, i spokojnie oczekiwałem końca. W tém, slysze na drodze przez las prowadzącej, *wio! wio!* Dobywam głosu jak mogę i wołam po niemiecku: Ktokolwiek jesteś, na Boga! ratuj mię! Stał wóz, na którym worki z mąką leżały. Człowiek idący przy nim, zbliżył się do mnie, mówiąc złą polszczyzną: „A dla Boga! to was zapewne Baury z Lipowej tak oporzadzili, ho oni niecierpią Francuzów, a jak ja was odwiążę, to się boję żeby mnie nie spalili“ „Ja nie francuz (odrzekłem) ale kupiec z Osterode, jadę za handlem i wracam do Osterode.“ Pokiwał głową, rozwiązał mnie, dał mi swój kaftan bez rękawów, chustką związał głowę, która była opuchła od uderzenia kolbą i zabrał mnie z sobą do pobliskiej wioski. Część drogi siedziałem na worach, to znów szedłem piechotą dla rozgrzania się, bo mróz był wielki, a ręce od ramion były bez rękawów. Chłop ów, był to pół polaka pół prusaka, bo z zabranego kraju. Nareszcie wyjechaliśmy z lasu i stanęli przed małą karczemką. Gdyśmy weszli do izby, zastałem tam siedzących przy stole kilku ludzi, podobnych do tych, co mnie rozbili, lecz zajęci kuślem i rozmową, nie zwrócili uwagi na moje wejście. Poczciwy gospodarz zaprowadził mnie do komory, a żona jego starowina, przyniosła wiadro zimnej wody i kazała mi zaraz włożyć w nią ręce, bo były przemarzłe. Chcieli koniecznie abym się w łóżko położył, lecz ja prosiłem gospodarza, żeby mnie mógł zaraz odwieść do najbliższego miasteczka, za co mu tam wynagrodzę. Usłuchał mnie, dał mi swój płaszcz i czapkę i w takim ubiorze przyjechałem do Osterode. Nie zastawszy już tam cesarza, udałem się do generała kommandanta; pożyczyłem od kolegów parę dukatów, tym wynagrodziłem i podziękowałem temu poczciwemu człowiekowi; później przesłałem mu więcej. Oficerowie dali mi jakie takie ubranie i konia; i na nowo przybrany, stanąwszy w głównej kwaterze, opowiedziałem cesarzowi, co miałem polecone sobie.”

PLUCIŃSKI GRZEGÓRZ.

„GRZEGORZ PLUCIŃSKI B. OFICER B. WOJSK POLSKICH, ZMARŁY W D. 27 LISTOPADA 1843 R. ŻYŁ LAT 59.“

Urodzony 7 Marca 1784 roku w mieście Gombinie, w dawniej ziemi Gostyńskiej. Ukończywszy szkoły w Płocku, udał się następnie na wydział prawa do uniwersytetu królewieckiego, liczącego podówczas kilkunastu uczniów z prowincyj polskich, świeżo do Prus wcielonych. W roku 1807, wszedł w służbę wojskową jako towarzysz pułku Łęczyckiego; wszakże po odbytej w tymże roku kampanii, ulegając woli ojca, przeszedł do służby cywilnej w biurze Ministerjum sprawiedliwości, i w r. 1808 otrzymał nominacją na pisarza Sądu pokoju powiatu Biebrzańskiego. W tymże roku odumarł go ojciec; w następnym przeto roku, gdy wojna na nowo wybuchła, bierze urlop nieograniczony, zaciąga się do pułku 13 piechoty w stopniu sierżanta; w lipcu zyskuje stopień podporucznika, w tymże samym miesiącu porucznika, z przeznaczeniem na adjutanta-majora do 17 pułku piechoty. W roku 1811 mianowany kapitanem w tymże pułku. W wyprawie 1812 r. miał udział w trzech bitwach, pod *Bobrem*, przy oblężeniu *Bobrujska* i nad *Berezyną*. Trudno opisać ile biedy i nędzy wycierpiał Pluciński wraz ze swemi rodakami, w czasie odwrotu wielkiej armii. Blisko trzy miesiące wśród najcięższych mrozów, nie znał prawie co to jest ciepła strawa, co to jest spocząć pod dachem; kupiąc się spodem z żołnierzami dla wzajemnego ogrzania, przepędzał noce na rozestłanych płaszczach, na zmarzłej ziemi. Nie rzadki był widok, jak o ognisko, lub o wałącą się jaką chatę, bagnetem się dobijano; Fruncuzi wypierali Polaków, lub sami wypłoszeni, wypierali znowu Włochów i t. p. Wpółśród głodu, jeżeli jeździec zabłąkał się między piechurów francuzkich, to koń jego padał ugodzony i rozszarpany przez zgłodniałą tłuszcę. Krom tego, wszędzie uczuwać się dawał brak wody, co się szczególniej dało we znaki już podczas posuwania się armii ku Moskwie. Wojska Napoleona i jego sprzymierzonych, gdziekolwiek przybyły, znajdowały wsie opuszczone, popalone, studnie zawałone kamieniami lub gnojem, i tylko lodownie przy dworach będące, zastępowały dotkliwy brak wody. W czasie tak pamiętnego odwrotu, Pluciński ciężko ranny i bezprzytomny, przywieziony do Wilna, znalazł przyjęcie i pielęgnowanie braterskie w domu zacnych *Polańskich*; pamięć ich też na zawsze drogą mu pozostała. Po wyleczeniu z ran, wywieziony do *Charkowa*, a następnie do *Achtyrki*, jako jeniec, zostawał do roku 1814. Wróciwszy do kraju, przeznaczony do pierwszego pułku piechoty liniowej, przeniesiony został w r. 1820 do korpusu kadetów w Kaliszu. Tu w roku 1821 zawarł związek małżeński z Pauliną Wejgert, i zaczął używać cichego spokoju w rodzinnym kółku. Przed usunięciem się od służby, w przedostatnim roku, pełnił obowiązki przez czas krótki komendanta korpusu kadetów. W roku 1832 opuścił służbę i zamieszkał w Kaliszu; w roku zaś 1843 na krótko przed zgonem przeniósł się na mieszkanie do Warszawy; tu umarł i spoczął na cmentarzu powązkowskim, na którym pochowane są zwłoki jego małżonki zmarłej 7 Stycznia 1850, i córki Wandy zgasłej d. 28 Września 1854 roku.

AGNIESZKA TRUSKULAWSKA.

Pochowana na pierwszym nowoprzybranym cmentarzu, w mogile bez napisu.

Agnieszka Maryjanna z Marunowskich Truskulawska urodzona w Warszawie 1755 r. zmarła dnia 30 Października 1831 r. mając lat 76.

Przywiodę tu najprzód to, co za życia jeszcze téj artystki napisał W. Bogusławski w tomie 2 swych dzieł dramatycznych, w r. 1820; a dopełnię wiadomości, które znając ją bliżej w podeszłym już wieku, zebrałem. W trzynastym roku zaślubiona Tomaszowi Truskulawskiemu, ledwie mając lat 18 weszła do teatru 1774 r. Hojnie od natury obdarzona tém wszystkiém, co tylko w oczach widzów artystkę przyjemnie może, nie dziw, że przy pierwszym zaraz wstępie na scenę, wszystkich serca pociągnęła ku sobie. Najpierwszą jęj rolą była *Marysia* w dramacie z *Merciego* przełożonym, p. n. *Nędznik*. Lubo sama z siebie rola mocno jest zajmującą, Truskulawska umiała ją zrobić nierównie ważniejszą, przez naturalne nieszczęśliwój młoděj panienki oddanie, która z niewolonego jęj wdziękami zuchwalca, odwagą cnotliwěj duszy zgromić, i bezwstydne jego zamiary zniweczyć umiała. Ta pierwsza rola zaraz okazała jęj zdolności do ról smutnych *amantek*, a zawczesny zgon żony Owsińskiego, otworzył jęj pole do podobnego rodzaju charakterów. W tych, przez osobliwszą przyjemność wymowy, kwitnącą młodość, i zachwycającą mimikę, czyniły coraz bardziej upodobaną publiczności tę artystkę, która wkrótce daleko ją mocniej zadziwić, i o znakomitym swoim talencie przekonać miała. Drama *Eugenija*, w której Beaumarchais dał wzór pisania dzieł podobnego rodzaju, dowiodła: że naturalność zadaniami obcemi nie poparta prawidłami, była w osobie Truskulawskiej, wrodzonym do sztuki dramatyczněj talentem. Nie mogli widze bez poruszenia aż do łez, patrzeć na owe bolesne waliki, jakie uczuwało serce *Eugenii*, między miłością, honorem i naturą. Scena, w której ona łącząc bojaźń z miłością dziecinną, wyznaje ojcu potajemne zaślubienie swoje, ów krzyk rozpaczy, które ojcowskie przekleństwo z piersi jęj wyrывa, przerażały umysły słuchaczów; a szlachetna pogarda dumnego pana który ją uwiódlł, ofiara życia, na zaspokojenie ojca i rodziny, w podziwieniu wprawiały! Któż wyliczy piękności téj roli, nietylko doskonale oddane, ale przyjemnością każdego poruszenia, znaczącém wyrzeczeniem każdego słowa, pomnożone przez tę artystkę? Opuszczę inne, téj sceny zapomnieć nie mogę, kiedy zniewolona prawdziwym żalem zwodzi ciela, u nóg jęj przebaczenia wzywającego, z nieopisanym matczyněj miłości uczuciem, sklania się do litości; to wszystkie serca zniewalając, wszystkich oczy rozkosznemi napelniając łzami, godną się uwielbienia stawała. Trajedyja *Bawerlój*, miała dowieść doskonałości Truskulawskiej w każdym rodzaju. Owa scena cnotliwěj żony, z potwarzającym ją mężem *Sztukelim*, owo szlachetne ukrywanie dokuczającego niedostatku przed ogoloconym z majątku mężem, jakiegoż nie wzbudzały uszanowania? Widzę jeszcze żonę *Bawerleja* idącą z latarnią szukać w nocy obłąkanego męża. Słyszę ów krzyk, kiedy rozciągnionego na kamieniach znajduje! owe do Stwórcy przesyłane modły: „We łzach chęci moje zasylam ci o Boże!” widzę łzami przepelunięte oczy wzniesione ku niebu, oczy, których widok powszechnie wymuszał westchnienia! Cóż powiem o owym straszliwym przestachu-na widok wzniesionego nad synem żelaza; co o niewysło-

wionej rozpacz przy zgonie ukochanego męża? To chyba niestety! że tragedja ta wystawiona później przez inne artystki, niepodobną będąc do siebie, przekonała o niezrównanej dotąd wyższości Truskulawskiej. Zdaje się, że natura czyni sobie częstokroć igraszkę, zlewając w jedną osobę tyle razem doskonałości, ile ich między wiele innych podziela. Dając Truskulawskiej najpiękniejszą postać, delikatność płci, poruszenia ciała szykowane, twarz pełną wdzięków, oczy których spojrzenia zachwycały, wymowę pieszczącą uszy; podobało jej się jeszcze obdarzyć przyjemnym do śpiewania głosem. Uproszona do przyjęcia w pierwszej naówczas z włoskiego przełożonej operze: *Dla miłości zmyślane szaleństwo*, roli Eurylli; sławną śpiewaczkę włoską *Bernardi*, chociaż z uczonego śpiewu wielbioną, tak dalece wdziękami gry swojej przewyższała; że ulubiony ów taniec: „*pierwej niż wiarę daną*,” przez nią śpiewany, zdawał się być właściwiej dla polskiej ułożonym śpiewaczki. Wkrótce w drugiej operze *Sachiniego: Osada nowa*, poważniejszego śpiewu wydaniem, i do tego rodzaju oper, zdatności swojej dowiodła. Zachwycała najbardziej patrzących, kiedy schodząc ze skały, w *Recytatywie*. „Gdzież jestem? gdzie mam iść?” obłąkanie umysłu i rozpacz opuszczonej wystawiała kochanki. Występując i w komedjach z równą zaletą, zarzuciła śpiew później, a przy wieku już dojrzałym, przeszła do poważniejszych ról, wprowadziwszy na scenę córkę swoją, która godnie miejsce matki zajęła.“

Kiedy klassyczne utwory literatury francuzkiej, weszły na scenę teatru narodowego, z zachwyceniem rolę *Meropy* w tragedji Voltera przedstawiła; jak i w *Hamlecie*, *Inez de castro*, *Honorze kobiet*, i wielu innych. Zakończyła dramatyczny swój zawód sławną rolą Kamilli w tragedji Piotra Kornela: *Horacyusze*, i po trzydziestu latach świetnych tryumfów na scenie ojczystej, ustąpiła z niej na zawsze (1). Już w zgrzybiałym wieku poznałem Truskulawską, kiedy i córka jej Leduchowska, w dojrzałych była latach. Trzęsa się jej głowa i ręce, twarz grubemi zmarszczkami okryta, z białą siwizną, nie zostawiły ani śladu nawet, owiej cudownej kobiety! Zajęta gospodarstwem domowem, czasem tylko wspominała o świetnie przebytym zawodzie swoim. Gdy po pracy spoczywała, nadstawiała pilnie ucha, słuchając jak przepowieda sobie role jej córka. Jak muzyk, który znieść nie może fałszywych tonów, stara matrona usłyszawszy źle, lub niewłaściwie myśl wypowiedzianą, zrywała się z siedzenia, stawała, nagięta jej postać prostowała się, rosła, oblicze piękniało, nabierało życia i wyrazu; rozbudzona to dusza artystyczna, dodawała jej tej siły i dziwnej potęgi, a wtedy pokazywała córce, jak ten ustęp roli powinien być oddany. Zapal młodzieńczy promienił jej twarz, głos silny a dźwięczny, dobywał się z rozbitej piersi, a poruszenia rąk, i układ całej postaci, przypominał ową wielką artystkę, co więcej jak ćwierć wieku, była chlubą i ozdobą sceny ojczystej. Zmarła w późnej starości, przeżywszy lat 76.

(1) Bogusławski w tomie 2gim zamieścił jej wizerunek; widziałem daleko podobniejszą minijaturę cudnej roboty w całej postaci, spoczywającej jak Venus, Truskulawskiej, bez żadnej osłony, z ufryzowaną głową. Minijatura ta, była wykonaną na polecenie księcia Poniatowskiego expodkomorzego koronnego i jego własnością. Antoni Magier w swoim rękopiśmie, takie o niej zapisał wspomnienie: „Wyborna ta aktorka, od cudzoziemców nawet uważana, przy pięknej swjej postaci ciała, celowała jeszcze na teatrze cudną grą swych oczów. Miała wielu czcicieli, między innemi, zamiłowany *Mikorski* udarował ją raz tak woniejącą wanną, gdy mieszkała w przechodniej uliczce przy teatrze, iż po wylaniu z niej wody, przez parę tygodni jeszcze przechodzącym, przyjemny roznosiła zapach!“

WOLSKI KONSTANTY.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku.*)

Urodzony 1762 roku w województwie Sandomierskiem, umarł 1810 r. w 47 roku życia, w Warszawie. W młodocianych latach wstąpił do zgromadzenia XX. Pijarów. Tu zjednał sobie wziętość jako gorliwy nauczyciel, umiejący obok nauki, kształcić umysł i uczucie. Głównie wykładał uczniom naukę języka polskiego i literatury ojczystej. Od roku 1794 trudniąc się prywatnym wychowaniem, zwiedził Saksoniją, Prussy i Austryją. W roku 1798 otworzył w Warszawie instytut edukacyjny-czyli pensyją dla młodzieży, w której znaczna liczba uczniów dowodziła, jak wielką miał ufność Wolski i opinią, w dobrém kierowaniu młodych latorośli. W czasach tak zwanych *pruskich*, korzystając z przychylnych okoliczności, porzucił stan duchowny; i pojął w małżeństwo Annę Bürger, nie porzucając wszakże trudnego, lecz tyle użytecznego dla kraju, zawodu nauczycielskiego. Po utworzeniu w roku 1804 liceum warszawskiego, Wolski wezwany został na profesora literatury polskiej. W roku 1808 najwyższa Izba edukacyjna powołała go na dyrektora redakcyi ksiąg elementarnych. Zajął się przeto gorliwie przejrzeniem wszystkich dzieł od lat 30 prawie po szkołach używanych, zwracając uwagę na ich użyteczność, lub potrzebę zastąpienia nowemi, zastosowanemi do czasu i stopnia oświaty. Ze zlecenia tejże Izby ułożył: „*Naukę początkowego czytania, pisania i rachowania*,” która po śmierci jego dopięro, uznana za elementarne dzieło, dla szkół przyjęta, i drukiem w r. 1811 ogłoszoną została. W roku 1809 obrany członkiem czynnym towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, na publiczném posiedzeniu odczytał Wolski „*Rozprawę o ważności ustanowienia i wprowadzenia po szkołach książek elementarnych*. Tłómaczył wierszem trajedyje z francuzkiego *Zairę* Woltera, i *Ifiginiją w Aulidzie* z Rassyna; przełożył na język polski *księgi I i II z Liwiusza*, ogłoszone w Pamiętniku Warszawskim F. Dmóchowskiego 1803 r. Przygotował szacowne zbiory do historii ojczystej; ale tych prac ostatnich nie wykończył, zajęty to powołaniem nauczycielskiem, to pracami w izbie edukacyjnej, a przytém często zapadając na zdrowiu; zmarł w samej sile wieku. Wolski słynął z wymowy, dawał jej niezaprzeczone dowody będąc jeszcze w stanie duchownym, należał bowiem do pierwszych ówczesnych kaznodziei; umiał on myśli piękne a wzniosłe, pełne moralności i chrześcijańskich uczuć, potęgować i wyciskać głęboko w pamięci słuchaczy swoich, darem cudnej wymowy, a oddanej pełnym życia, jasnym i dźwięcznym, językiem ojczystym.

GAGATKIEWICZ WALENTY.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku.*)

Urodził się w Warszawie dnia 10 Lutego 1750 roku, umarł dnia 9 Stycznia 1805 roku. Ojciec jego był chirurgiem w Warszawie, i odumarł w dzieciennym wieku. Opatrzność w ojczymie *Filipeckim* dała mu troskliwego opiekuna, który się wychowaniem młodego Gagatkiewicza gorliwie zajął. Po odbytych początkowych naukach w szkołach Jezuickich, przeszedł

do konwiktu XX. Pijarów; pilny i pracowity, wprędce się przysposobił do akademii. Przeznaczony na doktora, dla lepszego ukształcenia się i wydoskonalenia w głównych przedmiotach, do tego stanu koniecznych, oddany został do apteki Wasilewskiego na dwa lata, aby pod okiem i dozorem tego światłego aptekarza, nauczył się początków *chemii*, *botaniki* i aptekarstwa. Poślany wreszcie został do Paryża na naukę sztuki lekarskiej, do której od samego dzieciństwa wielką pokazywał ochotę. Tu przez lat sześć słuchając kursów sławnych profesorów, następnie praktykując w szpitalu *Hotel-Dieu*, wykształciwszy się na praktycznego lekarza, udał się do Reims, dla pozyskania stopnia doktora. Tam złożył examen, i napisał rozprawę *de fistula ani*, której z właściwą sobie zdolnością w sali akademickiej bronił. Wrócił do Paryża pożegnać licznych przyjaciół i przewodników swoich, i wyjechał do miast południowej Francji, dla przejrzenia tak lądowych jak morskich szpitali. Zwiedził Włochy i Niemcy, i w roku 1770, wszechstronnie ukształcony, wrócił do rodzinnego miasta Warszawy. W krótko nietylko w stolicy dawnej Rp. ale i w całym kraju, Gagatkiewicza imię, rozgłosu nabrało. W roku 1784 Stanisław August, mianował go poradniczym swoim lekarzem i konsylijarzem nadwornym, a we dwa lata później, ozdobił medalem *Merentibus*. W roku 1788 był nobilitowany od króla i zgromadzonych stanów przez wzgląd na wielkie jego zasługi. Na dwa lata przed swoją śmiercią, król Stanisław August przysłał mu pierścień ze swoim portretem, zapewniając go o najwyższej swój łasce i przychylności. Gagatkiewicz wyrobił utworzenie szkoły chirurgicznej w Warszawie, i z własnego majątku potrzebny na to fundusz wyznaczył: gorliwie pracując nad wydoskonaleniem młodych chirurgów. Okoliczności krajowe zniszczyły ten użyteczny instytut, co boleśnie uczuł twórca jego. Ułożył dzieło dla chirurgów polskich: rękopism w zupełności wykończony, pozostał w ręku rodziny. Miał zwyczaj zapisywać co dzień wszystko, cokolwiek szczególniejszego w biegu różnych leczonych chorób dostrzegał. W tych licznych dziennikach, pozostał skarb rzadkich a ważnych postrzeżeń dla sztuki lekarskiej. Dwa razy powtarzał małżeńskie śluby: w r. 1774 ożenił się z Elżbietą *Majnoni*: żył z nią lat 27: po jej zgonie we dwa lata 1803, poślubił w dowę z Grabskich Łuszczewską, i w dwa ją lat niespełna odumarł. Gdy w r. 1801 zawiązało się towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk, Gagatkiewicz był pierwszy z lekarzy, zawezwanym do tego uczonych zgromadzenia: tu przeciążony praktyką lekarską, nie mogąc piórem pracować, zachęcał i wszelkimi sposobnościami nie zaniedbał, aby obudzać zamiłowanie do rozkrzewiania i utrzymywania ojczystego języka. W wigiliję zgonu swojego, na 20 godzin przed śmiercią, znajdował się na posiedzeniu tego towarzystwa.

Gagatkiewicz był stworzony na dobrego mówcę: przyjemny organ, wymowa czysta i dźwięczna, obszerna nauka, szczęśliwa pamięć, a przytém humor i dowcip: oto były wrodzone mu po temu przymioty. Celował też znajomością wielu języków. Można go było słyszeć mówiącego naprzemian z francuzem, włochem, i niemcem, tak czysto i dokładnie, jakby te języki ojczystymi były dla niego. Oczytany w każdej literaturze, umiał zręcznie wyjątki najcelniejszych poetów tych narodów, przytaczać. Z łatwością i na prędko tworzył wiersze w polskim, łacińskim i francuzkim języku. To też za powrotem z zagranicy, wszystkie warszawskie salony ubiegały się za nim. Dygnitarze państwa, uczeni i artyści, utrzymywali z nim przyjacielskie związki.

Szlachetny i prawy w uczuciach, litościwy dla ubóstwa i nędzy, nie tylko udzielał chętnie bezpłatną pomoc, ale hojną wspierał ręką. Jako lekarz przez lat 30, ciągle się kształcił i szedł na przód z nauką: wiedział jaki postęp w niej zrobiono w którymkolwiek kraju Europy, co udoskonalono, i umiał szczęśliwie we własnej zastosować praktyce. Umarł w 53 roku życia.

Leopold de Lafontaine, sławny lekarz (zmarły na wyprawie Napoleona do Rossyi 1812 r.) przyjaciel i wielbiciel Gagatkiewicza, skreślił jego życiorys, i tak ostatnie chwile opisuje zmarłego.

„To także jest dowodem wielkiej jego lekarskiej biegłości, iż przewidział nagłą swoją słabość i śmierć, która wkrótce po niej nastąpiła. Umarł tak jak żył, wesoly i spokojny. Bliskie rozstanie się ze światem, wyobrażał sobie jako cel objaśnienia, zebranych przez siebie wiadomości. Śmierć poczytywał za wezwanie, do tej świątnicy, gdzie duch jego uwolniony od więzów ciała, najwyższy cel miał ujrzeć! Wyobrażenia jego religijne na zdrowej zasadzone filozofii, nie dopuszczały nigdy, aby niewolnicza bojaźń, spokojnością duszy jego zachwiała. Wiedział iż za zasloną przedzielającą wieczność od doczesności, dobroczynny Stwórca z otwartymi i na niego oczekiwał rękoma” (1). Dr. Lafontaine do życiorysu tego, z portretu Bacciarellego, dołączył w sztychu *Ligbera* wizerunek Gagatkiewicza: i tymi słowy, zamyka mowę ku czci zmarłego przyjaciela poświęconą. „Czemuż możność moja nieodpowiada moim chęciom. Wystawiłbym dla ciebie nagrobek, jaki świat mało i przyjaźń pokazać może! Lecz abym cokolwiek dla twój pamiętki uczynił, kazałem twój wizerunek dłutem sztycharskim uwiecznić. Nie mógł wprawdzie artysta wydać w tym obrazie, ani żywych powabów oryginału, ani harmonijnego wdzięku głosu twojego, ani uprzejmości, z jakąś postępował z chorem i przyjaciółmi, ani łagodności umysłu, ani tego ognia, który twe ożywiający wejrzenie, wzbudzał we wszystkich ufność i poszanowanie ku tobie; lecz wyobraźnia, ożywiać nam będzie ten wizerunek, ile razy o tobie zacny mężu, myśleć lub mówić przyjdzie.”

MODEST WATT KOSICKI.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku.*)

Urodził się we wsi Holdowcu w dawnym województwie Krakowskim 1794 r. z Magdaleny i Bogusława Kosickich stanu szlacheckiego. Usposobiony domowym wychowaniem, oddany został do klasy IV liceum krakowskiego, które zaszczytnie ukończył. Przeszedłszy do uniwersytetu Jagiellońskiego, odbył w nim kursa dla wydziału filozoficznego i *nauk pięknych* przepisane; i stopniem doktora filozofii dnia 27 Lipca 1814 r. zaszczycony został. Wszystkie kursa w wydziale prawa ukończył z celującym postępem i uzyskał z nich *absolutorium* odpowiadające stopniowi magistra obojga praw. Po odbyciu aplikacyi w sądownictwie tak cywilnym jako i kry-

(1) „Mowa na pochwałę s. p. wielmożnego jegomości pana Walentego Gagatkiewicza, konsyliarza nadworskiego p. Stanisława Augusta króla polskiego, doktora medycyny, tudzież członka towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Czytana na posiedzeniu publicznym tegoż towarzystwa d. 15 Maja 1805 r. przez Leopolda Lafontaine, Dra medycyny i chirurgii, aktualnego konsyliarza nadwornego i *chiryatry* s. p. króla polskiego, członka towarzystwa przyjaciół nauk etc. w Warszawie 1805 r. 4^o str. 16. Pod wizerunkiem Gagatkiewicza napis: „Leopold Lafontaine pamiętce przyjaciela.”

minalném, i złożeniu examenu, od 8 Listopada 1815 r. rozpoczął służbę sądową, aż do stopnia sekretarza jeneralnego w prokuratoryi królestwa polskiego; w r. 1822 przeszedł na urząd sekretarza referenta wychowania w Kommissyi Rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, i zarazem pełnił obowiązki referenta Wydziału Cenzury Rządowej. Pełnił przy tém bezpłatnie obowiązki członka dozoru szkół cyrkulowych elementarnych i rzemieślniczych. Od r. 1821, poświęcał wszystkie wolne chwile od obowiązków, pracom literatury chrześcijańskiej, wydając pisma do zaszczerpienia w krajowej młodzieży czystych zasad moralnych i religii. Książki te przez kommissyję rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego za pożyteczne uznane, poleconemi były do użycia szkołom. Wyliczemy je tu, jak porządkiem lat wychodziły.

1. O wychowaniu młodzieży płci żeńskiej, przez Fenelona arcybiskupa Kamerackiego. Dzieło po wielu wydaniach na nowo roku 1818 w Paryżu przedrukowane, na język polski przełożone, z portretem autora, w Warszawie i Suwałkach 1820 r.
2. Uczeń chrześcijański czyli wykład obowiązków młodzieńca, który nauki swoje uświętobliwić pragnie. Przez Colleta kapłana zgromadzenia Paryżkiego XX. Missyonarzy, doktora teologii, przetłómaczony dla użytku polskiej młodzieży. Warszawa 1825 r.
3. Zbiór pięknych myśli, wyjętych z dzieł Bossueta, Fenelona, Bourdaloue, Massillona i innych na polskie przełożony. Warszawa 1825. (Drugie wydanie wyszło w 1826 r.).
4. Historia świętej młodości Jezusa Chrystusa wyjęta z ewangelii, w sposobie rozmów ułożona, z maksymami i prawidłami życia, dla młodzieży płci obojędz z téjże historyi wyprowadzonemi, pomnożona wielu budującymi uwagami i ważnemi radami względem przepędzenia życia świętobliwie. Przekład wedle ostatniej w języku francuzkim edycyi. Warszawa 1826 r.
5. Mowy o wychowaniu, o niedowiarstwie młodzieży, o książkach bezbożnych, o zobopólnym związku i pomocy religii i społeczności; wyjęte z dzieła: Obrona chrześcijaństwa, napisanego w języku francuzkim przez księdza Frayssinous ministra wyznań religijnych, biskupa hermopolitańskiego, para Francyi, pierwszego jałmużnika królewskiego i t. d. Warszawa 1826 r.
6. Katechizm rzymski, z wyroku ś. Soboru Trydenckiego ułożony, z rozkazu Piusa V papieża wydany, i od Klemensa XIII szczególnie zalecony. Nowe wydanie w trzech tomikach. Warszawa 1827 r.
7. Obrona chrystyjanizmu, przekład z francuzkiego biskupa Frayssinous w 4ch tomach. Warszawa 1828 r.
8. Rady do zachowania po spowiedzi całego życia. Z oryginału niemieckiego X. Passy. Warszawa 1829 r.
9. Nauka chrześcijańska podzielona na czytania duchowne, w której wykładają się dowody religii, prawdy, do wiary i obyczajów należące. Sakramenta i modlitwa: dla użytku domów wychowania publicznego i rodzin chrześcijańskich, napisane w języku francuzkim przez X. L'Homond w 3ch tomikach. Warszawa 1829 r.
10. Nauki katolickie w sposób katechizmowy, w których wyłożone są w krótkości z pisma ś. podania, dzieje, zasady religii, moralność chrześcijańska, sakramenta, modły, obrzędy i zwyczaje kościoła. Z oryginału X. Pouget w 4ch tomach. Warszawa 1829 r.
11. Przewodnik młodzieży chrześcijańskiej, czyli nauka moralna na piśmie ś. i ojcach kościoła ugruntowana. Z oryginału francuzkiego X. Gobineta w 2 tomach. Warszawa 1829 r.
12. O duchu i cechach prawdziwej pobożności. Z francuzkiego X. Grou. Warszawa 1830 r.
13. Tryjmf ewangelii, albo pamiętniki człowieka światowego, po wyrzeczeniu się błędów filozofii tegoczesnej, napisanej po hiszpańsku

przez Oliwadesa w 4 tomach. Warszawa 1830 r. Do tych prac dodać należy rozprawę wydaną w 1815 r. p. n. „O głównej zasadzie i pożytkach filozofii moralnej,” w której będąc zwolennikiem Kanta, rozbiera zasady moralne tak dawnych jak i nowszych filozofów; oraz broszurkę po łacinie wydaną dla otrzymania stopnia doktora filozofii, p. n. „De studio philosophiæ moralis in Polonia.” Umarł w Warszawie na appopleksyję d. 1 Czerwca 1832 r. W rok po jego śmierci wydano drukowane in 4^o o czterech stronicach uwiadomienie: że kościół katolicki w Polsce, utracił nader rzadki w wieku naszym wzór pobożności i gorliwości chrześcijańskiej, w osobie zmarłego Kosickiego. Przyczem opieka trojga małoletnich dzieci jego donosząc o wkrótce wydać się mającym 4 tomie *Nauki katolickiej*, zachęca duchowieństwo i osoby świeckie, ażeby pozostałe po zmarłym dzieła, nabywać chcieli.

FRANCISZEK MŁOKOSIEWICZ.

„FRANCISZEK MŁOKOSIEWICZ DAWNY WOJSKOWY POLSKI, URODZIŁ SIĘ DNIA 5 MAJA 1769 R. UMARŁ W WARSZAWIE 23 MARCA 1845 R. USEŁGOM WŁASNEGO KRAJU, ŻYCIE SVOJE POŚWIĘCIŁ, ŻYŁ BEZ BOJAŹNI WYRZUTU. CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI! WIECZNE ODPOCZNIENIE.“

Młokosiewicz oprócz udziału jaki miał wraz ze swemi rodakami co służyli pod chorągwiami francuzkami we wszystkich walniejszych i krwawych bitwach, jest autorem wielce ciekawego ustępu z dziejów wyprawy hiszpańskiej, który ogłosił w Biblijotece Warszawskiej, p. n. „*Wspomnienie wojny hiszpańskiej 1810 r.*“ (1)

Jest to opis obrony zamku hiszpańskiego *Fuengirola* nad brzegami morza Śródziemnego, a w którym bronił się Młokosiewicz w 450 żołnierzy z 4 pułku piechoty księstwa Warszawskiego, przeciwko tak przeważnej sile anglików, iż ci liczyli 50 na jednego polaka. Dowodził anglikami generał-lord Blaynej, który z całym sztabem swoim wziętym został do niewoli. Ten później opisał wyprawę swoją: tę przetłómaczono na język francuzki w 2 tomach p. n. „*Relation d'un voyage forcé en Espagne et en France dans les années 1810 à 1814.*“ Ś. p. Młokosiewicz, (który będąc na ówczas jeszcze kapitanem), kierował sam osobiście tą sławną obroną zamku *Fuengirola*, przeczytawszy dzieło Lorda Blaynej znalazł jak sam wyraża: „tyle błędów i podaż z prawdą niezgodnych, tyle potwarzy uszczypliwych i obrażających nietylko mnie, ale w ogóle honor polaków, że znając najdokładniej główny wypadek i powód który autora do napisania tego paszkwilu rozjątrzył, osądziłem za powinność moją, w krótkiej odpowiedzi zwrócić pociski na niego samego, i uniewinnić się, jakoteż współrodaków moich, od zarzutów, jakie autorowi z żalu zapewne źle wykonanych wyższych rozkazów, z pod jadem zaprawnego pióra, obrażonej miłości własnej, wypłynęły.“ I z całą otwartością żołnierską, kreśli całą obronę tego zamku, bohaterską walkę i niesłychane w dziejach wojennych zwycięztwo. Odsyłamy naszych czytelników do pięknego opisu ś. p. Młokosiewicza, w nim znajdują zaprawdę, nie jeden rys wydatnie znamionujący zmarłego autora, jako zdolnego i dzielnego wojownika.

(1) Biblijoteka Warszawska. 1842. Tom IV.



Ryż. A. Matuszkiewicz.

Odbito w Lit. M. Fajansa, w Warszawie UL Długa 550.

Lit. M. Ryżans

GROBOWIEC FRAN: MŁOKOSIEWICZA.



ND. 626

JABŁOŃSKI.

GRENADJER.

(Pochowany w ziemi, bez napisu).

Życiorys niniejszy głównie zawdzięczamy ś. p. Antoniemu Białkowskiemu b. pułkownikowi wojsk Polskich, z którego opowieści, takowy mogliśmy ułożyć, z dodatkiem o ostatnich chwilach Jabłońskiego, bośmy go znali osobiście, i towarzyszyli jego pogrzebowi na cmentarz Powązkowski. Może zapyta nie jeden, dla czego poświęcamy wspomnienie takiej postaci jak prosty grenadjer? Nie odpowiemy, że tu śmierć zrównała wszystkie stauy; że próżność i duma u stopni grobu, tak trupieszęje, jak zwłoki, czy to w prostej z sosnowych desek trumnie, czy aksamitem obitej i w złoto przybraněj; ale zwrócimy uwagę, że w tym starym wojaku, odbija wyraziście charakterystyka owych dawnych doświadczonych wiarusów, którzy już do bardzo odległej przeszłości należą. Zaległy ich kości po różnych stronach świata bezimiennie, wraz z głośnymi wojownikami naszymi; zniknęli z ziemi naszej jak przelotne ptastwo, a jeżeli gdzie dogorywają ostatnie szczątki, to już znicdolężnieni, niepowtórzą ci dziejów swego życia, przy stępałej pamięci. W tych zgiętych pod ciężarem lat starcach, w tych żebraczych dziadach, najmniejszego już nie znajdziesz śladu owych starych żołnierzy z Włoch i Hiszpanii, coś ich poznawał z owęj wyprostowaněj, krzepkiej, wojowniczej postaci, z owymi swobodnemi a składnemi ruchami!— Mieli swój język właściwy, pełen dosadnych a malowniczych wyrazów: odznaczali się téż dowcipem i żartem w słowie, a wielką przytomnością umysłu.

Jabłoński służbę zaczął za czasów króla Stanisława, w wojsku polskiem. Po kampanii 1794 poszedł do Francji, gdzie pomieszczony został w legijonach. Gdy w roku 1806 szczątki tych legijonów połączyły się z nowotworzącem się wojskiem w Poznańskim; umieszczony w pułku 12 piechoty wojsk księstwa Warszawskiego, przeszedł znowu pod dowództwo jenerała Dąbrowskiego, pod którym służył we Włoszech, a stary wiarus zaszczycał się względami i laską tego wojownika. Jabłoński liczył w ówczas około lat 50 wieku: dobrego wzrostu, zbudowany prawdziwie na żołnierza, miał zarost tak gęsty i czarny, że w niczém nieustępywał barwie bermycy, która mu jeszcze więcej marsowej i groźnej dodawała postaci. W pułku tym, był umieszczony z tytułem *pierwszego* grenadjera, i w tym stopniu swój zawód wojskowy zakończył, z powodu nałogu do trunków zaciągniętego w trudach obozowych; przez co, ani nie mógł dosłużyć się stopnia oficera, ani krzyża wojskowego, chociaż powielekroć na te nagrody zasługiwał. Między towarzyszami miał wielki szacunek i powagę: uważano go za patryarchę pułku. Gdy dywizja jenerała Dąbrowskiego przeznaczoną została do oblężenia Gdańska, wyruszywszy ze swoich stanowisk w miesiącu Lutym, i ciągnąc ku temu miastu po lewém brzegu Wisły, zrównała się z położeniem po drugiej stronie twierdzy Grudziądza: Jabłoński popatrywszy na groźne mury, odzywa się do swych towarzyszy, że wartoby za atakować Grudziądz: (przez Wisłę, która lodem była pokryta). Że zaś głos jego więcej miał wówczas wpływu na żołnierzy, jak dowódców; przeto nieczekając rozkazu ani komendy, rozsypał się cały batalion

na Wisłę, pod przewodnictwem Jabłońskiego, kierując prosto ku wyniesionym wałom Grudziądza. Chociaż żołnierze nie mieli więcej jak tylko po trzy ładunki, niezrażeni tém, podstąpili pod pierwsze wały. Załoga rozpoczęła ogień z twierdzy kartaczami: a nasi, wystrzeliwszy ładunki, zaczęli się z wolna cofać. Jabłoński sam pozostaje pod wałami, a usiadłszy sobie na bryle lodu, zachowane dotąd ładunki wystrzela; i może byłby się tam dłużej bawił, gdyby nie wysłani *frejkury* z twierdzy, którzy mu zagrozili odcięciem od batalijonu. Kiedy dywizya posuwając się przez Chełm, Świec, Gniew, zapuściła się ku miastu Tczewu; otrzymała rozkaz cofnięcia jak najspieszniejszego do miasta Gniewu. „Okolo północy (przycaczamy tu słowa ś. p. A. Bialkowskiego) rozkwaterowaliśmy się, z poleceniem aby na uderzony alarm, jak najrychlej na plac się zbierać. Ja z moim kapitanem dostałem kwaterę w domu szynkowym u żyda, który umieścił nas w alkierzu. Nadedniem słyszymy jakiś halas w pierwszój izbie, i do tego szczęk stempla w broni. Kapitan mówi do mnie: „zobacz téż co to za halas;“ gdy odsłoniłem firankę u okienka we drzwiach, spostrzegłem Jabłońskiego stojącego przed żydówką i nabijającego broń; nie czekając więc dalej, wbiegłem do izby i zapytując go: „co ty robisz, czego chcesz?“ — Jabłoński nieprzerwywając nabijania (a z boku mrugając na mnie że to tylko dla postrachu żydówki), odpowiada: „Panie poruczniku! chcę wódki kupić, o to zlotówka leży; dla czego ta... ta... do kroć milionów sto tysięcy batalijonów! nie chcę mi sprzedać wódki?“ Ja widząc leżące pieniądze, krzyknąłem na żydówkę: „Kiedy ci płaci, czemu nie dajesz wódki!... wszak to jest szynkownia?“ Po roztrzygnięciu sporu, żydówka wzięwszy zlotówkę, nalala w przygotowaną butelkę trunku; poczem Jabłoński odszedł spokojnie: W przeciągu kwadransa wpada do nas taż sama żydówka z krzykiem: „Nu... gdzie ten żołnierz co to mnie chciał zabić?... bo to był anioł!...“ Nie mogliśmy zrozumieć czego żydówka chciała; ja do niej się odzywam, że ten żołnierz zapłacił ci, czegoż więc chcesz? Ona znowu powtarza: że to był anioł, ale nie żołnierz. Kapitan rzeczy nie pojmując razem ze mną, zapytuje ją po niemiecku. Dowiadujemy się więc, że gdy Jabłoński nabijał broń i nastroił srogę minę; przy swoim zaroście i bermycy, tak cały dom wystraszył, że ojciec pomienionój żydówki, co leżał trzy lata bez władzy w nogach, zerwał się z łóżka i uciekł na podwórze, skąd o swojej mocy później przyszedł do izby. Rodzina żydowska ujrawszy to cudowne zjawisko, przypisała ten szczęśliwy wypadek bytności Jabłońskiego i jego szczęściu które mu towarzyszyć miało. Upraszała przeto wszyscy jak najmocniej, aby tego anioła, mogli jeszcze raz w domu swoim oglądać. Nie trudno go było znaleźć: posłał kapitan po niego, ten, staje już pochmielony. Zlata się żydostwo nie tylko z domu, ale i z miasta, przepelnia izbę, a każdy pcha się aby mógł zobaczyć anioła w bermycy, i choć się dotknąć jego płaszcza. Grenadyjer zobaczył o co idzie, a utrzymując niby przed żydami że on jest tak szczęśliwy, że nawet ma do tego pewny talizman; że gdzie się obróci wszędzie niesie bliźnim pomoc i pociechę; po dowolnym nacieszeniu się żydostwa, został nagrodzonym sówicie, bo córka uzdrowionego starego, wyciągnęła z obwiniecia kilku gałganami numizmat złoty; i wraz z dużą ilością bielizny Jabłońskiemu ofiarowała. Wódki dali co by mógł się wykapać, nadto składka ogólna zebranych widzów, nie mało mu przyniosła. W końcu przybył i rabin zobaczyć anioła: a kiedy po długim mruczeniu jakimś, zbliżył się do grenadyjera i różne zaczął mu robić zapytania; ten, podpojonny

dobrze, zaczął opowiadać różne zdarzenia po Włoszech i Kalabryi, mieszając wyrazy źle wymawiane w włoskim języku, których się w obozach nauczył. Rabin co chwila do nas się obrażał, twierdząc że wszystko z *Bubli* prawdę mówi. Jabłoński korzystając z odwrócenia się do nas rabina, dusił się od śmiechu mrugając na nas.“

Dywizya Dąbrowskiego po oblężeniu Gdańska, udała się szybkim marszem przez Kwidzyn, Gutsztat, Lipsztat, Preisz-Elau, ku Fridlandowi. Cała okolica była zniszczona, płomień w gruzy zamienił wsie i miasta; wśród forsownego marszu, głód dokuczać zaczął; nie było do czego rozpalać ogniska. Stanęli żołnierze spocząć po całodziennym marszu w dniu skwarowym. Równy ze świtem wojska ruszyły z noclegu, pułk 12 zmęczony pochodem i głodem, leżał prawie bezwładny, gdy rozkaz przybył, aby stawać do marszu. Oficerowie powstali, zachęcając do drogi żołnierzy, a ci błagali prawie litości, prosząc o chwilę jeszcze spoczynku. Dowódca pułku nie wiedząc już sposobu poruszenia wiarusów, woła Jabłońskiego na bok, i mówi mu: „Widzisz że już korpusa się ruszają, a my jeszcze jesteśmy na miejscu, przemów ty do swoich kolegów, bo ja już nie mogę nic więcej powiedzieć, widząc ich tak osłabionych.“ Jabłoński zbiera siły, bierze na siebie tornister i broń w rękę, a stukając o ziemię kolbą, woła: „No! kamraci!... Cóż to do milion kroć sto tysięcy batalijonów; czy nie wstaniecie?“ A gdy widzi bezskutecznymi i swój przykład i wzywianie, dodaje: „No! kiedy tak... to ja chociaż stary jestem, bo mógłbym być ojcem waszym, to was będę po jednemu przenosił.“ Mówiąc te słowa, bierze za rękę dobosza, małego chłopca, na tornister sobie sadza, i udaje się drogą ku Fridlandowi. Z początku powstał śmiech ogólny, ale też w téjże chwili, wszyscy jakby mocą czarodziejską poruszeni, powstali i poszli za nim. Po bitwie Fridlandzkiej, dywizya poszła w Stare Prusy, i stanęła w miasteczku Goldab na spoczynek kilkunastodniowy. Tu gdy wypłacono oficerom i żołnierzom gratyfikacją przeznaczoną za oblężenie Gdańska; Jabłoński zasilony świeżym groszem, wesolo używał z towarzyszami pohulanki. Kiedy w niej przebrał miarkę, wraz z kilku innymi aresztowany i osadzony na odwachu został. Dnia następnego wypadła jakaś uroczystość: wojsko wystąpiło do parady na rynku, Jabłoński siedząc za kratą, czekał spokojnie aż się obchód skończył; a gdy jenerał Dąbrowski powracając do siebie, przechodził z całym sztabem około odwachu; zaczyna wołać donośnym głosem: „Jenerale, ty idziesz na obiad, a ja biedny tu muszę siedzieć!...“ Jenerał poznawszy Jabłońskiego, woła pułkownika i prosi aby go uwolnić z aresztu. Co gdy nastąpiło, idzie za jenerałem mówiąc: „Gdzie ja teraz na objad pójde, kiedy dzisiaj żadnej służby nie robił i nic mi się nie należy... Ale ja pójde do mego starego jenerała, to on mnie posili!“ I poszedł do kwatery jenerała, gdzie nie tylko go nakarmiono, ale dostał nadto kilka złotych. Trzymając je w rękę, wychodzi na rynek, podnosi do góry, wołając: „Chodźta kamraci! będziwa pili!“ Towarzysze jego wywzajemniali się staremu grenadyjerowi, tak, że bardzo często miał sposobność do podchmielenia sobie, bo żaden z wiarusów a tém bardziej rekrutów, na pohulankę nie poszedł, nie zaprosiwszy Jabłońskiego, bez którego częstunek choćby najchojniejszy, nie miał powabu i życia. Lubiony powszechnie, umiał z każdej okoliczności korzystać, aby wynaleść fundusz na częstunek, i swój i towarzyszków broni. Żadne postąpienie na wyższy stopień oficerski, dymissyja nawet, wreszcie nowy rok i inne święta, nie obyły się bez powinszowania Jabłońskiego, a tak zręcznie i dowcipnie umiał każdemu wy-

nurzyć swoje życzenia, że nigdy bez nagrody nie odchodził. Po skończonej kampanii, dywizja rozeszła się na garnizony w okolice Poznania; teraz bujniejsze jeszcze staremu grenadyjerowi otwierało się pole do korzystania z wielu okoliczności, bo każdy żołnierz w przykrém lub smutném zdarzeniu, żądał jego rady, nieraz wsparcia i pomocy, uważając go za ojca i nauczyciela, jako wytrawnego w boju i służbie wojskowej. Po apelu, zwykle jeden chwalił, drugi ganił swoją kwaterę, Jabłoński zaś ogólnie dawał rady swoim towarzyszom, dowodząc, że gdzie nie można przeskoczyć, tam podleść trzeba. „No, i cóż zrobisz z twojemi podłazinami na takiej kwaterze jak ja mam?” wyrzekł smutno jeden z żołnierzy. „Mój bracie! odpowiedział stary wąsacz, nie masz takiej kwatery na świecie, którąbym nie umiał poprawić. Trzeba wiedzieć tylko i umieć sobie poradzić, a nigdy ostro jak to mówią *hardu burdu*.” „Kiedy tak, to pójdź ty Jabłoński na moją kwaterę, zawołał inny, i popraw ją! Gospodarz jako tako, ale gospodyni to chyba z piekła rodem! nie ci nie da; rób co chcesz, nie poradzisz z nią nigdy.” Jabłoński mruknął pod nosem: „Kiedy tak, to jutro się pomieniamy: ty pójdiesz na moją, a ja na twoją kwaterę.” I nazajutrz przybywszy do nowéj kwatery, grzecznie najprzód powitał gospodynię; zaraz potem zdjął tornister, a kładąc go i ustawiając swe rzeczy w miejscu swego poprzednika, znajdował wszystko na co patrzył porządnie i czysto, jak w domu zacnéj gospodyni. Ta ujęta zaraz obejściem grenadyera, pierwsza się odezwała, że lubo postanie nie dawno odmienione i oprane, dodała: „Może Waćpan panie żołnierz, zapewne na postaniu po kim innym nie lubisz się położyć, to zaraz dzisiaj będzie świeże i wyprane wszystko.” Jabłoński ukłonił się po żołniersku, podziękował za pranie, lecz wolałby żeby pomyślała o śniadaniu. Ale z miny jéj wyczytał, że trudna w tém będzie z nią przeprawa. Pokiwał głową przemyślając zkąd i od kogo miał zacząć, aby wyjednać na posilenie duszy. Spojrzy na piec, aż tam kilkoro dzieci siedzi wystraszonych jego postawą i ogromnemi wąsami. Przez nich, myśli sobie, trafię do łaski matki. Zaczyna więc wabić dzieci do siebie, obiecując im śliczne historyje opowiadać. Chłopiec najstarszy zlaźł przecie z pieca; tego popieściwszy grenadyer, wziął go na kolana, i zaczął powiastkę. Nie długo i reszta dzieci wyszła z zapiecka i zwolna otoczyła go wieńcem, słuchając z zajęciem opowieści żołnierza. Poczekajcie dzieci! ja wam śliczną zabawkę zrobię. I z kawałka drzewa zaczął wyrzynać ptaszka ze skrzydłami. Nim wykończył swoją rzeźbę, posyła jedno z dzieci do matki, aby wstawiła w garnku wody. Chłopiec biegnie z uciechą i opowiada matce, że pan żołnierz choć takie ma wielkie wąsy i brodę, a taki dobry, że struże dla nich zabawkę. Gospodyni przystawiła garnek do ognia; a tymczasem gdy się zagotowała dobrze, ptak z drzewa już był gotowy. Wysyła więc dzieci jedno po drugiem do matki, to po pół garnca kaszy, to po słoninę, to po włoszczyznę, zaręczając rzuciwszy ptaka w garnek, który po wierzchu pływał, że z tego ptaka będzie wyborny rosół. Działwa ciekawa końca, wszystko wyprosiła u matki. Jabłoński miesza w garnku kaszę, kraje słoninę i z włoszczyzną rzuca w garnek, a tymczasem żeby się niedłużyło dzieciom, opowiada ciekawe bajeczki. Kiedy już widział, że się kasza dobrze zgotowała, kazał przynieść dwie miski: na jedną wylał z garnka kaszę suto omaszczoną; na drugą, biorąc za skrzydła ptaka i kładąc, mówi do zebranej działwy i gospodyni, co zwabiona ciekawością patrzyła na wszystko: „Mięso to dla was dzieci, a dla mnie będzie dosyć na krupniku.” Gospodyni ujęta do-

wcipem grenadyera, i tym, że tak prędko ośmielił dzieci do siebie, oświadczyła: że jeżeli nie pogardzi tém co Bóg dał, to razem z niemi i z dziećmi jadać będzie; co nasz wojak z miłém przyjął uczuciem. Wkrótce rozeszła się wieść w kompanii o tym wypadku; w parę dni przeto, jeden z grenadyerów mówi do Jabłońskiego: „No! dokazałeś sztuki z babą; ale cała się twoja mądrość rozbije, i nie poradzisz mojej kwaterze, bo z żydem nie dasz sobie rady.” Wąsacz tylko się zmarszczył; a uniesiony ambicyją: „Daję ci moją rękę, odrzekł, że i z twoim żydem przyjdę do ładu. Pomieniajmy się! jutro idę na twoją kwaterę.” I jak wyrzekł tak zrobił. Przyszedszy tu, w kącie postawił broń, zdjął tornister, i zaczął śledzić kogo musi zjednać sobie lub nastraszyć. Znaczący biegły, dostrzegł zaraz, że to sam żyd gospodarz. Idzie więc nazajutrz za miasteczko, wyszukał ogromnego koła dębowego, a w szlachtuzie dobrze go krwią umazawszy, czekał jak żyd będzie w izbie. Wtedy wchodzi z kołem, stawia go w kącie, i nasrożywszy się strasznie, ściskając pięście mówi do koła: „Jak ja powrócę, a nie będzie tu na stole przynajmniej kwaterki wódki, chleba z masłem albo z serem, a na obiad znowu, rosół, kawalka mięsa i jakiego dodatku, to ja ciebie znowu będę zmuszony tak bić, jak oto teraz z tobą zrobiłem, że krew pociekła; a może cię i w kawalki o czyjś leb potłukę.” I po tej przemowie wyszedł. Żyd biegnie do kapitana skarżąc się na Jabłońskiego, że tak do koła mówił. Kapitan odrzekł: „Kiedy tobie nic nie mówił, to co ci to szkodzi; niechaj on sobie kół bije!” „Tak, a jak zechce o mój leb bić kołem, to on mnie zabije?” Kapitan się uśmiechnął zmiarkowawszy jakiś figiel wiarusa; a żyd widząc iż ze skargą nic nie wskóra, przygotował zapowiedziane śniadanie, a następnie obiad, prosząc tylko, aby kół wyniósł, gdyż to jest nie po koszerne; co chętnie grenadyer wypełnił. Tak wszędzie i zawsze umiał sobie poradzić Jabłoński: gdziekolwiek niechętnych znalazł dla siebie, używał najprzód łagodnych sposobów, a gdy te nie pomogły, to zwykle, w ścianę chałupy jak zaczął bić i wbijać gwoździe, to aż się rozstępowała; albo przybierał sobie młodego żołnierza udając go za rekruta, i uczył go w izbie musztry. Zawsze ten rekrut nie mógł się w chacie pomieścić, bo za niski był półap; Jabłoński przeto razem z nim kopał dół w izbie, a gdy weń ucznia wsadził, pokazało się, że maszerować nie może: wtedy stary wąsacz zapowiadał, że od dołu pod chałupą rów będzie kopał do maszerowania, co słysząc wystraszony gospodarz, godził się z nim i jadła dawał do syta. Jeżeli powyższe sposoby nie skutkowały, udawał *tambor-metra*, biorąc do siebie jednego lub więcej doboszy niby na naukę; którzy jak zaczęli w dzień i nocy bębnić, zaraz ugrzecznili gospodarza. W ostatku rozpoczynał w izbie pranie: to jak zaczął wodę lać na podłogę, tryskać na wszystkie strony, zjednywał sobie gospodarstwo, i odtąd żył w świętej zgodzie. Nadszedł rok 1809: Jabłoński wszędzie był przykładem i wzorem dla młodych żołnierzy; a zawsze przed każdą wyprawą, uczył ich jak mają sobie w danym przypadku postąpić. Po wielu bitwach, postanowiono zdobyć szaniec pod *Górą* i most na Wiśle zniszczyć. Wysłany korpus pod dowództwem generała Sokolnickiego, ruszył w nocy by podejść nieprzyjaciela. Jabłoński w marszu uczył kolegów, jak się mają obchodzić przy braniu szturmem okopów. „Pamiętajcie, mówił, że gdy przyjdzie drapać się na bateryje, nie trzeba wlażyć prosto, bo cię bagnetem nieprzyjaciel łatwo strąci albo strzałem ugodzi; ale dostawszy się na parapet, położyć się wzdłuż, i tak się toczyć, abys już był pewny, że bezpieczniej mo-

żesz się podnieść i dopiero się z nim spotykać. Równo z brzaskiem dnia 3 maja 1809 r. oddział grenadyerów w którym Jabłoński czoło składał, tak się cicho podsunął i uderzył na szaniec przedmostowy, że nieprzyjaciel dopiero naszych grenadyjerów ujrzał wdzierających się już na baterię. Jabłoński idąc na czele, pierwszy się wdarł na parapet, a położywszy się wzdłuż, zaczął się toczyć. Za nim powstał na nogi, ugodzony kulą karabinową koło kości pacierzowej (w krzyż jak mówią), zaraz spadł w fosę. Leżąc w niej, żartował z rany, i zawołał do towarzyszy: „Ja się spodziewałem że dostanę *krzyż*, a ja widzicie *w krzyż* dostałem.” Zdobyto baterię: starego wążacza odniesiono z innymi do lazaretu, gdzie leczył się kilka miesięcy. Wrócił do pułku który stał w Krakowie; ale od tego postrzału uczuł się niezdolnym do trudów wojennych. Sam więc zażądał dymissyi; wydano mu ją z wszystkimi zaletami i z chlubą, na jakie sobie zasłużył. Przywdziawszy bekieszę, odwykł zaraz od nałogu pijaństwa, żyjąc z dala od towarzyszków broni, którzy go do pochulanek wciągali. Zrobił sobie zapas z odebranej płacy za czas w lazarecie przeleżany, i zaczął wyrabiać szczotki wszelkiego rodzaju. Z tego rzemiosła stary wiarus zbierał dobry dochód, bo nie tylko każdy żołnierz garnizonu krakowskiego, miał sobie za powinność nie używać innej szczotki, jak z rękodzielni Jabłońskiego, ale i mieszkańcy tego grodu chętnie takowe rozkupywali. Po kilku latach, Jabłoński rodem z Mazowsza z pod Warszawy, przybył między rokiem 1814 a 1816 do tego miasta. Poznałem go we dwa lata później. Już wasy i bokobrody posiwiał, czupryna gęsta i czarna, zachowała całą barwę świeżą bez jednego siwego włosa. Roznosił po domach szczotki, i znalazł równy jak w Krakowie na swój towar pokup. Mieszkał na *Dunaju*; na kołku po nad łóżkiem wisiała jego stara bermycy; dymissyę swoją chował w kuferku, obwiniętą w białą chustkę. W roku 1819, rana otrzymana pod *Górami*, na nowo mu się otworzyła: tracił z dniem każdym siły, wysechł jak szczapa; po kilku miesiącach choroby, przepowiedział sobie godzinę śmierci, a przyjąwszy pomoc kapłańską, przykładnie i spokojnie zasnął w Bogu.

Na jego pogrzebie było kilku oficerów i starych wiarusów, towarzyszków broni zmarłego; pochowano zwłoki jego w oddzielnym dole na starym cmentarzu, na kilkadziesiąt kroków od początkowych katakumb. Towarzysze ś. p. Jabłońskiego postawili nad jego mogiłą drewniany krzyż, który z czasem niszczał.

JÓZEF FRANCISZEK KRÓLIKOWSKI.

„JÓZEFOWI FRANCISZKOWI KRÓLIKOWSKIEMU AUTOROWI PROZODYI POLSKIEJ, UR. 1781 R.

UMARŁ W WARSZAWIE D. 17 KWIETNIA 1839.“

(*Spoczywa na nowym cmentarzu*)

Od roku 1793, kształcił się w szkołach normalnych w Sanoku (w Galicyi Austryackiej), następnie był w gimnazjum w Przemyślu. Słuchał nauk fakultetu akademickiego, techniczno-filozoficznego w Zamościu; naostatek uczył się na wydział prawa we Lwowie. Po złożeniu egzaminu, był sędzią politycznym w dobrach Wyspiańskich, w cyrkule Brzeżańskim do roku 1808.

Został zastępcą nauczyciela matematyki i filozofii w gimnazjum Zamojskiem d. 15 Września 1808 r. Po zajęciu Zamościa, wezwano Królikowskiego do tymczasowej pracy administracyjnej (25 maja 1809 r.). Do dnia 19 grudnia był rachmistrzem utworzonej przy sądzie centralnym izby obrachunkowej. Po rozwiązaniu rządu centralnego, jako sekretarz przy komissarzu królewskim, do słuchania przysięgi, objeżdżał kraj do 4 stycznia 1810 r. Pracował następnie w ministerium spraw wewnętrznych; a uchwałą Najwyższej rady tymczasowej (z d. 7 marca 1814 r.), mianowany był prezydentem miasta departamentowego Radomia, i ten obowiązek pełnił do d. 15 lutego 1816 r. (1) Mianowany sekretarzem w kommissyi trzech dworów; po ukończonej czynności otrzymał order ś. Stanisława trzeciego stopnia, i mianowanie na kontrollera pierwszego w biurze likwidacyjnym d. 31 Grudnia 1819 r. Na własne żądanie otrzymał chlubne uwolnienie 15 września 1820 r.; i rozpoczął zawód profesora literatury polskiej w Poznaniu, d. 8 sierpnia tegoż roku. Wezwany na inspektora instrukcyi w szkołach elementarnych w królestwie Polskiem, otrzy-

(1) Jak człowiek prawy i szlachetny, może być użytecznym na każdym stanowisku w społeczeństwie, posłuży za dowód sam J. F. Królikowski. Kiedy powołany został z posady burmistrza Radomia na wyższy urząd do stolicy kraju, napisał pożegnanie do obywateli Radomia. Oto odpowiedź Rady tego miasta: którą z autentyku w dosłownym odpisie załączam

„Rada miasta wojewódzkiego Radomia! Przyjmując z uczuciem pismo pożegnające W. J. Królikowskiego b. burmistrza miasta Radomia w Warszawie pod dniem 31 Maja r. b. datowane, które ogłosiwszy wszystkim mieszkańcom miasta, ma za najpierwszy obowiązek imieniem tychże mieszkańców, odezwać się do W. J. Królikowskiego jako męża, który z woli Najwyższej Rady byłego księstwa Warszawskiego objąwszy obowiązki naczelnego rządcy miasta, wypełniał rozkazy rządowe z wszelką akuratacją i roztropnością, jednając sobie zaufanie u Rządu, nie ubliżał w niczym podwładnym mieszkańcom, umiał godzić potrzebę z możliwością, rozrządzając wszelkimi przedmiotami tyczącemi się ciężarów publicznych. Celującą bezstronność i umiarkowanie do wszystkich w szczególności mieszkańców była stosowana, wymierzając sprawiedliwość, troskliwie czuwał nad tem, aby każdemu mieszkańcowi należyta pomoc i protekcyja była zapewniona. W względzie policyjnym, czuwał nad bezpieczeństwem publicznym, przestrzegał spokoju, wytypiając nadużycia i próżniactwo, zachęcał do pracy i przemysłu: zgola cały zajmował się tem, co Rząd, kraj, i miasto interessować może. W administrowaniu własnością miejską starannie zajmował się stosownym użyciem dochodów miejskich, mimo niezliczonych odrębnych wydatków, oczyścił z mokradli miasto, przez sprowadzenie w pewne koryta spływów wody, uprzętnął mozolne bagna, i usposobił w części tak rowy iż do dalszych zamiarów z małym kosztem uregulowane być mogą. Ubiegając się dla dobra miasta, wszystko co do pożytku i upiększenia należy, aby było dopiętem, usilnem jego było staraniem. Pod jego sterem dochody miejskie, ile okoliczności dozwoliły zwiększone, i budynki należycie opatrywane były. Obok licznych zatrudnień urzędowych, wolne chwile poświęcał dla cierpiącej ludzkości: zaprowadził za zezwoleniem Rządu towarzystwo dobroczynności, zbierając skwapliwie różne ofiary, szczególnie z reprezentacyi teatralnych przez uproszonych amatorów; sam pracował nad wszystkim, ofiarując do tego owoce swoich talentów i prac, podał sposobność do ocierania łez nędznym i nieszczęśliwym. Naostatek w czasie licznych przechodów wojsk, z urzędowania doznając rozmaitych nieprzyjemności, przestrzegał, aby żaden z mieszkańców, na nieprzyzwoite prześladowania, utratę sławy i majątku wystawionym nie był, aż nadto w tym punkcie jego osobiste poświęcenia są dowodem. Niespracowanie był zajęty dobrem ogółu miasta, i w szczególności każdego mieszkańca. Powołany przez Rząd krajowy, do wyższego przeznaczenia, opuścił miasto tutejsze dnia 1 Czerwca 1816 r. Uniósł z sobą żal i smutek wdzięcznych mieszkańców, zaufanemu urzędnikowi winnych: w imieniu których Rada miasta, czując rzetelny szacunek i wdzięczność te przynajmniej uczucia przesłać mu, miłym dla siebie widzi obowiązkiem: że talenta jego nigdy zapomniane nie będą łagodne postępowanie w sercach mieszkańców wygasnąć niepotrafią, a szanowne prace zawsze widocznymi zostaną. Niniejsze wyznaczenie i podziękowanie raczy W. Józef Królikowski, od Rady miasta wojewódzkiego Radomia przyjąć, z zapewnieniem winnej i niezłomnej na zawsze wdzięczności. Działo się na posiedzeniu Rady miasta wojewódzkiego Radomia dnia 6 Października 1816 r. (L. S.) podpisali: Hoppen prezes, J. Raciborski: Jan Pusztynika, Jan Burchar, Piotr Kociubski, Antoni Majewski, M. Kojanowski.

mał potwierdzenie na ten urząd d. 5 maja 1830 r., od Kommissyi Rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Zostawał w tych obowiązkach niemal do r. 1833. Był doktorem filozofii, członkiem b. towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk w Warszawie; naukowego Krakowskiego i Warszawskiego przyjaciół muzyki (1).

Z prac literackich zostawił: 1. *Prozodyja polska*, czyli o śpiewności i miarach języka polskiego, z przykładami w notach muzycznych. Poznań 1824 r. — 2. *Uwagi nad dziełem: „Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego*. Warszawa 1818 r. — 3. *Proste zasady stylu polskiego*, rozmaitemi postrzeżeniami względem języka praktycznie w przykładach okazane. Poznań 1826 r. (2). — 4. *Wzory estetyczne poezyi polskiej*, w pięknościach pierwszych mistrzów naszych, z przytoczeniem teoryi wystawione. Poznań 1826 r. (3). — 5. *Rys poetyki*, wedle przepisów teoryi, w szczegółach z najznakomitszych autorów czerpanej, ułożony. Poznań 1828 r. — 6. *Rozrywki literackie*, prozą i wierszem. Poznań 1824 r. 2 tomiki. — 7. *Biblioteka konwersacyjna*, czyli wykład wiadomości, rzeczy najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych w pożyciu towarzyskiem; 4 tomiki. Poznań 1830 r. (wychodziła ta biblioteczka i później, ale już nie Królikowskiego staraniem). — Z przekładów zostawił: Opery, których wiersz zastosował ściśle do muzyki: *Śpiewaczkę wiejską*, (grane na teatrze Warszawskim 1818 r.). *Gryzelda*, Paera 1818 r.

(1) Przegląd Naukowy T. I, z 1842 roku.

(2) Przywiode tu z autografów dwa listy księcia Sulkowskiego i Radziwiłła, które znalazły się w papierach, jako odpowiedź na przesłane im przez autora egzemplarze tego dzieła.

„Z Rydzyny dnia 17 Czerwca 1826. Za nadesłany piękny egzemplarz, zasad stylu polskiego, bardzo dziękuję Nim te dzieło pracy pana profesora z rąk jego odebrałem, już się byłem z nim obznajmił, ponieważ do prenumeratorów należę. Oddając autorowi należną pochwałę, znalazłszy je bardzo użytecznym dla młodzieży naszej, już jest zaprowadzone w Gimnazjum mojej opiece powierzonemu. Dziękuję także jako rodak panu profesorowi, że tym pięknym plodem, przyczyniłeś się do ukształcenia języka ojczystego, i chciej być zapewniony, że każda nowa praca w tym celu wszelkiego w mej mocy będącego zachęcenia zawsze dozna. Racz pan profesor przy tej okoliczności przyjąć również zapewnienie najszczerzego mego szacunku. — Antoni Xiążę Sulkowski.

„Poznań d. 18 Czerwca 1826 r. Odebrałem z wdzięcznością egzemplarz świeżo wyszłego z druku pisma W. W. Pana o zasadach stylu polskiego. Zajmując się tą pracą uczyniłeś nową ważną przysługę dla języka, i w dziele samém wystawiłeś najpiękniejszy onego wzór. Pozostaje jeszcze dla W. W. M. Pana samego ta chlubna zaleta, że mogąc prace swoje uczone poświęcić powabniejszym przedmiotom, dajesz pierwszeństwo tym, które z powołania jego wpływają, i dla młodzieży tej prowincyi, istotną są potrzebą. Przyjmijem przytém podziękowanie moje najszczerze za przypisanie mi tego dzieła, równie jak ponowione zapewnienie, wysokiego z mej strony szacunku. Antoni Xiążę Radziwiłł.“

(3) Dzieła tego exemplarz przesłał Królikowski J. Woroniczowi biskupowi Krakowskiemu na ówczas. Oto dosłownie przepisana odpowiedź uczonego biskupa:

„Kraków d. 8 listopada 1826 r. Pierwszych dni b. m. miałem przyjemność otrzymać list od W. W. Pana wraz z dołączonym jego dziełkiem, do którego napisania niektóre z moich pism miały W. W. panu dać powód. Wdzięčen mu jestem za ten literacki upominek. Przy tylu moich z trudnieniach i słabości, w jakiej zostaję od mojego powrotu z Warszawy, jeszcze całego dziełka nie odczytał: z tego atoli co mi od drugich było czytanem, wnoszę tak o talentach W. M. pana, czyniących mu zaletę, jako też o chęci stania się użytecznym dla uczącej się młodzieży. Z takich W. M. P. usposobień, mam prawo sądzić, że skoro wszystkie wzory, które W. M. P. do naśladowania przedstawiasz, tchnąc będą nie tylko duchem prawdziwej poezyi, ale też miłością enót obywatelskich, tén samém całé dziełko stanie się użytecznym, i przyniósłszy W. M. Panu zaszczyt, zachęci go do dalszych prac w literackim zawodzie. Zostaję z winnym szacunkiem W. Pana czcicielem i służą. Jan Woronicz biskup Krakowski.“

Czerwony kapelusik, 1820 r. W Pamiętnikach Warszawskich od r. 1815 do 1820, F. Bentkowskiego; i od 1822 do 1823 Brodzińskiego, Fryderyka hrabiego Skarbka i Skrodzkiego; umieścił kilka ważnych rozpraw co do wierszy miarowych, z uwagą na muzykę. Tłómaczył z Bronikowskiego, powieść: „Mysza wieża na jeziorze Gople.” Najwięcej jak widzimy pracował, oddany zawodowi nauczycielskiemu w Poznaniu; oprócz ważnych dzieł wyliczonych powyżej, w r. 1821 zaczął wydawać: „Mrówkę Poznańską,” pismo peryodyczne ⁽¹⁾. Z pism ś. p. Królikowskiego, najważniejszém jest: *Prozodyja polska*, praca, która uwieczniła imię autora. „Doświadczano już dawniej u nas (mówi we wstępie Królikowski) pisać wierszem miarowym. Szperano w miarach starożytnych greckich i rzymskich, ale nikt podobno nie chciał uznać téj prawdy, że miara wiersza, przez miarę taktu muzycznego wyjaśnioną być może; bo przyjmując za zasadę teorią iloczasu starożytnych, nie zastanowiono się dostatecznie nad tém, co było jego podstawą: nie różniono może, iż akcent języków dzisiejszych, będąc podstawą samego ich iloczasu, nie za akcentami greckimi od iloczasu osobnemi, ale za akcentem taktowym dzisiejszój muzyki, idzie. Słowem, poeci nie chcieli się zbliżyć do muzyki, biorąc to niejako za uchybienie sobie: cóż więc dziwnego, że szukając rytmiczności nie tam, gdzie jój szukać należało, znaleźć jój nie mogli? Cóż dziwnego, że z pomiędzy tylu tak znakomitych poetów naszych, żaden nie pisał rytmicznie? Może więc tego rodzaju uwagi, obudzą tę myśl i zachęcą do nowego; kto szukając rytmiczności sposobem tu podanym, okaże nam te wzory, których dotąd, nie przypuszczając ścisłego związku poezji z muzyką, wystawić nie zdołał. Prócz tego, nie o samych tylko miarach prozodyjnych wiersza mówić postanowiłem, są jeszcze inne własności wierszowi dla muzyki przeznaczonemu nieodbitcie potrzebne, o których poeta nieznający muzyki, wiedzieć nie może, dla tych przeto osobny jeden rozdział poświęcam: inne zaś uwagi moje, każdój poezji służyć będą ⁽²⁾.”

Proste zasady stylu polskiego, przypisał księciu Antoniemu Radziwiłłowi, namiestnikowi królewskiemu w wielkiem księstwie Poznańskim: „Kiedym (pisze w r. 1826) przed sześciu laty przybył do Poznania dla objęcia katedry języka i literatury polskiej w szkołach tutejszych; mia-

⁽¹⁾ „*Mrówka Poznańska, pismo ku użytecznej zabawie rozumu i serca*“ zaczęło wychodzić w styczniu 1821 r., nakładem Munka księgarza i typografa, bez wymienienia wyraźnego redakcyi, którój imiennie występować nie było wolno, z przyczyny zajmowanej przez redaktora profesury. Nowe to pismo, wychodziło na grubym papierze miesięcznemi poszytami in 8vo: celem zaś jęgo, jak to prospekt zapowiadał, było „przykładać się do kształcenia, a przynajmniej zapobiegać zepsuciu i idącemu za niem upadkowi ojczystego języka” Wydawca powoływał się przy rozpoczęciu swój pracy na piękny przykład królestwa, Litwy i Krakowa, obfitujące w czasopisma, czystym i pięknym językiem pisane. (Patrz *Gazetę Warszawską* z 1854 r. Nr. 138). W tym roku wyszło 12 numerów. Munk z góry zapowiedział, że wydawanie mu czasopisma będzie nie podobieństwem jeżeli go nie zechcą *wesprzeć łaskawie bogatsi panowie i szlachetni* dobrowolnemi datkami. W skutek tego oświadczenia, książkę Antoni Radziwiłł na 100 talarów podpisał się rocznego wsparcia dla *Mrówki*. Przyszli i inni w pomoc, tak, że na pierwszy rok koszta nakładu pokryte zostały. Ale wkrótce zapal współczucia ochłonął, i tylko jeden Radziwiłł przyrzeczenia dotrzymywał. W skutku téj obojętności, *Mrówka*, po wydaniu sześciu poszytów na rok 1822 przestała wychodzić. Jako dalszy ciąg *Mrówki*, zaczął ś. p. Królikowski wydawać: „pismo miesięczne Poznańskie,” które wszakże po wydaniu jednego poszytu, upadło.

⁽²⁾ „Przed trzydziestą i kilku laty (mówi to Królikowski w r. 1821) pisał ksiądz Nowaczyński o prozodyi języka polskiego; chciał on zaprowadzić hexametry naksztalt łacińskich, ale gwałcenie akcentu mowy, nie dozwoliło

łem to szczęście usłyszeć z ust W. K. Mości, takie do gorliwego pełnienia obowiązków zachęcenie: „Proszę pracować około dobra języka naszego, który w tutejszej prowincyi, czystość i prawość swoją utracić zaczyna.” — Królikowski szczerze pracował, z całym zapalem i poświęceniem. Mogę na to postawić dowód w pozostałym urywku własnoręcznym pamiętnika, a dotąd nikomu nieznanym z którego tu niektóre ustępy przywiode (1). „Gdyby szło o napisanie romansu (pisze ś. p. Królikowski), możeby siedmioletnie zdarzenia moje w Poznaniu, dostarczyły materyjałów, godnych pióra najpierwszych romansistów naszych. W zdarzeniach moich tyle znajduje się rzeczy dziwnych, do uwierzenia prawie niepodobnych, a przecie prawdziwych; tyle przeciwko osobie mojej, nadto może pozornych a przecie zmyślonych tylko zarzutów; słowem, taką przeszedłem szkołę ludzi i ich obyczajów, iż nie wielkiej potrzeba bujności poetyckiej, aby znaleźć dla romansu na tomy podzielonego, dosyć obfite źródło. Ale, gdy tu zamiarem jest moim, wystawić tylko treść prawdy najrzetelniejszej, i okazać cierpienia moje, przeto unikając wszelkich ozdób, z opuszczeniem znacznej części okoliczności, namienię tylko o najgłośniejszych; a odkładając na stronę tak miłość własną, równie jako i skromność, wszystko zgodnie z najrzetelniejszą prawdą na chlubę, jak na naganę własną, jakby o rzeczy jakiej obcej mówić będę.

„Roku 1803 mieszkając w Galicyi austryjackiej, po złożeniu popisu na stopień nauczyciela publicznego w Gimnazyum; otrzymałem na mocy cesarsko-austryackiego gubernijalnego rozporządzenia, wyrok zdolności; a w r. 1808 uczyłem już jako drugi professor w gimnazyum Zamojskiem. Polityczna zmiana kraju 1809 r. przerwała naturalnie bieg nauk na czas dłuższy, bo Zamość przez wojska polskie szturmem wzięty, nie mógł pozostać muz przytulkiem, i dopiero później, gimnazyum Zamojskie, tymczasowo jako szkoła wydziałowa w Szechrzeszynie zbierać się zaczęła. Co do mnie, doświadczywszy wszelkiej okropności wojennej przez utracenie wszyst-

mu cieszyć się wynalazkiem. W roku 1816 Fryderyk hr. Skarbek wydał tłumaczenie pieśni Anakreonta, wierszem miarowym. Oświadcza na wstępie, iż szedł jedynie za uchem swoim: lecz gdy ucho, tak akcent mowy, jako i czasowe długości głosek, czuć i rozumieć zdoła; nie można przeto śmiało powiedzieć, jaką istotnie w miarach swojego wiersza zachował zasadę. W ostatnich dziesięciu latach, zaczęto na scenie Warszawskiej używać śpiewek z rymem jednozłogkowym, częścią dla zabawy, częścią może z porady Karola Kurpińskiego dyrektora muzyki narodowej i kompozytora, który jak mi wiadomo, nie raz poetom dla sceny piszącym opowiadał, jak muzyka często potrzebuje wiersza z zakończeniem męzkim: lecz gdy robione tym sposobem wiersze, oprócz ostatniej zgłoski, nie były miarowe, żadnej przeto ani muzyce, ani wierszopistwu, nie przyniosły przysługi. Długi czas narzekano w Warszawie na to, że bardzo jest trudno podłożyć pod muzykę, text tłumaczonych z obcego języka oper. Uważano, że albo zgłoski w wierszu, albo nót w muzyce zabraknie, albo nakoniec coś takiego z językiem się staje, że mu w śpiewaniu rady dać nie można. Około roku 1811, jak mi to dokładnie wiadomo, p. Kudlicz artysta teatru narodowego w Warszawie, przeglądając partyturę opery Mozarta *Don Juan*. z textem włoskim i niemieckim, począł się zastanawiać nad tem, czyliby też w tłumaczeniu polskim, nie można tak dobierać wyrazów, ażeby równie jak w innych językach, wraz z muzyką płynęły i z nią się wraz zgadzały. Doświadczał sam tego i przełożył niektóre ustępy, które celowi swemu istotnie odpowiadały; nie wiem jednak dla czego dzieła nie dokończył, a tłumaczenie innych oper. szło dawnym sposobem, to jest zdaleka od muzyki. Dopiero tłumaczenie *oper włoskiej w podróży J. Virtuosi Ambulanti*; praca znakomitego naszego poety Jana Pomian Kruszyńskiego, w r. 1817 uskutecznił, i podłożenie przez samego tłumacza wyrazów pod muzykę, stanowi prawdziwą epokę w literaturze tłumaczonych oper. Usłyszana ta opera na scenie Warszawskiej, nie małe uczyniła wrażenie; zaczęto się z doświadczenia przekonywać, że język polski w śpiewaniu, może być bardzo słodki i dobitny. (Wstęp str. 1X).

(1) Rękopism ten ma napis: *Moja historia Poznańska* i obejmuje arkuszy ośm in folio; brakuje w nim widocznie końca i szczegółów opuszczenia przez ś. p. Królikowskiego *Poznania*, a przybycia do Warszawy.

kiego com miał w szturmie miasta, pozbawiony zatém wszelkich sposobów utrzymania się, zostałem wezwany do formującej się wówczas w Zamościu administracyi cyrkulowój, z tój do rządu centralnego Galicyjskiego w Lublinie; a po złączeniu się Galicyi z dawnym księstwem Warszawskim, do biura ministra spraw wewnętrznych, gdzie uważając pochlebniejsze dla siebie widoki; już do stanu nauczycielskiego wracać nie chciałem: i tak aż do końca r. 1820 w różnych wydziałach rządowych i w rozmaitych przedmiotach, ciągle pracowałem. Wszakże wolniejsze od zatrudnień chwile, poświęcałem zawsze literaturze narodowój, a kilka pisemek ulotnych, którym niejaki zalety przyznawano, stały się przyczyną terażniejszego stanu mojego. Rektor gimnazjum Poznańskiego, p. Kaulfus, czytając w *Pamiętniku Warszawskim* niektóre moje rozprawy, tyle w nich zasmakował, iż mię osądził być godnym stanąć na czele języka i literatury w prowincyi Poznańskiéj. Nie znał mnie wcale, lecz zasięgnąwszy z Warszawy wiadomości, iż dawniej byłem professorem, zlecił uczynić mi zapytanie: czylibym nie chciał przyjąć w Poznaniu, katedry języka i literatury polskiéj. To pochlebiło mojej próżności literackiej, pomyślałem sobie, iż jeżeli to nastąpi, zostając w moim żywiole (wyznać bowiem muszę, iż mię literatura nadewszystko zachwycała), najswobodniejsze życie prowadzić będę. Dałem odpowiedź wprowadzie niepewną, ale i nie odmawiającą, a tak z początkiem 1819 r., za życia jeszcze księdza *Antoszewicza*, rozpoczęła się pomiędzy mną a gimnazjum Poznańskim korespondencya dość przewlekła, bo z jednéj strony emerytura księdza Antoszewicza nie była jeszcze zatwierdzona, a z drugiejj strony życzone sobie koniecznie mieć mię tu professorem. Nareszcie po niejakiéj przerwie, zacząłem już zapominać o zamiarach Poznańskich, i nie miałem potrzeby starać się o tę posadę, ówczesne bowiem stosunki moje były tego rodzaju, iż mię nic do opuszczenia Warszawy naglić nie mogło. Aliści po śmierci księdza Antoszewicza, po jakimś czasie list ówczasowego radcy konsystorskiego Stefazyjusza pod d. 26 marca 1820 r. do rektora uniwersytetu Warszawskiego w tój mierze pisany, wznowił rzecz prawie zapomnianą, obudził mój zapal do literatury, a usilność z jaką pragniono mieć kogoś na jéj czele, oświadczone chęci pielęgnowania świętości językowej, nie mogło nie wzbudzić we mnie żądzy dostąpienia tego zaszczytu. Wyznać tu muszę, iż zbyt łatwo uludzić się dałem, zbyt mocno uwierzyłem w te przyjemności, które poświęcenie się literaturze ojczystéj, przynieść mi miało."

Przytoczyliśmy dosłownie cały ten ustęp z rękopismu ś. p. Królikowskiego, dalszy ciąg w krótkości tu podamy. Proszony i nagłony o przybycie do Poznania, wybrał się na dni kilka do tego miasta: odbył próbę egzaminu z uczniami w klassach, z powszechném zadowoleniem; a przyjęty z serdecznością, zaufawszy w dobréj wierze nadziejom jakie mu przedstawiano, że szkoła Poznańska podniesioną do stopnia akademii zostanie; że tym samym otrzyma w niej katedrę literatury polskiéj; że zarazem może stanąć na czele redakcyi pisma polskiego, na które całe Poznańskie chciwie oczekuje; że wreszcie otrzyma wyższą pensyę, a życie i utrzymanie w Poznaniu o pół raza tańsze jak w Warszawie, uwierzył, i podawszy się do dymissyi, z rodziną swoją przeniósł się do stolicy W. księstwa Poznańskiego. Smutno czytać w owym Pamiętniku, jak karta po karcie coraz więcéj rozczarowany, opisuje szczegóły swoich trosk i zgryzot codziennych, zacny literat. W początku na ręku prawie noszony, ogłoszony za uczonego i zdolnego

professora, jakim był rzeczywiście, wkrótce zaczął doznawać całej goryczy, z powodu podłej zazdrości, nikczemności współkolegów, którzy nie wahali się posuwać do najohydniejszych plotek i oszczerstwa; ś. p. Królikowski, kochany z zapalem od uczniów, każdą godzinę życia niemal miał zatruta; taniość utrzymania w Poznaniu była fałszywą: przyszła choroba ciężka żony i dzieci, i w pierwszym roku wydał o wiele razy więcej jak w Warszawie. Po siedmiu latach prawdziwej męczarni na katedrze w gimnazjum Poznańskim, skąd prócz zapracowanego dobrze imienia pełnego zasług literata i miłości swoich uczeni, nic nie wyniósł, jak tylko gorzkie wspomnienie trosk i bólów, które w urywku Pamiętnika swego zapisał, wrócił do Warszawy. Ale i tu, w tém mieście, w którym porzucił świetne dla siebie widoki, nie polepszył swój doli: zdaje się, jakby przyniósł z sobą z Poznania los zawistny, który go już do grobu nie odstępował. Był lat kilka inspektorem instrukcyi w szkołach elementarnych w królestwie Polskiem, ale fundusze nie wystarczały, liczna rodzina już go obarczała, w początkach roku 1833 utracił i tę posadę; został bez żadnego sposobu do życia. Zniechęcenie i rozpacz, złamały ten umysł dzielny i szlachetny! Z końcem r. 1833, głód i nędza sprowadziły rozdział z żoną i rozproszenie się po cudzych kątach całej rodziny. Nagle Królikowski ujrzał się sam, a przy jego boku został tylko jeden z młodych synów *Jan*, dziś tak zaszczytnie znany artysta dramatyczny i reżyser teatrów Warszawskich. Kiedy się ze snu zbudził, kiedy nie ujrzał już koło siebie ani żony, ani prócz jednego żadnego z dzieci, długo rzewnie płakał, ale słowa nie wyrzekł, i do końca życia, żadna skarga z ust jego nie wyszła. Wyniósł się z mieszkania zajmowanego dotąd, i w jednym z domów przy rynku Grzybowskim, na poddaszu, w nędznej izbie przedzielonej drewnianą przegrodą, zamieszkał. W pierwszej przegrodzie: drewniany stółek, na nim miska do umywania, sofa stara odarta, na której porozkładana była reszta książek pozostałych z wielkiej i kosztownej biblijoteki; w drugiej, pod oknem, stół długi, na nim pióra, papier, atrament, pełno papierów i rękopismów; dalej, pod ścianą łóżko, biednie załane i kuferek staroświecki, otóż całe bogactwo! — Potrzeba i głód zmusiły do sprzedaży i tój ostatniej pamiątki zamożnego księgozbioru. Wyczerpał wszystkie zasoby Królikowski, z dniem każdym coraz większa nędza w całym tego słowa znaczeniu, zajrzała do tego lichego schronienia. Kiedy się przebudził rano, a ujrzał syna zajętego czyszczeniem swoich sukien, jak przynosił wodę, płakał rzewliwie; łądy ten z nieśmiałością prosił go o parę groszy na chleb; z boleścią załamywał ręce, ścisnął chłopczynę i przyrzekał że wkrótce przyniesie, nie zawsze wszelako mógł słowa dotrzymać. Kiedy nie było czém opłacić mieszkania pod strychem, z litości dostał małą celkę w klasztorze księży Karmelitów na Lesznie, o jedném oknie na drugiem pięttrze. Często głodem przyciśniony, kiedy wstał rano, marzył o szczęśliwszej przyszłości, i przeproszał to jedyne dziecię swoje, co mu oddawało jeszcze usługi, za nędzę, której przy nim doznawało. Było to w r. 1835, tu myśląc o wydobyciu się z tój straszliwej niedoli, ogłosił prospekt na „*Młyn, pismo czasowe bez planu*,” mające co dni 15 zeszytami wychodzić, z początkiem 1836 r.; spodziewając się że zbierze potrzebną ilość prenumeratów. Zawiodła Królikowskiego ostatnia nadzieja: ogłoszony prospekt nie znalazł współczucia (1).

(1) Miał także Królikowski przygotowane dziełko, opisujące obyczaje i zwyczaje stolicy naszój, pod napisem: „*Dziwak filozof, herbu gaduła*,” zamierzał to później wydawać peryodycznie; ale już i prospektu na to nie



Karol Beyer dagerotypował

w Łatogrze Banku.

AUGUST WILKOŃSKI



MD. 626

W celi téj mieszkając, przypadkowo spotkał się z jednym z uczniów swoich, znanym autorem Ramot i Ramotek, a zmarłym także Augustem Wilkońskim (1).

Oto list jego, który dopełnia nasz życiorys :

„Myśl smutku i tęsknoty, powiodła mnie do ogrodu Krasińskich; mgła listopadowa przyspieszyła wieczór, chodniki były puste, gwar z przyległych ulic z każdą chwilą się zmniejszał, pośepna samotność, uczucia moje żywiéj jeszcze rzewniła; kiedy ciężkie westchnienie, west-

ogłosił. (Przegląd naukowy. Tom I rok 1842). Wszystko go bowiem zawiodło; a gdy rodzina się jego rozbiegła, pióro skruszało mu w rękę, i myśl troską zgnębiona, zwrócić się do dawnych prac naukowych nie mogła!

(1) W tém miejscu nie mogę opuścić sposobności, abym nie uczcił wspomnieniem ś. p. *Augusta Wilkońskiego*, którego prochy zdala od Warszawy, na wiejskim spoczęły cmentarzyku. Stosunki przyjaźni szczeréj i niezłomnéj do grobu, nakazują mi to, tém więcéj, że dotąd żadne pismo, oprócz krótkiéj o śmierci jego wiadomości, nie poświęciło godnego zasług wspomnienia.

August Wilkoński, urodził się w Wielkopolsce d. 28 sierpnia 1805 r. we wsi Kąkolewie, w pobliżu miasta Leszna. Nauki gimnazyjalne skończył w Poznaniu, uczęszczał na uniwersytet w Wrocławiu. Bawiąc w Poznaniu, ujawszy się za swego przyjaciela T. Koszutskiego, obrażonego przez oficera pruskiego, wyzwał go i ciężko ranił przeciwnika. Było to w 1828 r. Ta odwaga i zimna krew którą okazał w tym pojedynku, nie opuściła go i na polu bitwy, dał jéj niezaprzeczone dowody, i kilka ran otrzymał. Wytoczono mu za pomieniony pojedynek proces: skazanym został na 12 lat do twierdzy. Wtedy to przypadkowo poznał młodą Paulinę z Lauczów, która słysząc wiele o Wilkońskim, a znanego w Poznaniu nie tylko z odwagi i prawości, ale i z rzadkiego dowcipu i humoru; oddała mu rękę swoją i postanowiła dalsze z nim losy dzielić. Wilkoński otrzymawszy urlop z twierdzy i za zezwoleniem króla Pruskiego, wziął ślub, i z żoną wrócił do twierdzy. Gdy za usilnemi staraniami, ułaskawienie królewskie otrzymał, postanowił przesiedlić się do królestwa Polskiego, aby być bliżéj brata swego czeigodnego ś. p. Klemensa Wilkońskiego, z którym go najwyższa miłość braterska łączyła.

Wziąwszy w dzierżawę wieś *Garbatkę* a następnie *Tynicę* w Sandomierskiem, mieszkał tam lat 4, gdzie ogólną przychylność obywateli pozyskał: umiał zjednać sobie i chłopków, obejściem przyjacielskiem i ojcowskiem. Posłyszawszy o biédném położeniu swego ukochanego profesora J. F. Królikowskiego, umyślnie w tym zamiarze zjechał, aby go zabrać z sobą, by pod dachem gościnnym ucznia, sędziwy literat znalazł choć chwilowe swobodne odetchnienie. Królikowski w *Garbatce* bawił 3 kwartaly: odżywszy tutaj, zapomniawszy trosk swoich i cierpień, był najmiłszym towarzyszem Wilkońskich i najszczerzszym ich przyjacielem. Towarzyszył im w odwiedzinach sąsiadów, grywał na skrzypcach, opowiadał nader zajmująco; że czas w jego obecności niepostrzeżenie upływał. Kiedy kto we wsi zachorował, towarzyszył zacnéj gospodyni, która się troszczyła o los kmiotków powierzonych ich opiece. Królikowski zaczął wracać do prac literackich w tém kółku domowém. Ś. p. August czytywał mu swoje listy i rozprawki, w których tak żywo zawsze odbijał dowcip, wymuszający śmiech serdeczny; młoda małżonka czytywała ustępy z powieści *Helena*, najpierwszéj pracy swojej. Królikowski zachęcał ją, by na tle domowego życia osnowała dalsze utwory. Kiedy ją widział zajętą obowiązkami gospodyni, lub szyjącą czepeczek, siadał i z uśmiechem zapytywał, jaką bohaterkę lub bohatera ma na myśli?

Po czterech latach pobytu w Sandomierskiem, przeniósł się Wilkoński z żoną na stałe zamieszkanie do Warszawy; i od téj pory poświęcił się zawodowi literackiemu, w którym wprędce potrafił zdobyć sobie rozgłosne imię. Wystąpił po raz pierwszy w Biblijotece Warszawskiej 1841 r.; z przesliczną Ramotką: „*Wspomnienia szkolne*.” Mały ten utwór nacechowany humorem, dowcipem i rzewnością, zwrócił powszechną uwagę. Odtąd zaczęto się dopytywać o autora i oczekiwać niecierpliwie dalszych plonów jego pióra. posiedzenia Biblijoteki Warszawskiej, zawsze bywały liczniejsze, skoro wieść obiegła, że Wilkoński będzie czytał nową ramotkę. Zbiór ich z dodatkiem nie ogłoszonych w Biblijotece, wydał najprzód w 1845 r. w dwóch tomach, 2 dalsze w następnym roku. (Ramoty i Ramotki literackie, napisał Au. Wil. chirurg filozofii), Czworowiersz który wziął za godło:

„W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił;
Raz tylko jeden na mojem niebie,
Promyk radości jasno się lśnił!”

dosadnie maluje cel i myśl autora.

chnienie z piersi nieszczęśliwego, zwróciło moją uwagę na człowieka, który na przeciw mnie wolnym szedł krokiem. Stary płaszcz z samodziału ⁽¹⁾, długo zarosła broda, nęcza po całej postaci rozlana; zbyt słabą stanowiły zagrodę dla pamięci wdzięcznego ucznia, bo jedno spojrzenie starczyło, żem poznał mojego nauczyciela, z którego ust przed kilkunastu laty, wzory i bogactwa rodzinnej mowy, do mojej płynęły duszy; którego czcić, którego kochać, stało się dla mnie nietylko świętym obowiązkiem, ale i najmiłszym nałogiem.

„W uścisku Królikowskiego, w uścisku profesora katedry polskiej nad Wartą, znalazłem najdroższą mojej młodości pamiątkę: ból, radość, lzy żalu i rokosz, tłumnie do serca wchodziły, a i on płakał w mojem objęciu, i jego głowa osiwiła owisła na mojej piersi; święciliśmy miłość nauczyciela i miłość ucznia.

Bo zaprawdę. wszak życie nie jest wieńcem kwiecistym bez cierni, ani ową ucztą radośną, na której dusza i ciało dostatnio i należnie poczczone, cznje tylko samą rokosz, a na wesole oblicze gości, uśmiech serdeczny wywabia. Obok czary słodkiego napoju, stoi kielich goryczy, z tém przeznaczeniem, że go cały do kropli wysączyć musisz, gdy ci zaledwie z czary dozwolono usta odwilżyć. I nasz humorysta, gdy pod piórem jego tryskał dowcip, co w świat rzucony, śmieszył, radował i bawił; nie raz lżą go rzewną polą i bolesném westchnieniem, na drogę zażegnał. Żyjąc w Warszawie, oddany wyłącznie pracy literackiej, w ciężkiem był nie raz położeniu; zapoznał się z nieznanym dawniej niedostatkiem, i musiał się lmacć z przeciwnym sobie losem. To stawało go nie raz w przykrych względem ludzi stosunkach (a). Niedolę swoją znosił mężném sercem. Na chwilę nie opuścił go ani dowcip, ani humor. Ale uderzyła i na niego godzina ciężkiej boleści i żaloby. Po kilkoniowej chorobie stracił brata Klemensa, którego najżywszą miłością kochał. Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy po tym strasznym ciosie, ujrzał raz pierwszy ś p. Augusta. Oblicze zawsze wesole i uśmiechnięte, osepiało; drżały mu policzki, a lzy rzewne spływały po nich. Rzucił się w moje objęcia, a lkając jak dziecię, ani słowa przemówić nie mógł, ani płaczu utulić. Wkrótce miał opuścić Warszawę: śmierć brata i rozdział z przyjaciółmi, i tém miastem gdzie tyle lat zamieszkał, gdzie zdobył sobie imię i gdzie pragnął pozostać; zlamaly go do reszty. Rozrzewniony, ze łzami żegnał tych, których kochał, a opuszczał może na zawsze! W roku 1851, wyjechał wraz z żoną swoją do Karlsbadu; tu w ciągu sześciotygodniowego pobytu, znalazłszy kilkunastu szkolnych przyjaciół, odetchnął swobodnie, otrząsł się z ciężkiego smutku, i w ich gronie serdecznie się ucieszył. Wrócił do wsi Siekierok pod Swarzędzem w wielkiem księstwie Poznańskiem, gdzie stale mieszkał zdrów i weselszy. Ale tu go nowe boleśniej-sze ciosy dotknąć miały. Nikczemna i podła potwarz rzucala skrycie pociski plamjące prawosć jego charakteru i uczucie honoru. To byla większa boleść i gorycz dla niego, nad śmierć ukochanego brata, i opuszczenie ulubionego siedliska. Nie mogąc dojść sprawy tej potwarzy, nie mogąc zmyć choćby krwią własną rzuconej obelgi, bo podłość z zasadzki tajnej tylko uderza; powróciwszy z Poznania, zasłabł i legł na łożu, z którego nie miał już więcej powstać. Nerwowa gorączka postępowała gwałtownie: przyszła maligna; w jej przystępach marzył ciągle o inném życiu; improwizował ogniste mowy, jakby w pośród licznego a poważnego zgromadzonych kół; po dniach kilku, w których rzadko wracała mu zupełna przytomność umysłu, umarł dnia 4 lutego, w rocznicę śmierci swego brata, i na też samą chorobę. Pochowany we wsi Siekierkach, w grobie rodziny swej żony, kró-ra równocześnie ciężką złożona słabością, nie mogła być świadkiem chwil ostatnich ukochanego męża.

Z pism zostawił oprócz *Ramot i Ramotek* w 4 tomach, pismo zbiorowe p. n. *Dzwon Literacki* w 6 tomach. Należał do współredakcyi w początkach *Dziennika Warszawskiego*, i w nim umieścił kilka *Pokrzyw literackich*, które już nie dosięgaly wartości pierwszych ramotek. Nie piszem tu Studya literackiego nad utworami zmarłego autora; w inném miejscu na to znajdziem sposobność: dodamy tylko że ś p August Wilkoński, jako humorysta rzetelnie polski, narodowy, nie miał i zapewne mieć nie będzie sobie równego pisarza w naszej literaturze, coby obok prawdziwego dowcipu, połączył celo szlachetne, i tyle myśli prawych, zacnych a pięknych!

(1) Gatunek prostego sukna.

(a) W liście który pisał do mnie z Siekierok dnia 23 Sierpnia 1851 roku, wyraża w końcu: „Wszystkich naszych łaskawych przyjaciół i życzliwych najwdzięcznijszém sercem pozdrawiam; a dla tych którzy mnie niegrzecznie wspominają, ślę przebaczenie mojemu sercu właściwe, wychodząc z owej chrześcijańskiej zasady: „Przebacz im Panie, bo Augusta nie poznali, i osądzili z pozorów, z ciasnych okoliczności, a nie z serca, które przedewszystkiem zawsze pragnęło i pragnie szczęścia bliźnich.“

„Do świąt Bożego Narodzenia nie ruszyliśmy się z domu; natomiast pogłos, że mąż zasłużony w literaturze naszój, Garbatkę (¹) swoją obecnością zaszczyca; wabił moich sandomierskich sąsiadów. Na święty Szczepan wyroniliśmy się sanna drogą do Policznej. Zastaliśmy zjazd wielki. Czcigodny i nader szacowny gospodarz, marszałek Bogucki, przyjął nas w progu usty i sercem; w pokojach mile przywitała niezrównanej uprzejmości i słodyczy wielce sędziwa i najgodniejsza marszałkowa. O piątój z południa, zapalono na dziedzińcu kilka beczek smoły, i na sali, staroświeckie metalowe lustra, jarzącemi zajaśniały świecami; hajducy roztworzyli podwoje na rościesz, jakoby na komendę wołając: „Waza na stole!” Pani domu, z niewymowną dla mnie pociechą, pomijając ubiegających się o ten zaszczyt *pysznych* panów, Królikowskiemu rękę podała, i za niemi dopiero sunął się szereg długi. U stołu autorowi przodoyi polskiej, *pierwsze* przeznaczono miejsce; po toaście dla dam, za jego zdrowie pierwszy spełniono kielich. Srebrny dźwięk mowy Królikowskiego, któren wdzięcznie po pieszczonych zwykł był igrać ustach, przy końcu biesiady zmienił się w głos czystego śpiznu, brzmiał śmiało; cudnej wydatności czoło, pokryła szlachetna swoboda; w boskim błękiecie oka żywy błyszczał promień; zdawał się zapominać o troskach, był wesół, a przecież dwie lzy stoczyły się po licach. W tych dwóch lżach, dwie były myśli: jedna dla jego nieobecnój rodziny, druga na uczczenie ludzkości i ziomków. O dwunastój z północy, uproszono Królikowskiego, iż grał na skrzypcach waryjacye Mozarta; równo ze świtem żegnano nas śpiewką i stopniowym kielichem.

„Takiego poszanowania doznawał Królikowski wszędzie, dokąd my tylko zawitali. Począwszy od maja, zwiedzanie Czarnolasu, Gródka i Zwolenia, gdzie są pamiątki i groby Kochanowskich; wycieczki w czarowne okolice Kazimierza, gdzieśmy po tygodniu w chatkach wieśniaczych i na szczytach gór i zwalisk bawili; po trzykroć odbyta podróż Wisłą do Józefowa, do ruin wielkiego grodu Firlejów (pod Janowem), do Puław, do Gołębia, do Stężycy i do Sieciechowa, czytanie książek i żywe w przedmiotach naukowych rozprawy, muzyka, i nierzadko podzielenie moich trudów rolniczych; te były głównie Królikowskiego ostatnie rozrywki i zatrudnienia; gdyż pisać przychodziło mu już z wielkiem sił osłabieniem. Pragnąc żonę i dzieci zobaczyć, które całą miłością cnotliwego i czulego serca ogarniał; pragnąc osobiście poprzec prośby już dawniej poczynione, wyjechał z domu mojego na dni 14 tylko, wesół i zdrów najzupełniej. Kiedyśmy na wsi rozumieli, że w Warszawie tą razą pomyślny wiedzie żywot; on tając przed nami z fałszywego wstydu, najsmutniejsze położenie, upadł fizycznie pod ciężarem najokropniejszej nędzy; skonał nie na rękę przyjaciół; ostatnie tchnienie przyjęła siostra miłosierdzia, oczy zawarła dłoń obca, — umarł w szpitalu!”

W czasie tój przejażdżki, poznaliśmy ś. p. Królikowskiego w domu czcigodnego obywatela, zmarłego już ś. p. Klemensa Wilkońskiego, a brata rodzonego autora Ramot i Ramotek. Zaledwie zajechaliśmy przed gościnnny ganek dworu w Górznie, na którym nas staropolskiego uczucia zacny oczekiwał gospodarz; ujrzeliliśmy obok niego nieznaną nam postać; był to ś. p. Królikowski, którego przedstawić jako ukochanego swego profesora, miał za najpierwszą powinność

(¹) Garbatka wieś w powiecie Kozienskim; graniczy z Czarnolasem.

szlachetny uczeń; bo to była też wielka, a prawdziwa radość jego! Widziałem na obliczu ś. p. Królikowskiego już znękanem cierpieniami, niedostatkiem i nędzą, jak dawno niewidziany serdecznej radości uśmiech, nie raz się zabląkał: grał nam na skrzypcach, a w grze jego nie tylko przebijała biegłość władania instrumentem, ale i uczucie prawdziwego artysty. Mówił wiele o literaturze ojczystej, a każde zdanie jego było nacechowane nie tylko głębszém badaniem, wyższym poglądem i znajomością przedmiotu; ale i pełnym a dźwięcznym wysłowieniem. Jakże się cieszył nowym, a tak bogatym rozwojem; z jakimże zapałem wspominał imiona wieszczów naszych i mężów, znanych z prac ważnych na polu dziejowym i literatury.

To były ostatnie chwile, w których oddychał swobodnie w towarzystwie wdzięcznych uczni, i tych co zachowali dlań cześć i szacunek, prawdziwej nauce, zasłudze i nieszczęściu przynależne. Z pod tego gościnnego dachu wróciwszy do Warszawy, skończył dni swoje, mając 58 lat wieku, zapisawszy imię swoje niestartemi zgłoskami w dziejach literatury polskiej.

KAROLINA Z DEMBIŃSKICH LEBRUN.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobku).

Córka Ignacego Rawicz Dembińskiego i Katarzyny z Gostkowskich, urodziła się w Wiedniu. Była to po jedynym synu wnuka owęj starościny Wolbromskiej (z hrabiów Morsztynów Dembińskiej), której postać przejawia się często we wspomnieniach ostatnich czasów. Ksiądz Stanisław Chołoniewski jój pamięci poświęcił pismo swoje: *Dwa wieczory u starościny Wolbromskiej*. Tu odmalował wiernie jój obywatelskie i towarzyskie cnoty, uprzejmość, gościnność, szczególnie też opiekę i pomoc, jakich doznawali uczeni, których była wielbicielką. Ojciec Karoliny spoczywa w katakumbach Powązkowskich z napisem:

Tu spoczywają zwłoki Ignacego Rawicz Dembińskiego, starościca Wolbromskiego, zmarłego w dniu 8 Lipca 1829 r., w wieku życia 63 (1).

Życiorys ś. p. Karoliny, wyjmujemy dosłownie z wielce ciekawych i zajmujących, a łaskawie nam udzielonych, pamiętników p. Sabiny z Gostkowskich Grzegorzewskiej, znanęj z niepospolitego talentu autorki.

„Karolina w wieku lat 8 miała guwernantkę angielską Mistress Convey, która się do nięj zwykłym sposobem córek Albijonu nadzwyczaj przywiązała. Po kilkoletnim pobycie, M. Convey odbiera list z Anglii donoszący o sukcesyi, która na nią spadła w Angielskich Antyllach. Sama myśl rozdziału z ukochaną uczennicą, nieznośną jój była; uprosiła więc matkę, aby jój dziecko swe powierzyła; i Karolina pojechała niebawem do Londynu ze swoją ochmistrzynią. Działo się to na miesiący dziesięć przed zerwaniem traktatu w *Amiens*, między pierwszym konsulem rzeszypospolitej francuzkiej, a królem Wielkiej Brytanii. Mistress Convey nadspodziewanie zatrzymana w Anglii dość zawikłanym spadkiem, nie mogła korzystać z ułatwionej komunikacyi

(1) Odznaczał się niepoślednim talentem do muzyki: był autorem kilku w swoim czasie cenionych kompozycji. Dzisiejszy kompozytor Józef Wielhorski, jest rodzonym siostrzeńcem tegoż J. Dembińskiego.

przez chwilową zgodę dwóch sobie nieprzyjaznych narodów; doczekała się też w Londynie zerwania pokoju w *Amiens*, i zamknięcia przez Napoleona Anglikom, portów stałego ładu. Pozostała więc w Anglii mała Karolina, już się z nią rozłączyć nie mogła; i tam też od swęj opiekunki najstaranniejsze odebrawszy wychowanie, oczekiwała przychylniejszych zmian politycznych, aby wrócić do ojczyzny i rodziców swoich. Nadeszły one prędej niż się spodziewać można było. Po nieszczęśliwych wyprawach 1812 i 1813 r., Napoleon cofając się ku Renowi, przybył wreszcie do Paryża. Księstwo Warszawskie i całe prawie Niemcy, zajęte były przez wojska koalicji. Król Saski a książę Warszawski, postanowił dzielić koleje swojego przyjaciela i sprzymierzeńca; i do Paryża na początku roku 1814 zjechał wraz z ministrami obu podwładnych sobie krajów. W liczbie tych, znajdował się także generał W. minister wojny, wraz z żoną, która będąc ciotką Karoliny Dembińskiej, wyjednała dla niej paszport na wolny przejazd z Anglii do Paryża, skąd przywiozła ją niebawem do Krakowa w 18 roku życia, rozkwitającą wdziękami i młodością, pełną urody i powabów, ale nie umiejącą słowa po polsku, obcą rodzicom, rodzinie, narodowi swemu, i jego zwyczajom. Zamieszkała u babki swęj starościny Wolbromskiej, gdzie miała osobny swój pokój. Prześlicznie śpiewała; kilka razy w Krakowie brała udział w koncertach na ubogich; w czasie gdzie talenta były większą u nas rzadkością, wielką jęj w świecie więtość zjednało, zwłaszcza przy jęj zagraniczném, tyle zawsze w Polsce cenioném wychowaniu. Łatwo można sobie wystawić, że przy urodzie i znacznym posagu, nie brakło na pretendencjach do jęj ręki; ale Karolina wszystkie starania i zabiegi odrzuciła. Opuściwszy późnij wraz z jedną z siostr swoich dom babki, zamieszkała w Warszawie przy ojcu, gdzie w lat kilka idąc za pociągiem serca, oddała rękę panu Lebrun oficerowi wojsk polskich. Osiadła z mężem w dobrach, które po babce odziedziczyła; ale wkrótce owdowiała z małoletnim synem. Przeniosła się napowrót na stałe mieszkanie do Warszawy. Tu mając stałą lożę w teatrze francuzkim (1), trzy razy na tydzień dawała się widziéć. Karolina była zawsze jedną z tych okazałych piękności, na które trudno uwagi swęj nie zwrócić. Młody oficer gwardyi konno-polców, de Vernon, ze znakomitęj rodziny francuzkiej, w służbie rosyjskiej, po kilkokrotném widzeniu ją w teatrze, z całym zapalem młodości w nięj się zakochał, i niebawem téż szukał przez wspólnych znajomych bliższego się zaznajomienia, na co młoda wdowa nie zezwoliła, odpowiadając: że prowadząc życie bardzo samotne i nieprzyjmując nikogo, dla niego samego wyjątku robić nie może. Znudzona wreszcie naleganiem przyjaciół pana de Vernon, kazała mu powiedzieć, że raz przyjmie jego wizytę, ale pod warunkiem, iż przez rok cały, nie będzie się potém starał widziéć ją inaczej, jak tylko w teatrze, i że da słowo honoru, że ani się do nięj zbliży, ani przemówi. Tak twardy warunek, kochający szczerze młodzieniec przyjął. Zaabonował krzesło wprost jęj loży, szczęśliwy, że choć zdala mógł się napawać jęj widokiem w teatrze. Pani Karolina nigdy na niego nie zważała, i nawet ukradkiem w jego stronę nie spojrzeła. Związany słowem honoru, nigdy się do nięj nie zbliżył; tajemnie tylko uwiadomiony od jęj ludzi, kiedy zwykła wyjeżdżać na spacer lub do kościoła; stawał w bramie niepostrzeżony lub otulony płaszczem, cze-

(1) Teatr ten mieścił się w pałacu tak zwanym *Saskim*, dziś zburzonym, na którego miejscu nowe gmachy stanęły.

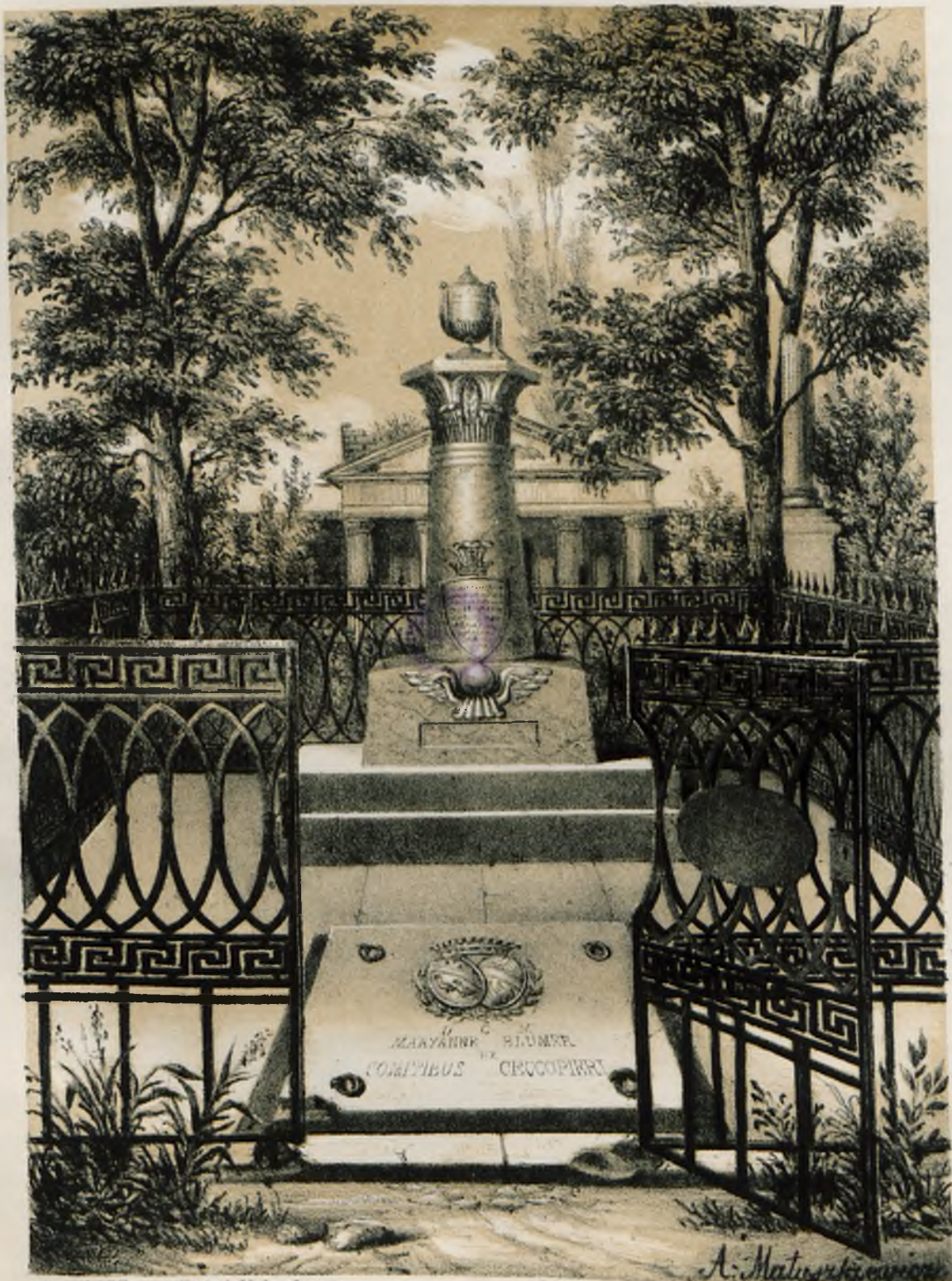
kał na nią w kościele Kapucynów w jednej z kaplic, za kratą stojąc o kilka kroków od jęj ławki. Tak widywał ją w łoży w całym uroku pełnego gustu i świeżości stroju, przy doskonałym oświetleniu; lub w kościele zawoalowaną w koronki, które podnosiły nadzwyczajną jęj białość i świeżość, lub wreszcie słuchając wieczorem pod jęj oknem, rzewnych akordów jęj uroczego śpiewu. Miłość jego doszła do najwyższego swojego kresu, i im więcej zbliżała się chwila jego oswobodzenia, tęp srożej czuł tęsknotę, tęp trudniej mu przychodziło dotrzymać uroczystę danego słowa. W końcu, zdrowiem przypłacił srogie męczarnie: niebezpieczna gorączka, z której się wywiązała nerwowa febra, trzymały go dwa miesiące na łożu cierpienia. Jak tylko odzyskał siły, przywłócił się do swego krzesła, wynędzniały i blady. Pani Karolina zawsze wierna swęj łoży, nie chybiając żadnego przedstawienia; owego wieczora pierwszy raz na niego ukradkiem spojrzała; ale czy to przez obojętność, czy wielką moc nad sobą, najmniejszego na twarzy nie okazała wzruszenia. Nareszcie nadszedł ów tyle oczekiwany dzień, w którym wolno było panu de Vernon stanąć przed jęj obliczem, w jęj domu. Pani Karolina na ten wieczór zaprosiła kilku swych najbliższych przyjaciół. O ósmęj wieczorem wchodzi pan de Vernon do salonu, blady, zmieszany, drżący; wolnym krokiem zbliżył się do Karoliny i ukląkł przed nią. Wychowanka Albijonu poważnie powstawszy z krzesła i podawszy mu rękę, wyrzekła z lekkim wzruszeniem: „Daleś pan dowód że umiesz dotrzymać słowa; dotrzymasz zapewne wykonanej przed ołtarzem przysięgi. Że wierzę twemu słowu, oddaję ci na dowód moją rękę.” Radość i szczęście szlachetnego młodzieńca były nie do opisania; ta chwila nagrodziła mu sownie rok cały męczarni. Nie długo jednak cieszyli się oboje nadzieją przyszłego połączenia. W tydzień po tęp rozrzewniającej scenie, wypadki ówczesne na zawsze ich rozłączyły. Pan de Vernon opuściwszy wraz z pułkiem Warszawę, w końcu Listopada 1830 r., zginął w boju. Karolina żalowała po czasie zwłoki w uszczęśliwieniu tego, który ją tak czule kochał. Letniego poranku 1831 r. (tak kończy swoją opowieść pani Grzegorzewska), chcąc samotną Karolinę odwiedzić, jakby tchnięta smutném przecuciem, pośpieszyła do nięj. Mieszkała wówczas na Krakowskiem przedmieściu wprost hotelu Saskiego. Pierwsza rzecz którą spostrzegłam, było wieko od trumny. Drżąc, pobiegłam na górę. Drzwi salonu były otwarte, cały kirem obity; klęczący ksiądz, od czasu do czasu odzywał się pieśnią śmierci; w srodku salonu kilka świateł, a na czarnym katafelku, wpośród kwiatów, leżała Karolina — ta... którą nie zbyt dawno widziałam pełną życia, rozkwitającą szczęściem i młodością!”

IGNACY ALEKSANDER BLUMMER.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. MARYJANNY BENICYI Z HRABIÓW CECCOPIERI BLUMMER, URODZONEJ W MASSA-CARARA D. 23 SIERPNIA 1790 R. ZMARŁEJ D. 6 LUTEGO 1828, R. WDZIĘCZNY MĄŻ PRZEŻYWSZY WŚRÓD DOMOWEGO POŻYCIA LAT 22, TEN POMNIK POSTAWIĘ.”

(Taki ma napis kolumna nad grobem marmurowym, w którego lochu spoczywają zwłoki jenerala Blummera).

Jenerał Blummer należał do tęp małej liczby naszych wojowników, co walcząc za czasów jeszcze Rzeczypospolitej, przeniósł swój oręż i poświęcenie w dalekie strony świata, przeżył wiele zmian kraju, i spoczął na cmentarzu Powązkowskim.



rysunek i Lito. z natury A. Maluszkiewicz

w Litografii Banku Pol.

GROB Z HR. CECCOPIERI BLUMER.

LIBRARIOTECA INST. IRI
1-11-A



110.626

Ignacy Aleksander Blummer, urodził się we wsi *Oleszy* w Galicyi austryjackiej, d. 31 lipca 1773 r. (1). Dziad jego pułkownik artylleryi wojsk angielskich, sprowadzony do Rosyi przez Piotra Wielkiego jako instruktor, pochodził z dawniej rodziny Irlandzkiej O'Blummer. Po śmierci Piotra Wielkiego przeniósł się do Szwecyi, a syn jego do Polski. Wnuk, młody Ignacy w r. 1790 wszedł w służbę wojskową jako towarzysz ochotnik, do brygady jenerała Dzierzka i odbył pierwszą kampaniją w 1792 r. Z majorem Wyszokowskim w 1794 r. przebił się ku Warszawie; po rozejściu się zaś armii polskiej, przez Wołoszczyznę dostał się do Konstantynopola, towarzysząc jenerałom Rynkiewiczowi, Jabłonowskiemu i pułkownikowi Szumlańskiemu. Przebył szczęśliwie wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Szaloną burzą rzuceni na nieprzyjazne brzegi Czarnego morza, ledwie uszli niewoli. Blummer znany z odwagi i poświęcenia, użyty do komunikacyi z obywatelami Galicyi, wywiązał się z położonego w nim zaufania, chlubnie i pocztwie. Chaty i pałace, lasy, trzcinowe wyżary i bagniska, były kryjówkami, do których na przemian chronić się musiał. Z towarzyszami swemi należał do zawiązku legij polskich we Włoszech. Odprawił kampanije w latach 1797, 1798, 1799, 1800 i 1804; mianowany kapitanem na polu bitwy pod *Lignano* przez jenerała francuzkiego *Montrecher*, w téjże raniony i zabrany do niewoli austryjackiej. Czteryestu francuzów wraz z Blummerem jako jeńcy, zostawali w twierdzy Ratysbonie. Stary kommandant, wyszukiwał wszelkich sposobów do zniewagi i dokuczenia swoim jeńcom, a szczególnie Blummerowi. Jednego poranku po przykrój scenie o niezdjęcie furazerek, gdy wszedł kommandant do sali oficerskiej, będącej na trzecim piętrze w koszarach nad Dunajem, Blummer, jak był olbrzymiego wzrostu i olbrzymiej siły, otwiera okno, porywa go w ręce i wychyla go przez większą połowę nad przepaść Dunaju. Pomiędzy jeńcami francuzkiemi, był znakomity oficer, okryty krzyżami, zawsze milczący, odosobniony, zanurzony w książkach i kartach jeograficznych, a używający wielkiego poważania między swemi towarzyszami. Ten silnym głosem: „*arretez!*” wstrzymał Blummera, od rzucenia kommandanta starego z okna trzeciego piętra koszar, w przepaść Dunaju. Po ostrój przemowie jenerała francuzkiego, wyjmuje kommandanta Blummer z okna i stawia na nogi. Tu musiał wysłuchać wszystkich zarzutów z doznanych przykrości od niego przez jeńców; skruszony, daje słowo honoru, że o tém co zaszło zamilczy, i podpisał przyrzeczenie obchodzenia się ludzkiego z brańcami. Po zawartym pokoju w Lunewillu, wypłynął d. 12 Listopada 1801 r. z Genui do Ameryki południowej, na wyspę St. Domingo, gdzie odbył kampanije w latach 1802, 1803 i 1804 r. przeciw murzynom. Tu jak wszędzie, pokazał Blummer nieustraszoną odwagę; na czele 112 polaków, z miejsca zwanego *Troubombon*, otoczony przez 3,000 zbrojnych murzynów, przebił się przez ich chmury, połączył się w *Gerenuj* z jenerałem *Fressinet*, i wraz z nim, cofał się w porządku mil pięć, pod straszliwym ciągle nieprzyjacielskim ogniem. Za czyn ten odznaczony bohaterskiem męstwem, mianowany został podpułkownikiem. W r. 1804 wrócił do Francyi. W powrocie, okręt na którym płynął Blummer z pozostałymi towarzyszami, ścigany przez flotę Angielską, wpędzony został na pusty brzeg północnej Florydy. Tu, znany jako z walecznych najwaleczniejszy, śmiałego i przedsiębiorczego umysłu, okrzykniony dowódcą,

(1) Wiadomości do życiorysu tego, czerpaliśmy z autentycznych źródeł

namawiany był Blumer, do pozostania i założenia nowj kolonii. Pamięć Beniowskiego zapewne towarzyszą jego tę myśl nasunęła. Ale Blummer żołnierz w całym znaczeniu tego wyrazu, wołał na szczątkach skolatanego okrętu śmierć w falach morza znaleźć, jak nie dopełnić danego rozkazu. Przykład jego, skłonił wszystkich, że wrócili na pokład pogruchotanego okrętu i szczęśliwie dobili do brzegów Francji. Minister Berthier przeznaczył Blummera do batalionu zagranicznego na wyspie Korsyce, z płacą kapitana, i przyrzeczeniem uzyskania potwierdzenia od cesarza, stopnia podpułkownika.

W roku 1806 powrócił do ojczyzny; w 1807 r. zaszczycony krzyżem kawalerskim polskim, objął dowództwo instrukcyjne 5 pułku piechoty, który z nadzwyczajną szybkością wyćwiczył. W r. 1809 w kampanii przeciw Austryakom d. 3 maja, równo ze świtem, na czele grenadyerów swoich, uderzył na szaniec przedmostowy pod *Góraj*, i bez wystrzału bagnetem go zdobył (1). W tej walce otrzymał postrzał w bok lewy od kuli karabinowej. Książę Józef Poniatowski w rozkazie dziennym d. 3 maja 1809 r., podpułkownika Blumer *nieustraszonym* nazywa. Znajdował się również przy wzięciu w tymże roku szturmem Sandomierza, i przy obronie jego. Pierwszy z Polaków wszedł do Krakowa, następując na nogi uciekającego po ulicach miasta nieprzyjaciela. Przyjmowany z nadzwyczajnym zapalem od mieszkańców, dzień ten zawsze Blumer mienił, jako najpiękniejszy w całym życiu. W czasie zawieszenia broni, otrzymał krzyż legii honorowej. W r. 1812 mianowany pułkownikiem; był w bitwach pod *Mozajskiem*, *Czerykowem* i w. i., gdzie wszędzie się świetnie odznaczył i zwrócił na siebie uwagę króla Neapolitańskiego. Po rozbiciu całej armii potężnej Napoleona, Blummer do *Orszy* w największym porządku przyprowadził 300 ludzi, których nazwiska na wieczną pamiątkę, cesarz Napoleon umieścić kazał w sztandarach pułkowych. Pod Berezyną otrzymał postrzał kuli karabinowej w lewą rękę. W r. 1813 był w oblężeniu Modlina i kapitulacyi nie podpisał. Od r. 1818 do 1830 był jenerałem brygady; w rocznicę pamiętnej bitwy pod Berezyną, d. 29 listopada 1830 r. przeszyty dwoma kulami, poległ w Warszawie.

Ożenił się bez względu na posag we Włoszech, z Benicyą hrabianką Ceccopieri, którą pochował na cmentarzu Powązkowskim i pomnik jej wystawił. Pod nim w grobie marmurowym, spoczywają dwie trumny cynkowe: po lewej stronie wchodząc ś. p. Blumerowej, po prawej zmarłego jenerała. Na sklepieniu drzwi podziemnych dwu wiersz następnny:

Wkrótce uderzy godzina, w której pod tym głazem,
Wieczność na zawsze połączy nas razem.“

Na ścianach wiszą dwa portrety obojga małżonków, olejno na blasze malowane. Jenerała Blummera wizerunek w mundurze polskim w całości się zachował, samj zaś już wilgoć nieco śniedzią pokryła. Pod jej portretem stoi stolik drewniany: w szufladzie dwie książki we włoskim języku od nabożństwa, tak wilgocią i pleśnią przejęte, że ich roztworzyć nie można: oraz listy i bilety. Wszystko już ręka czasu strawiła (2). Na stole stoi krucyfiks żelazny, dwa lichtarze

(1) Kapitanem w tym oddziale grenadyerów naszych był ś. p. Antoni Białkowski; w této kompanii szedł na czele grenadyer Jabłoński, którego życiorys podaliśmy wyżej.

(2) Pięć to po zwiedzeniu dzisiejszém cmentarza Powązkowskiego d. 7 października w Sobotę 1854 r.

ze świecami woskowymi, które za dotknięciem kruszą się w piasek. Tu leży także kapelusz stosowany generała, co go miał w chwili zgonu; pióro kapłonie w nim będące, w szczątkach ślad swój zachowało; kapelusz pozostaje w całości, stracił tylko przez wilgoć grobową, swój kształt pierwotny. W jednym rogu stołu, stoi butelka opieczętowana na ziemi, co zawiera, nie wiadomo; była druga, którą przy otwieraniu tego grobu przed czterema laty, skradziono. Z dwóch krzesel drewnianych, kawałki tylko pozostały: na nich siadywał tu w tym podziemiu ś. p. Blummer po stracie małżonki, z tych książek się modlił, przy świetle tych świec samych; i długie chwile w smutnym dumaniu przepędzał. Wszedł później w powtórne związki małżeńskie z Konstancją Sławianowską, która wkrótce została wdową, wraz z małoletnim wówczas synem.

FRANCISZEK DMOCHOWSKI.

(Pochowany w końcu dawnych katakumb wewnątrz cmentarza, bez napisu. Kiedy przedłużono katakumby, miejsce to zajęto murem, a kości nie wiadomo gdzie złożono).

Urodzony w r. 1762 w dawnym województwie Podlaskim, umarł d. 20 czerwca 1808 r. Pierwsze nauki odebrał w Drohiczynie w szkołach księży Pijarów, wstąpił do ich zakonu mając lat 17 wieku. Poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, i w szkołach Pijarskich w Radomiu, Łomży, a w ostatku w Warszawie, wykładał język łaciński i polski. W 25 roku życia dał się poznać wydaniem przekładu *Sądu ostatecznego* E. Junga ⁽¹⁾; w rok później ogłosił drukiem poemat w 4 pieśniach p. n. *Sztuka rymotwórcza*. Jakkolwiek miał wzory w literaturze łacińskiej i francuskiej, dzieło to, jak dobrze sam wyraża: „nie jest samem tłómaczeniem, ani też sobie oryginalności nie przyznaję. Zagrzany czytaniem dzieł o *sztuce rymotwórczej*, osobliwie Horacego i Despra (Boala), chciałem podobu, język ojczysty z bogacić. Z obudwóch czerpałem myśli; do drugiego układu szczególnie się przywiązałem. Żem wiele winien dwóm tym nauczycielom, chętnie wyznaję; ale się też i moich myśli nie zapieram.” Poemat ten, na owe czasy, był uważany jako jeden z najznakomitszych utworów literatury naszej, i słusznie, bo z prawdę, łatwym i zajmującym sposobem, rozszerzał wiadomości o literaturze ojczystej ⁽²⁾; zwrócił więc uwagę całego kraju na młodego Dmochowskiego. Pijarzy tę *Sztukę rymotwórczą* upowszechnili u siebie, jako książkę szkolną. Hugo Kollataj, podkanclerzy koronny, wyjednał Dmochowskiemu zezwolenie od przełożonych, do zostawania przy nim w czasie narad sejmu 1790 r. a poznawszy w nim nie tylko zdolności znakomite, ale prawość i nieugiętość charakteru, uczynił go swoim przybocznym sekretarzem. W r. 1792, usunął się wraz z Kollatajem z kraju; prze-

⁽¹⁾ W Warszawie 1787 r.

⁽²⁾ W tym poemacie podał Dmochowski wiadomość o wierszopisach w różnych rodzajach u nas się odznaczających, jak w sielankach, pieśniach, epigrammatach, satyrach, bajkach, i w literaturze dramatycznej. Rzecz godna uwagi, że więcej w kilkunastu wierszach powiedział o sztuce dramatycznej u nas, jak później w dwadzieścia lat potem z górą, L. Osiński w b. uniwersytecie Warszawskim. Pierwsze wydanie sztuki rymotwórczej wyszło w Warszawie w r. 1788; następnie po kilkakroć wychodziły przedruki, zawsze nosząc na tytule tenże sam rok. Ostatnie wydanie ogłosił syn autora F. S. Dmochowski z wielu ważnemi zmianami, które ojciec jego w rękopiśmie zostawił.

bywał w Dreźnie, gdzie wspólnie razem oddawali się pracom naukowym. We dwa lata powrócił Dmochowski do kraju i został redaktorem *Gazety rządowej* od d. 4 lipca do d. 3 listopada 1794 r. W następnym zaraz roku zmuszony do opuszczenia kraju, lat kilka przebywał w Niemczech, we Włoszech, a najwięcej w Paryżu; wtedy ukończył przekład *Iliady Homera* i *Nocy pierwszej Yunga*, którą przypisał Ignacemu Krasickiemu arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu (w Paryżu 15 listopada 1798 r.). Ostatnia strofa tego przypisania:

W twych dziełach Polski pamiętka zostanie:
Wdziękiem ich wnucy będą się poili;
Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie,
Lecz żyje wiecznie Homer i Wirgili !"

utkwiała w pamięci narodu. Ten czworowiersz, pod wizerunkiem autora *Satyr* i *Myszeis* umieszczono także.

Kiedy z podziału Polski, Warszawa z częścią kraju przypadła pod panowanie pruskie; Krasicki szanując tak osobiste przymioty, jak i talent Dmochowskiego, wyjednał mu swoim wpływem powrót do ziemi ojczyściej. W przejeździe z Paryża zatrzymawszy się w Lipsku, wydał tu wspomnianą powyżej *Noc pierwszą Yunga* (1). Osiadł Dmochowski w Warszawie, a polegając na prawach któremi się kraj ten rządził, w 39 roku życia, pojął w małżeństwo Izabellę Mikorską, i w domowym zaciszu a w pracach naukowych, szukał celu życia swojego, i spokoju a odetchnienia po wielu troskach. Sam objął redakcyą i zaczął wydawać w r. 1801 *Nowy pamiętnik Warszawski, Dziennik historyczny, polityczny, tudzież nauk i umiejętności*; w zeszytach miesięcznych, i przez lat 5 wydał tomów 20. Ogłosił drukiem *Iliadę* Homera we trzech tomach (Warszawa, w drukarni księży Pijarów); wydał w troskliwej i najlepszej dotąd edycyi, dzieła J. Krasickiego (z mową na pochwałę tegoż pisarza); dzieła Franciszka Karpińskiego (roku 1806 w drukarni księży Pijarów we 4 tomach): przekład satyr Boala Gorczyzewskiego, oprócz wielu rozpraw i życiorysów zasłużonych w kraju mężów. Dmochowski był jednym z założycieli b. Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Gdy na początku r. 1807 tworzyło się księstwo Warszawskie, miał prawo spodziewać się, jako członek b. Rady Najwyższej, jako wyobraziciel opinii i dążenia ziomków za granicą, jako filar literatury krajowej od 1800 r. do ostatnich czasów, że zajmie stanowisko odpowiednie swoim zasługom. Lecz strona, która wtenczas u steru rządu stanęła, niechętną była Kollatajowi i jego przyjaciółom, a przy tém nie mogła darować Dmochowskiemu jego cierpkiej czasami otwartości i nieuległości charakteru. Dmochowski więc wyjechał do majątności swojej w Kujawach *Swiesz* zwanój, i tam zajął się przekładem Enejdy Wirgiliusza. Co rano wychodził na przechadzkę z Maronem w rękę, i tak przez kilka godzin układał w pamięci przekład Enejdy, a za powrotem spisywał. Już na początku r. 1806 dotknięty został chorobą piersiową, po której ciągła chrypka głos mu stłumiła; uderzenie krwi do piersi zaledwo mu życia nie odebrało: uratował go lekarz powiatowy z przyległego miasteczka Radziejowa. Po tym wypadku żył jeszcze półtora roku w czerstwém zdrowiu, lecz głos miał przy-

(1) F. Dmochowski powtórzył w drugim wydaniu ten przekład, i wydał w Warszawie 1803 r., p n. Sąd Ostateczny, poema Edwarda Yunga anglika, z przydaniem pierwszej jego nocy i kilku ułamków Miltoona ia 8.

łumiony i głuchy. W Maju 1808 r. wyjechał do Warszawy. Cierpka rozmowa z Józefem Wybickim ważnym wówczas członkiem rządu, a niechętnym Dmochowskiemu, już to z powodów politycznych, z dawniejszej epoki, już to z powodu sporów literackich; rozdrażniła Dmochowskiego, i zadała mu cios śmiertelny. Drugiego dnia po rozmowie z Wybickim, wyjechał na wieś. Było to d. 20 czerwca 1808 r., dzień był skwarny. Za Błoniem, pomiędzy tém miastem a wsią *Nowawieś*, krew uderzyła mu do piersi, wysiadł z powozu, zawołał tylko: „dajcie piwa, octu lub wody!” gdy krew rzuciła się ustami i nosem; i zanim służący zdołał dobiec do Błonia, i z jakąkolwiek pomocą wrócić, on już nie żył.— Ciało przywieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu Powązkowskim. Smutne położenie majątkowe pozostałej rodziny, nie pozwoliło uczcić nagrobkiem pamięci zmarłego, a młodszy literaci prędko zapomnieli o tym, który był ich mistrzem i przewodnikiem. Przywiodę tu napis, jaki przygotowano na grób zmarłego w samej sile wieku, a który dobrze cechuje pisma, zasługi i charakter Dmochowskiego:

„Tłomacz Homera, Junga, Wirgila, Miliona,
Na niwie polskiej rzucił bujnych żniw nasiona.
Obojętny na względy możnych, wrzask ciemnoty,
Dni swe z użył dla prawdy, dla kraju, dla cnoty”

Wysokiego wzrostu, poważnego oblicza, samą postacią swoją wrażał poszanowanie. Po jego śmierci, pozostała wdowa wydała przekład: Enejdy Wirgiliusza w 1809 r. (1). Dmochowski w swoim czasie należał do najznakomitszych pisarzy (2); ale nietylko w literaturze naszej położył przeważne zasługi: zapisał on trwale pamięć swego imienia na karcie dziejów ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Bezstronny badacz tego okresu, spotkawszy dowody jego poświęcenia, nieugiętości i energii charakteru, niezdolnego, aby mógł być narzędziem, jakiegobądź stronnictwa, odda mu cześć i wdzięczne wspomnienie, przynależne prawości zmarłego męża (3).

ANTONI BRODOWSKI (4)

(*Spoczywa w mogile ziemnej bez napisu.*)

„Przebiegając historią życia ludzi wyższymi talentami obdarzonych, którzy w zawodzie nauk lub kunsztów, znakomite położyli zasługi, u tak wielu natrafiamy na zbieg przeciwieństw

(1) Dmochowski 9 ksiąg Enejdy przełożył: trzy ostatnie tłómaczył Wincenty Jakóbowski, prowincyał zgromadzenia księży pijarów; i te dwa przekłady razem w tej edycyi wyszły. Syn naszego autora Fr. S. Dmochowski, przy wydaniu pism ojca w dwóch tomach, zamiast tłómaczenia ks. Jakubowskiego, podał własny przekład trzech ksiąg ostatnich Enejdy.

(2) Wszystkie pisma F. Dmochowskiego za życia autora doczekały się kilku wydań, to stawia dowód jak były poszukiwane, i jak popularnym a ulubionym w kraju był ten pisarz.

(3) Ludwik Osiniński napisał pochwałę F. Dmochowskiego, którą czytał na posiedzeniu b. towarzystwa Warszaw: przyjaciół nauk. Że nic z niej nie mogliśmy skorzystać, łatwo czytelnik może porównać.

(4) Życiorys niniejszy, pióra Fr. hr. Skarbka, nigdzie nie drukowany, po raz pierwszy ogłaszamy, otrzymawszy na to upoważnienie od dostojnego autora. Zaraz po śmierci s p A. Brodowskiego, tenże autor podał nekrolog zmarłego artysty do gazety Warszawskiej, Nr 91, z 1832 r Patrz słownik malarzy Polskich E. Rastawieckiego, t I. str. 71, i porównaj z życiorysem tamże zamieszczonym, niniejszą bijografią.

i dolegliwości, zatruwających krótki ich pobyt na tej ziemi, iżby je za nieoddzielnych towarzyszy wyższych zdolności i rzetelnych zasług poczytać można, gdyby o to, bardziej ludzi współczesnych, jak niepomyślnych wypadków losu, winić nie należało. Dowód tej smutnej prawdy, nastrocza nam krótki żywot Antoniego Brodowskiego, najznakomitszego malarza polskiego, którego ziomkowie wtedy dopiero cenić się nauczyli, kiedy licznymi przeciwieństwami stargane siły, kres zasługom i życiu jego położyły.

Urodzony w Warszawie r. 1784, nie otrzymał Brodowski od losu tego uposażenia majątkowego, które zapewniając dostateczne opatrzenie wszelkich potrzeb życia, pozwala nam obrać zawód zdolnościom i życzeniom naszym odpowiedni, i żyć bez trosków dla nauki lub sztuki, któremu życie poświęcić pragniemy. Główną przeszkodą w usiłowaniach jego było to: iż dla zapewnienia losu swego, musiał się zawsze oddawać pracy, zupełnie przeciwniej tej, której się z powołania poświęcił.

Po skończonych naukach w kraju, miał Brodowski sposobność znajdowania się w Paryżu, w tym czasie, gdy za natchnieniem Dawida, odrodziło się malarstwo i wszystkie sztuki piękne we Francji. Mający już wrodzoną zdolność do tej szczytnej sztuki, obrał ją za przedmiot natchnień i usiłowań życia swego, gdy poglądając na arcydzieła malarskie, wówczas w stolicy Francji nagromadzone, widział obok tego ówczesnych artystów zachęconych w usiłowaniach postępowania za temi wzorami i odbierających świetne nagrody, za dane dowody wyższych zdolności. Młody umysł w takich tylko przykładach widzi, jakby obraz przyszłości swojej, a puszczając się z zapalem w obrany zawód zasługi i chwały, ani przypuszcza tej myśli, że przeciwieństwa siły jego skrzępować mogą, i że zawiść, ani chwały, ani zasługi przyznać mu nie zechce. Za tej pierwszej bytności swojej w Paryżu, poświęcił się Brodowski obok ćwiczeń rysunkowych, temu usposobieniu naukowemu, które koniecznie poprzedzać winno w artyście, nabycie mechanicznej biegłości w sztuce, aby mógł kiedyś stanąć w rzędzie mistrzów sztuki. Lecz nie zależąc od siebie, przerwać musiał bieg nauk swoich i wrócić do kraju, gdzie odłogiem wówczas leżące pole sztuk pięknych, ani do ćwiczeń, ani do żadnych w tym rodzaju zatrudnień, nie mogło mu nastroczyć przedmiotu, tak dalece, iż zamiast dalszego oddania się malarstwu, został sekretarzem w ministeryum Sprawiedliwości. Zrażony tém pierwszym odwiedzeniem od rozpoczętego zawodu, byłby zapewne Brodowski na zawsze porzucił malarstwo, gdyby Komisya edukacyjna byłego księstwa Warszawskiego, nie była go wybrała do rzędu tych młodych ziomków, których w roku 1809 w zamiarze usposobienia się na nauczycieli do szkół narodowych, za granicę wysłała. Od tego czasu przez 6 lat następnych, pracował Brodowski pod przewodem pierwszych owoczesnych mistrzów Francji, a zwłaszcza też sławnego Gérarda, który go szczególniejsz polubił i do najcelniejszych uczniów swych liczył. Po takim usposobieniu, po danych w Paryżu dowodach talentu i biegłości w sztuce, ani wątpić można było, że Brodowski znajdzie w własnym kraju wziętość, opiekę i zachęty, na jakie zasługiwał, i że będzie się mógł poświęcić usłudze publicznej, do której tworzący się wydział nauk i sztuk pięknych w uniwersytecie Warszawskim, tak właściwe dla niego otwierał pole. Lecz i tym razem zawiedziony został w swoim oczekiwaniu. Otwartość i szlachetny sposób postępowania uczciwego człowieka, który płaszczyć się

i pochlebiać nie umiał, wstrzymały artystę na drodze dalszej zasługi i chwały. Akademiczne malowidła jego z Paryża, jako dowody czynionych postępów nadsyłane, dostały się pod sąd ludzi, skąd inąd nader szanownych, ale żadnego wyobrażenia o sztuce niemających. Innych, którzy umieli cenić jego zdolności, naraził sobie Brodowski przez zbyt otwarte postępowanie, drażniące ich próżność i miłość własną, tak dalece, iż wysoko ukształcony artysta polski, nieprzyjęty został do rzędu nauczycieli tworzącego się wydziału sztuk pięknych, i że francuz, mierny pejzażysta, objął katedrę malarstwa, i lubo sam rysunku akademycznego nie był w stanie wykonać, nauczał przecież lat dwa rysunku i malarstwa, bez żadnego dla uczniów i sztuki pożytku. Brodowski zaś został sekretarzem do ekspedycji francuzkich w Kommissyi spraw wewnętrznych i policyi, i skazany przepędzać na służbie biurowej czas najpiękniejszego wieku i całej siły wyobraźni, poświęcał tej służbie najlepsze dnia godziny, i ledwo miał kiedy chwilę wolną, aby porzucone pędzle, pomimo doznanych odstręczeń, wzięść do ręki. Zwykle się tak dzieje, że prawdziwy talent i zasługa, jakkolwiek ukryte lub przyćmione, prędzej czy później na jaw wychodzą, i w właściwym sobie zajaśniają blasku. W 1819 r. nastąpiła pierwsza wystawa dzieł sztuk pięknych w Warszawie; nauczyciele uniwersytetu nie złożyli żadnych dowodów biegłości i talentu, ani w własnych dziełach, ani w próbach uczniów swoich, a odsunięty od przewodniczenia szkole malarskiej, Brodowski wystawił wielki obraz historyczny, przedstawiający *gniew Saula* (1), i kilka portretów, które okazały tak niezaprzeczoną wyższość jego, nad wszystkimi współzawodnikami, że nieprzychylne ręce musiały mu podać wieniec nagrody. Deputacja wyznaczona do osądzenia tworów sztuk pięknych do tej wystawy przyjętych, przyznała Brodowskiemu pierwszą nagrodę honorową, to jest: największy medal złoty, jakiego nikt inny w ciągu późniejszych wystaw nie otrzymał; a wiekopomnej pamięci Cesarz i Król Aleksander I., pragnąc zachęcić postępy sztuk pięknych w Polsce, zaszczycić kazał Brodowskiego pochlebnym listem w imieniu monarszem, przez ministra sekretarza stanu napisanym, i przyjąwszy ofiarowany sobie obraz Gniewu Saula, wartość jego na 9,000 złotych polskich przez znawców oznaczoną, artystę wypłacić polecił. Odtąd zaczęło się nowe życie dla Brodowskiego; otworzył się zawód właściwej dla niego służby publicznej, a pokonane siłą talentu jego, niechęć i uprzedzenia nieprzyjaznych mu osób, nie mogły mu już dłużej przeszkadzać w usiłowaniach dla postępu sztuki czynionych. Wkrótce po tej wystawie, na której palmę pierwszeństwa otrzymał, powołanym został do uniwersytetu na profesora malarstwa, a następna już wystawa we dwa lata po pierwszej odbyta, okazała zadziwionym zwolennikom sztuk pięknych, jakim Brodowski był nauczycielem, gdy w rysunkach akademycznych uczniów jego, poprawność i czucie spostrzegli. Kto był świadkiem postępów, jakie szkoła malarska w Warszawie, od czasu objęcia jej naczelnictwa przez Brodowskiego, uczyniła; kto widział rysunki i olejne studja z natury przez uczniów jego wykonane; kto znał tych młodych artystów, w których on zamilowanie sztuki, smak czysty i zaszczytną dążność do udoskonalenia zaszczyścić potrafił, ten przyzna, iż Brodowski był istotnym twórcą tej szkoły, która po kilku latach istnienia, tak piękne wydawała owoce. Śmiało odwołać

(1) Obraz ten jest dziś własnością szkoły sztuk pięknych w Warszawie.

się można do świadectwa wszystkich dotąd żyjących uczniów jego, iż jako nauczyciel, łączył w sobie wszystko, cokolwiek największą korzyść uczniom zapewnić, miłość sztuki w nich wzbudzić i przywiązaniem dla mistrza swego przejąć ich może. Oni mogą wyznaczyć, czy Brodowski używał kiedy owych podstępnych sposobów popisywania się przed publicznością, pracami uczniów, w których ręka mistrza więcej od nich samych wykonała? czyli przejęty podłą zawiścią pospolitych sztukmistrzów, przytłumiał kiedy okazujący się wyższy talent w uczniu, z obawy ażeby kiedyś mistrza nie przeszedł? czy pochlebiał któremukolwiek, lub niewczesną pochwałą starał się dla jakichbądź widoków wmawiać w niego zdolność, której nie posiadał? czy odmawiał kiedy szczerzej rady i pomocy temu, kto jej od niego żądał? Zasługi w nauczycielskim zawodzie położone, zjednały mu względy zwierzchniej uniwersyteckiej władzy, która mu przyznała w r. 1824 stopień *stałego*, a w r. 1829 najwyższy stopień *radnego* profesora uniwersytetu. Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk, powołało go na członka swojego; a wszyscy zwolennicy sztuk pięknych w Warszawie przebywający, szanowali w nim tego pierwszego mistrza, pod którego sąd, własne swoje prace oddawali, którego rady względem nich zasięgaliby, i na którego otwartym i światłym zdaniu, wszyscy przestawali. Nie raz widzieć można było w malarni Brodowskiego ukształconych artystów obok niego pracujących, lub z ufnością zasięgających jego zdania w podjętej pracy; a sposób myślenia i postępowania jego były tak szlachetne, i tak dalekie od wszelkiej zazdrości, iż nie tylko że w żadnym ze współczesnych artystów nie miał zawistnego przeciwnika, ale że wszyscy szacunkiem i zamiłowaniem dla niego byli przejęci. To rzadkie w stosunkach artystowskich zjawienie, świadczyło o piękności duszy Brodowskiego: współzawodnicy, uznając wyższość jego talentu, nigdy okiem zawiści na dzieła jego nie poglądali, bo nie obrażał nikogo zarozumiałością lub lekceważeniem, bo celował skromnością, która wielkim zdolnościom zawsze towarzyszy, i zdawał się na to tylko być biegłym w swojej sztuce, aby innym rad i nauk udzielał. Póki żył i pracował, nie miał przeciwnika, ani tém bardziej nieprzyjaciela między współzawodnikami; a gdy znikł z pomiędzy żyjących, nie było współczesnego artysty, któryby w nim przyjaciela nie stracił, nie było ucznia, któryby łzami wdzięczności i najszczerzego żalu, grobu jego nie zrosił. Prawdziwi znawcy i sprawiedliwa potomność, oddadzą cześć należytą znakomitym zaletom Antoniego Brodowskiego, jako artysty i nauczyciela; lecz sami tylko przyjaciele jego, z którymi przeżył zbyt krótkie chwile, licznemi dolegliwościami przeplatanego życia, cenić mogli należycie piękne przymioty umysłu i serca, któremi się odznaczał. Oni tylko wiedzieli, że to był człowiek równie skromny jak oświecony; że z biegłością w naukach i sztukach łączył polski i towarzyskie ukształcenie; że umiał pełnić swoje obowiązki jako człowiek i obywatel, ale nie umiał pochlebiać, płaszczyć się, ani czynić podstępnych zabiegów, aby względy i łaskę uzyskać; i że był w całym znaczeniu tego wyrazu, uczciwym człowiekiem!

Długie i dotkliwe cierpienia które z wolna i stopniowo siły jego wzięły, sprowadziły go do grobu, w nocy d. 31 marca 1832 r., w 48m roku życia. Przeciwności jakich w młodszym wieku doznawał, słabość zdrowia, potrzeba pracowania na utrzymanie licznej rodziny, która nie pozwalała obierać za przedmiot pracy to, coby chwałę artysty wznosić mogło; małe nakoniec zachęcenie jakiego sztuki piękne w kraju naszym zawsze doznawały; wszystko to połączone razem,



III.

rysunki i litogr. z natury A. Matuszkiewicz

A. Matuszkiewicz

w Litogr. Bianchi Polak

GROBOWIEC RODZINY A. KOKULARA



nrD. 626

stało się przyczyną tego, iż Brodowski w sile wieku zmarły, nie wielką liczbę dzieł pędzła swego pozostawił. Cenniejszymi są: trzy historyczne obrazy wielkiego rozmiaru, to jest, *najprzód*: zwyż wspomniany *gniew Saula*, *powtórę: Edyp z córką swoją Antygona*, dzieło zrobione na zadanie konkursowe deputacyi do oceny twórców sztuk pięknych, na wystawach publicznych wyznaczonej, które Brodowski dał na wystawę z wyraźnym oświadczeniem, iż się zrzeka prawa do współubiegania i do nagrody, jedynie aby dowieść, iż nie poprzestał pracować w trudnym zawodzie historycznego malarstwa, a które było nowym dowodem, że się jemu pierwsze miejsce w rządzie artystów polskich należy. Ten może najcenniejszy obraz jego, znajduje się teraz w Warszawie, u pana Popławskiego, który go nabył po śmierci mistrza. *Potrzenie: Hektor czyniący w obec Heleny wyrzuty Parysowi iż do boju nie idzie*, obraz niezupełnie wykończony przez Brodowskiego, i nieszczęśliwym przypadkiem uszkodzony, w którym jednakże trzy główne figury, są wykończone i w częściach ciała dobrze zachowane. *Poczwarte*: wielki obraz do sali obchodowej byłego uniwersytetu przeznaczony, przedstawiający *Najjaśniejszego Cesarza i Króla Aleksandra I., nadającego dyplom uniwersytetowi przez siebie utworzonemu*. Obraz ten znajduje się w Warszawie. Ze znacznej liczby portretów, najcenniejszymi były: portrety księcia Dominika Radziwiłła, cała figura, wielkości naturalnej; Julijana Niemcewicza; Tomasza Ostrowskiego, byłego prezesa senatu; arcybiskupa Hołowczyca; Badeniego ministra sprawiedliwości, i innych (1)."

KOKULAR ALEKSANDER.

„GRÓB RODZINY ALEKSANDRA KOKULAR B. PROFESSORA SZTUK PIĘKNYCH I MISTRZA MALARSTWA, W DNIU 6 KWIETNIA 1846 R. ZMARŁEGO.“

Urodził się w Warszawie d. 9 sierpnia 1793 r. Zmarł w Warszawie w 53 roku życia.

Malarz historyczny a głównie portretowy.

Jako uczeń Lyceum warszawskiego, początki sztuki czerpał u Z. Vogla. W r. 1814 dla udoskonalenia się w zawodzie swoim, udał się do Wiednia, do tamecznej akademii sztuk pięknych, gdzie pod sławnym Lampim pracował (2). Następnie zwiedził Rzym i Paryż kształcąc się ciągle. W r. 1818 wrócił do kraju, i jako nauczyciel przez lat 6 blisko zostawał w konwikcie księży Pijarów, a następnie w Lyceum warszawskim, w téjże samej szkole, w której był uczniem dawniej. W r. 1824 wysłany kosztem Rządu do Rzymu, dwa lata tam bawił, i wykonał obraz *Edypa prowadzonego przez Antygone*, który otrzymał pochwałę na wystawie sztuk pięknych w r. 1828.

W ciągu pobytu w Rzymie, został obrany członkiem akademii malarskiej ś. Łukasza. Po powrocie do kraju, objął napowrót posadę nauczyciela Lyceum, którą piastował do zamknięcia téj szkoły w 1832 r. Wtedy z zamiłowania sztuki założył w własnym domu szkołę malarstwa,

(1) Obszerny i szczegółowy spis wszystkich prac ś p. A. Brodowskiego, znajdzie czytelnik w Słowniku malarzy polskich E. Rastawieckiego, tom I. str. 71, gdzie i wizerunek zmarłego artysty umieszczony.

(2) E. Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich” T. I. str. 225.

zastępując brak wówczas publicznej. Później był professorem w Gimnazyum realném, w ostatku w nowój szkole malarstwa.

E. Rastawiecki w swoim *Słowniku malarzów polskich*, wyliczył szczegółowo wszystkie dzieła pędzla Kokulara (1).

ZAKRZEWSKI JAN.

(Pochowany w dole ubogich).

W 1789 r. zjawił się w Warszawie teorbanista Jan Zakrzewski, dawny konfederat Barski. Nie tylko że wchodził do ogrodów, domów zajezdnych i traktyerni, ale i do pałaców panów polskich. Śmiały, wesoly, dowcipny, wszędzie był miłym gościem. Zapas pieśni miał niewyczerpany, głos melodyjny i dźwięczny, któremu biegle na teorbanie wtórował. Kiedy stanął przed zebraném gronem, najprzód zapytywał, jaką ma być piosneczka: czy skromna, romansowa, czula, czy hulacka; i do woli i smaku obecnych, umiał się wybornie zastosować. Lud *Starego Miasta* zwał go „*teorbanistą kresowatym*,” od potężnej kresy od szabli, która mu głęboką, na prawym policzku bruzdę wyorala. Król Stanisław August znał go osobiście, i gdy go, w czasie pobytu w *Łazienkach królewskich* spostrzegł, kazał mu grać i śpiewać przed pałacem. Wtedy nasz teorbanista dobierał wesole piosnki, często hulackie; raz rozochocony dobrém winem, czy z umysłu, czy przez zapomnienie, zaśpiewał królowi pieśń konfederacką, od téj chwili, już więcej w *Łazienkach* nie śpiewał. W 1794 r. wszedłszy do wojska, z ran poniesionych, w miesiącu Grudniu tegoż roku umarł w Warszawie. Do ostatniej chwili zachował całą przytomność umysłu; często kazał sobie ulubiony teorban podawać, i dopóki był silniejszy, śpiewał ulubione pieśni, i uczył takowych, ażeby zachowano je w pamięci. Na krótką chwilę przed śmiercią, z całym zapalem odśpiewawszy piosnkę wojenną z czasów swéj młodości; spojrział z uśmiechem na obecnych, zbladł nagle, ciężko westchnął, oparł głowę na pęk słomy, na której spoczywał, a konając, wypuścił teorban z rąk już otrętwiałych.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, baczysty, ramion nieco podniosłych. Twarz wesola, podłużna, z dużym nosem, pod którym kępiaste, sumiaste wąsy, nieco szpakowate zwiślały. Głowa zawsze podgolona, ręce długie, muszkularne; w chodzie szybki, prosto się jak trzcina trzymał. Mówiono że na Ukrainie nie mało splatał sprawek, i z tamtąd wyniósł biegłość gry na teorbanie, i zapasy śpiewek, których się nauczył od czarnobrewek; a zwabiać je umiał do siebie. Jak grał biegle na teorbanie, równie był zawołanym rębaczem. Umiał się bić z *przerzutką*, to jest przerzucając szablę z prawej do lewej ręki: znał wszystkie najslawniejszych rębaczy doskonale cięcia: oparłszy się raz o ścianę, napadnięty przez sześciu dworskich hetmana Braniciego, obronił się dzielnie, każdego z nich obciął i naznaczył potężnie; za co od hetmana co się przypatrywał téj walce, dostał sto czerwonych złotych w pięknej sakwie, a zaproszony na dwór tego pana, siadywał u jego stołu przez kilka miesięcy. Raz podchmielony, uderzywszy w poli-

(1) Tom I. str. 226—227.



Jablonski malował

w Lit. Banku P.

DOMINIUK MAGNUSZEWSKI



no. 626

czek ulubieńca hetmana, gdy go wyzwał na rękę: Branicki kazał mu dwór opuścić, bo nie chciał ulubieńca swego na śmierć, albo na pewne zeszkaradzenie narażać. Na pożegnaniu darował mu konia z rzędem, i 50 dukatów, a zarazem pogodził przeciwników. Zakrzewski wsiadł na konia i na zawsze opuścił dwór gościny. Rok cały najeździwszy się na pięknym siwku, sprzedał go i z rzędem, i odtąd pieszo z teorbanem przywędrował do Warszawy. Zachowywał zawsze doświadczoną szablę: na niej były wyryte dwa wierszyki następujące:

„Sam tu do mnie, dalej smyki!
Proszę Waści na zraziki.” —

Szabla ta pochodziła od jakiegoś sławnego rębacza z Wielko-polski, który dużo nakrajawszy zrazów z ciał swoich przeciwników, kazał wyryć ten napis, a Zakrzewski, gdy raz we *Srodzie*, pokazał jak umie szablą władać; od tegoż rębacza, a już wtedy starca zgrzybiałego w darze otrzymał. — „Daję waści tę szablę, (rzekł on do młodego na on czas Zakrzewskiego), już nie dowidzę i ręką mi się trzęsie. Długo ona czekała na tak wprawną rękę jak waści, toż sam weź, z moim krzyżykiem.” Zakrzewski za dar taki serdecznie podziękował, i szablę tę do śmierci zachował (1).

Jeden z dawnych towarzyszków broni, zaraz po pogrzebaniu zwłok Zakrzewskiego w dole ubogich, postawił przy nim krzyż prosty drewniany, z literami *J. Z.* i rokiem *1794*; czas zniszczył tę pamiątkę śpiewaka-wojaka (2).

KAZIMIERZ BORAKOWSKI.

„GRÓB RODZINY KAZIMIERZA BORAKOWSKIEGO MDCCCXXXIX.”

(*Na starym pierwotnym cmentarzu.*)

Kazimierz Borakowski, radca Kommissyi centralnej likwidacyjnej królestwa Polskiego, urzędnik co lat 30 zdolności swoje i prace na usługi krajowe poświęcił, a jako obywatel i ojciec rodziny odznaczał się prawością i szlachetnością, zmarły w 56m roku życia, d. 26 Grudnia 1844 roku, wymurował ten grobowiec z podziemiem, w nim pochował zwłoki pełnej cnot domowych, małżonki swojej, zmarłej d. 22 Grudnia 1838 r. Maryanny z Makarewiczów: a w 4 lata i sam się tu, ze zgasłą połączył.

We trzy lata niespełna, w 23m roku życia, rokujący najpiękniejsze nadzieje, syn ich Feliks Borakowski, zmarły dnia 29 Maja 1844 r., w tym podziemiu znalazł wieczny, obok swych rodziców, spoczynek.

Stryj Kazimierza Borakowskiego, Dominik Borakowski, spoczywa w bliskich katakumbach, żaden napis nie wskazuje w nich miejsca, gdzie spoczęły prochy starca.

(1) Szablę tę oglądałem u ś. p. Tomasza Święckiego, autora opisu „Starożytnej Polski,” którą miał sobie na dni kilka, do obejrzenia udzieloną.

(2) Mam tę wiadomość co do roku zjawienia się w Warszawie Zakrzewskiego, w notach Grzegorza Jahołkowskiego; co do późniejszych zdarzeń, od osoby, co zblizka tego teorbanistę znała, była na jego pogrzebie i widziała krzyż pomieniony.

Są postaci tak wyraziste na tle naszego społeczeństwa, że raz widziane, długo się w pamięci przechowują; a bliżej poznane, niestartemi rysami w myśli pozostaną. Do rzędu takich należą wszyscy niemal, co w murach Warszawy zamieszkawszy, strojem, mową i charakterem, przypominali dawną Rzeczpospolitą polską; co po jej zgonie przeżyli, jako ostatnie ogniwa wiążące starożytną Polskę znową, w niczym niepodobną do dawniej⁽¹⁾. Do owych postaci jak Sko-rochoda Majewskiego, Plichty i wielu innych, należy i wspomniany Dominik Borakowski. Urodzony w 1750 r., zmarł d. 4 Sierpnia 1834 r. Od roku 1774, rozpoczynając zawód służby publicznej, jako plenipotent miasta stołecznego Warszawy, do pilnowania spraw ekonomicznych; od 1786 r. powołany na urząd syndyka tegoż miasta, w roku 1793 obrany został pisarzem miasta Warszawy. W następnym roku, kiedy po zdobyciu Pragi, d. 4 Listopada 1794 r. przez sławnego generała Suworowa, stolica poddać się zwyciężkim wojskom musiała; Borakowski przez jednomyślne głosy obywateli, wraz z delegowanym miasta Makarewiczem, pomimo wielu niebezpieczeństw, dostali się do głównej kwatery, i warunki poddania mieszkańcom przynieśli. Sprawozdanie ich z odbytego poselstwa ciekawe i zajmujące, znajduje się w aktach magistratu. W tym urzędzie pisarza, był do 1796 r., w którym za objęciem przez rząd pruski Warszawy, wezwany został na urząd konsyliarza sądowego, przy magistracie sprawiedliwości miasta Warszawy. W 1806 r., przy wejściu wojsk francuzkich, powołany został niezwłocznie na urząd prezesa sądu głównego miasta Warszawy⁽²⁾. Przy ustaleniu rządu w księstwie Warszawskim, przez ministra sprawiedliwości Feliksa Łubieńskiego, mianowany w 1808 roku sędzią appellacyjnym, w 1818 r., sędzią Najwyższej instancyi królestwa Polskiego. Po 50ciu latach służby publicznej, w 1824 r., zapragnął cichego spoczynku, usunął się jako emeryt w domowy zakątek, i w sędziwej starości, dożywszy lat 81, po krótkiej chorobie umarł.

Przez lat blisko 60 ciągły mieszkaniec Warszawy, patrzył na częste zmiany losu, jakim to miasto ulegało. Stolica najprzód Rzeczypospolitej; następnie za panowania prusaków, gród podupadły i opuszczony, w którym w gruzy pałace wielkich panów rozsypały się, a dziedzińce trawą i chwastem porosły⁽³⁾; znów stolica księstwa Warszawskiego, a w ostatku królestwa Pol-

(1) W czasach Księstwa Warszawskiego, wiele się przewijało ciekawych postaci, nie tylko w Warszawie, bo o tych podamy w niniejszym dziele wiadomość, ale i w różnych stronach kraju. Tu wspomnę o pielgrzymie Jakóbie Dobczyńskim, długo wędrującym od dworu do dworu w Olkuskiem i Siewierskiem. Był to syn zamożnego obywatela: zabiwszy przypadkowo ojca swego wystrzałem ze strzelby, całe życie przeznaczył na ciężką pokutę. Sześć lat udawał głucho-niemego, i tak przebył Wołoszczynę, Turcję, był w Jeruzalem; a powróciwszy szczęśliwie, wędrował do Rzymu i miejsc cudownych. Po długiej pielgrzymce wrócił do kraju i obchodził dwory w Olkuskiem i Siewierzu. W żadnym dłużej nie bawił jak tylko przez noc jedną, równo ze świtem już odchodził. Latem sypiał w stodolach albo stajniach zimową porą, szukał ciepłego kącika w izbie czeladniej. Dla większego umartwienia dźwigał torbę pełną kamieni. Po znajomych dworach szyto mu koszule i chustki do nosa, bez czego obejść się nie mógł. Chodził w chodakach, płaszczu pielgrzymim i kapeluszu z dużemi skrzydłami. Kiedy umarł — nie wiem.

(2) Wezwanie to z dnia 7 Grudnia 1806 r. podpisane przez Józefa Wybickiego, a potwierdzone przez namiestnika Cesarza, W. księcia Berg, Joachima Murat

(3) Jak wtedy ceny domów spadły, dosyć nadmienić: że s. p. ojcu memu, ofiarowano do sprzedaży dom zwany *Rezlera* za złp. 36,000, a pod filarami na Miodowej ulicy (dziś p. Dyzmańskiego) za złp. 30,000. W tym stosunku i lokale roczne spadły w cenie; tylko domy zajezdne ciągnęły wielkie zyski.

skiego; zebrał w swojej pamięci wielki zasób wspomnień, który mu na dni późnej i sędziwej starości wystarczył. Oprócz poselstwa o poddanie Warszawy w 1794 r.; w r. 1795 przez gubernatora miasta generała Buxhewden'a, wezwany został do administracji publicznych dochodów; w r. 1807, gdy mieszkańcy Pragi w skutek wypadków wojennych zniszczeni zostali; Stanisław Małachowski marszałek sejmowy, wyznaczył Borakowskiego za kollektora, do zbierania składek dla biednych Prażanów. Zaszczycnie się z tego obowiązku wywiązał, i zebraną sumę za kwitem prezydenta miasta Warszawy złożył. W r. 1809, po bitwie pod Raszynom, po cofnięciu się wojsk naszych na Pragę; wezwany przez obywateli do powitania arcyksięcia austriackiego, wkraczającego z wojskiem do Warszawy, przyjmował go u rogatek miasta. W r. 1810, będąc sędzią apelacyjnym, obrany prezesem Trybunału handlowego departamentu Warszawskiego, urządziwszy ten trybunał, pierwszy, dwa lata stosownie do przepisów prawa, na tym urzędzie zostawał. W r. 1812 przez prezesa Rady Stanu i ministra dyrektora edukacji narodowej, Stanisława Potockiego, wezwany był na członka do nadzoru Lyceum Warszawskiego. W czasach *królestwa* 1816 r. poleconém miał sobie, i dopełnił ułożenia organizacyi miasta Warszawy; w tymże roku, na wezwanie Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, ułożył projekt najdogodniejszego jarmarku walnego w Warszawie.

Córkę swoją Maryannę wydał za Hijacynta Magnuszewskiego. Dnia 21 czerwca 1810 r., w dzień świętego Alojzego Gonzagi, w Warszawie we własnym D. Borakowskiego domu N. 435, na Krakowskim przedmieściu, przyszło na świat dziecię wątłe i słabe, które cichym płaczem powitało światło dnia, jakby go wkrótce pożegnać miało. Matka dotknięta już początkiem nieuleczonej ślepoty, z zamglonym wzrokiem, przyciskając do piersi pierworodnego syna, wpatrywała się z zachwyceniem macierzyńskiej miłości, w szczupłe i drobne oblicze niemowlęcia. Doktor domowy nie długie obiecywał mu życie; ojciec lży gorzkie tań, a dziad, sędziwy polonus, w modlitwie szukał pomocy i nadziei. Tą wątłą dzieciną, a wnukiem Borakowskiego, był Dominik Alojzy Gonzaga Magnuszewski, on nasz prawdziwy poeta, który w samym kwiecie wieku zgasł przedwcześnie, z wielką szkodą dla literatury naszej. Matka jego Marya po niedługim pożyciu, na lat kilka przed zgonem wzrok utraciła, i w samój sile wieku zmarła, zostawiwszy młodszego rodzeństwa troje, dwie córki i syna. Borakowski wziął do siebie drobną dziatwę na wychowanie; Magnuszewski najpiękniejsze chwile wieku dziecinnego a następnie młodości swojej spędził w domu i pod okiem dziada swego. Wspomnienia starca, które głęboko wryły się w umyśle dziecięcia, przeszły następnie w jego utwory znakomite: dla tego mówiąc o Borakowskim, nie mogę pominąć wnuka jego postaci; bo w utworach wielkiego poety, duch dziada i wspomnienia jego, przewiewają (¹).

W tym samym podziemiu grobowca Kazimierza Borakowskiego, spoczywają zwłoki Klary z Magnuszewskich zamężnej Rejnszmit, rodzonej siostry naszego poety. Urodzona w r. 1812,

(¹) W piątym roku życia odumarła go matka: mimo to, jej pamięć i postać głęboko się wryły w spomnieniach i sercu jego. Każda o niej myśl wzruszała go w późniejszych czasach głęboko i rzewnie. Opowiadał mi w dojrzałym wieku, jak raz, a już wtedy jako uczeń prawa uczęszczał do uniwersytetu Warszawskiego; po śnie spokojnym, rano około 7 godziny, kiedy ruch go w bocznym pokoju przy krzątaniu się ludzi obudził, roztworzywszy oczy, przy

o dwa lata przeszło młodsza od niego, po śmierci matki wzięta od pokrewnej Ludwiki z Borakowskich Raciborskiej, mając lat trzy, chowała się w tejże wsi *Zalucze* nad Prutem, gdzie później jej brat Dominik, stale zamieszkiwał. W dziewiątym roku życia przybyw-

oknie ujrzał matki swojej postać. Stała w rogu stołu z pochyloną głową i z wlepionymi oczyma w książkę od nabożeństwa rozwartą. Na krzyk jego przestraszu, postać znikła; ale widział, jak białą ręką zagięła kartkę i zamknęła książkę. Zerwał się cały drżący, porwał za tę książkę, na której zwykle się modlił, i znalazł świeżo założoną kartę, w miejscu gdzie była *modlitwa za umarłych*. Ile razy w późniejszych czasach opowiadał to zdarzenie swoje, zawsze był głęboko wzruszony i przekonany o prawdziwości zjawiska (a).

Od urodzenia wątłych sił i słabego zdrowia, z wiejskiej ustroni, w której się przy rodzicach chował, przeniesiony do Warszawy, tu pod okiem dziada swego wyrastał. Tkliwe zawsze wspomnienie miał dla tej wsi, skąd miłą wyniósł pamięć swobody lat dziecięcych. Była to wieś Ustanów, dziedziczna jego ojca, o mil cztery od Warszawy położona. W żywych wspomnieniach zachował i on dwór obszerny, i piękny ogród, i malowniczą Mazowsza okolicę. Każda postać, czy kiedy się zjawiała na gościnnym ganku, czy zamieszkiwała on dworzec, utkwiała mu w pamięci. A zawsze myśl jego przy tych wspomnieniach zwracała się do postaci matki, co pozbawiona wzroku, przesuwająca się cicho i powolnie po komnatach, i słuchem, dotknięciem rąk, poznawała przedmioty, i najmłodszej dziecięcy oblicze, którego oczyma nie zajrzała rysów twarzy. W dwadzieścia i kilka lat później, kiedy się daleko odbił od rodzinnego gniazda i z wybrzeża Wisły, osiadł nad brzegami Prutu pod Tatrami, po stracie młodszego brata swego Józefa, który zmarł w dzieciństwie jeszcze wieku; przygnębiony troskami, doznawszy smutnego zawodu nadziei, zakosztowawszy goryczy z czary doświadczenia i rozczarowań; wracał jeszcze pamięcią do tego ustronia wiejskiego, i w rzeźnym wierszu: *do siostr moich*, przypominał je sobie, mieszając obrazy sielskie *Ustanowa*, z zawodem marzonych nadziei.

Zamieszkałszy stale przy sędziwym dziadku po śmierci matki, gdy Ustanów przeszedł w inne ręce; nowe wrażenia, nowe wspomnienia, wzbogacały myśl dziecka wyrastającego w młodzieńca.

W tym samym domu na Krakowskim przedmieściu, gdzie się urodził nasz poeta, a następnie przemieszkiwał gdy był uczniem liceum Warszawskiego i uniwersytetu; w małym pokoiku z jednym oknem na małe podwórko, spoczywał i pracował. Tu przy tym oknie, miał widzenie swojej matki; tu zbierali się towarzysze jego młodości, tu najpierwsze swoje utwory kreślił. A od ulicy Krakowskiego przedmieścia, w swojej sypialni przesiadywał s. p. Borakowski. Zawsze dzień niemal po dniu odwiedzał w latach nieco młodszy i krzepiejszy w siłach dawny palestrant, a następnie sędzia Najwyższej Instancji, Plichta; i przy lampce wytrawnego węgryzyna, gwarzyli po kilka godzin. Nasz poeta w młodych latach zanim zaczął do szkół uczęszczać, przesiadywał całe godziny obok tych sterców, których postacie, głęboko wryły się w pamięci jego. A obie te postacie, różniły się wiele wśród z cudzoziemska przebranych mieszkańców Warszawy. Borakowski i Plichta nosili się po polsku w kontuszach i żupanach. Pierwszy niskiego wzrostu dobrej tuszy, na okrągłym a pełnym obliczu, z wyrazem łagodności i dobroci; Plichta nie mniejszej tuszy, ale ta, nikła w wyniosłej smukłej postaci; z więcej pociągłą twarzą, na której surowszy i zimniejszy malował się charakter. Od dziada swego nauczył się gładko pas słucki zgrabnie opasywać i zakładać, i poznał, że to osobnej wprawy i zręczności potrzebowało. Z rozmowy swobodnej dwóch tych serdecznych przyjaciół, zachwycił starego jeszcze z ostatnich czasów rzeczypospolitej języka: posłyszał ową tradycję żywego słowa, i wypadki dziejowe, którychby na próżno w drukowanych książkach wyszukiwał. Bo ci starcy radzi gawędzili o latach swojej młodości; ogarniali niemal całe panowanie Stanisława Augusta, konfederacją Barską; to o czasach rządu pruskiego, a w ostatku księstwa Warszawskiego i królestwa polskiego. Kiedy Plichta opisywał Palestę i podróże swoje po kraju, stosunki z rozmaitymi znakomitemi rodzinami, to wypadki konfederacji Barskiej; Borakowski od pół wieku osiadły w Warszawie, miał co opowiadać z dziejów tego grodu i wypadków dziejowych, w których stolica dawniej rzeczypospolitej niepoślednią odgrywała rolę. Opowiadał o wzroście tego grodu, o dawnym jego stanie, a znał to wszystko dokładnie. Jak się miasto zaludniało w dniu uroczy-

(a) Nie pierwszy raz miał tego rodzaju widzenie. Kiedy był w Lyceum Warszawskim, a nie miał więcej jak lat 12 lub 13, rano zbudziwszy się, ujrzał w rogu szafy między nią a oknem, jakąś postać wyrazistą męzczyzny sędziwego, w peruce wypudrowanej, w czarnym fraku, w krótkich spodniach, pończochach czarnych i trzewikach z wielkimi stalowymi sprzączkami. Widok ten wcale go nie przeraził. Ubrawszy się, poszedł do dziadka i opowiedział mu wiernie swoje widzenie. Starzec człowiek światły i ocytany, zamyślił się długo; poczem kazał wnukowi odejść. Dopiero później go objaśnił, że ta postać którą Magnuszewski tak dokładnie opisał, była dawnego dziedzica tej kamienicy którą Borakowski kupił; a umarł daleko wcześniej, nim się nasz poeta urodził.

szy z opiekunką swoją do Warszawy, już nie chciała wracać, bo zapoznawszy się z rodzeństwem, nie dała się od niego oderwać. Brat też ukochał ją serdecznie; a jój postać na pozór chłodna i poważna, w skutek wychowania w samotności bez rodziny, wzbudzała tak choć

ste, w czasie zjazdów sejmowych; to o swoim poselstwie w r. 1794, gdy się z Makarewiczem razem przez Wisłę przeprawiali na łodzi; jak chustką białą na lasce powiewać musiał, aby z Pragi zaprzestano strzałów; jak od samego sławnego generała Suwarowa w miejsce zabranego mu zegarka, otrzymał w darze jego własny. Borakowski żył w ścisłych stosunkach przyjaźni ze sławnym malarzem Bacciarellem. Artysta ten malował portret jego córki Maryi, a matki naszego poety, i portret samego Borakowskiego. Miał prócz tego w darze od Bacciarellego piękny portret (po kolana) króla Stanisława. Obraz ten, artysta robił na zamówienie księcia arcybiskupa Poniatowskiego, brata króla; po nagłej wszakże śmierci księcia, obraz ofiarował Borakowskiemu. Te wspomnienia dawniejszego stanu Warszawy i Bacciarellego, odbiły się później w ślicznych utworach Magnuszewskiego: w *zemście panny Urszuli* i innych. Zaczął szkoły w liceum Warszawskim, i te ukończył złożeniem egzaminu dojrzałości; następnie zapisał się w uniwersytecie Warszawskim, na wydział prawa i administracyi. Tu, w ściślejsze stosunki przyjaźni wszedł z Fryderykiem Szopenem, sławnym później na świat cały kompozytorem, z Zygmuntem Krasińskim i Konstantym Gaszyńskim. Szopen, gość częsty w domu Borakowskiego, w przymrocnej porze siadał do fortepianu i grał długo. Uciszało się wszystko do koła: starzec w przyległym pokoju przysłuchiwał się z zajęciem; młody poeta obok, napawał się cudną melodyą, co wypływała z pod rąk Fryderyka. A nie grał nic znanego: najczęściej z ludowego tematu improwizował cudowne fantazye. Tu tego mistrza nad mistrzami zapoznałem raz pierwszy. Właśnie była to chwila kiedy F. S. Dmochowski tłómaczeniem powieści Walter-Scota, zwrócił uwagę powszechną na powieści historyczne: kiedy Bernatowicz *Pojatą*, Niemcewicz *Janem z Tęczyna*, a Fryderyk hrabia Skarbek, którego ulubieńcem był Magnuszewski, *Panem Starostą*; jak K'lementyna Tańska (Hofmanowa), cudnym *Dziennikiem Franciszki Krasińskiej*, rozpoczęli tak pięknie pierwsze ocknienie się u nas narodowo-historycznej powieści. Magnuszewski, Krasiński i Gaszyński młodzi i pełni zapału, postanowili razem napisać powieść historyczną; i wkrótce drukiem ogłosili powieść we trzech tomach: *Władysław Herman i dwór jego*. Magnuszewski porzucił ten rodzaj, bo jak mi mówił, że twardy to orzech do zgryzienia dla młodego pisarza, co przy zasobie zapału i instynktu artystycznego, nie ma głównego w sobie zasobu do historycznego obrazu, w znajomości i zgłębieniu nie tylko dziejów, ale szczegółów domowego życia

Kiedy Gaszyński zasmakowawszy w tym przedmiocie, wykończył w druku powieść swoją *Dwaj Szreniawici*, przyjeżdża trupa artystów dramatycznych prowincjonalnych i w sali gmachu Dobroczyńności otwiera teatr. Publiczność Warszawska zwabiona nowym rodzajem widowiska, tłumnie zaczęła uczęszczać; śmiano się i żartowano z niezgrabności i nieumiejętności owych aktorów; ale teatrzyk był zawsze pełny. Dyrekeya teatru narodowego wtedy zobaczywszy, że może drugi istnieć teatr w Warszawie, wzięła go pod swój zarząd; i to był pierwszy początek *Teatru Rozmaitości*. Szkoła dramatyczna dostarczyła zdolniejszych artystów, a z dawnych prowincjonalnych, jeden Niwiński artysta z rzetelnym talentem komicznym, pozostał. Wypadek ten, obudził zapał młodzieży ówczesnej, do pisania sztuk dramatycznych dla *Teatru Rozmaitości*. Pierwszy dał hasło do tego utalentowany autor „Pana Starosty.” Wyborny *popas*, *Nieproszeni goście*, *Biuraliści* i wiele innych drobnych sztuk a pełnych dowcipu i szczęśliwie schwyconej charakterystyki w przedstawionych postaciach, zdawał się zapowiadać świetną przyszłość krajowej scenie. W te ślady poszedł i Magnuszewski (a). W roku 1828 przedstawiono jego komedią wierszem: *Stary Kawaler*, w której Niwiński wybornie odegrał rolę główną starego kawalera: dykteryjka jego przy oświadczeniu się pannie, była żywcem naśladowana z gawędki i starych piosneczek, które sobie nie raz Plichta z Borakowskim przypominali. Zaszczytne przyjęcie tej komedyi zachęciło Magnuszewskiego do napisania we dwóch aktach wierszem drugiej komedyi pod napisem: *Zdzisław czyli skutki płochości*; przedstawioną była w r. 1829. I ta równo jak pierwsza doznała przyjęcia. Cieszył się wielce sędziwy dziadek temi pracami wnuka, sam światły, umiał ocenić wartość utworów z czytania, bo nie mógł ich widzieć przedstawionych na teatrze, już bowiem do domu nie wychodził: przechadzał się po swój komnacie; a po złamaniu ręki, starą karabelę swoją zdejmował ze ściany, i machając *krzyżową sztuką*, wzmacniał słabą rękę i ruch ciała nadawał.

W one czasy zjawiał się *Hernani*, sławny dramat Wiktora Hugo. Magnuszewski zaczął jego przekład wierszem — już trzy akta przetłómaczył; gdy w r. 1830 wypadki przerwały jego prace literackie. Właśnie może na

(a) Pisali dla tego teatru i tłómaczyli: K. Gaszyński, Borys Halpert i wielu innych uczniów uniwersytetu.

w starszym bracie, jak i w młodszych, pewien rodzaj uszanowania. Zewnętrzna ta surowa oblicza jej powłoka, w późniejszym życiu nie raz była dla niej powodem gorzkiego żalu, gdy ją mniej znający uznawali za nieczulą i obojętną. Na trzy lata przed śmiercią, zaczęła pisać w sa-

miesiąc przed tem, poznaliśmy się bliżej. Po próbie powieści historycznej na spółkę pisaną, zapragnął utworzyć dramat historyczny w większych rozmiarach. Podalem mu przedmiot Hieronima Radziejewskiego i wskazałem potemu bogate materyaly. Z zapalem młodziej a wrzającą duszą, pochwycił tę myśl, ułożył plan, i dwa akta nie całe napisał; a z podania którem mu powtórzył, skreślił *Morauskiego* konfederata barskiego, jeden z najpiękniejszych w naszej literaturze utworów poetycznych, który wyprzedził o wiele czasu utwory Pola, i zaprawdę zwrócił myśl tego poety, na ten rodzaj poezyi. Dnia 3 sierpnia 1831 r., otrzymał Magnuszewski list ze smutną wiadomością o niebezpiecznej chorobie dziadka swego. Wzruszony głęboko, z wielkim smutkiem pożegnał się ze mną, a dosiadłszy konia, siedm mil na nim pędził do Warszawy. Ale niestety! już tylko martwe zwłoki opiekuna swego zobaczył. Na ten widok upadł zemdlony; otrzeźwiony, nglął pokilkakroć, w nocy zrywał się w gorączce: chciał drzwi wybijać, bo słyszał (jak mówił), że go dziadek wola. W kilka dni powrócił: w uścisku przyjacielskim, niemym, lzy pierwsze po tej stracie ujrzałem. Osmutniał wiele; w gwarze wszakże obozowego życia, orzeźwiał wkrótce; ciągle się tylko troszczył przyszłością siostr swoich i zapewnieniem ich szczęścia. Wezwany uprzejmym listem od bliskich krewnych swoich, wyjechał do Galicyi z początkiem roku 1832 i tu osiadł na zawsze. Znany zaszczytnie jeden z pierwszych powieścio-pisarzy naszych, Józef Dzierzkowski, napisał *Powieść* o życiu poety; a jedyną jej postacią, jest nasz poeta. Oto jeden z niej ustęp:

„Pamiętam jakby to dziś było, gdym raz pierwszy Magnuszewskiego poznał. Było to w późnej jesieni, wśród liści żółkłych, które wiatr unosił na zmącone Prutu wody; poznałem go bowiem w owem Pokuciu naszym, nad brzegiem tej rzeki historycznej, która mu potem tyle cudnych naszemrała w ucho wieści, o wołoskich wyprawach, o bukowskińskiej potrzebie. Były to dnie posępne, więcej jak posępne. I pamiętam silne wrażenie jakie zrobił na mnie całą postawą i twarzą swoją. Błady, chudy, skurczony, twarzą młodą, a starcami zmarszczkami, temi smugami, któremi znaczy swój przechód ława wewnętrzna; wydał mi się dziwnie pięknym, bo na czole jego była myśl, ta prawdziwa korona ludzka; w oczach jego był blask wyższości umysłowej, jeden to prawdziwy blask wyższości arystokratycznej. Życie pracowite obudzonej duszy, walka myśli z ciałem, wyraźnym alfabetem wypisane były na tej twarzy, nic nie mówiącej dla drugich, którzy nigdy nie sylabizowali alfabetu uczuciowego. Cierpienie występowało widocznie z wychudzonych liców. Żal mimowolny ścisnął serce moje, żal przecuciowy, jaki nie raz rozbudzają twarze, na których rzechy można, Baltazara głoskami wypisany smutek i krótka ich przyszłość. Bo to gliniane naczynie, w którym mieszkała dusza Magnuszewskiego, było bardzo słabe. A bezkarnie nie można być poetą: od ognia który w niem płonie, wnet się naczynie popsuje, popęka i rozerwie.”

Rzeczywiście wzięło Magnuszewskiego zdrowie, przez trudy, zgryzoty ciężkie, zaczęło coraz więcej ulegać chorobom: przyjęty z rodzicielską troskliwością w zacnym domu pokrewnych swoich s. p. Józefa Raciborskiego i Luwki z Borakowskich małżonki jego, odetchnął swobodnie; ale tajemny smutek ciągle go trawił. Tęga zima, brak ruchu do którego nawykł, przyczyniły się też nie mało do jego osłabienia. Przecież z nadejściem wiosny 1832 r. znacznie orzeźwiał, cała okolica zmartwychwstała z lodowej i śnieżnej szaty; w całym blasku uroku, rozwinęła swoje powaby. A rzec można, że ten zakąt, to stare Pokucie: to raj starej Rzeczypospolitej. Wieś Załucze w której zamieszkał, o mile od miasta Kołomyi położona przy drodze bitej, w urodzajnej glebie, z dwóch stron rzeki Prutu rozrzucona, w cudownie pięknej okolicy. Z jednej strony od bitej drogi, rozściela się równina, z drugiej Prut jak niebieska wstęga rozwija, a na przeciwnym brzegu, kilka stopni Karpat jedne na drugie wzniesione, uwieńczone lasami; a nad ostatnimi garbami tych olbrzymów, wyższa nad wszystkie, kryjąca swój wierzchołek w chmurach, zasiadła *Czarnahora*, owa słynna stolica, głośnego w pieśniach tutejszego ludu, śmiałego wodza *Opryszków*, *Dobosza*. Z wiosną wróciwszy do ruchu, do przechadzek i konnej jazdy, rzeźwiał coraz więcej; przez lato pobyt w górach burkuckich i kąpiele, zdawały się przywracać mu dawne siły. Pomyślnie wieści od siostr, nie mało wpłynęły na uspokojenie smutku. Zaczął pracować na nowo, przy ciągłym czytaniu. Teraz wykończył dramat w pięciu aktach wierszem *Hieronim Radziejowski*; pisał wiele drobnych wierszy: ułożył plan wielkiego dramatu z czasów króla Ludwika: *Władysław Biały*. Zaczął szperać i rozczytywać się w starych kronikach i pomnikach dawnej literatury, jakie mógł znaleźć pod ręką. Towarzysząc mu ciągle, sam poddawałem materyaly dziejowe. Chwytał je chciwie, jak chwytał zarówno utwory nową a pełną blasku literatury francuskiej. Przybycie jego siostry młodziej, wspomnienia wzajemne lat dziecinnych, wieści o przyjaciółch młodości, rozsepiło jego czoło

motności wiejskiej dzienniczek, nie dla świata, bo go ukrywała, ale: „Kiedy mnie nie będzie (píše), które z moich dziattek gdy znajdzie, może przeczyta ten dzienniczek i westchnie za mną, bom zasłużyła na to; a czule, bom dużo cierpiała! Lękam się zimy, tych długich samotnych wie-

troskami zorane. Teraz przywiedziem ustęp z powieści „O życiu poety” Józefa Dzierzkowskiego, jako bliższego świadka dalszych lat życia Magnuszewskiego.

„W lat kilka po pierwszym poznaniu naszym, odwiedzałem go w tymże samym Załuczu. A było to na wiosnę; uroczą tej okolicy przyroda jaśniała wszystkimi barwami najpiękniejszemi, w pośród zieloności ogrodu oplukanego wodami Prutu, które zdawały się jęczęć jeszcze pamiątką zimowej niewoli, wśród woni wiosennej, wśród śpiewu wesołego ptaków, owiani powietrzem, które nam z gór przyplywało wolne i świeże, staliśmy naprzeciw siebie smutni, jednym smutkiem, smutkiem który chylił czoło jego ku ziemi. Jakże był zmieniony! Ni wesołej swobody na czole, ni uśmiechu na twarzy, oczy tylko jego lyskały promieniem, w którym walczyło natchnienie z przeczuciem, ogień życia, z gorączką choroby. To przeczucie kamieniem mu ciążyło na sercu, — nie, by życia żałował, które już wtenczas było skrzywione, ale był to żal niekażdemu pojętny, żal poety za pieśnią, którą dośpiewać już nie ma siły, za natchnieniem zamierającym w piersi. I później gdy to cierpienie w coraz większe rosło bóle, wymowniej niż jabym zdołał, opisał on łzami serca to cierpienie poety umierającego w pół drogi. Czytaliście zapewne tę pogadankę, której nadał nazwę *Herbata*. W niej to ostatkiem sił swoich zapłakał nad niedawno zgasłym Józefem Borkowskim; a malując bolesne uczucia poety, któremu tchu do śpiewu brakuje, cierpienie autora, któremu czasu już nie staje, by całe w myśli już wyrobione dzieło wyrzucić z siebie dla pożytku ziemiaków, — płakał on nad sobą, malował własne uczucia i cierpienia. I długo go wówczas pytałem; z jego miłczenia, z jego niechętnych, urywanych odpowiedzi i z przyszłych dopiero wydarzeń, zrozumiałem, dla czego całe jego życie było skrzywione, wówczas już kiedy zdało mi się, że go otacza spokój i szczęście. Ktoby mógł pomyśleć, że w środku najszlachetniejszej z ludzkich cnót, która była najpiękniejszą jego zaletą, może się ukrywać zarodek złego? A przecież z jego nieograniczonej chęci poświęcenia się dla drugich, wywinęło się to złe, które miało tyle wyrzeczć wpływu na przyszłość jego. To poświęcanie się jego w przyjaźni i w innych uczuciach, wypieranie się samego siebie we wszystkich związkach i stosunkach życia, było w jego czystej, poetycznej, wszelkiemu zapalowi otwartej duszy, posunięte do takiego stopnia, iż z zalety stało się wadą, z cnoty stało się występkiem moralnego samobójstwa i przyprowadziło nań zgubę. Znalazłszy przytułek fizyczny, spokój po niewygodach wędrówki, czułą twarz matki namiętnie przywiązującej się do niego, miasto twarz obojętnych, zdało mu się, iż za te tyle darów i uczuć dające mu ustronie, powinien odpowiedzieć bezgranicznym poświęceniem się tej, która mu najkosztowniejszy dała klejnot uczuciowy, — serce matki. — I stosunek ten cały, pojął w poetycznym znaczeniu, a wdzięczność stopniował w swej sprawiedliwości exaltowanej aż do entuzjazmu. I nie miał swęj woli naprzeciw woli przybranej matki. Zaczynała ta ze wszechmiar niewiasta, pokochala go z tém silniejszą namiętnością, im nie spodzianiej zdybało ją przy końcu życia to przywiązanie dziecinne. Jej przywiązanie matczyne, było prawdziwą namiętnością; ona zazdrościła książce, którą czytał, przyjacielowi którego uściślał, towarzyszeni z którym rozmawiał, pokojowi w którym się dla pracy zamykał. A bojąc się o słabe zdrowie jego, pieściła go i pielęgnowała z całą nieodstępną troskliwością matki, czuwającej nad małym dzieckiem. Wszystko ją straszło: praca, by go nie zamęczyła, samotność, by go nie znudziła, przechadzka swobodna poety, by go nie oziębila. Dreszcz natchnienia, brała za dreszcz choroby, rumieniec zapalu, za rumieniec gorączkowy. Biedny poeta mniemałby być niewdzięcznym, gdyby się jej sprzeciwił: więc odrywał się od zaczętej pracy, by się obojętną męczyć rozmową; porzucał samotność z całym bogactwem obrazów, jakie w niej gromadziło natchnienie i wyobraźnia, by się nudzić sąsiedzkimi wizytami, okładającemi umysł jego rozpalony, lodowemi kompresami; z przechadzki która mu piersi do życia otwierała, wracał do dusznych pokoi; zdrowym ciałem kładł się nieraz do łóżka, by osłabić duszę. Skutki tego stosunku nienaturalnego, postępowały pomału, nieznacznie, ale postępowały ciągle. Spokojne schronienie jakie znalazł, stało mu się więzieniem; wygodne i pieszczotne otoczenie rąk macierzyńskich, stało mu się klatką; przywiązanie święte, przywiązanie wdzięcznego dziecka, stało mu się łańcuchem przykuwającym go do kobiety kochającej, dobrej, ale nierozumiejącej w swém ślepym uczuciu potrzeb i życia poety. W tym właśnie czasie wyjechał Wójcicki, a on został sam jeden z matką, która w krótko owdowiała; i wszystkie odtąd uczucia swoje niepodzielone, a zwiększone smutkiem szukającym pociechy, przeniosła na niego. Walka ta ciągła, musiała niszczyć zdrowie jego i stawała zawadą pracom umysłowym. Zesmutniał, pochylił czoło, lecz z każdej wolnej chwili korzystał, i mimo przerw wielu, wyrzucał dalej z piersi swojej, porozpóczynane a żyjące w tej piersi

czorów; a gdy wspomnę ile ich przeżyłam, zdaje mi się iż to niepodobna, i że teraz jużbym tego nie potrafiła: czyliż z młodością i cierpliwość ucieka?... *Moja młodość!* alboż ja ją miałam śmiejącą i bogatą w przyszłość, jak inne dziewice? *Moja młodość* spędzona na łonie starości, która

obraży. Matka widząc go smutnym, milczącym, wśród sąsiedzkich, głośnych jak dzwon i próżnych jak dzwon pogadanek; zaczęła w swęj myśli szukać innego środka, by mu przywrócić zdrowie, a z nim i humor wesoly. I odgadła wedle swego pojęcia, że samotność go nudzi, a jako środek przeciw niej, wymyśliła — żonę. A trzeba tu oddać sprawiedliwość jej: nie bez ogromnej walki, z namiętną zazdrością, jaka się mieściła w tém jej uczuciu wyłącznem, zgodziła się sama z sobą na ten środek wedle niej zbawienny. Ona chcąc mu żonę znaleźć, poświęcała się. Szczególne przeznaczenie biednego poety! Jego dziecinne poświęcenie się przygotowało zgonę, którą miało dokonać poświęcenie się macierzyńskie? Gdyby nie te dwa poświęcenia się fałszywie zrozumiane, żyłbyś poczciwy Dominiku, i nieskrzywilby się twój talent. Zaczęły się odtąd smutne dla poety wędrówki za żoną, odwiedziny bliższych i dalszych sąsiadów, owe u nas rozwekłe, małżeńskie przedmowy, swatania, oświadczenia, ukłony, uściski, długie obiady, dłuższe wiwatowe kielichy, z tém krótszym rozumem na dnie. i to wszystko musiał odbywać poeta na zimno, bez zapalu, miał brać żonę po obywatelsku, jakby konia kupił, wołu, — on — który jeżeli marzył kiedy o żonie, to chyba ją wziął po poetycznemu, z miłością w sercu, a zapalem w duszy! I widzieć i słyszeć i być uczestnikiem tego targu małżeńskiego, w którym posag jest główną rzeczą, a żona dodatkiem! — On potrzebował swobody, powietrza, swobody by mógł bujać i marzyć, biegać i latać. — Na co jemu żona? o której nie myślał, która miała być dla niego nowym ciężarem, nową wagą przyczepioną do łańcucha, w który go okoliczności okuły. On nigdy nie marzył ciałem, tylko duszą: bo sam był bez ciała prawie; on był duchem tylko! Lecz na cóż dłużej mam się rozwodzić nad tą smutną w życiu biednego poety epoką. Dostał żonę z posagiem i obowiązkiem oczyszczenia zadłużonego majątku. Od razu on, który nigdy nie myślał o jutrze własnem, miał myśleć o jutrze żony i matki. Poeta młody, miał się od razu przerobić w męża i szlacheca robiącego majątek. Niebyłby to przedmiot do komedyi, gdyby nie był przedmiotem do najdramatyczniejszej trajedyi? I zaczęła się trajedyja w życiu poety. Przywiązał się do żony, bo wybór choć przypadkowy, był szczęśliwy. Tém też gorzej było dla niego. W walce ze złą żoną, byłby może odzyskał energiją i skruszył więzy, porzucił wszystko, i wolny z lotnem tylko skrzydłem, poleciał i tu i tam — i tu zaśpiewał i tam zanucił, a wszędzie znalazłby przyjaciół, co by go kochali, uczucia koleżeńskie, któreby go zrozumiały; wszędzieby uniósł z sobą ani majątkiem, ani długiem, nie obciążoną wesołość swoją natchnienie i pieśni swoje! . . . Lecz żona była dobra, matka była dobra, i pieścili go i ściskali go coraz mocniej, coraz serdeczniej, coraz cieśniej. Zawitała troska w domu młodego małżonka, troska nieodstępna o jutrze, — krótką chwilę ojcowskiego uczucia nad kolebką i trumną razem dziecięcia oplacić musiał kilkoletniem konaniem chorej żony, którą trzeba było pielęgnować jak bezwładne dziecko. Zawitały papiery sądowe, pozwy, umowy z adwokatami, układy z dłużnikami, niezrozumialsze dla niego od chińskiego języka. „Róbże majątek! mówila mu wdzięczność synowska, obowiązek mężowski — wszak na to wziąłeś posag.” — „Oplacaj długi moje! z czułością płacząca mówiła matka; wszak dalam ci żonę z posagiem” — I robił majątek wyrobnik nieszczęśliwy, z taczką, której podolać nie zdołał. Tracił tylko siły i życia swego cząstki, rzucał w łóżko konającej żony, w obowiązkowe rozmowy z matką, w gospodarstwo którego nie rozumiał, w processa których nie pojmował. I przyszy długi w dom i już go nie porzucili; długi dla poety z natchnieniem i szlachetnością w duszy, jest to jad trawiący bez ratunku. I cóż się stało? . . . Piękny domek, zielony ogródek i wody Prutowe, trzeba było porzucić i szukać dachu na świecie. . . a za nim poszły jęki żony i wymówki matki, i processa, i długi, i myśl o jutrze, i własnego sumienia zarzuty. A poeta wśród jęków, narzekan i płaczu, konał pomalu konał bez ratunku. . . bez ratunku! Dziwiacie się może, — obejrzyjcie się i zajrzyjcie w dzieje własne! . . . Czyż jest u nas ratunek póki czas, ratunek wymagający ofiar? — Złotą obrączkę chętnie się dorzucą do pełnej już skrzyni; za prawdziwie zaś potrzebnym, woła dzisiejsza litosć: „Niech Bóg opatrzy! Cóż robić? sam sobie winien.” I nie żądał ratunku poeta biedny! i dobrze zrobił; walczył, cierpiał — i umarł; ale się nie poddał. Złamany, pękł i runął, ale się nie ugiał. Łatwo pojąć, że w pośród takich cierpień, nie mógł ciąglej oddawać się pracy. A choć na chwilę nucił do ulubionej samotności, zamarzył jak dawniej i zaczęły się przesuwać obrazy, w których się był dawniej rozlubował, i występowały mu coraz jaśniej, coraz widoczniej i barwniej; wnet je rozdmuchał powiew suchój rzeczywistości. I dla tego, chociaż mamy z owych czasów wiele rozmaitych utworów, a w każdym przebija natchnienie prawdziwego poety, nie zdołał już wykończyć pozaczynane większe dzieła swoje. Z rozpaczliwą ochotą, chwytal się do pracy, rozpoczęte zostawiał dzieła, czując że mu brakuje czasu; więc nowe rozpoczynał, w nadziei, że je prędzej ukoń-

nie mogła zrozumieć ani jój pragnienia, ani jój zapału, i rozsądkiem zawczesnym, przygłuszała wrzące uczucia moje; aż je ujawszy w karby, wyrobiła mi powierzchowność spokojną i zimną, co zwodzi wiele osób, które mnie mniej znają.”

czyć potrafi, lecz i te wnet przerwać musiał. A źródło poezji drżało w niem, czuł jak bogaty skarbiec myśli i uczuć ma w sobie; i chciałby je ziomkom wysławiać. Słabiejącym głosem mucił od czasu do czasu, to tę to ową przygrywkę, jeniałną, poetyczną. — I możemyż potępić jego talent, jeżeli tyle cudnych zostawił przygrywek tylko? Musiało to być okropne cierpienie dla niego, zwiększone o całą siłę jego wyobraźni, którą nie mogąc zatrudnić na zewnątrz, zamykał w sobie jak wroga, który mu ciągle oko w oko zaglądał, i przywoził mu przed oczy rys po rysie, cały obraz codziennych udręczeń! i w przyszłości tym najdroższym skarbie, który jeden poccie zostaje, gdy go wszystko opuszcza, pokazywał mu próżny step! a na nim wszystkie te marzenia, które dawniej wesoly młodzieniec wysyłał najprzód, by czekały nań tu ze Izą bratnią, tam z czią ziomków, tu z wieńcem: wszystkie mu teraz szyderczym wyszczerzały uśmiechem, i uragały się niemocą, osłabieniem, śmiercią! W takich to chwilach gorczy i rozpaczy, napisał on *Kamilla*, dramat, do większej połowy ukończony; i drugi dramat *Rozbójnika salonowego*, któremu tylko parę scen brakuje. Nie ma w nich tej siły dawniejszej, ale jest rzewność poetyczna, istry wyciskająca, a co najwięcej warte wspomnienia, niema w nich tego smutnego sceptycyzmu, który tak łatwo wyradza się z cierpień, z poniszczonych nadziei i z rozwianych złudzeń, który w wielu poetach pojawia się jako dowód przesycenia uczuciowego, jako granica talentu chylącego się do upadku. On miał do ostatka w sercu swojem miłość nieograniczoną dla ludzkości, pobłażanie bez końca dla wad, i wiarę w cnotę. On płacze, lituje się nad zdrożnościami, ale nie potępia ludzi, nie drwi z ich uczuć. Nie znane mu jest szyderstwo, ta straszna broń sceptycyzmu, — ten piekielny śmiech potępieńców! — I to właśnie mam za najpiękniejszą właściwość jego talentu, który był jeszcze w swój pełnej i czystej sile! Czy może być piękniejszy dowód czystości i elastyczności jego talentu, jak w ostatnich chwilach, wśród rozpaczy terażniejszej i przeczucia przyszłości, ta ucieczka jego do uczuć natury, do wrażeń i głosów przyrody, w *Dramacie natury*, jednem z ostatnich dzieł jego, utworze chaotycznym, za prawdę, ale pełnym szczegółowych piękności. To znowu chwilową pracą rozegrzany, nowe roil plany, które poczynane, lub ogólnemi tylko zarysami odcieniowane. znajdują się w pozostałych po nim pismach, jak np: *Dwie abdykacyje*, powieść historyczna, olbrzymio zakrojona, i *Dramat ludzkości* olbrzymiejszego jeszcze rozmiaru. O drukowanych nie mówiąc, zostało jeszcze prócz tego parę recenzji o *Kraszewskim* i *Lamartynie*; plan do dramatu *Zborowskich* i wiele innych porozpoczynanych robót, w których wszędzie przebija myśl zdrowa i piękna. Lecz gdzież były siły do ich ukończenia? Jeszcze jeden ostatni obraz powieści jego! Matka urażona, że poeta nie umiał robić majątku, w innym zamieszkała domu; a jemu był to zarzut nowy, okropnie bolący. — Żona po kilkuletnich cierpieniach umarła, zostawiwszy mu żal nieutulony w sercu, a samotność grobową w okolo niego. — I wiedział, że umrzeć musi. Siły go co dzień opuszczały; w przyjacielskim domu siedział biedny poeta i dumał! . . I jeszcze raz przypominał sobie z bolesnem uczuciem, ile pozaczynanych dzieł czeka na ostateczne ukończenie. A myśli żarzą mu jeszcze w głowie, a w piersi grają uczucia i prą się do pieśni, lecz usta już niemiejają, — trętwięją palce. — A więc zginąć mają pieśni niedośpiewane, kiedy tak wielkie są chęci? — Nie! śpiewać będę jeszcze! I lysnęły mu oczy, dawny zapal strzelił z nich. — Kazał przynieść do łóżka biurko swoje, i porwał pióro. Uśmiechnął się do ponurnych przyjaciół swoich, którym tyle pięknych myśli powierzył. Porwał je w ręce, by im resztę tajemnic, które mu się w łonie paliły, dogadać! . . I wypadło pióro z ręki, westchnienie wyrwało się z piersi jego . . . tajemnicą ostygły lotne myśli, wzniosłe uczucia, natchnienia wieszczę! . . . Dominik Magnuszewski nie żył już! —

O ostatnich chwilach zmarłego poety, podamy szczegóły z listu pisanego do mnie przez Ignacego Uniszewskiego, przyjaciela Magnuszewskiego, który mu w ostatnich chwilach był pomocą i na którego rękach skonał (a).

Zamieszkał Magnuszewski z żoną we wsi Chomiakówce, pod miastem *Gwoździec*. W Marcu 1844 roku na groźbie sąsiada przeziębził się, i od tej chwili poczyna się choroba i cierpienia, które chociaż przerywane polepszeniem i ulgą na dni kilkanaście, zupełnie, nigdy nie ustawały. W dniu swoich imienin, przykutym do łoża, gdy zebrało się grono przyjaciół, składając mu swoje życzenia, on klęcząc w boleściach, jękiem odpowiadał. Przywiązana żona dotknięta nieuleczoną chorobą, której jedynem lekarstwem była śmierć tylko, zbierała ostatek sił swoich, aby nieść pomoc i ulgę mężowi. Dla obojga męczenników życia, świat już nie miał pociechy: gdy po stracie jedynego syna, smutek i żaloba zasiadły u domowego ogniska; wtedy to, w wolnych chwilach, gdy sam mniej cierpiał,

(a) List ten z daty 24 Maja 1845 roku.

Zaczęła go pisać już po śmierci brata swego, w sierpniu 1843 r. Na pierwszej też karcie, zaraz czytamy: „Bracie ukochany! dobrze powiedziałeś: cierpienie, jest to korona którą winna przymierzać każda niewiasta. Biada téj, której głowa opadnie pod tém ubraniem losu!”

gdy utuliła jęk cierpienia żona, drżącą ręką skreślił życie swoje Magnuszewski, w wierszu: „*Dwoje piastunek*,” który w całości tu podajem, jako wierny życiorys tego męczennika-poety (a).

(a) „Od kolebki, tylko, tylko,
 Com przeczolgał kilka lat;
 Już mnie rzuca jedną chwilką
 Matka, idąc w inny świat,
 I zostawia chłopię młode
 Na wygodę, niewygodę,—
 O! już w on czas główka mała
 Przęlla wdzięcznych widmów rój.
 Co żądała, nie żądała,
 To się pletło w senny zwój;
 Zlatywała myśl nieboga,
 To od Boga, to do Boga!
 Raz sennemu tak przypadło
 Dwoje dziewic, białych róż,
 Jak widziało, niewidziało,
 Przy nagłówku stały tuż.
 Jak do matki, ku nim kłonie
 Jednej dłonie, drugiej dłonie.
 I spierały się dziewice,
 Która dziecko nianńczyć ma;
 „Ja mu dam śmiejące lice,
 Niechaj zbytek szczęścia zna,
 I myśl jego się pobrata,
 To ze światem, to do świata.”—
 —„Puszczaj siostró! rzecze druga,
 Puszczaj rączkę; w malcu tym
 Budzić roskosz nie posługa,
 Ni to jemu, ni to im.
 Ja go wniańcze w ostre bóle,
 I w niedolę—i w niedolę.”—
 A mówiła taką twarzą,
 Tak jej oczy zaszyły łzą,
 Tak się w niej cierpienia skarżą;
 Że mi ku niej piersi drżą,
 Żem się rzucił cały pono
 Na jej łono — i w jej łono.
 W on czas zdala, znikła, znikła,
 Druga postać w jasném tle;
 A mnie smętność tak niezwykła,
 To do główki, to w pierś się. —
 Bo zostałem z własnej woli,
 Dzieckiem doli i niedoli.
 Odtąd nianka zazdrośnica,
 Zaszczepiała dzień i noc,
 Boleść w serce, smutek w lica,
 Słabość ciała w męzką moc.
 Urabiała Bóg wie na co,
 Te ładaco, na ładaco. —
 Czasem, czasem z za obłoku,
 Zapromieni drugiej twarz,
 To ja lecę—lecz w wysokoku,
 Już, już tęsknię—Boże skara!
 Za tą pierwszą zapiakaną,
 Tak mi znaną i nieznaną!

Lecz cóż robić, mówcie sami!
 Kiedy mi tak lubo z łzami,
 Kiedy serce jak koń w czwale,
 Rzuca pianą w cierpien szale:
 I z swą raną tak swawoli,
 Że nie boli, to, co boli. —
 Lecz cóż robić! kiedy żale,
 Co się skąpią w zdroju łez,
 To tak wonią okazałe,
 Jak lilija, róża, bez,—
 I siostrą ci są, i bratem,
 I są kwiatem, i niekwiatem. —
 Darmo, darmo siły krzepię,
 Darmo szarpie, widzi Bóg;
 Już mej dłoni nie odcepie
 Od jej szyi, od jej nóg.
 Bo w mej drodze jest sąsiadką,
 W życiu matką, i nie matką. —
 Raz wyrwałem się niebodge,
 Oh! był to weselny dzień,
 Bębny bily mi po drodze,
 W pośród huk, w pośród grzmień!—
 Zdało mi się . . . tylko zdalo,
 Bo się rwało — i urwało!
 I straciłem raz na zawaze
 Do mej chatki rodnej szlak;
 Na rozstajne, na najkrwawsze
 Drogi wbiegłem, jak ten ptak,
 Co go w klatkę pełną sokoly,
 Nihy wesół, nie wesoly. —
 Ah! raz znowum, na domowym
 Progu, zdybał szczęścia zdroj,
 Usty, sercem nie jałowem
 Usłyszałem: twoja, mój. —
 I uciekłem w krąg zamęścia,
 Przed niezszczęściem, od niezszczęścia. —
 I wypchnąłem mą piastunkę,
 Za dziesiąte, siódme drzwi,
 I oddałem jej skarbunkę
 Pełną łez — i pełną krwi.
 I rzekłem jej: to ostatnie
 Łzy me bratnie i nie bratnie!—
 Gdzie tam! przyszła do podwoi,
 Do znajomych sobie wrót;
 Tuż przy łożu żony stoi,
 I rozłącza chorób splót.
 A szczęście mnie pożegnało,
 Trumieniczką jedną—małą!
 Ha! cóż robić, piastuj sobie
 Ulubięca, piastuj wciąż,
 To w żalobie, to w chorobie,
 Mocnym pętem k'sobie wiąż. —
 Ej strzeż! bo ci się wyśliznę,
 Z téj mielizny, w głąb! w mieliznę! —

Przeczuwała że młodo umrze: „Jeżeli dożyję późnego wieku, moje serce będzie zawsze miało lat trzydzieści; ale nie spodziewam się tego: aby tylko dzieci odchowac! Niechaj się niemi nikt nie opiekuje, bo ja dzisiaj jeszcze czuję opiekę lat dziecinnych. Biedna, kochana matko!

Małżonka jego Karolina z Kęszyczych, była aniołem dobroci i poświęcenia, to też całym sercem ją ukochał poeta. Sam złamany chorobą, musiał patrzeć na powolne konanie swęj żony. Co dzień więcej siły traciła, w ostatku zaległa łoże boleści, z którego już więcej nie powstała. Z poświęcenia, z miłości, tailli nawzajem przed sobą cierpienia, tłumili jęki boleści. Po dwóch miesiącach, w ciągu których Magnuszewski czytał tylko dzieła lekarskie, aby śledzić postępek choroby żony, d 4 Grudnia, stracił wszelką nadzieję. Już zaniemówiła, a ścisła męża za rękę, i omglonym wzrokiem żegnała. Wtedy znalazł dosyć mocy wpatrywać się w uciekające życie ukochanej żony, w blednące coraz więcej oblicze: ścisła chłód grobowy, co ciepło życia cmentarnym powiewem spędza z ciała; pocałunkami chciał włac własne życie, orzeźwić konającą a tak drogą mu istotę. Skonała — a on jak posąg rozciągnięty, ze wzrokiem błędnym i osłupiałym, leżał bezwładny. Po długiej chwili dopiero, wybuchnął rzewliwym płaczem: wyniesiono go z pokoju gdzie zwłoki żony zostawały, ale kazał się pokilkakroć przyprowadzać do nich, a za każdym razem omgiewał. Przewieziono go do Gwoźdzca miasta, do domu czcigodnych ksiąząt Puzyńów. Oboje, ksiązę Roman, jak i jego małżonka (Dwernicka z domu), przyjaciele osobiści naszego poety i zmarłej żony, rozciągnęli nad nim rodzicielską a czułą i serdeczną opiekę. Po pogrzebie żony, złożony coraz większą niemocą, prosił aby mu nikt o literaturze nie wspominał, a sam aż do tygodnia przed śmiercią, robił notaty i przygotowywał się do ukończenia dramatu „*Kami!*”. Otoczył się pamiątkami po ukochanej żonie, a co mu robiło przyjemność, to kwiaty. Prosił o doniczkę rozkwitniętego laku i z rozkoszą napawał się jego wonią. Czuł jednakże że śmierć już się zbliża, i mówił o niej ze spokojem umysłu do swego przyjaciela Uniszewskiego, a gdy spostrzegł lzy w jego oczach, wyrzekł: „Mój Ignacy, wszak wiesz o tēm dobrze, że powinnością jest każdego rozsądnego człowieka, gdy się czuje niebezpiecznym, zrobić porządek. Wstydz się tej czulości, bądź mężem i działaj rozumnie. — Czyż sądzisz że na długo się rozłączymy? O, nie! wkrótce się połączymy na zawsze: wszak ty znasz całe moje życie; powiedz mi, czy mam za czem żalować? czyli ty, jako mój przyjaciel, możesz ubolewać nad tēm, że się raz moje cierpienia kończą? Przykro mi, że *Rozbójnika Salonowego* (dramat) nie skończył, bo wiesz, że ja poeta: może się kto zdolniejszy do ukończenia znajdzie, lecz zawsze to nie moje będzie!” Kazał mu przywieść z domu swego biurko z papierami i szafkę z książkami.

„Chciałbym się, mówił dalej, moim *Rozbójnikiem* nacieszyć. Prac moich pomniejszych nie wydawaj, co do znaczniejszych, działaj w porozumieniu z Augustem” (Bielowskim). Dalej, z całą przytomnością umysłu wydał przyjacielowi rozporządzenia co do załatwienia domowych i rodzinnych interesów. Prosił obecną księżnę Puzyńinę, ażeby zajęła się ubraniem pośmiertnym, że chce mieć jako wdowiec, grubą żalobę, i żeby go złożyli jak najbliżej zmarłej żony.

O północy przybył doktor Sławiński: chory przyjął go temi słowy: „Tyś filozof, jam poeta; nie róbmy z sobą ceremonii, prawda, że śmierć na języku już siedzi. Tyś robił co tylko było w twęj mocy; przyjm podziękowanie, lecz cóż nada, gdy natura nie pomagała? Mam cię tylko prosić, byś nie męczył mnie, gdyż oni tu w domu zechcą, byś mnie sztucznie utrzymywał, a ja bym już nie chciał żadnej nocy przeżyć” Nazajutrz przywiózł Uniszewski biurko jego z papierami. Najprzód pochwycił rękopism: *Rozbójnika salonowego*: przepatrywał go pilnie. Różne pamiątki rozdał przyjaciołom, pierścien od dziada otrzymany, kazał doręczyć matce przybranęj. Wkrótce zmęczony, złożył głowę na poduszkę i prosił, aby go przyjaciel i domownicy nie odstępowały — „Siadajcie bliżej mnie, proszę, bo się lękam i boję czegoś, sam nie wiem czego.” — To były ostatnie słowa poety, wstrząsł się dreszczem przedśmiertnym; odtąd w gorące wspominał o turkach, jasyrze, Wiśliczanach; męszal polityczne, historyczne przedmioty. Nie długo umilkł; oczy w ślup stanęły, i skonał, we czwartek d. 27 Lutego 1845 roku. Zwłoki jego zanesione na ramionach przyjaciół i wielbicieli jego talentu, spoczęły obok zmarłej żony, na cmentarzu miasta Gwoźdzca. Szczupłej i wątłej budowy ciała, umiał znosić trudy i znoje wytrwale. W każdej chwili niebezpieczeństwa, prawdziwa odwaga promieniła mu oczy, rumieniąc oblicze blade. Tak huk dział jak gromów orzeźwiał go, i jakby odradzał w sile i czerstwości. Pomnę, gdy raz na morzu Bałtyckim, schwytała nas na małym statku straszliwa burza, miotając przez dzień cały do północy. Najodważniejsi stracili serce, dreszcz przestraschu przejmował do głębi. W okropności burzy morskiej, słysząc krzyk ognisty ze śpiżowych gardzieli dział tonących okrętów, co wzywały daremnie ratunku; Magnuszewski stał oburącz trzymając się masztu, oblewany balwanami, z wlepionymi spokojnie oczyma w te chmury ółowiane, pędzone z poświstem wichru, po których błyskawice strzałów ar-

nie wychowałaś nas, ale też ojciec kochany nie dał nam macochy: a jeżeli nie ma matki, lepsza mi cudza opieka, jak fałszywa troskliwość macochy."

W usposobieniu eksaltowana, ale kryjąca to w sobie; z duszą poetycką, lubiła w wolnych chwilach marzyć, szczególnie w czasie nocy pogodnej księżycowej. „Nie mogę sobie wytłómaczyć, jakie różne uczucie wzbudza we mnie jasny dzień, a piękna i cicha noc. Jakaś smętność, tliwość; i gdy w dzień jestem spokojną i obojętną nawet; wieczór mnie rozrzewnia, i pomimo-woli płakałabym. Ale lzy te nie są przykre, przeciwnie, tak mi miło płakać; zdaje mi się, że Bóg patrzy i lituje się nademną, a ja jakież uwielbienie czuję w sobie dla stwórcy wszech-świata! Nawet śmiałość, którą w dzień czuję, znika z promieniami słońca, jestem lękliwą w wieczór; radabym zobaczyć, którą z osób zmarłych, tyle mi drogich; spoglądam wkoło i obawiam się, aby moje życzenie, może nedorzeczne, wysłuchaniem nie było."

Dzienniczek ten, z którego daję te małe wyjątki, obejmuje lat dwa tylko jej życia, 1843—1846; w nim spowiadała się ze swego przywiązania dla męża, ze swych trosk i cierpień, a były nie małe, bo przezuwała niedolę i sieroctwo swojej drobnej dziatwy. Bolała też sercem kochającej matki! Biedna istoto! lepszego losu warta; w samym kwiecie wieku zamężnej niewiasty, spoczęłaś snem wieczystym, nieprzespanym, zawczasie, pod tym grobowcem, obok krewnych swoich; zostawiwszy po sobie żal szczery, lzy serdeczne i rzewne wspomnienie u tych, co się zhliska poznać i ocenić umieli. Zmarła d. 24 Września 1848 r. w 36m roku życia.

Obok tej trumny, w tymże samem podziemiu, stoi druga, w której spoczywają zwłoki ś. p. Maryi z Borakowskich Pętkowskiej, a córki Kazimierza Borakowskiego, zmarłej dnia 17 Grudnia 1853 roku.

matnich, migaly jak błędne ogniki. A była to noc Listopadowa, straszna na tem morzu dla wszystkich żeglarzy! Mało utworów w druku mamy; więcej pozostało w rękopismach, te które zostały ogłoszone, nadały mu słusne prawo być policzonym w rzędzie naszych najcenniejszych poetów. B. M. Wolf, w roku bieżącym wydał mały tomik Magnuszewskiego poezyj. który zaledwie może dać wyobrażenie o jego potężnym talencie. *Niewiasta polska w trzech wiekach* i *Radziejowski*, dramat w pięciu aktach (w rękopiśmie), co skończone w całych rozmiarach utworu; inne pozostały już w większych, już mniejszych ulamkach. Zbiór pism wszystkich ś. p. Magnuszewskiego, zaślaby kilka tomów sporych; wydaniem prac tych, od lat kilku, zajmuje się przyjaciel zmarłego, a znany zaszczytnie w literaturze August Bielowski (a).

(a) Porównać niniejszy życiorys z biografią przez Włodzimierza Wolskiego p. n. „*Dominik Magnuszewski i jego pisma.*” (Dzwon literacki. pod redakcyą Augusta Wilkońskiego, tom I. Warszawa 1846 r.), i „*Powieść o życiu poety*” Józefa Dzierzkowskiego. (Biblijoteka naukowego zakładu, imienia Ossolińskich. Tom I. Lwów 1847 r.). — Uczony Czech: Karol Władysław Zap, w swoich podróżach i przechadzkach po Haliezu, (Cesty a prochadzky po Halickej zemi. w Praze 1844 r.), opisuje podwójne swoje widzenie się z naszym poetą, gdy jeszcze zamieszkiwał nad Prutem. — „To wiać Załucze! żywe ploty i drewniane parkany, opasują wielką ścianę ogrodową, przy nich wierzby wysokie i gęste, lipy, dęby i jodły; ławki, altany, kwiaty, zadobną to miejsce. Rzędy wymakłych topoli wiodą stąd w górę ku pańskiemu dworowi, z którego okien i tarasu przed niemi. szeroki widok na całą otaczającą okolicę otwiera się. To jest dziedzina Dominika Magnuszewskiego, znakomitego polskiego poety!” — Przybył tu z zacnym obywatelem Jasińskim; i zdziwił się Zap, widząc natlok gości, samęj magnateryi tancznej, co już czwarty tydzień gościła u naszego poety z końmi i ludźmi, objadając skromne jego mienie. — „Gdzież (pyta, i słusznie); przebóg, w tym luku, chwila spoczynku dla utrapionego gospodarza, gdzie chwila cichego marzenia dla poety?” W Czerwcu, gdy go odwiedził Zap, — „Sam był (pisał) na onczas w domu, żona i matka odjechały w sąsiedztwo: usiedliśmy na tarasie przed salonem, woń kwiatów otaczała nas do koła. — Począł mi czytać sceny z tragedyj swoich, które dla szczególnych okoliczności, dotąd nie były drukowane. Nie w miesiącu tu byloby sądzić utwory jego głębokich pomyślań, jego dziwnie żywe obrazowanie; ale widzieć go i słyszeć czytającego, prawdziwą było roskoszą. Cała drobna jego postać nabierała innego wyrazu, błyszczące oczy natchnienie ożywiało, przepelniający pierś duch jego, wędrował po nadziemskich krajinach, w orszaku górnych, wzniosłych widm fantazyi; a dźwięczny głos jego, otwierał mi bramy rajskich, cudnych światów!” (J. J. Kraszewski. „*Athenum*” Tom IIgi 1845 roku).

Ś. p. Marya, należała do tych istot wybranych, którym Bóg daje oblicze wiernie malujące ich duszę i charakter. Serce pełne miłości i najszlachetniejszych uczuć, łagodność, skromność wrodzona polskiej niewieście, ten uroczy uśmiech, co daje spokój duszy i sumienia, wszystko to wybijało, na jęj dorodnym obliczu. Jęj postać zajmowała, a zarazem cześć i uszanowanie budziła. Idąc za uczuciem własnego serca, oddała rękę temu, co ją umiał otoczyć szczęściem i spokojem. Zrozumiała zacna ta niewiasta dobrze obowiązki żony i matki; to też jak wierna kapłanka domowego ogniska, wypełniała z całą godnością i poświęceniem powołanie swoje. Otoczona przywiązaniem i miłością męża i dzieci, przyjaźnią i szacunkiem każdego co ją poznał, dotknięta długą, nieuleczoną chorobą, zniosła boleści i cierpienia z wytrwalością prawdziwej chrześcianki; i z łzawym żalem rodziny i przyjaciół, przeszła na łono wieczności (1).

Krótkie o was Klaro i Maryo poświęcam wspomnienie, chociaż w niem całe wasze życie się mieści! Wierne obowiązkom świętym, z dnia na dzień, jak pracownice w winnicy pańskiej, w jednostajnym trudzie domowego zajęcia, wychowywania dziatwy, z uczuciem miłości a modlitwą, przeszłyście zaśpiesznie drogę pielgrzymki ziemskiej! Obiedwie, przy zgonie zarówno cierpiące uczuciami matek, bo zostawiłyście po sobie wieńce drobnej dziatwy, dla której pamięć wasza, nigdy drogą być nie przestanie. Pierwsza, w troskach i smutku przeczuwająca śmierć wczesną; druga, marząc, że w szczęściu domowym doczeka lat sędziwych; spotkały się obie dwie siostry w jednym grobowisku, i jak w latach wiosny swojej bawiły się razem, tak tu martwe, obok siebie razem spoczywają!

WALENTY WIDACKI.

(*Spoczywa w mogile ziemnej bez nagrobku.*)

Urodził się w Galicyi austryjackiej 1794 r. w cyrkule Rzeszowskim, we wsi Brzoza Królewska, z rodziców Filipa i Joanny Widackich: którzy wkrótce przenieśli się z małoletniemi synami w guberniją Grodzieńską, w powiat Kobryński do dziedzicznego majątku *Kliniszcz* zwanego. Młody Walenty, ukończywszy nauki wstępne w szkołach księży Bazylijanów Brzeskich: w 1809 r. przeszedł do uniwersytetu Wileńskiego, dla doskonalenia się w wyższych umiejętnościach. Tam, znajdując zakład naukowy, przeznaczony do usposobienia i kształcenia młodzieży na nauczycieli, wszedł do niego na koszt skarbowy, i po zdaniu egzaminu, został zaraz kandydatem do stanu nauczycielskiego. Chodząc przez lat dwa na wydział filozoficzny, wyłącznie oddawał się ulubionej nauce matematyki. Sławniej pamięci rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, widząc wielkie postępy młodego kandydata, polubił go szczególnie, i przyrzekł mu posadę adjunkta profesora matematyki w tymże uniwersytecie. W 1811 r. po zdaniu egzaminu, otrzymał stopień kandydata

(1) Popiersie ś. p. Maryi Pętkowskiej w płaskorzeźbie, zalecające się podobieństwem i wyrazem jęj charakteru, mamy rękę młodej a utalentowanej rzeźbiarki, panny Ludwiki Jędrzejewicz, córki bylego profesora w Instytucie agronomicznym w Marymoncie, i Ludwiki z Szopenów, rodzonej siostry naszego kompozytora Fryderyka Szopena.

filozofii. Nadszedł rok 1812: wkracza do Litwy Napoleon z ogromną armiją; Widacki porzuca zawód naukowy, wstępuje w szeregi wojskowe, i walecznością zdobywa sobie stopień podporucznika. W ciągu tej wyprawy, zakończonj straszliwą dla francuzów klęską, w bitwie pod Witebskiem, dostał się do niewoli, w której zostawał przez lat dwa: po ogłoszonj dla wszystkich amnestyi w 1815 r. powrócił do rodziny w powiat Kobryński. Wkrótce ją opuścił, przybywa do Warszawy, i przy nowj organizacyi wojska polskiego, przeznaczonym do 5go pułku piechoty liniowj w dawnym stopniu. W 1820 r. mianowany kapitanem, dowodził kompaniją grenadyerską tegoż pułku, stojącą prawie stale w Warszawie.

W 1834 r., zdała od rodziny, dotknięty nieuleczoną chorobą, w szpitalu ewangelickim, na ręku przyjaciela swego i towarzysza broni, porucznika *Oczeklińskiego* umarł, w 40m roku życia. Kilku pozostałych przyjaciół obozowych, i kilku żołnierzy z 5 pułku, którzy tak kochali swego mężnego w boju, a szlachetnego zawsze i zacnego kapitana, odprowadziło martwe zwłoki na cmentarz Powązkowski, i ze szczeremi łzami żalu, ostatnią oddali posługę chrześcijańską.

KAROL LELEWEL.

„TU SPOCZYWA LELEWEL KAROL, BYŁY CZEŚNIK ZIEMI LIWSKIĘJ, URODZONY 25 LUTEGO 1748 R. UMARŁ D. 29 LISTOPADA 1830 R. — EWA Z SZELLUTÓW LELEWELOWA ZMARŁA D. 26 LIPCA 1837 R. PRZEŻYWSZY LAT 74. I WNUK ICH JAN HENRYK LELEWEL ZM.(ARŁY) 1834 R.”

Ojciec zmarłego cześnika, Henryk Lelewel, był lekarzem nadwornym króla Augusta IIIgo i znany w zawodzie naukowym. Ten pojął w małżeństwo Konstancją córkę J. D. Jaucha generała artylleryi wojsk saskich. Młody ich syn Karol Maurycy, w kolebce jeszcze będąc, miał nadany sobie patent na *szarżę* kapitana w regimencie dragonii, pod imieniem Najjaśniejszego królewicza Jmci wojsk koronnych (¹). W dwunastym roku życia wziął dymissją, w szesnastym wyszedłszy od Teatynów, gdzie pobierał nauki, udał się w 1765 r. w samych początkach panowa-

(¹) Joachim Lelewel, w nadesłanej notatce L. Gąsiorowskiemu (patrz: Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce, T. 3, Poznań 1854). tak o swojej rodzinie pisze:

„Rodzina Loelhoeffel ma swe *origo* w Rakuzach w Austrii, skąd się wyniosła do Prus i rozrodziła pod Insterburgiem we dwie linije: de Loewensprung et Loewensprung-Insterbury. Byli z niej w Królewcu *juris consulta* i teolog Jan Jerzy Loelhoeffel (o którym Łukaszewicz nadmienia) poseł regnanta króla) pruskiego, do Rzeczypospolitej polskiej; umarł bezdzietni, ale otrzymał indigenat pruski dla całego imienia. Jeden z nich za Fryderyka Wielkiego dosłużył się podobno jeneralstwa. Koło 1660 r. świecił też i we Francyi jakiś Lelewel (tak się pisał) filozof, malebranetrista dla bibliomanów wygotował cokolwiek pociesznych i niedorzecznych dzieł: największej rzadkości, przepłacona przez nich jest broszura, jak przeciw spektaklom. (nie widziałem jej). Henryk Loelhoeffel czyli Lelewel jest jeden i ten sam. Był w Lejdzie, i dotąd znajduje się w dawnych uniwersyteckich diptikach zapisany. Doktoryzując się, bronił rozprawy, piękną napisanej łaciną: „De frictione.” Dziś Holendrzy nie mogą jej odszukać, (ma ją mój brat) Ten Henryk Lelewel w Warszawie był nadwornym konsylijarzem Augusta III. Między posiadłościami, jakie w Warszawie nabył, miał na *Długiej* ulicy dworek modrzewiowy dotąd stojący i pałac, o którym nadmienia, atlas polski *Rizzi Zanonięo*: pałac ten był potem Roztworowskiego. Syn Henryka, a ojciec mój Karol, wziął indygenat polski, zarzuciwszy zupełnie niemiecką nazwiska ortografiją.”

nia Stanisława Augusta, do uniwersytetu w *Getyndze*. Tam koleżeństwem i przyjaźnią związany z uczonymi, którymi uniwersytet ten tak świetnie jaśniał, jako: *Hollmanem, Putter'em, Achenwall'em, Böhmer'em, I. Ch. Gatterer'em*, Augustem Ludwikiem *Schlözerem* i wielu innymi, czerpał światło nauki i zamiłowanie do pracy. Z plonami tymi powrócił do Warszawy w roku 1768. Odpowiednio pierwszemu powołaniu swemu, wstąpił do regimentu gwardyi pieszej koronnej, gdzie się dosłużył stopnia kapitana. Znany z nauki i prawości charakteru, gdy powstała pamiętna Kommissya Edukacyjna, powołany jakkolwiek w młodym wieku do jej składu, gdzie przy innych czynnościach, miał powierzonym sobie administrowanie funduszami edukacyjnymi w Koronie i Litwie, które obowiązki do roku 1794, sumiennie i z chlubą dla swego imienia wypełniał. Wśród tych czynności *konferowane* miał urzęda w roku 1787 *Łowczego*, a w r. 1789 *Cześnika* ziemi Liwskiej. Następnie powołany został na kommissarza cywilno-wojskowego, na stanowisko wymagające zdatności, pracy, a wyprobowanej prawości. Po rozbiórce kraju powołany przez rząd pruski w Wroclawiu, zdał sprawę z obowiązków zarządu funduszami edukacyjnymi. Poznawszy zdolności K. M. Lelewela, ofiarowano mu urząd w kraju pod nader korzystnymi warunkami; wielokrotnie nalegano nań nawet, ale odrzucił tę ofiarę i pragnąc w zaciszy domowej zająć się wychowaniem rodziny, usunął się do zniszczonej w czasie ostatniej wojny majątności swój ziemskiej *Wola Cygowska*, która z podziału Polski, przypadła pod panowanie Austrii, i tam osiadł. W roku 1784 pojął w małżeństwo Ewę Szelutta (1), która dzieląc statecznie zmiany losu jakich doznawali, umiała umilić i osłodzić mu przykre chwile życia. Wielkich przymiotów duszy, cichą domową zagrodę, zrobiła owym przybytkiem świątyni, w którym mąż po trudach, zawiedzionych nadziejach, nie raz ze zranioném sercem, znalazł spokój i odetchnienie swobodne. Dobrane to najszcześliwiej stadło, tchnące jedną myślą, oddawało się łącznie pracy, oszczędności, aby uiścić się z zadania rodzicielskiego, wychowania należycie swój dziatwy. Gdy sama, jako matka, zaszczepiała w sercach młodocianych, owe pierwsze zasady świętej wiary, co niczém nie starte, pozostają skarbnicą całego żywota; światły mąż, umiał wpajać zasady cnót do życia prywatnego i publicznego w synach swoich; umiał czynić wybór osób do pierwszych początków kształcenia umysłu, pobierania nauk; w dalszym postępie, umieścił ich po instytucjach znakomitych kraju (2). Rok 1809 zamieszkałego Lelewela w Galicyi, wywołał znowu do służby publicznej, a od początku roku 1811, wezwany do magistratury odżyłej Kommissyi edukacyjnej, został członkiem, jako radca w Kommissyi oświecenia. Tu dopóki mu sił starczyło, z całym poświęceniem oddawał się pracy. Na parę lat przed zgonem usunął się w zacisze domowe, i w r. 1830 w nocy z dnia 29 na 30 Listopada, życia dokonał. Obok pięknie i uczciwie przebieżonego zawodu życia, przekazał pamięci naszej rozprawę czerpaną

(1) Była to córka Franciszka Szelutty, Cześnika ziemi Rzeczyckiej (który po roku 1774 porzuciwszy ziemski majątek za Dnieprem, przeniósł się do Korony) i Antoniny *Cieciszowskiej*, siostry Kacpra biskupa wówczas Kijowskiego, Ignacego podkomorzego i sędziego Liwskiego, i Adama pisarza Wgo koronnego, który już miał w zamęzcium siostrę samego Karola Maurycego Lelewela.

(2) Pierwszych początków matematyki, uczyli: X. Antoni Dąbrowski i Konkowski.

z własnego doświadczenia, p. n. „*Umiarkowanie wydatków względnie przychodów: dla własnej i powszechnej pomyślności*“, ogłoszona drukiem w Dzienniku wileńskim 1815 roku, w tomie II.

W siedm lat po zgonie jego, w sędziwym wieku, zmarła Ewa Lelewelowa, złożoną została w jednym grobie obok małżonka, wraz z wnukiem po średnim ich synie.

TEODOR BUDNICKI.

„TEODOROWI RUDNICKIEMU, PODPUŁKOWNIKOWI W PUŁKU 12 PIECHOTY POLSKIEJ, W WIRKU LAT 23 D. 13 MARCA 1813 R. Z RAN ZMARŁEMU, TEN POMNIK WYSTAWIONY.“

„Pod tym spoczywają głazem
Piękne rycerza przymioty,
Rzadko komu dane razem:
Statek, waleczność i cnoty“.

(cztery następne wiersze już zatarte)

Kolumna kamienna, na wierzchu hełm rycerski otoczony wieńcem.

Teodor Rudnicki syn Antoniego, bylego deputata na trybunał koronny; urodził się we wsi Piętnie w departamencie Kaliskim dnia 12 grudnia 1790 roku. W 16 roku życia, w 1806, wszedł jako prosty żołnierz do 8 pułku piechoty. Waleczność i zdolność wprędce go wyniosły na stopień kapitana; pierwszy w boju rzucając się z odwagą i zapalem, łagodny i cichy w gronie towarzyszy broni, surowy a wyrozumiały dla swoich żołnierzy; musiał zjednać dla siebie poważanie i miłość w pułku, a względy i przyjaźń swego pułkownika Godebskiego.

W kampanii 1809 r. w pamiętnej bitwie pod Raszynem, w której Godebski zginął, ranny, zaszczyconym został krzyżem kawalerskim. W wyprawie 1812 roku odznaczywszy się świetnie pod Smoleńskiem, Mozajskiem i Woronowem, w cofaniu się całej armii Napoleona, otrzymał w dniu 12 listopada pod Mścislawem ciężką od kuli działowej ranę. Przywiązani towarzysze, wśród srożej pory zimowej przywieźli go do Warszawy, gdzie po trzymiesięcznym cierpieniu, w samym kwiecie wieku, bo w 23 roku życia umarł. I spoczął na tym samym cmentarzu, gdzie pochowano zwłoki jego dawnego pułkownika, Cyprjana Godebskiego.

ANNA SONNENBERG.

I.

„TU SPOCZYWA ANNA SONNENBERG PANNA, OBYWATELA, FABRYKANTA POWOZÓW CÓRKA, ZMARŁA D. 5 LUTEGO 1839 R. W WIEKU LAT 21. SMUTNI RODZICE ZE ZGONU SWĘJ CÓRKI, TĘ PAMIĄTKĘ ŻAŁU KŁADĄC, PROSZĄ O POBOŻNE ZA JEJ DUSZĘ WESTCHNIENIE.“

II.

D. O. M.

„Co tu spoczywa dla Chrystusa wiary,
Błąd porzucając, swobód odstąpiła,
A w krótkim życiu, przeżywszy wiek stary,
Przykładną śmiercią, krewnych nawróciła.
Tak święta stałość, prócz wiecznej nagrody,
Pobudza z grobu do zbawienniej zgody.“

Wielu z zwiedzających cmentarz powązkowski, zatrzymuje uwagę ten napis, który zdaje się ukrywać jakąś tajemnicę. Zaprawdę nie można z niego pojąć wypadków życia tej młodej istoty, której zwłoki pod tym spoczywają grobowcem. Podamy tu więc wierny jej życiorys.

Zmarła w 21 roku życia Anna, była córką Jerzego i Anny z *Spaszech* Sonnenberg małżonków, ewangelików, zamieszkałych przy ulicy *Ceglanej* Nr. 1118. Od lat dzieciennych do pięćdziesiątego roku życia, używaną była Anna w domu rodziców do posług domowych. Ojciec rzemieślnik kowalskiego, nie myślał o lepszym wychowaniu swjej córki. Młoda dziewczyna, wiedzona własnym natchnieniem, zaczęła nalegać rodziców o oddanie jej do szkoły, lecz wszelkie błagania były daremne, udała się do znajomego a w sąsiedztwie mieszkającego urzędnika emeryta, ażeby ją do którego klasztoru panien zakonnice w Warszawie, oddał, tak dla poznania artykułów wiary rzymsko-katolickiej, jako też i innych nauk. Zaczny ten człowiek, przejęty prośbą dziesięcioletniej Anny, zaprowadził ją do klasztoru Sióstr Miłosierdzia Śgo Kazimierza, gdzie wyuczono ją, obok bogobojunego wychowania, czytać, pisać, rachować i wszystkich robót kobiecie gospodyni potrzebnych. W czasie pobytu swego w klasztorze, chodziła dwukrotnie odwiedzić rodziców; ale za każdym razem, przez rozgniewanego ojca, za progi domowe wyrzucona, łzami zalana wracała. Matka jednak, jak każda matka z sercem, tajemnie nawiedzała córkę; od niej dowiedziała się młoda Anna, że powodzenie ojca zachwiało się, i coraz stan się jego majątkowy pogorsza. Właśnie już skończyła nauki, z silnym postanowieniem wychodzi z klasztoru, staje przed groźnym i nieubłaganym dotąd ojcem, rzuca mu się do nóg, z prośbą, ażeby jej dozwolił zająć się utrzymywaniem jego rachunków, i zarząd gospodarstwa domowego powierzył. Widok ukorzonego dziecięcia, łzy i błagania rzewne, skruszyły serce groźnego rodzica; po długim wahaniu, zezwolił wreszcie, aby pozostała w domu. Uszczęśliwiona tém młoda Anna, wkrótce przekonała rodziców, jak wiele skorzystała z nauk klasztornych. Gdy ujęła zarząd domu w ręce swoje, prowadząc porządnie rachunki z rzemieślnika ojca, stan całej rodziny widocznie zaczął się polepszać, a niedługo zamożność i dostatek zawitały. Ojciec w milczeniu, ale z miłością i uszanowaniem spoglądał teraz na wygnankę z domu własnego, która mu wracała spokoj i dobre mienie. Anna widząc że rady jej mają znaczenie, namówiła go, ażeby wspólnie ze znajomymi sobie i zażyłymi, siodlarzem i ślusarzem, zaprowadził fabrykę pojazdów. Myśl Anny przyjęli wszyscy ochoczo. Sonnenberg założył więc takową pod swoim imieniem; córka objęła utrzymywanie rachunków, zarząd i porządek w fabryce. Głównie zajął się więc budowaniem i naprawą dyliżansów i omnibusów dla poczty, oraz doróżek,—wkrótce też ujrzał za pracę swoją hojny zarobek. Anna zajęta przez cały tydzień ciężką i mozolną pracą, dni świąteczne i niedziele poświęcała nabożeństwu i modlitwie. Zwyczajnie po mszy świętej wróciwszy do domu, resztę dnia poświęcała na czytanie ksiązek nabożnych. Nie pragnąc ani starając się, postępowaniem swoim i wyższością umysłową, zyskała nietylko przewagę nad rodzicami i domownikami, ale cześć i szacunek. Pobożność Anny, szlachetne postępowanie, nieskazitelność w obyczajach, zniewolili matkę, że przeszła na wyznanie rzymsko-katolickie.

Kiedy zdawało się, że nowa gwiazda pomyślności nie przestanie jasno przyświecać nad domowym progiem Anny, nagle zapadła na słabość piersiową, i pomimo najgorliwszej pomocy,

przeszła na łono wieczności. Rodzice żalem, boleścią i rozpaczą przejęci, zgasiły córce w kwiecie wieku nagrobek wystawili z powyższym napisem. Ojciec na kilka dni przed swoim zgonem czcąc pamięć ukochanej Anny, przejęty bogobojnością jej życia, przeszedł na łono rzymsko-katolickiego kościoła.

LASOCKI ALOIZY.

(Pochowany w ziemi bez nagrobku).

Urodzony w roku 1766 w mieście Zakliczynie w Galicyi, był majstrem professyi kuśnierskiej. Z młodych lat przybywszy do Warszawy, tu się osiedlił, tu terminował i został majstrem kuśnierskim.

Postać Lasockiego była znaną całemu naszemu miastu: ubrany w kapotę jasno-zieloną długą, w czapkę i hajdawery karmazynowe, chodził dużo i prędkim a rzeźwym krokiem. Codziennie prawie całą Warszawę obchodził, a gdzie się tylko wszczął pożar, tam zawsze pierwszy bywał na dachu, a nie zważając na własne niebezpieczeństwo, niósł dzielny ratunek. Często, za nim grzechotki przeraźliwe dały hasło pożaru, za nim kościelne dzwony ponurym odgłosem zwiastując klęskę Warszawie, zawezwały pomocy mieszkańców, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar. Trzeba było wtedy widzieć dzielnego kuśnierza, wśród kłębów dymu i słupów płomieni, w pośród deszczu iskier, po trzeszczących i walących się dachach i belkach, jak Lasockiego krzepka postać jaśniała. Bez czapki i żupana, karmazynowe hajdawery, w czarnej chmurze zbałwanionego dymu, coraz się przewijały: donośnym głosem dzielny obrońca nawoływał na pomoc: z zimną krwią starego żołnierza dawał rozkazy, jak kierować sikawkami, i gdzie z węborkami skórzanymi stawać mają nadbiegli, gdzie bosakami spalony dach rozrywać. O! był-to zawsze obraz godny pędzla malarza! Te gromady przestraszonego ludu, biegnące uzbrojone w bosaki i siekiery: drudzy z konewkami i węborkami; tam spocona czerecha pchająca sikawki i beczki z wodą, popłoch uciekających mieszkańców z płonących domów, kupy sprzętów wyniesionych i w stosy zwalonych: a tłem tego obrazu pożar, który jeżeli w nocy wybuchł, straszliwy przybierał obraz, i niemalą klęską groził miastu. Nad tém wszystkiém, górowała postać Lasockiego, co wdzierał się na dachy płomieniste, i wtenczas z nich tylko zstępował, gdy, albo ugasił pożar, albo wyczerpawszy daremnie wszelkie możliwe sposoby ratunku, ustępował z wolna przed silniejszym nad siebie wrogiem, ratując poblizsze domostwa, i energiją swoją ograniczając groźny postęp ognia. I schodził z tego pobojuwiska oczerniony dymem, nieraz z osmalonymi włosami, poparzony, często ranny. Wdziewał swoją zieloną kapotę, czapkę karmazynową, i precisnąwszy się przez tłum ludu, co mu z uszanowaniem robił przejście, powracał strudzony do domu.

Poświęcenie się Lasockiego i czynna pomoc udzielana przez niego wpośród klęski ognia, zwróciły uwagę władzy miejskiej, która z kassy miasta Warszawy, przez lat przeszło dziesięć, wypłacała mu pensyją po złotych polskich 30 miesięcznie.

Zostawił żonę, dwóch synów i dwie córki; mieszkał przy ulicy Piwnój pod Nr. 104. Umarł po trzechniowej chorobie dnia 21 Marca 1823 roku, mając lat 57.

ANTONI BLANK.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku*).

Urodził się dnia 6 Maja 1785 roku w miasteczku Olsztynie, w biskupstwie Warmińskiem. Rodzice Blanka utrzymywali tam fabrykę sukna; w r. 1789, w jednym tygodniu oboje zmarli, i zostawili nagle sierotą czteroletniego syna, który całego ciosu nieszczęścia jeszcze uczuć nie był zdolny. Opatrzność czuwała nad jego sieroctwem:—zamożny a bezdzietny obywatel, zastąpił mu zmarłego ojca: ten bowiem zajął się jego wychowaniem i kształceniem naukowym do 16 roku życia. Z początku przeznaczał go do stanu duchownego, ale widząc w młodym Blanku zdolność do malarstwa, przywiózł go do Warszawy, i oddał w opiekę Józefowi Kosińskiemu, nadwornemu niegdyś minijaturzyscie króla Stanisława Augusta. Tu przez lat siedm, nie tylko kształcił się w ulubionej sztuce, ale pracował nad dalszém wykształceniem umysłowém. Na początku roku 1809, gdy Fryderyk August król Saski a książę Warszawski bawił w Warszawie, minister jego *Bose*, mieszkając naonczas w zamku, polecił młodemu Blankowi, aby zdjął widok z jego okien, Pragi z mostem.— Spelniał artysta chlubnie zadanie; a Bose radził mu, aby się udał do Drezna, w celu dalszego udoskonalenia w sztuce. W połowie Marca tegoż roku, mając całego funduszu pięćdziesiąt dukatów, puścił się w podróż do stolicy Saksonii, z zamiarem pozostawiania dopóty, dopóki zasób ten wystarczy. Nazwyczajony przecież do skromnego życia, pracą i pilnością zwrócił na siebie uwagę inspektorów galeryi drezdeńskiej i professorów,—przez co, jako odznaczający się artysta, został wprowadzony do najznakomitszych domów polskich, przebywających naonczas w Dreźnie. Tu, lekcjami rysunków zyskał potrzebny zasób na dłuższy w tém mieście pobyt. Adjutanci przyboczni króla Fryderyka Augusta, *Pakosz* i *Paszkowski*, lubownicy sztuk pięknych, ofiarowali Blankowi swoje pomieszkanie. Rozszerzały się powoli stosunki dla młodego artysty; potrafił sobie zjednać przyjaźń i opiekę marszałka dworu *Raknitsa*; za jego wpływem, nie tylko zyskał niemałe zajęcie w wykonywaniu zamówionych robót, ale mógł korzystać zarazem z bogatych zbiorów w przedmiocie sztuki. Jaki tu zyskał rozgłos, dowodzi, że zamówiono u niego dla Wielkopolski portret w całej postawie króla Saskiego. Pracował ciągle, to jako uczeń prywatny u profesora Józefa Grassego, to słuchał kursu archeologicznego, zastosowanego do artystów, *Betiera*; nie opuszczając w akademii wydziału sztuk pięknych. W roku 1815 ukończywszy wykład nauk akademicznych, pojął w małżeństwo Amalię *Pochwell*, córkę inspektora galeryi drezdeńskiej, Augusta *Pochwell*, któremu całe wykształcenie naukowe zawdzięczał, i wrócił do kraju. Zaledwie do Warszawy przybył, księżna Czartoryska zamówiła u Blanka obraz kościelny świętego Izydora. Odtąd poleczone portrety znakomitych polek, oraz lekcye, dostarczały zasobu do przyzwoitego utrzymania domu. Chętny zawsze dla pracującej młodzieży w zawodzie sztuk pięknych: nie odmówił ani swój pomocy, ani bogatego zbioru rycin na wzory. W r. 1817, przy otwarciu kursów naukowych w uniwersytecie warszawskim, powołanym Blank został na nauczyciela rysunków i konserwatora wzorów gipsowych; na co otrzymał nominacją pod dniem 18 Lutego tegoż roku. Jakkolwiek był tylko nauczycielem, a bardziej jeszcze, pomocnikiem profesora katedry naonczas p. *Varenne*,

jednak do urządzenia oddziału sztuk pięknych był użyty, i tak rada uniwersytetu warszawskiego, jak i Ministerjum oświecenia narodowego, wszelkie projekta w tym celu przez Blanka podawane, jednomyślnie przyjmowały. Z tych był pierwszy, aby uczniów podzielić na klasy, z przepisaniem właściwych nauk; drugi, aby *Osteologija* i *Mijologija* były wykładane malarzom i rzeźbiarzom, jako pierwsze i zasadnicze nauki dla artystów. Z powodu braku w tym rodzaju dzieła w ojczystym języku, a w przekonaniu że nauki te powinny być dawane przez artystę, zajął się sam pracowicie nad ułożeniem wykładu z najlepszych autorów, tak aby kurs cały w jednym roku ukończyć: i rzecz całą 82 rycinami objaśnił. Dzieło to miał zamierzyć ogłosić drukiem, i sam ryciny na kamieniu do litografii wykonać.— Praca ta dla znacznych nakładów w rękopiśmie pozostała: fundusz albowiem przeznaczony przez Kommissyję rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego w ilości złotych polskich sześć tysięcy, zbyt się szczupłym okazał. Gotowość wszakże téj władzy w zasiłku powyższym, dowodzi wartości dzieła Blanka. Pod dniem 20 Lutego 1819 r. otrzymał nominacyją na profesora przybranego, z pozostawieniem go jako bezpłatnego konserwatora wzorów gipsowych. Gabinet ten uporządkował i użytecznym dla uczniów uczynił, pracą i usilnością swoją. W r. 1835 zajął się ułożeniem i spisaniem galerii ksiąząt Radziwiłłów w Królikarni pod Warszawą, i w Nieborowie będącej; spis ten krytyczny, t. r. wyszedł drukiem ogłoszony. Szczegółowe prace Blanka wyliczył E. Rastawiecki (1).— J. F. Piwarski z obrazu olejnego tegoż artysty, w ślicznym sztychu, dał nam portret Abrahama Szterna, wynalazcy maszyny rachunkowej, i członka b. Towarzystwa przyjaciół nauk (2). Blank umarł dnia 20 Lutego 1844 roku, licząc lat 58 wieku.

MATEUSZ KOZŁOWSKI.

(Pochowany w ziemi bez nagrobku).

Kozłowski Mateusz urodzony 1764 roku, umarł dnia 3 Listopada 1834 r. w Warszawie. Jeden z biegłych bibliografów polskich, nie wprawdzie sam nie napisał, ale pomagał wielu piszącym, czy to trafnym zdaniem o dawnych pisarzach naszych, czy udzielaniem notat, rzadkości bibliograficznych i rękopismów. Obdarzony szczególną pamięcią, pamiętał dokładnie tytuły mnóstwa dzieł dawnych, lata wydań; i na palcach wyliczał wszystkie edycje. W młodych latach towarzyszył T. Czackiemu w jego bibliograficznych po kraju pielgrzymkach, i tu miał sposobność obeznac się z rzadkościami literatury naszej dawniej. Sami mu zawdzięczamy rękopism przysłów księcia Jabłonowskiego, który przyniósł i do użytku użyzył, dowiedziawszy się że pracujemy w tym przedmiocie. Feliks Bentkowski wspomina o nim w Historji literatury polskiej (3). Od

(1) Słownik malarzów polskich. Warszawa, 1850 r., tom I.— Opuzczone tu zostały dwie piękne kopije z galerji drezdeńskiej obrazów, jako to: Maryi Magdaleny z *Batonięgo*, w naturalnej wielkości; i Maryi Magdaleny z *Corregio*; oraz oryginalny obraz rodziny Blanka, także w naturalnej wielkości, obejmujący cztery osoby. Czytelnik raczy porównać nasz życiorys z życiorysem w Słowniku umieszczonym, i z niniejszego dopełnić tak szczegóły jak i opuszczenia w dziele E. Rastawieckiego.

(2) Zobacz Kram malowniczy warszawski; zeszyt drugi.

(3) Tom I, str. 116.

czasu do czasu, zbierawszy zasób książek, między któremi bywały rzadkości starożytnej literatury naszej, ogłaszał licytacje i sprzedawał je za dość wysokie ceny, jak na owe czasy. Od chwili utworzenia Izby edukacyjnej, w r. 1807, mianowany w niej protokulistą; w r. 1812 został bibliotekarzem przy księgozbiorze Sądu appellacyjnego. Kozłowski przepisaniem rękopismu J. J. Załuskiego „*Biblioteka historyków, prawników, polityków i innych autorów polskich*“ zachował go od zagłady; sam takowy nowemi przypisami zbogacił, i dał Józefowi Muczowskiemu, który go wydał w Krakowie 1832 r., i w przemowie Kozłowskiego wspominał.

Wysoki, chudy, często zapadający na oczy z pracy czytania, dochował czerstwość na licu, i umarł w sędziwym wieku, bo dożył lat siedmdziesiąt.

MIRSKA KATARZYNA.

„KATARZYNA Z BADOWSKICH KSIĘŻNA ŚWIATOPEŁK MIRSKA, URODZONA W KWIETNIU 1764 R.,
UMARŁA W MARCU 1843 R.“

Przywodzę tu ten nagrobek z powodu szczególnego zdarzenia. — W dzień śnieżny i wietrzny, przywieziono w 1843 r. do pochowania zwłoki babki kościelnej od Świętego Krzyża, nazwiskiem Katarzyny Mirskiej, która pochowana została w oddzielnej mogile na nowym cmentarzu. Zgłosiła się później rodzina zmarłej, a uznawszy ją jako księżnę Światopelk Mirską, piękny wystawiła nagrobek (1) Ta w nędzy zmarła księżna, była żoną Fr. Ksawerego Mirskiego, burmistrza miasta Mogielnicy, który później dowiódł prawa do tytułu książąt Światopelków.

MARCIN ROLIŃSKI.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. MARCINA ROLIŃSKIEGO DRA: MED(YCYNY) I CHIR(URGII), PROFESS(ORA) ANATOMII I DZIEKANA WYDZ(IAŁU) B(YŁEGO) KRÓL(EWSKIEGO) ALEX(ANDRYJSKIEGO) UNIW(ERSYTETU), — MĘŻA NAUKA I CNOTĄ ZNAMIENTEGO. URODZONEGO D. 6 LISTOPADA 1776 R., A ZMARŁEGO D. 2 GRUDNIA 1839 R.“

Urodzony we Lwowie z Aleksandra i Maryjanny z Wurtzerów Rolińskich, po ukończeniu szkół, poświęcił się zawodowi medycyny, kształcąc się najprzód w mieście swoim rodzinném, a następnie w Wiedniu, gdzie dnia 17 Grudnia 1800 r. otrzymał stopień doktora medycyny. Praktykę lekarską rozpoczął w Galicyi, gdzie prócz tego od r. 1808 do 1810 sprawował urząd fizyka cyrkularnego. W tym-to roku przeniósł się do ówczesnego księstwa Warszawskiego, i od dnia 9 Października t. r. pełnił obowiązki szefa policji medycynalnej w prefekturze departamentu Siedleckiego, gdzie w r. 1813 urządził szpital wojskowy, i zawiadywał nim do r. 1814. Od początku r. 1817 sprawował urząd fizyka b. województwa Podlaskiego do d. 30 Października 1820 r., w którym czasie powołanym został Roliński przez Kommissyją rząd. wyzn. religijnych

(1) Szczegół ten mam od P. Ignacego Szulca, administrującego cmentarzem Powązkowskim. Z tej samej rodziny, ma kamień położony w katakumbach z napisem: „Tomasz książę Światopelk Mirski, przeżywszy lat 66, umarł w Warszawie dnia 18 Maja 1852 r.“ „Deputacja senatu przyznała 1821 r. radcy delegacyi administracyjnej Bogumiłowi Światopelk Mirskiemu tytuł księcia, którego jak dowiódł, przodkowie jego używali“ (Kuryjer warszawski, Nr. 151, z r. 1821 z Czerwca).

i ośw. publ. na stałego profesora anatomii w wydziale lekarskim królewsko-warszawskiego uniwersytetu.

„Zdolności Rolińskiego (pisze to doktor Teofil Janikowski) w zawodzie nauczycielskim, i szczere zamiłowanie anatomii, były powodem, że w uniwersytecie warszawskim szybko przechodził na coraz wyższe stopnie. Roku 1821 mianowany radcą rady ogólnej lekarskiej, w r. 1822 został professorem radnym, a w r. 1824 dziekanem wydziału lekarskiego. Oprócz nauczania anatomii teoretycznie i praktycznie, nie zajmując się bynajmniej praktyką lekarską, całe dnie trawił w pracowni anatomicznej. Dla tego też gabinet anatomiczny warszawski, nieliczny jeszcze przy wnijsciu Rolińskiego do uniwersytetu, nader szybko wzbogacał się nauczającymi, starannie wykończonemi i rzadkiemi wyrobami, po większej części przez niego samego wypracowanemi, tak dalece, iż w r. 1826 profesorowie wydziału lekarskiego, świadkowie pracy i wytrwałości Rolińskiego, w piśmie do rady uniwersyteckiej przesłaném, przyznali mu jednomyślnie, że przez urządzenie gabinetu anatomicznego, przyczynił się do wzrostu i sławy wydziału lekarskiego (¹). Wykład anatomii Rolińskiego był pełen życia i zajęcia, zapalał słuchaczy do zgłębiania tej ważnej podstawy całej medycyny, i osładzał im przykrości nieoddzielne od ćwiczenia się w niej praktycznego, którego Roliński pilnował ściśle, aż do pedanterji prawie. Utyskiwał na to nie jeden z młodych uczniów jego, ale za to później, ze czcią prawdziwą, każdy wspominał o nauczycielu, co z całą duszą starał się w niego przelać wszystko co umiał. Wielu z nich, głośni dziś jako szczęśliwi praktycy, albo zajmujący wyższe godności lekarskie, z uczuciem wyznają jak wiele winni są Rolińskiemu, i chętnie mu cierpkość jego przebaczą. Po zniesieniu uniwersytetu warszawskiego, nie przestawał Roliński w inny sposób być użytecznym krajowi. Roku 1832 obrany prezesem kommissji egzaminacyjnej do kwalifikowania wszelkiego stopnia lekarzy i farmaceutów: pełnił obowiązki te aż do zwinienia pomienionej kommissji w r. 1833. Roku 1835 powołany został na członka rady głównej opiekuńczej. W radzie lekarskiej zajmował się ciągle egzaminowaniem kandydatów na stopnie lekarskie. W warszawskim towarzystwie dobroczynności, z gorliwością miał staranie o ubogich chorych, jako prezes wydziału lekarskiego tegoż towarzystwa. Za tak liczne, użyteczne, z narażeniem zdrowia podejmowane prace, odbierał Roliński liczne oznaki wdzięczności publicznej. Kommissyja oświecenia narodowego i rada uniwersytecka udzielali mu chlubne dowody zadowolenia swego. Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk, i towarzystwo lekarskie wileńskie, wezwały go do współdziałania w pracach swoich, a uniwersytet wileński policzył go w poczet członków swych honorowych.“

W ostatnich latach tak mozolnego życia publicznego, nadwątlilo się znacznie zdrowie Rolińskiego,—ciężka choroba piersiowa trapić go poczęła. W r. 1834 i 1836 szukał ulgi u wód zagranicznych, ale przewidywał z spokojnością umysłu zbliżający się koniec życia; i na rok przed

(¹) W roku 1832 deputacyja wyznaczona przez Rząd do ocenienia tegoż gabinetu, złożona z doktorów Milego, Wojdego i Janikowskiego; zrobiwszy szczegółowy wykaz, oceniła wartość jego na zlp. 108,282 Roliński dwanaście lat pracował nad uzupełnieniem gabinetu anatomicznego, zanim to spełnił. Utrzymuje on się dotąd jeszcze w jak najlepszym stanie i wzrasta z każdym rokiem za staraniem ucznia Rolińskiego, ostatniego przy nim prosektora, magistra medycyny i chirurgii, Kiczorowskiego.

śmiercią poczynił do tego przygotowania w najdrobniejszych szczegółach. W Maju 1838 zrobił testament, w którym zapisawszy cały majątek: kamienicę na Starém mieście i 60,000 złp. ⁽¹⁾ synowi, polecił aby mu otworzono głowę, brzuch i piersi: obawiał się bowiem letargu. W kartce późniejszej wymienił strój, jak ma być ubrany kiedy umrze, i żeby go tylko dwa konie karawanowe odwiozły na cmentarz. Wtedy téż do ucznia swego doktora Kiczorowskiego wyrzekł: „Jak umrę, zrobisz sekcyję na mnie: to w testamencie zapiszę.“ Kiedy doktor Kiczorowski odpowiedział, że tegoby nie mógł dopełnić, jako nad ciałem swego profesora, od którego tyle względów doznaje; Roliński przeznaczył felczera jednego. Umarł nagle dnia 2 Grudnia 1839 r.,—otworzenie ciała wykazało, że przyczyną tak niespodzianego zgonu była appopleksyja płucna, spowodowana rozszerzeniem i skostnieniem łuku *aorty*. W płucach jego znaleziono prócz tego blizny, jako ślady z uleczonych suchot płucnych. Przy sekcyi był obecny doktor Kiczorowski, a widząc jak felczer niezgrabnie to robił, ze łzami rzekł do swego przyjaciela: „Zaplakałem, bo co on tam powie, on, co tak karciał surowo niezgrabne ujęcie noża anatomicznego w uczniach, a własne jego ciało tak niegodziwie szarpia.“ Dnia 5 Grudnia odbył się cichy Rolińskiego pogrzeb: rano, jak żądał, dwa konie miały wieść karawan, ale wdzięczni uczniowie jego, koledzy i przyjaciele, ponieśli martwe zwłoki na własnych barkach do wiecznego spoczynku.

„W pożyciu prywatném (słowa doktora Janikowskiego), umiał Roliński zjednać sobie serca tych, z którymi łączyły go bliższe stosunki,—w urzędowaniu był, bez względu na kogobądź, surowy prawie do zbytku, pochwalał tylko to co było dobre, karciał śmiało każde uchybienie i nadużycie. Takie postępowanie odstręczało od niego wielu, ale każdy szacował go jak prawego męża.“

Miał lat 63, gdy się zakasłał, krwią splunął i skonał. Wzrostu średniego, twarzy chudziej i zmarszczonój, włosy siwe w górę zaczesane. Wielki zwolennik teatru Rozmaitości, częstym bywał w nim gościem. Towarzystwo dobroczynności dla uczczenia pamięci Rolińskiego, pomieściło popiersie jego, dłuta Tatarkiewicza, w sali posiedzeń publicznych, obok innych mężów zasłużonych tego zakładu. Żadnych prac swych naukowych nie ogłosił drukiem. Rękopism Rolińskiego własnoręczny, obejmujący wykład anatomii ludzkiej i porównawczej, dla użytku słuchaczy akademickich, dostał się doktorowi Janikowskiemu, który szacowną tę pamiątkę złożył w biblijotece Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

TOMASZ TRUSKULAWSKI.

(Pochowany na starym cmentarzu, w obrębie jaki był w pierwiastkowym założeniu.— Niewiadomo w którym miejscu, gdyż nie ma żadnego nagrobku).

Kiedy w r. 1774 przy wskrzeszeniu na nowo ojczyściej sceny, zbierano nowe towarzystwo, wszedł w grono artystów Truskulawski wraz z żoną, i rozpoczął swój zawód sceniczny od grania ról komicznych ojców, w których odrazu okazał znakomity talent. „Piękna postawa (pisze

⁽¹⁾ Roliński dnia 14 Maja 1812 roku wszedł w związeki małżeńskie z Anną Zalewską—i miał jedyne syna.

W. Bogusławski) twarz szlachetna i mężka, głos donośny, a nadewszystko nieprzymuszona w polskim ubiorze powaga, przedziwnie dawnych pradziadów naszych przypominała rubaszność.“

Kiedy na drodze komiki zyskał świetne powodzenie, wystąpił, czując w sobie powołanie w trudniejszych, bo w traicznych rolach.

— „*Eugenija* (słowa W. Bogusławskiego), przekonała publiczność, że nie próżnym było to jego o sobie mniemanie. Rolę Barona *Harlej* oddał on z taką prawdą, powagą i mocą, że wprawił w podziwienie patrzących, którzy w nim komicznego tylko aktora widzieć przyzwyczajeni, ani mogli się spodziewać, aby onę, z tak odmiennym całej postaci i twarzy układem i tak przyzwoitą traicznej sztuce godnością, wystawić zdołał. Scena, w której on sprawiedliwości króla na ukaranie uwodziciela swęj córki błagać przedsiębiorąc: „Pójdę (mówi) do króla, tak jest, pójdę, padnę mu do nóg—nie wzgardzi mną. Wszakże i on jest ojcem!“ dawała w nim widzieć ową szlachetną śmiałość szlachetnego człowieka, któremu przemoc dumnego arystokraty, żadnej nie sprawiała obawy. Ale nieporównanie mocniej jeszcze poruszał serca naówczas, kiedy na wiadomość o tajemnym zamęzciu córki, gwałtownym gniewem uniesiony, przechodził nagle w uczucie ojcowskiej dobroci, widząc *Eugeniję* u nóg swoich, wzywającą błogosławieństwa jego dla niewinnej istoty, której wkrótce matką być miała: „Co? prawdaż to jest, *Eugenijo*? no, no, kiedy tak... przystaję na wszystko.“ Te słowa wymawiał *Truskulawski* z tak mocnym wzruszeniem, że w oczach jego widać było łzy, w nękającym głosie, malowało się przebaczenie wszelkiej urazy. Niemniej doskonale i inne uczucia umiał wyobrażać w tej sztuce. Okropne gniewu uniesienia w chwili przekleństwa rzuconego na córkę, odwagę z jaką wyzywa zwodziciela onę; pogardę wyniosłości dumnego; uczciwość z jaką odwraca podstępne na jego życie zamachy, a nakoniec szlachetne przebaczenie winy żalującemu swych błędów, potwierdzone owemi wiecznej zgody słowami: „Daję ci ją“, a które publiczność tysiącami zawsze okrywała oklaskami. Z najmniejszą pochwałą wystawił wkrótce potem *Truskulawski* rolę *Zarwisa* w tragedji *Bawerlej*, którą chociaż mniej ważną, potrafił uczynić godną pochlebnego przyjęcia, przez doskonale przedstawienie zgrzybiałego w usługach domownika, który wszystko co posiada, ofiaruje na odwrócenie uwięzienia kochanego pana. Dopelniał wyższości talentu swojego w roli *Klimanta* w komedji *Voltera*, wierszem przez *Trembeckiego* przełożonej. Powtarzano wszędzie przedziwnie wymówione (kiedy się o śmierci syna dowiaduje) dwa wiersze:

Ach! z podwójnej przyczyny będę we łzach brodził,
Płacząc że teraz umarł,—płacząc że się rodził!

Równie jak i owe przebaczące synowi wyrazy:

Jest to wzruszenia skutek... wszystko przepuszczone!

które wrodzoną mu czułością i zniewalającym głosem ożywione, aż do łez poruszały patrzących, i dowodziły w artyście umiejętności rozrzewniania serc ludzkich (1).“ W roku 1780 opuścił Warszawę i z najlepszymi artystami przeniósł się do Lwowa; ale pomimo świetnych nadziei, zawiedziony w swęj rachubie, po dwóch latach wrócił do stolicy, gdzie z jednakowem jak dawniej uwielbieniem przyjęty, równie w traicznych jak i komicznych występując rolach, nowe zbierał

(1) *Dzieła dramatyczne*, tom 3.

oklaski. Przedstawiał teraz nowe charaktery w *Kuligu*, *Sarmatyźmie*, komedjach Zablockiego, a szczególnie w *Fircyku w zalotach*, tegoż autora, rolę zazdrosnego męża, do nienaśladowania oddał.

W r. 1784 pojechał wraz z innemi artystami na sejm do Grodna; ale powróciwszy, rzadko występował na scenę; w r. 1796 otworzył teatr polski w Warszawie, w którym pierwszy swój zawód sceniczny rozpoczęła jego córka, sławna później artystka Józefa Ledóchowska. Po roku wyjechał do Poznania; tu znalazł wspaniałe i hojne przyjęcie. Kiedy bowiem przepisana Truskulawskiemu na wzór niemieckich widowisk, nader niska cena biletów, zdawała się publiczności nieodpowiadającą trudom artystów i widzów godności; gromadzący się do teatru obywatele, rzucali do kassy bez rachuby pieniądze, więcej niżeli potrójną cenę stanowiące. Równie pomyślnie przyjętym był i od „dobrych Gdańszczan (jak wyraża Boguławski) (1), którzy pierwszy raz mając u siebie widowiska w polskim języku, przychylności swojej do narodu, którego niegdyś częścią byli, niezaprzeczone dali dowody.“

Za powrotem do Warszawy, zwątlony na siłach, po krótkiej chorobie, przy końcu r. 1797 skończył dni swoje. W. Boguławski umieszczając w tomie 3 swych dzieł dramatycznych życiorys Truskulawskiego i jego wizerunek w polskim stroju, tak nam maluje postać tego artysty: „Był donośnej postawy, dosyć okrągłej tuszy, twarzy męzkiej i znaczącej. Oczy nieco małe choć żywe, nie odpowiadały wielkości twarzy, co mu téż wiele wyrazu, osobliwie w traicznej mimice ujmowało. Mimo to, gniew komiczny, żartobliwość i sardoniczny śmiech wybornie oddawał. Poruszenia ciała miał żywe, zgrabne, a w polskim osobliwie ubiorze bardzo przyjemne. Głos donośny, nieco ostry, w traicznych rolach umiał dziwnie łagodzić. Cały skład jego wyobrażał śmiałą i otwartą duszę. Przywiązany nad wszystko do ojczyznościanego ubioru, przez całe życie chodził po polsku, strojąc się zawsze czysto, gustownie, a nawet i okazale; przymuszony ubierać się na scenę w różne zagraniczne kostiumy, żałował zawsze że nie mógł nosić wąsów, najcenniejszej ozdoby tego stroju. W domowym pożyciu nieco surowy; w towarzystwie był zabawnym, żartobliwym, a niekiedy satyrycznym. Przyjaciół kobieć, lubownik wesolego życia, wszędzie mile przyjmowany: umiał zjednać sobie szacunek, i zostawił po zgonie prawdziwy żal w sercach przyjaciół i tych wszystkich którzy go znali.“

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI.

W ścianie tylnej kościoła od wielkiego ołtarza zewnątrz cmentarza jest napis:

„ZOFIA BOGUSŁAWSKA 1818.

Zwiędłaś jak róża, gdy ją mroźny wiatr owieje,
Ciężką ojcowskie serce okrywszy żalobą;
Tę mi jednę w starości zostawiasz nadzieję,
Że wkrótce pójdę za tobą.“

Skreślił ten napis dziecięciu swemu sam Boguławski, i tu obok zwłok córki, kazał się pochować. Artysta godzien posągu, nie ma nawet małego kamiennego płyty, coby wskazywał miej-

(1) Dzieła dramatyczne, tom 3.

sce, gdzie spoczywają zwłoki godne naszej cześci i żalu. W braku pomnika przywiedziem tu wiersz, jaki napisany, został celem umieszczenia go na mającym być wzniesionym pomniku:

„Szczęsny! kto użyteczne skończywszy istnienie,
 Błogie w pamięci ludzkiej zostawi wspomnienie;
 Komu żal, synów sztuki, cichy, prawie luby
 Drogę do nieśmiertelnej utoruje chluby.
 Nie razisz naszych oczu blaskiem zbyt jaskrawym,
 Nie świetniejiesz obłokiem otoczony krwawym:
 Lecz większej sława twoja nabierze stąd ceny,
 Że się pomnik twój zwilży łzami *Melpomeny!*
 Pięknie jest teatralną otoczyć się palmą,
 Dążyć do jednej mety z Garrykiem i Talną:
 Umieć, tym składnym kunstem, co każdego wzruszy,
 Wynurzać nowe czucia na zdziwionej duszy.
 Lecz potomność, co z sądem swym każdego czeka,
 Z chwałą artysty, złączy przymioty człowieka:
 Wspomni jak scenie poświęcił życie pełne trudu,
 Jak pierwszy nam wiejskiego skreślił życie ludu,
 Jak teatru naszego ten ojciec jedyny,
 Aktora i pisarza zasłużył wawrzyny;
 I jak czynnego życia zwalczywszy kłopoty,
 Piękny dał przykład związku, talentu i cnoty.“

Urodził się w roku 1760 we wsi *Glinnie* pod Poznaniem, z dawniej rodziny szlacheckiej. Nauki pobierał w szlacheckim konwiktzie księży Pijarów w Warszawie; gdy odbywał ostatni popis z ukończonych nauk, obecny temu Soltyk biskup Krakowski, książe Siewierski, tyle był zadowolony wszechstronną zdatnością młodego Bogusławskiego, że go wziął jako pazia do swego boku. Wkrótce książe oddalił się z kraju, a Bogusławski wszedł do pułku gwardyi litewskiej; lecz gdy go ominął stopień na który zasłużył istotnie, oburzony niesprawiedliwością, porzucił stan wojskowy, a prześladowany przez nieprzyjazną mu dolę, poświęcił się scenie krajowej. W kwiecie wieku wprowadzony do teatru przez szambelana dworu *Wojnę*, wystąpił na scenę narodową w Warszawie 1778 r. w tłómaczonej przez siebie komedyi pod nazwiskiem: „*Falszywe poufanie*.“ Pierwszy ten wstęp, zapowiedział wielkiego artystę; potężny jego talent rozwijał się stopniami, i działać zaczął przeważnie na podniesienie i udoskonalenie teatru. Bo i czémże był nasz teatr przed Bogusławskim? Grywano wprawdzie dyjalogi po szkołach jezuickich i pijarskich, przecież nie wiele w nich było nie tylko myśli, ale i sensu. Ugodził wiele scenę w swoim zakładzie naukowym Stanisław Konarski; Fr. Bohomolec naśladowaniem Moljerowskich komedyj, przeczuwał i pojął znaczenie sztuki dramatycznej; ale wszystkie te usiłowania okazywały, że teatr był w dziecinnym wieku, i dopiero z pieluch zaczyna wychodzić. Stanisław August pierwszy stały teatr w Warszawie założył, nie odmawiał mu ani swój pomocy, ani opieki, ale brakowało człowieka, coby wyższą myślą i poświęceniem, postawił go na właściwem stanowisku, odpowiadającym godnie wielkiemu powołaniu, do jakiego sztuka dramatyczna jest naznaczona. Tym mężem, przeznaczonym potem, był Bogusławski; dzieje teatru naszego w całym blasku zasługi jego pokazują. On pierwszy, powziąwszy myśl wprowadzenia na scenę opery polskiej, ułożywszy w większej części pieśni do opery napisanej przez Fr. Bohomolca pod nazwi-

skiem: „*Nędza uszczęśliwiona*“, do której muzykę napisał Maciej Kamiński (1); przedstawiał ją z powszechnym zapalem i oklaskiem, i tym sposobem zakorzeniony przesąd, że nasz teatr własnej opery mieć nie może, chlubnie zwyciężył. Następnie przelożywszy wiele oper francuzkich i włoskich, jak w r. 1784 operę *Sachiniego: Dla miłości zmyślane szaleństwo*; wystawił dnia 13 Lipca 1789 operę z muzyką *Pasiellego: Fraskatanka czyli dziewczyna zalotna*. Pierwszy to był przykład przedstawienia w języku polskim opery, z wielkimi aryjami i chórami. Przyjęcie najchlubniejsze tych usiłowań Bogusławskiego, nie wystarczało postępowym jego chęciom: chciał on na wyższym jeszcze szczeblu widzieć scenę krajową; i po długich staraniach i mozolnej pracy, wystawił dnia 28 Września 1793 r. wielką operę, całą, w recytatywach, pod nazwiskiem: *Axur król Ormus*, z muzyką Salieriego. Nadzwyczajny zapal, z jakim była przyjęta ta opera, podwoił chęć szlachetną Bogusławskiego wzrostu téj gałęzi sztuki dramatycznej, i nasunął mu zarazem myśl, utworzenia na większy rozmiar opery polskiej. Wkrótce przeto potem, bo zaraz w następnym roku 1794 dnia 1 Maja publiczność ujrzała na scenie oryginalną operę Bogusławskiego, z muzyką Józefa Stefaniego: „*Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*.“ Komuż nieznaną jest jój treść, kto nie słyszał z roskoszą téj muzyki, tak prostej, a jednakże tak silnie trafiającej do serca. Komuż obcą była w owych czasach ta śpiewka studenta:

„Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart—pan stokrotny,
A człek poczciwy w biędzie“ i t. d.

To téż śpiewano ją w całym kraju. Opera ta, wsparta talentem Bogusławskiego, grającego rolę studenta, doczekała się w pośród najwyższych oznak zadowolenia, stu kilkudziesiąt przedstawień (2). Nie tylko w Warszawie znanym był ten znakomity artysta: Wilno, Lwów, Kraków, Grodno, Dubno, Poznań, Białystok, Gdańsk i wiele miast innych, podzielało z zapalem oklaski Warszawy, wspierało usiłowania Bogusławskiego, i zarazem oddawało należną cześć jego wielkiemu talentowi i szlachetnym usiłowaniom. Od roku 1780 kolejno zwiedzał on te miasta, walczył nieraz z przeciwnościami i zawiścią, aby tylko ustalić scenę polską w kraju. Zwrócił na siebie uwagę Stanisława Augusta, który polecił mu, aby się udał ze swoim towarzystwem do Grodna, i otworzył tam teatr w czasie sejmu 1784. Spełnił on wolę monarchy z zadowoleniem jego; wrócił do Warszawy, nie mogąc wszakże dla przeważnych przeszkód rozpocząć widowisk, wyjechał ze swymi artystami do Wilna. Przyjęty z radością i szacunkiem przez ceniących talent jego i naukę rodaków, już miał zamiar na zawsze tam pozostać, gdy w r. 1790 rozkazem króla wezwany został do Warszawy, gdzie Stanisław August nadał jego towarzystwu tytuł *artystów narodowych*, a Bogusławskiego zaszczycił godnością dyrektora królewskich widowisk. Była to chwila stanowcza, w której zajaśniała przyjazna gwiazda dla sceny krajowej: pojął to dobrze Bogusławski, i wziął na siebie wyłączny przywilej i przedsiębiorstwo widowisk krajowych. W trzech latach następnych, za jego staraniem, odbudowano grożący upadkiem gmach teatralny,

(1) Zobacz życiorysy M. Kamińskiego i Fr. Bohomolca.

(2) W operze téj podobał się wieceł *Krzeseński*, wybornie grający krakowiaka, z całej prawdy urokiem.

a doborem dzieł i artystów, podniósł scenę do najwyższej na owe czasy doskonałości. Król oceniając prace i starania Bogusławskiego, wspierał jego usiłowania, zaszczycał go swemi względami, i nieraz był towarzyszem „*Czwartkowych uczonych objadów*.“ W roku 1794 komedią wierszem: „*Dowód wdzięczności narodu*“, a dopełniającą *Powrót posła* Niemcewicza, królowi przyisał, którą wdzięcznie monarcha przyjął (1). Na początku 1794 r., na dochód ubogich, przedstawił ulubioną sztukę własnego przekładu: „*Szkola obmowy*.“ *Gazeta warszawska* z d. 4 Stycznia t. r. dziękuje mu za ten czyn piękny, a u nas dotąd nieznany. Kiedy Bogusławskiemu komedią oryginalną *Henryk VI na łowach*, przedrukowano bez jego wiedzy, skarżąc się na doznana szkodę, wyrobił sobie przywilej króla pod datą 20 Lutego 1794 na wydrukowanie dzieła pod nazwiskiem: *Teatr Narodowy czyli zbiór wszystkich dramów, komedyjów i oper granych na Teatrze Warszawskim od roku 1789 do 1794*. W doniesieniu o tém dziele, które ogłosił w *Gazecie warszawskiej* d. 8 Marca 1794 r., wyliczył Bogusławski sztuk 34, zastrzegając większą liczbę, i odwołał się do mającego się ogłosić prospektu, którego dla zaburzeń krajowych nie wydał (2). Te popchnęły do upadku scenę, i zniszczyły to co Bogusławski tak wysoko wyniósł. Artyści rozproszyli się na wszystkie strony, a opuszczony dyrektor, zabrawszy swój księgozbiór teatralny, udał się do Krakowa, gdzie powziąwszy wiadomość, że artyści polscy zgromadzili się we Lwowie, pospieszył za nimi, i najpierw za zezwoleniem przedsiębiorcy niemieckiego *Bulli* przedstawivszy z nadzwyczajnym powodzeniem najlepsze dzieła ze swego repertoaru, zawarł z témże Bulli sześćioletnią umowę, na przedstawienia w połączeniu polskich i niemieckich widowisk. Odnowił tam Bogusławski zupełnie gmach teatralny, a wśród letniej pory 1796 r. wsparty hojnością Kazimierza hr. Rzewuskiego i obywateli Lwowa, wystawił piękny i obszerny teatr w licznie naonczas odwiedzanym ogrodzie, książąt Jabłonowskich. Nowość ta odpowiedziała wszelkim oczekiwaniom: publiczność tłumnie cisnęła się na widowiska, które na bezustanne żądania, Bogusławski kilka razy w tydzień powtarzać musiał. Tak świetnym powodzeniem w obu teatrach cieszył się aż do połowy roku 1799, w którym to niepomysłne wypadki dla sceny polskiej, zmusiły go Lwów opuścić. Gdy powrócił do Warszawy, objął napowrót przedsiębiorstwo teatru, i w przeciągu 9 miesięcy, przedstawivszy przeszło 40 nowych dzieł, udał się z towarzystwem swoim do Poznania i Kalisza. W Kaliszu, pomimo licznych przeszkód, jakie stawiał uprzywilejowany przedsiębiorca niemieckich widowisk, Bogusławski wystawił nowy, obszerny i wygodny teatr, a wkrótce téż i uzyskał od Rządu Pruskiego dziesięcioletni przywilej. Niedługo wszakże

(1) „*Dowód wdzięczności Narodu, komedia w dwóch aktach, przystosowana do uroczystości obchodu szczęśliwego na tron wybrania Najjaśniejszego Pana, a na dopełnienie komedyi Powrót Posła napisana. W Warszawie, 1791 r 8.*“ W przedmowie do czytelników mówi; „Ktokolwiek zna sposób pisania teatralnego, niechaj nie rozumie, że w sztuce którą wydaję, przez niewiadomość uchybiłem reguł dramatyizmu. Komedia ta jest z rodzaju sztuk nazywanych *dyjalogiem*. Zachowawszy konieczne co do czasu, jednoci miejsca i akcji przepisy, nie chciałem żadnej w niej umieszczać intrygi, któraby wprowadzając miłość na scenę, poniżała godność celu, o którym mówić chciałem. Jest to obchód uroczystości dnia, który cała Polska z najczulszém święci wspomnieniem.“ Słowa te nie tylko pokazują owoczesne pojęcie sztuki dramatycznej, ale nadto że znał Bogusławski stare nasze *Dyjalogi*, i jakkolwiek utwor jego, ma zaletę więcej historycznego dramatu, gdy żadnej intrygi zawiklanćj i uczucia *miłości* nie zamieścił, sam ją chce za prosty *dyjalog* uważać.

(2) Dodatek do *Gazety warszawskiej* Nr. 19.

mógł się tam utrzymać, wyjechał do Poznania, gdzie znowu niemalą w towarzystwie artystów francuzkich napotkawszy przeszkodę, tegoż jeszcze roku powrócił do Warszawy. Idąc śladem za kolejami kraju, przerzucany okolicznościami z miejsca na miejsce, zwiedzał jeszcze i Białystok, gdy pobyt króla Saskiego w Warszawie z początkiem 1809 r., wezwał go znowu do stolicy. Wejście jednakże wojsk austryjackich, zmusiło go znowu udać się do Krakowa, skąd powrócił jeszcze w tym roku do Warszawy, w następnym złożył przedsiębiorstwo teatru, podawszy projekt ustanowienia *Dyrekcji Rządowej* i założenia *Szkoły dramatycznej*. Tak jedno jak drugie potwierdzone zostało przez króla i księcia Warszawskiego, który nadto jeszcze na lat cztery przedłużył przywilej Bogusławskiemu. Posłuszny woli monarszój, podwoił swoje usiłowania, acz przewidywał, że wkrótce znowu zachwieje się pomyślność sceny narodowej. Jakoż ziściły się jego przecucia, ciągle przechody wojsk różnych narodów w roku 1812 i 1813 i czasy wojenne nie dozwoliły myśleć o zabawach i teatrze. Bogusławski nie mając więc żadnej pomocy ze strony Dyrekcji Rządowej, przedstawiwszy jeszcze kilka nowych dzieł, zamknął widowiska sceniczne w dniu 30 Kwietnia 1814 r., a przedsiębiorstwo sceny krajowej nadal, ustąpił swojemu zięciowi Ludwikowi Osieńskiemu. Odtąd zdaleka od zgiełku stolicy używał w sędziwym wieku tego spokoju, za którym tyle od lat młodych wzdychał: tu zajął się zebraniem, poprawą, ułożeniem i wydaniem pism swoich dramatycznych, o czém już zamyślał przed 26 laty: ogłosił je też drukiem w 12 tomach w r. 1820—23. Z zaciszy domowej ostatni raz wystąpił na scenie narodowego teatru dnia 20 Listopada 1827 r. w roli *Fryderyka Wielkiego* w komedyi *Koszyk wiśni*; najświetniejsze przyjęcie spotkało starca już 67 lat liczącego, od téj publiczności, co umiała godnie oceniać talent i zasługi Bogusławskiego (1). We dwa lata później, w cichém swoim ustroniu umarł dnia 23 Lipca 1829 r., dożywszy lat 69 wieku. Kilka tysięcy warszawian wszelkiego stanu odprowadziło zwłoki Bogusławskiego na cmentarz Powązkowski: znakomici artyści narodowego teatru nieśli trumnę swojego nestora; a przy spuszczeniu zwłok do grobu, L. A. Dmuszewski przez lat 30 towarzysz jego, w stosownej mowie oddał hold zasługom zmarłego. Dzieła dramatyczne w 12 tomach wydane, zostaną na zawsze chlubnym pomnikiem Bogusławskiego. W nich to mamy skreślone wiernie dzieje teatru, dzieje życia samego pisarza-artysty przedstawiające wybitnie, ile przebyć musiał walk, ile potrzebował poświęceń i wytrwałości, aby doszedł do zamierzonego celu. Czytamy tu życiorysy wielu artystów i artystek, co podpierali usiłowania Bogusławskiego. Sześćdziesiąt sztuk obejmują powyższe dzieła, do 20 pozostało w rękopiśmie. Dwie tylko oryginalne sztuki swoje: *Henryk VI na łowach* i *Spazmy modne* w tym zbiorze umieścił. *Krakowiaki i Górale* we 20 lat po śmierci autora wydane dopiero zostały. Co wydał Bogusławski, okazuje jak pojmował przeznaczenie sceny i sztukę dramatyczną; *Krakowiakami*, co uwieczniły imię autora, zajął ważne stanowisko w dziejach literatury naszej, bo to jest pierwszy

(1) Pamiętam wystąpienie Bogusławskiego nie tylko w téj sztuce, ale i w roli starego *Horacyjusza*. Starzec z głosem niewyraźnym, już rozbitym, ale z całym zapalem oddawał swoją rolę. Wypadek zdarzył że właśnie na parterze było dwóch Francuzów, ci podziwienią swego zataić nie mogli nad zapalem naszej publiczności, w przyjęciu Bogusławskiego i rzesistych oklaskach po wielu ustępach: „U nas w Paryżu wygwizdanoby takiego starego aktora (mówili), choćby równie zasłużonego; publiczność wasza szlachetniejsze ma uczucia i lepszą pamięć dla talentu i wieloletniej pracy: umie czcić choć stargane siły w tak pięknym zawodzie.“ Te słowa silnie odbiły się w mojej pamięci.

zwrót myśli do ludu. Sztuka ta, jako utwór dramatyczny, nigdy właściwej sobie wartości nie straci. Za życia współcześni oddawali hold Bogusławskiemu. W dniu 23 Kwietnia 1803 r. zebrani w jedno grono wielbiciele talentu i artyści dramatyczni, świetnie obchodzili uroczystość imienia jego. Z rana odegrano serenadę, a po złożeniu Bogusławskiemu powinszowania, zaprosili na obiad i przedstawienie teatralne, przygotowane w salach palacu Radziwiłowskiego. Na to widowisko rozdano bezpłatnie bilety zwolennikom sztuki dramatycznej i obywatelom Warszawy. Odegrana komedyja: „*Aktorowie na polach Etizejskich*“ L. A. Dmuszewskiego, pomnożoną została stosownemi piosnkami z muzyką J. Elsnera. Na balu, który ten obchód zakończył, rozdano goszczącym sztychowany przez Ligbera w profilu wizerunek Bogusławskiego, z dwuwierszem L. Osińskiego:

„Krzywdzące głos ojczyzny mniemania umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.“

Pierwszy wiersz zastosowany do tej okoliczności, że Bogusławski tłumacząc opery włoskie i z wielkim kosztem przedstawiając, przekonał nie tylko rodaków, ale i cudzoziemców, że możemy mieć swoją operę i obejść się bez włoskich, a tak drogich śpiewaków.

AUGUSTYN GLIŃSKI.

„AUGUSTYN GLIŃSKI RADCA STANU, KAWALER ORDERU Ś. STANISŁAWA. URODZONY D. 2 WRZEŚNIA 1762 R.,
UMARŁ 17 MARCA 1828 R.— SIEROTY, WDOWY, UBODZY, CO WAS ZA ŻYCIA WSPIERAŁ, PRZY ZGONIE
OBDARZYŁ, MÓDLICIE SIĘ ZA NIEGO.“

W rogu kościoła, tuż przy miejscu spoczynku Wojciecha Bogusławskiego, na złamanej kolumnie kamienną, wyryty powyższy napis czytamy. Zacny i szlachetny był to mąż zaprawdę. Wezwanie w napisie grobowym sierot, wdów i ubogich do modlitwy za niego, nie było czezym wyrazem. Strata Glińskiego zwilżyła nieraz ten grobowiec gorącemi ich łzami, co optakiwali śmierć swego dobroczyńcy. Augustyn Gliński urodził się w Warszawie, był synem obywatela tego miasta i właściciela domu Nr. 417 na *Krakowskiem przedmieściu* ⁽¹⁾. Po ukończeniu nauk w *Collegium Nobilium* księży Pijarów, dwudziesto-kińko-letni młodzieniec udał się do kancelaryi marszałka wielkiego koronnego, Michała Wandalina Mniszka, gdzie zostawał jako sekretarz; następnie przeszedł jako sekretarz jeneralny do Kommissyi policji obojga narodów, i ten urząd aż do końca Rzeczypospolitej piastował. Przez ciąg cały rządu Pruskiego opuścił Warszawę, osiadł na wsi, dzierżawiąc dobra *Danielów* w obwodzie Piotrkowskim. Ze zmianą czasów w r. 1807 przybył do stolicy księstwa Warszawskiego i mianowanym został sekretarzem jeneralnym *Dyrekcji policji krajowej*, który to urząd i w *Ministryjum policji* sprawował. W czasie nowej organizacji władz krajowych w r. 1809, został konsylijarzem *Ministryjum i Dyrektorem biur policji krajowej*, aż do wyjazdu ówczesnego rządu z Warszawy dnia 2 Lutego 1813 r. ⁽²⁾. W roku 1815 rozpoczął na nowo służbę rządową jako konsylijarz w Kommissyi rządowej spraw we-

(1) Notaty Grzegorza Jaholkowskiego.

(2) Notaty tegoż



Ryć: A. Matuzkiewicz.

Odbito w Lit. M. Fajansa, w Warszawie Ul. Długa 550.

Lit. M. Fajansa.

GRÓB SZYMANOWSKICH.



nr 626

wewnętrznych i policji. W roku 1818 mianowany *Referendarzem stanu*, 1825 r. *Radcą stanu*, prezydującym w Kommissyi instrukcyi. Po kilkodniowej zaziębienia chorobie, umarł mając lat 66. Na kilka tygodni przed zgonem dnia 11 Lutego 1828 r. napisał własnoręcznie testament, którym zapisawszy dawnemu przyjacielowi znaczną część medali i monet polskich złotych i srebrnych; z reszty majątku swego, takie rozporządził i poczynił legata: 1. Szpitalowi *Dzieciątka Jezus* złp. 20,000. 2. Instytutowi Głuchoniemych złp. 10,000. 3. Summę zebraną ze sprzedaży pozostałej części medali i monet polskich, oraz dość znacznej biblijoteki i wszelkich ruchomości; w połowie dla szpitala *Braci miłosierdzia OO. Bonifratrów*, a w połowie drugiej, dla szpitala *Sióstr miłosierdzia Panien Marcinkanek*. Wolny czas od zajęcia urzędu, poświęcał literaturze; zwolennik sztuki dramatycznej, tłómaczył dla narodowego teatru: *Regulus* (z Kolina), trajediją z niemieckiego. *Niebezpieczeństwa młodości* (z Kazarego) komediją, z niemieckiego. *Honor kobiet* (Zigler'a), dramat z niemieckiego. *Sitach Manni*, czyli Karol XII pod Benderem (z niemieckiego Tzschoke'go), dramat. *Podkanclerzy*, dramat z niemieckiego, Krater'a. *Sąd Salomona* (z Caignier'a), melodramat z francuzkiego. W pożyciu miły i uprzejmy, miał tę wielką a rzadką cnotę, że ujrzawszy w podwładnym zdolność i pracę, usilnie się starał o polepszenie mu losu i nagrodę. Oprócz wspierania ubogich i sierot, wielu osobom niegdyś zamożnym, a podupadłym przez wypadki krajowe, miesięcznie udzielał wsparcie. Na odgłos śmierci Glińskiego, widziałem smutek ogólny, a łzy i rozpacz tych wszystkich, dla których był rzeczywistą opatrnością. Biegły numizmatyk, zebrał piękny zbiór medali i monet polskich, z których część jedną przyjacielowi podarował, drugą ofiarował dla biednych, których wsparcie było ciągłym celem jego myśli i serca, — dla czego wyrzekł się najtkliwszych uczuć, któreby mu domowe rozjaśniły ognisko; i umarł bezżenny.

MARCIN SZYMANOWSKI.

(Pochowany za kościołem w bliskości grobu Bogusławskiego, bez nagrobku i napisu).

Urodził się w Poznaniu 1775 r., umarł dnia 13 Października 1830 r. Ukończywszy nauki w szkołach Poznańskich, wszedł do artylleryi koronnej; czując wszakże wrodzony pociąg do dramatycznego zawodu, porzucił służbę wojskową i pierwszy raz wystąpił w r. 1797 w małej roli swata, w operetce: *Wdzięczni poddani panu*. Druga zaraz rola w dramie *Eugenija*, zapowiedziała znakomitego artystę; odtąd przedstawiał role pierwszych kochanków i bohaterów w trajedyi, a następnie przeszedł do ról zawsze pierwszorzędných ale poważniejszych. Główne role w których talent jego zajaśniał w całym blasku, były: *Abelino*, *Cyd*, *Horacyjusz syn*, *Hamlet*, *Otello*, *Pedro*, *Zygmunt August*, *Przemysław* i wiele innych⁽¹⁾; później w rolach arcykapłana w *Atalii* Rasyna, *Tezeusza* w Fedrze i t. p. Wzrost średni, odpowiednia tusza, wymowa dźwięczna, pełna i wyrazista, twarz przyjemna, układ cały przyzwoity, naturalny i poważny, przy zapale, uczuciu, a pojęciu każdej roli, stawiały Szymanowskiego w rzędzie pierwszych artystów

(1) Świat dramatyczny Wojciecha Szymanowskiego (syna naszego artysty), Warszawa, tom 2, str. 136, 1838 r
Cment. Powązk. T. I.

sceny narodowej. Po trzydziestu trzech latach ciągłej pracy, oddany cały swemu zawodowi, gdy dnia 12 Sierpnia 1830 r. przedstawiał trudną rolę *Machbeta*, uczuł że go siły opuszczają,— była to chwila, od której nagle zdrowie jego nikło. Ostatni raz wystąpił dnia 2 Września t. r. w *Precyjozie*; w miesiąc później zakończył życie, mając lat 55 wieku. W przeddzień zgonu przytomność go opuściła: odzyskał ją, ujrzawszy przyjaciół, których serdecznie pożegnał; rodzinę i najmilsze sercu jego istoty, które z błogosławieństwem opuścił. Spokojny, sumienny w pracy, wzorowy przyjaciel, umiał sobie zjednać serca tych wszystkich, którzy go zbliżka znali. Tłumaczył kilka sztuk dramatycznych z francuzkiego i niemieckiego języka, co były przedstawiane na scenie warszawskiej. Szymanowski umarł w owym czasie, gdy niktąć zaczęła owa świetna plejada artystów dramatycznych, co zacząwszy zawód sceniczny pod przewodnictwem Bogusławskiego, kończyła pod Ludwikiem Osieńskim. Z świetnych gwiazd, niektóre prędko zagasły i spoczęły w grobach, inne już osamotniły nasz teatr, ukrywając się w zaciszy domowej, — mała liczba pozostała młodszych artystów, co talentem swoim przypominała najświetniejszy okres narodowej sceny, niedługo ją zdołała. Dziś młode pokolenie, wspomnieniem starszych przypomina sobie nazwiska tych wielkich kapłanów sztuki, co byli ich ojców rozkoszą,—i tak piękne a szlachetne uczucia, umieli obudzać w sercach wszystkich.

WOJCIECH ŻYWNY.

D. O. M.

„WOJCIECHOWI ŻYWNEMU URODZONEMU DNIA 13 MAJA 1756, ZMARŁEMU DNIA 21 LUTEGO 1842.— FAMILIJA.“

Rodem z Czech, od młodu mając ojca sławnego w swoim czasie flotrowersistę, obdarzony talentem muzycznym, oddał się z zapalem tej pięknej sztuce, obrawszy za wyłączny swój instrument fortepian. W młodym wieku już jako artysta skończony przybył do Polski, i kraj ten uważał za własną ojczyznę. Zaraz został nauczycielem muzyki i nadwornym fortepianistą księcia Kazimierza Sapięby, przy którym przeszło lat 3 zostawał. Stąd zaznajomił się z najpiérwszemi rodzinami z czasów Stanisława Augusta, a uprzejmy w obejściu, łatwy w pożyciu, umiejący każdego ująć, zjednał sobie szczęśliwe powodzenie. Osiadłszy później stale w Warszawie, jako piérwszy podówczas fortepianista, szczególniej był wzięty; było bowiem *modą* brać lekcye od Żywnego. Zebrał znaczny majątek, chociaż nigdy nie brał więcej jak 3 złp. za lekcycją. Talent jego, dobroć, szlachetność, uczynność, zjednały mu powszechną wziętość.

„Malo w Warszawie jest domów (mówi jego bijograf), któreby go nie znały; wiele jest osób które go szanowały; jednym przez skrupulatne i korzystne udzielanie lekcycj, drugim przez gruntowne rady, innym przez dawanie wsparcia, był znany. Od początku założenia *Towarzystwa podupadłych artystów muzycznych* w Warszawie, był jego członkiem. Żył w harmonii z obecnością i przeszłością: młodych pociągał do siebie, nie oddalał się od starszych; piérwsi czcili w nim i lubili patryjarchalność, rozweselając się wspomnieniami przeszłości, o której z wdziękiem opowiadał; drudzy cieszyli się widokiem czerstwości i świeżości jego serca. Do ostatniej prawie



Rys zlitę natury A. Malinowski

w Lit. J. V. Fleck & Co

GRÓB ALEXANDRA JANICKIEGO.

(Dłuta Pawła Malinowskiego.)



no. 626

chwili był zdrów na umyśle i ciele, zdrowie cenił nad wszystko, prawie nigdy nie chorował, pracowity do ostatniej godziny. Pokarmów zwyczajnych i trunków, z wielkim umiarkowaniem używał, nie kapał się, tylko w dni letnie wódką się cały umywał, wystrzegał się kawy, tabakę z przyjemnością zażywał—wzrok i słuch miał mocny. Kuryera warszawskiego na tydzień przed śmiercią jeszcze bez szkieł czytał, w wista i rumel-pikietę z upodobaniem grywał, tylko w rękach przy schyłku czuł małe osłabienie. I on był kompozytorem swego czasu, wiele sonat, uwertur, polonezów, śpiewek i skocznych ulubionych niegdyś tańców napisał, które postęp sztuki puścił w zapomnienie. Jedyną chwałą i rozkoszą, która mu nie raz lzy radości wyciskała, był jego ukochany uczeń, sławny nasz fortepianista, Fryderyk *Szopen*, którego w najmłodszych latach był nauczycielem“ (1). Żywny w sędziwej starości skończył dni swoje, bo dożył lat 86 wieku.

MALIŃSKI PAWEŁ.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku na prostym pomniku wyrobionego w r. 1850 jego dżutem dla młodego artysty muzyka ucznia Szopena. który zgasł w kwiecie wieku, bo w 22 roku życia, pełnego zdolności i nadziei. Tu pochowano jego zwłoki z napisem: „Alexandrowi Janickiemu ur. odzonomu d. 15 Sierpnia 1826 r. zmarłemu d. 13 Maja 1849 pozostała rodzina“*).

Urodzony w roku 1792 w miasteczku *Berniau*, w Czechach, umarł na suchoty dnia 7 Listopada 1853 roku. Pobierał nauki w szkołach normalnych Pragskich; od młodości przykładając się szczególnie do rysunków. Po ukończeniu kursów, zapisał się w poczet uczniów nowo utworzonej Akademii sztuk pięknych w Pradze, w której do roku 1810 zostawał. Dla dalszego korzystania w rzeźbiarskiej sztuce, udał się do akademii Drezdeńskiej, jako zamożnej w starożytne wzory rzeźby i malarstwa, gdzie pod sterem tamecznych professorów, a głównie znanego z talentu professora *Petrich*, z całym zapalem pracował. Tu wykonał trzy płaskorzeźby z marmuru karraryjskiego, wyobrażające wiarę, nadzieję i miłość w jednej grupie,—cierpliwość, i Najświętszą Pannę z panem Jezusem. Płaskorzeźby te, do kościoła były przeznaczone. Następnie oprócz wielu pomniejszych robót i biustów, tak w odlewach gipsowych jako też i w marmurze; wypracował jedną grupę w odlewie gipsowym, wyobrażającą Amora i Psyche. Dzieło to, po wystawie akademickiej w roku 1816, do Berlina zakupione zostało. Pragnął Maliński dostać się do Włoch, gdzie mógł zdobyć dla swego zawodu bogate plony; ale wojenne czasy 1812 i 1813 roku, zamiar ten zniweczyły. Do końca więc roku 1816 pozostał w Dreźnie, ztąd wezwany został do Warszawy, dla objęcia robót rzeźbiarskich w pałacu ordynata Stanisława hrabiego Zamojskiego. Przybył bezzwłocznie, a z celniejszych prac, jakie w tym gmachu uskutečnił (przy ulicy Senatorskiej Nr. 472), jest fryz podłużny z 72 figur złożony, wyobrażający tryumf Bachusa. Dawszy się poznać chlubnie ze swego talentu, wezwany został przez Komisję Rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego (reskryptem z dnia 17 Czerwca 1817 r.), do dawania lekcji rzeźby w Królewsko-Aleksandrowskim uniwersytecie, i te obowiązki pełnił, aż do zamknięcia tegoż uniwersytetu. Na wystawę sztuk pięknych 1819 r. dał płasko-

(1) *Kuryer Warszawski* 1842 r. Nr. 54.

rzeźbę wyobrażającą Kupidyna ciągnionego na wózku przez dwa łabędzie, z marmuru karraryjskiego; za ten utwór znakomity, otrzymał medal złoty. Na wystawę w roku 1823 podał następne oryginalne utwory. Rodzinę Świętą z marmuru karraryjskiego: Mikołaja Kopernika astronoma polskiego, między uczniami modelowany, i odlany w gipsie; — Posąg Achillesa modelowany w kolosalnej wielkości; i popiersie Jowisza odlane z gipsu; Popiersie Księcia Adama Czartoryskiego, Jenerała ziem podolskich: Popiersie Księcia Józefa Zajączka Namiestnika Królewskiego, modelowane z natury i odlane w gipsie. Gdy sławny mistrz rzeźbiarstwa, Thorwaldsen przybył do Warszawy w celu ukończenia umowy o posąg Kopernika, zapoznawszy się z Malińskim, po obejrzeniu prac jego; zachęcił go aby z nim do Rzymu pojechał; dla ostatecznego wykształcenia się na klassycznych wzorach. Maliński co o tém tylkø marzył od lat swoich młodych, nie omieszkiał korzystać z tak dobrej sposobności; i otrzymawszy pozwolenie od władzy uniwersyteckiej, w 1820 roku do Włoch wyjechał z Thorwaldsenem. Pod sterem tego sławnego mistrza w Rzymie, w Neapolu i Florencyi, przez dwa lata pracował. W Październiku 1822 roku wrócił do Warszawy, niemało w swoim skorzystawszy zawodzie; i dalszy wykład nauki rzeźbiarskiej w uniwersytecie rozpoczął. (1) Maliński szczegółowy spis robót swoich, przed zgonem spalił, z trudnością więc przyszło P. Grzegorzowi Jaholkowskiemu zebrać je razem; po wielu zachodach i pracach, potrafił poczet ich uzupełnić, i takowy łaskawie nam użyczył.

1. W dwóch attykach kościoła parafialnego S-go Karola Boromeusza (przy ulicy Elekto-ralnej w Warszawie) dwie płaskorzeźby z kamienia ciosowego; ś-go Karola każącego do ludu, figur 17, i tegoż Świętego rozdającego jałmużnę ubogim, figur 11. Przed wchodem do tegoż kościoła z kamienia ciosowego, dwie statui kolosalnej wielkości; ś-go Grzegorza papieża, i ś-go Hieronima Doktorów Kościoła; w niszach na około tego kościoła będących, zrobił sześć statui małego rozmiaru, ś-go Stanisława Biskupa, ś-tą Bronisławę, ś-tą Kunegundę, ś-go Stanisława Kostkę, ś-tą Jadwigę, i ś-tą Salomeę.

2. Do głównej sali posiedzeń Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk, dwie płaskorzeźby na fryzie pod gzemsem, wyobrażające: wchodząc do sali po prawej stronie rolnictwo; astronomiją w postaci Kopernika z godłami; żeglugę i handel figur 22; po lewej stronie: Apollo z dziewięcią muzami, jako godło sztuk pięknych, figur 20.

3. Na pałacu Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, trzy piękne płaskorzeźby, wyobrażające rolnictwo, budownictwo, przemysł, kunszt i handel.

4. Przed gmachem Mennicy Warszawskiej roboty Malińskiego dwa lwy egipskie, a w pałacu w attyku nad zegarem, płaskorzeźbę przedstawiającą symbol *Czasu*, i dwie figury: *wiosnę* i *jesień*.

5. W attyku pałacu Kazimirowskiego, gdzie Gimnazjum Gubernialne, płaskorzeźba Appolina, po prawej jego stronie poezja, której przygrywa Amor na lutni; po lewej astronomija, przy której nogach godło dramaturgii.

(1) Uczniowie jego co się później odznaczyli, są: Tatarkiewicz Jakób, Hegel Konstanty, Czerwiński Józef, Wąsowicz Ludwik, Krüger Wilhelm, Buczkowski Błażej, Zieliński Samson.

6. Obok wspomnianego palacu jest gmach gimnazjum Realnego, w którego attyku płaskorzeźba wystawia Arystotelesa otoczonego uczniami. Po boku w dwóch niszach statui, oznaczające oświatę i miernictwo.

7. Nad trzema arkadami wchodowymi Teatru Wielkiego od frontu, w pasie dolnym perystylu, w miejscu gżemsu doryckiego, płaskorzeźba (jedna z celniejszych robót Malińskiego) wyobrażająca powrót Edypa i ludu z igrzysk Olimpijskich, podług Sofoklesa: figur 65. Do tego gmachu wykonał grupę Appolina na wozie ciągnącym przez cztery konie, z gipsu odlaną, która służyć miała jako model do odlania z żelaza, dla postawienia na frontonie tegoż teatru.

8. Modele gipsowe podług których odlano z żelaza dziewięć płaskorzeźbów, wyobrażających robotników pracujących przy drogach *bitych*, z napisem „Warszawa, Siedlce, Brześć.“ Jest to obelisk z żelaza ulany, w kształcie piramidy, za Pragą na drodze do Siedlec w roku 1823 postawiony, na pamiątkę budowy pierwszej drogi bitej w Królestwie Polskim.

9. Na palacu Namiestników Królestwa, ośm figur allegorycznych z kamienia ciosowego.

10. Na gmachu Dyrekcyi drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, cztery figury alegoryczne.

11. Nad główną salą Instytutu wód mineralnych sztucznych w ogrodzie saskim, są cztery statui z kamienia, dłuta Malińskiego, przedstawiające: Medycynę, Eskulapiusza, Higie i Farmakologiją; a po bokach cztery popiersia uczonych ludzi. W sali, gdzie udzielają wód mineralnych, umieszczone na podstawach popiersia gipsowe doktorów naszych, Józefa Czekińskiego, Karola Wolfa, Franciszka Brandta, i sławnego Aptekarza Józefa Celińskiego.

12. Na attyku domu 2683 przy ulicy Bednarskiej, przy samym moście nad Wisłą, w którym mieszczą się kąpiele (własność Majewskich) piękna płaskorzeźba, przedstawia przejażdżkę Neptuna po Wiśle, w gronie Najad i Syren.

13. Na palacu Andrzeja hrabiego Zamojskiego (ulica Nowy-Świat Nr. 1245 a.) w attyku płaskorzeźba kolosalnej wielkości. W środku frontonu mieści się *Minerwa* (mądrość), łączy *Cerere* (rolnictwo) z *Merkurym* (przemysł), te sobie ręce podają. Za Merkurym *Jazon* (bogactwo). Po jednej stronie frontu w końcu, leżąca figura męzka z wiosłem w ręku, otoczona wodnymi istotami, wyobraża rzekę *Bug*; w drugim: kobieta okryta żaglem, z wodnymi liściami w ręku, wraz z Syreną, która jej snopy narzuca, oznaczają naszą Wisłę. Wszystko zaś razem wyobraża przemysł i handel krajowy.

14. Na frontonie drugiego obok palacu tegoż hrabiego Zamojskiego, dwaj rycerze siedzący, trzymają dwie tarcze herbowe: Zamojskich *Jelita* i Potockich *Piławę*. Z łączącej te dwa herby korony hrabiowskiej wychodzi *Kozioróg*, a pod herbami wstęga z napisem: „To mniej boli.“

15. Na domu przy ulicy Długiej, jak plac Krasińskich, Nr. 549 (własność Hermana Epsztejna) w attyku płaskorzeźba zdobiąca fronton, wyobraża Psychę wstępującą do Olimpu.

16. Na palacu Nr. 1264, przy ulicy Nowy-Świat, Stanisława hrabiego Kossakowskiego, cztery figury z kamienia, przedstawiają sławę, astronomiją, poezyją i komedyją.

17. Na domu przy ulicy Królewskiej Nr. 413 aa. Ludwika Mallhomme, cztery figury z kamienia, oznaczają cztery pory roku, wiosnę, lato, jesień i zimę.

18. Na domu Nr. 946 B. przy ulicy Żabińj Alfonsa Kropiwnickiego budowniczego miasta (a teraz Leona Lewenberga) na fryzie pod gzemsem, płaskorzeźba wyobraża tryumf Cerery, we środku budownictwo, dalej siła i praca; a po bokach nimfy z godłami muzycznymi.

Na cmentarzu powązkowskim jest kilka pomników grobowych dłuta Malińskiego, z których najwięcej zajmuje uwagę znawców nagrobek artysty muzycznego Aleksandra Janickiego; przedstawia z kamienia kobietę płaczącą opartą o drzewo na pół ścięte, i w części z kory odarte, pod którym leży lutnia, uwieńczona laurowym wieńcem.

Ostatnia praca którą Maliński na dni kilka przed zgonem ukończył, był nagrobek dla Justyny Orsetti, wyobrażający klęczącą kobietę z złożonemi rękoma przed statuą Najświętszej Panny Maryi. Nagrobek ten zawieszonym i umieszczonym został, w powiecie Gostyńskim w miasteczku Żychlinie, na cmentarzu w kapliczce, umyślnie na ten pomnik zbudowanej.

Dwie tylko płaskorzeźby na marmurze karrara niedokończone zostały po Malińskim. 1. Rodzina święta: Maryja Panna piastująca Jezusa, a obok stoi święty Jan chrzciciel. 2. Ganimedes czyli Orzeł, któremu klęcząca kobieta podaje pokarm w płaskiej czarze.

Żyjąc w ścisłej przyjaźni z professorem malarstwa w Uniwersytecie Warszawskim, Antonim Blank, zapoznał się z siostrą żony tego artysty, Marjanną *Pochwell* (córką Augusta Pochwell Inspektora Galeryi Obrazów w Dreźnie) i pojął ją w małżeństwo w 1824 roku. Umarł Maliński bezpotomnie w 64 roku życia;—a lubo jako emeryt, nie pełnił obowiązków profesora, niewypuścił z ręki dłuta niemal aż do zgonu, które mu dało piękne imię, i zasługę wdzięcznego wspomnienia.

STANISŁAW WĘGRZECKI.

(*Cmentarz stary w ziemi.*)

„STANISŁAW WĘGRZECKI B. PREZYDENT MIASTA WARSZAWY, SĘDZIA APPELLACYJNY KRÓLESTWA POLSKIEGO, PREZES TOWARZYSTWA WŁAŚCICIELI LISTÓW ZASTAWNYCH, CZŁONEK CZYNNY B. TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ NAUK. URODZIŁ SIĘ DNIA 10 LISTOPADA 1765 ROKU, UMARŁ DNIA 12 LUTEGO 1845 ROKU.—NIEUTULONE W ŻALU CÓRKI, TĘ PAMIĄTKĘ KŁADĄ NAJLEPSZEMU OJCU.

(*Pomnik z kamienia ciosowego, wizerunek z marmuru białego karraryjskiego, dłuta Tatarzkiewicza.*)

Postać Węgrzeckiego godna jest zyciorysu w obszernych ramach. Wplotła się ona w dzieje kilku ważniejszych okresów Warszawy. Ulubiony Prezydent téj dawnéj stolicy, nieposzlakowany sędzia, prawy obywatel, znakomity pisarz; o to są prawa, którymi się upomina o wskrzeszenie pamięci uczciwej, pomiędzy murami tego grodu, w którym czynnie i z pożytkiem działał.

Jakkolwiek zaszczycaliśmy się tego męża znajomością, i od młodych lat nawykli do składania mu należnéj cześci za życia; nie mamy jeszcze tak zebranych materjałów, aby z nich w obecnej chwili, sumiennie całkowity zyciorys nakreślić. Zapisujem tu tylko jego wspomnienie, i podamy dla przyszłego badacza ostatnich czasów tak dziejów Warszawy jak i kraju, daty usług publicznych ś. p. Węgrzeckiego, poczerpnięte z akt urzędowych.

W dwudziestym piątym roku życia rozpoczął zawód służby krajowej jako plenipotent Skarbu (dnia 23 Grudnia 1790 r.). W roku 1798 był Prokuratorem massy upadłej bankiera Szultza,



Rys. i lit. autorstwa A. Matuszkiewicza

w lit. J. V. Fleck & Co

GRÓB STANISŁAWA WĘGRZECKIEGO.



nr D. 626

w Kommissyi Bankowej przez trzy Dwory do upadłych sześciu Banków wyznaczonój (1). Przy zmianie losów kraju, dnia 18 Lutego 1807 roku mianowany Członkiem Izby Administracyjnej Departamentu Warszawskiego Spraw Wewnętrznych. Dnia 4 Marca tegoż roku sprawował obowiązki Prezydenta Municypalności miasta stołecznego Warszawy. W roku 1809 po bitwie pod Raszynem, i wejściu wojsk nieprzyjacielskich do stolicy, wzięty jako zakładnik wraz z *Kochanowskim, Linowskim, Dominikiem Borakowskim i Kilińskim*, trzymany był pod strażą w pobliżu koszar Ujazdowskich;—wyszedł z więzienia, po opuszczeniu tajemném Warszawy przez wojska austriackie w sam dzień Bożego Ciała tegoż roku. (2) W roku 1812 był Komendantem Gwardyi Narodowej. W 1816 mianowany Sędz ą Appellacyjnym; w następnym Prezesem Trybunału Handlowego; później sprawował dawne obowiązki Prezydenta; w roku 1829 miał przyznaną emeryturę, i jako emeryt obrany Prezesem Komitetu właścicieli Listów zastawnych, w tej godności w podeszłym wieku, bo mając lat 80 umarł. (3)

Niskiego wzrostu, zwiężłej postaci, odznaczał się wysokiem czołem, spojrzeniem wydatném i pełném życia. Biegły mówca, znał wybornie dawne prawa polskie, i przekonanie swoje o koniecznej ich znajomości i zgłębianiu, w pismach swoich ogłaszał. (4) Badał gruntownie dzieje krajowe, miał téż piękny księgozbiór, bogaty w tego rodzaju zabytki. Każde dzieło z jego zbioru, ma przypisy a nieraz i obszernie noty, sprostowania i dodatki. Z prac swoich drukiem ogłosił:

1. *Pismo o prawach dla Księstwa Warszawskiego uchwalonych* (Warszawa 1809 roku str. 125, 8vo). 2. *Uwagi nad powszechném moratorium*, czyli odpowiedź na pismo A. Bielskiego, z dołączeniem historyi o zbiorze prawa przez A. Zajmojskiego sporządzonym. (Warszawa 1810 roku 8vo, str. 46 i 50). 3. *Rozprawa o professyach i professyjonistach, oraz o systemacie administracyjnym*. (Warszawa 1810 r. 8vo, str. 224). 4. *Dzieje o znaczeniu Władzy Duchownej obok świeckiej; z dodatkiem*. (Warszawa 1818 r. 8vo, str. 190).—Pismo to ś. p. Węgrzecki ogłosił najprzód w Gazecie Korrespondenta Warszawskiego 1817 r. (od Nr. 48 do 53). Gdy na nie wyszła odpowiedź pod napisem: „*List prowincjonalnego do Warszawskiego filozofa, 1817 roku*,”—Węgrzecki rozprawę swoją oddzielnie wydał; a w dodatku daje odpawę owemu prowincjonalnemu filozofowi.

(1) Znajdzie czytelnik wyjaśnienie tego przedmiotu w życiorysie Teppera bankiera, w T. II niniejszego dzieła.

(2) *Michał Korwin Kochanowski* za czasów Księstwa Warszawskiego Radca Stanu, Prezes Kommissyi żywności, wykształcony za panowania Króla Stanisława w korpusie kadetów w Warszawie, mąż światły i wymowny, odznaczył się w usługach dla kraju. Przywieść tu muszę jedno zdarzenie ciekawe, a które mam od ś. p. Edwarda Dembowskiego, aby nie poszło w zapomnienie. Kiedy Napoleon bawił w Warszawie a znalazł niedostatecznie zaopatrzone magazyny, jak tego pragnął; wpadł w gniew wielki, i kazał przywołać przed siebie Kommissyj ą żywności. Kochanowski jako Prezes, stanął na jej czele. Cesarz z uniesieniem zaczął robić wyrzuty niedbalstwa, a wpadając w gniew coraz większy, wyrzekł: że jeżeli nie spełnią jego żądań, to każe ich rozstrzelać! I w tej chwili uderzywszy palcami w tabakierkę, otworzył ją aby zażyć tabaki. Kochanowski przerażony, na hasło dane w tabakierkę, zapomina gdzie jest i przed kim stoi, a zwyczajem tabaciarzy natychmiast sięga ręką, chwytając dobrą tabakę, i zgrabnie zażywa. Cesarz stanął zdumiony, i zbity z toru zimną krwią Kochanowskiego, w grzecznych słowach zamknął to posłuchanie.

Linowski znany jest jako autor broszury, pod napisem: „*List do przyjaciela*“ w którym w jak najczarniejszych kolorach przedstawia działania Hugo Kollataja w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta.

(3) Umarł ś. p. Węgrzecki w domu Lagiewnickiej Nr. 463 przy ulicy Senatorskiej obok Ratusza.

(4) Zobacz dzieło: „*Dzieje o znaczeniu władzy duchownej*“ str. 3.

„KADO MICHAŁ.

URODZONY DNIA 29 WRZEŚNIA 1765 R. UMARŁ DNIA 30 KWIECZNIA 1824 ROKU MAJOROWI KORPUSU INŻYNIERÓW (IERÓW) WOJSK POLSKICH), PROFESSOROWI ARCHITEKTURY UNIwersYTETU) KRÓL (EWSKIEGO) WARSZAWSKIEGO) POZOSTAŁA W DOWA. ‘‘

(Kamień podłużny na podmurowaniu, przy samej drodze, którą zmarłe dzieci przynoszą do mogilek. Napis płytki, po obmyciu dopiero czytelny, stawiano na nim bowiem trumienki chwilowo; i przez to napis się zacierał).

Urodził się w Warszawie; ojciec jego był urzędnikiem Municypalności miasta Warszawy. Początkowe nauki pobierał w szkołach pójzeuickich w témże mieście. Po ukończeniu sześciu klas 1785 roku, dnia 4 Września, wszedł jako kadet do korpusu dawniej Artylleryi Koronnej. W roku 1786 za wdaniem się generała Hr. Brühla, jako odznaczony zdolnościami i pracą, przedstawiony na podoficera do korpusu inżynierów. Roku 1790 dnia 19 Stycznia uzyskał stopień podporucznika inżynierów i przedstawiony do nowo utworzonego korpusu inżynierów litewskich pod dowództwem księcia Kazimierza Sapiehy. W tymże roku otrzymał nobilitacyą przez konstytucyą sejmową. (1) W roku 1792 odbył kampaniją pod dowództwem generała Judyckiego i Zabięły; znajdował się w bitwach pod *Mirem* i pod *Grannym*. Roku 1794 odbył drugą kampaniją pod dowództwem generałów: Pawła Grabowskiego i Sierakowskiego. Był w bitwach pod *Wilnem*, gdzie został raniony, pod *Porzeczem* i *Słonimem*; w nagrodę za waleczność dnia 14 Sierpnia tegoż roku, postąpił na kapitana. Po zwinięciu wojska polskiego, przy rozbiórce kraju, przyjął obowiązki nadwornego architekta, u Księcia Franciszka Sapiehy, w którego domu zostawał do roku 1799, w tym bowiem roku przez konkurs publiczny, otrzymał w uniwersytecie Wileńskim katedrę drugiego profesora architektury cywilnej; oprócz tego uczył rysunków topograficznych do roku 1809, w którym otrzymał (17 Października) stopień doktora nauk wyzwolonych i filozofii. Przez ciąg lat czterech sprawował dodatkowo obowiązki kassjera, ekonomy i architekta uniwersytetu; wykładając architekturę lat dziewięć, napisał i ogłosił drukiem:

1. *O kamieniach wapiennych, z opisaniem konstrukcyi pieca, do onych doskonałego wypalania na wapno*, przekład z francuzkiego, 1800 roku. z rycinami. 2. *O ogniach ochotnych* (fajerwerkach i sztucznych ogniach) 1803 r. 8vo z rycinami. W rękopiśmie zostały z tego okresu: 3. *Pyrotechnika wojenna*. 3. *Architektura Hydrauliczna*.

W roku 1809 uwolniwszy się od obowiązków profesora przy uniwersytecie Wileńskim, wszedł w dniu 4 Kwietnia 1810 roku do korpusu Inżynierów Księstwa Warszawskiego w stopniu Kapitana pierwszej klasy. Kiedy po ukończonej kampanii 1809 roku z Austryą, przybyły części dawniej Polski, i Księstwo ówczesne dzielono na Departamenta; na wezwanie Ministra Spraw Wewnętrznych, Naczelnego Wódz, Książę Józef Poniatowski, przeznaczył Kadego do rozgraniczenia naprzód Departamentu Krakowskiego, następnie do podzielenia go na powiaty, co wraz z wyznaczonym od rządu Kommissarzem, uskutecznił. W roku 1814 przeznaczonym był w fortecy Modlinie, do kierowania robotami około budowli murów fortecznych, zajęty temi pracami, obrany został Członkiem Towarzystwa Krakowskiego rolniczego. W roku 1812

(1) Uchwała Sejmowa pod datą 11 Listopada 1790 roku.

odbył wyprawę północną, i znajdował się w bitwach pod *Grodnem* i *Borysowem*. Z Mohylewa posłany przez księcia Józefa Poniatowskiego z planami topograficznymi kraju nad-Dnieprskiego, do Rokaczewa, do dywizji generała *Latour-Maubourg*, wraz z nią wrócił do tegoż miasta, tu otrzymał rozkaz pozostania, i zajęcia się wysypaniem i obwarowaniem przedmostowego szanca. W czasie cofania się wielkiej armii w przejściu przez Berezynę, utracił wszystkie swoje bagaże, ogołocony, pieszo przybył do Wilna. Sierakowski radca stanu, widząc go w nędzy, schorzałego i niemogącego odbyć dalej pieszo drogi, przywiózł go do Warszawy. Tu Kado otrzymał rozkaz wyjazdu do Krakowa i objęcia tam obowiązków *inżyniera placu*. W roku 1813 pierwszych dni Maja, szczytki armii polskiej, pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, wyruszyły z Krakowa, i weszły w granicę królestwa Saskiego. Kado przeznaczony do Drezna pod rozkazy generała inżynierii Rogniat, użytym został do fortyfikacji pierwszej linii obrony. Przez cały czas oblężenia Drezna, pozostał w tych obowiązkach, po kapitulacji miasta otrzymał paszport napowrót do kraju, i w końcu Listopada tegoż r. przybył do Krakowa. W roku 1814 umieszczony został w dawnym stopniu w korpusie inżynierów; mając poruczony sobie dozór szkoły kadetów, w tym też roku obrany członkiem Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. W roku 1816 przeznaczony do pełnienia obowiązków szefa wydziału artylleryi i inżynierii przy Kommissyi Rządowej Wojny, w następnym roku, na zanesioną prośbę, otrzymał uwolnienie od służby w stopniu majora i wysłużonym mundurem. W roku 1815, został mianowanym budowniczym w Ministerjum oświecenia; w roku 1821 zastępcą profesora katedry architektury w Królewsko Alexandrowskim uniwersytecie, i w tymże roku stałym profesorem *budownictwa cywilnego*, w wydziale *Sztuk pięknych*. W roku 1823 na przedstawienie *Rady* tegoż uniwersytetu, został *professorem radnym*; i w tej godności umarł w 59 roku życia.

ZIEMIĘCKI FRANCISZEK. ⁽¹⁾

(*Pochowany na starym cmentarzu, w mogile ziemnej blisko Godebskiego grobu, bez żadnego napisu*).

Urodził się 1760 roku, umarł 17 Stycznia 1840 roku. Do tych wydatnych postaci polonusów kontuszowych, o których jużemy wspomnieli, jak Skorochoła Majewskiego i Dominika Borakowskiego, należy ś. p. mecenas Ziemięcki. Wzrostu średniego, postaci zsiadłej a krzepkiej, rysów twarzy wydatnych, pociągłych, surowego a męzkiego i szlachetnego oblicza, udatnie w polskim stroju wyglądał. ⁽²⁾

⁽¹⁾ Nie trzeba go mięszać z Ziemięckim tegoż nawet imienia który w téjże samej okolicy cmentarza pochowany i ma ciosowy pomnik grobowy z napisem: „Pamięci Franciszka Ziemięckiego Radey Skarbowego w Rządzie Gubernialnym Mazo(wieckim), przyjaciele i koledzy nagrobek ten poświęcają Ur. 5 Października, 1786 umarł 2 Grudnia 1843 r.“ Pomnik ten dowodzi najlepiej tak zasługi jako i prawości charakteru zmarłego.

⁽²⁾ Portret ś. p. mecenasa Ziemięckiego, wybornie trafiony tak pod względem podobieństwa rysów, jak i schwyconego życia i charakteru, oglądaliśmy na jednej z najdawniejszych *wystaw* w Warszawie; wykonał go syn ś. p. mecenasa, znany z talentu artysta.

Pamiętam dobrze tę postać, w samą sile męskiego wieku, otoczoną wieńcem dorodnej dziatwy, gdy bywał na wieczorach u ś. p. Tomasza Święckiego, autora Opisu *Starożytnéj Polski* (1).

(1) Dwukrotnie pisałem o życiu ś. p. Tomasza Święckiego (a); — tu uważam za stosowne uzupełnić szczegółami nieznanymi dawniej podane życiorysy. Była to także wydatna postać z czasów Rzeczypospolitej Polskiej. Zylem z nim w stosunkach ścisłej przyjaźni, wymurzał się przedemną nie raz z tym, co tał przed najbliższymi nawet sobie; szczegóły te, nie będą obojętnymi dla naszych czytelników.

Święcki ze szkół Węgrowskich księży Komunistów pod światłem przewodnictwem księdza Jakóba Białobrzeskiego, wyniósł gruntowną znajomość łaciny i zamiłowanie do historii krajowej i wszystkiego, co było rzeczą ojczyzną. Biegłości w prawie polskiem nabył w palestrze Drohickiej, a przy zmianach kraju i rozruchach, siadał z szablą na konia do potrzeby. Bywając w Warszawie w czasie *czteroletniego sejm*u, przypatrzył się poważnym obradom; poznał Kraków, — zwiedził groby królów polskich — i widział jeszcze starożytne korony — między tymi zwaną Bolesława Chrobrego. Kiedy ostatni rozbiór kraju nastąpił, Święcki nagle jak i wszyscy, pozbawiony udziału w życiu publicznem, schronił się do wiejskiej domowej strzechy. Wiele już wtedy młodzieży naszej przedarło się do Francji; — legiony we Włoszech już się utworzyły; — ciche wieści przebiegały o waleczności i odznaczaniu się wielu z ich liczby, między którymi Święcki widział i swoich towarzyszków szkolnych i z palestry. Zapragnął i on w młodem uniesieniu sławy wojennej; — ale trzeba było pierwej nauczyć się języka francuzkiego, — bo łacina na nic się nie przydała. Na starém Podlasiu, w ziemi Drohickiej, jest wieś *Kostki*, gniazdo rodzinne naszego Święckiego; — nieopodal od dworu, wznosił się pagórek lasem sosnowym i gęstą krzewiną zarosły, *mogilkami* lub *grobami* aryańskimi zwany, a właściwie był to cmentarz z czasów przedchrześcijańskich, w którym nie brakło i mogił Jadźwingowskich. W tej odludnej a cichej ustroni, w której zasłyszal tylko szum sośniny, a z pobliskiego pola przyspiewywał mu szary skowronek, uczył się młody Święcki, a uczył gorliwie; bo we trzy miesiące tak postąpił we francuzkim języku, że pierwszą książkę *Życie Dumouriera*, w całości pojął i zrozumiał. W gorącym upragnieniu przedarcia się do Włoch, miał udać się wprzód do Lwowa. Wtedy po raz ostatni poszedł do owéj cichej ustroni, w on las sosnowy na mogilki, pożegnać tę swoją jak nazywał akademiją. Kiedy mi ową chwilę opisywał w sześćdziesiątym roku życia, zawsze miał łez pełne oczy. „Noc była pogodna — księżyc w pełni przyświecał — żadna chmura nie kryła jasnego nieba. Kiedym wszedł na mogilki (mówił mi) uczulem taki żal serdeczny, takie ściśnienie serca, że zaczął płakać jak dziecko. Szlochałem długo i utulić się nie mogłem. Usiadłszy na zwykłym miejscu pod starą sosną, wspominałem sobie młode lata dziecinne, — zdało mi się że widzę postać méj matki; wspomnienia szkolne, — a dalej wszystkie postacie czteroletniego sejm; — Warszawa — Kraków — groby królów — wszystko to mieszało się w obrazy jedne po drugich. Było już po północy dobrze, kiedy kwilenie sów, jakoś mnie z moich oczucilo marzeń. Jakiś nagły strach mnie ogarnął. Zdawało mi się w długich cieniach sosny, widzieć jakieś widma straszne. — przypominałem sobie wtedy, że to są *mogilki*, że tu tysiące trupów spoczywa. Zimny pot oblał czoło, zerwałem się na nogi i zacząłem uciekać. Ale na czystym polu ochłonąłem do razu; wstyd mi nawet było, i jakby coś szeptało mi w ucho: „Widzisz jak to pięknie panie rotmistrzu, — nie dawno na czele chorągwi śmiało jechałeś, a teraz zmykasz jak zając”. Stałem, rozśmiałem się sam z siebie — ale mimo to, już nie miałem odwagi pójść na mogilki moje”. Silne przeszkody nie dozwoliły mi przedarcia się do Włoch. Po zwiedzeniu znacznej części Galicyi i gór Karpackich, osiadł w Krakowie. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, przybył do Warszawy, i został mianowany adwokatem przy Sądzie Appellacyjnym. Kiedy nagle i niespodziewana wybuchła wojna w roku 1809, gdy szczuple chorągwie nasze stanęły pod Raszynem, postawić opór licznemu nieprzyjacielowi; Święcki był na okopach od rogatek Jerozolimskich. Z wielkim zapalem zawsze mi tę chwilę opowiadał: ten huk dział i ręcznej broni, — pożar płonącego Raszyna — okrzyk wojenny i jęk rannych i konających. Opisywał jak wielki smutek obudziła wiadomość o śmierci walecznego Godebskiego; jak go oplakiwano serdecznie wraz z tylu poległymi wojownikami; — a rzecz dziwna, że na tych walach, że wśród wrzawy krwawego i morderczego boju, widok pożaru Raszyna, obudził i natchnął w nim myśl, opisaną *Starożytnéj Polski*. „Widok téj bitwy wzruszał mnie głęboko (mówił mi) jakaś boleść ścisłała piersi. Kiedy zapłonął Raszyn, a wśród kłębow dymu wzbił się słup jasnego płomienia; odbłask jego jakby ogrzał czoło moje, i myśl powstała, której już nie zatrzed

(a) Czytelnik raczy porównać „w *Historji literatury polskiej w zarysach*, tom IV, i w *Życiorysach znakomitych ludzi*, tom I, str. 341. Wzjerunek w dziele tym zamieszczony, jakkolwiek z jedynego portretu ś. p. Święckiego wiernie zrysowany, nie wiele go przypomina. Głowa była mniejsza, oblicze szczuplejsze; a wyraz twarzy miał więcéj miły i wdzięczniejszy.

Ziemięcki urodził się jeszcze w czasach Augusta 3; miał lat cztery, kiedy Stanisław Poniatowski wstąpił na tron. Po ukończeniu szkół jezuickich, oddawszy się nauce prawa, w niej do tego stopnia doskonałej wiadomości narodowych i ościennych praw, zwyczajów i formalności

nie mogło: „Widzisz pożogę co trawi równie drzewo jak mury (szeptał mi głos z mogilek znany) znasz już wiele części Polski; opisz ją dla potomnych, bo jak po Raszynie gruz i popioły za kilka godzin będą tylko, tak i po wspaniałych zamkach i grodach, ruiny i zwaliska pozostały”. Odtąd zaczął rozmyślać nad planem dzieła całego, i we trzy lata ogłosił najprzód broszurę: „*O ziemi Pomorskiej, Panowaniu i żegludze Polaków na morzu Bałtyckiem*” (Warszawa 1811 r.) a następnie w ośm lat wydał po raz pierwszy: „*Opis Starożytnej Polski*”. W chlubnym przyjęciu tego dzieła i w przeważnym wpływie, w rozbudzeniu zamiłowania do krajowości i rzeczy ojczystych, znalazł miłą nagrodę dla swego serca, za pracę tyloletnią i tak mozolną. W roku 1804 ożenił się, a straciwszy po dwóch latach żonę którą wielce kochał, już nie powtórzył związków małżeńskich, jakkolwiek w 32 roku życia został wdowcem, i oddał się cały pielęgnowaniu i wychowywaniu swojej jedynaczki *Hilaryi*. A dziecina wzrastała hożo, i wyrosła w ślicznej urody dziewczę. Wzrostu wysokiego jak ojciec, a składnego; płci alabastrowej, ze świeżym rumieńcem; oczy czarne pełne życia i ognia, i włos kruczy przy wdzięku całej postaci, stanowiły prawdziwie polskiej dziewczęcy urodę. Święcki sprowadził siostrę swoją już w latach panne, aby czuwała nad wychowaniem tej jedynaczki, i gdy wyrosła już, zawsze dawał w czasie zapust kilka wieczorów, gdzie zebrana młodzież akademicka i oficerowie wojsk polskich, podejmowani gościnnie i po staropolsku. ochocho do świtu tańczyli. Mieszkał w onczas na ulicy Podwale, i ja jako uczeń czwartej klasy szkoły Księży Pijarów, wszedłem na taki wieczór, i po raz pierwszy poznałem Święckiego. W obszernym salonie już zebrano się dosyć młodzieży; — boczne drzwi od przyległego pokoju były zamknięte,—pokój ten obejmował Bibliotekę naszego literata. Kiedy już niemal wszyscy zaproszeni goście zebrali się, — przed zaczęciem jak zwykle poloneza, otwierają się drzwi tajemniczego pokoju dla mnie; i ukazuje się wyniosła postać Święckiego. Wzrostem nie wyrównywał wprawdzie dwom kontuszowcom: Skorochodowi Majewskiemu i Plichcie—ale mało co był niższy: za to więcej smaglejszy, topolowej postawy. Głowa do wzrostu była nieco zamała, oblicze szczuple; ale wyraz twarzy ujmujący i wdzięczny. Po raz to pierwszy ujrzałem tak blisko uczonego literata; bo choć mieliśmy światłych profesorów, ci wszakże powszednieli codziennem widzeniem. Święcki już był wydał wtenczas *Opis Starożytnej Polski*, czytałem z zajęciem to dzieło — słyszałem chlubne pochwały. Przypominam sobie dobrze, z jaką cześcią oddałem mu pokłon—z jaką ciekawą nieśmiałością zaglądałem do tej biblioteki, a następnie odważyłem się do niej wstąpić. Nie długo szmer powstał w sali, wszedł s. p. Ziemięcki w kontuszu i sutym pasie, otoczony trzema dorodnymi córkami, a za nim drugi kontuszowiec Skorochód Majewski, którego dwie córki z matką, już były w gronie bawiących. Obaj z gospodarzem weszli do Biblioteki, gdzie zasiadł w kąci, patrząc na hassające grono na sali. Na małym stolczku stały butelki ze starym węgrynym, ulubionym przez Majewskiego,—był on bowiem wyborynym jego znawcą i u jednego z kupców przed Zamkiem. miał w beczkach ulubiony sobie gatunek sprowadzany rok rocznie z Węgier. Święcki był w użyciu wina, bardzo skromny: w późniejszych latach całkiem go zarzucił, gdy zaczął na oczy zapadać. Ziemięcki jako dawny palestrant znalazł się na wartości mądziara lubo go wielce umiarkowanie używał: wszyscy trzej musieli oceniać dobrze ten trunek, o którym Węgrzy mawiali: „że u nich się rodzi wino, a w Polsce wystają, nabiera ceny—i wypija”. Muzyka brzmiała na sali; ochocho pary żwawo wywijaly mazura, — a trzech polonusów wiodło zajmującą gawędę o przeszłości. Tu górował głos silny pana Skorochoda metrykanta; — kiedy wpadał w zapał, i malował sceny boju w którym miał udział. Wiele lat upłynęło od tej daty:—urodna córka naszego autora poszła za mąż; osamotniał dom jego teraz. Obok poczty na Krakowskiem - przedmieściu, była kawiarnia Brzezińskiej. Stacya to w one czasy literacka. Sędziwsi wiekiem i młodzież akademicka, gromadnie się tu zbierała. Były wszystkie pisma peryodyczne do czytania a choć fajki nie wolno palić, wyborna kawa i poncz, przeciwieństwo zwabiały w ten cichy zakątek. Tu codziennym prawie gościem na czarną kawę, bywał Święcki — tu po wielu latach rozłąki zbliżyliśmy się więcej do siebie, tu odebrałem zaprosiny abym go odwiedził. Mieszkał wtedy na Kapitulnej ulicy, na pierwszym piętrze od ulicy, i mniej już zajmował się obowiązkami mecenasa. Pokój z balkonem, który służył za bawialny, mieścił w sobie doborową bibliotekę, którą z niemalym trudem i nakładem przez wiele lat zbierał. *Opisu starożytnej polski* pierwsze wydanie, już było w zupełności wyczerpane, cena egzemplarza, trzy do czterech razy przewyższała wartość księgarską pierwotną, pracował więc nad drugim wydaniem tego dzieła—uzupełniał, poprawiał i powiększał, i zarazem powziął myśl do zbierania materyałów, celem napisania: historycznej wiadomości o znakomitych rodzinach pol-

polskich doszedł, że obowiązki *mecenasa* w Trybunale Piotrkowskim od r. 1788 i urząd *komornika* granicznego Ziemi Wieluńskiej lat kilkanaście, aż do czasu ostatniego rozbioru i Rządu Pruskiego, pełnił. Za czasów księstwa Warszawskiego: *Izba Sprawiedliwości*, departamentu

szych. Równocześnie pracowałem wtedy nad *Opisem Warszawy* (z którego ustępy drukował J. K. Ordyniec w Dzienniku Warszawskim); i *Święcki Opis szturm i zdobycia Warszawy przez Czarnieckiego i Jana Kazimierza*, w przypisku wydrukował. Ile razy coś nowego zdobył z wiadomości historycznych, zaraz mi znać dawał i udzielał. Pamiętam z jakim radośnym uśmiechem mnie witał, z jakim zapalem czytał lub opowiadał, co nieznanego mu dotąd w długim ślęczeniu zdobył; jaki fakt bohaterski odgrzebał. W tym jego zapale i zajęciu, malowała się poczciwa dusza zacnego pracownika. Cokolwiek dziś krytyka wyrzec może o pismach Święckiego, to sprawiedliwie sądząc go ze stanowiska owoczesnego stanu historii, zawsze zapomnieć nie może, że on to był pierwszy który swoim dziełem pobudził myśl, do opisywania miast, zamków i kraju naszego. Było to w roku 1829, gdy odbieram kartkę od Święckiego, abym przybył, bo ma pilny interes. Spiesznie staję w jego mieszkaniu; zastałem go wielce wzruszonego i chodzącego po bibliotece niespokojnie. — Czyś czytał wczorajszą gazetę polską? — Cóż takiego? — zapytnę. — A artykuł na Roczniki Towarzystwa naszego (Przyjaciół nauk) — Nie czytałem — Na masz, — czytaj! coż powiesz na to, aby jeden smyk, młodzieniaszek szarpał się na grono nasze! Wziąłem do ręki więc ową gazetę, i w niej przeczytałem *Krytykę czyli rozbiór Roczników Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk*, w którym wykazywał młody autor M. M. znany z dzieła: „*O literaturze polskiej dziewiętnastego wieku*”, że pismo to, żadnych żywotnych kwestyj, nie zawiera w sobie, a przystępując do poszczegółowych rozpraw, oddzielnie każdej błędy i usterki wskazywał. — „Dziś było nadzwyczajne zebranie członków (mówił ciągle chodząc wzruszony), i jednomyślnie uradzono na taki paszkwil nic nie odpowiadać, „Chociaż nie dzieliłem zdania zacnego Święckiego, uznałem za rzecz arcy rozumną, że się w odpowiedzi wdawać nie chcą. Nie długo też i *Śpiewak Grazyńny* w głośnej rozprawie „*O krytykach i recenzentach Warszawskich*”, silniej nie tylko na pojedynczych członków, ale i na całość zbiorową Towarzystwa Przyjaciół nauk, uderzył. Święcki zniósł to więcej umiarkowanie jakim sądził. Przyznawał wielu ustępom słusność — wielu nieprawdę — i w końcu wyrzekł te pamiętne słowa do mnie, które później w kilka lat mu powtórzyłem „—Mój panie Kazimierzu, takie porywy młodzików, czy to na korporacje uświęcone powagą czasu, czy na osiwiłych pracowników są przepowiednią czegoś ważnego. Tak bywało jakim słyszał od starszych, za Stanisława Augusta, kiedy młodzież wynarodowiona zaczęła rej wodzić. A sam pomnę, że od bitwy pod Maciejowicami i wzięciu Kościuszki, taki popłoch w całym narodzie powstał i taki szal dziwny, że w tym roku, więcej polaków zrzuciło kontuszów i żupanów, a przebrało się zendzoziemska, niż w ciągu całego panowania Poniatowskiego. Zdawało się że w tym stroju ukryta jakaś zaraza, której unikali przez dotknięcie z ciałem. A dalsze losy wiesz i znasz dobrze. I te harce dzisiejsze młodzieży na starszych, zobaczysz że wywołają coś straszego.“ W następnym roku widziałem go tylko parę razy i to krótko. Rzewne było nasze pożegnanie: on mnie zażegnywał i błogosławił. W roku 1835 znowu częściej jeszcze widywałem się ze Święckim, ale już nie w kawiarni Brzezińskiej, co opustoszała z dawnych znajomych. Ci co bywali, unikać zaczęli, bo rzadko w niej zobaczyłeś starą znajomość. Mieszkał w tym samym domu, nie się w nim nic zmieniło — tylko gospodarz osmutniał, i te lat kilka przycisnęło go brzemieniem jakby lat wielu. Więcej zapadał na oczy, i to mu niemało odejmowało przyjemności życia, bo mniej mógł czytać i pracować, a to była w samotnym życiu Święckiego jedyna, rzecz można, rozrywka. Wody buskie które używał nie skutkowały jak dawniej; na dwa lata przed zgonem dotknęła go śmierć Skorochoda Majewskiego. — Padają jak stare drzewa (mówił do mnie za pierwszym powitaniem) ci co to dawne rzeczypospolitej zapamiętali czasy. Ot! i pan Skorochód już przeszedł w lepsze życie i na nas nadchodzi godzina!“ Gdy mu tłumaczył że o dziesięć lat młodszy, może się cieszyć dłuższym życiem, rzewnieprawy ze znanymi mi odrzekł: — „I na cóż żyć! gdy wszystko w około zmieniło się do niepoznania, a człek coraz samotniejszy, jak ten dąb spróchniały, czuje bliski co chwila upadek. W gwarze pełnym życia spędziłem wiek młody; krótko zakosztowałem szczęścia pożycia małżeńskiego; a potem w domu coraz większe pustkowie. Jeszcze jakoś weselej jak córka była, ale od dawna poszła na swoje gniazdo, a tu lata cisną — oczy coraz gorsze — pociechy znikąd — i jakaś tęsknota trapi bezustannie. Wiesz, że miałem sen dziwny widziałem pana Metrykanta Majewskiego który wczorajszej nocy wyrzekłszy; „za dwa lata do widzenia“ zniknął. A miał dziwny ubiór, bo kontusz biały jak śnieg karmazynowy żupan — i pas jak tęczą; a co mnie najwięcej zdziwiło, że w ręku jego widziałem moją karabelę. Spałem tego, i dopiero o siódmej się obudziłem. Pierwsza rzecz jakim przetarł oczy, spojrzałem na ścianę przy łóżku; moja

Warszawskiego, wezwała Ziemięckiego na sędziego powiatowego, a razem na dyrektora w tymże sądzie: (15 Stycznia 1807 r.) w tymże roku mianowany adwokatem przy Sądzie Appellacyjnym. Za czasów królestwa (d. 27 Listopada 1815 roku) został mecenasem Sądu najwyższego. Był właścicielem dóbr *Trzylatkowa* w powiecie Czerskim, i jako dziedzic a dawny szlachcic Rzeczypospolitej polskiej, zapisany w księgę szlachty przez Radę Obywatelską 1821 r.

W obowiązkach sądowego obrońcy, doszedł sędziwego wieku. Wielkie rzuca światło na tę postać starego polonusa a palestranta Piotrkowskiego, urzędowy dokument z r. 1836. Jest to przedstawienie prezesa ówczesnego Sądu Apellacyjnego, Onufrego Wyczechowskiego, do Dyrektora głównego prezydującego w Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, i z tego powodu podajemy go tu dosłownie.

„Wiadomą rzeczą jest, że za czasów Rzeczypospolitej polskiej nie było ani *Kodeksu cywilnego*, ani *procedury*, czyli raczej systematycznego zbioru praw przez władzę najwyższą prawodawczą usankcjonowanego, wyjąwszy niektórych *statutów*, tudzież *korrektury*, które w części niedostateczne, w części dotyczące tylko niektórych prowincyj, nie stanowiły prawa powszechnego krajowego. Co się jeszcze dotyczy *procedury*, i wewnętrznej organizacyi sądów, niemniej sposobów postępowania w Izbach, więcej na empiryce, aniżeli na prawie pisaném uzasadniały sądy swe postępowanie. Niewątpliwą rzeczą jest, że zbiór praw wszelkich i sposobu postępowania w tym kraju, wielce jest zajmującym. Nie zbywa wprawdzie na autorach, którzy tej mizolnej, lecz arcy-ważnej podjęli się pracy w usystematyzowaniu rozrzuconych po rozmaitych dzielach praw pisanych prowincjonalnych i zwyczajowych, lecz nikt dotąd nie podjął, i nie jest w stanie podjęcia się zbioru prawideł tych, *Postępowania sądowego*, które na samęj tylko praktyce uzasadnionemi były, kto sam za czasów polskich nie praktykował, osobliwie w koronie.

„Pomiędzy prawnikami polskimi, których miałem sposobność poznać, przez cały czas urzędowania mego, nie zdarzył mi się żaden, któryby tyle okazał wiadomości i zdolności wyjaśnienia rzeczy, jak żyjący jednocześnie mecenas Ziemięcki, który w Trybunale Piotrkowskim jako mecenas praktykował. Człowiek ten, pomimo podeszłego wieku, bo lat 76 liczący, praktykuje na nowo w sądach tutejszych krajowych od roku 1812, i okazuje dotąd tyle przytomności i daru wyłómaczenia i wypisania się, że prawdziwie uważać go można za jeden, jedyny jeszcze pozostały *autentyk* dawniej *procedury empirycznej*. Ten obeznawszy się zarazem z tegoczesną procedurą sądową, jest w stanie poczynić porównanie lub wyszczególnić odmienność prawideł te- raźniejszych od dawnych, i zostawić nader ważną pamiątkę dla historyi prawodawstwa krajowego: z nim zaś, obawiać się trzeba, że zaginie wiele objaśnień, których później nikt odgadnąć nie zdola. Przy tych zdolnościach, towarzyszy jeszcze temu starcowi, cnota niezłomna, wzorowe postępowanie, i gorliwość tak w obronie spraw mu powierzonych, jako w rzeczach, dotyczących dobra publicznego. Sądzę być moim obowiązkiem, zwrócić na ten przedmiot uwagę.” (1)

szabla wisiała, i zaraz mi sen ten się przypomniał. A ja wierzę w objawienia senne, boć one nie raz były nieochybną wróżbą”. I sen Świąckiego rzeczywiście się sprawdził; senne widzenie miał w końcu Września 1835 r. a umarł w Busku dnia 6 Września 1837 roku, gdzie przy kościele tamiecznym pochowanym został

(1) Akta osobiste z daty 18 (30) Czerwca 1836 r. Nr. 4575.

Przedstawienie to okazuje tak zdolność jak i charakter ś. p. Ziemięckiego; prawnik ten w wolnych chwilach, już był wtedy opracował obszerną rozprawę p. n. „Zbiór formalności prawnych, do postępowania w sądach każdej instancyi niegdyś rzeczypospolitój Polskiej używanych, dla porównania ich z teraźniejszym, ułożony.“ (1)

Pracę tę zaczął następnie rozszerzać, ubogacać szczegółami nowemi, i zostawił obszerny rękopism, który dla historii prawa polskiego jest arcyważnym nabytkiem. (2)

W sędziwój starości, pochowawszy poprzednio w grobie żonę i kilkoro wyrosłej już a do-rodnej dziatwy, w 80 roku życia umarł, i spoczął na tym samym cmentarzu, gdzie ze łzami, swymi, zagrzebał wielką część własnej rodziny.

WEJNERT ANTONI.

„ANTONI WEJNERT NADWORNY MUZYK KRÓLA POLSKIEGO STANISŁAWA AUGUSTA, PROFESSOR KONSERWATORYUM MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO, EMERYT ZA WYSEŁGĘ LAT 60. URODZONY W LUSDORF W CZECHACH D. 2 CZERWCA 1751 ROKU, UMARŁ DNIA 18 CZERWCA 1850 ROKU W WIEKU ŻYCIA 100. POZOSTAŁY SYN Z RODZENSTWEM, WNUKAMI I PRAWNUKAMI, UPRASZA O WESTCHNIENIE DO BOGA, ZA DUSZĘ NAJLEPSZEGO OJCA.

(*Stup kamienny z tablicą taką.*) (3)

Zacznę ten życiorys Wejnerta, słowami jak sam opowiadał dzieciom swoim w 96 roku życia. „Urodziłem się 1751 r. dnia 2 Czerwca w księstwie Friedland w Czechach, z Krysztofa Wejnert i Anny Anklin. Było nas trzech braci i dwie siostry. Mój ojciec będąc dosyć bogatym, ponieważ trudnił się handlem, starał się nam dać jak najlepsze wychowanie, dla tego posłał starszego brata

(1) Pismo to godne ze wszech miar ogłoszenia drukiem, znajduje się w Petersburgu, w aktach byłej deputacyi prawodawczej, a mianowicie w woluminie obejmującym pisma ogólne i niepodzielne nad Kodeksem i procedurą cywilną od stronicy 104. Kommissya Rządowa Sprawiedliwości na przedstawienie wyżej przywiedzione Prezesa Sądu Appellacyjnego, zajęła się rozważaniem tego przedmiotu. W referacie A. I Szabrańskiego (z dnia 12 Grudnia 1838 r.) wyczytuje:

„Najżyteczniejsze dzieło dla prawnictwa polskiego utworzyłby Ziemięcki, przez spisanie dawnych przepisów postępowania sądowego. Żeby jednak te miały wartość prawdziwą i zawierały to tylko, co dotąd nie jest znane, potrzeba żeby Ziemięcki przyjął zasadę spisywania tylko tego, co pamięcią swoją objąć może, robiąc zreszty, to jest z cytat prawa, z wyjątków dzieł, przydatek jak najkrótszy, stanowiący wyjaśnienie tylko o tyle, o ile koniecznie potrzeba by było. W zbiorze tym, mógłby zachować porządek, na wzór postępowania sądowego teraz obowiązującego, a przynajmniej o tyle, o ile by się to dało. Że jednak dawne postępowanie sądowe, najwięcej polegało na zwyczaju, a ten według rozmaitych okolic był rozmaitym, powinienby więc Ziemięcki przedewszystkiem opisywać to, co widział w okolicach gdzie najdłużej przebywał, robiąc z reszty wiadomości przydatek.“

Przyznać musimy, że w tym referacie pojął wybornie *Redaktor panoramy* jaki kierunek nadać należało pracy Ziemięckiego. Rzecz przedstawiona 7 Stycznia 1839 r. z decyzji ówczasowego Dyrektora Głównego Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, złożona została do akt. W rok już później, Ziemięcki nie żył.

(2) Rękopism ten w czyjem się ręku obecnie znajduje, daremniem odkryć usiłował. Ktokolwiek go posiada, winien pamiętać, że to jest własność krajowa.

(3) Po obu stronach grobowca z tyłu oparte dwie tablice z napisami:

I. „Tu leży Anna z Dobresów z pierwszego męża Gelinek, z powtórnego ślubu Kamińska, rodem z Czech miasta Horzytz, zmarła d. 11 Lipca 1827 w 88 roku życia, prosi przechodzących o westchnienie do Boga.“

II. „Tu spoczywają dwie siostry z Gelinków, Elżbieta Wejnert umarła 17 Czerwca 1832, żyła lat 66. Anna L-barth umarła 8 Listopada 1835, żyła lat 76, proszą o westchnienie do Boga.“



Projektował A. W. Złotowski

Wykonał A. F. S. i Warszawa Ul. Moskiewa N. 499

GROB ANTONIEGO WEJNERTA.



№ 0.626

Józefa do uniwersytetu w Pradze. Ale nie długo utraciwszy przez siedmioletnią wojnę cały swój majątek i handel, chcąc się ratować, udał się zenną z resztkami które potrafił ocalić do Cytaw w Saksonii, gdzie założył handel tabaki. Nie mogąc młodszych synów posyłać do uniwersytetu, kazał nam się uczyć muzyki i w mieście Friedland cały kurs muzyczny odbyłem. Jednego razu przyjechał tam wielki magnat polski, książę Antoni Lubomirski z siostrzenicą swoją królewiczową Franciszką z Krasieńskich (1); mieszkając w sąsiedztwie słyszał mnie często grającego. Przysłał kamerdynera abym do niego przyszedł i zabawił go moim talentem. Odtąd tak mnie polubił, że gdy odjeżdżał spytał mnie się, czy chcę z nim jechać, — bardzo byłem uradowany z tego, a na drugi dzień pojechaliśmy do Polski. Potrzeba było jechać przez Częstochowę; zbliżając się do niej, usłyszeliśmy wystrzały armatnie z fortecy Częstochowskiej. Ja jechałem z doktorem dworskim; zląkłem się i pytałem go, co to się ma znaczyć;—on odpowiedział mi, że to jest powitanie Księcia i Królewiczowej, ponieważ jej krewni byli fundatorami tego klasztoru. Przybywszy tam, wszyscy książęta w ornatach nas przyjęli, a po kilkodniowym pobycie, udaliśmy się do Opolą, gdzie również nas przy odgłosie armat uczczono. Tam byłem przedstawiony rozmaitym magnatom polskim, których niezmierną liczbą ciągle niemal przebywała w Opolu 1773 r. Pomiędzy innymi, biskup Krakowski książę Soltyk, wezwał mnie kilkakrotnie do siebie, abym z nim razem dueta na flotrowersie w obec najznakomitszych osób odgrywał. Wkrótce, bo po upływie piętnastu miesięcy, po nagłej śmierci księżniczki, mojej uczennicy, która zgrzaną będąc tańcem, zjadłszy szklanę lodów, żyć przestała, udałem się do Warszawy 1774 roku.“

Tu kończy się opowieść starca, a my dopielniamy życiorys znakomitego muzyka z wiarogodnych źródeł. Lubomirski podróżujący wraz z królewiczową Franciszką z Krasieńskich małżonką Karola księcia Kurlandzkiego, syna Augusta III (której wskrzesiła pamięć w ślicznej powieści swojej Hofmanowa) ujęty biegiem i czuciem grającego na flecie w sąsiednim domu Wejnerta, wysłał prosić młodego artystę do siebie. Po odegraniu kilku trudniejszych sztuk, książę Lubomirski przekonał się o wysokiej znajomości muzyki młodego, bo zaledwie 21 lat liczącego artysty, i zamierzył przyjąć go na kapelmistrza dworu swojego, a jednocześnie powierzyć mu uczenie córki wspomnianej królewiczowej polskiej na fortepianie. Świetne te widoki dla poczynającego artysty, skłoniły Wejnerta do opuszczenia rodzinnego kraju i przeniesienia się do Polski. Zdawało się, że szczęście długo uśmiechać mu się będzie, lecz Opatrzność inaczej rozporządziła. Córka królewiczowej po 14 miesiącach nauki, umiera nagle w Opolu 1774 r. a Wejnert pozbawiony dostojnej uczennicy słysząc nadto o wielkich talentach muzycznych i artystach najświetniejszych w Europie, którzy bawili na ówczas w Warszawie, postanowił przenieść się do tegoż miasta dla dalszego wykształcenia. Wkrótce po przybyciu do Warszawy 1774 r. Wejnert pierwszy raz publicznie dał się słyszeć w kościele księży Augustyanów, odegraniem solo na flecie. Jak dziś, tak i wtedy, muzyka w tym Bożym przybytku, składała się z pierwszych artystów i amatorów. Odegrane przez Wejnerta dzieła, w czasie summy niedzielnej, zwróciły natych-

(1) Był to wojewoda Lubelski, hrabia na Wisniewcu i Jarosławiu, starosta Medyki, Bratkowic i Miączyna, generał-lejtnant.

miast uwagę wielu osób, tak dalece, iż nazajutrz już kilku uczni pozyskał, jako nauczyciel śpiewu, fortepianu i różnych instrumentów, a tém zapewniał sobie byt i utrzymanie. W roku 1775 wszedł do orkiestry teatralnej, gdzie jako pierwszy flecista, przez lat 61 do późnej starości zasługiwał się publiczności. W czasie bytności króla Stanisława Augusta 1778 r. w kościele Farnym ś-go Jana, Wejnert dał się słyszeć w solach na flecie, wśród nabożeństwa odegranych. Król Stanisław był znawcą muzyki, nie uszedł też uwagi jego talent Wejnerta, którego kazal zaraz umieścić w nadwornej kapeli królewskiej, gdzie jako pierwszy flecista, a w końcu, za pobytu króla w grodzie, jako Dyrektor téj kapeli, pełnił obowiązki do r. 1795. W tym siedm-nastoletnim okresie, głośnym talentem i licznymi utworami, Wejnert uzyskał wstęp do naj-pierwszych domów. W dzienniku jego z owéj epoki nie jedną historyczną prawdę znaleźć można. Okres ten był najświetniejszym ustępem jego życia. Wkrótce bowiem po zjawieniu się pierwszej opery polskiej: *Nędza uszczęśliwiona* Macieja Kamińskiego, Wejnert zjęć jego, jednakiem zapalem dla dobra kraju palający, trzy opery polskie utworzył. Pierwsza z nich np. *Donnerwetter* czyli *Kapral na Werbunku*: była nader pochlebnie przyjętą od publiczności i często w owéj opoce grywaną; druga *Diabeł Alchemistą*; trzecia *Skrupul niepotrzebny*. Utworzył Wejnert jeszcze jedną operę, na widowisko amatorskie, grane w teatrze narodowym w dzień ś-téj Anny 1780, przez jednego z zamożnych starostów *gratis* dawane; dzieła tego jednakże publicznie w teatrze nie przedstawiano. Jak był biegłym Wejnert artystą, dowodzi następane zdarzenie. Na przedstawieniu opery w teatrze narodowym, Wejnert odgrywając na flecie długie *solo*, akompaniował śpiewacze w wielkiej arii. Po skończonym akcie, jakiś nieznany magnat zbliża się i uprasza aby nazajutrz mógł do niego przybyć, podług udzielonego adresu w własnym inter-ressie. Stał wezwany, i dowiedział się że to jest szambelan Fryderyka Wielkiego, który mając zlecenie od tegoż króla sławnie grającego na flecie, do wyszukania w której ze stolic europejskich, najslynniejszego flecisty, po długich poszukiwaniach wybrał Wejnerta, jako zupełnie odpowiedniego wymaganiom tego monarchy. Szambelan w końcu rozmowy dodał: że może go natychmiast zabrać do Berlina i przedstawić królowi. Tkwiła wdzięczność w sercu Wejnerta, iż w kraju naszym dla niego zupełnie obcym, nietylko prace i talent jego znalazły należyte oce-nienie, ale nadto i dostatecznie wynagrodzony był przez króla i przedniejszych panów; lubo więc projekt przez szambelana Fryderyka Wielkiego objawiony, nader pochlebny był dla niego, lubo go tenże stwierdził własnoręcznym monarchy swego listem; Wejnert jednak bez żadnego wachania odrzucił te świetne ofiary. (2) Domy Lubomirskich, Potockich, Sanguszków, Soltyków, Radziwillów, kolejno były świadkami tryumfów Wejnerta, jego głębokich wiadomości muzycz-nych w udzielaniu nauki śpiewu, grania na fortepianie i innych instrumentach. Ten okres życia Wejnerta, kończy pobyt jego w domu generała Filipa hr. Raczyńskiego, który będąc naocznym świadkiem objawów talentów jego na dworze królewskim, powołał go do *Rogalina*, dla wy-kształcenia dwóch synów swoich: Edwarda i Atanazego. Świadek ich wzrastania, pozostawił w pamiętnikach swoich najciekawsze szczegóły ich lat młodocianych, a tkliwa wdzięczność

(2) Alexander Wejnert. Gazeta Warszawska Nr. 287. z r. 1850.

Edwarda hrabiego Raczyńskiego, licznymi dowodami i pismami dotąd w rękach rodziny będącymi, stwierdzona. Po ukończeniu w lat 8 wykształcenia muzycznego tych dwóch młodzieńców, Wejnert powrócił do Warszawy, gdzie ciągle czynny i pracowity, pozostawił tu pamiątkę zaprowadzeniem u siebie, na *Dulfusowskim* przy ulicy *Nalewki*, pierwszych wieczorów muzycznych. Dwa razy na tydzień publiczność Warszawska zbierała się słuchać Wejnerta i innych pierwszych artystów, i zawsze z miłym zadowoleniem odchodziła. Przykład przez Wejnerta dany, bardzo szybko oddziaływał na całe miasto, i poczęto wydawać częściej muzykalne wieczory. Gdy w r. 1811 powstało w Warszawie towarzystwo muzyki kościelnej, którą głównie u księży Pijarów wykonywało; Wejnert nie tylko układał msze, oratorja, ofertorja, własnej kompozycyi, i tém bardzo silnie podtrzymywał tę muzykę; ale nadto z całą rodziną dopomagał do samego wykonania. Wejnert, Stefani (ojciec), Elsner, Kurpiński od 1811 r. stanowili ową muzykalną plejadę, która rozkrzewiła u nas zamiłowanie do sztuki i podniosła w oświecenijszej klasie narodu, muzykalne uczucie. Mimo podeszłego już wieku, nie przestawał Wejnert brać udziału w znakomitszych muzykach w Warszawie, gdziekolwiek się one pojawiły. Zabawy muzyczne w domu niegdyś *Salwatora*, następnie w resursie, o ile czas mu dozwolił, współdziałaniem swoim uprzyjemniał. Obok ciągłych usług w teatrze, jako nauczyciel publiczny, dawał lekcye śpiewu najprzód sierotom w szpitalu *Dzieciątka Jezus* od r. 1817 do 1824, następnie gdy zaczęło tylko istnieć konserwatorium muzyczne, był powołany na nauczyciela śpiewów w dwóch klassach dla płci żeńskiej, gdzie aż do końca istnienia tego zakładu naukowego, to jest do 1830 r. pełnił obowiązki. Oprócz powyższych prac, Wejnert wiele skomponował kantat, zwłaszcza w czasie dni galowych z epoki Stanisława Augusta, msze kościelne, różne tańce narodowe i t. p. sztuki. Jednym z dzieł jego ostatnich, była wielka *Kantata* z chórami, aryami, recytatywami odegrana w kościele Ewangelickim w Warszawie 1828 r. podczas świąt wielkanocnych. Tekst do niej ułożył ś. p. uczoney Fryderyk Hofman doktor filozofii, medycyny i chirurgii. Do zgrzybiałej starości, bo do r. 85 wieku swego pracował Wejnert w zawodzie muzycznym: przytomność zupełną prawie aż do zgonu zachował.

BAZYLI JACKOWSKI.

Stary to także wiarus z legijów Włoskich, co spoczął na cmentarzu Powązkowskim w dole ubogich, w sędziwym już wieku 1823 roku. Służył w wojsku polskiem od roku 1792, odbył kampaniję 1794, a w kilka lat następnie zaciągnął się do legijonów. Jenerał Henryk Dąbrowski wielce go cenil, w jednej mu bowiem we Włoszech bitwie Jackowski ocalil życie. Wdzięczny wojownik opatrzył go dostatniem utrzymaniem do śmierci. Wspomina tego mężnego żołnierza Marcin Molski w jednym liście swoim (z d. 9 Czerwca 1817 r.) pisanym do jenerała Dąbrowskiego. Oto wyjątek stosujący się do naszego wiarusa:

„Miałem honor odebrać przy końcu Maja list jenerała, który dwojako interessującą przyniósł mi wiadomość; raz o zdrowiu obojga państwa, i młodziej ich rodziny, powtóre o łaskawej ciągle

pamięci na mnie dawnego przyjaciela domu. Dałem więc posłańcowi świadectwo na list oddany a przy świadectwie złotówkę na piwo:

Bom poznał przez ten czas krótki
Kiedyśmy z sobą mówili,
Że do piwa i do wódki,
Niema wstrętu pan Bazyli.

Był to w samej rzeczy Bazyli Jackowski zasłużony weteran polski: opowiadał mi kampanije we Włoszech: wyliczał przedniejsze miasta, które lepiej zna niż dotąd Warszawę. Chwalił bardzo kraj włoski, to tylko ganiąc, że oprócz Medyolanu, nigdzie piwa dostać nie można, a likwory włoskie słabe, ani do głowy, ani do żołądka nie idą.“

TEOFIL JANIKOWSKI.

„TEOFILOWI JANIKOWSKIEMU ZMARŁEMU DNIA 12 PAŹDZIERNIKA 1840 ROKU W 39 ROKU ŻYCIA,
POMNIK TEN WYSTAWIĘA ŻONA.

„Płacze go żona z dziećmi, i ludzkość strapiona,
Jemu winna początek dziateczek ochrona;
Wszystko biednym poświęcił — i samego siebie!
Cześć jemu tu na ziemi, a nagroda w niebie.“

Urodził się w Pilźnie w Galicyi dnia 6 Grudnia 1801 r., przebywszy lata dziecinne w domu rodziców, gdzie przedewszystkiem przykład bogobojnej, pełnej cnót chrześcijańskich matki, zaszczerpił w nim najszlachetniejsze uczucia, — kształcił się naukowo w *Jasłę*, *Tarnowie* i *Krakowie*, — a wyuczysz się w ostatku kupiectwa, oddał się temu zawodowi wyłącznie. W Warszawie rozpoczął go w 1818 r. odznaczając się w nim ciągle pracowitością, rzetelnością i prawością, przez co zjednał sobie miłość i szacunek, równie pomiędzy współtowarzyszami, jak i w opinii publicznej. Po dwakroć, to jest w r. 1831 i 1836, obieranym był zastępcą Sędziego Trybunału handlowego; w roku 1838, został członkiem Komitetu reprezentantów zgromadzenia kupców Warszawskich, a w roku 1839 otrzymał nominacją na Radcę w b. Dyrekcji Głównej Towarzystwa Ogniwego.

Nie to jednak stanowi najpiękniejszą stronę jego życia, nie to go ulubieńcem Warszawian zrobiło, i dało imieniowi Janikowskiego piękny a zasłużony rozgłos. Pod świętym wpływem zacnej matki ukształciwszy serce, napojony uczuciem miłości chrześcijańskiej, pojął, że obok pełnienia obowiązków powołania swego, obok czuwania nad losem własnej rodziny, są jeszcze obowiązki obywatela i te, których ludzkość po nas wymaga. Nie uchylił się od nich Janikowski, sam sobie wskazał cel piękny i szlachetny, do którego podążał w krótkiej pielgrzymce życia. Wezwany w r. 1832 przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności na opiekuna cyrkulowego, następnie zaś na kasyera, miał sposobność przyjrzyć się z bliska nędzy i cierpieniom roboczej klasy mieszkańców, — i wtedy to postanowił użyć wszelkich sił swoich ku wspieraniu nieszczęśliwych, a nie rozłączył się z tą myślą, aż do ostatka życia. Ona go zajmowała ciągle, a przedewszystkiem w chwilach wypoczynku od pracy; ona naprowadziła go na liczne źródła powiększenia majątku ubogich, przez zachęcenie bogatych, częstokroć swoim własnym przykładem,



rysował i wykonał A. Matuszowski

w Litografii Białej Podlaskiej

GRÓB TEOFIŁA JANIKOWSKIEGO.



no. 626

do dzielenia się z niemi, przez urządzenie coraz nowych na ten cel zabaw publicznych, i przez różne sposoby, które myślał a sercem wypracował. Pamiętna pomiędzy innemi będzie na długi czas zabawa w r. 1838, złożona z teatru amatorskiego i z obrazów żywych, w której przyjęły udział najznakomitsze osoby. Kiedy do kogo tylko odezwał się Janikowski w potrzebach Towarzystwa Dobroczynności, każdy chętnie mu szedł w pomoc, bo miał w obejściu się swoim, co większa w spojrzeniu, w rysach nawet oblicza to, że gdy przemawiał za biednemi, nikt nie mógł odmówić, i najoszczędniejsza dłoń nawet, hojnie częstokroć i z chęcią dawała. Na dowód tego dosyć tu będzie przytoczyć: że gdy w r. 1838 mieszkańcy nadwiślańscy, okropną klęską powodzi dotknięci zostali, — Komitet Towarzystwa Dobroczynności pod przewodnictwem Janikowskiego utworzony, w tymże samym roku, zebrał dla niesienia pomocy tym nieszczęśliwym zł. 18,207 gr. 6; w następnym zaś roku, summa ta wzrosła do zł. 84,331 gr. 25 tak dalece; iż nie tylko z niej opędzono potrzeby załanych Wisłą, ale nadto znaczną jej część obrócono na wybudowanie domu dla sierot na Nowym świecie. Kiedy tym sposobem, przy pomocy Janikowskiego, wzrastały zasoby pieniężne Towarzystwa Dobroczynności, przemysliwał on zarazem i nad tém; w jakiby sposób najlepiej użyć tych darów zebranych w imię chrześcijańskiej miłości. Zwrócono przed nim uwagę na starców i kaleków, na pozbawionych sposobu zarobkowania przez chorobę lub doznane nieszczęścia, na sieroty zostające bez wszelkiej opieki. Janikowski był pierwszym w Warszawie i w całym kraju, który pomyślał o małych działkach biednej warstwy społeczeństwa, podwójnie nieszczęśliwych, bo nie tylko doznających braku pierwszych potrzeb życia, ale zarazem, przy całodzienném zajęciu rodziców zarobkiem, zaniedbanych pod względem moralnym, wtedy właśnie gdy najłatwiej zasiał w nich nasiona dobrego i rozwinąć uczucia religijne, mogące później posłużyć im za tarczę, przeciw skłonnościom wiodącym do złego, i za najlepszą pociechę w niedoli. W zupełnej niewiadomości że go już w téj mierze uprzedzono za granicą, powziął Janikowski w r. 1838 zamiar urządzenia u nas tak zwanych *Sal ochron*, a Bóg pobłogosławił téj zacnej myśli. Tegoż samego roku, przy współdziałaniu innych jeszcze, równie gorliwych jak on przyjaciół ludzkości, ujrzał ją urzeczywistnioną na łonie Towarzystwa Dobroczynności, a Warszawianie za pierwszym odezwaniem się Janikowskiego, hojną ręką wsparli i przyłożyli się do jej rozwinięcia. Zaraz w pierwszym roku urządzono wzorową salę ochrony w gmachu dobroczynności, i wysłano za granicę znanego w literaturze naszej Teofila Nowosielskiego, aby się tam praktycznie z rzeczą tą obeznał i przeszczepił ją na naszą ziemię (1).

(1) Teofil Nowosielski zwiedził zakłady tego rodzaju w Wroclawiu Berlinie, Dreźnie i Wiedniu, i wydał w r. 1840 dzieło p n „Wykład praktyczny prowadzenia dzieci małych w Ochronie przez Jana Swobodę. Przełożył z czeskiego Teofil Nowosielski, na dochód ochron”, 8-vo Tę pracę przypisał Janikowskiemu „za pierwszy pomysł wprowadzenia ochron do naszego kraju”. W pośród zakładów jakie widziałem (pisze) znalazłem: iż niezaprzeczenie przed wszystkimi ma pierwszeństwo ochrona w Pradze Czeskiej. zostająca pod kierunkiem Jana Swobody, który w czasie mojego w témże mieście pobytu, ukończył właśnie dzieło obecne, obejmujące wykład praktyczny sposobu, według którego dzieci w Ochronie prowadzone być mają. Za powrotem moim z zagranicy z polecenia Wydziału Ochron, zająłem się niezwłocznie urządzeniem pierwszej wzorowej Ochrony i wprowadziłem do niej metodę Swobody. z którą najdokładniej starałem się oszukać niepomijając wszelako nie. cokolwiek dobrego znalazłem w Wroclawiu, Berlinie, Dreźnie i Wiedniu. Pragnąc następnie nadal ułatwić kandydatom na przewodników do przyszłych *ochron* jak najrychlejsze i najdokładniejsze obznajomienie się z metodą

Szybkim krokiem wzrastała następnie ta zbawienna instytucja; — na wniosek Janikowskiego utworzono nowy wydział: „*Ochrony małych dzieci*”, gdzie prezydował Piotr hr. Łubieński, a jednomyślnie obrany Vice-Prezesem Janikowski, zajął się gorliwie i z właściwą mu energiją, do wykonania i rozwinięcia w obszerniejszych rozmiarach powziętęj myśli. Dziś Warszawa liczy już sześć sal ochron, do których uczęszcza blisko 400 dziatek (1). Nie długo potem żył Janikowski, ale przed zgonem jeszcze swoim, widział nieocenione ztąd korzyści dla biednych. To uczucie osładzało cierpienia jego fizyczne w ostatnich doznawane latach, które nareszcie przecięły pasmo dni życia jego, dnia 12 Października 1840 r., z prawdziwym a wielkim żalem żony, z którą przeżył lat 13 w przykładowej zgodzie i miłości małżeńskiej; syna, dwóch córek, krewnych przyjaciół, i tych wszystkich co go znali, lub tylko o nim słyszeli.

Towarzystwo Dobroczynności czcząc pamięć zgasłego męża, który tyle przeważnych zasług w jego gronie położył, portret Janikowskiego pędzla Aleksandra Kokulara, zawiesiło w sali posiedzeń swoich. Przyjaciel zmarłego, nauczyciel i opiekun dziatek w salach ochrony, znany powszechnie i wielbiony Stanisław Jachowicz, napisał czworowiersz, co wyryty jest na grobowcu Janikowskiego, a któryśmy na czele podali. Skromny napis, ale go prawda natchnęła, — skromny, jak było życie i charakter Janikowskiego, co z zaciszy rodzinnych progów, w których szukał spoczynku po trudach i codziennęj pracy, wybiegał zawsze, gdzie go tylko nieszczęście bliźnich i nędza ubóstwa, do działania powołała! Cześć i wdzięczna pamięć winna otaczać zacne wspomnienie nazwiska tego szlachetnego człowieka!

OSIŃSKI LUDWIK.

(Pochowany w ziemi, w 26 kwarterze, w rzedzie IV, grobie 1m. Mogiła już mało co znaczna).

Urodził się dnia 24 Sierpnia 1775 r. w mieście Kocku, z rodziców Jana i Barbary z Markowskich Osińskich. Wcześniej oddany do szkół księży Pijarów w Radomiu, skończył je w r. 14 życia; — wyższe zaś nauki, odbierał w tém samém zgromadzeniu Pijarów, do którego zaraz po ukończonych naukach w szkole Radomskiej, został przyjętym, i pełnił obowiązki nauczyciela. W dalszym czasie, wyrokiem dwóch Instancyj sądu duchownego uwolniony od tego stanu, wystąpił ze zgromadzenia, — poczem jako nauczyciel w różnych domach i instytucjach prywatnych, dawał lekcyje w Warszawie. Za rządu Pruskiego w r. 1799, wydał Osiński pierwsze próby poetycznych prac swoich: — między zaś rokiem 1801 a 1804, przekłady: *Cyda*, *Horacyusza* i *Alziry*, które postawiły go do razu w rzedzie najznakomitszych owoczesnych pisarzy. „Wielu pamięta jeszcze (mówi F. Dmochowski) ten zapal, którym publiczność przejęta wzniosłemi my-

Swobody, wyuczyłem się umyślnie po czesku, aby przełożyć na język ojczysty dzieło niniejsze, którego wewnętrzna wartość i użytek, dobroczynna i swiatła publiczność nasza, najlepiej ocenić zdola. Przekład dzieła Swobody którego upowszechnienie i względne przyjęcie, najlepszą pracy mojej stanie się nagrodą, mam sobie za najmilszą powinność poświęcić temu, który pierwszy powziął i urzeczywistnił myśl wprowadzenia do kraju naszego *Ochron* dla małych ubogich dziatek.

(1) Roku 1852 fundusze sal ochron doszły do rsr. 14,982 kop. 50, a wydatki ich wynosiły rsr. 4,556 kop. 5

ślami Kornela, i pięknym wierszem jakiego nie słyszała jeszcze na scenie; podniosła na rękach swoich znakomitego tłumacza, i złożyła mu hołd wdzięczności i uwielbienia." W owej epoce ścisła przyjaźń łączyła Osińskiego z F. Dmochowskim tłumaczem *Iliady*, który starszy od niego o lat 13, był mistrzem i przewodnikiem młodego poety. W kilka lat później Osiński wymownym głosem uczcił pamięć i zasługi zmarłego przyjaciela. Za utworzeniem Księstwa Warszawskiego, w r. 1807 powołany do służby publicznej, objął urząd sekretarza jeneralnego Ministerstwa Sprawiedliwości, później zaś pisarza Sądu kassacyjnego. Do tego czasu należą: dramat liryczny „*Andromeda*”, przekład *Czynny* trajedyi Kornela — kilka wzniosłych poezyj — mowa na uczczenie pamięci F. Dmochowskiego: — obrona pułkownika Siemianowskiego i Pamiętnik Warszawski r. 1809—10: tomów 4, które redagował jako dalszy ciąg Pamiętnika F. Dmochowskiego. Był to jedyny organ literacki w Warszawie, a przyznać trzeba, że pod kierunkiem Osińskiego znać wielkie ulepszenie i postępek. Już dawniej, bo w r. 1804 wezwany na członka ówczesnego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk, pełnił zaraz obowiązki sekretarza tegoż towarzystwa, które sprawował ciągle aż do czasów Księstwa Warszawskiego, z małą przerwą jednego roku, poświęconego na odbycie podróży do Francji z synem Stanisława hrabiego Soltyka. Upodobanie w poezji i sztukach pięknych, skłoniło go, iż opuściwszy na czas niejaki służbę publiczną, objął przedsiębiorstwo Warszawskiego teatru, po zasłużonym i gorliwym Bogusławskim, którego córkę pojął za żonę. W tym nowym zawodzie, więcej zważał Osiński na podniesienie i rozwój sztuki dramatycznej, niżeli na własne korzyści. Wystawienie w pięknych przekładach wielu znakomych dzieł dramatycznych z obcych języków, tudzież oryginalnych trajedyj, komedyj i oper, odznaczyło epokę przedsiębiorstwa Osińskiego, połączonej z mnóstwem przykrości, będących skutkiem wysilen, częstokroć nieodpowiednich i niewdzięcznych. Teatr też pod jego zarządem odpowiadał wszelkim warunkom czasu i wzniosłemu przeznaczeniu swemu. Znać było, że myśl wyższa, prawdziwie artystyczna kieruje każdym wystawieniem. Wtedy to widzieliśmy na scenie piękne utwory oryginalne autora „*Powrotu Poła*”, wyborne przekłady J. F. Królikowskiego, Kruszyńskiego, Minasowicza, Lipińskiego, Brodzińskich i samego Osińskiego. Pełni talentu dramatycznego: Bogusławski, Dmuszewski i dowcipny Żółkowski, pracowali i piórem dla wzniesienia teatru krajowego. Utwory muzyczne Elsnera i Kurpińskiego, podniosły operę oryginalną; — słowem, każda gałąź literatury dramatycznej, miała swoich zdolnych pracowników, a grono utalentowanych artystów, godnie na scenie umiało się wywiązać ze szlachetnego powołania swego. Kierował tem i ożywiał wzniosłą myślą Osiński — i tu nie mało zasługi dla swęj pamięci zacnej położył. Od r. 1818 przy nowo-utworzonym uniwersytecie Warszawskim, powołany na profesora literatury, przez lat 12 zajmował to miejsce. Obok katedry literatury, był *Dziekanem* wydziału *nauk i sztuk pięknych*, a jako członek deputacyi wyznaczonej do ustalenia *pisowni* polskiej, gorliwie przyłożył się do ukończenia tak ważnej pracy. Na lat kilka przed zgonem mianowany był Referendarzem w Radzie Stanu. Postradawszy jedyne go czternastoletniego syna, dziecię najpiękniejszych nadziei, bezpotomnie zszedł z tego świata d. 27 Listopada 1838 roku. Osiński w czasie współczesnych sobie wierszopisów, miał rzeczywiste uczucie i natęczenie poetyczne. Dwie *Ody* ukazują to uczucie: *Oda na powrót zwyciężkiego wojska*

1809 r., i *Oda na pochwałę Kopernika*. Piérwsza jest tak cudna, tak upromieniona natchnieniem rzetelném, że za arcydzieło swego czasu, jako pomnik dla autora stać będzie; druga, ustępnami tylko piérwszą dościga. Podanie miejscowe niesie, że Osiński wezwany przez ówczesne Towarzystwo Warszawskie przyjaciół nauk, do napisania wiersza na powrót wojska, w wigilią przeznaczonego dnia do obchodu uroczystego, obszedł kilka razy dawny Ratusz na *Starém mieście* w Warszawie; a patrząc na pomnik ten wiekowy, zdawał się z niego czerpać natchnienie. I zaprawdę, podniosłe uczucie, nacechowane rzewną prawdą, starowieczny dał mu gmach mazowiecki. Zapisujem tutaj to podanie, bo wymownie poświadcza, jak wielkiego u nas doznawał Osiński, jako poeta, uwážania. Przekłady trajedyj francuzkich, już poprzednio ustaliły jego sławę poetycką. Na dwa lata przed *Odami*, liryczny utwór Osińskiego, zwrócił wszystkich uwagę. Było to w roku 1807. Zwycięzki Napoleon I. miał być na Teatrze Warszawskim—potrzeba było, aby utwór dramatyczny, odpowiedział godnie ówczasowym okolicznościom. Napisał więc dramat liryczny: *Andromeda i Perseusz*, z muzyką Józefa Elsnera. Dla zrozumienia treści, złożono Cesarzowi egzemplarz, gdzie obok polskiego oryginału, zamieszczono i tekst francuzki. Zapal był niesłychany—a można rzec z prawdą: że scena nasza, piérwszy raz usłyszała język rodzimy tak jędrny, tak silny, pełen harmonii i wdzięku, jakim władać umiał Osiński, gdy czuł zapal i natchnienie. Jako mówca niepośledniejsze zajmował stanowisko. Obrona pułkownika *Siemianowskiego*, pozostanie na zawsze wzorem w literaturze naszój, wymowy sądowój. Nie mała to była sławą dla tego pisarza, że gdy wyobrażenia literackie inny kierunek wzięły, i olbrzymim krokiem postępowaly naprzód, obalając i krusząc jak bałwany pogańskie, ciasne i niedorzeczne formy francuzkiéj klassycznosci; on, zwolennik ich zapamiętały, umiał zgromadzać w około swój katedry, zbiór zawsze liczny—i co dziwniejsza—wielu z wyłącznych wielbicieli romantyzmu. Tam, obok młodzieży uniwersyteckiej, przy mundurach wojskowych naszych i strojach eleganckich pięknych polek; widziałeś nieraz i śpiewaka dumki *Mazepy* i autora *Zamku Kaniowskiego*—i twórcę *Felicyty*. A cóż wabiło w wieniec tak liczny zbiór ten różnorodny, co spieszył z takim zajęciem, aby słowa nie stracić z prelekcji ulubionego profesora? Była to tajemnica, którą sam tylko posiadał Osiński. Oto smak i gust w ułożeniu każdej prelekcji, z przywiedzeniem przykładów— a co nadewszystko, cudnym i czarownym głosem, nieporównaną deklamacją podnosił lśnić, barwił i zachwycał. Na katedrze to Osiński był owym mistrzem czarodziejskim, co potęgą słowa zakląć umiał, i onieścić każdą krytykę wyrozumowaną:—umiał często sąd błahy, myśl pozorną, przesunąć zgrabnie jakby świetny meteor. Bo to była nie tak deklamacja, jako raczej muzyka głosu, co melodią swoją wzruszała serce. Takie wrażenie sprawiał z katedry Osiński,— tłum pojazdów napelniał dziedziniec Uniwersytetu— tłum słuchaczów przepelniał największą tego gmachu salę. I każdy z zadowoleniem opuszczał świątynię nauk, bo professor umiał obrać na efekt, każdy rozdział prelekcji, a na zakończenia dobierał ustęp wydatny czy silnym obrazem, czy uczuciem, czy wreszcie dowcipem. Tak więc, zawsze licznych słuchaczy, albo zajął wyobraźnią, albo zawładał sercem, albo rozradował lub rozśmieszył. Bardzo mało mamy drukowanych utworów Osińskiego, a prócz jego poezyj, tak własnych jako i przekładanych a rozrzuconych po różnych pismach peryodycznych i elementarnych dziełach; oraz mów i recenzyj



A. Matuszkiewicz

© Litogr. Banku Pols.

GRÓB ZUZANNY WILCZYŃSKIEJ



110.626

W Pamiętniku Warszawskim, który wydawał; tragedji *Horacyuszów* Kornela i *Andromedy*, nie licząc wydany w roku 1804, „*Zbiór zabawek wierszem*”;— reszta pozostaje w rękopismach. Wyliczymy je tu, o ile mogliśmy wiadomości zasięgnąć: Piotra Kornela: *Cyd* czyli *Roderyk—Cynna*, albo łaskawość Augusta—tragedję wierszem; Woltera: *Alzjra* tragedia wierszem; Chenier'a: *Fenelon*. Ducis'a: *Król Lear—Otello murzyn w Wenecyi*. Belloa: *Gabryela de Vergi*. Pignault: Lebrun: *Rywale samych siebie*, komedia. Bulliego: *Intryga w oknach* opera. Z włoskiego przekłady oper: *Horacyusze i Kuracyusze*, *Żony przemienione*, *Wiesniaczka dowcipna*, *Dziadek*. Widziemy ztąd, ile z bogactw Osiński literaturę dramatyczną. Był on godnym reprezentantem swego okresu, postawiony we właściwych ramach czasu, gdy w całej czerstwości ducha pisał i nauczał, nie możemy mu odmówić ani naszego holdu, ani uwielbienia. Jakież to podniosłe, szlachetne uczucia obudzał Osiński, to pięknymi przekładami dramatów, to *Odami*, to wykładem z katedry. Takie rozbudzenie serc, do tego co piękne, co wzniosłe, nie przeszło bez wyraźnego śladu w dziejach literatury. Nawet krytyka, idąc bezstronnie śladami, jak się ten wielki talent rozwijał; nie może mieć nic Osińskiemu do zarzucenia, od początku zawodu, niemal przez lat 20. Podążał on utworami swojemi, z duchem czasu i postępu, przodkując zawsze rymotwórcom naszym. W tym okresie miał chwile wzniosłe, w których uczucie prawdziwie poetyczne, w poetycznej mowie umiał godnie wydać. Pracami, zasługą i talentem, piękne znaleźć musi i zaszczytne wspomnienie na kartach dziejów literatury naszej. Spoczywa tu obok ojca także bez żadnej pamiątkigrobowej i syn jedyny ś.p. Ludwika, Karol Osiński, zmarły 18 Maja 1828 w 15 r. życia.

ZUZANNA WILCZYŃSKA.

„ZUZANNA Z REDŁÓW WILCZYŃSKA URODZONA DNIA 11 SIERPNI 1763 R. UMARZA 3 LISTOPADA 1837 R.

Ty coś tysiące ukształciła matek,
Coś chętnie z biędnym dzieliła dostatek,
Pędząc dni w pracy, z chwałą, użytecznie;
W Bogu spoczywaj wiecznie!”

(Pomnik grobowy wspólny z rodzonym bratem Jakóbem Redłem b. generałem w. p.)

Urodzona w Warszawie z Leopolda i Maryanny z RedłóW, otrzymawszy od rodziców najstaranniejsze wychowanie, po stracie matki, mając dopiero lat 14, podjęła się wychowania córek pp. PopielóW, znacznego domu w krakowskiem. Tam zostawała ciągle aż do r. 1799, w którym słuchając zachęty i życzeń wielu znakomitych osób, otworzyła pensyą w Warszawie. Na krótki tylko przeciąg czasu od r. 1808 do 1810, dla okoliczności rodzinnych zamknęła swój Instytut i udała się na wieś, aby w spokoju i zaciszy resztę dni przepędzić. Lecz i tam czyniąc zadosyć potrzebie serca swego, otoczyła się dwunastu panienkami:—były to córki jej przyjaciół, po większej części sieroty, bez żadnego wsparcia pozostałe. Wolne chwile od zatrudnień gospodarskich poświęcała ich wychowaniu. Po śmierci męża w r. 1814, powróciła do Warszawy i na nowo otworzyła dawną pensyę ⁽¹⁾. W roku 1829 została ochmistrzynią pensyi wzorowój, przy

(1) Muzeum domowe, F. S. Dmochowskiego T. I. str. 37 z 1838 roku podając życiorys ś. p. Wilczyńskiej, załączyło i jej wizerunek.

Instytucie rządowym wychowania panien. W dniu 12 Stycznia 1833 r. mianowana ochmistrzynią Instytutu wychowania płci żeńskiej, przyjęła te ważne i mozolne obowiązki, bez względu na późny swój wiek i ustające siły, ale przekonana w głębi duszy, że odpowie godnie zaufaniu i stanowisku swemu. Umiała wzbudzać w młodocianych umysłach wychowanek swoich, miłość, zaufanie i szacunek, przez poważną i razem łagodną a miłą w obejściu prostotę. Niezmiennego humoru i uprzejmości bez wymusu, obdarzona wielką pamięcią i zadziwiającą przytomnością umysłu, dziwną miała obok tego trafność i przenikliwość w poznawaniu charakterów. Te to dary były ś. p. Wilczyńskiej główną pomocą w kierowaniu i wykształcaniu licznych swoich wychowanek, które wyrosłe w niewiasty, żony i matki, z głęboką czią wspominały imię swój nauczycielki, i nie raz później u niej, rady i pociechy w smutku i niedoli, szukały. Lubo była jedna z najdobroczynniejszych, cnotę tę kryła w tajemnicy;—a ona była bodźcem jój życia, celem jój nieprzerwanych trudów. Dla tego też do późnej starości pracowała, ażeby nieszczęśliwym mogła nieść wsparcie. Razem z córkami bogatych rodziców, odbierały wychowanie sieroty, córki biednych a zasłużonych ludzi,—nie czyniła żadnej różnicy w obejściu i udzielaniu nauki między jednymi a drugimi; o wszystkich macierzyńską miała troskliwość. Po ukończeniu edukacji, umieszczała wychowanki swoje za nauczycielki w obywatelskich domach; w każdym razie miały w niej opiekunkę i pocieszycielkę,—nie jednej wchodzącej w stan małżeński, dopomogła z uszczupleniem własnych funduszów. Będąc ochmistrzynią rządowego Instytutu, całą pensję swoją obracała na ten sam cel szlachetny;—czternaście panien jój kosztem otrzymywało wychowanie w tym instytucie. A wielu ubogich prawdziwie prócz tego doznawało od niej wsparcia! Dzień jój zgonu, dopiero odkrył jój dobroczynność, i zażawił wielu oczy. Liczne grono przyjaciół, wielbicieli jój rzeczywistych zasług, wdzięcznych matek, które jój swoje, lub dzieci swoich winne były wychowanie, grono młodych uczennic i sług którzy najlepszą stracili panią; w licznym orszaku odprowadzili zwłoki zmarłej w 70 roku życia. Po czterdziestoletniej pracy dobru ogólnemu poświęconej, nie zostawiła Wilczyńska majątku, ani nawet szczupłego oszczędzonego zapasu; ale zostawiła godniejsze siebie dziedzictwo: wdzięczne w całym kraju wspomnienie.

JAKÓB TATARKIEWICZ.

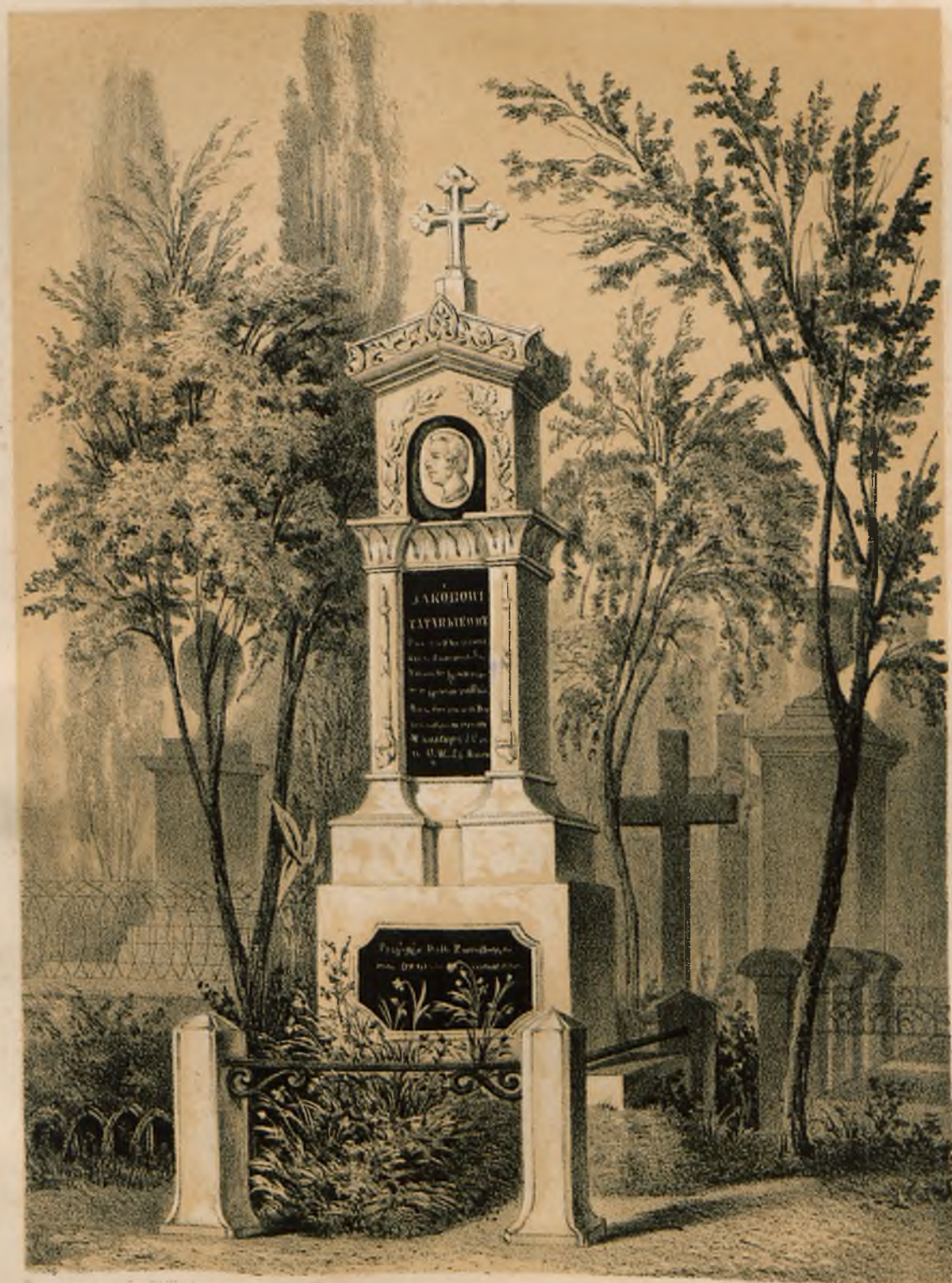
(Pomnik kamienny, stoi przy grobowcu Młokosiewicza. Na czarnym marmurze napis).

„JAKÓBOWI TATARKIEWICZ ARTYŚCIE RZEźBIARZOWI URODZONEMU D 31 MARCA 1798 R. A ZMARŁEMU D. 3 WRZEŚNIA 1854 R. ŻONA I DZIECI PAMIĄTKĘ TĘ POSTAWILI.

„Cały żywot dla pracy i dla swój rodziny,
Aż do ostatniej poświęcił godziny:
Żywot bez zmayı zbyt prędko skończony,
Dla sławy, dzieci i żony!
Tu gdzie tyle prac jego grobowce okrywa,
Otoczon dzieły swemi, artysta spoczywa.”

(Poniżej napis pamiątce dwóch nieletnich synów poświęcony).

Na rok przed zgonem swoim, skreślił sam Tatarkiewicz rys życia swego. Otrzymałszy tę własnoręczną antobijografią — wypiszemy z niej dosłownie cały ustęp chwil jego młodości



Wykonany w Warszawie

Obraz w 1/2 A. 1854. w Warszawie X 1854

GROB JAKOBA TATARSKIEWICZA.



ND. 626

i kształcenia się artystycznego, aż do czasu powrotu do gniazda rodzinnego,—to jest, okres czasu od roku 1798 do 1827.

„Urodziłem się w Warszawie 1798 roku dnia 31 Marca z ojca Wincentego, z matki Anny z Zawadzkich Tatarkiewiczów, obojga religii rzymsko-katolickiej. Rodzice moi nie bogaci lecz odznaczający się poczciwością do tego stopnia, że ojciec, podczas mojej już bytności na świecie, będąc przez przeciąg lat 25 rządcą całego majątku, najznaczniejszej na ten czas fabryki piwa w Warszawie, gdzie tysiące przechodziły przez jego ręce, bez obrachunków nawet; tak umarł ubogim, iż pogrzeb musiał się odbyć kosztem domu, w którym 25 lat przebył. Niedowierzenie w cnoty poczciwego ojca, a podejrzenie o ukrytych zbiorach, były nagrodą na tej ziemi, za tyle lat poczciwości. Matka tylko, i nas pięcioro dzieci pozostałych bez majątku, bez stałego utrzymania się, największym dowodem pozostałego majątku byliśmy. Skromny zasiłek roczny, na utrzymanie matki i licznej familii udzielony naszemu domowi od familii; ledwo wystarczał na opędzenie najgłówniejszych potrzeb życia. Z życia mojego ojca to tylko wiem, iż w młodości poświęcał się muzyce — że doznawał rozmaitych przykrych chwil życia—nareszcie przez 25 lat do śmierci, rządził majątkiem znacznego domu fabryki. Maksymą życia jego było: co nie moje, ruszać się tego nie godzi. Przy opowiadaniu nam dzieciom przygody w niepowodzeniach się w ciągu życia rodziców, żadne szemranie na swój los, nie wyszło z ich ust—owszem, znajdowali zawsze opiekę Boską w najgorszym swoim położeniu. Taki sposób myślenia rodziców, nie mógł jak tylko dobry wpływ wyrzucić na swoich dzieciach. W skutku mieszkania oddalonego od miasta—początkowe nauki pobierać musiałem wspólnie z rozmaitego stanu młodzieżą u bakałarza na przedmieściu osiadłego, aż do lat 12 wieku życia mojego, to jest do roku 1811. Poczem oddany zostałem do szkół pijarskich. Mała natenczas opłata roczna, bo tylko 24 złp. wynosząca, dozwoliła rodzicom do szkół mię posyłać. Gdy sobie przypominam półmilowe oddalenie szkół od mieszkania rodziców, ubiór często niedostateczny na słyty i czas mroźny, a wśród jesiennej pory, przebywanie ulic natenczas niebrukowanych— i obiad, często kilkoma groszami odbywany w południowych godzinach w klassie:— nakoniec tyle innych niedogodności, nie mogę jak tylko z największym wzruszeniem teraz sobie o tém wspomnieć; a zarazem dostatecznie dziękować Opatrzności, że dozwoliła mi przez przeciąg lat sześciu, nabywać wiadomości nauk, nie dotykając żadną słabością zdrowie moje. Początkowe takie przykrości życia, wywarły wpływ szczęśliwy na moje dalsze zdrowie, bo niewygodami wszelkiego rodzaju, siły fizyczne zahartowałem, i stałem się zdolny do podejmowania nadal wszelkich trudów życia. Doszedłszy do klasy czwartej, zacząłem być pomocą rodzicom, już to mając wynagrodzenie za korepetycye, już to za przepisywanie do teatru, z czego miałem fundusz na odzież, na uczenie się muzyki i inne wydatki; a szczególnie na pobieranie lekcji prywatnych rysunków, do których miałem chęć wrodzoną. W wolnych chwilach najprzyjemniejszą dla mnie rozrywką były zabawki rysunkowe, np: nasładowanie naturalnych ptaków, naklejając piórka tychże na papier: wykłuwanie szpilką deseni: ale z tych, najbardziej lubiłem wyrzynać figurki z kory drzewa olszowego, którego mi ojciec dostarczał. W roku 1817 ukończyłem szczęśliwie szkołę. Cel jeszcze stanu mego nie był obranym,—i jakkolwiek potajemny głos wzywał mnie do oddania się sztukom pięknym, do czego miałem skłonność wrodzoną, lecz brak szkoły na ten czas, stał się powodem, iż stan kancelaryjny obrałem za cel życia dalszego. W końcu pierwszego roku tej pracy, wyczytałem zawiadomienie rządowe otwarcia się szkoły malarstwa przy Uniwersytecie Warszawskim. Jak iskra elektryczna, wiadomość ta zapaliła mą głowę. Przez kilkanaście dni, ani pokoju we śnie, ani na jawie, nie doznałem: z jednej strony chęć porzucenia obranego sobie zawodu biurowego, który mi już znaczne korzyści przynosił; z drugiej strony pociąg wrodzony do szkoły sztuk pięknych, walkę moralną toczyły. Nareszcie myśl pogodzenia nauki z biurem, przywróciła mi spokojuść;— a wyrobiwszy sobie od przełożonych, parę godzin wolnych w biurze, starając się to wieczorną porą wynagrodzić; zapisałem się w poczet uczniów stałych w Uniwersytecie do wydziału sztuk pięknych, dnia 20 Października 1817 roku. Stan taki, bardzo pracowity rozdzielania

mojego umysłu na zatrudnienie biurowe i uczęszczanie na lekcye, skończył się z pierwszym rokiem, skoro w nagrodę moich usiłowań i poznania zdolności, otrzymałem w Uniwersytecie stypendium rządowe. Wprawdzie było ono zbyt małe, bo nie odpowiadało szóstej części zarobku biurowego, lecz przełożyłem zysk moralny nad materializm, abym tém gorliwiej mógł się przykładać do sztuki, którą za przedmiot w Życiu mojem obrałem. Jaki postęp w pierwszych dwóch latach uczenia się rysunków w Uniwersytecie uczyniłem, dostatecznym jest dowodem pierwsza wystawa sztuk pięknych odbyta w roku 1819 w Warszawie — na której po ukończeniu oglądania publicznego, deputacya wyznaczona do osądzenia tworców sztuk pięknych wystawionych na widok publiczny, przyznała mi medal srebrny pierwszej wielkości, za narysowanie figury akademickiej, z pismem zachęcającem mnie do malarstwa. Nagroda ta tém miłszą dla mnie była, iż ja jeden tylko z pomiędzy kilkudziesięciu uczniów, tego zaszczytu dostąpiłem. W następnym roku, to jest w 1820 otwartym został kurs rzeźbiarstwa. Przystosowany w nauce rysunków, jako podstawie głównej téj sztuki, oddałem się z całą usilnością temu przedmiotowi, obok kształcąc się ciągle w rysunkach. Gdy pierwsze próby moje rzeźbiarskie, oglądał ś. p. Stanisław Potocki Minister Oświecenia, przytém lubownik i znawca sztuk pięknych; zachęcił mnie publicznie, przez uściśnienie, do postępowania na dobrej drodze, i rokującej wiele w przyszłości w téj acz trudnej sztuce. Gdy z latami potrzeby moje wzrastały, obok więc stypendjum pobieranego, kilka godzin lekcyj rysunków na tydzień przezemnie dawane, zaradziły główniejszym potrzebom. W tych czasach ojciec mój w 72 wieku swego, przeniósł się do wieczności, — a jakkolwiek matka moja po jego śmierci otrzymała dożywotnią pensję od tego, któremu tyle lat służył bez zmazy, ale ta była tak szczupłą, iż ja i siostry moje, musieliśmy dopomagać, aby starość jej nie doznała niedostatku. W roku 1821 czyli w dwa lata po otrzymaniu nagrody za rysunki, nastąpiła druga wystawa sztuk pięknych, na którą kilka płodów rzeźbiarstwa exponowałem z trudniejszych kopij antyków; w skutku czego, otrzymałem medal i w dodatku powiększone stypendjum rządowe. Najgłówniejszą korzyścią moją, było odznaczanie się na wystawach, iż zacząłem otrzymywać małe polecenia do wykonania rzeźb. Pomiędzy znaczniejszemi były: Popiersie ś. p. Stanisława Potockiego Senatora i Ministra Oświecenia, według maski zdjętej po śmierci odmodelowane. Była to pierwsza moja praca publiczna, której liczne egzemplarze rozeszły się. Biust ś. p. generała Mokronowskiego ze stuku do przyozdobienia katafalku w kościele święto-krzyskim. Biust ś. p. generała Dąbrowskiego dla Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie — i wiele innych. A że brak był natenczas artystów rzeźbiarskich, zostałem poszukiwanym, i na zatrudnieniu, obok ciągłej nauki, nie zabrakło mi. Takie początkowe powodzenie się moje, nie mogło jak tylko dobry wpływ wyrzucić na zachętę do najusilniejszego kształcenia się w obranym sobie zawodzie. Największy postęp uczyniłem w sztuce wtenczas, gdy Maliński mój nauczyciel wyjechał do Rzymu z przybyłym do Warszawy Thorwaldsenem. W czasie bytności tego mistrza u nas, modelowałem grupę Laokona w płaskorzeźbie, który swoją pochwałą sprawił we mnie ogień nieznany; a znajomość z tym mężem, na później bardzo mi się przydała. Thorwaldsen przybył do Warszawy dla zawarcia ukłaków z Rządem, względem zrobienia pomników: Księcia Józefa i Kopernika — i w czasie tutejszego pobytu, modelował z natury popiersie ś. p. Aleksandra Cesarza i Króla Polskiego. Biust ten odlewał się właśnie w téj sali, gdzie ja modelowałem. Praca ta, tak wryła się w moję pamięć, iż po wyjeździe Thordwalnsena, probowałem się w naśladowaniu. Jak mi się ta praca udała, dosyć jest wiedzieć, iż po okazaniu jej baronowi Morenheimowi, zostałem namówiony abym przedstawił to popiersie Jego C. W. W. Księciu Cesarzewiczowi KONSTANTEMU; w skutku czego, chlubne wyrazy tego Księcia i podziękę otrzymałem; a Kommissyja Oświecenia stypendjum mi powiększyła. Po wyjeździe Malińskiego, zastępował go professor malarstwa Brodowski. Temu to mężowi wien jestem prawdziwy postęp w sztuce, bo mi wskazał nieomylnie źródła do doskonalenia: — pozbyłem się maniery dawniej — a tak, antyki i natura, były jedynemi moimi wzorami. Następnie trzecia wystawa sztuk pięknych, odbyła się w Warszawie 1823 roku. Na tę, nie tylko dałem kopije z najtrudniejszych antyków, ale i oryginalną statwę, podług natury i antyków studyjowaną, wyobrażającą świętego Jana. Za co w końcu,

przez Sędziów wyznaczonych do oszacowania wystawy, otrzymałem medal największy drugiej klasy. Jużem wyżej powiedział, że miałem dosyć do czynienia i znaczne korzyści—już to z prac rzeźbiarskich, już to z dawania lekcyj rysunków, obok gorliwego przykładania się do nauk;— a w końcu wziętem na siebie wykonanie wszelkich ozdób do budującego się Obserwatorium w Warszawie. W skutku takich dochodów, pomimo przyzwoitego utrzymania i siebie i domu, już 3,000 złp. kapitału leżącego liczyłem. Summa ta, dla tak biednego jak ja, zdawała się dostateczną na udanie się za granicę, w celu dalszego doskonalenia się w sztuce,—zdając się zresztą na opiekę Tego, który się mną w całym życiu opiekował. Jakoż przed ukończeniem się expozycji, poczyniłem kroki dla otrzymania paszportu i pomocy rządowej,— ale otrzymana odmowna odpowiedź, że dla braku funduszków Rząd nie może mnie w tym roku wysłać, nie zachwiała mego stanowczego postanowienia. Na ponowioną prośbę, iż tymczasowy wyjazd skutecznie moim własnym kosztem, po zwalczeniu wielu innych intryg i podstępów moich przełożonych, którzy mieli swój własny w tym interes, otrzymałem pozwolenie wyjazdu do Rzymu swoim własnym kosztem, w tytule jako kandydat na nauczyciela do Uniwersytetu Warszawskiego. Otrzymałem nadto list polecający do Thorwaldsena, abym pod tym mistrzem w czasie pobytu w Rzymie mógł się kształcić. Trudno sobie wyobrazić większe szczęście, jak było dla mnie, po odebraniu takowego pisma rządowego,— paszport za granicę, z zadziwieniem tych co mi przeszkadzali go udzielić, w parę dni był gotowym. Marzenia moje obróciły się w rzeczywistość. Potrzeba tylko było uzyskania pozwolenia matki, która w wyjeździe moim, widziała mnie straconego: napomykania tylko o podróży, już ją w rozpacz wprowadzały. Kapitał mój w mojej głowie, wydawał się większym jak Rotszyldów,— mniemałem, że przy takiej kwocie, Bóg wie jak długo będę się mógł utrzymać za granicą; gdy matka więcej świat znająca, miała co myśleć, abym niedostatku nie doznał, nie mając funduszu sama wspierać mnie w potrzebie. Dla uspokojenia więc matki, wymyśliłem następujący sposób: kapitał mój podzieliłem na dwie części — jedna miała pozostać u matki jako depozyt, i gdy po odbiór tejże pisać nie będę, miało to być oznaką, iż niedostatku nie doznaję, ani nawet listy moje pisane o niedostatecznych moich funduszach utrzymania się, nie miały ją niepokoić, dopóty, dopóki o przesyłkę wyraźnie do matki nie napiszę. Pod tym warunkiem uzyskawszy pozwolenie matki i jej na drogę błogosławieństwo, — pożegnawszy w końcu moją rodzinę, krewnych, a nawet moich nieprzyjaciół, wyjechałem z Warszawy dnia 8 Listopada 1823 roku. Chcąc jak najtańszym kosztem odbywać podróż nająłem brykę żydowską, która obładowana towarami udawała się do Krakowa: w środku wozu urządzone siedzenia, służyły za miejsce kilku innym osobom niskiego stanu. Nie było jeszcze natenczas szosy zrobionej, a zatem ta droga blisko tydzień po piaskach ciągnęła się: zład nudna i niewygodna jazda nauczyła mnie, iż chęć oszczędności na nic się nie przydała, bo noclegi najniewygodniejsze i wydatki na życie, może więcej uczyniły, jak gdybym pocztą jechał. W tej wolnej jeździe doznawałem męk niesłychanych, już to z tęsknoty opuszczenia rodzinnego domu, już to pragnąc jak najprędzej przybycia do przybytku sztuk. Po tak utrudzającej podróży, musiałem w Krakowie odpocząć parę dni, a wsiadłszy w dyliżans, do Wiednia dojechałem. Po kilku dniach odpoczynku i zabawieniu w tym mieście, chciałem doświadczyć, a zarazem przekonać się o przyjemnościach podróży pieszej. W tym celu wzięwszy mantelzak na plecy, udałem się w drogę do Tryestu. Pierwsza stacya dała mi dostateczne doświadczenie, jaka przyjemność iść pieszo z ciężarem na plecach. Za ledwo przybyłem do stacyi, uszczęśliwiony byłem gdy tak milego ciężaru pozbyć się mogłem; a wyekspedycyawszy go do Tryestu, przewiesiłem szlafrok zwinięty po wojskowemu przez plecy, i w dalszą puściłem się drogę. Nie żałuję do dziś dnia trudów i niewygód w pieszej podróży, bo człowiek powinien wszędzie próby życia przeżyć, aby miał wyobrażenie o rzeczy,—ale wyrażę się otwarcie, że za prawdziwie szczęśliwego uznałem się, gdy uszedłszy 52½ mil do Lajbach, w powóz wygodny wsiałem, i jak jaki pan do Tryestu przybyłem. Ujrzenie pierwszy raz morza i to jeszcze z półmillowej wysokości góry, niezmierne na umyśle moim wrażenie uczyniło. Z wysokości takiej, miasto Tryest wydało się jak porozrzucane skały przy brzegu rozlanj massy wody, której końca dojrzyć nie można było. Zład popłynąłem do Wenecyi o 35 mil oddalonej, okrętem

kuryjerskim. Po kilkunastu godzinach podróży, okazało się wspaniałe miasto wśród fal morskich, szczyty swe wznosząc. Widok ten, tak był dla mnie zachwycającym, iż z podziwu, słowa wyrzec nie mogłem. Zabawiwszy w tém oryginalném mieście, gdzie ani konia ani powozu nie ujrzy się, a zamiast ulic, kanały swą nieczystością zatruwają powietrze; popłynąłem kanałem do Padwy. Statek był ciągnionym przez bawoły. Zład do Ferrary i Bolonii, granicy państwa Papieżkiego, u spodu gór Apeninów leżącej. Miasto te sławne weturynami czyli landkuczerami, któremi ulice są napełnione, do najęcia na wszystkie strony Włoch, a nawet i innych stolic europejskich. Kto umie z niemi się ugodzić, może jak najtaniej odbywać drogę ze wszystkimi potrzebami życia w podróży. Ja takowego weturyna nająłem do Florencyi, abym się mógł kilka dni zabawić w tém sławném mieście. Oglądanie miast i arcydzieł sztuki, tu się znajdujące, tém bardziej zapaliło moją chęć prędkiego ujrzenia stolicy tych wszystkich osobliwości. Pierwszy raz przebywając Apeniny, nie mogłem się nasycić widokami, jakie natura w tych dzikich ustroniach natworzyła. O! jakżem był szczęśliwy, gdy o cztery mile od Rzymu, ze wsi Baccano, okazano mi szczyt kopuły ś-go Piotra, który majestatycznie wznosząc się, wszelkie inne gmachy tego miasta przewyższał. Nie będę tu opisywał tego wzruszenia na widok wjazdu do Rzymu, ani osobliwości tego miasta, bo to oddzielnie obszernie opisałem; tutaj wspomnę tylko to, co do mojego życia należy. Przybyłem do Rzymu w samą wigilją Bożego Narodzenia, to jest dnia 24 Grudnia 1823 r. a zatem podróż moja trwała przeszło półtora miesiąca. W tych czasach, takową podróż możnaby odbyć o trzecią część prędjiej, i koszta o wiele byłyby mniejsze. Pierwsze cztery dni spędziłem na wyszukaniu sobie mieszkania, obeznaniu się z miejscowością, zapoznaniu z rodakami i przygotowaniu się dla widzenia się z Thorwaldsenem. Odjeżdżając z Warszawy otrzymałem list rekomendacyjny od Ministra Oświecenia w imieniu Rządu. Przed doręczeniem go, ciekawość zdjęła mię go przeczytać; a znalazłszy w nim polecenie mnie Thorwaldsenowi nie jako poczynającego ucznia, ale już tylokrotnie premijowanego, słowem jako artystę; postanowiłem sobie zatrzymać ów list na pamiątkę, a przedstawić się osobiście temu wielkiemu artyście, jako uczeń poczynający, z prośbą, aby mnie jako ucznia kształcić łaskawie raczył. Jakoż proste przedstawienie się moje, większy skutek sprawiło, jak największe polecenie. Dozwolił uczęszczać do swojej pracowni, co natychmiast bez zwłoki rozpocząłem. Plan uczenia się mego w Rzymie, tak rozłożyłem: codziennie od rana modelowałem z wzorów Thorwaldsena, po południu rysowałem z antyków w Akademii francuskiej, raz w tygodniu zwiedzałem muzea Watykańskie lub Kapitolińskie, i każdą niedzielę lub święto, poświęcałem na oglądanie prywatnych zbiorów starożytności w willach i okolicach Rzymu. Gdy takowy porządek stały ułożyłem, z wielką bojaźnią przystąpiłem do obrachowania się z funduszu pozostałego na stałe utrzymanie się w Rzymie. Wiadomo, iż odjeżdżając z Warszawy, wzięłem całego kapitału półtora tyciąca Złotych pol. Droga nie tak ułatwiona przez kolej jak dzisiaj, wyczerpnęła większą część funduszu, który w domu zdawał mi się Rotszyldowskim. Bojąc się niedostatku, już myśleć począłem w pół roku pobytu mego w Rzymie o nadesłanie mi depozytu u matki pozostałego; gdy nadspodziewanie, w skutku otrzymanej nagrody z Wystawy Warszawskiej, Rząd wraz z medalem przysłał mi na ten sam rok pensyją, na który mi odmówił przy odjeździe. Podziękowawszy Bogu za taką niespodziankę, sumę pozostałą własną, odłożyłem, która miała stanowić depozyt nieruchomy i tylko w najgwałtowniejszym razie użytą, czy to na słabość, lub na podróż, być miała. Lecz kiedy Bóg komu daje i wspiera go, temu ze wszech stron szczęście sprzyja. Obok więc otrzymanego wsparcia rządowego, otrzymałem ze strony famili mojej, szczególniej stryja zapewnienie, iż mi dopomagać będzie każdorocznie z swój strony, jakoż święcie obietnicy przez cały przeciąg czasu bawienia się mego w Rzymie, dotrzymał. Tak z woli Bożej zabezpieczony, z funduszami i spokojny na umyśle, wziętem się w Imię Boże do pracy, przez co zjednałem sobie przywiązanie mego mistrza. W drugim roku pobytu mego w Rzymie, to jest 1825 r. zjechała tu sławna rodaczka, fortepianistka, Marya Szymanowska, swą grą zjednała sobie ogólny szacunek; a Thordwaldsen sam namówił mnie, aby mjej popieracie pod sterem jego modelował. Co też i wykonałem. Po czém zacząłem go wypracowywać w marmurze,

ale że to była pierwsza praca z marmuru, w pracowni Thorwaldsena, uczono mnie dłużej trzymać i wszelkie sposoby mi okazano. W tym roku, podczas najgorętszej pory roku, odbyłem podróż do Neapolu, gdzie oprócz zwiedzenia osobliwości miejscowych, starałem się użytkować z zabytków starożytności w statuach i malowaniach, w obfitości tu się znajdujących. Bawiłem tu blisko miesiąc. Po powrocie z Neapolu, gdy do końca drugiego roku kopywania w pracowni Thorwaldsena, już tak postąpiłem, iż sam mój nauczyciel uznał potrzebę, abym sobie oddzielnie urządził pracownię, i w takowej swobodnie mógł modelować z natury i ćwiczyć się w kompozycjach, zawsze jednak pod sterem Thorwaldsena, który mi przyrzekł tyle razy mię odwiedzać pracującego, ile tego potrzeba wymagać będzie. Chętnie dopełniłem rady czcigodnego artysty, i plan nauki zmieniłem w następujący sposób: Dzień podzieliłem na modelowanie kompozycyów tak płaskorzeźb jako i całych figur, zawsze podług natury; w tym parę godzin przepędzałem na rysowaniu ze statuw starożytnych w Muzeum akademii Francuzkiej znajdujących się; w wieczór uczęszczałem do akademii ś-go Łukasza, gdzie z żywego modelu, pod sterem Thorwaldsena i innych professorów modelowałem i rysowałem. Niektóre płaskorzeźby własnego układu, podług rady Thorwaldsena, wykonywałem w marmurze karraryjskim, jako to: *Miłość macierzyńską*, *Carita Romana*, i *Chrystusa uzdrawiającego ślepych*. Ze statuw uznana za godną wykucia w marmurze *Psyche*, znacznie podrobioną została w Rzymie, którą w Warszawie dokończyłem. Zrobiłem także na żądanie hrabini Wąsowiczowej kopiją popiersia ś. p. księcia Józefa Poniatowskiego z marmuru, podług oryginału Thorwaldsena, jak również kopiją biustu J. C. M. Aleksandra Cesarza i Króla Polskiego. Ciągłe tak zatrudniony, czas mi upływał tak śpiesznie i błogo, że nim się spostrzegł, gdy kilka lat szczęścia mego tu się kończyły. W początku bowiem roku 1828, otrzymałem reskrypt rządowy wzywający mię do powrotu do kraju, tak, abym w końcu tego roku już znajdował się w Warszawie. Z wielkim smutkiem podwołem usiłowania moje, abym rozpoczęte prace ukończył i w tém szczególnie się ukształcił, co mi niezbędnie potrzebnym będzie w moim kraju. Przed odesłaniem prac moich rzeźbiarskich do Warszawy, idąc za zwyczajem artystów w Rzymie się kształcących, exponowałem na widok publiczny niektóre rzeźby oryginalnie wykonane, jako to: model Psyche w gipsie, do mającej się wykuć w marmurze, blisko naturalnej wielkości; i trzy płaskorzeźby w marmurze wykute. Opinią jaką mi dano w skutku ocenienia znawców w pismach publicznych dnia 20 Lutego 1828 roku, była sową nagrodą za kilka lat pracy mojej; i takową przesałem Rządowi mojemu, jako dowód mojej usilności, stania się godnym opieki rządowej. Już w miesiącu Lipcu 1828 roku, byłem ze wszystkim gotów do wyjazdu. Prace moje z marmuru zapakowałem jako też obrazy i sztychy z oszczędności mojej, pod czas bawienia się w Rzymie, nabyte. Takowe transporta odesłałem do Warszawy, a sam dla prawdziwego wytchnięcia po kilkoletniej pracy, polepszenia stanu zdrowia i nakoniec dla napojenia się roskoszą oglądania tego prawdziwego raję ziemskiego i podziwiania po drugi raz arcydzieł starożytności udałem się do Neapolu. W mieście samem kilka dni tylko bawiłem, ale natomiast zwiedzałem okolice godne bliższego zastanowienia się, jako to: *Herkulanum*, *Pompejanum*, *Castel a mare*, *Sorent*, *Wyspę Kapry*, a szczególnie wyspę *Ischię*, na której cały miesiąc prawie przepędziłem. Nie wchodziłem teraz na Wezuwjuż, bom go już poprzedniego razu dokładnie oglądał. Ze łą w oku, przypominam sobie te chwile roskoszy, jakich w całym znaczeniu tego wyrazu doznawałem i jeżeliby się można zwać szczęśliwym na tym świecie, to już nim byłem na wyspie Ischii. Tak chciałem być tu odosobnionym od wszelkich interessów światowych i ich nowości, żem niedopuszczył, aby listy do mnie adresowane, dochodząc mnie, niekłóciły spokojności błogięj. Po tój pamiętnej dla mnie wycieczce, powróciłem do Rzymu wzmocniony i w siły fizyczne i moralne, i już gotowałem się do drogi z powrotem do kraju swego. Jakoż po pożegnaniu się z czcigodnym moim mistrzem Thorwaldsenem, otrzymawszy od niego chlubne świadectwo dla złożenia go Rządowi mojemu; pożegnawszy się z rodakami i innymi znajomymi, pożegnawszy się nareszcie z tylu wielkimi wzorami sztuki, z każdym niemal szczątkiem starożytności, z którymi przez kilkoletni pobyt tylokrotnie się delectowałem, z prawdziwym gorzkim żalem i ściśniętym sercem, opuściłem Rzym dnia 8 Września 1828 roku. Plan podróży ułożyłem sobie

przez najznacznější stolice Europy i najpiękniejszą okolice; w Paryżu przedsięwziąłem zabawić o tyle, o ile mi fundusz dozwoli. Zaraz po trzech stacyach pocztowych od Rzymu, obróciłem drogę na *Perugia*, gdyż jadąc do Rzymu na *Syennę*, tylko same widoki dzikie mi się przedstawiały; tu zaś natura w całym blasku piękności, a urodzaje i roślinność, bogactwa państwa Rzymskiego odznaczają. W *Terni* zachwycił mnie sławny wodospad wody, o 1063 stóp ze skały z wykutego kanału z jeziora Lucejskiego spadający. Jestto jedna z największych kaskad europejskich. Droga do Florencyi zdaje się być prowadzoną wśród ogrodów, pomiędzy festonami winorośli i drzew urodzajnych. We Florencyi zabawiłem parę dni, dla odnowienia przed kilku laty widzianych tu osobliwości w zabytkach starożytności. Następnie przez miasta *Livorno*, *Pizę*, przybyłem do *Carrara*, zajmującego mnie bardzo miasteczka, jako sławnego kopalniami marmuru najpiękniejszego i jedyne do rzeźbiarstwa. Przy okazji oglądania łomów tego materyjału, porobiłem znajomości z tamtejszymi artystami, względem dostawy tego marmuru do kraju swego. Przybywając do *Genui*, zatrzymałem się nieco w *Speyzi*. Jest to port morski w tak pięknym położeniu, że najpiękniejszym golfom nie ustępuje. Zkąd po przebyciu dużych gór, jadąc ich grzbietem, widok na rozległe morze w zachwyty mnie wprowadzał. O piętnastu mil, zdała już widzieć można Genuę dla swoich wspaniałych pałaców zwaną *superba* (pyszna). Dzień jeden poświęciłem na nasycenie się widokami morza i osobliwości miasta. Za Genuą najznacznější miasto *Pawija*, zkąd droga prowadzi, jakby alejami dwoma rzędami drzew urodzajnych, obok kanału spławnego do Medyolanu. Nie bez zachwycenia przepędziłem parę dni Medyolanie, bo i kościoły i zbiory sztuki, zasługują na uwagę podróżnego. Szczególnie kościół katedralny w stylu gotyckim od kilkuset lat budowany, nie wiem czy do dziś dnia ukończony został, zadziwił mnie swemi bogactwami i wykończeniem, jak równie oglądanie sławnych drzwi do chrzcielnicy świętego Jana, dla swoich rzeźb, do najpiękniejszych utworów policzonych, o których Michał Anioł powiedział, iż mogłyby służyć za bramę do raju. Zaraz za miastem spostrzegać się daje brama w kształcie łuku tryumfalnego, jako wjazd do sławnej drogi przez *Simplon* zrobionej w Szwajcaryi przez Napoleona wielkiego. Nic rokosniejszego jak ta droga przy jeziorze *Maggiore*, na którym trzy sławne wysepki czyli ogrody z tarassami się wznoszą. Od *Domo d' Ossola* zaczyna się prawdziwie sławna droga Simplonu przez skały granitowe wykuta. Całą prawie Szwajcaryją szedłem piechotą wdali naprzód od powozu, miałem więc sposobność kosztować stolicy podziwu, gdzie sztuka i natura zdaje się że się wysiliły na swe dzieła. Punkt najwyższy Simplonu przez który droga przechodzi, wynosi 6,174 stóp nad poziom morza. Do *Lozanny*, sławnej swym romantycznym położeniem, płynąłem statkiem parowym na jeziorze Genewskim. Trudno opisać ten majestatyczny widok jaki się ciągle przed oczyma okazuje, szczególnie na pasmo gór, z których *Mont-blanc*, jako królowa swój wierzchołek nad wszystkie wznosi. W Genewie tylko jeden dzień zabawiłem, bo niespokojność przybycia jak najprędzej do Paryża, dłużej w tym rokosznym miejscu pobytu mi wzbraniała. Przybyłem do Paryża dnia 20 Października 1828 roku, odbywając podróż z Rzymu blisko półtora miesiąca. Z uwagi, że w Rzymie oddając się ciągłej praktyce, czas tak miałem zajęty, że w ukształceniu się w wiadomościach wyższemu artyście nieodbitcie potrzebnych, nie miałem ani czasu ani sposobności; przedsięwziąłem zabawić tak długo w Paryżu, ile mi tylko fundusze dozwolą, abym zadosyć potrzebom moim uczynił. A tak cały dzień poświęcałem na czytaniu dzieł; a do tego środki znalazłem w bibliotece Królewskiej, gdzie wszystkie skarby dzieł traktujących o sztuce, znaleźć mogłem. Wolne tylko chwile poświęcałem na oglądanie osobliwości miasta, zwiedzanie odlewni brązowych, jak równie pracowni artystów. Z resztą czas zimowy był mi najprzydatniejszym do prac umysłowych. Znajdując dla siebie tyle korzyści materyjalnych w Paryżu, z żalem opuścić musiałem tę stolicę, dnia 15 Stycznia 1829 roku, zabawiwszy tu tylko blisko trzy miesiące. Dalszą drogę z powrotem do Warszawy, rozporządziłem na Strasburg, Stutgart, Monachium, w którym to mieście kilka dni zabawiłem, dla oglądania zbiorów starożytności w Pinahotecie i Galeryi obrazów, które wielki lubownik sztuk pięknych król Bawarski, nadspodziewanie się moje, w obfitości nagromadził, które mały Rzym stanowią. Następnie zwiedzitem w dalszej drodze Regensburg, Nürenburg, a przybywszy do Drezna,

kilka dni w tej stolicy zabawiłem, dla obejrzenia sławnej galeryi obrazów i innych bogatych osobliwości. Ztąd bez zatrzymania się przyjechałem do Berlina, przepędziłem tu także kilka dni, już to dla wypoczynku po przykrój drodze zimowej, już to dla obejrzenia dzieł sztuk pięknych; jak również dla obejrzenia pracowni najznacniejszych artystów, szczególnie Raucha, który swojemi dziełami, wielce do Thorwaldsena zbliżył się. W dalszej drodze do Warszawy, już tylko w Poznaniu zatrzymałem się, w celu widzenia się z hrabią Raczyńskim, niegdyś moim protektorem, który miał nawet zamiar wysłać mnie swoim kosztem za granicę. Zamówił teraz u mnie kilka znacznych robót, ale okoliczności nie dozwoliły przywieść je do skutku. Nareszcie z biciem serca, dnia 3 Marca ujrzałem moją drogą ojczyznę, w której uściskać miałem matkę, familiją i drogie osoby, a oprócz tego, nadzieja sławy i korzyści, jakie osiągnąć miałem z trudów tyloletniej nauki. Jak się to ziściło, da się to widzieć w dalszym opisie życia mego. Nim jednak do nowej ery życia mego przystąpię, skreślę tu w krótkości łaskę Opatrzności, która mnie w czasie podróży miała w swojej opiece. Niech te parę słów będą na podziękę i cześć Ojcu Przedwiecznemu, który kierował mojemi krokami. Już dawniej wyraziłem z jakim małym funduszem, wezwawszy Boga na pomoc, paściłem się za granicę. Nie było wtenczas kolei, tego środka oszczędności w podróży, kapitał więc mój nim do Rzymu przybyłem, o większą połowę się zmniejszył, pomimo największej oszczędności. Już myśleć począłem o depozycie w zakład mojej pomysłności, u matki pozostawionym. Bolesno mi być zaczęło, raz, że zmartwię matkę, gdy wyczerpię ostatni środek zamożności; powtóre, że i ja sam o swój byt zacząłem się lękać. Znajdując się w takich debatach, Bóg zesał mi anioła opiekuna, który mi spokojność przywrócił. Stojąc na ganku, usłyszałem mówiących po polsku, zdjęty ciekawością schodzę na dół, i z największym zadziwieniem spostrzegłem Kokulara z uczniem swoim przybyłego do Rzymu. Po pierwszym przywitaniu się, doręczył mi medal otrzymany na wystawie Warszawskiej, i w skutku tej nagrody, przeznaczoną mi pensyją na ten rok, na który mi, odjeżdżając, odmówiono. Tak zabezpieczony o mój dalszy byt, pozostałość własnego funduszu przeznaczyłem na depozyt, mający się tylko użyć w nagłej potrzebie, jako to: słabości, lub podróży napowrót. Na domiar mojego szczęścia, w tym samym czasie otrzymałem zawiadomienie niespodziewane od familii, iż mię ciągle po czas pobytu w Rzymie, wspierać będą; co też święcie dotrzymywali. Nic więc już odtąd nie kłopotociło mego umysłu, i bez przerwy i zbyt wielkiego oszczędzania się, mogłem pożytkować z czasu, abym bez korzyści do kraju swego nie powrócił, czego też dowody okazałem. A tak wyjechawszy o małym kapitale miałem w Rzymie funduszu ogólnego złp. 22370. Z tych droga do Rzymu około 1000 złp. Dwie poproże do Neapolu i pobyt po miesiącu, najmniej 600 złp. Zbiory jakie nakupiłem, sztychów i obrazów w Rzymie, oraz marmury do rzeźby i inne potrzebne narzędzia, najmniej kosztowały 6,500 złp. Odjeżdżając z Rzymu, miałem gotowizny 6,500 złp., które mi służyły prawie do grosza na podróż z Rzymu do Paryża, i tu pobyt trzymiesięczny, zjazd do Warszawy przybycie i sprawienie sobie do ubioru rzeczy, wyczerpały cały ten fundusz. Odciągnąwszy więc te główne wydatki; cóż mi pozostało na pięcioletnie utrzymanie się w Rzymie? A jednak wszelkim potrzebom życia i nauki, zadosyć czyniłem. Dzisiaj wydziwić się temu nie mogę, widzę tylko wszechmocną Opatrzność, która mi dopomagała w moich zamiarach."

Wrócił Tatariewicz do kraju dnia 3 Marca 1829 r. mając lat 31. Urządził pracownię i zajął się pracą, wykonał popiersie z marmuru Piotra Bielińskiego, i wykończył zaczęte w Rzymie w marmurze karraryjskim statwę Psychy, księcia Józefa Poniatowskiego i płaskorzeźby; w oczekiwaniu na katedrę professora rzeźby przy Uniwersytecie Warszawskim. Wypadki roku 1830, pozbawiły go tej nadziei. W roku 1833, ogłoszony był konkurs do katedry rzeźbiarstwa w Krakowie przy Uniwersytecie Jagiellońskim. — „Wzywano (pisze sam Tatariewicz) kandydatów z królestwa i z zagranicy. Ja jako mający kwalifikacją do współubiegania się, przybyłem do Krakowa w celu dopełnienia przepisanych warunków. Dzień 4 Maja przeznaczono na konkurs: ośmiu kandydatów stanęło: między tymi jeden, już umyślnie sprowadzony ze Lwowa. Zawia-

domiony o tém, lubo za późno, już chciałem się do Warszawy wybierać, gdy nadspodzianie znalazłem przyjaciół z wyższych stanów, dbających o dobro ogółu, iż w tém pod zaklęciem przeszkodzili. Z tych najgodniejszym okazał mi się (lubo wcale dotąd nieznanym) ks. Walezyński kanonik i senator, który ofiarował mi znaczną kwotę pieniężną (której nie przyjąłem) abym przed ukończeniem konkursu nie wyjeżdżał. Taki bodziec dodał mi odwagi i cierpliwości w wytrwaniu. Lecz w przypadku nieutrzymania się w konkursie, nacóżby mi się przydali przyjaciele?—Tu własną pracą, trzeba zyskać wyższość. W przegranej, jakbym wyszedł na dobrej opinii? Z jakim wstydem do Warszawy powracał? Myśli te, trapiły mnie potajemnie, zatrwały wszelkie przyjemności. Bóg jednak łaskawy, dopomógł mi szczęśliwie wybrnąć z mego położenia. Jakoż przy usilném mojem staraniu się i błaganiu niejako, odbył się konkurs publiczny przy asystencji senatu, komissarzów trzech dworów, i natłoczonej publiczności. Skutek uwieńczył moje oczekiwania, bo po przeczytaniu rozprawy, wystawieniu pracy zadanej; jednomyślnie przez *Wydział sztuk pięknych*, uznany byłem za profesora, i katedra mi przyznana została. Dzień ten i następne, były dla mnie tryumfem i szczęściem jakiego w życiu mojem zapomnieć nie mogę. Kilka obiadów umyślnie dla mnie wydanych w Krakowie, a pomiędzy temi u Biskupa, gdzie przedstawił mnie dygnitarzom państwa, były nagrodą za trudy i zmartwienia, wojując z nieprzyjaciółmi memi.” Nie zebrał nasz artysta żadnych owoców z odniesionego tryumfu; bo zwinęto natychmiast po ogłoszonym konkursie katedrę rzeźbiarstwa; a Tatariewicz wrócił z Krakowa do Warszawy dnia 15 Września 1833 roku, ze świadectwem tylko senatu, że pierwszeństwo otrzymał. Zyskany przecie rozgłos nie był daremny; w następnym roku Aleksander hrabia Potocki, zamówił wykonanie wielkiego rozmiaru pomnika, dla rodziców swoich w Wilanowie stawiać się mającego; otrzymał nadto posadę profesora rzeźby przy instytucie głuchoniemych. W roku 1834 utracił matkę; i rzewny ustęp poświęca jój wspomnieniu w swojej autobiografii. Dnia 4 Lutego 1835 r. pojął w małżeństwo Antoninę Brzezińską; tak ustaliwszy sobie szczęście i spokój domowy, oddał się z nowym zapalem pracy. Nagrobek Potockich do Wilanowa wykończył w roku 1836, i w tymże roku pomnik dla ś. p. Julii Piotrowskiej, złożony z postumentu na którym statua nieco większa jak naturalna, w postaci osoby oplakującej zmarłej, jest przedstawiona. Pomnik ten, sam Tatariewicz uważał za najcenniejszy z prac swoich. W roku 1837 wykonał kosztowne rzeźby z marmuru czarnego do kominków w pałacu w Opinogórze (hrabiego Krasieńskiego). W roku 1840 dla braku funduszy zwinęto katedrę rzeźby, i Tatariewicz pozbawionym został stałego funduszu jaki pobierał w ilości 3,000 złp. W tymże roku wykonał nagrobek z marmuru czarnego dla ś. p. Rejsewicz do kościoła Sakramentek w Warszawie. Dał na wystawę sztuk pięknych w Warszawie: 1. Psychę wykończoną z marmuru karraryjskiego, której model wykonał w Rzymie. 2. Plaskorzeźby z marmuru, także w Rzymie przedstawiane. 3. Model portretu doktora Brandta, i biust księcia Józefa Poniatowskiego z marmuru karraryjskiego. W skutek osądzenia dzieł powyższych, przyznano mu list pochwalny, szczególnież za Psychę. — „Rok 1844 (pisze Tatariewicz), był dla mnie ważnym, z powodu znacznego obstalunku monumentu publicznego, ks. Kluka do miasta Ciechanowca. W śród téj pracy, wykonałem popiersia z marmuru karraryjskiego: Napoleona dwa biusta, Chry-

stusa ukoronowanego i Najświętszą Pannę bolejącą, obydwa z marmuru, jako dar do kościoła Karola Boromeusza w Warszawie; i kilkanaście portretów z gipsu osób prywatnych. Następną wystawą sztuk pięknych odbyła się w roku 1845, na którą dałem następujące prace: 1. Model w małym rozmiarze ks. Kluka do monumentu. 2. Popiersie ś. p. Jenerała Rautenstrauch z gipsu. 3. Popiersie Napoleona z marmuru. 4. Chrystusa i Najświętszą Pannę, dwa biusta z marmuru. 5. Płaskorzeźba do nagrobka z ośmią główkami aniołków i z portretu zmarłej, do katakumb (Powązkowskich) w Warszawie. 6. Dwa medaliony z marmuru: Kanowę i Thorwaldsena. Oddając te prace na wystawę zastrzegłem sobie, iżby takowe do sądu znawców nie należały. Rok 1845 był obfitym dla mnie w obstalunki. Już wykonywał się monument ks. Kluka kolosalnych rozmiarów, zamówiony został grobowiec kosztowny dla senatora Wyczechowskiego (Antoniego) u Kapucynów stawiać się mający z popiersiem; grobowiec dla Węgrzeckiego b. Prezydenta Warszawy, z popiersiem tegoż; grobowiec dla Krysińskiej ze statuą portretowaną, na Powązki. Z popiersi wykonałem: model Wyczechowskiego senatora, dwóch Młodzianowskich, biust Krysińskiej z odlewami, biust z Tarczewskich Radwan, biust Klementyny Tańskiej. Do roku 1846 opis mojego życia tylko z przypomnień sobie, skreślonym został, brak w nim tego systematycznego porządku i rzetelnego spisu przedmiotów wykonanych. Spostrzegłem się zbyt późno, i dla tego od roku zaprowadziłem dziennik, w którym czynności moje każdodziennie rzetelnie ciągle zapisuję, aż do dziś dnia, póki żyć Przedwieczny dozwoli."

Odtąd z większą troskliwością zapisywał tak szczegóły do swego życia artystycznego i domowego, jako też i wykonane roboty. Od roku 1846 do końca 1853, w którym zaprzestał już pisać swój rys życia, wykończył wszelkie wzmiankowane wyżej prace; a z nowych wykonał: biust Markiewicza doktora; grobowiec dla ś. p. Wandy Nakwaskiej ze statuą portretowaną zmarłej; popiersie ś. p. Morawskiej, córki senatora; model portretu Maryewskiej żony doktora, i wiele innych biustów prywatnych osób. Statui ś-go Józefa i ś-go Tadeusza, do kaplicy w *Woli Malinieckiej* z kamienia; grobowiec dla Biżańskiego do Ostrożan; dla Brzezińskiej (żony adwokata) na Powązki; dla Dziecielkiewiczowej, do katakumb w Powązkach. Biusta: ś. p. Falkowskiego, kasztelana Nakwaskiego, Kościuszki w marmurze karraryjskim; jenerała Włodka (spoczywającego na Powązkach), hrabiego Krasińskiego, Fryderyka Szopena; portret w medalionie Maxymiljanny z Ostrowskich Mojełowej w marmurze, do grobowca na Powązkach, i biust tejże. W roku 1850 powziął myśl „aby (jak wyraża) imie swoje większemi dziełami podać do potomności"— wykonać statuę kolosalną Jana Kochanowskiego z Czarno-lesia, w chwili, gdy pisze sławne swoje treny. Dwa lata nad nią pracował, nie spoczywając w święta i niedziele. Przechylnie przyjęcie i sąd znawców pobudził Tatarkiewicza, że do zrobienia stosownej wielkości drugiego posągu Karpińskiego, przywołał całą młodzieńczą energiją do tej pracy. Zaczął dnia 16 Kwietnia 1851 roku, a skończył w niespełna dwóch miesiącach, bo dnia 11 Czerwca tegoż roku, wyrobivszy obok tego biusta naturalnej wielkości Konarskiego i Kopezyńskiego do kościoła ks. Pijarów w Warszawie, odlane w gipsie. W tym roku udał się na *wystawę całego świata* do Londynu; i tak skreśla swoje wrażenia:

„Nie będę tu się rozszerzał nad opisaniem szczęścia, jakiegom doznał oglądając najprzód to oryginalne

miasto, a szczególnie Wystawę całego świata, na którą miliony ludzi przybyło. Ogrom gmachu i przepych urządzenia, w pierwszej chwili o mało mię zmysłów niepozbaWił; rozplakałem się z radości i wyjść musiałem z palacu, dla ostygnięcia z tego zachwytu i pierwszego wrażenia. Po czem przez sześć dni następnych po 6 i 8-m godzin dziennie, nie mogłem się dosyć nasycić oglądaniem tych arcydzieł geniuszu ludzkiego, na które cały świat się wysilił. To tylko powiem, iż dzisiaj dnia, zdaje mi się iż to był sen, w którym oglądałem skarby urojone w *tysiącach nocy*, w powieściach arabskich. A co do miasta i jego osobliwości, to powiem: że po tylu widzeniach miast Włoskich, Francuzkich i Niemieckich, Londyn wydał mi się oryginalnym, nieprzemawiającem wprawdzie do duszy i uczucia, ale swymi kolosalnymi rozmiarami, budawami i oryginalnymi pomysłami, przerażający widza: przekonywając go o ogromnej zamożności i wytrwałości narodu. Słowem, nie ma tu życia i tych zabaw, które uprzyjemniają bytność człowieka; dla tego po opuszczeniu Londynu, Paryż wydał mi się tym rajem ziemskim, do którego każdy cudzoziemiec zakosztowawszy tu słodczy, radby często tu powracać; gdy Londyn, dostatecznie jest raz w życiu oglądać."

Wróciwszy do Warszawy natychmiast wykończył nagrobek dla Omecińskiego i z figurą anioła ustawił na cmentarzu Powązkowskim; następnie wykonał w marmurze biust drugi Szopena, i dwa medaljony Aleksandra I. Cesarza Wszech Rossyi Króla Polskiego, i Napoleona.

Przez dwa lata modelował do pomnika ś. p. arcybiskupa Jana Woronicza, to statwę przedstawiającą *wymowę*; to w płaskorzeźbie *religię*, z kamienia *Kunowskiego*; dawniej modelowane posągi, Jana Kochanowskiego i Franciszka Karpińskiego, wykonał; oraz biusta, zmarłego doktora Malcza, Kazimierza Brodzińskiego w naturalnej wielkości, Dominika Krysińskiego i wielu innych. Od roku 1847, Tatarkiewicz zaczął uczuwać pierwsze napady choroby. Zdrow dotąd, czerstwy i silny, zahartowany w latach młodych; ale praca i nie jedno gorzkie uczucie w stosunkach z ludźmi, zachwiały jego zdrowiem. Artysta skromny, a pełen zapału dla sztuki, z wielkiem uczuciem, prawy i szlachetny w charakterze, miły, łagodny i uprzejmy w obejściu; czuł silnie każdą niesprawiedliwość, złość ukrytą, głupotę i dumę innych; a na te wszystkie nieprzyjemności, prawie codziennie był wystawionym. Szukał ulgi w swojej pracowni na lonie spokoju domowego i rodziny, wśród których tylko oddychał swobodnie. Niskiego wzrostu, niewydatnego oblicza, potulnej postawy, w skromnym zawsze odzieniu, dawał nam obraz artysty co żył tylko dla sztuki. Cichym był nawet jego zapal, a malował się w nim wybitnie. Pamiętam jak z dumą artysty pokazywał mi posąg Kochanowskiego; jak wtedy oczy jego zajaśniały nieznanym ogniem, a uśmiech szczęścia i radości upromienił oblicze. Od roku 1848 powziął myśl i dokonał szczęśliwie, zebrać zbiór i odlać z brązu w małych rozmiarach, popiersia uczonych i zasłużonych naszej ziemi mężów. Dużo użył kłopotu, zanim szczęśliwie wynalazł cyzlera Niemca do tej pracy, który bardzo mało znając rysunku, niesłychanie wiele zabierał czasu naszemu artyście, bo je sam musiał poprawiać. Zbiór ten doprowadził do liczby sztuk 48. Równocześnie zaczął zbierać i biblioteczkę z dzieł polskich, widać jak żywo go zajmowała, gdy każde jej powiększenie zapisuje w swym dzienniczku; i rozpoczął pisanie dzieła o *Rzeźbiarstwie*. Pracą, oszczędnością, zebrał do roku 1849 kapitału do 100,000 Złp. za ten fundusz kupił wioskę, przeznaczając najstarszego syna na rolnika. Na dwa lata przed zgonem, uczył boleści w nogach, podróże piesze, a głównie stanie ciągle przy pracy, oddziaływały teraz. Zmarł w 56 roku życia, kiedy marzył o spokoju, jakiego mógł błogo w gronie rodzinnem używać, zdobywszy

talentem i pracą wytrwałą: wygody życia, i piękną, dobrze zasłużoną sławę. Spoczął snem wiecznym na tym samym cmentarzu Powązkowskim, który wielu pomnikami artystycznymi ozdobił.

J A N K U Ź M A.

URODZIŁ SIĘ 1742 ROKU, UMARŁ WE ŚRODĘ DNIA 12 CZERWCA 1822 R. W WARSZAWIE.

(Pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w ziemi bez nagrobku).

Będąc w Niedzielę w kościele farnym świętego Jana w Warszawie, jako uczeń szkół pijarskich, na porannej mszy świętej, wraz z moją matką; uczulem że mię pociągnęła nagle za rękę, i z cicha wskazując wysoką postać, rzekła mi na ucho: „To widzisz jest Kuźma, co uratował króla Stanisława” Nasłuchawszy się od lat najmłodszych wiele o tém zdarzeniu, spojrzalem z podziwem i uszanowaniem na owego mężczyznę, co szedł powoli ku kaplicy Pana Jezusa. Wyniosłego wzrostu, topolowej postaci, twarz ściągła, długa, nos duży, czoło wysokie które podnosiła łysina; postępował z tą pewnością, co znamionuje czerstwość i siłę. Był ubrany w długą kapotę granatową, kroju żupana i buty juchtowe na wierzch spodni, czapkę rogatywkę trzymał w ręku. Wysunąłem się za nim z ławki, ażeby bliżej mu się przypatrzeć. Kiedy wszedł na stopnie do kaplicy wiodące, uklęknął na nich, a złożywszy ręce pobożnie, oddał się cały modlitwie. W kilka dni potem, przybył Kuźma do moich rodziców. Ojca mego znał dobrze ze dworu króla Stanisława Augusta; poznał się z nim w on czas, gdy po porwaniu tego króla, osadzony pod strażą siedział w zamku. Nie zastawszy ojca, pozdrowił moją matkę i usiadł, a widząc mnie malca jak ciekawie się w niego wpatruje: — To zapewne państwa chłopiec? rzekł; i przywoławszy mnie do siebie, posadził na kolanach. — Z kądże pan Kuźma do nas zawitał? — zapytała matka. — Z Italji pani dobrodziejko. Siedziałem tam lat wiele; piękna to ziemia, ale tęskniłem za swoim krajem. Chciałbym też tu, żeby kości moje spoczęły. Dopóki żył król Jegomość, to mnie pensyjka dochodziła regularnie, którą z łaski swjej monarszej, wiernemu słudze raczył przeznaczyć. To też siedziałem cicho w Italji, modliłem się a tęskniłem. Ale jak zmarł król jegomość, pensyjka rzadziej dochodziła, było nie raz i chłodno i głodno, jak to po naszymu mówią; a tam, było ciepło ale głodno; tak też wróciłem do kraju jeszcze w czasach Pruskich, a ot nie dawno byłem w Rzymie i powróciłem przed parą miesiącami. — I jak też się panu Kuźmie teraz wydaje u nas? — Wszystko dziwnie, prosze pani dobrodziejki. Warszawa do niepoznania; to teraz błędzić po niej! Gdzie to porównanie do dawniejszej; toć to było za moich czasów miasteczko, a teraz miasto całą gębą.— W ciągu téj rozmowy, ktoś wszedł ze znajomych i matka odeszła do bawialnego pokoju, zostałem sam z Kuźmą. — No! mój chłopczyku, żebyś nie tęsknił u mnie na kolanach, to ci powiem historyjkę; a pan ojciec prędko wróci.— Spojrzałem na staroświecki zegar co stał niedaleko i odrzekłem: Za pół godziny — To dobrze, nim nadejdzie to już skończę.— I zaczął mi opowiadać ową dziś znaną powiastkę o czarowniku Twardowskim ze wszystkimi szczegółami: jak dokazywał po świecie, jak w ostatku porwany od diabła, gdy zaśpiewał pieśń swego utworu o Malce Boskiej, zawieszony został do

nia sądnego pomiędzy niebem a ziemią. (1) Wkrótce nadszedł mój ojciec i z radością powitał w gościnu pana porucznika. Dowiedziałem się później od ojca, że Kuźma powrócił z Włoch w 1803 roku czy 1804, do Warszawy, że tu przemieszkiwał wiele lat, że wyjeżdżał niedawno do Włoch i załatwiwszy tam swoje interesa, wrócił znowu do Warszawy. Odtąd często spotykałem Kuźmę to w kościele u Fary, to w domu rodziców. Nadstawiałem zawsze uszu gdy przybył Kuźma, czy będzie co opowiadał z pamiętnego wypadku w którym tak znakomity miał udział; ale pan Porucznik nigdy ani jednym słówkiem nie dotknął tego przedmiotu. Nieraz w długich rozmowach z moim ojcem, wspominał wiele osób z dworu króla Stanisława Augusta, które poznał; to opisywał Włoskie kraje, gdzie od roku 1773, przeszło lat trzydzieści mieszkał; (2) opowiadał szczegóły o wielu legjonistach, których znał w *Italjańskiej* (jak wyrażał) *ziemi*; czasem wspominał Kazimierza Puławskiego, a zawsze z wielkim uszanowaniem i głębokim westchnieniem. Nazywał go nie inaczej, jak panem hetmanem. Z wielką wdzięcznością przywodził sobie na pamięć króla Stanisława Augusta, i nigdy nie mógł się dość nachwalić jego wspaniałości i wymowy, którą potrafił skruszyć choćby najtwardsze serca. Urodził się za czasów Augusta III; skończył szkoły u Jezuitów, później był towarzyszem w Kawaleryi narodowej i w konfederacyi Barskiej, dosłużył się stopnia porucznika, będąc pod komendą najprzód Sawy. Po rozbięciu Sawy udał się do Tyńca, gdzie będąc ranny powrócił do ziemi Wyszogrodzkiej. W Warszawie mieszkał w klasztorze pojezuickim Nr. 74 przy ulicy Jezuickiej (jak dziś kościół księży Pijarów), i tu umarł. Tyle wspomnienia zachowała pamięć moja o Kuźmie. (3) Wiadomo z dziejów, że wyprawą całą w celu porwania króla Stanisława Augusta z Warszawy, dowodził Stanisław Strawiński rotmistrz Starodubowski (postać dziś znana powszechnie ze znakomitej powieści historycznej, Henryka hr. Rzewuskiego p. n. *Listopad*); a dopomagał mu stosownie do ordynansu Kazimierza Puławskiego, Walenty Łukawski rotmistrz Zakroczymski. Strawiński na tajemnicę odebrawszy przysięgę od Łukawskiego, Kuźmy (z którym się zapoznał po raz pierwszy u marszałka ziemi Wyszogrodzkiej, Ciechorowskiego, i tu go wziął pod swoją komendę), Gadomskiego i Żwierzchlewskiego, starszyzny konfederacyi; sam udał się do Czerwińska, dawszy rozkaz

(1) Podalem ją wedle opowieści tegoż Kuźmy, w *Klehdach* moich.

(2) Józef Drzewiecki w Pamiętnikach swoich (zobacz *Athacnum* J. Kraszewskiego) wspomina: że przebywając we Włoszech, często spotykał Kuźmę.

(3) Kuryjer Warszawski z roku 1822 z dnia 14 Czerwca Nr. 141, takie o nim zapisał wspomnienie: „Onegdaj umarł tu pan Kuźma, który w roku 1771 przyczynił się do ocalenia Stanisława Augusta, gdy ten król przez konfederatów na ulicy *Miodowej* w Warszawie porwany i do młyna Marymontskiego uprowadzony. Mowa jaką król miał na sejmie wstawiając się za Kuźmą, należy do dzieł wzorowych krasomówna polskiego. Kuźma od lat dwudziestu kilku mieszkał w Warszawie, i właśnie w 80-tą rocznicę swego życia, ten świat opuścił. Był bezżenny.“ I w następnym zaraz numerze ogłasza: „J.W. z książąt Poniatowskich hrabina Tyszkiewiczowa przeznaczyła fundusz potrzebny na restauracyą budowy pomnika, który przed połową wieku, ś. p. Stanisław August król Polski wystawić kazał na dawnym cmentarzu Ewangelickim w Warszawie przy ulicy Karmelickiej, na uwiecznienie pamiętki czynu wierności i poświęcenia się hajduka przy dworze królewskim Jerzego Henryka Butzow, który w chwili napadnięcia spiskowych na osobę Monarchy i Pana, własnymi go zasłaniając piersiami, życia dokonał. Miejsce to ma być urządzone przyzwoicie, dla używania przechadzki dla chorych, umieszczonych w przyległym szpitalu Ewangelickim. Właśnie to zdarzenie uskutecznia się w chwili, gdy Kuźma, który należał do liczby owych spiskowych, żyć przestał.“

Łukawskiemu, aby go w *Małej wsi* oczekiwał, gdzie z furami zbożem ładownemi miał nadjechać. Jakoż 31 Października 1774 roku, Strawiński z Kuźmą do pomienionej wsi przybyli, gdzie Łukawskiego już zastali, upewniając że fury z sianem, zbożem i sukmanami chłopskimi w lesie zostawili, a przy nich na straży Peszyńskiego. Naciągnęła wkrótce pod porucznikiem Modzelewskim stukonna komenda Łukawskiego. Ten wybrał z niej wedle rozkazu Strawińskiego 26 ludzi z wachmistrzem Janem Wołyńskim, na najlepszych koniach; a Kuźma porucznik, wprowadzał po dwóch z tego oddziału do wiejskiej chaty, gdzie w przytomności Strawińskiego, Kuźmy i Łukawskiego, wszyscy wybrani złożyli przysięgę na tajemnicę, i tu dopiero uwiadomiono ich, że idą na porwanie króla, do Warszawy. Nazajutrz dnia 1 Listopada ruszyli się wszyscy do *Gluska*, a ztąd do ukrytych w lesie wozów, w które uładowawszy broń między siano i zboże, z mundurami i przyborami wojskowemi; sami przebrani to za furmanów, to za flisów, zanocowali przy furach w lesie. Dnia 2 Listopada zaprząglszy swoje wierzchowe konie do dziesięciu wozów ładownych zbożem i sianem, udali się ku Warszawie, jedni powożąc, drudzy na furach przebrani siedząc, a reszta jako wędrownie flisy przy furach idąc. Podjechawszy pod wieś Lomianki, i piesi i ci co na wozach jechali, rozstrzychnęli się pojedynczo po lesie Bielańskim, ciemnej nocy oczekując. Dopiero Peszyński z Węgrzynkiem Łukawskiego, *Antonim*, wysłani od Strawińskiego do rogatki miasta, samym dobrym zmrokiem nadjechali. Rewizor przy rogatkach Marymontskich Warszawy, robił pewne trudności Peszyńskiemu w puszczeniu go do miasta, z przyczyny że mu pokazywał pod dawną datą świadectwo. Lecz złożył się tym, że mu dał takowe pan jego Strawiński, który z Czerwińska sam jedzie przy furach i wkrótce naciągnie; prosił więc o zatrzymanie zawarcia rogatki. Tym sposobem ułatwiwszy Peszyński przepuszczenie swoje, udał się prosto do stajen OO. Dominikanów na Nowém mieście, przed trzema wprzód niedzielami przez Strawińskiego zamówionych. W tych zostawiwszy z końmi Antoniego Węgrzynka, powrócił pieszo ku rogatkom, oczekując przy nich na pana swego Strawińskiego, i na fury przy nim, jakoby z Czerwińska idące. Nadjechały ciemną nocą owe fury, bronią w sianie i zbożu ładowane, a z niemi Strawiński, Łukawski i Kuźma; nadeszli także i przebrane flisy, i przebywszy wszyscy rogatkę, za przewodnikami do stajen Dominikańskich udali się. Łukawski téjże samój nocy chodził do żony swój, świadomej całego zamachu; Strawiński z Kuźmą zostali przy oddziale strzegąc go, aby nie wychodził nigdzie i nie pokazywał się. (1) Dnia 3 Listopada Strawiński wyszedł na przegląd do miasta, wybrał miejsce dogodne do przebycia okopów konno, ulicę do zrobienia zasadzki, i udał się wprost do zamku. Że każdemu wolny był przystęp i nierobiono tajemnicy o zamiarach króla gdzie miał wyjeżdżać; łatwo powziął wiadomość, że wieczorem zamyśla Monarcha odwiedzić księcia Czartoryskiego kanclerza, który mieszkał w pałacu na Miodowej ulicy (dzisiejszym zwanym *Paca*). Strawiński chodził spokojnie po dziedzińcach zamkowych, oczekując zaczęcia się przygotowań do wyjazdu króla; a gdy ujrzał że wytoczono karete i zaprzęgano konie; pośpieszywszy do stajen Dominikańskich, i nakazawszy gotowość; sam wrócił i przypatrywał się wjazdowi króla w bramę pałacu kanclerskiego. Noc już

(1) Dotąd szliśmy za opisem w dziele: „Processus judicarius etc. Warszawa 1774 r. fol. Dalsze opowieść czerpaliliśmy z podania osób dobrze świadomych tego wypadku.

była ciemna, gdy powrócił do swojej komendy którą zastał w gotowości i na koniach: ruszył więc z nią, a przeprowadziwszy ulicą Podwalem, wprowadził w małą uliczkę zwaną *Kapitulną*. Ciemność gruba nocy Listopadowej, coraz się powiększała jakąś mgłą, co się wehniła gęsto. Między 9-tą a 10-tą król wyjechał z pałacu kanclerza. Karetę poprzedzało dwóch konnych ze służby zamkowej, z pochodniami w rękę; za nimi oficerowie dyżurni, dwóch dworzan i masztalerz. Z monarchą w karecie jechał adjutant, dwóch paziów obok niej, a dwóch hajduków w tyle stało za pojazdem. Gdy jadący mijali kościół Kapucynów, wtedy oddział z zasadzki z ulicy Kapitulnej wypadł, i wśród mglistej nocy, łatwo karetę otoczył. Hajduk Butzow padł przy jej drzwiczkach kulą przeszyty na miejscu. Stanisław August korzystając z głębokiej pomroki, szczęśliwie się z karety wysunął, dobiegł do bramy pałacu kanclerskiego, ale ją zastał zamkniętą. Wtedy wystrzał z pistoletu odkrył miejsce gdzie stał, z kądem porwany, na konia wsadzony, i za okopy miasta wywieziony został. Tym właśnie oddziałem jazdy dowodził Kuźma. Postępowanie jego dalsze, sam Stanisław August w swojej mowie mianej w izbie senatorskiej, szczegółowo opisuje; z niej podajemy ustęp dotyczący osoby Kuźmy. „Nie jako sędzia w tym dzisiaj miejscu zasiadam, bo nim być w tej sprawie nie mogę; lecz na to tylko, abym prawdziwe te wydał świadectwo, którego nikt nademnie lepiej wydać nie może. Winienem życie temu Janowi Kuźmie, którego tu macie przed oczyma. W nocy owój z 3-go na 4-ty Novembra 1771 roku, gdym już był w rękę porywających mię ludzi, słyszałem ich kilkakrotnie mówiących do tegoż Kuźmy na ówczas rotmistrza swego: „pozwól nam go rozsiekać.“ A on im za każdym razem zakazywał. On ich pierwszy do litościwszego ze mną obchodzenia nakłaniał, i nawet do usług niektórych mnie wtedy nieodbitie potrzebnych, rozkazem swoim przynaglił, jako to: że jeden musiał mi własnej ustąpić czapki, drugi buta; a nie małe to wtedy były dla mnie dary, kiedy noc słotna ranę w głowie mi jątrzyła, kiedy skrwawiona noga, bez trzewika, bez obówia żadnego, nie wymowną mi co moment pomnażała boleść. Potem potrafił sztucznie oddalić dwóch ostatnich swych towarzyszy: a jak tylko sam zemną został, tak zaraz królem swoim być mnie uznał, a wkrótce potem, lubo mając broń w rękę, a mnie widząc bezbronno i ranne-go i wcale na silach zemdlonego, sam dobrowolnie padł mi do nóg, służyć obiecał, a co większa, mojej się zupełnie lasce i woli tak poddał i powierzył, że lubo miał jeszcze czas i sposobność ucieczki, wolał przy mnie zostać, wolał mi służyć, i te mi słowa powiedział: „Ja wiem że mnie śmierć czeka w Warszawie, ale cię już nie opuszczę Panie póki cię tam nie odprowadzę.“ Wtedy do gruntu serca przejęty tą jego rezolucją, dałem mu słowo, że sam będę życia jego obrońcą. On na to upewnienie, zaraz ochoczo począł mi służyć; on mnie doprowadził do tej chaty młynarskiej, w której doczekałem przyzwoitego z Warszawy konwoju, i tam gdym przez godzinę na podłój, lecz wtedy szacownej pościeli nieco spoczywał, był on poniekąd znowu panem życia mego, a stał się onego stróżem. Musiał sam czuć dobroć tych wszystkich ostatnich postępków swoich, musiał zupełną w królewskim słowie pokładać ufność, gdy nieprzymuszony, dobrowolnie przyszedł do Warszawy, idąc wspólnie z całym tym orszakiem który mię na ówczas otaczał. Nikt go nie miał na oku, mógł był sto razy schronić się i zniknąć; ale sam pierwszy pokazał mi się w zamku, znać że mi wierzył; niepowinien więc być zawiedziony.

Uiszczam się w mém słowie, mówię za nim, a bardziej sam za sobą. Moja by była hańba, mój żal nieukożony, gdybym ja niechęący stał się przyczyną zguby takiego człowieka, który mię od śmierci ratował kilkakrotnie; i który mi dał dowód tak wielki, swojego o mojej rzetelności szacunku." (1) Objasnić tu winniśmy, że prowadząc króla rannego w głowę, Kuźma towarzyszków swoich rozesłał w różne strony; sam zaś przejęty do głębi duszy przemową Stanisława Augusta, zawiódł go do młyna w Marymoncie, gdzie sam stał przy spoczywającym na łożu, z dobytym palaszem, dopóty, dopóki generał gwardyi Kokcój nie nadbiegł z oddziałem i karetą po króla. Sąd sejmowy mocą wyroku swego d. 2 Września 1773 roku, uwolniwszy Kuźmę od kary śmierci, skazał na wieczne wygnanie z królestwa Polskiego i należących doń prowincyj: „*Ipsumque, (słowa dekretu) in perpetuum exilium è Regno Poloniae annexisque provinciis proscriptum impensis aerarii publici, ad fines Regni tantum conducendum, ita ut sub nullo praetextu inditiones Reipublicae reverti, aut easdem quomodo libet intrare amplius audeat, statuimus;*“ z zagrożeniem, iż gdyby kiedykolwiek poważył się stanąć na ziemi Rzeczypospolitej, schwytany i śmiercią ukarany zostanie. Stanisław August i jego rodzina dostatnio opatrzyli Kuźmę na drogę; król przeznaczył mu rocznej pensyi trzysta dukatów i poszedł na wygnanie; osiadł we Włoszech a po dwudziestu kilku latach, gdy już nie było królestwa Polskiego, za czasów Pruskich wrócił do Warszawy. Portretu Kuźmy nigdzie nie widziałem, chociaż się wizerunek olejny dochował starego młynarza z Marymontu, u którego król kilka godzin w młynie zabawił. W samym kościele Powązkowskim w głównym oltarzu jest obraz świętego Karola Boromeusza, na boku którego odmalowaną jest scena gdy Kuźma klęczy u nóg króla. (2) Obraz ten w roku 1793 ofiarował do kościoła Powązkowskiego książę prymas Michał Poniatowski; w rok sam tu spoczął w katakumbach; a we dwadzieścia dziewięć lat, w mogile ziemnej, złożono zwłoki Jana Kuźmy, sędziego już starca, bo w 80-m roku życia zmarłego.

(1) *Processus judiciarius*, stron. 155.

(2) Jest w posiadaniu jednej rodziny w Warszawie obrazek mały jedwabiem wykonany, z dziwną subtelnością, przedstawiający właśnie ową chwilę spoczywającego króla na łożu, i Kuźmę przy nim. Portret owego młynarza z Marymontu, posiada doktor Ksawery Rakowski.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

ZAMKNIĘCIE TOMU I^{go}

„Jak kruszec drogi są stare podania,
Co za nim trzeba spuszczać się w głąb ziemi,
I do udziału serce się nie skłania,
Co zdawna tylko rozmawia z zmarłemi.
Bo ta pierś wierna co podanie chowa,
Taka milcząca jak deska grobowa,
I z wierzchu zimna, i jak lodem ścięta,
A jak relikwiarz dla świata zamknięta!
Więc jak odważyć tę deskę grobową?
I czém wywołać zmarłe w piersiach słowo?
Czy to się uda co się z grobu rodzi,
I czy relikwiarz otworzyć się godzi?”

W. Pol. (Monorr).

Skończyłem połowę mej pracy, i dałem wam moi Czytelnicy wspomnienie nie małej liczby postaci różnych warstw naszej społeczności, z różnych zawodów życia, których prochy spoczęły w tym ludniejszym jak sama Warszawa grodzie, a co się zowie cmentarzem Powązkowskim. Większa daleko połowa, po raz pierwszy znalazła obszerniejsze, szczegółowe wspomnienia; posłużyły tu materiały ukryte dotąd to w ręku pozostałych rodzin, to po Archiwach; w ostatku znajomość moja z tymi, co mnie wyprzedzili do grobowego spoczynku, i krążące jeszcze podania, lub niedawno co przygłuchłe. (1) Rzecz godna uwagi myślącego rodaka, jak się już u nas żywe słowo podania, szybko zaciera. Pamiętam naszych kontuszowców, u których głównym żywiołem posiedzenia i zebrań, było podanie. Późniejsi nasi wojownicy, co byli ich synami i zbiegali obszar świata po Włoszech, Hiszpanii, Francji, Niemczech; to w Egipcie lub na San-Domingo, z orężem w ręku, zachowali ten dar piękny, podania w żywym słowie, wypadków swego życia i zdarzeń rozlicznych. Wnuki owych kontuszowców, choć i jednych i drugich słuchali z zajęciem, jako tych, co umieli silnie wstrząsać duszą, i napawali ich serca i umysły, obrazami wielkich walk i całej gry życia; już stracili zdolność owej płynności i owej barwistości opowieści, i tej prawdy żywego słowa, w które się gawęda starszych dwóch pokoleń, tak świetnie a wyraziście przystrajała. I pierwsi i drudzy, pomimo tego nie lubili pisać, choć w ich opowieści tryskała poezycja, bo to był ciąg nieprzerwany czynów i charakterów mistrzowsko pochwyconych. A nie mieli na zawołanie, na pokaz tych podań: zwykle milczący i zamysleni, jakby dumali o tej przeszłości, co skrzepła już dla młodego pokolenia; a dla nich jak barwna tęcza, piła z ich serca i głowy, ku sobie zwracała ich oczy. Mało

(1) Unikając zarzutu, że z redagowanych przezemnie „Życiorysów znakomych ludzi,” powtarzam postacie;— odpowiem, iż w tym tomie są życiorysy: Jana Kruszyńskiego z bogactwami o wiele nowemi szczegółami: Wojciecha Bogusławskiego, powiększony dodatkami. — Ludwika Osińskiego skrócony. W następnym Tomie zwrócimy na też okoliczność uwagę Czytelnika naszego.

już na tym Cmentarzu kontuszców spoczęło, więcej legionistów, a pomiędzy tymi, zaledwie kilku, których szczegóły życia, pozostałe notaty lub własne ich podania, pochwycono piórem. Ze zgonem ich, zginęło wiele pamiętnych czynów, wiele barwy żywej dla historii krajowej. W żadnym okresie dziejów naszych, nigdzie tak wielka różnica nie rozdziela dwóch plemion tak blizkich siebie, jak ojców co żyli w czasach Rzeczypospolitej, i ich synów, co zrodzeni jeszcze w ostatnich jej latach, jako dojrzały mężczyźni, wystąpili w czasach Księstwa Warszawskiego; a złamani wiekiem, styrani wojennymi trudami, złożyli kości na tym tu cmentarzu.— W moich czasach, kładły się w mogiły stare szczątki pokolenia z czasów Rzeczypospolitej;— wielu z tych Polonusów znałem osobiście, żyłem z nimi, o innych słyszałem świeże jeszcze, pełne barwy życia, podania. Mogłem więc zbadać ich myśl, poznać uczucia, serca, i charakter. Ile razy zjawi się jedna z tych postaci w pamięci, korzę się przed tym błogosławionym objawem, patrzę jak na wizerunek przed którym unizmam głowę, co w niczym nam niepodobny, zachwyca uroczem. Słyszę tę mowę, pełną zwrotów poetycznych, owę siłę, potęgę, co tak cudnie przystrajała każdą myśl, każde uczucie płynące z tych serc zacnych, pełnych poświęcenia i miłości. Odkroczyliśmy prawie w jednej chwili tak daleko, tak do razu zdołaliśmy z wszystkiego się wyzuć, co miało jakikolwiek związek z niedawną jeszcze Rzeczpospolitą, że we dwanaście lat po roku 1794 licząc, już tylko garstka tych polonusów żyła i stąpała jakoby po obcej ziemi. W zaciszy dworców modrzewiowych, w zaściankach, w zagrodach zagonowych siedzib szlacheckich, przytuleni, oczekiwali z wiarą w sercu, z modlitwą na ustach, uderzenia godziny, do wstąpienia w wielką ojców swoich mogiłę. Ginęła z nimi powoli narodowa tradycja, żywe słowo podania: — aż niedługo i zupełnie zagaśły. Zaledwie na ostatnich tych starców grobowiskach, świeża trawa porosła, już świat nowy, barwny cudzemi przystrojami, straciwszy pozor nawet pradziadowski z miny i czupryny, zatracił i ich mowę, ową jedyną skarbnicę, którą się z grobów swoich dziady, do wnuków odzywali. W naszych czasach, w naszych oczach, nie masz jeszcze lat 30, jak on wdzięczny śpiewak „Wiesława,” Brodziński, w rozbołałości serca pisał: „*żał za polskim językiem.*” Inny rodzaj tradycji zachowali mężczyźni szabli z czasów Księstwa Warszawskiego, których większe grono spoczęło na Cmentarzu Powązkowskim. Lekkie z nich, z dziecinnego wieku tylko wspomnienia dotyczą naszej ziemi: wszystkie zwijały się w wieniec czynów, po obcych ziemiach, które obficie krwią własną skrapiali. Już tu nie przechował się ani zwyczaj, ani obyczaj narodowy, ale mięszaly się opisy pochodów, bitew morderczych, zwycięstw, i nie jednej klęski. Ale przecieć i to młodsze od tamtych plemię, zachowało (jak rzekliśmy) dar opowieści; a zebrane ich podania, utworzyłyby księgę arcyważną i ciekawą, której karty, podałyby historii ojczyściej, nie jeden ustęp zajmujący z owych czasów. Rozwiedliśmy się szerzej nad znaczeniem i ważnością narodowej tradycji, bośmy się już w ciągu niniejszej pracy nie raz na niej opierali, i zapomagali żywem jej słowem. To też właśnie uważamy za wyłączną wartość naszego pisma, tę część, którą *tradycja* ubogaciła (1).

(1) W chwili kiedy kończyliśmy te słów kilka do naszych czytelników, otrzymaliśmy list od czcigodnego kapłana na Katedry Sgo Jana w Warszawie, księdza Józefa Gołębowskiego, który tu w całości zamieszczamy.

„Czytając dzieło pana, pełne tylu wspomnień i drogiej pamiętek, przyszła mi myśl taka, że dobrzeby było; gdyby na bramie, przez którą się wstępuje na cmentarz Powązkowski znajdował się napis stosowny do miejsca tego i onego prawdziwie godny. Serdecznie pragnę, żeby się myśl moja spełnić mogła; ale znając nieudolność swoją, sam jej należycie wykonać nie zdołam. Robię przynajmniej co mogę i grosz mój wdowi, czyli napis cmentarzowy, na tę świętą ofiarę składam, i przez pośrednictwo pisma pańskiego, z korną prośbą do tych wybrańców naukowych się uciekam, których niebo talentem obdarzyło aby napis ten w miejscu pierwszym i drugim poniżej wyrażonem, tak bardzo potrzebny, a przepomniany, rzewnie i krótko napisać kto raczył, i napisany panu w druk oddał, któryby prędzej, później, bogobojny zarząd cmentarza na glazach wyrzeć rozkazał.

1. Napis nad bramą cmentarza.

„Synu, nad umarłymi wylewaj łzy, a poczniej płakać jakobyś co nieznośnego cierpiał, a podług zwyczaju przy kryj ciało jego, a niezaniebduwaj pogrzebu jego.“

2. Napis na marmurze przy wstępie na cmentarz.

„Przychodniu! pomnij że wstępujesz na ziemię, na której śmierć swoje królestwo założyła; na ziemię zroszo
Cment. Powązk. T. I.

Odezwa nasza do pozostałych rodzin tych, co już spoczęli w grobach, nie wiele skutkowała, — zaledwieśmy do kilkunastu życiorysów otrzymali materyjały. Przewidywaliśmy tę obojętność; i przez lat siedm zgromadzali zasoby do naszej pracy, co szło z niemałym oporem, gdy jak już na początku tego tomu wspomniałem, akta cmentarza Powązkowskiego od roku 1790, czyli od chwili założenia, po rok 1836, to jest do czasu przejścia pod zarząd Magistratu miasta Warszawy, zaginęły bez śladu. Niemniejszy trud w poszukiwaniach i na cmentarzu Święto-Krzyskim, gdzie nie ma dnia, aby banda złodziej, nie wydarła jakiej płyty marmurowej, a zatarłszy napisy, nie wyniosła na nową sprzedaż. Ten niecny frymark odbywa się dotąd w głębokiej tajemnicy. Wkrótce nie pozostanie tu ani jedna pamiątka grobowa na marmurze, przekazana potomności. Przedmiot niniejszy pracy, wymagał powtórzenia wielu życiorysów, co już poprzednio drukiem były ogłoszone. Podając je, starałem się o ile możność dozwoliła, zbogacać takowe mniej znanymi lub dotąd zupełnie nieznanymi szczegółami: nie mogłem wszakże zbywać mego czytelnika, odsyłaniem do różnych dzieł po większej części już wyczerpanych z obiegu i trudnych do nabycia. Zawsze w każdym zbierałem rysy wydatniejsze, któreby postać kreśloną dobitniej malowały, opuszczając ozdoby krasomówcze, w które przystrajano hojnie tak zwane *mowy* i *pochwały*, na cześć zmarłych ogłaszane. W tych życiorysach, czytelnik ciekawy źródła, znajdzie wskazówkę w przypisach. W części drugiej niniejszego dzieła, w następstwie przyjętego porządku: pójdą najprzód życiorysy spoczywających w ziemi, jako dalszy ciąg, w tym tomie rozpoczętych; następnie pochowanych w *Katakumbach* na cmentarzu Powązkowskim. I zamykam tę księgę wspomnień zmarłych z końcem roku 1855. (1).

na Izami pozostałych przyjaciół, żalonych małżonków, płaczących wdów, nieszczęśliwych sierot! Na ziemię, w której spoczywają kości przodków twoich, drogi skarb, którego w obecnej ziemi nie znajdziesz!

„Cóż to za mogiły przed oczyma twymi, z których jakiś tajemny głos zdaje się przemawiać do serca twego. „Co nam, to i tobie, na ciebie czekamy.“ Ach! te smutne mogiły są spoczynkiem ubogiego ludu. Ale tam się błyszczą złoty napis na pysznym głazie, pewnie jakiś wielki pan, obrał to miejsce na spoczynek zwłokom swoim. Zbliź się i zobacz. — Przez Boga! to żebrak, który z tamtej strony grobu do ciebie ręce wyciąga, i prosi o westchnienie do Boga! Tylko nie człowiek mógłby mu tej jałmużny odmówić.

„Idź dalej, a przekonasz się, że tu wszyscy żebracy, ten cię prosi o *Zdrowaś Maryja*, tamten o *wieczny odpoczynek*, ten o pobożne *westchnienie*! Słowem wszyscy przechodniów, już nie o doczesną, ale o duchowną jałmużnę proszą, i nie ma żadnej między niemi różnicy!

„Na tej ziemi różnią się ludzie podobnie jak rzeki, tu mały strumień który każdy przestąpi, z wdzięcznym szmerem przerzyna kwieciami ubarwione łąki i żyzne pola, tam wielka rzeka, dźwiga na grzbiecie swoim ciężary i sroży się swymi bystreml murty: lecz gdy w morze wpadną, niknie wszelka różnica, i strumień z rzeką jedną składają wodę!“

„Próżność nad próżnościami i wszystko próżność! Jakoś nagi przyszedł na ten świat, tak też powrócisz, i nic z swęj pracy nie weźmiesz, same tylko uczynki twoje, będą ci towarzyszyć aż na sąd Boży, który ci odda według tego coś czynił, złe lub dobre!

„Obejdz z uszanowaniem i zastanowieniem to święte miejsce, a powrócisz do domu z dobrą nauką. Amen!“

(1) Z powodu obfitości materyjałów: opisy cmentarzy katolickich: Ś-to Krzyskiego, Ujazdowskiego i na Prądze; oraz cmentarzy innych wyznań: stanowić będą zupełnie oddzielne dzieło.

DODATKI I PRZYPISY DO TOMU I.

POWAŻKI I TREMBECKI.

(Przypis do str. 8 Tomu I).

Trembecki opisywał Powązki w téj chwili właśnie, kiedy jako willa pańska w przepychu jaśniały, i ściągały do siebie wędrowców nawet. Równocześnie i cmentarz założono, lubo zupełnie na uboczu i zdaleka od owéj willi. I willa i cmentarz, na nieplennych piaskach mazowieckich osiadły;—ale pierwszą użyźniła wola magnacka i przerobiła w płodną ziemię;— drugi, przez ciąg długiego czasu, był smutnym obszarem wydmy piaszczystej obwiedzionéj murem i sterczącymi katakumbami. Z Trembeckiego poematów opisowych, Powązki najpierwszym są utworem: pisał je będąc jeszcze szambelanem na dworze Stanisława Augusta, i uczestnikiem uczonych *czwartkowych objadów*. W poszukiwaniach materyjałów do życiorysów na Powązkach spoczywających, szczęśliwym trafem napotkałem listy Trembeckiego dotąd wcale nieznané;— dla uzupełnienia więc życiorysu tego poety, który dawniej ogłosiłem, podaję tu jako ciekawe pomniki, a rzucające nowe światło na tę postać znakomitą (1). Z rękopismu 1770 roku, widzę, że Trembecki miał jakiś udział w konfederacyi Barskiej — jeździł do Bielska w tym roku — był nawet w Preszowie, gdzie się widział z księciem Radziwiłłem „panie kochanku“. Rodzice jego pod tę porę żyli. Był posiadaczem wsiów: Jastrzębniki i Zielonki, gdzie one leżały z pewnością nie wiem, zdaje się z dalszego rzeczy ciągu, że w Proszowskiej ziemi, a dawném województwie Krakowskiém. O to na dowód posiadania pierwszej wsi, notata własnoręczna Trembeckiego:

„Dnia 11 Lipca 1774 roku. Oddałem w ręce J. Jej M. panny Dębowskiej kasztelanki Czechowskiej weksel na sumę 12,000 złp., do JW. Ossolińskiego Starosty Drohickiego mnie dany, a również sumę złp. 12,000 pieniędzmi gotowemi z rąk téjże W. Jm. panny kasztelanki odebrałem. Jeżeli zaś o wieś Jastrzębniki kontrakt między mną a JW. kasztelanem Czechowskim prędzej zajdzie, niż czas wypłacenia namienionego wekslu nadejdzie, tedy te 12,000 złp., które *in auro justis ponderis* odebrałem, *in pretium* dóbr potrącone będą, a weksel ma mi być oddany. Dan w Saucygniowie, dnia i roku jak wyżej.

Trembecki.“

Że nasz poeta miał zatargi i processa z powodu majątku po ojcu otrzymanego, własnoręczna jego „*Resolucya na pytania JW. Jm. Pana Kasztelana Czechowskiego*“ okazuje. Mieszczę ją tu w całość:

1. Już więcej razy płacić Jm. Panu Stradomskiemu jednéjże sumki dwakroć zapłaconéj, ani mogę, ani sprawiedliwość dopuszcza, i umyśliłem wydać onemu pozwy o skasowanie sentencyi podstępnie otrzymanéj, jako téż i *officio Neocorcinensi pro gravamine*. Do poparcia téj sprawy w Trybunale, potrzebny mi będzie między innymi dokumentami, dekret między nim i Jej M. panią Wysokińską, o którego wyjęcie piszę: będzie mi potrzebny i kontrakt zastawny Jastrzębnik, o którego komunikacye dopraszam się. Co się zaś tycze zaświadczenia Jej M. pani Wysokińskiej *de perseluto*; *naprzód* moje interessa od jéj ze wszystkiém są oddzielone; *powtóre*, ona jako się to już pokazało *in perniciem mei* kroki czyniąc, kwit na sumę sześć tysięcy, z pomiędzy papierów po ś. p. ojcu moim pozostałych, *condictitit* JPanu Stradomskiemu wydała. Prawnicy mnie upewniają, że dekret inny

(1) Czytelnik raczy dopełnić tym co tu podajemy, biografią Trembeckiego którąśmy ogłosili w *Życiorysach znakomych ludzi*. Tom I. str. 137.

nie może nastąpić, tylko albo na dowody z mojej strony że JPan Stradomski był zaspokojony (i na to między świadkami liczyć mogę samego Jm. Pana Ostrogórskiego), albo odwiedzenie się JPana Stradomskiego i przysięga że nic nie wziął. Nie godzi mi się spodziewać aby miał tak rozwiozłe sumienie, i przeciwko rzeczy jawnej i wielu osobom wiadomej, miał pójść do krzyżyka. Zatem upraszam JW. Kasztelana Czechowskiego, aby tak niesłusznie pretendowanej sumki, żadną miarą nie opłacał, aż do finalnego rozsądzenia się. 2. Przeciwno illegalnej possessyi zastawnej JPana Ostrogórskiego, są kilkakrotne moje manifesta; ale pretendowanych sześć tysięcy *propter bonum pacis* gotów jestem zapłacić, lubo znaczną część krestencyi drugiego roku zastawszy, zabrał JPan Ostrogórski. Na zaspokojenie zaś tego interessu, destinowałem sumę, którą aż do rozsądzenia się z JPanem Stradomskim przy dobrach zostawiłem. 3. Kwity z głównego jak prędko odbiorę, tego momentu odesłać nie zapomnę. 4. Po krótkim jeszcze raz naradzeniu się *de indebitissima vexa*, process JPanu Stradomskiemu, intentować poczynam. 5. Summa JPanu Karwickiemu należąca się odemnie za cug koni, nie jest na dobrach zapisana, ale na karcie ręcznej gołej, i zaspokojenie tego interessu, do mnie samego ściągać się powinno. 6. Inwentarz *Jastrzebnik* jeżeli mi jest z papierami oddany od Jej M. pani Wysokińskiej, nie jestem pewien; gdyż z sobą nie mam summaryjusza: już poń pisałem. Jeżeli się wynajdzie, odesłać go nie zamiebardam; a jeżeliby go *quo casu* nie było, tedy z gruntowych ludzi, można mieć świadectwo, co się tam znajdowało. Wszak to nie jest rzecz tak zbytecznie zadawniona. 7. Dekret Sądu Nowomiejskiego z Jm. Panem Stradomskim, ponieważ jest potrzebny, odsyłam. Przepozwanie nawet moje, kiedy tego interes koniecznie wyciąga, przestanie mi być nie mile. Ale przestrzegam, że doniesienie mi że będę tu w Warszawie pozwany, nie jest wedle reguł. Gdyż ja tu *forum* do odpowiadania nie mam, i lubo teraz w mojej aktualnej possessyi ziemi nie dzierżę; to mi kłaść pozwy na sumkach moich, z których jedna dawno przysądzona na Działoszykach u JW. Ożarowskiego pisarza koronnego, i *in vim* zapłacenia której, dał mi już 3,000 złp, a druga także processem dawno *evinkowana* na *Więckowicach* w Powiecie Proszowskim, u Sukcessorów Grota Łowczego Sandomirskiego. Mam jeszcze i dziedzictwo w Krakowskim, lubo go aktualnie nie posiadam. O czem gród krakowski dać może należyta informacją. Zdaje mi się oraz, że bez *exacerbacyi* daleko byłoby nam wygodniej w interessach wspólnych znosić się wzajem i bronić od niesłusznej pobocznych natarczywości. P. S. Jeszcze raz czytałem dekret Nowomiejski, i zadziwia mię to bardzo, jaka tam była obrona adwokata, kiedy za kardynalną przyczynę jest położono *in haerendo contractui resignatorio* inter Trembecki et JM. Dembowski; jak gdyby nasz kontrakt to zapłacenie niby sprawiedliwe opiewał w sobie. Gdyż summa, jeżeli była przy dobrach zostawiona, to tylko *propter securitatem* kupującego dziedzictwo“ (1).

Ciągnęły się widać te niepokoje Trembeckiego i w późniejsze lata, bo mam list jego pisany własnoręcznie na początku roku 1783, zdaje się że do pani kasztelanowej Czechowskiej.

„Dnia 4 de Fevrier 83.

Jaśnie Wielmożna Mcia Dobrodziejko!

„List JW. Pani Dobr. pod datą 18 Stycznia do mnie pisany, dopiero dnia dzisiejszego oddano mi, a zatem opóźnienie responsu, nie z mej pochodzi winy. Papierów należących do mojej dawniej fortunki, żadnych prawie nie mam. Te zostały się w *Zielonkach* zamknięte w skrzyni, z kondycją, że na każdą rekwizycją moją, powinny mi być oddane. Co się tycze interessu z księciem biskupem Wileńskim, temu ja przekazałem przy sprzedaży *Zielonek*, tyle zapewne summy, ile mu się należało; i na większą żadne pretensye. dokumentów przeciw mnie mieć. ani pokazać nie może. Pisał do mnie Jm. Pan Boniecki (2), abym mu dał plenipotencye odebrania z *Zielonek* sumki, która jeszcze dla mnie przyjsć może. Ale tej plenipotencyi nie posłałem. Jest tam także na *Zielonkach* zostawiona sumka moja, na której tylko dożywocie ma p. Karwicka zakonnica w Busku. Ta, czyli żyje albo nie, nie jest mi wiadomo. Mam honor być z dystyngwowanem uczczeniem JW. W. M. Pani Dobrodziejki najniższym sługą.

Trembecki. (3)

Po wyjeździe z Warszawy króla Stanisława Augusta, Trembecki już w sędziwej starości przeniósł się do Tulczyna na dwór Szczęsnego Potockiego. Że był już na majątku, jak sam wyraża, *zrujnowany*, w czasach jeszcze gdy król na tronie zasiadał, to wierzyć musimy z powyżej przywiedzionych listów, bo się wysprzedał

(1) Obca ręka na tych notatkach w końcu dodała: „Rezolucyi JP. Trembeckiego, które na piśmie się kończą, a w skutku nie mam ani pozwów, ani manifestów, zgola tylko słowa. NB. Ma sumkę na Działoszykach tenże p. Trembecki, przyznaje p. pisarz Ożarowski, ale i na tę są miejsca i dlugi.“ M. „Daty żadnej nie ma, ale niewątpliwie pisana ta rezolucya między 1774 a 1779 r. jak wnoszę z innych papierów.

(2) „Ten sam jest oraz plenipotentem hrabiego Tarnowskiego.“ (Przypis Trembeckiego w liście).

(3) Na odwrotnej stronie listu napis obcą ręką: „Trembecki Szambelan z Warszawy, 4. Februa: 83.“

List ten, jak i powyż cytowaną *rezolucyą*, mam między mojemi autografami.



Rys z natury A. Matuszkiewicz.

Odrobno w Lit. Ring w Warszawie, Ul. Rymarska, 744

Lit. W. Walkiewicz.

POMNIK ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.



MD.626

z własności ziemskich jakie posiadał. Król ulubionemu szambelanowi, naznaczył tysiąc dukatów, ale wyjechał i umarł, nic nie dawszy. Po śmierci tego monarchy, Trembecki zgłosił się do jego synowca księcia Józefa Poniatowskiego po odbiór tej summy. Książę mu odpisał: „*że wie że dla króla robił wiersze*“! Do żywego tknięty tym stary Trembecki, w odpisie księciu, między innymi, na ten obelżywy ustęp, tak odpisał:

„Były niegdyś wieki tak grube, tak ciemne, w których rozumiano iż człowiek umiejący pisać albo czytać, niewieściuch jest, i do niczego więcej zdać się nie może. W naszych czasach, insze jest zdanie; i gdyby świadectwo za sobą samym nie było podejrzone, powiedziałbym: iż ani miałem ani więcej, ale właśnie tyle znam się z ruszniczym prochem, ile z piaskiem do posypywania (1).

Książę Józef miał słusność powiedzieć, że wie, iż dla króla Trembecki *robił* wiersze; bo rzeczywiście już to na żądanie wyłączone Stanisława Augusta, już dla zjednania przychylniej opinii, nie mało napisał i *robił* wierszy. Ale szlachetne oburzenie starca, jest pięknym rysem jego charakteru. Wiadomo jak wysoko Naruszewicz cenił zdolności Trembeckiego nie tylko jako poety, ale jako i historyka, gdy pragnął pióro swoje złożyć w jego ręce, aby dalej prowadził historią narodu polskiego (2). To było zapewne powodem owej bajki o rękopismach dziejowych, zostawionych w Tulczynie Potockiemu. Wiem od przybocznego kamerdynera jego z kilkunastu lat ostatnich, co mu towarzyszył i w Warszawie i w Tulczynie, że mało po wyjeździe króla z Warszawy co pisał; nad *Zofjówką* przeszło lat dwa pracował. Kamerdyner ten nazywał się Krajewski, był to szlachcic zagrodowy, rodem z pod Zambrowa. O nim znajdzie czytelnik w moich *pamiętnikach Nekandy*.

ANTONI MALCZESKI.

(Przypis do str. 41).

Po wydaniu pierwszego zeszytu niniejszego dzieła, znaleźli się gorliwi wielbiciele zmarłego poety, którzy postanowili wystawić mu na cmentarzu pomnik grobowy: śmierć przypadkowa siostry przyrodniej Malczeskiego, Karoliny z Malczeskich Kulman, przyspieszyła urzeczywistnienie tego zamiaru. Pani Kulman, w chwili, gdy brała zeszyt Biblioteki Warszawskiej do ręki, w chęci przeczytania umieszczonego przez nas życiorysu swego brata, nastąpiła na zapalną, od której suknia zajęła się płomieniem. W skutek oparzelizny mocnej — skończyła prędko cierpienia swoje. Spoczywa na cmentarzu Powązkowskim, w końcu dzisiejszych katakumb, pod pomnikiem, którego rysunek podamy. Na jednej opartej tarczy od strony katakumb czytamy napis: „*Autorkowi Maryi: położył H. Skimborowicz redaktor piśmiennictwa krajowego.*“ Na drugiej: „*Karolinie z Malczeskich Kulman zmarłej w Warszawie w dniu 3 Marca 1854 r. Pokój jej duszy.*“ Jak się w tym pomniku zespoliło imię wielkiego poety, z Redaktorem dawnego już pisma, musimy objaśnić. P. H. Skimborowicz wiedząc że Malczeski nie ma pomnika, kazał kamień z napisem powyższym przygotować, ale różne przeszkody, nie dozwoliły mu do położenia go na cmentarzu Powązkowskim. Obecnie po usunięciu tych zawad, po nagłej śmierci siostry poety, na miejscu spoczynku jej zwłok, i dawny zachowano napis. Nie tu wszakże spoczęły prochy naszego wieszczą, ale jakieśmy już wspomnieli, w tym małym obrębie ziemi, jaki zajmuje kilka sążni na starym najpierwszym cmentarzu Powązkowskim, pomiędzy początkiem pierwsiastkowych katakumb, a pomnikiem i grobowcem Szymanowskich Korwinów, co tę ziemię darowali miastu Warszawie na cmentarz.

Do pamiętek rzadkich po naszym poecie, policzyć trzeba i klepsydrę czyli kartkę pogrzebową, zapraszającą na pogrzeb jego 1826 roku. Kartka ta ćwiartkowa, ma obwódki i ozdoby odbite w kliszu, u wierzchu stoi urna popielnica, po bokach symbola wiary, nadziei i mądrości: bo krzyż, kotwica i pochodnia: pod spodem zaś leży trupia głowa, na skrzyżowanych, gałęzi palmowej i pałaszu. W środku karty jest następujący napis:

(1) List ten cały umieściłem z autografu w *Pamiętnikach Nekandy*.

(2) Zobacz w naszym *Archiwum domowym*, list A. Naruszewicza do Trembeckiego.

„Zaprasza się przyjaciół i znajomych ś. p. Antoniego Malczeskiego, w dniu 2 b. m. i r. zmarłego, na exportacyą ciała z domu przy ulicy Elektochalnej pod Nr. 796 na cmentarz Powązkowski w dniu 4 Maja, o godzinie wpół do 3 ej z południa odbyć się mającą. Requiescat in pace.“

Franciszek Kowalski znany tłumacz komedyi Moljera, tak nam opisuje poznanie swoje z Malczeskim.

„Pojechalismy do domu pani Modzelewskiej, która nas zaprosiła na śniadanie i objad: i zastalismy u niej gościa młodego i pięknego, mniej trzydziestu lat męczyznę. Był on średniego lub nieco wyższego wzrostu nad średni, proporcjonalnej tuszy, pięknej i ujmującej twarzy. Włos pół-ciemny pół jasny, pływł w bujnych zwojach, po jego białem, wysokim czole; oczy ciemno-szafrowe zadumanem i przemawiającem spoglądały wejrzeniem: usta koralowe, lekkim, ciemnym uwieńczone wąsikiem, dzwoniły srebrnym z duszy do duszy płynącym glosem: całe oblicze i oba policzki białe, świeżym okraszone rumieńcem. nadawały mu pół męzki, pół żeński estetyczny powab. Zastalismy go, jak opowiadał pani domu wrażenia, których doznawał w swojej po Niemczech i Włoszech podróży, a mianowicie na szczycie góry Mont-Blanc. Z tego opowiadania zgadłem natychmiast, że to był Antoni Malczeski, którego śliczny artykuł o wstąpieniu na tę górę czytałem, nie pamiętam już w jakim piśmie perjodycznem. Przypominam sobie, żeśmy się my Krzemieńczanie, wszyscy na niego gniewali, że granitu uniesionego z jej wierzchołka, nie złożył w gabinecie naszego Lyceum, jako dawniejszy jego wychowaniec, ale darował do gabinetu w Gettyndze.

Nie omyliłem się w moich przeczeniach: był to ten sam Antoni Malczeski, któregośmy u jego ciotki zastali, ten sam jenjalny poeta, którego sławna *Maryja*, znana mi wtedy w rękopiśmie częściami, nie była jeszcze drukowana. Byłem zachwycouy bliższem jego osoby poznaniem. Po objedzie wyszliśmy do ogrodu, tam różnorodne tocząc rozmowy, wpadliśmy wreszcie na literaturę, poezyą i sztuki piękne. Skromnie i bezstronnie odzywał się on o różnych współczesnych płodach rozumu i imaginaeyi.

„Dobrze jest, rzekł mi prawie temi słowy, że się pan wzięł do przepolszczenia Moljera, gdyż on w samej rzeczy jest ojcem nowej komedyi, i niewyczerpanem źródłem dowcipu: ale byłoby daleko lepiej, gdybyście wy, młodzi poeci, nie szli za francuzami, nie trzymali się ich niewolniczo, nie myśleli ich myślami, nie patrzyli ich oczyma, i nie przeszczepiali obcych nam obyczajów na naszą ziemię: ale gdybyście z własnych kopalni dobywali własne, niewyczerpane bogactwa, których nie znacie, albo znać nie umiecie i nie chcecie. Dotąd się jeszcze ciągnie u nas mdła, malpiarska Stanisławowska literatura, same tłumaczenia i naśladowania: a czyż nie czas, abyśmy o własnych siłach sami już chodzić mogli? Patrz pan na Aleksandra Fredra, nie tłumaczy on Moljera, ale pisze jak Moljer, i oryginalnemi narodowemi komedyjami, zyskał sobie nazwisko i sławę Moljera polskiego.“

Polykałem wszystkie słowa wielkiego poety, z mocnem postanowieniem korzystania z nich, o ile mi zdolności moje pozwolą. Kilka razy widziałem się z nim później w Krzemieńcu, dokąd często przyjeżdżał do pani R*, która umiała serce jego silną ku sobie zapalić miłością“. (Gazeta Warszawska Nr. 304 z r. 1854).

Było to w r. 1822. Mamy właśnie przed oczyma trzy listy własnoręczne Malczeskiego, pisane w roku tym i następnym. Przywiode je tu w całości na dopełnienie naszego życiorysu. W ścisłych stosunkach przyjaźni zostając z młodym Franciszkiem Skibickim, pisze do jego matki (1) z Łaskowa 12 Sierpnia 1822 r.

„Bardzo wdzięczny jestem szanownej pani dobrodziejce, za jej laskawą pamięć, i za *Panią Jeziora* (2) którą raczysz mi pani przysyłać: już to ja bardzo dawno pragnę, i cierpię że nie mogę złożyć jej mego uszanowania w *Werbie*, przyjm więc pani choć listownie moje podziękowania, za jej tak uprzejme wyrazy. Frannś rozdrażnił mnie swoją miłą i tak długo pożądaną bytnością, i już prawie gniewałem się na niego, że przez cały ten czas, i na chwilę nie przybiegł do Łaskowa, kiedy dowiaduję się z listu szanownej pani dobrodziejki, że dotąd jest na Podolu. Niech go pani odemnie uściska za jego powrotem i niech dobrze wypocząwszy i nacieszywszy się z swoją najdroższą mamą, i do nas na jaką chwile przyjedzie. Państwo Rucińscy dziękują bardzo pani dobr, za jej przyjazne wyrazy i swoje przesyłają uszanowanie: sama zawsze w jednakowym stanie zdrowia. Racz pani dobrodziejka przyjąć i moje najgłębsze uszanowanie, i uczucia prawdziwej przyjaźni, z któremi mam honor zostawać J.W. Pani Dobrodziejki najniższy sługa, Malczeski.

W następnym roku, powziąwszy zamiar przeniesienia się na czas dłuższy do królestwa Polskiego, pragnął odebrać część ostatnią swojej schedy, i w tym celu pisze z Huidawy 23 Marca 1823 r. do Fr. Skibickiego.

(1) Juljannę Skibickiej: pochowanej także na cmentarzu Powązkowski, patrz str. 77.

(2) Wspomina tu Malczeski o przekładzie poematu Walter-Skotta, który świeżo wtenczas wyszedł, w wybornym tłumaczeniu Karola z Kalinówki, (Sienkiewicza).

(3) Z autografów tych, pokazuje się że trzeba pisać *Malczeski*, nie *Malczewski*.

„Proszę cię kochany Franusiu, donieś mi co ci odpowiedział Aleksander, ⁽¹⁾ bo dotychczas żadnej od niego, ani o nim nie mam wiadomości. Kiedy ja znajduję się w tak trudnym położeniu, i w tak nagłej potrzebie, godziłoby się może, żeby go mój interes żywiej obchodził, témbardziej, że u niego od dawna uwiązł szczupły mój majątek, a ja z mojej strony we wszystkich zdarzeniach, pomoc mu przyjacielską dawalem. Żałuję bardzo drogi Franusiu, że ci na Łuck nie wypadło jechać, byłbym się z tobą widział i nagadał. Przednia to dla serca pociecha, osobiwie w trudnych chwilach życia, rozmowa szczerza z dobrym i dawnym przyjacielem: pisać byłoby długo: położenie moje ze wszech miar przykre, a przez brak sposobów działania, to jest pieniędzy, staje się jeszcze przykrzejszym: żebym przynajmniej mógł się oddalić, to bym był ich gdzieś już wyszperał, ale na listy trudno bardzo robić interesa w naszym kraju. Zrobiłbyś mi prawdziwy dowód przyjaźni, wsparłbyś mnie w trudnym nader razie, gdybyś mi pożyczyl 300 dukatów. Donieś mi kochany Franu, o sobie, o twojej szanownej mamie, niech się pocieszam przynajmniej dobremi o was wiadomościami. Napisz także nazwisko miejsca, w którym mieszka Aleksander, może mi wypadnie posłać do niego, i jak na pocztę listy do niego adresować, donieś. Przeprós drogą swoją mamę, że pod jej kopertą pisać do ciebie ośmieliłem się, nie umieściwszy osobnego do niej listu, ale wiesz dobrze, jak prawie zawsze nie jestem panem mego czasu, tak i wtedy było, a poczta tymczasem odjeżdżała. Oświadczyć mamie moje pełne uszanowanie i przyjaźni ukłony, życzyć jej z całej duszy, i zdrowia najlepszego, i wszelkich pociech, a sobie żebym jak najczęściej miał szczęście ją widywać, i ciebie drogi Franusiu. Bawię teraz u mojej kuzyny pani starościny Lipskiej, pełnej uprzejmości i dobroci osoby, pisuj więc do Łucka, a gdybyś kiedy jechał to wstąp do Hnidawy, o dwie wersty od miasta. Adieu kochany Franusiu, jak ja pragnę żebym się już mógł nacieszyć z tobą, i tak jak to bywało dawniej przednio nabawardować.

Your truly affectionat Malczeski.

W cztery niespełna miesiące, powziął stanowczy zamiar, wraz z panią Rucińską wyjechać do Polski. Z *Niemirowa* tak pisze, do tegoż swego przyjaciela 15 Lipca 1823 r.

„Kochany Franusiu! Donoszę ci mój drogi Franusiu, co się z nami dzieje: zatrzymaliśmy się w Niemirowie, i stąd wysłałem posłańca do Modzelewskiego z listem pani R(ucińskiej,) i moim, którego ci nie posyłam, bo długo byłoby przepisywać, i nawet go nie mam w całości, ale w którym opisywałem sposób jakim pani R. przyjechała: wystawiłem całą przykrość i trudność położenia naszego, i o opiekę familii prosiłem. Po dwóch dniach oczekiwania odebrałem list Modzelewskiego który ci przylącam, i odpowiedź moją na niego. Z odpowiedzi naszej dowiesz się jakie moje zamiary na przyszłość, i w rzeczy samej, nic innego robić nie zostaje, chyba panią R. zatrzymać przy sobie, i narazić się na niesławę i prześladowanie od konsystorza a mógł żeby tak postąpić człowiek, mający jakiegokolwiek szlachetne uczucia? Ruciński po waszym wyjeździe przysłał list do Modzelewskiego, i pisał do żony, że chce sam i pragnie najmocniej rozvodu ⁽²⁾, o tém do familii pisze, i radził abyśmy prosto zajechali do *Hluboczka*, który Modzelewski trzyma posesyją od Jaroszyńskiego. Mój kochany Franusiu, teraz ja ciebie proszę bardzo, żebyś mi w tém tak przykrém położeniu pomógł, żebym mógł przynajmniej za czem do Polski zjechać, i cywilny rozwód zrobić. Wiem ja iżbyś to z najszcześliwszém zrobił sercem, gdybyś tylko był w możności, bo znam ja nadto dobrze, równie jak i przyjaźń twoją dla mnie, która nas od tak dawna łączy: ale jeżeli sam nie jesteś przy pieniądzach, to może byś ich gdzie mógł dostać. Zmiłuj się dółóż jak największego starania, możeby p. generał Kropiński ⁽³⁾ był tak łaskaw pożyczyć mi tych pieniędzy, w tak trudnym jak jestem położeniu, byłby to dobry uczynek, a ja bym je na kontrakty oddał, bo pewny jestem iż Aleksander dowiedziawszy się o tak smutnym położeniu mojem, odda mi tych kontraktów sumę, którą mam u niego. Posyłam także na ręce twoje list do niego, będziesz się zapewnie za ich powrotem z Karlsbadu widział z nimi, to proszę cię opowiedz mu, jaki to smutny los mój i położenie. Ja wyjadę do Polski, i muszę już tam zamieszkać, a może i na zawsze: cożby się tam ze mną stało, bez żadnego resursu, cożbym robił, żeby mnie jak najprędzej nie oddał. O! prosz go na wszystko, niech mi jak najprędzej tę sumę zapłaci, a choć przynajmniej niezawodnie na kontrakty. Teraz mój drogi Franusiu, żebyś mi mógł choć trzysta dukatów dostać, a gdyby można i więcej. to by było jeszcze lepiej, im dłużej się to spóźniać będzie, tém coraz więcej będę ronić z mego tak szczupłego majątku, i wreszcie długo tu żadną miarą w kraju zostać nie można, i dla przykrości jakiego prześladowania, i fundusze moje, wystarczyłyby na to nie mogły.

(1) Aleksander Błędowski—w późniejszych czasach generał b. w. p.

(2) Wiadomo że ścisłejsze stosunki naszego wieszczka z panią Rucińską zaczęły się od magnetyzmu. Malczeski nie tylko w domu jej ciągle przesiadywał, ale gdziekolwiek w odwiedzin wyjeżdżała, musiał jej towarzyszyć: mąż wtedy siedział na koźle, z przyborami na przypadek ataku nerwowego żony. Pani R. w obcym domu będąc, trzymała się ręki Malczeskiego ciągle. Ten szczegół mamy od p. Henryka Cieszkowskiego znanego literata, który był nie raz świadkiem odwiedzin takich państwa R. i Malczeskiego.

(3) Autor *Ludgardy*.

Odebrawszy od Aleksandra, zwrócisz pożyczoną summę, a resztę mi podług późniejszych naszych układów przesłesz. Jak mi to przykro, że ja ciebie trudnić muszę tak nieprzyjemnym zajęciem się, ale cóż robić, kiedy sam widzisz, jakie to moje położenie, a w sercu swoim znajdziesz nagrodę, żeś tak ważną zrobił usługę, tak dobremu przyjacielowi. Mamy twojej nóżki całuję, dziękuje jej najmocniej za jej łaskę w Bludowie, i czuć uniem całą wartość i jej umysłu i serca. Farewele my duar friend: Malczeski. Będę do ciebie mój drogi Franusiu wkrótce pisał, i do mnie gdzie masz listy twoje adresować. Proszę cię także podaj zaraz odemnie prośbę do Marszałka o paszport do Polski dla interesów familijnych, jeśli trza wyrazić do jakiego miejsca, to napisz do Lublina i paszport jeśli można przynajmniej na rok" (1).

W imionniku szambelana i członka R. Senatu Skibickiego łaskawie nam udzielonym, oprócz wielu wierszy francuzkich ręką autora Maryi skreślonych, znaleźliśmy oryginalny jego utwór własnoręcznie wpisany. Podajemy go tu w ustępach, jako pamiątkę dotąd nieznaną. Utwór ten pisany był na lat kilka przed Maryją.

Oda do wojny.

Cóż to mym przeleknionym obejmuję wzrokiem?
 Jakiż potwór zuchwałym przybliży się krokiem?
 Jakiż to smutny orszak przedemną się snuje?
 Zdrętwiałe moje członki zimna dreszcz przejuje.
 Pocóż zsiniałe widma chcecie i mnie dręczyć?
 Przestańcie niezbлагane całą ziemię męczyć!
 Przestańcie!... lecz co mówię... o nadto okrutne!
 Nigdy was nie nasycają te ofiary smutne!
 Zbliżają się.. drzę cały... ach gdzież się ukryję?
 Przestraszone, ucieka to wszystko, co żyje!
 U stóp jego niewinność skępowana leży
 Z rozczochranemi włosy, w skrwawionej odzieży;
 Wznosząc swe słabe ręce, przebaczenia woła:
 Lecz próżno, nikt jej z więzów uwolnić nie zdoła!
 W kajdany okowana, zdala idzie enota,
 Przemoc łamie przeszkody, za nią chciwość złota.
 Towarzyszą mu hurmem występki i wady
 I okropne po sobie zostawiają ślady:
 To Belona! poznaję, wyschła i wybladła,
 Okropniejsza niż wszystkie straszliwe widziadła,
 Wzrok ponury obwisła okrywa powieka,
 Wszystko przed nią, i zbrodnia i cnota ucieka!
 O smutna wojno, matko nieszczęść i zgrzyoty!
 Kogóż twoje straszliwe nie dosięgną groty?
 Gdzie tylko rozsypujesz trujące swe jady
 Śmierć za tobą i smutek postępuje błady
 Gorsze od samej śmierci, o nieszczęść narzędzie!
 Cóż cię wstrzymać potrafi w burzliwym zapędzie?
 Na okolo pochwalne okrzyki się wznoszą,
 I gdy wszyscy ofiary do jej tronu znoszą,
 Srogi towarzysz wojny, fanatyzm szalony,
 U jej podnóża składa pozwalane trony,
 Przybywa przed tę panią, która mieczem włada;
 Ugina swe kolano, i na twarz upada.
 „O pani! — rzecze — której wielkość sława głosi,
 „Ta, co się lekkiem skrzydłem w powietrzu unosi,
 „Do nieśmiertelnej chwały zawód się otwiera,
 „Jest ziemi, od której nikt dani nie odbiera,

„Tego hołdu, tej jeszcze potrzeba ci sławy,
 „Niech okrąg ziemski żyje pod twojemi prawy.“
 — „Czuję — rzecze Belona — że twa wielka dusza,
 „Nie zgjęta przeciwnością, lecz męstwo ją wzrusza,
 „Czuję że sława jeszcze nad wszystko ci droga,
 „I kogóż ja nie zniszczę, ja Belona sroga?
 „Gotowa miecz utopić w pierś własnego brata,
 „Tron mój wzniosę na gruzach zniszczonego świata!
 Więc potwór nowe kraje wskazuje Belonie,
 Gdzie niewinność i cnota siedziały na tronie.
 I gdzie wiara z prostoty sere prawych wypływa;
 Wojna przebyła morza. — Już się krew rozlewa,
 Napęlniają powietrze najdotkliwsze jęki
 Słyszę chrzęst srogięj broni, słyszę kajdan brzęki,
 Przewodniczy bezbożność i postrach wybladły.
 Splonęły możne miasta, świątynie upadły,
 Zewsząd ucieka pokój, a rozpacz przychodzi.
 Znikła już i nadzieja co nieszczęścia słodzi.
 Potwora nadto mściwiwa zajadła i wściekła,
 Straszne ze spiżu paszcze, za sobą przywlekła.
 Wszystko okropną szatę zniszczenia przybiera,
 Już się błyszczy żelazo, tarcz się z tarczą ściera,
 Szczęką pałasz, grzmia działą, latają pioruny,
 Wstrzęsła się ziemia, oba zadrżały bieguny.
 Wszędzie się teatr smutku i nieszczęść otwiera,
 Okrucieństwa jej wkrótce ofiarą się staje,
 Upada, i jęk tylko ponury wydaje!
 Tu wściekłością przejęta matka zapalczywa
 Pierś własnego dziecięcia sztyletem przeszywa
 „Uwalniam cię od męki tęp słodkiem żelazem,
 „W krótko już dusze nasze połączą się razem,
 „Znowu się kochać będziem“, — to rzekła, a blada
 Obok ciała dziecięcia na ziemię upada!
 I obumarłe oczy jeszcze raz otwiera!
 Zlepia usta z ustami. i wtedy... umiera...
 O zbyteczna rozpaczy! o czule widoki!
 Wszędzie już płyną smutne krwi ludzkiej potoki,
 Nic nie masz, wszystko znikło i wszystko zniszczone!

(1) Listy te zawdzięczamy uprzejmej uczynności tego przyjaciela naszego wieszczą, przed którym z całą otwartością opisywał smutne swoje położenie, a którego autor Maryi nie polepszył aż do grobu.

Kurzą się tylko wioski nie dawno spalone,
Ale gęste wyziewy unoszą się w górze,
A dzień ciemności nocy, wydarły naturze.
Już łyski przedzierają i czarność obłoku,

Turkot grzmotów pomnaża okropność widoku
Już i sercem Belony drżąca bojaźń władza,
Wszystko słabe przed Twórcą w pokorze upada.

JAN MAJORKIEWICZ.

(Przypis do str. 47).

„Majorkiewicz, chodził do gimnazjum w Płocku: pokazywano nam domek, gdzie stał na stancyi: znajduje się on w ulicy zwanój Dominikańskiej. W tym samym domku mieszkała jakaś wdowa wówczas, mająca przy sobie staruszkę matkę. Majorkiewicz był zawsze nadzwyczaj łagodny, uprzejmy i pobożny: staruszka pokochała go serdecznie, a od czasu jak jój napisał przesłiczną modlitwę do Matki Boskiej, byłaby się dała ubić za niego. Raz za jakąś psotę koleżki, Majorkiewicz miał odpokutować. Nie chciał wydać sprawcy i na niego spadł cały ciężar winy; zapowiedziano mu bowiem najnieprzyjemniejszą niespodziankę, bo dwudziesto-czterogodzinną kozę. Zaledwie wykonano polecenie, gdy meldują dyrektorowi, że jakaś szesćdziesięcioletnia staruszka chce się z nim widzieć.— Co mi pani powiesz? zapytał dyrektor, podając jój stołek.— Przyszłam panu dyrektorowi powiedzieć, że nie znasz swoich uczni: odrzekła, wydobywając z książki modlitwę. Taki młodzieniec, co umie taką modlitwę napisać, to nie powinien siedzieć w kozie za figle któregoś pustaka. Ja tu przyszłam na egzekucyją do pana dyrektora, i nie ustąpię aż Majorkiewicza każesz wypuścić.—Dyrektor się uśmiechnął i zadzwonił, chcąc wydać stosowny rozkaz; ale staruszka powstała i podając tu modlitwę rzekła: — Przeczytaj pan koniecznie panie dyrektorze tę modlitwę: to głowa nie lada co ją z siebie wysnuła, a i serce poczciwe, czułe i pobożne.—Dyrektor odczytał, zanotował coś sobie w książeczce, i w pięć minut Majorkiewicz był wolny. Był to pierwszy tryumf jego pism, tryumf modlitwy! a pierwszą która oceniła jego głowę i serce, była szesćdziesięcioletnia kobieta! Gdy później głośna sława autora modlitwy, dobiegała aż w ciche ustronie, staruszka nie posiadała się z radości powtarzając:— A co? nie mówiłam, że to wielki będzie człowiek; on zaczął od modlitwy, to i Bóg mu błogosławi.—Gdy w roku 1847 zawczesny zgon przeciął pasmo użytecznego życia, staruszka gorzkimi łzami oblała tę wiadomość, a słysząc że piękną mowę nad jego grobem miano, kazała ją kupić dla siebie, i własną ręką napisała na niej: „Dla pamięci o moim kochanym Jasiu.“ Właścicielka jój przed kilką laty, przeniosła się do innego życia. Będzie ona dla nas dowodem trafności, prawie wieszczego sądu“ (Gazeta Warsz: N. 24 z r. 1855).

JAN DROZDOWSKI.

(Przypis do str. 59).

Drozdowski żył w ścisłych stosunkach przyjaźni z Cypryanem Godebskim, i z listu tegoż (z daty 30 Października 1805 r.) dowiadujemy się że Drozdowski tłumaczył Goldsmitha: owoż co pisze Godebski.

Cieszymy się zwykłą rzeczą odmianą!
A gdy nam kiedy lży w oczach staną
Ty nas rozwesel! Na głos twój lutni
Mniej będziem smutni.

Gdy nam Goldsmitha świetną prostotę,
Pięknych jalmużnic przykładną enotę
Oddajesz trafnie: czujem wdzięk Trackiej
Lutni Sarmackiej.

Uczniów Talii szereg nie długi,
Tyś po Franciszku (1) jest u nas drugi;
Chwały z wdzięcznością w polskim teatrze,
Czas wam nie zatrze.

(1) Zabłockim, autorze wielu komedyj.

REGULSKI JÓZEF.

(Przypis do str. 60).

„Przez te kilkanaście dni które trwała kampanija 1798 r. i podczas bitew walnych pod *Legnago* i *Magnano*, nieodstępny towarzyszem nieodżałowanego Rymkiewicza był zawsze Józef Regulski adjutant major legii, który i z obowiązku służby, i przez cześć należną dla tak zasłużonego męża, starał się wszelkimi siłami, pozyskać jego zaufanie i być mu użytecznym. Kiedy cnotliwego Rymkiewicza koń raniony pod *Legnago* unosił w szeregi nieprzyjacielskie, Józef Regulski, z narażeniem własnego życia, nie zważając na rześisty ogień piechoty austryjackiej, rzucił się za nim pędem, schwytał za munsztuk konia, i dał czas Rymkiewiczowi do batalionu 1-go legii 2 ej powrócić. Za ten czyn Regulski był podany do nagrody, ale jój nie otrzymał. Pod *Magnano* w chwili kiedy właśnie Rymkiewicz dobywszy pałasza zachęcał do boju swych rodaków, ugodzony w pachwinę kulą karabinową upadł, i z przed frontu zaniesiony na rękach grenadyjerów do pobliskiego lazaretu polowego, za śmiertelnie ranionego, osądzonym został. Adjutant major Regulski w tymże czasie lekko ranny, pospieszył za swym kochanym naczelnikiem, i pomimo wszelkich trudności, uwiózł go do Medyolanu, gdzie cierpienia Rymkiewicza koniec wzięły, w dzień ewakuacyi przez francuzów Medyolanu.“

(Taką notatkę znaleźliśmy w papierach ś. p. Józefa Regulskiego. Spisaną była, w celu sprostowania błędów w jednem dziele o Legijonach polskich po francuzku wydanych).

SKOROCHÓD MAJEWSKI.

(Przypis do str. 84).

Daliśmy życiorys podług źródeł nam znanych *Walentego Skorochoða Majewskiego*: teraz wynalazszy nową jego autobiografiją własnoręczną, podamy ją tu w całości. Spisał ją ś. p. Majewski w roku 1807, na żądanie ówczasowego ministra sprawiedliwości Feliksa hrabiego Łubieńskiego, który chciał wiedzieć:

1) Jakie zastugi położył Majewski? 2) Aby konieczną potrzebę zachowania archiwum metryki koronnej, dowiódł. Podał albowiem poprzednio prośbę o utrzymanie go w urzędzie jako metrykanta koronnego, który za czasów pruskich piastował. Podajemy tę arcy-ważną pamiątkę po zmarłym Majewskim, w której rozwiniął krótki rys powstania i ważności archiwum metryki koronnej.

„Z rodziców, dziadów i naddziadów ubogich ale bez zakału, ciągle żołnierzy w czasie wojny, a rolników w pokoju, w północnej części Podlasia zrodzony, po ojcu którego w przedostatnich wojnach utracił, skłonność do dobrego i parę włók gruntu za całe dziedzictwo uzyskawszy, wiek mój dziecienny, bardziej sam sobie, jak interessowanym krewnym zostawiony, do lat czternastu w stanie natury przepędziłem. W roku piętnastym życia mego, bodziec ciekawości wyprowadził mię na świat większy i do szkół zapędził. Sprężystość sił umysłowych, długim spoczynkiem zwiększona, ułatwiła mi ówczasowy bieg nauk, tak dalece iż w tym zakresie innych celowałem. Gdybym miał być szczęście w tym czasie i w takim rodzić się kraju, gdzie same iskiereki talentów i zachętę i czynne wsparcie znajdują. dziełka moje oryginalne w szóstym roku biegu moich nauk napisane, pomimo swego dzieciństwa, mogłyby mi były do zakresu wyższych nauk, otworzyć drogę. Ale trudno o głodzie pracować dla sławy, ze szkół więc, jak był zwyczaj, udałem się do Palestry. Prawnictwo ówczasowe, mniej na prawie a bardziej na wybiegach gruntujące się, łechtalo wprawdzie żywą moją imaginacyją, ale się prostemu memu sercu przeciwilo;—po dwóchletnim więc ówczasowym jakby rzemieślniczym terminie, powziąwszy wstręt i do osób i do rzeczy, tyle nakoniec zyskawszy, iż w życiu bardzo mało miałem processów, a kilkanaście stron zawistnych pogodzić mogłem; porzuciłem prawnictwo i wróciłem do nauk. Skłonność choęby najszlachetniejsza, jeżeli się możnością nie mierzy, bywa wadą, a czasem i występkiem;—skłonnością więc moją do nauk, tak rozrządzać musiałem, abym bez nadwężenia szczupłego majątku, w tym nowym zakresie, i sobie i innym był użytecznym. Wprowadzony na ówczas zwyczaj dawania szlachetnej młodzieży, pod okiem rodziców pierwiastkowej edukacyi, nie tylko mnie przy innych zatrudnieniach i skłonność moją do nauk przez lat kilka zasilal; ale oraz

wprowadzając do pierwszych w kraju domów, z pożyciem, jak mówią, wielkiego światła, oswoił. Uszanowanie i wdzięczność ku tym domom, jako sprzężynom dalszej mojej promocyi, nie pozwalają mi tu ani je wymieniać, ani świadectwa tego zakresu używać, którebym może za przypomnieniem, w samychże członkach Najjaśniejszej Kommissyi, znalazł. A jeżeli w kraju, gdzie reprezentacya przy pierwszych familijach, sposobienie do służenia ojczyźnie przyszłym onej reprezentantom i reprezentantkom, nie jest zasługą: przynajmniej zakąłem być nie powinno.

W każdym kraju gdzie nie sama tylko zdatność i sprawowanie się, drogę do sprawowania funkcyi publicznych torują; nboższemu trudniej się zawsze umieścić. Mnie i dawniej, i za wielkiego sejmku, sposobnym do przyzwolonej funkcyi znajdowano; ale potrzeba było do osiągnięcia onej, albo z majątku, albo z kilkoletniej bezpłatnej pracy, niezgodne z moim stanem czynić ofiary. W czasie więc tego najświetniejszego w dziejach sejmku, prócz zwykłych zabaw; na służeniu moją zdatnością deputacyi kurlandzkiej, tudzież JW. Posłom narodowym i obcym narodowi przyjaznym, przestać musiałem. Skończył się sejm, nastąpiła zmiana, nowe pole — ale nowy sposób promocyi. Przeznaczony na sekretarza przy konfederacyi Targowieckiej, czyli przy Büllerze, idąc za mojem przekonaniem, zaledwom się słabością zdrowia, domowemi okolicznościami, wymówić, i wynalezienia innego na moje miejsce, zupełnie od narzutu uwolnić, potrafił. I to się skończyło, jam został wprowadzić tylko metrem, ale dotąd najmniej cierpiałem. W potrzebie kraju, pióro na pałasz, puchy na glaz twardy, i niejskie wygody na suchary i wodę z kałuży zamieniwszy; w tym nowym zakresie, najprzód sam jako wolonter, później jako dowódzca stu, czasem kilkuset ludzi, ciągle własnym kosztem siebie i lud mi powierzony utrzymując, że *miles* często bywa *gloriosus*, zwłaszcza gdzie idzie o dowiedzenie zasługi, pomijam w tym zakresie moje działania, żem zaś czynił powinność moją, świadectwo żyjących moich współtowarzyszów, i widoczne znaki z odniesionej w piersi kontuzyi, są rzeczywistemi dowodami. Z żołnierza, tułacz; utraciwszy zdrowie, kilkaset czerwonych złotych majątku... nago prawie i boso, do mego się znowu rzemiosła wróciłem, i tym do roku 1797 utrzymując się, w pierwszym półroczu od JW. de Caché dawniej ministra cesarskiego w Polsce, jako mu dawniej polecony, innym przedstawiony; dostałem przykrą wprawdzie i trudną dyplomatyczną robotę, ale cóż było czynić? Gdyby rzemieślnik natrętnie czynił wybór komu ma robić a komu nie, umarłby z głodu. Ta sama uwaga wymawiać powinna rzemiosło moje, zwłaszcza w trzecim roku po upadku kraju. Zrobiłem więc jak najlepiej, zadziwiłem biegłością cudzoziemców, a remuneracyą za pracę, nie tylko garderobę moją całkiem odnowił, ale i od razu dwa pozyskał miejsca, to jest: przy missyach cesarskiej i pruskiej, czyli raczej przy Kommissyi trzech dworów: długi Najjaśniejszego ś. p. króla i Rzeczypospolitej, likwidującej. Urząd ten będąc prawie polskim, podał mi sposobność do udowodnienia moich wiadomości i mego sposobu myślenia. Jakiem się zaś na tym urzędzie sprawowałem, do jakich prac byłem użytym, ilem się do osłodzenia losu nieszczęśliwych wojskowych i cywilnych Rzeczypospolitej urzędników, a wreszcie zawiedzionych téjże i króla wierzycieli, przykładał, jakim daleko w tém dziele interesu samegoż mojego kraju przestrzegał; jakimem się co do charakteru duszy w tym półczwartoletnim przeciągu czasu okazał; oprócz złożonych tu w oryginale świadectw, do świadectwa szanownej publiczności, i do papierów przy mnie jeszcze jako mojej własnej pracy czyli konceptów będących, odwołuję się. Jak najmniejszy członek społeczności, na społeczność złe, tak równie pożytecznie skutkować może. Takowe moje, jak oryginalne wskazują świadectwa, sprawowanie się; połączone ze zdatnością i chęcią do pracy, nie tylko tyle mi lubo Polakowi i okrzyknionemu naówczas rewolucyjonistom, pozyskało u moich zwierzchników zaufania, iż mi sekreta dworów, kierunek kommissyi, i do kilkudziesiąt milionów, powierzane były; ale nadto łaskawi zwierzchnicy moi, trudniąc się losem moim przyszłym, do sprowadzenia metryk koronnych, znacznym kosztem z Petersburga, przyłożyli się. Jak to, przez kogo — i dla kogo stało się? nie masz tu na to miejsca i czasu. Krótko mówiąc, akta te kosztem 14-m przeszło czerwonych złotych do Warszawy sprowadzone, i mnie pod zupełny dozór od ministeryjum dependujący, z pensją etatową, emolumentami, stancyją i opalem, do śmierci są oddane. Jakem znowu funkcyją niniejszą od d. 1 Julii 1800 roku, do ostatniej zmiany, przez lat blisko siedm sprawowałem; ilem się do uporządkowania, do zrejstrowania i do skompletowania tych akt, a nadewszystko do ocalenia przyłożył; ilem z własnego majątku, już to przez utrzymywanie młodych Polaków, już przez zakupowanie manuskryptów, a to wszystko własnym kosztem, tudzież z innych pobudek dla tych akt ofiar poczynił; — oprócz przyłączonego tu w oryginale dokumentu i wielu innych, któremi trudnić nie chcę, rzecz pod oczy podpadająca dowiedzie. Zmiana terazniejsza dla każdego Polaka, a zatem i dla mnie, z czem się ukryć nie mogłem, pożądana; wystawiła mnie zaraz na jakieś prześladowanie niektórych osób zeszłego Rządu: prześladowanie to, już to przez niezapłacenie mi tak jak innym, należnej zaległości 100 talarów z kassy Warszawskiej, już to przez niezapłacenie wydatków za rekvizycyami dla departamentów Poznańskiego, Kaliskiego, Płockiego, Białostockiego i innych, pomimo wyszłych już w części assygnacyj, a to w summie blisko 700 talarów, — już to przez zajęcie moich mieszkań w Zamku

przez bywszego kommissarza kameralnego Meinerta;—widocznie dało mi się uczuć. Ale cóż czynić, wszelka odmiana choćby na najlepszą, ma swoje przykrości. Jako obywatel, w tych czterech miesiącach, wielkie, bo do 4.000 złp. ciężary znosząc, powinność moję, jako oficyjalista, przykładnie i bezpłatnie pełniłem, pełni i kroku żadnego zdałem się nie uchybić, albowiem zaraz po zmianie terażniejszej, do JW. Prezesa Izby Najwyższej Sprawiedliwości zgłosiłem się; wezwaniu delegacyi zadosyć uczyniłem, nadto pieczęcie za zeszłego Rządu używane, z konsygnacyją archiwów, w téjże izbie złożyłem; i lubo wyrokiem téjże izby, byłem na miejscu utrzymany, nie zaniedbałem w pokornej prośbie zgłosić się na dniu 2 Lutego r. b do JW. Dyrektora Sprawiedliwości z uwiadomieniem o archiwum i o dyspozycyjach dotąd względem onegoż zaszyłych. Gdybym nie był przekonany o sentymentach JW. członków i o sprawiedliwości Najjaśniejszej Kommissyi rządowej, która tchnąc duchem Napoleona wielkiego, wszystkich mieszkańców téj ziemi, pragnie szczęśliwemi oglądać; niemniej JW. Dyrektora sprawiedliwości, każdemu winną sprawiedliwość wymierzyć pragnącemu, użyłbym żywszych do przedstawienia wiernych moich zasług korlorów, z udowodnieniem praw do miejsca mego, lecz na tém poprzestając, przystępuję:

ad II. Skłonność człowiekowi wrodzona do zachowania własności i do podania téjże następcom, była zapewne najmocniejszą pobudką tak prywatnym osobom czyli członkom społeczności, jak zgromadzeniom uprzywilejowanym téjże społeczności, a nareszcie samymże rządcom, do zasięgania czynności ojców i naddziadów, i do podawania onych następcom. Zbiór podobnych czynności, tudzież praw własność udowadniających, nazywają archiwami. Jaka jest różnica między ubogim rolnikiem, za jedyną własność kawalek ziemi mającym, a pierwszym w kraju panem lub rządcą; taka jest różnica między archiwami. Ważność archiwów równie obszernością obiektów, które w sobie obejmują, jak dawnością czasu mierzy się. Tu jest mowa o archiwach narodu polskiego, równie jak naród w kraju i za granicą, od wieków znanych, o archiwach dla których skompletowania, naród i królowie polscy, częste i kosztowne za granice wysyłali poselstwa; o archiwach, któremi Gustaw Adolf i inni, trofea swoje ozdabiali; o archiwach mówię, obszerną własność narodu polskiego, tudzież majątki, honory obywatelskie, prawa dwunastu milionów ludzi, historiją narodową, progressu kunsztów, oświaty i obyczajów, od lat przeszło ośmuset ciągle w sobie obejmujących. Jaż mam zachowania onych udowodnić potrzebę! Szanowny mężu, równie z zamilowania do rzeczy domowych, jak z światła i uniwersalnej wiadomości rzeczy krajowych. znany hrabio Czacki! wesprzj słabość moję, twym dobru popolitemu poświęconym duchem; kiedy mnie dla odległości miejsca świadectwem twém, od tego najzacniejszym w kraju mężom, zapewne przykrego, i dla mnie równie chlubnego jak niemilego, potrzeby utrzymania tychto archiwów, wywodu; uwolnić nie możesz! Uformowanie się społeczności narodu polskiego, tak jak innych narodów, miało swój początek. Naród ten w społeczność zebrany, miał zaraz z początku swoich rządców i rządzonych; a że naród miał ziemię, więc zaraz z początku była własność. Własność ogólna całego kraju względnie na ościennych rządców, pociągała za sobą działania polityczne, między rządcami naszego narodu a ościennymi; własność wewnętrzna rządców i obywateli, była przyczyną działań publicznych i cywilnych wewnętrznych, — a następnie zbiór takowych działań, czyli akta naszego narodu, jeden z narodem mają początek. Jaki był ten początek? jakie były akta? i pod jakim nazwiskiem? czas i ciemność wieku ukryły. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nazwisko onych terażniejsze „Metryk krajowych” jest późniejsze. Za wprowadzeniem w roku 965 za Mieczysława pierwszego, i wiary i kapłanów chrześcijańskich, a w nich pisarzów królewskich i narodowych; wprowadzony oraz zwyczaj, w chrześcijaństwie zachowywany, utrzymywania znajomych nam metryk kościelnych; dał zapewne pochoć kapłanom nad aktami narodowemi przelożonym, i onym ich biskupstwa i praelatury małżonkami *sponsa* nazywane, nadawającymi i zapewnijającymi, nazwania ich niewłaściwie „metrykami koronnemi”. Nazwisko to, tak cudzoziemcom, ba, i samym rodakom, umniejsza wyobrażenie o rzeczy. Zeby tu dać należyte wyobrażenie tych akt narodowych, potrzeba by przedstawić: I. Krótki rys historyczny. II. Rys działań rządców i władz krajowych polskich; podział tychże działań, i t. d. ad I. Naród polski od najdawniejszych czasów, pod jedną głową czyli pod jednym rządem aż do śmierci Bolesława Krzywoustego, czyli do roku 1139 ciągle zostawał, do tego więc roku, akta narodowe pod bokiem rządców ciągle zachowywane, jedne były. Za podzieleniem monarchii, między następcom Krzywoustego, lubo pierwszeństwo a następnie akta narodowe przy książętach krakowskich zostały, Książęta atoli innych prowincyj, przywłaszczywszy sobie zupełną władzę działań swoich jako już niepodległych, osobne czynić zaczęli zbiory, czyli oddzielne uformowali archiwa; jako to: akta książąt Mazowieckich, Wielkopolskich i t. d. Wojna z książętami oddzielnymi wewnętrzna, i z Krzyżakami zewnętrzna, ustawne najazdy i pożogi, przez lat przeszło dwieście niszcząc kraj, zbiór różnych archiwów poniszczyły. Archiwa krakowskie czyli całego narodu, utrzymywały się aż do dynastyi Jagiellońskiej. Że zaś kancelarya, a następnie księgi czyli protokoły archiwów narodowych, za dworem królewskim chodziły; Władysław Jagiellończyk jako król polski i węgierski, w Węgrzech prze-mieszkiwając, i zbiór aktów czyli archiwów narodowych przy sobie mając; gdy w roku 1441 sam z wojskiem pod

Ważną zginął, akta narodowe czyli metryki koronne od najdawniejszych czasów do roku 1444 'ciągnące się, lupem barbarzyńców, i zapewne ognia lub zgnilizny zostały. Skutki z tej utraty archiwów dla mieszkańców tego kraju i dla całego narodu niezrachowane, miejsca tu nie mają. Archiwa więc narodowe czyli metryka koronna, oprócz niektórych starożytnych manuskryptów, później do akt przyłączonych, zaczynają iść porządkie od roku 1446. to jest od Kazimierza Jagiellończyka; oraz znaczną część przywilejów i dokumentów przed tymże rokiem, to jest między rokiem 1000 i 1446 datowanych, albo przez potwierdzenie, albo przez oblatę, zwłaszcza po przyłączeniu kilku ksiąg archiwum księstwa Mazowieckiego, w sobie zamykając, do r. 1794, to jest do upadku narodu, prawie ciągle wszystko co w kraju zaszło, obejmują. Część tych akt w czasie wojen szwedzkich za Jana Kazimierza utracona, przez Jana Sobieskiego odzyskana została; inna, lecz mała część, pomimo starania J. W. Czackiego i mego przekładania, w Królewcu będąca, dotąd jeszcze do archiwum nie jest oddana. Archiwa te w roku 1795 do Petersburga przewiezione, a w roku 1799 kosztem rządu zesłano do 14,000 czerwonych złotych, do Warszawy nazad sprowadzone; oprócz akt województw ruskich, w ruskim języku dla województw Wołyńskiego, Podolskiego, Braclawskiego i Kijowskiego, osobno przy metryce koronnej w kilku ksiązkach będących; i kilku tranzakey i dekretu dóbr w Kurlandyi i Litwie sytuowanych, z ksiąg wyrzniętych; nie prawie nie utraciły. Archiwum sekretne czyli dyplomatyczne, to jest zbiór traktatów oryginalnych etc. będąc w części do akt metryki koronnej wciągnięte; w Petersburgu wraz z metryką litewską zostało. Trzydzieści kilka woluminów, staraniem Najjaśniejszego s. p. Króla Stanisława, metryk litewskich, polskimi literami przepisanych, czyli kopije metryk litewskich, już się w tym kraju znajdują, ale pomimo dyspozycyi ministerjum i mego starania, jeszcze mi nie są oddane. ad II: Książęta i królowie polscy z linii Piasta, ba i później z linii Jagiellońskiej idący, to jest aż do końca panowania Zygmunta Augusta, który pierwszy pisać zaczął cum assensu consiliariorum nostrorum; nie tylko sami przez się z przybranymi konsyliarzami wszystko czynili, ale nawet sprawiedliwość na wiecach czyli zjazdach, w sprawach przez appellacyją od kasztelanów, starostów, sędziów ziemskich, magistratów etc. lub prośb do sądu królewskiego przychodzącym, obywatelom oddawali. Wzmocniona z czasem za królów elekcyjnych, to jest za Stefana Batorego władza sejmów, ustanowione sądy trybunalskie i assessorskie czyli zadworne, później referendarskie, relacyjne i t. d. ujmując nieco władzy królom, działania czyli akta wyżej rzeczonych magistratur, a następnie zbiór ich czyli archiwa, oddzielnemi poczyniły. Że zaś działania sejmów ważniejsze za królów dynastjami i osobami elekcyjnych, do akt królewskich czyli metryk koronnych, prawie ciągle aż do ostatniego panowania wciągnane lub przez oblatę pódawane były; a akta assessorskie, relacyjne, referendarskie, revisionum et lustrationum, niemniej akta appellationum terrarum Podlachie, i akta województw ruskich, były dawniej i teraz są częściami akt metryki koronnej; więc akta czyli archiwum li metryki koronnej, oprócz akt trybunalskich, od najdawniejszych czasów do roku 1794, zamykają w sobie: a) *Publica negotia*, czyli wielorakie polityczne narodu działania, jako to: przymierza, sojusze, traktaty, korespondencyje, rozgraniczenia, z ościennymi mocarstwami, lub ich posłami czynione i zawierane; uchwały i pakta połączenia się z królestwem Polskiem księstw, Pruskiego, Mazowieckiego, Litwy, Kurlandyi, niemniej księstw Zatorskiego i Oświęcimskiego, jako też uchwały sejmów generalnych, powyżej rzeczonych prowincyj, osobliwie Pruss, i inne tym podobne polityczne interessa. b) Publiczne wewnętrzne sprawy, jako to: przywileje, prawa tak całemu narodowi jako i zgromadzeniom lub szczególnym familijom, tudzież miastom wszelkiego rodzaju, niemniej dyplomata indygenatów szlachectwa, wywody genealogiczne, patenta na cywilne i wojskowe urzędy i duchowne godności, przez królów dziedzicznych samych przez się, a później elekcyjnych, podług służącej im władzy, albo samych przez się, albo za zgodą narodu, nadawane i pozwalane. c) Działania dobrowolnie obranej jurysdykcyi, jako to: ugody, dekreta, kontrakty, zapisy, zeznanie kwitów, testamenta i t. d. o dobra szlacheckie i miasta dziedziczne, między obywatelami a obywatelami, pod sankcyją królów czynione. d) Przywileja na dobra dziedziczne dawniej królewskimi będące, niemniej przywileje funduszowe, katedrom, klasztorom, szkołom, kościołom, szpitalom i innym duchownym lub miłosiernym fundacyom, dawniej przez królów jako panów dziedzicznych, później za zezwoleniem stanów, wydawane. e) Przywileja, nadania wieczne lub dożywotnie, rozgraniczenia dóbr królewskich stołowych, i miast królewskich tyczące się, dla osób prywatnych, kościołów, klasztorów, miast lub gromad wyszłe, w sobie obejmujące; niemniej dekreta między właścicielami dóbr dziedzicznych a dobrami królewskimi — tudzież między possessorami dóbr królewskich a possessorami lub gromadami, niemniej między miastami a miastami lub dzierżawcami, instytucjami, o possessyą dóbr powyższych zapadłe. f) Przywileja na dobra dziedziczne *jure caduco* po szlachcie i nie szlachcie, szlachcie nadawane. g) Zamiany dóbr między królami a obywatelami, tudzież między duchownymi a obywatelami. h) Ustawy i umowy względem regaliów, to jest kopalni różnych, mennicy, splawu, mostowego, cell, poborów etc. Części archiwum narodowego później z akt metryki koronnej uformowane, i jedno z nią zawsze ciało składające; są te:

Akta assessoryi koronnej, po ustanowieniu najprzód sądów appellacyjnych z prawa magdeburskiego w Krakowie, a później sądów zadwornych, — zamykają w sobie dekreta między miastami a miastami, między miastami a starostami, między duchownymi a starostami czyli dzierżawcami i miastami etc: tudzież urządzenia miast, dóbr królewskich duchownych, podobnie jak ad e, od roku 1537 do roku 1794. *Akta relationum*, prawie toż samo co zadworne, sprawy przez appellacye z Pruss dawniej książęcych, później z Kurlandyi etc: przychodzące, obejmują — i należą ad a od roku 1591 do roku 1750; reszta idzie razem z assessoryją. *Akta referendarskie*, są częścią akt sądów zadwornych, i dekreta między dzierżawcami dóbr królewskich a gromadami, tudzież różne urządzenia gromad ty czące się, w sobie obejmują, od roku 1595 do roku 1780; z lat ostatnich do archiwum jeszcze nie weszły. *Akta revisionum et lustrationum*, obejmują opis dóbr królewskich, około roku 1564, i należą do metryki ad e. *Akta nuncyatorskie*, za ostatniego rządu do akt metryki koronnej, czyli do jeneralnego archiwum narodu polskiego przyłączone, zamykając w sobie wszelkie czynności otwarte nuncyuszów papieskich w Polsce i w Wielkiem księstwie Litewskim, od roku 1559 do roku 1786. *Akta nuncyatorskie sekretne*, są uwiezionc.

Archiwum narodowe czyli metryka koronna, działania rządowe w latach wyżej wytkniętych obejmujące i z części wyżej wymienionych złożone, oprócz pak i fascykułów różnych dokumentów oddzielnych, składa się z 1152 ksiąg i protokulów, oraz rejestrów in folio. Było dawniej i jest w zamku narodowym Warszawskim, w sali, równej sali senatorskiej, w szafach porządnie złożone. Że to archiwum zawiera w sobie czynności wiekami upoważnione, cały naród polski w ogólności i każdego obywatela w szczególności interesujące, nie powinno by być w niczem uszkodzone. Ruszyć je z miejsca, jest to w niwecz obrócić kosztowne uporządkowanie — jest to je uszkodzić. Rozdzielić je lub wcale zaniedbać, jest to je zniszczyć; słowem archiwum to, będąc więcej dla całego narodu i przyszłego onego rządcy, jak zbiorem dokumentów, nigdzie a nigdzie wynaleść się nie mogących, a własność ogólną i szczególną udowodniających jak hipoteka wioski, miasta, lub całej prowincyi dla pana wioski i mieszkańców miasta lub tejże prowincyi, powinno być z proporcjonalną do ważności i odpowiedzialności narodowi i przyszlenu rządcy, wspierane i strzeżone gorliwością. Archiwa te nigdy nie były szacowniejszemi, ważniejszemi i potrzebniejszemi dla polskiego narodu jak dzisiaj, w jakimkolwiek bądź, to jest politycznym, publicznym wewnętrznym lub porządkowym uważane względzie. Prawy właściciel z ojców, dziadów i najpóźniejszych naddziadów wioski, wymarzonemi podstępny i przemocą sobie przez mocniejszego wydartej, stanąwszy w obliczu sprawiedliwego i potężnego sędziego, ze wszystkimi swęj własności dokumentami, jeszcze przed rostrzygnięciem zajadłego sporu, ma wioskę.

Okazawszy ważność i potrzebę utrzymania archiwum narodowego (uszanowanie nie pozwoliło mi żywszych użyć kolorów), należałoby o środkach utrzymania onego nadmienić. Lecz przedstawiam to najszacowniejszym w kraju mężom. Uszanowanie nakazuje mi milczeć, ale powinność moja, ale całość archiwów przezemnie dotąd zachowanych, wkładają na mnie obowiązek przedstawienia z najgłębszém uszanowaniem tego jeszcze co następuje. Jest uznana potrzeba zachowania archiwum narodowego, czyli metryki koronnej, więc dozór nad tymże komus powierzonym być musi, bo bez dozoru zgnije lub zginie, lub mocno uszkodzonem być może. Że opieka nad tēm archiwum, do królów a dozór zwierzehni do kanclerzy należał, a zatem ustanowiony teraz przelożony tegoż archiwum, będzie tylko tymczasowym, ponieważ za zwrotem pokoju i rządu stałego, nominacya na ten urząd od woli króla i kanclerzów zależeć będzie. Że zaś akta w tēm archiwum znajdujące się są wielkiej wagi, że są w większej części w samych abrewiaturach, charakterem gockim i w językach łacińskim, polskim, niemieckim, czeskim, ruskim, włoskim i francuzkim pisane; a następnie bez znajomości wyżej rzeczonych języków, abrewiatur i charakterów, tudzież znajomości praw narodowych i ościennych zwyczajów, terminów starożytnych i prawniczych, wreszcie bez cierpliwości i całkowitego poświęcenia się temu obiektowi, ani w całości zachowane ani w potrzebie przyzwyciężone użyte być nie mogą; z tego powodu, ten, któremu dozór nad tēm archiwum ma być powierzony, powinien mieć wszystkie do sprawowania tego urzędu nieodbitne potrzebne przymioty."

w Warszawie dnia 3 Kwietnia 1807 roku.

Walenty Majewski.

GODEBSKI CYPRYJAN.

(Przypis do str. 89).

„Pocziwy Cypryan Godebski przybył do Włoch nieco przed powrotem jenerała Rymkiewicza z Konstantynopola, a jako ex palestrant Łucki, najmniejszego nie miał powołania do stanu wojskowego i gdyby go nie-szczęśliwe wypadki kampanii Szerera nie zmusiły do opuszczenia *Mantui*, pewnie byłby spokojnym przy



Rys. A. Matuszkiewicz.

Odbito w Lit. M. Fajana, w Warszawie Ul. Długa 550.

Lit. M. Fajana.

GROBOWIEC ANTONIEGO MAGIERA.



nrD.626

legli 2-ój, jak Wybicki przy pierwszej, w randze patryjoty, polskiego pozostał. Nie mógł więc być adjutantem przybocznym generała Rymkiewicza, zwłaszcza, że Rymkiewicz był tylko pod ten czas dowódcą legii czyli szefem, a jak dziś nazywamy pułkownikiem. Wszystkie przeciw awanse, jako i wszelkie inne nagrody przez generała Szerera przyznane, nie były przez rząd potwierdzone, jako wodza podupadłego w niełaskę, który przez swą niebaczność i popełnione błędy, zgubił najpiękniejsze wojsko, z czasów rzeczypospolitej francuzkiej. Godębskiego więc cały zawód w legii włoskiej ogranicza się kilku miesiącami pobytu w Mantui przy szanownym Rymkiewiczu: wydaniem kilku numerów *Dekady legionowej*: znajdowaniem się jako świadek cywilny na bitwie pod Magnano, gdzie nieszczęśliwym przypadkiem za frontem, został od pękniętego granata ranionym, a skąd z innymi postrzelonymi do Francyi odjechał, nigdy nie nosząc nawet munduru wojskowego.“

(Notata ś. p. Józefa Regulskiego pułkownika i adjutanta generała Rymkiewicza).

JAN SPISKI.

(Przypis do str. 96).

Ś. p. Spiski lubił bardzo kwiaty, i dogadzając tej jednej fantazyi swojej, założył w Falentach cieplarnie, słynne z olbrzymich drzew kameljowych i rododendronów. Drzewa te hodują się dotychczas w Falentach, i w r. b. (1855) świetniej niż zwykle służyły do ozdobienia grobu Pańskiego, w kościele księży Kapucynów w Warszawie. (A. Przędziecki: Gazeta Codzienna 1855 r.)

A. MAGIER.

(Przypis do str. 100).

Dnia 25 Kwietnia 1855 roku, zmarła rodzona siostra Magiera Katarzyna Magier we wsi Borzęcinie, w 79 roku życia. Zwłoki jej pochowano na miejscowym cmentarzu. W tymże roku ostatnia z tej rodziny, siostra także Magiera, Tekla Magier w połowie Lipca zmarła, i spoczęła obok swego brata na cmentarzu powązkowskim.

KAZIMIERZ LUX I WIERZBICKI.

(Przypis do str. 109).

W pośmiertnych rękopismach ś. p. Luxa, zostało się kilka tylko arkuszy i to bez ciągu p. n: „Pamiętnik historyczny legijonów polskich posiłkowych rzeczypospolitej Cysalpińskiej, od roku 1797 po koniec 1806 roku, z którego małych wyciągów nawet zrobić nie można. Na oddzielnym wszakże arkuszu, znalazłem ciekawy ustęp do życiorysu ś. p. Wierzbickiego, i takowy tu w całości podaje.

„Podczas gdy generał Lavalette wyprawił oddziały wojska, z którymi powrócić do Santo-Domingo w zamiarze objęcia tam dowództwa, postanowił: pozostało około 500 głów różnych stopni i pułków chorych w szpitalu wojskowym hiszpańskim w Hawannie, pod dowództwem kapitana Desillis, któremu Lavalette polecił, ażeby z konsulem francuzkim Lanchaup znosił się. i wyprawiał oddziałami do Santo-Domingo. Trudność jakich doznawał, tak dla braku funduszków, jako też i niebezpiecznej przeprawy dla krążących okrętów angielskich, sprawiły, że wyprawa ta trwała przeszło lat dwa: oddziały po kilka i kilkanaście głów przez ten czas wysyłane, ledwo nie wszystkie przez anglików w drodze schwytańc. do Jamajki, w niewolę wojenną dostawały się

„Dnia 18 Października 1806 r. oddział z 36 głów tak z francuzów jak i polaków złożony, pod dowództwem kapitana Wierzbickiego, z Hawanny na statku *Kutr* o maszcie jednym, na którym zaledwie oddział tak mały mógł się umieścić, wyprawionym do Santo-Domingo zostawszy, rozwinął nazajutrz z wiatrem pomyślnym żagle, z przystani Hawana wypłynął. Drugiego dnia wszedł do zatoki Matanzas z powodu zmienionego wiatru: po dwudniowym po-

bycie wypłynął z przystani, cały dzień pomiędzy skałami *ogrodami króla* nazwanemi, i brzegiem północnym wyspy płynął, z wiatrem zachodnio-północnym. Zbliżając się przy zapadnięciu nocy do skały, o którą korweta z jenerałem Lavalette rozbiła się, pomimo że wiatr wiał z tyłu statku Wierzbicki nie ufając zdolnościom żeglarskim kapitana, który nawet czytać nie umiał, radził mu, ażeby do pierwszej lepszej zatoki nadbrzeżnej, na noc zawinął. Uparty kapitan nie chciał rady słuchać, uważając za ubliżenie, odbierać takowe od oficera lądowego: przymusić go jednakże trudno było, nie spostrzegając w razie zdatnego żeglarza do zastąpienia uporczywego kapitana. Osobliwym wypadkiem znajdował się na statku francuz Mr Richard, który jak później się dowiedziano, był rozbójnikiem morskim: ten doskonale znał kanał a podzielał zdanie Wierzbickiego, lubo dotąd żadne niebezpieczeństwo nie zagrażało, wszelako podjął się, do bliskiej doprowadzić o mil dwie odległej małej zatoki *San Juan de los remedios*, mogący tak mały statek, pomiędzy wzniesione lądy przyjąć. Wśród ciemnej nocy Richard objął ster statku pomimo oporu kapitana, i wszedł do zatoki błotnistej tak, że spód statku po szlamie posuwał się, i zarzucono pod skalistą górą kotwicę

Okolo północy, okropna burza w kanale huczała, wiatr wyl z wściekłością, i niezawodnie by ten sam nie- szczęsny los co i Lavalette oddział wojska spotkał, gdyby przeznaczenie inaczej nie rozrządziło. Radość za ocale- nie, wdzięczność za przezorność, niechęć ku kapitanowi okrętu widoczną była. Nazajutrz po południu wypłynął statek z zatoki, resztą dnia i dzień następny z wiatrem umiarkowanym, zawinął dla zakupu świeżej żywności do przystani *Baraeoa*. Przepędziwszy w pięknej okolicy dwa dni, w dalszą drogę załoga puściła się, minąwszy ostateczny punkt *Maisy* na wyspie *Kubie*: wpłynął okręt pomiędzy wyspę *Inague* i wyspy *Santo-Domingo*. Wkrótce jak to często w Antillach bywa, wiatr w cieśninach gwałtownie wieje, wszczęła się w tych okolicach nadzwyczajna nawałność: balwany piętrzyły się tak, że okręt niekiedy przez nie wzniesiony, zdawał się być na wysokiej górze, w chwili jednej opadłszy w bezdenną przepaść, tym samym balwanem który go był wyniósł okryty został. Niebezpieczeństwo pewnego ratunku nie przedstawiało: pędzony na brzegi pomiędzy przylądek *San Nicolas* a wyspę *Żółwią*, miotany bez steru, ogolony z żagłów, które z widocznym niebezpieczeństwem żaden z majtków nie odważył się zwinąć. Richard za uproszeniem Wierzbickiego liną na wpół opasany, z toporem w rękę, wdarł się na wierzch masztu, i liny do żagli przymocowane odciał: tym sposobem wiatr pomniejszych żagle na morze powyrzucał, główny żagiel zaledwie na pomoście zatrzymany i ochroniony. Żołnierze osłupiali, zaledwie dali się namówić ażeby weszli pod pokład okrętowy: użył tu swojej wymowy skutecznie Wierzbicki. Zamknięto za nimi otwór w pokładzie będący. Nadeszła potem okropna ciemnościami okryta noc, z burzą najgwałtowniejszą. Wszyscy nadzieje stracili, statek pędzony jak sądzono w okolicy *Cap français* musi się rozbić, a tych co się uratują na ląd, śmierć okrutna w mękach od mściwych murzynów czeka. Smutek i rozpacz do najwyższego szczytu dochodziły. Inaczej wszelako przeznaczenie zawyrokowało; po straszliwej nocy deszcz z piorunami zmienił pęd wiatru, morze długo wzburzone kolysało okręt, nadzieja pomyślniejsza rozpędziła rozpaczającą przyszłość, pozwalając przybicia do brzegów wyspy *Inague*. Tam okręt kotwicę zarzuciwszy, bezpiecznie wojsko dla wysuszenia się i krótkiego spoczynku wylądował. Na całej tej wysepce, ludność składała się z jednej rodziny angielskiej i kilkunastu niewolników czarnych własnością tej rodziny będących. Uprawiali oni ziemię spokojnie, z darów niebios korzystając, nie troszcząc się o nic więcej jak o zaspokojenie potrzeb życia, wolni od obowiązków jakie w świecie ucywilizowanym na towarzysztwie ciążyą. Nie zwracał żaden rząd europejski na te szczęśliwe istoty widoków swoich, ziemia tej wyspy bogactw nie obiecywała. Mieszkańcy onę w pośród wojen, nie posiadając skarbów, wolni od napaści stron walczących, swobodnie żyli, każdego narodu bez różnicy okręt do brzegów przybywający, znalazł uprzejme i gościnne przyjęcie, i nabycie za umiarkowaną cenę, potrzebnych przedmiotów świeżej żywności: zbywające produkta w zamian za towary europejskie raz do roku w Jamajce zbywała. Pożegnawszy się z uprzejmymi osadnikami, okręt po naprawieniu szkód przez burzę zrządzonych, w dalszą drogę puścił się. W drodze spotkawszy się o wystrzał z działa z okrętem kupieckim: Richard z kapitanem Kutru umówiwszy się, sądząc że tenże jest własnością angielską, a za tym prawą zdobyczą, rzuciwszy łódź na morze, z kilku żołnierzami popłynęli do okrętu, który bynajmniej nie ucho- dził. Po zatrzymaniu go w drodze, i nie długim na nim pobycie, powrócili do okrętu z wyladowanemi złotem kiesze- niami i niektórymi do żywności przedmiotami i trunkami. Żołnierze będąc obdarowani w tajemnicy czynności tych złych ludzi zachowali, dopóki w zatoce *Samana* nie wylądowali. Ze śledztwa uczynionego okazało się, że kapitan statku *Peniche*, wraz z Richardem, przy pomocy żołnierzy z niemi będących, zrabowali okręt kupiecki ze Stanów zje- duoczonych Ameryki państw neutralnych płynący, i że z niego zabrali dwa tysiące portugezów i worek piastrow hiszpańskich. Niepodobna było winnych przytrzymać i pod sąd oddać. Przed wyjawieniem zbrodni Richard zniknął na ląd wysiadłszy!"

Z całego toku opowieści pokazuje się że w tej przeprawie miał udział i sam Lux jako podporucznik, pod do- wództwem kapitana Wierzbickiego

BARTŁOMIEJ CZYCHY.

(Przypis do str. 114)

Gruntownie posiadał język niemiecki i łaciński. Ulubionemi dziełami jakie w tym ostatnim języku czytywał, były pisma o Magii. Książkę Józef Poniatowski, który go znał osobiście, kiedy w czasie wypraw Napoleona przechodził Murawy: znalazłszy tam rodzinę Czychego, przysłał mu od niej ukłony i pozdrowienie. Wypadek ten wielce cieszył skromnego zakrystjana, i rad o niem później wspominał.

WIKTOR ROMAN.

(Przypis do str. 121).

Dziennik *Czas* wychodzący w Krakowie w N. 88 z r. 1855 do opisu naszego o bitwie w wąwozach Sommo-Sierra, podaje opowieść Wincentego *Tedwena* ówczesnego wachmistrza pułku szwoleżerów, a następnie kapitana gwardyi: które jako ważne dopełnienie, dosłownie podaję.

„Było to dnia 30 Listopada 1808 roku. poranek był mglisty, a nawet dość chłodny: stanęliśmy pod załosem góry Sommo-Sierra z naszym trzecim szwadronem pułku szwoleżerów gwardyi cesarza, gdyż dnia tego otrzymaliśmy przeznaczenie na służbę przy jego osobie, jako obznajomieni już z tym rodzajem obowiązków, zwłaszcza gdyśmy je pełnili przy Napoleonie, w czasie pobytu jego w Bajonnie. Kule hiszpańskie już swistały w powietrzu, już i armaty wciąż grały, ale strzały do nas nie dochodziły, bo nas wyłom góry osłaniał. Stałem przy wachmistrzu *Kielkiewiczu*, sam będąc także wachmistrem, i gawędziliśmy o naszych wypadkach w Hiszpanii. Jedyną zawadą na drodze do Madrytu, był wąwóz pod Sommo-Sierra. Wąwóz ten, od miejsca gdzie stały wojska francuzkie, ciągnął się w górę przeszło na pół wiorsty. Na górze ustawił nieprzyjaciel kilkanaście armat, a po kilka tychże miejscami, na drodze wąwozu. Po jednej stronie tegoż wąwozu wznosiła się góra, ale tak stroma i prostopadła, że niepodobna wdrapać się na nią, po drugiej, również góra poprzedzona z boku niejaką płaszczyzną, i nieco już pochyłsza. Po obu zaś stronach na szczytach tych gór i na końcu wąwozu, ze wzgórze którego szedł ogień działowy, rozłożyło się przeszło 13,000 hiszpanów, czyniąc przystęp niepodobnym. Napróżno cesarz kusił się o zdobycie tej fatalnej zapory: napróżno nieustraszona piechota francuzka pod okiem swego wodza, starała się przebiec przez wąwóz. Kto więc nawet, czy jeden dzień spóźniony, w którymby hiszpanie zdążyli oszańcować to przejście, nie byłby je uczynił nie zdobytym na zawsze, ale szczęście chciało, żeśmy ich wyprzedzili, a przygotowane do obrony deski, koły i wańtuchy, które użyte umiejętnie w wąwozie, stałyby się dla nas murem, leżały bezużyteczne po bokach tegoż pod górą. Kiedy tak wszelkie usiłowania francuzów, o zdobycie tej pozycyi, pełzły na niczém, Napoleon przyzywa marszałka Berthier, i wydaje mu rozkaz, aby dla wzięcia armat, na wzgórze wysłał będący na służbie przy cesarzu szwadron polskich ulanów. Po raz to pierwszy może, jak Napoleon Napoleonem, a marszałek marszałkiem, ten ostatni ośmielił się zwrócić uwagę cesarza, że to było niepodobnem. Sam mi to później opowiadał marszałek Berthier, kiedy go eskortował z *Valladolid* do Francyi. Cesarz spojrział na mnie (mówił marszałek), zmierzył mnie swym przenikającym wszystkim wzrokiem, i odrzekł: zostaw to polakom i rób swoje.“ Wtedy marszałek przybiegł do naszego szwadronu i rzekł: „Cesarz wam powierza zdobycie tej pozycyi, pewny że ją weźmiecie, a ja znając waszego ducha, wiem że to będzie dla was drobnostką.“ Oto mi piękna drobnostka, ale rozkaz dany i dosyć natym. Wnet też Koziętulski, który był niesłychanie odważnego serca, i przepadał za niepodobnemi do prawdy zwycięztwami, wystąpił najprzód jako szef szwadronu i krzyknął: „formuj się w czwórki!“ Wysuwamy się tedy z poza załosem góry, gdzieśmy dotąd jak w twierdzy mimo kul hiszpańskich stali. Lecz zaledwie zdążyliśmy się rozwinąć w polowie, gdy grad kartaczy spotyka nasz szwadron, a pierwszym z oficerów, który pada ofiarą, był *Rudowski*. Muszę wam się przyznać, że to fatalne powitanie ze strony hiszpanów, djable nas zmięszało, już sądziłszyśmy nawet, że się nie zdołamy sformować raz drugi, gdy znów odezwał się głos Koziętulskiego. Oprócz niego ośmiu oficerów w tém szatańskim spotkaniu, przyjmowało udział, to jest: *Rudowski*, który jak powiedziałem, zabity najpierwej, dalej *Rowicki*, kapitan *Dziewanowski*, *Piotr Krasiński*, *Krzyżanowski*, *Niegolewski*, *Zielonka* i *Dobiecki*. Co zaś do żołnierzy było ich w szwadronie 125 ludzi. Ta garstka ludzi, miała zdaniem Napoleona, rozstrzygnąć los wojny. Jako wachmistrz, musiałem być z tyłu szwadronu, ale lat 18, a nadewszystko, ta jedyna

myśl, że cesarz tak blisko, że spogląda na nas, i ocenia odwagę naszą, przemogła wszelkie w tém względzie formy: po drugiej więc komendzie Kozietulskiego, wysunąłem się najprzód, i w miejsce poległych towarzyszków, w pierwszej czwórce stanąłem. Sformowawszy się na nowo, nowy przypuściliśmy atak samym środkiem wąwozu w górę. Pędząc jak na ośle, uniosłem tylko pałasz tak, aby zasłonić oczy od pestrzału, i nic nie widziałem prócz ognia i dymu nic nie słyszałem, prócz huk armat i swistu kulek karabinowych. Aż do tej chwili, miałem zupełnie słabe wyobrażenie o tym gradzie kul, o jakim nie raz przy ognisku w polu, opowiadali starzy wojacy, ale od wejścia w ten piekielny wąwóz przekonałem się o tém. Nie był to bowiem plac boju, ale rzeczywiście piekło, zdawało się że ^o ziemia, zapadnie się wraz z nami. Kiedym w połowie drogi, rzucił okiem do koła siebie, nie widziałem nikogo, czułem tylko że koń mnie unosił, i dla tego domyśliłem się, że musiałem współtowarzyszów wyprzedzić. Nie wstrzymałem go jednak, a nawet w duszy cieszyłem się z tego, gdyż nasi oficerowie zwykli byli z otyłości jego żartować, mówiąc że go karmię na mięso. Później dopiero dowiedziałem się, że w czasie tej szarży, pod Kozietulskim, ubito konia na połowie drogi; inni zaś dzielni oficerowie albo zabici jak Rowicki i Krzyżanowski, albo ranieni, jak Piotr Krasiński, zostali. Dostawszy się na wzgórze, i stanąwszy tuż przy samych hiszpańskich działach, ujrzałem resztę porozsypywanych współtowarzyszów. a gdy działa nieprzyjacielskie już grać przestały, albowiem szarża nasza tak była gwałtowną, że nie zdążyli po raz drugi wystrzelić sypnęła się po za nami i reszta jazdy, a wdzierając się na wzgórze, i łamiąc wszystko, co tylko jej opór stawiało, stanowczo los bitwy rozstrzygła. Świetny to i pełen sławy był dzień, dla naszego pułku, ale ciężki i bolesny dla szwadronu. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu tylko 25: stu zaś po bobatersku, co się zowie poległo, i to w jednej szarży. Kozietulski wyszedł szczęśliwie, umarł później zawsze w skutek ran ciężkich. Rudowski, Rowicki i Krzyżanowski zginęli: Dziewanowski stracił nogę, a do tego strzaskano mu ramię, to też i umarł wkrótce w Madrycie. Piotr Krasiński lubo ciężko ranny żyje dotąd. Niegolewski odebrał 32 ran od bagnatów żyje jeszcze: podobnie Zielonka i Dobiecki, ustrzeżeni od kul zostali. Co do mnie otrzymałem ranę w nogę i stopień oficera a mój koń siedm kul. Moje suknie i wszystkie przybory, tak były nabite kulami jak gwoździ. Z płaszcza, który zwykle zawieszaliśmy na sobie, w kształcie chustki złożonej na krzyż na piersiach i związanej w tyle, nie można było jednej pary rękawic wykroić: a kontrola szwadronu, którą miałem w kaszkiecie, tak była posiekana kulami, że nie można jej było użyć do apelu. Nie był on też i potrzebnym dnia tego, chyba dla przypomnienia o stu braciach naszych. Mój towarzysz Kielkiewicz wachmistrz, należał także do owej małej liczby szczęśliwych, którzy z tego gorącego piekła życie unieśli. Straciliśmy dużo, to prawda, ale niesłychanie zyskaliśmy na wewnętrznej wartości, i gdy pułk nasz po tej rozprawie przeciągał koło starej gwardyi Napoleona, patrzącej na nas zawsze z ukosa, i nazywającej nas młokosami, wówczas sami wykrzykli do nas: „Niech żyje stara gwardya“, a cesarz przywoławszy do siebie pułkownika naszego hr. Wincentego Krasińskiego, oświadczył mu w obec wszystkich, żeśmy godni tej nazwy. Później znowu kiedy Napoleon objeżdżał pole bitwy, widząc tu i owdzie leżących zabitych ulanów naszych, to pod działami, to obok tychże, lub na nich, zatrzymał konia i zadumawszy się nieco, zapytał świadków tej sceny wskazując na trupów: „Nie sąż oni waleczni?“ I nie mylił się za prawdę, szli oni zawsze najprzód, i zawsze ginęli, a ginęli mężnie. Na własne oczy widziałem żołnierza z naszego szwadronu nazwiskiem *Izabelewicza*, który dostawszy odłomem granatu w sam brzuch, usiadł na ziemi i prawie konając, z najzimniejszą krwią wysnuwał z siebie wnętrzości. W ogóle pamiętna ta w dziejach jazdy potyczka, bo tak ją nazwał Berthier, mówiąc do mnie w kilka dni o niej; to także sprawiła; że o ile z jednej strony wzbudziła w Napoleonie zaufanie do nas, tak nawzajem też żołnierzowi naszemu, utorowała drogę do osoby cesarza, i wyrodziła w każdym z nich pewną śmiałość do niego. Dowodem tego był jeden z naszych mazurów, który skończywszy służbę, i wracając znużony z placówki, chciał sobie fajkę zapalić. Ujrawszy więc zdala ognisko, szedł prosto do niego z nabitą lulką, a gdy francuzi wtrzymywali go, ostrzegając że przy tém ognisku jest cesarz, zaczął ich rozpychać, mówiąc obojętnie: „alboż to my nie znamy się z sobą?“ Napoleon posłyszawszy spór, spytał o co idzie, a dowiedziawszy się o przyczynie, kazał puścić żołnierza. Mazur przystąpił wprost do ogniska, i wzięwszy w rękę zapaloną głownię, zapalił lulkę. Nie mówił on po francuzku, ale słysząc ciągle o gwardyi cesarza słowa: „*Garde imperiale*“ utkwily mu w głowie. Pafnąwszy tedy kilka razy z lutki, przyłożył rękę do kaszkieta, wyciągnął się jak struna, i rzekł z całą powagą: „*Merci garde Imperiale*, i odszedł. Długo Napoleon śmiał się z tej żołnierskiej naiwności mazura, i nie raz powtarzał o niej w gronie swych marszałków.“

AGNIESZKA TRUSKULAWSKA.

(Przypis do str. 136).

Dnia 22 Lutego 1811 r. Truskulawska wystąpiła ostatni raz na scenę jako amatorka w trajedyi *Barbara Radziwiłłówna* przedstawiając rolę Bony. Trajedyta ta, daną była na benefis córki jej Leduchowskiej. Spektakl był tak wielki, jak dotąd nie było przykładu.“ (Notata L. A. Dmuszewskiego).

JABŁOŃSKI GRENADJER.

(Przypis do str. 143).

ANTONI BIAŁKOWSKI.

Wspomniałem przy życiorysie Jabłońskiego grenadjera naszego, o Antonim Białkowskim, z którego opowieści ułożyliśmy takowy po większej części. W tym miejscu sędzę być właściwym, dać obszerniejsze o nim wspomnienie, przynależne mu, jako mężnemu wojownikowi, i jako pisarzowi, którego pióro zachowało wiele ważnych i drogocennych dla dziejów naszych pamiątek. Wiązała mnie z Białkowskim serdeczna i stateczna do grobu przyjaźń, połączona z głęboką cześcią, jaką miałem dla tego dzielnego żołnierza, a prawdziwego rodaka.

Syn konfederata Barskiego, połączył w sobie szczególnie obfity zasób podań narodowych z czasów jeszcze Rzeczypospolitej, a następnie wypadków wojennych od roku 1806, w których miał udział osobiście. Szczęśliwą obdarzony pamięcią, pamiętał każdą datę, opowiadanego wypadku, każde imię i nazwisko z osób działających. Opowieść jego była pełną obrazowości i życia: był to ze krwi i kości prawdziwy szlachcic Rzeczypospolitej, ale otarty w obozie, i przejęty świeżemi wyobrażeniami tego czasu, w którym przeżył wiek młody i dojrzały. Zalety wszystkie zachował starego typu, a wady jeżeli były jakie, wyleniały przy obozowych ogniskach. Miał tę pociechę, że ojciec jego, sędziwy starzec, do zgonu chodzący w polskim stroju, doczekał się, jak syn zasługą uczciwą a walecznością na polu bitwy, od prostego żołnierza przechodząc stopnie wojskowe, doszedł do godności podpułkownika dowódcy batalionu 3 go pułku piechoty liniowej b. wojska polskiego. Kiedy miał się żenić: przybył stary konfederat na zaręczyny syna do Warszawy, i ze łzami błogosławił ten związek. Wyraziście odbijały te dwie postacie przy sobie: ojciec siwy jak gołąb, szczupłej a wątłej i niskiej postaci: syn rosły, lepszej tuszy, z obliczem czerstwym i rumianym, z odkrytą łysiną, w skutek otrzymanego ciężkiego cięcia szabli w głowę w 1809 r. Gdy starzec opowiadał mi trudy swoje wojenne jakie ponosił w czasach konfederacji, syn się uśmiechał porównywając znoje własne w pochodach przez Europę. Miło było widzieć te dwie postacie starca i dojrzałego wojownika: jak pierwszy z uczuciem przywiązania i dumy spoglądał na syna, a ten pełen uszanowania dla rodzica, rozbudzał w nim pamięć lat jego młodości, kiedy to uwijał się krzepko na koniu a z szabelką. Ś. p. Antoni zachowując wszelkie piętna poczciwe, rodowe, był gościnnym, wesołym, lubiący gawędę, towarzystwo tak kobiet dla których był ze znaną w owe czasy grzecznością i uprzejmością, jak towarzyszków broni i przyjaciół: lubił w ochocie radosnej i tańcować: ale nie tańczył nic więcej jak poloneza i mazura. W boju najzaciętszym zachowywał ową zimną krew co główną stanowi zaletę wojownika: zawsze przytomny, umiał korzystać z najmniejszej a dogodnej pozycji na polu bitwy: równie jak uchronić żołnierza od morderczych strzałów, i odnosić korzyści z błędów nieprzyjaciela. Każda bitwa w której miał udział, była nową kartą w księdze jego wojennej, z bogaczącą wiedzę jego i doświadczenie. Od roku 1806 do bitwy morderczej pod Lipskiem i następnych jeszcze we Francji, ciągle był czynnym, i we wszystkich ważniejszych walkach, miał udział. Urodził się Antoni Białkowski w Poznaniu, dnia 13 Czerwca 1788 r. Dnia 15 Listopada 1806 r. wszedł w służbę jako żołnierz do pułku

12 piechoty księstwa Warszawskiego: w sześć dni postąpił na kaprala: następnie na sierżanta: 2 Grudnia t. r. na sierżanta starszego, a 4 Stycznia 1807 r. został podporucznikiem. Dnia 13 Sierpnia 1808 r. mianowany porucznikiem: 31 Grudnia 1810 r. kapitanem w tymże pułku. Dnia 1 Stycznia 1814 r. umieszczony został w gwardyi honorowej (1). Odbył kampanię w latach 1807, 1809, 1812, 1813 i 1814. Znajdował się w bitwach pod Tczczewem (Dirschau) i przy zdobyciu tegoż warownego miasta: przy oblężeniu Gdańska, pod Friedlandem, pod Toruniem, Jedlińskiem, Jankowicami. Pod Smoleńskim, Brzezinami, Możajskiem, Czerykowem, Woronowem, Gzackiem, Wiazmą, Krasnem i nad Berezyną. Pod Gabel, Lobau, Wachau, Borna i Lipskiem. W bitwach: pod Jankowicami, ranny dwa razy pałaszem w głowę: pod Smoleńskiem, w lewa nogę kulą karabinową: pod Krasnem, otrzymał kontuzję w tęż nogę od kuli działowej. W roku 1812 ozdobiony krzyżem kawalerskim polskim: w roku 1830 znakiem honorowym za lat 20 służby oficerskiej (2). Od dnia 2 Lutego 1815 r. przeznaczony do pułku 3-go piechoty liniowej wojska królestwa polskiego: w r. 1819 postąpił w tymże pułku na majora, a w r. 1829 na podpułkownika (3). Od r. 1832 zamieszkał w ustroni wiejskiej na Podlasiu przy rodzicach swęj żony. Tu oddał się ulubionemu zajęciu ogrodnictwa. Po śmierci małżonki, nabywszy o mil dwie od Biały Radziwiłłowskiej, część szlacheckiej fortuny we wsi *Droblin*, w pobliżu kościoła i klasztoru księży Paulinów w Leśnie, zajął się gospodarstwem i rolą. Nasłuchawszy się mnóstwa szczegółów nadzwyczaj zajmujących i ważnych, a w tak cudnej opowieści Białkowskiego oddanych, namawiałem go usilnie, aby w tej samej formie, jak mówił, spisał swoje pamiętniki. Usłuchał tej rady, i w samotności siedząc pod słomianą strzechą Droblina, po śmierci żony i wysłaniu syna jedynego do szkół, zajął się gorliwie niemi. Z początku szło mu nieco twardo, ale później dziękował mi za tę myśl szczęśliwą (jak mówił) bo w swojej pustelni, zaczął swobodniej oddychać, weselęj na świat poglądać, odżywiony wspomnieniami lat młodocianych, i upłynionej a bogatej w rozliczne wypadki, pełnej życia i ruchu, przeszłości. W r. 1850 odwiedziłem sędziwego wojaka w jego zaciszu wiejskim w Droblinie. Nie tyle lata, co smutek i choroba wiecie go zmieniły. Ja com go znał w samej sile męzkiego wieku, krzepkiego i czerstwego zawsze: tak wesołego i uprzejmego w towarzystwie: com go znał i w prawdziwej wojownika postaci na krwawym polu bitwy, patrząc teraz na niego, okrytego siwizną, zmarszczkami wieku i już pochylonego nieco: przykrego i bolesnego doznałem wzruszenia. A jednak gdy wpadł na pamiętniki swoje, kiedy zaczął opowieść dawnych swoich czasów, rozrzewniał i odmłodził wspomnieniem. Na nowo zapął go dawny ogrzewał, a ja zapomniałem wtedy, że już nad nami razem przepłynęła ćwierć wieku, od owych chwil szczęśliwych, kiedy Białkowski w samej sile dojrzałego wieku, niedawne dla siebie opowiadał wyprawy i boje, a ja odłożywszy studencką tekę, słuchałem chciwie jego zajmujących opowieści. Umarł nagle dnia 30 Stycznia 1852 r. uderzony gromem apopleksyi w téjże swojej Droblina siedzibie. Pochowany na cmentarzu wiejskim przy kościele księży Paulinów w Leśnie obok swęj żony Franciszki z Wójcickich i małoletniej córki. Pracy swojej dał stosowny napis: „*Pamiętniki starego żołnierza.*“ Zaczyna od chwili urodzenia, i prowadzi aż po rok 1814, do czasu kiedy odprawdzał zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego do kraju. Pamiętniki te, obejmują bitego pisma do 150 arkuszy, i w druku mogą dwa spore tomy stanowić. Jak są całe ważne i zajmujące, tak historykowi, któryby chciał opisać kampanię 1809 r. niezbędne, gdyż sam w niej mając znakomity udział, dokładnie i szczegółowo opisał. Do tego włączył ówczesne sądy współczesnych, i kolorytem właściwym tak cudnie powłókł, że z całym urokiem przenosi czytelnika z jednego pola bitwy na drugie. Prostotę opowieści ustnej, szczęśliwie przechował: a gdy ta praca drukiem się upowszechni, stanie godnie obok dawnych pamiętników, jako nieodrodne prawnucze znanego, i zaprawdę słusznie wielbionego Jana Chryzostoma Paska (4).

(1) (2) (3) Akta stanu służby. (4) Żałuję że nie mogę tu umieścić z kilka ustępów z pamiętników Białkowskiego, bo by to przeszło zakres naszego wspomnienia o nim: mam jednak niewątpliwą nadzieję, że tę szacowną pracę wkrótce czytelnicy nasi ujrzą ogłoszoną drukiem.

BRODOWSKI ANTONI.

(Przypis do str. 165).

Powiedzieliśmy że Brodowski nie ma nagrobku: jest to myłka: wynaleźliśmy bowiem kamień leżący i zamazonny na murawie, z napisem:

„D. O. M. Tu spoczywają zwłoki ś. p. Antoniego Stanisława Łady Brodowskiego, Profesora Król. Warszawskiego Uniwersytetu Kawalera orderu Ś-go Stanisława klasy III. Żył lat 48, umarł dnia 1 Kwietnia 1832 r. najlepszemu mężowi przywiązana żona wraz z pięciorgiem dzieci, tę pamiątkę kładzie.”

GRÓB KAZIMIERZA BORAKOWSKIEGO.

(Przypis do str. 171).

Franciszek, jedyny syn Dominika Borakowskiego, a brat rodzony Maryi z Borakowskich Magnuszewskiej, b. pułkownik gwardyi grenadierów wojsk polskich: zmarły w d. 12 Stycznia 1850 r. w 64 roku życia: spoczywa także na cmentarzu Powązkowskim bez napisu, w murowanej pieczarze grobu Kazimierza Borakowskiego.

TEOFIL JANIKOWSKI.

(Przypis do str. 218).

Zacny St. Jachowicz w świeżo wydanym dziełku: *Książeczka dla Stefcia* 1855 r. taki nam podaje szczegół z lat młodych Janikowskiego, a wielce charakterystyczny.

„Teofil Janikowski jeszcze w dzieciennym wieku dostał obrazek od księdza Chryzostoma. Był to ś. Wincenty a Paulo, znany z swego poświęcenia się dla sierot i dzieci opuszczonych. Ten święty miał jedną dziecinę na ręku a drugą na pół nagą otulał starannie i prowadził do klasztoru, gdzie siostra miłosierdzia już na niego we drzwiach czekała. Śliczny to był obrazek niezmiernie zajął naszego małego Teofilka. Mój Boże! żebym to ja mógł tak ratować sieroty! I myśl ta święta padła na serce jego, jak ziarno zboża na dobrą ziemię. I wzrastala powoli, i Teofilek był pobożny, pilny, i wyrosł na chwałę Bożą. Nie był-ci on kapłanem, ale zacnym, zamożnym kupcem warszawskim. Z woli Bożej, przy pomocy podobnych jemu sercem, założył pierwszy przytułek dla biednych dzieci i ś. p. Wilhelm Malcz nazwał go *Ochroną*, a ów obrazek, dostał się do rąk jego przyjaciela i do dziś dnia ze czcią się przechowuje.” (Str. 44).

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE PIĘRWSZYM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Wstęp	5	Redel Jakób.	129
Powązki.	8	Pluciński Grzegorz	135
Założenie cmentarza za miastem Warszawą	10	Truskulawska Agnieszka	136, 259
Do Jana Chryzostoma Sławianowskiego.	15	Wolski Konstanty	138
Korespondencje na drodze urzędowej, względem założenia za miastem Warszawą cmentarza, prowadzone	21	Gagatkiewicz Walenty	—
Spoczywający na cmentarzu Powązkowskim w ziemi, z pomnikami grobowymi i bez pomników.		Kosicki Modest Watt	140
Malczeski Antoni	41, 245	Młokosiewicz Franciszek	142
Majorkiewicz Jan	47, 249	Jabłoński grenadyjer	143, 259
Kamieński Maciej	51	Królikowski Józef Franciszek	148
Bogusławski Jakób	54	Wilkoński August.	155
Morska Wanda.	56	Lebrun z Dembińskich Karolina	158
Garbiński Kajetan.	—	Blummer Ignacy Aleksander	160
Drozdowski Jan	59, 249	Dmochowski Franciszek	163
Regulski Józef	60, 250	Brodowski Antoni.	165, 261
Żółkowski Alojzy	62, 250	Kokular Aleksander	169
Nowicki Ludwik	66	Zakrzewski Jan, teorbaniata	170
Stefani Jan	67	Borakowski Kazimierz	171, 261
Stefani Jan (syn)	68	Borakowska Maryjanna z Makarewiczów.	171
Stefani Kazimierz	—	Borakowski Feliks (syn).	—
Stofani Eleonora	—	Borakowski Dominik	—
Tańska Maryjanna.	—	Dobczyński Jakób.	172
Tański Ignacy	69	Magnuszewski Dominik	173
Hermanowa z Tańskich Maryjanna	71	Reinszmitt Klara z Magnuszewskich	—
Komorowski Augustyn	—	Pętkowska Maryja z Borakowskich	182
Dziubiński Mateusz	72	Wiłacki Walenty	183
Dąbrowski Antoni S. P.	74	Lelewel Karól	184
Skibińska Karolina.	77	Rudnicki Teodor	186
Urmowski Klemens	81	Sonnenberg Anna	—
Urmowski Klemens (syn)	—	Lasocki Alojzy	188
Urmowski Aleksander	—	Blank Antoni	189
Urmowski Leon	83	Kozłowski Mateusz	190
Majewski Walenty Skoruchód	84, 250	Mirska Katarzyna	191
Gołebski Cyprian.	89, 254	Roliński Marcin	—
Wyszkowski Michał	93	Truskulawski Tomasz	193
Spiński Jan Augustyn	96, 255	Begnawski Wojciech	195
Werowski Ignacy	97	Gliński Augustyn	200
Magier Antoni	100, 255	Szymanski Marcin.	201
Brandt Franciszek	103	Żywny Wojciech	202
Brandt Alfons	105	Maliński Paweł	203
Skrodzki Józef.	—	Węgrzecki Stanisław	206
Skrodzka z Cichowskich Skrodzka.	—	Kado Michał.	208
Krogulski Józef	107	Ziemięcki Franciszek Mecnas.	209
Lux Kazimierz.	109, 225	Ziemięcki Franciszek Radca Skarbowy	—
Wierzbicki Piotr Bazyl.	110, 225	Święcki Tomasz	210
Wolski Józef	111	Wejnert Antoni	214
Rychter Józef	113	Jackowski Bazyl.	217
Skalaki Karól.	114	Janikowski Teofil	218, 261
Czychy Bartłomiej	—	Osiński Ludwik	220
Kruszyński Jan	115, 257	Wilczyńska Zuzanna	223
Roman Wiktor.	121, 257	Tatariewicz Jakób	224
Kozietulski Jan Leon	122, 257	Kuzma Jan	235
Nędziński Alekaj.	126	Trembecki Stanisław	243
Jakubowicz Antoni	128	Białkowski Antoni	259
		Zamknięcie tomu pierwszego	240
		Dodatki i przypisy do tegoż tomu	243

SPIS ALFABETYCZNY

TOMU I^{go} CMENTARZA POWĄZKOWSKIEGO.

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
Andraszek Edmund, pijar	77	Dziewanowski, kapitan	124, 257
Antoszewicz	153	Dziubiński Mateusz, lyrnik	72
Bacciarelli	175	Elsner Józef	18
Bando L. H.	82	Filipecki	138
Bettier, professor	189	Gagatkiewicz Walenty, doktor	139
Białkowski Antoni, pułkownik	144, 162, 259	Garbiński Kajetan	56
Blank Antoni, malarz	189	Gaszyński Konstanty	175
Blank Amalia z Pochwelów	—	Gliński Augustyn	200
Blaynel, lord	142	Godebski Cypryan, pułkownik	89, 254
Blummer Ignacy Alexander, jenerał	160	Godebska z Godfrinon Justyna	93
Blummerowa Maryanna, Benicya z hr. Cecopierych	162	Godebski brat Cypryana	89
Bogusławski Jakób, pułkownik	54	Grzegorzewska z Gostkowskich Sabina	158
Bogusławski Wojciech	195	Halpert Borys	175
Bogusławska Zofia	—	Hermanowa z Tańskich Maryanna	71
Borakowski Kazimierz	171	Jablonowski Stanisław, Xiążę	119
Borakowska Maryanna z Makarewiczów	—	Jabłoński, grenadier	143, 259
Borakowski Feliks	—	Jachowicz Stanisław	220, 261
Borakowski Dominik	—	Jachowski, podporucznik	60
Borakowski Franciszek	261	Jabkowski Bazyl, legionista	217
Borkowski Józef	177	Jakubowicz Antoni	123
Bose, Minister króla Saskiego	189	Janikowski Teofil	218, 261
Boski	120	Janikowski, doktor	192
Brandt Franciszek	103	Janikiewicz, podpułkownik	16
Brant Alfons	105	Jędrzejewicz Ludwika	183
Brodowski Antoni	165, 261	Jeziorski Ignacy	16
Brodzki	124	Izabelewicz, żołnierz	285
Chajęcki	16	Kado Michał	208
Convey Mistress	158	Kamiński Maciej	51
Czacki Tadeusz	116	Kamińska z Dobresów Anna	214
Czartoryska Izabella Xiężna	118	Karkowski Michał	16
Czartoryski G. Z. P.	—	Kaufus	153
Czempiński Jan Chryzostom	60	Każyński Maciej	97
Czychy Bartłomiej	114, 257	Kicki, adjutant	132
Dawidson Jerzy	102	Kiezorowski, doktor	193
Dąbrowski Antoni, pijar	74	Kielkiewicz, wachmistrz	257
Dąbrowski Henryk, jenerał	143	Kiliński Jan	207
Dembiński Ignacy Rawicz	158	Kirkor	110
Dobczyński Jakób, pielgrzym	172	Kochanowski Korwin Michał	207
Dobiecki, porucznik	91, 257	Kokular Alexander	169
Dobrzycki Mikołaj	60	Kollałaj Hugo	163
Dmochowski Franciszek	163	Komorowski Augustyn	71
Drozdowski Jan	59, 249	Komorowska Zofia	47
Dziekoński, dowódzca kirysierów	132	Kosecki Ksawery	92
Dzierzek, jenerał	161	Kosicki Modest, Watt	140
Dzierzkowski Józef, prawnik	62	Korzeniowski Zygmunt	17
Dzierzkowski Józef, powieście-pisarz	176	Kozietulski Jan, Leon, Hipolit, pułkownik	122, 257
		Kozłowski Mateusz, bibliograf	190
		Krasicki Ignacy	164
		Krański hr. Wincenty	125, 258
		Krański Zygmunt syn	175
		Krański Piotr	124, 257, 258
		Kragulski Józef	107
		Królikowski Józef Franciszek	148
		Królikowski Jan syn	154
		Kruszyński Jan	115, 152
		Kruszyńska z Poswiatowskich Barbara	115
		Krzyżanowski, porucznik	124, 257
		Kudlicz	152
		Kulman z Malczewskich Karolina	245
		Knrnatowski, pułkownik	132
		Kurpiński Karól	152
		Kuzma Jan	235
		Latontaine Leopold, doktor	140
		Lasocki Alojzy, kusnierz	188
		Lebrun	159
		Lebrun z Dembińskich Karolina	153
		Lefevre, pułkownik	55
		Lelewel Karól	184
		Lelewelowa Ewa z Szeluttów	185
		Lelewel Joachim	184
		Linowski	207
		Lux Kazimierz	109, 255
		Łubieński Tomasz, Jenerał	124
		Łukawski Konfederat	238
		Magier Antoni	100, 253
		Magier Katarzyna	255
		Magier Tekla	255
		Magnuszewski Hyacynt	173
		Magnuszewska z Borakowskich Marya	173
		Magnuszewska z Kęszyckich Karolina	181
		Magnuszewski Dominik Alojzy	173
		Majewski Walenty Skorochód	84, 250
		Majorkiewicz Jan	47, 249
		Makdonald, marszałek	132
		Malczeski Antoni	41, 245
		Maliński Paweł	203
		Malachowski Kazimierz, jenerał	132
		Matuszewicz T.	119
		Mirska z Badowskich Katarzyna Xiężna	191
		Mirski Xawery	—
		Mirski Tomasz	—
		Mirski Bogumił	—
		Młokosiewicz Franciszek	143

	<i>str.</i>		<i>str.</i>		<i>str.</i>
Molski Marcin	217	Sawa Konfederat	236	Truskulawska Agnieszka	136, 259
Morska Wanda	56	Segur, hrabia	124	Truskulawski Tomasz	193
Nędzylński Aleksy	126	Skaliński Franciszek	60	Tymieniecki Konstanty	94
Niegolewski, Pułkownik	124, 257	Skalski Karól	114	Urmowski Klemens	81
Nowicki Ludwik	66	Skarbek Fryderyk	105, 165, 175	Urmowski Klemens (syn)	81
Nowosielski Teofil	219	Skibicka Karolina	77	Urmowski Jan	—
Ojrzanowski, porucznik	60	Skibicka Julianna	77	Urmowski Leon	—
Osiński Ludwik	220	Skibicka z Drzewieckich Helena	77	Wahl Józef	13
Osiński Karol syna	223	Skimborowicz Hipolit	245	Warenne, professor	189
Pac, generał	133	Skrodzki Józef	105	Wasilewski, brygadier	124
Pakosz, adjutant	189	Skrodzka z Cichowskich Ludwika	107	Wejnert Antoni	214
Paszkowski, Adjutant	189	Sokolowski, wachmistrz	124	Wejnert z Gelińków Elżbieta	214
Pętkowska z Borakowskich Marya	182	Sonnenberg Anna	186	de Wernon	159
Piętka Tomasz	88	Spaeth Fryderyk	103	Werowski Ignacy	97
Plichta Andrzej	174	Spiski Jan Augustyn	96, 255	Węgrzecki Stanisław	206
Pluciński Grzegorz	135	Stanisław August, Król	238	Wiślicki Walenty, kapitan	184
Pochwell August	189	Strawiński Konfederat	236	Wilczyńska Zuzanna	223
Poniatowski Józef, Xiążę	131, 132	Stefani Jan	67	Wielhorski Jan	158
Potocki Włodzimierz	131	Stefani Kazimierz	68	Wilkoński August	155
Patulicki, adjutant	132	Stefani Jan (syn)	68	Wilkoński Klemens	156
Prokurat Dorota	16	Stefani Eleonora	68	Wilkońska z Lauczów Paulina	155
Puławski Kazimierz	236	Suchodolski January	132	Wodzyński Gabriel, biskup Smoleński ..	11
Raciborska z Borakowskich Ludwika ..	176	Sulkowski Antoni, książe	150	Wolski Konstanty	138
Radziwiłł Antoni, Xiążę	150	Suworow, generał	172, 175	Wolski Józef	111
Raknitz, Marszałek dworu Saskiego ..	189	Święcki Tomasz	210	Woronicz Jan, Arcybiskup	118, 150
Redel Jakób, generał	129	Sygiert Józef	83	Wirtembergska księżna Marya	117
Redel z Dąbrowskich Barbara	130	Szabrański; A. I.	214	Wierzbicki Piotr Bazyli, pułkownik ..	111, 255
Regulski Józef, pułkownik	60, 250	Szeptycki, pułkownik	125	Wiślicki Józef	107
Reinschmitt Klara z Magnuszewskich ..	173	Szopen Fryderyk	175	Wybicki Józef	165, 255
Richard, rozbójnik morski	256	Szumlański, pułkownik	132, 161	Wyczechowski Onufry	213
Roliński Maciej, doktor	191	Szymanowski Melchior	12	Wyszkowski Michał	93
Rolińska z Zalewskich Anna	193	Szymanowski Stanisław	—	Wyszkowski, major	161
Roman Wiktor, pułkownik	121, 257	Szymanowski Józef	—	Zakrzewski Jan, teorbaniista	170
Roman z Lachnickich Antonina	126	Szymanowski Antoni	—	Zap Karol Władysław	182
Rowicki	257	Szymanowski Teofil	—	Zielonka, szef	124, 257
Rostworowski, porucznik	124	Szymanowska z Magnuskich Maryanna ..	—	Ziemiecki Franciszek, mecenas	209
Rybiński, kapitan	60	Szymanowski Marcin	201	Ziemiecki Franciszek, Radca Skarbowy ..	209
Rychter Józef	113	Tańska Maryanna	68	Żolkowski Aloizy	62
Rymkiewicz, Jenerał	89, 92, 161, 250	Tański Ignacy	69	Żorawski, porucznik	81
Rucińska Zofia	43, 247	Tatariewicz Jakób	224	Żywny Wojciech	202
Rudowski, porucznik	124, 257	Tedwen Wincenty	257		
Rudaicki Teodor, podpułkownik	186	Trembecki Stanisław	243		



CMENTARZ POWĄZKOWSKI

POD WARSZAWĄ.

CHYNTARZ POWAZKOWSKI

POD WARSZAWA



no. 626



TOM II.
WARSZAWA
1855

CMENTARZ POWĄZKOWSKI

POD WARSZAWĄ,

OPISAŁ

K. Wł. Wójcicki.

RYCINY A. MATUSZKIEWICZA.

„Tak ludzie przeciągając za ojców koleją,
I kolebki i trumny niosą za nadzieją:
Dziś różą, dziś cyprysem uwieńczeni smutnie,
Tu biją w dzwon pogrobny, tam w weselne lutnie.”

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

TOM II.

WARSZAWA.

W Drukarni S. Orgelbranda

przy ulicy Miodowej Nr. 495.

—
1856.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu,
prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 10 (22) Września 1855 roku.

Starszy Cenzor, Radca Dworu, **J. Papłowski.**



Rys. znatury A. Matuszkiewicz

Odbito w Lit. Ring w Warsz. Ul. Rybnarska N° 74.

Lit. W. Walkiewicz

AMBONA NA CMENTARZU.



nr 626



in Litograjn banku tola:

GROB J. F. KROLIŃKOWSKIEGO



ND. 626

DO

JANA KRÓLIKOWSKIEGO

ARTYSTY DRAMATYCZNEGO.

Rok za rokiem ubiega, a nasze wędrówki na cmentarz powązkowski coraz częstsze: patrzym z zażawioném okiem na te smutne korowody żałobne, słyszym on dzwonek pogrobowy z drewnianej dzwonnicy, co go echo po ogrodzie mogilnym roznosi, jak zwiastuje przybycienowego gościa, do téj siedziby milczącej i głuchej.

A ja tu częstszym jeszcze przychodniem bywam, bo z tych zamszonych, przytartych i nieraz potrząskanych kamieni, zbieram napisy zapomnianych już imion, a godnych, aby w téj księdze znalazły poczciwe wspomnienie.

Piszę do ciebie zacy mój przyjacielu, pod świeżém a bolesném wrażeniem;—wracam smutny i rzewny z pogrzebowego obrzędu! — Pochowaliśmy zwłoki młodej, bo w kwiecie wieku zgasłej Rozalii Biernackiej, co nie liczyła jak dopiero rok 24ty życia. Zasnęła snem wieczystym dnia 21 lipca, a nazajutrz i niemowlę które karmiła piersią własną, jakby tęskniąc za swą rodzicielką, w téjże samej trumnie, przytuliło się do matczyngo łona.

Nikodem Biernacki, syn owéj pięknej części dawnéj Polski, zwanéj Galicyją, jako znakomity skrzypek, znanym jest nie tylko w kraju naszym. Imie jego nie raz już brzmiało chlubnym odgłosem sławy. Po długich wędrówkach światowych, poznał w Kaliskim Rozaliją Gałczyńską, córkę zanego domu, pokochał szczerą miłością i powiódł ją do ołtarza. Szlachetnego charakteru, oddany całą duszą sztuce, zapragnął teraz domowéj zaciszy, rojąc sobie, że mając za towarzyszkę kobietę, co przy urodzie, łączyła anielską łagodość i słodycz, owe ozdoby polskiej niewiasty, w kółku własnej rodziny odetchnie swobodnie; a zwykłe codziennego życia nieodłączne troski, osłodzi pod jéj opieką i zażegnaniem, zajęciem artystycznym. Bóg pobłogosławił téj myśli w początkach: zatlił nad ich siedzibą gwiazdę prawdziwego szczęścia i spokoju.—O! bo widziałem na uroczém obliczu s. p. Rozalii ten wyraz radości, co upromienia każde dobitnie, gdy jest spokój duszy,

miłością człowiek żyje. Biernacki zbierał w dnie oznaczone co tydzień, grono przyjaznych mu artystów, których umiał sobie zjednać; i łącznie wykonywali owe utwory jenijalnych mistrzów, co zostały zawsze dla sztuki i prawdziwych artystów, arcydziełami. Rozalija zrozumiała do razu stanowisko swoje, jakie żonie artysty przystawało, owém przeczuciem właściwém każdej niewieście, co niepokalanie stąpa po drodze życia. Potrafiła więc pogodzić obowiązki gospodyni, z obowiązkami tklivéj a kochającéj żony. Ale czas zupełnego szczęścia wkrótce przeminał, miała zostać matka. Ile radości ta pewnośc w jéj sercu obudziła, tyle niepokoju i troski w mężu, co znał jéj nikłe i wątłe zdrowie; przeminięła chwila trwogi, zakwiliło dziecic witaając światło dzienne. Ileż wesela jasno upromieniło domową ustroń małżonków; z płaczem wszakże niemowlęcia zarzała niedługo zgryźliwa troska, i wygnała wesołość, jakby natrętnego gościa. Przyszła choroba, a po niéj śmierć! A nieszczęśliwy artysta, tracąc dnia jednego żonę, którą ukochał najżywszą miłością, patrzeć musiał nazajutrz na śmierć syna!

Zeszliśmy się razem w liczne grono na cmentarz, i tu zaci artyści nie opuścili swego brata w sztuce. Zwłoki zmarłej wyniesiono z kościołka gdzie spoczywały: zabrzmiała żałobna muzyka i chór dobrany śpiewaków. Była to chwila rzewna, która łączy z oczu mimowoli wyciskała! Na bożym świecie czas tak piękny! wieczór pogodny! słońce w całym jeszcze blasku przedzierało się przez zielone liście tego cmentarnego ogrodu. Krótką mieliśmy wędrówkę z kościoła do dołu katakumb; a jednak ta chwila wyrwała się wrażliwie w duszy mojej. Patrzałem jak za tą trumną niesioną, szedł biedny artysta, który do razu wszystko co miał najdroższego na tej ziemi utracił. Postępował machinalnie, wynędzniony, z żółtki, z oczyma zapadłymi. Na tym wyrazistym obliczu, czytałeś rozpacz, na którą balsam pociechy Bóg jeno daje, gdy rozkaże *czasowi* ranę tę krwawą serca, zwolna przygajać. Złożono trumnę nad tą pieczarą ciemną, w której nateraz pochowano zwłoki zmarłej. Odezwała się smutna pieśń kapłanów, spuszczone trumnę w głębią pieczary. Jęk z płaczem rzewnym dobył się z rozdartej piersi owdowiatego podwójnie, w jednej prawie chwili. Czuł że przestał być mężem i ojcem; tracił te dwie nazwy których pragnął, bo mu miały umaić szczęściem drogę żywota. Jeszcze potem chwilę brzmiała muzyka i chór śpiewaków: ucichło wszystko, ale nie ucichł jęk biednego artysty, bo wracać nie miał po co do osieroczonego domu, w którym wszystko, gdzie rzucił okiem, przypominać mu będzie pamięć tej, której strata zasłużyła i na naszą łączy rzewną, i na cześć i poszanowanie zarazem (1).

Te żałobne tony muzyki, które odbijają smutnym echem ponure katakumby, a tulą i głąszą zielonym liściem drzewa, przywiodły mi na pamięć, inny obraz pogrzebowy przed parą laty (2).

Na spoczywającej na karawanie trumnie, złożony hełm i pałasz, zwiastowały że wieziono zwłoki wojaka. Przeprowadzano na wieczny spoczynek starego naszego weterana, co w młodszych latach przeszedł nie raz za swoją chorągwią całą Europę, od skwarnych Włoch i Hiszpanii, do zgubnej Berezyny. Oddział wojsk Cesarско-Rossyjskich, szedł ze spuszczonej bronią, a przed trumną wojskowa muzyka, żałobny marsz przygrywała. Grono wojowników naszych a towarzyszków broni zmarłego, osiwiących i osmutniałych, postępowało zwolna za karawanem. Wniesiono trumnę na cmentarz, a przy spuszczeniu jej do mogiły ziemnej, trzykrotna salwa ognista, zagrziała żołnierskim pożegnaniem. Spłoszone ptastwo uleciało z przestrachem, posypały się przężółki z drzew liście; a towarzysze zmarłego, stali jeszcze ze spuszczonej głowami nad świeżo usypaną mogiłą. Nie w jednego oku łąza serdeczna zabłysła; ja smutno patrzałem na to szczupłe grono osiwiących w bojach wojowników, z których każdy, bogaty w zaszczytne wspomnienia w upłynionej przeszłości, dziś roztkliwia się jak dziecię, i płacze nad grobowcem swego towarzysza. W milczeniu podali sobie ręce, uściskali się, i jakby natchnieni jedną myślą, razem wyrzekli: „*nas to wkrótce czeka.*“ rozeszli się ze zwieszoną ponuro głową i ciężkiem westchnieniem.

Lubię odwiedzać cmentarz w poranku, bo nic nie przerywa tej ciszy, tyle tu przemawiającej do duszy. Żaden pogrzeb, żaden śpiew żałobny, nie przerywa milczenia: wiosną najmilsza tu przechadzka. I tego roku, wiosna gdy rozwinęła swoje powaby, umiała trawą ziemię, a zielenią krzewy i drzewa; napawała mię wonią bzu rozkwitłego, co bujnie przy grobach powzrastał,—a cisza wśród tego poranku taka, żem dosłyszał śpiew skowronka, co za murem, po nad miedzą, daleką wlatywał. Nagle z otwartego kościoła zabrzmiały organy i śpiew mu zawtórował, który słabym echem dolatywał do uszu moich, bo się rozbijał i czepiał to grobowców, to młodych listków drzew i krzewiny. Nieopisane rzewne uczucie ogarnęło serce, usiadłem na grobie granitowym Majorkiewicza. Dzień był pogodny, całe niebo lazurem czystym pokryte; lekko biaława chmurka mała

(1) Zmarła dnia 21 lipca, pogrzeb odbył się dnia 23 t. m. 1855 roku. Biernacki dotknięty tak bolesną stratą, opuścił na długo nasze miasto i pożegnał się z niem rzewną dumką (Pożegnanie. Dumka do śpiewu z towarzyszeniem fortepjanu. Słowa W. W. muzyka Nikodema Biernackiego. Warszawa, nakład G. Sennewalda).

(2) Przed rokiem 1830, było przyjętym u nas zwyczajem, że pogrzebom nie tylko bogatszych panów ale za możniejszych rzemieślników, towarzyszyła muzyka. Żałobne jej tony, podnosiły powagę obchodu, i rzucały większy jak dziś, urok smutku i rzewności.

zawiesiła się nad powązkowskim kościołem; spojrziałem na nią mimowolnie, i zdało się, że w jej przezroczu uwinięte w mgły, jak w lekkie opony, nasłuchują dusze zmarłych co tu spoczęli, i tej pieśni i tych poważnych a melodyjnych tonów organów. W tych postaciach pływających na tle nieba, co jak kwiaty kołysały się za lekkim poddmuchem wiatru, narysowanych zaledwie, poznałem znajomych, przyjaciół; rozpoznawałem owe oblicza mężkie naszych ojców, co tu blisko od 40 lat spoczęli, surowe rysy wojowników, i owe niewieście uśmiechnięte twarzyczki, anielskim zdobne wyrazem, naszych dziewic wcześniej zgastych, co się tuliły na łonie poważnych matek, i z ich objęcia spoglądały na ziemię. A każda z tych postaci, choć podobieństwo rysów zachowała swoich i charakter oblicza, była tak przezroczysta, tak nie miała piętna żyjącej istoty; że zdawało się, że powłoka, co te dusze przystrajała w postaci ci znajome, nie była cielesną, tylko utkaną z mgły lżejszej i cieńszej od pajęczyny, którą twoim oddechem, westchnieniem nawet żałobnym rozbijesz, że się w chmurce rozplynie. Przecież wyraźnie każda miała swoje oblicze i wzrok ten, w którym nie ziemskie tliły uczucia. Rozróżniałeś na nich i smutek, i rzewny, niemal łzawy uśmiech, a w niektórych postaciach matek i dziewic, zajaśniały łzy, co jak perły stoczyły się ku ziemi, odbijając w sobie promienie słońca. Łzy to matek co płakały za sierotami zostawionymi na ciężką drogę życia ziemskiego,—łzy to dziewic, co zostawiły jeszcze istoty, które kochały pierwszą miłością i może tęskniły za nimi. Jakiś głos podgrobowy szeptał mi to wszystko, rozróżniał obłoczne zjawiska, i przy każdym cma wspomnień zaraz gwarzył, a te, roily się w około jakby brzęk z ulu pszczolnego.

Zabrzmiały silniej organy: pieśń pobożna umilkła, i moje zjawisko rozplywać się mgłą coraz bledszą i niklejszą zaczęło.

„Wysłuchały już pieśni Bożej,“ przemówił głos, co mi szeptał ciągle, „módl się sam teraz!“ Pochyliłem kornie głowę; a gdym po chwili podniósł oczy, biała chmurka rozdarła na szmaty, jak rozbite stado gołębi, niktęła w oddali.

Dziwnie uroczą i szcogolną ma postać cmentarz powązkowski w dzień *Zaduszny*. Smutna to pora listopadowa, zimna, często i śnieżna. Wedle dawnego zwyczaju, na grobach zapalają to lampy, to świece, i noc całą błyszczą świetna illuminacja w tym obszernym ogrodzie zmarłych.

Warto żebyś wieczorem odwiedził w *Zaduszki* cmentarz powązkowski, jaki przedstawia obraz to oświecenie grobowców i mogił wśród cienia nocy; te migotliwe światelka lamp różnobarwnych, te mrugające świec płomyki, co rozświecają dziwnie pomrokę; a w drżących cieniach co się rozściełają, zdaje się jakby z otwartych mogił, podlatywały duchy tych, co tu oddawna kościami użyźnili tę nieplenną wydmy piaszczystą. Cisza w około głęboka, zaledwie przerwana skrzypem piasku lub śniegu pod nogami przechodnia, czasem przytłumionym szepceniem modlitwy, jękiem z piersi, płaczem i łkaniem, łączą się zgodnie w jeden obraz pełen niewysłowionej rzewności. Chodząc po tym wielkim grobowisku naszego grodu, snują się za każdym krokiem jak pajęczyna pól naszych babiego lata, wspomnienia, co cię chwytają i czepiają się z każdej mogiły, z każdego grobowca. Smutna zaprawdę przechadzka dla obcego wędrowca, co pierwszy raz tu stąpa i czyta imiona obcych mu i nieznanym osób; ale smutniejsza dla mnie, co tylu tu znajomych, krewnych i przyjaciół w ziemi pochowałem; przy iluż to pomnikach, przy rozbudzonej w myśli wspomnieniu, nie staje zaraz i postać zmarła! (1).

(1) Muszę tu przypomnieć bardzo piękną i trafną uwagę Józefa Sikorskiego, którą przywiódł w jednym z pism swoich co do pomników grobowych.

„Zdawało mi się zawsze—mówi,— że wszelkie, ludzi, jeniuzsów a nawet aniołów postaci, tak często na pomnikach grobowych mieszczono; mają tylko jeden wyraz, jedną cechę—smutku,—nadziei, są zupełnie pozbawione, i mimowolnie na ich widok, człowiek smutkiem się tylko napawa. A przecież smutek ziemski, ma pociechę w nadziei i w pewności przyszłego żywota. Ta nadzieja, ta pewność, to najczęściej jedyna tu dla człowieka nagroda; za walkę i cierpienia. Czemuż mu jej odmawiać niejako po zgonie, czemu rozumieć że się mylił, każąc płakać aniołom lub

To też pamięć rysuje nieprzeliczone obrazy, które ubarwia z całą uludą, roztwierając księgę przeszłości, daje czytać karta po karcie, z dziejów *życia* tych, co przeszli już drogę światową i stanęli u ostatniego celu—grobu, dla złożenia matce ziemi, owęj powłoki cielesnej, jak owi nasi ojcowie rycerze, co składali uznojone zbroje i zdobyte chorągwie, jako *vota*, aby użyć spokoju w domowej, na roli własnej, zaciszy. Tu zacisza obszerna i gleba bujniejsza, bo ją zasilają kośćmi swemi dzień po dniu, mieszkańcy wielkiego Mazowszan grodu. Jeżeli wspomnienie drogi każdego życia, co ją przeszedł prawo i uczciwie, są dla nas nauką i wskazówką jak to zasługuje się na dobrą i po zgonie pamięć; są tu grobowce i napisy, od których przechodząc, z niechęcią się odwracam, i imion tych, nie zapisuję wcale w tej księdze. Znając dobrze szczegóły życia, bolesne obudzają uczucia, jak wiedzeni poszeptem złego, od lat młodych zbłąkani, brnęli z uśmiechem na ustach, w kale ziemskim i doszli ze wszystkimi, do jednego celu, grobu na powązkach! Czy myślicie, że nigdy sumienie, on Stróż Anioł Boży, dany człowiekowi za przewodnika, nie szeptał im przestrogi; nie wskazywał ścieżki prawości, nie przekrzywił radośnego uśmiechu bólem zgryzoty w chwili, gdy w pełni dostatków i bytu świetnego, chcieli się weselić i używać szczęścia? Chociaż byli głuchymi na ten poszept Boży, uderzała i na nich godzina straszna boleści i rozpaczy, w chwili, gdy to, co ukochali tak chciwie, dostatek, znaczenie, utracić musieli. A teraz wszystko co taili przed światem, co taili przed sobą, on nieodstępny Stróż Anioł, przywodzi na pamięć, porusza uspięne chwilowo sumienie, które zdawało się im, że potralili ogłuszyć, to trunkiem, to przysmakami wykwiętego stołu, to pychą i brzękiem złota. Sprawiedliwe są sądy Boże! W chwili zgonu, uczciwe życie, cnota a praca i miłość, te tylko przychodzą na osłode i pomoc w ostatniej godzinie rozłąki z ziemią. Nieszczęśliwi, nie mają tej pociechy, bo przeszli drogę życia błotem i kalem; a ci co im służyli, co z taką giętkością bili pokłony, z uśmiechem szyderskim na ustach, patrzą na konającego męczarnią, gotowi do okazania w oczy pogardy! Widziałem zgon takich ludzi, co tarzając się w boleściach, spowiadali się głośno z tajemnic życia swego; co pewni śmierci, wzywali miłosierdzia i przebaczenia Bożego; co przeklinali swoją chwilę urodzenia! Widziałem i takich, co silniejsi złą wolą, przed otaczającymi łoże, tłómaczyli się z własnej podłości, a co chwilę odwracali głowę, zalewając się gorzkimi łzami. Tacy chcieli wyżebrać, oszukać *opinią*; a czując że rozum i wymowa nie starczą i słabną, płakali rzewnie, że im Bóg odmówił daru i natchnienia. Nie mało tu takich ludzi spoczywa, mają tu grobowce i piękne złożone napisy; mijam je zawsze z bolesnym westchnieniem, a ich imiona przekazują temu, co może kiedyś po mnie, dalej przeciągnie niniejsze dzieło, wspomnieniu zmarłych braci poświęcone.

Nie tylko życie każdego z nich daje zajmujące obrazy; nie braknie ich i w samych pogrzebowych obrzędach. Śmierć i krótka wędrówka na cmentarz, są rzeczy na pozór zwyczajne, bo codzienne; a ile ony nie mają odcieni i rozmaitości! Widziałem pogrzeby wspaniałością bijące w oczy, ale żadna łza, nie uczyła pamięci zgasłych; widziałem pogrzeby ubogie, pełne rzewności, bo w nich prawda boleści i rozpaczy, przemawiały do głębi serca! (1).

dumać smętnie obliczem w dół skierowanym. Dla czegoż zasepiona twarz boleścią ziemską, nie wzniesie się do nieba po nadzieję i nagrodę? Wszystkoż się tu już skończyło, by pozostałym należało tylko rozpacznie załamać dłonie! Albo sztuka rzeźbiarza lęka się upaść, opromieniając żal pociechą?" (*Gazeta Codzienna* N. 127, z r. 1855).

(1) Przed wielu laty, w jednym tygodniu, widziałem dwa szczególne pogrzeby. Karawan o jednym koniu, przywlokł nędzarza ze szpitala. Cały orszak pogrzebowy, składał kaleka bez nogi, a za nim pies z dużych kundli. Wniesiono trumnę i pochowano w wspólnym dole ubogich. Pies zawył kilka razy przeraźliwie, a *bez nogi* otarł łzy na siwe wąsy spadające, i smutnie opuściwszy głowę, szedł drogą do furty.

— Daruj mi mój przyjacielu, — rzekłem — że cię zapytam: kogożś to pochował?

— A! swego przyjaciela panie, a był to człek więcej jak przyjaciel, bo jak brat i ojciec dla mnie. Służyłmi razem we wojsku panie: — ale on wyszedł cały i zdrowy; a ja, jak pan widzisz, bez nogi, a i ran kilka dolega... I otarł znów łzy rękawem od zniszczonej już kurtki.

— Mój bracie, to słusznie go płaczesz, kiedy to był taki przyjaciel jak mówisz.

Część tę drugą niniejszego dzieła, przypisuję tobie, zacny mój i szlachetny przyjacielu. Znajdziesz tu nie mały zastęp braci swoich w sztuce, co w zawodzie dramatycznym znakomite położyli zasługi. Czytałeś już wielu życiorysy; tu między liczniejszém gronem, staną przed oczy postacie niepospolitych artystów, jak Pia-seckiego, Zdanowicza, Kudlicza, Dmuszewskiego, Leduchowskiej i wielu innych. Znałem ich niemal wszyst-

— Cóż ja teraz bez Piotra zrobić?—mówił jakby do siebie,—kto mnie pożywi, okryje i pocieszy na świecie!—
A lzy starcowi tłumily mowę.

Wyszliśmy na drogę ku miastu; noc była pogodna, księżyc w pełni zajaśniał: puchacza głos tylko z cienia cmentarnego przerywał spokojną ciszę. Bez nogi szedł zwolna i łkał ciągle, wołał i poświstywał „na! Azor tu! do nogi Azor!—gdy psisko się ociągało i niechciało iść za nim.

— To widzi pan, pies nie mój, tylko Piotra,—ledwem go wyprowadził z cmentarza;—dwie teraz zostały sieroty; i ja umrę i psisko zdechnie z głodu, bo nie masz naszego Piotra!

Rozrzewnienie starca było bolesném.

— Nie rozpaczaj mój bracie,—odrzekłem,—Bóg dobry i litościwy czuwa nad każdym, to i wami opiekować się będzie!

— To prawda panie, aleć nie darmo mówią: Boga wzywaj a ręki przykładaj: a jak mi ręki do roboty przykła-dać, kiedy okryta ranami, siekiery nie podniesie,—a i noga prawa pochowana na polu!—I wskazał ręką w stronę za cmentarną. W téj chwili na obliczu Beznogiego, widziałeś jak go to wspomnienie orzeźwiło na obliczu, i zda-wało się że o swéj boleści zapomniał. Ale krótka to chwila była: znowu spuścił głowę na piersi; świsnęła na Azo-ra—i szliśmy dalej.

— Bo to widzi pan,—(mówił westchnąwszy), Piotr miał żonę i troje dzieci. O! święta to była niewiasta Prac-o-wali oboje:—Piotr chodził z piłą i siekierą na zarobek; jak most zerwało, to miał łódź swoją i przewoził; ba, i w święto na Saską kępę państwo woził, a piotrowa prała, szyla bieliznę, bo to dworka była. Ja wtedy im pomagałem jak mogłem. Nositem wodę dla Piotrowej, rąbałem drwa, nianczyłem dzieci, robiłem wiecierze na ryby, to naprawiałem łódź; i jak płynęli'm, byłem przy rudlu. Mieszkaliśmy na powisłu. Ale przyszła cholera, umarło troje dzieciak we dwa dni, po nich poszła matka;—ja płakałem, ale Piotr nie płakał nic, i to mnie panie straszycło. Zbladł, z zieleniał, schudł strasznie, ale Bóg utrzymał go przy życiu. Zostalim we dwóch doma i z Azorem, a lubił te psisko, bo dzieci się jego bawily z nim, i Piotrowa lubiła, bo to stróż dobry, a dzieciaki nieraz kowno na nim jeździły, a on im lizał ręce i nogi. Nie długo potém mnie się rany w rękę otworzyły, nie dźwignąć nie mogłem; a Piotr wdychał, przyciskał mnie do piersi, a pracował jak mógł. Ja patrzałem jak nikał; chodziłem do Trynitarzy, modliłem się za niego. W rok po śmierci żony i dzieciak, położył się na tapczanie, i z niego nie powstał. Pilnowałem go szczerze, możesz mi pan wie-rzyć:—ale cóż - bięda, bięda, a w końcu nędza. Sprzedawałem skrycie co było w chalupie, aby miał ciepłą strawę i lekarstwo i doktora. Raz siedziałem przy kominie, gotowałem mu rosół z kury: wieć pan, ja dla Piotra tę kurę ukradłem. Bóg widzi nie miałem jej za co kupić, a doktor kazał rosół z kury gotować. Piotr się obudził i mnie zobaczył.—Co tam robisz Janek?—zapytał.—Rosół z kury dla ciebie.—A zkądś to wziął?—znowu mówi do mnie,—to droga potrawa. Jam się odwrócił, bom się wystydził zajrzeć mu w oczy, i odrzekłem z cicha:—Kupiłem... — Oto mi z ciebie wielki pan! Nie prawda, tyś ukradł tę kurę!— I zaczął płakać, ale tak rzewnie jak dziecko. Były to panie, pierwsze lzy jego od śmierci żony i dzieci. Płacz, płacz,—myślę sobie; może przyjdiesz do zdrowia. A gdzie tam,— z tymi łzami wyplakał i duszę. — Nazajutrz o północy obudził się, kazał zapalić gromnicę, i powiedział do mnie:

— Janie! módl się; ja idę do mojej Marysi i dzieciak; widziałem wszystkich we śnie. — Chodź tu... uściskaj mnie, a nie daj z głodu mu zdechnąć... i położył rękę na łbie Azora, co stał przy łożu, i lizał mu ją wychudłą i żółtą. Ja się zacząłem modlić, on mi oddał gromnicę, westchnął, i skonał. Azor to pierwszy przeczuł; bo zawył pa-nie tak straszno, że ja krzyknąłem: Piotrze! mój kochany Piotrze!.. Ale on już słowa więcej nie przemówił.

Głos beznogiego przy tych słowach zadrztał, stanął, iść nie mógł.—Odpocząwszy chwilę mówił spokojniej:

— Sprzedałem co zostało na pogrzeb; i ot, wracam do pustej izby, gdzie'm lat tyle szczęśliwie przeżył, w pu-ste kąty, gdzie bywało tyle uciech, i tyle serc pocziwych.

— Podaj mi rękę na pożegnanie mój bracie;—i wsunąłem mu kilka złotych.

Starzec zmarszczył czoło, i z boleścią zawoła: „*ja! muźna!*“

— Nie! nie mój przyjacielu; oddasz mi to później,—zobaczymy się z sobą,— odrzekłem zmieszany. — Wiem gdzie mieszkasz.

— Chyba że tak, bo widzi pan ja ukradłem kurę, ale to było dla chorego Piotra, ale jeszcze nie zebrałem. Tymczasem dziękuję panu! Azor tu! dalej do domu!

kich z bliska; i z uczuciem prawdziwego smutku odwiedzam ich mogiły. Szczęśliwi choć w tym przynajmniej, że jak towarzysze jednej chorągwi, spoczęli obok siebie na jednym cmentarzu!

I znikł *bez nogi* na zakręcie ulicy. (1) Jakby na przekorę temu prostemu obrazkowi, w tydzień później, miałem inny na tymże cmentarzu: w treści swej bogaty do obszernej zaprawdę powieści.

Młody Stefan * * * z zamożnej rodziny, ukochał pierwszą miłością młodą, nadobną, poczciwego gniazda i z najpiękniejszym wychowaniem, ale ubogą dziewczę. Postać jej anielska, głos w śpiewie cudny, łagodność charakteru; wszystko to powiększało grono jej wielbicieli. Stefan zyskał pierwszeństwo, bo zasługiwał na to przymiotami duszy: prawy, szlachetny, odważny, pełen wiary i zapалу do wszystkiego co piękne, co cześci ludzkiej godne. Marzył zyskawszy wzajemność Hanny, o przyszłej szczęśliwości życia, niespodziewając się że znajdzie w spełnieniu gorących swych życzeń nieprzełamaną zaporę. Ojciec jego, człowiek światły, dorobiwszy się majątku, przez zbieg przychylnych okoliczności, zapragnął aby Stefan, ze wszystkich dzieci ulubieniec, bogato się ożenił, i powiększył jeszcze dostatnie mienie. Daremnie syn na kolanach go błagał, nie mógł przełamać uporu dorobkowicza, który w uniesieniu rzucił przekleństwo na związek, gdyby doszedł, Stefana z ukochaną Hanną. Biedne dziewczę, po trzech latach walki, strawione cierpieniem, umarło na suchoty. Patrzałem na tę anielską postać, złożoną w trumnę, w wieńcu róż, w białej atlasowej sukni przyrzuconej kwiatami; i przyszedł mi na myśl ów ustęp Byrona:

„Kto na śmiertelném oglądał posłaniu	Zda się być żywą; gdyby nie to oko
Piękne oblicze zaraz po skonaniu,	Gdzie już nie świeci ni lza ni namiętność,
Nim dzień przeminął pierwszy dzień nicestwa,	Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
Ostatni trudów i bólów jestestwa;	I straszy widzów, i serca im studzi,
Nim śmierć ostatniem przyściśnieniem ręki,	I z oczu trupa wpada w serce ludzi!
Zgladziła rysy, gdzie chronią się wdzięki;	Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,
Kto pomni twarz tę, anielską, łagodną	Nim ta godzina, w tej jeszcze godzinie
Tak zimno piękną—tak smutnie pogodną;	Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Zda się w letargu zasypiać głęboko,	Że jej tyranstwa nikt z razu nie zgadnie.“ (2)

O tak! zdawało się że ta dziewczica zasnęła tylko snem cichym i łagodnym; przy białości alabastrowego oblicza, jeszcze słaby rumieniec je krasił. Trudno opisać żalu i rozpaczki biednego Stefana: zachorował ciężko; leżał długo w gorączce. Odprowadziliśmy zwłoki zmarłej na cmentarz powązkowski. Kiedy powstał z łoża boleści, towarzyszyłem mu do grobu narzeczonej: krzyż drewniany wycisnął mu lzy rzewne: płakał rozkwilony jak dziecię, i to mu ulgę przyniosło. Kilkanaście lat minęło od tej chwili. Nie widziałem go nigdzie, mówiono mi tylko że się bogato ożenił wedle życzenia ojca. W tydzień, jakim wspominał, po pogrzebie biednego Piotra, wspaniały pański pogrzeb, zwrócił uwagę Warszawy. Sześciokonny karawan dźwigał trumnę aksamitną, w złote galony suto strojną. Wszystkie konwenty w długich szeregach postępowały: przed nią; gorzały jasno pochodnie, a za karawanem jeszcze dłuższe ciągnęły szeregi karet i pojazdów. W tej trumnie spoczywały zwłoki żony Stefana * * * który siedł pieszo. Ledwie go poznał: siwizna spruszyła dobrze czarne kędziory włosów, oblicze wybladłe i zmarszczone, znać na niem wyczerpany zasób życia. Połączyłem się z orszakami żalobnym, pochowano dostojną panią w marmurowym grobie, ani jedna lza męża nie poświęciła grobowego kamienia: niedojrzałem w owym niegdyś tyle uczuciowym Stefanie, ani cienia smutku. Słyszałem jak po spuszczeniu trumny do grobu, dawał rozkazy i pieniądze na skończenie pomnika, jak przypominał swemu znać domownikowi napis pogrobowy, w którym te wyrazy powtarzał: że *„poszły mąż w nieutulonym żalu ten pomnik stawia.“* Cofnąłem się ze zgrozą na tyle ironii; i pod krzyżem już pochylonym zmarłej Hanny, w modlitwie na jej pamięć, odetchnąłem swobodnie. Wychodząc ze cmentarza zapytałem jednego z dawnych towarzyszy Stefana który mieszkał z nim w sąsiedztwie:

— Czas wszystko zmienia mój bracie, (odrzekł mi na to) z owego pełnego zapалу młodzieńca, z duszą tak szlachetną masz teraz zimnego samoluba, który w nic nie wierzy jak tylko w pieniądze. Teraz jest to pan bogaty, milioner, a do tego wyborny smakosz. Chcesz go poznać bliżej, pójdz do Marego, dziś daje sutą stypę, zabawim do północy ochoczno.

— O nie! nie! zawołałem,—nie pragnę takiego odczarowania.—Ale czy jest szczęśliwy?

— Nie powątpiewaj o tem: któryż smakosz nie jest szczęśliwym, kiedy ma za co dogadzać swęj jedynę na tej ziemi namiętności.

Skloniłem głowę przed tak wielką prawdą, i smutniejszy wróciłem ze wspaniałego pogrzebu!

(1) Bóg opatrzył! *bez nogi* żył jeszcze lat kilka. Znalazł przytułek u poczciwego Szewca ze Starego miasta, wraz z nieodstępny Aze-rem;—wrócił do zdrowia, rany mu się zagoiły; i pomagał pracą swemu dobroczyńcy. Przed dwoma laty zmarł po krótkiej chorobie, i pochowany w spólnym grobie ubogich, tam, gdzie i kości Piotra spoczęły.

(2) *Giaur*,—przekł. Franciszka Morawskiego.

SZANIAWSKI FRANCISZEK KSAWERY.

(Spoczywa w ziemi bez żadnego napisu).

Urodzony w r. 1768 we wsi *Wieżawnicy* pod Jarosławiem, syn Józefa Vice-Rejenta ziemi Łukowskiej i Zofii z Podcząskich: Prałat Scholastyk Metropolitalny Warszawski, professor b. Królewsko - Warszawskiego Uniwersytetu: Członek b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przeżywszy lat 62, umarł w Warszawie przy ulicy Kanonii pod liczbą 80 dnia 15 Sierpnia, 1830 roku.

Piękny nam jego obraz zostawił Kazimierz Brodziński w swoich pamiętnikach, który dosłownie, jako nieznaną dotąd, tu zamieszczamy.

„Był to mały, szczupły staruszek, znany w Warszawie ludziom każdego stanu i wieku, skrzętny jak pszczołka; z równym zajęciem spieszył na prelekcye kodeksu, tam na śmierć dysponować, tu dzieciom zanieść cukierków, na radę familijną, na sessyją uczonych: tam ochrzcić dziecię ministra, tu dawać ślub wyrobnikowi, tam artykuł do gazet. Znał stosunki familijne połowy miasta, a jako duchowny i prawnik, wszędzie był pożądanym doradcą. Towarzyski, rad był z wszystkimi dzielić tak zabawy, jak i frasunki. Wszędzie apostołował świętość małżeństwa, najwięcej się przywiązywał do domów, gdzie było wiele dzieci. Po kursie lub kazaniu, nie minął domu, gdzie mógł jak mówił, choć na chwilę rozerwać się z dziećmi. „Kochajmy się, pracujmy, i bądźmy weseli,“ nie przestawał wykrzykiwać tak z ambony jak przy stole przyjaciół, i ludzie żartobliwi, nazywali go wyrazem „*kochajmy się*.“ We wszystkim co czynił znalazł źródło zabawy. Zdaje się że niezliczone swoje zatrudnienia różnej wagi, zważał jak dziecię za zabawę, i ciekawe zajęcie umysłu. Gdy skończył kazanie na otwarcie sejmu, czekała go bryczulka, na której spieszył z innem kazaniem na odpust wiejski, o parę mil zaproszony od ubożego plebana. Podczas *jubileuszu* w Warszawie, miewał kazania we wszystkich kościołach. Raz około czwartej po południu powitał mię mówiąc: „Zobaczmy się nie długo, bo dziś już tylko jedno mam kazanie.“ We wszystkich czynnościach swoich tak był punktualny, że gdy w 60 przeszło wieku, podróż do Rzymu przedsięwziął, prosto z lekcyj w uniwersytecie siadł do pojazdu, i w sam dzień otwarcia kursów powrócił. Kupił był bardzo skromny domek z ogródkiem na przedmieściu Warszawy. Tam wstając najraniiej, gotował się do dziennych obowiązków. Na wieczór spraszał przyjaciół prawie codziennie, dobierając stosownie ludzi różnych humorów i stanów, a najwięcej dzieci. Po śmierci księdza Dembka, jako egzekutor testamentu miał u siebie złożone po nim kilkanaście tysięcy: te niewiadomym sposobem zginęły (1). Mimo mocnych po-

(1) Ś. p. Dembek spoczywa na cmentarzu powązkowskim. Piękny grobowiec podajem w rycinie. Na tarczy wspartej na kolumnie czytamy napis:

D. O. M.

„Szanownym ceniom ś. p. Księdza Konstantego Tomasza Dembka, bracia siostry i przyjaciele, tę smutną pamiątkę położyli, prosząc o westchnienie do Boga, żył lat 55, umarł dnia 3 Listopada 1828 roku.“

szlaków, nie śmiał służącego badać ani oddalić, i dwom tylko przyjaciółom, ten wypadek objawiwszy, sprzedał ulubiony ogródek na pokrycie tej straty, resztę, najskromniej żyć poczawszy z pensyi oszczędził. Miał także wioskę w dzierżawie o kilka mil od Warszawy, jedynie dla zabawy przyjaciół i dobrych uczynków. Piękny ogród, ryby w stawie, owoce w ogrodzie, zwabiały tam na zabawy familije z dziećmi. Założył zaraz szkółkę dzieci wiejskich, w której i sam ile razy przybył, nauczał.“

Doktor obojga prawa i professor zwyczajny, oprócz sumiennego wykładu z katedry, pisał wiele rozpraw naukowych, które na rocznych posiedzeniach Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu czytywał, i w ogłaszanych drukiem zamieszczał. „O Andrzeju Fryczu Modrzewskim pisarzu dzieła w XVI wieku wydanego:“ „O poprawie rzeczypospolitėj.“ (Warszawa 1819 r. 4). „Czyli tą samą drogą postępować koniecznie należy w dawaniu nauk, którą postępowano w ich tworzeniu.“ (R. 1821). „O Pawle Piaseckim: mianowicie o dziele jego: *Praxis Episcopalis*.“ (R. 1823) „O Mikołaju Żalaszowskim.“ (R. 1824). „O Mikołaju Trąbie.“ (R. 1826). „Wywód zasady z zastosowaniem do kraju naszego: że rolnictwo, najwyraźniejszym było powodem, w stanowieniu rolniczych prawa przepisów między ludźmi.“ (R. 1826). „Rys życia Klemensa Urmońskiego.“ (R. 1828).

Ogłosił drukiem prawne prace i swoje kazania: wiele rozpraw mimo to pozostało jeszcze w rękopismach niewydanych. Był dawniej proboszczem w miasteczku *Grodzisku*, ale zrzekł się go następnie, kiedy go zajęcia i obowiązki przywiązywały do Warszawy.

MAGDALENA KREBSOWA.

Urodzona w roku 1716, zmarła w Warszawie w Czerwcu 1824 roku.

Jest to najstarsza wiekiem z osób pochowanych na cmentarzu Powązkowskim. Urodzona bowiem za panowania Augusta drugiego, na rok przed śmiercią Karola XII, przeżyła część panowania Augusta drugiego, całe Augusta trzeciego i Stanisława Poniatowskiego, a następnie wszelkie zmiany krajowe do 1824 roku. Nazwisko jój znane jest i w literaturze naszėj: żona bowiem jój rodzonego brata, Weronika z Mładanowiczów Krebsowa (między 1817 a 1820 rokiem) jest autorką „*Opisu rzezi Humańskiej*;“ który z rękopismów T. hr. Działyńskiego ogłoszony został w roku 1840 drukiem ⁽¹⁾. W czasie tej pamiętnej rzezi miała lat 7, zapamiętała więc dobrze, bo straszliwém wrażeniem zapisały się w jój młodocianym umyśle wszelkie wypadki, na które patrzyła własnymi oczyma. Doczekawszy się sędziwego wieku w 72 roku życia, spisała wiernie całe zdarzenie.

Rodzoną siostrą męża naszėj autorki, była Magdalena Krebsowa; tę w 82 roku jój życia, obywatel miasta Warszawy Janczewski, majster zgromadzenia rzeźniczego, przyjął do dozoru czworga swych dzieci. Słodyczą charakteru, gorliwością i staraniem, nie tylko drobnój dziatwy

⁽¹⁾ Opis autentyczny Rzezi Humańskiej przez córkę gubernatora Humania, z Mładanowiczów, zamężną Krebsową. Poznań 1840 roku, w 16 str. 49.

zjednać sobie potrafiła miłość i przywiązanie, ale i powszechny szacunek. Janczewski umierając, polecił dzieciom aby ją w dowód wdzięczności szanowano jak matkę, bo dla nich była rzeczywiście matką. Na lat trzy przed śmiercią, Krebsowa złamana starością, już bowiem liczyła 105-ty rok życia, nie mogła się ruszyć z łóżka. Otoczyła ją wówczas opieka i troskliwość wdzięcznych i przywiązanych dzieci;—aż uderzyła godzina, w której zasnęła w Bogu snem cichym, mając lat 108. Janczewscy hojne ofiaryłożyli za jej duszę, nie pożalowali grosza zapracowanego uczciwym trudem, zakupili liczne msze za jej duszę, obdarzyli ubóstwo, i wyprawili jakby swojej matce, przywoity pogrzeb. Zwłoki jej na własnych ramionach zanieśli na cmentarz powązkowski i przy licznym zebraniu pochowali w ziemi. Kapłan z zgromadzenia księży Franciszkanów mając przemowę nad zmarłej grobem, zachęcał wymownie do naśladowania zarówno cnotliwego życia wiernej służącej; jak i dowodów wdzięczności szlachečných jej panów. Krzyż drewniany postawiony nad mogiłą Krebsowej, już od lat wielu niszczał.

FILIP ROMANOWSKI.

D. O. M.

„FILIPOWI ROMANOWSKIEMU UR(OZONEMU) D. 22 MAJA 1794 R. W DNIU 18 GRUDNIA 1853 A W 60 ROKU ŻYCIA SWEGO ZMARŁEMU, ARTYŚCIE SZTUKI MALARSKIEJ I NAUCZYCIELOWI W INSTYTUCIE SZLACHECKIM; W DOWÓD SZACUNKU I PRZYWIĄZANIA ŻONA, SYN I CÓRKA POMNIK TEN WZNOSZA.“

(*Grobowiec kamienny*).

Urodzony w Krakowie, w tym starożytnym grodzie skończył nauki kształcąc się na artystę malarza; doszedłszy lat 17 życia udał się do Wiednia, gdzie u sławnego na on czas malarza historycznego i portretowego Jana Chrzciciela de Lampi uczył się przez lat dziesięć rysunku i olejnego malowania. Przybywszy w r. 1818 do Warszawy, otrzymał wprędce posadę nauczyciela rysunków w szkole ewangelickiej, a potem w Lyceum Warszawskim. Następnie był nauczycielem w drugim Gimnazjum Wojewodzkiem na Lesznie, a od r. 1849 w Instytucie Szlacheckim, w którym zostawał aż do końca życia (1). Na wystawę sztuk pięknych w Warszawie w roku 1849 przedstawił:

1. Świętą Maryją Magdalenę: kopiją rysowaną z olejnego obrazu Kazimierza Wojniakowskiego. 2. Narodzenie Wenery rysowane ze sztychu.—Na wystawę 1844 roku podał olejno malowane w kopii: 1. Zdobycie okopów w górach pod Sommo-Sierra, (obraz historyczny z kampanii wojsk francuzkich i polskich w Hiszpanii, którego oryginał przez Horacego Verneta malowany olejno, znajduje się w galerii obrazów generała adjutanta Wincentego hr. Krasińskiego). 2. Portret kobiety w większej połowie figury, z natury malowany.—Oprócz rozmaitych obrazów świętych patronów i pejzaży, wymalował olejno dwa duże do ołtarzy kościelnych obrazy; 1. Świętego Stanisława Biskupa Krakowskiego. 2. Męczeństwo świętego Feliksa i 3. W naturalnej całej postaci w Bogu spoczywającego N. Cesarza Mikolaja I-go. Portret ten zdobi salę sessyjonalną Magistratu miasta Warszawy.

(1) Notaty Grzegorza Jacholkowskiego.

W roku 1846 wydał Romanowski ułożoną przez siebie rozprawę p. n.

„Teoryja pierwiastkowych zasad nauki rysunku, uważana z punktu widzenia artystycznego część 1-a. Rysunek głów ludzkich w konturze z 40 tablicami litografowanymi, z objaśnieniem rysunku z gipsów i z natury, oraz cieniowania tychże. (w Drukarni Banku Polskiego, fol. str. 32). Dzieło to uznane za pożyteczne, poleconém zostało przez władze szkolne do użycia uczniom wydziału malarskiego (1). Pracował autor nad częścią 2-ą swój pracy, i znacznie się posunął: słabość zdrowia już mu wykończyć nie dozwoliła.

AUGUST HYJACYNT DZIARKOWSKI

DOKTOR MEDYCyny I FILOZOFII.

(Pochowany w ziemi bez nagrobku).

Urodził się w Warszawie, umarł w témże mieście 1827 r.

Po ukończeniu nauk lekarskich w *Hali* w roku 1782 rozpoczął zawód praktycznego lekarza w mieście swoim rodzinném: następnie przeniósł się w Płockie, skąd w r. 1807 powołany do Warszawy, przeznaczonym został do *Dyrekcji najwyższej lekarskiej*. Dziarkowski należał wraz z kilką innymi doktorami do założenia Szkoły Lekarskiej w Warszawie 1809 r. Sam Dziarkowski w przedmowie do swego Poradnika Domowego 1819 t. I. tak mówi: „W roku 1807 powołany z spokojuności domowej, przeznaczony do Kommissyi Rządzącej, owęj matki następnych władz rządowych do *Dyrekcji najwyższej lekarskiej*, gdy téj organizacją zajęty byłem, nie przepomniałem przy niej zamieścić i szkołę nauk lekarskich, potwierdzoną przez powyższą magistraturę, która dopiero w r. 1809 swój skutek odebrała; znowu obarczony nowymi mozolami, zwalczaniem przeszkód ówczesnych w tworzeniu ich, wsparty ochoczą i patryjotyczną gorliwością nieoszacowanych kolegów Wolfa, Czekińskiego, Brandta, Hoffmana, Wejssa medycyny doktorów, i Celińskiego, aby wspólnie powstającej z zwałisk ojczyźnie pamiętną na późne wieki, jak najpotrzebniejszą dla wszelkich klas obywateli uczynić przysługę, pierwszą zaś w dziejach podobnych instytutów oświeconego świata.“ Mianowany później Radcą Ministeryjum Spraw Wewnętrznych, dziekanem wydziału lekarskiego przy Uniwersytecie Warszawskim: dawszy się poznać zaszczytnie pracami naukowymi, został członkiem Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk i gospodarstwa rolniczego w Warszawie. Dziarkowski był pierwszym który tak w kraju naszym, jak i w Warszawie, z całym zaufaniem i przekonaniem zaczął szczepić ospę krowią, i ośmielił innych lekarzy do rozszerzania tego zbawiennego środka. (2) Przy uniwersytecie Warszawskim wykładał ogólną *patalogiją* i terapiją. Z pism naukowych zostawił: 1). *Dissertatio inauguralis de prima causa morborum, quatenus et a partibus fluidis oriri potest. Hallae 1780.*

(1) Praca ta Romanowskiego, na żądanie władzy szkolnej tłómaczoną została na język francuzki przez Leoneyjusza Landie, i wyszła z drukarni Banku Polskiego w r. 1847 p. n.

„Théorie des principes élémentaires du dessein à l'usage de la Jeunesse. Composée par Philippe Romanowski maître du dessein au second Gimnase de Varsovie I. partie. Varsovie imprimerie de la Banque de Pologne.“

(2) Michał Bergonzoni, *Roczniki Tow. Warszaw. Przyjaciół Nauk T. X.*

2). O ospie krowiej, Warszawa 1802. 3). Patalogija i Semijotyka krótko zebrana i ułożona przez doktora A. F. Heckera przekład 1811 r. w Warszawie. 4). Wybór roślin krajowych dla okazania skutków lekarskich ku użytkowi domowemu, Warszawa 1803 r. 5). Poradnik domowy 1819 r. Warszawa 2 tomy (1).

Najnowszy bijograf Dziarkowskiego L. Gąsiorowski opuścił ważne dzieło tegoż doktora p. n. „Pomnożenie Dykcyjonarza roślinnego przez księdza Krzystofa Kluka przez J. Dziarkowskiego i K. Siennickiego, Warszawa 1824 r. tomow dwa. (Tom I. str. 263 oprócz spisu roślin: Tom 2 stronie 258 oprócz podobnegoż spisu: pierwszy obejmuje rośliny od A do C, drugi od D do M; ale litery M, całej nie objął; 8vo w obu karty tytułowane rytowe na miedzi). Wiele ciekawym jest wstęp w pierwszym tomie Dziarkowskiego p. n. „Rodaka przysługom wdzięczność“ który poświęca pamięci czcigodnej Kluka, autora dykcyjonarza roślinnego. Pragnął Dziarkowski na czele swego dzieła, portret Kluka umieścić w miedziorycie: „a przez ten jeszcze sposób, rodakom godnego z tylu prac piśmiennych, a przeznaczonych użytkowi krajowemu, ich pamięci męża przedstawił: lecz pożar posiadanego niegdy przez Kluka probostwa a z nim i portretu, pozbawił mnie tak upragnionego zamiaru, w zastępstwie którego to *pomnożenie dykcyjonarza roślinnego*, w hołd rodackiego szacunku, wam szanowne cienia, ciągle pismami jego ożywiane, poświęcam.“

Następnie wywiodłszy przeważne zasługi Kluka, jako tego który pierwszy u nas, ujął w system nauki *historiją naturalną*: w obszerniej rozprawie wylicza tak dawnych jak i nowszych w tém zawodzie pracowników. Dowiadujemy się że Stanisław August, zamyślił ustanowić ozdobę ś. Izydora (order): jako patrona rolnictwa, lecz późniejsze wypadki stanęły temu na przeszkodzie. „Macie więc (pisze) i w ten sposób szanowne cienia (Kluka) przynależne wywzajemnienie od zbliżającego się ku wam starca rodaka; żeby zaś z powodu wieku tak obszerna i mozolna praca przyśpieszoną, a tém bardziej przerwana nie została, przybrałem do niej za współpracownika pana Karola Siennickiego stolicy téj aptekarza, celujące w nauce roślinnej wiadomości posiadającego, a ten godny obywatel, powodowany tak użyteczną jak i przyjemną usługą, dalszy jej ciąg na przypadek przejął na siebie.“

Kończy swój wstęp Dziarkowski, pewny współczucia pracy, co z pod pióra ziomka na świat wychodzi, który ciągle przepędził lat 42 na usługach publicznych w swém powołaniu. Tom trzeci już sam wydał Karól Siennicki; a jak się z jego przemowy przekonywam; Dziarkowski zupełnie się od téj pracy usunął. Dla czego dzieło to opuścił L. Gąsiorowski w spisie swoim biblijograficznym przy życiorysie Dziarkowskiego; domyślam się iż się, tu uwiódł kartą tytułową, na której przed nazwiskiem położono literę J. (Jan czy Józef?) a Dziarkowski podpisywał się August Hijacynt. Z przemowy pomienionój Siennickiego, czerpię dowód, że głównie dwa pierwsze tomy tego dykcyjonarza w połowie są pracą A. H. Dziarkowskiego dziekana wydziału lekarskiego, w szczegółowym przeto spisie prac zasłużonego i uczonego doktora, miejsce znaleźć powinny.

(1) Treść tych pism i ich ocenę znajdzie czytelnik w dziele L. Gąsiorowskiego: Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce. T. 3. 193—197.

EMILIJA CHOPIN.

„ZNIĘŁA W 14 WIOSNIE ŻYCIA JAK KWIAT, W KTÓRYM PIĘKNA SWOIM KWITĘŁA NADZIEJA, 10 KWIETNIA 1827 R.“

(*Kamień piaskowy na mogile położony*).

Opatrzność, która wybrane istoty piętnuje wyższością ducha, jenijuszu, lub talentu, daje im niemal zawsze słabą i kruchą powłokę cielesną, jakby z umysłu na krótką, przelotną tylko wędrówkę ziemską. Rodzona siostra sławnego w świecie muzykalnym Fryderyka Szopena młoda ta dziewczyna, której grobowiec zatrzymuje naszą uwagę; od lat dzieciennych dziwiła wszystkich co ją bliżej znali, bystrym pojęciem, dojrzałością myśli, i chciwością w nabywaniu wiadomości naukowych. W trzynastym roku życia swego, przewyższała gruntownym ukształceniem wiele młodych panien, których wychowanie za skończone poczytywano.

Wesoła, dowcipna, każde jej postrzeżenie, i uwagi w codziennym życiu odznaczały się trafnością. Jeżeli smutek jaki zakradł się do rodzicielskiego domu, ona go swymi żartami wypędzić i wszystkich rozweselić umiała. Kochana od całej rodziny, czego u rodziców starsze jej siostry, lub Fryderyk wyjednać nie mogli, wysłana w poselstwie Emilija, dowcipem żartem i miłą swoją zdobyła. Chciwa nauki, nad wiek swój dojrzała, oddawała się mozolnej pracy ochoczo. Mając lat jedenaście w r. 1825; głośną na onczas trajedyję Ignacego Humnickiego *Edyp*, całą przepisała.

Pisma Klementyny Tańskiej, obudziły w tej dziecinie jeszcze zapal i myśl, że położyła sobie za najwyższy cel życia, wstąpić w zawód literacki, choć w innym może kierunku. Wielką obdarzona łatwością do wierszowania, nie małej nabrała w tém wprawę przez ciągłą pracę. Zespolona charakterem i talentem z bratem Fryderykiem, w nim znajdowała zawsze zachętę i pomoc ⁽¹⁾.

(1) Potężny ten jenijusz muzykalny niepospolite okazywał zdolności czy w grze jako artysta dramatyczny, czy w pisaniu wierszy polskich, czy w rysowaniu karykatur, i w dowcipie na zawołaniu. Podamy tu szczegóły nieznanne z lat dzieciennych Fryderyka, poczerpnięte z najpewniejszego źródła, a co podamy przyjmą nasi czytelnicy dla których sława krajowa nieobojętną z wdzięcznością, wszakże Fryderyk Szopen pozostanie na zawsze naszą chlubą.

Po ukończeniu domowego wychowania i nauce, wprost przyjęty został do IV klasy Liceum Warszawskiego. Na wakacje wyjeżdżał na Stare Mazowsze w powiat Lipnowski do wsi *Szafarni* dóbr PP. Dziewanowskich. Tu wydawał *Kuryjera Szafarskiego* i takowy przesyłał rodzinie swojej do Warszawy. Mam przed oczyma dwa numery tego Kuryjera: z daty 19 i 24 Sierpnia 1824 roku. Format naśladował podłużny jak drukowany Kuryjer Warszawski wychodził. Pismo drobne okrągłe, wyraźne na dwie szpalty podzielone. W pierwszym czytamy na czele *wiadomości krajowych*: „Dnia 15 Sierpnia r. b. na zgromadzeniu muzycznym w Szafarni, złożonym z kilkunastu osób i półosóbek, popisywał się J. P. Pichon (tak się sam bowiem nazywał) grał koncert *Kalkbrennera*, który nie tyle zrobił wrażenia szczególnież na małych figurkach, ile *żydek* grany przez tegoż pana Pichon.“ (Objasnić tu musimy, że nieco przed tym gdy żydzi przybyli do sąsiedniego dworu w Obrowie za kupnem zboża, Fryderyk przywoławszy ich, zagrał im *majufesa*. Gra jego, w taki zapal i zapomnienie handlarzy wprowadziła, że nie tylko podrygiwali radośnie, i tańczyli, ale prosili usilnie dziedzica, aby to mógł zrobić, żeby ten grajek grał im na wkrótce mającym się odprawić weselu: „bo tak grał tak grał, jakby rodzony żyd).“

„Dnia 18 JP. FF. M J. Chopin wypił siedm filiżanek kawy żółdziównej, spodziewać się trzeba, iż niedługo osiem wypije.“

Na każde imieniny rodziców, składały wszystkie dzieci owoce swęj pracy; a Emilii poru-
czyły napisanie wiersza stosownego do okoliczności, w którymby ich uczucia wynurzyła. Na
dwa lata przed zgonem swoim, napisała do ojca pomiędzy innymi:

„Więc cóż ci drogi ojcze dzisiaj życzyć mamy?
Toż samo, co w tym czasie co rok powtarzamy.
Wzrosła w nas wprawdzie z wiekiem wdzięczność i poznanie,
Lecz miłość zawsze jedna na wieki zostanie.
Nie będziemy się silić na wyrazy próżne;
Boga są wszechmocnego dobrodziejstwa różne;
Nie opuszcza On sierot, nieszczęśliwych wspiera,
Strapionych On pociesza, lzy nędznych ociera;
Zechce więc może wejrzeć w głąb serca twych dzieci,
A wtedy dla nich promyk nadziei zaświeci,
Że zdrowie, z spokojnością i pomyślnością samą
Dzielić będziesz wraz z nami i kochaną Mamą!

W rok później zrobiła dla ojca na wiązanie kaftanik, i ofiarowała go z tym żartobliwym
wierszykiem:

„Gdy ci inni winszują czyż zamilczeć może
Najmłodsze twoje dziecko? Ach! broń Panie Boże!
Dla złożenia ci życzeń nie korzystać z chwili
Niegodnym by to było twęj córki Emilii!
Posądziłbyś ją może, że najmniej jest czuła,
Albo też, że ją żyłka lenistwa popsula ..
Ale nie, bo ja dawno o mych wierszach myślę
I cichaczem życzenia ołówczkiem kreślę:
Przyjmij więc je odemnie mając na pamięci
Że najżyczliwsze moje wyrażają chęci:
A ponieważ że zima już jest bardzo blisko,
Zrobiłam ci i składam z wełny kaftanisko.“ (1)

Mając lat jedenaście a Fryderyk czternaście; na imieniny także ojca, postanowili razem
ułożyć komedję, skrycie się wyuczyć, i niespodzianie przedstawić. Zasiadłszy więc oboje wie-

W Kuryjerze z dnia 24 Sierpnia pod *Wiadomościami Zagranicznemi* pisze:

„Dnia 20 b. m. w *Obrowie* było okružne. Cała wieś zgromadzona przede dworem szczerze się weseliła, szcze-
gólniej po wódce, a dziewczyny piskliwym semitoniczno-falszywym wyśpiewywały głosem:

„Przede dworem kaczk i w błocie,	Przede dworem wisi wąż,
Nasza pani w samym zlocie.	Nasza panna Maryjanna pójdzie za wąż.
Przede dworem wisi sznurek,	Przede dworem leży czapa,
Nasz jegomość kieby nurek.	Nasza pokojówka kiehy gapa.“

Przywodzę ten ustęp dla wskazówki, że od lat najmłodszych miał sposobność poznania melodyj ludowych,
i że takowe żywo go obchodziły. Jak je pojął i wydał, Mazurki Szopena dowodzą

Przy wiodę tu jeszcze jedno zdarzenie, które maluje jak w dzieciennym wieku umiał pochwycić melodyję ludo-
wą, i jak w nią się dobrze wsłuchał. Wracając zimową porą z ojcem z wieczoru, posłyszał w szynku dziarskiego
grajka, co tego ciał smykem mazury i oberki. Uderzony ich oryginalnością i dobitnym charakterem, zatrzymuje
się pod oknem i błaga ojca aby się zatrzymał bo musi posłuchać ludowego skrzypka tak stał z pół godziny, napró-
żno naglony, aby szedł do domu: Fryderyk nie odstąpił od okna, dopóki grajek nie skończył. Resztę wiadomości
Szafarskiego kuryjera składały się z wypadków codziennego życia wiejskiego, które dowcipnie opisane, bawić mu-
siały tych, dla których były pisane. Każdy numer był u spodu podpisany: Wolno posłać. Cenzor L. D. (panna Lu-
dwika Dziewanowska). Fryderyk Szopen miał wtedy lat czternaście życia.

Równocześnie bywając i grając często w Belwederze u s p. **J. C. W. Księcia Konstantego**, ofiarował Mu

(1) Rozrywki dla dzieci T. VII str. 236 roku 1827,

czorem, ułożyli wspólnie plan, i na przemianę pisali sceny. Było to w zimie 1824 r. W jeden wieczór dzieło skończone p. n. *Omyłka czyli mniemany filut*. Jest to komedyjka cała wierszem. Oryginalny rękopis, w którym początkowe sceny pisane są ręką Emilii, a następne do końca Fryderyka, mam właśnie przed oczyma.

marsza własnego utworu. Wielki Książę kazał mu grać: utwór młodego Fryderyka, tak się podobał że sam takt wybijając po sali maszerował z uśmiechem. Kiedy grywał a improwizował, zwykle oczy w górę wznosił, i wlepił w sklepienie. W. Książę wtedy zapytywał: „Co tam patrzysz w górę? czy czytasz nuty?“ W Liceum na lekcji historii polskiej, ile razy wspomniano imiona jak Długosza, Kadłubka, Laskonogiego i t. p. nazwy charakterystyczne, Fryderyk piórkami odpowiednio im rysował postacie, pełne wyrazu i śmieszności. Raz pochwycił takim szkicem Rektora wówczas Lyceum, Lindego, i trafił mistrzowskim pociągnięciem pióra Kajet ten dostał się w ręce Lindego. Zaczny ten przewodnik młodzieży naszej, zwrócił go młodemu Autorowi z podpisem: „Kajet dobrze namalowany.“ W papierach pozostałych po Fryderyku i zachowanych w rodzinie, znajduję z tegoż okresu wiersz jego polski z kilkoma strofami francuzkimi, (złożony ze 42 strof cztero wierszowych a sześć i ośmio sylabowych) w których opisuje następnę swoje zdarzenie: w treści tu je podamy.

„Byłem raz bez butów, gdy przyszedł półkownik G... prosząc w wigilią ś. Katarzyny, na żony swej imieniny. Ale ojca nie zastał pobiegłem więc po niego i zaraz prosiłem o pieniądze na buty. Dostawszy, pędem lecę do *jatek*. Wchodzę, aż tu szturgają szewcowe, a każda chwali swoje buty, buciki, ciżemki i trzewiczki. Wybrałem sobie parę, i w momencie obuty, wpadam do domu i wszystkim je pokazuję. Nadchodzi godzina i czas na wieczór, wszyscy ubrani wsiadamy w doróżkę. Otwiera się sala, półkownik G. nas przyjmuje, a solenizatka okropnie zmęczona gra na pantalonie:

„Permettez! to ja wyręcę,
Bo się nie tak prędko męcę.
Mais non! lecz jednak puściła
Chociaż długo się wadziła.

„Grałem niemało, potem tańcowałem kotyjljona, i kontredanse: w tym zabrzni nasz mazur: jak się wysunę, zwiija mi się prawa noga i ja brzdęk o ziemię, panna mi ucieka!

„Co to! podnieść się nie mogę!
Pewnom złamał lewą nogę:
Co to! wszyscy pomięszani,
To kurcz! wola jedna pani.“
Przeleciała się mama,
Zawolano papę,
Jakaś druga dama
Wola: „na kanapę!“

Wszystcy mię z ziemi podnoszą
I na kanapę wynoszą,
A któś tam niemilosiernie,
Gniecie kolano niezmiernie.
W mazurku ustali,
Szkoda wielka szkoda;
Duktora szukali
Przyszedł goli broda!

„Zaczął nogę mi smarować, ścisnąć, i bandażować, aż z bólu zęby ścisnąłem. Znieśli mnie ze schodów do doróżki, i wróciłem do domu:

Oj długo leżałem!
Lecz to już minęło,
Państwu zaśpiewałem
Skąd to się poczęło!
Żeby nie owa przyczyna
To byłbym zdrów chłopczyzna!“

Wierszyk ten należy do pierwszych próbek czternastoletniego Fryderyka. W roku 1828 już po śmierci siostry Emilii, na teatrze domowym u Pani Pruszkowej przedstawiono komedyją I. A. Dmuszewskiego wierszem p. n. *Barbara Zapolska*. Uczył rolę nieodziałowanej pamięci, znakomity artysta Piasecki, i sam w czasie przedstawienia suflerował. Fryderyk grał rolę Baltazara, szatnego księcia Ostrogskiego a młodsza jego siostra Izabella *Marynę*: powiernicę hrabianki Barbary Zapolskiej. W scenie ostatniej Aktu I kiedy się wita z Maryną; Fryderyk który licząc na swoją pamięć był przyleniwy. do pilnego wyuczenia się, po wypowiedzeniu pierwszego powitania zapomina rolę, napróżno ogląda się na pomoc suflera. Tymczasem Piasecki zajęty jego postacią którą zmienił do niepoznania, i grą wyborną, zapomniał także poddawać słowa. Szopen widząc się opuszczonym przez niego, nie traci przytomności, i zaczyna improwizować. Siostra jego czeka na ostatnie słowa roli, aby mu odpowiedzieć ale nadaremnie. Spostrzega się wreszcie Piasecki, poddaje mu wiersze i składnie kończy się Akt pierwszy. Całej tej mięszaniny nie zmiarkowali słuchacze, bo Fryderyk gęstą miną swoją, śmiałością i stosowną improwizacją otumaniał wszystkich.

Podam tego utworu, dwojga dzieci, treść szczegółową: z których jedno nie rozwinęło talentu swego, drugie zabrzmiało sławą europejską. Scena dzieje się w małym miasteczku w mieszkaniu burmistrza Tęgo brzucha. Burmistrz sam rozpoczyna widowisko. Zmęczony wczorajszym baletem, i starym węgryzmem, czuje ból głowy, brzucha i ociężałość: ale pociesza się wspomnieniem zabawy wesolej: jak to się bawiono, jak jego córka Emilija wesolo wywijiała mazura. Czując jakiś niepokój woła swęj żony Małgorzaty. Przybiega małżonka, i opowiada że stary pan właściciel tego miasteczka, bezpotomnie zmarły, zapisał im i miasto i cały swój majątek. Burmistrz w uniesieniu radości zaczyna skakać i całować żonę:

„Oh! moja rybuleczko, droga Małgorzato,
Kocham cię tysiąc razy więcej jeszcze za to;
Lecz zawołaj Emilii, tęj panny bogatęj!
Otóż to teraz będą teraz będą swaty:
Teraz ten, co się dawnięj o mą córę starał,
Bodajby wlaźł pod lawę i tam się powalał.
Na bok mi pisarczyki! z hrabią lub i baronem
Niech się panna rozmawia trochę wyższym tonem!“

Usczęśliwieni oboje, przywołują córkę i objawiają o swoim bogactwie; młode dziewczę obojętnie przyjmuje tę wiadomość: gdy wchodzi *Sztyfelek* mazur, służący starościca, aby nająć u burmistrza (co był zarazem oberżystą) stancyją dla swego pana. Kiedy odszedł dla obejrzenia wskazanego mieszkania, wpada zadyszany pisarek, donosząc że dziesięciu się żołnierzy po mie-

Był w Warszawie wtedy znakomity artysta dramatyczny francuzki Hervé. Kiedy na domowym teatrze grano francuzką sztukę, Fryderyk wybrał tę samą rolę którą grał sam *Harocé*. Ten śledząc tak grę jego, jak każdy ruch uściskał młodzieńca z zapalem i przyznał mu znakomity talent artysty dramatycznego. Szczególniej unosił się w scenie, gdy mówiąc o bogaczu co z krawca został panem, nieznacznie a z nieporównaną mimiką palcami ukazał krajanie nożycami. Szczególnym obdarzony gustem, układał szarady polskie i francuzkie z dwóch lub trzech obrazów z żywych osób, stosownie do wybranego wyrazu. Niemając pod ręką innych przyborów jak tylko zwyczajnie. domowe, tak malowniczo te obrazy i ozdobił układał, że powszechne podziwienie i oklask budziły. Wesoly pełen dowcipu i humoru lubił pisać figielki. Sąsiad dóbr *Szafrań* gdzie wydawał swego kuryjera, obywatel *Rumocki* zamieszkały w *Obrowie*, sprzedawał żydowi pszenicę; Fryderyk układa w imieniu kupca list na wół polski na wół żydowski, że się zrzuca z kontraktu, a doskonale naśladowując koszlawość pisma, oddaje go swemu przyjacielowi, aby takowy w *Obrowie* doręczył. Pan Rumocki wpadł w gniew wielki po przeczytaniu tego listu pewnym będąc, że go na prawdę kupiec ów pisał: i gdyby był pod ręką, niezawodnie by mu policzył boleśnie żebra. Jak w rolach granych na teatrzykach domowych odmieniał postać swoją do niepoznania; tak ten dar zachował w posiadzeniach domowych, a w Paryżu w wyższym nawet stopniu, nieużywając żadnych do tej zmiany przyborów. Był w Warszawie Pastor ewangelicki Tetzner, który co druga niedziela, nieważ kazania polskie. Nieumiejąc dobrze mówić po polsku, łamanym językiem je wygłaszał. Fryderyk przed wyjazdem za granicę: przywdziawszy rudą perukę, z taką prawdą i z taką komicznością naśladowując go, powtarzał te kazania na pół z niemiecka, że słuchacze kładli się od śmiechu. Kiedy Szopen odwiedził w Paryżu, znany zaszczytnie w świecie muzykalnym Józef Nowakowski, i prosił aby go poznał ze sławnymi Lisztem i Pixisem: Fryderyk odzywa się do niego: Poczekaj pokaże ci obu, ale każdego z osobna! I w tęj chwili przybiera postać najprzód Liszta siada i gra jak Liszt; a następnie przedstawia Pixisa. Musiało być podobieństwo wielkie kiedy nazajutrz w teatrze Nowakowski, gdy go chwilowo opuścił Szopen zbliża się do siedzącego przed sobą, i biorąc go za Fryderyka udającego Pixisa, uderza po ramieniu i mówi „No! daj pokój, tu już nie udawaj.“ Zerwał się z gniewem nieznanym powitany zbyt poufale, był to bowiem sam Pixis. Na szczęście znalazł się Szopen zaraz, który tę omyłkę wytłómaczył a nasz artysta przy prośninach poznał się zarazem z tym, do którego pragnął się zbliżyć. Umierając, błagał Fryderyk, ażeby serce jego, spoczęło w rodzinnym kraju. Spełniła rodzina to szlachetne życzenie; przywiezione z Paryża, złożone zostało w kościele dolnym Święto-Krzyskim księży Missyjonarzy w Warszawie.

ście porozlatywało, aby schwytać złodzieja, co przybył do miasta o samej północy. Tęgobrzuch wpada na myśl, że to pewnie złodziej co najął u niego izbę; pisarek potwierdza ten domysł; burmistrz wydaje przeto rozkazy, aby córka przyjęła go grzecznie, a on z żołnierzami z ukrycia wypadną i schwyca lotra. Starościc przybywa, i uwiadamia Emiliją że jest dziedzicem nie tylko tego miasta, ale i całego majątku kasztelana, zawiadamia zarazem że zapisał dla córki burmistrza Tęgobrzucha sześć tysięcy złotych polskich i z tą nowiną umyślnie przybywa. Emilija daje mu się poznać kim jest; starościc prosi o tajemnicę w tym względzie, aby mógł sam burmistrza uwiadomić o zapisie; i do wskazanej stancyi odchodzi. Właśnie burmistrz wpada z żołnierzami żeby schwytać złodzieja, i z okrzykiem wydaje rozkazy; kiedy żona jego przybywa i uwiadamia że to nie złodziej, ale starościc, pan nowy tego miasta.

„Dobrze to dobrze mówiła Emilka,
Ze naszej uciechy była tylko chwilka.“

Burmistrz zasmucony oddał żołnierzy. Z pokorą wita starościca, który zawiadamia, że na posag Emilii wypłaci 6,000; Tęgobrzucha, nie tylko utrzymuje na posadzie burmistrza, ale darowyywa mu dom, który dzierżawił; z tém życzeniem:

„Pędźcie dni słodkie, spokojnie, wesoło
Otoczeni liczną rodziną w około.“

Burmistrza rolę odegrał wybornie sam Fryderyk; postać jego brzuchata, i mimika komiczna, wszystkich ubawiła serdecznie; rolę kobiece dwie siostry: Małgorzaty, Izabella; Emilii, sama autorka Emilija. Resztę ról rozebrała młodzież na pensyi profesora Szopena umieszczona; dwaj Wodzińscy, Górski, i Mikorscy. Urządzili we dwoje Fryderyk z Emiliją literackie *towarzystwo rozrywkowe*; gdzie przydował Fryderyk, a Emilija pełniła obowiązki sekretarza. Z pensjonarzy jedni przeznaczeni byli na członków tego towarzystwa, drudzy na odźwiernych tylko. Młodziutki ten sekretarz, wyższością umysłową, tak panował wszystkim, że jedno jój słowo, spojrzenie, wywieralo wpływ pożądany; czy karcąc nieposłuszeństwo, czy przywołując do zgody. W ostatnim roku życia, zajęła się większą pracą, dla wprawy w polskim stylu. Ulubiony od dzieci, dawny autor niemiecki *Salzman*, napisał między innemi długą powieść, przedstawiającą domowe pożycie, i różne przygody; która ma tę zaletę, iż bawi bardzo czytające je dzieci, i wpaja w nie zarazem wszystkie cnoty domowego pożycia. Dzieło to, potrzebowało zastosowania do naszych obyczajów, aby się dostępniejszym dla polskich dzieci stało. Emilija zajęła się tą pracą, wspólnie z jedną z sióstr swoich Izabellą zamężną Barcińską, i znacznie już ją posunęła. (1) Wzrost wiotki wybujaly, przy organizmie wątłym, rozwinął w téj młodej istocie nieuleczone suchoty. Choroba, nie przytłumiła w niej usposobienia poetycznego, wtedy nawet, gdy na łożu boleści złożona, ciężką walkę życia ze śmiercią odbywała. Gdy lekarze nie chcieli na jój żądanie, dozwoleńia jój posiłku z wina, rzekła do nich z uśmiechem, lecz zwątlonym już głosem:

„Jak nie dacie winka
Gorsza będzie minka.“

W długo trwającej malignie, marząc zapewne o boleści tkliwie kochającej ją matki, rzekła:

(1) Fr. Hr. Skarbek, *Rozrywki dla dzieci* tom VII.

„Jak smutne na téj ziemi czleka przeznaczenie,
Na to cierpi, by swoich pomnażał cierpienie “

Były to ostatnie jój słowa! Teraz pojmiemy całą prawdę grobowego napisu, że znikła młoda dziewczica „*jak kwiat, w którym piękna swoim kwitła nadzieja.*“

ANTONI BADER.

(Grób mурowany: drzwi żelazne bez napisu i pomnika).

Urodzony w roku 1768, zmarł d. 13 Marca 1842.

W ostatnich latach rzeczypospolitéj i w czasach pruskich, utrzymywał w Warszawie szkołę, czyli jak zwano wówczas *pensyją*, wielce wziętą, w której nauczycielami byli Jan Kruszyński, Ludwik Osiński, i w. i., później wslawionych pisarzy. Za czasów Księstwa Warszawskiego a następnie Królestwa Polskiego, zostawał Bader w Łęczycy jako rektor i professor szkoły wydziałowej. W r. 1816 przeniesiony do Warszawy był rektorem szkoły wydziałowej na Nowém Mieście. Pierwszy wniósł projekt utworzenia *Szkoły rzemieślniczej niedzielnej*, i myśl tę gorliwością i poświęceniem przywiódł do skutku, za co mu wdzięczne należy się wspomnienie. Szkoła ta otwarta dnia 9 Lutego 1817 r., już w Październiku następnego roku liczyła 1342 uczni. Mianowany jój dyrektorem, a następnie kuratorem szkół wydziałowych i rektorem szkoły rzemieślniczo-niedzielnej. Poświęciwszy trudnemu zawodowi nauczycielskiemu lat blisko czterdzieści, przy powszechnym szacunku, doczekał się sędziwego wieku, bo zmarł w 74 roku życia. Z pism zostawił: „*Technologija czyli nauka użytkowania z płodów przyrodzonych.*“ Dzieło to w języku niemieckim napisane przez Funke'go, przełożył i w roku 1830 wydrukował. Liczny orszak, przy przeprowadzeniu zwłok Badera, towarzyszący na cmentarz powązkowski, wskazał, jak uczciwym w trudach życiem i zasługami obywatelskimi, zapracował sobie godnie na żal szczery i rzetelne wspomnienie, nie tylko własnej rodziny i przyjaciół, ale i licznych uczni, co ich liczył na tysiące, w gronie podniesionych moralnie przez niego rzemieślników warszawskich.

ROMUALD KSIĄŻĘ GIEDROYĆ.

„ROMUALD KSIĄŻĘ GIEDROYĆ URODZIŁ SIĘ W LITWIE DNIA 7 LUTEGO 1750 ROKU, W 1794 R. JAKO GENERAL-LEJTNANT SZCZĘŚLIWIE WALCZYŁ; W R. 1812 JAKO NAJWYŻSZY WÓDZ WOJSKA LITEWSKIEGO, ŻADNĄ NIEZRAŻONY KŁĘSKĄ SŁUŻYŁ WIERNIE I Z CHWAŁĄ PRZEZ LAT 40, ŻYĆ PRZESTAŁ W WARSZAWIE, D. 15 PAŹDZIERNIKA 1824 R.“

Urodzony 7 Lutego 1750 r. w powiecie Brasławskim, umarł 15 Października 1824 roku w Warszawie.

Zrodzony ze starożytnego i zasłużonego gniazda, za czasów Augusta III, miał lat 14, gdy Stanisław August wstąpił na tron. Pelen zapалу szlacheckiego, przeniósł nad miękkie życie dworskie, ciężki zawód żołnierski. W 15 roku życia 1765 r. wszedł w stopniu kadeta do pułku 2-go piechoty buławy wielkiej Litewskiej. Gdy po zawiązaniu konfederacyi Barskiej, pułk ten

przeszedł pod dowództwo Puławskiego; Giedroyć nieodstępny był towarzyszem swojej chorągwi, i walczył pod Grodnem. Przeszedłszy w stopniu chorążego do gwardyi Litewskiej, wrócił następnie do tego pułku, w którym rozpoczął zawód wojskowy już jako major, i miał udział pod *Molczadzią* i *Bezdzierzem*. Po przystąpieniu hetmana Ogińskiego do konfederacyi, gdy ten pod *Stołowiczami* poniósł zupełną klęskę; Giedroyć dawszy dowody roztropności i nieustraszonego mężstwa, ośm razy ciężko raniony, jako zabity, pozostawiony był między trupami na polowisku. Wyleczony z ciężkich ran, mianowany vice-komendantem brygady huzarów litewskich, nie wymawiał się i od posług obywatelskich; wezwany zaufaniem współrodaków, obrany swojej prowincyi posłem na sejm Grodzieński w 1781 r. umiał godność swojego stanowiska utrzymać. W stopniu vice-brygadyjera zastała Giedrojca reforma wojskowa na czteroletnim sejmie przedsięwzięta, w tym téż stopniu dzielił armii losy w kampanii 1792 r. w którym mianowany został generałem-majorem. We dwa lata, przy ruchu wojennym w Kwietniu stanął na czele dawnej swojej brygady, i czterech innych pułków: Rymińskiego, Kossakowskiego, Mejena i Niesiołowskiego. Z tym korpusem ruszył do Wilna, stoczywszy świetną potyczką pod *Jewiem*. Powołany na Żmudź, odniósł ważne zwycięstwo pod *Sałatami* d. 29 Lipca. Mianowany generałem-lejtnantem, ozdobiony pierścieniem; stanął pod Warszawą, stoczywszy zwycięzko bitwę pod *Kuligowem*. Pod *Radoszycami* wspólnie z Wawrzeckim i innymi generałami wzięty w niewolę, po wyjściu z niej, udał się do Paryża, gdzie lat kilka zabawiwszy wrócił do kraju, i na łonie rodziny, w domowej zaciszy, dowiódł słodyczą charakteru i prawością; że jak był dobrym żołnierzem, tak również umiał być dobrym mężem i obywatelem.

Rok 1812 przerwał Giedrojca spokój; w miesiącu Lipcu mianowany generałem inspektorem i organizatorem tworzącego się w Litwie wojska. Ważnym obowiązkom oddał się z właściwą sobie gorliwością i poświęceniem; lecz pamiętna klęska i rychły odwrót niedobitków wielkiej armii francuskiej, zmusił go do opuszczenia Litwy. Z utworzonym oddziałem przeszedł *Niemen* i *Wisłę*; pod *Sierakowem* na początku 1813 r. wzięty w niewolę został.

W r. 1814 po utrwalonym pokoju, wezwany Giedroyć do służby, został mianowany członkiem komitetu wojskowego; i to był jego ostatni zawód. Umarł mając lat 74. Z dawnych naszych wojskowych spoczywających na cmentarzu powązkowskim, Giedroyć należy co do wieku, do najstarszych. Urodzony w czasach Augusta III, w pierwszym roku panowania Stanisława Augusta, już zaczął służbę wojskową, przeżył całe to nieszczęśliwe panowanie, mając we wszystkich najważniejszych losach kraju, udział niepośledni. Przeżył czasy Napoleona i trzech monarchów Polski.

WITACZEK WINCENTY.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobka).

Urodził się 1776 r. umarł w Warszawie dnia 9 Lutego 1842 roku. Czech rodem z miasta *Budhajs*, Doktor Medycyny i Chirurgii, w młodym wieku przybył do Warszawy, i przez lat 42 przynosił ulgę cierpiącym. Witaczek był nadwornym doktorem Księcia Józefa Poniatowskiego. Zmarł w 66 roku życia.

LEDUCHOWSKA Z TRUSKULASKICH JÓZEFA,

(Połowana na starym cmentarzu od strony miasta w bliskości grobu familijnego Dmuszewskich. Nie ma żadnego nagrobka).

Urodzona w r. 1780 we Lwowie, umarła d. 14 Marca o godzinie 3 po południu 1847 roku.

Jużeśmy podali życiorysy tak jęj ojca jak i matki, którzy razem jaśnili znakomitymi talentami na scenie teatru narodowego. Od lat dziecinnych, zhdowana w tym zawodzie, codziennie patrząc jak rodzice studjują role swoje, to widząc ich na scenie, takie powzięła zamiłowanie do sztuki dramatycznęj, że w 12 roku życia, policzoną została w poczet artystek teatru narodowego pod zarządę Wojciecha Bogusławskiego. W dwa lata późnięj wystąpiła po raz pierwszy w komedyi *Żona Zazdrosna*. Młoda, jaśniejąca wdziękami i talentem, w r. 1801 oddała rękę swoję Stanisławowi hr. Leduchowskiemu. Po kilku jednakże latach: czy ciche progi domowe nie wystarczały jęj do szczęścia, czy zatęskniła do zawodu któremu poświęciła się z całą artystyczną miłością, powróciła na scenę teatru narodowego, którego odtąd była ozdobą i chlubą. Trudno przeliczyć wszystkie role tak w trajedyjach, dramatach i komedjach w których Leduchowska występując, najświatnięjszego doznawała powodzenia; Barbara Radziwiłówna, Ludgarda, Cyd, Machbet, Intryga i Miłość, Nienawiść ludzi i żal, Amelija Mansfeld, i. w. i. ściągały zawsze licznych widzów. Głównie wszelako talent jęj jaśniał znakomicie w tragedyi; w komedyi bowiem, nie zawsze umiała zachować potrzebną swobodę, nieraz wesołość; zawsze role w nich więćej, oddawała traicznie. W zawodzie wyższego dramatu, była nieporównaną. Koroną ról jęj była Lady Machbet, w trajedyi Szekspira; sławna scena, w której Lady zbudzona zgrozotą sumienia, ukazuje się w śnie lunatycznym, ze światłem w rękę w ubiorze pełnym nieładu, wzrokiem martwym i twarzą wybladłą, gdy pragnie obmyć ręce z krwi zabójczo przez nią wylanęj; prawda jęj gry, talent w całym blasku jaśniejący, przejmował dreszczem zgrozy wszystkich widzów. W chwili tęg, w całym teatrze panowało głębokie milczenie, nikt nie chciał stracić ani jednego ruchu z jęj wymownych poruszeń, i gry oblicza, wybladłego z osłupiałym wzrokiem⁽¹⁾. Wysokiego wzrostu, prześlicznych oczu, i nogi nadzwyczaj małej i rąk drobnych; tymi darami natury umiała rozporządzać artystycznie; tęg więćej że z powodu trędu na twarzy, używać musiała grubo blanszu i rózu, przez co gra jęj oblicza mnięj miała wyrazu. Oczy za to jęj pełne ognia, blasku życia, wymowa rzewna, płacząca łzami, umiejąca dobyć z serca słuchaczy litość, współczucie, i boleść nawet; ruchy pełne szlachetności i powagi, które odpowiadały godnie całej postaci; wszystko niewysłowiony rzucało urok, na jęj grę mistrzowską. Pamiętam *Barbarę Radziwiłównę*, pamiętam Ludgardę, ową nieszczęśliwą królowę której boleść wszyscy widzowie podzielali, równie jak i lzy opuszczonej małżonki; ową dumną *Xymene*, jak córkę ubo-

(1) Anglicy, którzy umyślnie zjeżdżali do Warszawy dla widzenia Leduchowskiej w roli Lady Machbet, upojeni z zachwyceciem wracali do kraju, przyznając jęj wyższość nad ową sławną *Mistress Siddons*, angielską aktorkę, która tęg samą rolę z wielkięm powodzeniem przedstawiała.

W roku 1823 w wierszu w Wilnie wydanym na pochwałę amatorów grających *Barbarę Zapolską* na dochód Towarzystwa Dobroczynności, w przypisku wyczytuję: że dwaj Anglicy którzy zakład zrobili co do wyższości gry pierwszęg w Anglii artystki, zobaczywszy Leduchowską w Machbecie, przyznali że zakład przegrali.

giego muzykanta w dramie Szyllera, i wiele innych; a w każdej roli Leduchowska władając sercami widzów, zbierała zasłużone poklaski. Przy końcu niemal jęj zawodu, w dramie Szyllera „*Dziewica Orleańska*“ już nie mogła dorównać wysokości roli; czy to charakter roli *Dziewicy* odmienny od trajedyj klassycznych, które długi czas były jedynym żywiołem sceny naszj, czy ustępy liryczne zbyt męczące, trudno odgadnąć; ale w ostatnich scenach zawsze, traciła swój wdzięczny organ, i zdawała się pokazywać, że rola ta, była nad jęj siły. Kilka razy opuszczała teatr narodowy i po roku i po dwa lata nie występowała. Pamiętam jak po zająsci z L. Osińskim ówczesnym dyrektorem i przedsiębiorcą teatru, zamieszkała o mil cztery od Warszawy pod *Modlinem* we wsi *Małocice*, u swego pokrewnego Jana Sobolewskiego, który dobra te trzymał w dzierżawie. Zajmując na piętrze salon duży, wśród najpiękniejszych dni lata, nie pokazała się nawet w ogrodzie, tylko dnie całe przeleżała w łóżku. Taki dając spoczynek ciału, po większj części i w Warszawie, leżąc uczyła się ról swoich. Mieszkała przy niej aż do śmierci, matka jęj Truskulawska, owa słynna niegdys artystka, równie z wdzięków jak z talentu. Wtedy często bywałem i nasluchiwałem jak przepowiadała swoje role i jak je studyjowała. Raz, około południa wchodzę było to w roku 1824. W pierwszym pokoju spotkała mnie już złamana wiekiem w sędziwj starości Truskulawska, i drżącą ręką poleciała cichość i milczenie. Czy kto chory? zapytałem jak najciszej; tym więcej że usłyszałem lkanie Leduchowskiej, i płacz męzki, który przerywał mowę.—Nie moje dziecko, odrzekła Truskulawska, to Werowski,—czyta tam jakąś książkę, i tak oboje płaczą.—

Po chwili wszedłem do pokoju, rzeczywiście Werowski trzymał 2gi tom świeżo wydanego romansu p. n. *Julija i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość kochanków nad brzegami Dniestru*: otwarte karty wskazywały list umierającego Adolfa do Julii, i te słowa:

„Jeszcze raz wzrok słabnący zwracam, w tę przestrzeń, którą tylekroć oczy nasze przebiegały, i na tę wieżę *Krasnogrodu*, oświecone w tęg chwili światłem, którego więcej nie ujrzę! O moje drzewa! łąki i gaje! świadki niegdys mojego szczęścia i rozpaczj życia i śmierci! O! nadziejo! miłości! lube omamienia! i wy przyjaciele żegnam was! A ty kochanko moja! połowo duszy mojęj! życie moje! do ostatniej chwili życia mojego użyczam cię tylko na czas tęg ziemi, dla jęj ozdoby i szczęścia.“

Ten to ustę po dwakroć przeczytany, po dwakroć płacz rzewliwy znakomitych artystów pobudzał. Leduchowska mało była ocytana w literaturze krajowej, ale Werowski był jęj wielkim wielbicielem, to też każde nowe dzieło jakie wyszło, jak poezyje i powieści z upodobaniem odczytywał, i tym sposobem oznajmiał ją z najpiękniejszymi utworami literatury polskiej. Ustę przez nas podany, może posłużyć za dowód, jakie wsławiony w owe czasy ten romans, wywołał wrażenie. Oddana cała zawodowi swemu, Leduchowska bardzo mało udzielała się światu; możebym przypisał tę samotność i jęj w znacznej części charakterowi; była bowiem podejrzliwą, i niedowierzającą. Kto wié, czy niedoznany zawód w młodych lecjach, rozdział z mężem i następne przygody, nie oddziały na jęj charakter.

Za przedsiębiorstwa L. Osińskiego brała miesięcznie 50 dukatów; ale pensya ta zaledwie wystarczyć jęj mogła; bo ubierała się w kostiumy swoim kosztem; a ubierała się starannie i od-

powiednio do roli. Zasób téż garderoby teatralnej miała nieprzebrany; kilka szaf wielkich i kufków zawsze napelniało jęj mieszkanie. W pięćdziesiątym trzecim roku życia opuściła scenę krajową. Dyrekcja teatrów, pragnąc wynagrodzić jęj zasługi, przedstawienie dramatu *Amelija Mansfeld* w dniu 18 Października 1833 r. przeznaczyła na jęj wyłącznie dochód (1).

Rozchwytno wszystkie bilety, bo każdy pragnął ujrzeć raz ostatni tyloletnią ozdobę sceny naszęj. Odtąd w zaciszy domowej otrzymawszy wysłużoną emeryturę, po 41 latach pracy w zawodzie dramatycznym; przeżyła resztę dni swoich; i mając lat 69, opatrzona śś. Sakramentami zmarła. Zwłoki jęj, przyjaciele, lubownicy sceny krajowej i artyści teatrów Warszawskich, odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku, i na własnych ramionach zanieśli do grobu, a chóry naszęj opery, pieśnią *Salve Regina* T. Nideckiego, pożegnały, na zawsze.

JÓZEF LEONARD KOZŁOWSKI.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku*).

Urodzony d. 19 Marca 1779 r. we Lwowie, wszedł do służby wojskowej d. 14 Marca 1796 do pułku 7 dragonów francuzkich na prostego żołnierza. Dnia 2 Lipca 1797 postąpił na podporucznika z przeznaczeniem do dawnego Legijonu Polskiego we Włoszech. D. 20 Października 1805 w stopniu porucznika przeszedł do sztabu marszałka Masseny, do dawnego legijonu północnego do pułku 4 piechoty Irlandzkiej. W nim był do r. 1809 i dosłużył się stopnia majora. W tym stopniu w r. 1812 przeznaczony został do sztabu b. króla Neapolitańskiego. Dnia 4 Września t. r. postąpił na podpułkownika z przeznaczeniem do pełnienia obowiązków szefa sztabu przy jenerale dywizyi księciu Giedroyć (2) wówczas Inspektorze jeneralnym wojsk litewskich, a następnie w tymże stopniu przeniesiony został do pułku 17 jazdy wojska litewskiego. Odbył kampaniją wciąż bez przerwy rozpoczynając od r. 1796 jako prosty żołnierz, a skończył w r. 1814 jako pułkownik. Znajdował się w bitwach pod Mincią, Adigą, Tagliamentem, Piawą, Trebiją, nad Po, pod Weroną, Legnago, Castel-franco, Garczia, Mantuą, Rivoli, Roveredo, Peschiera, Isola de la Scala, Castel-Maggiore, Novi, na wyspie Elbie, przy zdobyciu Langone, i Porto-Ferrajo, Villafranca, Veroną, Caldera, Vizenza, Lalma-nuova, Godroipo, Isonso w Neapolu, Kalabryi, w oblężeniu i przy zdobyciu twierdzy Gaety; znajdował się na wyspie Valcheran, i przy zdobyciu twierdzy Flessingi, tudzież pod Wilnem, i w oblężeniu Hamburga. W bitwie pod Novi, ciężty był palaszem i wzięty w niewolę, w której do zawarcia pokoju w Lunevillu zostawał. Pod Flessingą pełnięty dwa razy bagnetem, w skutek kapitulacyi tęg twierdzy, wzięty do niewoli, cztery miesiące w nięj zostawał. W r. 1816 otrzymał krzyż kawalerski legijonu honorowego za kampaniją r. 1813 (3).

Oto jest wszystko co nam mówi *stan służby* tego wojownika. A jednakże ileż byłby mógł sam nam opowiedzieć ciekawych wiadomości z tęg wędrówki po tylu krajach, świadek i ucze-

(1) Kuryjer Warszawski Nr. 75 z r. 1849.

(2) Patrz życiorys księcia Gedroyć.

(3) Patent pergaminowy podpisany własnoręcznie przez Karola króla Francyi, i Macdonalda.

stnik tylu bitw morderczych. Przez lata 1801 i 1802 był na wyspie Elbie, i poznał to późniejsze krótkie siedlisko Napoleona W. Jako jeńiec wojenny zwiedził Angliję (1). Odnaczał się wszędzie nieustraszoną odwagą, i poświęceniem. Pomiędzy papierami zmarłego pułkownika, znajduję dwa oryginalne świadectwa podpisane przez dowódcę i oficerów pierwszego *Regimentu* Irlandzkiego, w służbie cesarstwa francuzkiego, w których poświadczając służbę Kozłowskiemu, wyrażają: „że zawsze okazywał prawdziwe męstwo, szlachetne a ucziwe bez skazy postępowanie, odznaczał się jako człowiek honoru i wyborny żołnierz.“ (2)

Żałować przychodzi, że niemal wszyscy nasi wojownicy, co najpoetyczniejszej zaprawdę epoce świetnych wypraw Napoleona W. towarzyszyli, co nieraz przeważnie nawet na wypadki wojenne wpłynęli; dziwnym uczuciem skromności przejęci, milczeli usty i piórem, i chyba niekiedy, przy zdarzonej chwili, coś opowiedzieli z wielkiego dramatu Europy. W kółku rodzinném chętniej udzielali wspomnień swoich, jak i w gronie towarzyszków broni. Ale tradycje te z przeciągiem czasu ucichły, poszły w niepamięć; zostały tylko suchej treści *stany służby*, świadectwa i listy, które poświadczając naszych wojowników bohaterską odwagę, nieustraszonosc w boju do podziwiania, obok prawości i szlachetności charakteru; nie podadzą ci żadnego obrazu szczegółowego, nieodslonią żadnej karty z tego życia pełnego przygód, zapala, hojnie krwią skropionego i poświęcenia.

Kozłowski d. 31 Grudnia 1826 r. uwolniony ze służby wojskowej. w dawnym na polu bitwy otrzymanym stopniu podpułkownika; w r. 1831 był dyrektorem szpitala w Warszawie, następnie komendantem placu szpitala w Ujazdowie. W r. 1838 mianowany nadzorcą domu przytulku i pracy. Umarł d. 42 Czerwca 1838 r.

LINTZAJ JAN.

(*Pochowany w ziemi w dole wspólnym ubogich*).

Do wydatnych figur na ulicach Warszawy, które oczy każdego przechodnia zwracały na siebie; obok *famulusa*, był człowiek wysokiego wzrostu, w podartych sukniach, ręce zawsze ukryte w kieszeniach, przechodzący się wolnym krokiem, napadając na jedną nogę, za każdym stąpieniem podmuchując wyrazem pfu! pfu! od uliczników przezwany „*Boćkiem*.“ A był to niepospolity artysta! Jan Lintzaj budowniczy i malarz widoków akwarellą. Urodzony w mieście Białymstoku, matka jego z Jakubiickich była córką tamtejszego obywatela. Po ukończeniu nauk w szkołach księży Jezuitów, wysłali go rodzice do Rzymu dla wydoskonalenia się w malarstwie

(1) Świadectwo w języku angielskim wydane w Septembrze 1809 r. w Londynie dla Kozłowskiemu przy wypuszczeniu go z niewoli wojennej, podpisane przez J. Douglas'a; nazywa go Józefem Leonardem *Kuroławskim!* Już francuzi lepiej polskie nazwiska pisali, bo w rozkazach i świadectwach jest: *Mr. Kozłowski* i Kozłowski.

(2) Wydane w Landau 6 i 7 Czerwca 1810 r. Znajduję zaszczytne także dla Kozłowskiemu świadectwo z daty 13 Maja 1817 r. wydane przez obywateli Obwodu Krasnostawskiego, kiedy wysłanym był do spisu wojskowego. Dwudziestu trzech obywateli, właścicieli ziemskich dziękują mu, że umiał „pogodzić powinności stanu urzędu, z obowiązkami obywatela.“



rys. A. Matuszkiewicz

Lit. M. Fajans

GROBOWIEC SKIBICKICH.

Udruko w Lit. M. Fajansa, w Warszawie 31 Długa 590.



MD.626

i architekturze, do których od dzieciennych lat okazywał szczególne zamiłowanie. Wydoskonalony jako prawdziwy artysta wrócił do Polski, i zaraz użyty został przez księcia Stanisława Poniatowskiego podskarbiego do budowania w dobrach tegoż księcia, kościołów, pałaców i wiejskich willów, których najwięcej wystawił. W końcu panowania Stanisława Augusta, dostał pomieszania zmysłów z niewzajemnej miłości, i to był powód, że nie wiemy jakie budowle zostawił, ile widoków akwarellą utworzył. Mieszkając ciągle w Warszawie, codziennie z rana zwiedzał wszystkie kościoły, przed każdym ołtarzem, w którym zauważał czy piękną architekturą, czy obraz znakomitszej wartości, stał długo, i przypatrywał się z rozwągą. Śledziłem go nie raz; wsparty o ścianę, wlepił wzrok mdławy w przedmiot co go zajmował, usta jego milezały, ale oczy pozbywały mgły, którą były przed chwilą zasnuły, nabierały wyrazu i ognia. Oblicze blade, chude, zmarszczone, w tej chwili orzeźwiałoby jakoś, słaby rumieniec powoli wybijał. Uczucie piękna, dawało nowe życie biednemu artyście. Przy pomieszanych zmysłach miał uczucie to widać Lintzaj, bo żadnego dnia nie pominął, czy w śniegową zamieć, czy wśród deszczu, czy spiekoty letniej, swojej wędrówki po kościołach Warszawy. To miało dla niego powab nieopisanym, to go wzmacniało nawet, bo dożył dość późnego wieku. Widać że niemało usługi jako artysta oddał księciu Stanisławowi Poniatowskiemu, gdy mu ten książę rocznie i do śmierci przeznaczył pensji złp. 1800. Dwa razy chodził do Rzymu do niego z uzaleniem na nieregularną wypłatę tej pensji. Po obejściu kościołów porannem, co południe odwiedzał traktjermie a potem kawiarnie, i uprzejmie dziękował temu, kto go obiadem lub kawą uraczył. Pomieszanie jego było spokojne; odznaczało się błędnym wzrokiem w chwili większej przypadłości, i wtedy idąc ulicą, głośno mówił do siebie po włosku. Wówczas ulicznicy otaczali go wieńcem, wołając w okół, Bociek! Bociek! Wyraz ten, Lintzaja do gniewu pobudzał, podnosił kij i gonil chłopów po ulicach. Umarł d. 2 Lutego 1822 r. mając lat 63, na suchoty w Warszawie. Rysownik Walenty Sliwicki wylitografował go w r. 1824 w całej postaci, bardzo podobnie z podpisem: „pfuj! pfuj!“ (1)

JULIANNĄ Z BŁĘDOWSKICH SKIBICKĄ.

HELENA Z DRZEWIECKICH SKIBICKĄ.

„STROSKANY SYN, MAŻ, I OJCIEC, POLEGA POBOŻNYM WESTCHNIENIOM: NAJLEPSZĄ MATKĘ JULJANNĘ SKIBICKĄ, ZMARŁĄ D. 10 LIPCA 1843 R. NAJLEPSZĄ ŻONĘ, HELENĘ Z DRZEWIECKICH SKIBICKĄ ZMARŁĄ D. 18 KWIETNIA 1842 R. KAROLINĘ SKIBICKĄ ZMARŁĄ W PARYŻU D. 7 LISTOPADA 1749 R.“

(Rysunek tego grobu podaliśmy w Tomie I przy str. 77 niniejszego dzieła).

Julijanna z Błędowskich Skibicka była córką Anny Strutyńskiej i Michała Błędowskiego. Ten podając młodą Annę do chrztu oświadczył, że na małżonkę zamawia ją sobie. Żart ten, czy przez czucie e sprawdziły się przecieź. Ubiegły lata: Michał Błędowski całą swą młodość spędził na

1) Porównać co pisze o nim Edward Rastawiecki w dziele: „Słownik Malarzy polskich,“ tom I str. 263.

dworze króla Stanisława Leszczyńskiego w Lunewillu; jak zaś dalece zapomniał o swém oświadczeniu dla chrzestnej córki i zarazem krewniaczki ⁽¹⁾ świadczą własnoręczne listy królowej Leszczyńskiej i córki jej królowej francuzkiej, w których obiedwie upraszają hr. Sierakowskiego, o swatanie ulubionego im krewnego Michała Błędowskiego z hrabianką Stadnicką ⁽²⁾.

Swatowstwo to wszakże nie doszło do skutku; bo ten wróciwszy do kraju, ożenił się z Anną Strutyńską, której się był w kolebce oświadczył. Po niedługiej jenerał-adjutanta służbie w Warszawie, porzucił stolicę i osiadł w swęj majątności Zabajcach w Krzemienieckim, gdzie się w wystawnie urządzonej palacu zamknął, i na resztę dni zdiwaczał. Osierocona w dzieciennym jeszcze wieku ich córka Julijanna, pozostała na opiece brata swego Tadeusza (żonatego z Czosnowską) majora kawaleryi narodowej, posła Czerniechowskiego na sejm czteroletni. Piękność młodocianej Julijanny była tak uderzającą, że wszystkich na siebie oczy zwracała. Obyczajem ówczesnych młodych panien, tylko w domu Bożym lub na przechadzkach ją widywano, a nigdy na pokojach pana Czerniechowskiego (jak zwano jej brata zwyczajnie od godności poseselskiej) szczególnie kiedy je goście napelniali. Mieszkał on wówczas w Warszawie; nie mogły się więc wdzięki młodej Julijanny utaić; cała Warszawa jako o nowym cudzie mówiła. Stanisław August choć już podeszły w latach, ale estetyk każdego rodzaju piękności, zasłyszawszy o tej chciał aby mu była przedstawioną.

Stało się zadość życzeniu monarchy, gdy ukazała się na jednym z balów dworskich, i wszyscy przyznali prawdę sławy jej wdzięków, w bogatej wówczas tyłu pięknościami w Warszawie.

Ale młodej dziewicy nie odurzały ani holdy, ani rozgłos świetny; piękność swoją uważała jako dar Boga, na enotliwe życie, bo ta odpowiadała piękności jej duszy. Po powrocie na Wołyń, a było to w niepokojach roku 1792, i później we dwa lata Kościuszkowskiego powstania, panna Julijanna przez wdzięczność za osłonę od burz wojennych spokojnych Zabajec mieszkańców, z pomiędzy wielu zalotników, oddała rękę młodemu oficerowi Tadeszowi Skibickiemu, za zezwoleniem brata swego a opiekuna zarazem. Nowożeniec przedawszy ojcowiznę swą jaką posiadał w Starokonstantynowskim kupił od szwagra swego Zabajec, pięknej swęj żony gniazdo rodzinne. Lecz i ten majątek, dla interessów czasami wojennemi zanaconych, sprzedać musiał, a dla poratowania zdrowia, trudami wojennemi nadwątlonego, osiadł na kuracyi u słynnego podówczas doktora *Lerneta* w Dubnie, gdzie niebawem wycieńczony suchotami, młodego dokonał żywota. Młodej, uroczej a w pełnym wieku omamień wdowie, mogły się jeszcze uśmiechać świat i życie, ale uczucie obowiązku, przemogło w zacném i pocziwém jej sercu, nad wszelkiem inném uczuciem. Obowiązkiem tym był jedyny syn jej Franciszek, któremu całą swą przyszłość poświęciła. Odrzuciwszy ze wszech stron nadarzące się jej partje, i milionowe fortuny, któremi mogła własne wzbogacić dziecię, szlachetnie wzgardziła w przekonaniu, że miliony nie zastąpiłyby mu oka i serca matki, którymiby podzielić się z drugim musiała. Kiedy

⁽¹⁾ Brat jego starszy był ożeniony z Juliją z Rościszewskich, która owdowiawszy poszła za Strutyńskiego, i z tego małżeństwa była Julijanna Skibicka.

⁽²⁾ Korespondencyje te znajdowały się w Archiwum *Turyczańskim* na Wołyniu.

brat jej i opiekun Tadeusz Błędowski po długim oddaleniu powrócił do kraju; młoda matka chwytając go za rękę, przywiodła do kolyski niemowlęcia dla pokazania syna. Obudziła dziecięcą, a gdy to rozespiane zwróciło oczy na nieznanego wuja, i uśmiechnęło się owym anielsko-dziecinny uśmiechem, ten go wziął na ręce a przycisnąwszy do serca: „Siostró przemówił,— nie doznasz tylko samych pociech z tej dzieciny.“ (1) I zaprawdę w niej zamknęła swój cały świat młoda wdowa; drząc z obawy, aby w synu nie ujrziała zarodu słabości ojca, czuwała troskliwie nad moralnym jego wychowaniem. Ilek dła jej serca było radości, gdy pierwsze wymówił słowa, gdy myśl swą wyrażać zaczął, gdy następnie to do rysunku, a więcéj jeszcze do muzyki okazywał talentu, a dorwawszy się małych skrzypeczek, drobną ręką wydobywał z nich tony i wesole i tkliwe na przemiany (2). Skwapliwie zajęła się wychowaniem wyrastającego zdrowo syna, sprowadziwszy z Krakowa i Francyi wyborowych do niego nauczycieli. Korzystał z nich równie przebywający w jej domu Antoni Malczeski późniejszy autor *Maryi*. Tadeusz Czacki nakłonił ją następnie do oddania obu do założonej przez siebie szkoły w *Krzemieńcu*, gdzie w roku następnym na publicznym, popisie Malczewskiemu przypięła medal złoty. Oddawszy się przez lat kilka zawikłanym interessom domowym, późniéj sama w Krzemieńcu osiadła, uszczęśliwiona postępem w naukach dwóch młodzieńców, wdzięczna Czackiemu w którym nie tylko zwierzechnika, ale opiekuna i jakby drugiego ojca dla obu znalazła. Głośny podówczas Krzemieniec był niemal stolicą wszystkich znaczniejszych domów w kraju, dla wychowania tam osiadłych. Dom pani podkomorzyny Skibickiej powszechnym otoczony szacunkiem, godnością cnotą i staropolską gościnnością, stał między najpierwszemi. Któż go tam nie znał, kogóż grzeczność, powaga i szlachetne jej serce nie ujęły? Znalazłeś tam zawsze dobór towarzystwa, i najmiłsze przyjęcie. Malczeski czczył ją jak matkę: kiedy wraz z jej synem przybył do Warszawy, nie zapomniała poważna matrona o tym wychowanku swoim. Nasz poeta pisze pod dniem 10 Stycznia 1815 r. ze stolicy Polski w przypisku do listu Fr. Skibickiego. „Niech pani przyjmie także wyrazy prawdziwej przyjaźni i uszanowania. Tyle dobroci, tyle grzeczności doświadczyłem już tyle razy od pani, tak mnie pani zawstydzila ostatnim swoim listem, że prawdziwie nie mam wyrazów do wysłowienia mojej wdzięczności i obowiązków dla nich.“ (3) Krzemieniec zjednoczył i na nowo skojarzył węzłem dwie osoby, które po niedługiej następnie wędrówce życia, spoczęły w jednym obok siebie grobie, na cmentarzu powązkowskim. Szef Józef Drzewiecki cioteczny brat podkomorzyny Skibickiej słusznie był nazwany gospodarzem Krzemieńca. Tytuł ten nietylko nadany mu został jako marszałkowi tego powiatu, członkowi Kommissyi Edukacyjnej, najserdeczniejszemu niegdyś Tadeusza Czackiego przyjacielowi, ale jako pociągającemu wszystkich serca, nietylko całego Krzemieńca. Dom jego był tak otwarty, przytulający zarówno wszystkich do siebie, że zdarzało się powracającemu w noc gospodarzowi, nie zastać wolnego od przybyłych gości we własnym domu kącika, tak dalece, że w miejskich zajazdach musiał szukać na

(1) Rękopism Anieli z Błędowskich Kropińskiej żony autora *Ludgardy*.

(2) Tenże rękopism.

(3) Z Autografu

noc schronienia. ⁽¹⁾ Oddzielna jednak część tego domu przeznaczoną była na pomieszkanie jego córki Heleny, osierociałej po matce od lat dziecińczych. Miejsce zmarłej matki, zastąpiła młodej dziewicy Idalija z Potockich księżna Sapieżyna, a trzy jej córki, jak rodzoną siostrę kochały. Moralnym wychowaniem Heleny kierowała szanowna, w podeszłym już wieku cudzoziemka pani de l'Arbre, której nazwisko, dziwnym zejściem się, było imieniem Drzewieckich tłumaczeniem. Otoczona najstaranniejszym wychowaniem, tyle miała godzin naukami zajętych, że brakowało dnia na wszystkie, stąd dla braku czasu, niektóre przedmioty w czasie wieczornej herbaty jej wykładano. Na wykształcenie jej, nauki i domowe rozrywki, słowem całe wychowanie Heleny, panna Ksawera de Beaupré przeważył wpływ wywierala. Szefowa Drzewiecka przy urodzeniu Heleny, wzięwszy z niego francuza de Beaupré córkę, i dawszy jej najstaranniejsze wychowanie, przysposobiła w niej dla swojej Heleny przyjaciółkę i towarzyszkę na przyszłość. Dobremu natchnieniu pobłogosławiło niebo. Było to w samej rzeczy, spojrzenie Opatrzności, która zbyt wczesnym osieroceniem Heleny, drugą jej matkę w pannie de Beaupré zgotowała. Jak od razu bowiem sercem do niemowlęcej przylgnęła kolebki, tak od dzieciennego paska, od dziewczynki poczynającej nauki, i za jej przykładem postępującej dalej; tak następnie od dorosłej narzeczonej, później w sakrament małżeński wstępującej, w ostatku od matki czworga dzieci z czułością nie odstępowała. ⁽²⁾ Zajmującym był obraz domu w Werbie, (pisze Henryk Cieszkowski) gdzie młodzi Skibicey wraz z matką zamieszkali. „Wszystkie tam serca walczyły z sobą najwyższych uczuć objawem; piękna zaiste walka w tém, które któremu głębszą odpowie czułością. Matka poświęciła się dla syna, żyła w synu; synowi nie gorzką była ze świętych karjer ofiara, aby nie odstąpić nóg matki, a później tak podzielić serce, aby z zawiązanymi węzły męża i ojca każda onego cząstka, we czci i kochaniu, zupełną była całością. Pobyt ten uprzyjemniał piękny dom ze ślicznym ogrodem, wszystko przez dobrą matkę urządzone. Zarysował go sławny pianista Mikler Irlandczyk, pod przewodnictwem, pełnego smaku autora Ludgardy. I sztuki piękne miały tam swój organ i schronienie. Malarski talent Heleny, wykształcony za granicą, fortepijan i śpiew, mistrzowsko przez jej małżonka kierowany, uprzyjemniał życie, skupionej w serdecznym kółku rodzinie.“

„Sąsiedzi i liczni przyjaciele ze czcią patrzyli na ten obraz szczęścia trzech razem pokoleń, szczęścia, którego babka, poważna już matrona była duszą i sprawczynią. Wątpliwy stan zdrowia Heleny spowodował wyjazd małżonków za granicę, jakoż rok w Dreźnie, a trzy lata we Włoszech spędzili. Tam talent jej malarski w wyższym jeszcze stopniu, rozwinął się; dowodem czego piękne album ubogacone jej piędzlem i ołówkiem, w którym obok miejsc zagranicznych i widoków, widoki i miejsca dziedzicznej ich Werby, i kwiecistego w niej ogrodu, z nieporównanym wdziękiem, na karty przeniosła. Za powrotem do kraju, przenieśli się wszyscy na stałe do Warszawy mieszkanie, gdzie z niedościgłych wyroków Opatrzności, jeden grób na nich czekał. Tu syn, mąż i ojciec złożył martwe zwłoki matki, żony i córki; a krzyż na ich popiołach na pomniku wzniesiony, jest oparciem się jego w osieroceniu, przystanią w boleści, modlitwą lez

(1) Notaty Henryka Cieszkowskiego.

(2) Notaty Henryka Cieszkowskiego.

i razem pociechy!" Podkomorzyna Skibicka wysławszy syna w końcu 1814 r. do Warszawy na usługi kraju, zażądała od niego częstych listów, aby nimi pocieszać mogła zacne serce matki, w rozdziale z ukochanym dzieckiem. Dobry syn, święcie spełnił jej wolę; matka troskliwie zachowywała list każdy, i utworzył się z tego znakomity zbiór, wielkiej ceny dla historyi od roku 1815 do 1822.

Młody Skibicki, uczęszczając w towarzystwa wyższe, wiernie i sumiennie zdaje sprawę z tego co widział, co słyszał, i co kraj obchodzić mogło. Sprawozdania te są wielkiego zajęcia, a pełno w nich postaci historycznych. Godne starannego przechowania, bo czasem posłużyć mogą za drogocenny tamtych czasów zasób, do skreślenia dziejowych obrazów.

JAN KILIŃSKI.

Przy ozdobnej kaplicy Laskich i Frenklów, od drzwi wchodowych po prawej stronie w załku, tuż przy grobowcu granitowym Jana Majorkiewicza, spoczywa w mogile ziemnej bez żadnego napisu Jan Kiliński szewc z rzemiosła, właściciel dwóch domów Nr. 445 przy ulicy Dunaj, znany jako pułkownik 20 regimentu i pisarz. Urodził się w Poznaniu 1760 roku; ojciec jego Augustyn był architektem mularskim. Jan Kiliński przybył w r. 1780 do Warszawy: tu pracowitością i oszczędnością, zebrał fundusz na kupno dwóch domów, a odznaczywszy się zdolnościami i prawym postępowaniem został Radnym w Magistracie. Zaślubiwszy Marjannę z Rucińskich, kochał ją wielce, szanował i poważał. Ona gniew jego i uniesienie umiała spojrzaniem i słowem uspakając do razu, bo w tym spojrzeniu i głosie przemawiało jej tkliwe przywiązanie do męża. Miał z nią czterech synów i dwie córki: z tych dwóch synów w młodym wieku zmarło. Kiedy zasnęła snem wiecznym, sprawił jej wystawny pogrzeb, w katakumbach powązkowskich pochował, i taki na płycie marmurowej kazał wyryć napis, który sam skreślił:

„Tu spoczywa Maryjanna z Rucińskich Kilińska, która zostawiła męża i czworo dzieci, a te nieprzestaną oplakiwać tak dobrą matkę. Przechodniu! jeśliś kochał matkę, wspomnij ją sobie i tu zapłacz. Mając lat 45 umarła d. 25 Kwietnia 1814 roku.“

Zaprawdę zaena ta niewiasta, zasługiwała na lzy męża i rodziny. W najsmutniejszych też kolejach życia, dzieliła z mężem różne przygody. Kiliński był majstrem obuwia damskiego: najpierwsze panie, zamawiały u niego zgrabne i gustowne ubranie nogi, a co w czasach, gdy krótsze suknie nosiły, i pięknie ozuta noga, należała do wdzięków niewieścich, niemalym było dla szewca zadaniem. Kiedy opuścił na lat kilka Warszawę w r. 1797, Kiliński dał się poznać ze swój sztuki w stolicy Litwy, w Wilnie: gdzie ledwie nadażyć zdołał licznym zamawianiom obuwia damskiego. W trzecim roku po zgonie pierwszej żony, pojął w małżeństwo Anastazję z Jasińskich i tę wdowę zostawił. Całe życie nosił się zawsze po polsku, czysto i gustownie przybrany, w kontuszu żupanie, i czerwonych butach. Wąs zawieszisty zdobił wyraziste i mówiące jego oblicze: postać składna, ruchawa i pełna życia; tak go pamiętam w latach mojej

młodości. Szczegóły, co do daty jego śmierci i rodziny pozostałej, następnym urzędowym *akt zejścia* podaje:

„Przed urzędnikiem stanu cywilnego parafii ś. Jana, stawili się Mateusz Szamborski majster kunsztu szewckiego zięć zmarłego, i Mikołaj Gaworkiewicz, również majster tegoż kunsztu sąsiad, i oświadczyli: że dnia 28 Stycznia 1819 roku, o godzinie 10 zrana, zakończył życie, w mieszkaniu jakie zajmował w domu własnym pod Nr. 145 przy ulicy Dunaj, ś. p. Jan Kiliński majster kunsztu szewckiego i obywatel miasta Warszawy, liczący lat 59; rodem z miasta *Strzemieszna* ⁽¹⁾ w Wielkopolsce leżącego, z rodziców już oddawna nieżyjących, pozostawivszy po sobie powtórna małżonkę Anastazyję z Jasińskich lat 34 mającą: tudzież siedmioro dzieci; mianowicie z pierwszego małżeństwa 1. Franciszka. 2. Wawrzeńca, synów wyżej lat 30. 3. Maryjannę. 4. Agnieszkę: niżej lat 30 liczących; z powtórnego zaś związku 5. Antoniego lat 5. 6. Ignacego lat trzy, synów, oraz 7. Józefę córkę rok jeden miesiący sześć mającą, poczem akt przez stawających i urzędnika stanu cywilnego podpisany został. Dnia 29 Stycznia 1819 roku w Warszawie.“ ⁽²⁾

Kartka pogrzebowa, którą mamy przed oczyma, brzmi w słowach następujących:

„Requiescat in pace. Pozostała żona wraz z familiją po ś. p. Janie Kilińskim byłym półkowniku wojsk polskich, zapraszają krewnych i laskawych przyjaciół na eksportacyją ciała, w niedzielę dnia 31 Stycznia r. b. z domu własnego Nr. 145 przy ulicy Dunaj, o godzinie trzeciej po południu na cmentarz powązkowski. Hodie mihi, cras tibi.“

Pogrzeb Kilińskiego zgromadził do 30,000 mieszkańców Warszawy, którzy towarzyszyli aż do grobu na cmentarz. Antoni Magier w swoim rękopiśmie: „*Estetyka Miasta Warszawy*.“ utrzymywał że majster ten kunsztu szewckiego, pisać nieumiał. Jest to grubo błąd i nie prawda, bo widzieliśmy własnoręczne obszerne nawet pismo, a w aktach miejskich są liczne jego ręki podpisy, i sami nawet posiadamy jeden.

Najstarszy z synów Kilińskiego, Franciszek: wstąpił do wojska, i dosłużył się stopnia porucznika gwardyi Napoleona, odznaczywszy się mężstwem i zuchwałą nawet odwagą. Umarł w Warszawie w rok po śmierci ojca 1820 r. Kartka pogrzebowa, zawiera te słowa: „Stroskana familija zgonem Franciszka Kilińskiego byłego oficera gwardyi wojsk francuzkich; prosi uprzejmie tych przyjaciół dla których nieobojętną rzeczą jest śmierć skromnego wojownika: iżby w dniu 28 b. m. o godzinie 5 z południa, przy eksportacyi ciała jego na cmentarz powązkowski raczyli oddać ostatnią usługę, temu zasłużonemu mężowi.“ Kiedy tak ojciec Jan, jak i najstarszy syn Franciszek, niemają żadnego pomnika grobowego: dwaj jego synowie młodszy, pochowani przy mogile ojca mają napisy.

1. Krzyż drewniany, z tablicą blaszaną, na niej farbą żółtą napis: „Tu spoczywają zwłoki Wawrzeńca Kilińskiego b. sekretarza taksowego. Żył lat 57, umarł d. 8 Sierpnia 1843.“

⁽¹⁾ Według zapiski własnoręcznej samego Kilińskiego, rzeczywiście urodził się w samym Poznaniu, ale w Strzemiesznie wychowywał i wykształcił w rzemiośle szewckiem.

⁽²⁾ Akta stanu cywilnego. W księdze z roku 1819 Nr. 57 strona 16.

2. Tuż obok stoi krzyż drewniany, wysoki z napisem: „Ignacy Kiliński b.(yły) urzędnik przeżywszy lat 37, umarł d. 29 Listopada 1851.“

Żaden z synów Kilińskiego, nie trzymał się ojcowskiego rzemiosła, które mu dało i dostatek i dobre imię. Troskliwa *familija*, wszędzie chciała zatrzyć nawet ślad, że był majstrem kunsztu szewckiego. Na karcie pogrzebowej, jak widzieliśmy, podano tylko stopień wojskowy: na grobach synów troskliwie wypisano, że to byli *urzędnicy*. To zaparcie się uczciwego zawodu, w którym Kiliński cały swój żywot przepędził, zasługuje na uwagę.

JAN CHRZCICIEL SZTUMER.

„GRÓB FAMILII SZTUMERÓW: TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. JANA SZTUMER, RADCY STANU, B. NACZELNEGO LEKARZA B. WOJSK POLSKICH, ZMARŁ D. 15 SIERPNI 1845 R. ŻYŁ LAT 61.“

Po dwóch bokach kolumny napisy:

„FAUSTYN SZTUMER ŻYŁ LAT 49, UMARŁ DNIA 4 LISTOPADA 1833 ROKU. NATALIJA SZTUMER, ŻYŁA LAT 48, UMARŁA DNIA 3 MARCA 1842 ROKU.“

Urodzony dnia 9 Lipca 1784 roku w Krakowie, tam pierwsze lata dzieciennego i młodzieńczego wieku przepędził. W Krakowskim liceum i uniwersytecie, całkowite kursa nauk pokończył. W roku 1806 otrzymał stopień magistra chirurgii i akuszeryi; we dwa lata później, pod znakomitemi lekarzami i professorami: Hildebrantem, Rustemem, Kollandem, Schultesem i innymi, stopniem doktora medycyny zaszczycony został. Porzuciwszy posadę lekarza assystenta szkoły położniczej w Krakowie, którą przez lat dwa sprawował, przeniósł się do królestwa polskiego. W roku 1809 praktykując w byłym Województwie Sandomierskim, jako lekarz wojskowy na pole bitwy pośpieszył. W pierwszej zaraz wyprawie swojej, za nieustraszoną gorliwość i poświęcenie się w niesieniu rannym pomocy na placu boju, krzyż złoty wojskowy otrzymał; a następnie urzędnikiem zdrowia pierwszej klasy w wojsku Księstwa Warszawskiego mianowany został. Po skończeniu tej krótkiej kampanii, wezwany na profesora anatomii i fizjologii do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, obowiązki te pełnił bez przerwy do r. 1813. Zgubna wyprawa Napoleona w r. 1812 w której stracił jedną z najpotężniejszych armii, wielu lekarzy wojskowych pozbawiła życia; między tymi, padł tam ofiarą i naczelnik ich sławny doktor Leopold Lafonten. Rząd Księstwa Warszawskiego w jego miejsce powołał z katedry uniwersyteckiej Sztumera. ⁽¹⁾ Odbył on następną kampaniją, zwiedził za granicą wiele instytucyj naukowych i lekarskich; a za powrotem do kraju w roku 1815 mianowany został naczelnym lekarzem nowotworzącego się wojska polskiego pod wodzą J. C. W. Cesarzewicza Wielkiego Księcia Konstantego, i szefem wydziału lekarskiego w b. Kommissyi Rządowej Wojny. Oprócz tego zajął katedrę profesora anatomii w uniwersytecie Warszawskim, i pełnił te obowiązki nie-

⁽¹⁾ W Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego Warsz. T. XIV jest życiorys J. C. Sztumera: dodać trzeba: że w bitwie pod Lipskiem dostał się do niewoli, był przelożony nad szpitalem rossyjskim i w końcu 1814 roku wrócił do Krakowa.

przerwanie przez lat 15. W roku 1832 przeznaczony na członka tymczasowego lekarskiego komitetu, a następnie na prezesa w Radzie Ogólnej Lekarskiej. W roku 1838 po zreorganizowaniu służby cywilno-lekarskiej w Królestwie Polskiem, powołany na stałego członka Rady Lekarskiej, w roku 1840 otrzymał stopień radcy stanu; a dnia 6 Kwietnia 1845 roku ukończywszy trzydziestopięcioletni zawód służby publicznej, na własne żądanie uwolniony, otrzymał emeryturę, i zaszczycony został nominacją na honorowego członka Rady Lekarskiej, z prawem przewodniczenia podczas nieobecności prezesa. Usunąwszy się w ciche domowe ustronie, gdzie marzył swobodnie spocząć i odetchnąć po tyloletnich trudach i pracy, w kilka miesięcy, umarł w 64 r. życia.

Spoczywa w grobie rodzinnym na starym cmentarzu za kościółkiem powązkowskim między pomnikami doktorów: Brandta i Celińskiego.

ŁUKASZ BIEGAŃSKI.

„ZWEŁOKOM Ś. P. ŁUKASZA BIEGAŃSKIEGO B. GENERAŁA DYWIZYI B. WOJSKA POLSKIEGO, WIELU ORDERÓW KAWALERA, KTÓRY PRZEŻYWSZY LAT 84 WIEKU SWEGO, W DNIU 6 CZERWCA 1839 ROKU CNOTLIWE ZAKOŃCZYŁ ŻYCIE. TEN SKROMNY POMNIK JEST DOWODEM ŻAŁU I WDZIĘCZNOŚCI POZOSTAŁEJ SYNOWICY.“

(Pomnik kolumna niska kamienna).

Łukasz Biegański urodził się we wsi *Młynówce* w Cyrkule Tarnopolskim w Galicyi, d. 15 Października 1755 roku. Wszedł do wojska polskiego jako ochotnik w stopniu kadeta dnia 18 Października 1774 roku, awansował na chorążego dnia 19 Stycznia 1782 roku, na porucznika dnia 30 Listopada 1783 roku, na kapitana dnia 24 Marca 1794 roku; i zarazem został adjutantem polowym naczelnika, generała Tadeusza Kościuszki, a wkrótce postąpił na majora dnia 7 Kwietnia 1794 roku. Dnia 23 Lutego 1807 roku, mianowany pułkownikiem, Szefem sztabu pierwszej legii wojska polskiego; dnia 27 Grudnia tegoż roku generałem brygady. W roku 1812 był komendantem miasta Warszawy. Dnia 20 Grudnia 1814 roku zanonimowany dyrektorem jeneralnym Kommissoryatu Ubiorczego wojska polskiego. Dnia 3 Września 1826 roku, został generałem dywizyi. Odbył kampanije w latach: 1792, 1794, 1809 i 1813. W roku 1808 otrzymał krzyż kawalerski orderu wojskowego; następnie kilka orderów. W roku 1830 znak honorowy XXXV nieskazitelnej służby oficerskiej. Umarł w Warszawie.

NORBERT ALFONS KUMELSKI.

(Spoczywa w mogile ziemnej bez nagrobku).

Urodzony d. 6 Czerwca 1802 roku. Umarł 9 Sierpnia 1853 roku.

Po ukończeniu w roku 1819 nauk w b. Gimnazyjum Międzyrzeckim w Gubernii Wołyńskiej, pełnił obowiązki przy témże Gimnazyjum nauczyciela języka niemieckiego. Następnie udał się do b. Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego, gdzie słuchał nauk w fakultetach fizyczno-matematycznym i lekarskim przez lat cztery, i mianowany został podbiblijotekarzem tegoż uniwer-

sytetu (1). Dawszy się poznać ze zdolności naukowych, przez Cesarskie Towarzystwo badaczy natury w Moskwie, wybrany został na członka zwyczajnego tegoż towarzystwa w końcu roku 1827. We dwa lata przez Radę b. Uniwersytetu Wileńskiego wezwany do zajęcia w nim katedry technologii powszechniej; celem zaś udoskonalenia się w tym przedmiocie, wysłany został na początku r. 1830 za granicę do Niemiec, Francji i Anglii na lat trzy. Wrócił z tej podróży w roku 1833 znalazłszy zamknięty uniwersytet Wileński, wszedł do służby w królestwie polskim jako sekretarz-tłumacz do języka rosyjskiego w biurze Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Był zarazem członkiem Redakcyi Gazety Rządowej.

„Syn Ukrainy, (pisze Leon Rogalski) miał w swym charakterze coś poetycznego, dziarskiego, niepospolitego, co jego pismom nawet treści poważnej, jego poufałym rozmowom, osobliwszy powab i urok nadawało. Śliczna polszczyzna, pełna jędrności, zwrotów dobitnych przypominających dawną przodków mowę, jest cechą znamienującą prace Kumelskiego. Moralne przymioty wyrównywały jego zdolnościom umysłowym. Trzeba mu było wielkiego hartu duszy, żeby znieść nie jedno z cierpień, najdotkliwiej serce jego doskwierających, a znieść mężnie i nie upaść pod ciężarem domowego smutku.“ (2) Wielkiej pracowitości Kumelski, jest autorem dzieł następujących: 1. *Zasady geognozyi, wedle nauki Wenera*, 2 części, Wilno 1827 r.— 2. *Rys systematyczny nauki o skamieniałościach, czyli petrefaktalogii*. Wilno 1826.—3. *Zoologija albo historyja naturalna zwierząt, w głównych zasadach podług systematu Linneusza, trybem Blumenbacha, z wielą dodatków i odmian zastosowanych do dzisiejszego stanu tej nauki*. Tomów 3 Wilno 1836 r. W tém dziele współpracownikiem Kumelskiego był professor b. Akademii medyczno-chirurgicznej w Wilnie, Stanisław Batys Górski, znany z wielu użytecznych dzieł w przedmiocie nauk przyrodzonych. Prócz tego Kumelski przelożył następujące dzieła Brarda: 4. *Mineralogija popularna*, albo przestrogi dla rzemieślników o ziemiach, kamieniach, piaskach, metalach i solach, których codziennie używają, tudzież o węglu ziemnym, torfie i t. d. Wilno 1827 r.—5. *O gonitwach końskich*, jako środka istotnie pomagającym do udoskonalenia gatunków koni, z dokładnym opisaniem celniejszych placów gonitwowych w Europie, Wilno 1828 r.—6. *Opisanie korzystnego sposobu pędzenia wódki za pomocą pary wodnej z 24 tablicami planów, przecięć i wystaw*, dzieło G. Engelmana. Wilno 1828.—7. *Opisanie maszyny do międlenia* p. Loforest, z uwagi nad uprawą lnu i konopi, mających się wyrabiać za pomocą tej maszyny. Wilno 1828 r.—8. *Opisanie pierwszej wystawy publicznej wyrobów rękodzielniczych rosyjskich w St. Petersburgu 1829 r.* (przekład z rosyjskiego). Wilno 1830 r. 8 str. 239.—Bardzo wiele pism Kumelskiego, tak oryginalnych jak tłómaczonych, mieszczą w sobie: *Dziennik Wileński*, tudzież wydawane w Warszawie, *Magazyn Powszechny*, *Magazyn dla dzieci*, i *Encyklopedyja powszechna*. Mamy przed oczyma dwa obszernie jego rapporta, kiedy wysłany kosztem uniwersytetu Wileńskiego za granicę dla doskonalenia się w przedmiocie Technologii, wedle wydanej Instrukcyi był obowiązany do składania takowych, o zwiedzanych przez siebie fabrykach, zakładach i wysłuchanych kursach. Rapport pierwszy datowany jest z Wiednia 23 Listopada 1830 r. drugi

(1) Akta stanu służby.

(2) Gazeta Warszawska Nr. 209 z 1853 r.

z Monachium z daty 10 Września 1331 r. Obadwa zachowane dotąd w rękopiśmie zasługują na ogłoszenie drukiem; w nich okazał Kumelski nie tylko gruntowną znajomość swego przedmiotu, ale wyższy pogląd i troskliwość w zbadaniu zakładów i nowych wynalazków, mogących być szczęśliwie a trafnie zastosowanych do potrzeb naszego rolniczego kraju. Żył lat 52.

GREGOIRE, BRACIA.

(Grób w ziemi, a nad nim piramida kamienna z wazonem, o tę oparte są dwie tablice z napisami). (1)

I.

ICI JEAN BAPTISTE GREGOIRE

„Né a Paris le 11 Mars 1797, décédé a Varsovie le 21 Janvier 1829. Son père et ses frères dont il était l'espoir ont élevé sur sa cendre ce monument de leurs vifs, et éternels regrets.“

„O toi! si de ces lieux consacrés au trépas,
L'auguste et triste aspect t'impose,
Passant, donne une larme au juste qui repose,
Sous la poussiere de tes-pas.

De son soufle fatal par quel affreux caprice,
La mort se pressa de tarir,
Cette source si pure, et d'où l'on vit jaillir,
Tant de vertus, pas un seul vice?

Avant de te réjoindre au funèbre séjour,
O mon bon, mon excellent frère,
Je ne forme qu'un voeu, c'est de pouvoir un jour,
Venir pleurer sur cette pierre.

A. G.

Paris, Fevrier 1829.“

„Urodzony w Paryżu 2 Marca 1797 roku, zmarły w Warszawie 21 Stycznia 1829 r Ojciec i bracia których był nadzieją, na prochach jego wzniesli ten pomnik żywej a wiecznej boleści.“

„Przechodniu! gdy w tych miejscach święconych
Zadrży dusza twoja tkliwa; (żałobie,
Daj łzę sprawiedliwemu, co tu w chłodnym grobie,
Pod prochem stóp twych spoczywa.

I czemuż powiew śmierci ostry a złowrogi,
Ściął lodem on zdroj przeczysty,
Kiedy w dni swych poranku, zaledwie pół drogi
Zbiegł po dolinie kwicistój.

Nim życiem skołatany, z tobą bracie miły
Odpocznę w grobowca cieniu,
O! niech czasem przynajmniej. u stóp twój mogiły,
Zapłacę na tym kamieniu!

A. G.

Paryż, Luty 1829 r.“

II.

(Obok tego nagrobku, grób jego brata w ziemi, a nad nim kamień piaskowy z napisem):

ICI RÉPOSE EMILE GREGOIRE

Né a Paris le 21 Avril 1803. Décédé a Varsovie le 24
Octobre 1835. Agé de 32 ans.

Il fut bon époux bon père
fut l'ami des malheureux,
chaque jour de sa vie fut
marqué par un service
rendu à l'humanité.

Urodzony w Paryżu 21 Kwietnia 1803 r. zmarły
w Warszawie 24 Września 1835 w 32 roku życia

Był dobrym małżonkiem i ojcem,
był przyjacielem nieszczęśliwych;
każdy dzień jego żywota
naznaczony był posługą
niesioną ludzkości.

Obaj bracia odleli z brązu statwę konną księcia Józefa Poniatowskiego; Emil zaś Gregoire po śmierci brata, odlał posąg Mikołaja Kopernika, który stoi przed domem b. Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. W kalendarzu A. Gałęzowskiego na rok 1830 przy życiorysie księcia Józefa Poniatowskiego, jest rysunek tego pomnika dłuta Thorwaldsena, który bracia Gregoire odleli. Wojownik siedzi na koniu stępo idącym; książę po rzymsku ubrany, z gołą głową, w pra-

(1) Kładziemy obok przekład polski.

wój ręce trzyma dobyty miecz krótki rzymski; pod lewą na biodrze pochew od niego. Płaszcz rzymski rzucony na ramiona. Odlew udał się wedle wzoru sławnego rzeźbiarza wybornie, stał długo na wystawie przy fabryce braci Gregoire. Licznie odwiedzający ten pomnik, jak dobrze pamiętam, chwalać piękność konia, oburzenia swego utaić nie mogli patrząc na martwą bez wyrazu postać bohatera, z gołymi nogami, z ufryzowaną głową, i owym mieczem krótkim a szerokim, jakby wydobyty z gruzów Herkulanum.

„Maż to być nasz książe Józef? pytano z podziwieniem; toż to w téj lalce, postać wodza co zginął po bohatersku w nurtach Elstry?“

Współtowarzysze broni tego wodza, z litośnym uśmiechem, smutnym a rzewnym spoglądali wzrokiem, kiwali głową, z gniewem i bolesnym odchodzili westchnieniem. Jeden ze starych wąsaczów wchodząc, spojrzawszy obojętnie na ten posąg, zapytał obecnych:—Gdzie nasz książe Józef?—Gdy mu wskazali statuę spojrzął, i odskoczył jakby przerażony: — To my na tę maskaradę dawaliśmy pieniądze?! — wykrzyknął, to szyderstwo i głupstwo! Takimże to sposobem uwieczniamy pamięć naszych bohaterów? i przeżegnawszy się kilka razy, wybiegł serdecznie rozczulony. Niestety! te uwagi i wyraźne dowody niechęci, były za próżne: posąg już stał odlany, takiego pomnika żądali uczeni ówczesni znawcy, taki też słynny rzeźbiarz europejskiej sławy, wykonał. Nie mogli owi znawcy pojąć, aby można bohatera w posągu wystawić w zwykłym jak chodził ubiorze, bo by to była hańba wyrządzona *sztuce*: w hołdzie dla niej i starożytnych pomników klasycznych, przestrojono naszego wojownika po rzymsku!! Obok braci Gregoire, spoczywa bez żadnego napisu, ich przyjaciel i współnik prac *Aleksander Jan Konstanty Norblin*, znakomity rzeźbiarz i bronzownik, urodzony w Warszawie dnia 1 Stycznia 1777 r. zmarły w témże mieście dnia 23 Marca 1828 roku mając lat 51 wieku ⁽¹⁾. Znakomitsze prace Norblina są: w kościele *Świętego Aleksandra*, krucyfix, cymborium i pokrywa z brązu zloconego do chrzcielnicy. Na wystawę dzieł sztuk pięknych 1823 roku, przedstawił popiersie księcia Adama Czartoryskiego generała ziem podolskich, modelowane i odlane w gipsie. Robił również modele i ozdoby gipsowe do pałaców Kommissyj Rządowych: Spraw Wewnętrznych i Policyi, oraz Przychodów i Skarbu ⁽²⁾.

(Grób mурowany w ziemi na kamieniu przykrywającym go napis):

„GRÓB RODZINY CIELESKICH.”

(Nad tym pomnik z krzyżem na wierzchu, na tablicy napis):

„DEO OMNI POTENTI MAXIMO.“

HIPOLIT, STEFAN, FRANCISZEK, CIELESKI.

„UR. 13 SIERPNIА 1792, W DNIU 13 STYCZNIA 1841, POGRĄŻYŁ W NIWYGASŁYM ŻALU TYCH, Z KTÓREMI GO ZWIĄZKI KRWI I PRZYJAŹNI ŁĄCZYŁY, OSIEROCIŁ ŻONĘ I SIĘDMIOGRO DROBNYCH DZIECI.“

(1) Był synem Jana Piotra Norblin de la Gourdain, zmarłego w Paryżu dnia 23 Lutego 1830 r. którego dokładny życiorys, znajdzie Czytelnik „w *Słowniku malarzy polskich*,” w Tomie 2 na sr. 62.

(2) Notaty Grzegorza Jahołkowskiego.

(Niżej herb, a pod nim napis):

„OSIEROCENI ZA DUSZE TU SPOCZYWAJĄCYCH PROSZĄ PRZECHODNIÓW O POBOŻNE WESTCHNIENIE.“

(Z prawej strony pomnika napis):

„SALOMEA Z KOTOWSKICH KRÓLIKOWSKA,

NIEODŻAŁOWANA MATKA DNIA 16 LUTEGO 1841 R., ZAKOŃCZYŁA ŻYCIE PEŁNE CNÓT W 58 R. WIEKU SWEGO.“ (1)

„TU OBOK MATKI ZŁOŻONE ZWŁOKI NAJLEPSZEGO OJCA!

IGNACY TADEUSZ KRÓLIKOWSKI,

OSIEROCIŁ CÓRKĘ I WNUKI DNIA 6 KWIETNIA 1844 ROKU, PRZEŻYWSZY LAT 67.“ (2)

(Z lewej strony napis):

„SEWERYN CIELESKI,

URODZIŁ SIĘ 8 STYCZNIA 1829 ROKU W DNIU 10 KWIETNIA 1840, UNIÓŚŁ DO GROBU NAJPIĘKNIEJSZE RODZICÓW NADZIEJE.“

Syn Andrzeja i Izabelli z Kochanowskich (siostry rodzonej Michała Kochanowskiego senatora, kasztelana, i Konstantego dyrektora loteryi), po ukończeniu nauk w szkołach pijarskich w Radomiu, wszedł do pułku 10 jazdy wojsk polskich jako żołnierz, dnia 28 Sierpnia 1809 r., przeniesiony do pułku 13 jazdy w r. 1813 odbył kampanią, przeciwko sprzymierzonym mocarstwom tegoż roku, a znajdując się przy oblężeniu Drezna, wziętym został do niewoli przez Austryjaków. Powróciwszy z niej do kraju, z powodu zwałtowanego zdrowia wojennemi trudami, uwolniony od służby wojskowej, wszedł na aplikację do *Dyrekcji Skarbu*, departamentu Radomskiego, przeszedł wkrótce do Dyrekcji Jeneralnej w stopniu kontrollera. Gdy tę władzę zwinięto w r. 1818, Cielecki został Sekretarzem wydziału Leśnego w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu w r. 1819. Za czynności likwidacyjne z Prussami otrzymał order ś. Stanisława kl. IV.

Gdy w roku 1838 polecono przygotowanie materyjałów, do zbioru praw i przepisów obowiązujących a dotyczących się dóbr, lasów rządowych i supressyjnych, tudzież leśnictwa w królestwie, wezwany Cielecki do ustanowionego w tym celu oddzielnego komitetu, czynność tę pracovitą sumiennie i naukowo wykonał. W zawodzie literackim znakomite zasługi położył, jako główny redaktor od r. 1820, do 1844 *„Sylwana dziennika nauk leśnych i myśliwych.“* Zmarł w samą siłę wieku bo w 48 roku życia.

ALEKSANDER JÓZEF GRAJBNER.

„ALEXANDRO GRAYBNER A CONSILIIS STATUS S. R. J. M. DECURIONUM CIVIT. VARSAV. PRAESIDI, PLUR. ORDIN. EQUITI EXCULTI SIMULQ. SINCERRIMI ANIMI VIRO. AET. LXIII ANNO, IX NOV. MDCCCLVII, DEFUNCTO. UXOR LIBERIQ. F. F.“

„Aleksandrowi Grajbner Rzeczywistemu Radcy Stanu, Prezydentowi Miasta Warszawy kawalerowi wielu orderów żona i dzieci, żył lat 63. umarł 9 Listopada 1847 r.“

Urodzony 12 Czerwca 1786 r. w mieście Kocku obwodzie Radzyńskim w Województwie Podlaskim, umarł w Warszawie; był synem Jana Henryka Grajbnera, kapi-

(1) Była to matka żony Cieleckiego.

(2) Napis poświęcony pamięci teścia Cieleckiego, który w r. 1807, za czasów Księstwa Warszawskiego będąc archiwistą Sądu Ziemiańskiego Warszaw. w r. 1816 przeszedł na pisarza Trybunału Handlowego Województwa Mazowieckiego. Uwolniony od służby w roku 1832, żył jako emeryt.



Rys z natury A. Matuszkiewicz

Odłito w Lit. A. Proq & C^o w Włocław 482

Lit. W. Walkiewicz

GRÓB ALEXANDRA GRABNERA.



no. 626

tana artylleryi koronnój, szambelana króla Stanisława Augusta i Anny Maryi z Reinschmitów. Po ukończeniu *humaniorów* w Austryjackim Gimnazjum Krakowskiem, przykładał się do nauk prawa w tamtejszym uniwersytecie, a następnie do nauk fizycznych i matematyki wyższej i stosowanej na uniwersytecie Wileńskim. W r. 1807 rozpoczął zawód służby publicznej w Ministerium Przychodów i Skarbu Księstwa Warszawskiego; w r. 1809 mianowany pierwszym rachmistrzem w wydziale solnym tegoż ministerium. Odtąd dawszy się poznać ze swych zdolności, to wyznaczony w następnym roku na zastępstwo Intendenta jeneralnego skarbu, to do ukończenia *Comptendu* z zarządu ministerstwa skarbu Węglińskiego (r. 1811), to do technicznej reorganizacji Mennicy Warszawskiej; w r. 1812 mianowanym został kontrolerem jeneralnym w wydziale ruchomym Ministerium Skarbu Księstwa Warszawskiego. Od r. 1814 zaczął pracować przy boku Senatora Mikołaja Nowosiltzoff, a ówczesnego Prezesa Rady Najwyższej Księstwa Warszawskiego, towarzyszył mu w podróżach, i za położone zasługi w nadzorze skarbowym, za wyrachowanie zaprowadzonej podówczas w królestwie obowiązującej długo stopy i organizacji Kontrolli Mennicznej, hojnie został wynagrodzony przez ś. p. Cesarza Aleksandra, i mianowany Referendarzem Stanu Nadzwyczajnym. Następnie w roku 1822 jako Radca Izby Obrachunkowej, zastępował prezesa téjże izby. Przechodząc w tym zawodzie służby zaszczytnie rozmaite obowiązki; w r. 1837 mianowany pełniącym obowiązki Prezydenta miasta Warszawy, na tym stopniu umarł. Za czasów Grajbnera, Cmentarz Powązkowski dopiero uporządkowanym został.

KSIĄDZ IZYDOR JAMIOLKOWSKI BAZYLIAN.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku*).

Urodzony w szlacheckiej zagrodzie na starém Podlasiu we wsi Jamiolkach Piotrowiętach w dawniej ziemi Drohicckiej w r. 1749, umarł w 1833, w 84 roku wieku, doczekawszy sędziwój starości. Po ukończeniu nauk i studjów teologicznych w Drohiczynie u księży Jezuitów, wstąpił do ich zakonu. Gdy za panowania Stanisława Augusta zniesiono ten zakon bullą papieżką, przyjął kapłaństwo w zakonie księży Bazylianów w Supraślu, skąd przeznaczony w r. 1789 na przełożonego klasztoru Bazylianów Warszawskich, przewodniczył mu przez lat 44; otoczony szacunkiem i poważaniem na jakie zasługiwał świątobliwém życiem. Po otrzymaniu drugiego kapłańskiego święcenia, zeszedł z tego świata jako prowincyjał klasztorów bazylikańskich w królestwie. Temu to kapłanowi zawdzięcza klasztor Bazylianów i Warszawa, że nie postradała arcydzieł malarstwa, jakie zdobia dziś ołtarze kościoła Bazylianów Warszawskich. Gdy bowiem w roku 1807 Francuzi zajęwszy Warszawę, zamierzili zabrać z pomienionego kościoła i wywieść do Paryża będące w nim trzy obrazy pędzla sławnego Szmuglewicza; ksiądz Jamiolkowski zapewnił komissarzy francuzkich, iż dzieła te nie są ostatnimi tego malarza. Twórca ich Szmuglewicz jeszcze żyje w Wilnie, jest w całej sile wieku i jenijuszu; późniejsze zatem jego dzieła zapewnie są doskonalsze od tych, które do zaboru dla muzeum paryzkiego zostały wska-

zane. A lubo sam ksiądz Jamiolkowski wiedział dobrze, jak i wszyscy znawcy, że obrazy te są najlepszymi utworami Szmuglewicza; przemówienie to jednakże jego, sprawiło że obrazów tych nieporuszono z miejsca dawnego.

FRANKOWSKI KAROL.

„MIEJSCE WIECZNEGO SPOCZYNKU KAROLA FRANKOWSKIEGO B. PÓŁKOWNIKA WOJSK CESASKO-ROSSYJSKICH, DYREKTORA GIMNAZYUM REALNEGO I SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE, KAWALERA ORDERÓW, ZMARŁEGO DNIA 20 LISTOPADA 1846 ROKU.“

Od roku 1811, po koniec 1831, służył wojskowo, od r. 1842 do 1846 w wydziale naukowym w służbie cywilnej. Jako dyrektor gimnazjum realnego i szkoły sztuk pięknych, nie małe w rozwinięciu tych dwóch zakładów położył zasługi. Na polu literatury zapisał także swoje imię. Najprzód wystąpił z broszurą w języku francuzkim p. n. *Paris*, następnie z obszernym tomem w tymże języku dzieła p. n. „*Fizyonomia wielkich stolic zachodu*“, które *Jules Janin* pochwalił, przyznając Frankowskiemu talent niezwykle, i zamieszczając w rzędzie lepszych po francuzku piszących autorów. W ojczystym języku pierwszy krok uczynił wydaniem obszernego dramatu p. n. *Gra namiętności* ⁽¹⁾ wzięwszy myśl ze słynnego naówczas francuzkiego romansu p. n. „*Matylda*“. Następnie napisał dramat: „*Upadek wielkiego domu w Polsce*“, w 5 aktach. Jak w pierwszym wyraził dosadnie *namiętność*, co rzeczywiście było głównym zadaniem dramatu; tak w drugim pomimo wydatności charakterów niektórych, brak zupełny kolorytu dziejowego, i znajomości życia domowego przeszłości naszej, wykazał całą trudność oddania tak wielkiego zadania, jakim jest przedstawienie upadku wielkiego domu w Polsce. Dramat ten w rękopiśmie dotąd zostaje, i przedstawionym na scenie być nie mógł, równie jak i „*Gra namiętności*“. Ostatnią pracą literacką, było obszerne dzieło p. n. „*Moje wędrówki po obczyźnie, Paryż*“, pod zwykłym pseudonymem Kajetana Niepowie wydane ⁽²⁾. Jest to po większej części przekład z dawniej wydaną po francuzku książki: „*Fizyonomii wielkich stolic zachodu*“, z małymi zmianami i dodatkami. Autor dotknięty (jak wyraża) że go ktoś nazwał *zbiegiem literackim* za to że w obcej mowie przemawiał dawniej do czytającej publiczności: „Przeciw zarzutowi (pisze) stawiam dzisiaj czyn, a tym czynem moje wędrówki po obczyźnie, a niebawem po nich odpowiem innym tworem.“ Śmierć wczesna wytrąciła mu pióro z ręki i niedozwolila przyrzeczenia spełnić; a literatura nasza straciła we Frankowskim pełnego nadziei pisarza. Dzieło to ostatnie, podzielił autor stosownie do głównej myśli, na dwie księgi: „*Paryż w grzechu*“, i „*Paryż w stanie łaski*“. Treść zaś całą podaje w przemowie swojej.

„Trudno się było oprzeć ponęce zdjęcia z natury, namiętnego oblicza Paryża, owego zgrzybiałego grodziska, co pamięta czasy Cezara i Juliana *Apostaty*, a hożo kwitnie rozumem,

⁽¹⁾ „*Gra namiętność*“ dramat w trzech porach i 5 aktach z prologiem, oryginalnie napisany przez Kajetana Niepowie. Warszawa 1843, 8, str 338.

⁽²⁾ W Warszawie 1846 r 8, str 527. Na rok niespełna przed zgonem, rękopism tego dzieła ukończył, bo podpisał: „Pisałem w Warszawie, w Grudniu 1845 r.“

gorąco uczuciem, młodziej od pory do pory, pędzi najprzód w oświacie, to szalonemi podskoki, to żeglując bystro, to powolnie; a wszyscy hurmem za nim, nadstawiając żagle w kierunku jego wiatru. Obrazy Paryża od czasu sumiennego *Mercier'a* aż do dnia dzisiejszego, postępują po sobie bez przerwy, a każdy odmienny w konturze, w rysunku, w cieniowaniu, kolorycie, bo téż oryginalnie ruchliwy, temperamentu żywego, poruszeń raptownych. Trzeba więc chwycić jego rysy z chyżością dagerotypu. Szczęśliwy artysta, który go zdoła ująć w przelocie, z całą sumiennością tego dziwnego aparatu. Nie mało wszelako zawiedzie się ten, ktoby sądził że znajdzie tu nie tylko odcisk malowniczy Paryża, ale nawet jaki taki wycinek architektoniczny. Są jednak ludzie, którym trzeba błękit nieba odmalować, chmurę błędzącą odszkiełkować, drzewo wyciąć, pomnik zmierzyć, liście *akantu* zliczyć w kapitulu i t. d. O nie! na to się nie piszemy. Pomnik nasz—człowiek; ozdoby jego—dusza, serce, rozum; i gra łączna tych trzech czynników człowieczeństwa. W jaki sposób tę grę oddamy; nie pytajcie. Otwórzcie raczej książkę, a wnet się dowiecie!!“

WINCENTY HOŁOWNIA.

(*Pochowany w ziemi bez grobowego napisu*).

Wincenty Hołownia urodził się dnia 5 Kwietnia 1773 roku w mieście Świr, powiecie Oszmiańskim, gubernii Wileńskiej; umarł dnia 1 Stycznia 1855 roku (1). Pochodził on ze starej litewskiej owój rodziny, z której jeden towarzysz Hussarskich znaków, w bitwie pod Guzowem w czasie rokoszu, gdy rozbito króla Zygmunta III chorągwie; dotarł sam do namiotu królewskiego, i zajrzawszy zapytał groźnie i szydersko:—A gdzie on szwed?! — Słowa, które opłacił życiem, bo od straży przybocznej królewskiej, na miejscu rozsiekany został.

Wincenty Hołownia, mając lat 18 wieku, wszedł jako żołnierz (dnia 3 Kwietnia 1791 r.) do pułku 7 piechoty litewskiej wojsk rzeczypospolitej. Dnia 30 Czerwca 1792 roku postąpił na kaprała; 1 Października 1793 roku na podchorążego w tymże pułku; w którym do dnia 4 Września 1794 roku zostawał.

W miesiącu Październiku 1807 roku wszedł powtórnie w służbę wojskową w stopniu adjutanta podoficera do pułku 4 piechoty wojska Księstwa Warszawskiego. Dnia 13 t. m. postąpił na podporucznika, dnia 2 Sierpnia 1808 roku, na porucznika w tymże pułku; 4 Lipca 1810 roku mianowany podplutnikiem wojska. Dnia 1 Lipca 1815 roku umieszczony w gwardyi honorowej; dnia 11 Marca 1816 r. przeznaczony na kontrollera jeneralnego w kassie jeneralnej wpływów Królestwa Polskiego, z przyrównaniem do stopnia podpułkownika. Odbył kampanije w latach 1792, 1794, 1808, 1809, 1810, 1813 i 1814. Znajdował się w bitwach pod *Polanami*, *Lubaniem*, *Cuidat-real*, w oblężeniu *Toledo*, pod *Ocanai Dreznem*. W bitwie pod Polanami ranny był kulą karabinową w bok lewy. Pod Lubaniem dostał się dnia 4 Września 1794 r. w nie-

(1) Jedyna jego córka Maryja z Hołowniów Kwaśniewska, zmarła tegoż samego dnia co i ojciec, tylko wprzód godziną. Oboje razem stali w kościele księży Reformatorów i razem ich odwieziono zwłoki dnia 21 t. m. na ementarz powązkowski.

wola, w której zostawał do roku 1797. W roku 1830 ozdobiony znakiem honorowym za lat 20 służby oficerskiej. Do dnia 1 Sierpnia 1832 r. zostawał w urzędowaniu w powyżej wzmiankowanej kassie; odtąd resztę dni spędził w domowym zaciszu. Owóż to cały obraz życia zasłużonego człowieka, wedle *stanu służby*, podający nam tylko daty zawodu wojskowego Hołowni. Obraz jak widzimy suchy i nie zajmujący. Na szczęście Hołownia był z liczby wyjątkowej tych naszych starych wojowników, co w zacnej myśli przechowania wspomnień swoich i wypraw, spisywali je dla potomnych. Pamiętnik własnoręczny Hołowni pod napisem:

„*Opisanie niektórych szczegółów od wyjścia z Warszawy, wedle jednych zdań do Niemiec, albo przez Niemcy do Hiszpanii, jak utrzymywali drudzy 1808 r.*“ obejmuje do 40 arkuszy ścisłego pisma. Zaczyna się od wymarszu z Warszawy 4 pułku piechoty wojska Księstwa Warszawskiego w pierwszych dniach Sierpnia 1808 roku. Widać że Hołownia utrzymywał w marszu dzienniczek, w którym każdą stacją wspomina, i zaraz opisuje miasta, które w tym pochodzie swego pułku oglądał. Opuszczam całą drogę naszego wojownika pisarza przez Niemcy i Francją; a przystąpię do dania wyjątków z pobytu jego w Hiszpanii, i tych walk, w których pułki polskie udział miały. Hołownia przebywa Pireneje w towarzystwie majora Wierzbńskiego (który dla słabości pozostał był od pułku w Bajonnie), doktora pułkowego *Grygowicza* i jednego żołnierza; następnie kraj Basków czyli *Biskaja*, z miasta Burgos, dostaje się. „Drogą bezecną, pozycją smutną, cienistemi tylko krzewami zarosłą, albo skalistemi górami zajętą, aż do wsi Sommo-Sierra. Wieś sławna stąd najprzód, iż jest położona w tak wysokiej pozycyi, która inne wszystkie w całej Hiszpanii przenosi, mimo to jednak znajduje się tam strumyk dość znaczny, płaszczyzną górną płynący, a mnóstwo krynic z ziemi wychodzących, łączy z nim zimne wody swoje. Sławne także to miejsce z odniesionego zwycięstwa nad Hiszpanami przez gwardyją polską cesarską, pod okiem samego Cesarza (1). Zdziwił się sam Napoleon widząc z jaką ochotą i męstwem atakowane były bateryje i armaty przez ten lud; a bardziej jeszcze, że konie polskie które po płaszczyznach tylko chowane, żadnych gór nieznając, umiały przecież z nadzwyczajną żywością dostać się na ich wierzchołek; na które sam zimną krwią spoglądając, nigdybym nie wierzył, gdybym sam nie zastał jeszcze tak bohaterów tam poległych, jako i ich koni, którzy tak dla krótkości czasu jako i dla znacznych śniegów po batalii spadłych, pogrzebani być nie mogli. Zastaliśmy tu batalion pierwszy pułku naszego pod dowództwem Szefa Zdzitowieckiego. Ledwośmy go i kolegów spostrzegli, natychmiast zapomnieliśmy nędzy naszej, która od saméj Bajonny, nieodstępnie nam towarzyszyła. Droga albowiem nasza cała, we cztery osoby odbyta, zastanawiała nas samych że jeszcze żyjemy, gdyż odbieraliśmy zewsząd ostrzeżenia, że i w sto zbrojnych, trudno tam dla mnóstwa Brygantów przechodzić; ostatek zaś drogi naszej, tém był przykrzejszy, że nigdzie z powodu wsi zburzonych ani kawałka chleba dostać nie mogliśmy, a co gorsza, że i wody nawet, ponieważ między temi górami bardzo jest trudno o nią. Śnieg zatem topiony przy ogniu, był nędznym napojem naszym. Dwa dni więc z taką wygodą, przebywaliśmy po piętnaście godzin na dzień, depcząc do wpół golenia głębokie śniegi. Ostatnia mila do Sommo-Sierra, zdawała się chcieć nas dobić, burza bowiem, jakiej u nas

(1) Zobacz życiorys *Wiktora Romana* w Tomie I, niniejszego dzieła.

doświadczyć niepodobna, miotala nami tak potężnie, iż nie tylko że idących, cały ten przeciąg drogi ku górze i gwałtownemu wiatru, kroki udaremniała odpychając napowrót; ale nadto pograżała częstokroć w przepaść z prawej strony będącą, ostremi urwiskami skały nasadzoną, od czego padaniem na ziemię salwować się trzeba było. Wszystkie te jednak przykrości, zdawały się tu mieć swój koniec, cieszyło nas nadewszystko, połączenie się z kolegami, przesuszenie się, spoczynek i pokarm był nam wielce potrzebnym. To wszystko znaleźliśmy tutaj, zwłaszcza że przybyliśmy w dzień pierwszy Bożego narodzenia. Batalijon tu stojący, obszerną razem zajmował pozycją; miał bowiem rozłożone kompanije w Segowii, Butragos, Cavanilas i St. Augustyn; lecz oprócz tych miast, bardzo wiele wsi zajmował. Najmocniej wszelakoż utrzymywać się musiał w Sommo-Sierra, jako w twierdzy wielu armatami natenczas opatrzonęj.“

Holownia nazajutrz pożegnawszy towarzyszków broni, z jednym żołnierzem ruszył do Madrytu. Tu szczegółowo opisuje stolicę Hiszpanii, a następnie w korespondencji z daty 31 Stycznia 1809 roku z Toledo, do przyjaciela swego Szynkiewicza przeciąga opis Hiszpanii, zbijając dziwne o niej wyobrażenia, które u nas krążyły. Wraca wreszcie do działań wojennych, i my w jego ślady idziemy. „Hiszpanie (pisze) dość dla nas zdają się być grzecznymi; ale to może dla tego, że tu nas jest wielkich pięć batalionów i pulk pierwszy ulanów *Konopki*. Tak więc ciągle mając stanowisko w Toledo, gdy tymczasem od tego miasta aż do Taliavera i prowincyi Estremadury, rzeka Tagus uważana była jakby za demarkacyjną linią, tak że nad nią opierały się sztaby główne korpusów i dywizyjów; forpocztły jednakże do trzech i czterech mil z lewej strony tej rzeki rozciągały się. Nie było na ten czas żadnego korpusu hiszpańskiego tak blisko, aż dopiero w pół miesiąca Lutego korpus czwarty, z dwóch dywizyj złożony, to jest francuzów jednej a drugiej naszej, brygadą przytęm jazdy wsparty, przeszedł most i udał się przez miasteczko Mora do Konsuegra. W tej drodze, napotkaliśmy już ślady zaszłej rozprawy między forpocztami; na milę zaś przeszło, nimeśmy doszli do *Konsuegra*, dały się słyszeć armaty lekkiej naszej artyleryi. Spieszylismy więc marsz, w którym dziwna ochota naszych żołnierzy, najpomysłniejszej kazala się nam spodziewać rozprawy. Postrzegamy kolumny nieprzyjacielskie, lecz z największym pośpiechem w góry uchodzące; ukryto u nas natenczas połowę piechoty, ale i to zatrzymać ich nie potrafiło. Noc nakoniec, oznaczyła koniec małej rozprawy między samemi tylko strzelcami konnemi. W całej korzyści mieliśmy ze stu niewolników; miasto Konsuegro ucierpiało wszelako równie jak i przyległe wioski; szczególniej za to, iż po większej części mieszkańcy uszli przed wojskiem naszym. Uznawszy nareszcie komenderujący korpusem jeneral Sebastiani, niemożność dalszego śledzenia nieprzyjaciół, udał się napowrót do Toledo, gdzie znów przeszło dwie niedziele doświadczaaliśmy spokojności, zajmując się jednakże mustrą i manewrami. W ciągu tego czasu, pulk *Konopki* miał swoje stanowisko o cztery mile od Toledo, na lewej stronie Tagu we wsi *Juvenes* zwanęj; nie tajne wszakże znać było takowe położenie wojska naszego i hiszpanom; bo zbliżając się ku nam powtórnie już daleko liczniejszy korpus, około 10 Marca użył najprzód całej swojej kawaleryi do czterech tysięcy wynoszącej, na zgnębienie tego pulku w *Juvenes* stojącego. Była już natenczas cała dywizyja nasza w marszu, zmierzając podobnież do *Konsuegra*, a innym traktem tamże zmierzał jeneral Sebastyan z oddzielną swoją dywizyją.

Konopka zaś miał rozkaz, aby jak najranięj wyruszył ze swego stanowiska dla złączenia się z nami. Nim jednak to nastąpiło, uprzedziła go kawaleryja hiszpanów, ściśnieniem najmocniejszém we wsi przededniem jeszcze; za ukazaniem się tedy nieprzyjaciela prawie już we wsi, konie naszych ulanów po większej części jeszcze nie były osiodlane. Pułkownik zatém, cokolwiek na prędcę mógł zgromadzić, kazawszy otrąbić alarm, wybiegł z tymi dla zrekonoskowania kędy będzie mógł stawić pułk do boju; ale postrzegłszy (ile tylko blask dzienny zezwalał), że to jest niepodobieństwo, aby tak prędko zebrał swoich, kiedy nieprzyjaciel stawil już swoje kolumny na drodze którą koniecznie przechodzić było trzeba; nie zostawało więc pułkownikowi, jak te kilkanaście koni które miał z sobą, uprowadzić z hazardem i dostać się do dywizyi. Ufny przeto męztwu swoich żołnierzy i dzielności koni, wyszedł bez straty, ale wiele do pomieszenia i zgryzoły sprawił jenerałowi Valance, gdy mu dał wiadomość o wszystkiém się stało, gdy go nareszcie zapewnił, że żadnej nie ma nadziei, aby się mógł pułk ratować, bez posłania mu znacznego, przeciw tak mnogiej liczbie hiszpanów, sukursu. Użyto natychmiast kilku przy nas będących kompanij dragonów, lecz ci zrobiwszy swój podjazd, osądzili za rzecz niepodobną oprzeć się tak bardzo przewyższającój sile; zdaleka więc manewrowali tylko. Użyto nareszcie batalijonu piechoty, w którym sam się znajdowałem. Maszerowaliśmy sporym krokiem ku téj wsi, lecz skoro postrzeżeni byliśmy, zaraz rejterada ich nastąpiła w góry. Pewni zatém, że pułk ten waleczny naszych hulaków został ich przemocą lupem, udaliśmy się wraz z całą dywizyją drogą prowadzącą do Konsuegra. Smutek powszechny panował u nas; a francuzi zdawali się więcej czuć stratę tego pułku; zemsta sama podwajała nasze kroki w doścignieniu nieprzyjaciela uchodzącego przed nami, przedzielonego jednak od nas pasmem bardzo długiej góry. Tak gdy dwie mile drogi uszliśmy, a zwyczajny momentalny spoczynek był już potrzebnym; stawając tedy dywizyja, spostrzega z okrzykiem największej radości, idący za sobą pułk, którego teraz stratę oplakiwał. Dzielny podpułkownik Kostanecki niestrwożony liczbą nieprzyjaciół był w pośród wsi, kiedy go alarm zapewnił o zbliżonych hiszpanach. Skoro spostrzegł że pułkownik nie znajdował się w pośród nich, osadził najprzód jedno wejście do wsi mocną strażą; a robiąc z niej ofiarę za cały pułk, zostawia bagaże pułku, swoje i oficerów; w drugie sam potężnie naciera, rozbija kolumnę po kolumnie, i wychodzi na płaszczyznę. Formuje szwadrony, naciera znów na to miejsce z którego się teraz wybil, ściele dosyć trupem, i sam najporządniej uchodzi. Sześćdziesięciu żołnierzy i trzech oficerów całą stratą było tam, gdzie koniecznie pułk cały zginąć był powinien. Tak tedy złączeni, gdy w Konsuegra zeszliliśmy się z dywizyją francuzką prowadzoną przez jenerała Sebastyaniego, Hiszpanie już to miejsce przeszli w nagłej rejteradzie, goniliśmy ich bez ustanku noc całą, dzień następny, a mało co używszy spoczynku, trzeciej nocy naszego marszu, oparliśmy się nad rzeką Gwadyjanną, na której nieprzyjaciel most przebywszy, pewien był wstrzymania naszego korpusu. Przededniem jeszcze lekka artyleryja pod zastoną znacznej części kawaleryi, stanęła nad brzegiem wspomnionój rzeki, a działając skutecznie bez żadnej straty, dała jeździe przebyć ten wązki i bardzo długi most. Pośpieszyła także piechota, a nieprzyjaciel nie mógł uniknąć batalii; usuwając się jednak w porządnym kolumnach, gdy widział się być zewsząd otoczonym, pierzchać na góry zaczął. Pułk Konopki

pelen zemsty, piérwszy z pulkiem huzarów holenderskich przypuścił atak, który stawszy się klęską dla Hiszpanów, nigdzie już nie dał im się zreparować, tak dalece, że działa, chorągwie i wszystkie wozy, oraz miasto Cuidat-Real z całą prowincją Mancha, aż do gór *Sierra-Morena* stała się naszą własnością, w ciągu tylko dwóch dni. Mnóstwo było zabitych i rannych po drodze prowadzącj przez *St. Cruz do Elvito* i *Vessillo*, a w niewolę do 7,000 poszło. Rozprawa takowa, i pięćdziesiąt ludzi tak w zabitych jako i rannych, nasz korpus nie kosztowała. Żaden oficer nie zginął ani był ranny, wyjąwszy pułkownika huzarów holenderskich, który przez szczególną miłość jaka była między pulkiem jego a naszymi hulaniem, zapędził się był w ataku, a gromiąc kolumny piechoty hiszpańskiej, sam rannym w brzuch został, za pomocą jednak doktora pulku naszego Grygowicza zawsze batalii przytomnego, natychmiast od niebezpieczeństwa uratowanym został. Przeszedł potém nazad korpus rzekę Gwadyjanę i najpiękniejsze zajmując okolice Waldepenias i Mansanaras został tam aż do pół lata. Skorośmy tu stanęli, oddzielony zostałem z kompaniją którą komendorowałem, do *Toledo* na garnizon. Wnosiłem stąd sobie, iż niejakiego doświadczę spoczynku; ale przeciwnie się stało, gdy albowiem całego nadbrzeża Tagu, jeden tylko batalijon będący w Toledo strzedz się zdawał; natenczas pomnażać się zaczęła liczba brygantów. Spokojności zatém ani dni kilku ciągle doświadczać nie mogłem, ustawnie tam, gdzie ci się pokazali będąc wysyłanym; szczęśliwy atoli powracałem zawsze, nigdy ani jednego nie straciwszy żołnierza. Ta jednakże praca coraz bardziej dojmując, tak mię wreszcie pozbawiła sił, iż ledwo byłem w mocy, z ostatniej, w góry oddzielające prowincją Toledo od Extramadury powrócić, wyprawy. Wieś wszelako *Manasalbas* sześć mil leżąca od Toledo, zdawała się być szczególną okazyją nadzwyczajnej mojej słabości (1). Od dnia 15 Czerwca zdawałem się nic niepotrzebować, jakoż za pomocą rzadko kiedy wziętego lekarstwa, które zmuszony popilem jakim rosolem, bez wszelkiego innego posilku, trzydzieści ośm dni zostawałem. W ciągu tego czasu powrócił batalijon nasz piérwszy, który swoją dotąd kampaniją robił oddzielnie w Kastylii nowj i starj, w Austuryi, Królestwie Leonu i na granicy Galicyi; mało jednak uszkodzony, złączył się z batalijonem drugim w Konsuegra. Tymczasem Hiszpanie wzmocnieni przez Anglików zostali, grozić Madrytowi zaczęli od Taliawera. Udało się tam kilka korpusów wojska, między którymi znajdował się i czwarty złożony z dywizyj: jednj Francuzów, drugiej Niemców, a trzeciej Polaków. Pozycyja tam obrona przez Anglików, dostateczną była wyrównać choć przewyższającj sile Francuzów, tak, że batalija zaszła, nie wiele honoru i korzyści dla wojsk naszych przyniosła. Widząc wszakże Hiszpanie zebranie się potężne wojsk francuzkich pod Taliavera, postanowili oddzielném korpusem 25,000 głów wynoszącym, napaść *Toledo* z wojska natenczas ogłoszonego, a przez dobyte onego, utorować sobie drogę do Madrytu. Nie powiodło się im atoli. Mężny pułkownik książę Sulkowski który natenczas miał tam komendę mało co więcej jak tysiąc ludzi wynoszącą, urządziwszy jednak wszystko doskonale, z czterema tylko armatami pięć dni ciągle mężny dawał odpór, lubo szturm bywał codzień od świtu aż do nocy. W dniu dopiero szóstym, przybyła dywizyja nasza z pod Taliavera, skąd i cała armija udała się ku zaslonieniu Madrytu, zostawivszy tylko piérwszy korpus pod komendą Marszałka *Wiktora*.

(1) Został otruty, jak to niżej zobaczymy.

Ten dzielnie wstrzymywał Anglików i wiele na nich odniósł korzyści, a król ⁽¹⁾ z całym wojskiem stanąwszy pod *Illeskas* na pół drogi z Toledo do Madrytu, czekać się zdawał skutków oblężenia, które ciągle trwało. Za zbliżeniem się dywizji naszej, podwoili Hiszpanie swój szturm, często powtarzając okrzykami *wiktoryją* swoich pod Taliawera. Wypadło nakoniec z planu oddzielić tysiąc dwieście ludzi najniezdolniejszych do marszu, i one ku obronie miasta tego zostawić. Dano komendę podpułkownikowi Zdzitowieckiemu, z rozkazem bronienia się do ostatka, a reszta całej naszej dywizji udala się także do *Illeskas*. Wyszędłem podobnie i ja z oblężenia, do którego choć jeszcze słaby należałem. Poruszenia takowe wojska obiecywało oblegającym pewne zdobycie ich obiektu, wezwano przeto komendanta do kapitulacji, lecz gdy zyskali odpowiedź: że chociażby dziesięciu miał tylko ludzi, bronić się będzie, a gdy go jeszcze w podobnym razie wzywać zechcą, posłańców ich obwiesić każe; podwoili zatem usiłowania swoje, kontynuując szturm aż do dwunastu dni: pewni byliśmy wszyscy, że ten cały garnizon znajdzie swój grób w murach, do których obrony był przeznaczony; odparcie wszelako Anglików przez *Wiktorę*, zabezpieczyło Madryt. Udał się więc król w pomoc oblężonym przeszedł most na Tagu, a oblegający cofać się musieli; o dwie mile wszelako dosięgnięni, musieli dać pole bitwy. Uszykowane ich wojska na górze pod *Almanacit*, atakowane przez naszą dywizyją, po uporczywój walce, zegnane zostały, poczem ucieczka bardziej niż rejterada tak, że armaty i wszystkie wozy nam się dostały, zabitych było mnóstwo, i kilka tysięcy dostało się w niewolę. Z naszej strony, pułkownik 7 pułku Sobolewski, wielkich nadziei oficer, podpułkownicy Łuba, Sielski, polegli; a Zambrzycki który pułkiem czwartym dowodził, był rannym; wielu innych oficerów i z pięciuset ludzi zabitych i rannych, ta rozprawa Polaków kosztowała. Lecz inne korpusy i dywizyje, albo nic, albo bardzo małą mieli stratę. Cały ten ruch odbywał się w czasie największego spieku słońca; upały nadzwyczajne dla nas, strasznie lud osłabiły. Stała znów dywizya w Toledo, lecz już po tym wielkim ruchu, niedługiego doświadczała spoczynku. Na dwie niedziele byłem się oddalił do Madrytu dla polepszenia zdrowia, tam oglądałem cały królewski ekwipaż w gotowości, również generałów francuzkich, a nawet bardzo wielu urzędników i mieszkańców krajowych, którzy wierni byli nowemu rządowi. Wszystko to było jak do zaprzęgu, a mimo klęski zadanej Hiszpanom pod Almanad, tak wszelako był groźnym nieprzyjacielem, iż powszechna trwoga panowała. Twierdza ogromna w miejscu panującym nad Madrytem wzniesioną została, około której ciągle od wejścia tam Francuzów, mnóstwo pracowało żołnierzy; zajmowała oraz znaczną część ogrodów do *Retiro* należących, oraz wielu partykularnych obywateli. Skorom powrócił do pułku, cieszyłem się już z odzyskanego zdrowia, a które szczególnie winien byłem słusznemu tam doktorowi *Scardyniemu*. Spoczynek jednakże kilkuniedzielny, miałem przez niego zalecony, a że prócz nabrzmiałej twarzy, nic mi więcej nie dokuczalo, odważyłem się wraz z pułkiem puścić się w marsz. Udaliśmy się ku Cuenca, gdyż i ztamtąd inny korpus zagrażał stolicy, manewrowała więc dywizya z miejsca na miejsce przechodząc, ale od Madrytu nie oddalała się bardzo; dosyć wszakże i tój było fadygi na słabe jeszcze moje siły. Nadzwyczajny ból krzyża, tak mi odjął władzę, iż zdawałem się być cały zparaliżowany,

(1) Józef Bonaparte.

bez pomocy dwóch ludzi władać sobą nie mogłem. Oziębiony nadto żołądek, nie był w mocy trawienia. Nie było więc sposobu dla pułku ustawnie będącego w ruchu, tylko odesłać mię znów na ręce *Scardyniego*, zwłaszcza że i ja sam tego życzyłem. Pierwszego Septembra znów przybyłem do Madrytu z dodaną mi eskortą. Oddalenie się to moje, nowym było ciosem dla zdrowia, nigdy albowiem rodzeństwo większych stosunków miłości mieć nie może, nad związek koleżeństwa, nieprzerwaną zgodą i przyjaźnią jednoczony, zwłaszcza w takim oddaleniu się od kraju. Tam to jeden dla drugiego staje się ojcem, bratem, opiekunem i inne familijne zastępuje stosunki; jeden drugiego oplakuje śmierć lub nieszczęście. W podobnejże kolei i ja, żegnając drogich kolegów moich, z uczuciem pełnem rozrzewnienia, również nie suchém okiem, byłem od nich żegnany. Bolało mię, że z nimi prac i trudów dzielić nie mógł, oni zaś we mnie widzieli obraz blizkiej śmierci. Tak odwieziony udałem się znów po ratunek do *Scardyniego*; nieodmówił mi go. Po zwyczajnych wymówkach, z zalecaniem najmocniejszém z góry abym za pierwszym uzyskaniem sił, starał się niezwłocznie oddalić do Francji, zapewniając że inaczej sam klimat, do zupełnego nie da mi przyjść zdrowia, musiałem mu być posłuszny.“

Uwolniony od trudów służby *Hołownia*, pod opieką *Scardyniego* i w spoczynku, zdawał się przychodzić do zdrowia. W połowie Nowembra wyruszył ze stolicy Hiszpanii; o trzy mile, trzęsiony na wozie uczuł dawne bóle i wielką kanonadę usłyszał. Była to bitwa pod *Ocania*, w której korpus hiszpański 60,000 ludzi, rozbity został; wiele trupa na polu bitwy zostawił i 2,000 niewolnika wraz z artyleryją i chorągwiami stracił. „Poległ tu (pisze *Hołownia*) kapitan *Sieraszewski*, porucznik *Gorzeński* i *Zambrzycki* śmiertelnie był ranny. I tu wyznać z szczerością potrzeba, że Polacy na najgorszy będąc wystawieni ogień, najwięcej też ucierpieli, całą jednakże było ich korzyścią, że z zagarnionych niewolników przez siebie, zdjawszy porządne z nich płaszcze i spodnie, przykryli nagość swoją, bo wzięte umundurowanie jeszcze w Warszawie, przez tak długi marsz i ustawne obozowanie, nie mogło być tylko zupełnie zdarte. W wigiliją bitwy téj sławnej, dał się widzieć pułk hulanów hiszpańskich, w długie nadzwyczaj piki uzbrojony; co spostrzegłszy pułk *Konopki*, nie omieszkał zajrzeć im w oczy. Po niedługim namyśle, gdy zrobił szarżę, już więcej tego pułku nie było. Zabrano im konie, wielu jeńców, a pole, trupem i rannymi okryte było, sami zaś ani jednego nie stracili żołnierza. W dzień narreszcie 19 Nowembra, liczne zaczęły z *Ocania* występować kolumny, gdy tymczasem wojska nasze szły od *Aranguetz*. Góry tam żadne nie są na przeszkodzie, pochyłość tylko ziemi zasłaniała nieco wojsko jedno od drugiego. Uprzedziła spotkanie się piechoty mocna kanonada z obu stron, sama dywizya nasza, czterdziestu dział wytrzymała ogień kartaczowy, nie odpowiadając nań bynajmniej z ręcznej broni: awansowała tylko bez ustanku, utraciwszy już przeszło sześciuset ludzi w zabitych i rannych, w kilku punktach sama się zachwiała; przytomność jednakże i rzadka odwaga pułkownika księcia *Sulkowskiego*, w moment wszystko reparaowała, i gdy już na ostrze bagnatów spotkać się trzeba było, zabrakło Hiszpanom odwagi, którzy pardonu żebrając, rzucali broń za siebie. Batalija więc sama srogim miotająca ogniem, nie trwała nad dwie godziny, a była najslawniejszą od początku wojny w Hiszpanii.“ Wrócił napowrót do Madrytu *Hołownia*, i poświęca w swym pamiętniku obszerny ustęp, dopełniając nim podany wyżej szcze-

głowy opis tej stolicy. Wyrusza z oddziałem znacznym do Bajony, stąd opisawszy wszelką miejscowość, kąpie się w *Dax*, wzmocniony na zdrowiu, dostaje się do Bordeaux; skąd pisze pod datą 14 Lutego 1810 roku, do pułkownika Feliksa Potockiego już bawiącego w Polsce. Przywiodę tu list ten w całości, jako dopełniający życiorys Holowni.

„Racz pułkowniku łaskawie darować, że ledwo dziś raz pierwszy na tę odważyłem się korespondencyją; znam jak wiele winien jestem wdzięczności za twoją dobroć pułkowniku, w każdym czasie dla mnie świadczoną, lecz czyż wspaniałość twoja, częstém pismem nagrodzić się może, ile że te, nigdy inném by być nie mogło, tylko jak i terazniejsze; wierz albowiem pułkowniku, iż ostatnia już nędza wymaga na mnie prosić cię abys mi i w tym razie chciał być skuteczną pomocą, gdyż najprzód lubo wszelkie starania około poprawienia zdrowia mojego czynilem własnym nakładem, słabość wszelako w której mię zostawiłeś pułkowniku, ustąpić żadnym sposobem nie chciała, i skąd pochodziła, wiedzieć nie mogłem, ale nareszcie Scardyni uczeń sławnego Franka, którego użył w Madrycie, zdecydował mnie i Dołińskiemu porucznikowi Lanserów, którego znasz, równie ze mną cierpiącemu, że mieliśmy truciznę w sobie. Natura wszelako mocniejsza niż dozys nam udzielona, utrzymała nas przy życiu. Cierpienie wszelako jakiegośmy doświadczały, było bardziej nieznośne, niż sama śmierć; a którego skutki do tego nawet momentu, znacznie jeszcze uczuwać się dają. Po zastanowieniu się mocném, doszliśmy sami, że nas tak utraktowano we wsi *Manasalbas*, sześć mil za Toledo, i to właśnie wtenczas, gdy śmierć moja od Brygantów tak bardzo głośna była w pułku: we wsi tej bowiem Szefa Gołaszewskiego i nas kilku, po jednym obiedzie, częstował Alkaldy winem, smak węgierskiego mającym, a którego ledwo nam jedną butelkę udzielił, wszyscyśmy się na słabość głowy lub żołądka uskarżali. Padła zatem wina na niedogotowaną baranię, ile że ledwo nie każdy, prędzej lub później doświadczał torsjów. Szef miał one przez cały tydzień, i przy pomocy lekarstw najlepšíj od nas wyszedł, choć i tak słaby, jak pułkownik pamiętać może, powrócił, do dywizyi. Gizler wraz z drugim kolegą od pułku 9 dostali febry i ratowali się womitami, a ja chociaż zaraz najzdrowszym się być dawał, lecz w końcu najgorzej wyszedłem. Pod wyjeździe już pułkownika, ledwo kilka marszów z pułkiem zrobiłem, dostałem recydywy bardzo nieznośnej, uratowany znów przez tegoż Scardiniego, wyjechałem do pułku przed bataliją pod *Ocania*, lecz druga recydywa stawszy się prawdziwém okrucieństwem dla mnie, więcej śmierci niż życia spodziewać mi się kazala; wreszcie pozbawiwszy się funduszu jaki tylko mieć mogłem, gdy znów cokolwiek do sił przychodzić zacząłem, zyskałem pozwolenie nawet bez wielkiej trudności, udania się do swojego depot do Bordeaux. Wyjechałem więc z kolegą kapitanem Chamskim, i choć z wielką trudnością i bólem nadzwyczajnym, dostałem się do *Dax*, gdzie po wziętych kąpielach i kuracyi, znacznem się poprawił, a nadewszystko że cierpienie dawnych ran i bóle nieustanne krzyża, po większej części ustaly. Jestem tu ledwo od dni kilku, poznaję wszelako iż bezczynnie prawie siedzieć przyjdzie, a powracać do Hiszpanii, przebywszy już raz przeszło trzynaście miesięcy, niepodobna aby się odważyć, ile że coraz głośniej mówią o bliskiem skończeniu tej na zawsze dla nas pamiętnej kampanii. Życzyłbym przeto sobie, samój tylko Ojeżyźnie, i to na jój łonie być czas jakiś jeszcze użytecznym. Pułko-

wniku! kto ztamtąd emigrował, łatwo domyślić się możesz co na tém cierpi, gdy tylko słyszy a być tam nie może. O! czyżbym nie z większą ochotą tracił tam i kilka życiów, gdybym one mógł mieć, niżeli w Hiszpanii jedno, a które mi się jeszcze podobno na większe zostało nieszczęście. Odmiany w pułku, przez odejście tak szanownych oficerów wyższych poczynione, nie są mocną pobudką starania się o przejście w inny korpus, bez narażenia się nawet na krytykę o niestałość w téj mierze? Te i inne uwagi znajome dobrze pułkownikowi, niech nakłonią jego dobroć, aby się raczył łaskawie przyłożyć do uwolnienia mię stąd przez odwołanie, lub na końcu, przez dymissyją, o którąm się jeszcze dotąd nie podał, ale to dla tego aby mi raz jeszcze od sierżanta porucznikostwa dosługiwać się nie trzeba było, ile będąc już jednym z najpiérwszych z kolei do kapitaństwa; lecz na końcu gdy mię mój rząd odwołać nie zechce, wyrób mi panie dymissyją, tylko jak można najprędzej; przyjmę ją za największe dobrodziejstwo, a choć o suchym kawalku chleba, przebywszy tę dość przeciąglą drogę, za nagrodę wszystkich prac i trudów w kilku już kampanijach odbytych, mieć będę, gdy choć prostym żołnierzem resztę sił moich krajowi poświęcę. Niepodobna pułkownikowi ażebyś przewiódł na sobie ten jęk, który z tak daleka o twoje obija się uszy, wierz oraz, iż strumień łez z oczu moich płynący, kończy te pismo, a przyjm uszanowanie jakie ci słusznie przez całe życie moje należy.“

Bawiąc jeszcze we Francyi, otrzymał retret i przyznanie dziewiętnastoletniej służby wojskowej. Wraca więc do kraju, opisuje podróż swoją szczegółowo, i wreszcie przybywa do Warszawy, gdzie odwiedza ukochanego swego pułkownika Potockiego (1); od którego serdecznie przyjęty, miał do wyboru: albo stopień kapitana w którymkolwiek pólku piechoty; albo podpułkownikostwo dywizyi w odpowiednim stopniu; że zaś do tego urzędu przywiązaną była kaucyjna, Potocki ofiarował zapisać ją na swoim majątku. Hołownia styrany polową służbą, a jeszcze więcej chorobą, ostatnie przyjął obowiązki, bo te uwalniały go od ciągłych trudów, których znieść nie mógł. Dnia 4 Lipca 1810 roku otrzymał nominacją żadaną, i w tymże miesiącu wyjechał do Lublina. Na tym kończy swój pamiętnik Hołownia, poświęcony wyłącznie opisowi wyprawy do Hiszpanii, i jaki w niej miał udział. Pamiętnik ten godny ze wszech miar druku, obejmuje tylko dwa lata z jego życia, a przeplatany jest, jak mówiliśmy dziennikiem podróży, i szczegółowemi opisami miejsc które przebył i poznał. Jak zaczął od opisu *Rawy*, tak przechodzi miasta polskie po drodze, niemieckie, francuzkie; obszerniej hiszpańskie; to daje zarysy zwyczajów i obyczajów mieszkanców tego kraju, a zakończy opisem Puław. Umarł w sędziwym wieku, bo w 82 roku życia.

(1) Zaczny i szlachetny ten wojownik umarł w następnym roku i pochowany w katakumbach powązkowskich. Podajemy w niniejszém dziele jego życiorys w oddziale spoczywających w katakumbach.

FRANCISZEK SZEPIETOWSKI.

„FRANCISZKOWI SZEPIETOWSKIEMU POSEŁOWI POWIATU TYKOCIŃSKIEGO W 34 ROKU ŻYCIA W WARSZAWIE DNIA 6 CZERWCA 1829 R. ZMARŁEMU, PRZYKŁADEM PRZODKÓW, GORLIWOŚCIĄ O DOBRO PUBLICZNE ZNAKOMITEMU, NAJUKOCHAŃSZEMU MĘŻOWI, HILARYA Z ŚWIĘCKICH POZOSTAŁA MAŁŻONKA, NA WIECZNĄ PAMIĘĆ.“

(Pomnik kamienny w pobliżu grobowca Maryi Tańskiej).

Urodził się w r. 1795, po wychowaniu domowym i przygotowaniu się w nauce matematyki, wszedł do szkoły artylleryi i Inżynierów w Warszawie w r. 1809, gdzie zostając do roku 1811 w nagrodę pilności i odznaczenia tak w sprawowaniu jako i naukach, mianowany został starszym sierżantem tegoż korpusu. Przeszedł następnie do pułku *Eklererów* byłej gwardyi w stopniu wachmistrza, (d. 22 Czerwca 1811 r.) i odbywszy marsze w Niemczech i Rosyi, uwolniony dla słabości zdrowia, osiadł w zaciszu domowym. Tu chętnie śpieszył na wszelkie posługi krajowe, i chlubnie się odznaczył w zawodzie obywatelskim czy to zasiadając w Radzie Województwa Augustowskiego, czy marszałkując sejmikom. Obywatele pomni na zasługi ojca jego Józefa, który przez lat kilkanaście urząd poselski z zupełnym ich zadowoleniem sprawował w miejscu zmarłego, na Sejmiku Powiatu Tykocińskiego z pomiędzy czterech kandydatów większością kresek na posła powiatu Tykocińskiego wybrali syna d. 23 Lutego 1828 roku. Mało co więcej jak rok jeden sprawując tę godność, potrafił zjednać sobie miłość i cześć nawet współtowarzyszów; dotknięty jednak w tym nowym zawodzie bolesnym wrażeniem, zbyt żywo uczuwszy je w sercu, w samym kwiecie męskiego wieku bo w 34 roku życia skończył dni swoje. Ożeniony z jedyną córką Tomasza Święckiego *Hilaryją* wielbiony i szanowany przez teścia, który go zawsze na wzór starodawniej cnoty mężów stawiał, odumarł młodą wdowę, i grono drobnej dziatwy osierocił. Joachim Lelewel poseł powiatu Żelechowskiego, uczcił pamięć zmarłego powiedzianą mową d. 9 Czerwca 1829 r. przy wyprowadzeniu zwłok zmarłego na cmentarz powązkowski. Podamy tu z niej wyjątki jako dopełnienie życiorysu.

„Franciszek Szepietowski syn Józefa i Franciszki z Siennickich Szepietowskich, krótką doczesnego życia osnowę przed nami dopędził. Widzieliśmy go niedawno między nami, radą i sercem żyjącego, dziś otaczamy jego martwe zwłoki. Zwykła to kolej każdego, zgonem zamykać życie; ale nie każdego jest udziałem z życiem dopięro zamykać zawód godnie dopełnionych obowiązków obywatelskich i cnot człowieka zdobiących. Ten zawód był właśnie Franciszka Szepietowskiego udziałem. Widzę po was obywatele którzyście bliżej go znali, jak dalece umieliście jego zalety oceniać; widzę że wymagacie i oczekujecie po mnie, abym głos mój przy smutnym obrzędzie podnosząc, umiał je wszystkim tu zebrany przypomnieć. Zaprawdę nie-trudne jest dopełnienie oczekiwań waszych, gdy nie ma skazy któraby mówcy zawadzała; ale trudno będzie dla mnie, jeśli do wyrażenia uczucia i przeświadczenia mego które z wami podzielam, dostatecznych wyrazów znaleźć nie zdołam. Urodzony w najsmutniejszych czasach dla kraju; widok ojca który do ostatnich chwil na polu wojennym stawał; przypomnienie jego niewoli cierpień i boleści, kształciły umysł młodego Franciszka, a dodając hartu w strapieniach, rozwijało w nim piękne uczucia. Bo to często bywa, że cnoty są dziedzictwem domu; odzie-

dziczył je Franciszek. Kiedy ojciec zasiadł w Izbie poselskiej i na pięciu sejmach z chlubą gorliwości obywatelskiej pamiętne imię zostawił; wtedy Franciszek umiał oceniać ten wysoki w narodzie obowiązek, i zapatrując się na wzór, który go w dzieciennych latach powodował, pod okiem ojca rozpoznawał publiczny zawód. Długiem doświadczeniem ojca dojrzewał; swoim współobywatelom poznawać się dawał, ich serca uskarbiać umiał. Prędko zebrał owoce pięknego usposobienia swego. Ledwie lat potrzebnych dopędził, po dwakroć raz po raz na sejmiku obierany, na radcę wojewódzkiego, i posła na sejm; pogodnej oczekiwał pory, ażeby w publicznym zawodzie czynnie wystąpił. Otwierała mu się sposobność, w której w obliczu narodu i króla, miał udowodnić wierne obowiązków dopełnianie, do sprawy publicznej przywiązanie: cieszył się z wyboru swego Powiat, cieszyła się Izba, pozyskując go do grona swego. Przed niewielką dni zebrani razem reprezentanci narodu znajdowali w nim pomoc i radę. Kojarzył się wzajemny szacunek, wzmacniał węzeł koleżeństwa; a po dniach niewielu, radość zamieniła się w smutek! W krótkim zawodzie życia Szepietowskiego nie dozwolilo mu przeznaczenie cieszyć się zupełnem zdrowiem. Doznawał dolegliwości z chorowitego stanu, który nieznacznie zagrażającym się stawał. Czula dusza jego, chociaż zbierała ludzkość obchodzące zdarzenia, a przez to i w zacnych poruszeniach swoich, odejmowała mu pokój, i nieraz zaprawiała goryczą prawe uczucia; bo każda niesłuszność oburzała go, każda niesprawiedliwość wskrós przerażała, wpływając na zdrowie, targała silną choć cierpiącą budowę ciała, niszczyła błogie zaspokojenie, wyprowadzała go na pole twardego doświadczenia, na którym nie doczekał coby go pocieszyło. Zdawało się że w pożyciu domowém, chciały go nieba szczęściem obdarzyć. Wszedłszy przed kilku laty w związek małżeński z Hilaryą córką Tomasza Święckiego, doczekał się téj nieoczekiwanej w familjach słodyczy, jaką jedna szczerze osób przywiązanie. Tracąc własnego ojca, którego Bóg do siebie powołał, pocieszał się że węzły familijne, zbliżyły go do ojca małżonki. Oh! jak krótkie były te momenta! jak prędko wieczyste nastąpiło rozstanie. Wy! osierociałe po ojcu małeńkie dzieci, wy jeszcze nie wiecie jakąście ponieśli stratę. Straciliście przykład, któryby was kierował, i na drodze prawości trzymał. W dalszych latach z powieści tylko i ze wspomnienia o ojcu słyszeć będziecie. Będzie was czuła matka tulić do łona swego, z rozrzewnieniem przypominać ojca i dziada, tchem swoim przelewać w dusze wasze rodzicielskie uczucia. Niechaj was Opatrzność zachowa, niechaj obdarzy swą łaską, abyście wkroczyli w cnoty, do których was nad wami unoszący się duch ojca, powoływać nie przestanie! Narodzie! postradałeś godnego obywatela, a my kolegę, którym mogliśmy się szczycić. Przeniósł się on do lepszego życia, nas ziomeków stroskanych zostawił w szczerem żalu, z którym nie będę się rozwodził, bo każdy wolę najwyższą szanujący, w swém sercu go tłumi. I tego nie powiem, coby osobista przyjaźń mówić skłaniała. Powzięty publiczny dla ś. p. Franciszka Szepietowskiego szacunek, pobudził mnie do zabrania z tego miejsca głosu, ażebym rozważał rodaka w publiczném życiu. Przyjmijcie to dobrém sercem obywatele, jako hold waszym uczuciom oddany; a błogosławcie pamięć zmarłego.“

CELIŃSKI JÓZEF.

„GRÓB RODZINY CELIŃSKICH MDCCCLXXXII.”

(*Dwa świerki oceniają ten grobowiec.*)

Urodził się w Warszawie r. 1779. Był synem Tomasza i Barbary z Brzeškiewiczów, obywateli tegoż miasta. Wychowany starannie ale w chudobie, po skończeniu klass czterech w szkołach pijarskich, poświęcił się zawodowi farmaceutycznemu. Zostawiony własnemu staraniu o los swój, po ukończeniu kilkoletniej nauki praktycznej, jako podaptekarz tyle zdołał oszczędzić z pracy swojej, że udał się do Akademii Krakowskiej a następnie do Berlińskiej, gdzie otrzymał celujący stopień Magistra Farmacyi (1). Powróciwszy z zagranicy, dla braku funduszów, nie mogąc mieć własnej apteki, pracą i zdolnością zjednał sobie jak ogólny tak i wsławionego podówczas w Warszawie właściciela apteki Gruela szacunek, który go przybrał za współnika. W uczciwej zgodzie i jedności przetrwał w tej spółce lat siedm, a następnie własną założył aptekę. Wysoko usposobiony naukowo w swym zawodzie, chętnie udzielał drugim swoich wiadomości. Należał Celiński w r. 1809 do pierwszych założycieli szkoły lekarskiej w Warszawie gdzie wykładał, równie jak w Uniwersytecie Warszawskim jako professor farmacyją, farmakologiją, i chemiją prawną. W r. 1818 wezwany do urządzenia apteki wojskowej, godnie temu zaufaniu i szacownie odpowiedział. Na polu zasług obywatelskich, jako powszechny posiadający szacunek był marszałkiem gminy cyrkulu 7 miasta Warszawy w latach 1808, 1817, 1819 i 1821. W roku 1823 zaszczycony został klejnotem szlacheckim z przydomkiem *Skrytomir*. Był professorem chemii i farmacyi w b. Uniwersytecie Warszawskim w wydziale lekarskim; Assessorem Farmacyi w Radzie ogólnej lekarskiej, członkiem b. Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk i gospodarczo-rolniczego. Umarł w Maju 1832 r. mając lat 53. Z prac naukowych zostawił: — 1. Farmacyja czyli nauka doskonałego przygotowania lekarstw z trzech królestw natury wybranych; dwa tomy 1811 r. — 2. Rozbiór wód mineralnych Nałęczowskich w Warszawie r. 1817, po polsku i po niemiecku. — 3. O rozbiorze wody w studni wykopanej we wsi Siekierki; rzecz czytana na posiedzeniu Towarzystwa Król. War. przyjaciół nauk (rękopism). — 4. Opis rozbioru nasion wilczego łyka (po niemiecku w Berlińskim roczniku Farm. z r. 1804). — 5. Dowody, że mięta pieprzna krajowa i olej z niej pędzony nie ustępują w dobroci zielu i olejowi tegoż nazwiska z zagranicy sprowadzanym. (Rzecz czytana po posiedzeniu działu umiejętności w Towarzystwie Król. Warsz. przyjaciół nauk (2)).

W tymże samym grobie, obok zwłok ojca, spoczął i syn jego Julian, który po nim objął wsławioną aptekę.

(1) Głos przy pogrzebie Józefa Celińskiego Członka Rady Lekarskiej w Królestwie Polskiem, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Członka Komitetu Towarzystw uczonych, Aptekarza Nadwornego J. C. K. Mości, kawalera orderu 6 Stanisława: miany przez Dra Jana Sztummera w Warszawie dnia 19 Maja 1832 roku. (Na korzyść ubogich) w 12 str. 20 wyłożono w Drukarni Rządowej.

(2) Ludwik Gąsiorowski. Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce T. 3, str. 269. Poznań 1854 r. W Pamiętniku Farmaceutycznym Krakowskim Tom 2, jest obszerny życiorys Celińskiego, a na czele i jego popiersie.

IGNACY BENEDYKT RAKOWIECKI.

(Pochowany w mogile ziemnej bez napisu).

Umarł dnia 22 Lipca 1839 roku o godzinie 11 w nocy.

Urodził się w Berdyczowie w gubernii Wołyńskiej, w powiecie Żytomierskim w Grudniu roku 1783, z Teodora i Maryjanny z Milanowskich małżonków Rakowieckich. Dnia 28 Grudnia t. r. ochrzczony został i bierzmowany razem mirem świętym⁽¹⁾ w cerkwi Święto-Uśpieńskiej Berdyczowskiej, przez księdza Cyrylla Staszko Diatesławicza dziekana i delegata powiatu Żytomierskiego Trzymali go do chrztu Jan Serwański kapitan wojsk wielkich koronnych, z panią Wojską Maryjanną Pokrasiną. Ojciec jego był wtedy już mianowany dworzaninem królewskim i sztycharzem koronnym⁽²⁾ Młody Benedykt do dziesiątego roku życia wychowany był pod tro-

(1) Wyrażenie metryki chrztu. Że obrzęd ten odbywał się w cerkwi Unijackiej, razem więc chrzest i bierzmo-
wanie nowo narodzony otrzymał.

(2) Przywidzę tu w całości przywilej wydany przez króla Stanisława Augusta (przekład z łacińskiego).

„Stanisław August z Bożej łaski Król Polski, wielki książę Litewski, Ruski, Pruski, Gocki Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Liwoński, Smoleński, Siewierski, Czernigowski.“ „Wiadomo czynimy tęp (teraźniejszęp) pismem naszęp, komu o tęp wiedzić należy w ogółności i w szczegółności. Dostatecznie znanego nam szlachcica Teodora Rakowieckiego, za przedstawioną przesłaną biegłość jego w sztuce sztychowania, oraz za odkryty sposób sztychowania poleconego naszym wzgłędem, temu z łaski i dobrodziejstwa naszego królewskiego chcemy okazać zadowolenie, dowodem kótrego. życzenie nasze doprowadziliśmy że go w liczbie rzeczywistych dworzan naszych postanowiliśmy wpisać i przyjąć, co i rzeczywiście tęp (teraźniejszęp) pismem naszęp wpisujemy i przyjmujemy. Od danych i ofiarowanych pełną i wszelkiego rodzaju godnością wszystkich praw, prerogatyw i przywilejów, kót-
rych insi dworzanie nasi w swojęp prawie, przyjętęp zwyczajem używają i są zadowoleni, tak dla zadowolenia jako i użycia także od zwyczajnych jurysdykeji i składek (kontrybucji) wolni, nie jest wyjęty. O cępęp wszystkim, kótórzy o tęp wiedzić powinni tym zwłaszcza JW. Najwyższemu Korony i W. X. Litewskiego Marszałkowi i innym dworzanom, oficyalom naszym i urzędnikom, kótórych władza nad obywatelami i miastami ma znaczenie, łaskawym rozkazujemy tegoż pomienionego szlachcica Teodora Rakowieckiego odtąd prawnym dworzaniem miany, mianujemy i uznajemy. Tego wszystkich praw, prerogatyw, i przywilejów do prawa swego wciągnął zwyczajem dworzan naszych należytych, dozwalając uwolnienie lub używanie onych, i zadowolenie przesyłamy i o przesłanie od wszystkich dbamy. Przez łaskę naszą i urzędników naszych pełnią. W koniec tego, teraz nasza ręka podpisała; sztycharzem koronnym zrobić postanowiliśmy. Dan w Warszawie dnia 18 miesiąca Lipca roku pańskiego 1771 a panowania naszego siódmego roku (podpisano) Stanisław August Rex. Szlachcic Teodor Rakowiecki sztycharz mianowany dworzaniem królewskim, (podpisano) Antoni Sikorski Sekretarz Jego Królewskiej Mości.

W papierach po J. B. Rakowieckim taką znajduję wiadomość o tym rytowniku, którą sam skroślił, uważając to jako rzecz ważną dla historii sztuki w całości podaję. „Przed kilką laty zdarzyło mi się przypadkiem w rozprawie o *stawniejszych rytownikach polskich* (1) czytać krótką wzmiankę o Teodorze *Raków*, a to jedynie z tego wzgłędu, że podajęcemu tę wiadomość zdarzyło się mieć w swoim ręku kilka rycin podpisem *T. Raków*. To powoduje mnie przez wdzięczność synowską podać o ojcu naszym dokładniejszą wiadomość. Mam u siebie patent króla Stanisława Augusta, przyznający ojcu naszemu zasługi publiczne i biegłość w sztuce rytownictwa, i z tych powodów, mianujący go dworzaniem królewskim (2). Prócz tego pamiętam z opowiadania jeszcze ś p. matki naszěj, iż ojciec nasz z Galicyi z Starostwa Rohatyńskiego kótrego stryj był starostą, udał się do Kijowa, gdzie bawiwszy niejaki czas, trudnił się wykonywaniem rozmaitych rycin, już to na drzewie, już to na miedzi, kótóre to prace, zjednały mu szacunek i sławę. Następnie wezwany został do Berdyczowa, szczególniej dla podania planów tak architektonicznych, jako też rysunkowych, do ozdoby kościoła Berdyczowskiego, jako też w czasie uroczystości koronacyi Matki Boskiej Berdyczowskiej. Ja miałem znaczny zbiór rycin i planów ś p. ojca naszego, architektonicznych, fortyfikacyjnych i innych tym podobnych, lecz to wszystko w mieście Połonnem w czasie rowolucyi Kościuszkowskiej zaginęło mi.

(1) Rozprawa to Gwalberta Pawlikowskiego w czasopiśmie Ossolińskich ogłoszona.

(2) Patent ten w przekładzie polskim, jak znaleźliśmy w papierach, bo oryginału łacińskiego nie było, podaliśmy wyżej.

skliwém okiem rodziców, tu młodą i nieśmiałą rękę, wprawiał w rysunek. W jedenastym roku wieku oddany został do szkoły w Berdyczowie, którą ukończywszy, z chlubnym świadectwem (1), jako jeometra przysięgły, trudnił się na Wołyniu i w Litwie pomiarem i sprawami granicznymi. W Humaniu przyjął obowiązki w tamecznej szkole, nauczyciela francuzkiego i rossyjskiego języka; wkrótce porzucił Humać, otrzymawszy piękne poświadczenie zdolności i gorliwego pełnienia swych obowiązków dnia 28 Grudnia 1803 r. Z własnoręcznych notat Rakowieckiego, dalszy życiorys podaje. „Bawiać niejaki czas w Wilnie, uczęszczał na lekyje uniwersytetu; i szczególniej przykładał się do nauki ekonomii politycznej oraz do filologii i języka słowiańskiego. W r. 1807 udał się do księstwa Warszawskiego w celu poświęcenia się naukom, gdzie dla łatwiejszego zbierania wiadomości statystycznych krajowych, i poznawania dyalektów prowincjonalnych, w powiecie Poznańskim przyjął urząd Notaryjusza (r. 1808) do zawierania kontraktów między dziedzicami a włościanami. Ponieważ urządzenie takich Notaryjuszów wkrótce zmienioném zostało, przyjął więc urząd Pisarza Sądu Pokoju w powiecie Krotoszyńskim. Obowiązki te nie dozwalały poświęcać się przedsięwziętym naukom, po uzyskanėj zatem na własne żądanie w r. 1809 dymissyi, udał się do Warszawy, dla pozyskania obowiązków takich, któreby mogły dawać większą sposobność doskonalenia się w obranych przedmiotach. Pracował zatem czas niejaki w biurze Towarzystwa Gospodarczo-rolniczego. Od roku 1810 do 1811 trudnił się interessami Hr. Aleksandra Potockiego jako plenipotent. Od r. 1812 do 1823 pełnił téż obowiązki u hrabiego ordynata Zamojskiego, i był razem administratorem sądowym dóbr Biezańskich i Żuromińskich w Województwie Płockiem leżących, na rzecz hr. Zamojskiego i innych wierzycieli zasekwestrowanych, którą to administracyją sprawował od r. 1812 do 1817. W r. 1820 trudnił się wydaniem dzieła pod tytułem „*Prawda Ruska*.“ Dzieło to używaném jest (jak sam wyraża) w pomoc do wykładania historii Prawodawstwa w wielu uniwersytetach

Strata czego, przejęła mnie niezmiernym żalem, i dotąd tego odzalaować nie mogę. Pomiędzy tymi rycinami znajdowała się jedna, na miedzi ryta a na papierze odbita, i jak mi matka opowiadała, był to *Antimis* dla cerkwi ruskich, na żądanie metropolity ruskiego, przez ojca naszego wykonany. Miał on być odbity w wielu egzemplarzach na płótnie i rozmaitych materyjach i rozesłany do użycia po różnych cerkwiach ruskich. Ile sobie przypomnieć mogę obejmował różne symbole i wyobrażenia religijne z stosownemi napisami, charakterem słowiańskim. Kilka egzemplarzy takowgo *Antimis* musi się jeszcze dotąd znajdować gdzie w której cerkwi ruskiej, a może nawet i w Berdyczowie. Znajdowało się także w bibliotece ojca naszego dzieło w języku polskim in folio p n „*Koronacyja Matki Boskiej Berdyczowskiej*,” w którym umieszczone są różne ryciny różnych rysowników, a najwięcej ojca naszego. Dzieło to, równie jak i cała biblijoteka ojca naszego zaginęło. Musi być w biblijotece księży Karmelitów Berdyczowskich, a w archiwum tego klasztoru znalazłby kontrakty, rachunki, korespondencyje i wiele pism w oryginale ojca naszego. Pisał tę wiadomość J. B. Rakowiecki do brata swego mieszkającego w Berdyczowie, aby zajął się zebraniem szczegółów do życiorysu ich ojca.

(1) Oto dosłowny przekład z łacińskiego pomienionego świadectwa.

„Atestat ze szkoły naszej publicznej w Berdyczowie dla szlachcica Benedykta syna Teodora Rakowieckiego, słusznie proszącego przyznający niniejszém piśmie świadczemy, jako od początkowych pierwszych klass tejże szkoły, aż do ukończenia nauk, przez ośmioletni przeciąg czasu uczęszczał i do tych nauk: matematyki fizyki, wymowy i logiki, oprócz tego do języków francuzkiego i rossyjskiego z pilnością należyta i korzyścią chwalebna przykładał się, i nic niezgodnego z dobrmi obyczajami zarzucić mu nie można. Co rzeczywiście mu tém piśmie własnoręcznie przez nas podpisaném i pieczęcią szkolną potwierdzoném przyznajemy Dan w Kollegium naszém Berdyczowskiem dnia 27 Grudnia 1802 r. (podpisano) Bardecki rektor szkół. Professor fizyki eksperymentalnej Jan Myślewski. Wymowy i logiki professor, prefekt szkoły Justyn Lewicki. Professor matematyki Jan Lubiczańkowski.“ (L S).

zagranicznych. Od r. 1824 do 1832 sprawował urząd kuratora szkół w Województwie Podlaskiem. W skutek nastąpić mającej nowój szkół organizacyi, otrzymał dymisją przyznającą gorliwość w wypełnianiu służby, i zapewniającą dalszą ze strony rządu protekcją.“ Z akt osobistych urzędowych dowiadujemy się, że w r. 1833 „Dyrektor Główny Sprawiedliwości, mając sobie poleconém zarządzenie przekładu zbioru praw państwa rossyjskiego na język polski, powołał między innemi do tój czynności Rakowieckiego, znanego z dokładnej znajomości języków słowiańskich tak nowożytnych jako i dawnych, tudzież z dzieła polskiego *Prawda Ruska*, nader cenionego przez samychże uczonych rossyjskich.“

Z tego powodu gdy równocześnie Rakowiecki powołany został na Inspektora szkoły w Łukowie, tenże Dyrektor Główny Sprawiedliwości zażądał aby utrzymanym był w Warszawie w tymże stopniu. Na skutek tego przedstawienia, został Rakowiecki Inspektorem szkoły obwodowej przy ulicy Długiej w Warszawie. W r. 1835 (29 Lipca) dla ułatwienia mu, do poświęcenia więćej czasu tak przekładowi praw cesarstwa, jako tóż pracom naukowym, w miejsce zmarłego regenta Majewskiego mianowany regentem kancelaryi ziemiańskiej Województwa Mazowieckiego. Obok tój posady w r. 1837, otrzymał emeryturę złp. 2,000 „przez wzgląd na 21 letnią służbę, lubo nie etatową, na wiek podeszły i położone zasługi literackie.“ W Styczniu 1839 roku Rakowiecki otrzymawszy uwolnienie od pełnionych obowiązków, wkrótce bo w sześć miesięcy potém zakończył życie. Rakowiecki uwiecznił pamięć swoją w literaturze naszej, jednem z najważniejszych dzieł p. n. „*Prawda Ruska* czyli prawa Wielkiego Księcia Jarosława Władymirowicza, tudzież traktaty Olga i Igora WW. Książąt Kijowskich z Cesarzami Greckimi i Mścislawa Dawidowicza Ks. Smoleńskiego z Rygą zawarte, których teksta, obok z polskiem tłumaczeniem poprzedza rys historyczny zwyczajów, obyczajów, religii, praw i języka dawnych słowiańskich i słowiańsko-ruskich narodów. Warszawa w Drukarni księży Pijarów 1820 roku, (w 4 T. I. str. xv—277. T. II. str. vi—320). Dwóch równocześnie zjawilo się u nas uczonych badaczy, którzy rzecz o słowiańszczyźnie z cienia na jaw wydobywszy, zwrócili gorącym swoim zapałem, wszystkich na nią uwagę. Kiedy Rakowiecki w cichości wykończył znakomite dzieło swoje, Adam Czarnocki znany pod przybraną nazwą Zorjana Dołęgi Chodakowskiego, ogłosił sławną rozprawę o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej.“ Rozprawa ta dla młodych umysłów była wówczas raczój poematem, przenosząc myśl w poetyczne wieki bałwochwaltwa. Wpływ jój był stanowczym, rozświetliła ona żądze i pragnienie zbadania tych odległych czasów, w których mgle staroświeckiej majaczyły postacie zapomnianych bogów i widziadeł pogańskich. Czarnocki wskazał na mogiły, kurhany, pieśni ludowe i podania, jako drogokazy, za którymi postępując wnijsé można do zaczarowanej krainy przed dziesięcio-wiekowej. To, co w swój rozprawie napomknął Czarnocki, co przeczuł natchnieniem a co później badania ścisłe udowodniły; na drodze naukowej, systematycznie rozwijał w dziele swoim Rakowiecki. Cały tom piérwszy w rysie historycznym pomijając najwydatniejszą stronę *prawa*, obejmuje wiadomości, tak charakterystykę słowian malujące, jak zwyczaje ich, obyczaje, bogosłowie, kształt rządu, i niepośledni stopień oświaty. Rakowiecki z ogromnych zasobów które długoletnią pracą zgromadził, zupełnie nowe, nieznane na one czasy podał nam wiadomości,

i na świeże a nietknięte przez polskich badaczy pole, zwrócił umysły pragnące niezużytego pokarmu wiedzy. Mało kto wziął do ręki badania zacnego Skorochoła Majewskiego; dla tego że brnął w powodzi Sanskrytu, i nigdy się na rodzinne pola nie mógł wydostać; Rakowieckiego dzieło czytane było ochotnie, bo i rzecz i wykład wabiły najmłodsze umysły. Pierwszy on co w pewnym ładzie przystępnie a obszernie podał nam o Słowianach bogate badania; pierwszy który nas zapoznał z rękopismem *krółodworskim* dając obszernie z tego cudnego zabytku wyciągi w oryginale czeskim i w najwierniejszym przekładzie. Jeżeli dzieło Święckiego zwróciło naszą uwagę na potrzebę poznania własnej ziemi, *literatura* Bentkowskiego pobudziła do nowego zwrotu badań zabytków starożytniej literatury polskiej; to Czarnockiego rozprawa, i Rakowieckiego dzieło przeważnie wpływały na zwrot ku zbadaniu wieków Słowiańszczyzny. Zwrot ten już wyraźnie się dziś narysował w zbiorach podań, powieści, przysłów i pieśni ludowych; w badaniach nawet dziejowych, i na tém polu Surowiecki, W. A. Maciejowski i w. i. świetnie położyli zasługi. Czarnocki (Chodakowski) był między pierwszymi, którzy ocenili całą wartość pracy Rakowieckiego. Pisał o niej do samego autora z Moskwy i odtąd utrwaliły się między dwoma badaczami stosunki przyjacielskie, które trwały do zgonu Czarnockiego (1).

(1) Przytoczę tu list Z. D. Chodakowskiego, jaki pisał do Rakowieckiego.

„Wielmożny Mości dobrodzieju!

Nie budiem ukłoniatsia tolko ot sojedinienija trudow i staranij dla slawy swoich predkow, i dla blaga ich potomkow... Tak rossyjska akademija przełożyła wyrazy W. W. Mé Pana Dobrodzieja, i tak ja poczynam pierwszykroć podając dłoń szanownemu ziomkowi memu. Miło jest dla mnie widzié jego w tym zawodzie, który od lat kilku mnie zajmuje, i wdzięcznie przyjmuję chlubne wspomnienia o mojem przedsięwzięciu. Czuję zupełną wdzięczność Wielowładnemu Cesarzowi, że mi udzielił srebrnej osi do krążenia po jego rozległych ziemiach, i natężyłem moje usiłowania, aby odpowiedzié szczodrocie Pannującego, i oczekiwaniu wszystkich plemienników. Od miesiąca Września 1820 roku, do téj pory. przejrzałem ziemię *Iżerską*. plemie *Czudow* jeszcze niezgasłych w okolicy Koporii, to jest na wschód od Narwy, oni w własnym języku niewiele różniącym się od drugich Finnow, mianują się *Wadia-Lajne*, i wyłącznie są greckiego obrzędu. Pośród nich znalazłem wszystkie uroczyska, nazwania rzek, i *Gródki* sławiańskie, czego nie ma w całej Ingrii, i za rzeką Swirą. Byłem w Pleskowie, Izborsku, Porchowiu, Nowogrodzie, Ładodze, przy ujściu rzeczki Ładożki do Wołchowa mającej także *Gródek*, w Uspińskim dziewiczym manasterze Następnie odwiedziłem *Czerno Boże*, wieś w Porchowskim Ujeździe na rzeką Połoną i rozkopałem 2 naspy; pod Nowogrodem przetrząsałem mogiłę mniemanego Gostomyśla, i tylko znalazłem kości zwierząt i ptastwa zmieszane z grubym piaskiem i rzeczynami kamieniami, wziętemi z bliskiego brzegu Wołchowca. Jak się to nie zgadza z powieściami niektórych pisarzy. W Ładodze rozkopałem dwie ogromne Sopki i znalazłem ludzkie kości spalone, węgle, i strzałę zupełnie żelazną. W *Żalnikach* po nad Wołchowem, i w Bieżyckim pogoście nad Mołogą odkrywały się kości i czaszki, znać późniejszych czasów, tylko przy każdym nieboszczyku zawsze był nożyk kładziony. Przejrzałem okolice Jażołobie, Twern i w tym ostatnim miejscu towarzyszka mojej podróży, dobra żona, odstała ode mnie na zawsze, zaleciwszy usypać smutny żalnik: przeziębienie, które porywa do grobu wielu tutejszych krajowców, było przyczyną jej cierpień, i zgonu. Z zaszepionym umysłem, i odpowiednio do stanu serca, udałem się stąd w krainę prawdziwej żałoby. w okolicę Wiesi, niedalekiej Białego Jeziora. Byłem w Wiesi Jegońskiej tak nazwanej od rzeczki Jegonki wpadającej do Mołogi przeciw miasta, i mogącej należeć do głównej w téj stronie włości Jegony w 13 wieku posiadanej przez Nowogród, gdzie i teraz jest ostatek pogostu Jegny. W ujeździe Ustjużny, przy ujściu rzeczki Wiesi do Kolpi, jest pogost Iliński Wieśki, i Gorodiszczce, na wzór będących w Wołyniu, co w sąsiedztwie księdza Staszica, w Smoleńsku, Połocku, Dorohach przy rz. Horodziankie płynącej do Oryzny (w Bobrujsk. pow.) Izborsku, Nowogrodzie, Muromie, Galiczu Mierskim (w Kostrom. guber.) i Wiackim siole co w Toruskim Ujeździe. Ze *Wsi* na zimę obróciłem się ku Moskwie Jądcąc przez Kaszyn dzielnicę księstwa Twerskiego, ujście rzeki Miedwiedicy, gdzie skończył się mnie dialekt Krywicki, i przeprawivszy się za Wołgą byłem w Biel-Gorodku, w krainie Miery. a może być *Miru*, dążąc przez Dmitrow, Trojecką Laurę, Radomieński Gorodok, gdzie jedno pole zowie się dotąd *Bielyje Bohi* oddzielone wąwozem od uroczyska Mogilic, jak Sopki były w Czarno Bożu, i ja-

Poznałem Rakowieckiego w r. 1828: kiedy jako Członek Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk wraz z Kazimierzem Brodzińskim został przeznaczonym do ocenienia mojej rozprawy złożonej na konkurs, której zadaniem było zbadać zwyczaje, obyczaje, pieśni i podania

gdąc powoli, na schyłku Października stanąłem w Moskwie. Tu graniczny oddział Senatu, mający plany szczegółowe ledwo nie całej Rosyi, zajął moją uwagę. Byłem przy źródłach Moskwy w Smoleńskiej gubernii, gdzie podług założenia mego, znalazłem przy wsi Starkowie nazwaną *Kalinowy Mostek* zajmującą całą przestrzeń błotnistą przy rz. Konoplewkie, łączącą się z Moskwą. Nigdy domysł nie obejmował tak wielkiej przestrzeni ziemi, i nigdy może szczęśliwiej nie natrafił na rzecz istotną. I ja z moimi recenzentami zowie domysłem, lecz domysłem utworzonym z kilkoletniej wędrowki, i medytacyj; ciągle porównywanie odkryły dziwną dla mnie samego zgodność po wszystkich okolicach sławiańskich i to było zachętą do dalszych postępów. Teraz więc jeszcze nauczyłem się. Już jestem w stanie z jednéj nomenklatury zgadywać resztę okrażających Grodzisko, podług nich naznaczać miejsce Gródkowi, jeśli moim opowiadaczom nie był dobrze wiadomy, i częstokroć trafiwszy w gromadę starożytych byłem w tym utwierdzony. Na wielu miejscach wieśniacy mniemali, że się urodził między nimi, że jestem tubylcem, lub posiadam dokładne plany ich okolicy. W Nowo Torżskim Ujeździe w Chołoholni prosiłem wieśniaków, żeby mi ukazali swój Gródek, który z wymiaru odległości i z niektórych nazwisk okólnych przypadał na ich wioskę. „Niet u nas horodka, da i ne bywało nikohda“ Pytam dalej, czy nie ma Kniażowki: Eto jest: Czy nie ma Sokołowa Orłowa lub Woronowa, Woroncowa jest, i nedaleczce Kniażewa bolota. Nietli Koniewy ili Kobyliny? Kobylin ruczěj nahoditsia. Nietli nazwania ot lubwi, npr. Lubicy, Lubonki i t. p. Luben pieczka pryniawszy Kobylin ruczěj wpał w Twercu. „No tak i dołžen byt horodok przy ustje Lubeń tut wysokoje miesto! Odpowiadają mi, że wysokoje, a horodka nietu, wola wasza baryni? Uważałem przy tém że wszyscy niespokojni, zaczynają szeptać między sobą i z pokłonem kończą, że gorodka niesłychali, a na ustje Lubienia, hora nazywaetsia Michajłow suk! Widziałem, że jakaś jest przyczyna ich bojaźni, i wypierania się Gródka, lecz nie mogłem u nich dopytać się. O 3 wiorsty był *Jam* czyli stacyja pocztowa. przybywszy tu pytam znowu u starych o Gorodku w Cholocholni. Kak nietu? moja baba, jeden odpowiada, iż toho horodka, u nich połowina derewni tak nazywała sia. No pomieszczyk N. N. otniał im mnoho zemli po tu storonu Twercey, nazywajemoj *Pustosz horodok*, oni pered sim połuczili obratno i czto boleje nie było sporow o tom horodok pereimowali w Michajłow suk, po imieni swojego powierennaho. Takim sposobem nie jedno stare nazwisko przez niesprawiedliwość sąsiedzką zginęło na wieki. Nie każdemu, jak Floryjanowi Szaremu, posłuży dobra chwila do wygrania w kłótniach granicznych, i pozbycia się przykrego sąsiada. Wracam do siebie: kurs pierwszy który odbyłem w północnej Rosyi, przyniósł mi przeszło 2000. Grodzisk, wiele imion *Dunaja*. Łady, Leli, Radogosta, Pieruna, i kończących się na *boh* i *buk* wyrazów 49. Wszak u nas jest *Stry Boga* między starą Rawą i Skierniewicami. Pocóż było wymyślać świstum poświstum! i pochwisciele stosować do tego; jak lekko traktowano o wszystkiém, tak też mieliśmy, że z prawdą, i ni z czém niezgadzało się. Do niewierzenia ów wielki Czacki, także często siebie i drugich oszukiwał. Widziałem u niego w Porycku figurkę miedzianą, którą on nazwał *Lelum polelum* bóstwem polskiém, i jam temu wierzył, bo jakże niewierzyć takiemu człowiekowi, któremu cała Polska chętnie wierzyła. Nie prędko potem zajrzałem do podróży Pallasa. aż oto widzę ten sam prawie wizerunek czczony u kałmyków. To mnie nauczyło niedowierzać nikomu, powaga Tajnych Radców, Ich Pasterskich Mości, i Jaśnie Oświeconych, staje na równi z moją małością, gdy idzie o wyśledzenie rzeczywistej prawdy. Tak uwielbiałem Eugeniusza arcybiskupa uczoność w rozmowach włożonych do ust uczniów Nowogrodzkiego Seminarium o drewnostkach Welikaho Nowaho roda, lecz przybywszy na to sławne miejsce, i poszedłszy z tą książką po wszystkich ulicach, i okólnych miejscach, za ledwo 40 część znalazłem podobną do wiary. Jest to lakier na pajęczynie słabo utkanéj. Gniewa się on teraz na mnie lecz ja temu niewinien, że Nowograd jego nie zgadza się z Nowogrodem ani tamecznymi aktami, ani z moją całą Słowiańszczyzną. Usiłuje teraz zachwiać w Pleskowie mój szereg *horodyszcz*, nazywając tém imieniem wszystkie późniejsze warownie sklecone w obronie przeciw Krzyżakom Liwońskim, i przeciw Litwie, i nie chce wierzyć, że 100 horodyszcz już mam wniesionych na plan dawnych Poloczanów. Miałem pociechę, ukazać mu stare horodyszcz przeciw jego rezydencyi, za *Wielką* rzeką przy ujściu do niej rzeczki Konki będące. Dysputował, że o nim starzy autorowie nie piszą. powątpiewał, lecz ustąpił bo przywołani włościanie ze wsi Końskiej, zgodnie wyznali, że to jest dawne *haradziszce*, a kto go zrobił, Boh wie dajet niktó nie pomnił. Przez wzgląd na dobre intencyje tego pasterza, na jego rzadką gorliwość dla nauk i zamiłowanie w polskiej literaturze, oszczędzę jego imię przy mojem doniesieniu z Nowogrodu lecz nie powtórzę jego powieści. Ón wierzył świątobliwie Nestorowi i Tatiszczewu, i ledwo nie wszyscy pisarze tutejsi są w niewoli tego mnicha Pieczarskiego, na wiarę jego jeszcze rogaty *Tur* przyodziewa się płaszczem książęcóm, (a u nas *Krakwa* skrzydlata wysiedziła założyciela miasta Krakowa). Krzy-

ludowe. Zajęty był wówczas wykończaniem obszernego dzieła: „O urządzaniu dóbr,“ i z wielkim zamilowaniem o nową swą pracę ze mną rozmawiał. Jam cicho się dziwił, że po wydaniu *Prawdy Ruskiej*, taki wziął przedmiot: niewiedząc, że Rakowiecki, miał siły i znajomości potemu. Rzecz godną uwagi wtedy mi powiedział, a która dosadnie tamte czasy maluje. Kiedy się rozwodził nad wartością *Prawdy Ruskiej*: smutnie potrząsając głową wyrzekł te słowa:

„Cieszę się że wy młodzi, oceniacie przynajmniej pracę moją. A czy wiesz żem w Towarzystwie przyjaciół nauk, narobił sobie tém właśnie dziełem nieprzyjaciół. Raził ich tytuł i treść tej pracy. A przecież wszystkim wiadomo com użył mozołu, zanim wydrukowałem to dzieło. Musiałem kazać umyślnie łać litery do tekstu słowiańskiego (cerkiewnego): ileż biędy i trudu za nim się zecerzy wprawili, ileż to okropnych odrobilem korrekt, nad którymi oczy straciłem, za

wiczanie Nowogrodzcy urosłszy w znaczenie tylko przy Waragach, i niekiedy z całą Rusią mianowani Słowianami dla różnicy ot Izgojew, i Kolbiahow, i samych Normanów, a może być dla różnicy i drugich plemion. Lecz dyalekt pokazuje się ten sam, który jest w Pleskowie, Połocku, Smoleńsku, Mohilewie i Mińsku do samego Rajgroda na pruskiej granicy. *Slawno*, *Slawiański Koniec* bynajmniej nie dowodzi bytności tu Sławian; mieszkający zwali się Sławianie, jak drudzy Sofjanie, Plotniczanie i t. d. od swoich miejsce nieobszernych. Niepodobno żeby jeden kwartał miał zachować te nazwisko, jeśliby one było własnością całej ziemi Nowogrodzkiej; te *Slawno* jest w widoku Horodyszcza, o 2 w. tylko odległe od niego, i podobne nazwisko na 16 miejscach zawsze jest bliskie Gródków, gdzie nie ma uroczysk takich, to *Chwała* lub *Czest* musi znajdować się. Słowem wszystkie te miana skąd inąd pochodzące, niewiedomość Nestora przyznała drugim okolicznościom. Moje badania chociaż mi nie obiecują zbawienia duszy, podług zaręczenia ojca Jezuita Brzozowskiego, i spokojności na tym świecie od wielu pisarzy, których mogę zachwiać, z tém wszystkiem mam postanowienie ten labirynt starożytny przejść do końca, i zrobić go łatwym dla wszystkich.

Teraz obracam się do Pana, jeśliś miłośnik starożytności krajowej, szczerzy chwaleca Chodakowskiego, i dobry syn Mazowsza, tedy racz pan mi pomódz, żebym poznał *Mazowsze* osadę będącą w Lipnowskim powiecie, przy jakiejś rzeczce płynącej do Drwency z lewej strony. To Mazowsze ma kościół parafialny, i w bliskości swojej zawiera wsi następujące: Mień Włęcz, Kijaskowo, Leciszewo, Paskowo, Świętosław, Trutowo, Rębiccha, Witowąż, Czernikowo i Działyń. Chciałbym wiedzieć czyli nie ma w tym Mazowszu miejsca tak zwanego Gródzisko, Gródek, Grojec, podogrodzie, ogrodzona lub temu podobnie. Jeśli znajdzie się taki gródek (osobliwie w steku 2ch rzeczek), tedy od niego na 4 wersty, 700 sążniowe, lub 5 w. 500 sążniowych co mniej będzie mili polskiej zakreślając okrąg, jakie będą nazwiska osiadłe, i próżne w tym kole, chciałbym mieć dokładnie spisane. Słowa: ksiądz, pop, król, pan, orzeł, sokoł, wron, tur, żubr, wół, byk, krowa, ciele, koń, kobyła, źrebiec, kozioł, koza, baran, owca: mogą być początkowemi sylabami tych nazwisk. Przytém Bóg, bug, boża, buża, luby, miły, chod, chot, chut, chęć, mir, mier, lud, chłop, mąż, męż, stan, droga, put, pęt, pąt, miód, wino, piwo, biję, rznię, kolę, palę, źge, miącz, mięcz, plug, socha, or, kopa, snop, kłos, słup, gęś, kur, krak, kaczka, skowron i t. d. także czy nie znajdują się pojedynczo, lub w składanych wyrazach. Wreszcie wszystkie stare i nowe choćby i niezrozumiałe miana będą przydatne. Nie patrząc, że ta strona od pobożnych Krzyżaków była niegdyś pustoszona, jednakże może cokolwiek ocalało. Życzeniem jest mojem, aby kto umyślnie pojechał do tego Mazowsza, i zebrał na miejscu o wszystkiem wiadomość. Niechby pan raczył o tém pomówić z W. Linde, i wybrał kogo sposobnego na tę małą missyję. Na koszt podróży przylączam sto rubli w assygnacyjach ross i wdzięczność moją zachowam na dal, jeśli ta wyprawa będzie zaspokajała moją ciekawość, W nadziei, że moje życzenie za łaską pana otrzyma skutek należyty. nieużywam wielu prośb i błagań, dość jest mnie polecić się jego dobremu sercu i przyjaźni, przyrzekając też same uczucia z mojej strony, przy chęci zostawiania z rzetelnem uszanowaniem

Moskwa 29 Stycznia

vs. 1822.

Wielmożnego WMć Pana Dobrodzieja

najniższym sługą

Zoryjan Doługa Chodakowski.

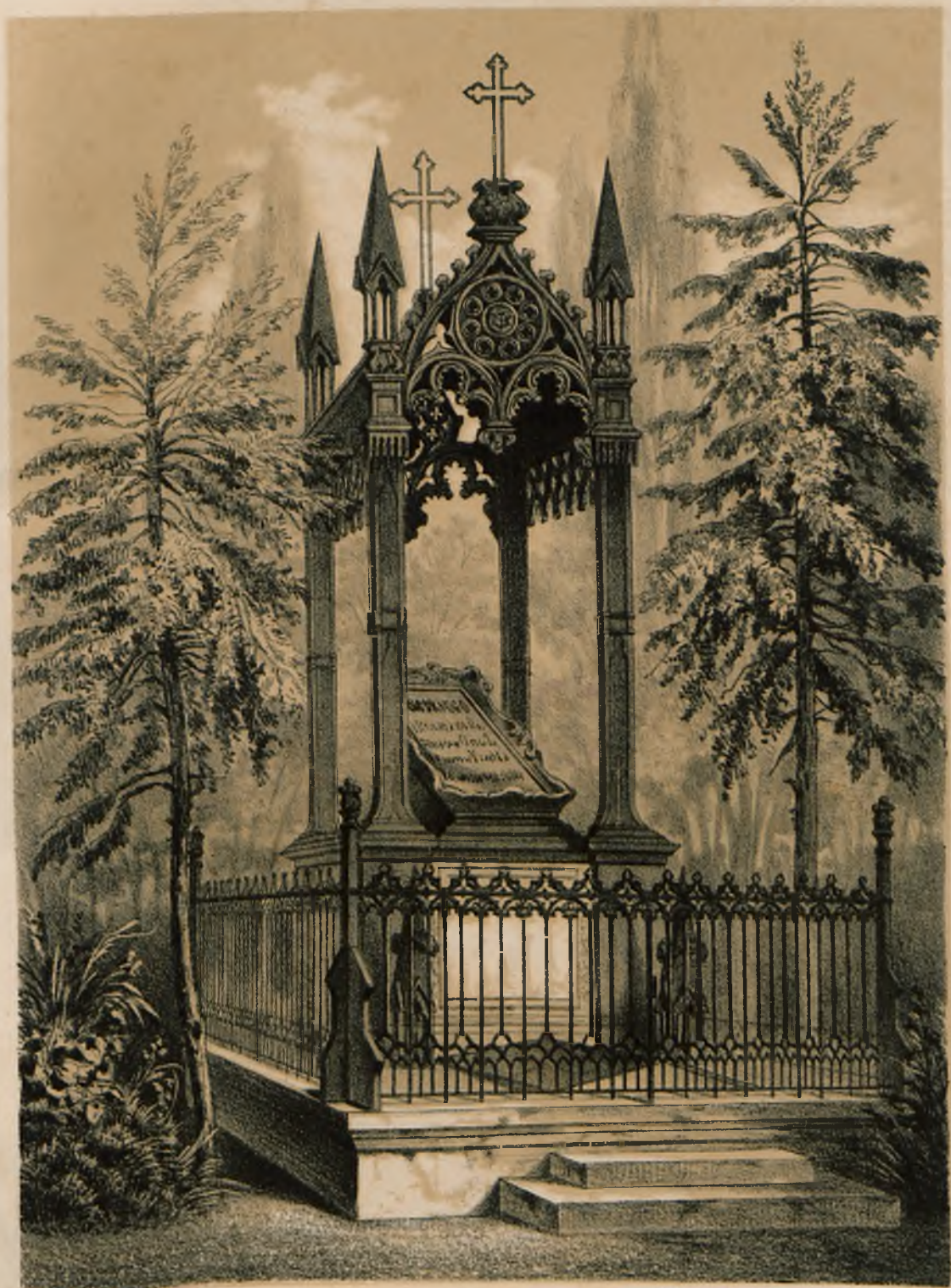
nim po dwóch latach okropnej pracy wydałem przecie te dwa tomy. Zapasy jakie zebrałem w młodszych latach, wyczerpałem wszystkie, poniosłem wielkie koszta tak na zebranie materiałów, jako i sam druk: w nagrodę mam gorzkie przymówki, w podeszlejszym wieku stargane pracą siły, i zwątpienie.“ Z zalem i ze współczuciem pożegnałem Rakowieckiego, i już go odtąd więcej nie widziałem. Średniego wzrostu, oblicza śniadego, rysów twarzy grubych, w oczach czarnych, gdy wiódł rozmowę szczególnie o Słowiańszczyźnie, malował się zapał i ogień jakim zawsze gorzał do ulubionego przedmiotu.

Wyliczemy teraz prace Rakowieckiego ogłoszone drukiem, i pozostałe w rękopiśmie.

I. Ogłoszone drukiem. 1. 1807.—19 Grudnia. List J. B. R. do stowarzyszonych w celu roztrząsania materiałów obraz kraju i narodu rozjaśniających. O potrzebie dzieła elementarnego: o rolnictwie i ekonomice, (w 4, kart 5, w końcu podpis: J. B. Rakowiecki). 2. 1811.—List do matki troskliwej o dobre wychowanie syna swego, czyli uwagi jakiej edukacji, nauki i wiadomości, w pożyciu, i w obywatelstwie nieodzowna jest potrzeba; w Warszawie, w Drukarni Wiktora Dąbrowskiego w Starém mieście r. 1811, (w 8, str. 83). 3. 1818, dnia 24 Stycznia. „Prospekt.“ Zasady rządzenia, urządzania i doprowadzania do dobrego stanu dóbr ziemskich z godłem: „Dzieła człowiecze mają sprawcy swojego piętno, niedoskonałość; poprawiać je więc, wzmacniać, i wznosić zawsze można.“ (Krasicki: Pan Podstoli), (w 8, w Warszawie str. 31). 4. 1820. O stanie cywilnym dawnych Słowian. Rzec czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk dnia 3 Maja 1820 roku, przez J. B. Rakowieckiego, (w 8, str. 16. Jestto oddruk z Roczników tegoż towarzystwa). 5. 1823. O sposobach upowszechnienia nauki Gospodarstwa Ziemiańskiego, (w 8, str. 19. W końcu czytamy, J. B. Rakowiecki, w Warszawie w miesiącu Grudniu 1823). 6. 1832. Słowo o potrzebie pisma peryjodycznego w przedmiocie historycznym, handlowym i ekonomicznym, (w 4 str. 3 cyfry J. B. R. Z numeru 92 Dziennika Powszechnego). 7. 1843. Pisma rozmaite J. B. Rakowieckiego część I. zawierająca wiadomości względem języka, literatury i historii Słowian, w Warszawie nakładem wydawcy 1834, (w 8, str. viii—60). Pisma rozmaite J. B. Rakowieckiego. Część II, zawierająca wiadomości wszystkim stanom przydatne, w Warszawie nakładem wydawcy 1835 roku (w 8, str. i—128). 8. 1836. Odezwa do miłośników języka i starożytności słowiańskich, (w 8, str. 23. W końcu czytamy, pisałem w Warszawie w miesiącu Maja 1836 r., J. B. Rakowiecki. Wydawca Prawdy Ruskiej). *II. Rękopisma.* 1. O istotnych i naturalnych potrzebach człowieka. Dzieło to stanowić mogące do 20 arkuszy druku, w r. 1839 zaczęło się drukować kosztem Rakowieckiego, i pierwsza forma odbita pod następnym tytułem: O istotnych i naturalnych potrzebach człowieka, przez Benedykta Rakowieckiego wydawcę Prawdy Ruskiej, w Warszawie w Drukarni J. Wróblewskiego, kosztem wydawcy 1839 r. Na to dzieło ogłosił prenumeratę: ogłoszenie ma datę 21 Czerwca 1839 r. Śmierć przerwała ten zamiar, bo w miesiąc już nie żył. 2. Zasady rządzenia, urządzania i doprowadzania do dobrego stanu dóbr ziemskich 3. Przekład dosłowny rękopismu Krółodworskiego z wydania Waclawa Hanki 1819 r. 4. Przekład pieśni o wyprawie Igora, prozą. Dnia 3 Maja 1820, gdy w połowie ukończył druk dzieła „Prawdy Ruskiej,“ i otrzymał za tę pracę od Akademii Cesarskiej w Petersburgu medal złoty:

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, obrato Rakowieckiego członkiem swoim ⁽¹⁾ W dniu tym, na publicznym posiedzeniu odczytał rozprawę swoją „*O stanie cywilnym dawnych Słowian*.“ Zostać w owe czasy członkiem tego towarzystwa, było niemałym zaszczytem. Każdy miał to sobie i słusznie zaprawdę za wielką chlubę, to też Rakowiecki, gdy zasiadł w tym szanownym gronie, przed odczytaniem rozprawy swojej, przemówił w imieniu swoim i nowo wybranych a nieobecnych współtowarzyszów. Głos jego zdradzał głębokie wzruszenie gdy przemówił w te słowa: „Im mocniej przejęty jestem żywym uczuciem, niespodziewanego mnie wezwania do grona waszego światli mężowie! tém trudniej mi jest wyrazić hołd winnej wdzięczności za otrzymane od was nader wielki i nieoceniony zaszczyt. Żywe moje uczucia, łączę z uczuciami tu nieprzytomnych, których razem ze mną do grona waszego przyjąć raczyliście. Widzę siebie nierównie od nich być szczęśliwszym, że chociaż w nader słabych wyrazach, własnymi ustami, wynurzam te uczucia, któremi przejęty jest umysł i dusza moja. Tłum tych uczuć wyrazić nie zdołam. Upewnić was tylko o nich usiłuję; upewnić oraz, iż chlubny obowiązek uczestnictwa prac waszych, nigdy w tym nowym zawodzie nieprzestanie podwajać mych chęci. Oby tylko siły i zdolność onym, a razem i powziętej waszej o mnie nadziei odpowiedzieć mogły. Raczyliście zezwolić światli mężowie, abym w dniu dzisiejszym, tak dla mnie szczęśliwym, przemówił nieco w przedmiocie nader ważnym, bo mającym szczególniejszy cel waszej pracy, bo interesującym sławę starożytnego Słowian narodu. Nie ośmieliłbym się mówić w przedmiocie tak ważnym, a przez was uczeni mężowie już dostatecznie zgłębianym, gdybym nie był pewnym, iż początki mej pracy w zawodzie waszym z pobłażaniem przyjąć raczyte: gdybym nie był pewnym, iż przemawianie w tym miłym dla każdego rodaka przedmiocie, choćby mniej wymowne i uczone, pobudzą jednak jego ciekawość i sprawuje mu to niewystawione uczucie, które ze wspomnienia swoich czcigodnych przodków, w umyśle i duszy jego żywo jest wzbudzaniem.“ Od chwili wydania piérwszej połowy I tomu Prawdy Ruskiej, którą rozesłał uczonym Słowianom, zawiązał z nimi ściślejsze stosunki literackie, jak z Szyszkowem, Waclawem Hanką, Jungmanem, Dobrowskim i naszym Chodakowskim (Czarneckim). Pozostały ciekawe listy czeskie i polskie Hanki, ostatni znać jak się łamał z polskim językiem, i przepelniał wyrazami i zwrotami czeskiemi. Rakowiecki do ostatnich chwil niemal życia utrzymywał z niemi te mile dla siebie stosunki, i nie przestawał mimo trosk dotkliwych szukać ulgi w pracach naukowych. Pozostały w papierach to rozbiory prac Jungmana, to wyciągi z dzieła Ferranda o prawach Wisigotów. Z uzbieranego pocziwą pracą szczupłego grosza zakupił w powiecie Siedleckim wieś *Gralę Dąbrowiznę*; gdzie myślał, pracując jako rolnik, resztę dni życia spędzić. Po kilku leciech, zapragnął domowego szczęścia, i pociechy rodzinnego życia. W 46 roku życia pojął za małżonkę Amelię Kitajewską siostrę rodzoną znanego uczonego profesora Uniwer-

⁽¹⁾ Rakowiecki własnym kosztem zakupił czcionki cerkiewne do druku *Prawdy Ruskiej*. Zecer Czerniawski składał tekst słowiański. Mamy przed oczyma kontrakt jaki zawarł J. B. Rakowiecki z księdzem Pawłem Radeckim przełożonym nad Drukarnią Pijarską o druk pomienionego dzieła, zawarty dnia 2 Maja 1819 roku. Rakowiecki za arkusz druku w 4. *Prawdy Ruskiej* obowiązał się płacić po Złp. 48, gdzie zaś w połowie szedł tekst słowiański ułożony przez zecera Czerniawskiego, a oddzielnie odpłacany od Rakowieckiego, po Złp. 36 dla Drukarni.



Wykonany przez W. Walkiewicza

Odbito w Lit. A. Posa & C^o w Warszawie N^o 482.

GROB MIANOWSKIEGO.

BIURO
BIBLIOTEKI
INSTYTUTU
JULIA
IAROMI

BIURO
BIBLIOTEKI
INSTYTUTU
JULIA
IAROMI

№ D. 626

sytetu Warszawskiego d. 9 Września 1829 r. W r. następnym doczekał się urodzin syna, któremu dał słowiańskie Jarosława imię. Szczęście domowego życia osładzało mu zawody marzonych nadziei, i spokoju do oddania się wyłącznie ulubionej nauce. Dwa tu widzimy wydatne kierunki Rakowieckiego: badania Słowiańszczyzny, i wykończenie dzieł mających na celu rozszerzenie zamiłowania zawodu ziemiańskiego, i udoskonalenie gospodarstwa krajowego. Przewidywał głębszą myślą Rakowiecki, że to jest najpiękniejszy kres dążeń naszych, aby przy roli, w życiu swobodnym a niezależnym, oddawać się naukom. Processa graniczne, których sam nie wywoływał, bo brzydził się pieniactwem, doznane straty, przez ludzi złej woli którym uczciwie zaufał, zatrwały mu lat kilka ostatnich, i rzecz można że do grobu zbliżyły: umarł bowiem w samej sile wieku męskiego licząc lat 56 życia, kiedy jeszcze kreślił plany na niejedno dzieło, które zamierzał ogłosić, dla rzeczywistego z bogacenia literatury krajowej.

ANTONI MIANOWSKI.

„PACI QUIETI ET. AETERNAE. MEMORIAE. ANTONII. REMIGII PRZEROWA MIANOWSKI JUVENIS. ORNATISSIMI EXIMIA. ANIMI. INDOLE CLARI ANNO. AETATIS XVIII D. XXVII FEBRUAR. A. D. MDCCCLIV. AMICIS ET PARENTIBUS PRAEMATURA MORTE. BREPTI HOC MONUMENTUM. IRRITAE SPEI. TRISTE SOLATIUM PIUS. AMOR POSUIT (1).

Ten najpiękniejszych nadziei młodzieniec, którego pomnik kosztowny na cmentarzu powązkowskim do najzdobniejszych należy, syn Władysława i Magdaleny z Perzanowskich Mianowskich, urodził się w Warszawie 1 Października 1825 roku. Od najmłodszych lat okazywał wielkie zdolności, i szczególne do rysunków zamiłowanie. Skończył kurs całkowity nauk w Gimnazjum Gubernialnym w Warszawie 1842 roku. W całym ciągu nauk, nie tylko że pracował nad rysunkiem w domu, ale nadto poświęcał parę godzin dziennie w pracowni profesora Kokulara, który poznał się na niepospolitych zdolnościach młodzieńca, i zachęcał go, aby wyłącznie oddał się zawodowi malarstwa. Ale ten miłując także nauki, nie chciał się opuszczać: zachęta tą wszakże podwoił usiłowania i pracę, i wolniejsze chwile z poranku, i wieczorne poświęcał rysunkom, owęj najważniejszej podstawie dla malarza. W roku 1843, hrabia Sergijusz Uwarów, ówczesowy Minister Oświecenia Narodowego i Prezes Cesarskiej Akademii nauk, (2) wielki miłośnik sztuk pięknych wracając z Rzymu, z bogatymi zabytkami najpierwszych mistrzów: bawiać czas jakiś w Warszawie, miał zwiedzić pracownię Kokulara. Professor ten, wzywając wszystkich swoich uczeni, nie mógł zapomnieć jaśniejszego zapewne najwyższym talentem pomiędzy niemi Mianowskiego, który kilka swoich prac złożył. Rysunki te szczególną zwróciły uwagę ministra: chciał poznać młodego artystę. Kokular przedstawił Mianowskiego, dodając że rysuje tylko

(1) „Na pokój, spoczynek i wieczną pamięć Antoniemu Remigijuszowi Przerowa Mianowskiemu, młodzieńcowi ozdobionemu znakomitym talentem, w roku 18 życia, dnia 27 Lutego 1844 r. przyjaciołom i rodzicom przedwczesną śmiercią wydarłemu, ten pomnik jako niespełnionej nadziei, smutną pociechę, pobożną miłość i przyjaźń poświęca.”

(2) Zmarły w 1855 roku.

jako amator, gdyż głównie poświęca się zawodowi urzędniczemu i pracuje w kancelaryi Rady Administracyjnej Królestwa. Zaproszony do mieszkania ministra wraz ze swym professorem i współtowarzyszami w sztuce, po przejrzeniu bogatych zbiorów, otrzymał wzór jeden do przekopijowania. Mianowski wkrótce składa żadaną kopiję; zdziwiony nią minister wypytuje szczegółowo o położenie młodzieńca, a dowiedziawszy się, że wybrał jedynie dla tego zawód urzędnika, iż nie miał nadziei pomocy w ulubionym zawodzie; przyrzeka mu opiekę, wsparcie nie tylko utrzymania go na Akademii w Petersburgu, ale nadto i w kilkoletniej za granicą podróży dla ukończenia wykształcenia artystycznego.

Któż radość i uniesienie młodzieńca opisze, gdy ujrzał że marzenia rojone urzeczywistnić zdoła. Od téj chwili o wszystkim zapomniał, oddał się z zapalem téj jedynéj myśli, że poświęci się sztuce dla której był od kolebki namaszczony; robił z najżywszą radością przygotowania podróży i rozpoczęcia kursów w akademii, a w chwili wyjazdu pierwszych dniach Stycznia 1844 r. oznaczonej, z gorączkowém upragnieniem oczekiwał i wyglądał. Opatrzność inaczéj rozrzadziła; w końcu Grudnia 1843 r. w skutku mozolnej z lat najmłodszych pracy; zapalu artystycznego który go trawił, walki wewnętrznej, gdy widział niemożność oddania się téj sztuce którą ukochał; wreszcie uczucia szczęścia nieopisanego, znalazłszy niespodziewaną pomoc na przyszłość, uległ strasznej nieuleczonej chorobie. Wąty organizm nie wytrzymał tylu walkom moralnym; krew rzuciła się kilkakroć ustami, rozwinęły się szybko suchoty; sztuka lekarska nic poradzić nie mogła.

Mianowski w ciągu choroby zachował całą przytomność umysłu; nie wypuścił ani na chwilę choć z drżającą i zchudzoną ręką krédki: rysował portrety otaczających lub odwiedzających go osób, a czując gasnące w sobie siły mówił: „to są ostatnie moje roboty, zachowajcie na pamiętkę.“ Opatrzony religijną pociechą na drogę wieczności, pożegnawszy rodziców, rodzinę, i tego co mu zapewniał przyszłość zawodu artystycznego; po dwóch miesiącach choroby, skonał. Na pogrzebie tak wczesnie zgasłego młodzieńca, a tyle rokującego pięknych nadziei dla kraju, uczcił jego pamięć mową pogrzebową, z własnej woli nauczyciel zmarłego, znany dobrze w naszej literaturze kanonik Mętlewicz. Dostojny opiekun, młodego Mianowskiego dotknięty boleśnie niespodziewaną stratą, sam skreślił wzór pomnika, oraz napis grobowy, i własnym kosztem takowy na cmentarzu wystawił, polecając nadto, ażeby pomnik ten herbem jego w rozecie frontowej był ozdobiony. Następnie odwiedzając dwukrotnie cmentarz powązkowski w roku 1845, polecił wówczas dodanie wielu ozdób do tegoż pomnika, do czego sam udzielił wzory.

ANTONI IGNACY RUDNICKI.

„B. PODPUŁKOWNIK ARTYLLERYI I DYREKTOR ARSENAŁU BUDOWNICZEGO B. WOJSK POLSKICH, UMARŁ DNIA 28 MARCA 1848 ROKU, ŻYŁ LAT 69.

(Grób w ziemi).

Urodził się dnia 26 Marca 1779 roku w Powiecie Winnickim Gubernii Wołyńskiej. Wszedł do służby wojskowej dnia 16 Maja 1792 roku jako kanonier do korpusu artylleryi wojsk Rze-



Ryc. rzeźbiony i lit. W. Wolkowicz.

Grób w Lit. A. Polak R. 17 w Warszawie 1848

GRÓB RUDNICKIEGO P. PUŁK.



MD.626

czypospolitej, w r. 1793 postąpił na bombardjera, w r. 1794 na fajerwerka w tejże artylleryi. Po rozwiązaniu armii polskiej usunął się w zacisze wiejskie. Dnia 20 Listopada 1806 r. wstąpił powtórnie w służbę w stopniu podporucznika do pułku artylleryi pieszej wojsk Księstwa Warszawskiego. Dnia 26 Maja 1807 r., postąpił na porucznika. Dnia 4 Kwietnia 1809 na kapitana piérwszój klasy w tymże pułku. Dnia 24 Stycznia 1815 r. umieszczony został w tymże stopniu w Dyrekcyi materyjałów artylleryi b. wojska Królestwa Polskiego, z przeznaczeniem do arsenału. Dnia 9 Grudnia t. r. przeznaczony do dozorowania materyjału artylleryi twierdzy Modlina. Dnia 1 Stycznia 1824 r., przeznaczony na dyrektora arsenału budowniczego w Warszawie. Dnia 8 Czerwca 1825 r., postąpił na podpułkownika w Dyrekcyi materyjału artylleryi, z pozostawieniem przy dawnych obowiązkach. Dnia 13 Sierpnia 1833 r. otrzymał uwolnienie od służby. Odbył kampanije w latach 1794, 1807, 1809 i 1812. Znajdował się w bitwach pod *Błoniem*, *Powązkami*, w oblężeniu *Warszawy* i na *Pradze* (1794 r.) pod *Górq*, *Sandomierzem*, *Pniewem*, i przy oblężeniu *Zamościa*; w oblężeniu *Torunia* aż do kapitulacyi, w skutku której wzięty został w niewolę. W bitwie na *Pradze* (1794 r.) ranny był kulą karabinową w nogę lewą. W roku 1808 ozdobiony krzyżem złotym orderu wojskowego polskiego; w roku 1830 znakiem honorowym za lat XX służby oficerskiej.

HIPOLIT MIKORSKI.

(W pobliżu murów zakrytyi kościoła powązkowskiego, ma grób w ziemi, a nad nin pomnik kamienny z urną na wierzchu, i napis):

„HIPOLITOWI MIKORSKIEMU B. ŁOWCZEMU I PODSTAROŚCIE ZIEMI WYSZOGRODZKIEJ D. 30 CZERWCA 1827 ROKU ZMARŁEMU, W WIEKU LAT 81.,,

„Cześć Boga, miłość bliźnich, krajowe usługi
Nieprzerwanie zdobyły dni twych zawod długii;
W zaciszu cnót domowych pełniąc powinności
Pociechą byleś krewnych, sąsiadów i włości,
I dziś gdy w grobie zacne nie znikają czyny,
Żyjesz w pamięci ziomków, w sercach swój rodziny.“

(Ma i drugi napis na tablicy czarnej marmurowej wmurowanej w ścianę kościelną od zakrytyi).

„D. O. M.

CIENIOM W. HIPOLITA MIKORSKIEGO ŁOWCZEGO I PODSTAROSTY Z(IEMI) WYSZOGRODZ(KIEJ), ŻYŁ LAT 81, UMARŁ D. 30 CZERWCA 1827 R. STROSKANY SZWAGIER Ł(UKASZ) NAKWASKI TEN POMNIK ŻALU POŁOŻYŁ, PROSZĄC O WESTCHNIENIE.“

Dwa te napisy grobowe, dowodzą jak przyjaciele i szwagier Mikorskiego troskliwi byli o zachowanie drogiego dla siebie wspomnienia po zmarłym towarzyszu i pokrewnym; Mikorski nosił się zawsze po polsku, strojnie i okazałe przybrany w kontuszu i żupanie pięknym, a kosztownym pasem opasany, z białą czapką, oblamowaną w kolo kasztanowatym lub czarnym barankiem, którą nosił na bakier. Zawsze wesół z uśmiechem na obliczu, siwego wása często pokręcał. Należał on do tak nazwanej *Junty Ogrodu Rządowego* (1). Zawiązała się ona w Maju

(1) Notaty Grzegorza Jaholkowskiego

1807 r. na drugiej ławce po lewej stronie wchodząc do ogrodu Krasińskiego. Składali ją wybrani prezes: Onufry Bromirski starosta Płocki (zmarły d. 27 Maja 1834 r.); syn jego właściciel dóbr obszernych; ksiądz Onufry Kopczyński sławny grammatyk; kanonik Byczkowski, i Łukasz Nakwaski właściciel domu Nr. 1771 przy ulicy S^{to} Jerskiej, szwagier Mikorskiego. Tu zasiadłszy w głos rozprawiali o politycznych ówczesnych wypadkach i losach wojny toczonéj już od roku na naszéj ziemi. Starosta Bromirski jako najstarszy wiekiem przydywał, i on zagajał każde posiedzenie. Jeżeli który z członków Junty o naznaczonej nie stawiał się godzinie, prezes zaraz delegował jednego z grona swego, ażeby się dowiedział o przyczynie niebytności, lub opóźniającego się przyprowadził z sobą. Gdy wtedy przedstawienia teatru narodowego, cztery tylko razy dawano w tydzień; w niedzielę, we wtorek, we czwartek i sobotę; w dniach tych zebrania *Junty* kończyły się zwyczajnie o godzinie wpół do szóstej; gdyż wszyscy wielbiciele teatru szli na widowisko. W dzień niepogodny i zimą zgromadzali się w mieszkaniu swego prezesa. Zgromadzenie to choć nieliczne zwracało uwagę Warszawian; wszyscy przybrani byli w surdutach wyjąwszy Bromirskiego siwego starca, który prawie zawsze chodził we fraku z dwoma wstążeczkami orderów polskich Orła Białego i ś. Stanisława, i łowczego, Mikorskiego co się oznaczał polskim strojem. Ostatni wielbiciel słynnéj, z wdzięków i talentu aktorki Truskulawskiej, sprawił sławną dla niéj kąpiel woniejącą z samych drogich pachnidół, o której długi czas w całej Warszawie był rozgłos (1).

Przeżyła go o lat wiele Truskulawska, w zgrzybiałym wieku umarła. Zwłoki ich na jednym spoczęły cmentarzu!

ANTONI LELOWSKI.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobku).

Urodził się 1783 r. w powiecie Stryjskim (w Galicyi Austryjackiéj) z Ignacego i Bazylissy z Deszertow małżonków Lelowskich, obywateli ziemskich.

Ukończywszy chlubnie nauki w wyższych zakładach naukowych we Lwowie, rozpoczął zawód służby rządowej w r. 1807 w Izbie Administracyjnój Departamentu Łomżyńskiego.

„Wiadomo że administracyja kraju, dziś w machinie swojej tak rozwinięta i udokładniona, wówczas po rozpadnięciu się dawnéj, i braku jéj długi czas zupełnym, z innych zupełnie zasad rozpowijac i kształcić się dopiéro zaczynała. Dla tego to urzędnicy téj administracyi, zaufaniem rządu i czcią obywatelską zagrzani, musieli niemal z siebie samych wysnuwać szczegóły zarządu, i dotwarzać myśl ogólnie z góry rzuconą; musieli zdolności swe kształcić w różnych kierunkach, i pomnażać się niejako w różnorodnych swych zajęciach. Komu na zdolnościach, chęci do pracy i dobrej woli nie zbywało, ten rychło się sposobił na dobrego urzędnika; i z téj epoki mieliśmy późniéj wielu urzędników znakomitych. Jednym z takich był bez zaprzeczenia Antoni Lelowski. Szybko przechodził niższe stopnie i w r. 1810 był przeszedł na Assesora delegacyi administracyjnój w Warszawie. Po wojnach Napoleońskich Europa i kraj nasz odetchnęły dłu-

(1) Zobacz w T. I. życiorys Truskulawskiej.

gim pokojem. Każdy się zajął uporządkowaniem swoich interesów i dążeniem do poprawienia materialnego bytu. Rząd pod którego opieką tyle pięknych instytucyj w kraju naszym wówczas się zawiązało i rozwinęło, silnie popierał obudzony duch przemysłu, i fabrykom różnego rodzaju czynnie w pomoc przychodził. Zgodnie z tém dążeniem i potrzebą czasu, umysły co zdolniejsze, jęły się kierunku i rozpowszechnienia wiadomości, ogólny byt kraju podźwignąć mogących. Ekonomia polityczna, prawo, administracja, przemysł i gospodarstwo rolne, miały swoich przewodników i krzewicieli, i liczne dzieła, oraz pisma publiczne, specyjalnie to rozgałęzienie nauk traktujące, wychodzić zaczęły. W téj to właśnie epoce 1820 r. Gracyjan Korwin, były podprefekt powiatu Staszowskiego, głowa encyklopedyczna, człowiek niezmiernych zdolności i poświęcenia się, wspólnie z Antonim Lelowskim szwagrem swoim, wydawać zaczęli pismo peryjodyczne, w miesięcznych zeszytach p. n. *Izys Polska* czyli „Dziennik umiejętności, wynalazków, kunsztów i rękodzieł, poświęcony krajowemu przemysłowi, tudzież potrzebie wiejskiego i miejskiego gospodarstwa.“⁽¹⁾ W drugim jednak roku wydawnictwa Gracyjan Korwin dręczony długiem z wypadku kalectwem, a mimo okropnych cierpień niezmiernie pracujący, był pod podwójnem ciałem i umysłu wysileniem. Cały więc mozół swój pracy musiał podjąć Antoni Lelowski. Pismo to prędko zostało ocenione przez czytelników i licznych miało prenumeratorów. Niepospolitę téż było użyteczności, a redakcją staranną świadczyło o ogromnej pracy i znakomitych zdolnościach wydawcy. Cokolwiek nauki przyrodzone w odkryciach swych zdobyły, i do użytku praktycznego zastosowały, a co szczególnie dla naszego kraju pod jakim bądź względem pożytecznym było, wszystko to z osobliwą pieczołowitością i trafnym wyborem ze stosu dzieł i pism specyjalnych zagranicznych Lelowski dobywał i redakcją jasną, treściwą, czystym polskim językiem w piśmie tém oddawał. Sam gruntownie obeznany z naukami ścisłymi, wątpliwe rzeczy poddawał pod kamień probierczy swych umiejętności i jasnego rozsądku, a często bardzo pod doświadczenia własnego laboratoryjum. Pracownia jego, obok kościoła księży Paulinów, gdzie lat 20 kilka mieszkał, założona była od góry do dołu pulkami książek; tych znaczną część jako i pism różnych, narzędzi i warsztatów ofiarował Instytutowi Agronomicznemu w Marymoncie. Wstając codzień o godzinie 3 latem i zimą, pracował ciągle aż do godziny biurowych, nad badaniami i redakcją pisma, które w swoim czasie rozpowszechniło moc wynalazków, a które dziś jeszcze, mimo upływu lat tylu i postępu nauk technicznych, wiele ciekawych szczegółów, we względzie przemysłu i gospodarstwa obejmuje, i zasila od czasu do czasu niektóre z pism gospodarskich. Jako wydawca *Izidy Polskiej* wielkie dla przemysłu krajowego położył zasługi; większe może jednak jako kommissarz fabryk. Ważna to była posada; obok wielostronnych wiadomości technicznych, wymagała koniecznie człowieka sumiennego i bezstronnego, od jego bowiem opinii, zależały udzielane wówczas przez rząd fabrykantom zna-

(1) Pisma tego wyszło kompletów rocznych sześć: każdy komplet z 12 numerów czyli zeszytów, po 13 do 14 arkuszy mających, składał się. Do każdego zeszytu na końcu były dołączone rysunki, w litografii *Viviera* nader starannie odbijane. I ten litograf spoczywa na cmentarzu powązkowskim, na grób w ziemi; na kamieniu leżącym na mogile czytamy następujący napis:

„Tu spoczywają zwłoki ś. p. Teodora Viviera litografa. Przeżywszy lat 31 umarł dnia 20 Lipca 1832 r., straszkana żona, cieniem męża ten nagrobek poświęca.“

czne zapomogi i nadanie popędu téj lub owéj rękodzielni i fabryce. Hrabia Mostowski, wówczas Minister Spraw Wewnętrznych, mąż pelen zasług i trafności w wyborze ludzi, znał i poważał wielce wydawcę *Izdydy* i w r. 1824 powołał go na Asessora Dyrekcyi przemysłu i sztuków, w r. 1825 przedstawił go na Kommissarza fabryk. Urząd ten Lelowski piastował lat dwadzieścia kilka, z tém zamiłowaniem przedmiotu i bezstronnością zdania, które się żadnemi ubocznemi względy zachwiać nie dawały. Szczytne pojmowanie obowiązków urzędnika, gorliwe ich spełnianie, a przytém rozległe wiadomości w przemyśle i innych naukach, jednały mu powszechny szacunek, i zwróciły nań uwagę towarzystw uczonych, i znakomitych w kraju mężów. Książę Lubecki, hrabia Mostowski, hr. Skarbek, hr. Andrzej Zamojski, i wielu innych, przewodniczących w podnoszeniu krajowego bogactwa, zaszczycali Lelowskiego wysokiem poważaniem, i zdanie jego w ważniejszych kwestyjach przemysłu, handlu i skarbowości bardzo cenili. Po wyjściu nawet jego ze służby, dawniejsza władza jego często go do specjalnych komitetów, badających przedstawiony wynalazek, na biegłego i sprawozdawcę zapraszała. Jemu to powierzano urządzenie wszystkich wystaw przemysłowych od r. 1825 począwszy i wysyłkę naszych wyrobów na wystawy St. Petersburga i Moskwy, za co wynagrodzonym został w r. 1829 godnością Referendarza Stanu; wielostronne ukształcenie, zamiłowanie nauk i przedmiotu, na którego zgłębianie całe życie poświęcił, zjednały Lelowskiemu zaszczytne wezwanie r. 1827, b. Towarzystwa Królew. Warszaw. przyjaciół nauk, w r. 1846 Towarzystwa Cesarskiego wolno-ekonomicznego i towarzystwa jeograficzno-statystycznego w Petersburgu, które go do grona swych członków przyjęły.“ (1).

Od lat wielu znałem Antoniego Lelowskiego, właśnie w chwili kiedy największą obciążony był pracą, bo redakcją *Izdydy Polskiej* (2). Urodnej postaci, wzrostu dobrego, pięknych w całym znaczeniu męskich rysów oblicza, na którym obok surowego a poważnego wyrazu, malowała się szlachetność, szczerłość i łagodność; jak w spojrzeniu myśl, zajęta głębszym badaniem prawdy. Poważny w ruchach, rzadko uśmiech osiadł na jego obliczu. Niezłomny w uczuciach przyjaźni, prawy i uczciwy w każdym kroku życia, dobroczynny dla ubogich, a tający tę enotę, musiał zyskiwać cześć i poszanowanie. Połączony węzłem małżeńskim z Joanną Korwin, przeżył przeszło lat czterdzieści w niczém niezachwianej zgodzie, miłości i pokoju; a pożycie to było wzorem i przykładem jak stać małżeńskie, wedle Bożego zakonu, ma przebywać razem ciężką drogę życia. Lelowski postawiony jak urzędnik na wysokim stopniu *Kommissarza fabryk*, gdzie rzecz można rozporządzał funduszem znakomitym przez Rząd rok rocznie oznaczonym na pożyczki dla fabrykantów, miał sposobność łatwą zbogacenia siebie i rodziny własnej; za jego bowiem zdaniem udzielano lub odmawiano takowych pożyczek. Ale w tym prawym i uczciwym człowieku nigdy nawet myśl nie powstała, aby korzystać z położenia swego. Nie tylko za przychylne zdanie, ale tym samym uzyskaną pożyczkę nie nie przyjął, ale nawet za własną pracę, bo nie było prawie wypadku żeby któremu z fabrykantów, pomocy swój nauko-

(1) Karol Czerniawski Gazeta Warsz. Nr. 242, 244 z 1855 r.

(2) Wtedy poznałem po raz pierwszy autora dzieła: „O literaturze polskiej w XIX wieku.“ Używał go Lelowski do tłómaczenia wybranych artykułów z pism technicznych obcych, które drukował w *Izdydzie*.



no. 626



Ryzy z ryciną G. W. Walkrewo

Oficyna Lit. A. Pezy S. M. w Warszawie M. Miodowa N° 432

GROB JÓZEFA KRZYŻANOWSKIEGO.

wój, i z doświadczenia własnego nie udzielał. Pracując wraz z przedsiębiorcą to nad obliczeniem kosztów zakładu, to dając plany budowli, lub poprawiając przedstawione, najmniejszego daru nie przyjął. Przywiodeł tu przykład jeden tylko, a dobrze mi znany.

Fabrykant znakomitego zakładu w Warszawie, uzyskawszy za pośrednictwem Lelowskiego, znaczny zasilek ze Skarbu, po kilku latach, kiedy wszelkie stosunki ustały z nim jako *Kommissarzem fabryk*, pomny na wielkie przysługi Lelowskiego, w urzędzeniu planu budowli i całego zakładu z których nie małe korzyści wyciągnął, przyniósł mu złotych pol. trzydzieści tysięcy, prosząc aby to nie dla siebie ale dla rodziny zachował. Napróżno tłómaczył że dar ten śmiało Lelowski przyjąć może, bo nie daje mu jako urzędnikowi z którym miał stosunki, ale składa jako dowód swój wdzięczności, za udzielone rady i prace techniczne które z taką bezinteresownością mu udzielał. Nie przyjął Lelowski i tłómaczenia i summy składanej. W niezamówném téż położeniu zostawił dwie córki swoje, syn bowiem Amilkar znany z prac literackich w pismach Lwowskich, poprzedził go na lat kilka do grobu. Cios to był wielki dla takiego ojca, co dzieci serdeczną miłością ukochał; rozpacz jednak swoją tail przed żoną a matką zgasłego w kwiecie wieku syna, aby umniejszyć téj zacnej niewieście i lez i żalu. Patrzałem się na tę walkę sędziwego Lelowskiego, na to krycie własnej boleści; podziwiałem tę wielką moc mężką i poddanie religijne. „Grosz z ojcowizny (mówi bijograf jego) i wpływy z prenumeraty *Izidy*, rozeszły się na książki, laboratorium i doświadczenia; miewał bowiem chwile wynalazkowego zapalu, w które jak nigdy *Benvenuto Celini* wrzucał czasem nieogłędnie, wszystek drogi metal pod ręką będący. Tę jedną słabostkę, mającą źródło w szlachetném nauk i dobra ogólnego zamiłowaniu, któż z serca mu nie wybaczy.“ W roku 1847 wysłużywszy całą emeryturę, wyszedł ze służby rządowej, a jednak mimo podeszłego wieku, nie przestawał pracy; w sędziwym wieku, pracą to własną pragnął teraz los pomyślniejszy rodzinie swojej zapewnić. W tym celu ponawiał kilkakrotne podróże do Wiednia, Berlina i Brukselli, gdzie przedstawiał pomysły techniczne, niektóre źródła dochodów skarbowych znacznie podnieść mogące. Gdy po wielu latach mozolnej pracy, zdawał się stawać u kresu swych życzeń, śmierć pasmo dni jego przecięła. Umarł dnia 26 Czerwca 1855 roku, przeżywszy lat siedmdziesiąt.

JÓZEF KRZYŻANOWSKI.

„TU LEŻĄ I OCZEKUJĄ NA POWSZECHNE CIAŁ ZMARTWYCHWSTANIE ZWŁOKI Ś. P. FRANCISZKI SALOMEI Z SZADKOWSKICH KRZYŻANOWSKIEJ, ZMARŁEJ DNIA 21 LUTEGO 1848 ROKU, I JÓZEFA KRZYŻANOWSKIEGO URZĘDNIKA I EMERYTA, ZMARŁEGO DNIA 25 WRZEŚNIA 1851 R. POKÓJ WIECZNY ICH DUSZY.“

Urodzony dnia 5 Marca 1784 roku z Kajetana i Katarzyny Krzyżanowskich, pobierał nauki u księży Benedyktynów w Pultusku; a pragnąc je ukończyć i poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, w młodym wieku wstąpił do tegoż zakonu. W roku 1808 nie przyjąwszy święcenia kapłańskiego, opuścił mury zakonne, a przybywszy do Warszawy zaczął pracować w biurze *Dyrekcji Żywności*; skąd przeszedł w roku 1810 do ministeryjum policyi jako sekretarz wy-

działu. W roku 1816 w Ministerjum Spraw Wewnętrznych, mianowany naczelnikiem wydziału policyi, następnie otrzymał stopień szefa wydziału sekcji instytutów, który piastował do roku 1838 do czasu wysłużenia całkowitej emerytury. Jakkolwiek usunął się od urzędu, nie przestał jednak być czynnym, tak w Radzie Głównej Opiekuńczej Zakładów Dobroczynnych, jako ; w Radzie Opiekuńczej Szczęgółowej Szpitala Dzieciątka Jezus. Cały (z małemi wyjątkami) ja-ki uczciwie i oszczędnością zebrał majątek, rozdał na cele dobroczynne i na klasztory. Szlachetny w charakterze, cichy, pracowity a sumienny; postępując całe życie drogą prawości, zasługuje na wdzięczne wspomnienie (1).

(1) Przywiode tu wyjątki z własnoręcznego testamentu zacnej pamięci J. Krzyżanowskiego.

„Przekonany codziennem doświadczeniem o znikomości życia ludzkiego, i pomnąc na świętą przestrógę ewangeliczną: „Czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani nocy,“ z obawy, ażeby mnie śmierć lub choroba i niezdolność nie zaskoczyły przed sporządzeniem testamentu objawiającego ostatnią wolę moją, dziś jeszcze zdrowy na ciele i umyśle, czynię następujące rozporządzenie majątkiem, jakowy Opatrzność przez całe życie mną opiekująca się, do dnia śmierci mojej, utrzymać mi pozwoli. Przedewszystkiem zeznaję, że urodzony w rzymsko-katolickiej religii, w tej wychowany żyłem, i w tej umrzeć pragnę. Z zasad więc tej religii, wierząc w pomoc jakową duszom zmarłych z ułomności i przewinień swoich sprawiedliwości Boskiej, oczyszczającym się, my żyjący nieś możemy i powinniśmy; w rozporządzeniu niniejszem pewną część zapisów obowiązkowi temu poświęcam. Nie mając tak z méj strony jakoteż po śmierci s. p. Salomei Franciszki z Szadkowskich wprzód Przysieckiej, a następnie Krzyżanowskiej żonie mojej, zmarłej; żadnych krewnych ani powinowatych, dla którychby udział jaki z majątku mego z prawa należał; własnością moją, czyli całym majątkiem moim, z Opatrzności i przez oszczędność uczciwie zebranych, tak rozporządzam, jak mi przekonanie moje religijne, uczucia moralne i obowiązki dyktują. Przystępując zatem do tego tyle uroczystego aktu, w którym człowiek używa ostatni raz dobrodziejstwa woli własnej, za której dopełnienie ręczy mu prawo i święte społeczeństwo związki, i majątkiem moim dysponuję: 1. Rsr 450 czyli złotych polskich trzy tysiące na kapitał wieczny, od którego procenta przeznaczam w połowie dla Kościoła Powązkowskiego czyli dla Proboszczów tamże na nabożeństwo żałobne za duszę s. p. Salomei Franciszki żony mojej (w dniu 21 Lutego zmarłej), tudzież za duszę moją (w dniu zejścia mego) każdorocznie odbywać się mające; w połowie zaś drugiej dla Nadzoru pogrzebowego czyli władzy nad porządkiem ementarza czuwającej, a to na rzecz utrzymywania w porządku i całości grobu naszego wyżej wzmiankowanego i niedopuszczania jego ruiny, czego ścisłe dopełnianie wiecznemi czasy, na sumiennosc odbierających procenta od zapisu tego, wyraźnie wkładam. 2. Rubli srebrem trzysta, czyli złotych polskich dwa tysiące, dla księży Dominikanów w Warszawie, na fundusz wieczysty zapisuję, z oblięciem odmawiania corocznie Officium Defunctorum za duszę Salomei Franciszki, w dniu 21 Lutego, jako w dniu jej zejścia; i odprawiania trzech mszy świętych w kaplicy świętego Dominika, gdzie ciało teje przed pogrzebem wystawione było, oraz takiegoż samego nabożeństwa każdorocznie w dniu, w którym ja życie moje zakończę, lub w dniu najbliższym, za duszę moją, Józefa. 3. Rubli srebrnych czterysta pięćdziesiąt, czyli złotych polskich trzy tysiące, dla księży Kapucynów w Warszawie, na odmawianie Officium Defunctorum, i odprawianie trzech mszy świętych każdorocznie, za duszę Salomei Franciszki, także w dniu 21 Lutego lub najbliższym, tudzież takiegoż samego nabożeństwa za duszę moją, w rocznicach dnia zgonu mego; prosząc o stałe przypominki z ambon po kazaniach, czyli zwykle polecanie modlitwom wiernych także dusz Józefa i Salomei. 4. Rubli srebrnych trzysta czyli złotych polskich dwa tysiące, zapisuję dla księży Bernardynów w mieście Piotrkowie, gdzie świętej pamięci matka moja Katarzyna secundo voto Czerwińska na ementarzu w Bogu spoczywa. Z zapisem tym łączę zobowiązanie dla zgromadzenia tamtejszego, do odprawiania nabożeństwa żałobnego i mszy świętych za duszę rodziców moich Katarzyny i Kajetana, każdorocznie w dniu 20 Listopada lub najbliższym; i drugiego podobnegoż nabożeństwa za duszę moją, Józefa, i Salomei żony mojej corocznie w którymkolwiek dniu, zaraz po dniu zadusznym. Na przypadek gdyby klasztory powyżej wymienione, lub niektóre z nich istnieć przestały; natenczas powyższe legata moje z wszelkiemi zobowiązaniami z jakimi są połączone, przechodzą na inne najuboższe klasztory teje samej reguly; a w braku takich na miejscowe kościoły parafijalne. Zastrzeżenie to chciałbym mieć wyraźnie objawionem w hypotekach, czyli też jakicbbądź innych właściwych aktach urzędowych. 5. Rubli srebrnych siedmset pięćdziesiąt, czyli złotych polskich pięć tysięcy przeznaczam dla zgromadzenia księży Benedyktynów w Pułtusk. Zapis ten uważam już to jako uszczenie się z długu zaciągniętego względem tegoż zgromadzenia, gdzie nauki moje pobierałem, i aspirując począć



ryc. z natury i lit. W. Walkiewicz.

Odbito w Lit. A. Pez & C^o w Warszawie N^o 482

GRÓB P. E. LEŚNIEWSKIEGO.



nr 0.626

PAWEŁ EUSTACHY LEŚNIEWSKI.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobku).

Syn Bartłomieja i Teresy Leśniewskich, urodził się dnia 12 Stycznia 1794 r. w dziedzicznej włości *Cieciórki* parafii Zambrowskiej, powiecie Łomżyńskim. Wątlęj budowy ciała, był za to silniejszym duchowo; odznaczała go moc duszy, niezmordowana pilność i żelazne wytrwanie w pracy. Początkowe nauki odbył pod troskliwem okiem rodziców: później pokrewny ksiądz Wiśniewski z *Książnic-Wielkich*, mąż słynny cnotą i nauką, rozciągnął swoje nad nim opiekę. Po ukończeniu szkół u księży Pijarów w Opolu, wstąpił do tegoż zgromadzenia, i pełnił obowiązki nauczyciela tak w Opolu jak następnie w Warszawie na Zoliborzu. Suknia przecież zakonna nie zgadzała się z przekonaniem młodego Leśniewskiego; wystąpił ze zgromadzenia Pijarów, gdzie przebywał od 1 Września 1812 r. do 31 Lipca 1818 r. W tymże samym roku otrzymał zaraz nominacją do Sejn, w szkołach publicznych, na profesora nauk

kowe do tego stanu przez czas niejaki podejmowany byłem; już także jako ofiarę połączoną z prośbą, ażeby mnie do suffragiów czyli modłów za zmarłych swych braci odbywanych, także napisano. 6. Rubli sr. dziewięćset czyli złp. sześć tysięcy na kapitał wieczysty dla szpitala tutejszego Dzieciątka Jezus, przeznaczając procenta od tegoż kapitału w połowie na opłatę mamek wiejskich wychowujących dzieci z Instytutu powierzane; w drugiej zaś połowie na fundusz wsparcia dla sierot tych, którzy wyszedłszy z Instytutu, w służbie, bądź w professyi, bądź w rzemiośle umieszczeni, dobrém sprawowaniem się swoim i moralném postępowaniem na wsparcie zasłużą. 7. Podobną sumę rubli sr. dziewięćset czyli złp. sześć tysięcy, na ten sam cel, to jest na wsparcie sierot w Instytucie świętego Kazimierza tu wychowanych i po wyjściu z Instytutu, w obranym zawodzie moralnie się prowadzących, a wsparcia czyli pomocy rzeczywiście potrzebujących. 8. Rubli sr. sześćset czyli złp. cztery tysiące, na Instytut moralnie zaniebanych dzieci, jako fundusz stały, od którego zbierane procenta służyć mają w pewnych terminach (niekiedy oznaczonych) na wsparcie poprawionych i ciągle dobrze prowadzących się chłopców, po wyjściu ich z Instytutów. Na przypadek gdyby Instytut ten kiedyś istnieć przestał, legat niniejszy przechodzi i połączonym być ma z zaraz następującym. 9. Rubli sr. 450 czyli złp. trzy tysiące, na wsparcie podpadłych nie z własnej żądnej winy nieszczęśliwych, a wstydzających się żebrać. Legat ten chciałbym mieć połączony z zapisem niegdyś p. księdza Bohomolca, i w ten sam sposób procenta od niego pomiędzy ubogich rozdzielanemi. 10. Na ogrodzenie lub oparkanie cmentarza katolickiego w mieście Piotrkowie, dziś w otwartém polu istniejącego, i dla bydła i trzody ze wsząd przystępnego. przykładając się z méj strony (dla czci zwłok tam spoczywających s. p. matki mojej i przyjaciół) przeznaczam rubli sr. dwieście dwadzieścia pięć czyli złp. tysiąc pięćset. 11. Nakoniec reszta pozostałości, jakowa okaże się w gotowiznie i powiększoną zostanie z sprzedaży wszystkich moich ruchomych własności, jako to: mebli, książek, sprzętów, zgoła wszystkich ruchomości: przeznaczam na rzecz nieszczęśliwych najdotkliwszego kalectwa ofiar; to jest, na zupełnie ociemniałych ubogich, już uleczonymi być niemogących. Zawsze ubolewałem, że mimo licznych rozmaitych Instytucyj Dobroczynnych, zbywa w kraju naszym na jedynym miłosiernym zakładzie, zapewniającym wyłącznie przytułek i utrzymanie dla najnieszczęśliwszych kalek, bo najdroższego zmysłu widzenia pozbawionych. Summę więc jakowa po załatwieniu powyższych legatów i zapisów pozostanie, przeznaczam i chciałbym mieć także zabezpieczoną hypotecznie na zapewnienie z procentów, przytułku i utrzymania na tylu ubogich kalectwem tém dotkniętych, na ilu wystarczą, a to bądź w tutejszym Domu Towarzystwa Dobroczynności, bądź przy innym jakowym podobnym dobroczynnym zakładzie, według uznanej i przyznanej przez władzę opiekuńczą ich kwalifikacyi. Może też da Bóg opatrzny, że szczupła ta ofiara moja, będzie szczęśliwym początkiem, która z czasem, z zamożniejszych darów litościwych, i z łaskawego wsparcia rządowego powiększona, dozwoli zaprowadzić i urządzić zakład osobny, czyli dom ociemniałych ubogich, w którym mieszczeni, zaopatrzeni i litościwie podjętym tego rodzaju nieszczęśliwi, w smutném swém odosobnieniu od świata, znaleźć będą mogli jakieskolwiek niedoli swęj osłodzenie, niosąc modły swe do Boga za fundatorów.“

Zebrany fundusz dla ociemniałych, tak z gotowizny pozostałej, jak z sprzedaży inwentarza, wynosi rubli srebrnych pięć tysięcy sto.

przyrodzonych. Tu wkrótce dał się poznać nie tylko z nauki ale i z charakteru, co sprawiło, że wielu możnych obywateli, powierzyło jego pieczy wychowanie swych synów. W Sejnach poznał i poślubił Maryjanę z Lecherowiczów. Zaledwie urządził dom swój, zaczął się cieszyć pomyślniejszym bytem, przeniesiony najprzód do Łęczycy r. 1821, następnie do Kalisza (1826) ujrzał mniej pomyślną dla siebie przyszłość. Na wezwanie szwagra swój żony porzucił służbę rządową, zajął się gospodarstwem wiejskim, odbył podróż do Gdańska: ale gdy i tu świetne nadzieje zawiodły, po trzechletnim wypoczynku wrócił na posadę nauczyciela w Białym Radziwiłowskiem na starém Podlasiu. Tam rozwinęło się dla niego pasmo ciągłych trosk i walki usilnej pracy z grożącym ciągle niedostatkiem. W r. 1830 w ogólnym pożarze miasta, traci całe swoje mienie, pozostaje na bruku bez zasobów, bez dachu z żoną i sześciorgiem dźwiatwy. Kiedy pomocą życzliwych przyjaciół, wy dostał się z grożącej nędzy, w sam dzień imienin swoich 15 Stycznia 1832 r. odbierając życzenia, otrzymał zarazem dymisję, która pozbawiła go wraz z liczną rodziną ostatniego kawałka chleba. Leśniewski, w tej strasznej niedoli nie traci energii; przyjmuje prywatne obowiązki; ale tęsknota do rodziny nie dała mu pokoju. Przybywa 4 Listopada 1833 r. do Warszawy i obejmuje Redakcją *Pamiętnika rolniczo-technologicznego*; nie były to wszakże czasy ponętne i korzystne dla zawodu literackiego. Opuszcza więc Warszawę i dopiero w roku 1836 stale w niej osiadł, zebrawszy koło siebie rozproszoną przez niedolę rodzinę. Odtąd oddał się z żelazną wytrwałością pracom literackim, które stanowiły główny sposób utrzymania się Leśniewskiego.

W r. 1843 rozpoczął bezpłatną aplikacją w Wydziale Dóbr i Lasów w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu; w dziesięć miesięcy przeznaczonym został na Adjunkta Ekonomicznego (r. 1844). W r. 1851 mianowany Rachmistrzem w tymże wydziale i na tej posadzie umarł dnia 20 Czerwca 1855 r. Wyliczymy tu porządkiem lat prace naukowe Leśniewskiego. R. 1837 1. *Rybacktwo krajowe*, (własnego pomysłu i układu). 2. *Nauka chodowania* i ulepszenia bydła. (Hazzi tłómaczenie z niemieckiego). 1838 r. 3. Poradnik dla gospodyń wiejskich i miejskich. 4. Galeryja obrazowa zwierząt (tłóm. Rejchenbacha). 1841 r. 5. Praktyczne gospodarstwo (tłóm. Gumbinera). 6. Teatr dla dzieci (tłóm. z francuzkiego). 7. Użyczywszy pióra i wiadomości swoich Michałowi Czepińskiemu pod tegoż imieniem wydał: *Powszechnie ogrodnictwo*, powtórnie w roku 1851 drukowane. R. 1842. 8. Redagował wedle własnej myśli pismo tygodniowe *Kmiotek*, które do r. 1850 (z wyjątkiem 1847 roku) doprowadził. 9. Historia naturalna rodu ludzkiego, przekład z *Vireja*. R. 1843. 10. Nauka leśnictwa dla prywatnych właścicieli lasów (E. W. Marona tłóm. z niemieckiego). 11. Nauka chowu pszczół, rozmaitemi sposobami stosownie do różnego gatunku ulów. (Pragnąc Leśniewski upowszechnić w kraju naszym ule przewiewne, z wielką cierpliwością, podług niemieckiego pszczolnika *Nutta* utworzył pierwszy z tektury model, podług którego tego rodzaju ule zaczęto wyrabiać). 12. Wychowanie XIX wieku. R. 1844. 13. Obraz świata pod względem jeografii, statystyki i historii 2 t. Drugie wydanie poprawne i do ostatnich czasów doprowadzone, wyszło w r. 1852. 14. Żyd wieczny tułacz (E. Sue 10 tomów). 15. Nauka gospodarstwa wiejskiego 2 tomy. Drugie wydanie w r. 1855 ogłoszone (przekład z niemieckiego Schlipfa). R. 1848. 16. Dziadek i czterej wnukowie

czyli początkowe nauki i wiadomości dla dzieci czytać umiejących; 2 t. (Naśladowanie z francuzkiego miało dwa wydania 1848-50). 18. Podręczna księga gospodarstwa wiejskiego 3 tomy. R. 1851. 19. Domowy lekarz i domowa apteka Raspail'a (z francuzkiego). R. 1852. 20. Ziemioznawstwo powszechne (tłóm. z niemieckiego Hoffmana). R. 1854. 20. Pieniądze czyli sztuka zrobienia majątku (tłóm. z francuzkiego). Prócz tych dzieł wspólnie z Tadeuszem Szczepańskim tłómaczył Otto-Simens, „Naukę rozumowanej praktyki przemysłu gospodarskiego.“ *Kalendarz powszechny* od r. 1848 do 1852 prawie wyłącznie sam redagował. W *księdze świata*, wszystkie niemal artykuły treści nauk przyrodzonych, wyszły z pod jego pióra. Spojrzawszy na ten ogrom pism literackich Leśniewskiego dziwić się musimy wytrwałości i żelaznej pracy. W owe czasy, w handlu księgarskim jako pokupniejsze były rolnicze książki, nakładcy więc jeden przed drugim sadzili się na coraz nowe w téj gałęzi przedsiębiorstwa. Leśniewski wszedł z niemi w stosunki, potrzebował przyciśniony potrzebami zajęcia i uczciwego zarobku; wiedzieli o tém, i umieli z jego położenia korzystać, płacąc jak najmniejsze honoraria. Musiał więc ilością prac swoich, równoważyć liche wynagrodzenie. To téż za mało było mu dnia do pracy, ślęczył wieczorami, nie w jednej nocy kiedy dokoła cichość zaległa, i wszyscy używali wczasu, Leśniewski dobywając sił ostatnich, odpędzając senność z powiek, na chleb twardy pracował, aby utrzymać i dać odpowiednie wychowanie siedmiorgu dziatwy. Chętny w udzielaniu swoich wiadomości każdemu, kto zażądał jego pomocy, pomimo codziennego zatrudnienia, był wesołego humoru. Szczery i otwarty radośnie witał gościa w domowym progu, kiedy żelazną pracą, kilka dni swobody okupił, rad zasiadał w gronie rodziny w towarzystwie dawnych znajomych, szkolnych towarzyszków i przyjaciół; wtedy usłużna pamięć niosła mu nieprzeliczony rój miłych wspomnień, ciekawych wydarzeń i okoliczności, które umiał wdzięcznie opowiedzieć. Powodzenia naukowe wzrastających dzieci, najmilszą mu były chlubą i pociechą, innéj nie znał i nie pragnął. Bóg mu téż zesłał drogą dla jego serca radość, gdy jedna z córek jego jako śpiewaczka znakomita zasłynęła głośném imieniem nie tylko w kraju ale i za granicą. Urodzony w zagrodzie wiejskiej, z miłością dla ludu, przeciwném zrządzeniem losu zmuszony do życia miejskiego, tęsknił całe życie Leśniewski do wsi; najgorętszą żądzą jego było posiadnie choćby kawałka zemi, któryby własną pracą i przemysłem urządził, uprawił, czynem poparł naukę, i pokazał ziemianom jakie to plony i owoce zdolna jest wydać wdzięczna rola nasza. Już ze zmianą pomyślniejszą, rokował spełnienie najśłodszych swoich życzeń, już mógł zamarzyć o skromnéj wiejskiej zagrodzie, gdy śmierć strudzonego pracownika, złamanego walką życia i niedoli, zawiodła na wieczysty spoczynek do mogiły ziemnej.

ANTONI SAŁACKI.

(*Grób w ziemi, kamień w ścianie muru cmentarnego i napis*).

„CIENIOM ANTONIEGO SAŁACKIEGO JENERAŁA BRYGADY WOJSK POLSKICH, ORAZ PAMIĘCI JEGO DZIECI: KONSTANTEGO I ELŻBIETY, POŚWIĘCAJĄ POZOSTAŁE ŻONA I CÓRKI.“

Urodził się dnia 9 Marca 1774 r., we wsi Żurowicy, obwodzie przemyskim w Galicyi. Wszedł do służby wojskowej dnia 25 Grudnia 1782 r., jako kadet: dnia 27 Listopada 1788 po-

stąpił na sierżanta, dnia 15 sierpnia 1789 r. na konduktora; dnia 28 Grudnia t. r. mianowany podporucznikiem; dnia 20 Sierpnia 1792 postąpił na porucznika; dnia 30 Marca 1794 na kapitana; dnia 25 Grudnia 1794 otrzymał dymisję w stopniu majora w korpusie Inżynierów koronnych wojsk Rzeczypospolitej. Dnia 1 Kwietnia 1810 r., wszedł powtórnie do służby jako kapitan do korpusu inżynierów wojsk Księstwa Warszawskiego; dnia 29 Listopada t. r. postąpił na majora do batalionu saperów; dnia 20 Stycznia 1812 przeznaczony na poddyrektora w korpusie inżynierów; dnia 3 Lutego 1813 mianowany podpułkownikiem tytularnym w batalionie saperów wojsk Księstwa Warszawskiego. Dnia 22 Stycznia 1815 r. przeznaczony w tymże stopniu do korpusu inżynierów b. wojska Królestwa polskiego; dnia 18 Października 1820 postąpił na pułkownika, a dnia 24 Maja 1829 r., na generała brygady w tymże korpusie. Odbył kampanie w latach 1792, 1794, 1813 i 1814. Znajdował się w bitwach pod *Połonnem*, *Zielenkami*, *Włodzimierzem* i *Dubienką* (1792) pod *Chełmnem*, *Galkowem*, w *oblężeniu Warszawy* i przy przeprawie przez *Wisłę* pod *Karczewiem* (1794 r.). Pod *Gabel*, *Lebau*, *Stolpen*, *Frohburg*, *Wahau*, *Lipskiem*, *Frychburg*, i *Hanau* (w r. 1813 i 1814). Za kampaniją 1812 roku ozdobiony krzyżem złotym orderu wojskowego polskiego; dnia 28 Października krzyżem kawalerskim Legii honorowej; w r. 1830 znakiem honorowym za lat 25 służby oficerskiej. Zabity 15 Sierpnia 1831 r. w Warszawie.

STANISŁAW POTOCKI.

(W zagrodzie grobowej na starym cmentarzu, za sztachetami leży płyt kamienny już omszony, na którym czytamy napis).

„Tu spoczywają zwłoki Stanisława Potockiego generała piechoty wojsk polskich. Umarł r. 1830. Zgon jego był wyobraźnią życia, gdyż tak spokojnie umarł, jak ten, którego żadna zgryzota sumienia nie dręczyła, a na chwilę przed skonaniem te ostatnie słowa wyrzekł: „Byłem zawsze cnotliwym człowiekiem, i dobrym Polakiem.“

(W tejże zagrodzie spoczywa jego córka, pomnik zawiera napis):

„Z hrabiów Potockich Ludwika hrabina Walewska. Urodzona dnia 7 Czerwca 1815 roku. Zgasła dnia 8 Sierpnia 1844 roku.“

POTOCKI ANTONI.

(Spoczywa w ziemi, w jednej zagrodzie ze Stanisławem Potockim generałem).

„ANTONI POTOCKI B(YŁY) J(ENERAŁ) (WOJSK) P(OLSKICH) S(ENATOR) ZGASŁ W 70 ROKU 18 PAŹDZIERNIKA 1850, PROSI O ZDROWAŚ MARYJA.“

Urodził się w r. 1780; w 13 roku życia wszedł do służby jako towarzysz pułku Litewskiego wojsk polskich; przeszedł następnie do pułku jazdy Mirowskich i jako podchorąży zostawał do 1794 r. Po wypadkach krajowych i rozejściu się armii polskiej, Potocki w domowym ustroju przesiadywał, aż do wejścia Francuzów. Szóstego Grudnia 1806 r. wszedł na nowo w sto-



170 FINEST

NO. 100 A. 1-12 B. 1000000 0000

GROB S: A. POTOCKICH.



ND.626

pnium porucznika do drugiego pułku pieszego wojsk księstwa Warszawskiego. W roku następnym mianowany adjutantem porucznikiem przy naczelnym wodzu księciu Józefie Poniatowskim, postąpił wkrótce na kapitana. W r. 1808 ozdobiony krzyżem złotym polskim *virtuti militari*; w r. 1809, mianowany szefem oddziału jazdy, otrzymał order legii honorowej francuski i wojskowy krzyż polski; w r. 1812 postąpił na pułkownika w Głównym Sztapie; w r. 1813 mianowany dowódcą 8-go pułku jazdy wojsk księstwa Warszawskiego i urzędnikiem legii honorowej; w 1814 r. przeznaczony do gwardyi honorowej. Odbił kampaniją r. 1809 tak zwaną Austryjacką; w roku 1812 Rossyjską, w r. 1813 w Niemczech, w r. 1814 we Francyi. Był w bitwach pod Raszynem, Sandomierzem, Smoleńskiem, Możajskiem, Czerykowem, Woronowem, Wiaźmą i Kraśnem; w owej sławnej przeprawie przez Berezynę, a następnie w bitwach pod Gabel, Penig i Hanau. W roku 1815 przy organizacyi nowej wojska polskiego za czasów królestwa, mianowanym został dowódcą pierwszego pułku strzelców konnych, w następnym jenerałem brygady, z przeznaczeniem na dowódcę pierwszej brygady, konno-strzeleckiej dywizyi. W 1828 r. uwolniwszy się od służby wojskowej dla słabości zdrowia, z wystużonym mundurem, znakiem honorowym nieskazitelnej służby za lat 20 i pensyją emerytalną, udał się do Berlina, szukając tam pomocy lekarskiej, a wzmocniony na siłach, osiadł w majątku swoim w Monasterzyskach, w Galicyi Austryjackiej, gdzie zamieszkiwał stale. W r. 1843 mianowany Tajnym Radcą i Senatorem, w następnym roku przeznaczonym został do komitetu ustanowionego dla ułożenia zbioru praw dla Królestwa Polskiego. W r. 1849 wezwany do zasiadania w X Departamencie Rządzącego Senatu, i równocześnie marszałkiem szlachty gubernii Warszawskiej; na kilka miesięcy przed śmiercią ozdobiony został orderem 6-go Stanisława pierwszej klasy. Dwa razy powtarzał związki małżeńskie: ożeniony z Różą hrabianką Potocką rozwiódł się; następnie pojął za małżonkę Izabellę Jelską, i tę pozostawił wdową.

POTOCKI FRANCISZEK.

„NAJLEPSZEMU MĘŻOWI FRANCISZKOWI HRABIEMU POTOCKIEMU, Wdzięczna Żona.“

(Napis ten na krzyżu zewnątrz kościoła pod ścianą Presbyteryjum postawionym.)

Urodził się 1786 roku, zmarł w Styczniu 1853 r. w Warszawie. Zawód wojskowy rozpoczął dnia 29 Sierpnia 1808 r. wchodząc w stopniu kapitana do wojsk Księstwa Warszawskiego. Potocki odznaczywszy się w boju, przez Cesarza Napoleona mianowanym został szefem szwadronu za waleczność. Ze zmianą stosunków krajowych, uwolniwszy się z wojska, w 1816 r. przeznaczonym był do zostawania przy poselstwie Cesarzsko-Rossyjskiem w Neapolu, a w roku 1824, przy poselstwie w Paryżu. Osiadłszy w kraju, stopniami przechodząc wyższe posady urzędowe, został w ostatku mianowany Radcą Tajnym, Senatorem i Prezesem Heroldyi. Potocki posiadał zbiór monet i medali polskich, jeden z najbogatszych i najzupełniejszych, oraz zbiór wielce szacowny starożytności, głównie krajowych.

Przy pomniku Potockiego w ścianie samego kościoła, czytamy następujący napis:

„X. Franciszek Choynowski, urodził się d. 3 Października 1776 r. umarł d. 10 Maja 1829 r. Kapłan kochający Boga, zgodnie z wolą Jego, oddał się całe usłudze bliźnich; jako nauczyciel i rządca szkół publicznych, młodzieży był ojcem i przyjacielem. Resztę dni swoich poświęcił czynnej usłudze niedołężnym glucho-niemym, wpajając w ich serca bojaźń Bożą i zamiłowanie cnoty. Zostawił po sobie drogą pamiątkę dla wszystkich, którzy go znali. Zwłoki jego o kroków 15 wprost tego pomnika są złożone. Niech spoczywa w pokoju!”

Musiała być rzeczywiście drogą pamięć zacnego kapłana, gdyż we 25 lat po pogrzebie zwłok jego, napis ten położono.

W pobliżu kościoła i powyższych pomników na cmentarzu, stoi krzyż z napisem:

„Witaj krzyżu, nadziejo jedyna! Xiądz Jakób de Gueldre, żył lat 34. Jezu, królu męczenników! Chwalo kapłanów! otwórz mu niebo mocą krzyża Twojego! Maryjo! w Jezusie twoim i w tobie nadzieję pokładał, przemów za nim, a da mu Jezus wiekuisty spoczynek. Amen!”

JAN BETLEJ.

(W pobliżu katakumb na starym cmentarzu, dwa obok siebie stoją nagrobki z napisami:)

I.

„BARBARA Z SORETÓW BETLEJ,

lat 58 mająca, zmarła dnia 3 Maja 1851 r. Jest pochowana obok zwłok matki swęj, trzech dorosłych córek i trzech swych starszych braci, wszystkich pierwęj zmarłych. Prosi o westchnienie do Wszechwładcy świata.

Przechodniu! stań na chwilę, uczcij te ostatki,
Tu płaczą: mąż cnęj żony, dzieci dobrej matki;
Co mieli najdroższego, w tym się grobie mieści,
Śmierć im wszystko zabrała — nie wzięła boleści.“

II.

ś. p. JAN BETLEJ,

były Rektor szkół powiatowych, Sędzia kryminalny Gubernii Warszawskiej, emeryt, członek Towarzystwa Dobroczynności i arcy-bractwa adoracyi Najświętszego Sakramentu. Urodzony dnia 24 Czerwca 1778 r. w Galicyi, w mieście Jasle; zmarł w Warszawie dnia 30 Maja 1853 roku.

Urodzony w mieście Jasle Galicyi Austryjackiej z Marcina i Katarzyny małżonków, właścicieli niewielkiej nieruchomości miejskiej; w dziewiątym roku życia osierocony przez rodziców, i pozbawiony majątku skutkiem pogorzeli całego miasta Jasła: w którym od 1793 do 1808 r. pobierał nauki. Ukończył szkoły normalne, gimnazyjum i wydział filozoficzny w uniwersytecie Lwowskim. Ciężkim trudem, mozolną pracą opłacił zdobywany skarbiec nauki, bo jako sierota, pozbawiony opieki i zasiłków, zmuszony był uczyć młodszych od siebie, aby na opłatę szkół i utrzymanie swoje mieć potrzebne fundusze. W dniu 14 Czerwca 1808 r. przybywszy do Warszawy, złożonym przed Kommissyją Edukacyjną egzaminem, udowodnił dostateczne usposobienie naukowe; i pod d. 1 Lipca tegoż roku, otrzymał nominacją na profesora szkół publicznych. Tu

mając pole okazania swych zdolności i prawego a szlachetnego charakteru; we dwa lata (dnia 8 Października 1811 r.), na Rektora szkół wydziałowych powołany, te obowiązki do roku 1815 sprawował. Przez ciąg zawodu nauczycielskiego, wolne chwile od zatrudnień poświęcał nabywaniu nauki prawa: odbył trzech-letni kurs w ówczasowej szkole prawa; po złożeniu egzaminu i odbyciu aplikacyi w wydziale sądowym, mianowany został w dniu 22 Czerwca 1816 r. assessorem inkwirentem Sądu policyi poprawczej w Warszawie; następnie podsędkiem kryminalnym w tymże sądzie, a w dniu 1 kwietnia 1824 r. sędzią prezydującym rzeczzonego sądu, któremu chlubnie przewodniczył do 1836 roku. Mianowany w ostatku sędzią kryminalnym w Warszawie (d. 1 Marca 1836 r.), urzędował do 1844 roku, w którym na własne żądanie emeryturę otrzymał. W ciągu 37-dmioletniej gorliwej służby, bez starań i zabiegów otrzymał zaszczytne oznaki zadowolenia Władzy wyższej; a w 1842 r. dziedzicznym szlachectwem nagrodzony został. Usunąwszy się w zacisze domowe, w sędziwym wieku, resztę sił starganych pracą, poświęcał bliźnim. „Jako członek Towarzystwa Dobroczynności, (pisze ksiądz Jan Bogdan), siedmioletni przeszło starzec, zwiedzał Warszawskie *sale ochron*, zagrzewał dziatki do pracy, zachęcał do enoty. Jako członek arey-bractwa adoracyi Najświętszego Sakramentu, sam zebrał wsparcia dla niemających odwagi wyciągnąć wstydliwą rękę po okruszyny tych darów, które tak hojnie dał dla nas wszystkich Ojciec niebieski.“⁽¹⁾ Troskliwy ojciec w wychowaniu licznego grona dziatwy, po trzydziesto-dziewięcio-letnim pożyciu małżeńskim z Barbarą z Sorretów, utraciwszy w roku 1851 ukochaną żonę, patrząc na zgon trzech córek, co doszedłszy do lat 20 życia, zmarły; gdy żaloba rodzinę jego okrywała ciągle, zlamala zdrowie sędziwego starca, zahartowane dotąd ciągłą pracą, po krótkiej chorobie zasnął snem wiecznym, i obok swojej małżonki i trzech córek w kwiecie wieku zgasłych, tak jak pragnał, spoczywa.

USTROŃ ARTYSTÓW DRAMATYCZNYCH.

Po za kościółkiem Powązkowskim jest mały kawał ziemi, zasiany kośćmi i grobami naszych artystów dramatycznych. Najwydatniej odbija grób Aloizego Żolkowskiego; wielu spoczęły tu prochy nieuczczone żadnym napisem: poświęćmy wspomnienie wszystkim, których tu pogrzebiono. Niemal z nich zdobyło rozgłośnie imię; inni w skromniejszym zawodzie gorliwie służyli ojczyźnej scenie; ale jak pierwsi tak i drudzy, czyż nie zarobili na wdzięczną pamięć, jako pracownicy w tej pięknej a wielkiej sztuce dramatycznej, o której te słowa prawdy wyrzekł zmarły niedawno Jan Nepomucen Kamiński.

„Scena zabawą czężą nie jest dla gminu,
Ani jest wiechą podłego rzemiosła;
Ona ze skały skry bije do czynu,
Maską gmin wabi, aby go podniosła.

(1) Przemówienie przy pochowaniu zwłok ś. p. Jana Betlej, Sędziego kryminalnego, na cmentarzu w Powązkach, dnia 1 Czerwca 1853 roku, przez ks. Jana Bogdana. Warszawa 1853 r. 8vo.

Wiek swój pokrzywdza zdaniem zarzewiałem
 Kto częściej zabawy szuka w niej powodu :
 Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem ,
 Rozmawia scena ze sercem narodu.
 Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
 Co jedna czuje , druga ma na twarzy;
 Jedna się w drugą przenosi pochopnie ,
 Kształtu i nauk wykazuje stopnie."

W gronie spoczywających w tej ustroni artystów, jest niemało takich, co żyli i działali w okresie owym, gdy umilknął rodzinny język na katedrze, umilknął w sądowej sali, pozostał tylko na ambonie, i na ojczystej scenie. Były to czasystak zwane *pruskie*. Artyści dramatyczni, utwory ówczesnych poetów i pisarzy, oddane z prawdą i uczuciem, podnosili i upowszechniali w narodzie. Z ich ust myśl piękna, szlachetna, gorąco wnikała w serca słuchaczy, a pieśń lub ustęp dobitniejszy, poetyczny, znajdowały szybki rozgłos. Gdzież więc od razu, i na większe grono może działać potęga słowa, jeżeli nie na scenie ojczystej? któż je w tłum rzuca skuteczniej, jeżeli nie artysta dramatyczny, ogrzawszy je wprzód ogniem uczucia własnego, ożywiwszy krwią serca: to słowo na pozór martwe, nabiera znaczenia i siły, olbrzymieje, gdy je z piersi wrzających zapalem i pojęciem wyższej myśli wyrzuca artysta. Wtedy zimny słuchacz goreje jego zapalem, pojmuje wzniosłość myśli — i grą jego, prawdą uludy, przenosi w ten świat idealny, w którym oddycha się z całą swobodą, całą pełnością piersi. To poważna strona: — chcesz radosnej? czyż to nie artysta dramatyczny, co potrafi surowość oblicza rozjaśnić weselem, udzielić serdecznego śmiechu, i lzę nieraz osuszyć z powiek?

Długo przesąd zabraniał dla nich (pogardliwie przezwanym *aktorami*), miejsca na grobowy spoczynek w poświęconej ziemi na cmentarzach. Za Stanisława Augusta, powaga zaledwie królewska, potrafiła go przelamać. Dziś, dzięki oświacie, nasi artyści nie ulegają już tej kłatwie, przemogli przesąd, i żyją w okresie, w którym mogą być pewni, jak oklasków i sławy za życia, tak wdzięcznego wspomnienia przy grobie swoim.

JAKÓB HEMPIŃSKI.

(Pochowany na starym cmentarzu po lewej stronie głównej drogi, w bliskości resztek dawnego muru, od strony przybranego cmentarza. Nie ma nagrobku).

Urodził się dnia 23 Lipca 1749 r. w województwie Poznańskim w powiecie Kościańskim, umarł d. 14 Września 1829 r. Jeden z najpierwszych komików polskich.

Nauki swoje, aż do retoryki odbył w szkołach Jezuitów w Wschowie, mając lat 20 do dworu sławnego na one czasy księcia Augusta Sulkowskiego przybył, który będąc zwolennikiem sztuki dramatycznej, dworzan swoich w piękną wprawiał wymowę, a współobywateli do zamilowania sceny dramatycznej zachęcał. Hempieński, który w *kancellaryi* jego do pióra był używanym, kilka także ról przyjąwszy, wielką sprawił słuchaczom uciechę; a lubo do ówczesowych sztuk, jakimi były wszystkie Bohomolca komedye, niewielkiej sztuki potrzeba było,

i w tych jednakże okazał Hempiński wyższą nad innych zdolność. To było powodem, że mający na ówczas przywilej na założenie w stolicy widowisk, książę Sulkowski, jadąc na sejm 1774 r., wziął z sobą Hempińskiego, w zamiarze okazania jego talentu, na scenie Warszawskiej. Zmiana okoliczności, przeniosłszy przywilej na osobę starosty Ryxa, oddała razem w ręce jego przedsiębiorstwo ojczystych widowisk. Hempiński pozostał w Warszawie, i wszedł w poczet zebranych artystów. Najpierwsza *komedya* w której wystąpił, była: *Małżeństwo z kalendarza*, sztuka wesola, w której Hempiński, jakkolwiek niewiele znaczącą dostał rolę, podobał się powszechnie przez piękną i dobitną wymowę i przez grę twarzy, zwiastującą komicznego wielce artystę. Zbyt krótko trwało początkowych sztuk Bohomolca powodzenie, które szczególnie dla nabrania czystej wymowy i jak wtedy mówiono: *pięknej prezencji*, dla szkolnej młodzieży pisane, ustąpić musiały przed prawdziwie dramatycznymi utworami francuskiej literatury. Hempiński, mając przed sobą silnego wtedy i w opinii ustalonego współzawodnika *Swieżawskiego*, ledwie do pomniejszych ról: pacholików, masztalerzy i t. p. mógł się docisnąć. Szczęściem dla niego, przekład kilku sztuk, w których dwóch *Valetów* mają niemal równie znaczące role, jakimi były: *Przeszkoda nieprzewidziana* i inne; albo takie, w których Swieżawski główną rolę zajęty, zostawiał mu pole do popisu w roli *Valeta*, jako: *Bliźnięta*, *Świętoszek* i t. p., podały mu sposobność i do wprawy scenicznej i przekonania publiczności o znakomitym talencie. Nie mało także wstrzymywało postęp jego w scenicznym zawodzie i to: że mylnie uprzedzony o niezgrabności postaci swego ciała, nie chciał przyjmować żadnych ról, któreby w innym jak polskim ubiorze wystawiać potrzeba było; a tak pozostawszy przy rolach, które tylko w żupanie i kontuszu, albo w rajtuzach i kurtce mógł grywać; nadaremnie przez całe lat pięć ukrywał ten wielki talent, który go później okazał tak trudnym do naśladowania artystą (1). „Pierwsze wystąpienie Hempińskiego, (pisze Bogusławski) na nowo zbudowanym teatrze w 1779 r., było niejako pierwszym wystrzałem owych nieprzerwanych wojen, potem przez lat 20 z współzawodnikiem swoim Swieżawskim, z których zawsze i zasłużenie zwyciężcą powracał. Zniewolony namową przyjaciół, ażeby ubiór swój zastosował do roli, jaką miał przedstawiać; pierwszy raz i przy pierwszym na nowym teatrze widowisku, pokazał się po francusku ubranym, w roli *Frontina* w komedyi *Amant Autor i Sługa*. Żywość i zwinność z jakimi tę rolę wystawił, nowa wcale postać jaką mu nadawała odmiana ubioru, a nadewszystko wyborua mimika twarzy i wymowa; pozyskały mu powszechne oklaski. Ale było to niejako tylko wstępem do większego tryumfu w roli *Figara* w *Cyruliku Sewilskim*, którą wśród podziwu i uwielbienia wszystkich, odegrawszy, zyskał tak publiczności tłumnie zebranej, jak i obecnego króla Stanisława Augusta, zasłużone pochwały. Odtąd rosła sława Hempińskiego, w miarę rozwijającego się na szerszą skalę jego talentu. Ledwie co tylko dał poznać grę swoją w rodzaju wyższej komiki, natychmiast wszyscy niemal dla teatru piszący literaci, starali się, ażeby przyjmował w ich utworach rolę. Najlepsze sztuki Fr. Zabłockiego, jak: *Amfitrion*, *Zabobonnik*, *Fircyk w zalotach*, *Balik na kredyt*, i wiele innych, jemu po części winny były powodzenie swoje. Wkrótce też Swieżawski przy starszych latach, a z niemi

(1) W. Bogusławski, *Dzieła Dramatyczne*, tom 9.

i o ciężkości, został przy rolach starych polaków i innych charakterystycznych narodowych, a najważniejszych dla siebie; i otworzył pole Hempińskiemu do objęcia wszystkich ról komicznych *Mieszczanin szlachcic*, *Doktor z musu*, *Adwokat Patelin*, *Frantostwo Panfila*, *Parsoniak*, i wszystkie inne Molierowskie krotofile, tak do twarzy, postaci, poruszeń i mimiki jego zdawały się być stosownemi, jak gdyby je przed stu laty Molier dla jego gry napisał. Po pięciu latach najświetniejszych tryumfów, Hempiński udał się na czas sejmu do Grodna, a 1788 roku do Wilna, gdzie bawiąc do 1790 r., jakkolwiek nie znał muzyki, kierując się samym słuchem, objął rolę drugiego basisty, a przy usilnej pracy, równie dobrze śpiewał jak i grał komiczne role, przyłożywszy się głównie do powodzenia opery polskiej. Powróciwszy do Warszawy, w nowo-wprowadzonych na scenę utworach niemieckich dramatów i charakterów, potrafił utrzymać się na wysokości swego stanowiska, i dowiódł tego w rolach ekonoma, w *Nienawiści ludzi i żalu*, *Pedrylla*, w *Pustelniku na Formenterze*, adwokata, w *Indyjanach w Anglii* i wielu innych. Dwa lata ciąglej w dochodach teatralnych pomyślności, do których jeszcze aż do r. 1793, jako współnik należał, ustaliwszy nieco los jego na dalsze życie, były powodem, że nie chcąc się więcej na niepewność wystawiać; przestał na umówionej płacy miesięcznej, i nie opuścił już Warszawy. Od 1794 do 1799 rzadko kiedy występował na scenę, w końcu przyciśniony wiekiem, po poświęceniu 50 lat scenie ojczystej, ustąpił z niej zupełnie, ciesząc się godnym siebie zastępcą w Aloizym Żółkowskim, który równie jak on, doszedł tajemnicy władania sercem i umysłem słuchaczów.“ W 1822 r. artyści teatru narodowego i literaci, w Lutym obchodzili Hempińskiego 50-letni jubileusz. Po okazałej uczcie, złożyli mu hołd należny, nie tylko jako najpierwszemu komikowi sceny naszej, co dożył sędziwej starości, ale jako zarazem człowiekowi, którego skromność, rzetelność i prawość, przy czystości sumienia, niezłomność w przyjaźni, a humor wesoły i miły, musiały obudzać cześć i uwielbienie. Umarł w 82 roku życia. Wizerunek Hempińskiego załączył do jego życiorysu Wojciech Bogusławski, w dziewiątym tomie swych dzieł dramatycznych.

WOJCIECH PIASECKI.

„KAMIEŃ TEN POKRYWA ZWŁOKI WOJCIECHA PIASECKIEGO ARTYSTY DRAMATYCZ(NEGO), UMARŁ D. 8 STYCZNIA

1837 R. PRZEŻYWSZY LAT 34.

Serce czyste, czucia prawe,
Tłaly zawsze w jego łonie,
W krótkim życiu zyskał sławę,
I najszczerzy żal po zgonie.

KOLEDZY ZMARŁEGO KU UCZCZENIU JEGO PAMIĘCI, TĘ SKROMNĄ PAMIĄTKĘ POŁOŻYLI 1843 ROKU.“

Urodził się dnia 1 Kwietnia 1802 r. w mieście *Grzegorzewie*, obwodzie Łęczyckim, na Mazowszu, z rodziców Walentego i Maryjanny z Zasadzińskich Piaseckich. Umarł w Warszawie d. 8 Stycznia 1837 r. Początkowe nauki pobierał w szkołach obwodowych Łęczyckich, a skończył je w Warszawie, u księży Pijarów. Poświęciwszy się zawodowi dramatycznemu, po krótkim pobycie w szkole dramatycznej, w 19-m roku życia, pierwszy raz wystąpił d. 15 Sierpnia 1821

roku na scenę, w roli Barona *Rutwen*, w dramacie *Upiór*; powtórnie w dniu 28 t. m. i r. przedstawiając *Cyda* w trajedyi Kornela. Rolę tę objął Piasecki po słynnym Werowskim, który używał w całej pełni sławy znakomitego w tym rodzaju artysty. Publiczność nazwyczajona do wyrazistej gry swego ulubieńca, nie dostrzegała wszystkich odcieni, któremi nacechował grę swoją Piasecki, pomimo tego umiała przecież ocenić niepospolity talent młodego artysty, i poznać, że w tak trudnym zawodzie sztuki, prędko z ucznia przejdzie w mistrza. Jakoż każde wystąpienie Piaseckiego, było coraz nowym tryumfem. Nigdy scena nasza nie miała, i długo zaprawdę mieć nie będzie takiego artysty, któryby łącząc tak piękną i urodną postać ciała z jenjalnym talentem, potrafił tyle uroku rozsiewać na scenie. Postać wyniosła i kształtna, twarz ściągła, oko duże, wyraziste, rysy dorodne, cały wyraz oblicza szlachetny, piękny, a rzewny, ruchy naturalne, poważne i przyzwoite; słowem wszystko Opatrzność zlała na Piaseckiego, aby uosobić w nim jednego z największych polskich artystów. Po zyskaniu należnego swemu talentowi rozgłosu na scenie narodowego teatru; zapragnął widzieć scenicznych mistrzów za granicą, i w tym celu w 1830 r. zwiedził Berlin, Munich, Paryż, Wiedeń i inne celniejsze miasta Europy. W 1834 r. zaślubił Maryją Bulakowską, ale po trzy-letniem tylko pożyciu, po dwu-tygodniowej chorobie, zostawując młodą wdowę i sierotę syna, umarł z powszechnym żalem d. 8 Stycznia 1837 roku, w trzydziestym piątym zaledwie roku życia, w samój sile wieku i dojrzałości talentu. Zgonem swoim zostawił on próżnię na scenie naszej, trudną do zapelnienia, czy to w poważnych rolach poważnego dramatu, czy w wyższej komedyi. Tacy bowiem artyści jak Piasecki, są tak rzadkiemi zjawiskami, że na podobnych nieraz i wiek cały sztuka dramatyczna oczekiwać musi. Jaką potrafił przymiotami swemi zjednać cześć i miłość między współtowarzyszami jednego zawodu, dowodzi pomnik grobowy, wystawiony z ochotnej ich składki, i te lzy przy zasypywaniu ziemią martwych zwłok Piaseckiego, całego grona smutnego korowodu, które, chociaż już oschły, pozostaną na zawsze pamiątką, jak umiano uczcić stratę bolesną wielkiego artysty (1).

PIEROŻYŃSKA FRANCISZKA.

(*Pochowana w ziemi bez kamienia grobowego*).

Franciszka z Muranowskich Pierożyńska, urodzona w Warszawie 1764 r., zmarła dnia 19 Września 1816 r. Rodzona siostra Truskulawskiej, jedna z najpierwszych w swoim czasie, narodowej sceny artystek. U siostry swój pierwszą przepędziła młodość, z niej pierwsze znakomitego talentu wzięła wzory. W czternastym już roku zaślubioną została Pierożyńskiemu artyście dramatycznemu, który jako przedsiębiorca prowincjonalnego teatru, to w Lublinie, to we Lwowie, grywał razem z żoną. „Młoda Pierożyńska (pisze Wojciech Bogusławski), obeznana już z teatrem, nauką kierującego naówczas Lwowską sceną wsparta, postępowała znakomicie w zawodzie swoim; a hojnie przyjemnym głosem, wdziękami młodości i ujmującą w poruszeniach

(1) Wizerunek Piaseckiego wielce trafny umieścił Wojciech Szymanowski w tomie 1-m *Świata Dramatycznego*, z 1838 r.; jest i popiersie z rzeźby naturalnej wielkości, zalecające się także wielkiem podobieństwem.

ciała układnością od natury udarowana; stawała się coraz bardziej od publiczności ulubioną artystką." Z pomiędzy różnych rodzajów ról, rzewne i smętne najlepiej jęj przypadały, i w takich zasłużone zbierała oklaski. Pierożyński wkrótce opuścić musiał scenę Lwowską i Lubelską, przeniósł się do *Nieświeża*, a tam dyrektorem nadwornego teatru księcia Radziwilla (panie Kochanku) wojewody Wileńskiego mianowany, zostawał ze swoim towarzystwem aż do 1784 r. „Na tym to najpierw teatrze, zaczęła wsławić się Pierożyńska w przedstawianiu ról najpierwszych *kochanek*, równie traicznych, jako i komedij wyższego rzędu (1).“ Przed samym sejmem Grodzieńskim w 1784 r., po sławnym przyjęciu w Nieświeżu Stanisława Augusta, Radziwiłł rozpuścił swój nadworny teatr, Pierożyński przybył z żoną do Wilna 1785 r. a następnie do Warszawy, gdzie odznaczyła się w nowo - wprowadzonych trajedyjach i dramatach francuskich, jak: *Lanassa*, *Nienawiść ludzi i żal*, *Eleonora*, *Emilija Galotti* i t. p., i zyskała zgodne uznanie jako pierwszego rzędu artystki traicznej. Po r. 1794 wystąpiła w rolach: *Ofelii* w *Hamlecie*, *Dilary* w *Izkaharze*, *Julii* w *Grobach Werony*, *Herminii* w operze *Amazonek*; (bo występowała w operach jakkolwiek nie mocnym, ale przyjemnym obdarzona głosem), a każde przedstawienie było nowym dla Pierożyńskiej tryumfem i hołdem jęj szczególnego talentu. Już od 1790 r. przebywszy ciężką chorobę, gdy w lat dziewięć na nowo zapadła, nigdy nie odzyskała zdrowia, dręczona nadto utratą kilku razem dzieci, pomimo najusilniejszych starań lekarzy, wzrok straciwszy, resztę dni swoich w przykładowej cierpliwości i prawdziwie chrześcijańskim poddaniu się woli Najwyższego, przeżyła. „Ta (słowa W. Bogusławskiego) wsławiona na scenie ojczystej artystka, była miernego wzrostu, piękny skład ciała, delikatność płci, poruszenia szykowne, głos miły i ujmujące spojrzenie, czyniły ją nader przyjemną. W oddaniu ról traicznych, nadzwyczajna czułość, zapal, uniesienia namiętności i słodycz wymowy, odznaczały jęj grę od innych. W domowym pożyciu: dobra matka, życzliwa przyjaciółka, litośna dla biednych, kochająca nad wszystko własną rodzinę, a stąd powszechnie żalowana, zostawiła w sercach znających ją osób, niewygasłą i czułą pamiętkę.“ (2)

ZDANOWICZ JÓZEF.

(Pochowany niedaleko za kościołem obok Baranieckiego, bez pomnika i napisu).

Urodzony dnia 1 Kwietnia 1786 r. w Pośwolu w Grodzieńskim; umarł d. 10 Października 1839 r. w Warszawie. W piętnastym roku życia rozpoczął zawód dramatyczny w 1801 roku na scenie w Grodnie. W 1809 r. policzonym został w rząd artystów teatru narodowego. Był to jeden z najzdolniejszych i z prawdziwym talentem artystów. Prawda cechowała grę jego, odznaczał się w rolach charakterystycznych komedij i oper; w rolach nawet *buffo*, umiał unikać przesady, a zachować całą siłę komiki. Średniego wzrostu, szczupły, ze smętnym spojrzeniem i uśmiechem, oddany z zapalem swemu zawodowi, gdy mniej miał sposobności występować na tej scenie, na której nieraz zbierał zasłużone oklaski, wpadł w melancholiję i na dwa lata

(1) Dzieła Dramatyczne Wojciecha Bogusławskiego. T. X.

(2) Dzieła Dramatyczne Wojciecha Bogusławskiego. Warszawa 1823 r., T. X.

przed zgonem, już się na niej nie ukazał. Sam, ze znajomszych sztuk utworzył role w Cyruliku Sewilskim Bazylego, Lisiewicza w Geldhabie Fredry. Głos Zdanowicza choć słaby, dźwięczny, mile wpadał w ucho; deklamacyja prosta i bez przesady, zastosowana do myśli, różniła go od innych artystów. Któż, co widział, może zapomnieć wybornie oddanej roli *Wtorkiewicza* w komedyi Fredra *Przyjaciele*. Toż mówić o wielu innych, a w każdej Zdanowicz okazywał głębokie wniknięcie w charakter, który miał przedstawiać, i studyja prawdziwego artysty, przez które z rzetelnym talentem oddawał role, i wdzięczne zawsze znajdował przyjęcie na scenie narodowego teatru, od téj publiczności, co umiała go ocenić i rzesistemi oklaskami wynagradzała ulubieńca swego.

MICHAŁ PAWŁOWICZ.

(*Spoczywa w mogile ziemnej bez kamienia grobowego*).

Urodzony w Warszawie 1788 roku. Umarł dnia 4 Października 1804 roku. Syn zamieszkałych obywateli w stolicy Rzeczypospolitej, początkowe nauki odebrał w szkołach Pijarów w Warszawie, kształcił się następnie w korpusie inżynierów do 1794 roku. Upadek z konia pozbawił go zdrowia, i postawił zaporę do służenia nadal w wojsku. W 1800 roku wszedł do teatru i dnia 16 Lutego, pierwszy raz wystąpił w roli Landgraфа w dramie *Klara z Hohenajchen*. Od razu zyskał huczne oklaski i powszechnie się podobał. Imię znakomitego artysty przyznano mu po odegraniu przez niego ról *Cyda* i *Kaima*. Piękna postać, wymowa wyborna, ruch i ułożenie poważne i przyzwoite, gra naturalna, zjednywały temu artyście nie małe zalety. Chociaż i w komedyi występował, talent jednakże jego więcej odbijał i wydalał w rolach tragicznych. Pawłowicz występował na scenę zawsze jak najstaranniej, rzecz można wykwiłtnie ubrany, stał się wkrótce ulubieńcem publiczności. I za sceną miał liczne grono przyjaciół i wielbicieli, których zjednywać sobie umiał ujmującą grzecznością, skromnością i tym otwartym charakterem, co od razu u nas tak chwyta za serce. Ostatni raz wystąpił na scenę dnia 19 Sierpnia 1804 r. w roli Królewicza, w dramie: *Oblężenie Odessy*; słabego ciągle zdrowia, zapadłszy w ciężką chorobę, tegoż roku w Październiku zakończył dni swoje z powszechnym żalem tych, co w nim uszanowali i znakomitego artystę i zacnego a szlachetnego człowieka. Pogrzeb jego liczny, był najpiękniejszym hołdem dla zbyt wczesnie zmarłego Pawłowicza.

BARANIECKI FERDYNAND.

„TU LEŻĄ ZWŁOKI Ś. P. FERDYNANDA BARANIECKIEGO ARTYSTY DRAMATYCZNEGO TEATRÓW WARSZAWSKICH. URODZONY D. 9 GRUDNIA 1807 R. UMARŁ D. 30 WRZEŚNIA 1838 R. POGRAŻONA W ŻALU ŻONA WRAZ Z SYNEM, TĘ SKROMNĄ SKŁADA PAMIĄTKĘ NAJLEPSZEMU MĘŻOWI I OJCU.“

W 1824 roku rozpoczął swój zawód jako tancerz teatru narodowego; od czasu utworzenia teatru *Rozmaitości*, poświęcił się sztuce dramatycznej, przedstawiając role charakterystyczno-

Cment. Powązk. T. II.

komiczne. Ukazał niepospolite zdolności, i zjednał sobie powszechne oklaski w rolach, jak: *Ko-mornik poeta*, *Bankocetle przecięte* i wielu innych. Baraniecki należał do rzędu ulubionych artystów teatru *Rozmaitości*, umarł w młodym wieku na niszczące suchoty, bo w 34 roku życia

ASZPERGER WOJCIECH.

(*Nie ma żadnego nagrobku*).

Urodził się w Wilnie d. 13 Stycznia 1790 r. Umarł w Warszawie d. 7 Lutego 1847 r. Odbywszy nauki w gimnazyjum Wileńskim, wszedł do wojska Cesarsko-Rosyjskiego, lecz dla słabości piersi, musiał ten zawód opuścić. Po długim odpoczynku, upodobawszy sobie scenę, w Mińsku, za antreprzyży ś. p. Andrzeja Rutkowskiego, wystąpił po raz pierwszy w roli *Belforta*, w komedyi „*Dobycie wyspy ś-tój Łucyi*,” oraz Młodego Indyjanina w „*Prawie morskiem*.” W 1815 r. przybył do Warszawy, i wkrótce usilnością, pracą, starannością w zrozumieniu charakterów ról, wymową dźwięczną, dobrze malującą myśl każdą, ruchami szlachetnymi i właściwymi, zyskał względy publiczności. Zajmował drugo-rzędne role, tak w trajedyjach, dramatach i komedjach. Opuścił scenę Warszawską w sile jeszcze wieku, a chociaż powrócił, już nie występował. Zakończył życie mając lat 57.

WEJNERT FILIP.

ARTYSTA TEATRÓW WARSZAWSKICH.

(*Pomnik marmurowy z napisem z dwóch stron*).

I.

„TU SPOCZYWA JAN GOMMERT NAUCZYCIEL MUZYKI. UMARŁ D. 14 WRZEŚNIA 1844 R. ZA KTÓRĄ DUSZĘ UPRASZA SIĘ O WESTCHNIENIE DO BOGA.”

II.

„PAMIĘCI FILIPA WEJNERTA ARTYSTY DRAMATYCZNEGO, ŻYŁ LAT 45. UMARŁ D. 15 SIERPNI 1843 R. OSIEROCONA ŻONA Z DZIEĆMI PROSZĄ O NABOŻNE WESTCHNIENIE.”

Syn Antoniego, urodził się d. 26 Maja 1798 r. we wsi Rogalinie pod Poznaniem, w czasie gdy ojciec jego był zajęty kształceniem muzyczném młodych Raczyńskich, i zostawał jako nadworny kapelmistrz jenerała hr. Raczyńskiego. Z szesnaściorga rodzeństwa, po śmierci braci, Filip był najstarszym z dzieci jego. Za powrotem do Warszawy, zaczął w 1808 r. wraz z swym bratem Piotrem ⁽¹⁾ początkowe nauki u księży Pijarów w szkole wojewodzkiej, gdzie ukończył klasę V-tą. Przerwał je, bo w żywym umyśle Filipa, zawód wojskowy świetnie mu się przedstawił, przeniósł się więc do korpusu kadetów. Pobyt wszakże jego w tym zakładzie nie był

(1) O dwa lata młodszy od Filipa, był professorem w b. konserwatoryjum muzyczném w Warszawie, i zmarł w kwiecie wieku 1827 r.

długim, wrodzony bowiem talent do muzyki, zaczął silnie przemawiać w młodzieńcu. W 1817 r. wszedł do szkoły dramatycznej. Pierwsze początki muzyki instrumentalnej, pobierał od Jana Gommerta, nauczyciela młodych Raczyńskich w Rogalinie, następnie, gdy tenże ścisłym związkiem przyjaźni połączony z jego ojcem, razem z nim do Warszawy się przeniósł, Filip Wejnert doskonalił się w swoim zawodzie pod jego kierunkiem dalej. Będąc w szkole dramatycznej, uczył się śpiewu od słynnego francuskiego tenora Brice'a, co osiadłszy w naszym mieście przez lat kilka, był tu nauczycielem śpiewu. Znakomite postępy jakie młody artysta, z przyrody dźwięcznym i mocnym głosem obdarzony, uczynił w nader krótkim czasie, skłoniły ówczesnego przedsiębiorcę teatru narodowego, L. Osińskiego, do powierzenia Wejnertowi ról tenorowych pierwszego rzędu. W 1819 r. wystąpił pierwszy raz w roli *Liniona* w operze „*Włoszka w Algierze*,” a następnie w *Kalmorze* Kurpińskiego. Pochlebne znalazł młody śpiewak przyjęcie; i zaraz po Dmuszewskim zajął rolę *Hilarego*, w operze p. n. „*Hilary*.” Wejnert pełen żywości i ognia, twarzy miłej, zwinny i ruchliwy, przy dźwięcznym i miłym głosie, zyskał pierwszeństwo przed innymi w głównych rolach tenorowych kochanków. W przedstawianych operach: „*Westalce*,” z muzyką *Spontiniego*, w *Czerwonym kapelusiku*, w *Przerwaną ofierze*, w *Kalifie Bagdadu*, i wielu innych, publiczność chlubnym przyjęciem i oklaskami, oddała należny dank talentowi i gorliwości młodego śpiewaka. Teraz wystąpił w wielkiej operze Mozarta „*Don Juan*;” ogromna a męcząca rola, powtarzana często, było powodem pierwszej jego śmiertelnej choroby. Kiedy *Opera* znalazła licznych wielbicieli i zgromadzała widzów, Osiński sprowadził drugiego tenora Polkowskiego. I otworzyło się pole współzawodnictwa dla Wejnerta. Polkowski obdarzony przyjemnym głosem, oznajmiony również dobrze ze sceną, grzmot oklasków nie raz wywoływał; skąd większe role w operach: *Jana z Paryża*, *Wolnego Strzelca*, (*Freischütza*), chociaż pierwotnie Wejnertowi powierzone i przez niego wyuczone, Polkowskiemu oddano. Gdy jednakże role *Figara* w *Cyruliku Sewilskim*, powierzono temuż, Wejnert nie mogąc znieść swego upokorzenia, podaje w 1825 r. (dnia 25 Sierpnia) do komitetu rządowego teatru swoje w tej mierze zażalenie ze stanowczym oświadczeniem, ustąpienia natychmiast ze sceny Warszawskiej, jeżeli wymiaru sprawiedliwości nie znajdzie. Podzielono więc na przemiany w przedstawieniach rolę *Figara*, między Wejnerta i Polkowskiego. Odgłos powszechny przyznał palmę zwycięstwa Wejnertowi, ostatnie to już było jego wysilenie! Odtąd zaczyna się ciągła walka artysty z codziennymi potrzebami życia. Ożeniwszy się w 1829 r., zostawszy ojcem trzech synów, musiał zająć się lekcjami śpiewu, odrywając się coraz więcej od teatru. Praca i zgryzoty rozwinęły w nim nieuleczoną chorobę. Stracił głos już dla sceny: praca nauczycielska trawiła w nim resztę sił żywotnych. Obarczony długami, od 1841 r. coraz niżej widocznie. Na łożu śmiertelnym nie miał spokoju, bo wyglądał z drżeniem rychło nadejdzie chwila zaboru ostatniego mienia przez wierzycieli. Umarł w wigilią tego aktu w szpitalu ewangelickim d. 15 Sierpnia 1843 r. o 11-tój godzinie w nocy. Grono uczniów i towarzyszy sztuki, liczni wielbiele jego talentu, garstka rodziny, na której czele zgrzybiały a tak dobrze zasłużony naszemu krajowi 94-letni ojciec jego, złożyli zwłoki wcześniej zgasłego artysty na cment. Powązk., w tej ustroni, która mieści w sobie artystów dramatycznych. Skromny glaz marmurowy, szczególną nosi cechę podwójnego napisu

po obu stronach, pierwsza od dróżki, poświęcona ku czci Jana Gommerta, nauczyciela Wejnerta, co rok go tylko przeżył; druga ucznia jego (1). Wejnert, posiadając zasady nauki kompozycji muzycznej nabyte od swego ojca, próbował nie jednokrotnie sił swoich w utworach muzycznych, to do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu, to dla chwały Pana w przybytkach świętych. Kilka z nich ogłosił drukiem, oznaczywszy skromną cyfrą F. W. Na dwa miesiące przed śmiercią, ułożył dwa śpiewy z towarzyszeniem fortepianu, p. n. „*Śpiew Dobroczyńności i Śpiew żołnierski*.“ Zostały one w rodzinie, jako rzewna a miła pamiątka po zmarłym artyście.

NEPOMUCENA Z ŻÓŁKOWSKICH KOSTECKA.

(*Pochowana w bliskości ojca swojego. Nie ma nagrobku*).

Urodzona dnia 24 Listopada 1807 r., zmarła d. 10 Marca 1847 r. w Warszawie. Córka to naszego wielkiego komika, i wielce podobna była do ojca. Odznaczała się głównie w rolach starych panien i bab wygadanych. W rolach, jak w komedyi Fredry: *Damy i Huzary*, w roli Siostry Majora, co mu rai w małżeństwo własną córkę; i *Aldony*, w komedyi S. Bogusławskiego: *Stara Romantyczka*, zbierała, jak i w wielu innych huczne, a zasłużone oklaski. We właściwej sferze ról charakterystycznych, był to talent niepospolity

ANTONI ZIELIŃSKI.

(*Nie ma nagrobku*).

Umarł dnia 31 Grudnia 1849 r. Artysta dramatyczny, jakkolwiek nie odznaczający się wyższym talentem, ale pracowity i sumienny, był wielce użytecznym scenie teatru narodowego. Głównym jego zawodem były tak zwane *charaktery czarne* w trajedyjach i dramatach; stąd, pomimo poczciwego charakteru, łagodny i uprzejmy w obejściu, nie miał względów u publiczności, gdy w gronie swoich współtowarzyszów używał szacunku i należnych względów. Występował w głównych rolach wtedy, kiedy scenę naszą zdobyły najpierwsze talenta artystów dramatycznych takich, jakimi byli Kudlicz, Piasecki, Werowski, Szymanowski i wielu innych. Umarł w późnym wieku jako emeryt.

NIWIŃSKI JÓZEF.

„TU SPOCZYWA JÓZEF NIWIŃSKI ARTYSTA DRAMATYCZNY, ŻYŁ LAT 32. UMARŁ DNIA 13 MARCA 1832 ROKU.“

(*Kamień podłużny na mogile, z godłami sztuki dramatycznej u spodu*).

Urodził się 1800 roku. Kilka lat tylko występował na scenie *teatru Rozmaitości Warszawskiego*, a od pierwszego roku, dał świetnie poznać znakomity talent, niepospolitego, wyższego

(1) Jan Gommert położył niemałe zasługi dla Warszawy jako nauczyciel muzyki przez lat 85; zaszczipiając smak do tej nadobnej sztuki. Był on w Rogalinie czas jakiś przełożonym w drukarni miejscowej. Broszurę tu wydrukowaną, posiada Aleksander Wejnert w swoim księgo-zbiorze.

komika. Głównie *Niwińskiemu* zaszczytny rozgłos zjednała rola *starego kawalera*, w komedyi wierszem Dominika *Magnuszewskiego*, pod tymże napisem; jak *starego męża*, w komedyi „*Kucharki*,” i w innych. Z niemalém powodzeniem występował w głównej roli, w ulubionym dawniej melodramacie p. n. „*Chłop milijonowy*,” w wielkim teatrze. W sile wieku skończył dni swoje, z wielką stratą dla naszej sceny. Współtowarzysze i przyjaciele, pomni na znaczne przymioty Niwińskiego, w holdzie dla jego talentu, dobrowolną składką wznieśli mu kamień grobowy.

POLKOWSKI JÓZEF.

(*Nie ma nagrobku*).

Urodził się w 1797 r., umarł d. 9 Czerwca 1835 roku. Był to jeden z pierwszych tenorzystów opery naszej. Równocześnie występował na scenę teatru Warszawskiego z F. Wejnertem, a lubo w roli Figara (w *Cyruliku Sewilskim*), nie dorównał ostatniemu, wkrótce gdy Wejnert głos stracił, zajął pierwsze role, i pomimo szepleniącej wymowy, stał się ulubieńcem publiczności. Tryumfem talentu Polkowskiego była opera *Niema z Portici*, przekładu J. D. Minasowicza, przedstawiona po raz pierwszy d. 15 Stycznia 1831 r., w której odegrał rolę Mazaniella rybaka Neapolitańskiego. Grzmot oklasków odtąd witał zawsze w tej operze artystę, który i śpiewem i grą wznosił się najwyżej. Krótki był wszakże uśmiech losu dla Polkowskiego, w przeciągu kilku lat dotknięty ciężką i długą chorobą, zostawiwszy wdowę i troje sierot, umarł w niedostatku, w samą sile wieku, bo w 38 roku życia.

JÓZEF BENEDYKT MAJEWSKI.

Urodził się dnia 31 Marca 1805 roku w mieście Łaskarzewie, powiecie Łukowskim, na starym Podlasiu, umarł dnia 10 Lutego 1855 r. W młodym wieku czując pociąg do zawodu dramatycznego, wszedł do teatru narodowego w 1825 r., gdzie kształcąc się pod kierunkiem Kudlicza, wystąpił pierwszy raz dnia 11 Kwietnia 1829 roku w roli służącego, w komedyi „*Stuga dwóch panów*.” Pochlebne przyjęcie zachęciło go do dalszej pracy: a chociaż talent nie odpowiadał chęciom jego; w rolach najniższej komiki miał szczęśliwe chwile i bawił publiczność. Przez ciąg swego zawodu zbierał troskliwie zasoby literackie do kroniki teatrów Warszawskich, i bogaty ich zbiór zostawił. Umarł w 49 roku życia.

ANDRZÉJ NIZIŃSKI.

Umarł dnia 7 Czerwca 1820 r. Znany powszechnie w naszym kraju z pięknego talentu artysty muzyczny, pierwszy klawecista teatru narodowego. „Łączył on (mówi Karol Kurpiński dyrektor ówczesny opery i orkiestry teatru) do swego wytwornego talentu, pilność w dopełnianiu

swych obowiązków, miłą i uprzejmą prostotę, słowem, uczciwość bez skazy. Tegocześni lubownicy naszej opery, często czuć będą stratę jego“ (1).

KUDLICZ BONAVENTURA.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. BONAVENTURY KUDLICZA, ARTYSTY DRAMATYCZNEGO, NAUCZYCIELA W SZKOLE DRAM(ATYCZNEJ) REŻYSERA TEATRÓW WARSZAWSKICH. ŻYŁ LAT 68, UMARŁ DNIA 10 SIERPNIĄ 1848 ROKU. PRZYWIĄZANA I WDZIĘCZNA ŻONA TEN KAMIEŃ POŁOŻYŁA, PROSI ZA DUSZĘ JEGO O WESTCHNIENIE DO BOGA.“

(W pobliżu, bo tylko przez dróżkę od ustrońi artystów dramatycznych spoczywa; kamień płaski na darniowej mogile).

Urodził się dnia 12 Lipca 1780 roku w mieście *Pleszewie*, w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Po skończeniu nauk, rozmiłowany do zawodu dramatycznego, w 21 roku życia przybył do Warszawy, i policzonym został d. 27 Czerwca 1801 r. w poczet artystów teatru narodowego. Kształcąc się pod okiem Bogusławskiego, owego twórcy polskiego teatru, wystąpił po raz pierwszy na scenę, w roli *Suszeptowicza*, słynnej naówczas komedyi *Szkoła Obmowy*. Niefortunne były wystąpienia pierwsze dla Kudlicza, wymowa ciężka, mocno szepleniąca, oblicze niewiele mówiące, postać i ruchy nieskładne i niewyrobiane, wszystko uprzedziło publiczność przeciwko niemu. Raz nawet doznał zbyt bolesnego ciosu, bo gwizdano na grę jego. Nie zraził się temi przeciwnościami młody artysta. Siłą woli i pracy, potrafił wkrótce przejednać sobie publiczność do tego słopnia, że w przeciągu niedługiego czasu, stał się jój ulubieńcem, a następnie już się liczył w rząd pierwszych artystów dramatycznych narodowego teatru. Występował odtąd tak w poważnych trajedyjach klassycznych, jak w późniejszych dramatach, w komedyjach i krotofilach nawet, a we wszystkich rolach zbierał zasłużone oklaski (2). Przez lat czterdzieści pracując na scenie, stanął pomiędzy najznakomitszymi artystami naszymi, próżnia po nim dotąd godnie zastąpioną nie została. W poważnych dramatach, jak w rolach charakterystycznych komedyi Fredry, był nieporównany. Zyskawszy w młodszych latach ogromny rozgłos w roli *Skąpca* Molijera: zaszły już w latach, zapragnął odnowić świetny swój tryumf. Nie poznał, że już sztuki Molijera dla dzisiejszej publiczności zajęcia i wdzięku nie mają, to téż poczuł chłodne przyjęcie, i nie zebrał marzonych oklasków. W 1815 r. objął nauczycielstwo w szkole dramatycznej, jako téż w konserwatoryjum muzycznym i szkole deklamacyi; w roku zaś 1824 powierzono mu reżyserstwo teatru. Obowiązki te pełnił z całym poświęceniem i sumiennością. Kurs jego dramatyczny dla uczniów, dziś krytyki nie wytrzyma, bo formułki wypisane dla wyrażenia uczuć lub namiętności są śmiesznością; nie wina Kudlicza, że się wznieść nad poziome pojęcia w teoryi nie umiał, chociaż w grze swój był wielkim artystą. Zaszczytem jego byli dwaj uczniowie: nieodżałowanej pamięci *Piasecki*, i żyjący Aloizy *Żółkowski*. W 1821 roku w Czerwcu w dniu imienin Kudlicza, wdzięczni uczniowie szkoły dramatycznej ofiarowali mu złoty pier-

(1) Tygodnik muzyczny i dramatyczny, 1820 — 1821 r. Nr. 7.

(2) Mamy Kudlicza postać zachowaną w sztychu Sokołowskiego, w roli *Boratyńskiego*, w trajedyi *Barbara Radziwiłłówna Felińskiego*.



№ 626



Rys z natury A. Matuszkiewicz

Odłito w lit. A. Pez & C^o w Warszawie 487

Lit. W. Walkiewicz

GRÓB JÓZEFA BIELAWSKIEGO.

ściem, z napisem wyrażającym ich uczucia. Złamany pracą, wzięwszy emeryturę, w 1844 r. zwiedził Wiedeń, Wenecyję i miasta Włoskie, dla przypatrzenia się teatrom i poznania znakomitszych artystów. Wiele sztuk tłómaczył dla teatru, pomiędzy temi: *Machabeusze*, *Upior*, *Rywal swojego lokaja*, znalazły pochlebne w swoim czasie przyjęcie. Zapalonym był zbieraczem tabakierek, to też po jego zgonie znalazł się nie mały ich zasób; przyjaciele i znajomi bowiem, znając upodobanie artysty, składali je w darze. Średniego wzrostu, dobrej tuszy, rysów twarzy grubych i wydatnych; umiał na obliczu niepokąźném, wyrazić uczucia równie rzewne i bolesne, jak wesołe i śmieszne. Odpowiadały im ruchy swobodne, szlachetne i poważne, w zgodzie zawsze z charakterem, jaki przedstawiał. W końcu życia stracił pamięć, dożywszy późnego wieku.

BIELAWSKI JÓZEF.

„JÓZEFOWI BIELAWSKIEMU B. PROFESSOROWI KONSERWATORYJUM MUZYKI, PIERWSZEMU SKRZYPKOWI TEATRU WIELKIEGO, KOLEDZY, KREWNI I PRZYJACIELE. ŻYŁ LAT 42, UMARŁ D. 3 LIPCA 1837 R.

(*Ślup kamienny, urna na wierzchu, pomiędzy grobami Żółkowskiego i Piaseckiego*).

Urodzony 1793 r. Umarł d. 3 Lipca, w poniedziałek o godzinie 11 wieczorem 1837 roku. Przez lat 26 był w orkiestrze teatru narodowego, przez lat 20 pierwszym skrzypkiem. Pewność i czystość gry jego stawiały go w rzędzie niepospolitych artystów, a nadzwyczajna przytomność i sumienność w wykonaniu, czyniły go prawą ręką dyrektora orkiestry. Dawał się często słyszeć w koncertach, tak na scenie jak i za sceną, a za każdym wystąpieniem, zaszczytnego doznawał przyjęcia. Był professorem w konserwatoryjum Warszawskiem, i ciągle lub przewodniczył, lub należał do wykonania dzieł muzycznych, poświęconych chwale Boga. Jako nauczyciel, zostawił wielu uczniów ukształconych, którzy szczerzy podzielali smutek, po utracie wzorowego i gorliwego mistrza. Prawy i szlachetny Bielawski, zyskał najpiękniejsze świadectwo pocziwego życia, w świetnym pogrzebie i nagrobku ze składek wystawionym. W dniu 5 Lipca liczny orszak przyjaciół i wielbicieli odprowadził zwłoki na miejsce wiecznego odpoczynku. Przy spuszczeniu trumny w dół ziemny, artyści i amatorowie muzyczni odśpiewali na pożegnanie: „*Wieczny odpoczynek*” ułożony umyślnie na ten obchód, przez znanego tak chlubnie w świecie muzycznym Ignacego Dobrzyńskiego.

IGNACY DOBRZYŃSKI.

(*Spoczywa w ziemi bez nagrobku, w tej ustroni obok Żółkowskiego, Piaseckiego i Bielawskiego*).

Urodził się dnia 2 Lutego 1779 r. w Warszawie, umarł w témże mieście dnia 17 Sierpnia 1844 r., mając lat 63. Chodził do szkół w rodzinném mieście, nie skończył ich wprawdzie, bo w 1794 r., w młodocianym wieku, mając zaledwie lat 15 wieku, zaciągnął się do wojska, jako artyllerzysta. Odbył całą kampaniją, w końcu takowej dostał się do niewoli. Oswobodzony z niej przez hrabiego Łanskoj, podówczas wojennego gubernatora Wilna, wszedł w nowy za-

wód życia artysty, do którego od lat dzieciennych pociągał go talent muzyczny, i wielka zdolność do gry na skrzypcach. To ułatwiło mu drogę do kilku znakomitszych domów, za pośrednictwem których dostał się do Wiednia, w celu dalszego kształcenia się w zawodzie muzycznym. Stąd powołany na pierwszego skrzypka do teatru Lwowskiego, zapoznał się Dobrzyński z J. Elsnerem, który był dyrektorem muzyki przy tymże teatrze. Tu zbliżeni dwaj artyści, szczerą z sobą zawarli przyjaźń opartą na wzajemnym szacunku; żyli razem jak dwaj bracia zgodnie, a wspólnym ich celem było podniesienie i uszlachetnienie zawodu, w którym obadwaj szczerze i z zamiłowaniem pracowali. Nieprzewidziane wszelako okoliczności rozdzieliły ich na długo. Prawie w tym samym roku, kiedy Wojciech Bogusławski wziął Elsnera do Warszawy, Dobrzyński poznał się z hrabią Ilińskim, senatorem Państwa Rossyjskiego, jednym z najzamożniejszych podówczas obywateli Wołyńskich, który go powołał na dyrektora swojej muzyki nadwornej. *Romanów* rezydencja hrabiego Ilińskiego, sławny był na całą Polskę i Rossyją; słynął i za granicą, gdyż wielu cudzoziemców, a mianowicie: anglików, francuzów, włochów i Niemców, ścigało do Romanowa, jako miejsca głośnego ze zbytku i roskoszy. Pałac okazały, z przepychem królewskim urządzony, życie wystawne, teatr, opera włoska, wodewil francuski i balet na małą wprawdzie skalę, ale złożony z doborowych tancerzy. Orkiestra wyborna, z samych cudzoziemców złożona, po większej części Włochów i Niemców, to wszystko przez lat kilkanaście wabiło najpierwszych obywateli okolic do rezydencji hrabiego Ilińskiego, gdzie każdy hojnie podejmowany, używając z całą swobodą zabaw i rozrywek, nie ponosił żadnego wydatku, bo w magnackiej gościnności właściciela, każdego przybyłego służba i konie zostawały na utrzymaniu wspaniałego gospodarza. Dobrzyński, żyjąc wśród tego przepychu i zbytku, jako dyrektor, kierując dobraną orkiestrą, miał obszerne pole do okazania, tak zdolności w doprowadzeniu tej orkiestry do stopnia doskonałości, jak zarazem i talentu swego w kompozycjach muzycznych. Stanowisko to, oddziaływało także i na syna jego Ignacego Feliksa, (znanego zaszczytnie nie tylko w kraju naszym), który od dzieciennych lat, słuchając dobrej muzyki i oswoiwszy się z naturą i charakterem każdego instrumentu, tak dobrze teraz umie nią władać. Przez lat 48 Dobrzyński bawił w Romanowie, a to miejsce z początku pełne swobody i błogiej przyszłości dla artysty, stało się w ostatku powodem smutku i ciężkiego zawodu. Majątek jakkolwiek wielki hrabiego Ilińskiego, nie mógł wystarczyć przy złym jeszcze zarządzie, na wystawę okazała i niepohamowany niczem zbytek. Przepelniony niedawno Romanów liczną służbą i tłumem gości, zaczął się powoli wyludniać. Cudzoziemcy należący do orkiestry i teatru hrabiego Ilińskiego, rozumni i ostrożni, wybraawszy od niego nie mało pieniędzy, wynieśli się cichaczem za granicę. Ci zaś, którzy pozostali jeszcze wiernymi niedoli hrabiego, w nadziei, że zaprowadzony nowy zarząd dobrami, jeżeli nie przywróci pierwotnej świetności dworu Romanowskiego, to przynajmniej postawi go w możności uiszczenia się z długu wdzięczności tym, którzy mu uczciwie służyli, najgorzej wyszli. Do rzędu tych należał Dobrzyński. Widząc, że kilkunasto-letnia jego praca speliła na niczym, nadto, nie mogąc odebrać od lat kilku zaległej swój należytości, pożegnał hrabiego Ilińskiego, który zawiodł jego nadzieje, i przeniósł się do *Winnicy* z całą swą rodziną, celem dania jej przyzwoitego wychowania. Za przybyciem do tego miasta, poznał



MD. 626



Rys. z natury Piechaczek

w Lit. A. Pecq & C^o w Warszawie ul. Miodowa 482.

Lit. W. Walkowicz.

GRÓB JÓZEFA ELSNERA.

się zaraz z dyrektorem ówczesnym gimnazyjum *Winnickiego*, księdzem Maciejowskim i z professorami, tu więc pomieściwszy synów swoich, sam został professorem muzyki przy témże gimnazyjum. W 1834 r. wyjechał do Żytomierza, gdzie wydałszy jedną z córek swoich Aleksandrę za doktora medycyny Mezera, sam przeniósłszy się na stałe mieszkanie do Warszawy, przy synu swoim Ignacym Feliksie, do końca życia pozostał. Zostawił wdowę Eudoksyją z Karellinów córkę znakomitego dyrektora orkiestry tak zwanéj *rogowéj*, która jedynie tylko istnieje w Rosyi (1). Dzieci miał ośmioro, z których przy życiu pozostało tylko: Ignacy Feliks najstarszy, był dyrektorem opery teatrów Warszawskich; Edward, artysta także muzyczny, mieszkający w Kijowie, i córka Aleksandra, o której wspomnieliśmy. Pisał Dobrzyński w różnym rodzaju utwory muzyczne, mianowicie w czasie pobytu w Romanowie u hrabiego Ilińskiego, gdzie z obowiązku zasiliał repertuar dziełami religijnymi i światowymi, jak baletami, kantatami i dzielkami polonezami, w których duch i charakter staropolski precudnie odbija (2). Osiadłszy w Warszawie, dał się poznać jako doskonały nauczyciel, jakoż zostawił wielu uczniów, którzy mu dziś zawdzięczają swoje stanowisko. Ujmujący w pożyciu, prawy i szlachetny w charakterze, miał tę wielką radość w sędziwych latach, że mógł się cieszyć sławą dobrze zasłużoną najstarszego swego syna. Artyści teatru Warszawskiego przenieśli ciało zmarłego na cmentarz Powązkowski, i żalobną pieśnią, uczcili ostatniem pożegnaniem zwłoki zacnego starca.

ELSNER JÓZEF.

(Grób murowany, z pomnikiem i napisem).

„JÓZEFOWI ELSNEROWI, URODZIŁ SIĘ D. 1 CZERWCA 1769 R., UMARŁ D. 18 KWIETNIA 1854 R.“

Urodzony w mieście *Grodkowie* w Szląsku; umarł w kolonii zwanéj *Elsnerówką* za Pragę. Wychowanie odebrał w mieście rodzinném i pierwsze początkowe nauki. Ojciec grający na harfie, a brat matki na amorce, wzbudzili w nim zamilowanie do muzyki; poświęciwszy się nauce śpiewu, jako młodzieniec, śpiewał najprzód na chórze parafijalnego kościoła, a następnie we Wrocławiu, w kościele księży Dominikanów, gdzie dalsze odbywał nauki. Straciwszy w młodym wieku rodziców, własną pracą się utrzymywał, a szanując wolę ojca, który pragnął, aby syn poświęcił się stanowi duchownemu, zapisał się Elsner na wydział teologiczny. Słabość gwałtowna i ważne przeszkody, nie dozwoliły mu kończyć zaczętych kursów, i znowu poświęcił się muzyce. Słuchając utworów religijnych po kościołach, już w młodym wieku wziął się do kompozycji, które dobrze były przyjętymi, a przez znakomitych artystów uważane były jako zaród przyszłego talentu. Miły głos i biegłość w graniu na skrzypcach, zwróciły uwagę kilku

(1) Orkiestra ta, znaną jest światu muzycznemu, ze swéj oryginalnéj a trudnéj kombinacyi, gdyż tylko jeden ton z tego instrumentu wydobyć można; stąd, ile jest tonów w utworze granym, tyle jest rogów różnej wielkości, i do każdego oddzielny człowiek. Orkiestra taka, precudnie sprawia wrażenie pod otwartém niebem, a szczególnie nad wodą postawioną

(2) Polonezy te ma syn I. F. Dobrzyński drukiem ogłosić.

przedsiębiorców teatralnych, że Elsnera namawiali, aby wystąpił na scenę. *Jackel*, nauczyciel na fortepianie we Wrocławiu, pierwszy ocenił Elsnera, i tak mocne ku niemu uczuł przywiązanie, że stał się dla niego drugim ojcem i opiekunem. Poznawszy jednak, że zawód artystyczny więcej sławy jak chleba przyniesie, pragnąc przytém zapewnić pomyślną mu przyszłość, skłonił go, że się poświęcił medycynie. W 19 roku życia swego, dostał stypendyjum od rodzinnego swego miasta, które spodziewając się że swego ziomka, będzie miało kiedyś lekarzem, z wielką radością utrzymanie mu zapewniło. Z szczupłym zapasem i kilku utworami muzycznymi w kieszeni udał się Elsner do Wiednia. Tam ciężka spotkała go choroba, a poznany przez dawnego towarzysza szkolnego *Bundesmana*, z którym do zgonu utrzymywał stosunki, opatrzony przez niego w przyjacielską pomoc i radę, rzucił szkołę Hypokrata, i wyłącznie oddał się muzyce. (1). „Na trzy prawie zupełnie równe części, podzieliły okoliczności żywot Elsnera, (pisze Józef Sikorski). Pierwsza, od urodzenia do 1792 r., była dlań epoką wyrabiania się na człowieka, szukania zawodu, kształcenia się różnostronnego, rozrastania się z duchem i myślą; a to w warunkach, jakim ulega człowiek, prawie samemu sobie zostawiony. Teolog, lekarz, a zawsze muzyk, — został nakoniec stanowczo tym ostatnim, i to we Lwowie (od 1792 r.), któremu najpiękniejszych lat kilka poświęcił; ale nie największe swoje siły, nie najobszerniejszą działalność. Epoka ta cała godna uwagi, dla tego, że się w niej Elsner wyrabiał, czerpiąc ze wszystkiego, co się w koło niego działo, w sztuce i w życiu. Pierwsza już była w pełnem rozwinięciu, (jak w ojczyźnie Elsnera, sprawą *Hajdna*), ale go nie dostrzegł od razu, bo mu go nie miał kto pokazać, domyślać się musiał po trosze. Brak przygotowania muzyczno-naukowego, którego może zrazu i nie widział potrzeby, skromność charakteru, nie wstrzymały jednak pałającego ducha od rzucenia się do kompozycji, ale go zmusiły postępować ostrożnie, nieśmiało; zaszczepiły w nim, a raczej wykształciły wrodzony zmysł analizy i naśladowania, które długo jeszcze w utworach jego się przebiwały. Do wpływów sztuki, doliczyć należy wpływ świata, który wówczas jeszcze na piękne drzemał, choć wkrótce miał przyspieszonym sunąć biegiem. Jak jedno i drugie nań działało, jak się z tém wszystkiém kojarzyły osobiste jego życia okoliczności, pozostał ślad w licznych już wtenczas pracach jego muzycznych, do każdej niemal gałęzi sztuki ówczesnej należących. Czém one były, dociec należy, by zobaczyć, czém był Elsner jako człowiek i artysta, gdy w ostatnim roku wieku przeszłego (1800 r.) do Warszawy przybył. Od tego czasu, przez lat 30 był jednym z głównych u nas przewodników w sztuce, długo nawet jedynym, nigdy drugim. A wszedł u nas w zupełnie inne warunki sztuki i życia, niż były owe, w których żył dotąd. Lecz miał już tyle sił w sobie pod oboim względem, ile ich było potrzeba, by jedno i drugie zrozumieć i wytknąć sobie plan działania, by porównać siebie ze swoim położeniem. Jako człowiek sumienny a kochający, postanowił zapelnąć brak, który w sobie i wręcz dostrzegał. Kształcił się usilnie i innych; a nieprzerwaną, ogromną pracą, ciągle nowemi płodami dowodził, że ma sumiennosc i miłość. Dyrektor opery (Kurpiński po nim nastąpił), i długo sam dla naszego teatru kompozytor w rzeczach domowych, nauczyciel szkoły muzyki,

(1) Kuryjer Warszawski, Nr. 106. 1854 r.

rektor konserwatorium, profesor uniwersytetu, miał w ręku wszystkie ważniejsze nici żywo-
 ła muzycznego u nas, poruszał niemi, i kierował przeważnie a czynnie. Tu więc miał pole do
 prac różnorodniejszych jeszcze niż dawniej, a tém znakomitszych, że i sam podrósł w siły, któ-
 re mnożyły jeszcze pojęcie swego położenia, i wymagania ludzi, od niego tylko samego oczę-
 kujących tego, co im było potrzebne. By obejrzyć 30 lat takiego życia, trzeba pokazać co za-
 stał, co stworzył i co zostawił; trzeba patrzeć na rzecz i człowieka z bliska, z dnia na dzień
 prawie; by osądzić, jak się krzątał około dobra powszechnego. Odtąd, aż do końca niemal ży-
 cia, świadek tego więcej co się działo, niż uczestnik przeważny; nie przeto ustał na drodze, ja-
 ką tyle lat przebiegał, nie przestał dopełniać sam siebie. Ale jako swobodny w wyborze, zamiast
 rozrzucać się na liczne kierunki, wołał wypowiadać się do reszty w tém, co najlepiej odpowia-
 dało wtenczas jego pogładowi na życie i sztukę, a podobno i jego skłonności, muzyka kościel-
 na i teoria, którym się dawniej poświęcał, całkiem go odtąd zajęły. A że był człowiek goreją-
 cy, więc nawet przez ostatnie lata życia skolatanego nieuleczoną słabością, utrudniającą sformu-
 lowanie myśli wewnątrz gorejących, nie opuścił rąk opadających, i ciągle pracował w dwóch
 tych oddziałach wyłącznie. Starcowi zbliżającemu się do grobu, cóż zostaje krom modlitwy
 i rozmyślenia o tém, co mu najpiękniejszy wiek zajęło, tyle dni dało radosnych. Jak to naturalne
 prace jego z epoki ostatniej muszą mieć stronę, jakiej dawniejsze nie miały; i ważność stresz-
 czania się w nich człowieka całego. Ktoby je przejrzał, dostrzeżlby, ile jeszcze biegł za sztuką
 i życiem ludzkości, gdzie się rozłączył z drugim, by z pierwszą pozostać, jak z niej nakoniec
 brał tylko to, co dawniej miała, a co najwcześniej jego myśl uderzyło, lubo nigdy nie pozostał
 obcy potężnym nowym czasów nabytkom. Choć cudzoziemiec, umiał szczególnie ducha naszój
 mowy i naszój muzyki zrozumieć. W pierwszym i o nim, pisał naukowo-muzyczne rozprawy—
 w drugiej, tworzył melodyje, które się popularnemi u nas stały. Kto zna jedno i drugie, a oce-
 nić je potrafi, nie może zaprzeczyć autorowi wielkiej siły rozumu, bystrości poglądu, giętkości
 myśli do naśladowania uzdatniających; ale, by to było mało jeszcze powiedzieć. W artyście
 istotnym, serce powinno przedewszystkiem przeważać; to też go Elsner tyle pokazał w stosun-
 kach swoich z ludźmi, tyle go znać w pracach jego nas obchodzących, że ciemnym bardzo być
 trzeba, by tego nie dostrzedz. W rozprawach swoich (tylko mała ich część w polskim i niemie-
 ckim języku, drukiem ogłoszoną była), pisze za polskim językiem jak za swoim własnym, a do-
 wody ściągają ze szczegółów, które tylko rodzinna miłość pojmuje. W swoich kompozycjach,
 szczególniejsz w piosnkach mniejszych i polonezach, staje Elsner nieraz na téj wysokości, co do
 pierwiastku polskiego, że widno, jak niepodobieństwem by było, aż tam dosięgnąć, rozważą
 tylko, rozbiorem i naśladowaniem; tam miłość grała“ (1). Towarzystwo przyjaciół nauk wezwa-
 ło go na swego członka; przy utworzeniu b. uniwersytetu Warszawskiego, mianowany został
 professorem sztuk pięknych. W 1821 roku mianowany rektorem konserwatorium muzycznego.

(1) Gazeta codzienna z d. 1 Maja 1854 r. Nr. 113. Podaliśmy tu dosłownie wyjątek ze wspomnienia o Elsne-
 rze, napisanego przez znakomitego znawcę i pisarza, (a zbliżonego do zmarłego artysty) Józefa Sikorskiego. Wska-
 zał on trudność zadania, aby dokładnie i sumiennie skreślić żywot Elsnera, mniemamy: że sam tylko godnie odpo-
 wiedzieć temu zadaniu potrafi.

Na początku 1844 roku, uderzony atakiem apopleksyi, utracił władzę w prawej ręce i nodze, spokojnie znosił to kalectwo. Wyuczył się pisać lewą ręką, i skreślił jako ostatnią pracę, muzykę do mszy żalobnej. Dostał zaszczytu, że wybito medal na uczczenie jego prac, zasług i talentu; w mieście rodzinném *Grodkowie*, zawieszono wizerunek Elsnera na organach tamecznego kościoła, wraz z protokołem złożonym w aktach miejskich o jego znaczeniu. Artyści i wielbicielowie sztuki, w Czerwcu 1852 r., uroczystie obchodzili w Warszawie obrzęd *złotego wesela* Elsnera. Zmarł w 84 roku życia. Nie wyliczamy tu utworów jego muzycznych, zostawując to mozolne zadanie przyszłemu biografowi Elsnera, wspomniemy tylko, że samych dzieł religijnych ku chwale Bożej, 105 poświęcił. Z prac w polskim języku zostawił w rękopiśmie operę: „*Osobliwsi bracia*,” do której i muzykę ułożył. Drukiem zaś ogłosił: „*Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego*,” szczególnie o wierszach polskich, we względzie muzycznym; przez Józefa Elsnera, członka królewskiego towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk, z przykładami rzecz objaśniającami, przez Kazimierza Brodzińskiego, w Warszawie (1) (*).

„MICHAŁ MATUSZEWSKI.

„ZMARE D. 8 LUTEGO 1855 R. ŻYŁ LAT 69. „ZDROWAŚ MARYJA.“

(Pomnik kamienny, w pobliżu grobowca A. Malczewskiego).

Urodził się d. 25 Stycznia 1786 r. na Bukowinie (w Galicyi), ochrzczony w mieście Czerniejowcach, mieście co się tak malowniczo rozsiadło na górze i na skałach po nad bystrym *Prutem*. Ojciec jego Jan, trzymał wtedy dzierżawą wieś na Bukowinie. Wychowany w wiejskiej ustroni, w dziecięcych latach zahartował wczesnie ciało, jakby zrządzeniem Opatrzności, przewidującej, że przyjdzie chwila nie jedna na to wówczas drobne pacholę igrające swobodnie po obszarach łąk i stepów, w których temu zahartowaniu, w walce z żywiołami i trudem, a niewczasem, zawdzięczy swoje ocalenie. Po ukończeniu szkół, przybywszy do księstwa Warszawskiego, był najprzód sekretarzem Ministeryjum wojny w 1810 r. Kiedy ówczesna armija polska wymagała do służby polowej pomocy zdolnych i energicznych urzędników; Matuszewski mianowany został adjunktem kommissarzy wojennych (dnia 23 Listopada 1810 r.), we dwa lata posunięty na stopień kommissarza wojennego. Trzeba znać z bliska ten rodzaj służby wojskowej, aby ocenić,

(1) *Uwagi nad dziełem tem*, ogłosił J. F. Królikowski drukiem, w Warszawie 1818 r. 12-a, stron. 50.

(*) Pomiędzy wielą pamiątkami, jakie pozostały po ś. p. Elsnerze, znajdują się także dwa pióra, któremi na krótki czas przed skonek skreślił ostatnie utwory swoje. Pióra te zachowane zostały przez rodzinę, wraz z innemi jak np. listy najpierwszych mistrzów muzycznych zagranicznych a między niemi i naszego współziomka Szopena, a ucznia Elsnera, który młodego muzyka uczył kompozycyi. Niemniej zajmujące są także listy wszystkich znakomitszych swego czasu artystów naszych, kompozytorów i pisarzy, jak np. ś. p. Wojciecha Bogusławskiego, Ludwika Osińskiego, I. A. Dmuszewskiego, Aloizego Żółkowskiego (ojca), albo z żyjących jeszcze Karola Kurpińskiego, Każyńskiego, J. N. Kamińskiego. Liczne te pamiątki uporządkowane, spoczywają w gabinecie zmarłego Elsnera, na kolonii jego *Elsnerówce* pod Warszawą, który pozostawiony zupełnie w tym stanie, jak był za życia jego. Ten sam stolik na którym pisał, biblioteka podręczna, której używał, słowem, aż do krzeseł na których siadał, i łóżko z pościelą, na której sypiał. (Kuryjer Warszawski z 1854 r. Nr. 210).

ile zdolny, przedsiębiorczy, a energiczny urzędnik, oddać może przeważnych usług wojsku; jak wysokie jest jego stanowisko. Kommissarz wojenny świadomy każdego ruchu armii, obowiązany w miejsca pochodu i na pole bitwy, przygotować tak żywność, jak i wszelkie opatrzenie dla chorych jak i rannych. Wystawiony na wszystkie trudy wraz z żołnierzem, dzieląc z nim zarówno niebezpieczeństwa wojny; musi czuwać z rodzicielską opieką nad każdym. W chwili boju zatyka chorągiew przy rezerwach, tu mieści ambulanse i służbę lekarską, co ma nieść pomoc rannym, przewozi ich w bezpieczną po za strzały ustronń, lub do pobliskich szpitali. Pomyślność przedsięwziętej wyprawy w doprowadzeniu jej do zamierzonego stanowiska, na nim nieraz polega; on ma w ręku nić tajemnicy ruchów i obrotów, czy to oddzielnego korpusu, czy dywizyi swojej, jak każdodziennie stan obecnych do boju, a stąd, codziennę statystyki, przybytku i ubytku żołnierzy; o ilości rannych, zabitych lub wziętych w niewolę, posiada wiadomość. Pod jego rozkazami zostaje służba cywilna magazynów żywności, na której czele stoi intendent armii. Kommissarz wojenny kieruje przewózką magazynów takich, do wiadomych mu stanowisk; a jeżeli wyprawa wymaga głębokiej tajemnicy, odkrywa w rozkazach swoich najbliższe tylko miejsca; a z nich na dalsze dopiero transporta przeznaczają. Przykuty do konia i obzowisk, czuwa nad ich potrzebami, i przemyśliwać musi wcześniej nad zaopatrzeniem, zwłaszcza w takich marszach w kraju nieprzyjacielskim, gdzie wprzód stałych magazynów nie zaopatrzone, a żołnierz grabieżą naznaczył już swój pochód. W tej ciężkiej służbie, nie jeden z nich przyplacił ranami i niewolą, nie jednego kości spoczęły na krwawém polu zawziętego boju. W tak twardej szkole zahartowany Matuszewski, pamiętnej wyprawie 1812 roku, towarzyszył jako kommissarz wojenny. Utraciwszy konia, ogołcony z odzieży, znosząc niesłychane trudy, szedł pieszo od *Ponar* do *Wilna*, gdzie złożony chorobą, odmroziwszy nogi, zmuszony był poddać się operacyi i odcięcia siedmiu palców u nóg. W czasie takowej, zniecierpliwiony niezręcznością felczera, odebrał mu nóż chirurgiczny, i sam na sobie operacyi tej dopełnił. Następnie schwytyany do niewoli, dziewiętnaście miesięcy w niej zostawał. Po odzyskaniu zdrowia przybywszy do Warszawy, własną pracą, doszedł do nauki wielostronnej i głębokiej. Przy nowej organizacyi wojska polskiego, otrzymawszy dymisyją (dnia 9 Listopada 1816 roku), jako znany z zasług i wykształcenia, mianowany przez kommissyją rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego, kollaboratorem w lyceum Warszawskim, otrzymał następnie tytuł profesora szkoły wojewódzkiej, (d. 22 Września 1818 r.). W 1822 r. (d. 23 Marca) został stałym profesorem tegoż lyceum, „*jako dobrze zalecony z chwalebnych obyczajów i zdatności.*“ W 1833 roku mianowany tlómaczem do języka francuskiego w biurze Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, przyciśniony wiekiem i trudami życia, zapragnął spoczynku; otrzymawszy emeryturę, przy pomocy przyjaciół, oddał się w 1834 r. gospodarstwu wiejskiemu. Wszakże, jak przez ciąg całego swego życia, Matuszewski ciągłych doznawał zawodów; i w oddaniu się nie obcemu sobie zajęciu rolniczemu, znalazł nowe troski, nowe niepowodzenia. Zdawszy synowi gospodarstwo, wrócił na mieszkanie do Warszawy, aby użyć spokoju na łonie rodzinny, którą tak czule kochał, i gdzie w każdym ciężkim razie, czerpał moc i pociechę. Bóg dał mu spokój wieczysty, bo wkrótce w 69 roku życia, umarł. Stworzony do życia publicznego, nie osiągnął

odpowiedniego stanowiska, na jakie zasłużył zdolnością, nauką, prawością charakteru i poświęceniem. Skupił on te wszystkie przymioty głowy i serca w małym tylko kółku rodzinnym, i w większym przyjaciół, dawnych towarzyszków i uczniów; gdzie zostawił piękne swego imienia wspomnienie.

SPOCZYWAJĄCY W ZIEMI PIJARZY.

Od lewego krańca ściany, zamykającej zakrystyją kościółka Powązkowskiego, licząc ośm kroków w prostej linii w głąb cmentarza, spoczywają w ziemi zachowane kości Kazimierza Sarbiewskiego, Stanisława Konarskiego, Onufrego Kopczyńskiego i wielu jeszcze zasłużonych dobrze krajowi ze zgromadzenia księży Pijarów. Nie ma tu najmniejszego śladu dla uwiecznienia ich pamięci, przechodzi nawet tędy zwirowa droga, którą z kościoła przenoszą do grobowisk ciała zmarłych na cmentarz.

O tych więc, których depczemy bez należnej czci prochy, szczegółowo opowiemy.

Kazimierz Sarbiewski, jezuita, ów Horacy polski, jak go kiedyś zwano, uwieczniony laurem poetyckim od papieża Urbana VIII, umarł w Warszawie d. 2 kwietnia 1640 r. Pochowany został w kościele Jezuickim w témże mieście na Święto-Jańskiej ulicy, ale nie dano żadnego pomnika (1). Kiedy w 1834 roku czyszczono groby tego kościoła, ze szczątków ubioru poznać można było, że Jezuitów chowano bliżej wielkich drzwi, a gdzie indziej świeckie osoby. W pierwszym grobie była trumna stara w oddzielnym miejscu w formie żłobu zrobiona, bez wieka, a w niej głowa, część nogi i ręki, reszty już nie dostawało. (2) Napis był na zbutwiałej desce:

„*Po. . . . Laur. . . . S.*”

Z tych kilku liter, powzięto przekonanie, że to są zwłoki Sarbiewskiego, i te złożony w osobnym miejscu, następnie Pijarzy, przez szacunek jaki mieli dla poety, którego dzieła wykładali po swoich szkołach, przenieśli do kościoła swego na Długiej ulicy. Kiedy jednakże wkrótce z kościoła tego uprzętać kości zmarłych Pijarów musieli, i te szczątki wielkiego łacińskiego poety, wraz z tamtymi wynieśli, i równo ze świtem odprowadziwszy na cmentarz Powązkowski, w miejscu przez nas wskazanym, złożyli. Tu więc leżą kości oprócz Sarbiewskiego:

Stanisława Konarskiego, owiej postaci posagowej w dziejach oświaty krajowej; Konarskiego, który rozpoczyna nowy okres literatury naszój, a *patryjarchy polskich Pijarów* (3). Obok niego spoczęły prochy jego ucznia, arozwłośnego imienia **Onufrego Kopczyńskiego** (4). Nigdy nie zapomnę owiej, silnie narysowanój w pamięci mojej chwili, kiedy w dzieciennych latach patrzałem na wspaniałą obchód, doręczenia medalu przez ziomków sędziwemu Kopczyńskiemu za *grammatykę języka polskiego*. Tlum wielki przepelniał ogromną salę. Minister oświecenia narodowego Stanisław Potocki, po wymownym przemówieniu, po przeczytaniu wiersza Brodzińskiego,

(1) Zobacz wydanie Drezdeńskie poezji K. Sarbiewskiego przez Langbein'a.

(2) Ks. Kurowski: „Wiadomość historyczna o kościele, kolegium ex. księży Jezuitów Warszawskich.“

(3) Wyrażenie Kopczyńskiego w mowie przy odebraniu złotego medalu za grammatykę.

(4) Urodził się dnia 30 Listopada 1735 r. w Czerniowie, w dawnym województwie Gnieźnieńskim.

który powszechne wywołał współczucie, doręczył Kopczyńskiemu medal złoty. Było to dnia 30 Listopada 1816 r. Właśnie ten czcigodny starzec 82 rok życia zaczynał. Na szlachetnym a wydatnym obliczu jego, widziałem głębokie wzruszenie i z spracowanych oczu, gęsto lzy pociekły. Utuliwszy się nieco, drżącym przemówił głosem, z ową skromnością, cechującą ludzi zawsze wielkiej nauki i wielkiego poświęcenia. „Ja ośmdziesiąt laty obciążony, (mówił), za nieuchronną wolą natury, nie o pracy, ale o grobowym spoczynku myśleć muszę, mając zwłaszcza takich, którzy mnie wyręczyć mogą.“ Uważał w końcu, że ten obchód brać nie może za uwieńczenie własnej zasługi, ale raczej, aby zachęcić innych w literaturze pracowników. W półtrzecia miesiąca już nie żył; umarł bowiem dnia 14 Lutego 1817 r. Powielokroć pisano już i ogłaszano życiorysy tak Konarskiego jak i Kopczyńskiego, nie powtórzę więc rzeczy znanych dobrze, ale muszę opowiedzieć jeden czyn szlachetny autora *grammatyki języka polskiego* dotąd nieznaną.

Dnia 5 Listopada 1794 r., gromadka mieszkańców Pragi ocalona od szturmów, spoczywała na cmentarzu około kościoła Bernardynów (1). Ranni w niej, potrzebowali opatrzenia, głodni i spragnieni napoju i pokarmu, nadzy okrycia, wszyscy, pociechy słowa Bożego. Most był zerwany, zwycięzkie wojsko biwakowało w murach Pragi. Nad brzegami Wisły stała poważna, blisko sześć-dziesięcio-letniego kapłana postać, za nim znoszą bieliznę, szarpie, bandażę, odzienie, chleb, gotowane mięswo i napoje trzeźwiące. Siwy jak gołąb przewoźnik, co pierwszy ofiarował własną łódkę, zabiera to wszystko, i wraz z młodym synem swoim, chwytają wiosła gotowi do niebezpiecznej drogi. Kapłan uzbraja się krzyżem świętym, bo idzie na wyprawę, którą życiem własnym opłacić może, zażegnywa śmiałych rybaków, a krucha łódka spływa na wzburzone fale Wisły. Tym kapłanem w długiej, czarnej sukni, był Onufry Kopczyński, a wioslarzami jego, ojciec i syn Sitkiewicz, ze starego a poczciwego rodu Warszawskich rybaków. Tłum ludu upadł na kolana, modląc się gorąco, za szczęśliwą ich przeprawę. Bóg też czuwał nad nimi. Fale Wisły ucichły, łódka dobiła do przeciwnego brzegu, a szlachetni oficerowie zwycięzkiego wojska na straży będący, przeprowadzili ks. Kopczyńskiego wraz z jego zapasami, które dźwigali obaj Sitkiewicz, na cmentarz Bernardyński. Nieszczęśliwi zbici w gromadę mieszkańcy różnej płci, wieku i wyznań, wyciągnęli doń ręce, jak do zbawcy swego. Ks. Kopczyński opatrzył rannych, odział nagich, głodnym pokarmem dostatkowo zostawił, a wzmocniwszy ich na duszy słowy Zbawiciela, szczęśliwie wraca w mury Warszawy! Czyż to czyu nie godny wiecznej pamięci?

KS. SZYMON BIELSKI.

(Spoczywa w ziemi bez nagrobku, razem z Konarskim, Kopczyńskim i wielu innymi).

Urodził się za panowania Augusta trzeciego, Sasa, d. 15 Września 1745 r., w Jazowsku, wiosce dyjecezyi Krakowskiej (2). Wstąpił do zgromadzenia księży Pijarów, dnia 5 Października

(1) Kościół ten w 1807 r. francuzi zburzyli, pozostała dotąd stojąca tylko kapliczka.

(2) Wszystkie daty wyjęte są ex Libro suffragiorum provinciae Polonae Scholarum Pijarum, utrzymywanej przez prowincyała księży pijarów.

1776 r.; wykonał śluby zakonne po odbytej próbie, d. 17 Lipca 1768 r., w Podolińcu na Spizu. Uczył się retoryki w Rzeszowie, filozofii w Międzyrzecu. Od r. 1772 był nauczycielem w Łowiczu i Łukowie; słuchał teologii w Krakowie. Od 1778 r. do Chelma przeznaczony, od 1780 r. przez lat pięć nauczając w Radomiu, dowiódł jak użyteczną była nauka, połączona z rzetelną pobożnością, w Szczuczynie, Międzyrzecu i Drohiczynie, zajmował się edukacją młodzieży zakonnej. W 1793 roku powołany do Warszawy na prefekta drukarni, sprawował ten obowiązek z wielką pilnością przez lat 24. Drukarnia pijarska była wtedy pod jego zarządem najpierwszą w kraju, wydawała wiele książek czysto i poprawnie, według pisowni Kopczyńskiego, której surowo przestrzegał Bielski. Wiele pism nowych przelać kazał w Warszawie, a więcej sprowadził z Berlina. Jedną z najmoźniejszych prac sam się zajmował, bo pilnował sumiennie korekty każdego dzieła wychodzącego z pod prassy Pijarskiej. Wydania stąd książek z tego okresu, są wielce cenione, bo odznaczają się poprawnością druku. Oprócz tego Bielski sprawował obowiązki prokuratora i konsultora prowincyi. Znaniej z doboru i zamożności biblijoteki kolegium Warszawskiego księży Pijarów, był drugim po Floryjanie Wysockim, założycielem; gdyż wiele książek z własnego funduszu zakupywał, duplikaty wymieniał na inne dzieła, i katalog jęj własną ręką po dwakroć spisany do druku przygotował. Podobnie poprzednio uporządkował biblijoteki w Drohiczynie i Szczuczynie. Wszystkie prawie książki biblijoteki Pijarskiej własnoręcznie jego napisami są opatrzone. Jako uczeń szkół Pijarskich, z widzenia tylko znając księdza Bielskiego, a słysząc z jakim uszanowaniem o nim wspomiano, i o wielkich zasługach tego kapłana, czytając wszystkie jego naukowe prace; udałem się do mego czcigodnego profesora, księdza J. K. Szelewskiego z prośbą: aby, jako znający go bliżej, raczył mi o nim udzielić obszerniejszych wiadomości. Nie odmówił mi zacny mój dawny nauczyciel, i o to dosłownie podaje, co udzielić raczył o ś. p. Bielskim. „W końcu 1817 r., przybywszy do Warszawy na naukę, poznałem pierwszy raz księdza Bielskiego. Starzec srebrnym włosem już ubielony, pozyskał zaraz młode serca nasze, słodyczą i uprzejmością swego charakteru. Co tylko było znakomitego między literatami wówczas w Warszawie, a bodaj nie w całej Polsce, znali i poważali wszyscy księdza Szymona, jego zasiękali rady w rzeczach naukowych; jemu powierzali swoje prace do druku i razem do ostatecznego wykończenia, a mianowicie co do stylu i polszczyzny, o której czystość bardzo był troskliwy. Rękopisma pozostałe po zmarłych autorach, zbierał Bielski starannie, poprawiał, układał w porządek i swoim kosztem drukował, jak naprzykład „kazania *Karpowicza*“ „księdza *Przeczytańskiego*“ i wielu innych. Stefanius, zacny i uczony professor literatury greckiej i łacińskiej przy liceum Warszawskim, a później rektor gimnazjum Poznańskiego, miał ściśle zachowanie z księdzem Szymonem, i dziwił się nie raz, jak on, nie będąc w żadnym uniwersytecie, mówił i pisał poprawnie po łacinie. F. Bentkowski w swojej historii literatury polskiej, wyznaje, że wiele jest winien Bielskiemu w ułożeniu tego dzieła. Linde, w przedmowie do swego słownika, również oświadcza mu wdzięczność za podobną uczynność⁽¹⁾. Wydawcy gazet zasilali się często jego erudycją. Lelewel, zwyczajny gość Bielskie-

(1) Linde w pomienionym wstępie, chwali pilność ś. p. Bielskiego, w doглядaniu druku i rewizyi. Praca to wielka i mozolna, i ksiądz Bielski przy niej wzrok nadwreżył.

go, zasięgał od niego szczegółów biblijograficznych; karcił go nieraz Bielski za nową pisownią. Towarzystwo przyjaciół nauk przybrało go za swego członka, zgromadzenie Pijarskie chciało go pokilkakroć wybrać swoim prowincyjałem, lecz on odpychał od siebie wszystkie urzędy i zaszczyty, wymawiając się od nich swą nieudolnością i niegodnością. Jakże to był szlachetny i bogobojny sposób myślenia, życia i postępowania Bielskiego. Wstawał rano, i już po piątój znajdował się w oratoryjum na wspólnój modlitwie i medytacyi z innymi, nie folgując w niczém obowiązkom zakonnym, mimo wieku już podeszłego. W celi swojej przy drukarni, odmawiał potem ze zbudowaniem godziny kapłańskie, zabierał się do pracy naukowej, lub korekty druków, o godzinie 9-tój odprawiał mszę świętą codziennie, w czasie właśnie, kiedy młodzi jego współbracia zajęci byli szkołą. Przy objedzie o dwunastój godzinie, zajmował wszystkich uczonemi i wesołemi opowiadaniem. Po objedzie znowu robił sobie krótką pauzę i najczęściej z poważnymi, równemi sobie wiekiem ojcami, zabawiał się rozmową. Praca znowu, do której go już nałóg przykuł, zatrudniała go do wieczora. Po wieczery i modlitwie, pracował przy świecy do godziny 9-tój, o której szedł na spoczynek. Niekiedy wieczorami, zbierali się starzy i młodzi u księdza Kopczyńskiego (który już z pierwszego piętra nie mógł schodzić), na pogadankę i rozrywkę, a żyli wtedy jeszcze znakomici ludzie: ksiądz Przeczytański, Pomorzant, Sawicki, Dąbrowski, Bystrzycki, Ciastowski, Wolicki i wielu innych. Była to praktyczna szkoła dla młodzieży. Tam się dowiedziałeś o wielu rzeczach, których w książkach nic nie masz, tam się nasłuchałeś o wypadkach historycznych ciekawych, od naocznych świadków; tam prawiono dowcipne anegdoty i dykteryjki, które cię ubawiły, bo w tém towarzystwie nie skępowaném żadnym przymusem, strzelał dowcip swobodnie, tam ci nasuwano przykłady szlachetnych czynów i poświęcenia, tam nabierałeś pobudek i zachęty do podnioslejszych dążeń. Nigdy nie zapomnę, wiele winien jestem temu światłemu towarzystwu, do którego dla korzyści, przypuszczali młodych, wytrawieni ci ludzie. Kopczyński był duszą i wyrocznią tych posiedzeń, a Dąbrowski rozweselał wszystkich dowcipem i przycinkami niewinnemi, staremu Pomorzantowi ⁽¹⁾. Mieszkanie Bielskiego było skromne, jak na ubogiego zakonnika przystało. Kanapka i krzeselka dębowe, płócienkiem w kratki pokryte, łóżko proste i nie malowane; ściany białe, przyozdobione krucyfiksem, stopy książek i papierów; to był cały sprzęt i ozdoba dwóch jego celek małych, Nic jedwabnego nie używał, bo by to obrażało ubóstwo zakonne. Parę sukien, sutanna i toga, z pasami czyli szkaplerzami do dołu spadającymi, (jakiój wzoru już nie widać), były całém ubraniem księdza Szymona. Paledronu (rodzaj kapoty polskiej) nie używał. Surdut długi, koloru piaskowego, bez rozporu z tyłu, służył mu do ubioru, kiedy wychodził na miasto raz w miesiąc lub we dwa, do kolegijum nobilium na Żoliborzu, dla przechadzki, bo więcej nigdzie nie bywał. Zamilowany w pracy, żałował czasu stracić bez potrzeby koniecznej. Poczciwość księdza Bielskiego, weszła w przysłowie między jego braćmi zakonnymi. W duchu powołania zakonnego, nie chciał mieć nic swego. Dochody własne obracał na kupno książek do biblijoteki wspólnój, na

(1) Życiorys księdza Dąbrowskiego, już podaliśmy w tomie pierwszym niniejszego dzieła.

ubogich, dla których był miłosiernym (1); na uraczenie czasem podwieczorkiem młodych kleryków, których lubił i do nauki zachęcał słowy i przykładem. Pokorę miał w wysokim stopniu, z niczego się nie wynosił, siebie kładł najniżej, nikogo nie potępił, na ułomności nawet ludzkie był wyrozumiały. Przystępny dla każdego, o nic się nie gniewał, a choć się czasem oburzył na jaką nieprzyzwoitość, wnet ochłonął i przeproszał, jeżeli w czém obraził kogo. Nie było też może nikogo od najniższego do najwyższego, coby go nie kochał, nie czcił jako prawdziwego naśladownika swego mistrza Chrystusa. Bezinteresowny bez granic, pragnął dobra ogólnego, dobra wszystkich ludzi, z zupełnym zaprzeczeniem siebie. Prawdziwie był to człowiek święty!— Kto chce poznać jego wizerunek odmalowany olejno przez Paszkowicza malarza, niech się uda do refektarza księży Pijarów Warszawskich. Tacy ludzie godniejsi zaprawdę pędzla i ołówka artysty, aniżeli bohaterowie dzisiejszego wieku, skoczki i muzykanci. Gdy zdrowie jego było pracami skolatane, wątléc zaczynało, doradzili mu starsi zgromadzenia, przenieść się do Żoliborza na świeże powietrze. Lecz i tu nie miał odpoczynku. Powierzono mu kierunek młodzieży zakonnej, która się przysposabiała na studiach historycznymi zwanymi, do uniwersytetu; i ośm lat szanowny starzec przyświecał przyszłym nauczycielom pochodnią rozumu i świątobliwego żywota. Był czułym ojcem, a nie mistrzem młodzieży swojej, dbał o jej potrzeby doczesne i duchowne. Zaraz nową otworzył tu bibliotekę, skupując do niej własnym kosztem książki, których katalog porządku utrzymywał, które pod czas wakacyi, w chwilach wolnych sam oprowiał. Wpajał w młodych odpowiednio do ich powołania zasady: „*Non propter esum, sed propter Jesum*”; nie dla chleba, lecz dla Chrystusa,— mawiał on, weszliscie do zakonu, pamiętajcież dbać nie o siebie, nie o rzeczy doczesne, lecz o dobro duchowe waszych bliźnich, o sumienne chrześcijańskie wychowanie dzieci, które się pod waszą straż dostaną. Pięknie jest dobrze czynić bliźnim z heroizmem i nie szukać za to próżnej chwały u świata; ale w własnym sumieniu u Boga.“ Jaką też cześć odbierał nawzajem ten mąż Boży, niech zaświadczą żyjący, którzy go tak jak ja znałem. Wielu współczesnych jemu i głośniejszych może ludzi dawno wymarło, a dla nikogo z nich tak czulej nie zachowujemy pamięci. Obraz jego zawsze nam jest obecny. Taki to powab prawości i cnoty! W 1825 roku, złamany pracą i wiekiem, przeniósł się znowu Bielski do kolegium przy ulicy Długiej, pragnąc tam odpocząć, gdzie najwięcej zasług położył. Ale czynny duch jego, nie mógł i tu nieruchomym pozostać: kiedy nie mógł czém ważniejszym się zajmować, spisywał mszę co miesiąc w kościele Pijarskim odprawione; naprawiał mszały podarte, dopisywał gdzie czego brakowało, odwiedzał chorych. Nie mogąc już znosić zimna w kościele, miał pozwolenie odprawiania w celi swojej mszy świętej, której nigdy nie opuścił. Arcybiskup Skaryszewski, wizytując kościół Pijarski, d. 29 Grudnia 1825 r., nawiedził i celę księdza

(1) Miłosierdzie księdza Bielskiego dla ubogich było głośne, nikt nie wyszedł od niego bez opatrzności. Razu jednego wchodzi do niego drab potężny, z wężami, i nie zastawszy nikogo: „Daj księżę pieniądze!” zuchwale zawoła. Łagodny jak baranek ksiądz Szymon, tłumaczy mu się pokornie że mu wiele dać nie może, bo sam ubogi i tymczasem z nienaeka pociągnął za sznurek idący do dzwonka w drukarni. Przychodzi zaraz równie potężny z fartuchem parobek:—„Bierz go!”— zawołał ksiądz Bielski zaiskrzony, może pierwszy raz w życiu; i tak wyprosił nieproszonego gościa.

Bielskiego, a zobaczywszy oltarzyk u niego, spytawszy o wiek poprzednio, rzekł: — „Ja starszy jestem, a jeszcze celebruję w kościele.“ „Ale ja też, odparł Bielski, styrałem zdrowie na ciężkiej i mozolnej pracy!“ W nowy rok 1826 odbył spowiedź, odprawiał mszę świętą i odmówił śluby zakonne wraz ze swemi współbraćmi. Dnia zaś 4 Stycznia podobnież miał mszę świętą, był na wieczerzy, a wróciwszy do swój celi, padł na ziemię, i krwią zalany, umarł, niechorując wcale. „Jak spokojnie umiera sprawiedliwy!“ odezwalo się wielu obecnych, ostatnim jego chwilom. Ksiądz Czarnecki, kanonik metropolitalny Warszawski, sekretarz towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk, celebrował za jego duszę nabożeństwo żałobne, i uczcił nauczyciela swego mową pogrzebową, którą łzy i łkania mu przerywały. Żył Bielski lat 80, miesięcy 3 i dni 20, a w zakonie lat 60. Nie tak uczonych, bo mogą być uczeńsi, nie tak pracowitych, bo jakże wielu często zaciekle pracuje i dzisiaj, dla samolubnych widoków; ale bodajbyśmy mieli więcej tak poczciwych, tak otwartych, tak poświęconych dobru ogólnemu ludzi“ (1). Przy mozolnej pracy, wolne chwile poświęcał już pisaniu, już przekładom dzieł użytecznych dla uczniów szkół Pijarskich. Ogłosił drukiem: 1. Arytmetyka praktyczna z tablicami do układania regestrów gospodarskich, 1775 r., 8vo (przedrukowana w r. 1793 i 1806). 2. Historyja święta starego testamentu aż do zburzenia Jerozolimy, z opisem geograficznym Palestyny i obyczajów ludu Izraelskiego, wyjętym z dzieła księdza Fleurego. 1793 r. 8vo (przedrukowana w 1806 r.). 3. Emmauela Kanta projekt do pokoju wieczystego, z francuskiego przełożony, 1797 roku. 4. Historyja święta nowego testamentu, na dwie części podzielona, z dzieła pana Tourneux i Fleurego, 1794 roku, drugie wydanie, 1811 r. 5. Historyja kościelna z francuskiego: *Leś elemens de l'histoire ecclesiastique*, do 1812 r. doprowadzona. 1812 r. 6. Pieśni narodowe z różnych autorów polskich zebrane. 1818 roku. 8vo. 7. Katechizm większy księdza Fleurego, zawierający historyję świętą i naukę chrześcijańską, 1812 r. 8vo. 8. Wybór różnych gatunków poezyi, z rymotwórców polskich, dla użytku młodzieży. 3 tomy, 1806 r. (powielekroć razy później przedrukowane). Wybozem wyjątków w tém dziele, kierowali: Onufry Górski, pijar, i Franciszek Dmochowski, tłumacz *Iliady*. Na czele każdego tomu umieścił Bielski nie tylko wykład każdego rodzaju poezyi, wedle ówczasowego pojęcia, ale podał zarazem i krótką wiadomość o rymotwórcach polskich, tak oryginalnych jak i tłumaczach. Dzieło to, jak i *Zbiór pieśni*, wskazują i myśl wyższą Bielskiego i dążności szlachetne w upowszechnieniu tego, co było na owe czasy pięknem i wzniosłem. Do dzieła w języku łacińskim, o życiu i pismach Pijarów, (patrz pod życiorysem księdza Pomorzka), napisał dodatek, obejmujący okres czasu od 1794 do 1812 r. (2). Owocem mozolnej i długoletniej pracy Bielskiego, jest katalog biblijoteki księży Pijarów w Warszawie, który ogłosił pod napisem: „*Catalogus librorum Bibliothecæ Collegii Regii Varsaviensis Clericorum Regularium Scholarum Pijarum Renovatis. Varsaviæ, 1822 a.*“ str. 497, in 8vo. Zamknął go spisem rękopismów, a na samym końcu podał szczegółowy spis rękopismów Kopczyńskiego po jego śmierci pozostałych. Możemy zakończyć życiorys zacnego kapłana słowami ś-go Pawła:

(1) Dotąd rękopism księdza J. K. Szelewskiego.

(2) Ksiądz Andrzej Wątrowski, magister nauk i sztuk pięknych, pijar, obiecuje nam nowe, z dopelnieniem tego dzieła, wydanie.

„Gonitwem dobrą odprawił, zawodum dokonał, wiarem zachował; na ostatek zgotowany jest mi wieniec sprawiedliwości, który mi odda Pan, Sędzia sprawiedliwy, w on dzień.“ (W Liście II, do Tymot., rozdz. IV).

POMORZKANT ATANAZY.

PIJAR.

(Spoczywa w ziemi, w témże grobowisku, bez nagrobku i napisu).

„Kto zazał Warszawę przed 1823 r., mocno zapewne wyryła ma w pamięci postać starca rzeźkiego, dobrej tuszy, rumianych liców, włosów białych i na ramiona spadających, w prostej czarnej sutannie kleryckiej, pasem kamelarowym przepasanój, w czarnej czapeczce piuską w kościelnym języku zwanój, przechadzającego się posuwistym już krokiem po dolnych korytarzach collegijum pijarskiego, przy ulicy Długiej, dotykających z salami szkolnemi, i już szemrzącego w skupieniu ducha psalmy Dawida z pamięci, lub koronkę, już téż po odszemranych modłach, figlującego dziarsko z przelatującymi jak frygi kolo niego studencikami. Był to stary Pomorzkan, nie obojętna swego czasu postać. Urodził się za panowania Sasów. Był widzem wszelkich przewrotów głów i rzeczy w ósmnastém stuleciu. Widział i skutki wojny siedmioletniej, i wydobywającą się z pod panowania Albionu Amerykę, i przeobrażenie polityczne kraju swego, i krwawą rewolucją Francuską, i przedstawiciele filozofizmu 18-go wieku, i Fryderyka Wielkiego, Józefa II, Woltera, i falangi zachodu z szykością uraganu przelatujące z jednego końca Europy na drugi, odmieniając postać świata i ginąc wreszcie na północy krańcach, i upadek Napoleona, i odradzającą się różczkę oliwną pokoju i błogie panowanie wspaniałomyślnego ALEXANDRA I-go, którego skon dwoma laty uprzędził. I wśród tylu zawieruch wiódł Pomorzkan cichy, jednostajny żywot, w skromnym zawodzie nauczycielskim, zasiewając dobroczynne nasiona światła i cnoty, przykładając się do szczęścia swojej społeczności, dopóki złamany wiekiem, nie oddalił się na spoczynek w zacisze zakonne. Był ksiądz Pomorzkan i przewodnikiem szkół, i miłośnikiem nauk, i autorem, a bardzo mało o nim wiemy. W żadnej z historii piśmiennictwa naszego nie uczyniono o nim wzmianki, wyjąwszy księdza Bielskiego Szymona, który w swoim dziełku lacińskiem *Vitae Piaristarum*, rzucił o nim parę szkiców. Ksiądz Pomorzkan Atanazy urodził się dnia 16 Lutego 1736 roku w ziemi Chelmskiej i w Chelmie do szkół pijarskich uczęszczał. Wstąpił do zgromadzenia Pijarów i professyją zakonną wykonał w Podolińcu (na Spizu) 1755 r., Odbywszy studia naukowe, uczył wymowy i poetyki w Narężu, Rzeszowie, Międzyrzeczu. Wielokrotnie w swoich i obcych kościołach kazywał wymownie, jako to: w Rzeszowie, Łowiczu, w kościele katedralnym Krakowskim. Był prefektem w dawném collegijum Warszawskiem, staroświeckich obyczajów, i cnoty ścisły przestrzegacz, następnie rektorem w Rydzynie, członkiem rady prowincyjalskiej, rektorem w Szczuczynie, Łomży i przy tém nie porzucił katedry trybuny. Nareszcie laty obciążony, żył w ustroniu, oddając się pracy naukowej, i niekiedy uproszony występował jako mówca chrześcijański w kościołach po za domem zakonnym. Znał dokładnie język i literaturę klasyków lacińskich, a w stylu naśladował zwięzłość

Sallustyjusza. Przygotowywał obszerny słownik łacińsko-polski, podług Jana Gotfreda Haas słownika, wydane w Lipsku, lecz praca ta nie dokonana z powodu niemocy oczu w ostatnich latach Pomorzka, dotąd spoczywa w rękopiśmie. Z jego pism wyszły na widok publiczny: 1. *Kazanie* na pogrzebie księcia Augusta Sulkowskiego, wojewody Poznańskiego, założyciela kolegium Pijarskiego w Rydzynie, miane 1786 r., w Lesznie, w 4-ce (1). 2. *Kazanie* na pochwałę ś. Jana Kantego, w czasie obchodu kanonizacyjnego, miane i drukowane w Krakowie, 1780 r., po żywocie tego świętego. 3. *Spis dzieł* przez Pijarów polskich wydanych, a przez ks. Bielskiego zredagowanych, zebrał, jak to sam Bielski w tém dziełku na stron. 148 zaświadcza, (Żywoty tylko przez Bielskiego były dodane);(2) 4. *Kazania* ks. Cochin, w 4 t-ch, z francuskiego na polski język przełożonych (przekład dotąd w rękopiśmie zostaje). Osłabiony na wzroku i słuchu, nie przestał wykonywać powinności pobożnego kapłana i dobrego zakonnika, oczekując z wy pogodzoném czołem, rychło go Pan życia i śmierci do siebie powoła. Uległy woli Boga we wszystkiém, nie cierpiąc prawie nigdy żadnej choroby, spokojnie wyzionął ducha, dnia 6 Maja 1823 r., wśród modłów braci swoich, opatrzony poprzednio świętymi Sakramentami, mając sobie nadaue miano dziekana prowincyi i ojca. Żył lat 87 i blisko 3 miesiące, w zgromadzeniu 68 spełna. Oba kolegia wraz z uczniami swoimi, liczne duchowieństwo świeckie i zakonne, a między innymi ks. Falkowski, kolega dawny zmarłego, znakomici obywatele, ze czcią należytą odprowadzili zwłoki szanownego starca na cmentarz Powązkowski. Mimo staroświeckiej surowości obyczajów, mimo ścisłej i rzadkiej religijności swojej, mimo wieku zgrzybiałego, był ks. Pomorzka nader miły, wesoły i pożądany w domowém pożyciu, a niewinną figlarnością swoją zdawał się przypominać nam wiek chłopięcy. Kiedy w starości już wysokiej, nie wychylał się za progi kolegium, używał przechadzki po korytarzach nie bardzo widnych, chwycił przekarżających mu się, a dobrze z jego żartami oswojonych studentów za czuprynę, prowadził dla rekognicy do okna, (bo już niedowidział) i uderzywszy lekko w policzek, jak przy bierzmowaniu, puszczał swawolnego młokosa. Zwyczaj ten powtarzał się prawie codziennie u ks. Pomorzka. Zdarzyło się też razu pewnego, że uczniowie liceum Warszawskiego i gimnazjum pijarskiego, mieli wystąpić publicznie z jakiejś okoliczności. Ówczasowy rektor liceum Warszawskiego Linde, przybył na Długą ulicę do kolegium, udając się podobno do rektora Pijarów, ks. Sawickiego. Napotkany w ciemnym korytarzu przez ks. Pomorzka, pochwycony został od niego za włosy, i do okna pociągniony. „O dla Boga!“ wrzasnął zwyczajnym sobie ciekim głosem wyszły od pracy literackiej Linde, „cóż to ma znaczyć?“ przy świetle poznawszy swą omyłkę ks. Pomorzka, najserdeczniej przeproszał Lindego, ale wypadek ten narobił śmiechu po

(1) Kazanie to, tak się podobało ówczesnym słuchaczom, iż je na niemiecki przełożono język i drukiem ogłoszono. Niemieckiego jednak tekstu nie widzieliśmy. Słyszeliśmy tylko o tém od współczesnych księży, Pomorzka uczniów.

(2) Rękopism tej pracy Pomorzka po łacinie, obejmujący życiorysy i pisma wszystkich uczonych Pijarów aż po rok 1794 ma napis: „Vita et scripta quorundam, e Congregatione Clericorum Regularium Scholarum pijarum in provincia Polona professorum, qui operibus, editis patriae et Ecclesiae proficuis, nomen suum memorabile fecerunt.“ S. Bielski dalej to dzieło doprowadził, dodał bowiem spis uczonych Pijarów od r. 1794 do 1812 r. i w tymże roku drukiem ogłosił. Rozbiór tego dzieła podała gazeta literacka powszechna w Halli, 1813 r. Nr 99.

całej Warszawie. Kiedy Pijarzy wychodzili z refektarza po obiedzie, ks. Pomorzkannt zaczajony przy drzwiach, każdemu z młodszych musiał dać kukuksa, skąd często najpocieszniesze wynikały sceny. Poufaląc się ze wszystkimi, dawał ksiądz Pomorzkannt dowód do śmielszych z siebie żarcików, z których nie wszystkie jednak lubił znosić. Tak np. księża Dąbrowski i Wolicki wma- wiali w Pomorzkannta że był Niemcem, że tego dowodzi jego kazanie na pogrzebie księcia Sułkowskiego po niemiecku, a nawet nazwisko samo nie kwadrujące z polskimi nazwami: Po- mer kant. Nie można było niczém bardziej oburzyć staruszka. Cały ogniem wtedy płonął, i protestował na seryjo przeciw temu twierdzeniu. Na pogadankach wieczornych, za życia ks. Kopczyńskiego i późniejszych, na które zbierali się i starzy i młodzi, lubił bywać ks. Pomorz- kannt, i tam na wszystkie strony odcinać się musiał, wymierzonym przeciwko sobie żarcikom, a stary Kopczyński w ogromnym fatersztulu, podparty wielką trzcina siedząc, śmiał się do roz- puku z tych humorystycznych wyskoków. Jak był sam dla siebie surowy, tak ostro karcił naro- wy młodzieży, kiedy był prefektem szkół Warszawskich, jeszcze za Stanisława Augusta. Na pro- cessyi Bożego Ciała ze studentami bywając, nosił za pasem dyscyplinę wicianą, jakiej typu już nie ujrzysz, i z témże godłem ówczesnej władzy nauczycielskiej, odmalował go Bacciarelli, na jednym z historycznych obrazów swoich; kto chce poznać wizerunek księdza Pomorzkannta, niech się uda do refektarza księży Pijarów Warszawskich. W rysach twarzy odbija się pogoda i wesołość“ (1).

IGNACY ZABOROWSKI.

(Spoczywa w ziemi, w témże grobowisku, bez nagrobku).

Ks. Ignacy Zaborowski (pijar), urodzony 1754 r., umarł w Warszawie d. 10 Stycznia 1803 r. W młodych latach wszedł do zgromadzenia księży Pijarów, oddając się wyłącznie nauce ma- tematyki. Kiedy wedle urzędzenia kommissyi edukacyjnej, szkołę w Łomży otwarto, Zaborowski został tu professorem matematyki. Lat 16 wykladał ten przedmiot i potrafił wykładem zwięzłym, jasnym a łatwym, zamilowanie do téj nauki między młodzieżą rozszerzyć: „bo uznawał ją (jak wyraża Piotr Maleszewski jego bijograf), umiejętnością prawdziwie uzacniającą człowieka, i najgodniejszą zatrudniać stworzenie myślące; pragnął przyzwyczajać młodych rozum, zapomo- cą rozbioru matematycznego, do rozróżnienia błyskotek dowcipu od rzetelnych światel, zawilo- ści, od gruntownych widoków, i ciemnoty od głębokiego rzeczy pojęcia. Widział Zaborowski, że potrzeba i interes ożywiły przemysł, rozszerzyły umiejętności, zaczęły sztuki, utworzyły rzemiosła, i że potrzeba i interes zagrzewają do nich najmocniej we wszystkich czasach, i we wszystkich krajach. Geometryja w pierwszych wzroście latach do rozmiaru ziemi uży- ta, zaczęła szczęśliwie przekonywać ludzi o jej pożytkach. W tym widoku wystawiał ją Za- borowski, bo znał, że tak w Polsce, gdzie podług dawnego prawnictwa, sprawy graniczne naj- więcej niespokojności między rodzinami robiły, powszechnie o matematyki korzyściach przeko-

(1) Zyciorys ten do naszego dzieła napisany przez ks. J. K. Szelewskiego, redaktora Pamiętnika Moralno- religijnego, drukowanym był w kalendarzu J. Ungra na rok 1856.

nać potrafi. Wydał on w tym celu 1786 roku *Geometrią praktyczną*. Podaje tam najłatwiejsze sposoby do mierzenia ziemi, do przenoszenia na papier placów, granic, miast, budynków; uczy odbywać te działania, nie tylko zapomocą stolika geometrycznie, ale zapomocą kontomierza trygonometrycznie; traktuje o wymiarze w sprawach granicznych, mówi o przerysowaniu mapp, jednych na drugie, o wynajdywaniu powierzchni gruntów, o dzieleniu łąnów na części żądane, o równoważeniu czyli libellacyi, i robi dzieło w którym wyklada porządnie wszelkie zadania geometryi praktycznej, zręcznie przystosowuywa teorią do rozmiarów, z jasnością i dokładnością okazuje wszystko, cokolwiek jest potrzebném w geometryi praktycznej, a czego trzebaby szukać po wielu autorach; dzieło w którym każdy z początkowemi wiadomościami teoryi, może się ukształcić na praktycznego geometrę. Jeżeli Stanisława *Solskiego*, *Geometryja polska* w Krakowie 1683 r. wydana, a teorią i praktykę obszernie obejmująca, maluje człowieka posiadającego wyższą matematykę, wielką wiadomość astronomii mającego i wartego być policzony w poczet ówczesnych matematyków: *Geometryja tylko praktyczna* Zaborowskiego, maluje człowieka znającego wszystko, co w tym rodzaju zrobiono, czystym językiem piszącego, z rzadką znajomością pojęcia ludzkiego, wszystkie potrzebne do celu prawdy stosującego; słowem, można sprawiedliwie powiedzieć, że Zaborowskiemu winniśmy dzieło pierwsze w tym rodzaju, i ze wszech miar dziś jeszcze pierwszeństwa warte" (1). Szanowany powszechnie ze swój nauki i prawości charakteru, doszedłszy godności prowincyjała w zgromadzeniu księży Pijarów, umarł w samój sile wieku, mając lat 49. Uczcił Zaborowskiego mową na obchód pamiątki jego, jako członka towarzystwa przyjaciół nauk, Piotr Maleszewski, odczytaną dnia 5 Maja 1803 r. w témże zebra- niu, w której nam podał krótki życiorys zacnego kapłana, i zasłużonego pisarza.

WAGA TEODOR.

(PIJAR).

(*Spoczywa w témże grobowisku*).

Urodził się na Mazowszu 1749 r., umarł w Warszawie 1801 r. Początkowe nauki odbierał w Szczuczynie u księży Pijarów, a po ich ukończeniu, został członkiem tegoż zgromadzenia. Konarski wielce go polubił, poznawszy w młodym Wadze chęć do nauk i znakomitą zdolność udzielania ich uczniom. Zbadał Waga gruntownie dawną literaturę, poświęcił się szczególniej historii ojczystej i prawu krajowemu, wykształcony własną pracą i zwiedzeniem obcych krajów w celu naukowym; w zgromadzeniu swoim sprawował pierwsze urzęda, i imię swoje w księdze zasłużonych Pijarów niezapomnianemi zgłoskami wyrył. Po dwudziestu kilku latach jak zmarł Waga, słyszałem często pomiędzy starszymi Pijarami miłe jego wspomnienia; jak był w obejściu przyjemny, jak wielką naukę umiał przelewać w młodych uczni, jak zebranie weso- ło bawił opowiadaniem powiastek i anegdot dowcipnych i śmiesznych, któremi najpoważniejszą opowieść swoją przeplatać i ubarwiać lubił. Imię *Wagi* rozgłośném zrobiła w kraju wydana:

(1) Roczniki Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Tom 2. Warszawa, 1803.

„*Historyja królów i książąt polskich, krótko zebrana*, w Warszawie, 1770 r., u księży Pijarów, 8vo.“ Dzieło to, co poprzedziło wydanie dziejów Piastowych Naruszewicza, przez lat kilkadziesiąt w nauce historii ojczystej, było jedynym przewodnikiem dla młodzi uczącej się, nie tylko w szkołach pijarskich, ale i we wszystkich innych. Waga napisał je dla użytku jednej polki, jak sam w przemowie wyraża, z przyłączeniem geografii polskiej; rękopism ten bez jego wiedzy w 1767 roku wydano w *Supraślu*. Poprawił więc te z błędami wydanie, powiększył i wydał w 1770 r. Odtąd powtarzały się dzieła tego edycyje, nawet po śmierci Wagi. J. Lelewel, uznając ważność historycznego wykładu tego krótkiego zbioru dziejów Polski, z którego sam się uczył w szkołach; poprawił błędy wydatniejsze, pomnożył dodatkiem obejmującym panowanie *Stanisława Augusta*, i wydał w 1849 r. Inne pisma Wagi są: „*Zbiór krótki potrzebnych wiadomości kawalerowi Maltańskiemu*, w Warszawie u księży Pijarów 1775 roku, 8vo.“ (Są to ważne szczegóły o rodzinach polskich, należących do tego zakonu). „*Kadencyje sądów ziemskich i Grodzkich, oraz jurysdykcji sądowych ultimae instantiae, obojga narodów*, w Warszawie u księży Pijarów, 1785 r. 8vo.“ „*Inwentarz praw, statutów, konstytucji koronnych i W. Księ. Litewskiego, znajdujących się w Gciu pierwszych tomach Voluminis Legum*“, Warszawa 1782 r. folio. (Dzieło pracowicie ułożone, a do użytku podręcznego nadzwyczaj ważne). „*O występkach i karach*“ (z Beccaria), przekład dokładny, wydanie tego pisma wiele się przyczyniło do sprostowania błędnych mniemań i pojęć w przedmiocie kryminalnego prawodawstwa. Przełożył Waga także, co może być uważane za dodatek do powyższego. „*O cnotach i nagrodach*.“ Jako biegły heraldyk, zostawił wiele przypisów do herbarza Niesieckiego. Pisał i po łacinie, jak moda jego wieku kazała, wierszem i prozą. W pracach tych mozolnych, jak zwykle pisząc w języku zmarłego plemienia, okazał znajomość i biegłość literatury starożytniej; pisma zaś same, już pył niepamięci pokrył.

STEFAN I KACPER BÖHM.

(*W murze okalającym cmentarz, za kościołem od drogi bitój, dwa kamienie z napisami pogrobnemi dla ojca i syna*):

„STEFANOWI BEYM EKSEKUTOROWI WYROKÓW SPRAWIEDLIWOŚCI, W 72 ROKU ŻYCIA, DNIA 26 LUTEGO 1813 ROKU ZMARŁEMU, NA ZNAK CZUŁEGO PRZYWIĄZANIA, JAKO DOBREMU MĘŻOWI I KOCHAJĄCEGO OJCA, TEN POMNIK Wdzięczności

STAWIA, PROSI O WESTCHNIENIE DO BOGA:

„Tak naznaczyły Boskie wyroki,
Abyś tu swoje położył zwłoki,
Nad zgonem twoim, lzy leje żona
Z dziećmi twojami osierocona.“

(*Wyżej nad tym, drugi kamień z napisem*):

„CIENIOM Ś. P. KACPRA BÖHMA, ŻYŁ LAT 46. UMARŁ D. 18 MARCA 1829 R. POZOSTAŁA ŻONA Z DZIEĆMI PAMIĄTKĘ
TĘ WYSTAWIŁA, PROSZĄC O NABOŻNE WESTCHNIENIE DO BOGA.“

Są to grobowce dwóch mistrzów sprawiedliwości, ojca i syna, spoczywających przy sobie. Pierwszego imię poszło w groźne przysłowie u ludu Warszawskiego: „*Pójdiesz ty do Stefanka na śniadanie*“, oznaczające, że się zapozna wkrótce ze stryczkiem, lub mieczem kata. Obaj zacho-

wywali ten zwyczaj dawny, że po dopełnionej na zbrodniarzu skazanym karze, w uroczystym ubiorze swoim, każdy stawiał przed prezydentem m. Warszawy, a dobywszy miecza z pochwy, zapowiadał: że z mocy wyroku sądu kryminalnego ukarał złoczyńcę. Zwyczaj ten, prezydent K. Wojda zniósł zupełnie. Stefan Bem (Böhm) urodził się d. 25 Grudnia 1744 r. w b. województwie Chelmińskim. Z licznego rodzeństwa był jedenastym i najmłodszym synem Krzysztofa Bema. Po skończonej w Chelmie nauce, posłany został do Królewca dla nauczania się chirurgii, nie mając wielkiej chęci do tego zawodu, w 1767 r. wyjechał do Litwy, i w dobrach księcia Karola Radziwiłła (panie kochanku), przyjął obowiązki olicyjalisty. Wkrótce powstała konfederacyja Barska; młody Stefan ochotnie stał pod chorągwią, którą silnym ramieniem sam książę Karol wspierał, dzielił bez przerwy wszelkie jej losy i niebezpieczeństwa, aż między Tyńcem i Krakowem, w krwawém spotkaniu ciężko ranny, cięciem szabli przez twarz i głowę, zrzucony z konia, i jako zabity na polu zostawiony. Nazajutrz znaleziony od swoich, winien staraniu Piotrowskiego litwina i dworzanina księcia Karola Radziwiłła także, przyjscie do zdrowia. Pamiątkę téj przygody ciężkiej w bliźnie, zachował do grobu (1). Z upadkiem konfederacyi, nie mając utrzymania, gdy zasilki od rodziny nie wystarczały na życie, a majątki chlebobdawcy srodze zniszczonemi były, postanowił udać się w strony rodzinne, dla widzenia się z bracią, z których jeden niezłe miał beneficyjum. Przy téj sposobności odwiedził Heilsberg w Warmii, i tu zapoznał się z *Millerem*, który prócz obowiązków wykonawcy wyroków, był miejskim fizykiem, czy chirurgiem. Przyjaźń ta wpłynęła na oswojenie ze stanem, o którym wtedy nie myślał. Z chwilowego spokoju korzystając, przybył do Litwy powtórnie i w województwie Brzesko-Litewskim mosty na rzece Bugu dozorował. Mając być zapewniony, ożenił się w 1782 roku. Przy drugim rozbiore kraju, utracił szczuple mienie, jakie sobie przez lat kilkanaście uzbierać potrafił; przechodzącym wojskom, jako dawny partyzant wskazany, tyle tylko miał czasu, ile do ocalenia siebie, żony i syna potrzebował. W 1793 r. przybył do Warszawy, w niej zastał mistrzem sprawiedliwości Jana Millera, brata Hajlsburgskiego; ten widząc go w stanie oplakany, a sam będąc w wieku podeszłym, namawiał do zajęcia miejsca przez siebie zajmowanego. Okoliczności r. 1794 Stefana Bem do przyjęcia już opuszczonej posady, pociągnęły, którą jak akta Magistratu Warszawy przekonywają, na usilne nalegania prezydenta Zakrzewskiego, przyjąwszy do r. 1813 pełnił. Jako starój chorągwi stary wojak, doznawał chlubnych względów, od znakomitych wodzów. Na sąsiednich domu Stefana Bema Faworach, mieszkający generał H. Dąbrowski, rzadko go pomijał bez pogawędki o ubiegłych czasach, zabierał go nawet często do siebie, by pogaworzyć o nich. Książę Józef Poniatowski wspierał go hojnemi darami w drzewie do budowli i opalu, co w dawnych rejestrach dóbr Jabłonny, znaleźć częste ślady można.

Syn *Kacper Bem*, urodzony w początkach 1784 r. w miasteczku *Prutulinie* nad Bugiem z Stefana i Maryjanny z Gliszczyńskich, w 9 roku życia przybył do Warszawy z rodzicami. Uczęszczał do szkół Benonów i pijarskich. W r. 1804 po zajściu z oficerami pruskiemi, ratował

(1) Piotrowski konfederat długo żył w czerstwej starości, przenieszkował w Warszawie, i wnukowi Stefana, szczegóły o dziadzie jego opowiadał.

się ucieczką, którą mu ojciec ułatwił, i do Berlina na naukę lekarską posłał. Za ukazaniem się wojsk francuskich, w korpusie marszałka Dawusta służbę przyjął i z nim przybył do Warszawy. Gdy tworzyć się zaczęły pułki polskie, porzucił służbę francuską, i wszedł jako ochotnik do 13-go pułku jazdy huzarów, dowództwa pułkownika Tólińskiego. Odbił kampaniją 1809 r. po zajęciu Krakowa, jako wyborowy huzar, przeznaczony został do pójścia w głąb Galicyi; przy jenerale jazdy Roźnieckim, pełnił obowiązki kwatermistrza. W 1810 r. przeznaczonym będąc do Hiszpanii, gdy przeniesienie takie nie trafiało do jego przekonania, podał się do dymissyi, którą otrzymał. Zawsze doznawał względów od tych, pod którymi służył. Dawny dowódzca, późniejszy jenerał szef-sztabu Tóliński, witał uprzejmie i przychylnie swego (jak mówił) huzara. Po zejściu ojca, od 1813 do 1829 r. obowiązki mistrza sprawiedliwości sprawował.

KORWELL KAROL.

„KAROL KORWELL ASSESSOR KOLLEGIJALNY W WIEKU LAT 40 UMARŁ D. 10 STYCZNIA 1850 R., STOSKANY OJCIEC POMNIK TEN KŁADZIE.“

Urodzony 1810 r. w Wilnie. Po ukończeniu nauk gimnazyjalnych Wileńskich, a następnie w Wileńskim uniwersytecie, otrzymał w 1828 r. stopień naukowy aktualnego studenta w wydziale prawnym. Przeniósłszy się do Warszawy w 1833 r. umarł w młodym wieku jako tłumacz przy sądzie appellacyjnym Królestwa Polskiego.

W literaturze naszej znanym jest Korwell, jako tłumacz kilku powieści z rosyjskiego: *Bulharyna*; *Walter-Skotta*; i jako wydawca przez lat kilka *Noworoczników* pod napisem: *Niezapominjki*.

ADAM IGNACY ZUBELEWICZ.

„ADAM IGNACY ZUBELEWICZ, PROFESSOR FILOZOFII W KRÓLEWSKO-WARSZAWSKIM UNIWERSYTECIE, PÓŹNIEJ INSPEKTOR GENERALNY TEGOŻ UNIWERSYTETU, NAKONIEC WIZYTATOR JENERALNY INSTYTUTÓW NAUKOWYCH W KRÓLESTWIE POLSKIM. URODZONY D. 1 LUTEGO 1784 R., UMARŁ D. 19 KWIECZNIA 1834 ROKU.,,

Wielu znajdziesz sławniejszych—jemu równych mało;
 Nie z glazu, z serc mu pomnik wzniesić by należało:
 On dla żywych chodzącą był księgą, cnót wzorem;
 Chcemy go uczcić godnie—idźmy jego torem.“

Na trzy miesiące przed zgonem, ś. p. Zubelewicz napisał: „Krótki opis biegu życia swego” który z własnoręcznego jego rękopismu przytaczamy.

„Urodziłem się we wsi Dolkach, w obwodzie Białostockim, d. 1 Lutego 1784 r. Wyznaję religiją Rzymsko-katolicką i pochodzę z szlacheckiego rodu. Rodzice moi już nie żyją. Zgon ojca nastąpił d. 5 Października 1822 r., a matki d. 28 Kwietnia 1827 r. Pierwszą młodość przeżyłem w domu rodziców, gdzie powziąwszy początkowe wiadomości naukowe, udałem się

do gimnazyjum Białostockiego, w którym zostawałem aż do zupełnego nauk szkolnych ukończenia. Będąc tam w klassach wyższych, tyle u zwierzchności szkolnej zjednałem sobie zaufania, iż w latach 1803 $\frac{1}{4}$ i 1804 $\frac{1}{5}$ używała mię do zastępowania nauczycieli w klassach niższych, do dawania lekcji języka polskiego, dla młodzieży niemieckiej, do gimnazyjum uczęszczającej, i medal w nagrodę pilności przyznała. W 1805 roku zapisawszy się w poczet uczniów uniwersytetu Halskiego, szczególnież przykładałem się do nauk pedagogicznych, filozoficznych i filologicznych. W 1807 r. wydział filologiczny w uniwersytecie Halskim, przyznał mi dwa stopnie akademickie, to jest: „*doktora filozofii i magistra nauk wyzwolonych*.“ W 1809 r., po odbyciu naukowej podróży mojej, przybyłem do Warszawy, gdzie od byłej izby edukacyjnej otrzymałem patent na profesora liceum Warszawskiego. W tymże roku 1809 obowiązałem się do wykładania filozofii uczniom wydziału lekarskiego, i wykładałem ją przez lat 4, bez żadnej nagrody. W roku zaś szkolnym 1814 $\frac{1}{15}$ dawałem bezpłatnie lekcje języka greckiego w szkołach Warszawskich księży Pijarów. W 1817 roku towarzystwo przyjaciół nauk przyjęło mię do rzędu przybranych; a w 1820 r. do rzędu czynnych jego członków. W tymże 1817 r. odebrałem wezwanie na profesora filozofii do uniwersytetu Krakowskiego, lecz mając już sobie zapewnioną katedrę filozofii w uniwersytecie Warszawskim, podziękowałem uniwersytetowi Krakowskiemu za łaskawe jego względy na mnie. W 1818 r. rozpocząłem pracę w uniwersytecie Warszawskim i otrzymałem od Kommissyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego patent na profesora filozofii stałego i radnego. W 1820 r. w skutku rozporządzenia, rozpocząłem ćwiczenia pedagogiczne w uniwersytecie z kandydatami do stanu nauczycielskiego. W 1821 r. obrany zostałem dziekanem wydziału filozoficznego w uniwersytecie Warszawskim. W tymże roku odebrałem wezwanie na członka towarzystwa do ksiąg elementarnych. W 1823 roku zostałem wpisany do księgi obywateli powiatu Warszawskiego. Odtąd zamiast *Zabellewicz*, zacząłem podpisywać się *Zubelewicz*, a już przed tém używałem dwóch imion, z których jedno (Ignacy), przy chrzcie, a drugie (Adam), d. 1 Maja 1804 r. przy bierzmowaniu otrzymałem. W tymże roku odebrałem wezwanie na inspektora jeneralnego Warszawskiego uniwersytetu, złożyłem więc urząd dziekana; przestałem też pełnić obowiązki profesora filozofii z końcem roku szkolnego 1822 $\frac{1}{3}$, i dla dogodzenia tylko potrzebie uczniów, wykładałem bezpłatnie filozofiją fundamentalną, historiją filozofii i jój literaturę, przez rok szkolny 1823 $\frac{1}{4}$. W 1824 r. odebrałem wezwanie na członka dozoru szkół i pensyi dla płci żeńskiej. W 1826 r. odebrałem wezwanie do odbywania konferencyi naukowych z uczniami instytutu pedagogicznego; obok wspomnionych konferencyj, nie przestałem wykładać pedagogiki dla uczniów uniwersytetu, i wykładałem ją bezpłatnie przez trzy lata. W 1827 roku zostałem wezwany do zastępowania kuratora jeneralnego instytutów naukowych, przez czas jego słabości i do bywania na posiedzeniach Kommissyi rządowej (wyznań religijnych i oświecenia publicznego). Obowiązki zastępcy obok właściwych obowiązków moich, pełniłem od d. 23 Maja 1827 do końca 1828 r. W 1829 r. otrzymałem nominacją na wizytatora jeneralnego instytutów edukacyjnych w królestwie polskim. W tymże roku, Kommissyja rządowa wyzn. relig. i ośw. publ., wezwała mię do przewodniczenia w radzie dozorczo-gospodarskiej instytutu głucho-niemych. W 1830 r. zastępowałem prezydującego w dozorcze szkół i pensyi dla płci żeń-

skiej, tudzież w dozorze szkół elementarnych; oraz zastępowałem dyrektora jeneralnego wychowania publicznego w czasie jego nieobecności w Warszawie.

w Warszawie, w miesiącu Styczniu 1831 r.“

STANISŁAW LISOWSKI.

(*Pochowany tuż obok grobowca granitowego Jana Majorkiewicza bez pomnika*).

Syn żołnierza z czasów księstwa Warszawskiego, który służąc w legii Nadwiślańskiej ozdobiony został krzyżem polskim za odwagę i waleczność; urodził się w Warszawie d. 30 Kwietnia 1820 r. Ukończył szkoły i złożył egzamen dojrzałości (maturitatis) w 1839 r. Następnie udał się do Moskwy na akademię medyczno-chirurgiczną, gdzie po dwóch latach, nie czując powołania do tego zawodu, zajął się daniem lekcyj, i z tego, mając jeszcze zasiłki od ojca swego, mógł się przyzwycie utrzymać. Powziął więc zamiar, znalazłszy przychylnych sobie i przyjaciół, osiedlić się stale w Moskwie; ale wprzód zapragnął ożenić się z tą, którą pierwszą miłością ukochał. Ojciec jego Kacper, miał drugą żonę, tą, córkę w samym kwiecie wieku: Lisowski wraca z Moskwy, bierze ślub d. 6 Października 1842 r. w kościele Panny Maryi, gdzie chrzest otrzymał, i wraca do Moskwy. Ale tęsknota do kraju zmieniła jego widoki, porzuca na zawsze Moskwę i wraca na stałą siedzibę do swego rodzinnego miasta. W 1843 r. polecony przez Jana Wincentego Bandtkiego, F. Bentkowskiemu, został pomieszczony jako dyetaryjusz w archiwum główném królestwa z pensją 1,200 złp. rocznie. Tu oddany mozolnej pracy, powoli rozpatrzywszy się w tym ogromnym skarbcu dla dziejów naszych, przywykł do niej, i rzec mogę, zamilował nowy swój zawód. Od 1847 r. zaczął występować na pole literackie, zaczął się zapoznawać z utworami znakomitszemi literatury krajowej, i zamilowanie jakie powziął, zamieniło się w gorący zapal. W tym szlachetnym kierunku, marzył o pracach wielkich rozmiarów, wykończył drobniejsze rozprawki, zbierał zapasy na przyszłość, a przy tém rausiał walczyć z potrzebami codziennymi, które wzrastały przy powiększonej rodzinie. Wspierał się więc i tu, jak dawniej w Moskwie, lekcjami, a to mu wiele czasu drogiego zabierało, pomimo że wstawał rano, i kilka godzin wyłącznie pracy naukowej poświęcał. Silnej budowy, wysokiego wzrostu włosów jasnoblond, twarzy pociągłej, oczu niebieskich, oblicza niemal zawsze surowego, zdawało się, że pożyje długie lata. Od powrotu przecież z Moskwy, codziennie niemal mniej więcej objawiający się kaszel, był zapowiedzią wewnętrznój choroby. Mało przecież dbał o zdrowie swoje, czy liczył na silną budowę, czy wierzył, że to przemijająca tylko słabość. Z latami wszakże choroba wyraźniej przy ciągłej a mozolnej pracy zwiększała się bardziej. Kiedym mu zwracał często uwagę na potrzebę porady lekarskiej, uśmiechał się tylko i odpowiadał spokojnie, „to wszystko minie.“ Wszedłszy w świat literacki, pisząc do mego *Album literackiego*, a następnie do *Biblijoteki Warszawskiej*, zdawało się że odżył nowém życiem. Praca ciężka, któraby innego zmęczyła, dodawała mu sił nowych. Na obliczu ujrzałeś nieraz wyraz radości serdecznój i uśmiechu, gdy mi przynosił wiadomość o nowém jakim odkryciu na polu dziejów,

czy literatury. Dusza się jego ocknęła i ogniem młodości zatliła: patrzałem z uciechą, że poezja na której czar zdawał się głuchym dotąd, znalazła nie jedną stronę w jego szlachetnym sercu. Żyjąc z Lisowskim w najściślejszych stosunkach przyjaźni, widziałem tę wyraźną zmianę w jego charakterze. Dawniej nieprzyjaciel wszelkich utworów poetycznych, teraz w nich smakował, uczył ich piękność, i nie raz ze łzawionym okiem deklamował mi piękniejsze ustępy, co żywiej przemówiły mu do serca. Krótkie to wszakże dla niego były te uciechy duszne. Choroba wewnętrzna już się zakorzeniła. Czuł coraz większe czasowo cierpienia, z którymi się taił tak przed żoną, jak i przyjaciółmi. Latem w 1851 r. wybrał się na podróż naukową po kraju wraz z Kazimierzem Stronczyńskim znanym badaczem naszym. W niej zebrawszy niemały zasób notat, zachorował; kilka tygodni przeleżał zdala od rodziny, a wróciwszy we Wrześniu, nowym ciosem dotknięty, straciwszy jednorocznego syna, sam zapadł w nieuleczoną słabość. Sztuka lekarska nie posiadała już teraz ratunku, miał bowiem podobnie jak autor Maryi, skira wewnętrzznego. Za powrotem do Warszawy skrzął się jak mógł, chodził, ale coraz sił ubywało, coraz większa posępność osiadała na blednącym obliczu; aż nareszcie padł na łożo boleści, z którego nie powstał więcej. Pięć miesięcy w okropnych wytrwał boleściach: patrzałem się codziennie na te straszne, nie do opisanego cierpienia. Młodość i silna budowa podtrzymywały i przedłużały życie, które dla Lisowskiego było teraz ciężarem. Wychudł do niepoznania, a gdy skonał dnia 7 Lutego 1852 r., po śmierci wyglądał jak starzec dziewięćdziesięcioletni, chociaż nie skończył lat 32. Pozostawił żonę Paulinę z Orłowskich, z którą żył blisko lat dziesięć, i siedmioletnią córkę Cecyliją.

Mało znam ludzi, którychbym obok Lisowskiego na równi mógł postawić co do prawości i szlachetności charakteru i sposobu myślenia. Surowy na pozór i zimny, był to człowiek sercowy, który taił swoje uczucia, ale nieraz wydawał się z nimi wybuchem niespodziewanym, czy to pieszcząc swoją jedynaczkę, czy w pożyciu z żoną, czy z przyjaciółmi, których ukochał i szanował. Zrobić dla przyjaciela przyjemność, uprzedzić nawet jego życzenia, to było chwilą szczęścia dla Lisowskiego, gdy jeszcze zobaczył, że ta jego niespodzianka, sercem ocenioną została. O! wtedy uśmiech rozchmurzał surowe jego oblicze, i nie raz piękna radość jego serca, przemówiła łzami.

Spoczywaj w spokoju, zacny mój i szlachetny przyjacielu, postać twoja i pamięć, wplotła się tak silnie a rzewnie we wspomnienia moje, że nic ich zatrzeć nie zdoła: żałoba moja po twojej stracie, niczém utuloną być nie może.

Z prac naukowych zostawił: 1. Przyłączenie Mazowsza do korony. 2. Wiadomość o nieznanym dotąd rękopiśmie kroniki Marcina Galla w bibliotece hrabiów Zamojskich znajdującym się (1). 3. Ulica Nalewki w Warszawie. 4. O morowem powietrzu w Warszawie. 5. Wiadomość o dwóch uczonych falszerzach historycznych polskich w XVII i XVIII wieku (2). 6. Wiadomość historyczna o księgarniach i drukarniach Warszawskich od najdawniejszych czasów aż do 1793 r., czerpana z akt dawnych (3). 7. Pamiątka przyjscia Szwedzkiego do Warszawy 1655 ro-

(1) Album literackie Tom I.

(2) Album literackie. Tom II.

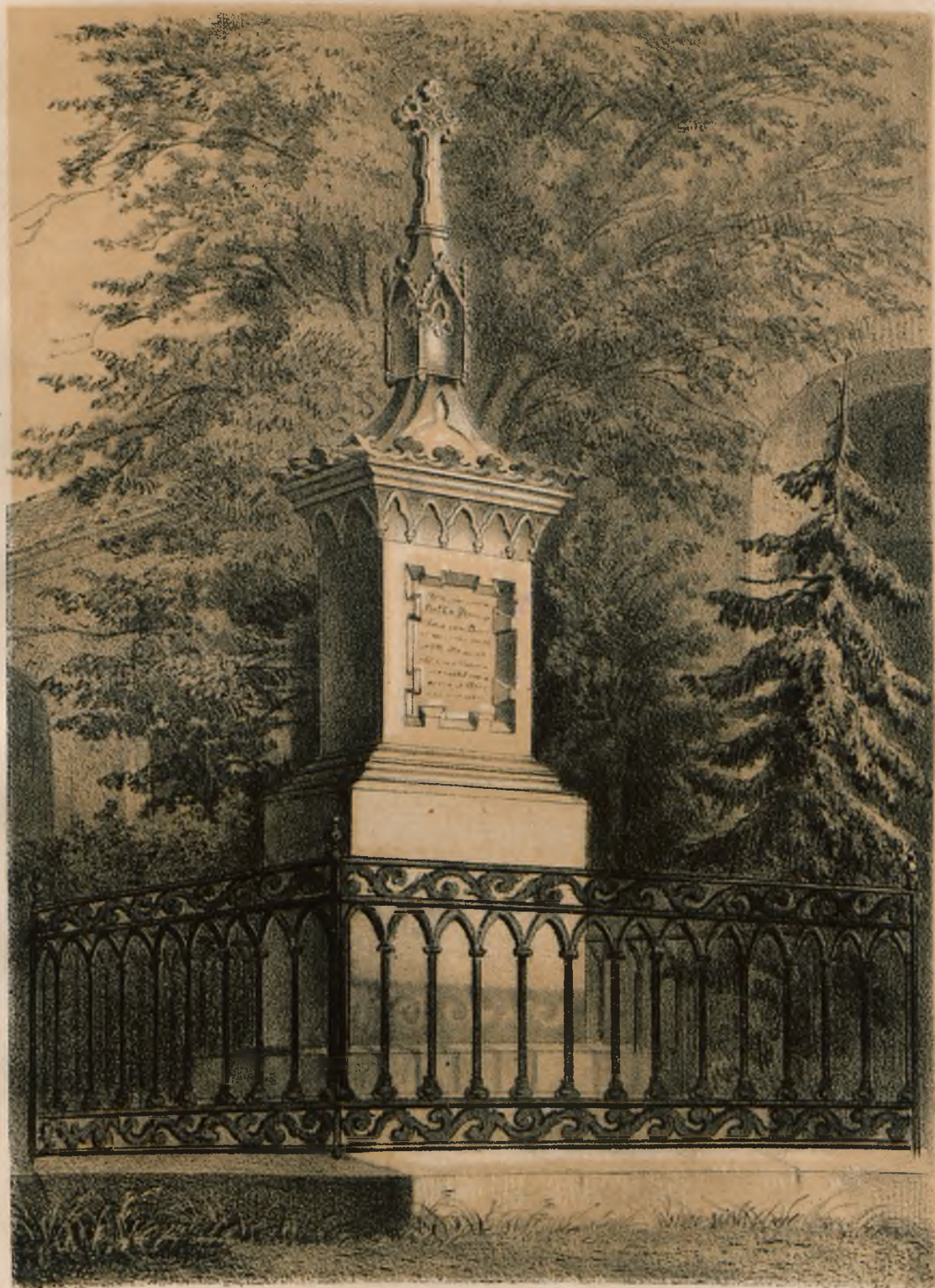
(3) Biblioteka Warszawska 1851 r. Tom 3.

ku (1). Z rozbiorów ogłaszanych w kronice literackiej Biblijoteki Warszawskiej ogłosił: 8. Monaster Skit w Maniawie. J. Wagilewicz. (T. 4. 1849 r.). 9. Starożytności Warszawy, Aleksandra Wejnerta. (T. I. 1850 r.). 10. Przekłady poetów polsko-lacińskich. W. Syrokomli, (Klemensa Janickiego). (T. I, 1850 r.). 11. Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego. A. Paprockiego (T. 2 1850, r.). 12. Tajne listy Zygmunta Augusta do St. Hozyusza, z roku 1549 i 1550, umówionemi znakami pisane z oryginałów, odczytał J. Łepkowski. (T. 3, 1850 r.). 13. Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą, Aleksandra Wejnerta. (T. 4, 1850). 14. Przekłady poetów polsko-lacińskich. T. 2. Jana Kochanowskiego, przekład Wl. Syrokomli. (T. I, 1851 r.). 15. Przekłady też T. 4 i 5-ty, poezyj M. K. Sarbiewskiego. 16. O wsiach tak zwanych Wołowskich na północnym stoku Karpat. Alek. Stadnickiego, (t. 4, 1851 r.). Tłómaczył jeszcze dla Biblijoteki Warszawskiej, najnowsze romanse w Niemczech, (z niemieckiego. T. 2. 1850 r.). Do *Życiorysów znakomitych ludzi*, napisał życiorysy: Aleksandra Puszkina i Mikołaja Karamzina; oddzielnie wydał przekład komedyi Gutzkowa, z niemieckiego: „*Wzór do Świętoszka*.“ Warszawa, 1852 roku, w 42-ce. Oprócz tych prac, do których przywiązał swoją pamięć, wiele mu jeszcze czasu zabierało zgromadzenie zasobów do przyszłych badań dziejowych, o których zamyślał; wreszcie pomoc, której nie odmawiał zasłużonym literatom. Tak prowadził mozolną korektę pierwszego tomu *Pismnictwa Maciejowskiego*; razem z Muczkowskim pilnował korekty drugiej części *Dyplomatarjusza*, robił wypisy z akt dawnych dla Rastawieckiego do *Słownika malarzy polskich*; zbierał herby opuszczone w Niesieckim, przygotował obszerne materyjały do życiorysu Hieronima Radziejowskiego, zamyślał o szczegółowym opisie Warszawy; i swoje zasoby wypisów z metryki koronnej, rzuciwszy się do innej pracy, podarował F. M. Sobieszczańskiemu, znanemu badaczowi naszemu: co wszakże wykonał ogłosił w ciągu czterech tylko lat zawodu literackiego, już to wskazuje, jak miłował dzieje krajowe, i jakim byłby pracownikiem na tém polu, gdyby Bóg mu dłuższego życia dozwolił.

„Archiwum główne krajowe (słowa J. Bartoszewicza), straciło w nim nadzieje swoje w przyszłości, biegłego czytelnika starych pism i aktów województw ruskich: Belzkiego i Wołyńskiego. Stronczyński drukował *Wzory pism dawnych* do nauki archiwaryjuszów, ale wzory te były pism lacińskich; dla ruskich, razem z Lisowskim klucz zaginął (2).“ Władysław Syrokomla, po przeczytaniu rozbiorów Lisowskiego przekładów swoich polsko-lacińskich poetów, napisał list z podzięką, i przypisał mu przekład jednej ody Sarbiewskiego, której nie drukował; została ona pomiędzy papierami zmarłego. Jest zamiarem, pisma wszystkie Lisowskiego zebrać razem i wydać; a z przychodu wystawić chociaż skromny nagrobek, dla uczczenia pamięci tego prawego, szlachetnego człowieka i literata.

(1) Biblijoteka Warszawska, 1851 roku, tom 4.

(2) Julijan Bartoszewicz w Dzienniku Warszawskim 1852 r w Nrze 272, 273, 274 i 275, skreślił obszerny życiorys s. p. Lisowskiego. Czytelnik raczy porównać nasze wspomnienie z powyż cytowaną rozprawą znanego badacza naszego.



Rys z natury Dębicki

w Lit. A. Pecq& C^{ie} w Warsz. Ul. Miodowa 482

Lit. W. Walkiewicz

GROB FELIXA BENTKOWSKIEGO.



№ 626

JAN GRENDYSZYŃSKI.

„TU LEŻY JAN GREN(DYSZYŃSKI) SĘ(DZIA) TRY(BUNAŁU) WOJ(EWÓDZTWA) PODLA(SKIEGO) ZMARŁY D. 25 LIPCA
1825 R. W WARSZAWIE.

„Jemu pomnik wznoszą moc duszy, wielkość cnoty,
I niczém niengięte sędzięgo przymioty.“

(Kamień czasem już zniszczony napis ledwie czytelny: topola go ocienia. Pomniczek ten ukryty leży w pobliżu wysokiego z muru grobowca ś. p. Kochanowskiéj. W 42 kwaterze cmentarnéj, stoi krzyż drewniany skromny, ocieniony trzema akacyjami z napisem poświęconym pamięci jego syna:)

„TU LEŻY STANISŁAW GRENDYSZYŃSKI APLIKANT SĄDOWY, ZMARŁY W WIEKU LAT 22, D. 14 STYCZNIA 1847 R.
POKÓJ JEGO CIENIOM!“

Rodzina Grendyszyńskich pochodząca z Węgier, oddawna osiadła w Galicyi, miała gniazdo swoje we wsi Swilczy. Jan, o którym mówimy, urodzony 1780 r., sierota w dzieciennym wieku gdy oboje rodzice odumarli, odbył nauki w gimnazyjum w Zamościu, a kurs prawa w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, i egzamen uniwersytecki złożył. Poświęciwszy się zawodowi prawniczemu, dla nabrania wiadomości praktycznych, pracował dwa lata u sławnego w owe czasy adwokata Krakowskiego Litwińskiego. Rozpocząwszy służbę publiczną, jako dyjetaryjusz przy sądzie szlacheckim Lubelskim, 1808 r. doszedł pracą i zasługą do stopnia sędzięgo trybunału Siedleckiego w 1818 r.

Znany ze zdolności i prawości charakteru, w saméj sile wieku, bo w 45 roku życia umarł, pozostawiwszy żonę Anielę z Filipowiczów i troje dzieci, bez majątku, i zasobów, bo nieskazitelny w postępowaniu, nie umiał nikczemnymi zabiegami zbierać dostatków, mając za cel życia pracę a prawość.

W pobliżu grobu ojca, spoczywa syn jego Stanisław, co zgasł w młodych latach, strawiony niszczącą chorobą suchot.

BENTKOWSKI FELIKS.

„PAMIĘCI NAJLEPSZYCH RODZICÓW: FELIKSA BENTKOWSKIEGO, BYŁEGO PROFESSORA I DZIEKANA W UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM, SĘDZIEGO POKOJU I NACZELNIKA GŁÓWNEGO ARCHIWUM KRÓLESTWA, ZMARŁEMU D. 23 SIERPNI 1852 R. I EMILII Z ZEJDLERÓW BENTKOWSKIEJ, ZMARŁÉJ D. 11 WRZEŚNIA 1852 R. ORAZ ICH SYNA X. ALFREDA BENTKOWSKIEGO, ZMARŁ. D. 26 LUTEGO 1850 R. BOŻE! DAJ IM WIECZNY ODPOCZYNEK.“

Urodził się w Lubartowie, miasteczku dawnego województwa Lubelskiego, dnia 27 Maja 1784 r. z Józefa i Maryjanny z Nowickich, Bentkowskich⁽¹⁾. Ojciec naszego pisarza, konfederat Barski, przeszedłszy różne losu koleje, przyjął prywatną służbę u księcia Józefa Sanguszki, później Kazimierza Sapiehy i innych panów: od 1787 roku, przeniósł się na stałe zamieszkanie do

(1) Za życia F. Bentkowskiego, skreśliłem po krótkce życiorys jego. z notat, które mi sam udzielił w *Historji literatury Polskiej w Zarysach w tomie 3-cim*, str. 402. W tydzień po zgonie jego, obszerną biografiją Bentkowskiego umieścił H. Skimborowicz w gazecie Warszawskiej z 1852 r.

Warszawy, dla łatwiejszego wychowania dorastających dzieci. Umarł w sędziwym wieku 1815 roku, kiedy już Feliks Bentkowski ustalił swój los, i jako pisarz, zyskał piękne imię. Po domowym przygotowaniu w naukach, chodził do szkół księży Pijarów w Warszawie, skończył zaś je w szkołach po-jezuickich. Prywatnie uczył się języka francuskiego, którego w szkołach publicznych nie dawano. W 1797 roku przyjął obowiązki nauczyciela domowego u Ignacego Tiede, pełnomocnika arcybiskupa Gnieźnieńskiego Krasickiego w Skierniewicach, gdzie przez lat 3 zostając, korzystał z biblioteki tamtejszej. Pragnąc jednakże wyższego ukształcenia naukowego, udał się do *Zullichowa* pod Frankfurtem nad Odrą w 1800 r. gdzie po złożeniu egzaminu, umieszczonym został w klasie 1-jej czyli najwyższej tamtejszego instytutu, i powierzonym miał sobie wykład języka polskiego. W 1802 r., po złożeniu egzaminu *pro maturitate academica*, udał się do uniwersytetu w *Halli* Saskiej, otrzymawszy od rządu zasilek na koszta podróży. Tu mianowany lektorem języka polskiego, wykladał publicznie naukę tego języka, i historiją literatury polskiej. Odbywszy po Niemczech podróże w czasie wakacyi, po dwóch latach pobytu w Halli, wezwanym został na nauczyciela do liceum Warszawskiego, gdzie zostawał przez lat 14, aż do chwili powołania na zastępcę profesora uniwersytetu Warszawskiego, do wykładu historii powszechnej, następnie mianowany profesorem zwyczajnym nauk historycznych i dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych. W 1809 roku, towarzystwo elementarne wezwało Bentkowskiego do ułożenia krótkiego rysu literatury polskiej, mającego służyć do użycia w klasie 6-tjej szkół wojewódzkich. „Czując (pisze sam Bentkowski) ważność dzieł elementarnych, wydałem trzema laty później moje *materyjały*, w dwóch tomach, postanowiwszy sobie, po wysłuchaniu zdań publiczności nad tém dziełem, zająć się dopiero ułożeniem krótkiego rysu, dla użycia szkół przeznaczonych.“ W 1813 roku, b. towarzystwo królewsko-warszawskie przyjaciół nauk, wezwało go na członka swego. Uniwersytet Krakowski nadał mu godność doktora filozofii. Towarzystwo naukowe Krakowskie, zaprosiło go na korespondenta, a towarzystwo naukowe Płockie, na swego opiekuna. Do końca prawie 1830 r., wykladał historiją powszechną w uniwersytecie; po trzykroć był wybieranym na dziekana wydziału nauk i sztuk pięknych, nadto do 1833 r., sprawował obowiązki dyrektora gabinetu numizmatycznego. Otrzymał emeryturę, mieszkał w Warszawie, w domu własnym na Nowym Świecie Nr. 1254. Wybrany na sędziego pokoju okręgu i miasta Warszawy wydziału drugiego, w 1838 roku, mianowanym został przez Komisją rządową sprawiedliwości, naczelnikiem głównego archiwum krajowego. Urząd ten pełnił aż do śmierci. Umarł dnia 23 Sierpnia o godzinie 8-mej z rana 1852 roku na grassującą cholerę, pochowany nazajutrz wieczorem, mając lat siedmdziesiąt jeden i miesiący trzy. Zachował do ostatka czerstwość i rzeźwość, całą przytomność umysłu i wyborną pamięć: długie lata życia zapowiadała jeszcze silna jego budowa. Z prac literackich pozostawił: 1. *Wypisy języka łacińskiego, przez Fr. Gedykie ułożone, a do użycia polaków zastosowane, w Warszawie 1806, 8 vo*, (wydanie drugie 1809 roku). 2. *Wiadomość o najdawniejszych książkach drukowanych w Polsce, a w szczególności o tych, które Jan Haller w Krakowie wydał. Warszawa, 1812, roku, 8-vo*. 3. *Historija literatury polskiej, w spisie dzieł drukowanych wystawiona. Warszawa 1814 r. 2 tomy, 8-vo*. 4. *Wstęp do historyi. Warszawa 1821 r. 4-to. Rys nauk hi-*

starych dla słuchaczy akademickich. 5. *Spis medalów polskich, lub z dziejami krainy polskiej stycznych*. Warszawa, 1830 r. 8-co. 6. *O znakach przecinkowych w piśmie, czyli znakach pisarskich*. Warszawa, 1830 r. (Rozprawa ta mieściła się pierwsiastkowo między rozprawami i wnioskami deputacyi towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk o ortografii polskiej, 1830 r.). 7. *Guizota dzieje cywilizacyi europejskiej*, (przekład), Warszawa, 1842 r. (Tłomaczenie to stanowi tom 1 i 2 *Biblijoteki zagranicznej*, wydanej nakładem redakcyi Biblijoteki Warszawskiej). Od roku 1815 do 1821 r., przez lat siedm, wydawał *Pamiętnik Warszawski*, i był jego głównym redaktorem. Prócz tego w Halskim: „*Allgemeine Literatur - Zeitung*, od r. 1806 do 1820 roku,” wezwany do współpracownictwa, umieszczał rozbiory i wiadomości naukowe literatury i oświaty w Polsce dotyczące. Jako professor uniwersytetu, na posiedzeniach publicznych czytał rozprawy: „*Co jest oświata i jaki naród oświeconym nazwać można?*”, „*Rozprawa o Długoszu*.” *Żywot i prace uczone s. p. ks. Wincentego Skrzetuskiego* (1). Jako członek towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk, skreślił życiorysy Jana *Liweta* i *Wawrzyńca Surowieckiego* (2). Do ostatnich chwil życia nie wypuścił pióra z ręki, i rok rocznie niemal zasiliał Biblijotekę Warszawską, pomniejszych rozprawami i wiadomościami. Ze wszystkich prac Bentkowskiego, „*Historyja literatury polskiej*,” głównie dała rozgłos imieniowi jego, wydana w 1814 r., wszystkich oczy zwróciła na siebie, żadne z utworów najzawołanszych, nie przyniosło bogatszych plonów. Była to chwila, kiedy po rozmaitych zakątach Polski, dużo zabytków literatury dawniej, ważnych nie tylko co do rozjaśnienia przeszłości życia domowego, stanu oświaty, ale i dziejów naszych, tulało się w pyłe zapomnienia. Były to rzeczywiste skarby dla nas, ale wartości ich nikt nie znał. Po wydaniu historyi literatury polskiej Bentkowskiego, znaleźli się zaraz lubownicy do zbierania tych szacownych zabytków, powiększyło się wkrótce ich grono, zapal wzrastał, i rzecz można u wielu w szal się biblijograficzny zamienił. Gockie druki nabierały niesłychanej ceny, zbieracze zaczęli się chlubić, gdy który zdobył jaką broszurę starożytną lub dzieło, a które Bentkowski opuścił. Z czasem uzbierały się biblijoteki z tych skarbów umysłowości naszych ojców. Sam Bentkowski wpłynął wielce na to lubownictwo szlachetne. Tytus hrabia Działyński z miłośnictwa koni, przeszedł na lubownika tych pamiątek, i zebrał też potężny księgo-zbiór, bogaty w najrzadsze i najosobliwsze zabytki. Zapal ten, pobudzony dziełem Bentkowskiego, dał nam obfite owoce. Poznaliśmy pisma, począwszy od pierwszych inkunabułów tak łacińskich jak polskich, aż do chwil ostatnich; z nich rozpatrywać się sami zaczęliśmy w przeszłości mgłą wieków przysnutęj, nowe coraz zdobycze rozjaśniły nam ten obraz. Teraz po zbadaniu rzeczy dawniej nieznanych, zaczęto myśleć o napisaniu *Historyi literatury*, odpowiadającej więcej swemu tytułowi, jak praca Bentkowskiego; zaczęto nazywać ją katalogiem, chociaż sam Bentkowski dawszy napis: „*Historyja literatury polskiej, w spisie dzieł drukowanych wystawiona*,” z góry zapowiedział, że tylko dokładnym spisem dzieł, podaje materyjał do historyi literatury. Czterdzieści lat oddziela nas od chwili wyjścia dzieła Bentkowskiego, zważa-

(1) Rozprawy te drukowane są w programmatach uniwersyteckich z lat: 1818, 1819 i 1827.

(2) Roczniki Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk. Tom X i XXI.

jąc na postęp naszej literatury i historii, przeżyliśmy więcej jak wiek cały, pomimo to, dziś gdy piszemy, praca ta, dla każdego z literatów, chcących badać literaturę ojczystą, dla każdego zbieracza ksiązek polskich, jest niezbędną. Prawda że wymaganiom i potrzebom naszego czasu, Bentkowskiego dzieło już dziś nie wystarcza, ale na swój okres, było jedném z najznakomitszych prac literackich, a ze skutków przeważnego wpływu na ruch umysłowy, nieocenioném. Bentkowski obudził zmartwiałe umysły do uszanowania zabytków przeszłości i miłość ku nim w sercach na zawsze zaszczerpił, tak jak we dwa lata T. Święcki wydaniem *Opisem Starożytnéj Polski*, zwrócił uwagę na kraj własny, na potrzebę poznania téj ziemi, grodów i ruin, któremi przeszłość wymowniej jeszcze przemawiała do potomnych.

We dwadzieścia dni nie spełna, po śmierci męża, z żalu i smutku po stracie tak bolesnej dla siebie, zmarła pozostała wdowa, i obok zwłok męża razem pochowaną została. Bentkowski w swojej autobiografii, tak o swéj małżonce wspomina w 1823 r. „Dzień 9 Lutego 1812 roku, nader jest ważny w życiu mojem, jako dzień wejścia w związek małżeński z Emiliją Zejdlar, która, prócz nieocenionych przymiotów serca i duszy, sprawujących rok już dwunasty moje szczęście domowe, wniosła nadto znakomity posag, mający posłużyć do ustalenia losu dzieci.“

Na grobowcu czytamy imię Alfreda Bentkowskiego, jest to syn ich najstarszy, urodzony w 1813 r. Zostawszy doktorem medycyny w 1836 r., naturalizował się w Prussach, i znanym już był u nas jako pisarz (1). Zapadł na chorobę piersiową, wyjechał do Włoch, a z Rzymu 1844 r. pielgrzymował do Ziemi Świętej. W 1848 roku, przyjął święcenie kapłańskie, a dnia 26 Lutego 1850 roku umarł w domu Rzymskim, przy kościele ś-go Andrzeja apostoła i Klaudyjusza patrona Burgundyi.

KRZYŻANOWSKI ADRYJAN.

„BOGU CZĘŚĆ I CHWAŁA! ADRYJANOWI KRZYŻANOWSKIEMU, BYŁEMU DOKTOROWI FILOZOFII, PROFESSOROWI NAUK MATEMATYCZNYCH W UNIWERSYTECIE ALEKSANDRYJSKIM W WARSZAWIE, URODZONY D. 8 WRZEŚNIA 1788 ROKU ZMARŁ D. 21 SIERPNI 1852 R. (2). NAJLEPSZEMU OJCU DZIECI OSIEROCONE PO NIM I PO DROGIÉJ MATCE CECYLII ZKAMOCKICH ZMARŁÉJ 1851 R. W WĘGRZYNOWICACH W RAWSKIM, TĘ PAMIĄTKĘ WDZIĘCZOŚCI I ŻAŁU POSTAWIŁY.

Głośną słynął nauką, tań swoje cnoty,
Cześć pozyskał uczonych, wdzięczną łzę sieroty,
Żył tu na ziemi jako duch błogosławiony,
Zgasnął miłością nauk i ludzi strawiony,
Ale życie tak piękne, tak wzniosłe, nie ginie,
Lecz zawsze płonie światłem w wieczności krainie.

TU OBOX OJCA TRZECHLETNIA NEPOMUCENA ZMARŁA D. 9 LIPCA 1847 ROKU.

Aniołek ziemię porzucił,
Aby do nieba powrócił.“

„Urodziłem się (mówi sam Krzyżanowski w swojej autobiografii) 1788 r. z dnia 7 na 8-my września we wsi Dębowie, województwie Augustowskiém. Rodzice moi Ignacy i Bogumiła

(1) H Skimborowicz, Gazeta Warszawska, 1852 roku.

(2) Szczególnym wypadkiem o jednej godzinie dwaj professorowie uniwersytetu umarli. A. Krzyżanowski zmarł na dwa dni przed F. Bentkowskim o godzinie 8ej wieczorem. Bentkowski o godzinie 8 z porania.



Rys. znatury N. Dęnicki.

Głęboko w ul. Ring w Warszawie, ul. Rymarska, N° 744.

Lit. W. Walkiewicz.

GRÓB ADRYANA KRZYŻANOWSKIEGO.



nr. 626

z Przyluskich Krzyżanowscy, religii katolickiej, stanu szlacheckiego, byli posessorami téjże wsi (1). Pierwsze lat 10 życia mojego upłynęły po większej części wśród politycznej burzy, w której rodzice moi, majątek jaki mieli, utracili. Już za panowania prusaków, oddany do szkół Łomżyńskich pijarskich, w 1799 r., skończyłem je w 1805 r. mając lat 17. Nędza z upadku rodziców pochodząca, i zaniedbana pod ówczesnym panowaniem, ze szkoda ucząc się młodzieży, sprawa publicznego wychowania, uczyniły żałośnie pamiętnym, mój siedmioletni w szkołach strawiony przeciąg czasu. Z tak ukończonych szkół, udałem się do Warszawy, gdzie wszedłem do zgromadzenia księży Pijarów, i tu słuchałem przez rok jeden gruntowniejszego nauk wykładu i sposobilem się do stanu nauczycielskiego. Od 1806 na 1807 rok, byłem przez 3 lata nauczycielem w klassach niższych szkoły Żoliborskiej w Warszawie. Tu ułożyłem na wezwanie konkursowe z d. 10 Czerwca 1808 r. Izby edukacyjnej, książkę dla szkół elementarnych, która przepisana później przez rzeczoną magistraturę, dla pensyi i szkół płci żeńskiej, lecz tylko w rękopiśmie zachowana, służy obecnie za dowód trzechletniego pierwiastkowego nauczycielstwa mojego. Przez rok 1809 i 1810 uczyłem matematyki w gimnazjum Rydzynskim w Wielkopolsce, a następnego roku wyszedłszy ze zgromadzenia pijarskiego, nieobowiązany zakonnemi ślubami, przepędziłem u familii. W tym czasie prywatnemu nauczycielstwu poświęcony, wypracowałem i Izbie edukacyjnej przelałem rozprawę, o najdogodniejszym sposobie uczenia i napisania geometryi elementarnej. Za tę pracę przez ówczesne towarzystwo elementarne roztrząśniętą i pochwaloną pod dniem 3 Sierpnia 1811 r., poruczyła mi Izba edukacyjna katedrę matematyki w szkole departamentowej Płockiej, z tytułem zastępcy profesora. W 1812 r., d. 15 Lipca, zaszczyliła mnie magistratura oświecenia patentem na aktualnego profesora w téjże szkole. Byłem nim ciągle przez lat pięć, to jest do 1817 r. W dwóch ostatnich latach mego w Płocku pobytu, ogłosiłem drukiem: *Mowę mianą przy zaczęciu szkół*, 1815 r. w zamiarze dobra instytutu, i *Teoryją liczebnych równań wszech stopni*, opartą na formule Newtona (1816 r. w Warszawie): własnym zaś staraniem i kosztem wzniosłem i utworzyłem biblijotekę szkolną, i tę od 500 które zastałem, przywiodłem do 2,000 voluminów, jak to akta szkoły Płockiej z lat 1815, 1816 i 1817 złożone w archiwum Kommissyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, zaświadczyć mogą. Po 10 latach publicznego nauczycielstwa, a w 29 wieku mojego, wziąłem postanowienie, przez żądę gruntownego oświecenia się i usposobienia do posług krajowych w zawodzie nauczycielskim i literackim, uczynić ofiarę z zebranego grosza, wyprzedać się ze sprzętów kosztownych i gospodarskich i zostać studentem uniwersytetu zagranicznego. To moje postanowienie pochwaliła b. Kommissyja rządowa wyz. relig. i ośw. publ. i o jej koszcie, wyjechać do Francyi pozwoiliła. Udałem się więc w 1817 r. przez Niemcy północne do Paryża, i tu obróciłem lat 3 na pracę najusilniejszą około nauk matematycznych i fizycznych. Słuchałem w akademii tamtejszjej kursów profesorów: Poisson, Lacroix, Gay Lussac, Biot, Dinet, Hachette, Haüy, Brognard, Mathieu, Arago i Blainville. Chodziłem nadto na prywatny kurs wyższej analizy prof. Pawła Binet i fizyologii antropologicznej doktora Gall. Kurs prof. Binet był dla mnie najważniej-

(1) Pisał to A. Krzyżanowski w 1823 roku.

szym ze wszystkich. Galla zaś za najprzyjemniejszy. Z prac moich i z odniesionych za granicą korzyści, zdałem obszernie sprawę Kommissyi oświecenia w 1820 r. po moim do kraju powrocie, który przez południowe Niemcy odprawilem. Trzeciemu rokowi mojego za granicą pobytu, winienem główną część usposobienia mojego i obecną wartość moją. Na ten rok jednak, odmówioną mi była pensya i względy zasłużone 12-sto-letniem poświęceniem się. Mimo to, nie wahałem się wydać w tym roku ostatni grosz, na obronę drogiej nam własności i chwały, zaprowadziwszy do mennicy Paryzkiej w miejsce falszywych (które mi oddano) prawdziwe stemple do medalu Kopernika, z napisem moim, wyrażającym, że ten twórca dzisiejszej astronomii był polakiem. Na koszta reszty pobytu mojego za granicą wyszło własnych 9,000 zlp., a do pożyczonych 4,000, razem 13,000 zlp. Za to, choć już sprzedałem zagniony potrzebą, książek za 3,000 zlp., jestem dotąd długami i niedostatkiem dręczony. Wystawionego na takową, już rok czwarty, najdolegliwszą walkę, pociesza w tym samym czasie doznawana od wysokiej mojej magistratury względność i dobra opinija. W 1820 r., po moim do kraju powrocie, mianowała mnie Kommissya rząd. wyzn. relig. i ośw. publ. w szkole województwa Krakowskiego w Kielcach pierwszym professorem. Tu w ciągu roku jednego, oprócz dopełnienia obowiązków przywiązanych do 18 lekcyj na tydzień, napisałem dzieło, do którego za granicą zebrałem materiały: *Jeometrii analitycznej linii pierwszego i drugiego rzędu*. Ta praca moja pochwalona od Kommissyi rządowej wyz. relig. i ośw. publ. wyszła w skutek jej zachęcenia, na widok w 1822 roku nakładem własnym, dostarczoną mi sposobem pożyczki od moich dawnych kolegów i przyjaciół. Tu narazie napisałem wydrukowaną wkrótce potem w Warszawie rozprawę: „*De construendis curvis ellipsoidicis ope projectionis graphicae*”, w zamiarze otrzymania stopnia doktora filozofii. Stopień ten, obroniwszy publicznie rzecz moją, otrzymałem dnia 10 Sierpnia 1821 roku od królewskiego Warszawskiego uniwersytetu. W tym samym miesiącu i roku, względna na położenie moje Kommissya rządowa wyz. relig. i ośw. publ., patent na profesora liceum Warszawskiego; w następującym zaś miesiącu Wrześniu, w dniu, w którym kończyłem 33-ci rok życia mojego, poruciła mi katedrę mechaniki analitycznej i algebry wyższej w uniwersytecie Warszawskim, za niebyły uznawszy patent do liceum. Najpiękniejszymi w życiu mojem dniami zostaną te, w których pod dziekanstwem Zubelewicza, a rektorstwem J. W. ks. Szwejkowskiego, zostałem doktorem filozofii i professorem w uniwersytecie Warszawskim. Z dobrą sumieniem odwołałbym się do moich słuchaczy, do wydziału, do dziekana i rektora, jak wypełniałem obowiązki włożone na mnie, w tej głównej kraju naszego szkole. Tu wypracowałem w pierwszym roku rozprawę akademieczną, o *życiu uczoném Stanisława Solskiego*, drukowaną 1822 r., a potem zająłem się wydaniem na widok przejrzanej i poprawnej *Jeometrii analitycznej* (1). Przysłużyłem się nadto artykułami literackimi niektórym pismom peryjodycznym, a w szczególności Pamiętnikowi Warszawskiemu, rozprawą: „O zabytkach mowy Sławiańskiej, pozostałych w krajach niemieckich, które kiedyś były ojczyzną Sławian 1823 r.” (2).

(1) *Jeometrija analityczna linii i powierzchni drugiego rzędu*. Warszawa, 1822 r. 8-vo

(2) *Pamiętnik Warszawski* z 1823 r. Tom IV.

Kiedy to pisał Krzyżanowski (1), był już professorem stałym uniwersytetu i członkiem towarzystwa do ksiąg elementarnych. Obowiązki te pełnił aż do 1831 r., w ciągu tego czasu został członkiem towarzyst. Warszaw. przyjaciół nauk. Przyszły mozolne chwile na Krzyżanowskiego, musiał z prywatnych lekcji opędzać wszystkie potrzeby życia, i swojej rodzinie zapewnić utrzymanie. Otrzymawszy wszakże po kilku latach nie tylko zwyczajną emeryturę, ale i zaległą, porzucił stan prywatnego nauczyciela, zaniechał i matematykę a oddał się wyłącznie badaniom dziejów ojczystych. Na tém pracując polu, zostawił z prac swoich najważniejszą pod n. *Dawna Polska* (2). H. Skimborowicz, który tak Bentkowskiego jak Krzyżanowskiego zaraz po ich zgonie napisał obszernie życiorysy, trafnie to dzieło ocenił, wykazując jego wady i zalety (3). Do badań dziejowych należy rozprawa: „*Rys dziejów zakonu Maltańskiego w Polsce*,” której początek był drukowany w Album Warszawskiem 1843 r., wyjątek drugi z tej ważnej pracy ogłosił w roczniku St. Strąbskiego na rok 1851, p. n. „*Dziejowość bojowych zapasów chrześcijaństwa z potęgą turecką w XV i XVI wieku*,” reszta pozostała w rękopiśmie. Zebrał do tego przedmiotu obszernie materiały i do zbiorów objaśniających dzieje Maltańskie w Polsce, miał wstęp otwarty, ale odkładał wykończenie tej pracy, aż śmierć przerwała rzecz znacznie posuniętą. Pisał wiele drobniejszych rozpraw, któremi wspierał różne pisma peryjodyczne (4). Zakończymy wspomnienie nasze słowami H. Skimborowicza i porównaniem, jakie skreślił zmarłych Krzyżanowskiego i Bentkowskiego (5).

„Krzyżanowski, był to człowiek mający za godło: *pracę i użyteczność*, i tej cechy nigdy się nie pozbyszał. Skromnie wychowany w zaciszu wiejskiem, a do tego, zachwyciwszy nieco po-

(1) Dnia 26 Września 1823 roku.

(2) *Dawna Polska, ze stanowiska jej udziału, w dziejach postępującej ludzkości, skreślona w jubileuszowym Mikołaja Kopernika 1843 roku* Warszawa. 1844 r. (8-vo ark. 58).

(3) *Gazeta Warszawska* z 1852 roku.

(4) Wyliczymy tu wszystkie

W pamiętniku umiejętności sztuk i nauk 1825 r. „*O trudnościach zachodzących w wykładzie zasad geometrii elementarnej*.” W kalendarzu powszechnym redakcyi K. I. Niezabitowskiego, od 1838 do 1846 r. 1) *O gwiazdach spadających*. 2) *O gwiazdach podwójnych*. 3) *Wszehwiat i jego ogrom*. 4) *O dowodach, wypadkach i przyczynie stygnięcia kuli ziemskiej*. 5) *O Wielkiej nocy i wyrachowaniu dnia tej uroczystości*. 6) *O świętach ruchomych i wyrachowaniu dat wyrażonych niemi*. 7) *Wisła i nowe ujście tej rzeki*. 8) *Wspomnienie Jubileuszowe Kopernika, tudzież kalendarz historyczny*. 9) *O kalendarzu żydowskim*. 10) *O kalendarzu arabsko-tureckim*. W Biblijotece Warszawskiej z 1841 r. „*O rodzinach współczesnych i zażytych w Krakowie z Kopernikami*.” W Roczniku St. Strąbskiego na rok 1852. „*Mikołaj Kopernik i Jan Sniadecki astronomowie polscy*.” W Pamiętniku religijno-moralnym. 1851 r. „*Pogląd na powołanie, dzieje i sprawy zakonu Trynitarzy w Polsce*.” Tłumaczył z niemieckiego A. Bronikowskiego powieści historyczne: „*Kazimierz Wielki i Esterka*, 1828 r. 2 tomy, i *Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francyi*, 2 tomy, które zobaczą wielce ważnymi dla dziejów naszych przypisaniami.

W notach własnoręcznych, które mi s. p. Adryjan Krzyżanowski udzielił sam, wylicza dwie oddzielnie wydane prace:

„*Teoryja liczebnych równań wszelkich stopni, podług binomu Newtona, w Warszawie, 1816 r. 8-vo.*”

„*Z czyjej winy królów, czy narodu, Polska upadła?* w Kielcach 1821 r. Rozprawa ta weszła całkowicie w *Dawną Polskę*, i rzecz można, że myśl jej głównie panuje w całym dziele, do niej nawet całą dążność swoją zwrócił, przydawszy do tego jezuitów. (Zobacz *Historija literatury polskiej w zarysach*, 1846 r. Tom 4, gdzie na str. 468 podałem główną myśl Dawniej Polski).

(5) *Gazeta Warszawska*. Nr. 235, z 1852 roku.

wietrza murów klasztornych, przybierał zawsze na się postać prostaczka ewangelicznego, na téj wielkiej zasadzie pisma ś-go: że „kto się poniża, podwyższon będzie.“ Przeciwnie Bentkowski, był człowiekiem światowym, sama postawa jego wspaniała, mniej się mogła ugiąć, przynajmniej w oczach wszystkich. Jako profesorowie, oba zarówno znali swój przedmiot, i prawie téż jednostajnie ze względu wartości wewnętrznej wykładali. Jako pisarze, oddzielne na sobie noszą odcienia charakterów. Bentkowski wszystko prawie chwalił, rzadko co u niego na nagane zasłużyło; Krzyżanowski zwłaszcza w działaczach przeszłości, starał się jak najslabszej dopatrzeć strony, i każdy wypadek, niby medal z dwóch stron opisać, niekiedy rysy głównej strony zacieraly się, ale to tylko niekiedy, a nawet bardzo rzadko. Sposób widzenia rzeczy obu pisarzy, zupełnie różnił się w wielu razach. Krzyżanowski, chociaż nie biblijoman, ostatni grosz wydalby na książki, dla tego téż bardzo piękne zostawił zbiory. Bentkowski, jakkolwiek bibliograf, nie posiadał żadnych rzadkości właściwych zbiorom bibliografów. Krzyżanowski do ostatniej prawie chwili życia nie zapominał pióra, które uważał za jedyny środek utrzymania siebie i rodziny. Los mu i tu stanął na zawodzie! Na krótko bowiem przed śmiercią jego, zabrał małżonkę (1), a zacny osiwiaty mąż, schodząc ze świata, smucił się w duszy, że zostawia biedne sieroty, a zaledwo tylko jednego syna, którego zdołał ukształcić na godnego po sobie następcę i opiekuna nieletniego rodzeństwa. Jakże inną, stokroć kwiecistszą w tymże kierunku przebiegł drogę Bentkowski! Oba się poświęcali najprzód wychowaniu prywatnemu, potem publicznemu, oba zostawili w piśmiennictwie polskiem niezatarte imię, jeden naukę miał za cel, drugi za środek. Oba bronili rodowości polskiej Kopernika, oba w ciągu lat ostatnich byli niejako reprezentantami hierarchii, tak uniwersytetu Warszawskiego, jako téż byłych towarzystw naukowych, a mianowicie towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, Lublinie i Płocku; towarzystwa do ksiąg elementarnych i odnowionego dziś towarzystwa naukowego, z uniwersytem Jagiellońskim połączonego.“

FELIKS PANCER.

(Grób w ziemi z kamienia, na nim napis:)

„GRÓB FAMILII PANCERÓW.“

Urodził się d. 28 Maja 1798 r. w dawném województwie Sandomierskiem, umarł w Warszawie dnia 16 Marca 1851 roku. Początkowe wychowanie odebrał w szkole departamentowej w Wąchocku, skąd w 1812 r. przeniósł się do takiejże szkoły Krakowskiej, gdzie zupełny kurs nauk w 1815 r. ukończył. Zapisawszy się w poczet uczniów wydziału filozoficznego uniwersytetu Krakowskiego, po dwóch latach, otrzymawszy najchlubniejsze świadectwa, w 1818 roku wszedł do b. wojska polskiego, do korpusu inżynierów w stopniu konduktora. Pomiędzy różnymi broni téj, właściwymi pracami, było podówczas zdjęcie na wielką podziałkę planu miasta

(1) Zgon ten małżonki, przyspieszył śmierć ś. p. Krzyżanowskiego; wśród panującej epidemii, pogrążony w smutku i boleści, chodząc na grób żony, z zaziębienia i zgrzyoty dotknięty cholera, umarł.

Warszawy. Tu okazał Pancer znakomitą zdolność i nieprzerwaną pilność, a te zalety połączone z godnym i szlachetnym postępowaniem, zwróciły uwagę zwierzchności wojskowej, i zjednały stopień podporucznika w 1820 r. Miał teraz większe pole okazania, i owę żelazną a wytrwałą pracę i znakomitych zdolności. Za wykonane roboty w twierdzy Zamościu, nagrodzony został stopniem porucznika (1). Najpierwszym projektem Pancera, między 1820 i 1821 rokiem, był most o łuku żelaznym, mającym się opierać na obydwóch ładach Wisły pod Warszawą (2). W 1825 roku powierzoną miał sobie budowę mostu drewnianego na palach ze zwodem, dla przepuszczania statków, między twierdzą Modlinem, a kępą Szwedzką na Narwi. Kto most ten pamięta, przyzna zaprawdę, że kierujący budową, przy znajomości sztuki, dał dowody niewyczerpanej pilności i bacności na najdrobniejsze nawet szczegóły konstrukcyi, składające ogół kamieniarskiej roboty w przyczółku od strony twierdzy, i roboty ciesielskiej w całej budowie mostu, wraz z przyczółkiem z lewego brzegu Narwi. Ile przemógł trudności w założeniu bulwarku kamiennego z prawego ładu, z powodu rzadkiego i przesiąkającego gruntu, jakie pomysłu swego wprowadził w użycie czerpaki do wylewania wody, i kafary mechaniczne do bicia pali, o tém wspominają ci, którzy wówczas odbywali pod okiem jego uczoną praktykę. Potrafiła władza wojskowa ocenić wysoki talent, skoro w 1827 r. powołała Pancera na profesora budownictwa lądowego i wodnego, w szkole wojskowej aplikacyjnej. Jak zaszczytném było podobne wezwanie, tak obowiązek w wykonaniu trudny i mozolny. Już samo powołanie każdego nauczyciela jest kłopotliwém, cóż dopiero nauczyciela przedmiotów, które w braku dzieł krajowych, należało obrabiać z ksiąg cudzoziemskich, mających niezbitą powagę naukową za sobą. I tej niezmierniej pracy umiał Pancer podjąć; wykład jego był jasny do pojęcia łatwy, a uprzejmość w udzielaniu żądanych objaśnień, połączonych z głęboką nauką, jedna mu wysoki szacunek i miłość uczniów szkoły, która w obrębie nauk, mogła się równać z szkołą politechniczną zagraniczną (3). W 1830 r. zmuszony dla rodzinnych interessów uwolnić się ze służby wojskowej, w tymże samym roku przeszedł w służbę cywilną. Ówczesny minister skarbu, przyjął Pancera według jego zasług i wartości osobistej, a oceniając tak zdolność umysłową, jak i prawość charakteru, powierzał mu ważniejsze projekta i czynności techniczne do wypracowania. Od roku 1832 poczyna się nowy okres inżynierskiego zawodu dla Pancera. Mianowany inżynierem referentem w Kommissyi rządowej spraw wewnętrznych wydziału przemysłu, a zarazem członkiem rady budowniczej królestwa, odrabiając czynności do urzędu przywiązane, przyjął nadto bezpłatny obowiązek wykładania mechaniki budowniczej, w kursach tymczasowych, zaprowadzonych przy téjże kommissyi. Ile z wykładu tego korzystała kształcąca się młodzież, sąd sama wydać może, przeszedłszy dziś w ludzi doświadczonych na polu zasługi. Kurs przez niego ułożony dotąd jest niemalą w tym zawodzie naukowym pomocą. W 1838 r. mianowany inspektorem generalnym dróg i mostów w wydziale pomienionej Kommissyi, a w 1846 r., w zreorgani-

(1) F. Marczewski, życiorys Pancera w Gazecie Warszawskiej. Nr. 102 z 1851 r.

(2) Opis tego śmiałego pomysłu i przedsięwzięcia, czytelnicy znajdą w dziełku samego Pancera, p. n. „Wiedomość o nowym rodzaju mostów na wielką otwartość.“

(3) F. Marczewski, j. w.

zowanym zarządzie, mianowany został członkiem ogólnego zebrania, inspektorem zarządu XIII okręgu komunikacji. Jednym z główniejszych dzieł Pancera, był most na Wieprzu pod *Kośminem*, w 1832 r. postawiony. Most ten z drzewa, na przyczółkach z ciosowego kamienia, złożony w jednym otworze, z trzech luków drewnianych, z pokładem wiszącym, jest jedynym w tym rodzaju z mostów w kraju naszym. W budowie tej widać śmiałość i pewność pomysłu, a dokładność wykonania. Lecz nad wszystko to, co z rozkazu rządu wykonał, pomnikiem chwały naukowej Pancera, zostanie *Zjazd do Wisły*. Rodzaj tej kolosalnej i poważnej budowy, rozmiary arkad, często do 60ciu stóp otworu dochodzących, są rzec można, pierwszymi w Polsce a wydatki poniesione na tę drogę, są dowodem oszczędności w projekcie i rzetelności sumiennej w wykonaniu. Droga ta, dziś przyjemna i ulubiona przechadzka mieszkańców Warszawy, ta równia pochyła, przy umiarkowanym spadku, oszczędzająca nużących wysilen transportowych, daje mu prawo do wdzięczności publicznej⁽¹⁾. Tablica z lanego żelaza, pod jedną z arkad tego zjazdu umieszczona, przechowała pamięć znakomitego budownika, w tych słowach: „*Rozpoczęto w roku 1844, ukończono w roku 1846, budował inspektor komunikacji Felix Pancer.*“ Ujęcie w karby nurtów bystrzej Wisły, od Warszawy do Nowogeorgijewska, jego staraniu rząd zostawił. Wykonał on w skutku tego, wiele dzieł faszynowych, które, spychając wdzierającą się w łądy, królowę rzek naszych do zamierzonego koryta, przecięły szkody nadbrzeżom zagrażające, i splaw udogodniły. Ostatnie lata życia Pancera, zajmowało odbudowanie mostów pod *Zegrzem* i pod *Ostrołęką* na Narwi. Lecz były to podrzędne tylko dla niego zajęcia, głównie bowiem w tym czasie rozmyślał i pracował nad projektami zaopatrzenia części Warszawy wodą wiślaną, i budowy stałego mostu na Wiśle pod témże miastem. Projekta te wykończone, oczekiwały zatwierdzenia rządu. Obok tych prac w kraju, Pancer przedsiębrał i dla zagranicy roboty. Ogłoszony konkurs projektu mostu na Renie pod *Koloniją*, obudził w nim szlachetny zapal. Wygotowany w zupełności projekt, złożony z wielu rysunków konstrukcyjnych, obrachowań szczegółowych, i wszelkich wiadomości w tym względzie potrzebnych, przesłał Pancer właściwemu rządowi. Z prac literackich pozostawił rozprawy: w *Pamiętniku Warszawskim umiejętności czystych i stosowanych*, 1829 r. 1) Myśli o piękności w architekturze. 2) Kilka uwag nad pisownią polską, z powodu pisma o tym samym przedmiocie Joachima Lelewela. 3) Jaka mogła być przyczyna rozrzucenia kamieni w północnych krajach Europy? 4) Uwagi nad atmosferą ziemską. 5) Rozpoznanie kamieni na mróz nie wytrwałych, sposobem p. Brard. 6) Nowy sposób używania siły wiatru do machin. 7) Nowy sposób użycia wody do poruszania machin. 8) Zagadnienie do rozwiązania. 9) Kąt do przenoszenia rysunków z jednej podziałki na drugą. 10) Szyje walców w machinach parowych całkiem metalowe. 11) Osobliwy skutek oporu powietrza w rurach. 12) Wiadomość o robieniu i użyciu sztucznego wapna wodotrwałego (hydraulicznego), przy kanale Augustowskim. W *Pamiętniku fizycznych, matematycznych i statystycznych umiejętności*, z 1830 r. 13) Nowa teoria wiatraków. 14) Wiadomości o nowym rodzaju mostów żelaznych na wielką otwartość, wynalazku F. Pancera. W *korespondencje handlowej*,

(1) F. Marczewski, Gazeta Warszawska. Nr. 102, z 1851 r.

przemysłowym i rolniczym przy gazecie Warszawskiej, z 1843 r. 15) Nowy system teleskopów, mający na celu doprowadzenie do daleko wyższego niż dotąd stopnia mocy powiększających tychże. W tym wynalazku nowego systemu teleskopów wyprzedził Pancera Talbot, a to z okoliczności budowania olbrzymiego teleskopu Lorda Oxmantona w Irlandyi. Wyczytawszy o tém krótką wzmiankę w pismach, pośpieszył Pancer z ogłoszeniem swego pomysłu. W kalendarzu Janickiego z 1850 roku. 16) Największe budowy w dawnych i nowych czasach. „Cechowały Pancera (mówi jego przyjaciel, a zmarły już Stanisław Janicki), obok nieskażonej prawości, zdolność nadzwyczajna, pracowitość niezmordowana i wytrwałość nieugięta. Jako budowniczy inżynier, pozostawił znakomite pomniki swego wysokiego uzdolnienia. A komuż to wienien był usposobienie swoje do wykonania dzieł takich? Głównie sobie samemu. Bo Pancer nie miał sposobności widzieć naocznie zadziwiających dzieł sztuki i przemysłu w krajach innych, nie był za granicą kraju naszego, w podobne dzieła tak ubogiego, w porównaniu z innemi. Ale przysposobiwszy się gruntownie w umiejętnościach matematycznych i fizycznych, tak, iż między wyłącznie w téj dziedzinie pracującymi, celować był w stanie, otoczywszy się księgami najkosztowniejszymi, w cichości gabinetu swego, poznał wszystko, co poprzednicy jego, gdziekolwiek w zawodzie przezeń obranym i polubionym znakomitego dokonali, i wniknął duchem swoim w te dzieła, do tego stopnia, że najbiegłęjszy nie mógł się być domyśleć, iż Pancer nie widział i nie podziwiał na miejscu dzieł budownictwa inżynierskiego we Włoszech, Francyi, Anglii i innych krajach. Jakiéjże pracowitości, jakiej wytrwałości w dokonaniu tego potrzeba było? Dowodzi to wielkości ducha, jaki Pancera ożywiał (1).“ Słowa te skreślił ten, co lat blisko czterdzieści żył z nim w ścisłych stosunkach przyjaźni, co go wielbił równie jak wszyscy zbliżeni, z prawości charakteru, wysokiej nauki i talentu, bo Pancer równie zasługiwał na cześć w kole rodzinném i przyjaciół, jak i na polu zasługi krajowej.

ANDRZÉJ GOŁOŃSKI.

„ANDRZÉJ GOŁOŃSKI, RADCA BUDOWNICZY, PRZEŻYWSZY LAT 55 ZMARŁ D. 18 WRZEŚNIA 1854 R. WIECZNY POKÓJ,
NIECH WESELI DUSZĘ JEGO.“

Urodzony d. 24 Listopada 1799 r., po skończeniu szkół pijarskich, a następnie kursu nauk w byłym uniwersytecie Warszawskim, po otrzymaniu stopnia magistra architektury i geodezyi czyli miernictwa; rozpoczął służbę w 1819 r. w ministeryjum spraw wewnętrznych, w stopniu adjunkta budowniczego, pod naczelnictwem Jakóba Kubickiego intendenta jeneralnego budowl korony. Zyskawszy jego zaufanie prawością charakteru i wielką zdolnością, miał poruczone wszystkie ważniejsze ówczasowe budowle. Pod Gołońskiego kierunkiem i wedle szczegółowych planów, wzniesiono i urządzono ogród tarasowy pod zamkiem królewskim; dopełniono restauracyją i budowę koszar byłéj gwardyi koronnéj, koszar Mirowskich, rajtszuli Saskiej przy

(1) Wspomnienie o F. Pancerze, 1851 roku.

ulicy Królewskiej, i wiele innych. Jemu głównie poruczono i stosownie do jego rysunków przybrano kościół archi-katedralny 6-go Jana w 1826 r., z powodu żałobnego obchodu po błogosławionej pamięci Najjaśniejszego ALEXANDRA I-go Cesarza i Króla; jak niemniej urządzono i ubrano komnaty zamkowe i amfiteatr dla ludu na placu Zygmunta w czasie koronacji Najjaśniejszego MIKOŁAJA I-go. Kubicki, albowiem obarczony wiekiem, jaśniejący w swoim czasie potęgą talentu, znalazłszy w Golońskim godnego następcę, cały kierunek służby technicznej jemu porucił. W 1825 r. otrzymał patent na budowniczego wolno praktykującego w całym królestwie Polskim. W 1826 roku wezwany został na zastępcę profesora nauki perspektywy w wydziale sztuk pięknych uniwersytetu Warszawskiego, w rok później przyjął obowiązki udzielania rysunków architektonicznych i samej architektury w byłej szkole przygotowawczej do instytutu politechnicznego. W skutku przedstawionej na konkursie rozprawy, mianowany został w 1828 r. stałym professorem katedry perspektywy w pomienionym uniwersytecie. W 1832 r. mianowany członkiem rady budowniczey przy Kommissyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych; w 1833 r. został budowniczym rządowym. Znakomitszymi pracami, oprócz wyliczonych, Golońskiego, do których przywiązał swoje imię, są: budowa katedralnego prawo-sławnego kościoła w Warszawie przy ulicy Długiej; nadworna prawosławna kaplica przy pałacu królewskim w Łazienkach, wzniesiona pod wezwaniem 6-go Alexandra Newskiego. Z prywatnych budowli: gmach na placu Krasieńskich w 1838 r. wzniesiony, (dawniej Badeniego, a dziś H. Epstein'a). Pałac radcy stanu Mitkiewicza, przy ulicy Chmielnój 1843 r. Pałac hrabiego Uruskiego na Krakowskim Przedmieściu, 1844 r. Przerobienie szpitala Dzieciątka Jezus, dokonane w 1840 r. Foksal w Skierniewicach. Domy: doktora Le Brun przy ulicy Królewskiej i własny przy ulicy Granicznej i wiele innych. Miły, łagodny i szlachetny w charakterze, umiał sobie zjednać, jak będąc professorem, miłość i szacunek uczniów, tak następnie współtowarzyszów i podwładnych swoich. Zwłoki jego, przyjaciele przenieśli na własnych barkach do mogiły, nad którą, przywiązana owdowiała małżonka, piękny wystawiła grobowiec.

LUDWIKA Z SZOPENÓW JĘDRZEJEWICZOWA.

(Spoczywa obok swej siostry Emilii Szopen, bez pomnika grobowego).

Urodzona w Warszawie d. 6 Kwietnia 1807 r., zmarła d. 29 Października 1855 roku.

„Najstarsza z czworga rodzeństwa zacnych i bogobojnych rodziców, Ludwika od lat najmłodszych czuła świętość powołania kobiety, pojmowała ile winna przykładem i radą przewodniczyć młodszemu rodzeństwu. Bóg błogosławił też przeznacnej tej rodzinie: wszystkie dzieci odznaczały się szlachetnością uczuć i niepospolitą wykształceniem umysłowem. Najmłodsza Emilija, którą Pan w 14 roku życia powołał do siebie, już w tym wieku młodocianym najpiękniejsze rokowała nadzieje; wspólnie bowiem z siostrą przełożyła na język ojczysty z niemieckiego dziełko Saudmana p. n. *Ludwik i Emilija*, i z niepospolitą łatwością kreśliła wiersze, pełne myśli i uczucia. Któż nie znał, nie kochał, nie chlubił się z ziomka takiego, jak Fryderyk Szopen!

Dosyć o nim wspomnieć, ażeby każde serce umiejące czuć harmoniję i piękno, silniej uderzyło aby łza żalu i boleści spłynęła z oka, ciężkie westchnienie pierś podniosło, iż ten, który jeszcze tyle mógł myśli Bożej świata wyśpiewać, tyle podnieść ludzi uczuciem, (tak wczesnie wydarty nam został! Oto rodzina do której zmarła Ludwika należała; wychowanie domowe pod okiem tak zacnych rodziców, wykształcenie zaś naukowe, w zakładzie najpierwszym wówczas pani Werbusz odbierała. I tu umiała być użyteczną. Wszystkie jej ówczesne towarzyski pamiętają, jak przyjaźnie udzielała im rad i pomocy, jak nie jedną pożyteczną myślą wzbogaciła ich umysł, a serca ich nakłoniła nie raz do ukochania cnoty i prawdy. Za powrotem do domu rodzicielskiego, nowe tchnęła życie na otaczające ją rodzeństwo; dom Szopenów znany jako jedna z najlepszych pensyj męzkich w Warszawie, gromadził towarzystwo najznakomitszych ludzi uczonych i artystów; tym sposobem wielki wpływ wywierał na kształcąca się młodzież. Ludwika, wspólnie z rodzeństwem, jeszcze i w chwilach rozrywki, tak właściwej młodzieży przebywającej w ich domu, potrafiła połączyć pożytek z zabawą, wplatając myśl wyższą do każdego zajęcia, myśl, która w niejednym młodocianem sercu szlachetniejsze potrafiła uczucia, i w dalszym życia biegu w czyn wyrosła. Młode i poczciwe serca tej rodziny, pałające miłością Boga i bliźniego, zaczęły się rozglądać po świecie, poznawać ludzi, dzielić ich cierpienia, a nie poprzestając na systematycznym spełnianiu dobrych uczynków, młodociane ich dłonie nie jedną łzę niedoli otarły, nie jedną sierotę przytulili, i na pożytecznego wychowały człowieka. Wtenczas to widząc, ile niedoli ciśnie biedną klasę rzemieślników, ile brak stosownego wykształcenia i nieogłędność, przyczynia się do nędzy tych ludzi, pracy bez przyszłości, młoda Ludwika, wspólnie ze siostrą swoją Izabellą, przedsięwzięły napisanie powieści klassie tej wyłącznie poświęconej, p. n. *Pan Wojciech* czyli *wzór pracy i oszczędności*, w której wystawiono poczciwy żywot, bogobojnego, pracowitego i trzeźwego szewca. Praca ta, napisana i podana z miłością chrześcijańską, nie jednego na drogę prawdy naprowadzić lub utwierdzić mogła“ (1).

— „Mamże mówić o jej cnotach rodzinnych jako córki, żony, matki i siostry? pisze Eleonora Ziemięcka (2). Wprawdzie cnoty te, każdą obowiązujące chrześcijankę, w wielu spotykają się niewiastach: jaśniały one przecież tak szczególnym blaskiem w zmarłej, do takiej posunięte były doskonałości, iż ją czyniły prawdziwym, w najzupełniejszym tego wyrazu znaczeniu, wzorem niewiasty. Była to uosobiona abnegacja, nieograniczona miłość, ciągle poświęcenie i delikatność nieporównana we wszelkich jej odcieniach. Tak wysoka doskonałość moralna, musiała koniecznie mieć za podstawę równie wysokie wyrobienie religijne. I tak też było w istocie, taką była pobożność zmarłej Ludwiki, nie tylko z ogólnej miłości Boga płynąca, ale jeszcze pobożność prawdziwie katolicka, ugruntowana na wierze chrześcijańskiej. Zuane również były jej przyjaciółom i znajomym, (a nie małe było ich grono) jej przymioty towarzyskie, jej pełne wdzięku obejście i tchnąca wyższem wykształceniem rozmowa; ale czego nie wiedzieli, bo skromność zmarłej rzadko się z tém zdradzała, to, że Ludwika miała umysł wyższy, obejmujący prawdziwie po mężku wszystkie kwestyje naukowe i społeczne; czego nie znano, bo żywość jej

(1) Ludwika z Lindów Górecka. Gazeta Codzienna z Listopada 1855 roku.

(2) Gazeta Warszawska, Nr. 291, z 1855 r.

rodziny uczyć potłumiała inne wzruszenia, to, że serce téj szlachetnej niewiasty było równie gorąco dla wszystkiego co piękne, co ogólnie ważne, co na ludzkość dobroczynnie wpływać może. Obarczona liczną rodziną (1), oddana z gorliwością jój wychowaniu, nie wiele poświęcać się mogła pracom naukowym; posiadamy wszakże kilka utworów jój pióra, dowodzącego niepospolitego talentu autorskiego. Nie tylko stolica nasza miała sposobność oceniać te rzadkie towarzyskie przymioty, jakie zdobyły zmarłą. W ostatnim roku życia Fryderyka Szopena, przepędziła ona przy nim wiele miesięcy, słodząc cierpienia ukochanego brata i stając się duszą towarzysztwa, które się przy łożu jego zbierało.“

Seweryna z Żochowskich Pruszkowa takim wierszem uświęciła pamięć zmarłej Ludwiki Jędrzejewicz.

„Być kwiatem nadobnym co w ranek majowy
W domowy próg wonie uroczę technie,
Wpleść drugim nie złotą do życia osnowy,
Przędzoną w czarownym młodości śnie.—
Być gwiazdą przewodnią, co snując blask z siebie,
Z nad czoła małżonka rozprasza cień,
I głosząc mu wieści o Bogu, o niebie,
Uzlaca mu szary żywota dzień:
Pociechę rodzinne zasiewać ustronie,
I dziątek kołyskę ozdabiać w kwiat,
Z modlitwą unosić ich serca i dłonie,
W ognisku domowém swój zamknąć świat!

Z poddaniem przyjmować boleści krzyż srogi,
I ducha rozmagać wśród ciężkich prób,
I w ślady Chrystusa, bez żalu ni trwogi
Poglądać pogodnie w roztwarty grób:
To święte na ziemi zadanie kobiety,
To pieśń jój wpleciona w anielski chór,
To hasło szlachetnej dla dziełek podniety,
By z matki czerpnęły siłę i wzór.
Ludwiko! ty gwiazdą na nieba lśnić łonie,
Powiedziesz rodzinę wśród życia dróg,
Bo świętej miłości grób nawet nie schłonie,
Nią, ziemię z zaświatem—jednoczy Bóg!”

Z pism ogłoszonych drukiem zostawiła: 1. *Pan Wojciech*, wzór pracy i oszczędności. (Dwa wydania wyszło tego dzieła, drugie przejrzone, poprawione i ozdobione rycinami; nakładem S. Orgelbranda, w Warszawie, 1843 roku. Dwa tomy w ósemce. Tom pierwszy str. 271, tom drugi str. 287). Dzieło o napisała wspólnie z siostrą swoją Izabellą zamężną Barcińską. 2. *Podróż Józia z Warszawy do wód Szląskich*, przez niego samego opisana. Edycyja druga. Warszawa, 1844 r., w 16-ce, str. 131. 3. *Krótkie wiadomości z nauk przyrodzonych*, i niektóre ważniejsze wynalazki. Warszawa. Nakładem H. Natansona. 12-stka, str. 208. (Dzielko popularne, a wielce użyteczne, obejmujące stylem prostym i jasnym, wykład tak z nauk przyrodzonych pierwszych wiadomości, jako też najważniejszych wynalazków). W 1841 r. ogłosiła drukiem w Warszawie żywot 3-tój Weroniki (w skróceniu), przekład z Włoskiego. Drobniejsze utwory Ludwiki Jędrzejewicz mieszczą się tak w kilku pisemkach czasowych, jak i *Noworoczniku pani Kraków*.

(1) Zaślubiona profesorowi Jędrzejewiczowi d. 22 Listopada 1832 roku. Życiorys tego profesora, mieszczą w oddziale katakumb, gdzie spoczywa.



Rysunek i lit. W. Walkiewicz

Wydruk w Lit. A. Pory & Co. Warszawa N° 48

GRÓB L. A. DMUSZEWSKIEGO.

BIURO
KRAJOWE
BIBLIOTEKI
I
MUSEUM

WARSZAWA
KRAJOWA
BIBLIOTEKA
I
MUSEUM

nr. 626

DMUSZEWSKI L. A.

„CRÓB RODZINY DMUSZEWSKICH.“

„LUDWIKOWI ADAMOWI DMUSZEWSKIEMU, ZMARŁEMU D. 9 GRUDNIA 1847 ROKU.“

Użyteczną swą pracą dzielił się z bliźniemi,
 Błogosławi go wdowa, s^{ta}rzec i sierota,
 A kto takie pamiątki zostawia na ziemi,
 Godzien wiekuistego w niebiosach żywota.

CÓRKA RODZICOM.

(Pomnik okazały, krzyż na wierzchu, poniżej tablica z napisem:)

„Ś. P. KONSTANCYI DMUSZEWSKIĘJ, ZMARŁEJ D. 20 WRZEŚNIA 1854 R.“

Urodził się d. 24 Grudnia 1777 r. w mieście Sokółka, ówczesném województwie Trockiém, (teraz obwodzie Białostockim), gdzie ojciec jego, oficer pułku kawaleryi nadwornej króla Stanisława Augusta stał garnizonem. Młody Ludwik, pierwsze początki nauk odbył u księży Bazylianów w Żyrowicach; a gdy ojciec jego zażądał i otrzymał uwolnienie z wojska, i przeniósł się do swego domu na Pradze, w 1790 r. skończył nauki w szkole Pijarskiej w Warszawie. W 1794 roku zaczął pracować w kancelaryi ówczesnej *Rady najwyższej*; lecz gdy w tymże roku d. 4 Listopada Praga zdobytą została, a ojciec przeniósł się na wieś, Ludwik przy nim oddał się gospodarstwu, pomagając w zajęciach rolniczych. Nie długo w ziemiańskim zawodzie przebył, wieść o tworzeniu legijonów we Włoszech, żywo odbiła się w jego sercu i głowie. W chęci przedarcia się do Włoch, (jak mi sam opowiadał), pożegnawszy sędziwego ojca, pragnąc w jego zawód wstępować, z szczupłym zasiłkiem pożegnał wiejskie ustronie i przybył do Warszawy. Tu dłużej nad zamiar zabawić musiał, celem wyszukania sposobności do wydostania się za granicę. Wtedy poznał się bliżej z Wojciechem Bogusławskim, owym twórcą teatru polskiego. Zaproszony na obiad, po wesołej i ochoczej uczcie, gdy w znanej i ulubionej pieśni na onczas, i swój głos połączył, Bogusławski zdziwiony czystością i wdziękiem tego choć nie wyuczonego głosu, ujęty nadto miłą i przyjemną powierzchownością młodego Dmuszewskiego, zaczął go namawiać, aby wszedł w grono artystów dramatycznych. Długo z sobą walczył Dmuszewski, przeważyło zamiłowanie w końcu do sztuki dramatycznej, poparte wrażeniem, jakie teatr wycisnął na młodocianym umyśle jego. Do tego postanowienia przyłożyło się nie mało brak zasobów, i wielkie przeszkody w przedarciu się do włoskich legijonów. Oddawszy się z zapałem nowemu zawodowi, zaczął szczerze pracować, i usposobiony należycie, wystąpił po raz 1-szy na scenie teatru narodowego w Warszawie d. 15 Czerwca 1800 r., w komedyi z niemieckiego tłómaczonój: „*Dwóch w jednym*.“ Bogusławski powierzył mu pierwsze role kochanków w komedyjach, i tenorowe w operach. Odtąd Dmuszewski rzeczywiście stał się jedną, że tak powiem, główną podporą teatru narodowego. Grał i pisał, a czy jako artysta uważany, czy jako pisarz dramatyczny, w obu tych kierunkach przeważne i niezapomniane zasługi położył. Do 150 dzieł dramatycznych napisał, a wszystkie z upodobaniem na scenie krajowej przedstawiane były. On pierwszy wprowadził na scenę polską rodzaj krotochwil, przedstawiwszy pierwszy raz komedyo-operę: *Siedm*

razy jeden. Jako artysta, oddawał role z poklaskiem publiczności, nie tylko kochanków w komedyi i tenorowe w operach; występował w poważnych trajedyjach i nowoczesnych dramatach. Ostatniem jego tłumaczeniem są trzy akta opery: *Robert djabeł*. W 1811 r. zwiedził główne teatru Europejskie, jak: Berliński, Drezdeński, Paryzkie i Wiedeńskie. Bogusławski powierzył mu kilkakroć zarząd sceny, z czego Dmuszewski wywiązywał się zaszczytnie. Gdy po Bogusławskim w 1814 r. objął zarząd zupełny teatru zięć jego Ludwik Osiniński, Dmuszewski należał do akcyjonarżów przedsiębiorstwa sceny narodowej i był pierwszym reżyserem. Kiedy w 1824 r. Osiniński opuścił dyrekcją sceny, nim rząd ustalił był narodowego teatru w Warszawie, artyści utworzyli komitet, obrawszy Dmuszewskiego pierwszym jego członkiem. Po 26-cio letniej pracy, uwieńczonej najświetniejszym powodzeniem, d. 15 Czerwca 1826 r., Dmuszewski, jako artysta dramatyczny, ostatni raz wystąpił na scenę. W następnym roku, rząd ustanowił dwóch dyrektorów teatru i mianował nimi: Osinińskiego i Dmuszewskiego. Od roku 1832 aż do zgonu, Dmuszewski jako członek dyrekcji rządowej teatrów oddawał usługi scenie krajowej. W zawodzie literackim nie małe położył zasługi, głównie jako pisarz dramatyczny. Zaprawdę, że sztuki jego, z dzisiejszego stanowiska uważane, wiele tracą na swęj wartości, ale we właściwych ramach czasu postawione, były one silną podporą sceny narodowej i postęp jej ułatwiały. Nadawały tym utworom jeszcze więcej wartości ówczesne chwilowe okoliczności, przemiany polityczne kraju, które zręcznie Dmuszewski pochwyć umiał, i ubarwić na scenie wydatnie. Brał za wzór najczęściej sztuki francuskie, ale tego muza błędny kierunek uważać nie można, bo cała w owych czasach literatura nasza, nie miała, nie znała innego nawet żywiołu, jak tłumaczac lub naśladowac francuską literaturę; nie raz przecież, umiał myśl z nięj wziętą bardzo szczęśliwie zastosowac, i tak przykroic do krajowych typów i obyczajów, że ani z miny ani z czupryny nie poznales obcego przybysza pod lekkim piórem Dmuszewskiego (1). Już w podeszłym wieku w ciągu lat 1836, 1837 i 1838 miewał w salach teatralnych prelekcye o literaturze dramatycznej wszystkich krajów, i historyi teatrów wszystkich narodów. Zwykle mówił z pamięci, zasilając się małemi notatkami. Szkoda nie mała, że nie zostawił spisanych tych prelekcji, byłby to materyjał ważny dla chcącego pisac dzieje teatru polskiego. Kiedy już zamierzał opuścić scenę jako artysta dramatyczny, stanął na czele redakcji *Kuryjera Warszawskiego*. O tym Dmuszewskiego nowym zawodzie, przychodzi nam mówić. Bruno hrabia Kiciński, jeden ze zdolniejszych pisarzy z okresu lat pierwszych Królestwa Polskiego, redaktor wielu pism tak literackich jak i politycznych, wpadł na myśl szczęśliwą, wydawania małego pisemka, któreby treścią swoją, zając mogło jedynie mieszkańców Warszawy. Ogłosił prospekt, i we własnej drukarni 1824

(1) Dmuszewskiego sztuki dramatyczne wychodziły najprzód z druku pojedynczo, zebrał je razem a przedrukowawszy, jakoby wybór ogłosił w 1821 r. w Wroclawiu, u W. B. Korna, w 4-ch tomach, p. n. „*Dzieła dramatyczne L. A. Dmuszewskiego*.” (z rycinami). Jako dalszy ciąg tegoż dzieła od 1823 r. wydał w Warszawie nakładem i drukiem N. Glücksberga, tomów 8: zbiór cały przeto tomów 12. Nie weszły wszelako w ten zbiór wszystkie sztuki dramatyczne Dmuszewskiego, bo wiele, albo poprzednio wydanych opuszczono, albo później napisane, do tegoż zbioru nie włączono. O tych utworach Dmuszewskiego w osobnym dziele (*Teatr polski i literatura dramatyczna nad którym obecnie pracujemy*), szerzej się rozpiszemy.

r., zaczął wydawać (1). Kuryjer Warszawski Kicińskiego drukowany był na podłożnej kartce, *petitem*, bardzo rzadko kiedy miał dodatek, i to spowodowany jedynie natłokiem doniesień prywatnych. Pismo to, jakkolwiek dobrze odpowiadało potrzebom ówczesnym mieszkańców Warszawy, i rozkrzewiać się zaczęło, nie liczyło tak znacznej liczby prenumeratorów, ażeby mogło świetną przyszłość rokować. Po dwóch latach redakcyi Kicińskiego, Dmuszewski w sile wieku i z zasobem doświadczenia, licząc lat 44 życia, zrozumiał i pojął ważność takiego pisma, i świetny rozwój w przyszłości (2). Nabywa więc na własność Kuryjera Warszawskiego i płaci hrabiemu Kicińskiemu 1,000 dukatów. Od d. 1 Stycznia 1823 r. obejmuje redakcyą, utrzymuje ten sam format dawny przez rok cały i przez pierwszy kwartał 1824 roku. Od d. 1 Kwietnia t. r. urządziwszy własną drukarnią, zmienia format na dwu-ćwiartkowy, i dla wygody czytelników, daje druk większy. Odtąd prowadząc sam redakcyę kuryjera przez lat 24, podniósł liczbę prenumeratorów do niesłychanej u nas cyfry, a co najważniejsza, że zrobił go niezbędną niemal potrzebą każdego mieszkańca Warszawy. Ażeby rozpowszechnić w jak najrozszerzonych rozmiarach, i zrobić to pismo czytelnym przez lud Warszawski, użył bardzo dowcipnego sposobu. Uorganizowawszy za opłatą, to młodzież teatralną, to rzemieślniczą, w gromady, puścił je na miasto. Każdy taki zastęp miał wyznaczoną sobie dzielnicę ulic, w tej wbiegali hurmem do szynków, kawiarni, cukierni i traktjerni, wołając tłumnie o kawę, poncz, wódkę, piwo i jadło; a kiedy właściciel zakładu uradowany natłokiem gości pośpieszał z usługą, zapytują razem: „A kuryjer Warszawski jest?” Otrzymawszy odpowiedź że nie trzyma tego pisma, jednoznacznie wołając: „kiedy tak, to my pójdziem dalej, gdzie kuryjera przeczytamy!” I jak weszli tłumnie, tak razem wychodzili. Skutek spodziewany uwieńczył dowcipny sposób: wciągu dni kilku, już

(1) Przywiode tu w całości prospekt, jaki Bruno Kiciński ogłosił na czele pierwszego numeru tego pisma, w 1821 r. „Kuryjer Warszawski wychodzi sześć razy w tydzień, to jest: w Niedzielę, Poniedziałek Wtorek, Środę, Czwartek i Piątek. Cena prenumeraty wynosić będzie w Warszawie na kwartał cały złp. 8, z przesłaniem pocztowem złp. 9. Cena numeru oddzielnego gr. 4. *Przedmioty Kuryjera Warszawskiego.*

1. *Wiadomości Warszawskie.* Pod tym tytułem umieszczać się będą wszelkie zdarzenia zaszłe w stolicy, przypadki ciekawsze, ważniejsze sprawy sądowe, wiadomości i doniesienia o teatrze narodowym i francuskim Warszawskim, doniesienia kupieckie, jarmarczne, loteryjne, ceny targowe Warszawskie i Pragskie, kurs pieniędzy, wyjazd znaczniejszych osób, ich zamieszkanie, doniesienia o nowych zakładach stolicy, jako to: magazynach, sklepach, restauratorach, kawiarniach, domach zajezdnych, cukierniach i t. p. wiadomość o nowych gmachach, domach i innych ozdobach stolicy; doniesienie o nowo-wyszłych dziełach, nutach, rysunkach, kopersztychach; wiadomości o zabawach, o modach, o nowo-przybyłych towarach, o zmianach mieszkania kupców, przedsiębiorców, i innych osób publicznymi obowiązkami trudniących się; o pogłoskach biegających w stolicy, o temperaturze dzienniej powietrza, wysokość Wisły i t. p. 2. *Wiadomości z województw.* Drukarnia Kuryjera Warszawskiego uzyskała obietnicę korespondencyi z prowincyi, stosownych do celów kuryjera. 3. *Nowości zagraniczne.* Pod tym napisem udzielać się będzie treść główniejszych zdarzeń w innych krajach, bez czynienia uwag nad nimi. Pod każdą wiadomością doniesionem będzie pierwszemi literami, z którego pisma peryjodycznego wiadomość rzeczona jest wyjęta; naprzykład: jeżeli będzie wyjęta z gazety Hamburgskiej, podpisanem będzie (G. H.), jeżeli z dostrzegacza Austryjackiego. (D. A.), jeżeli z dziennika konstytucyjnego Paryskiego (D. K. P.), i t. p. Nadto doniesienia naukowe o sztukach, sztukach nadobnych i teatralne. Nowości zagraniczne udzielane będą tegoż samego dnia, którego do Warszawy przyjdą gazety zagraniczne. Kuryjer wychodzić będzie o godzinie piątej po obiedniej, o szóstej już go dostaną po wszystkich kantorach. Doniesienia prywatne przyjmowane będą w cenie groszy trzech od wiersza drukiem drobnym.“

(2) Dmuszewski, jako wydawca Kuryjera Warszawskiego wymienionym został po raz pierwszy w témże piśmie, dnia 17 Kwietnia 1823 roku.

wszystkie pomienione zakłady pospieszyły z prenumeratą na kuryjera; tą drogą pismo to upowszechniło się pomiędzy ludem Warszawskim, a za nim krzewić się zaczęła potrzeba czytania książek polskich. Wspominam o tém, nie w celu bynajmniej, ażeby takie użycie środków miało cień niepochlebny rzucać na czcigodną pamięć Dmuszewskiego, ale objaśniam drogę, którą umiał swego kuryjera rozpowszechnić. Jeżeli z jednej strony, odnosił zysk materyjalny, z drugiej oddać mu trzeba tę zasługę, że przez lat siedm pierwszych swojej redakcyi, godnie odpowiadał zadaniu swemu, i zasługiwało to pismo na jak największe upowszechnienie. Wspierał go w tym czasie Magier, co do miejscowości Warszawy, zabaw w niej dawniejszych i uroczystości obchodzonych; wspierali i inni literaci, to dając mu szczególki z dziejów krajowych i zwyczajów, to wspomnień, i świeżych wypadków. Z tych lat przeto kuryjer, nie dziw że mógł służyć za pewną powagę literacką; odwołuje się téż często na niego Łukasz Gołębiowski, tak w opisie swoim Warszawy, jak i w dziele 4ro-tomowém Lud polski, Domy i Dwory, Ubiory w Polsce, Gry i zabawy. Te lat siedm stanowią okres najpiękniejszy tego pisma.

„Kuryjer się pisze, nie tłumaczy! mawiał do mnie Dmuszewski, i miał prawdę, bo wszystkie wiadomości Warszawskie i nowiny z kraju sam pisał, a wiadomości polityczne były w treści podawane. Nic większego w nim zdziwienia nie mogło obudzić, gdy kogo spotkał i przekonał się, że kuryjera nie czytał.— „Jakto, to nie czytałeś kuryjerka! wykrzyknął do mnie, podnosząc okulary na czoło, gdy raz pytałem go o przedmiot, o którym była wiadomość w wczorajszym kuryjerze. Nie czytałeś? A czy się to godzi?“ A mówił do mnie z takiém poruszeniem, jak gdybym mu przez to uchybił. W pisowni, swoje zmiany zaprowadził samowolnie, i uporczywie ich się trzymał. Gazeta literacka, często wykazywała tak błędy w pisowni, jak i w języku. Kiedy się dowiedział Dmuszewski, że napisaną była rozprawa, okazująca jasno też błędy i przeznaczoną do Biblijoteki Warszawskiej, (było to na lat 3 czy 4 przed zgonem Dmuszewskiego) zatrzymuje mnie na ulicy, i w te słowa przemawia: „Ty! którego byłem przyjacielem nimeś się urodził, (a żył w stosunkach przyjaźni z ojcem moim od lat dawnych) nie dozwól, aby mnie szykanowano za moją pisownię. Pozwólcie mi umrzeć z moją pisownią!“ — Chętnie! chętnie zrobię o co mnie prosisz; odrzekłem, patrząc z współczuciem na starca, co mało się nie rozplakał, prosząc za swoją pisownią! Po piątój godzinie poobiedniój, szedł zwykle i codziennie Dmuszewski do wybranój kawiarni, zwanój *Suchy las*. Magier w swojej *Estetyce miasta Warszawy*, wspomina Dmuszewskiego przy opisie téj kawiarni, zdziwiony jego obszerną pamięcią, z jaką wyliczał na palcach wszystkie jakie są na świecie ordery, i jaki każdego początek. Tam jego przyjaciele, znajomi, już z zebranemi nowinkami dla kurjerka oczekiwali. Dmuszewski zakładał umbrelkę na oczy, siadał na swoim miejscu, a bijąc palcami po stole, zapytywał: Co słyhać nowego? Zebrane grono zdawało sprawę z tego co z różnych stron miasta lub kraju zachwycić mogło; Dmuszewski układał sobie w pamięci te wiadomości, co się przydać do kurjera mogło; po czém sam jakąś nowostkę powiedział, ale w tym był skapy, żeby w kurjerku strony ciekawej nie osłabiał. Siedział tu do czasu otwarcia teatru, wtedy wolnym krokiem przeszedłszy ulicę miasta, całe przedstawienie przesiedział: po teatrze szedł zwykle na kolacyę do *Poziomkiewiczowój* w gmachu teatralnym, i wracał do domu. Wstawał rano, i układał swego *kurjera*: ga-

binet jego mały zastawiony parawanem szklannym, gdzie wizerunki rodaków mieściły się, był zapelniony, mnóstwem różnej wartości pamiątek i zabytków sztuki. Czas tak regularnie podzieliwszy sobie, miał wiele chwil wolnych od pracy literackiej, które obracał na dobroczynne cele. Będąc członkiem Rady Głównej Opiekuńczej zakładów dobroczynnych: Towarzystwa Warszawskiego Dobroczynności: Rady Szczegółowej Opiekuńczej, Domu przytulku i pracy: Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci: Vice Prezesem Towarzystwa wsparcia podupadłych artystów muzycznych, ich wdów i sierot; wszędzie niósł pomoc, i nietylko za pośrednictwem swego pisma, ale i z własnej kieszeni podawał hojne wsparcie, i niejedną łzę nieszczęśliwym otarł, niejednego wydobył z nędzy, a każdy czyn dobry ukrywał troskliwie i chyba przypadek, lub wdzięczność, nie mogąc ukryć swego uczucia, na jaw wydała. Obchód pogrzebowy dnia 13 Grudnia 1847 zwrócił uwagę całej Warszawy. Tłumy ludu napelniały plac przed teatrem i około domu zmarłego. Duchowieństwo wszystkich niemal zakonów, sieroty i starcy z Towarzystwa Dobroczynności, liczny orszak przyjaciół i znajomych powiększało. Od rogatek do katakumb artyści dramatyczni ponieśli na ramionach zwłoki Dmuszewskiego na wieczny spoczynek; wśród tego pochodu artyści opery i orkiestra teatrów wykonali marsz pogrzebowy, a przy poświęceniu zwłok żałobnym śpiewem *Salve Regina*, utworu Dyrektora opery Nideckiego, żegnali tego, który jako artysta dramatyczny, jako pisarz i człowiek dobroczynny, zasłużył na wdzięczną pamięć rodaków.

W tymże samym grobie spoczywa i jego małżonka Konstancyja z Pięknowskich Dmuszewska, w 70 roku życia zmarła, która jako artystka opery polskiej, przez długie lata była ozdobą sceny narodowej (1).

(1) Opuściła scenę w roku 1823.

KATAKUMBY POWĄZKOWSKIE.

Katakumby powązkowskie równocześnie ze cmentarzem powstały i jak on rozszerzał swój obręb, tak te przymurowywano, w coraz dłuższą linią. Zaczynają się od grobowca Szymanowskich *Korwinów*, którzy pierwotkowo obszar swęj ziemi na pobożną oddali usługę, a ciągną w głąb cmentarza (1). Napis na czele katakumb czytamy:

„Wiem, że odkupiciel mój żyje, że w dzień ostateczny powstanę i będę oglądać Boga mego.“

(Z ksiąg Joba Rozdział 19, wiersz 2).

We dwa lata po otwarciu tego cmentarza, zaczęto chować zwłoki w tych katakumbach, lubo są ślady że w r. 1791, pierwszy z trumną grób zamurowano. Jest to najsmutniejsza strona Cmentarza, długie sklepienia i nagie z napisami płyty marmurowe, niczém nie przemawiają do duszy przechodnia. Te groby, na których czernieją lub błyszczą złoczone czy czarne litery, nie mają w sobie tęj poetycznej rzewności, jakie otacza ziemne mogiły, a nad nimi postawione pomniki. Zieloność darni, cień i powiew drzew, co je wieńczą do koła, świeżość powietrza, a przytém, że tak zbliżka zmarłego prochów, można wzniesć gorącą a łzawą modlitwę, ugiąć kolana, na tęg ziemi, co cienką warstwą rozdziela nas od miejsca gdzie spoczęła snem nieprzerwanym ukochana od nas istota; wszystko dodaje większego uroku mogiłom ziemnym. Troskliwa ręka, sadzi na nich drzewa i krzewy, przystraja nimi, i doniczkami świeżo rozkwitłych kwiatów; katakumby jakby odpychały ten dowód miłości, i wdzięcznej pamięci dla zmarłych. Bo gdzież (wyjawszy najniższe groby) można w nich pomnik ostawić kwiatami, gdzie zawiesić wieniec? Katakumby, służyły i służą bogatszym i zamożniejszym rodzinom. Droższe w nich pokładne, nad dół w ziemi, lubo w ostatnich latach, zaczęto murować groby ziemne daleko kosztowniejsze, przystrajając je w piękne pomniki. Dłuto rzeźbiarzy naszych, nieraz pracowało dla ozdoby tutejszego cmentarza; pomniki Malińskiego, Tatarkiewicza Święckiego i w. i. nie mało dało tu dzieł sztuki co zatrzymują na sobie uwagę przechodnia.

Gdy zmrok wieczoru padać zaczyna, strasznie wyglądają katakumby. W ogrodzie cmentarnym jeszcze brzask dnia przyświeca, pod ich długim a wązkim sklepieniem, czarna noc osiada. Jeżeli księżyc bezchmurny zaświeci, to ogród z białymi pomnikami wśród zieloności drzew, przybiera porankową postać; w katakumbach światło księżyca padając na posadzkę, lub przez kolumny przeglądając przerwami, w połamanych kształtach, dziwnie a ponuro uwydatnia ten gmach długi, wysoki, a pełen grobowców. Bogactwo i znaczenie światowe, chciało się rozróżnić od motłochu, co spieszyło w łono matki ziemi: prochy też swoje oddzielając, wydo stało się na piętrowe grobowce, których łza rzewna zrosić nie może, gdzie woń świeżego kwiatu nawet nie doleci. Nie mało tu napisów zatarto, kilka z dawniejszych zupełnie zniknęło: wielu znakomitych mężów chociaż zwłoki w katakumbach spoczęły, gdy kamienia z napisem nie położono, niewiadomo gdzie ich szukać, w której części i na jakim pięttrze tego gmachu pochowano. Te katakumby, równie jak i groby milczące, nie jedną tajemnicę serca i namiętności niewyczej ukryły w sobie. Nie mogę Wam moi czytelnicy wymienić nazwisk, ale za prawdę słów moich z ręką na piersiach zaręczam. Nie ja sam znam te zdarzenia, co tu opowiem,

(1) W obrębie kilku sążni kwadratowych między grobem tym Szymanowskich, a katakumbami pochowano zwłoki Antoniego Malczewskiego, autora *Maryi*.

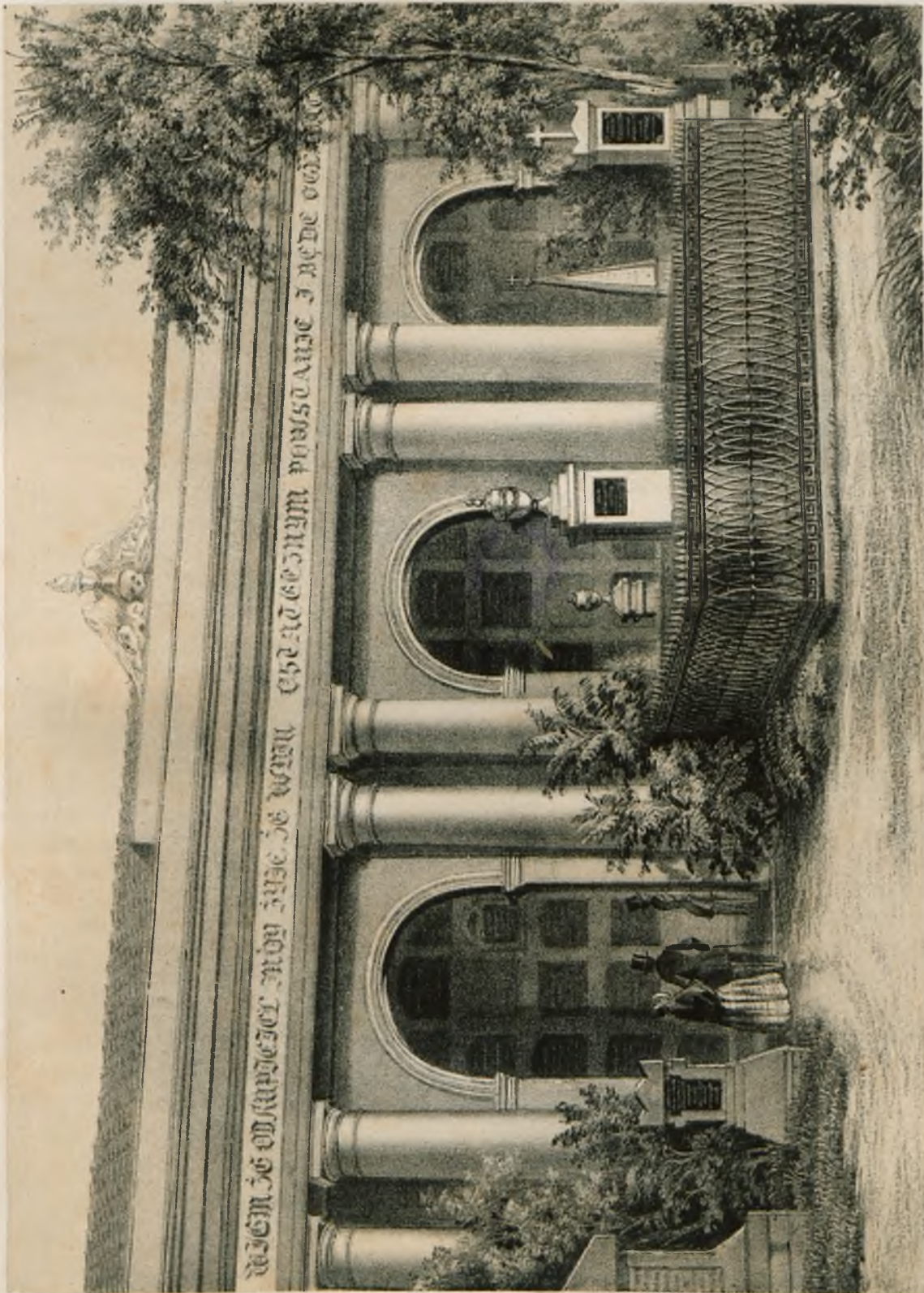


Foto A. Matyszkiewicz

Usioto w r. 1874. M. Fajans, w Warszawie Ul. Długa 100

Lit. M. Fajans

KATAKUMBY POWĄZKOWSKIE.



ND. 626

nie sam tylko znałem osoby głównej mający w nich udział. Przejdźmy po tym ponurym i przyćmionym korytarzu katakumb, znajdziemy tu wszystkich napisy!

Owoż pierwszy wpada nam w oczy. To tablica poświęcona pamięci artysty. Urodzony w ostatnich czasach Rzeczypospolitej, ukochawszy sztukę, jej się oddał z zapałem. Pobożny od młodu, chodził na mszę świętą zwykle do kościoła OO. Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu, jako najbliższy i mieszkania swego i domu, w którym się urodził. Zwykle klękał na stopniach ołtarza bocznego przed ławkami. Miał już lat dwadzieścia kilka: kiedy raz modląc się ze szczególną skruchą i przejęciem, spojrzawszy wstając przy końcu mszy na ławkę. W pierwszej stała właśnie cudnej urody młoda niewiasta; jej powłóczyście spojrzenie, zwrócone w tej chwili na młodego artystę, dreszczem go przejęło. Jak stał, tak pozostał długo nieruchomy, chociaż cudowne dla niego zjawisko zniknęło. Odtąd przejęty dla widzianej piękności, najczystsze uczucie miłości, nie ścigał młodej niewiasty, nie śledził jej kroków, ani dowiadywał się o jej mieszkanie, ale przychodził do kościoła co święto i niedziela, stał przy tych samych stopniach ołtarza lub klęczał, i zawsze spotykał swego, jak wyrażał, anioła. Trwało to czas dosyć długi; młoda a skromna niewiasta nie uważała nawet śledczego wzroku artysty, co teraz osmutniał, kryjąc w głębokiej tajemnicy silne uczucie swoje. Przechodząc miodową ulicą, w bramie pałacu Biskupów Krakowskich (dziś Piotrowskich), spostrzegawszy wieko trumny bogato axamitem i złotymi galonami ozdobnej, wystawione na znak, że tu umarły czeka przechodnia modlitwy. Jakimś nieodgadzionym pociegiem wiedziony, nie patrząc na drukowaną kartę pogrzebową, wchodzi po schodach do pokoju obitego kirem, oświetlonego jarzącym światłem, przepelnionego dymem kadzideł, spojrzawszy na katafalkę, i cóż ujrzał! Oto tego samego anioła, z którym się modlił razem, uszniętego snem wieczystym. Zamknęły się na zawsze te cudne oczy, których blask ogarnął tak silnie duszę artysty, że wypiętnował w niej niestartymi rysami postać młodej niewiasty. Zbladły i zsiniały owe różane usta, i zakryły rzędy perłowych zębów, co tak w uśmiechu uroczym dodawały wdzięku: znikła białość alabastrowa oblicza, i owe rumieńce zdrowia a młodości; śmierć powlekła je woskowym pokostem. Co w tej chwili uczuł, jak wielka boleść skruszyła jego serce, tego nikt nie opisać. Wybiegł prawie nieprzytomny, długo błąkał się po ulicach miasta; wreszcie zmęczony i wybladły, dowiedziawszy się o dniu i godzinie pogrzebu, wrócił do domu. Ale od tej chwili dostał lekkiego obłądzenia, z którego już nigdy nie wyszedł. Nazajutrz zdała za wspaniałym karawanem towarzyszył pogrzebowi; wtedy poznał jej męża, który w grubej żałobie, ciężkim smutkiem złamany, z wolna za trumną ukochanej żony postępował. Gdy pochowano zwłoki jej w ziemi, biedny artysta, przeczekawszy wszystkich, dopiero samotny, padł na jej mogiłę, i gorzkimi oblał ją łzami. Na drugą noc, choć była chmurna i wietrzna, jakieś zakryte niekiedy koło tej mogiły pobłyskiwało światło. Kiedy wybił się z wełnistej a czarnej chmury księżyc, i rzucił blask na cmentarz powązkowski, dojrzałeś bladą postać artysty, i trzy inne nieznane, osłonięte płaszczami. Stanęli nad tą świeżą mogiłą, dobyli rydla ukryte i żwawo wzięwszy się do pracy zrzucili ziemię, a stuk o drzewo trumienne zakłócił spokój zmarłych, na które tylko puszczyk przeciągłym odpowiedział kwileniem z katakumb. Wprędce zniknęły wszystkie postacie z cmentarza; mogiła jak dawniej usypana, śladu nie miała, że porzuciono ją nie dawno; a czterech nocnych wędrowców, szyko pospieszali w mury Warszawy. Na ich czele biegł nasz artysta, niosąc w chuście zdobyc cmentarną; a wiecie co to było? Oto głowa, owej młodo zgastłej niewiasty. I odtąd jej czaszka nie odstąpiła go nigdy. Dożył przeszło lat pięćdziesiąt, ale od tej chwili zerwał stosunki ze światem, ciągle oddany swjej sztuce. Na parę lat przed zgonem spotykałem go na cmentarzu Powązkowskim, odczytywał i on napisy pogrobowe, troskliwie spisywał, przy niektórych dodawał rysunek, ale nie był to widziany grobowiec, tylko zawsze jakiś szkic fantastyczny. Co by przedstawiał nie wiem, bo zwykle przed ciekawych wzrokiem ukrywał: dostrzedz tylko mogłem narysowane trupie głowy, i śmierć z kossą. Raz tylko gdy go naszedł siedzącego na mogile zapadłej, rozwinął kartę, a pokazując rysunek rzekł smutno: „to noc, miesiąc świeci ta mogiła.“ Spojrzałem, rzeczywiście była to scena nocna na cmentarzu: ale nad mogiłą w obłocznym tumanie nie unosiła się postać niewieścia: grób był rozłupany, a przy nim klę-

czał z twarzą osłoniłą mężczyzna. Biedny artysta! zapewne przypomniał sobie, przed trzydziesto-letnią noc spędzoną na tymże cmentarzu, przy mogile ukochanej tyle niewiasty!

W pobliżu masz skromny kamień: tu spoczęła w 19-ém wiosnie życia młoda dziewczica. Snać rzewną pamięć zostawiła po sobie, kiedy dotąd zawsze ze świeżym kwiatem doniczki, pod tym ustawiają grobowcem. Cudnej urody, z dalekich okolic, przybyła do Warszawy; nie ukryły się jej wdzięki: wkrótce młody, urodny i bogaty wielbiciel potrafił zyskać jej wzajemność. Była już jego narzeczoną, gdy po zaręczynach Bóg dotknął ją ślepotą. Po długich cierpieniach, gdy zaczęła wzrok odzyskiwać, przyjaciółka jej lat dziecinnych, stała się powodem jej zgonu wczesnego. W samotnej chwili, gdy we dwie tylko razem były, zagrała pieśń znaną od kolebki i pierwszych lat życia, pieśń co obudziła drżenie jej serca i wspomnienia, kiedy ślubowała z innym stanąć na stopniach ołtarza. Moc wspomnienia, złamanéj przysięgi, rzewność pieśni wzbudziły w niej chorobę nerwową, i w kilka godzin pozbawiły życia. Ile razy przechodzę długie katakumb sklepienia, staje przy tym młodej dziewczicy grobowcu, a myśl nasuwa mi całe o niej wspomnienie.

W pobliżu spoczywa pan wielkiego imienia, głośny w kraju rodem i dostojęstwem z zeszłego stulecia. W sile wieku, ze szczytu znaczenia musiał trucizną skrócić sobie życie, które się dlań z całym uroczym uśmiechało powabem. W części już nowo przybudowanych katakumbach, z lat niedawnych, spoczywa w pieczarze rozgłośnego także imienia człowiek, który pieśnią starą, pierwsze objawy pomieszczenia zmysłów ukazał. Dziwna a czarowna potęga muzyki a pieśni! Nie skończyłbym opowieści, gdybym szczegółowo wydobywał z ziemi milczących pieczar wszystkie mi znane tajemnice: nie potemu tu miejsce. Przystąpię teraz do podania szczegółowych życiorysów, tak tych co mają napisy, jak i tych, którym nie położono grobowych pamiątek.

KSIĄDZ KAJETAN KAMIŃSKI.

(Pochowany w katakumbach bez napisu.)

Urodził się dnia 2 Stycznia 1758 r. w dawném województwie Krakowskiém; umarł w Warszawie dnia 4 Marca 1841 roku. Po ukończeniu szkół w Rzeszowie, przepędził młodość swoją w korpusie kadetów, gdzie miał za towarzyszków nauki tych mężów, których imiona należą do historii kraju. Dla wątłego zdrowia opuścił wojskowy zawód i dnia 4 Lipca 1774 roku, przyjął suknią pijarską. Odbywał nowicyjat dwuletni w Podoleńcu na Spiżu, zkąd wysłany został do Rzeszowa na dalsze nauki, ze świadectwem dobrych obyczajów i wielkich zdolności. Po ukończeniu kursu nauk filozoficznych w roku 1781, powołany został do collegijum szlacheckiego (w Warszawie) ⁽¹⁾, gdzie nauczał lat cztery. W *Górze* był prefektem lat pięć. W roku 1789 powtórnie wezwany do konwiktu został, gdzie od r. 1796 był prefektem, a za gorliwość swoją zyskał od zgromadzenia pochwałę: „praefectus vigilantissimus cum summa laude.“ Obowiązki te pełnił lat dziewięć, i w roku 1806 obrany został rektorem tego szlacheckiego zakładu. W roku zaś 1818 po zgonie księdza Sawickiego, wybrany był na prowincyjała. Godność tę piastował lat siedm, nie opuszczając nigdy konwiktu ⁽²⁾. Pracowity i niezmordowany pedagog, szu-

⁽¹⁾ Przy ulicy Miodowej, gdzie dziś Sąd Appellacyjny i Drukarnia Rządowa przy Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości.

⁽²⁾ Szczegóły te zawdzięczamy JX Kurowskiemu Prowincyjałowi zgromadzenia księży Pijarów, a znanemu w literaturze naszej.

kał wypoczynku, wykładając uczniom klasz niższych początki arytmetyki i języka francuzkiego; i tak się w to włożył, że wśród zabawy lub poufnej rozmowy, czynił trafne zapytania, chcąc się przekonać o usposobieniu młodzieży. Lagodny i wyrozumiały, dbały o wygodę młodzieży powierzonej jego staraniu, jako téż swoich podwładnych, robił to wszystko co może młodość zachęcić do pracy i wzbudzić zaufanie. W obejściu lagodny, delikatny, w urzędowaniu poważny i surowy, dbały o porządek i karność zgromadzenia XX. Pijarów, wiele ważnych wydał postanowień. Przeniósł konwikt młodzieży z miasta na Żoliborz, wystawił dwa dogodne gmachy, założył biblijotekę i powiększył ją nowemi dziełami. Wybudował obserwatorium, które opatrzył instrumentami potrzebnemi, jako to: *kolo południkowe* z Monachium, zegar z kompensatorem i narzędzia meteorologiczne. Wystawił lazienki do kąpieli, wybudował kaplicę, założył plac do konnej jazdy, sale do fechtunku i do tańca; pierwszy z przelożonych zgromadzeń, postanowił aby młodzi Pijarowie w uniwersytecie Warszawskim kształcili się na pedagogów. Za jego przykładem poszli później i inni przelożeni zgromadzeń. Zdolniejszych wysyłał za granicę, przepisał lata zasługi w nauczycielstwie, posuwał na wyższe stopnie nie za liczbę lat, lecz za gorliwość i za odznaczenie się. Gorliwy i budujący przykładem, pilnie przestrzegał, aby każdy z powładnych dopełniał swoich obowiązków; przez co miał wielu niechętnych, i mało go za życia poznano, a mniej jeszcze oceniono. Dopiero po zmianie rządów i po śmierci jak zwykle, uczyli brak jego i poznali zapóźno świętość zamiarów i szczerotę poświęcenia. Prosty i szczerzy tak w mowie, jak i w postępowaniu, brzydził się pochlebstwem, a tych którzy go w oczy porównywać chcieli z Konarskim, gromił; zarzucając niewiadomość dziejów krajowych. Mienił się zawsze niegodnym sługą ołtarza i zgromadzenia, a nie były to czeze słowa, mówił to z przekonania. Usposobienia żywego, lubił przepych i wystawę; a lubo to w zakonnej osobie, zdawało się sprzecznością, dowodziły w Kamieńskim nabytych nawyknień w przestawianiu od młodości w wyższem towarzystwie. Zwykle jeździł czterma końmi po mieście: porządny powóz, czysto ubrani ludzie i piękne konie, wzbudzały szemrania i były powodem do rozmaitych dotkliwych wniosków i ucinków, które gdy doszły do jego uszów, uśmiechał się i milczeniem pokrywał, odzywając się niekiedy: że „chcę utrzymać godność Prowincyjała tak życiem jak i nauką.“ (1). W uroczystości w czasie odpustu, oraz w ostatnie dnie zapust, występował okazale. Przy stole jego siadali biskupi, ministrowie, wyżsi urzędnicy, i literaci. Było to zjednoczenie dostojności, nauki i talentu. W ostatni wtorek każdego roku, dawano na Żoliborzu wieczór tańczący, na który przybywały ochmistrzynie z wychowaniami, a córkami znakomitych rodzin. Suta kolacyja dla wszystkich gości, kończyła zwykle zabawę. Do obiadów wystawnych, wzywani byli najmłodszy Pijarowie, nie mający jeszcze żadnych zasług; gdzie przy obfitym stole, odbierali naukę porządku i sposobu obeznania się w obejściu z osobami wyższemi. Kamieński bowiem przestrzegał ciągle przepisów przystojności tak co do obejścia się, ruchów, jako co do jedzenia; przekraczających lagodnie upominał, a lekceważących przepisy przystojności surowo gromił, zalecając czytanie *Galateusza* i uczenia się jego na pamięć. Przy jednym z takich obia-

(1) Notata JKs. Kurowskiego.

dów zasiadł do stołu skromnie ubrany, w długim zielonym surducie, szczupły mężczyzna, łagodnego a zarazem smętnego oblicza, mało komu znany w stolicy. Staszic przenikliwym wzrokiem dostrzegłszy go, pyta się kto to jest? Rektor mu odpowiada: że „to Kazimierz Brodziński b. wojskowy, nowo przybyły do stolicy literat, którego wezwałem do wykładu literatury młodym Pijarom (1).“ Minister Oświeccenia Stanisław Połocki przypomniał sobie, że mu czytano wiersz z powodu sprowadzenia zwłok księcia Józefa Poniatowskiego do Warszawy. Podziękował za wybór rektorowi, przemówił do młodych Pijarów, że pod takim sterem można się spodziewać obfitych korzyści dla literatury polskiej. Odtąd Brodziński zaczął bywać w wyższych towarzystwach; i to mu dało później wstęp do katedry w byłym Uniwersytecie Warszawskim. Później często Brodziński powtarzał: że Pijarom winien ustalenie swego losu (2). Docze-

(1) Brodziński następnie zaczął dawać lekcje w Szkołach Pijarskich na Długiej ulicy, poczynawszy od czwartej klasy. Pamiętam dobrze z jaką ciekawością będąc uczniem klasy trzeciej, wcześniej stałem w sieni z towarzyszami, ażeby go zobaczyć wychodzącego z lekcyj. Właśnie to wtedy wydał w małej książeczce przekład pieśni z wyspy Madagaskaru, które tak odmienne układem i myślą od tego cośmy znali, silne na młodych umysłach zrobiły wrażenie. Słyszałem zarzuty, że Pijarzy pierwsi opierali się nowym wyobrażeniom literackim, jakie wprowadzała tak zwana szkoła romantyczna. Jest to fałsz: Ks. J. K. Szelewski professor nasz języka polskiego, zapoznawał nas z każdą nowością literacką, ogłoszoną drukiem, właśnie tej szkoły.

(2) Tu mam sposobność przywieść nowe szczegóły o Brodzińskim, których nie podalem w jego obszerniej biografii (*Życiorysy znakomitych ludzi* Tom I. Warszawa 1850 r.). Jeżeli czytelnik znajdzie powtórzenie niektórych dla koniecznego związku rzeczy; raczy przebaczyć, bo dosyć o tym prawdziwym naszym wieszczu, naopowiadać nie możemy, i każdy co go znał zbliżka, radby jak najczęściej stawiać na przykład tę znaną a szlachetną postać.

Było to na początku 1835 roku. Po kilku latach powstawszy z ciężkiej słabości, wsparty na kulach jeszcze, szedłem Krakowskim Przedmieściem: kiedym stanął odetchną zmordowany i podniosłem oczy, spoglądając na kolumnę Zygmunta trzeciego, którą witałem jako dawną znajomość, bo dotąd wszystkie obce spotykałem dla siebie twarze: nagle, czuje uścisk ręki i staje przedemną Brodziński. Spojrzał na schorzałą moją postać, a w rzewnem jego spojrzeniu, lza zabłysła. „Przecież cię spotkałem; dawnoż wrócił! O zdrowie nie pytam, bo widzę... i wskazał na moje kule. Opowiedziałem w krótkości kilkoletnią przeszłość, od czasu ostatniego widzenia; Brodziński obiecał mnie nawiedzić: jakoż nazajutrz stawił się o naznaczonej godzinie. Pokazałem mu zbiory moje, tak zebranych wiele pomników naszej przeszłości, jako też szczegółów do życia domowego. Z radością je przeglądał, cieszył się nimi i przyrzekł częste odwiedziny, dopóki nie będę mógł wydobrząwszy nawiedzić go nawzajem. Od siedmiu lat była nasza znajomość bliższa, bo od roku 1828, kiedy b. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, uczyniło na konkurs zadanie, aby opisać i zebrać obyczaje, zwyczaje, pieśni, podania i przesady ludu naszego. Odpowiedziawszy obszernym rękopismem na to zadanie; z grona swego wyznaczyło Towarzystwo Brodzińskiego i Rakowieckiego, do ocenienia tej pracy. Ztąd z obu uczonymi literatami bliższa moja znajomość. Jak Brodziński przeczuwał konieczność wprowadzenia żywiołu ludowego do literatury piśmienniej, miałem dowód w udzielonych mi, chociaż bardzo szczupłych zbiorach i przysłów polskich i ludowych pieśni, które mi z obojętnym sercem podarował w roku 1829. Ale te zbiorki już pisane były to w roku 1816. to w 1818 r. Nie znalazłem człowieka więcej mającego prawdziwej prostoty i przekonania o jej zachowaniu w piśmiennictwie, jak Brodziński. Mam tego dowód w pomienionej rozprawie mojej, w której jak zwykle w umieszczeniu młodzieńczem, częste były ustępy pełne deklamacyi, nie raz napuszystej. Wszystkie te miejsca Brodziński ołówkiem ponaznaczał do opuszczenia. Wtedy dziwiło mnie jego zdanie powiedziane otwarcie. „Takie wykrzykniki, deklamacyje, rzeczy nie podniosą: pamiętajcie, że prostota, to najwyższa sztuka, prawda tylko w prostych a jasnych wypowiedzianych słowach, może trafiać do serca.“ Nie mogłem pojąć, że to co mnie się zdawało uajpiękniejszem, Professor Uniwersytetu gani. Czas późniejszy otworzył mi oczy. Kiedy Brodziński powrócił z kampanii 1812 roku, w której patrzeć musiał na śmierć brata starszego Andrzeja; zachowywał długo ową prostą, zwykłą żołnierzom postawę. Wzrostu średniego, smukły a szczupły, światły blondyn, oczy jasno niebieskie, miał nieco podniesione ramiona i małą głowę do swego wzrostu. Następnie skutkiem ciągłej pracy, pochylił się cokolwiek i ramiona się podniosły. Twarz drobna, miała szczególny wy-



Ryzynek iury A. Nalczkiewicz

Główny w Lit. A. Pocz. C. w Warszawie N° 482

Lit. W. Walkiewicz

KATAKUMBY W PERSPEKTYWIE.



MD.626

kawszy drugich prymicyi, umarł mając lat 83, będąc w zgromadzeniu Pijarskim lat 67. Nietylko w zawodzie praktycznej pedagogiki jako nauczyciel Kamieński wielkie położył zasługi, ale

raz rzewności i dobroci, a jego tęskne spojrzenie, ujmowało do razu. Głos miał cichy i słaby; na prelekcjach w Uniwersytecie, ściskali się uczniowie jak najbliżej katedry, aby słowa nie utracić z tego co mówił. Kiedy czytał na posiedzeniach publicznych b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, choć głęboka cichość panowała w sali, głos jego rzewny zaledwie na ostatnie ławki dochodził. Długie czytanie widocznie go męczyło, bo czytał z uczuciem i z zapalem w miejscach więcej wydatnych. W tej pełnej prostoty a cichiej wieszczą postaci, i ruchy jego były powolne a niewydatne. W najwyższym zapale, kiedy promieniły ogniem życia jego oczy: gdy słaby rumieniec wybijał na drobne oblicze; wznosił tylko rękę prawą do góry i potrząsał nią silnie. Nie dziwota. ta szczupła dłoń, nawykła do pałasza, jak i pióra. Od najmłodszych lat wychowany na wsi, w pośród ludu stariej krakowskiej ziemi, wzdychał do cichej nstroni wiejskiej, i najwyższym celem marzenia jego, była choćby najskromniejsza strzecha sielska. To pragnienie jego jeszcze wzrosło więcej, kiedy ożeniony, po urodzeniu jedynaczki, już miał rodzinę własną, co mu umilała ciche godziny życia literackiego. Znałem go w dawniejszych latach kiedy uśmiech i radość na jego obliczu, były częstymi gośćmi, później po kilkoletniem niewidzeniu, znacznie się postać Brodzińskiego zmieniła. Jeżeli używał przechadzki, szedł jak zwykle wolno, ale z pochyloną już głową: znikł wyraz zdrowia z oblicza, a uśmiech jeśli zawitał, to nie był wesoly, radośny jak dawniej, ale łzawy a bolesny. Już i cierpienia wyorały na tém szlachetném czole swoje bruzdy. W końcu 1834 r., zaczęła mu się tworzyć narośl na prawej łopacie, która coraz więcej wzrastała. Dokuczala mu nie mało, a co większa, odbierała władzę dłuższego pisania. „Nie podpisywałem wyroków, nie pisałem ani krytyk, ani paszkwilów, a przecież jakby kto przeklął moją biedną rękę!“ Tak się nasz poeta uskarżał i znosił bóle z poddaniem chrześcijanina. Wiele prac porozpoczynanych nie mógł powykończyć, bo nie umiał dyktować: potrzebował cichego zakątka kiedy myślał, a tu po kwadransie pisania musiał spoczywać, zanim znów zdołał piórem władać. Wracała mu wszakże chwilowo swoboda, kiedy się wydostał za rogatki warszawskie. Zaledwie go owionęło świeże wiejskie powietrze, zaczynał nucić jakąś piosnkę ludową z lat młodych przypominaną. chwytal liście z drzew, kłosa z roli, i napawał się ich wonią. Marzył wtedy o przeszłości swojej, zapominał co się naokoło niego działo; i całą piersią chwytal świeży powiew, co z wiatru poszmerem przewiewal. Pamiętam go, kiedy w weselszych czasach wędrował na odpust do Czerniakowa. Już to było po wydaniu poezyj jego w 1821 roku, w których on serdeczny obrazek tych miejsc nakreślił.

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa,
Szły obok matek strojne dziewoje,
Szły i za niemi młodzianów roje,
A ja sam byłem bo dotąd strzala
Mojego serca nie dotykała.

Jeszczem nie nie pil z miłości zdroju,
Okromi tęsknoty i niepokoju.
Niech więc weseli idą szczęśliwie,
Ja szedłem wiedzą po żytniej niwie,
I smutny byłem, bo szedłem prawie
Jak ten robaczek błędząc po trawie “

Szedł i w tę porę sam, ale czas wiosenny, Maj cudowny, aromatyczna woń powietrza, gromadki spieszących mieszkańców na odpust; wszystko Brodzińskiego orzeźwiło i rozweseliło. Spotkałem go jak siedział na uboczu od drogi pod krzyżem, długo rzucal oczyma na okolo radośnie; powital mnie szczerze, usiadłem obok niego. „Odżyłem tutaj (mówił mi) wydobywszy się z murów Warszawy, gdzie coraz mniej zieloności, o świeże powietrze tak trudno! Patrz!... jakie to gromady ludu ciągną. Cieszę się z tego. bo widzę że stary obyczaj jeszcze nie zapomniany. Marzę zawsze o mojem szczęściu. że kiedyś Bóg dobry mi zdarzy, i pozwoli choć pod strzechą słomianą odetchnąć, a pracując przy roli, zasnąć spokojnie i spocząć na wiejskim z kmiotkami ementarzyku “ A przed domkiem (odrzekłem) trzeba lipy jak w Czarnolesiu. Brodziński smutnie poruszył głową i dodał: „Czy pamiętasz Kochanowskiego ów wiersz: (a prawie całego w piękniejszych ustępach umiał na pamięć i rad je w rozmowach i w listach powtarzał).

Dzieci z łaszą do studni, a stół w cieniu lipowy,
Gdzie gospodarskiej głowy,
Od gorącego lata
Broni liść — za wsadzenie przyjemna zapłata.”

W tę chwilę. odgłos dzwonu Czerniakowskiego odbił się po niwach. Chodźmy na mszę, — rzekł powstając a spojrzawszy na figurę pod którą siedzieliśmy, przeżegnał się i cichą odmówił modlitwę. Osmutniał w drodze, i na straganie kupiwszy kilka woskowych ofiarek, weszliśmy do kościołka przepelnionego ludem. Brodziński złożywszy na ołtarzu ofiarki, w ławce przykląkł, i szczerze zaczął się modlić. Ta jego korna postać, wielkie wraże-

i jako autor w ułatwieniu rodakom nauki języków: francuzkiego i niemieckiego. Grammatyki jego, przez długie lata doczekały się wielu wydań. wyliczymy tu literackie prace Kamińskiego.

1) *Grammatyka języka niemieckiego dla Szkół Narodowych*, w Warszawie 1790 r. 8-o 2) *Krótko-*

nie na mnie zrobiła, tym bardziej, że w głębi duszy byłem przekonany tak o prawdzie każdego jego słowa płynącego z serca, jak i każdego postępku. I ja obok niego, modliłem się szczerzej niż zwykle, bo mnie owionął powiew czystej i niepokalanej duszy wielkiego poety. Ile razy teraz stanie mi na oczu postać jego, to zaraz przypominam sobie i ową chwilę gdy go widział klęczącego z złożonymi rękoma do modlitwy, z oczyma pełnemi rzeźwonego uczucia, a wzniesionemi na święty obraz.

W kilka lat, zaczęła się wieść rozchodzić pomiędzy młodzieżą akademicką, że pan Professor Brodziński ma narzeczoną i że o pewnych godzinach bywa w Saskim ogrodzie. Wesola młodzież, a kochająca go serdecznie, z ciekawości zbierała się w ogrodzie, by poznać przyszlą panią professorową. Raz idąc ogrodem, zatrzymała mnie zebrana w gromadkę w oddali, wskazując nieznacznie na postać młodej niewiasty, siedzącej na ławce w głównej alei. Niedługo wszedł i nasz poeta, powolnym jak zwyczajnie idąc krokiem; a zbliżywszy się do siedzącej w towarzystwie, uklonił się, i stojąc długo rozmawiał. Poczem zaczęli przechadzkę razem. Z bocznej alei spojrzalem na Brodzińskiego; nigdy rzetelniejszego wyrazu prawdziwej radości i wesela nie widział na obliczu jego, jak w ową porę. Postać pochyłona zwykle, przybrała dawną żołnierską minę; postępował przędzym krokiem i zajmując widak prowadził rozmowę, bo z naszego grona kilku ciekawszych co się wysunęli w główną aleję, aby bliżej ujrzyć narzeczonych, nie widział wcale, chociaż zdejmowali przed nim czapki. Wielkie Bóg mu zdarzył szczęście, gdy po ożenieniu urodziła mu się córka Karolina, dziecina ta była dla niego wielką radością, i uważał to za wyraźne dla siebie błogosławieństwo Boże. Przy swoim charakterze cichym i potulnym, miał jeszcze szczególną skromność. Kiedy czytywał mi owe cudne rozprawy, co jak prorok z przeszłości wydobywał z nich obrazy podgrobowe z całym urokiem prawdy i życia, które dotąd w rękopiśmie gdzieś spoczywają, gdy z całą uwagą i pełnym uczuciem nasłuchiwałem; przerywał ciąg nie raz i pytał czy mnie to nie nudzi? Mniej znając Brodzińskiego, można to było brać za żart, chociaż przekonanie mówiło, że to była szczerza prawda. Nie zapomnę nigdy silnego wrażenia i tego oczarowania, z jakim słuchałem jednej z najpiękniejszych rozpraw „*O Matce Boskiej*,” i czci, jaką odbierała na całym obszarze starodawnej Polski. Był to cudowny prozą poemat: historyczne fakta i podania posługiwały tu za wątek; całość nacechowana rzeźwionym uczuciem, wzniosłym stanowiskiem, i tym duchem staroświeckiej pobożności a prawdy, które trudno powtórzyć. Czuł Brodziński całą wartość swęj pracy, snąc że pisał ją z serca, bo w kilku ustępach rzeźwony głos jego i cichy, zadrzał — na chwilę umilkł, a po ciężkiem westchnieniu, dopiero dalej czytał. Było to wśród zimy i początków wiosny 1835 roku. Każde nowe dzieło ważniejsze wydane, każdy nowy talent zjawiający się na horyzoncie krajowym, słowem każda praca mająca jakąkolwiek wartość, cieszyły to serce zacne i pocziwe, i sprawdzał na sobie to, co sam w jednej najcudniejszej rozprawie poetycznej wyrzekł: „Ty który plenny snop do brogu wniesiesz, nie wykrzyknij jako żniwiarka w wieńcu *dożynkowym*, że chleb do domu przynosisz; to ten mocował się z plugiem, ten siał, ten plewił, a tobie dał Bóg żes żeżeł.“ W roku 1831 dotknęła go wielce śmierć jego przyjaciela, Juljusza Kolberga; śliczne o nim wspomnienie zapisał w swoim pamiętniku (1). W następnym roku wyjechał przyjaciel także od serca Brodzińskiego, sędziwy już w latach. Łukasz Gołębiowski, w Hrubieszowskie: często pisywali do siebie. Brodziński cieszył się wielce, gdy otrzymał wiadomość jak szanowny ten starzec osiadł w wiejskiej zaciszy swobodnie, i jak szczęśliwego zażywa spokoju. Po powrocie w Czerweu 1833 r. ze wsi, gdzie kilka tygodni bawił, zatęsknił do wiejskiej ustroni. tym więcej, gdy znowu list od Gołębiowskiego otrzymał, w którym mu opisał swobodę życia Sielskiego jakiego pod skromną strzechą doznaje. „Jakże to pocieszający list czcigodnego przyjaciela, że mi potwierdza wiadomość o swojej pomyślności, którą dawniej brałem tylko za pierwsze umiesienie, jakie sprawić mogła zmiana życia i wyswobodzenie od miejskich kłopotów. Wiem ja dobrze, że szczęście twoje zacny panie, ma dużo warunków; ale że w sobie jest takie, jakiego tylko cnotliwe dusze używać mogą. Używaj go w pełni i jak najdłużej, i niech ci wydaje wszystko, jak dobra ziemia *Kazimirówki*. (2). Ale i to mi jest wielką osłoda, że tak zacny mąż z całą rodziną, daje mi dowody przywiązania, na które abym tak zasłużył, ile cenić je umiem. Wierźaj mojemu przedświadczeniu, że nad wielką sławę i fortunę ten się wyniósł, kto dobrą chęcią na życzliwość ludzi zasłużył. Mądrze to przodkowie nasi z jednego źródła wyprowadzili *życie i życzliwość*, bo tylko w życzliwości ludzkiej prawdziwie żyjemy. Co ojciec, sąsiad, kapłan i pisarz, z serca do

(1) Znalazłem je czytelnik w 3-cim tomie w całości przywiedzone przy życiorysie J. Kolberga.

(2) Nazwa dziedzicznej osady wiejskiej Ł. Gołębiowskiego.

ki zbiór grammatyki francuskiej Vailly, obok z tekstem francuskim. Warszawa 1792 r. 8-vo 3). *Grammatyka albo pierwsze początki języka francuskiego*. Warszawa 1799 r. 4) *Rady dla po-*

serca podał, to tylko przyjmuje się, kwitnie, wyda owoce i nasiona; i tak ciągle odkwitać będzie. Wszystko zresztą co wyrachowane jest na sławę, wrażenie, co z egoizmu powstało, to jest błyskotką, która nic nie zostawi po sobie. Z rodzin powstały narody, duch narodu wraca do rodzin. Sława odosobniona jest nikłym zjawiskiem, za którym gonić nie warto! Sława każdego, zgorzć powinna w jednym powszechnym ognisku.“ (1) Smutne położenie Brodzińskiego zmusiło go do przyjęcia zmuśnionej pracy, która go przykładała w murach Warszawy. „Mam teraz zajęcie, (pisze do Ł. Gołębiowskiego) mało odpowiednie moim ulubionym pracom, kosztujące wiele znuży i czasu; ale tak je uważam, jak wy ziemianie wasze pistoryusze które choć śmierdzą, przecież więcej przynoszą, niż wonne ogrody. Podjąłem się redakcyi *Magazynu Powszechnego*. Przedsiębiorca dobrze na nim wychodzi, a mnie płaci od arkusza po cenie umówionej, i to mię stawia w możności zostania w Warszawie. Radbym zacy przyjacielu, żebyś widział mniemanego śpiewaka, jak on się po całych dniach mozoli nad artykułami o mechanice, o kuglarzach, o zoologii, jak was rolników naucza znać się szczegółowo na kukurydzy, na główki w pszenicy; jak opisuje skład wozów parowych, uczy obchodzić się z zegarkami, jak nawet pisze o astronomii. Uzbroiłem się w cierpliwość, i mówię sobie: to moja drzewczawka.“ (2) Na początku 1835 roku w którym sam umarł, miał ciężki jeszcze smutek. Zona mu długo chorowała, cierpienia samego poety powiększały się coraz; nigdzie nie bywał, najlepiej mu było dumać w domu; „mało widzieć (jak wyrażał) jak się ten świat toczy.“ Kilka rzeczy prozą pisał jeszcze, „ale natomiast muza zupełnie śpi. choć tęsknota ku niej często przebudza. Pragnę jeszcze jednego roku w życiu tak wolnego, ale na wsi, żebym go mógł wyłącznie poezyi poświęcić: byłoby to babskie lato życia mojego, ale czy się to kiedy uda, to Bóg wie!“ (3) Na kilka dni przed odjazdem, odwiedziwszy mnie, zaprosił na pogadankę do siebie. Około szóstej godziny wieczorem przybyłem do jego mieszkania w pałacu Kazimierowskim. Siedział sam w swoim małym pokoju, gdzie zwykle pracował. Był głęboko zamysłony, rozrzewniony i smutny. Po potocznej rozmowie o dniu naznaczonym do wyjazdu za granicę do wód, w których rokowano mu odzyskanie zdrowia; z bolesnym westchnieniem ubolewał nad rozłączeniem się z ukochaną żoną i córką. „Znów będę samotny, jak niegdyś, sam może i w obłożnej chorobie!“ I zwiesił smutnie głowę. Ale orzeźwił się wkrótce, zaczął mówić o literaturze, o pismach wychodzących i dziwił się szalowi, jaki zdolne głowy nawet opanał, w uwielbianiu filozofii Hegla. „Dla nas (rzekł mi te pamiętne słowa) biblija powinna być źródłem wszelkiej żywej i ożywiającej filozofii.“ (4) Mówiąc o ruchu literackim jaki się wówczas okazywał zaczął, gwarzyliśmy do znrroku. „Gdybym dożył kiedy tej chwili (mówił ze łzą w oku), żebyśmy kiedyś przy wspólnym ognisku zebrani, wieńcem zasiedli; a każdy rzucił snop uzbieranego plonu wiadomości i rozwiniętego talentu; cóżby to była za rokosz dla serca mojego. Odżyłbym choć na krótko, i śmierć byłaby lekką i znośną. To były ostatnie jego słowa do mnie wyrzeczone! W kilka miesięcy już nie żył! Przed zaciągnięciem się do wojska polskiego w roku 1809 za przybyciem do Krakowa, zwiedzał piękne okolice Ojcowa, Grodziska i Pieskowej Skąły. Uderzony czarującą tych stron pięknnością, przejęty wspomnieniami przeszłości, ułożył poemat o pustyni świętej Salomei, mającej kaplicę w *Grodzisku*. W wyprawie 1812 roku, gdy poległego w bitwie pod Berezyną brata swego starszego Andrzeja, do dołu śnieżnego chował, zgubił tę pierwszą większych rozmiarów pracę swoją. Nigdy tej straty zapomnieć nie mógł, i nieraz później w pełni zawodu literackiego i rozgłosu imienia, wspominał jeszcze przedemną o tym utworze, który wysoce cenił, a szczerze zaguby żałował. Lubił Brodziński wspominać o czasach swojej wojaczki, a chwila zgonu brata Andrzeja, była zawsze obecną jego pamięci. Przywiodę tu dwa ustępy z notatki udzielonej mi przez panią K. z Lipińskich Lewocką, w której domu bywał nasz wieszczę częstym jako przyjaciel gościem.

„Nieraz staje mi żywo przed oczyma wyraz oblicza Brodzińskiego opowiadającego wrażenia doznane w wyprawie 1812 roku. Jakież nim uczucia miały, gdy opisywał jak ujrzał przed płonąącym pałacem *Roztopczyzna* na polu tablicę przybitą, na której w czterech językach był napis, że właściciel własną ręką ogień podłożył, przekładając zniszczenie, nad zagarnięcie przez wroga. Jakie ztąd nasz żołnierz poeta wyprowadzał

(1) Zobacz pamiętnik o życiu Łukasza Gołębiowskiego, wydany przez jego syna. Warszawa 1852 r.

(2) Tamże.

(3) Tamże.

(4) Brodziński uważnie badał filozofiją niemiecką; a słowa tu przywiedzione, tak z przekonania jego wypływały, że je powtarzał przy każdej stosownej rozmowie, i powtarzał w swoich listach do przyjaciół.

spółstwa Tyssota, z francuskiego przełożone. 2 tomy. Warszawa 1785 i 1786. Pierwsza ta praca Kamińskiego zjednała mu pochwały Stanisława Augusta, u którego z młodzieżą szlache-

zastosowania, jak wysoce wielbił to poświęcenie, trudno opowiedzieć. Zdarzenie to nigdy mu z myśli nie zeszło, gdy tylko była mowa o tej pamiętnej kampanii. Zastał raz u mnie mego pięcioletniego synka, niechającego jeść kaszy, bo w niej mało masła było. Zaczął go głaskać Brodziński i namawiać, aby jadł kaszę, bo lepsza z odrobiną masła, niżeli z łojową świecą. I opowiedział nam, jak mu smakowała kasza pod Mołajskiem, gdzie po kilkoniowym głodzie, jak się dorwali łojowej świecy, to ją sobie od jednego do drugiego kotła, choć po trochu tapiali dla okrasy. „A było to (przydał) właśnie po śmierci brata mego Andrzeja: ciało jego jeszcze leżało nieopodal odemnie! Jednakże zjadalem kaszę z łojem! Człowiek zwierzęce na wojnie.” I wymówiwszy te słowa tęsknym głosem, założył jak miał zwyczaj ręce na obu ramionach.

Z tej wyprawy, na której zdrowie stracił, przywiódł z sobą swego kanoniera, wielce przywiązanego i wiernego, ale oryginala i pijaka. Sam Brodziński opowiadał o nim różne anegdoty: przywiódę tu te, które mam z ust przyjaciela naszego wieszczka. Brodziński wracając z wieczoru zastał drzwi zamknięte: kanonier pijany spał jak suseł. Po długim stukaniu, przecież się rozbudził, ale z splątanymi nogami zataczając się, a rękoma skrobiąc po ścianie, trafić do drzwi nie mógł. — Cóż ty! ty!.. pijaku nie możesz drzwi nawet namacać? — A co to dziwnego (odrzekł spokojnie kanonier), niech no się pan upije tak jak ja, to zobaczymy czy łatwo do drzwi trafi. — Siedział poeta zadumany kręśląc wiersze, kiedy nagle staje za nim stary wiernek z rozkraczonymi nogami i założonymi w tył rękoma. — Dziękuję panu za służbę! krzyknął grubym głosem tuż nad uchem Brodzińskiego. — Ten kiwnął głową i z cicha odrzekł: Dobrze! dobrze! a teraz idź precz! nie mam czasu. — No! ale ja panu dziękuję za służbę! dobitniej jeszcze przemawia kanonier: a dobywszy ukryty w ręku za sobą but dziurawy i pokazując, dodaje. „Widzisz pan! te buty sprawione są przed tygodniem, a już w jednym dziuraw! Słychaneż to rzeczy! Jak mi się pan tego szewca lotra nie pozbędzie to ja dziękuję za służbę.” — Mając pracę pilną, zasiadłszy przy stoliku, zakazał Brodziński aby nikogo nie wpuszczał. Niedługo słyszy że ktoś przyszedł: jakąś następnie w przedpokoju rozmowę, a wkrótce kanonier otwiera drzwi gabinetu gdzie pisał i zaprasza idącego za sobą gościa. Ten ujrawszy poetę, staje zdziwiony. — To ty w domu jesteś? pyta, a służący powiedział żeś wyszedł. Zmieszany Brodziński, tłumaczył się jak mógł, a kiedy został sam ze służącym, zawołał z gniewem: — Jakżeś ośle! mógł wprowadzać tego pana do mnie, kiedym ci kazał powiedzieć, że mnie w domu nie ma. Kanonier pokiwał głową, i odrzekł spokojnie z uśmiechem: — „Przecież zrobiłem jak mi pan kazał, powiedziałem temu panu, że mego pana nie ma w domu. No! ale on chciał kałamarza i pióra żeby do pana napisać. Tociem musiał go tu wprowadzić, boć tego u siebie w przedpokoju nie mam.” — Obserwatorium astronomiczne w Warszawie, dało początek miłości, a następnie i małżeństwu Brodzińskiego. Jak to było opowiem. Kiedy w roku 1824 zupełnie ukończono budowę tego gmachu, Armiński professor astronomii urządził obserwatorium i ustawił wszystkie narzędzia: professorowie naszego uniwersytetu zaczęli często i ten zakład naukowy i Armińskiego odwiedzać. Między tymi, bywał tu już dawniej gościem, a teraz częstszym, jako jego przyjaciel, Brodziński. Tu poznał bliżej siostrę rodzoną pani Armińskiej, Wiktoryję Holly: przyjmowany uprzecznie, zakochał się w niej namiętnie, a to uczucie coraz się potęgowało, gdy przez lat parę ręki jej nie mógł otrzymać. W roku 1825 z wiosną wyjechał do Włoch, aby odetchnąć po dasznej miejskiej atmosferze, i troskach które go dojmowały. W powrocie przybywa do Piotrkowa, wchodzi do oberży: a częstemu ulegając rozrządzeniu, niewiele uważał że stół był strojnie przybrany i liczna służba stała w gotowości. Głodny, zapytnje jednego ze służących, czy prędko będzie objad? — Za chwilkę! otrzymuje odpowiedź. — To dobrze! śpieszczę się tylko. I zasiadł czytając Kuryera Warszawskiego. Wkrótce widząc że pora obiadu bliska, zawołał: „Garson! dajno wódki! A salon był już pełen gości: składali go sami oficerowie polscy. Wszyscy spojrzeli się po sobie dziwnie: to dostrzegł poeta, i nieco się zmieszał. Ale wkrótce zaczął spożywać z dobrym smakiem obiad podany. W rozmowie rzecz o poezyi była pierwszą. Rozprawiano o klasykach i romantykach. Obecny temu generał polski, rzucił zdanie o wartości poezyi narodowej, a mówiąc o niej z zapałem, wspomniął Brodzińskiego i przedeklamował z uczuciem strofkę jednej z jego pieśni. Poeta nasz, zadrżał z wzruszenia, krew uderzyła mu do głowy. Izy stanęły mu w oczach, gotów był rzewliwie się rozplakać. Ale wziął górę nad uczuciem, zerwał się z pośpiechem, a dobywając pieniędzy, gdy oplaty garson przyjąć nie chciał, ujrzał się nagle otoczony przez wszystkich obecnych z owym generałem na czele, którzy zdrowie Brodzińskiego z zapałem spełnili. Stał wtedy z pułkiem w Piotrkowie Antoni Potocki, a generał Franciszek Morawski podał myśl szczęśliwą ucz-

cką bywał na czwartkowych obiadach. Towarzystwo warszawskie Przyjaciół Nauk, w r. 1803 wezwało go na swego członka; był także członkiem Towarzystwa elementarnego i zasiadał

czenia tym sposobem brata po lutni i mieczu, wracającego z podróży do ojczystej ziemi (1). Za powrotem ponowił starania swoje o rękę Wiktoryi Holly. „Co to za głupia rzecz, ta miłość, (mówił już później do pani Lewockiej gdy o tych czasach wspominał) jak mi przychodziło wchodzić do pokoju panny Wiktoryi, to mi serce biło jak młotem, a ręka tak drżała, że nieraz musiałem się cofać, aby nabrać animuszu i klamką poruszyć. To już panna Wiktorya poznała moją nieśmiałość i nieraz uśmiechając się sama drzwi otworzyła, przy których ja stojąc, oburącz za serce się trzymałem.“ To silne uczucie łatwo wytłumaczyć w naszym pocie temu, kto zna szczegóły jego życia. Nie pamiętał on uścisku matki swojej, do której tak rzewnie tęsknił, przypominał sobie tylko jej postać, jak spoczywała na katafalku. Od lat dziecinnych nie doznał nigdy żadnej oznaki przywiązania i miłości: zazdrościł jak sam wyznaje, gdy widział pieszczoty innych dzieci, jakiej doznawały od swoich siostr i matek. Wychowany jak sierota, utraciwszy w dojrzałych latach brata, którego tyle miłował, z sercem pełnym uczucia, które taił w głębi: niedziwota, że gdy znalazł kobietę co mogła je zrozumieć, pojąć i podzielić, pokochał namiętną miłością. Zawarł z nią związek małżeński tego samego roku 1825 jak powrócił z Włoch, mając lat 34 wieku (2).

Narośl na prawej łopacie dokuczala mu coraz bardziej, trzeba było szukać u wód zagranicznych ratunku. Było to na wiosnę r. 1835 w dziesięć lat po ożenieniu. W wigilię wyjazdu, zaproszony przez panią Lewocką, przybył na ostatni wieczór pożegnalny wraz z żoną i córką. Zaczyna gospodyni domu, przygotowała umyślnie ogromny bukiet konwalii kwiatów, które śpiewak Wiesława najwięcej lubił. Wszedł Brodziński dziwnie smutny i rozrzewniony. Była na tym wieczorze Teressa Kicka siostra i wdowa generała. Smutek poety udzielił się całemu gronu: ale wkrótce rozmowa orzeźwiła się: oblicze Brodzińskiego rozjaśniało z pod cienia tęsknoty. Przy pożegnaniu, z bukietu konwalii, którego wonią długo się napawał, rozdał po części obecny na pamiątkę. „Mam do tej pory (pisze do mnie pani Lewocka) oprawną w portrecie Brodzińskiego jedną gałązkę z tych bukietów konwalii, które nam Brodziński przy pożegnaniu rozdarował: dla niego jedynie na obcej ziemi ulubionego kwiatu zabrakło.“ Spoczął nasz wieszcz, (zmarły d. 10 Października 1835 r. w Dreźnie) na sen wieczny, nieprzespany na cmentarzu w Dreźnie. Wpółśród drzew, otoczone żelaznym w ogniach łańcuchem, na wspólnej kamienną podstawie stoją dwa nagrobki: na jednym przyłbica na wierzchu złożona, wskazuje starego wojownika; na drugim lutnia, poetę. Pierwszy miłości zwłoki generała Wojezyńskiego, drugi Kazimierza Brodzińskiego.

Wiele wspomnień o ó. p. Brodzińskim już ogłoszono drukiem. My odsyłając do tych źródeł czytelnika, ażeby nasze wspomnienie uzupełnił podamy tu z własnoręcznego rękopismu niezapomnianego poety, krótki życiorys, jaki skreślił sam, jeszcze w roku 1823, a dotąd drukiem nieogłoszony. „Urodziłem się w roku 1791 w Galicyi Austryackiej, w Cyrkułe Bocheńskim, we wsi Królówce, z rodziców Jacka i Franciszki, wyznających religiją Rzymsko-Katolicką. — Ojciec mój był dzierżawcą starostwa lipnickiego. — Dowodów szlachectwa nie mam innych nad te, iż po zgonie ojca zostawałem pod opieką *Forum Nobilitum* w Tarnowie. — Odbyłem tak zwane szkoły niemieckie normalne, tudzież Gimnazjum w Tarnowie. — Przez czas pobytu mego w Gimnazjum, Professorowie: Parczewski i Schmidt udzielali mi prywatnie nauk i języków w szkołach niedawanych; ostatni zaznajomił mię z literaturą niemiecką: obadwaj bez żadnego wynagrodzenia, za co niech mi tu będzie wolno wdzięczność tym mężom wyrazić. Wcześniej utraciwszy rodziców, gdy spadek po nich doznał prawniczego zawikłania, od młodości

(1) Zdarzenie to dwóch znakomych pisarzy naszych podało: Stefan Witwicki w dziełku *Gadu! Gadu!* (wydane w Petersburgu) i L. Siemiński. My przedstawiamy rzecz jak była, nie przywołując rozmowy przy stole, bośmy takowej obecnymi nie byli.

(2) Urodzona z tego małżeństwa dnia 15 Października 1827 r. córka Karolina Bożenna, po śmierci ojca, wychowywała się przy matce awojej w Warszawie, utrzymującą się z pensji emerytalnej przez Brodzińskiego jako profesora Uniwersytetu wysłużonej. Już dawniej za życia Brodzińskiego okazywały się w niej początki suchoty, wiadomość o zgonie w Dreźnie męża pogorszyła stan nieszczęśliwej wdowy: rozwijały się silniej zgubne oznaki tej nieuleczonej choroby. Z porady lekarzy przewieziona na wieś w r. 1837 do brata swego Antoniego Holly, właściciela wsi *Zalęcze-male* za Tarczynem, z całą przytomnością umysłu w Sierpniu tegoż roku umarła. Pochowaną została w grobie kościoła w *Prakmowie*, gdzie obok zwłoki jej siostry Armińskiej, i brata Antoniego Holly spoczywają. Na parę miesięcy przed zgonem, zrobiła rozporządzenie majątku dla córki Karoliny: zapraszając na opiekuna dziesięcioletniej sieroty Dr. Wilhelma Malcza, dawnego przyjaciela Brodzińskiego. Szanowny ten mąż, zaraz po jej śmierci przywiezłszy do Warszawy do domu swojego sierotę, otoczył ją wraz ze swoją małżonką rodzicielskim staraniem, i wspólnie z córkami swojemi dawał jej wychowanie, blisko przez lat dziesięć. Pozostali po jej rodzicach majątek, staraniem swoim podwoił, i oddał ją w zamęcie za przyjaciela swego Augusta Wilhelma Rutch, dziedzica wsi *Poplawy* w Powiecie Opoczyńskim. Karolina Bożenna Brodzińska brała ślub w kościele parafjalnym S-go Krzyża i w kościele Ewangelickim dnia 16 Maja 1847 roku.

w Kommissyi Oświecenia Narodowego w Wydziale Wyznań. Teraz wdzięczni uczniowie zamysłają mu wystawić pomnik w kościele księży Pijarów w Warszawie.

trudniłem się wychowaniem dzieci, jako sposobem utrzymywania się w szkołach. — Za przełożenie w szkołach poezyi Collina, otrzymałem od Rządu Austriackiego stypendjum i miejsce w Instytucie Wiedeńskim; ale niedoświadczenie i tęsknota do języka i literatury polskiej, nie dozwalały mi korzystać z tej łaski mojego rządu. — Udałem się do Uniwersytetu Krakowskiego, przy którym przez półtora roku poświęcałem się naukom filozoficznym i filologicznym. W roku 1809 gdy wojsko Księstwa Warszawskiego weszło do Krakowa, idąc za powszechną opinią, wszedłem w służbę artylleryi jako ochotnik, odbyłem kampaniją rosyjską i niemiecką: za Moskwą mianowany oficerem, pod Lipskiem byłem wzięty w niewolę, a utraciwszy siły i chęć do służby wojskowej, otrzymałem żądane uwolnienie. Po krótkim odpoczynku na wsi, udałem się do Warszawy, w celu poświęcenia się służbie publicznej. W roku 1816 po bezpłatnem zasługiwanu się w Kommissyi Oświecenia, wyznaczone miałem obowiązki zastępcy Kancellisty; lecz tu nie miałem innego zatrudnienia, jak ciągle przepisywanie na czysto; prosiłem o uwolnienie, które otrzymawszy, udałem się do Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, gdzie dziewięć miesięcy jako bezpłatny adjunkt, a pięć jako płatny sekretarz w sekcji administracyjnej zostawałem. Gdy wskutku traktratów Wiedeńskich utworzoną być miała Kommissya Rządowa likwidacyjna, trudniłem się z własnej ochoty przez pół roku przygotowaniem materyałów do prac téjże Kommissyi. — Później mianowany zostałem sekretarzem téjże Kommissyi trzech Dworów. — Obowiązki moje pełniłem do końca roku 1820, w którym taż magistratura rozwiązana została. Otrzymałem polecenia do wszystkich Kommissyi Rządowych względem umieszczenia mnie w stopniu odpowiadającym; lecz dawniej już sposobilem się do stanu nauczycielskiego. — W roku jeszcze 1818 ksiądz Kamiński prowincyał Pijarski, któremu z pism niektórych tylko znany byłem, zaproponował mi dawanie lekcyi języka i literatury polskiej w konwiktie Żoliborskim. Obowiązki te pełniłem od roku 1818 do 1822. — Równie przez cztery lata dawałem dla młodzieży duchownej w Seminarjum pijarskiem naukę wymowy i poezyi. — Przez rok 1818¹⁰ dawałem lekcyę literatury w szkole wojewódzkiej pijarskiej. — W roku 1818 otrzymałem od Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych nominacją na nauczyciela literatury dramatycznej przy tutejszém konserwatorjum, od którego to obowiązku, dla innych zatrudnień musiałem się wymówić. — W roku 1821 wezwany zostałem przez Kommissyą Rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego na profesora literatury w Liceum Warszawském, z oświadczeniem, iżbym oraz wykładał kurs publiczny w Uniwersytecie. — Później Kommissya Rządowa, wchodząc w słuszną moich w téj mierze przełożeń, raczyła mnie wezwać do czytania kursu historii krytycznej literatury polskiej w Uniwersytecie. (!) W roku 1823 Kommissya Rządowa na przedstawienie Rektora, łaskawą była mianować mnie Sekre-

(1) Kiedy miał objąć katedrę literatury w Uniwersytecie Warszawskim, zapragnął otrzymać stopień Doktora Uniwersytetu Krakowskiego, i w tym celu, napisał list następujący do X. Janowskiego:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Lubo nie miałem dosyć sposobności zasłużyć na względy W Pana Dobrodzieja, jednakże dobroć Jego i pokrewieństwo, ośmiela mię udać się do Niego z prośbą wiele dla mnie znaczącą. W Uniwersytecie tutejszym, mam wykładać kurs historii krytycznej literatury polskiej, i Kommissya Oświecenia przeczytawszy i przyjąwszy mój plan, uznała za potrzebne, otworzyć nową katedrę temu [przedmiotowi poświęconą. Jest to praca, która pierwsza u nas w tym rodzaju, nie mało mnie pracy kosztowała, i będzie kosztować. Ale to mię pociesza, iż jejżytek i potrzebę uznano. Jedna mi tylko trudność zachodzi, to jest: iż ustawy mieć chcą, aby okazać wprzód dyploma doktoratu, a przynajmniej magistra. Wiadomo W Panu Dobrodziejowi, iż zapal młodzieńczy w czasie gotującej się wyprawy Napoleońskiej, nie dozwolił mi myśleć nadal o podobnych zaszczytach, i najpierwszą potrzebą być mi się zdało, stać w szeregach żołnierzy. Po powrocie atoli z nieszczęśliwej wyprawy, tyle pracowałem nad sobą, żem się oheznał z obcą literaturą, a najwięcej z ojczystą. Doszedłem do tego, iż jestem publicznym nauczycielem wymowy i poezyi w Konwiktie Księży Pijarów, oraz w Seminarjum tegoż zakonu, i te obowiązki już czwarty rok pełnię. Za radą więc rektora tutejszego uniwersytetu J.W. Ka. Szwejkowskiego, chciałbym się udać do Szkoły Głównej Krakowskiej, czylibym w niej nie mógł pozyskać zaszczytu wyżej wspomnionego. Ale nie będąc pewnym, jakaby drogą o to się starać, umyśliłem upraszać łaski W Pana Dobrodzieja o pomoc i radę. Raczysz mi może darować, że tu śmiem moje niejakię uczone zasługi wymienić, bo bez tego nie mógłbym żądać Jego względów. Wydałem rozprawę o *duchu poezyi polskiej*, o *pisnach klasycznych i romantycznych*, o *dzieniu polskiej literatury*: prócz tego różne drobniejsze pisma i listy w tymże przedmiocie, o których Jan Sniadecki i inni pochlebne zdania ogłosili. Prócz tego tragedia *Templarjusze* z francuzkiego tłumaczona, dwa tomy moich poezyi świeżo z druku wyszły, dozwalają mi mieć nadzieję, iżby te prace moje mogły mi wyjednać zaszczyt, o który prosić mam zamiar. Jestem Członkiem Towarzystwa Król: Przyjaciół Nauk, i nietylko w tém gronie, ale i jako Redaktor przyszłego Pamiętnika Warszawskiego, ciągle się naukom poświęcam. Mile mi jest przytem wspomnienie że jestem Krakowianin, że w Krakowie czerpałem pierwsze wiadomości, które się staram wydoskonalać i niemi krajowi służyć. Wyznaję nakoniec, iż szanowne dzieło J.W. Soltykowicza *O stanie Akademii Krakowskiej*, podało mi myśl pracowania nad kursem ojczystej literatury w tymże samym duchu, to jest: aby uczonych polaków nie tylko jako pisarzów oceniać, ale jako obywatelów, ile radą i czynami na swój wiek i naród wpływali. Upraszam więc dobroć W Pana Dobrodzieja, aby mię (jeżeli można) najspieszniej zawiadomić raczył, jeżeli ta prośba otrzyma skutek, jak i w jakiej formie mam podać nie napisac! Jeżeliby wypadło, gotów jestem przelać jakową rozprawę, umyślnie do tego celu napisaną, jeżeliby zaś można poprzestać na pi-

BYSTRZYCKI FRYDERYK.

Jowin Fryderyk Bończa Bystrzycki, urodził się we wsi dziedzicznej *Wypychy*, d. 6 Marca 1737 r., pierś ssał tylko trzy dni, gdy niezaleziono mamki, sysakiem go wykarmiono. (1) Do szkół uczęszczał w Drohiczyń. — Wstąpił do jezuitów w Nieświeżu, dnia 23 Lipca 1758 r. Matematyki uczył się w Warszawie z Janem *Koc* Jezuitą, od francuza *Racoura*, następnie obadwa uczyli się teologii w Wilnie, a pod *Poczobutem*, astronomii praktycznej. — Po czteroletnim pobycie w Wilnie w r. 1772 wrócił do Warszawy i tu w kolegjum jezuickim nauczał matematyki. — W roku 1773 gdy rozwiązano zakon Jezuitów, Bystrzycki nie był jeszcze *professem*; professją bowiem wykonywano dopiero po 17^{stym} latach pobytu w zgromadzeniu. — Następnie jako astronom i fizyk, aż do upadku kraju, był przy królu Stanisławie Auguste. Przewodniczył Bystrzycki założonej z funduszów edukacyjnych w Warszawie szkole Jeometrów, która pod szczególną opieką Stanisława Augusta zostawała. Zakład ten pożyteczny, wielką przysługę przyniósł ubogiej młodzieży, która bezpłatnie uspasabiała się do posług krajowych. Szkoła ta założoną była w celu, ażeby zczasem można dokładny obraz statystyczny rzeczypospolitej ułożyć. W tym czasie uczył matematyki księcia Józefa Poniatowskiego. — Od roku 1771 zostawał już przy boku króla Stanisława Augusta, a biedny astronom po dwunastoletniej służbie, błagał w pisanych

tarzem Uniwersytetu Od roku 1816 pełniłem bezpłatnie przez lat sześć obowiązki Sekretarza Dyrekcyi Rządowej Teatru Narodowego, mając sobie w części powierzoną cenzurę literacką dzieł dramatycznych. — Przez ten czas kilkanaście dzieł teatralnych przez siebie tłomaczonych lub ułożonych oddałem do repertoaru sceny narodowej. Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk, wezwało mnie w roku 1820 na członka przybranego, a w roku 1822 na członka czynnego. Towarzystwu muzyki kościelnej złożyłem przełożoną przez siebie część teoretyczną dzieła Forkla *o muzyce* której dla braku funduszu, dotąd Towarzystwo nie drukuje. Do dzieła Józefa Elsnera, *„Oprozodyi języka polskiego“* wypracowałem część praktyczną, wierszem miarowym. — Takowe wiersze ułożyłem do kajetów nauki muzyki w Konserwatoryum, równie pieśni mszalne do muzyki dziś po kościołach używanej. Od roku 1819 trudniłem się wspólnie z professorem Bentkowskim redakcją *„Pamiętnika Warszawskiego“* a od roku 1821, wspólnie z professorami Skrodzkim i Skarbkiem. W roku bieżącym otrzymałem od Kommissyi Rządowej zachęcenie do wykończenia projektowanego wydania *„Przepisów i wzorów wymowy i poezyi“* dla szkół publicznych. Wydałem dzieło Szylera: *„Dziewica Orleańska“*, przez brata mego przełożone. Lubo głównym zatrudnieniem mojem jest historia literatury polskiej, podałem jednak do druku pisma następujące: Dwa tomy poezyi: Tragedyą *„Templarysz“* z Baynouard'a. Tragedyą *„Abufar“* P. Ducis. Rozprawę: *o pismach klasycznych i romantycznych. Myśli o dążeniu polskiej literatury. Rozprawę o Satyrze, o Elegii, o wpływie nauk na Rządy i nawzajem. Rozprawę uwieńczoną, z Herdera. Rozprawę Garwego: o Opinii publicznej. Poema Waltera Scota. Ostatni bard Szkocki. Prócz listów o polskiej literaturze, i innych pism w Pamiętnikach i Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. w Warszawie dnia 30 Sierpnia 1823 r. Kazimierz Brodziński”.*

smach już przemnie wydanych, oszczędziłbym sobie zwłokę czasu, bo od tego dyplomu, zaczęcie mojego kursu zawisło. Cożkolwiek wypadnie racz łaskawy Panie z swojej strony użyć wpływu, i mnie rzecz tę ile możności ułatwić i przyspieszyć. A mojem dozgonnem staraniem będzie, ażebym się okazał godnym względów Szkoły Głównej Krakowskiej i Jego życzliwości. Jestem W Panu Dobrodziejowi z wysokiem upoważnieniem przywiązany i życzliwym kuzynem. K. Brodziński. Mieszkam przy aliey Freta Nr. 275. Warszawa dnia 20 Listopada 1821 roku.“ (1) Próżne były jednak starania Brodzińskiego, i pomimo tylu zasług w literaturze, nie otrzymał doktorskiego stopnia od Uniwersytetu Krakowskiego, który wtenczas nietylko znakomitości liczył w swoim gronie, aby mógł lekce ważyć Brodzińskiego.

(1) *Czas* (Dziennik Krakowski) Nr. 112, 1856 roku.

(1) Notata P. Baranowskiego, Dyrektora Obserwatoryum Astronomicznego w Warszawie.

prośbach o beneficya, aby mógł i sam się przyzwoicie utrzymać i rodzinie swój dać pomoc. „Dwunasty już rok (pisze w swój prośbie z 1783 r.), mam honor słyżyć wiernie Waszój Królewskiej Mości, ze skarbu Jego więcój nie biorę jak 1,206 zlp., z beneficyum téż mi danego od Waszój Królewskiej Mości, nic nie mam, owszem i mój własny grosz wyłożyłem na reparacyę; z téj kwoty na utrzymanie, wyuczonego odemnie matematyki młodzieniaszka szlacheckiego, dla pomocy méj do czynienia obserwacyi, bo któryż astronom choćby jednych tylko pilnował obserwacyj, do niczego więcój nie będąc odrywany, może być bez pomocnika, expensuję zlp. 700; a do usług téż moich i chędożenia instrumentów matematycznych, na lokajka ekspensuję zlp. 400, więc na śniadanie, kolacyą, świeće, papier, zostaje na moją osobę zlp. 106, a czy mogąż być za to suknie, bielizna, obówie etc. Nie przykrzyłem się jednak nigdy, anim wzmianki kiedy uczynił Waszój Królewskiej Mości, Panu memu miłościwemu, o powiększenie pensyi; gdy drudzy sobie wyrabiali, alem zawsze jak życzliwy sługa, oszczędzał ekspensę pańską zwłaszcza, że mnie i szczodrobliva ręka ś. p. JO. Księcia JMci Wojewody Ruskiego, hojnie często opatrywała, i inni dobrodzieje, z których gdy teraz jestem pozbawiony, z jednych przez śmierć, a z drugich przez oddalenie się z Warszawy; więc przymuszony pokilkokrotnie powtarzać pokorne prośby moje Waszój Królewskiej Mości Panu memu miłościwemu, abyś mię raczył hojnie z wakansów po J. X. Sołtyku, Sekretarzu Koronnym, opatrzeć.“ (1) Bystrzycki zwracał w téj prośbie uwagę monarchy, że już mu nie wiele lat życia zostaje, i że krótko z dobrodziejstw jakie może otrzymać, korzystać będzie. „Oświadczam się przed Bogiem (pisze) i Waszój Królewskiej Mości Panu memu miłościwemu, iż opatrzenie mie dostateczne od Waszój Królewskiej Mości, bynajmniej mnie nie uczyni w pracach opieszalym i leniwym, ale bardziej mię jeszcze żywszym i sposobniejszym wystawi w pracach i usługach Waszój Królewskiej Mości, i na wszelkie skinienia pańskie porywczym mię uczyni.“ (2) Król w końcu ozdobił go orderem Ś^{to} Stanisława i dostatnio uposażył; był bowiem Bystrzycki archydyakonem katedry płockiej, kustoszem sandomierskiej, kanonikiem kolegiaty, a później archikatedry warszawskiej; oraz proboszczem w Stężycy. W roku 1819 odbył powtórne prymicye, to jest pamiątkę piędziesięcio-letniego kapłaństwa. Umarł d. 11 Lipca 1824 r. Spadkobiercom dostała się w spuściznie wioska. Pochowany w katakumbach, a chłopiec niegdyś w usługach u niego będący, po zamurowaniu otworu, palcem w świeżém wapie wrył napis: *X. J. F. B. Bystrzycki*. Dziś śladu nie ma, gdzie tak głośnego w swoich czasach matematyka i astronom, spoczywają kości. Rękopism dostrzeżeń meteorologicznych z lat 20 od r. 1779 do 1799, które Bystrzycki sam uskuteczniał, lub pod jego kierunkiem odbywano, znajduje się w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskim. (3)

(1) Archiwum Domowe.

(2) Archiwum Domowe.

(3) Gazeta Krajowa (w dodatku) w Nrze 12 z dnia 4 Lutego 1794 r. ogłosiła Bystrzyckiego wyrachowanie zaćmienia księżycy w pełni, które na Warszawę przypadało, widzialne w dniu 4 Lutego w Piątek. W téjże Gazecie ogłosił zaćmienie słońca na dzień 31 Stycznia 1794 r.

„ZWŁOKOM **FRANCISZKA RYXA**, STAROSTY PIASECZYŃSKIEGO, STANISŁAWA AUGUSTA KRÓLA POLSKIEGO 36 LETNIEMU SŁUDZE, W WIEKU LAT 67, DNIA 16 WRZEŚNIA R. 1799 ZMARŁEMU, SYNOWIEC Z ŻALEM POŁOŻYŁ.“

Urodził się w roku 1732. Na rok przed objęciem tronu Stanisława Augusta, Ryx wszedł w jego służbę jako kamerdyner, i wkrótce potrafił zjednać sobie łaski i względy pana. Znał go dwór, i zbliżeni do króla; wielu szukało jego wstawienictwa, bo wiedzieli ile słowo Ryxa miało znaczenia i przewagi u monarchy. Przywiązaniem i troskliwością, a nawet cierpliwością w znoszeniu nieraz różnych przywidzeń pańskich, Ryx zyskał u tego króla nieograniczone zaufanie: zarządzał oprócz obowiązków kamendynera, kasą podręczną Stanisława Augusta. Król pragnąc wynagrodzić przywiązanego sługę, wyjednał mu starostwo Piaseczyńskie; po otrzymaniu téj godności, obowiązki kamerdynera już inni pełnili, Ryx jako starosta, kładł tylko i przypinał order, gdy się król ubrał zupełnie. ⁽¹⁾ Świadomy wszystkich tajemnic dworu i najskrytszych myśli samego króla, powiernik i pierwszy doradca, wystąpił szczególnym wypadkiem na widownię dziejów ówczesnych, zajął w nich niespodzianie kartę, i zwrócił uwagę narodu na siebie. We trzy lata po koronacji króla Stanisława, przybyła po raz pierwszy do Warszawy, Anna Marya z domu de Neri, pierwszego małżeństwa le Clerque, drugiego Dogrumoff, żona majora, rodem niderlandka. Piękna, zalotna, dowcipna, umiała korzystać ze swych wdzięków, i żyła wystawnie. Późniejsze wypadki okazały, że pierwszego męża przyprawiła o szubienicę w *Bruges*; jeden z jój kochanków zamordowanym został w Hamburgu. W wielkich miastach gdzie bawiła, jak w Wiedniu, Petersburgu, Wenecyi, Hamburgu, Gdańsku i Warszawie, zostawiła pamięć swoją w sprawach kryminalnych. Kiedy z latami wdzięki opuściły urodną dawniej Dogrumoff, z intryg nikczemnych szukała sposobu utrzymania i zdobycia zasobu na stare lata. W roku 1782 hr. Moszyńskiego, niegdyś stolnika koronnego, najprzód uwiadomiła, że posiada tajemnicę wielkiej wagi, tyczącą się dworu. Król uprzedzony o tém, przybył do Moszyńskiego, widział ją, a Dogrumoff oświadczyła, że przybyła aby ostrzedz monarchę o spisku na jego życie. Nie znalazła przecież wiary, ale za gorliwość niechciawszy przyjąć 50 dukatów od króla, od hr. Moszyńskiego otrzymała dar nie wielkiej ceny. Zażądała następnie od tegoż hrabiego 200 dukatów na podróż w celu wyjaśnienia więcej mniemanego spisku, ale nie otrzymawszy piene-

(1) „Drugi Konsyliarz tajny królewski Ryx kamerdyner, do stanu szlacheckiego wyniesiony i starostwem Piaseczyńskiem udarowany, od młodych lat jeszcze, gdy król był Stolnikiem litewskim, jemu służący w interesach prywatnych dogodny królewski minister. Jako kamerdyner zawsze był przy boku króla.“ (J. Kitowicz Pamiętnik). Przez ciąg tyloletniej służby, by on pierwszym powiernikiem Stanisława Augusta. Ryx, Komarzewski, Bacciarelli, i Kortycelli, byli pierwszymi doradcami, i posiadaczami tajemnic króla; drugie grono powierników składali dwaj bracia królewscy: Kazimierz najstarszy z rodzeństwa, który całą fortunę swoją i urzędy sprzedawszy, na dziecinne fraszki zmarnował, i żył później ze skarbu królewskiego: Michał Prymas brat najmłodszy, i siostra pani Kasztelanowa Krakowska, a wdowa po hetmanie wielkim koronnym Branickim Klemensie. Stanisław August wahał się, zasięgał rad zdania tych osób, i z nich stanowczy dla siebie wyprowadzał wniosek, przez co wszyscy panowie i dygnitarze koronni i litewscy widząc się odsunionymi od zaufania króla, trzymali się na uboczu i tworzyli niechętnych coraz większą liczbę. Ryx w wyliczonych gronie powierników zawsze ręką wodził, i przez niego była najprostsza droga temu, kto chciał co zyskać lub wyprosić u Stanisława Augusta. Ztąd też jego postać, należy do bardzo wydatnych figur tego panowania

dzy, wyjechała na Litwę, i właśnie gdy król przybył do Grodna, tam potrafiła tak nastraszyć przywiązanego do osoby monarchy Ryxa, a następnie i jenerała Komarzewskiego, że ci zaczęli odwiedzać Dogrumoff. Ryx nawet dawał jój małe wsparcie z własnej kieszeni. Ale gdy niedawano zupełnej wiary owemu spiskowi na króla, kiedy spodziewanego sutego obłowu nadzieja zawiodła: zwróciła się w inną stronę, i oskarżyła za pomocą anglika Tajlora, że Ryx i Komarzewski polecieli jój otruć księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem Podolskich, i w tym celu doręczyli jój proszek trucizny. Obiecała tego dowieść, i oznaczyła godzinę w której Ryx przybędzie do niej. Stanisław Potocki adjutant księcia G. Z. P. wraz z Tajlorem, obaj zbrojni stanęli na podsluchach, w chwili gdy Dogrumoff wprowadziła zwabionego Ryxa do pokoju i drzwi zamknęła. Położenie miejsca było takie, że głos Ryxa mógł być lepiej słyszany: sama bowiem usiadła na krzesło wsunionym głębiej. Rozmowa prowadzona była w języku francuzkim, i tak zręcznie, że podsluchający byli pewni udziału Ryxa w otruciu księcia, gdy Ryx odpowiadał na objaśnienia Dogrumoffowej co do spisku na życie króla. Zaledwo Ryx drzwi otworzył, gdy wypadł nań Tajlor z dwoma pistoletami w rękę, a gołym kordelasem za pasem, i przyłożywszy mu obie rury do piersi, nazwał go *trucicielem*. Potocki stał na odwodzie dla pomocy Tajlora, jeśliby Ryx do broni się porwał: ale starosta piaseczyński nie miał jój przy sobie. Zatknął potém anglik jeden pistolet za pas, a drugi przyłożywszy do głowy Ryxa, chwycił go za kołnierz, i wyprowadziwszy na ulicę, wtrącił go do własnego jego fiakra, i zawiózł do pałacu Lubomirskich, gdzie mieszkał Potocki marszałek nadworny lit., gdy go tam nie zastał, zawiódł Ryxa pieszo, za kark trzymając z pistoletem w rękę, do pałacu księżnej Lubomirskiej, siostry księcia Adama Czartoryskiego. Rozbiega się wieść po mieście, że Ryx i Komarzewski chcieli otruć księcia jenerała: stronnicy jego nadają rolgłos prawdy tój wieści. Marszałek W. Kor. Mniszech pod strażą przeprowadzić kazał Ryxa do kordygardy zamkowej. Król wielce przeraził się zarzutami zbrodni ciążącymi na dwóch swoich ulubieńcach i powiernikach, tém bardziej, że przeciw nim walczyło poważne świadectwo Stanisława Potockiego. Zaczęła się wkrótce sprawa, przez poprzednicze Sąd Krymiminalny Marszałkowski pozwy, od stron nawzajem sobie wydane. Zapozwał ksiązę jenerał swójem i delatora od siebie umocowanego szambelana Borysławskiego imieniem, Ryxa o chęć otrucia siebie lub zabicia żelazem, a to na zasadzie doniesienia własnoręcznego Dogrumoff: zapozwał też razem Jenerała Komarzewskiego, lecz tylko do atentowania sprawy. Nawzajem zapozwany został Ksiązę Jenerał od Ryxa, o uczyniony sobie niewinnie zarzut, a od Komarzewskiego za w mieszanie go w tę sprawę. Osobno obaj Komarzewski z Ryxem zapozwali Dogrumoff o obłożenie ich potwarzą, Tajlora o wpływanie do niego, a oddzielnie Ryx tegoż Tajlora o napad na siebie z bronią, o imanie nieprzekonanego szlachcica; Potockiego zaś o zmowę z Tajlorem, i współudział w tymże napadzie. Wytoczyła się sprawa przed Sąd Marszałkowski; zasiedli w niej Mniszek marszałek wielki koronny, i Potocki marszałek nadworny litewski, brat rodzony oskarżonego Stanisława Potockiego; z Senatu wojewodowie Małachowski i Walicki; Ostrowski i Podoski kasztelani; ze stanu rycerskiego Kicki koniuszy, Soltyk podstoli koronny; Rzewuski pisarz polny koronny i Wielohorski pisarz polny litewski. Sąd ten w dniu 21 Kwietnia 1785 r. wydał wyrok: Komarzewski z Ryxem uznani za zupełnie niewin-

nym i honor ich w całości nieskazitelnej zachowany. Dogrumoff jako sprawczyni wszystkich niegodziwości, złośliwa i potwarzliwa, skazaną została na piętnowanie i na wieczne więzienie. Tajlor za gwałt na osobie Ryxa, odsiedzieć winien półroczne więzienie na wieży. Książę Jenerał ziem Podolskich i Stanisław Potocki jego adjutant, od kar za popierany zarzut uwolnieni zostali. (1) Dnia 22 Kwietnia na rynku Starego-miasta w Warszawie u pręgierza postawiona Dogrumoff z cechą szubieniczną, rozpaloném żelazem piętnowana została. Postać téj urodnej kobiety, białosc jój i wdzięk ciała, wielkie współuczucie obudzały w widzach, tém bardziej, że ci nie mogli pojąć wca-
 lój rozciąglności téj zręcznie usnutéj intrygi. Cały tłum, w chwili gdy kat rozpaloném piętrem do-
 tknął jój ciała, gdy wydała okrzyk przeraźliwy i omdlała, zawrzał zgrozą przejęty. Kiedy ją cucono, pismo jój, ostrzegające księcia jenerała o zamierzoném jego otruciu przez Ryxa i Komarzewskiego, spaloném zostało przez kata, wraz z dwoma drukowanemi paszkwilami p. n. *objaśnienie*: w któ-
 rych stronnik jakiś ukryty księcia jenerała, popierał oskarżenie Dogrumoffowój (2). Po otrzymana-
 nej karze, wysłaną została do fortecy gdańskiej na wieczne więzienie. Książę Jenerał przed
 wyrokiem jeszcze Marszałkowskiego Sądu, wyjechał do Wiednia, nie widząc się i nie pożegna-
 wszy z królem: usprawiedliwił się z tego postępku grzecznie listem, na który Stanisław August
 odpisał. Tak zakończyła się cała sprawa, która imie Ryxa rozgłosném w narodzie zrobiła, i za-
 truła mu wiele chwil życia. Wrócił on do łask i zaufania swego monarchy: zebrał znaczny ma-
 jątek, a kiedy Stanisław August przymuszony był na lichwę pożyczać, żyd jeden drugiego
 ostrzegał, aby wtedy tylko dał pieniądze, gdy na rewersie nie *Rex* ale *Ryx* będzie podpisany!

W roku 1794 utracił żonę Ludwikę z Melinów; król wysłaniem swój liberyi służbowej i po-
 jazdów, przyczynił się głównie do okazałości jój pogrzebu. W rok po śmierci Stanisława Augu-
 sta, umarł i Ryx w Warszawie. Przez niemaly przeciąg czasu, uzyskawszy przywilej królew-
 ski na wyłączne utrzymywanie Teatru Polskiego w Warszawie, zyskał obszerne wspomnienie
 w dziejach tegoż Teatru, skreślonych przez Wojciecha Bogusławskiego (3).

„W NADZIEI UWIELBIENIA, TU ZŁOŻONE SĄ SZANOWNE ZWEOKI **LUDWIKI z MELINÓW RYXOWÉJ**,
 STAROŚCINY PIASECZ(ŹŃSKIEJ), KTÓRA PEŁCI SWOJÉJ ZALETY STANU, CNOTY, NIEBODSTĘPNIE OD CHRZEŚCIANSTWA
 POSIADAŁA. ŻYŁA LAT LI MIESIĘCY II DNI XV, UMARŁA XV MARCA MDCCXCIV.“

(Kamień z tym napisem w pobliżu poprzedniego).

Wspomnienie o Ryxowój podajem dosłownie wyjęte z Gazety krajowój dodatku do № 23,
 1794 roku. „Z wielkich chrześcijańskich cnót szanowna Imci pani Ludwika z *Melinów* Ryxowa,

(1) Zdarzenie to szczegółowo obejmuje ciekawe dziełko p. n. „Sprawa między Księciem Adamem Czarto-
 ryskim Jenerałem Ziem Podolskich oskarżającym, a Janem Komarzewskim Jenerałem-Majorem przy boku J. K. M.
 i Franciszkiem Ryxem Starostą Piaseczyńskim, kamerdynerem królewskim oskarżonemi, jakoby o zamiysł strucia
 tego Księcia, b. m. roku 1785, 8vo str. 251. Z toku całego jasno widać, że opisaną była ta sprawa z polecenia Króla,
 i z całą oględnością tak dla Księcia Jenerała, jako i dla oskarżonych Ryxa i Komarzewskiego. Adam Naruszewicz
 jest autorem tego pisma, jak wyczytnę w rękopiśmie A. Magiera. (Estetyka miasta Starej Warszawy).

(2) Z relacyi naocznego świadka.

(3) Zobacz dzieła W. Bogusławskiego. Tom 1 i 4.

starościna Piaseczyńska, dnia 15-tego miesiąca Marca po długiej i cierpliwie wytrzymanej chorobie, opatrzywszy się ŚŚ. Sakramentami, zakończyła swe życie, mając lat 51 miesięcy 2 i dni 15, zostawiwszy w smutnym żalu: męża, braci, siostry i wielu, których miała przyjaciół. Ta pani jako z przymiotów zacnych była znajoma, tak śmiało tę prawdę wyrazić można, że jej całe życie na najcelniejszych ufundowane było cnotach, pobożności, ludzkości, szczerości i stałości umysłu. (1) Co do piérwszój świadkiem są kościoły, do których dopełniając ś-ój religii obowiązku, uczęszczała. Względem ludzkości, téj dawała dowody, gdy zawsze dla starszych była z uszanowaniem, dla równych z szczerością i poufałością, dla niższych z powolnością i łaskawością, a tak ze wszystkimi przyzwoiła ludzkość zachowała i mile onę wypełniała. Co do powolności, tą jednała sobie łatwo szacunek u drugich przez węzeł stateczności w przyjaźni, i pociągała do wdzięczności ludzi, którzy najmniej do niej są skłonni. Co do szczerości, ta cnota, jako jest matką prawdy i znakiem poczciwego człowieka, tak kłamstwem niezmiernie się brzy-

(1) We wsi Jazgarzewie pół mili za Piasecznem, w kościele parafijalnym nad drzwiami zakrystyi po lewéj ręce, zawieszono jest popiersie Ryxowej z tym napisem: „Niewygasłej pamięci Ludwiki z Melinów Ryxowej, starościny Piaseczyńskiej, która się téj włości panią samemi dobrodziejstwami okazała, włością ze łzami wystawili. Przeszła do wieczności mając lat 51 dnia 15 Marca 1794 r. „Portret olejny, w stroju ówczesnym w peruce pudrowanej, i wygorsowana. Wizerunek ten przedstawia Ryxowę w młodszym latach. Takież sam portret i z tymże samym napisem, znajduje się w murowanym kościele Piaseczna. W Jazgarzewie kościółek drewniany, przy drzwiach wchodowych ma cztery kamienie z napisami. Tu spoczywa matka naszego poety Dominika Magnuszewskiego: na płycie kamiennéj napis:

D. O. M.

„Tu spoczywa ś. p. Maryanna z Borakowskich Magnuszewska, wieku życia swego lat 33, zmarła dnia 19 Sierpnia 1815 r. Strapionyj jej małżonek, na pamiątkę swym czworgu dziadkom ten pomnik położył. Przechodniu! nie odmów czułego za nią do Stwórcy westchnienia.“ (1)

Po niżej grób jej brata stryjecznego:

D. O. M.

„Tu spoczywa X. Józef Borakowski, kanonik Kielecki przez lat sześć, proboszcz Jazgarzewski, który mając lat 33 dnia 15 Grudnia 1816 r. żyć zaprzestał. Przechodniu! pomnąc na ludzkie przeznaczenie w wieczności i przez pobożność, bądź duszy jego pomocą.“

Po drugiej stronie grób ich stryja:

D. O. M.

„Tu spoczywają zwłoki ś. p. Xiędza Ignacego Borakowskiego kanonika katedralnego Kijowskiego, proboszcza tu-tejszego przez lat 25, zmarłego dnia 5 Kwietnia 1804 r., wieku życia swego lat 54. Każdy kto sobie przypomni ów wyrok: Quod mihi hodie, tibi cras, zapewne westchnie do Boga.“

Poniżej kamień z napisem:

D. O. M.

„Przy wchodzie do téj świątyni, złożone są zwłoki ś. p. Antoniego Leśniewskiego, najprzód wikaryusza przez lat 16, a następnie proboszcza Jazgarzewskiego, przez lat sześć. Umarł dnia 17 Listopada 1810 r., a życia swego 45. Człowiecze pamiętaj krótkość życia ludzkiego, a poleć Stwórcy duszę Antoniego.“

Na ustroniu tego cmentarza, stoi grób murowany Orłowskim dawniejszych dziedziców Ustanowa, który na-byli od rodziców naszego poety. Napis na nim:

D. O. M.

„Tu spoczywają zwłoki ś. p. Marcina i Ewy Orłowskich, dziedziców dóbr Ustanowa. Sam przeżywszy lat 67, umarł dnia 15 Sierpnia 1826; małżonka zaś jego w dniu 22 Maja 1832, po przeżyciu lat 52 wieku swego. Przechodniów prosząc o westchnienie do Boga, wystawili im ten pomnik dzieci przez wdzięczność.“

(1) Wspomnieliśmy obszerniej o niej w Tomie I, na str. 173.

działa, i nikomu nie pochlebiała, nie bojąc się swych nieprzyjaciół, bo cnota była jój zawsze przyjacielem. Nakoniec stałość i jednostajność umysłu, te zawsze miała za tarczę w wszelkich przeciwnościach życia, nie dbając na przykrą ich gorycz, bo wiedziała, że z jój rąk cnota wieńiec chwały odbiera. A najszczególniej żyła statecznie i miernie, oraz pracowicie przez lat 34 z swym małżonkiem, od którego wzajemność serca jako za życia odbierała, tak i po śmierci w nieutulonym zostawiwszy go smutku i żalu, dał dowód swego ku niej szacunku, w wspaniałym i okazałym dla niej uczynionym pogrzebie, to jest w niedzielę przeszłą wieczorem o godzinie 7^{1/2} była eksportacya ciała z zamku J. Kr. Mości z assistencyą, przy świetle wielu klasztorów i seminaryum całego, do kościoła Śg^o Jana, gdzie na katafalku wspaniałym przy rześistém świetle i kolumnach przez cały kościół będących, złożone było. Nazajutrz liczne święte ofiary i wigilije były odprawiane, ubóstwo jałmużną opatrzone. Tegoż dnia, w poniedziałek wieczór podług zwyczaju powszechnego, ciało ś. p. Ryxowej na okrytym aksamitem z galonami karawanie, z trumną okazałą, przy bardzo liczném od całej liberyi J. Kr. Mości niesioném świetle pochodzie, i assistencyi w karetach, wielu dystyngowanego państwa a ludu zgromadzonego, przez obydwa dni, niezmiernego tłumu. Zawieziono na nowy cmentarz, i do katakumby złożono.“ Podaliśmy tu w całości ten opis, jako przykład pisanych nekrologów za Stanisława Augusta. Wtedy Cmentarz Powązkowski zwano *nowym*, bo przed czterema niespełna laty założonym został.

„MICHAŁ JERZY KSIĄŻĘ PONIATOWSKI HERBU CIOŁEK, PRYMAS KORONY POLSKIEJ I W. KS. LIT. SYN KASZTELANA KRAKOWSKIEGO I **KONSTANCYI KSIĘŻNEJ CZARTORYSKIEJ**, URODZONY DNIA 11 PAŹDZIERNIKA 1736, UMARŁ 11 SIERPNIA 1794 R. PROSI PRAWOWIERNYCH KATOLIKÓW O MODLITWY ZA DUSZĘ SVOJĘ.“

Nie podamy tu szczegółów życiorysu tego prymasa rzeczypospolitej i arcybiskupa Gnieźnieńskiego: zbyt bowiem wiele, szczególnej ostatnie chwile jego łączą się z wypadkami, które do ówczesnych dziejów, jeszcze nie należycie wyjaśnionych, należą. Z rodzeństwa Poniatowskiego, Michał był najmłodszym; poświęciwszy się stanowi duchownemu, wprędce przy pomocy króla brata dostąpił najwyższych dostojęństw. W roku 1794 w nocy z dnia 11 na 12 Sierpnia umarł nagle. (1) W ósm dni Jan Woronicz, wówczas kanonik katedry Chełmskiej, miał kazanie na jego pogrzebie, które tegoż roku drukiem ogłosił. (2) Śmierć ta była powodem do zanieśienia protestacyi do nuncjusza papieżkiego z wydziału *interessów zagranicznych*, pod datą 13 Sierpnia 1794 r., i podpisaną przez Ignacego Potockiego, przeciw pretensjom dworu Berlińskiego, upra-

(1) Gazeta Warszawska Nr. 33 z dnia 16 Sierpnia 1794.

(2) „Kazanie na konkluzyi pogrzebu księcia Michała Jerzego Ciołka Poniatowskiego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Prymasa korony Polskiej i Wielkiego Ks. Litewskiego. W kościele Kollegijaty Królewskiej Warszawskiej, przez Ks. Jana Woronicza kan. katedr. Hełmskiego, miane dnia 20 Sierpnia 1794 r. w Warszawie 8-vo st. 38.“ Za godło do swego kazania wziął Woronicz następane słowa Pisma ś-go. „Zbliżyły się dni śmierci Matatyzszowej, i rzekł swoim: O! Syonie! bądźcie miłośnikami zakonu, pomnijcie na sprawy ojcowskie, dajcie duszę za przymierze ojców naszych; a otrzymacie chwałę wielką i imię wieczne.“

szając aby Jego Świętobliwość raczył pomnieć na prawa króla Stanisława Augusta i Rp. tak co do konferowania arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego, jak względem rozrządzenia dobrami do prywatności należącemi.“ (1)

„TU SPOCZYWA Ś. P. **TARNOWSKI LEON**, AUDYTOR GENERALNY WOJSKA POLSKIEGO.

URODZIŁ SIĘ DNIA 25 LUTEGO 1775 ROKU, ZMARŁ DNIA 13 MAJA 1830.“

„Żołnierzem służbę zaczął w smutnej kraju doli,
Skończył jako stróż prawa, tłumacz jego woli.
Szanowany od starszych, od młodszych wielbiony,
Od przyjaciół kochany, ubóstwion od żony.
Nie mając w czynach swoich bodźca próżnej chwały,
Żył jak mu Bóg, ojczyzna, i honor kazały.“

Urodzony w Galicyi Austryjackiej, mając zaledwie lat 19 wieku, zaciągnął się w r. 1794 do pułku grenadierów Krakowskich, następnie przeniesiony do pułku Czapskiego, postąpił na sierżanta, był w bitwach pod Polanami, Szczekocinami, w oblężeniu Warszawy i przy szturmie Pragi. Ocalałszy szczęśliwie z morderczej bitwy na Pradze: po rozejściu się się armii polskiej, udał się do Włoch i wszedł dnia 19 Kwietnia 1797 r. jako sierżant starszy, do drugiego bataljonu drugiej legii Włoskiej, i w tej dnia 26 Marca 1799 r. mianowanym został podporucznikiem. Legija ta wcielona do 1144 półbrygady francuskiej, przeznaczoną została przez pierwszego konsula Bonapartego, na uśmierzenie powstania murzynów na San-Domingo w Ameryce. Tarnowski udał się wraz z wojskiem w roku 1801, na pomienioną wyspę San-Domingo, gdzie w ciągu pięcio-letniego pobytu, wytrwał szczęśliwie wśród zjadliwego klimatu tej gorącej strefy, przebył odważnie wszystkie niebezpieczeństwa, którei murzyni białym ciągle grozili, i te walki codzienne a krwawe i mordercze. Za świetne odznaczenie się w boju, za bohaterską odwagę i waleczność, której się podziwiali francuzi, mianowany został dnia 21 Maja 1803 roku porucznikiem, a następnego r. kapitanem. Wysłany na wyspę *Kubę*, pozbiierał rozproszonych na niej polaków, i ze szczątkami temi, wcielony został do pułku 5^{ej} lekkiej piechoty francuskiej, w którym dowodził kampaniją i pełnił obowiązki kapitana ubiorczego. Za powrotem w kraj ojczysty, przeznaczony w r. 1808 na kapitana kwatermistrza w pułku 11 piechoty wojsk księstwa Warszawskiego, który stał wówczas załogą w Gdańsku. W roku 1812, mianowany pod-inspektorem popisów tegoż wojska. W roku 1815, audytorem dywizyi 1^{ej} piechoty wojsk polskich. W roku 1824, powierzone mu zostały obowiązki audytora jeneralnego armii, i na tym stopniu umarł w 55 roku życia. W ciągu 33 lat służby wojskowej, przepędził lat 16 w ciągłych bojach: jako legionista miał udział w bitwach pod *Weroną*, *San-Giovani*, *Mantua*, *Borgomazo* i *Piscantino*: w Ameryce, pod *Cap de Tiburon*, *Cote d'Anglois*, *Jacquemel* i San-Domingo. Po poddaniu Mantui, jedenaście miesięcy zostawał w niewoli austryackiej. W czasie pobytu swego na wyspie San Domingo, wszedł w związku małżeńskie z wdową po oficerze francuzkim Ja-

(1) Gazeta Warszawska z roku 1794, Nr. 33.

kóbiną, z domu *Larguett*, rodem z Vannes w Bretanii. Zaczyna ta i szlachetna niewiasta, wierne i stale dzieliła wszelkie trudy wojenne i losy swego męża. Przeżyła go, i ona położyła mu kamień z napisem powyżej przytoczonym w katakumbach powązkowskich. Nie ten jeden mamy wzór poświęcenia się niewiast cudzoziemskich, które oddawszy rękę i serce naszym męznym legijonistom: odtąd wiernymi były towarzyszkami ich doli i niedoli. Historyk, który kiedyś kreśląc dzieje legijonów, zechce odmalować ich życie wewnętrzne, znajdzie gęsto te piękne postaci z Hiszpanii, Włoch, Francji, Angli i Niemiec rodem. Wszystkie to były niewiasty serc pełnych miłości i odwagi, zarazem gotowe do poświęcenia wygod życia, bo do znoszenia obozowych trudów i niebezpieczeństw, na które co dzień ich mężowie wystawieni byli. Cmentarz Powązkowski, daje słowom naszym niezaprzeczone świadectwo. W murze, w części już rozebranych starego cmentarza, tkwi kamień z tym wymownym napisem:

„Tu leży dobra matka, niesprzykrzona żona,
Z krwi rzymian, na Lombardów ziemi urodzona.
Co polaka, gdy szukał nad Tybrem, z orężem,
Straconej swój ojczyzny, śmiała wybrać mężem:
Z którym dzieliła gorycz, każdej złej niedoli,
Już to w boju, na lądzie, morzu i niewoli.
Spoczywaj w mej ojczyźnie! Ta garść polskiej ziemi,
Niech ci będzie nagrodą, złana łzami memi.“

„Gertruda z Gwaterów Turska, urodzona Regio w Lombardji 1787, zmarła dnia 27 Kwietnia 1827 roku w Warszawie, przeżywszy lat 40.“

„LUDWIK METZELL, B. KONSYLJARZ RZĄDOWY, SZEF INŻYNIERÓW KOMUNIKACJI LĄDOWYCH I WODNYCH, KAWALER KRZYŻA WOJSKOWEGO, CZŁONEK I. TOWARZYSTWA WARSZAWSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK. URODZONY W GDAŃSKU 1764 ROKU, ZMARŁY DNIA 21 LISTOPADA 1848 R. W WARSZAWIE, TU SPOCZYWA. TWÓRCA BUDOWY ZOFIJÓWKI, SŁAWIONY PRZEZ TREMBECKIEGO, PAMIĘCI ZNAKOMITEGO MĘŻA, GŁAZ TEN RODZINA KŁADZIE.“

W tym samym roku, kiedy wstąpił na tron polski Stanisław Poniatowski, w mieście jeszcze Rzeczypospolitej, Gdańsku, dnia 2 Lipca 1764 roku, urodził się Ludwik Metzell z ojca Franciszka, matki Adelajdy. Szczególnym zbiegiem wypadków, imię Metzla skojarzyło się z imionami głośnymi w dziejach i literaturze naszej. Przy życiorysie bowiem jego, król Stanisław August, książę Józef Poniatowski, muszą być wspomnieni; niedosyć: najpierwszy magnat ostatnich czasów Rzeczypospolitej, marzący o koronie, rzucił dwadzieścia milionów, aby na uśmiech wdzięczny ładnej swjej żony zasłużyć, i pomysły Metzla wykonać; jeden z najcelniejszych poetów tamtego okresu, głośnym długo poematem uwiecznia dzieło Metzla, przy pomocy złota Szczęsnego Potockiego, a do poematu Trembeckiego, pisze obszernie przypiski jeden z najpierwszych wieszczów naszych. Zanim przystąpimy do opisu Zofijówki, owego czarownego ogrodu, który uwiecznił imię Metzla, wspomniemy pokrótce bieg jego życia. W siedmym roku życia (1781 r.) wszedł do korpusu artylleryi konnej, w stopniu podoficera: w r. 1790 został podporucznikiem, a w r. 1791 porucznikiem. W latach 1782 i 1783, odbył zaszczytne kommissoryum, wysłany dla

zrobienia wymiaru i planu rzeki Dniepru, przy Kommissyi załatwiającej spór między cesarstwem rossyjskiem, a Rzeczpospolitą polską. W roku 1786, już jako odznaczający się oficer artylleryi, z komendą wyruszył na Podole do miasta Tulczyna, dla odlewania po części, a ulawetowania i zupełnego wystawienia w szyku bojowym 24 dział, wraz z wozami amunicyjnemi, które Szczęsny Potocki ówczesny generał artylleryi, krajowi ofiarował. (1) Tu dawno obmyślany most militarny wybudował z szesnastu pontonów płóciennych składający się, wraz z wozami i całym przyborem do przewózki. Nowy ten wynalazek Metzla, powszechny podziw obudzał. Książę Józef Poniatowski, w wydaném świadectwie (z dnia 27 Kwietnia 1792 r.) celem uwolnienia go od poleconego egzaminu, jako zajętego czynną służbą, oddając zdolnościom wyższym Metzla wielkie pochwały, w końcu dodaje: „Zbudowanie płóciennych pontonów, sposobności jego winieniem.“ Rok 1792 był najpamiętniejszym dla Metzla. Dnia 17 Marca odbiera rozkaz od Stanisława Potockiego jenerała artylleryi koronnej, aby natychmiast z jednym kanonijerem, pocztą udał się do Stężycy, i tam powziął wiadomość, gdzie jest zator lodowy na Wiśle, aby ogrom takowego i położenie zbadał i wyjaśnił, czy by armaty nie były potrzebne do jego rozbicia i oczyszczenia koryta rzeki; jak je przesłać, wiele i ilu użyć po temu ludzi? Jakkolwiek z narażeniem życia, spełnił zaszczytnie posłanictwo swoje, pokazując dowodnie niemożność kulami działowemi rozbicia potężnego zatoru. W tym roku Stanisław August nadał mu na sejmie szlachectwo herbowe, za zgodą stanów Rzeczypospolitej; otrzymał nadto pierwszy krzyż polski *virtuti militari*, (z d. 25 Czerwca 1792 r.) mimo to, nie otrzymał wyższego stopnia. Stanisław Potocki w liście do Metzla ubolewa, że nie awansował go dotąd, ale chce obietnicy księcia Józefa Poniatowskiego dotrzymać, i własnoręcznie dopisuje: „Życzę się chwycić pontonierów, na których czele możesz być W Pan w krótkce umieszczonym.“ Właśnie zawiadywał wtedy arsenalem Szczęsnego Potockiego w Tulczynie; tu odbiera rozkazy od księcia Józefa Poniatowskiego, aby wystawił drugie szesnaście pontonów płóciennych, i aby wydał arsenał tulczyński. Jakie powody były, że Metzell nie usłuchał rozkazu? nie wiadomo; ale za powtórzonym na *serio*, oddał klucze od składów broni porucznikowi Lichockiemu. W rozpoczętej kampanii tegoż roku, stanął na linii bojowej jako dowódca baterii, i w bitwie pod Ziełęcami, otrzymał dawno przynależny stopień kapitana. W roku 1795 skończył zawód wojskowy, w którym się tak świetnie odznaczał; w rok później już zamieszkał w Kijowszczyźnie, w mieście Humanu; a w następnym zajął się urządzeniem słynnego ogrodu Zofijówki. Przed ukończeniem takowego, udał się za granicę, i przez lat kilka zwiedzał obce kraje, towarzysząc Szczęsnemu Potockiemu. W roku 1816 objął dyrekcją robót komunikacyi lądowych i wodnych w Kommissyi Spraw

(1) Franciszek Siarczyński w pochwałę Szczęsnego Potockiego, wystawia go jako pełnego zapału i poświęcenia człowieka; wylicza dalej ofiary, jakie złożył dla Rzeczypospolitej, i co przyrzekł na sejmie grodzieńskim 1784 r. to i uiszcł. Wystawił regiment z 400 głów złożony i 24 armat darował z tym skromnym napisem: „*Civis me obtulit Patrie.*“ Niedostatek skarbu w 10,000 czerwonych złotych zastąpił, a w czasie chciał mieć obróconą tę summę na nagrodę żołnierza, który by się najlepiej w *potrzebie* sprawił. W czasie sejmu 1789 roku wystawienie posągu dla Stefana Czarneckiego i legion z 10,000 ludzi, wraz z potrzebną bronią i armatami ofiarował. Przyłożył się nie mało do uspokojenia hajdamaczyzny w czasie znaney rzezi humańskiej, i powstrzymał szeregienie się *moru*, z narażeniem własnego życia, gdy zaraza ta już się wkradła w granice Rzeczypospolitej.

Wewnętrznych. Pod jego sterem pierwsze zbudowano szosse, stanął drugi most na Wiśle pod Warszawą, oraz na tejże rzece ukazał się statek maszynowy, holujący pod wodę zboże i browarę, wedle pomysłu Metzla zbudowany. W roku 1827 mianowany został członkiem b. towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk. W roku 1833 uwolniony od służby, otrzymał emeryturę. Wykształcony prawdziwie naukowo, posiadał gruntownie języki: polski, francuzki, niemiecki i rosyjski, a nauki przyrodzone i matymatyka, były główném jego zajęciem i zawodem. Umarł w Warszawie mając lat 84. Przychodzi nam teraz mówić o owym cudownym ogrodzie Zofijówki, celu podziwu wszystkich, i przedmiocie największego poematu Trembeckiego. Szczęsny Potocki znany głośno w dziejach ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, jeden z panów najbogatszych w Polsce; po tragicznej śmierci pierwszej żony, tajemnie zaślubionej Gertrudzie Komorowskiej, która dała pierwszy pomysł Malczeskiemu, do poematu *Maryi*; ożenił się z Mniszchówną (1), ale wkrótce rozłączył się z nią; a zakochany z słynnej z wdzięków Zofii hrabinie de Witt, z domu Deczylige, złożył u jej nóg serce i bogactwa swoje. Brzmiała Warszawa pochwałami cudnej piękności młodej hrabiny; a gdy w roku 1780 opuszczała mury stolicy wracając do Kamieńca Podolskiego, Trembecki chciał być tłumaczem smutku dworu i salonów; i długi wiersz takim życzeniem pożegnalnym kończy:

„Na twój Warszawa odjazd rozżalona,
Jednak przezemnie to życzenie jawi:
Niech cię fortunne prowadzą znamiona,
Niech drogę stado przeleci żurawi.“

Przybyła szczęśliwie do Kamieńca, i zaraz rozwiodłszy się, oddała rękę Szczęsnemu Potockiemu. Świetna gwiazda tego magnata, poczęła się zaciemniać. Nie pomogła wymowna pochwała Fr. Siarczyńskiego, która go dość długo upromieniała sławą i poświęceniem dla kraju. (2) Dumne zamiary spelzły na niczem; widział wpływ swój swój upadający. Opuszczony od licznych stronników, od bliższych nawet przyjaciół, a z powodu nowych związków i od swoich krewnych; stracił ufność, aby mógł zająć stanowisko poprzednie, i wpływ na sprawy kraju wywierać. Na łonie więc rodziny, przy boku ukochanej żony, szukał zapomnienia przeszłości i wymarzonego szczęścia. Ale i w kraju zaszły zmiany; Potocki wyjechał z żoną do Hamburga, dokąd towarzyszył mu kapitan Metzell. Potocki zamieszkawszy stale to miasto, przedsiębrał wycieczki do Włoch i w różne strony Niemiec, a zawsze nieodstępny był Metzell. W roku 1796, powrócił pan ten do swych ukraińskich włości, a nie chcąc mieszkać w Tulczynie dawniej rezydencyi, obrął sobie za miejsce pobytu miasto Human, wsławione już smutnie w dziejach niedawnych *rzezią humańską*. Okolica tego miasta była wtedy bezleśnym i dzikim jarem; cała przestrzeń od tak zwaney *czerwonej grobli* do Humania, nosiła nazwę *Kamionki*; i słusznie za-

(1) Z Mniszchówny urodziła się córka Konstancya, zmarła w 69 roku życia dnia 25 Grudnia 1852 r. Wydana w roku 1798, za hrabiego Jana Potockiego znanego badacza dziejowego, po jego śmierci poszła za Edwarda hr. Raczynskiego, znanego chlubnie w literaturze naszej.

(2) Pochwała Stanisława Szczęsnego Potockiego, generała artylleryi koronnej. W Warszawie w drukarni Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej, u XX. Scholarum Pijarum roku 1789. 12ka.

prawdę, bo rozrzucone na niej były złamy i kawały granitów, a pomiędzy nimi przeciekał strumień bieżący od wsi *Wójtówki*. Brzegi były skaliste, a na tym obszarze, wznosiło się dwadzieścia kilka młodych wiązów, poniżej zaś, gdzie stoi kolumna w poemacie Trembeckiego opisana, stały dwie stare lipy, dzika grusza i do dziesięciu wierzb, dotąd utrzymanych. Po górach i pomiędzy skalami, był pastewnik dla bydła miejskiego. Piękne położenie miejsca, źródłana woda, spływająca obficie z lewej strony jaru wśród skał granitowych, ściągały tu uczniów z dawniej szkoły księży Bazylianów w Humaniu. Corocznie około 29 Czerwca, zjeżdżali się tu okoliczni obywatele po synów na wakacje; obchodząc uroczystość świętych Piotra i Pawła, zwiedzali to ustronie, jak później wspaniały ogród Zofijówki; i od tego czasu, dopóki istniały w Humaniu szkoły księży Bazylianów, spacer w to święto stał się zwyczajnym, przeciągając się do dni kilku. Potocki żyjąc samotnie w Humaniu, zaczął używać przechadzek w okolicach miasta. Widząc raz, że większa część mieszkańców spieszyła do źródła w jarze *Kamionki*, które dostarczało całemu miastu dostatek wyborniej wody; ciekawość przywiodła Potockich do samego źródła. Silny prąd, dobroć wody, i życzenie pięknej małżonki codziennego odwiedzania tej ustroni, były powodem urządzenia zaraz zdroju, jako też i drogi dogodnej tak dla pojazdów jako i dla pieszych, co téjże jesieni Metzell dokonał. Polubiwszy to miejsce, zapragnęła hrabini, ażeby droga mogła być ozdobiona klombami i kwietnikami. To znów podało myśl Szczęsnemu, ażeby uzupełnić jej żądanie i uprzyjemnić pobyt w tém oddaloném od wielkiego świata miasteczku, założenia i urządzenia wspaniałego ogrodu, i nazwania go po jej imieniu, *Zofijówką*. Wiedział, że zamilowana była w ogrodach; zapragnął więc aby ta Zofijówka godna była piękności jego małżonki. Złoto leżało w pogotowiu w skarbcu, powierzył więc swą myśl Metzlowi, z zastrzeżeniem nieszczędzenia kosztów i pracy, i rozpoczęcia natychmiast. Ogród zajmować miał przestrzeń od źródła w górę, i objął jar dolny cały; miały w nim być fontanny, szumić i pienie wodospady. Z tej strony od jaru miał mieć pozór wschodni, a górzysta część miała być wielkim parkiem angielskim; płaszczyznę zaś na lewo od ogrodu do rzeki, miał Metzell zasadzić i zasiać drzewami, i urządzić zwierzyńiec. Niecierpliw w powziętym zamiarze hrabia, natychmiast kazał rozpocząć roboty. Metzell przystąpił więc w roku 1797 do przestoczenia dzikiej okolicy, na cudny ogród Zofijówki. Najprzód zasadził drzewkami płaszczyznę przy drodze do Białej Cerkwi, którą Szczęsny na pamięć rodu swój żony, nazwał *greckim lasem*. Przez pierwsze cztery lata, prowadził z niezwykłą energią roboty Metzell. Ujęto strumień tak, ażeby dostateczna była ilość wody do fontan i kaskad; uprzątnięto i zwieziono w oznaczone miejsca ogromne złamy skał granitowych, urządzono wodociągi i maszyny do dalszych robót; co kosztowało półpięta miliona złotych polskich. W następnych latach, hojnie Szczęsny sypał złotem, i pospieszał z urządzeniem ogrodu, jakby przeczuwał że śmierć przerwie mu ulubione dzieło, które miało imię jego ponieść w potomne wieki. Z Azji przez Odesę sprowadzono niezwykłej grubości okrętami klony, jakich ilością ani wzrostem nie znajdzie nigdzie; piramidalne topole, pierwsze które się w tych okolicach zjawily, przywieziono z Włoch i Krymu. Oranżerye zakupiono za granicą, równie jak drzewa owocowe i posągi z marmuru.

(¹) Takie wydatki z robotami, które prowadził ciągle Metzell w ciągu ostatnich lat życia Szczęsnego, do roku 1806, kosztowały do piętnastu milionów złotych, do których dodawszy wydane w czterech latach pierwszych 4,500,000; ogólna summa wyniesie 19,500,000 złotych polskich. Wspaniały ogród rozwinął swój czar w okolo; wtedyto bawiący na dworze Potockiego, Trembecki, w 70 roku życia napisał ku uwielbieniu dzieła Szczęsnego, poemat *Zofjówkę*; a lubo przepelnił go bajkami mitologicznymi, dał jednak obraz prawdziwy w tym ustępie:

„Chudą pierwej golizną świecące pagórki,
Zdaleka przyniesione pocienily borki,
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy,
Są z Libanu, z Atlasu, z Antypodów krzewy.“

Nie przepomniął Trembecki i Metzla w swoim poemacie. Kiedy zdziwiony poeta nie umie sobie objaśnić znaczenia gmachu z *miąższego* muru, a nazwanego *Tetydion*; spotyka naszego kapitana Inżynierii:

„Nad moją ciekawością raczył się użalić,
Metzell, uczony zamki wystawiać i walić,
Tęgiego, wychowaniec pojętny, Gradywa,
Temi, rzecz objaśniając, słowy się odzywa.“

I kładzie mu w usta opowieść o Tetys, wnuczce oceanu z przemian Owidjusza. A było za prawdę czemu się podziwiać i co wychwalać! Owe ogromne jaskinie i groty złomów granitu, zwiezione krwawą pracą; te kaskady szumiące tak rokosznie wpośród cieni klonów, topoli i wierzb płaczących; te świątynie skąpane w kryształowej wodzie, jeziora, kędy przepływały żaglowe statki; te wodospady, co rozbijając się o schody kamienne i skaliste boki, zdala łoskotem silnym, spienioną ścianą walily z góry; nie mogłyż być celem podziwu, wiedząc, że te wszystkie cuda stworzyła sztuka w niespełna lat dziewięć; że te ogromne drzewa, co dawały chłód i cień, nie wyrosły tutaj, ale je z innych części świata, z pod innego klimatu przewieziono łądem i morzem, ażeby na rozkaz bogacza zdobyły jar dziki humański! Po śmierci Szczęsnego, Metzell zmuszony był zaprzestać dalszych robót, i wyjechał do Warszawy. Tworząc *Zofjówkę*, nie miał on gotowego planu szczegółów urządzenia ogrodu; wykonywał tylko roboty stosując się zawsze do odkrywających się widoków coraz nowszych, coraz piękniejszych. Pierwsza jego uwaga zwróconą była na środek ogrodu, w angielskim zaś parku zdażył tylko część góry obsadzić, zasiać dzikiem drzewem, i przygotować miejsca na urządzić się mające mosty łańcuchowe po drogach parkowych. Metzell wyjeżdżając w 1806 roku z Humania do Warszawy, zostawił tu ucznia swego *Oliwę*, ażeby ten utrzymywał ogród; sam zaś nie tracił nadziei, że wezwany, powróci dla dokończenia przynajmniej tego, co już z tak wielkim kosztem rozpoczęte zostało. Hr. Potocka, której taką pochwałą zamknął swój poemat „*Zofjówka*“ Trembecki:

„A to miejsce, Zofjo, więcej zdobisz sama,	Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty,
Podobniejsza niebiankom, niż córkom Adama!	Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty.
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić,	A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.	Pół świata czcić cię będzie, pół drugie zazdrościć.“

jakkolwiek zamilowana w ogrodach, jako wdowa i opiekunka nieletnich dzieci, zmuszona za-

(¹) Ze wszystkich posągów, najwięcej odznaczał się starożytnością, znaleziony w głębi ziemi w *Krymie*, a mający być wizerunkiem Homera.

jąc się zarządem zapisanego jój przez męża majątku, i działów z dziećmi męża z pierwszego małżeństwa; doznała kolei losu nie do zazdrości. (1) Zajęta wychowaniem swoich dzieci, nie była wstanie osobiście, przesiadując więcej za granicą, zarządzać majątkiem, który zaczął upadać. (2) Processa, wydatki większe nad przychód, a ztąd długi, wyrównywały już jego wartość. Napróżno Metzell oczekiwał wezwania do ukończenia zaczętego swego dzieła podług pierwsiastkowego pomysłu; zabrakło złota, którym tak hojnie dawniej szafowano! W roku 1823 zmarła Zofija Potocka. W podziale majątku, miasto Humań wraz z Zofijówką dostało się starszemu jój synowi Aleksandrowi, który nietylko nie mógł wykończyć ogrodu, ale i w należytych porządku go utrzymać. W roku 1827 umarł uczeń Metzla pozostawiony w Zofijówce, ogrodnik *Oliwa*; o dalszych losach Zofijówki zamilczemy, bo nie mają żadnego już związku z jój twórcą, Metzlem. Opiewał ten ogród jako cudo podziwu Trembecki w swoim poemacie. Nie tu jest miejsce oceniać ten utwór potężnego talentu poety czasów Stanisławowskich; powiemy tylko, że w formie swojej pełen bogatych zmyśleń mitologicznych, nie potrafił nam dać wiernego obrazu Zofijówki. Więcej dają wyobrażenia ryciny umieszczone przy przekładzie pomienionego poematu na język francuzki przez hrabiego de Lagarde, w pyszném wydaniu wiedeńskiem, gdzie i cały oryginał w tekście polskim umieszczono. Tłumaczenie to wyszło pod napisem: „Sophiowka, poème polonais par Stanislas Trembecki. Traduit en vers français par le conte de La Garde, membre de l'academie de Naples. Vienne, de l'imprimerie d'Antoine Strauss“ 1815. 4^a str. IX i 159. Dzieło to zdobi wizerunek Trembeckiego i tłumacza, oraz sześć widoków Zofijówek i (3).

(1) Szczęsny Potocki liczne zostawił potomstwo z pierwszjéj swjéj żony Mniszchownej, synów czterech: Szczęsnego, który w kwiecie mlodości zastrzelił się w *Barège*; Włodzimierza, mającego pomnik w Krakowie; Stanisława zmarłego w Petersburgu, i nieżyjącego Jarosława. Córek cztery: Pelagję Sapieżynę zmarłą w Paryżu 1846 roku, Konstancję Raczyńską którąśmy wspomnieli; Ludwikę Kossakowską zmarłą w Litwie i Idalję Sapieżynę, żyjącą dotąd w Porycku.

(2) Własne jój dzieci były: trzech synów żyjących, Alexander, Mieczysław i Bolesław; i dwie córki: Zofija Kisielew małżonka Ambasadora, i Olga Nariszkin. Z powodu małżeństwa Szczęsnego Potockiego, z piękną Greczynką mamy ogłoszony: „List Mikołaja Doświadczyńskiego, pisany do Teodora Wejcharda do Tulczyna, radząc jemu, aby się ożenił z Nipuanką. Drukowany roku 1787, 8^o b. m. str. 28.“ Datowany 6 Lutego 1787 roku.

(3) W Pamiętnikach Ochockiego: (Gazeta Warszawska Nr. 334 z 1856 r.) czytamy następné szczegóły o Metzlu. „Metzell był synem pobocznym Brühla jenerala artylleryi koronnej, urodzonym z jakiejś Gdańszczanki; oddany do szkoły korpusu inżynierów, poznał gruntownie nauki matematyczne i architekturę militarną. Będąc adjutantem przy jenerale artylleryi Potockim, wyjechał z nim do Hamburga, i do kraju powróciwszy, był założycielem w Sofijówce ogrodu, pielęgnował go starannie i pracowicie. Opuścił jednak to swoje ukochane dziecię, dla korzystniejszjéj w Królestwie Polskiem posady, którą mu wyrobił u Rządu Nowosilcow. Mieszkając w Humaniu, jadał zawsze za dwóch u Kaczkowskiego, ale wrazie odjazdu jego na własnej kuchni poprzestawać musiał: natenczas jedna kura, mocno wywarzona w rosole i anatomicznie rozczłonkowana, figurowała przez cały obiad w rozmaitych postaciach, frykasów, kotleczków i pieczystego. Po nim służalec jnż nie miał się czém pożywić, zbierał ze stołu same tylko kosteczki z ostatnich szczątków mięsa ogryzione i ze sosiku wyssane, ale też wylizanych do sucha talerzy nie miał już potrzeby obmywać. Był to mąż surowej sprawiedliwości: raz tonącego w kąpielach wód Sofijowskich, wyratował go jeden z wyrobników najemnych, i dostał za to cenę właściwą, dwa złote. Metzell z wysoka patrząc na ciemny naród polski, wszystkich nie matematyków i nie inżynierów, nazywał *bydlem!*“

Maciej Bajer inżynier, umieścił z rysunkiem w Tygodniku Polskim 1832 r. (Nr. 16 Tom 2, str. 369), krótki opis statku do holowania pod wodę, urządzzonego przez Ludwika Metzell.

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI Ś. P. **FLORYANA KAŚINOWSKIEGO**, B. PUŁKOWNIKA WOJSK
POLSKICH. ŻYŁ LAT 64, UMARŁ DNIA 22 STYCZNIA 1828 ROKU.

(*W pobliżu spoczywa jego żona w Katakumbach*).

Urodził się dnia 4 Maja 1764 r. we wsi Łopienno, Departamencie Gnieźnieńskim, wszedł w służbę wojskową 1779 r., jako żołnierz do pułku piechoty dowództwa księcia Augusta Sułkowskiego, w roku 1790 dosłużył się stopnia kapitana, w roku 1793 z rangą majora mianowany sekretarzem w Kommissyi wojskowej koronnój; następnie przeszedł w służbę cywilną. W roku 1807 w wojsku księstwa Warszawskiego, mianowany podinspektorem popisów wojskowych, w roku 1810 postąpił na inspektora w tychże obowiązkach, w roku 1815 przeszedł na szefa wydziału w biurach Kommissyi Rządowej wojny w stopniu pułkownika. W roku 1824 uwolniony z pensją wysłużoną, resztę dni życia w zaciszy domowej spełnił. Odbył kampanie w latach 1792, 1794, 1807, 1813 i 1814 roku.

FRANCISZEK GABRYEL LEDOUX.

(*Spoczywa w Katakumbach bez napisu*).

Franciszek Gabryel Ledoux, urodzony w Paryżu 1754 roku, umarł w Warszawie dnia 2 Lutego 1823 r., mając lat 69. Sławny tancerz i dyrektor pierwszego baletu Polskiego. „Tyzenhaus podskarbi nadworny litewski (pisze w swoim rękopiśmie Antoni Magier), w roku 1782 zapisał z teatru Paryzkiego dyrektora do założenia szkoły baletu w Grodnie. Zalecony ztamtąd Franciszek Ledoux, uczeń dawnego *Westrysa*, przyjechawszy do Grodna, wysłany był do Tyzenhauza, do powiatu Słonimskiego, gdzie biegły ów w swojej sztuce nauczyciel, poruczony miał sobie wybór z 60^{ciu} dzieci wiejskich, cokolwiek z natury ukształconych, któreby obiecywać mogły do téj nauki zdolności. Ledoux wesóły, żywy paryżanin, z rokosznej stolicy Francyi, widzi się być nagle przeniesionym do téj, niejako dla siebie pustyni, gdzie przy niebrakujących dla siebie wygodach, przyszło mu atoli walczyć przeciwko ostrości mroźnego klimatu, nieznamomości języka, braku towarzystwa, a nadto (jak sam wyznawał), zostawać obok mieszkania ekonoma, gdzie często rozlegały się w niebogłosy karanych przez niego, nędznych tego kraju kmiotków. Po kilkokrotném napominaniu okrutnika, raz zniecierpliwiony na te wrzaski, wpadł na ekonoma, wyrwał mu z rąk kańczuk i grzbiet mu dobrze nim wybił. Przestrzeżony potem od Sitańskiego kommissarza o złych skutkach téj porywczosci, iż znieważył szlachcica; później doświadczył zemsty, gdy jadąc do sąsiedztwa sankami, w lesie został napađniętym, i przy żwawej utarczce, otrzymał ranę na twarzy w bliskości oka. Przeniesiony do innego domu, dokładał starania, aby w obowiązanym czasie, mógł dobraną już szkołę, doprowadzić do zamierzonego sobie celu. Skutek odpowiedział jego usiłowaniu. *Michałek Rymiński*, z liczby uczniów, wiele postępował, niemniej: *Brzeziński*, *Holnicki*, *Morczyński*, *Jerzy Waliński*, znany pod nazwiskiem *Zorza*; *Bresler*, *Filipek*, *Józefek* i t. d. Z uczennic zaś, *Malińska*,

Rożycka, Cychlińska, Holnicka, Górską, Szyjewską i t. d. Szkoła ta, przewieziona była do Grodna, a w roku 1783 ztamąd do Warszawy, zostawała pod władzą starosty Ryxa. Dnia 16 Października tegoż roku, pierwszy raz wystawiono tych narodowych tancerzy na teatrze, w balecie układu *Ledoux*, pod tytułem: „*Hylas i Sylvia*“. Przyjemny widok sprawiało to grono świeżej młodzieży, zaszczipionej z latorośli *Westrysa*, w wystawionych baletach, zwykle z różnej szkoły zbieranych tancerzy. Zaszczycone później zostało to towarzystwo grą *Kurtza*, sławnego baletmistrza; i od roku 1783 przedsiębiorcy teatru Warszawskiego: Kurczyńskiego, Szlamowskiego i innych przejeżdżających artystów; jako ów znakomity w Europie, tancerz *Pik*, z towarzyszką swoją *Rossy*, którzy w roku 1785 pięknym stali się wzorem dla naszej młodzieży; dla Malińskiej, Holnickiej, Gorskiej; a Rymiński naśladowując korzystnie *Pika*, na udoskonalonego wyszedł tancerza, który przy rozwiązującym się balecie w Warszawie, w czasie zmiennych okoliczności w kraju, udawszy się do Lwowa w młodym swym wieku, w roku 1799 życie zakończył. *Ledoux* niespracowany, prócz kassynów które dawał w zimie w pałacu pod № 556 (przy ulicy Długiej), wznosił swoim nakładem i nauką nową szkołę tancerzy z 30 dzieci złożoną w Warszawie, i od roku 1800 do 1803 uprzyjemniał nasz teatr swymi baletami. Z téj szkoły, usposobiły się na dobre tancerki: *Gurska, Sitańska, Darewska, Skoraszewska* i inne. *Keller* gubernator pruski, znając nieustanną pracę jaką *Ledoux*łożył na wystawienie w Warszawie téj szkoły; wstawił się do króla pruskiego, aby miał wyznaczoną dożywotnią pensję talarów 400; lecz wkrótce odmiana rządu, była do tego przeszkodą. W roku 1794, widząc wielu rannych i schorzałych, oświadczył księdzu *Onufremu Kopczyńskiemu*, iż w najętym pomieszkaniu w pałacu *Dikierta*, o swoim własnym koszcie założy lazaret, co uskutecznił, łożąc na ten przedmiot znaczną summę. Zaczny ten czyn szlachetnego *Ledoux*, spowodował: że był pomieszczonym w liczbie szesnastu adjutantów, którym poruczono było bezpieczeństwo osoby króla *Stanisława*; i natenczas po czterech wyborowych obywateli, codziennie przy jego boku zostawało, a gdy wyjeżdżał z zamku, konno mu towarzyszyło.“

Do tych wiadomości podanych przez *A. Magiera* dodamy, że *Ledoux* był autorem wielu baletów, pomiędzy którymi, najwięcej upodobane od publiczności Warszawskiej były: *Wanda, Kora i Alonzo*, i *Zasłubiny Goralów*. *Fr. hrabia Skarbek* w swoim pamiętniku (w rękopiśmie) pisze o nim: „Nauczyciel tańców *Ledoux* dając lekcyje po pensjach, umiał sobie tyle zjednać wziętości, że cała młodzież z pensyj w Warszawie istniejących płci obojój, przybywała na jego bale, wyłącznie dla niej przeznaczone. Tam się zawięzywały przedwczesne miłostki, z których wiele były pierwszym zawiązkiem małżeństw po wyjściu ze szkół zawieranych.“ (Działo się w czasach Księstwa Warszawskiego). W charakterze swoim łagodny, ludzki i przyjacielski, każde towarzystwo swoją obecnością uprzyjemniał. Imię jego zapisaném być musi w kronice teatru polskiego.

„CIENIOM Ś. P. **MIKOŁAJA CHOPIN**, B. PROFESSORA LICEUM WARSZAWSKIEGO, AKADEMII DUCHOWNEJ RZYMSKO - KATOLICKIEJ, I CZŁONKA KOMITETU EGZAMINACYJNEGO. URODZONEGO W NANCY 1770 ROKU, ZMARŁEGO W WARSZAWIE 1844 R. (1) WIECZNE SPOCZNIECIE.“

W młodym wieku, przed rewolucją Francuzką nie w charakterze bynajmniej emigranta, przybył Chopin do Polski, i najprzód zostawał jako guwerner, w Czerniejewie u starościny Łączyńskiej przy jej synach, (2) następnie przeszedł do domu hr. Skarbkowej, w celu kształcenia naukowego jej syna Fryderyka hr. Skarbka, zaszczytnie znanego na niejednym polu zasługi krajowej. „Stanowczém to jest w życiu każdego młodego człowieka (pisze Fr. hr. Skarbek w pamiętniku swoim w rękopiśmie), jaki był sposób myślenia nauczyciela, któremu wychowanie jego powierzonym zostało, i jakich się zasad trzymał w prowadzeniu jego. Po rocznym pobycie poprzedniego mego nauczyciela, byłem już na bardzo złej drodze, bo srogość jego wzbudziła we mnie nieufność, i tajemnie się ze wszystkiém, obok zupełnego odstręczenia od nauki. Łagodne i przyjacielskie obchodzenie się Chopina, baczny dozór nad wszystkiemi mojami postępami, bez zbytecznego ukrócenia wolności i nauczania bez pedantyzmu i przymusu, wszystko zwróciło zdolności i skłonności moje do tego, czém z natury być miały, a od czego je zły kierunek łatwo by był odwiódł.“ Będąc Chopin nauczycielem w kilku jeszcze prywatnych domach, od dnia pierwszego Października 1810 roku, jako nauczyciel języka francuzkiego wszedł do Liceum Warszawskiego, i zostawał w nim aż do zamknięcia tej szkoły. Od pierwszego Stycznia 1812 mianowanym był obok tego professorem tegoż języka w szkole elementarnej artylleryi i inżynierów; od dnia 15^o Listopada 1820, professorem języka francuzkiego w szkole wojskowej aplikacyjnej w Warszawie. W roku 1831 miał sobie poruczony nadzór biblijoteki i muzem téjże szkoły, gdy w niej zawieszony był kurs nauk. W roku 1831 Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego, utworzywszy komitet pod przewodnictwem B. S. Lindego, przeznaczyła do niego Chopina, celem przejrzenia spisu dzieł mających być zakupionemi dla biblijotek szkolnych, oraz urzędzenia takowych. W Sierpniu 1835 roku mianowany członkiem komitetu egzaminacyjnego do oceniania kwalifikacyi kandydatów, ubiegających się o posady nauczycielskie w szkołach publicznych obwodowych lub gimnazjalnych. Dnia 26 Sierpnia 1836 roku uwolnionym został z obowiązków profesora szkoły wojskowej, która w r. 1832 zwinęta została. W ostatku był professorem w akademii duchownej

(1) Stan służby, wymienia wieś Marienville we Francyi, za miejsce urodzenia M. Chopina.

(2) „W domu starościny (pisze F. hr. Skarbek w swoim pamiętniku) miał Chopin za uczniów, prócz dwóch synów starszych znacznie odemnie: dwie córki, z których młodsza Marya wówczas lat 14 mieć mogąca, rzadką odznaczała się pięknoscia. Lubo kilka lat starsza odemnie, lubiła się ona bawić ze mną dziesięcio-letnim chłopcem, i ujmującą dobrocią swoją, jako i niewymownym powabem wdzięków swoich, mocne na mnie uczyniła wrażenie. Słynęła ona później z piękności, która władzcę Europy Napoleona wielkiego długo zachwycała. Była to znana z dobroci i powabów Marya Walewska, po owdowieniu po mężu, i po czcieliu swoim, w końcu małżonka generała *Ornano*. Po upływie wielu lat, miałem sposobność widywać ją wśród zbytków i świetności wielkiego świata Paryżskiego, i doznawać od niej przychylnęj uprzejmości.“ Było to w roku 1810; w jej domu poznał nasz autor Kościuszkę, i widział go tańczącego poloneza jego nazwisko noszącego: „Przy mojej namiętności wierszoklecić, (pisze Fr. hr. Skarbek) napisałem wiersze do niego, za które mnie serdecznie uściskał, mówiąc skromnie, że nie zasłużył na pochwały w nich zawarte.“

rzymsko-katolickiej w Warszawie. Odtąd, otrzymawszy szczupłą emeryturę, w zaciszy domowej, obciążony sędziwym wiekiem, resztę dni swoich spędził: szanowany i wielbiony powszechnie. Prawością charakteru, szlachetnością myśli i uczuć, godnym postępowaniem i życiem bez skazy, wyjednał sobie to piękne stanowisko, że imie swoje otoczył uczciwą sławą. Dozwał się drogiej dla serca rodzicielskiego pociechy z odchowanych dzieci: cieszył się sławą syna jedynaka Fryderyka i ustaleniem losu znacznych córek. Z czworga dziatwy, pochował w kwiecie wieku Emilję na Powązkach; w Paryżu pogrzebany syn jego: sam na tymże cmentarzu spoczął co najmłodsze dziecko jego: a w roku 1855 złożono obok niego, zwłoki siostry najstarszej z rodzeństwa Ludwiki Jędrzejewiczowej.

„DOMINIK MERLINI, BUDOWNICZY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI I RZECZYPOSPOLITEJ,

UMARŁ DNIA 19 LUTEGO 1797 R. WZĘ LAT 66.

(Kamień między napisowemi pomnikami Jana Bohomolca i Stefana Łuskińy).

Urodzony w roku 1731, wslawił się za czasów panowania Stanisława Augusta, jako jeden z najpierwszych budowniczych. Monarcha ten mianował Merliniego nadwornym budowniczym swoim. Jego dziełem jest w owym czarownym ustroniu Warszawy pałac w Łazienkach Królewskich, on wystawił pałac książąt Jabłonowskich, dzisiejszy Ratusz miasta Warszawy; dom i kościół księży Bazylianów na Miodowej ulicy. Magier pisze ⁽¹⁾ że mu co do rysunków starsza jego córka Maryanna wielce była pomocną. Merlini wykształcił równie sławnego budowniczego Jakóba Kubickiego, który później jego miejsce zajął na dworze Stanisława Augusta.

FRANCISZEK BOHOMOLEC.

(Bez kamienia z napisem).

Urodził się dnia 29 Stycznia 1720 roku, z zacnej i zamożnej rodziny, w dawnym województwie Witebskiem. W 18^{ym} roku życia, dnia 24 Czerwca 1737 wstąpił w Wilnie do zakonu Jezuitów. Skończywszy nauki w akademii Wileńskiej, a następnie w Rzymie, był nauczycielem w akademii Wileńskiej, później w Warszawskim *Collegium Nobilium*. Po zniesieniu zakonu Jezuitów, objąwszy zarząd drukarni królewskiej, oddał się z zapalem literackim pracom i w każdej niemal gałęzi, zapisał pamięć swoją trwale: czy to jako autor *komedyi*, czy w nauce prozy, czy w upowszechnianiu dzieł treści dziejów narodowych, czy wreszcie jako *redaktor*, głośnego od roku 1764 pisma *Monitora*. ⁽²⁾ Wiadomo, że Bohomolec był ciągłym uczestnikiem *uczonych obiadów czwartkowych*, na zamku warszawskim u króla Stanisława Augusta. Ale tam,

⁽¹⁾ Estetyka miasta Warszawy.

⁽²⁾ Pisaliśmy obszerny życiorys Franciszka Bohomolca w *Życiorysach* Tom 1 str. 179 i 527, nie powtarzamy więc jego prac literackich: tu dotkniemy szczegółów nieznanych, które dopełnią biografią tego męża.

ani z powodu swęj nauki i pracy, ani z zasług, nie został powołanym; winien był ten zaszczyt, równie jak i Trembecki małej okoliczności. (1) Bohomolec żył w przyjaźni z Grzegorzem Łyszkieviczem kupcem warszawskim, kapitalistą, który ciągnął znaczne procenta i miał dobrą piwnicę. Tu przy flasce starego węgrzyna, mile szła gawęda: do tego to Grzegorza, napisał pieśń Bohomolec, znaną pod nazwą: „*Kurdesz nad kurdeszami*“ która się tak podobała królowi, że jej autora powołał raz na zawsze do stołu na *czwartkowe* obiady. (2) Na jedném z takich zebrań, wezwany przez króla Stanisława Augusta, Bohomolec przy starym króla Popiela winie, improwizował pieśń wesolą, zastósowaną do okoliczności; Krasicki na podziękę zaraz, tak mu odpowiedział:

„Wieńczy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce,
Dobre nam się czasy wróżą,
Niechaj żyją Bohomolce!

Po śmierci Łyszkievicza, Bohomolec lubiący zawsze towarzystwo, gdzie mile mógł po pracy przepędzać wieczory, wybrał sobie szanowny dom doktora sławnego Jana Czempińskiego; tu był rzec można ciągłym domownikiem. (3) Na uczczenie i pamięć tych miłych wieczorów, gdzie śpiewy, muzyka, rozmowa i taniec, bawiły na przemian naszego literata, a tak różnych od wieczorów w innych domach w Warszawie, kędy panowała sama szulerya, zbytki i rozpuśta, (wedle wyrażenia A. Magiera), napisał wiersz, który w całości jako nieznany tu przywiódę.

WIECZORY

Do WW. J. Państwa Jana i Prowidencji Czempińskich, konsyliarzów J. K. Mości.

„Wdzięczne wieczory, rozkoszne me chwile,
Które w Czempińskich domu, trawię mile,
Jak słodkie dla mnie tam powaby macie,
W tém złe, że nazbyt prędko upływacie.
Przyjemna ludzkość, spokojność łagodna,
Przezorna grzeczność, wesolość swobodna,
Przystojne względy dla każdej osoby,
Są tego domu szacowne ozdoby.
Pan jego, skoro ze snu się obudzi,
Bieży ratować nieszczęśliwych ludzi,
A sama pani, przykład dobrych matek,
Ma baczność na dom i na grono dzieciak.

Po dziennych trudach, gdy powraca zmrokiem,
Dziateczki miłym wzruszone widokiem,
Niewinne rączki ku niemu ściągają,
I sercem raczej, niż usty witają!
Chcąc potem ojca dobrego ucieszyć,
Poczynają się do muzyki spieszyć,
Ta klawicymbał, ta arfę porywa,
Ów głosu skrzypców miłego dobywa.
Ozwą się zaraz zabawne piosneczki,
Wdzięczne aryjki, wesole taneczki,
W tych wszystkich matka pierwsze trzyma czoło,
Dźwiękiem i pieniem dowodząc wesolo.

(1) „Młody Trembecki znajdując się raz na pokojach w zamku w dzień czwartkowy, gdy inne osoby wychodziły już z sali, kamerdyner królewski przestrzegł go, że tylko zaproszeni od króla goście na obiad, w téj sali pozostać mogą. Trembecki zapytuje, kto będzie siedział u stołu? a gdy usłyszał że między wymienionimi osobami, Rzewuski *grandmaitre* ma się także znajdować, rzekł zabawnie: „jeżeli miejsce będzie dla *grandmaitra*, za cóż *petitmaitre* jak ja, nie mam się pomieścić? Doniesiono o tém królowi, rozśmiał się, chciał poznać trefnisia i kazał mu bywać na obiadach, lubo znał Trembeckiego jeszcze w roku 1768, kiedy w młodym bardzo wieku, już był czynnym i dawał się poznać z poezyi i niektórych tłómaczeń autorów klassycznych, które pozapoczyznał, ale pomimo niepopolitego swego umysłu do poezyi, nie miał wytrwałości dokończenia.“ (A. Magier, Estetyka miasta Warszawy).

(2) Podalem ją w całości w dziele: *Życiorysy znakomitych ludzi*.

(3) Jan Czempiński wykształcony za granicą, powróciwszy do Warszawy w początkach panowania Stanisława Augusta, był powszechnie wziętym i szczęśliwym w praktyce lekarskiej. Jedna z córek jego poszła za Ignacego Tańskiego, z tego małżeństwa córka Klementyna zamężna Hofmanowa, jest autorką wielu prac, któremi wieszcie zapisala imie swoje w pamięci narodu.

A skero głosy ucichną muzyki,
Wnet bawić zacząną roztopne żarciki.
Lub inne jakie rozrywki uczciwe,
Wnosząc do serca wesele prawdziwe.
Wpóśród miłego tego zgromadzenia,
Nikną me troski, nikną utrapienia,

A serce dziennym kłopotem znudzone,
Znajduje sobie chwile ulubione.
O! miły domie, którego ponęta,
Osladza życia mojego momenta,
Twojej ludzkości jest to dar prawdziwy,
Że choć przez krótki czas, bywam szczęśliwy.“ (1)

„VENERANDAE MEMORIAE **JOANNIS BOHOMOLEC**, SACERDOTIS. QUI VETERI PROSAPIA IN VITEBSCENSI TOPARCHIA, PROGNOTUS, IN RELIGIOSO COETU. SOC. JESU, POTISSIMAM VITAE, PARTEM EXEGIT. EJUSDEMQUE ASSIDAS INSTITUTI PATREM FRATRESQUE HABUIT. SOLIDA VASTAQUE MENTE, OMNEM FERME SCIENTIARUM INGENUARUMQUE DISCIPLINARUM, AMBITUM COMPLEXUS OMNI GENERE DOCTRINAE VEL INTER PERITISSIMOS EXPLENDUIT. HIS VITAE INNOCENTIAM PROBITATEM ET OMNIS ORNAMENTA VIRTUTIS CUMULATISSIME ADJUNXIT, PAROCHIALIS TRANS ISTULAM. ECCLESIAE EX ADVERSO. VARSOVIAE A COLLOPSA SOCIETATE RECTOR DUM. PRESAGA, FUTURORUM MENTE SOLUTE IIS CAVET, QUORUM CURAM GEREBAT IN MAGNAM INVICTAM EXPERS NOCTAE IN CURRIT. ANIMOQUE QUALIS RELIGIOSUM VIRUM CULPAQUE VACANTEM DECEBAT, FORMIDANDUM CUIQUE FERTISSIMO VEXATIONEM, PERTULIS AB EA CALAMITATE, VIXDUM RESPIRANS, AD COELITUM SOCIETATEM EVOCATUS. OBIIT DIE XVII, FEBR: MDCCXCV DISTRACTO EMPTIS CENSIBUS OMNI PECULIO IN MAGISTROS. CHRISTIANAE DOCTRINAE EXOMOLOGESIS MINISTROS ET PASTORES ANIMARUM VETERANOS. VIXIT ANNOS 71 DIES 21.“

Urodzony w roku 1724 po piérwszém wychowaniu domowém, zaczął i skończył szkoły u Jezuitów, którzy widząc niepospolite w Bohomolcu zdolności, namówili że obokł ich suknię zakonną. Kiedy grom Watykanu zniósł Jezuitów: przyjęty w dom pisarza wielkiego koronnego Bielińskiego, był nauczycielem jego syna. „Później mieszkając na Pradze (pisze A. Magier w swoim rękopiśmie) w probostwie swoim, przyjeżdżał konno do ojca mego, z którym żył w przyjaźni, dla zabawy w *marjasza*. W roku 1787 gdy przy końcu Stycznia Wisła po lodzie nie była do przejścia bezpieczną: ojciec mój przesłał mu na Pragę to powinszowanie.

„Powinszowanie W. Imci Xiędzu Janowi Chryzostonowi Bohomolcowi, proboszczowi Pragskiemu, w dniu imienin jego dnia 27 Stycznia 1787 roku.

„Ludzkość wyciąga, przyjaźń każe ścisła,
W dniu twych imienin oświadczyć życzenie,
Lecz gdy me chęci nieprzystępna Wisła,
Tamuje skutek, mam ztąd umartwienie.
Ale wiem dobrze cny proboszczu Pragski
Że ta przyczyna nie może uszkodzić
Względów, któremi szczycisz mnie z swęj laski,
Bo wiesz co pływać, co po moście chodzić.
Przecież zły jestem na tę czasu porę,
Bo choć most szklanny usłany na Pragę,

Ale ja znając jaką ma podporę,
Puszczać się przezeń małą mam odwagę.
Cóż mam uczynić? nie mogę na promie,
Nie mam balonu przelecieć z *Blanszardem*, (1)
Abym ci oddał wielki Chryzostomie,
Ofiarę serca, choć z takim hazardem.
Przyjmiej więc bilet, a w nim te wyrazy
Życzeń, jakie mi serce dyktowało,
Niech to u ciebie, proszę równoważy,
Czy usta mówią, czy serce pisało.

(1) Wszyscy których tu wapomina Bohomolec, jż spoczęli w grobach: wiele członków tej szlachetnej rodziny, spoczywa na cmentarzu tu-tejszym. O każdym podaliśmy już wiadomość w dwóch poprzednich tomach. Krasicki, towarzyskość Bohomolca przyjemnie wychwala, a co go pożądanym w posiedzeniach robiło, to dowcip bez szyderstwa i obejście nader mile. Niczem ten uczony człowiek w chwilach rozrywki, nieprzypomniał nikomu, ani swęj wyższości umysłowej, ani nauki, której się dzień niemal cały oddawał. Umarł w Warszawie dnia 24 Marca 1784 r. o czwartej rano, mając lat 64, miesiący 2 i dni 26. Zapisem 3,000 dukatów, jaki szlachetny ten kapłan zostawił dla watydzących się żebrac i sierot, imię swoje przekazał wdzięczności potomnych.

(2) Blanszard piérwszy puszczał się balonem w Warszawie.

Żyj więc tak Janie jak można najdłużej,
 Miej to wszystko z łatwością co do tego służy.
 Jakoto: czerstwość zdrowia, pomyślność wszystkiego,
 Dla spacerowania ⁽¹⁾ człapaka dobrego,
 Dobrą też czekoladę, i to naostatek. ⁽²⁾
 Aleć to wszystko masz: wszakże do zabawy

Naszój, brakuje mostu z Pragi do Warszawy.
 O! kiedyż przyjdzie pożądana chwila,
 Maryaszowym naszym królom czterem,
 Przy obecności świetnego pamfila,
 Byś swój hold oddał ze starym Magierem.“ ⁽³⁾

Imię Bohomolca głośném w narodzie zrobiło dzieło, które doczekało się wprędce dwóch wydań, p. n. „Djabel w swojej postaci, z okazji pytania jeśli są upiory, ukazany, przez X. Jana Bohomolca Soc: Jezu nauk wyzwolonych i teologii doktora, proboszcza Skaryszewskiego i Pragskiego.“ ⁽¹⁾ Całe dzieło składa się z dwóch tomów, w pierwszym po wykładzie polskim, dodana część druga o upiorach, o ukazywaniu się i o czarach, po łacinie z oddzielnym tytułem: „Responsio ad Censuram libri de natura et potestate Daemonis. Data an. 1773. (Tom ten wydany w Warszawie r. 1775, 8^{vo} str. 374. Responsio str. 233). Tom drugi wyszedł 1777 r. (str. 317) do niego należy w tymże roku wydany: „Przydatek do książki, Djabel w swojej postaci, o ukazywaniu się Duchów.“ (str. 250). W dziele tém odpowiadając na główne pytanie jeśli są upiory, rozwija potężną Bohomolec erudycją, uderza na ten upowszechniony w kraju naszym przesąd, gruntownymi dowodami wsparty, obala go i wytępić się stara. Kartezjusz, Spinoza, Pismo Święte, pisma śś. Ojców Kościoła, równie jak przykłady z historii greckiej, rzymskiej i w. i. starożytnych dziejów, naprzemiany przywodzi; kończy dzieło swoje nauką o czyszc. Pokazał Bohomolec w tém dziele, nietylko ogromną naukę, ale i wyższe nad wiek swój stanowisko i myśli. Wykład jasny, rzecz poważna, przeplatana przykładami ciekawemi, a co jeszcze dotąd jest wielce zajmującym, że podaje nam wypadki krajowe, co do pojawiających się duchów, czarów i upiorów. To daje nam objaśnienie, dla czego pierwsze wydanie tak chciwie rozkupiono, że drugie M. Gröll swoim nakładem ogłosił. Dziś dzieło to należy już do bibliograficznych rzadkości. W pracy tej pokazał i pewny rodzaj odwagi literackiej, wspomniawszy na czasy w których ją ogłaszał. Posłuchajmy co w tej mierze mówi: „Pytasz mnie jeśli są upiory? Odpowiedź na to pytanie jak jest trudna, tak niebezpieczna. Jeśli powiem że są: uczonych pióra zastrzę; jeśli powiem że nie ma, pospółstwo na siebie obruszę. Najlepiej zdałoby się zawiesiwszy odpowiedź, większego szukać objaśnienia, gdyby nadzieja zostawała znalezienia świadków pewnych i niepodejrzanych. Lecz dla mnóstwa różnych a zawsze wątpliwych powieści, to się przytrafia szukającemu w tej materji prawdy, co patrzącemu przez szkiełko rzeczy mnożące: miasto jednej widzi wiele, a gdy rozeznać rzecz od pozoru, próżno wzrok morduje. Wiem dobrze, iż mądrymu ani zdania pospółstwa, ani sądów i przesądów jego, lękać się nie przystoi. „Co ja pojmuje (mówił Epikurus), to pospółstwo gani, co pospółstwo chwali, ja tego nie pojmuje, i przeto nigdy się onemu poddawać nie chciałem.“ I słusznie: nie ma bowiem (mówi Seneka) gorszego dowodu, jak zdanie pospolitego ludu. Obdarzeni wprawdzie rozumem, równie

(1) Spacer wyraz ulubiony i często używany przez Bohomolca.

(2) Był on wielkim lubownikiem czekolady.

(3) Rękopism: Estetyka miasta Warszawy.

(1) Opisujemy tu wydanie drugie nakładem Michała Gröll'a bibliopóli nadwornego J. Kr. Mości w Marywilu, pod znakiem *poetów* ogłoszone; pierwszego bowiem nie mamy.

jako inni, mają sposobność i ciekawość do poznania jak inni, lecz głęboko nie szperają, ani do samego jądra przeniknąć nie usiłują, podobni dzieciom, które orzech z chciwością do gęby kładą, a doświadczywszy że twardy, samą tylko powierzchnią zabawiają się postacią; na świadectwie zmysłów zupełnie przestają, częstokroć co się marzy, za prawdziwe biorą widoki (bo zmysły ich oszukać mogą), bynajmniej nie powątpiewają. Powieściom łatwo wierzą, nierozbierając, kto i co mówi, a tym łacniej, im dziwniejsze i do pojęcia trudniejsze. Co zaś z podania przodków swoich mają, to na równiej z religiją kładą szali. Zabobonne wymysły, z obrządkami najświętszemi łączą.“

Pisał to dzieło mieszkając na ustroni wiejskiej, „żywąc (jak wyraża) między kmiotkami.“

Jan Bohomolec był synem Pawła Józefa starosty Dworzyckiego, który po oddanych usługach dla kraju owdowiawszy, wstąpił do zakonu Jezuitów, i przed ich zniesieniem umarł kapłanem. Zostawił siedmiu synów, z których Franciszek znany pisarz był najstarszy, a Jan trzeci z porządku. O pięknym jego zapisie, głównie skierowanym na podniesienie stanu oświaty naszych włościan, czytelnik nasz znajdzie w ważnym dziele Aleksandra Wejnerta: „Starożytności Warszawy.“ (Tom IV, r. 1856, str. 82) dokładną wiadomość.

ALBERTRANDY JAN.

(Bez napisu).

Urodził się dnia 7 Grudnia 1731 roku w Warszawie. Umarł dnia 10 Sierpnia 1808 roku w témże mieście. Rodzina Albertrandego od dawnych czasów z Włoch przeniosła się do Polski. Jeden ze znakomitszych literatów, tak nam maluje Albertrandego na lat kilka przed zgonem. „Zwiędł on i wysechł nad książkami. Szczupły, błydy, suchy, niedbały w ubiorze i około swiej osoby, nie wychodził prawie od siebie; w jednym ręku jego było pióro, w drugim niezmierną lulka; tę od świtu do północy z ust nigdy nie wypuszczał.“ Początkowe nauki pobierał u księży Jezuitów, ci od razu poznawszy w młodym Albertrandym bystrość pojęcia, żelazną pracą i wyższy umysł, zdumiewający samych professorów; w nadziei bogatego plonu dla zakonu swego, potrafili go skłonić że przyjął suknię jezuity, i mając lat 19 wieku, przeznaczonym zaraz został na profesora w ich kolegijum w Pultusku. Następnie pełnił téż obowiązki w kolegjach jezuickich w Płocku, Nieświeżu i w Wilnie, gdzie nieraz znajdował starszych uczniów w latach od siebie. Z wielką łatwością wyuczył się języków: hebrajskiego, greckiego i łacińskiego, równie jak z nowożytnych: francuzkiego, włoskiego i niemieckiego, niektórymi z nich pisał nawet tak poprawnie jak rodzinnym polskim. W późniejszym wieku wyuczył się i angielskiego. Ułatwiła mu tę naukę osobliwa a rzadka pamięć, rzecz raz usłyszaną nietylko przeczytaną, mógł powtórzyć bez opuszczenia jednego wyrazu. Dość tu przywieść jeden przykład. Albertrandy będąc nauczycielem Feliksa Łubińskiego (późniejszego Ministra Sprawiedliwości) stał obok w pałacu Prymasowskim w Warszawie, ze starym jezuitą a teologiem arcybiskupa Łubińskiego. Obaj gotowali się do kazania; ojciec jezuita miał je mieć przy summie, a Albertrandy *in primis vesperis*. Stary jezuita ucząc się kazania, chodził po pokoju i głośno go prawił, a że to było o

drzwi z Albertrandym, ten całego się nauczył. Zasiada *Celebrans*, nieszpory wychodzą, ksiądz teolog jezuita assystuje; a tu Albertrandy wyszedłszy na ambonę, całe mu kazanie jego wyrecytował. Było dosyć potem śmiechu, gdy biedny ojciec teolog na całą noc musiał zasiąść, by napisać drugie kazanie (1). Biskup Kijowski Józef Załuski, utworzywszy bibliotekę publiczną w Warszawie, wezwał Albertrandego do uporządkowania ogromnego księgozbioru. Odpowiedział godnie zaufaniu, spisał i ułożył ten skarbiec narodowy, w ciągu lat kilku. Imię młodego uczonego jezuitę, zyskało należyty rozgłos. Władysław Aleksander Łubieński prymas, chciał mu powierzyć wychowanie swego wnuka. Jenerał Jezuitów, chętnie na to zezwolił; i Andrzej Wagner listem do prymasa z Rzymu d. 9 Marca 1765 r. zawiadomił: że w tej mierze Albertrandy otrzymuje pozwolenie swój zwierzchności zakonnej. (2) W tymże też roku, zajął się młodym swoim wychowawcem, a późniejszym (od r. 1807—1813) Ministrem Sprawiedliwości. Oderwany od prac swoich zwykłych, pragnął sumiennie oddać się kształceniu młodego Łubieńskiego, lecz prymas obarczony licznymi pracami w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, odrywał go często do prac gabinetowych, zasięgając nieraz zdania, poznawszy wyższą zdolność w młodym Albertrandym. (3) Po śmierci księcia prymasa, nie odstępował swego ucznia, udał się z nim do konwiktu księży Jezuitów, zostającego pod zarządem uczonego Ks. K. Wyrwicza. Tu poświęcił czas niejaki astronomii, a zbierając dla ucznia pomoce naukowe, napisał *Historią Rzymską i Dzieje Polski*. Gdy opieka młodego Łubieńskiego uznała potrzebę kształcenia go w zagranicznych akademiach, Albertrandy towarzyszył mu w tej podróży do akademii w *Sienna* we Włoszech, a następnie do Rzymu. Pobyt w tej stolicy Chrześcijaństwa, stanowi najważniejszy okres w życiu literackim Albertrandego; tu oddał się z zapalem badaniom starożytności, zebrał dla ucznia swego dokładny zbiór medali greckich i rzymskich, uporządkował i szczegółowo opisał. Wrócił do kraju w roku 1773. Król Stanisław August od F. Łubieńskiego nabył piękny ten zbiór jego medali, i poznawszy Albertrandego, mianował go swoim lektorem, oddał mu pod zarząd własny księgozbiór i zbiór rycin. Kilka lat spędził nad uporządkowaniem i spisaniem obu zbiorów; spis dokładny pokazał wielkie braki do dziejów Polski, przedstawił je monarsze, który opatrzywszy Albertrandego w potrzebne fundusze, polecił mu udanie się do Włoch, aby dla dopełnienia zbiorów do dziejów ojczytych, poszukiwania w biblijotece Watykańskiej i innych zamożnych księgozbiorach, poczynił. Od roku 1782 trzy lata poświęcił Albertrandy jedną z najmłodniejszych prac, nie tylko w wyszukiwaniu ważnych dla historii polskiej materiałów, ale i w przepisywaniu takowych. Sto dziesięć voluminów własną przepisał ręką, pomnożył nadto zbiory królewskie starożytności, bogatym plonem z wykopalisk *Herkulanum* i *Pompei*. Z temi skarbami wrócił do Warszawy. Uprzejmie król przyjął te prace Albertrandego, a oceniając jego zasługi i naukę, obdarzył medalem złotym, z napisem: „*Merentibus*“. Stanisław August

(1) Katalog Biskupów Krakowskich X. Łętowskiego.

(2) Archiwum Domowe. Warszawa 1854 r. str. 41.

(3) Prymas Łubieński zostawił w rękopiśmie w dwóch księgach uwagi swoje co do spraw krajowych. Chciał je mieć nieznanne, i w tym celu księgi te opatrzone były zameczkami. Mamy obecnie je w ręku, i we właściwym czasie drukiem ogłosimy.

zachęcony bogatym plonem dla dziejów, a zebrany we Włoszech; postanowił w tymże celu wysłać Albertrandego do Szwecyi. Uczony badacz ruszył w podróż naukową w r. 1789 i szczegółowo takową opisał w listach swoich do Piusa Kicińskiego (1). Zwiedził po drodze Berlin, Kopenhagę, wreszcie w Październiku tegoż roku, stanął u kresu swój wędrowki w Sztokolmie. Na wszystkie strony robił wycieczki, i tak z publicznych jak i prywatnych biblijotek, zebrał ogromne materiały do dziejów Polski, i własną ręką przepisał znowu kilkadziesiąt voluminów. Stanisław August wyniósł Albertrandego do stanu szlachty, orderem Śś^o Stanisława ozdobił, i przedstawił na dostojność biskupią; otrzymał ją daleko później, już po wyjeździe króla z Warszawy i po rozbiórce kraju, w czasach tak zwanych *Pruskich*, to jest gdy część Polski z Warszawą przeszły pod panowanie pruskie. Dnia 31 Stycznia 1796 r. odprawiono w Warszawie uroczystą konsekracją uczonego historyka i oficyała jeneralnego Warszawskiego na ówczas, na biskupstwo Zenopolitańskie, w kościele katedralnym Śś^o Jana. Konsekratorem był ksiądz *Liitta*, Nuncyusz Stolicy Apostolskiej, wśród licznie zgromadzonego duchowieństwa, Bucholtza ministra pruskiego, panów, magistratu Warszawy i tłumów ludu. (2) Zagłębiony w ciągłej pracy, oddany jej wyłącznie, mało miał praktycznego wykształcenia w życiu. Przywiązany do Stanisława Augusta, ściągnął nie małe sarkania na siebie, gdy stosując się do woli króla, wystąpił z kazaniem w r. 1795. W czasach tak zwanych Pruskich, kiedy Warszawa przeszła pod zarządek pruski, Albertrandy zamieszkując w tém mieście, w którym był jako biskup najznakomitszym przedstawicielem władzy duchownej, był zarazem niejako ogniskiem gdzie się zbierali uczeni polscy. To był początek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Pierwsze posiedzenie odbyło się w biblijotece księży Pijarów, na którym jednocześnie dnia 23 Listopada 1800 r. Albertrandy prezesem wybranym został. Dostojne to przewodnictwo, blisko przez lat 8 sprawował; wyjednałszy potwierdzenie tego towarzystwa, tak od króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III^o; jakoteż następnie od Fryderyka Augusta króla Saskiego, księcia Warszawskiego, który mu nadał tytuł: „*Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk.*“ Umarł, mając lat 77. W kościele katedralnym Śś^o Jana w Warszawie, ma wystawiony okazały nagrobek. Zwłoki jego pochowane w katakumbach Powązkowskich bez żadnego napisu; dziś śladu znaleźć nie można, gdzie złożone zostały. Pisma Albertrandego ogłoszone drukiem są: 1, *Dzieje Królestwa Polskiego, krótko, porządkiem lat opisane.* Warszawa 1766. (Jest to tłumaczenie Schmidta z poprawkami i dodatkami Albertrandego). 2, *Dzieje Rzeczypospolitej Rzymskiej, od założenia Rzymu, aż do Cesarzów,* z francuzkiego P. *Macquer* 1768 roku, tomów dwa. 3, *Zbiór wiadomości gospodarskich.* Warszawa 1770 r. 4, *Zabytki starożytności Rzymskich w pieniądzach, pospolicie medalami zwanych,* czasów Rzeczypospolitej i XVI pierwszych Cesarzów. 1805 r. Warszawa, tomów trzy, 8^{vo}. Te prace za życia swego ogłosił. Po jego zgonie, z pozostałych rękopismów,

(1) Archiwum Domowe. 1854 r.

(2) Gazeta Warszawska Nr. 11 z roku 1796. „Pamiętam (pisze w notacie swojej Grzegorz Jahółkowski), że od tego czasu każde solenne nabożeństwo, processy, okazałe pogrzeby i exekwie tylko przez biskupa Albertrandego celebrowane były, a niekiedy tylko przez biskupa Malinowskiego, gdyż dwóch tych jedynie biskupów *in partibus*, znajdowało się przez ten czas w Warszawie.“

professor *Onacewicz* wydał: 5, *Panowanie Henryka Walezjusza i Stefana Batorego, Królów Polskich.* (Z rycinami). Warszawa, 1823 r. tomów dwa 8^{vo}. 6, *Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Alexandra Jagiełłończyków, Królów Polskich i Wielkich Książąt Litewskich.* (Z rycinami). Warszawa 1827 r. tomów dwa. Wiele pism Albertrandego rozrzuconych jest po ówczesnych pismach perjodycznych, jak: w *Monitorze*, od roku 1764; w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, od r. 1769 do 1777, pod redakcją Naruszewicza, a następnie Albertrandego wychodzących; i w *Rocznikach* Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Największa wszakże część prac historycznych jego, pozostała w rękopismach, z których część miał uniwersytet Wileński, król Saski, księżeta Sapiehowie, biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Puławska. Mała część została w biblijotece Sądu Appelacyjnego Królestwa Polskiego, którą podarował temuż Sądowi, uczeń Albertrandego, minister sprawiedliwości F. Łubieński. Rękopisma te obecnie są w biblijotece Senatu. Rękopism: „Historja polska medalami zaświadczona i objaśniona“ do 200 arkuszy ściślém pismem wynoszący, wszedł całkowicie w dzieło Raczyńskiego p. n. „*Gabinet medalów polskich*“ trzy tomy. Obszerny własnoręczny rękopism kazań Albertrandego, wydaje księgarz G. Senewald w dwóch tomach, z wypuszczeniem kazań w języku francuzkim, które się tam znajdują.

„PAMIĘCI EDWARDA ŻÓŁTOWSKIEGO, B. JENERAŁA DYWIZJI B. WOJSK POLSKICH. WSTĄPIŁ W ŻYCIE CIERPIEN DZIA 18 MARCA 1775 R. ZGASŁ W BOGU DZIA 30 STYCZNIA 1842 ROKU.

DROGI CIENIU SPOCZYWAJ W POKOJU!“

Urodzony we wsi Mochowie w obwodzie Mławskim, ze staropolskiej szlacheckiej rodziny, osiadłej od dawna w Płockim. W 18^{ty}m roku życia walczył w roku 1794 jako podporucznik korpusu artylleryi, pod Warszawą i Radoszycami. Jakkolwiek w młodym wieku opuścił gniazdo rodzinne, wyniósł on z niego przekonanie, cechujące Mazura, w wyższość zawodu rycerskiego nad wszelki inny, przywiązanie do religii przodków i wszystkich ich obrzędów, poszanowanie dla starszych, wiarę w świętość domowego pożycia, wreszcie ufność we własne siły i we własną pracę. Krótko trwała kampanija w której miał udział Żółtowski; przy zmianie losów krajowych, ujrzał się nagle bez żadnego zawodu, bez żadnych na przyszłość widoków. Ojciec bowiem jego podstoli ziemi *Zawskrzyńskiej*, nieprzyjaznemi kolejami z obszernych włości jakie posiadał, zaledwie szczupły uratowawszy majątek; miał do opatrywania liczne młodego żołnierza rodzeństwo. Edward nie chcąc być ciężarem ojcu, a polegając na własnych siłach, pośpieszył do Włoch, gdzie dnia 20 Maja 1797 roku wszedł w stopniu porucznika do artylleryi pieszej legionów polskich i w tymże roku postąpił na kapitana do batalionu 3 piechoty. Prawie bez przerwy w latach 1797, 1798, 1799 i 1800, był w ciągłym boju. Stan jego służby poświadcza, że uczestniczył w bitwach pod *Peschera*, *Mantua*, nad rzeką *Tagliamento*, pod *St. Leo*, *Terrecina*, *Falari*, *Monterosse*, *Itri*, *Gaeta*; nad rzekami *Garigliano* i *Trebio*, gdzie otrzymał postrzał kulą karabinową w prawą nogę; *Novi*, *Saravalle*, *Genoa*, tu przetrwał sławne z okro-

pności i trudów oblężenie tegoż miasta, i także oblężenie Mantui; pod *Col de Tende*, nad rzeką *Mincio* i pod *Weroną*. Udarowany od przyrody nader kształtną i ujmującą postacią, jasnowłosey, modrooki legionista; nie jedno obudził westchnienie we wrzących piersiach włoszek, serce przecież jego było w Polsce zostało, gdzie w roku 1803 przybył na czas krótki za urlopem, aby wywieść ukochaną, pełną wdzięków i przymiotów małżonkę, która mu nieodmienne domowe szczęście do zgonu swego 1829 roku, zapewniła. Wszakże u Żoltowskiego wszystkie najczulsze nawet uczucia i związki, ustępować musiały przed powinnościami żołnierza. Często więc musiał się rozłączać ze strzechą rodzinną, bo ciągle wojenne wyprawy, na coraz go nowe wywoływały pola. W roku 1806 pospieszył nad Wisłę i zrazu mianowany majorem, postąpił po bitwach pod Neydenburgiem i Gutsztadt, zaraz na początku roku 1807 na pułkownika dowódcę 3 pułku piechoty księstwa Warszawskiego. Odbył w roku 1809 kampanię austryjacką w kraju; był w bitwach pod Raszynem i przy zdobyciu Sandomierza, gdzie otrzymał postrzał w brzuch kulą karabinową. Odtąd już żywot Żoltowskiego jest nieprzebrany obrazem ówczesnych wojennych dziejów. W trzydziestu dziewięciu bitwach kilkakrotnie ranny, siedmioma orderami ozdobiony, wszędy chlubny zdobywał rozgłos. On pierwszy w całej armii otrzymał krzyż wojskowy kawalerski, za czasów księstwa Warszawskiego, a mianowany już w r. 1811 generałem brygady, dostąpił tego wysokiego stopnia, zaledwie 36 rok życia licząc, co bacząc na tamte czasy, jest dostatecznym dowodem jego osobistej zasługi i waleczności. W wyprawie Napoleona 1812 r. do Rossyi, był w bitwach pod Bobrujskiem, Bobrem, Borysowem i nad Berezyną. Następnie pod Kaliszem, Witembergiem i Lipskiem, gdzie otrzymał ranę w bok kartaczem; pod Hanau, pod Lille, Tournai, Courtrai i Valenciennes. W roku 1814 przeszedł jako generał do armii francuzkiej. Wróciwszy do kraju, przeznaczony na dowódcę pierwszej brygady, drugiej dywizyi piechoty wojska polskiego, postąpił w r. 1826 na generała tejsze dywizyi. Wtedy to nastąpiła dla generała Żoltowskiego epoka spokoju, lecz ciągle w czynnym zatrudnieniu upływająca. Jako dowódca odznaczał się ścisłym przestrzeganiem porządku i sumienną względem podwładnych sprawiedliwością. To też żołnierze pewnymi będąc znalezienia u niego opieki i pomocy, otaczali go przywiązaniem i poświęceniem. Do zalet bowiem nieugiętej prawości i najczulszego honoru wojskowego, łączył zmarły wojownik i dobroczynność. Nietylko wspierał bliższych mu w niedoli, ale często hojność jego w tym względzie granic nawet nie miała. Jak zawsze młodzieńcze lata zostawiają każdemu urok niezatarty, tak też i Żoltowski do ostatnich chwil życia, nie mógł bez wzruszenia przypominać sobie owych pierwszych lat zawodu wojskowego. Stargany pracą i znojami blisko czterdziestoletniej służby wojskowej, ostatnie lata życia od roku 1833 spędził spokojnie w Warszawie, gdzie i zmarł mając lat 67. Jest to dziad rodzony po matce naszej improwizatorce Deotymy, Jadwigi Łuszczewskiej.

„KSIĄDZ **RAFAŁ SKOLIMOWSKI**, PROFESSOR FILOZOFII W AKADEMII DUCHOWNEJ W WARSZAWIE.
URODZIŁ SIĘ D. 24 PAŹDZIERNIKA 1781 R., A UMARŁ 14 KWIETNIA 1848 ROKU.“

Urodził się we wsi Skolimowie-Wojnowie, w powiecie *Siedleckim* na starém Podlasiu. W domu rodzicielskim odebrał początkowe nauki, a od matki zasady moralne i religijne. Nauki

zaś zwane: „*Studia humaniora*“ pobierał w szkołach w *Drohiczynie*, od roku 1790 do 1799, gdzie chlubnie o moralności i zdolnościach otrzymał świadectwo, od księdza Jakóba Falkowskiego Sch: Pijar: Idąc za wewnętrznym powołaniem, wstąpił do Seminarium Dominikanów w Janowie Podlaskim, gdzie po czterech latach nauki, nie mogąc przyjąć wyższych święceń dla młodego wieku (liczył lat 22) został przez władzę Dyecezyalną назначony professorem przy tymże zakładzie duchownym, i był nim przez lat 6, to jest: od roku 1803 do 1809. Między temi latami, to jest 1805 r. otrzymał święcenia kapłańskie, i był jednocześnie przez lat cztery wikaryuszem parafialnym. W roku 1809 przeniósł się do Warszawy, gdzie przyjął obowiązki prywatnego nauczyciela w jednym z najcenniejszych pensyonów męzkich, z kąd wkrótce powołany na publicznego professora Liceum Warszawskiego, pełnił chlubnie ten obowiązek przez lat 6, od roku 1815, na co zaszczytne miał od S. B. Lindego świadectwo. W 34 roku życia, po 12 latach praktyki nauczycielskiej, postanowił zdolności swoje skierować do umiejętności ścisłych, a głównie do matematyki. W kraju nie znajdował do tego odpowiednich środków, postanowił szukać ich za granicami. W r. 1815 kosztem Rządu udał się do Berlina, a następnie do Paryża. W pierwszej stolicy blisko przez rok, a w drugiej dwa lata słuchał nauk filozoficznych, uczęszczał na prelekcyje anatomii porównawczej *Cuviera* i historii literatury *Villemena*; wyłącznie zaś oddawał się matematyce pod przewodnictwem głośnych profesorów Poissona, Biota i Lacroix. Zwiedziwszy Londyn i stolice Europy, wrócił 1818 r. do kraju, i sprawdził nadzieje wszelkie, objawszy zaraz w byłym uniwersytecie Warszawskim katedrę algebry wyższej i mechaniki analitycznej (1). W roku 1820 ogłosił drukiem w języku łacińskim konkursową matematyczno-filozoficzną rozprawę: „*De motu planetarum circa solem*“ i takowej publicznie bronił; za co otrzymał stopień naukowy doktora filozofii. Następnie ogłosił drugą rozprawę w języku polskim: „*O wpływie, który nauki matematyczne w miarę swych postępów w doskonałości, miały i mają na oświatę.*“ Czytał tę rozprawę na publicznym posiedzeniu Królewsko-Warszawskiego uniwersytetu, d. 2 Października 1820 r. (2) której wykład jasny i pelen myśli a nauki, powszechną uwagę zwrócił. Wyjechał kapłanem, wrócił światowcem i massonem, przykład zagraniczny rzucił obłąd w jego duszę. To też mawiał do przyjaciół: „Ufam Bogu, iż za czas przed wyjazdem za granicę, przepędzony w domu pod okiem pobożnej matki, w szkołach i seminarjum, nie będę surowo sądzony, a jeżeli się ocknął na głos łaski Bożej i dźwignął z upadku, to może dla tego, że chociaż błądziłem, żadną jednak sprośnością nie splamiłem obyczajów, nie ogłuszyłem duszy i nigdy biednego nie minąłem bez wsparcia.“ Dręczony walką ducha, niewiarą, wspomnieniem bogobojnej i cnotliwej matki, piękną a czystą dni młodocianych wiosną, stanowczo nawrócił się wypadkiem następnym: W roku 1820 pogrążony w myślach, szedł mostem na Pragę, przecuciem wstrzymany, wrócił z połowy mostu, który woda w téj chwili zerwała, i wiele osób śmierć w nurtach Wisły znalazło. Całą noc w pokorze, na kolanach i we łzach pokuty przepędził. Uwolnił się z *Łoży*, i z katedry uniwersytetu, a mieszkanie zrobił eremem pustelnika. W takim

(1) Ks. Leon Topolski w rękopismie.

(2) Posiedzenie publiczne Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, na pamiątkę założenia jego, przy rozpoczęciu nowego kursu nauk, odbyte d. 2 Października 1820 r. w Warszawie, w drukarni N. Glückberga in 4-to.

życiu lat 27 przetrwał. W tymże roku objął wykład matematyki wyższej stosowanej do potrzeb wojennych w byłej szkole wojskowej aplikacyjnej. Na tej posadzie zostawał do roku 1831. Tu, gdzie (jak sam mawiał) wszystko z szybkością i porządkiem wojskowym iść musiało; z kredą w rękę przy tablicy, w ciągłych ruchach, natężeniu myśli i głosu, najczęściej w obec znawców i wyższych officerów, codziennie dwie godziny wykladał, obok tego był tu professorem religii, wypracował kursa matematyki odbite litografją, które dla swój obszernej a wykończonj całości, systematu i jasnego wykładu, nader wysoko były cenione.

Od roku 1825 do 1840 był professorem filozofii z jej częścią praktyczną matematyki i początków astronomii w b. seminaryum głównem i akademii Duchownej R. K. W. Na tej katedrze siedm odmiennych całkiem, z nowemi samodzielniemi, a coraz udoskonalonych kursów tej umiejętności wypracował. Z tych jeden w języku polskim, cheiwie nie tylko przez uczniów, ale i przez wielu innych miłośników nauki, był przepisowywany. Resztę wydawał w języku łacińskim, którym władał jak rodowitym, chociaż pisał i mówił poprawnie w języku francuzkim, a nie były mu obcemi niemiecka, włoska, angielska, i starożytna grecka i hebrajska mowy (1). Od nowego zwrotu życia, zwróconego ku Bogu tylko w tém astetyczném życiu, wiele ogromnych dzieł klęczący, nie tylko przeczytał, ale przemedytował. Zajęcie się ulubioną nauką matematyki, za rozproszenie ducha, za odrywanie od rzeczy Boskich, uważał. Wykład biblii podług Ojców Kościoła w 38^{ciu} tomach *Sylwestra de Sacy* ułożony; dwa razy, klęcząc przed krzyżem przeczytał. Toż inne dzieła téjże treści, klęczący. Mimo to, poważny starzec i asceta przy tablicy młodzieńczym oddychał zapalem, żywość energiczna towarzyszyła jego ruchom, głosowi, spojrzeniom. Bo jakże (podług słów jego) miało być inaczej, kiedy on był natenczas w żywiole swego umysłu. Lecz skoro mu w duszy reflexya błysnęła, zaraz ostygł, i niższym pustelnika tonem, dalej rzecz prowadził. Po wzięciu emerytury 1840 r. zaczął pisać kurs filozofii z nowych pomysłów wysnutej, który miał drukiem w łacińskim języku ogłosić, znacznie posunął tę pracę, i została w rękopiśmie. Nigdy prawie nie chorował, i w 67 roku życia, śpiewał jeszcze przy oltarzu tak mocno i czysto, jakby dopiero lat 30 liczył. Jako emeryt, był nauczycielem śpiewu kościelnego tak w seminaryum głównem, jak i akademii duchownej. Nie przyjął bogatych prebend ani biskupstwa, po cztery godzin modlił się klęcząc, po trzy dni nie brał posilku, nosił pas druciany. Wstawał o 4ej rano, godzinę na medytacyi we łzach przebywał, toż samo idąc spać między 11 a 12 w nocy. O 12 wychodził ze mszą, później trzy godzin klęczał w kościele lub u siebie, a na każdą posługę kapłańską był skory. Wprawił się tak, że o 8ej wieczorem tylko brał posiłek. Od lat 20 mięsa nie jadał dla poskromienia ciała ale zaproszony jadł wszystko. Pas druciany z kolcami na gołych biodrach nosił, który na półtora dnia przed śmiercią, dał zdjąć dopiero. Wszystko oddawał biednym. Pobożność jego była cicha; dla świata był człowiekiem zwyczajnym. Mieszkał to w akademii duchownej, to w seminaryum Świętego Krzyża. „Była to dla młodych lewitów, żyjąca księga kapłaństwa“ mówi jego bijograf Ks. L. Topolski. Był też kochany. Pierwszy raz zachorował cięż-

(1) Ks. Leon Topolski w rękp.

ko, i umarł po chrześcijańsku w dniu 14 Kwietnia, o godzinie 3ój rano, na ręku dwóch zacnych młodzieńców duchownych, opatrzony pomocą religii (1). Umarł ubogi, jak prawdziwy kapłan.

Stanisław Jachowicz w pismach swoich, piękny mu dał napis nagrobny: (2).

„Żył jak święty, dzielił się tём co nieba dały,
On poszedł po nagrodę, — wzory cnót zostały;
O! nie myślcie cnotliwi: że z ziemi znikniecie,
Zawsze wy nam jak słońca, przyświecać będziecie.“

„**FELIKS POTOCKI** potomek **Stefana Czarnieckiego**, Hetmana Polnego Koronnego, młodzian luby **Ignacemu Potockiemu**, Marszałkowi Wielkiemu Litewskiemu, stryjowi. Wychowaniec Generała Jasińskiego, poległego za Ojczyznę, żołnierz i obywatel poświęcający wszystko dla Ojczyzny; za jój wskrzeszeniem przez Wielkiego Napoleona, najprzód Członek Izby Administracyjnej Warszawskiej, potem pierwszy Pułkownik pułku piechoty (3) przewodniczył mu pod Grudziądz, Serock, w Hiszpanii. Drogi przyjacielom, szanowany od powszechności, zbyt wczesnie wśród sławy, zasług i nadziei zgasł 1811 r., życia 33.“

Feliks, syn Piotra Potockiego Starosty Szczerzeckiego, i Krystyny z Potockich (4), urodził się w roku 1779, w tój porze, która środkowała między pierwszym kraju podziałem, a następnymi jego dziejami. Był już naówczas w wieku, w którym pierwsze wrażenia potężnie piętnują się na umyśle, i zostają niezmasane na zawsze. Silne życie publiczne i gwar jego, odbijał się w dziecięcój myśli i sercu, które pragnąc wykształcić troskliwy ojciec, szukał przyjaciela za przewodnika synom swoim. I zjednał sobie potemu Jakóba Jasińskiego dopóty, dopóki nowe potrzeby kraju nie wezwwały go do czynnego udziału, jako pułkownika w tworzącym się na Litwie pułku inżynierów. Właśnie Feliks Potocki kończył rok 12 życia, gdy ojciec jego wysłany został do Stambułu, jako nadzwyczajny poseł do Porty. Towarzyszył mu więc wraz ze starszym bratem. Wojna nie dozwalała naówczas odbyć krótszój łodem podróży; obrano drogę przez Wenecyę. W Wroclawiu odwiedził i pożegnał matkę swoją, w niemocy i staraniu lekarzy będącą i już jój więcej nie ujrzał. „Poseł polski (słowa Lipińskiego J.), z całym i licznym poselstwa orszakiem wypłynął z Wenecyi, i wśród trzechdniowój nadzwyczajnej burzy, która wielką liczbę okrętów na morzu Adryjatyckim zniszczyła; wysiadł szczęśliwie w dawnym Peloponezie, w mieście Patras, z kąd przez Korynt, cieśninę Koryncką, przez szczątki Aten i Tebów, przybył do dawnój państwa wschodniego stolicy. Młody podróżny uczył się dziejów Grecyi, stąpając po ruinach miast jój, niegdyś sławnych!“ (5) Niedługo trwało Starosty Szczerzeckiego posel-

(1) X. Leon Topolski, manusk.

(2) Pisma różne wierszem, 1853 roku.

(3) Potocki nie 1-szym ale 4 tym pułkiem piechoty dowodził. Napis ten tym się da wytłómaczyć: że w tём wyrażeniu tę myśl tylko chciano oddać, iż Potocki był pierwszym, to jest jednym z najpierwszych mianowany w kraju Pułkownikiem, a pułk jego był w teje samej myśli pierwszym, co się w kraju utworzył.

(4) Była to córka Joachima Potockiego, Podczaszego Koronnego.

(5) „Wspomnienie o życiu Feliksa Potockiego, Pułkownika w wojsku polskiem, kawalera krzyża wojskowego.“ Mowa na posiedzeniu publicznem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dnia 2 Stycznia 1812 roku, miana przez Józefa Lipińskiego Członka tegoż Towarzystwa; w Warszawie 1812 roku, 12ka.

stwo, bo nie było już na karcie geograficznej kraju, od którego posłował. Upadek kraju i cierpienia stryja Ignacego Potockiego, którego czcił, wielbił i kochał jak ojca, głęboką i bolesną zadały mu ranę. Opuszczając Konstantynopol, gdy nie nie wzbudzało chęci powrotu do domowej zagrody; ojciec z synami, mając za cel ich korzyść i zwiedzenia krajów; wyjechał do Włoch. Jakichże nie doznał wzniosłych uczuć na widok starożytnego Rzymu: tu cały się oddał naukom; za ich pomocą, ruiny wspaniałego grodu, przemówiły doń z całą uludą przeszłych upłynionych wieków. W towarzystwie starszego brata wrócił do kraju, ale ten wkrótce w samym kwiecie wieku umarł. Po przyjsciu do pełnoletności, otrzymał od ojca macierzysty majątek, już o wiele uszczuplony tak długą nieobecnością w kraju, jak i wypadkami wojennymi. Pierwszą myśl zwrócił nie jak zwykle na powiększenie dochodów, lecz na polepszenie stanu włościan. Gdy się zajmował wprowadzeniem ład w opuszczone gospodarstwo; otrzymał wiadomość, że rząd pruski główną część majątku Ignacego, mając w zajętej części Polski, reskryptem gubernialnym zajął na skarb. Nie mogło znieść tej niesprawiedliwości serce młodzieńca kochającego stryja; za własnem idąc natchnieniem, udaje się do stolicy, do dworu, od którego ten wyszedł wyrok. „Towarzyszyłem mu w tej podróży“ (pisze J. Lipiński) i byłem świadkiem z jaką odwagą mówił nie oszczędzając prawdy tym, którzy jej słyszeć nie nawykli. Gorliwość i śmiałość z jaką popierał sprawy tak mocno dotykającej serce swoje, zadziwiała, a nawet zniewalała na jego stronę ludzi sprawiedliwych, gdyż cnota wszędzie winną część znajduje.“ Ale szlachetne usiłowania młodego obrońcy, spelzły na niczém. Z głębokim smutkiem powrócił, szukając ulgi w naukach i pracy. Będąc Członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, szczególniejsz poświęcający się ścisłym umiejętnościom, wszedł do Wydziału, którego przedmiotem były matematyczno-fizyczne nauki. Tu rozwinął myśl praktyczną, zebrania w jedną całość wszystkich dzieł, które w naszym posiadaliśmy języku, z poprawą usterków, przetłumaczenia wyborowych dzieł obcych, a w obszerniej rozprawie wskazał: iż „w dziele matematycznem, początkowej nauce młodzieży poświęconem, sposób rozbiorowy czyli analityczny, z zbiorowym czyli syntetycznym połączone być powinny.“ Wypadki wojenne, przeprowadzenie tych myśli wstrzymały; rozwinęło je później *Towarzystwo Elementarne*, ustanowione od Izby Edukacyjnej. Znaną już była wymowa Potockiego, w roku bowiem 1806 na posiedzeniu Towarzystwa oddawał cześć żalobną pamiętce przyjaciela M. hrabiego Potulickiego. Zajęty pracami naukowymi, zatęsznił za spokojem i szczęściem rodzinnego życia: pojął za małżonkę Zofiję Pacównę, którą znał od lat dziecinnych (1). Już był ojcem trojga dzieci, których wychowaniu oddał się cały; gdy potężna wola Napoleona, zmieniła stan kraju naszego. Potocki rzuca zacisze domowe, w całej pełni szczęście rodzinne, przybywa do Warszawy i wchodzi w skład pierwszej magistratury, jaką była wówczas Izba Administracyjna Warszawska. Potrzeba wskazywała nową siłę zbrojną: Henryk Dąbrowski mianuje Potockiego pułkownikiem 4-go pułku piechoty, łączyła ich znajomość we Włoszech, a następnie i przyjaźń. W ciągu trzech miesięcy powiódł Potocki pierw-

(1) Kazanie miane na pogrzebie JW. Feliksa Potockiego, Pułkownika w wojsku Księstwa Warszawskiego, kawalera krzyża wojkowego, przez Ks. Adama Prażmowskiego w kościele księży Kapucynów, dnia 2 Marca 1811 roku, w Warszawie, 12ka.

szy bataljon swego pułku nad Narew; przeznaczony do oblężenia Grudziąza, twierdzy na granicach Prus, dawniej Polski wzniesionej; dowodząc dwóm batalionom, był przykładem dla żołnierzy w ponoszeniu trudów, i miał pole okazania swych zdolności. Wieś Neudorff na pięćset kroków od szanieców twierdzy położona, w której nieprzyjaciel znajdował potrzebną żywność i schronienie w czasie wycieczek, stawała się największą przeszkodą do dalszych, w trudnym oblężeniu, postępów. Zdobycie jej powierzono Potockiemu; uderzył na czele swych bataljonów, i pomimo silnego oporu i pomocy z twierdzy, zdobył. Po ogłoszeniu rozejmu, który wstrzymał poddanie się blizkie twierdzy, wysłany od marszałka Wiktor z doniesieniem o szczegółach oblężenia, świadkiem był zawartego w Tylży pokoju, i pierwszy powziął o losie swego kraju wiadomość. Wrócił pełen otuchy i błogich nadziei, i zabrał się energicznie do postawienia swego pułku na stopie odpowiedniej potrzebom ówczesnym. Wtedy odebrał rozkaz ruszenia do Hiszpanii; przybywa do niej i pod *Almaraz* przebywa pierwszy z pułkiem swoim most na Tagu, pod gradem kul. Na wierzchołku gór śnieżnych pod *Villa Toro*, przez dwadzieścia jeden dni i nocy pomagał z pułkiem przenosić ze skały na skałę działa i wozy amunicyjne, przy braku żywności, przy ciągłych nieprzyjacielskich napadach, wśród męczących trudów, które resztę sił wziętych w młodym wojowniku strawiły. Po bitwie pod *Consuegra*, już choroba przemogła, za tęsknił za ojczyzną i wrócił do niej, szczęśliwy marząc jeszcze świetnej nadzieje.

W pośród grona rodziny, przyjaciół, otoczony czulęm staraniem przywiązanej małżonki, dnia 27 Lutego 1811 roku zmarł w zbył młodym wieku, bo w 33 roku życia.

„TU SPOCZYWA **JÓZEF MROZIŃSKI** JENERAŁ B. WOJSK POLSKICH, MĄŻ KRAJOWI I NAUKOM DOBRZE ZASEŁUŻONY. URODZONY W KONIUCHACH 19 MARCA 1784 R. ZMARE W WARSZAWIE 16 STYCZNIA 1839 R.

OSTATNI HOŁD PRZYJAZNI E. B. R.“

Urodzony w Galicyi Austryackiej, mając lat 25 wszedł do wojska polskiego w stopniu podporucznika jazdy, odbył kampaniję 1808 i 1809 r. w Hiszpanii, a 1812 i 1813 r. w Rosyji i Niemczech. W czasie nowiej organizacyi wojska polskiego, przeznaczony został w r. 1820 na szefa sztabu dywizyi piechoty w stopniu pułkownika. W r. 1829 awansował na generała brygady, przy pozostawieniu w obowiazkach sztabu téjże dywizyi. Otrzymał uwolnienie od służby wojskowej w 1831 r. Bezzenny umarł 16 Stycznia 1839 r. mając lat 55. Zebrał znakomity i kosztowny księgozbiór, zasobny w dzieła głównie poświęcone botanice, w polskim, francuzkim i niemieckim języku, téj bowiem nauce, ostatnie lata życia swego z całym zapalem oddawał. Po śmierci Mrozińskiego przybyła siostra jego, pomimo ofiarowanej sobie znakomitej summy, cały ten księgozbiór przeniosła do Lwowa. Pierwszą z prac literackich Mrozińskiego było: „Oblężenie i obrona Saragossy w latach 1808 i 1809 ze względem szczególniejszym na czynności korpusu polskiego.“ Obszerną tę rozprawę, przyniósł do ówczesnego redaktora Pamiętnika Warszawskiego F. Bentkowskiego w celu umieszczenia w tém piśmie. Bentkowskiego zajął sam przedmiot wielce, ale raził styl i nieumiejętność władania językiem ojczystym. Mroziński bo-

wiem w szkołach austryjackich pobierając nauki, nie uczył się wcale polskiego języka, wszedłszy zaś do wojska, i przebywając ciągle za granicą, nie miał sposobności do wprawy, używając ciągle francuzkiego języka. Radził mu więc Bentkowski, ażeby wziął się do nauki i poznania rodzinnego języka. Mroziński wtedy posłuchał dobrej i życzliwej rady, przewartował grammatykę Kopczyńskiego i inne, a będąc obeznanym z grammatyką francuzką, niemiecką i hiszpańską, zaczął swoje wyobrażenia grammatyczne porównywać, do ojczystego języka stosować, i kręślić *pierwsze zasady grammatyki języka polskiego*. Wtedy rękopism obłączenia i obrony Saragossy, co do stylu i języka poprawił, a Bentkowski wydrukował go cały w Tomie XIII 1819 roku Pamiętnika Warszawskiego (1). Praca ta Mrozińskiego wielki miała rozgłos, nie tylko że dotykała działań wielu żyjących jeszcze wówczas wojowników, ale z układu i treści nadzwyczaj zajmującej i wybornie oddanej. We trzy lata wydał: „*Pierwsze zasady języka polskiego. Warszawa 1822 r. 8^o*“. Dzieło to jako utwór znamienujący głębokiego myśliciela i badacza gruntownego ojczystego języka, zwróciło wszystkich uwagę, i postawiło Mrozińskiego jako pierwszego grammatyka polskiego. W wychodzącej na ówczas *Gazecie Literackiej*, wydrukował professor Adryan Krzyżanowski *wstęp* do recenzji zasad Mrozińskiego. Młody naówczas uczeń Uniwersytetu Warszawskiego, ale mający już doświadczenie nauczycielskie, professor Andrzej Kucharski, ocenił i *pierwsze zasady* i *wstęp* Krzyżanowskiego, i w dalszych numerach téjże Gazety wydrukował. Mroziński nie pokrył tego milczeniem i w roku 1824 wydał: „*Odpowiedź na umieszczoną w Gazecie Literackiej 1824 roku recenzję dziełka pod tytułem: pierwsze zasady grammatyki języka polskiego. Warszawa 1824 r.*“ (2). Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, najpiękniejszy hold złożyło Mrozińskiemu, zawezwawszy go do przewodniczenia w pracy, co do ustalenia pisowni. Tu Mroziński znakomite położył zasługi, których pomnikiem pozostało dzieło p. n. „*Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej. Warszawa 1830 r. 8^e*“. Z czasu, po wydaniu *pierwszych zasad*, dostał się do rąk naszych list Mrozińskiego datowany z Siedlec 15 Września 1823 r. gdy zbierała się armija polska na wielką rewiją pod Brześciem Litewskim. Podamy go tu w wyjątkach, jako ciekawy zabytek, a malujący nie mało pogląd na kraj własny naszego grammatyka. „A więc i ja (pierwszy raz w życiu mojem) maszeruję z wojskiem po żyznej ojczystej ziemi. Brnę w piasku znużony. Pocę się pomimo pięcio-stopniowego zimna, a ile razy chcę urwać listek z drzewa dla ochłodzenia spoconego czoła, natrafiam na hoinę, która kole i śmierdzi, ale nie chłodzi. W każdym kraju dla jadącego przez kilka dni, widoki się zmieniają, my zaś dotąd widzimy tylko sklepienie nieba odcerklowane na poziomie, widokiem bliżkiej lub dalszej hoiny. Po obozowych roratach i miejskiej processyi, maszerowaliśmy

(1) Szczegóły te mam z opowieści ś. p. Bentkowskiego.

(2) Professor Andrzej Kucharski, w udzielonej mi notatce o Mrozińskim, takie dał zdanie o jego gramatyce, które tu załączam: „Mroziński nie znał żadnego dyalektu słowiańskiego, nie znał starych pomników języka polskiego, nie znał nauki o dyalektach greckich, nie znał nawet starych ksiąg polskich z XVI wieku. Nie znał wzorowej gramatyki słowiańskiej X. Dobrowskiego Czecha, nie znał języka sankryckiego. Budował swe zasady na obcym gruncie, i przyjdzie czas, że zostaną zwalone przez tych, co będą lepiej niż Mroziński usposobieni, dla których powyższe znajomości języków, dyalektów i pomników, nie będą obce. Lecz i za to co Mroziński napisał, należy mu się wdzięczność.“ Nasi badacze ojczystego języka, niech ocenią prawdę tego zdania uczonego filologa.

dobrą drogą, zrobioną na wzór dróg francuzkich, ⁽¹⁾ do której teraz wypadaloby tylko jeszcze dorobić kraj na wzór francuzkiego. Wiesz że po drogach murowanych założono rogatki; w pierwszej takiej rogatce, niezastaliśmy strażnika, rogatka na klódkę zamknięta. Szukano jegomości i znaleziono go. Zapytany dla czego się oddalił: „wszak to nie dzień pocztowy; nikt tu nie pojedzie“ — odpowiedział. Jakoż trudno sobie wystawić jak nasze drogi są puste. Gdybyśmy nie byli znajdowali leżących po drodze pijanych chłopów, byłbym sądził, że Polska o dwie mil od Warszawy, już jest bezludną. Dzięki tym opilym, orjentowaliśmy się od karczmy do karczmy, aż nakoniec stanęliśmy w..... Gdyśmy zsiadli z koni, gospodarz domu przypatrywał się nam o 20 kroków, i uchylił kapelusza. Kucharz jenerała Potockiego oświadczył nam, że już był zaczął dla nas jeść gotować, lecz gospodyni kazała mu powiedzieć, że chce mieć panów u siebie na obiedzie, a nawet ubrała się w białą suknię. Służący zatem zjedli obiad dla nas przygotowany. Po tej wiadomości musieliśmy pójść do gospodarstwa na obiad. Sam jegomość kiedyś niegdyś chrapliwie się odzywał; u jejomości dwa podbródki, pyski ogromne, wąs kręcony. W Mińsku wszystko znaleźliśmy na inną stopie. Ton piękny, uprzejmość, gościnność. Zgola gdyby na każdej etapie można znaleźć dom Jezierskich, marsz w *Polsce* byłby bardzo przyjemny..... Otóż Siedlce. Nowo wystawione rogatki, kosztują 16,000 złp. a zatem dwa razy więcej jak miasto warte. Miejsce to polubiły muzy. W wilią naszego przyjazdu aktorowie teatru siedleckiego, grali arcykomiczną sztukę: „*Obiadek z Magdusią*“ w której młynarz śpiewał arya marszałka z opery *Jan z Paryża*. W Warszawie jest mnóstwo żydów, mają swe bóżnice; lecz to wszystko mniej razi oczy, mniej jest na widoku. W Siedlcach smutek mnie ogarnął, gdym ujrzął wybrany od Boga ten naród, zgromadzony około bóżnicy, aby chwalić prawdziwego Boga. Trudno jest w głębi Afryki coś tak nie europejskiego widzieć, jak nasi żydzi zakapturzeni w *szylle*, wrzeszczący i kiwający się na wszystkie strony. Ja nieznam widoku tak przerażającego w żadnym kraju. Wolalbym patrzeć na dzikich robiących ofiary bogom z swych dzieci, aniżeli na religijne obrzędy tych żydów, w których fanatyzm zabobonny, niechlujstwo i glupstwo są połączone. Napisz mi, jakie nadzieje teatru francuzkiego.“

„MIKOŁAJOWI MOROZ, B. KASSYEROWI JENERALNEMU DÓBR I LASÓW NARODOWYCH W KRÓL(ESTWIE) POL(SKIEM); CÓRKĄ I WNUCZKĄ KŁADĄ TEN POMNIK, I PROSZĄ ZA DUSZĘ JEGO O WESTCHNIENIE. PRZEŻYWSZY LAT 90, ZSZEDŁ Z TEGO ŚWIATA W DNIU 17 CZERWCA 1846 ROKU.“

Mikołaj Moroz urodził się 1756 roku. Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, pomocnikiem będąc przy kassie funduszów Kommissyi Edukacyjnej, służył sumiennie i gorliwie do ostatnich czasów rozbioru. Ta czynna pomoc Moroza, zacność duszy, bezinteresowność, były tak ważną pomocą Karolowi Lelewelowi, któremu powierzono zarząd funduszami edukacyjnymi, że ten mógł podjąć się obowiązków kommissarza cywilno-wojskowego. Moroz następnie użyty

(¹) Mowa tu o pierwszej bitej drodze z Warszawy do Siedlec.

był przez rząd pruski do pokończenia przedmiotów przez niego traktowanych, Po czém oddalił się i zamieszkał w Galicyi przy bracie swoim proboszczu w *Okrzci*, zkąd oddawał się wielu posługom obywatelskim, posiadając zupełne zaufanie tych co go zbliska znali. Zawsze bezinteresowny, prawy a gotowy służyć krajowi, gdy w roku 1809 Galicya przybyła do Księstwa Warszawskiego, Moroz powołany został do służby publicznej, i odtąd w Magistraturze Dóbr i Lasów Narodowych pełnił obowiązki kassyera, z tą sumiennością i godnością, jakie znamionują prawego urzędnika, a które szacunek przelożonych i względy rządu jednały mu. Pod koniec życia, spracowane siły w długoletniej służbie publicznej i prawdziwa zasługa, zjednały mu sprawiedliwie emeryturę. Umarł w sędziwej starości, słuszenie wielbiony od wszystkich co go znali i jakiegokolwiek czynności z nim mieli, wielbiąc zacność i prawość tak w domowém życiu, jak i w publicznym zawodzie.

„FRANCISZEK SERAFIN ARMIŃSKI, DOKTOR FILOZOFII, DYREKTOR OBSERWATORYUM ASTRONOMICZNEGO WARSZAWSKIEGO, B. PROFESSOR ASTRONOMII W B. UNIWERSYTECIE ALEKSANDROWSKIM; KAWALER ORDERU ŚŚ^o STANISŁAWA. URODZONY D. 2 PAŹDZIERNIKA 1789 R. UMARŁ D. 14 STYCZNIA 1848 R.“

Armiński urodził się w parafii *Tymbark*, w górach Karpackich. Straciwszy w niemowlęctwie rodziców, najpierwsze początki wychowania odebrał w domu swego wuja. „Czując niejako instynktowo“ (pisze jego bijograf Józef Belza) potrzebę oświaty, która opuszczonej sierocie miała kiedyś zapewnić znakomite miejsce w szacunku społecznym, i będąc jeszcze dzieckiem udał się do Krakowa gdzie wśród najdziwaczniejszych, nawet trudnych do uwierzenia kolei losu, ukończył szkoły normalne (a dalej mogąc już znaleźć utrzymanie z ciężkiego grosza uzbieranego daniem lekcji prywatnych) i gimnazyalne, oraz pierwszo-letnie kursa filozofii i matematyki. Niewidząc możliwości wykształcenia się dalszego w Krakowie, zostającym na ówczas pod rządem austriackim, udał się następnie Armiński do Warszawy za czasów Księstwa Warszawskiego, gdzie pozostając w domu kasztelana Aleksandra Linowskiego, kształcił się w różnych częściach matematyki, w czém znalazł pomoc tak w ówczasowej szkole inżynieryi, jako téż i w prywatnie branych lekcjach od ś. p. Liveta ówczesnego profesora szkoły aplikacyjnej ⁽¹⁾. Poznawszy tak pracowitym sposobem, szerokie pole zakreślone przez naukę, skoro tylko uzbierane z dalszego dawania lekcji fundusze na to mu pozwoliły, udał się przy końcu roku 1811, własnym kosztem za granicę, gdzie postanowił za główny przedmiot obrać sobie astronomiją. Sława imion naukowych europejskich, zwabiła wówczas młodzież poświęcającą się umiejętnościom, do Paryża; tam téż to w roku 1812 przebywszy Niemcy, przybył i Armiński. Wśród wszelkiego rodzaju ułatwień stolicy Francyi, prędko rozpoznał on, że chcąc przeniknąć najgłębsze tajniki Uranii, potrzeba rozległego zapasu rozmaitych wiadomości, a w szczególności wszystkich części matematyki; z usilnością przeto wiek młody znamionującą, z uszczerbkiem nawet swego zdrowia, zaczął pracować w naukach stycznych przygotowawczych, aby

(1) Biblijoteka Warszawska, Tom II, z roku 1848.

później korzystnie mógł zgłębić przedmiot główny. Wszystkie jednak powyższe usiłowania, możeby nie wydały spodziewanego plonu, gdyby nie pełna ludzkości pomoc naukowa przez uczonych francuzkich podana młodzieńcowi, którego jedynym prawem do tego, była wytrwałość i praca. Często słyszeć można było wymawiane przez Armińskiego ze czcią, obok imienia Maliszewskiego znakomitego wówczas jego opiekuna, imiona *Delambra* i *Arago*, którzy to ostatni, z rzadką uprzejmością prowadzili jego kroki, po początkowo śliskich ścieżkach głębokiej umiejętności. Tę to ich ludzkości, winien swe prędkie wykształcenie się Armiński. Oznajomiony z zapasem pomocniczych nauk, oddał się wyłącznie astronomii tak teoretycznej jak praktycznej, mając dozwolony i ułatwiony przystęp do wielkiego obserwatorium Paryzkiego, i na tego rodzaju zatrudnieniach, pod okiem znakomych mężów, zeszedł mu czas od roku 1812 do połowy 1815 r. Teraz już zbliżała się chwila, w której Armiński zbierać miał owoce z mozolnej swojej pracy. Uczeni astronomowie francuzcy, a później już jego przyjaciele, chcieli przyswoić czynności jego narodowi, u którego pobral wykształcenie, i w tym celu wyrobili mu miejsce dyrektora obserwatorium astronomicznego na wyspie francuzkiej, (Isle de France). Zaiście, pochlebne to było wezwanie, dające mu pierwszeństwo wśród tylu młodych zdolności ówczesowej Francji; jakoż przyjął je, i przed udaniem się na nowe przeznaczenie, przez parę miesięcy pobierał już placę ze skarbu francuzkiego. W tym to czasie, rząd baczną zwrócił uwagę na publiczne oświecenie, a znakomite znaczeniem i światłem osoby wpływające na to postanowienie, namówiły Armińskiego, do zrzeczenia się w kraju obcym zaszczytnej posady w teraźniejszości i świetnych na przyszłość widoków. Jedna z nich z własnych funduszów udzieliła mu zasiłku pieniężnego, dla nieprzerywania prac naukowych, a wkrótce potem, ówczesowa *Dyrekcya Edukacyi Publicznej*, w dniu 2 Września 1814 r., przesławszy mu złp. 3,000 na pozostanie jeszcze przez rok w Paryżu, i zapewniwszy stosowne miejsce za powrotem do kraju, stanowczo go powróciła ziemi rodzinną, nie bez wewnętrznego z tej okoliczności najmocniejszego jego zadowolenia. Opuściwszy Francją i zwiedziwszy tak angielskie jako też i obserwatoria południowej Europy, w roku 1815 wrócił Armiński do Polski. Gdy zaś wtedy jeszcze nie było miejsca odpowiedniego jego usposobieniu, ówczesowy *Wydział Oświecenia Narodowego*, przeznaczył go tymczasowo do dawania matematyki tak w wyższych klassach byłego Liceum Warszawskiego, jako też w Kolegium księży Pijarów. Po ukończonym zaś roku szkolnym, Kommissya Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, oddała mu w mającym się urządzać wydziale filozoficznym Uniwersytetu, katedrę astronomii, oraz wezwwała go, aby obok istniejącego wydziału prawa i administracyi, natychmiast rozpoczął wykład matematyki dla kandydatów, których taż władza zamierzyła dla dalszego kształcenia się naukowego wysłać za granicę. Tu pierwsza nadarzyła mu się sposobność okazania gorliwości; skwapliwie chwytła ją Armiński, podwaja bezpłatnie liczbę godzin na jego wykład przeznaczonych, i tym sposobem ukończył z uczniami cały bieg najważniejszych części matematyki, którzy wtedy po zdaniu w obec władz rządowych zaszczytne egzaminu i następnie dopełnieniu swego wykształcenia, z chlubą piastowali lub jeszcze piastują, ważne obowiązki służby publicznej. Nauki matematyczne w Wydziale filozoficznym urządzającego się wówczas Uniwersytetu Warszawskie-

go, liczyły wtedy tylko dwóch profesorów, to jest: X. Dąbrowskiego Pijara, i Armińskiego; pierwszy oprócz swych obowiązków w szkołach Wojewódzkich, wykładał algebrę wyższą i niższą, geometryą analityczną i początki rachunku różniczkowego; drugi zaś prócz astronomii w 6-ciu godzinach tygodniowo, z własnej gorliwości w drugich 6-ciu godzinach nauczał wyższego rachunku analitycznego, jako to: różniczkowego (differencyalnego), całkowego (integralnego), różnic (calcul aux differences), nadróżniczkowego, czyli waryacyjnego, z zastosowaniem tychże do mechaniki niebieskiej, a oprócz tego i trygonometrii kulistej. Tymto jedynie sposobem, tą szlachetną gorliwością, początkowy brak profesorów wznoszącego się zakładu, mógł być zastąpiony, i kształcącej się młodzieży podana sposobność, ogarnięcia całego ogromu nauki, dla prędkiego usposobienia jej późniejszego zaradzenia temu niedostatkowi. Przysługa nie mała, skoro zważymy, że pierwsze kroki w głębokich umiejętnościach, bez zręcznych i biegłych przewodników, prawie postawić się nie dadzą. Począwszy od roku 1817 do 1830, nauczał Armiński jako profesor Uniwersytetu, trygonometrii kulistej i astronomii w całej obszerności. Wiadomo, iż obeznawszy się z astronomią teoryczną i znacznym szeregiem stycznych z nią nauk, jeszcze nie można się uważać za astronoma. Astronomija jako jedna z nauk przyrodzenia, opiera się na doświadczeniu, i drogą jedynie doświadczenia, sprawdzić można głębokie wypadki rachunku; z drugiej zaś strony, przez pracowite badania, przychodzi się do rozszerzenia jej wzniosłej dziedziny. Przejęty tą prawdą Armiński, czując cały zaszczyt wykładania tej umiejętności, i rząd chcąc swym uczniom najjaśniej okazać wielkie prawa budowy wszechświata, nie tylko że pierwszy podał rządowi myśl założenia obserwatorium astronomicznego w Warszawie, ale i gorliwie starać się zaczął o jej urzeczywistnienie. Po mozolnych trudach w celu powyższym przedsięwziętych, w których zapał młodzieńczy dla dobra nauki, naraził go nieraz na nieprzewidzianą przykrość; niczém nie zrażony, doczekał się nareszcie tej pociechy, iż oceniono jak należało, jego zachody, wyznaczono fundusz na wybudowanie gmachu obserwatorium i na zakupienie narzędzi astronomicznych odpowiednich postępowi nauki. Wygotowanie zaś pierwotnego planu budowli, jako téż i nabycie potrzebnych narzędzi, poruczono Armińskiemu, który nieopuszczając swych profesorskich obowiązków, sam z niezmierną stratą czasu, zajmował się tak dozorem wznoszącej się budowli, jako téż i jej wewnętrzném urządzeniem, ażeby celowi swemu odpowiedziała. Jaka to jest praca, ile wymaga mozolu, i że tak powiemy poświęcenia, ci tylko dostatecznie ocenić mogą, którzy choć na małą stopę urządzali jaki zakład naukowy. Jakoż sam Armiński w czasie przeznaczonym do spoczynku profesorów, musiał kilkakrotnie wyjeżdżać, już to po marmury pod narzędzia astronomiczne, już to dla zdjęcia planów innych obserwatoriów, już téż nareszcie po sprowadzenie zamówionych przez niego w Monachium narzędzi. Nadmienić tu wypada, że powyższe zlecenia dopełnił z gorliwością i bez żadnego wynagrodzenia. Wszystkie powyższe prace, jakkolwiek znacznego mozolu wymagające, były tylko przedwstępniemi, do wielkiej oczekującej go przy ustawieniu i uregulowaniu narzędzi astronomicznych. Rzecz ta ręką znawcy tylko dokonaną być może, inaczej narzędzia popsute zostaną, lub téż cel właściwy stosownego ich ustawienia, nie będzie osiągnięty. Wreszcie, inna jest rzecz złożyć narzędzie naukowe małego wymiaru, a inna wielkie astronomiczne, do którego

niekiedy oświetlenia, potrzeba często przebić masę utrzymującego je słupa marmurowego, a jedno przy tém uchybienie, psuje i cały ogromny kamień stale osadzony, i zupełnego przeroznięcia wszystkiego, stać się może powodem; zład też za granicą przy urządzeniu obserwatoryów astronomicznych, mechanicy astronomiczne narzędzia robiący, za bardzo znaczném wynagrodzeniem, do powyższej czynności są używani. W braku u nas tego rodzaju ludzi, sam Armiński dobrowolnie pracę tę wykonał. Są jeszcze między nami, którzy widzieli w urządzającym się obserwatoryum, jak Armiński przed ustawianiem narzędzi, przy przygotowaniu pod nie marmurów, z ujmą zdrowia, po całych dniach pracował jak prosty rzemieślnik, aż wreszcie po długim mozole, doczekał się tej pociechy, że instytut jego staraniem wzniesiony, ujrzał się w roku 1825 już na takim stopniu, iż czynności naukowe w nim rozpoczęte być mogły. I tego także dokonał Armiński bez innego wynagrodzenia, nad najmiłsze, że zostawia po sobie pomnik, który w późne czasy z dziękczynnóm wspomnieniem, przekaże następcom imię jego założyciela.“

(¹) W latach następnych jeszcze ta praca nad urządzeniem narzędzi astronomicznych i meteorologicznych, nie ustala; połączona z postrzeżeniami astronomicznymi. W roku 1829 wszystkie narzędzia zostały ustawione i uregulowane, postrzeżenia astronomiczne jako pewne zapisywane, i obserwatoryum stanęło na stopie równającej się z pierwszymi tego rodzaju zakładami w Europie. Nie tu koniec zacnych prac Armińskiego: wezwany przez ówczasowego ministra skarbu, w czasie feryi uniwersytetu, w roku 1828 i 1829 oznaczył położenie jeograficzne niektórych miejsc Województwa Sandomierskiego w dobrach górniczych, a mianowicie najwyższego w Polsce, czyli góry zwanój *Łysicą*; i w *Pamiętniku Sandomierskim* (²) cel swojej pracy i jej wypadki obszernie opisał. Urządził obserwatoryum astronomiczne w konwiktzie księży Pijarów na Żoliborzu. Uniwersytet Warszawski zaszczycił go stopniem *Doktora filozofii*; po roku 1830 pełnił Armiński obowiązki dyrektora obserwatoryum aż do śmierci. Wiele prac pozostawił w rękopiśmie: najglówniejsze, postrzeżenia astronomiczne z całą ścisłością naukową wykonane. Połączony węzłem małżeńskim z Katarzyną z Hollych, po krótkim pożyciu utracił ją dnia 7 Maja 1824 roku. Śmierć jej w młodym wieku, bo rok 24 życia licząc, głębokim smutkiem Armińskiego dotknęła, bo stracił tę, co była oddana cała przywiązaniu do niego i umilaniu każdej chwili życia. Czuł głęboko osamotnienie domowe, w którém oddawał się z całym zapałem szlachetnej pracy. „Armiński, (pisze jego następca Jan Baranowski, dyrektor Obserwatoryum Astronomicznego w Warszawie, w udzielonej mi notatce) był charakteru otwartego i szczerego; bez względu na stopień, znaczenie lub majątek, każdemu z przyzwoitością prawdę mówiący. Odnaczał go rozsądek trafny, i sąd praktyczny. Nie raz przyjaciel, znajomi i sąsiedzi, w różnych okolicznościach zasięgali jego zdania i rady, bądź to w interessach familijnych, bądź w gospodarskich a nawet prawnych; zawsze jego zdanie zdawało się im najtrafniejsze. On, który całe swoje wykształcenie i utrwalenie charakteru był winien sobie samemu; a przechodząc różne koleje życia drogą bardzo trudną i mozolną, tyle nabył doświadczenia potrzebnego, iż umiał potem zdro-

(¹) Biblijoteka Warszawska, Tom II, z roku 1848.

(²) Warszawa, Tom II, 1830 r.

we rady dawać innym, w różnych zdarzeniach. W pożyciu towarzyskiem, umiał się zastosować do każdego stanu i położenia ludzi, dla tego od wszystkich którzy go bliżej poznali, jedną sobie przychylność i przyjaźń. Nie lubił przesady i zewnętrznej okazałości, i zawsze u niego było to w mowie i czynie, co i w sercu. Lubo z natury był żywego temperamentu, który niekiedy przechodził w uniesienie, zwłaszcza na widok krzywdy i niesprawiedliwości wyrządzonej biednemu, wszelako w pożyciu domowém, był umiarkowanym, cierpliwym i wyrozumiałym. Gdy znajdował się w towarzystwie ludzi niższej klasy, nigdy nie dał im poznać swęj wyższości, ale owszem stósował się do ich pojęcia i położenia, dla tego miał u nich wielki szacunek i poważanie. Bardzo lubił życie czynne i praktyczne, nie mógł patrzeć obojętnie na pracujących, gdy ci nieumiejętnie lub niestosownie odbywali robotę; wtedy sam się brał do dzieła i pokazywał jak najwłaściwiej postępować należało, tak zaś dobrze znał się na szczegółach wielu robót mechanicznych, iż nie jeden brał go za człowieka należącego do tego fachu. W przedsięwzięciach i zamiarach swoich był stały, i trudnościami nie dający się zrazić, a co raz przedsięwziął i trafnie obmyślał, to zawsze do pomyślnego skutku doprowadził. W poznawaniu charakteru ludzi, miał szczególną łatwość i trafność, dosyć było żeby człowieka raz widział i z nim mówił, a już pojął jego charakter i przymioty umysłu i serca. W towarzystwie zwykle był wesoły i ożywiający swoim trafném opowiadaniem różnych zdarzeń, do czego miał na pogotowiu w pamięci mnóstwo anegdot stosownych do okoliczności i przedmiotu rozmowy, i tych używał jako przykład i objaśnienie opowiadanych zdarzeń. W życiu był skromny i wstrzemięźliwy, nieraz za domem, po całych dniach mógł się obejść bez brania pokarmu; w domu był gościnnie i wylany z staropolską szczerością. W stosunkach przyjaźni z ludźmi ograniczał się na malęj liczbie bliskich i dawnych przyjaciół. Rzadko się zdarza widzieć człowieka z podobnie wydatnym i otwartym charakterem jak Armiński, patrząc się na niego i słysząc jego mowę, można było poznać, iż to człowiek zrodzony pod inném niebem, to jest w okolicach górzystych, gdzie niebo piękne, natura prosta, powietrze czyste i gdzie człowiek spokojnie oddychać może.“

„Na wieczną pamiętkę ceniom enotliwego i prawego męża, czulego ojca licznej rodziny, **IGNACEGO PLICHTY**, Sędziego Najwyższej Instancyi K(rolestwa) P(olskiego), Kawalera Orderu S⁵⁰ Stanisława klasy II^{ej}. Zszedł z tego świata dnia 21 Stycznia 1838 roku, w 77 wieku życia z chlubą i przykładem przepędzonego; nieukozone w żalu po tak wielkiej stracie wdzięczne dzieci, ten kamień położyły i o pobożne westchnienie do Boga, za jego duszę proszą.“

W ziemi cmentarnej spoczywa syn jego:

Feliks Plichta, zmarł w dniu 11 Listopada 1823 roku, mając lat 21.

Plichta Ignacy urodził się w roku 1761, we wsi *Czerwononowie*, w ziemi Sochaczewskiej, dziedzicznej rodziców jego. Nauki pobierał w konwiktce księży Pijarów w Łowiczu. Po ukończeniu szkół, w których gruntownie wyuczył się łaciny, wszedł do *Palestry* w Sochaczewie,

był susceptantem (czyli rejentem) aktów grodzkich ziemi Sochaczewskiej, a w lat kilka został burgrabią, (to jest komornikiem) sądowym téjże ziemi. Jako palestrant był plenipotentem moźnych obywateli, i ztąd częste odbywał podróże na Wołyń, Podole i Ukrainę; a były to rzeczywiście dla Plichty *podróże*, bo mu więcej czasu zabierały, i większych wymagały zasobów, jak dziś do Paryża lub Londynu. Otarcie się z ludźmi wyższego świata i bystre pojęcie, wysoko go wykształciły; ztąd na sejmikach w Sochaczewie rój wodził, bo go drobna szlachta kochała, a zamożni obywatele poważali pomimo młodego wieku; przytém umiał sobie jednać miłość, charakterem wesolym i miłym. W roku 1789 ożenił się z Anną Świętoslawską, i osiadł na gospodarstwie w bliskości wojewody Gadomskiego, którego był plenipotentem. Jak nie był chciwym i interessownym, dowodzą tego dwa zdarzenia: Wojewoda Gadomski umierając w 1797 r. w dobrach swoich pod Gdańskiem, wezwał Plichtę do napisania testamentu, który mu sam z łóżka dyktował. W nim przeznaczył dla każdego jego dziecka po tysiącu talarów, dzieci było czworo; Plichta ceniąc dobre imię i opinią rodziny testatora, aby kto nie pomyślał że to sam wpisał, nie położył wcale tych zapisów w testamencie, i grosza nie zażądał za swoją podróż i trudy. Młody Dembowski umierając, którego Plichta z ojcowską czułością najwięcej w chorobie dozorował, chciał zapisać część znaczną swego majątku dla jego dzieci; Plichta wybił mu to z myśli i daru nie przyjął. Chodząc po wielkich i korzystnych dzierżawach, przy domu gościnnym i otwartym, mając liczną rodzinę, majątku nie zebrał; tyle tylko oszczędził, że w roku 1804 kupił wieś *Kuchary*, w powiecie Łęczyckim. W roku 1806, zaraz po wejściu wojsk francuzkich, nowo utworzony *Sąd Ziemiański* w Łowiczu, powołał Plichtę na sędziego. W roku 1808, wezwany na sędziego Sądu Appellacyjnego w Warszawie, przez lat 2 był prezesem Trybunału handlowego, następnie wezwanym został na członka Kommissyi do umorzenia długu krajowego ustanowionęj. Od roku 1816, mianowany sędzią Najwyższej Instancyi, na téj posadzie umarł w sędziwym wieku.

Plichta, wyniosłą postacią i strojem polskim, którego od młodych lat do zgonu, nigdy nie zrzucił, przedstawiał i przypominał nam szanowne praojców plemię. Topolowym wzrostem, kontuszem i żupanem, a litym pasem i rogatywką, zawsze barwy żupana, malowniczo odbijał wpośród z cudzoziemczalych w ubiorze, mieszkańców Warszawy.

„LUDWICE z MILEWSKICH CZEKIERSKIEJ, dnia 27 Października 1805 r. zaślubionęj, dnia 27 Stycznia 1812 roku, w 27 roku życia zmarłęj. Mąż osierocony na pamiątkę żalu, przywiązania i szacunku, ten wystawił pomnik.“

„Najlepsza żono! twoje drogie zwłoki,
Zawczasie pod tym spoczywają głazem;
Nie chciały tego zawistne wyroki,
Abym żył z tobą, lub umierał razem.
Gdyby zgon spóźnić mogły powszechnie życzenia.
Za lat sto, jeszczeby tego nie było kamienia.“

Te sześć wierszy, napisał Marcin Molski. Jest to pierwsza żona Józefa Czekierskiego, sła-

wnego doktora medycyny, chirurgii i akuszeryi, lekarza Dworu J. C. K. Mści, który używając najrozleglejszej praktyki nie tylko w Warszawie, ale w całym kraju, jako założyciel Instytutu aku-
szeryi w roku 1804, Szkoły lekarskiej w r. 1808 i Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego; w roku 1821, Członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk; wielu pracami literackie-
mi w swoim zawodzie, piękne imię zostawił. Zmarł w Maryenbad, gdzie szukał ratunku dla
zdrowia, dnia 20 Lipca 1827 roku, mając lat 50 wieku. Rodacy wystawili mu w Maryenba-
dzie pomnik ze stosownym w łacińskim języku napisem. Mowa na uczczenie jego pamięci
przez Wilhelma Malcza doktora, który towarzyszył mu w podróży i do ostatniej chwili czuwał
nad Czekierskim, ogłoszona jest w tomie 21, Roczników Towarzystwa Warszawskiego Przy-
jaciół Nauk.

DOMINIK LISIECKI.

(Spoczywa w Katakumbach obok Chopena, bez żadnego napisu).

Urodził się dnia 6 Stycznia 1801 r. na Podlasiu, umarł dnia 15 Kwietnia 1846 r. w War-
szawie, przeżywszy lat 45. W domu rodziców, a później w Liceach Sejneńskim i Warszaw-
skich pierwiastkowe ukształcenie przyjąwszy, w roku 1818 przeszedł na Uniwersytet Warszaw-
ski. Pozyskawszy w tej głównej szkole stopień magistra prawa i administracyi, w roku 1812
rozpoczął zawód służby publicznej. Przez lat 13 był urzędnikiem w Kommissyi Rządowej Przy-
chodów i Skarbu; dosłużył się stopnia naczelnika Wydziału w Dyrekcyi Jeneralnej Kontrolli, i na
tej posadzie lat kilka zostawał. Wykładał chwilowo kurs nauk administracyjnych w byłej *Szko-
le Leśnej*, odznaczając się wszędzie znakomitą zdolnością, pracą, gorliwością, nieskazitelnym
charakterem i znajomością przepisów służby krajowej (1). W roku 1833 osiadł na wsi w ma-
jątności własnej i oddał się zawodowi rolniczemu, jakkolwiek nieodpowiedniemu sobie. Zaufa-
nie współobywateli, powoływało go przez lat 14 do urzędów w głównych władzach Towarzy-
stwa Kredytowego Ziemińskiego, to jest w Dyrekcyi i Komitecie. Jako pisarz, nie obojętne sta-
nowisko zajmuje Lisiecki w okresie literatury naszej od roku 1819 do 1825. W owym to cza-
sie, gdy porzucano już wzory literatury starożytnej, francuzka była dla naszej jedynym źródłem,
w którym czerpano niemal wyłącznie. Był to okres przejścia, który się skończył między 1820
a 1825 rokiem. Najpotężniejsze talenta, ludzie z rzeczywistym uczuciem poezyi, ulegli tak prze-
ważnemu wpływowi, zanim literatura po długim błakaniu, potrafiła stanąć na drodze właściwie
narodowej, i rozwijać się samodzielnie. Wszyscy ci przecie pracownicy na umysłowej niwie,
których imiona już w naszej pamięci przebrzmiały, jakkolwiek same pozostawili przekłady z li-
teratury francuzkiej, nie są bez zasług, bo w okresie swoim, budzili szlachetną stronę uczuć
naszych, i byli niejako pomostem, co ułatwił przejście geniuszowi narodu na dzisiejsze stano-
wisko. Do rzędu owych pisarzy, liczy się i Dominik Lisiecki. Od roku 1819 do 1821, należał
do wydawania perjodycznych pism wraz z głównym ich redaktorem, Brunonem hrabią Kicińskim:

(1) Fr. S. Dmóchowski. Biblijoteka Warszawska, Tom 2, 1847 r.

„Tygodnika Polskiego i Wandy.“ Z przekładów wymieniemy: „*Nieszpory Sycylijskie*“ tragedję Kazimierza Delavigne (1). *Dumania Poety*“ Alfonsa de Lamartine. Wolny przekład, Warszawa, 8^{vo} str. 108. Jak cenil pracę swoją Lisiecki i jak pojmował przekłady, najlepiej objaśni czytelnika ten ustęp z przedmowy. „Wszelkie tłumaczenie poezji, mnogie i nie małe do zwyciężenia przedstawia trudności. Mowa polska zwrócona do kreślenia obrazów towarzystwa lub namiętności, zdolną jest pod ręką biegłego tłómacza poddać się uciążliwym wierności prawidłom: lecz na jój niwie w rodzaju filozoficznej poezji, obcej prawie dotychczas literaturze naszój, rzadko kiedy znaleźć się przydarza kwiaty, równe pięknoscią tym, których obcemu zazdrościmy językowi. Właśnie w przekładaniu niniejszego dzieła, styl autora najtrudniejszym do naśladowania znalazłem, przy każdej prawie myśli musiałem walczyć z nieodstępnyim względem na właściwość i naturę ojczystej mowy, oraz z miernego dostatku przyjętych już wyrazów, wydobywać nowe okresy i odcienia. Jeżeli przeto zasłużę na zarzut, że nie wszędzie dokładnie i zrówną mocą oddałem myśli francuzkiego poety, ten przynajmniej, pochlebiam sobie, jest dla języka z pracy mojej użytek, żem mu pewną, aczkolwiek szczupłą ilość, nowych obrazów i wyrażen przyswoił.“

Na scenę Warszawską dał tłómaczenie komedyi Delavigne: „*Szkola Starców*“ i z francuzkiego przelożoną komedyę: „*Niestaty*.“ Tłómaczył na współkę z Fr. S Dmóchowskim komedyę Moliera we dwóch aktach wierszem p. n. „*Kto kocha ten się kłóci*.“ (Warszawa 1820 r.). W rękopismach zostawił przekład trajedyi Woltera: „*Śmierć Cezara*“ (granój na teatrze Wileńskim w 1812 r.), i „*Polieukta*“ trajedyi Kornela. Oprócz tego był tłómaczem i naśladowcą kilku pomniejszych sztuk teatralnych, zalecających się dowcipem i lekkimi śpiewkami. W przekładach swoich odznaczał się Lisiecki pięknym, czystym językiem ojczystym i harmonijnym, a pełnym wdzięku wierszem.

„D O M.

X. MICHAŁ WIERZBOWSKI, KANO(NIK) METRO(POLITALNY) WARSZAWSKI.

1782 † 1848.“

Ksiądz Michał Wierzbowski, urodził się dnia 29 Września 1782 roku we wsi Wierzbowie powiecie Łomżyńskim, w której ojciec jego miał część swoją. Ukończywszy szkoły Wojewódzkie w Łomży z chlubnym patentem, obrał sobie zawód duchowny i w tym celu słuchał nauk teologicznych w seminarjum Świętego Krzyża w Warszawie, w oddziale externów. W dniu 21 Maja 1806 roku, wyświęconym został na kapłana i z otrzymanym stopniem doktora teologii do roku 1809 był wikaryuszem przy kościele parafijalnym w *Powsinie*. Następnie do roku 1814, był kustoszem wikaryuszów kollegiaty w Pultusku, a zarazem professorem teologii dogmatycznej i wymowy kaznodziejskiej. Od roku 1812 do 1837 był plebanem w Makowie; jednocze-

(1) „*Nieszpory Sycylijskie*“ trajedyja w 5-ciu aktach P. Delavigne, przekład D. Lisieckiego wydawcy Tygodnika Polskiego i Wandy, w Warszawie 1820 r. 8-vo. W przemowie swój mówi Lisiecki. „Śmiałą i długą zaiste przedsięwzięciem walkę, przystępując do przelania na mowę polską niniejszej trajedyi. Za pracę w tak trudnym podjętą zawodzie, dość wynagrodzonym zostaną, jeżeli głos światłej publiczności przyzna mi bezstronnie, że nie zawsze w tej walce upadłem.“

ście zaś dziekanem Dekanatu Pultuskiego lat pięć; kanonikiem i kaznodzieją katedry Płockiej; referendarzem sekcji duchownej w Kommissji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, lat cztery; professorem i kaznodzieją w byłym Uniwersytecie Warszawskim lat pięć, a w Liceum Warszawskim lat trzy. W roku 1824 zostawszy kanonikiem Metropolitalnym Warszawskim, był nim aż do zgonu, to jest do dnia 26 Sierpnia 1848 r., piastując zarazem urzęda duchowne: prezesa sądu apostolskiego i seniora kapituły Metropolitalnej Warszawskiej. Liczył wieku lat 66, a kaznodziejstwa przeszło lat 42. Zamilowany w pracy, wykształcony naukowo, czas wolny od właściwych zatrudnień, poświęcał dla dobra ogółu, już to jako deputowany na sejm w roku 1820, już jako pisarz przedmiotów religijnych. Z prac literackich znamy ogłoszone drukiem: 1, *Kazanie* z powodu przeniesienia kości Władysława, Hermana i Bolesława Krzywoustego królów polskich pochowanych w kościele katedralnym Płockim, i położenia pomnika tymże królom przez A. M. Prażmowskiego, biskupa Dyecezyi Płockiej senatora królestwa etc. W Płocku dnia 12 Września 1825 r., w Warszawie 1825 r. 8^{vo}. 2, *Kazanie* przy wprowadzeniu do kościoła Metropolitalnego i spuszczeniu tamże do grobu, śmiertelnych zwłok ś. p. Wojciecha Skarszewskiego arcybiskupa Warszawskiego, prymasa królestwa etc. dnia 15 Czerwca 1827 roku. Warszawa 1827 r., 8^{vo}. 3, *O wpływie Religii* na edukacyą i na moralność: rzecz czytana na publicznem posiedzeniu Królewskiego Uniwersytetu, dnia 14 Lipca 1827 r. Warszawa, in 4^{to}. 4, *Mowa Pogrzebowa* w czasie nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. Tomasza Skarzyńskiego, dziedzica dóbr Popowskich, niegdyś posła powiatów: Ostrołęckiego i Pultuskiego, w kościele Popowskim odprawionego dnia 2 Maja 1836 r. Warszawa, in 8^{vo}. Prócz tych prac wiele rozpraw pomniejszych ś. p. Wierzbowskiego, znajdzie czytelnik w *Pamiętniku Religijno-Moralnym*.

„B. N. N.

MACIEJOWI SZCZEPAŃSKIEMU, Obywatelowi M(iasta) S(tołecznego) W(arszawy),
przykładnemu w religii, czułemu małżonkowi w roku życia 79 d. 30 Sierpnia 1825 zmarłemu,
wdzięczna żona pomnik ten położyła.“

Był to jeden z najpierwszych księgarzy Warszawskich. Księgarnię swoją miał we własnym domu № 12 przy ulicy Ś^śo Jana. Nosił się zawsze po polsku, i w tym stroju, w sędziwej starości zmarły, pochowanym został. Po nim odziedziczył tak dom jako i księgarnię Marcin Manicki.

„D O M.

X. ANTONI KOTOWSKI, h(erbu) Trzaska, Nom(inat) Biskup Suf(ragan) Łowicki, Dziekan i Prezes Kap(ituły) Metro(politalnej) War(szawskiej), Prez(es) Sądu Apost(olskiego), Dokt(or) Ś(więtej) Teo(logii) i Pra(wa), Czło(nek) Rady Głównej Opiek(uńczej) Zakła(dów) Dobro(czynnych), Akad(emii) Ducho(wnej) Rzym(sko) Kato(lickiej) i Warsza(wskiego) Towa(rzystwa) Dobro(czynności), Proboszcz po-

przednio w Piasecznie, a następnie Panny Maryi w Warsza(wie), ozdo(biony) Ord(erem) Ś(więtego) Sta-
(nysława) kla(ssy) I^{ej}. Żył lat 62, um(arł) dnia 24 Czerwca 1845 r., prosi o westchnienie do Boga.“

Urodził się na 1784 roku na Starym Mazowszu w parafii Kamieńczykowski, z Tomasza i Katarzyny z Dziewanowskich Kotowskiej. Chudoba rodziców nie dozwoliła myśleć o wykształceniu naukowym syna: zajął się tym wuj jego oficjał i proboszcz w Brańsku Dziewanowski, który go oddał do szkół księży Pijarów w Drohiczyne. Skończywszy je jako wzorowy i celujący uczeń, idąc za namową swego dobroczyńcy, przywdział suknię duchowną w kolegium księży Pijarów w Łowiczu, i został tu nauczycielem. Wypadki w kraju w roku 1807 pociągnęły młodzieńca do zmiany stanu. Przybywa do Warszawy, staje przed ks. Onufrym Kopczyńskim, i wyznaje że opuścił kolegium i szkołę aby zrzucić suknię zakonną, a przywdziać mundur żołnierza. Kopczyński zmierzył surowym wzrokiem młodego przybysza i odszedł do swojej sypialni: Kotowski pomieszany stał ze spuszczonei oczyma, pewny surowej nagany, lub co gorszego nawet... gdy sędziwy kapłan wychodzi z workiem pieniędzy obejmującym 1,000 złp., a doręczając zdziwionemu: „Idź! rzekł wzruszony, gdy masz powołanie! ja ci na drogę błogosławie.“ Upadł rozrzewniony i łzami zalany młodzieniec na kolana, i z krzyżykiem na drogę, ruszył ochotczo w świat nowy dla siebie, w gwar obozowego życia. Odbyta jedna kampania, doznane trudy, rozczerowały z złudzeń młodzieńczych Kotowskiego, wdrożonego już w życie ciche, naukowo-zakonne. Dosłużywszy się stopnia oficerskiego, wziął dymisyę z wojska i wrócił do Warszawy, gdzie przy pomocy drugiego wuja prałata Królikiewicza, umieszczonym został jako kleryk w Seminarjum Ś^o Jana. Tu ukończywszy bieg nauk duchownych w 1809 r. wyświęcony na kapłana, został professorem kleryków w témże Seminarjum. Obowiązki te pracowite przez lat 13 wypełniał. Powołany na sekretarza Kapituły Warszawskiej, i na *Mansionarza* kościoła Ś^o Jana zasłynął z wymowy kaznodziejskiej. Wkrótce otrzymał probostwo w Piasecznie. Po urządzeniu Archidiecezyi Warszawskiej, arcybiskup Małczewski powołał Kotowskiego na surrogata sędziego Konsystorza Archidiecezyi. Arcybiskup Skarszewski, wyniósł go na godność kanonika Metropolitalnego i powierzył mu ambonę w kościele Ś^o Jana. Następnie przeniesiony na probostwo Panny Maryi w Warszawie: po śmierci arcybiskupa Choromańskiego, otrzymał nominacyą na biskupa-sufragana Łowickiego, i w téj godności życie zakończył.

„**JANOWI BERNARDOWI MILE**, Medycyny i Chirurgii Doktorowi, Towarzystwa Warszawskiego Lekarskiego Prezesowi, w byłym Król(ewsko) Aleksand(ryjskim) Uniwersytecie Professorowi i Dziekanowi. Cnotliwemu i prawemu mężowi w 50 roku życia, dnia 14 Czerwca 1839 roku zgasłemu. Nieutulona w żalu żona.“

Jan Mile urodził się w Warszawie dnia 7 Lipca 1789 roku, z ojca Józefa a matki Barbary z Tyców, córki zamieszkałego w témże mieście piekarza; i był jedyném ich dzieckiem. Ojciec jego był nadwornym króla Stanisława Augusta, fabrykantem nitkowego złota i srebra. Rodzice

stanu miejskiego, religii rzymsko-katolickiej, i w niej syna wychowali. W dzieciennych latach utracił ojca w roku 1796, matka we dwa lata w powtórne weszła związek małżeński z Ignacym Bobe kotlarzem. Oddany na pensję prywatną, przeszedł w ostatku do pensji Konstantego Wolskiego, w której zostawał aż do wcielenia jej do otwartego w roku 1805 Liceum Warszawskiego. Rodzice nieufając tej szkole przez rząd pruski zaprowadzonej, odebrali młodego Jana, i przeznaczyli do rzemiosła, zostawiwszy mu wolny wybór. Mile obrał sobie zegarmistrzostwo, czując pociąg do mechaniki. W nowym swoim zawodzie, nie przestał oddawać się naukom, a głównie *naukom przyrodnym*, które w szkołach zaniedbywano. W roku 1806 utracił matkę, został mu ojczym, w którym znalazł troskliwego opiekuna. Gdy w roku 1809 otworzono szkołę lekarską w Warszawie, mając znajomych i przyjaciół między uczniami, uczęszczał przez ciekawość na *anatomiją i fizyologiją*. Teraz rozwinął mu się świat nowy, w trupie ujrzał najsubtelniejszy mechanizm. Z pilnością i zapałem zaczął uczęszczać na prelekcje ulubionych przedmiotów. Professorowie oceniając zdolności Milego, radzili mu, ażeby się wyłącznie oddał sztuce lekarskiej; w roku 1810 zapisał się więc na ten wydział. Odbył kurs czteroletni pod professorami: Zabellewiczem, Hoffmanem Celińskim, Brandtem, Dziarkowskim, Freyerem, Czekińskim i Wolfem. W Kwietniu 1814 roku zdał egzamen i uzyskał patent z postępowaniem *celującym* na stopień doktora medycyny i chirurgii, i magistra akuszeryi, następnie pozyskał od *Rady Lekarskiej* pozwolenie do wolnej praktyki w ówczesowem Księstwie Warszawskiem, i zarazem świadectwo zdolności, na urząd *Fizyka*. Dla wyższego ukształcenia, przedsięwziął podróż naukową. W Maju 1814 r. udał się do Berlina; z początkiem roku 1815, przez Hamburg do Londynu. Z powodu wojny nie mogąc się udać do Francji, przybył do Holandji, ztąd pieszo odbył podróż przez Kassel, Getyngę, Halle, Lipsk, Frejberg, Drezno, Toeplitz, Pragę, Karlsbad, Eger do Wiednia, badając wszędzie to najświeższe wynalazki w mechanice jak w Anglii, to Uniwersytety, wody mineralne i górnictwo, jak w Niemczech. Zimą całą z 1815 na 1816 rok, przepędził w Wiedniu, gdzie go najwięcej zajęły: okulistyka, chirurgija i akuszerya, w ogromnym tamecznym szpitalu. Z wiosną 1816 roku udał się przez Monachium, Baaden, Strasburg do Paryża, gdzie wyłącznie oddał się naukom przyrodnym. W jesieni tegoż roku zwiedził Szwajcaryą, Medyolan, Florencyą, Rzym i Neapol, gdzie go Wezuwiusz zwabił. Z początkiem roku 1817, wrócił do kraju przez Wenecyą, Tryest i Wiedeń do Warszawy i rozpoczął praktykę lekarską. W sierpniu tegoż roku wszedł w związek małżeński z Barbarą Michniewską, córką kupca Warszawskiego. Z rozpoczynającym się kursem nauk nowo utworzonego Warszawskiego Uniwersytetu, we Wrześniu 1817 roku, otrzymał od Kommissyi Rządowej Oświecenia Publicznego, wezwanie i patent do pełnienia obowiązków profesora tymczasowego, w pomoc do wykładu fizjologii, z pensją 3,000 złp. rocznie. Z nowym rokiem szkolnym 1818 r., objął sam katedrę fizjologii i miał powiększoną pensję do 5,000 złp. W tymże czasie przyjął obowiązki wykładania nauki akuszeryi dla kobiet, w pomoc profesorowi *Walburgowi*. W roku 1820, mianowanym został Mile stałym profesorem z pensją 6,000 złp. Oddawszy się wyłącznie zawodowi nauczycielskiemu, zarzucił praktykę lekarską; a pracami naukowemi, zyskał rozgłosne imię. W roku 1820, wezwany na Członka Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego,

w roku 1822 na Członka Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Oddzielne go dzieła nie wydał, ogłaszał tylko rozprawy w współczesnych pismach, pełne nowych postrzeżeń i niepośledniej nauki. Wyliczym tu szczegółowo te prace Milego: 1, Uwagi, z powodu kobiety ślepej, czytającej palcami. (Pamiętnik Warszawski, 1818 roku). 2, Myśl nowej budowy Formo i Hygrometrów. (Pamiętnik Warszawski, 1821 r.). 3, List Milego do Skrodzkiego o pozornej wielkości przedmiotów, wynikającej z łamania się światła w atmosferze. (Pamiętnik Warszawski, 1821 r.). 4, O achromatyzmie oka ludzkiego. (Posiedzenie publiczne Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, dnia 31 Lipca 1821 r.). 5, O nowym sposobie zniesienia w soczewkach wad łamalności i kulistości. (Posiedzenie Uniwersytetu Warszawskiego, d. 3 Października 1822 r.). 6, Opisanie maszyny pneumatycznej bez klap, kurków, czopków i stępla. (Rocznik Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Tom XIII 1823 r.). 7, Opisanie nowego aparatu do wydania wielkiego stopnia ciepła. (Rocznik Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Tom XVI 1823 roku). 8, Odpowiedź na uwagi i zarzuty przeciwko rozprawie: „O pozornej wielkości przedmiotów etc.“ (pod № 3 tu wspomnioną, Pamiętnik Warszawski, tom 5^{ty}, 1823 roku). 9, Projekt nowej maszyny obrotowej. (w Warszawie 1828 roku oddzielnie drukowany w 8^{ce}). 10, W Pamiętniku Lekarskim wydawanym przez Doktora Malczaka: a) Opisanie nowych narzędzi do odjęcia szyi macicznej zrakowaciałej; b) Opisanie pęknięcia pochwy macicznej w czasie porodu, i wystąpienia dziecka w jamę brzuszną; c) Opisanie dwóch nowych *skaryfikatorów fistułowych*. 11, W Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. (Tom 2 str. 543, 1839 r.) „Zarzuty przeciw mniemaniu, jakoby końce środkowe pierwotnych nerwów, swojem względem położeniem, dawały czucie względne położenia końców obwodowych tychże nerwów.“ (1) W dniu 17 Czerwca 1839 roku złożono zwłoki Milego na cmentarzu Powązkowskim. Znany z nauki doktor Janikowski, w mowie swój na tym cmentarzu mianą, oddał hołd zasłużony pamięci uczonego męża; jego słowami zamknijemy nasze wspomnienie: „Od chwili powrotu do kraju Milego, rozpoczyna się najważniejsza epoka życia jego. Rząd i uczone zgromadzenia, oceniając zdolności i naukę jego, coraz nowszymi szczytali go dostojęstwami, Mile zaś w każdym razie, godnie odpowiadał położonemu w nim zaufaniu. Jako professor fizjologii i akuszeryi, jako Członek Towarzystwa do układania ksiąg elementarnych, jako professor *Radny*, Członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Członek Rady Szkoły Politechnicznej, Dziekan Wydziału Lekarskiego w b. Uniwersytecie Warszawskim, Członek Rady Lekarskiej; nareszcie Prezes Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, był zawsze wzorem naśladowania najgodniejszym. Obok zatrudnień urzędowych, zajmował się z początku i praktyką lekarską, lecz to zanadto go odrywało od ulubionych jego prac literackich, zaniechał ją więc później, aby się tym korzystniej i z większą swobodą oddać naukowym rozmyśleniom, które go też wkrótce postawiły, w rzędzie najuczestniejszych naturalistów i fizjologów w Polsce, a nawet i do postronnych krajów sławę jego przeniosły. Pomysły jego, niemal wszystkie, wysoko ce-

(1) Ta rozprawa była ostatnią pracą Dra Mile. Jest ona niejako dalszym ciągiem rozprawy napisanej przez niego w języku niemieckim, p. n. „Ueber die Richtungslinien des Sehens.“ a pomieszczonej w *Annalen der Physik und Chemie von Toggendorf*, 1837 r. Nr. 9.

nione równie przez rodaków, jako i przez uczonych zagranicznych, opierały się po większej części na spostrzeżeniach i doświadczeniach z wielką sztuką i talentem kierowanych, a ostatecznie doprowadzały do użytecznych bardzo, w zastosowaniu praktycznym, wniosków. W pismach swoich częścią w polskim, a częścią w niemieckim języku wypracowanych, odznaczał się Mile gruntownością myśli, porządkiem wyobrażeń i prostotą wystowienia, właściwą dziełom geniuszu. Umiał uczynić przystępną dla wielu nie jedną prawdę, do zgłębienia której, uczeni pierwszego rzędu potrzebują pomocy, najgłębszego rachunku matematycznego. Nie wszystkie te prace naukowe jego, drukiem są ogłoszone. Wiele z nich pozostało w rękopismach, a pomiędzy temi oprócz wykładanego przezeń w b. Uniwersytecie Warszawskim kursu fizjologii, na szczególniejszą wzmiankę zasługuje dzieło, w którym zamierzył sobie wyłożyć mechanizm zmysłów i wrażeń przez mózg odbieranych. Wynalezione i opisane przez Milego różne narzędzia, aparata i maszyny, ważne są pod względem naukowym, częścią przemysłowym, a do obrócenia wielu z nich na użytek powszechny, braknie tylko przedsiębiorczej ręki i potrzebnych nakładów. Odznaczeniu się takiemu w zawodzie naukowym, odpowiadały téż i przymioty serca. Skromność, łagodność, uprzejmość i szlachetna otwartość, powszechny mu jednały szacunek. Mąż prawy w całym tego wyrazu znaczeniu, nie miał on nieprzyjaciół; a życzliwymi byli mu wszyscy, co go tylko znali. Zgłębianie natury i rozmyślanie nad użytecznymi wynalazkami, zajmowały prawie wszystkie chwile życia Milego, małą tylko część ich przepędzał w towarzystwie niektórych swych przyjaciół. Nauka którą pielęgnował, mająca dla umysłu zdolnego ją pojmować, niewysłowny powab, za nadto go może odrywała od troskliwości o siebie samego. Skutki tego dały mu się téż uczuć w ostatnich kilku latach. Bolesne i niebezpieczne choroby, wywarły pokilkakroć nader szkodliwy wpływ na siły jego; a ostatnia była tak mocną, iż jęj wszelkie usiłowania sztuki lekarskiej, pokonać nie zdołały. Przerwała ona pasmo dni Milego, w najczynniejszym prawie biegu jego życia, z którego, równie nauki, jak i społeczeństwo, nie jedną jeszcze korzyść byłyby odniosły.“ (1).

CZEMPIŃSKA PROWIDENCYA z FONTANNYCH.

(Na korytarzu Katakumb, na ścianie napis literami złotonemi na płycie czarnej marmurowej).

„WDZIĘCZNE DZIECI, CNOTLIWÉJ MATCE, PROWIDENCYI z FONTANNYCH CZEMPIŃSKIEJ, ZESZŁÉJ DNIA 19 CZERWCA 1816 ROKU. TĘ CZCI, ŻALU I SMUTKU, NIEZATARTYCH W ICH SERCACH, POŁOŻYLI PAMIĄTKĘ.“

Jest to rodzona babka po matce, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, która wiele jęj poświęciła wspomnień. W piętnastym roku życia, oddała rękę Janowi Czempińskiemu, sławnemu lekarzowi w Warszawie, który był już po dwóch żonach wdowcem i 50 lat liczył. Młoda, nadzwyczaj piękna, żywa, krotofilna i wesola, ucieszyła się niezmiernie, gdy się od swęj matki dowiedziała, że domowy doktor stary Czempiński, stara się o jęj rękę, i że ślub będzie za sześć

(1) Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, 1839 r. Tom II.

tygodni. „Ślub i całe wesele, (mówiła nieraz swoim wnukom) odprawilo się bardzo suto i przyzwoicie, i ja nic miny nie straciłam; dopiero gdy wieczorem matka mnie odwiozła do pana młodego, a wymówiwszy te słowa: „oto nie tylko twój mąż, ale pan i ojciec, słuchać go i szanować powinnaś!“ sama odeszła, struchlałam. Powiększył się jeszcze strach mój, kiedy dziadwasz otworzył do biurka z poważną miną, a zamiast darów których oczekiwałam, wyjął pęk ogromny kluczy i gandziarę: — „Trzeba imości o tém wiedzieć — powiedział, — żeś została w dniu dzisiejszym gospodynią i matką, masz ich znaki, — pierwszych strzeż pilnie, drugie używaj na Pawelka, (pasierba) jeżeliby cię dla twojej młodości szanować nie chciał.“ — „Ochłonęłam na te ostatnie słowa, obaczywszy że gandziara nie na mnie, i śmiało powiedziéć mogę, że wtenczas dopiero kiedy umarł mąż mój, żalowałam pierwszy raz, iż tak znaczna różnica wieku była między nami.“ Z ośmnaściorga z tego małżeństwa dzieci, dziesięcioro wychowała zdrowo. Była to niewiasta prawdziwie pobożna, wierna, posłuszna małżonka, domu pilnująca, chociaż piękna, młoda i bogata, najtkliwsza matka, gościnną, przyjacielską, uczynną, zapomniała zupełnie o sobie dla drugich, i największém było jój szczęściem uczynić komu co dobrego.

Wnuka, Klementyna Tańska, tak opisuje swoje odwiedziny grobu swojej babki. „25 Sierpnia 1820 roku, wybrałam się do Powązek pieszo o 5^{ej} zrana sama ze służącą. Trudno opisać uczuć jakie we mnie widok cmentarza wzbudził. Pierwszy raz przechadzałam się po tém państwie śmierci tak szczupłém, a tyle rozmaitych poddanych liczącém. Nie mogę powiedziéć, żeby moje wrażenia bardzo smutne były, owszem niejaką rozkosz w nich znalazłam. Ten koniec wszystkich rzeczy ludzkich, to ostatnie znikomego ciała mieszkanie, ten zbiór kości, które kiedyś ożyją, wspomnienie na los dusz tylu ludzi, myśl o utraconych osobach, spojrzenie na własną przeszłość; umysł mój dziwnemi i rozlicznemi wyobrażeniami napelnily. Jeżeli kilka łez w tém miejscu wylałam, nie podało mi je żadne osobiste uczucie, ja dla siebie saméj wcale się nie lękam śmierci, są chwile w których z radością o niéj wspominam, ale pamięć na osoby drogie sercu memu, lice moje zrosiła. Myślałam o tych, które już straciłam, myślałam więcéj o żyjących. A pomodliwszy się za duszę babki, i za wszystkich których ciała na tym cmentarzu spoczywają, zapłakana, tę prośbę wymówiłam: „O Boże! dui moje są w ręku Twoim, nie proszę o ich przedłużenie, ufam łasce i obietnicom Twoim, że choć ciało moje spróchnieje, dla mnie nowe się życie, nowe szczęście otworzy; ale błagam Cię, przedłuż życie osób drogich sercu memu, niech mnie wszystkie przeżyją.“ Zdaje mi się, że Bóg mile tę modlitwę przyjął, że jój wysłuchał: uczulałam to po słodkiém zaspokojeniu, jakiego wymówiwszy ją, doznałam. Od dawna mam myśl, że długo żyć nie będę. Jednak przyznaję, że nie mam ochoty na Powązkowskim leżyc cmentarzu, mało tam uszanowania dla umarłych mają, szczątki ludzkie się tam poniewierają, może to jest słabością, alebym sobie życzyła, żeby prochy moje spokojnie w jedném miejscu, sądu się ostatecznego doczekały.“

Ostatnią myśl zmienilaby zapewne nasza czcigodna autorka, gdyby mogła widziéć dziś od lat kilku troskliwe urządzenie, ład i porządek Powązkowskiego cmentarza.

„**KICIŃSKI PIUS ROGALA**, URODZIŁ SIĘ W SŁAWKOWIE, DNIA 5 MAJA 1752 ROKU,
UMARŁ DNIA 23 KWIETNIA 1828 ROKU, MAJĄC LAT 77.“ (1)

Syn Michała i Franciszki z Rylskich Kicińskich, po otrzymaniu starannego wychowania domowego i naukowego, poświęciwszy się służbie publicznej, wszedł do gabinetu króla Stanisława Augusta, gdzie pod naczelnictwem pisarzy koronnych Ogrodzkiego i Cieciszowskiego, dosłużył się stopnia sekretarza królewskiego, a następnie szefa gabinetu króla Stanisława. Dwakroć był posłem na sejm z ziemi Czerskiej i Liwskiej, a w roku 1782 był razem posłem i sekretarzem sejmu. W roku 1786 otrzymał wielką wstęgę orderu Śś^o Stanisława, a w czasie czteroletniego sejmu kasztelanją Połaniecką. Był pierwszym z posłów, co się przyłożyli do zniesienia *Liberum veto*. W roku 1794 schronił się Kiciński do Galicyi. Cesarz Austriacki Franciszek w części Polski przypadłej z podziału, znosząc tytuły wojewodów, kasztelanów i innych urzędników koronnych, pozwolił dawnym polskim urzędnikom téż tytuły posiadającym, po wywiedzeniu się z ośmiu herbów szlacheckich, starać się o tytuł hrabiego, który takim osobom bezpłatnie był udzielany. Korzystał z téj łaski Kiciński i w roku 1804, otrzymał tytuł hrabiego. W roku 1817 przedstawiony wyborem senatu, przywrócony został na stopień senatora kasztelana Królestwa Polskiego, a zarazem pełniąc obowiązki sędziego najwyższego, w sędziwym wieku zakończył życie. Pozostawił wielkie zbiory notat, pamiętników i papierów, gromadzonych przez cały ciąg życia, które stanowić będą ogromny zasób materyałów dla dziejów narodu, wiele ważnych i zajmujących. Żył w ścisłych stosunkach przyjaźni z biskupem Albertrandym, który z podróży naukowej do Szwecyi pisywał do niego listy, ogłoszone przez nas w *Archivum Domowém*. Syn jego, znany pisarz i redaktor pism wielu Bruno Kiciński (2) w wydanych swoich poezjach, podał nam życiorys ojca, i wizerunek jego dołączył wraz z niektórymi utworami pióra: znajdzie je czytelnik na czele pomienionego dzieła. My tu stosowny do treści naszej pracy przywiedziem wiersz Piusa Kicińskiego:

„Myśl na cmentarzu.“

Pod tym glazem
Pan spi razem
I poddany:
Bo już w grobie
Równe sobie,
Wszystkie stany!
Więc przechodniu!
Myśląc o dniu
Zgonu twego;

Wynijdź z błędu,
I bez względu,
Znaj bliźniego!
Nędznych wspieraj,
Łzy ocieraj
Wszystkich braci:
Gdy się z niemi,
Złożą w ziemi,
Bog odplaci!

(1) Kamień z napisem powyższym w Katakumbach już nie istnieje.

(2) Bruno Kiciński, znany tłumacz *Przemian Owidjusza*, ma grobowiec w majątku swoim na Mazowszu we wsi Ojrzeniu, z następnym napisem: „Grób familijny Hrabów Kicińskich. Tu spoczywają zwłoki ś. p. Hr. Kicińskiego, słynnego literata, dziedzica dóbr Ojrzeń z przyległościami, zmarłego w dniu 23 Marca 1844 r., w wieku lat 48; syna ś. p. Piusa Hr. Kicińskiego, Senatorsa Kasztelana, oraz córki Haliny lat 29 żyjącej, zgasłej dnia 19 Lipca 1853 r. Wieczny pokój ich duszom.“

STANISŁAW TRĘBICKI.

„STROSKANI RODZICE, ŻONA I DZIECI, NAJLEPSZEMU SYNOWI, MĘŻOWI I OJCU S(TANISŁAWOWI) T(RĘBICKIEMU) G(ENERAŁOWI) B(RYGADY) DNIA 29 LISTOPADA 1830 ROKU.“

„Obok ojca złożono zwłoki córki **Józefy**, urodzonej dnia 19 Sierpnia 1827 r. zmarłej d. 16 Kwietnia 1832 r.“

Urodził się dnia 5 Kwietnia 1792 r., w Warszawie. Wszedł w służbę jako kadet dnia 20 Grudnia 1806 r., do pułku 2 piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego. Mianowany Podporucznikiem dnia 8 Stycznia 1807 r., postąpił na Porucznika dnia 10 Maja 1807 r., z przeznaczeniem na Adjutanta polowego, przy Jenerale brygady Kamienieckim. Postąpił na Kapitana dnia 31 Grudnia t. r. Dnia 18 Października 1809 r., przeniesiony w tymże stopniu do pułku 2 piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego; dnia 13 Lipca 1812 mianowany majorem w pułku 18 piechoty; dnia 28 Stycznia 1813 roku przeznaczony w tymże stopniu do 2 pułku piechoty. Po utworzeniu wojsk Królestwa Polskiego, dnia 25 Marca 1815 umieszczony jako major w batalionie wzorowym grenadjerów, wyniesionym następnie na pułk grenadjerów gwardyi b. wojska Królestwa Polskiego: dnia 20 Czerwca t. r. postąpił na podpułkownika z przeznaczeniem na adjutanta polowego przy boku wodza naczelnego. Dnia 16 Października 1816 r., postąpił na pułkownika, a 8 Czerwca 1828 na jenerała brygady, zawsze z przeznaczeniem do sztabu wodza naczelnego.

Odbył kampanię w latach 1806, 1807, 1812 i 1813. Znajdował się w bitwach pod *Serockiem*, *Raszynem*, *Górami*, *Sandomierzem* i *Wrzawami* (1809 r.) pod *Mohilewem*, i w odwrocie wojsk francuzkich i polskich z Wilna do Warszawy (1812), pod *Kaliszem*, *Rejchenbach*, pod *Wittenbergiem*, *Dannowitz*; przy wzięciu szturmem miasta *Koswig*, i mostów w *Roslau*, nakoniec w bitwie pod *Lipskiem* (1813 r.) W bitwie pod *Raszynem* dostał kontuzję w piersi od granata, a pod *Lipskiem* ranny w bok i nogę, i wzięty do niewoli. Dnia 4 Stycznia 1810 r., ozdobiony krzyżem kawalerskim orderu wojskowego polskiego. Dnia 12 Października 1813, mianowany kawalerem Legii honorowej. Dnia 3 Grudnia 1815 ozdobiony orderem ś. Anny 2 klasy z brylantami. Dnia 24 Października 1819, orderem ś. Włodzimierza 3 klasy. Dnia 24 Czerwca 1825, orderem ś. Stanisława 2 klasy, a 6 Czerwca 1829, orderem ś. Stanisława 1 klasy. W roku 1830 znakiem honorowym za lat XX służby oficerskiej. Poległ zabity w Warszawie dnia 29 Listopada 1830 roku.

X. WINCENTY SKRZETUSKI.

(Spoczywa bez nagrobkowego kamienia).

X. Wincenty Skrzetuski urodził się 1745 r. w dawnym Województwie Krakowskim. Umarł dnia 2 Grudnia 1791 r. Przed ukończeniem szkół, wszedł do zgromadzenia X. X. Pijarów, gdzie dalsze wykształcenie naukowe odebrał. Znakomite zdolności i niepospolity dar udzielania nauk, nie uszły uwagi przełożonych: poruczono mu zatem wykład literatury łacińskiej i ojczystej

w najwyższych klassach, naprzód w kollegijum Rzeszowskim, a następnie w Warszawskiem. Z całą gorliwością i zapalem oddał się swemu zawodowi Skrzetuski, i wkrótce dawszy się poznać zaszczytnie ogłoszonymi pracami, otrzymał od Stanisława Augusta wielki medal złoty z napisem: „*Bene merentibus.*“ W zgromadzeniu swoim po kilkakroć wzywany był do sprawowania obowiązków prefekta, w najcelniejszym kollegijum warszawskiem. Szeroko słynęła sława Skrzetuskiego nie tylko jako uczonego męża, ale zarazem jako pełnego znajomości świata, szlachetności i prawości charakteru. Tym powszechnym odgłosem ujęty synowiec królewski Stanisław Książę Poniatowski, powiernikiem go rad, przedsięwzięć i czynów swoich uczynił, i w nagrodę usług jego, posażnym beneficjum Grodzieńskiem opatrzył. Niedługo wszakże z niego korzystał, bo w samój czerstwości wieku zmarł, mając lat 46 życia. Z prac naukowych, poświęconych jedynie kształceniu młodzieży, zostawił: 1. *Mowy polityczne 1772.* 2. *Historja Grecka do użytku szkół*, przez ówczesną Kommissją Edukacyjną dla klasy V przepisana. 3. *Historja Królestwa Szwedzkiego.* 4. Pracował nad dalszym ciągiem dzieła: „*Traktaty między mocarstwami Europejskiemi od r. 1648 począwszy.* Najważniejszém zaś dziełem Skrzetuskiego jest: 5. *Prawo Polityczne Narodu Polskiego* 2 tomy. F. Bentkowski pisząc życiorys Skrzetuskiego, i rozbierając krytycznie prace jego ⁽¹⁾ takie wyraża o tém dziele zdanie: „Chcąc z prawdziwym pożytkiem wykladać młodzi dzieje ojczyste, postanowił obzwać ją z prawem publicznym krajowém. Nadto, chciał on podać obywatelom myślącym w rękę dzieło, któreby oswajając z wiadomościami najpotrzebniejszymi dla mieszkańca powoływane do sprawowania urzędów publicznych, nasuwało uwagi, i naprowadzało na myśli polepszenia stanu krajowego. Różnić się więc musiało pismo Skrzetuskiego od innych tego rodzaju, nietylko względem na odmiany istotne, jakie za panowania Stanisława Augusta (między innemi zaprowadzeniem *Rady nieustającej*) pozachodziły, ale i całym duchem i sposobem wykładu. Główny zaś zamiar autora, przebiega się w zainteresowaniu swych czytelników przedmiotem i obudzeniu w nich rozważli. Unikał więc suchoty i zimoty, tudzież owego natasowania odsyłaczów do źródeł lub dzieł innych, jak to spostrzegamy w Lengnichu, który dla uczonych z professyi tak wielkie ma zalety, bo to nie należało do planu Skrzetuskiego, i owszem było mu przeciwném: ale natomiast pomieścił wiele wiadomości historycznych, statystycznych i uwag tyczących się administracyi krajowej. Jak zaś trafne i jak wiele znaczące w owym czasie, kiedy Skrzetuski pisał, znajdujemy uwagi jego np. pod rozdziałami o *Starostwach i Królewszczyznach, o Skarbie Rptej, o Stanie miejskim, o stanie wiejskim, o handlu i rękodzielnictwach krajowych!* Były to światelka delikatnym rozniecane sposobem, które rozszerzały widnokrąg obywateli, i na własną ich równie jak kraju całego korzyść zwracały uwagę, a które nieco później w pismach autora: *Uwag nad życiem Jana Zamojskiego* w gorejącym płomieniu wystawione zostały publiczności. Jeżeli w kraju polskim między 1780 a 1790 rokiem zdrowsze upowszechniło się zapatrywanie na gospodarstwo krajowe, i gruntowniejsze zdania o całej administracyi tak publicznej jak prywatnej, Skrzetuskiego pismom w części zbawienny ten skutek przypisać należy. Szanujmy pamięć za-

(1) Posiedzenie Publiczne Królewskiego Uniwersytetu, na uczczenie pamiętki uczonych mężów, a mianowicie Polaków; dnia 14 Lipca 1827 r., 410.

cnego męża, który niewytrzyma może ścisłego porównania z Konarskim, mianowicie co do tęgości charakteru, ale we względzie zasług w narodzie, śmiało obok niego stawionym być może.“

„MICHAŁOWI KAZIMIERZOWI Kniaziowi z Kozielska OGIŃSKIEMU,

HETMANOWI W. W. X. LIT. KTÓRY ZA OJCZYZNĘ WALCZYŁ, WIELE ZA NIĄ UCIERPIAŁ, A ZAWSZE JĘJ WIERNIE SŁUŻYŁ;
PAMIĄTKĘ USZANOWANIA, ŻALU I WDZIĘCZNOŚCI, SĘDZY DLA PANA POŁOŻYLI. ŻYŁ LAT 72, UMARŁ 1800 R.“

Michał Kazimierz Ogiński syn Józefa wojewody Trockiego z Wiśniowieckiej, był hetmanem wielkim W. X. Litewskiego, a Pińskim, Słonimskim, Mereckim, Tucholskim i t. d. starostą. Miał za żonę Aleksandrę księżniczkę Czartoryską wdowę po Sapieżu podkanclerzym litewskim (1). Zapisał Ogiński pamięć swoją trwale u potomnych, wykopaniem kanału, który dotąd nazwę Ogińskiego nosi. Myśl do niego powziął hetman z tego szczególnie powodu, że obszerne jego majątki leżały pomiędzy dwoma rzekami: Szczarą i Jasioldą, które połączone, otwierały nową drogę splawu. Kanał ten w dawnym województwie Brzesko-litewskim, łączy rzekę Jasiolkę ze Szczarą; dziewięć mil długi, poczyna się u Szczary niedaleko *Lipska*, ośm mil powyżej *Słonimia*, przerzyna jezioro *Wychońskie*, i ciągnie się około *Wychońca*, *Łahiczyna*, i przy miasteczku *Podhacie* łączy się z rzeką *Jasioldą* do *Prypeci* uchodzącą. Najglówniejszym celem kanału tego, miało być połączenie morza Czarnego z Bałtykiem, za pośrednictwem rzek, Ukrainę i Litwę przepływających, a tém samym ułatwienie związku handlowego. Cała ta wodna droga idzie od *Czakowa* Dnieprem w górę, aż w okolice Czarnobyła. Odtąd *Prypeciem*, *Jasioldą* i kanałem *Szczarą*, która wchodzi do Niemna, co wpada do zatoki Kurońskiej. Poślednią korzyścią jest także osuszenie błotnistej okolicy powiatu Pińskiego. Sejm 1768 uznał ważność rozpoczętego dzieła, i aby dokończone zostało, darował sukcesorom Ogińskiego Łahiczyn i wieś Myszkowce z przyległościami, dozwalając, aby w czasie otworzonego splawu, po złotych 8 od wiosła lub sprychy pobierali. Na zawdzięczenie zaś zasług hetmana, który z własnego majątku, złp. 12,000,000, na kopanie kanału wyłożył; nakazał wystawić jego posąg w dziedzińcu zamku Wileńskiego, kosztem narodowym; nie doszedł jednakże do skutku ten zamiar dla zamieszek krajowych. W roku 1780 rozpoczęto na nowo zaniechane okolo kanału prace, a najpomyślniejszy skutek, uwieńczył starania. W roku 1784 kanał ten objeżdżał król Stanisław, który już był w stanie unieść na wodach swoich statek trzydziesto pięć lasztami obładowany; w roku zaś 1787 przepłynął nim statek z ciężarem stu beczek soli (2). Hetman ten sprzyjając konfederacyi Barskiej, wsparł swemi wojskami ruch ogólny: szczęśliwe dwie potyczki wygrywa w jesieni 1771 roku na początku Września, rozbija zastępujące mu drogę zastępy nieprzyjacielskie, zdobywa dwie armaty. Odurzony temi zwycięstwami, gdy mniej ostrożny stanął w Stolowicy; w nocy z dnia 22 na 23 Września tegoż roku, napadnięty przez sławnego później Suworowa, rozbiłty zupełnie, straciwszy działa, wojsko i chorągwie; sam zaledwie konno z téj ogólnej porażki

(1) J. Krasicki, herbarz Niesieckiego. Tom VII stron. 56, wydania Bobrowicza, 1844 r.

(2) Starożytności Polskie T. 2.

ujść zdołał. Tułał się lat kilka za granicą: otrzymawszy amnestyą wrócił do dóbr swoich; służył radą zdrową krajowi, zajmował się polepszeniem stanu dóbr własnych; i dawniej rozpoczęty kanał tak wykończył, że król Stanisław, cały go na statku przebył. Podczas sejmu konstytucyjnego, poddał się bez oporu prawu znoszącemu godność hetmańską. Był to więc ostatni hetman wielki Litewski. W biografii Ogińskiego ogłoszonej drukiem przez S. Platę, podany rok śmierci 1799 jest mylny; bo z napisu grobowego widzimy, że w rok później dopiero nastąpił: czytamy tamże, że umarł w rezydencji swojej w Słonimie. Napis w katakumbach nas nieobjaśnia w tym względzie, ani z pewnością możemy powiedzieć, czy zwłoki hetmana tu spoczywają: napis ten bowiem zdaje się być więcej poświęconym na zachowanie tylko jego pamięci na cmentarzu powązkowskim przez dworzan Ogińskiego, zamieszkałych w Warszawie, którzy tym sposobem, swój żal, a wdzięczność, wyrazili.

„ADAMOWI MAXYMILJANOWI KITAJEWSKIEMU, PROFESSOROWI B. WARSZAWSKIEGO UNIwersYTETU, ZASŁUGAMI POZYSKAWSZY SŁAWĘ W ŻYCIU DOCZESNEM, PRZENIÓSŁ SIĘ DO WIECZNOŚCI. URODZONY DNIA 24 GRUDNIA 1789, UMARŁ D. 4 LIPCA 1837 R. PO STRACIE NAJLEPSZEGO SYNA, NIEPOCIESZONA MATKA.“

Ukończywszy początkowe nauki u księży Pijarów, z zamiłowania do umiejętności przyrodzonych, poświęcił się zawodowi aptekarskiemu, jako jedynie nastręczającemu w owych czasach sposobność obszerniejszego ich nabycia. Wkrótce zdarzyła się okoliczność skierowania jego usiłowań na drogę właściwą (1). Owoczesny bowiem rząd Księstwa Warszawskiego, dla podniesienia nauk w kraju, postanowił grono wybranej młodzieży, wysłać kosztem skarbowym za granicę, w celu ukształcenia ich w różnych gałęziach umiejętności; wtedy padł też wybór na młodego bo dwudziestoletniego Kitajewskiego, któremu ówczesna Izba Edukacyjna poleciła w dniu 18 Września 1809 r., sposobić się na profesora chemii.

„Zaszczytne to wezwanie (pisze Józef Belza) jak z jednej strony otwierało chciwemu nauki młodzieńcowi, obszerne pole rozprzestrzenienia zakresu swoich wiadomości, tak z drugiej przez powołanie go do rozkrzewienia i upowszechniania w kraju nauki, wówczas prawie z imienia tylko u nas znanéj, dało mu uczuć całą ważność przyszłego przeznaczenia. Nie tracąc zatem ani chwili czasu, rzekł się wszelkich przyjemności życia, tak ponętnych dla większej części młodzieży, obce kraje zwiedzając, odłączył się od towarzystw, i cały oddał się pracy. W Berlinie przez lat dwa, już to w szkole medycznej, już w Uniwersytecie, uczył się chemii, której szybkim postępom, tylko tak bystre pojęcie i nadzwyczajna usilność, jakimi Kitajewski był obdarzony, wydolać zdołały. Zwiedziwszy następnie znakomitsze zakłady techniczne Prus i innych państw niemieckich, udał się do Paryża, gdzie głośna sława tyłu wielkich w naukowej dziedzinie imion, stała się nową dla jego umysłowych dążeń, pobudką. Tu w ciągu przeszło dwuletniego pobytu, poświęcał się umiejętnościom przyrodzonym, a w szczególności

(1) J. Belza, Biblioteka Warszawska z 1841 r., Tom I.

chemii ogólnej i stosowanój. Nareszcie uzupełniwszy zakres swoich wiadomości, obejrzeniem licznych zakładów przemysłowych Francyi, Bawaryi i Austrii, wrócił w 1814 r. do kraju rodzinnego z bogatym plonem nauk, które przez cały ciąg życia były głównym i prawie jedynym jego celem. Mianowany professorem umiejętności przyrodzonych w Liceum Warszawskiem, w samym zaraz początku, dał niezaprzeczone dowody znakomitego w tym trudnym zawodzie usposobienia, i zdolności do wyższych przeznaczeń. Dla tego téż razem z otwarciem Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1817, poruczono mu ustanowioną przy nim katedrę chemii ogólnej, którą to naukę Kitajewski, urządziwszy własném staraniem pracownią chemiczną, aż do końca istnienia szkoły Głównej Warszawskiej, praktycznie wykladał. Nie tajno znawcom umiejętności przyrodzonych, ile starania i mozolu wymaga każda lekcyja doświadczeniami objaśniana, jak wiele czasu łożyć potrzeba na praktyczne przysposobienie tego, co często, a mianowicie téż w wykładzie chemii, zużywa się przy doświadczeniu, chwilę tylko trwajacém; dla tego dziwić się należy że Kitajewski obok tak licznych i ważnych zatrudnień w szkole głównej królestwa, a nadto obok gorliwego wypełniania obowiązków w szkole szczególnej leśnictwa, w szkole artyleryi i inżynierów, znalazł jeszcze czas do ciągłego obeznawania się z postępami swojej nauki, pomnażania i tak już niepospolitej wiedzy innych umiejętności, a nawet do wykonania oddzielnych i trudnych zleceń rządu. W liczbie tych, mieszczą się głównie obowiązki Członka Rady do urzędzenia b. szkoły Politechnicznej w Warszawie, wyjazd za granicę dla obejrzenia zakładów hutniczych i naostatek uskuteczniiony na miejscu z całą ścisłością i dokładnością rozbiór wód mineralnych w Góździkowie, Ciechocinku, Busku i innych okolicach Krakowskiego. Życie tak czynne, pożytek społeczeństwa i dążenie umysłowego postępu głównie na celu mające, nie nastroczało sposobności okazania w większym zakresie na widowni publicznej, równie ważnej strony towarzyskiego człowieka, strony moralnej. Znać ją dostatecznie i ocenić mogli ci tylko, których bliższe stosunki z Kitajewskim łączyły, lub na których on bezpośrednio wpływ swój wywierał. Do tych więc śmiało odwołać się możemy o poświadczenie jak szlachetne zdobyły go przymioty, jaka moc charakteru i prawosć duszy we wszystkich jego postępkach się okazywała!!“ (1).

W ostatnich latach życia był professorem chemii w *kursach dodatkowych*, oraz członkiem egzaminacyjnym i egzaminatorem w *Radzie Lekarskiej*. Pisał wiele rozpraw, które mieszczą się w Rocznikach Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, którego był członkiem; w Pamiętniku Warszawskim, Sylwaniu i w innych. Sam wydał pismo techniczne w dwóch tomach, p. n. *Stawianin*, które dowodzi ogromu różnorodnych jego wiadomości. Ostatnią pracą Kitajewskiego była obszerna rozprawa w języku francuzkim złożona rządowi: „O wodach mineralnych w Królestwie Polskiem,“ którą napisał w roku śmierci swojej (1837 r.) (2).

Kitajewski będąc pierwszym z professorów przy zawiązaniu Uniwersytetu Warszawskiego, przeżył cały ciąg bytu jego, zawsze szanowany i kochany przez uczniów. (3)

(1) Biblijoteka Warszawska, Tom I, z roku 1841.

(2) Wyjątek z téj rozprawy w przekładzie udzielił J. Belza w Biblijot. Warszaw., (patrz T. I, str. 70, 1841 r.)

(3) Został raz ś. p. Kitajewski zobowiązany poprawić stopień nie pilnemu uczniowi. Przybyły w tym celu

Jakim był synem, dowodzi kamień z napisem, który mu matka w katakumbach Powązkowskich położyła.

„ANTONI ŁABĘCKI, B. MECENAS B. DEPUTOWANY NA SEJMY KRÓLESTWA POLSKIEGO, URODZ. 18 MAJA 1773, UMARŁ D. 17 WRZEŚNIA 1854 R. ŻYŁ LAT 81 I MIESIĘCY 4.“

Antoni Łabęcki syn Józefa Bonawentury i Anny z Piotrowskich, był jedynakiem wśród liczego rodzeństwa, bo siostr dwunastu. Matka która go całą miłością kochała, zaszczerpiła w młodym sercu syna prawdziwą wiarę. Pod jej czulym okiem chowany w domu do lat 9, zachował na całe życie tkliwość w uczuciach i łagodność w obejściu, które obok zdolności umysłowych, nabytego wykształcenia i oglady światowej, cechowały stosunki jego towarzyskie, w długiej na tej ziemi pielgrzymce. W 10 roku życia, oddali go rodzice do szkół pijarskich w Warszawie. W tym to znakomitym wówczas zakładzie, odznaczając się łagodnym charakterem, pilnością i pojętnością do matematyki, a łatwością w uczeniu się języków, był ciągłym ulubieńcem swych nauczycieli: Księdza Józefa Osieńskiego (fizyka), Ks. Zaborowskiego (matematyka), Ks. Filipa Nerjusza Golańskiego, i Ks. Sawickiego (historyka). W młodzieńcu dostrzegali nauczyciele zarody wyższych zdolności, a Ksiądz Golański professor wymowy, w obec współuczniów przepowiadał mu, że będzie znakomitym mówcą. W 16 roku ukończywszy nauki, opuścił szkołę, a przyjaźń z professorami zgromadzenia pijarskiego, w długie go odtąd łączyła

uczeń do mieszkania professora, zastał go po obiedzie wypoczywającego z cybuchem w ustach. Grzeczny gospodarz poprosił gościa siedzieć, poczęstował go fajeczką, wkrótce i kawę podano. Nie tracąc czasu i w dobrym humorze przystąpił Kitajewski do dowcipnego egzaminu, którego uczeń ani się domyślał. — „Widziałeś też pan kiedy roślinę tytoniową?“ — I owszem w botanicznym ogrodzie, są jej rozmaite gatunki, nieraz wysokości człowieka dosięga, jeśli przy wierzechołku nie zostanie złamana. Liście ma szerokie, kończate wielkie, gęsto-żyłkowe i tłuste, a po okwitnieniu nasienie bardzo drobne i pełne. — Dobrze, a zjadł też on wziął się najpierw: gdzie to te liście na użytek przerabiają? — Tytoń pochodzi z Ameryki, a zamtąd po całym rozkrzewionym świecie, i fabryk też wszędzie pełno. U nas tytoń wyrabia fabryka Powązkowska.“ Po krótkim sarkastycznym milczeniu, spojrzal znów wymownie Kitajewski na ucznia, napił się kawy, mląsnął ustami smakosza i rzekł: — Hm! ta kawa ma dziś smak nie zły, i zapach wyborny: to także nie nasze. Jak to się zowie kawa pierwszej dobroci? — Mokko! — To pewnie musi być Mokka, ale co mianowicie pan myślisz, nadaje jej ten smak przewyborny i woń? — Zapewnie olejek aromatyczny, który się nieuleotnił podczas prażenia, a przytém i cukier. — Masz pan słusność, że w dobrej kawie i cukier coś znaczy. Ale a *propo* cukru. Piszą, że jakiś anglik wynalazł świeżo sposób otrzymania cukru z siana. Bogu dzięki! cukier raz stanieje, a wynalazca z bogaci się i unieśmiertelni. Jak panu się zdaje, ile też naprzykład z fury siana możnaby otrzymać funtów cukru? — Zachwycony uczeń uważając dotychczasową gawędkę, tylko za potoczną rozmowę, przed mającym się zacząć egzaminem, dopiero teraz domyślił się prawdziwego jej znaczenia, ze strony nieublaganego professora. Nie tracąc jednak fantazyi rzecze: — A jaka to fura, pojedyncza czy parokonna? — Niech będzie pojedyncza. — Jeżeli pojedyncza, to wyda 7 funtów cukru. — Przez jakież to rachunek doszedłeś pan tego tak szybko? — Nic łatwiejszego. Dajmy nato że fura pojedyncza siana, kosztuje dziś złotych 21: że zaś funt cukru jest po 3 złote, zatem sprzedawszy siano za 21 złotych, dostaniemy 7 funtów cukru najlepszego.“ Zaczny professor nie miał serca dłużej dręczyć ofiary protekcyi. Ale dał nauczkę pamiętną. Ubawiła go ostatnia odpowiedź i oznajmil skonfundowanemu uczniowi, że już po egzaminie, i że stopień spodziewany otrzyma. (1).

(1) W owe czasy funt cukru rzeczywiście kosztował złp. 3, furę siana zaś jedno-konną najdrożej za 20 złp. można było dostać w Warszawie (Zobacz Kurjer Warszawski 1855 r. Nr. 78).

lata. Zawód publiczny rozpoczął Łabęcki w tymże zaraz roku 1789 w kancelaryi poselskiej świeżo zaczętego sejmu; dokąd wszedł przez znajomość młodego litwina Skindera, który był paziem księcia Kazimierza Sapięhy, słynnego mówcy sejmowego. Skinder wprowadził Łabęckiego do domu posła Suchodolskiego, i zrobił mu wstęp do wielu możnych panów i szlachty, co w tych czasach było szkołą życia, szkołą wykształcenia i wstępem w świat i w zawód życia publicznego. W ciągu trwania tego sejmu, wyszło kilka pism ulotnych, okolicznościowych, z pod pióra Łabęckiego, wierszem i prozą bezimiennie drukowanych w Warszawie (1). Nie jedną rzecz był świadkiem w tych pamiętnych latach; miał sposobność poznać nie jedną historyczną postać i zbliżyć widzieć życie panów, dostojników, szlachty i palestry. U księcia Kazimierza Sapięhy słyszał mówiącą Księżną Wojewodzinę, sławną z dowcipnych odpowiedzi i przycinków; wielu posłów i ludzi uczonych. W pamiętnikach swych, opowiada Łabęcki następujący ustęp. „Po ustanowieniu powiększenia wojska, ogłoszono iż oficerowie polacy, w służbach zagranicznych pozostający, mogą wstępować w szeregi narodowe, z zapewnieniem im rangi o jeden stopień wyżej. Wkrótce zaczęli się zjeżdżać ze wszech stron, różnobarwnie i rozmaitym krojem umundurowani, z przyjętym ruchem obcym i postacią nie krajową. Między innymi, widziałem i słyszałem Tadeusza Kościuszkę, gdy się przedstawił u księcia Kazimierza Sapięhy i u posła Suchodolskiego. Krótsza była prezentacya u księcia, dłuższa rozmowa u posła, i nader zajmująca, bo oficer ten rozповідаł ciekawe rzeczy o życiu w zamorskiej Ameryce gdzie długo przebywał, walcząc za sprawę nowego kraju, w nowym świecie. Z nadzwyczajnym zajęciem słuchałem go, dziwnie mię nawet powierzchowność jego zajmowała. Mundur nosił wówczas amerykański prosty — i przyznam się, bez smaku; układ jego osoby był skromny, i mina nie imponująca; lecz twarz miła, którą odszczególniał mały nos zadarty, i wyraz jakiś dobroduszości, — głos nie szumny — tłumaczył się niewymuszenie, lecz dobitnie. Zalecali go wszędzie przyjaciele jego litwini, a między temi nadewszystko: Niemcewicz, Matuszewicz, Kublicki, posłowie sejmowi.“

Łabęcki polecony przez posła Suchodolskiego księciu Aleksandrowi Lubomirskiemu, w domu tego pomieszczony został jako sekretarz i bibliotekarz. Bywał tam ksiądz kanonik Gawroński lektor króla Stanisława Augusta; — dostatek książek, uczony kanonik i francuz doktor nadworny wielce wykształcony człowiek, nowe mu otworzyli pole do prac filologicznych i językowych. Tam inny świat oglądał: żona księcia Aleksandra, była to owa sławna piękność, przyjaciółka Maryi Antoniny, która w okropnych chwilach terroryzmu w Paryżu, śmiercią pod gilotyną, przychylność do téj królowej okupiła, zostawując w niemowlęcych latach córkę (2). Owe życie w pośród panów, książek, i uczonych, przerwane jednak nie długo zostało. — Po kilku latach wszystko inną postać w kraju przybrało; — znikły dawne granice, i wewnętrzne stosunki

(1) Niektóre z nich znajdują się w bibliotece publicznej w Warszawie, jak: 1. Walka Kanarków z Szczyglami, powieść z chińskiego. 8vo w Warszawie, str. 16. (w Październiku 1789 r.). 2. Spotkanie arbitra z Turkami in 4to (pisane 14 Listopada 1789 r.). 3. Wiersz na dzień imienia J. W. Wojciecha Suchodolskiego chorążego posła ziemi Chełmskiej, rotmistrza kawaleryi narodowej, 23 Kwietnia 1790 r. w Warszawie, w drukarni Piotra Zawadzkiego in 4to.

(2) Rozalią hrabinę Rzewuską.

inaczej się układały; słowem, wypadki krajowe oddziaływały na pojedynczych ludzi, i te zmusiły Łabęckiego iż zmienić musiał zatrudnienie, i poświęcił się powołaniu nauczycielskiemu w znakomitych obywatelskich domach. Równocześnie i sam się wykształcał w językach i wyższej matematyce. Tak własnymi silami i pracą, wspierany tylko radami dawnych swych nauczycieli pijarów, doszedł do tego, że był w stanie rozwiązywać najzawilsze zadania wyższego rachunku analitycznego. W kraju, gdzie ciągle burze postać rzeczy zmieniały, trudno często, raz obrany zawód, przez całe przeprowadzić życie. Znajomość z kilku uczonymi prawnikami zawarta w Warszawie za rządu Pruskiego, mianowicie z *Baumanem*, *Bachmanem*, z sławnym z pism fantastycznych *Hoffmanem*, wzbudziła w Łabęckim chęć poznania prawa rzymskiego i praw stanowionych. Jakkolwiek już wówczas był w dojrzałych latach, z całą wytrwałością woli i z zamiłowaniem oddał się mozolnej nauce i systematycznie przeszedł ogrom nauk prawnych, nie opuszczając historycznego praw polskich rozwoju: dokazał tego usilną pracą, w której lat kilka nie ustawał. Gdy w roku 1807 kraj znowu inne otrzymał granice i nazwę Księstwa Warszawskiego, zaprowadzono w nim nowe magistratury; wówczas to minister sprawiedliwości Feliks hr. Łubiński, znający osobiście Łabęckiego jako nauczyciela i literata, i niezamordowanego badacza praw, biegle nie jednym władającego językiem, wydobyl skromnego pracownika z ukrycia, i powołał na sekretarza ministerstwa Sprawiedliwości, wraz z Antonim Jonemanem i Ludwikiem Osińskim. Prócz tego, minister dwie ważne powierza mu zaraz czynności, licząc na jego pracowitość i wiadomości: tlómaczenie procedury sądowej cywilnej, i wykład nauki postępowania sądowego i notariatu, w utworzonej wówczas szkole prawa, w której został professorem wraz z księdzem Ksawerym Szaniawskim i Janem Wincentym Bandtkie. Tlómaczenie Łabęckiego kodeksu postępowania sądowego cywilnego, które opatrzył w inwentarz, czterech doczekało się wydań⁽¹⁾, i dotychczas w sądach używane przez każdego prawnika, codziennie cytowane, imie tlómacza uczyniło znaném nawet mlodym, żyjącym jeszcze prawnikom. Wartość przekładu tego, jest niezaprzeczenie do dziś dnia bardzo wielka, utworzony w nim język prawniczy, dotąd przetrwał w użyciu. Wykład w szkole prawa spowodował napisanie treściwego przedstawienia postępowania przed sądami, pod napisem: „Krótki rys processu.“⁽²⁾ Książka ta obznajmiająca z nowym porządkiem postępowania sądowego, od poprzednio istniejących odmiennym, była kluczem i skazówką dla ówczesnych prawników⁽³⁾. Jako ojciec rodziny, miał obowiązek myślenia o jej bycie i przyszłości; zamyślał przeto porzu-

(1) Pierwsze wydanie wyszło na widok publiczny przed d. 4 Maja 1808 r. w drukarni pijarskiej. w której następnie jeszcze trzy wydań uskuteczniiono, a ostatnie w r. 1821. Inwentarz do tegoż kodeksu wyszedł w 1811 r.

(2) „Krótki rys processu“ „stosownego do Kodeksu Napoleona, przedstawiony z polecenia J. W. Ministra Sprawiedliwości przez Antoniego Łabęckiego nauczyciela i tlumacza Kodeksu postępowania, wezwanego na urząd Mecenasa Sądu Kassacyjnego Księstwa Warszawskiego.“ Warszawa 1808 r., w drukarni księży Pijarów str. 44. Wydanie drugie w roku 1811 8vo.

(3) W tém miejscu przytoczymy wyjątek z autobijografii Łabęckiego odnoszący się do chwil bliskich zaprowadzenia nowych kodeksów.

„Trudne to było zadanie być ministrem sprawiedliwości w nowo utworzonej Polsce pod nazwą Księstwa Warszawskiego; Minister Łubiński świetnie je rozwiązał. Wyrzeczono z góry: wprowadzonym być ma kodeks francuzki. Słowo to pojedyncze, natychmiast stało się liczbą mnogą. Niepodobna bowiem zaprowadzić kodeksu

cić ten zawód czysto naukowy; a jako prawnik użyć swych zdolności dla ich zastosowania w praktyce; znał to dobrze także minister sprawiedliwości, i dla tego przy urzędowaniu sądownictwa w roku 1809, wyjednał monarsze zamianowanie go mecenasem, w pocście pierwszych sześciu, którzy na ten urząd powołani byli. W nowe wchodząc szranki, Łabęcki, trzymał się drogi prawej zawsze, i uczciwej; żadnej sprawy nie podejmował się nigdy, bez poprzedniego wyczerpnienia wszelkich środków pojednawczych. Oddając się z górą lat 20 (od roku 1809 do 1830), obronie prawdy, uciemiężonej niewinności, i rozwikłaniu trudnych węzłów prawa; a obok tego odstręczając strony od processów, godząc zwaśnionych, udzielając rad chętnie, zjednał sobie wielu przyjaciół i poważanie, zyskał dobre imię między współto-

cywilnego. aby natychmiast i równocześnie, nie miały być ogłoszone: francuzka procedura i francuzki kodeks handlowy. Minister Łubieński orlim okiem postrzegł konieczność tej nierozdzielnej trójcy kodeksowej, pojął również; że czczem było by ogłoszenie, bez uorganizowania sądów, o których ogólnie tylko wyrzekła zasadnicza ustawa księstwa z r. 1808, i bez zaprowadzenia jak najspieszniej szkoły prawa, skoro nowe prawa na nowych i nieznanach w polskiem prawodawstwie wspierały się zasadach, skoro tylko polacy mieli obsiąść urzędy sędziowskie, obrończe i wykonawcze. Wszystkiemu temu. jak bystro pojął potrzebę, tak i lotem błyskawicy sprostał minister. Poleciał bezzwłoczne tłómaczenie kodeksów, ustanowił szkołę prawa i polecił mi napisanie krótkiego rysu postępowania sądowego cywilnego. Niech nikogo nie dziwi, że nie szukał do tych prac wyuczonych w dawnej szkole lub w pruskich uniwersytetach prawników; bo świeże dla tutejszego kraju zasady prawne, czuł. iż świeże umysły; niepociągane wdrożeniem w minionych rządów ścieżki urzędowe, łatwiej się nagną do nowych kształtów, które sądowej budowie nadać wypadało. Wymagał on jednak wiadomości ducha prawa i pojętności a potrzebował ludzi ze znajomością języka francuzkiego, aby zrozumieli techniczność prawniczną francuzką, i jasno sami pojęli przepisy; nie mogąc wymagać doskonałości, ograniczył się żądając gorliwości w pracy i dosadności z strony wyznaczonych przez siebie tłómaczów kodeksowych, i dokazał tego, że od oznaczonego terminu 1. Maja 1808 r. wszystkie sądy na całej przestrzeni nowego państwa, sądziły sprawy podług nowo zaprowadzonego prawa, pilnowały porządnego spraw wprowadzania i wykonywania wyroków, a notariusze spisywali akta dobrowolne stron najzawilszych, i pod nieważnością koniecznymi formami obsaczonych przedmiotach i rzecz nadzwyczajna, że prawie wszystkie te sprawy, wyroki i akta, zadziwiającej dotąd dokładności noszą na sobie cechę; i ani wymiar sprawiedliwości na chwilę nie był w zawieszeniu, ani żaden akt, a co szczególnie, żaden pilny testament na tém nie ucierpiał. Sam byłem obecny testamentowi znakomitą legującemu fortunę. w d. 1 na 2 Maja 1808 r. przez umierającego Michała Prusaka, przed notariuszem Sapalskim. ze wszelkimi formalnościami spisanemi (1). Kodeksa, nie tylko przed 1 Maja były wydrukowane, ale tysiącami krążyły od kilku miesięcy po kraju, równie jak i wydrukowany „Krótki rys processu;“ i wszystkie magistratury i urzędy, w dnia 1 Maja 1808 r. jak z pod ziemi zjawily się i weszły w ruch na tej nowo polskiej krainie.

W poparcie mego, przytoczę zdanie Bachmana, wytrawnego prawnika, o ministrze Łubieńskim, a to w skutek następującej okoliczności: Gdy król Saski, na wniosek ministra Łubieńskiego, wyznaczył kommissyą przygotowującą projekta do praw (2), pod jego prezydencją zasiadać mającą, zaraz na drugiem posiedzeniu wytoczyła się rozprawa odnosząca się do zmian najpilniej potrzebnych w Kodeksie postępowania. Jeden z weteranów dawnej Pa-lestry, nowo zanominowany do składu Sądu Appellacyjnego (Skarzyński) odezwał się: „Nie mogę inaczej uważać postępowania sądowego, jeno jako drzwi do przybytku sprawiedliwości, słusznie przeto rozumiem: iż przedmiot ten jest nader prosty; upraszam aby mi pozwolony był czas dni trzy, a przyniosę projekt całej procedury, i obejdzie się bez mozolu przeglądania ogromu cudzoziemskich artykułów.“ Kilka głosów zabrano przeciw temu zdaniu, odzywano się, iż nie można nowych tworzyć ustaw, gdy wskazano już kodeks, który ma obowiązywać. jednakże wykazywano artykuły, które nie zupełnie dały się stosować do tego kraju, gdzie np. tylko jeden miał być Sąd Appellacyjny. Minister długie posiedzenie zamknął „Iosem, w którym okazał niepospolitą swą latwość w pojęciu przedmiotu, w rozbiorze wprowadzonych wątpliwości, które bez zwłoki załatwiał; a kończył proponowaniem zwięzłe i

(1) Testament ten dał powód do długiego processu, który w kilkadziesiąt lat później osądzony został; a Naczelný Prokurator *This* w wnioskach swych wynurzył swe zdanie, podziwiając, iż żadna w nim formalność uchybioną nie była. Testament ten skreślił Łabęcki.

(2) Do składu tej Kommissyi zanominowany był także i Łabęcki jako Członek.

watelami, lecz skromne tylko zdobył mienie. Dobrą sławę i wziętości używając, jako obrońca, w r. 1817 powołany został przez Księcia Namiestnika Zajączka na Marszałka, pierwszego od wskrzeszenia królestwa odbyć się mającego sejmiku; poczem z wyboru współobywateli, dwukrotnie zasiadał w izbie poselskiej jako deputowany z Warszawy w r. 1818 i 1820. Miejsce wyborów, wyznaczone było w kościele księży Pijarów. „Jakież było moje uczucie i wzruszenie (mówi w swoich pamiętnikach Łabęcki), gdy przewodziłem zgromadzeniu licznemu w tych samych murach kościelnych, gdzie w mój pierwszej młodości chodząc do szkół, codziennie słuchałem nabożeństwa, codziennie do mszy służyłem światłym moim nauczycielom; i gdzie jako *sodalis marianus*, w bractwie byłem wpisany. W następnym roku (1818) zasiadłem w izbie poselskiej w zamku królewskim, gdzie wrażenie posiedzeń, którym bywałem obecny przed czterdziestu blisko laty, dziwnie mi się przed oczy cisnęło! — Inne czasy, inne obyczaje!“ — Prawo karne, graniczne, moratorium, prawo rozwodowe, wyzywały go nieraz na mównicę. Porządek i bezpieczeństwo społeczeństwa, położenie tamy niezgodom sąsiadów i skrócenie sporów, zapewnienie wiary publicznej i kretytu ziemian; szanowanie zasad religii i moralności w małżeństwie, zatamowanie nierozmyślnych ślubów i lekceważenia onych w rozwodach; o to przedmioty Łabęckiego rozpraw, które dyaryusze drukowane tych sejmów obejmują. Styrany pracą usunął się w zacisze domowe po roku 1831, gdzie 24 lat spędził w gronie dzieci i wnuków. Przyzwyczajony do pracy i rozmyślenia, nie mógł w bezczynności zostawać; śledził ciągle za

dobitnie skreślonych artykułów, do redagującej się ustawy przechodniej. Po ukończeniu posiedzenia Bachman powiedział mi: „Wasz Minister, mógł by nim być zarówno w Londynie, Paryżu, lub Wiedniu i Berlinie; on to zna, że nie do niego należy przytaczanie artykułów prawa, lecz ocenienie zdań, skierowanie do głównego celu i stonowane wyrzeczenie; przytęm podziwiam połączenie trafności zdania, z delikatnością w zbijaniu i odpieraniu zarzutów, lub nie dających do celu pomysłów.“ Bachmana i Baumana, sędziów pruskich, których rząd dla uregulowania różnych spraw poprzednich pozostawił, miałem był sposobność dawniej poznać; oni rzeczywiście byli mymi nauczycielami prawa, nim na prawnika powołany zostałem. Co za dziwne losu zrządzenie, ja to miałem im ogłosić najniezasłużoną decyzją, żeby kraj ten opuścili; a to tak się stało. Wysłany przez ministra na dni kilka przed 1szym Maja do marszałka Davoust'a, abym wyrozumiał życzenia jego co do programu publicznego zaprowadzenia kodeksów francuzkich; dał mi odpowiedź, iż swe zamiary objawił już swemu sekretarzowi i wskazał mi abym się do niego udał; gdy odchodzę, zatrzymuje mnie i pyta: czy ja jestem ten, któremu pełnomocnik jego Gley, polecił uregulowanie hipoteczne na rzecz jego, Księstwa Łowickiego; a gdy mu odpowiedziałem że tak jest: spytał się co myślę o tak zwanym pałacu prymasowskim, i czy ten, donacją cesarską jest objęty, bo zdaje się że skoro Księstwo Łowickie było prymasa, więc w prawa jego wejśćby powinien w zupełności, nawet i co do pałacu. Odpowiedziałem mu z wielką ostrożnością, że donacja ta odnosi się do przedmiotu wymienionego, a nie na mocy sukcesyi po prymasowskich własnościach. Zamilkł wprawdzie, lecz niezadowolony zwrócił mowę na inny przedmiot, i znów zapytał: — „Powiedz mi pan co znaczą te niemcy, co ich wasz minister ma przy sobie? — po co te związki z prusakami? — Pozwolisz Wasza Książęca Mość — odrzekłem, iż wyjaśnię mu że stosunki przechodnie praw nowo zaprowadzonych tego wymagają. — Co to za prawa przechodnie!? — przerwał mi. — „Rzecz tę przykładem gotów jestem objaśnić: — Ktoś dochodził sukcesyi — rozpoczął rozwód — ma proces ciągnący się, który sięga czasu praw poprzednio obowiązujących; — zachodzi pytanie, podług jakich praw rozstrzygnąć zapis przeciwny prawom teraźniejszym — ułożyć stosunki majątkowe rozwodzących się, rozstrzygnąć spór, którego rozwiązanie inne w każdym z tych kodeksów.“ — Jak?! prosto podług kodeksu francuzkiego — żywo odpowiedział. — Powiedz pan ministrowi swemu, żeby tych niemców natychmiast odpędził!“ — odwrócił się i odszedł. Smutek mnie ogarnął gdy wracał do pałacu ministra; czułem boleść pomyślawszy jak rubaszną wojskową krzepkość, krzywdziła ministra i użytecznych a godnych ludzi. Pojął minister boleść moją, lecz polecił mi, abym im ustnie decyzją tę objawił. Bezwzględnie zażądali paszportów, i porzucili Warszawę, a dalej, wysokiej w służbie sądowej pruskiej dosięgnęli stopni i zaszczytów.“

wszystkimi postępami nauk i wynalazków, za ruchami piśmiennictwa, i sam pisał, i wiele pisał. Skromność wstrzymywała go od druku. Pisma te liczne i obszernie, są to składy ważnych i moralnych myśli, czerpanych z życia własnego; ciekawe są w nich szczegóły autobiografii i życia społecznych, na które własnymi oczyma patrzył. Owdowiał na lat trzy przed zgonem, czuł sędziwy starzec bliski zgon swój; z całą przytomnością umysłu przygotował się religijnie, aby świat ten pożegnać; i po krótkiej chorobie, spokojnie snem wiecznym zasnął. Umarł w Warszawie, w gnieździe swoim rodzinném.

GWALBERT BYSTRZYCKI S. P.

(Bez grobowego napisu).

Urodzony r. 1772 we wsi Buczynie powiecie Włodzimierskim, umarł 13 Sierpnia 1835 r. w Warszawie. W r. 1783, oddany do szkół księży Pijarów w *Międzyrzeczu Koreckim*, po ich ukończeniu, czując w sobie powołanie do nauczycielstwa, wstąpił do zgromadzenia Pijarów a obleczony w suknię zakonną 1789, wysłany został na nowicjat do kolegium w Drobieczynie. W rok po ugruntowaniu się w powołaniu, złożywszy professją, przeznaczony do *Szczuczyna* na Studium *Rhetoricum*: przez dwa następne lata od 1790 do 1792 słuchał nauk dawanych *in Studio Philosophico* w Łomży. Wysłany następnie do Łukowa na Nauczyciela klasy 4^{ej}; w roku 1794 przybył do Warszawy, i tu aż do końca życia pozostał. Dawał z początku nauki w niższych klassach jak: języka łacińskiego, historii, jeografii, matematyki do 1800, później w klassach wyższych wykładał nauki historyczne, matematykę, fizykę i mineralogiję do 1825 r. W tym przeciągu czasu, wydał dla użytku młodzieży *Fizykę*, w 2 tomach, która miała trzy edycye: przełożył nadto z francuzkiego dzieło Fourcroy chemiczne zastosowane do sztuk i rzemiosł. W roku 1803 obrany członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk; w r. 1809, wezwany został na *Członka Towarzystwa do ksiąg elementarnych*, obowiązek ten pełnił do roku 1823. W r. 1817 do 1822 był Rektorem Kolegium Warszawskiego przy ulicy Długiej. W roku 1824, Uniwersytet Warszawski udzielił mu patent na doktora filozofii. Dnia 10 Sierpnia 1823, obrany Prowincyałem Zgromadzenia, zostawał w tej dostojności do 8 Sierpnia 1828 r. W ostatku przeznaczonym został do kierowania i prowadzenia młodych Pijarów. Umarł mając 63 lat wieku. Bystrzyckiego poznałem jako rektora i profesora: słuchaliśmy wykładu jego najprzód fizyki, następnie chemii. Wysoki, odpowiedniej tuszy, całą postacią swoją wrażał w młodych uczniach cześć i poszanowanie. W godzinach w których wykładał, cichość panowała jak największa i natężona pilna uwaga. Na najmniejszy szmer, dosyć było temu profesorowi rzucić zmarszczonym wzrokiem, a gwar uciszał natychmiast. Pomimo to, kochali go uczniowie: wykład Bystrzyckiego był jasny i zrozumiały: mówił zwolna, i często powtarzał rzecz, jeśli zauważył że go dobrze niepojęto. Uczniowie którzy po skończeniu szkół już jako obywatele odwiedzając dawnych swoich nauczycieli, przychodzili do Bystrzyckiego, znajdowali zawsze serdeczne przyjęcie u niego, i pierwszy raz zobaczyli uśmiech radosny na tym poważnym, surowym obliczu.

HUGO KOŁŁATAJ.

(Bez napisu)

Hugo Kołłątaj zmarły dnia 28 Lutego 1812 roku w Warszawie, pochowany został w katakumbach. Że nie dano żadnego napisu, a archiwum cmentarza Powązkowskiego z tych lat zatracono; dzisiaj nie wiadomo w którym miejscu prochy jego spoczywają. Mieszkał w Warszawie na Starém Mieście № 42 na pierwszém piętrze, tu umarł i zład zwłoki jego wyniesiono. Postać to posągowa tak w dziejach, jak i w literaturze naszój; aleć zaprawdę czas jeszcze nie dojrzał na skreślenie życiorysu tego wielkiego męża, który na polu czynu, jak i piórem, tyle przeważnych zasług położył. Wiele pism swoich Kołłątaj sam wydał, wiele po jego zgonie ogłoszono drukiem; obecnie zapowiedziane mamy edycye wszystkich dzieł Hugona Kołłątaja w dwudziestu kilku tomach. Jakkolwiek nie podajem szczegółów życiorysu, nie możem pominąć wybornie skreślonych piórem Jana Śniadeckiego, tak rysów charakteru tego męża, jak i jego postaci. „Był Kołłątaj wzrostu nadobnego ale nie przerosłego, twarzy białej okrągłej, czoła wysokiego, nosa równego u wierzchu i okrągławego, oczu i włosów czarnych, brwi dobrze okrytych; postaci z wejrzenia pomiernej, ale przystojnej i szykownej; w mowie łagodny, poważny, płynnie i przyjemnie się tłómaczący. Umysłu zawsze przytomnego i rzadko się mieszającego. Charakteru żywego, śmiałego, więcej skrytego jak otwartego. W mocnych poruszeniach miał się miarkować i posiadać. Tkliwy na cierpienie ludzi, nie miał w sobie ani zawziętości ani zemsty. W przywiązaniu giętki aż do słabości, w przyjaźni nadto łatwy, stateczny, ale nieszczęśliwy. Sam obyczajów prostych i czystych, zawsze baczny na przystojność, był na słabości ludzkie wyrozumiały, dla swych sług i domowników słodki i przychylny. W wydatkach domowych hojny, lubiący życie wystawne i wygodne, ale umiejący spokojnie znosić niedostatek. W zamysłach i przedsięwzięciach śmiały aż do zuchwałości; stały i wytrzymały aż do uporu: żadne przeszkody i zawady nie zdawały mu się do pokonania trudne; bo w żyznój swojej głowie, znajdował zaraz rozliczne środki do uniknienia ich, albo do zwyciężenia; i dla tego gdy raz plan robót ułożył i popierać zaczął, wszystkie zarzuty i trudności, były tylko popisem dla jego głowy, ale nie osłabieniem przedsięwzięcia. Przy bystrem pojęciu, przy dziwnej łatwości w robieniu i pisaniu, pracowitość wielka i nie zmordowana. W przeciwnościach cierpliwość i wytrzymałość prawie stoiczna. Naukę i każdy w ludziach talent kochał, ujmował i poważał. W tém, czego się nie uczył, albo czego dobrze nie rozumiał, nie knował w sobie zdań i urojeń, ale pilnie wybadywał tych, których zaufał biegłości; a chwyciwszy zasadowe początki i myśli, potrafił je dobrze objąć i rozwinać w swój głowie; przez co utworzył sobie czysty, ogólny widok nauk i trafny o nich rozsądek. Lubił się radzić, pisma swoje wprzód przyjaciółom rzeczy świadomym czytać dawał, nim je ogłosił; każdą poprawę trafiającą do jego przekonania, chętnie przyjmował. W prawie kościelném i dziejach krajowych, wiadomości miał rozległe i gruntowne. Piękne sztuki, osobliwie budownictwo i malarstwo, lubił aż do zapалу: artystom wiele pomagał i świadczył. Miał dosyć szacowny zbiór obrazów, które w rewolucyi krajowej stracił.“

„TU SPOCZYWAJĄ ZWŁOKI NAJLEPSZEGO MĘŻA I OJCA Ś. P. **JOZEFA DYONIZEGO MINASOWICZA** REFERENDARZA STANU, CZŁONKA RZĄDZĄCEGO SENATU, KAWALERA ORDERÓW: Ś. ANNY 2 KLASY, Ś. STANISŁAWA 2 KLASY, I ORŁA CZERWONEGO 3 KLASY. URODZONY DNIA 3 PAŹDZIERNIKA 1792, UMARŁ DNIA 26 SIERPNIA 1849 ROKU, KTÓREMU W ŻALU POZOSTAŁA ŻONA Z TROJGIEM DZIECI, PAMIĘCI WDZIĘCZNOŚĆ ZACHOWALI.“

Ojciec naszego poety Augustyn Minasowicz, kupiec znany jako zacny i szanowny obywatel, nie żałował nakładu na wychowanie syna, który wrodzonymi zdolnościami i zamiłowaniem pracy, z młodych lat pięknie rokował nadzieje. W 18 roku życia, skończywszy nauki, udał się w roku 1810 na Uniwersytet Lipski, gdzie odbywszy w roku 1814 kurs prawa i administracji, powrócił do kraju, w tymże samym roku zdał egzamen z pomienionych nauk w *Szkole Prawa i Administracji*, jaka istniała wtedy za czasów Księstwa Warszawskiego, i otrzymał patent sposobiący go do usługi krajowej. Obrawszy sobie za główny cel zawód sądowy, wszedł w służbę rządową jako aplikant sądowy przy Trybunale Cywilnym Departamentu Warszawskiego w roku 1814. Mam właśnie przed oczyma, młodą ręką Minasowicza skreśloną prośbę z tegoż roku, o umieszczenie go w Sądownictwie:

„Uspodobiony tak w szkołach (pisze) jak i przez więcej jak trzyletni pobyt w Uniwersytecie Lipskim, w tém wszystkiém, co tylko dobrém i piękném być uznałem, w szczególności zaś w naukach potrzebnych do Wydziału sprawiedliwości, której całkiem poświęcać się umyśliłem, nie małej ztąd doznaje pociechy, że przebywszy takim sposobem drogę raz obraną, i nie opuściwszy niczego, co tylko z moim mogło być pożytkiem, stanąłem nareszcie na tym stopniu, że ile sobie pochlebiać mogę, wolno mi jest owoce prac moich, ponieść na usługę krajowi.“

Od roku 1814 do 1842, doszedł w hierarchii sądowej do stopnia *Referendarza Stanu i Referenta przy Ogólném Zebraniu Warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu* (1). Od pierwszych lat młodzieńczych, już poczuł powołanie wyższe poetyczne swoje. Posłuchajmy co sam nam o tém mówi:

„Ku schyłkowi roku 1809, a zatem za dni już dzisiaj odległych, jeden ze starszych uczniów *Liceum Warszawskiego*, przyniósł nauczycielowi języka i literatury polskiej, jako robotę szkolną własnego utworu, przekład *Bogów Grecyi* Szyllera, téj najświetniejszej gwiazdy, co z owczesnego nieba poezyi, przed lat właśnie czterema, bezpowrotnie zstąpiła. Zeszyt ucznia leży dzisiaj przed oczyma jego zażytych, z tym samym pożółkłym papierem i tym samym pobladłym atramentem; poniżej tych kilku kartek, w miejscu na zdanie nauczycielskie przeznaczoném, stoi samotna głoska *L*, położona piórem autora *Historji Literatury Polskiej* Feliksa Bentkowskiego, i oznacza tyle co *legi*. To nie było zachętą dla ucznia, aby tę pracę wynosił pod krytykę publiczną swych ziomeków, nie odpowiadała mu ona prócz tego godnie wielkości wzoru, który podziwiał i jakby dla złagodzenia sądu dla niej, nazwał ją tylko *przekładem wolnym*. W rok potem opuścił chłopiec szkoły i rozpoczął studia uniwersyteckie. O! gdyby jak drudzy szczęśliwsi mógł był pójść za popędem ducha wrodzonym! Ale nie! w krainie swego ulubieńca (Szyllera)

(1) Szczegóły służby rządowej Minasowicza, znajdzie czytelnik w *Życiorysach znakomitych ludzi*. Tom II str. 217, gdzie je w zupełności umieściłem.

musiał jak i on niegdyś potłumiać w sobie wszelkie wyższe dążenie, sposobić się do przyszłego stanu swojego, i odlogiem puścić to pole, które właśnie najżyźniej się do niego uśmiechało. W pobliżu Lipska, w wiosce *Golis*, gdzie Szyller hymn do *radości* wyśpiewał, zajął on skromną izbedkę, ocienioną jaworem i lilakami, i wyszukując, kiedy go unużyły pandekty, ścieżek stopami boskiego wieszczki deptanych, pijąc powietrze którym on oddychał, trzeźwił się w martwości powołania swojego, ale nienajskuteczniejsze obrał lekarstwo. Nie zastygło prawda już nigdy, co raz w piersi jego zawrzało, ale nie baczył, że się coraz więcej zagrzewa, a stosunki życia, wołały coraz natarczywiej. Lat cztery na Uniwersytecie przebyte, ledwo kilka przekładów rzucić na papier pozwoliły. Wróciwszy do kraju, bolał już tylko nad tem, że nikt z ziomeków w mowę ojczystą jakiegobądź wiersza Szyllera nie przeniósł, a on radby był, żeby go wszyscy znali, żeby go wszyscy podziwiali. Tem powodowany, ośmielił się we dwa lata po przybyciu swoim dać do *Pamiętnika Warszawskiego* (1816 r.) balladę *Nurek*, *Godność niewiast* i hymn do *radości*. Tym razem ziściło się czego pragnął. Od czasu do czasu wystąpił ktoś z poetów głośnych z przekładem tej lub owej poezji Szyllera; a najwięcej zbiegło się, ile uważałem, w wyborze *Idealów*, *rezygnacyj*, *bogów Grecyi* i rycerza z *Toggenburga*; a ów tłumacz z roku 1809 mówił do siebie: „piszą, drukują, to dobrze, Szyller będzie znany i u nas.“ A i on także pisał czasami, tylko że już nie drukował. Ale praca jego nie postępowała skorzej jak wprzódy, bo godziny zabierała służba, bo troski domowe swobodę myśli cisnęły, i czasem rok się przechylił, i szczupły tylko plon był po nim, a przebiegł drugi i trzeci, że się i pióra do ręki nie wzięło. Ale to jeszcze nie wszystko, z każdym krokiem dalej, praca stawała się trudniejszą, bo coraz więcej wnikał w ducha wybrańca swojego, coraz więcej uczuwał, ile to potrzeba, aby dosięgnąć głębi myśli jego, ogarnąć całą moc uczuć jego, podolać wszystkim odcieniom wyrażień, tego mistrza, wszystkich mistrzów stylu. Wkrótce przekonał się także, iż poezje Szyllera, małą z nich liczbę wyjąwszy, nie mogą być przekładane tylko z zachowaniem całej ich miary pierwotnej, bo ta jak ciało z duszą, nierozzerwanemi spojona jest z niemi ogniwy. Świat cały stoi na danym sobie przed wiekami wieków wymiarze: słońca, te bardy pierwszego z sześciu dni stworzenia, dziś jeszcze odgrywiają chór, według tego samego taktu, jaki im Boski palec Przedwiecznego odważył, grom i orkany podług niego huczą i skowronek dźwięczy w eterze, i zdroik luloce podług niego, i niemowlę się kwili, i matka na jego powieki sen pokrzepienia serdeczną piosenką zwoływa, a każde po swojemu, inaczéj strumyk jak ocean, i matka nie laje jak burza. Jest taki metronom i w sercu poety, bo to serce jest także światem. Kiedy jemu świat ten przyjdzie jawić, wtedy on *słowo*, to ziarno wygrzane ciepłem jego duszy, ten wątek pochodzenia boskiego, *wcielić* wprzódy musi, aby zamieszkać mogło między ludźmi, a ciało nie jest okruczem choasu, ma swoją postać, ma wagę swoją i rozmiar, i ciało jest ciałem *dla tego*, że jest *w czasie i przestrzeni*. I otóż mamy przed sobą poezją!

Z takiego stanowiska poglądując, tak pojmując, Szyllera, nie dziw, że dał najwyborniejsze przekłady wielu poezji tego najpotężniejszego jenjuszu Niemiec (1). Przekład liryk Szyllera jest

(1) Wyborny rozbiór i ocenienie przekładów Szyllera Minasowicza dał nam Aleksander Tyszyński. Patrz Bjblio: Warszaw: 1849 r. Tom 3-ci.

zaprawdę jedną z głównych zasług poetycznych Minasowicza, lecz nieostatnią, bo i operze krajowej wielce się zasłużył, miarowym tłumaczeniem trzech lirycznych dramatów: *Precyozy, Otella i Niemę z Portici*. Na czele tych przekładów stawiamy *Precyozę*, dramę liryczną *Wolfa*, z muzyką *Webera*, przedstawioną na teatrze Warszawskim po raz pierwszy d. 17 Marca 1827 roku. Po Osińskiego przekładach, po Felińskiego *Barbarze*, Minasowicz wystąpiwszy prawdziwie poetycznym *słowem*, a cudnym językiem, wszystkich oczarował. Nie wyniósł się on samotwórczymi utworami, ale jako wyborny tłumacz, jako mistrz w władaniu językiem rodzinnym, podniosłe zajął stanowisko w dziejach literatury naszej. Od czasu pierwszego swego wystąpienia 1816 roku w literackim zawodzie, Minasowicz odrzuciwszy błache formy *klasyckości*, w czasie największej ich powagi, okazał tém samodzielność ducha, to téż mu nie było trudnem podążać na równi z postępem idei literackich. Jako mąż pełen uczucia poezji, mężką mową, umiał je tylko okazać: dla tego, owe miłośne świągotania niemieckie, żale serca, tęsknoty po stracie urojonych kochanek pieszczochów literackich, nie przystały do niego. On widział i pojmował wyższy cel poezji, nad samo mgłę opiewanie miłości, rozumiał tę nieprawdę naszych wierszopisarzy, co bez rzewnego uczucia, kłamali przed światem, i przed sobą urojone cierpienia. Ani dał się uwieść modzie, w chwili przewagi *romantyzmu* owemi *balladami i romansami*; szedł raz obroną drogą z przeświadczeniem uczucia *piękna* w dziedzinie poezji. Maluje on cudnie swoją myśl w wierszu, p. n.

Na Łodzi.

„A wy śpiewacy dajcie dłoń! już dość *nokturnów, skerców* dość,
Już wyrosł, co im klaskał, świat, dziś mógłby gwizdać; trzeba rość!
Nie kto zmysłowość, przesył mdły, lub gorzką waśń wyspiewa z kart,
O nie! — kto czysto, wzniosło tchnie, kto piękność czci, ten chwały wart.

Jak słowik ów. nim błysnie Maj, przywabia śpiewem błogie dni,
Tak z dźwiękiem gęśli, w bieli szat, wasz wielki wiek, zwiastujcie wy!
Niech brzmi lechickich piewców chór, niech uczy stare cnoty czci.
A myśl przejrzystą w nim jak zdrój; — jak miecz ma wyraz trafnym być!

To nie powiedzą, kiedyś tam: był kraj, a wieszczów brakło mu,
Posnęło wielu .. wiecznie śpią: to inni budzą się ze snu!
Widzicie? tam i tam. . i tam! rumieni się jutrzeńka dnia!
I wita ją skowronków pieśń — a mnie coś mówi, że i ja “

Pojął więc dobrze powołanie poezji, i słuszną mógł mieć nadzieję, że imię jego w pamięci wdzięcznej zostanie.

Minasowicz blisko przez lat 20 mało co drukował, w pismach peryodycznych odzywał się kiedy niekiedy, a czytająca publiczność przyjmowała każdy jego utwór z zajęciem, nieraz z oklaskiem, i dobrze znała cyfrę *J. D. M.* którą skromnie się podpisywał. Wydał najprzód oddzielnie *Precyozę, Otella i Nieme z Portici*. W roku 1844 wyszły pisma jego zebrane razem p. n.

„*Twory Józefa Dyonizego Minasowicza*“ 4 tomy w Lipsku, 8-vo z wizerunkiem wielce podobnym autora. Zawierają w sobie, Drammata: *Zagadkę, Precyozę, Otella i Nieme z Portici*;

poezye oryginalne, naśladowane i tłumaczone: Tom 4-ty cały zawiera poezye Fr. Szyllera po polsku (1). W roku zgonu swego umieścił w *Album Malowniczym* przekład z Szyllera: *Przechadzki między lipami*; z własną przemową, w której widzimy jeszcze całą potęgę jego myśli i ducha, jakkolwiek blizkim już był grobu, grobu godnego naszego żalu i trwałego wspomnienia! (2). Umarł w 57 roku życia, w pełni i czerstwości ducha, strawiony potęgą uczucia, które jeżeli nianęczy rozkosznie swoich ulubieńców, to rade zabija ich zawczasie. Minasowicz lubił czytywać swoje utwory w dobranym gronie przyjaciół i znawców; deklamacya jego silna, dosadna, wyrażała wymownie równie silne uczucia, których zasób skarbił jego serce, i rozwijał polot jego myśli poetycznych. Tkliwy i czuły mąż, równie jak ojciec w rodzinnym kole i w przyjaciół gronie, okazywał w całej szczerocie tę szlachetność, prostotę, wzniosłość duszy i potęgę myśli, którymi nacechował utwory swoje. Nabywszy dobra Potycz niedaleko Warszawy, w rozkosznym położeniu nad Wisłą, urządził dla siebie i rodziny swojej willę pełną wdzięku. W różnych ustroniach pięknego ogrodu pozostawiał napisy: przywiedziem tu tylko jeden na kamiennym kompasie, który do siebie mógł zastosować:

„A chociaż które z godzin od chmury przygasną,
Będą dla tego jasne, jeśli w sercu jasno.“

W katakumbach spoczywają także rodzice jego. Napisy następne sam układał tłumacz Szyllera:

1.

„Tu spoczywają zwłoki **Augustyna Minasowicza**, niegdyś Prezesa Rady Municypalnej b. Księstwa Warszawskiego, Vice-Prezesa Trybunału Handlowego Województwa Mazowieckiego i Sędziego Pokoju Powiatu Miasta Warszawy. Urodzony dnia 28 Sierpnia 1765 roku, zmarł dnia 31 Października 1833 r. Bóg niech przyjmie sprawiedliwego do chwały swojej, ziomkowie zasług czterdziestoletnich nieprzepomną, a żona i dzieci jego, tę mu doczesną pamiątkę wiecznego żalu stawili.“

2.

„Matko! ty to wyjednasz. zobaczymy Ciebie:
Lecz gdy tu byłaś niebem, czémże będziesz w niebie?“

Dzieci ś. p. **Agnieszki Minasowicz**ej, córki Józefa Dulskiego i Elżbiety z Turobojskich ziemian z Podola, urodzonej w Owieńsku r. 1768; zaślubionej Augustowi Minasowiczowi r. 1791, zmarłej w Warszawie d. 4 Października 1844 r. Ciało najmilszej matki, obok czcigodnych prochów ojcowskich złożyły.“

„**JAN KLEMENS MINASOWICZ** ARTYSTA MALARZ, URODZONY DNIA 24 LISTOPADA 1797 ROKU, UMARŁ D. 3 GRUDNIA 1854. PRZECHODNIU! WRĘCZNIJ DO BOGA ZA DUSZĘ JEGO.“

Brat rodzony, młodszy tłumacza Szyllera, po ukończeniu szkół, zapisał się jako uczeń na wydział sztuk pięknych w Uniwersytecie Warszawskim. Oddany z zapalem mu wrodzonym sztuce,

(1) Mieszczą się tu także: *Pieśni nabożne*, do śpiewania przy organie, które pierwój wydał w roku 1825 z ważną i ciekawą przemową.

(2) Zobacz życiorysy. Tom 2-gi.

uksztalił się następnie w malarstwie za granicą. Najwięcej malował z natury portretów olejnych; niektóre z nich dowodziły o niepoślednim, prawdziwym talencie artystycznym. Kilka pięknych utworów jego pędzla, oglądaliśmy na wystawach dzieł sztuk pięknych przed r. 1830. W dwudziestu kilku latach życia, kiedy był jeszcze w Uniwersytecie Warszawskim, pokazały się w nim lekkie ślady obłądu umysłowego. Unikał ludzi i żył samotnie. Ci co go z bliska znali, wiedzieli, że powodem tego, była miłość nieszczęśliwa. Młoda, piękna kobieta, którą przypadkiem ujrzał na nabożeństwie, zapaliła w nim pierwsze uczucia silnej miłości. Nie znalazł jej, słowa do niej nie wyrzekł, i pierwszy i ostatni raz się więcej tylko zbliżył, ale do jej trupa, gdy wiedziony szczególnym instynktem, widząc wieko trumny wystawione przed domem, poszedł odmówić modlitwę za umarłych. Przy pomocy kolegów z wydziału lekarskiego, dostał jej czaszkę, która go odtąd nigdy nie opuściła i po jego zgonie, wraz z nim pochowaną została (1). Ale obłąd ten, był lekki, niewidoczny; w pracy wracała mu cała trzeźwość myśli, cała swoboda umysłowa. Za powrotem z zagranicy, szczególnie po śmierci swoich rodziców, zaczął więcej dziwaczyć. Doświadczywszy od wielu, tych których miał za swoich przyjaciół, smutnego zawodu, gdy znaczną część majątku dla nich i na ich gorące prośby rozpozyczywszy, nigdy nie odebrał, a za wyświadczoną pomoc, otrzymał nikczemną niewdzięczność i szkalowanie tylko; odosobnił się zupełnie od świata, mało się nawet własnej udzielając rodzinie. Mieszkania raz zajętego nie zmieniał, służącego nie trzymał, sam sobie chciał wystarczać. Z latami oszczędność posunął do wysokiego skąpstwa; w zimie mieszkania nawet nie opalał, w którym pająki z kurzawą wszechwładne, roztoczyły panowanie. Podejrzliwy, lękając się utraty zachowanych pieniędzy, zamykał się szczelnie, nikogo nie wpuścił do siebie, bez poprzedniego sprawdzenia przez okienko zakratowane, we drzwiach umieszczone. A jednak w tych przystępach dziwactwa, nie mógł i nie umiał się wyrzec wspierania ubóstwa. Gdy to piszę, patrzę na dwie książeczki zapisane ręką Klemensa Minasowicza, jakie pozostały w jego papierach, wiele ich bowiem nieogłędnie spalono. W pierwszej spisywał sobie imiona i nazwiska biednych wraz z numerem ich zamieszkania i téj dał napis: *Informacya o potrzebujących wsparcia*. W drugiej same wydatki dla biednych, a na pierwszej karcie czytamy cytacye: „Czyń jałmużnę majątności twoich, a nie odwracaj oblicza twego od żadnego ubogiego, że ani od ciebie nie odwróci się oblicze Pańskie. Tobiasz 4, v. 7.“ „Na lichwę dają—kto ma litość nad ubogim“ przyp: 19—17. Notatki te zaczynają się od roku 1846 (z lat jak widzę poprzednich, zniszczone) i ciągną się aż do 7 Listopada 1854, to jest na dni 26 przed śmiercią naszego artysty.

W grubiej jesieni, na początku Grudnia, gdy dni kilka drzwi zaparte były, a Minasowicz nie ukazywał się wcale, zwróciło to uwagę sąsiadów, siłą drzwi wysadzono i znaleziono go niezwykłego. Był obwinięty futrem, na stole leżała recepta.

„W parę dni po jego śmierci, gdy wiadomość ta po całym rozeszła się mieście, spostrzeżono na schodach nieboszczyka, gromadkę podeszłych niewiast, gorzkimi zalanych łzami, których łkania przerywały słowa jako i błogosławieństwa. Spytane o przyczynę smutku, odpowiadały,

(1) Szczegóły tego wypadku podaliśmy we wstępie do katakumb Powązkowskich.

że zmarły był ich ojcem, opiekunem, dobrodziejem, że je wspierał stale oddawna, gdy przyciśnięte wiekiem i nędzą, zapracować już nie mogli na utrzymanie (1).“

Minasowicz zostawił piękną galeryę obrazów i zasobny księgozbiór. W roku 1852 wydał *Śpiewy duchowne* i inne poezye religijne z najznakomitszych francuzkich poetów, które sam wiersem przełożył. Oprócz obrazów i książek, zostawił wielki zasób bulek, wypieku Warszawskiego w rozmaitych kształtach i z różnych lat, oraz obfity zbiór kartek pogrzebowych, od r. 1819 począwszy (2). Zbiór ten przez lat 12 zgromadzany, starał się uzupełnić i gdy sam kartki nie otrzymał, zbierał takowe z rogu ulic i składał razem. Często odwiedzał *Cmentarz Powązkowski*, przepisywał nagrobki i czasem rysował; spotykałem go tu nieraz. W papierach po zmarłym, żaden ślad téj pracy niepozostał.

„ZWŁOKOM Ś. P. **ANTONIEGO OSTROWSKIEGO** SĘDZIEGO APPELLACYJNEGO KRÓLESTWA
POLSKIEGO. ZMARŁ D. 27 PAŹDZIERNIKA 1855 R.

Tu żona z dziećmi swemi i przyjaciół gronem,
Złożywszy zwłoki Męża, Ojca, Przyjaciela,
Łzy czułości nad jego wczesném roni zgonem,
Bo stracili w nim wszystko — kraj cnoty czciciela

(*Kamień czasem podniszczony, w średnich katakumbach wprost nagrobku Cypryana Godebskiego*).

Antoni Ostrowski urodził się w roku 1767 w Sławoszewie, dawném Województwie Łęczyckiem, z Wojciecha Grzymaly Ostrowskiego i Balbiny z Czarneckich. Pierwiastkowe wychowanie odebrał w szkołach XX. Pijarów, po ukończeniu których, gdy książe Antoni Prymas Ostrowski, arcybiskup Gnieźnieński, wyjechał do Frankfurtu nad Odrą, dla poratowania zdrowia, towarzyszył mu w téj podróży młody Antoni, aby pod jego okiem, jako bliski jego krewny, w sławnej na te czasy Akademii Frankfurtskiej rozpoczęte nauki, dokończył, i do zawodu publicznego usposobił się. Pilność w naukach skróciły czas pracy; po dwóch latach pobytu w Frankfurcie, wrócił Ostrowski do kraju i zaraz w roku 1792 mając lat 25 życia, przez wybór wolny na sejmikach, został wybranym Komissarzem cywilno-wojskowym, a następnie Deputatem na Najwyższy Trybunał Koronny Piotrkowski z Województwa Łęczyckiego.

Zdolność i gorliwość młodego jeszcze Deputata, panujący Stanisław Poniatowski dostatecznie ocenił, mianując go w tymże samym roku kawalerem orderu ś. Stanisława; aby mu zaś dał większy dowód swojej królewskiej łaski, order wspomniany, przesłał mu niespodzianie do Piotrkowa na kadencją trybunalską, przez ręce Stadnickiego Starosty Ostrzeszowskiego. Wkrótce wszakże nastąpione zmiany polityczne, wytrąciły Ostrowskiemu sposobność służenia dalej ojczy-

(1) Dziennik Warszawski Nr. 27 z 1855 r. Sprostować należy błędne doniesienie z wyjątkiem przytoczonego ustępu o Minasowiczu, co ten Dziennik podał. Nasze wiadomości są poczerpnięte z najpewniejszych źródeł.

(2) O tym zbiorze znajdzie czytelnik oddzielny ustęp w tém dziele.

nie. Po roku 1795 Województwo Łęczyckie zajęte zostało przez Prusaków; Ostrowski wtedy uchylił się od publicznego zawodu i na rodzinnym osiadł zagonie. Tu w zaciszy wiejskiej przy pracy rolniczej domowego zakosztował szczęścia, pojawiwszy w małżeństwo Brygidę Zabokrzecką, kobietę z zacnego domu w Województwie Łęczyckim, pełną cnót i poświęcenia, która mu życie, ciężkimi przeplatane chorobami, przez lat 23 osładzała i sześcioro dziatwy wychowała.

Po wkroczeniu wojsk francuzkich, wrócił do obowiązków i został mianowany Prezesem Izby Wykonawczej Powiatu Brzezińskiego w roku 1806. Konsyliarzem Sądu Appellacyjnego Departamentowego w roku 1807. Sędzią Trybunału Cywilnego Departamentu Warszawskiego w roku 1808. Od roku zaś 1812 do 1817 w czasach najtrudniejszych wojen i zamieszania, przewodniczył jako Prezes Trybunału Departamentu Warszawskiego; ale podupadły na zdrowiu, nie mogąc wydolać mozolnym pracom Naczelnika Magistratury, przeniósł się w roku 1817 na spokojniejsze miejsce Sędziego Appellacyjnego. Nie tu jednak koniec jego zawodu. W r. 1818 zwołany został pierwszy sejm, sejm wskrzeszonego Królestwa. Ostrowski ożył nadzieją, z rodzinnego swego Powiatu został wybranym posłem i zasiadł ławy Izby Poselskiej, jako reprezentant na dwóch sejmach w latach 1818 i 1820 pod łaską Marszałków Wincentego hr. Krasińskiego i Rajmunda Rembielińskiego odbytych. Dyaryusze sejmowe z ówczesnych lat, zapisały na kartach swoich jego imię, jako prawego i światłego posła, a mowy jego miane przy wprowadzaniu i roztrząsaniu projektów do prawa hipotecznego i kryminalnego, pozostaną jako niezaprzeczone świadectwa, że się dobrze powszechniej sprawie zasłużył, i że powołanie pełnomocnika narodu rozumiał. Kiedy w roku 1817 Ostrowski przeniósł się do Sądu Appellacyjnego, był to ów czas świetny dla sądownictwa krajowego. Zasiadali w tej wysokiej Magistraturze mężowie nauki i cnoty: Belejowski, Galecki, Żaluski, Sokołowski, Węgrzecki, Podoski, Łubiński Adam, Ostrowski, Urmowski, Ustrzycki, Grotowski, Prażmowski, Akalowski i Brzozowski. Sąd Najwyższej Instancji Królestwa bywał pod prezydencją cnotliwego Kasztelana Wiśniewskiego, składali go: Dominik Borakowski, Wolicki, Plichta, Pilchowski, Bienkowski, Chelmicki, Młodzianowski, Gruszecki i Jałowicki.

Może nie jeden z dziś żyjących, przypomni sobie jeszcze owe posiedzenia, kiedy Pisarz Sądowy ogłaszał zapadłe wyroki, jak na licach każdego z tych dostojnych sędziów, malowała się ta poważna spokojność i ta sumienia pewność, że sądził sprawiedliwie. To też wstępując wówczas do świątyni sprawiedliwości, mimowolnym bywałeś przejęty uczuciem czci i poszanowania, bo tak zawsze opinija publiczna wynagradzała i wynagradza zasługę i cnotę. Wszyscy prawie dopiero co wspomnieni mężowie, na Powązkowskim legli Cmentarzu; nie jeden z nich nie doczekał się pomnika. Schowani w matce ziemi, którą serdecznie ukochali, i której wiernie służyli, niechaj tu za marmur i złocone gzymsy, odbiorą w nagrodę te kilka słów, rzetelnym jak ich sumienie, piórem nakreślonych. Nie pomogą tu czcze pochwały, ani też wspaniałe pogrzeby, nie nada blasku ani ród, ani dostojenstwo. Ludzi czynem mierzyć należy, a prawda nie byłaby prawdą, gdyby nie posiadała przymiotu odrzucania wszystkich fałszywych ozdób i świecenia własnym, boskiem światłem.

Jeszcze kilku weteranów tego szanownego legijonu, kołace się na tym Bożym świecie, je-

dni na wysokich senatorskich urządach, inni w domowym zaciszu osiedli, mito im będzie zapewne odczytać te wyrazy odmierzone zasłudze i cnocie (1).

„D. O. M.

CINERIBUS ET MEMORIÆ **STEFANI LUSKINA**, SACERDOTIS VIRI VETERI ORNATISSIMA QUE FAMILIA, PROGNA TI HIC IN COETU SOC. JESU, DUM LICUIT SIC VIXIT UT MORIBUS DOCTRINA PRUDENTIA OMNES OPTIMI VIRI PATRES ABUNDE EXPLERET UTILIUM DISCIPLINARUM CULTURA PATRIÆ GUBERNANDI, PERITIA SACRO COETUI CONSCIENTIÆ ARBITRIIS. STANISLAO REGI D. LITH. INNOCENTIA VITÆ PRISCA, MORUM SEVERITATE. OMNIBUS SESE PROBAVIT EGENTES EFFUSSIMÆ LIBERALITATIS PATRONUM RELIGIO, PIETAS QUE VINDICEM ACERIMUM AMISSUM, LUGENT.

VIXIT A. LXVII. M. VII, D. XXII, OBIIT A. MDCCXCIII, XXI AUG. “

Stefan Odrowąż Łuskiną, szlachcic Witebski, z zamożnej rodziny na Biało-Rusi, urodził się około roku 1724, skończył nauki w Akademii Wileńskiej, i wstąpił w bardzo młodym wieku

(1) Wspominając o ówczesnym Sądownictwie, mimowolnie cisną się pod pióro, nazwiska świątłych i cnotliwych a dziś już nie żyjących, obrońców Sądowych, jakimi byli Patronowie Trybunału: Piotrowski, Nowicki, Mikołaj Chudzyński, wszyscy trzech uczniowie dawnej Palestry, wszyscy trzech kontuszowce; ostatni z nich Chudzyński kochany i szanowany od wszystkich, dożył lat dziewięćdziesięciu i do ostatniej chwili przed kratkami sądowymi zawsze z wylotami stawał.

Pamiętam ową posad szczupłą, usługłą, owego staruszka jowialnego, jak nie raz w wstępowej izbie, umiał się dzielnie odcinać młodym i niewinnie z niego żartującym prawnikom. Pamiętamy go, jak wszystkich kolegów nieobecnych w razie potrzeby chętnie zastępował: powszechnie ojcem od nich nazywany. Pamiętamy jak tabaki nie zażywał, bo tabaka zdaniem jego był niemiecki wymysł, a Niemców z natury niecierpiał. Bywało, że koledzy namówiwszy się, jeden po drugim, częstowali go tym specyalem, rozumiał staruszek sędziwy te żarty, jednak nie uchybił żadnemu w grzeczności i palcem tabakierki dotykał się. A kiedy już wiek i praca pochyliły zgrzybiałego i mniej mu w końcu powierzano obron, wspomagali go młodszy, nadsyłając mu lżejsze sprawy. Najpamiętniejszy wszelako i godny wspomnienia żart, który zarazem wyświecił piękną duszę tego weterana sprawiedliwości, był ów, kiedy koledzy jego krótko przed śmiercią, przysłali mu nieznanego człowieka jako klienta z podrobionymi dowodami i dobrą wynagrodzeniem. Przejrzał staruszek skwapliwie papiery, a dostrzegłszy w nich krzywdę przeciwnej strony, umiósł się gniewem, zwrócił klientowi papiery i pieniądze, i odpowiedział: „Mospanie, mnie już dymissję dano, ale idź do szatana, on ci się chyba tej sprawy podejmie.“ Rzadkiej poczciwości człowiek, doczekał się też rzadkiego a może jedynego dla obrońcy zaszczytu, kiedy całe sądownictwo, wszyscy prawie ówczesni dygnitarze, obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz jego obrończego zawodu, a on na pierwszym miejscu posadzony, odbierał hołd należny cnocie i sędziwemu wiekowi, i błogosławił młodszemu pokoleniu.

Nie mogliśmy się dowiedzieć o czasie zgonu Mikołaja Chudzyńskiego, i o bliższych jego rodu dotyczących szczegółach: przypadł on jak wnosimy między latami 1825 a 1828. Pochowany na cmentarzu Powązkowskim, między tysiącami swoich klientów, których mienia bronił, dla siebie cnotliwy staruszek niezapracował tyle, aby mu skromny krzyżyk postawiono (1).

Do rzędu szanownych postaci, należał wówczas adwokat Orchowski; uczony to był człowiek i biegły prawnik wysoko ceniony przez wszystkie warstwy społeczeństwa; ten wszelako, ile sobie przypominamy, wydalil się za granicę około roku 1815 lub 1816, w celu naukowym i znikł, niedawszy o sobie żadnej wiadomości. Znajomy to był mąż światu uczonemu, mniej jako prawnik, więcej daleko jako literat, filozof i publicysta.

Ci zaś co stale i ciągle w obrończym zawodzie pracowali wówczas między latami 1808 i 1830, których imiona godne wspomnienia dla wysokiej nauki i doświadczonej cnoty; byli: mecenas: Tomasz Świącki, Szymon Grochólski i Franciszek Ziemięcki, palestranci; a dalej Zwierzchowski, Franciszek Stawiarski i Antoni Łabęcki, Kiedrzyński, Kawczyński, Wasutyński, Wołowski Franciszek, uczony Kozłowski, Mędrzecki Józef, Wisniewski, Wągrowski, Bogusławski i młodzi Dominik Krzywoszewski, Tarczewski, cnotliwi: Jakób Szróder, Antoni Majewski i Michał Torosiewicz.

(1) Szczęśliwym trafem, wpadła nam kartka pogrzebowa, po zgonie tego zacnego człowieka wydrukowana; brzmi ona w słowach: „Przypomnienie s. p. Mikołaja Chudzyńskiego, Mecenasa Sądu Najwyższej Instancji Królestwa Polskiego, zmarłego dnia 23 b. m., zapraszając kolegów i znajomych na eksportację dnia 26 b. m. o godzinie 4 po południu, z domu pod Nr. 175 przy ulicy Nowomiejskiej na cmentarz Powązkowski.“ Dany niemasz roku na tej kartce, dla tego z pewnością go oznaczyć nie możemy.

do zakonu Jezuitów. Po dwóch latach nowicyatu, gdy okazał nadzwyczajne zdolności do matematyki, wyjechał do Rzymu i o własnym koszcie odbył podróż we Włoszech, Niemczech i Francji. Wróciwszy do kraju w roku 1761, rozpoczął obserwacje astronomiczne. Wkrótce wezwany przez sędziwego króla Stanisława Leszczyńskiego do Nancy, na spowiednika: opuścił Polskę. Po śmierci króla wrócił do kraju, ze sławą wielką uczoneści. Adam Naruszewicz przyjaciel Łuski w wierszu do niego, tak sławi zasługi tego Jezuita:

„Czyś młódź w naukach rozmaitych ćwiczył,
Czyliś astronom biegły, gwiazdy liczył,
Czyliś spraw bronił, idąc prawdy torem,
Zostałeś pierwszym prac i męztwa wzorem.“

Był rektorem Kollegijum Warszawskiego Jezuitów przez lat trzy, a Stanisław Poniatowski nadał mu tytuł *Astronoma Królewskiego*. Przyjaciel Franciszka Bohomolca, pracował z nim razem przy wydawaniu *Wiadomości Warszawskich*. Zniesienie Jezuitów Bułą Klemensa XIV, zatrulo goryczą dni Łuski. Zamieszkał w gmachu po-jezuickim i w drukarni zakonnej, gdy od roku 1773 Bohomolec zdał na niego redakcyę *Wiadomości Warszawskich*, drukował je, którym zaraz w następującym roku dał odmienny tytuł: *Gazety Warszawskiej*. Darowawszy swój majątek rodzinny Jezuitom, później zaczął starannie grosz zbierać. Nie przestał na dochodzie z *Gazety Warszawskiej*, ale na sposób jak dawniej Jezuici, sam zaczął prowadzić handel winem francuzkiem. „Jezuici (pisze Julian Bartoszewicz) mieli w podziemiach swoich, umyślnie na ten cel przyrządzone piękne i obszerne piwnice; po kassacyi zakonu, Łuski podjął się dalej prowadzić ten zyskowny handel winem. Na całym Starém Mieście, tak bogatego składu nie było. Sprzedawał go na kwarty i garnce; pomagał mu laik jezuicki, braciszek Kościeszka. Ksiądz Łuski, znał się na winie i lubił czasem wychylić kilka lampek, zwłaszcza w gronie dawnych przyjaciół. Nie raz też może w piwnicach raczył się smacznym napojem z księdzem Wyrwiczem, Bohomolcem albo Nagórczewskim“ (1). Oszczędzony grosz lokował na bankach, i z przyjacielem swoim Wyrwiczem w tym względzie częste odbywał narady, bo i ten był jezuita, lubił i zbierał pieniądze. Przez bankructwo bankierów stracili obaj swoje zasoby nie małe. Wyrwicz zniósł ten cios z boleścią; Łuski ze śmiechem, podług niego ta strata więcej dotykała spadkobierców, jak samych właścicieli.

Julian Bartoszewicz w dziele: „*Znakomici Mężowie Polscy w XVIII wieku*“ w Tomie I poświęcił obszerny ustęp, wspomnieniu tak samego Łuski, jakoteż charakterystyce jego *Gazety*. Odsyłamy naszych czytelników do tego wybornego studjum naszego badacza, które z wielkim życiem napisane, pełne jest zajęcia. Oddany pracy, przy wydawaniu *Gazety* swojej Łuski, zamieszkałszy w gmachu jezuickim, oddychając jeszcze ciepłą atmosferą ukochanego zakonu, nieznający świata i ludzi, gniewny na Papieża za zniesienie jezuitów; cierpkości swój nie taił, i często z nią się w swém piśmie wynurzał. Rozpoczął walkę z dowcipnemi szambelanami Stanisława Augusta. „Gniewał się na nich (pisze Bartoszewicz) ale w tajemnicy, za Wolterowskie zasady, które wyznawali, a poeci Stanisławowscy, okrzyknęli go za to, za ciemnego fanatyka,

(1) *Znakomici Mężowie Polscy w XVIII wieku*, Tom I str. 261.

jezuitę, prawie inkwizytora. Że na stronie Szambelanów była w ten czas opinja stolicy, ksiądz Łuski, zaczął powoli tracić listek po listku z dawniej swojej sławy, nareszcie upadł pod ciosami śmieszności.“ Opinja ta, idąc z dworu, nieobcą była samemu Stanisławowi Poniatowskiemu. Król, który pragnął wskrzesić u nas wiek Ludwika XIV zbierał uczonych, wydawał czwartkowe literackie obiady, założył teatr, a pragnął z czém się nie tał, szorstkość i barbaryzm staropolski (jak zwano w języku dworskim, narodowość) wygładzić do szczytu, a przykroić wszystko na wzór francuzki; nierad był sarkaniu starego jezuity. Zdarzyła się dobra sposobność, do surowego napomnienia Łuski, który w swój *Gazecie*, zaczął ochydzać stolicę, rezydencyę królewską. Sekretarz wielki koronny Jacek Ogrodzki, z polecenia Stanisława Augusta posłał mu następne ostrzeżenie, które z oryginału własną ręką Ogrodzkiego skreślonego, w wiernym odpisie podajemy (1). „Do Łuski. — w zamku 24 Septembra 1778 r. Z wyraźnego rozkazu Króla Jegomości, sekretarz wielki koronny Ogrodzki, ostrzega Jegomość księdza Łuski, o nieukontentowaniu Najjaśniejszego Pana, gdy czytając wczorajszą Gazetę drukowaną, pod pierwszym artykułem z Warszawy, w opisanu śmierci Jejmości Pani Starościны Czerskiej, której sprawiedliwe jest chwalebne, świętobliwe życie uwielbienie, znalazł te niepotrzebne słowa (*śród Warszawy nawet*) a już to drugim razem, gdy pierwój w *Gazecie* także tutejszej pod Nrem 66 dniem 19 Sierpnia pisząc o śmierci Jejmości Pani Pisarzowej Warszawskiej, Sobolewskiej, wsunione były takż słowa (*że cnoty chrześcijańskie i pobożność tej damy, tym znakomitsze były, iż wśród Warszawy etc.*) Daje się to Jegomości księdzu Łuski do uważenia, że Gazeta nie jest kazaniem, ani wyznaczonym do pisania Gazety cenzorem, ani obowiązany jest swoje wyrażać zdanie nad okolicznościami, o których ma *publicum* uwiadomić; że całe nieprzystoi krytykować obyczaje od tego do kogo to nie należy, że jest nieroztropność, jakaś złośliwość, podawać w obelgę, miasto rezydencyonalne królewskie i w nim tyle zacnych osób przy królu mieszkających. *Quis te fecit doctorem?* Pozwolisz Waćpan zapytać się, i czy masz to w swoim przywileju, (2) gdy Waćpanu powierzona jest pilność i staranie wiadomości publicznych. Jeżeli będziesz kaznodzieją, wtenczas z miejsca swego, *ex cathedra increpa, corrige ea*, lubo i kaznodzieja powinien być uważny i roztrópný. A piszący Gazetę, powinien znać ograniczenie swoje. To wszystko tedy, co zgorszyło i króla Jegomości, i wszystkich czytających Gazety Waćpana, nie jeden raz już, chciój rozważyć, poprzestań podobnego urągania, *et amplius noli peccare*; bo sobie zaszkodzisz, a to ostrzeżenie przyjmiej tak dobrze, jak Waćpanu piszący dobrze życzy, szanując jego talenta i osobę poważając.“ Ostre to napomnienie było wiadomém całemu dworowi: Trembecki w kształcie listu, ze zwyczajną sobie dosadnością, wysydzil redaktora Gazety Warszawskiej, radząc mu, żeby lepiej szynkował winem, albo szczury z gmachu jezuickiego opędzał, a nie wdawał się w światowe sprawy, których nie zna i niepojmuje (3). Kajetan Węgierski w jednej z satyr swoich, tak odmalował pobożnego jezuitę.

(1) Młyn J. Bartoszewicz napisał: że Ogrodzki dwa listy do Łuski pisał, bo w Autografach, któreśmy temu badaczowi pokazali, był tylko jeden jaki tu podajemy, ponieważ nigdzie nie był drukowany, w całości go załączamy.

(2) Łuski miał wyłączny przywilej Królewski na swoją *Gazetę*, wydany mu w roku 1773.

(3) Czytałem ten wiersz nigdzie nie drukowany, udzielony mi przez ś. p. Tomasza Świąckiego.

„Pełny śmiesznych konceptów, ucieszny Łuski
 Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina,
 Za to że Jezuitów wyrokiem obala,
 Zły na Ganganellego, szkaluje Pompala.
 I będąc, w ostrzeżeniu każdej wady pilnym,
 Powiada, że choć Papież, Klemens był omylnym.“

W wierszu zaś do Helmana Wielkiego Litewskiego Ogińskiego, w duchu ówczesnych pojęć pisanym, mówi:

„Nie wiem prawdziwie Mospanie Hetmanie
 Co się na tamym świecie ze mną stanie,
 Książd Łuski powiada i wierzyć mu trzeba,
 Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
 Cóż robić, kiedy w księgach mego przeznaczenia,
 Tak stoi: wyrok losu ciężko się odmienia.“

Zarty te potępiały coraz więcej w opinii Łuski, a dobił się rzecz można, własną ręką, gdy wystąpił w swój *Gazecie* z błogosławieństwem zwyciężczych naówczas Targowiczaków. „Przeżył chwile sejmu wielkiego, przeżył Wyrwicza, swojego przyjaciela, przeżył marzenia Rzeczypospolitej, doczekał się końca konfederacji Targowickiej i sejmu Grodzieńskiego, ale umierał jeszcze za panowania Szczęsnego Potockiego i marszałków Targowickich“ (1). Umarł w Warszawie dnia 21 Sierpnia 1793 mając lat 67, miesięcy 7 i dni 22, jak mówi napis grobowy w katakumbach powązkowskich (2).

Przyjaciele położyli mu ten kamień, z napisem, któryśmy podali. Zaraz po śmierci Łuski rozniosła się wieść na Starém-Mieście w Warszawie i w pobocznych ulicach gmachu jezuickiego, że duch jego często się błaka i był powielokroć widywany, jak przechodził długie korytarze kollegium, i zaglądał nawet do drukarni, w której się jego gazeta odbijała. W rok po zgonie Łuski, gdy w Warszawie wrzała krwawa walka, blada i pochylona postać jezuita, miała być widziana przy samej wieży kościoła jezuickiego, z tej wysokości poglądał na miasto smutno a długo. Zkąd te wieści powstały, niewiadomo, bo Łuski przez cały swój żywot, odznaczał się prawdziwą pobożnością.

„ANDRZEJOWI BRZEZIŃSKIEMU BYŁEMU SZEFOWI BATALJONU I VICE-KOMENDANTOWI GWARDYI NARODOWEJ WARSZAWSKIEJ, POTEM PREZESOWI WYDZIAŁU ADMINISTRACYJNEGO W TOWARZYSTWIE DOBROCZYNNOSCI, OD ZAŁOŻENIA TEGO INSTYTUTU, AŻ DO ŚMIERCI. OZDOBIONEMU ORDEREM Ś. STANISŁAWA 4 KLASY. JAKO WIERNEMU I DOBREMU MĘŻOWI, ORAZ LUDZKIEMU, PRZYJACIELSKIEMU I DOBROCZYNNEMU W POWSZECHNOŚCI. STROSKANA MAŁŻONKA WRAZ Z FAMILIĄ Z NAJCZULSZYM ŻALEM, TEN POMNIK POŁOŻYLI. ŻYŁ LAT 54, UMARŁ D. 12 LISTOPADA 1819 R.“

Andrzej Brzeziński był właścicielem domów w Warszawie Nr. 422 przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, i Nr. 626 przy ulicy Koziłej, obok Poczty. Tutaj to żona jego założyła wyszynk piwa i sławną na całą Warszawę kawiarnię, gdzie główna była stacya akademików, i wszystkich literatów w tém mieście osiadłych. W tym cichym i spokojnym zakątku, a od 7-jej godziny rano już przepelnionym młodzieżą, co na śniadanie posilała się wyborną kawą; od godziny 3-jej po

(1) J. Bartoszewicz.

(2) Podług tego napisu sprostować mylnie podany wiek w dziele J. Bartoszewicza.

południu, zbierało się liczne grono literatów, tak dla czytania wszystkich pism peryodycznych ówczesnych, jak dla zobaczenia się i milój pogadanki. Tu się zapoznał bliżej z ś. p. Tomaszem Święckim, Sewerynem Goszczyńskim, Bronikowskim, Podczaszyńskim, z wielą starymi wojakami jak i artystami naszymi (1). Kawiarnia ta, nosiła nazwę właścicielki: „*Kawy Brzezińskiej*,” a chociaż w niej nie wolno było palić fajki, jak w innych miasta naszego kawiarniach; odbywała się niesłychanie, od rana do późnego wieczoru. Młodzież i literaci oznaczali sobie zwykle miejsce schadzki „u Brzezińskiej.” Zaczynała ta matrona wraz z mężem i córką, wracających wojakowskich z kampanij 1807, 1809, i 1813, hojnie wspierała, czuwała nad rannymi, a wyleczonych zapomagała. Później tę szlachetną dobroczynność swoją przeniósła na ubogą i potrzebną młodzież akademicką. To téż imię jej wymawiano z uszanowaniem, na jakie słusznie zasługiwała. Andrzej Brzeziński służył w regimencie Gwardyi Króla Stanisława Augusta jako sierżant, uwolnionym został w roku 1794 w stopniu chorążego. Zajmował się następnie gospodarstwem; w roku 1807 dnia 19 Czerwca mianowany kapitanem w kompanii pierwszej fizylierów w bataljonie 2 Gwardyi Narodowej Miasta Warszawy, postąpił w roku 1811 na Szefa bataljonu i Vice-Komendanta, i zostawał na tym stopniu aż do zwinienia téjże gwardyi, 1813 roku. Od chwili związania się Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie dnia 24 Grudnia 1814 roku, przyjął w niem chętny udział. Jako czynny i gorliwy członek, powołany zaraz został na Prezesa Wydziału Administracyjnego Towarzystwa. W tym stanowisku pełnił swe obowiązki przez pięć lat blisko, aż do zgonu, z wszelką sumiennością i poświęceniem, nie szczędząc przy tém bynajmniej własnych nawet funduszków, aby rozwijający się Instytut, godnie odpowiedział zaufaniu mieszkańców Warszawy, w wspieraniu prawdziwie nieszczęśliwych, podupadłych i chorobami dręczonych. Na przedstawienie Prezesa Towarzystwa Dobroczynności otrzymał order ś. Stanisława. W r. 1819, nominowany został Marszałkiem Zgromadzenia Gminnego Cyrkułu 7 Miasta Warszawy (2). Gorliwość i poświęcenie bezinteresowne Brzezińskiego, zjednały mu chlubny a zasłużony rozgłos. Śmierć jego wzbudziła żal szczerzy, pogrzeb zaś zwłok okazał widocznie, jak mieszkańcy starego grodu Mazowsza, umieją cenić prawość i zasługę rzetelną. Dzień był dżdżysty i zimny, a mimo to tłumne grono tak całego Tow. Dobroczynności, jak ubogich, młodzieży akademickiej, i mieszkańców Warszawy, towarzyszyło żałobnemu pochodowi aż na sam Cmentarz Powązkowski. W katakumbach tutejszych spoczywa drugi Brzeziński tegoż samego imienia, z następnym napisem: „**Andrzej Brzeziński** obywatel miasta Warszawy, opiekun szpitala ś. Jana Bożego, Członek i Prezes Wydziału Administracyjnego Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przez lat 34. Umarł dnia 18 Sierpnia 1848 r., żył lat 64“ (3).

(1) Od roku 1829 zaczęła wchodzić w reputacyą kawiarnia na pierwszym pięttrze w domu dawniej Teppera, a teraz Grabowskiego, zwana technicznie „*Dziurką*“ dla zaułku w którym się mieściła. Tu się zbierali: J. Bohdan Zaleski, który często przynosił nowe utwory poetyczne Tymka Padury w narzeczu mało-ruskiem, czytywał je i unosił się nad niemi; Autor dzieła „*O literaturze XIX wieku*“ M. M. — Żukowski (autor rozprawy o pieśniach ludu umieszczonej w Melitele 1830 r.) Świeżo przybyły z wędrówek po krajach Słowiańskich Andrzej Kucharski i w. i.

(2) Notaty Grzegorza Jaholkowskiego.

(3) Jest tu myłka co do lat, wiele był Prezesem Wydziału Administracyjnego: bo po śmierci pierwszego Andrzeja Brzezińskiego, do 1848 roku, upłynęło tylko lat 29

Z O F J A L H U I L L I E R .

(*Kamień z napisem jaki był, już nie istnieje*).

Stanisław Poniatowski, odbywając podróże za granicą przy poselstwie polskiem, przybył do Paryża. Młody i urodny, znalazł wstęp do najpierwszych domów, w nich to dowiedział się o sławnej kabalarce, Zofii de Pugett Lhuillier i z wielką ciekawością poznania jęj bliżęj, szukał sposobności, aby do nięj wprowadzonym został. Stalo się zadość jego życzeniu; jeden z przyjaciół Poniatowskiego, ułatwił mu te odwiedziny. Zofija Lhuillier położyła mu kabałę i wywróżyła, że wkrótce królem obrany zostanie. Poniatowski odrzekł jęj, że będąc szlachcicem Polskim, ma równe prawo jak i inni rodacy do tronu w Rzeczypospolitęj, w której wybór króla od narodu zależy; ale uważa wrózbę tę za żart przyjemny. Gdyby jednak przepowiednia się sprawdziła, zaprasza ją wcześniej na mieszkanie do stolicy przyszłego swego królestwa. Wróźba kabalarki dziwne na nim zrobiła wrażenie; przypomniał sobie z lat młodych, pierwszą przepowiednię, która mu także koronę polską zapewniła (1). Wiadomo, że dumna matka jego uwierzyła jęj z całą wiarą, i wychowaniu Poniatowskiego taki nadała kierunek, aby odpowiadał godności tronu, który kiedyś miał posiadać. W parę lat, gdy obiedwie wróźby się sprawdziły, i młody Poniatowski jako Stanisław August wstąpił na tron Polski, mając w żywęj pamięci kabalarkę swoją, pragnąc dotrzymać obietnicy, wysłał do Paryża zaufanego dworzanina, ażeby p. Lhuillier do przybycia do Warszawy nakłonił, a przytęm rysunek mieszkania i umeblowania jęj pokoju, przywiózł z sobą (2). Pospieszyła na tak pochlebne wezwanie do stolicy Rzeczypospolitęj. Król kazał kupić dom na przeciw klasztoru PP. Karmelitek pod Nr. 371 na Krakowskięm-Przedmieściu, takowy przebudować i umeblować na sposób Paryzkiego jęj zamieszkania: gdy przybyła do Warszawy, już go znalazła urządzonym i na zupełną własność oddanym. Dom ten pełen skrytek i przejść pomiędzy ścianami, urządzeniem wewnętrznęm dotąd zadziwia. Zapewne te przejścia i skrytki potrzebne były francuzce przebieglęj, która pomimo znakomitęj pensyi, jaką pobierała od króla, nie male dochody ciągnęła z *Kabały*, albowiem tak magnaci jak i wielkie panie, dworzanie i obywatele, cisnęli się do nięj hurmem po wrózbę, wierząc w jęj przepowiadania, po sprawdzeniu się jednęj na Stanisławie Poniatowskim. Podania współczesne mówią: że damy przybyte po wrózbę, ukrywały się starannie za odwiedzinami króla i panów, że przejściami pomiędzy ścianami Stanisław August, pod pozorem odwiedzin p. Lhuillier, jako swojęj przyjaciółki, przechodził do obok stojącego domu Wasilewskiego, obecnie S. Orgelbranda księgarza, w którym na pięrszým piętrze mieszkała pani G. i wtedy zawiązywały się bliższe ich stosunki. Francuzkę tę zwano panią Lulli, i uważano jako kochankę króla, co nie było prawdą, bo starszą była o lat 15 od Stanisława Augusta, i nie mogła ukryć śladów wieku swego. Na tęm podaniu oparty

(1) Antoni Magier w rękopiśmie swoim pisze: „Zachowaną była w garderobie królewskiej różga, którą piastunka w dzieciństwie uderzyła Stasia (Stanisława Augusta) mówiąc, aby zachował tę różgę na pamiątkę o piastunce, jak kiedykolwiek zostanie królem. Co gdy nastąpiło nie omieszkała udać się do niego, który przez wdzięczność za tę jęj przepowiednię, nie odmówił jęj napotęm swojęj łaski.“

(2) F. S. Dmochowski (w Gazecie Codziennęj Nr 296 z roku 1856), mówiąc o Zofii Lhuillier wspomina, że mąż jęj był bibliotekarzem Księcia Jenerała Ziem Podolskich. Trudno temu wierzyć, bo w Paryżu była wdową i jako wdowa przybyła do Warszawy.

zmarły poeta Dominik Magnuszewski, w swój powieści p. n. Posiedzenie Malarza Bacciarellego, wprowadził ją w działanie, w charakterze kochanki króla. Pensya jaką pobierała od Stanisława Augusta, skończyła się wraz z wyjazdem jego do Petersburga; ale Zofija Lhuillier nie potrzebowała troszczyć się o przyszłość swoją; oprócz bowiem domu, miała zapas gotówki, który jej do wygodnego życia posłużył. Umarła w Warszawie dnia 22 Grudnia 1802 r. dożywszy lat 86. W zbiorach galeryi króla Stanisława Augusta, była piękna miniatura jej roboty, przedstawiająca siostrę tego króla panią Krakowską. To wskazuje, że była i niepoślednią artystką.

„CAROLO WYRWICZ, ABBATI COMMEN: HEBDOV: BONO CIVI, SACERDOTI ET SCRIPTORI QUI SEAM
POSTERORUMQUE ÆTATEM VIRTUTIBUS, LIBRIS, JUVENTUTIS INSTITUTIONE EXOLUIT.
VIXIT ANNOS LXXVII, OBIT D. VI JUNII AN. MDCCXCIII.“

Urodził się w Księstwie Żmudzkiem w roku 1717; pierwsze początki nauk otrzymał w szkołach jezuickich, i w 17 roku życia przywdział jezuitę sukienkę. Pracowity i obdarzony zdolnościami niepospolitemi, w różnych kollegiach jezuickich dał się poznać, i potrafił odznaczyć jako professor. Józef Hilzen, późniejszy Wojewoda Mścisławski, zwyczajem młodzieży współczesnej miał zwiedzać obce kraje; uproszony Wyrwicz jako preceptor wchodzącego w świat młodzieńca zwiedził z nim Francję, Belgiję, Niemcy i Włochy. Był to w owym okresie, kiedy Konarski wielką i dla kraju zbawienną, zaprowadził reformę w szkołach pijarskich. Pobudzeni przez niego Jezuiti zaczęli myśleć o poprawie swoich. W tym celu polecili Wyrwiczowi, aby celniejsze zakłady naukowe zwiedził za granicą, pilnie przejrzał, a to celem zastosowania koniecznych zmian w szkołach jezuickich. Wyrwicz spełnił sumiennie to polecenie, za powrotem do kraju wyniesiony na godność Rektora Jezuickiego *Collegium Nobilium* w Warszawie objął jego zarząd (1). Tu energią i umiejętnym wzięciem się, wkrótce w tej szkole zyskał taki rozgłos, że ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, młodzież do tego cisnęła się Collegium. Rozmyślał o powiększeniu już tej szkoły, do czego pomoc sam Stanisław August przyrzekł, gdy bulla papieżka jezuitów zniosła. Mimo to, przetrwała ona do roku 1776. Król nagradzając zasługi kazał wybić dla niego medal, wyobrażający po jednej stronie popiersie jego z napisem: „Carolus Wyrwicz, Rector Collegii Nobilium Varsaviensis Societatis Jesu,“ po drugiej: „Juventutis institutione scriptisque de Patria et literis bene merenti Stanislaus Augustus Rex MDCCCLXXII“ (Wychowaniem młodzieży i pismami wielce w ojczyźnie zasłużonemu, Stanisław August Król 1772).

Król ten lubił niezmiernie Wyrwicza i w początkach swego panowania wysłał go do Wiednia, w zamiarze negocjowania tajemnie o małżeństwo z arcyksiężniczką austryackiego domu. Najpierwsze w kraju osoby zaszczycały go swoją przyjaźnią, jemu wszakże najmiłszym był dom Hilzenowej Wojewodziny Mińskiej i jej rodziny, gdzie po pracach mile znajdował wytchnienie. Mógł wysokiego dostąpić znaczenia, albowiem po śmierci Kanclerza Młodziejowskiego, Stanisław August, chciał go wynieść na Podkanclerstwo, ale Wyrwicz nigdy się za dostojenstwem nie

(1) Przyjacieli Ludu. Rok 1839 T. I str. 30.

ubiegał. Nieodstępny towarzysz tego króla przy *czwartkowych uczonych obiadach*, słynał z dowcipu, i umiał się zrećnie Naruszewiczowi odcinać. Znany jest żart naszego historyka, gdy potrzebując grajcarca do wydobywania korka, kazał sobie podać *Wyrwicza*, a ten odpłacił mu za to *Naruszewiczówną*. Obdarzony wyborną pamięcią, przy zdrowym rozsądku, posiadał nadzwyczaj wiele wiadomości, smaku jednak w literaturze nie miał wiele i żadnych zdolności do wymowy kaznodziejskiej. Skrzętny i gospodarczy, oględny na starsze lata, zebrął uczciwą pracą nie mały zasób pieniędzy, i te umieścił na banku Teppera i innych. Wszystko stracił za ich bankructwem a tę stratę uczuł bardzo boleśnie. Kiedy się Wyrwicz żalił *Łuskinie* redaktorowi Gazety Warszawskiej i opowiadał swoje nieszczęście, jako koledze z jednego zakonu i przyjacielowi. „Mój miły bracie (odrzekł mu Łuskinia) nie my, lecz nasi niech o to troszczą się sukcesorowie.“

Zebraną wyborną bibliotekę, na lat kilka przed śmiercią, sprzedał generałowi Ignacemu Działyńskiemu (1). Wyrwicz był jednym z najuczciwszych ludzi za panowania Stanisława Augusta. W pracy zaś i pilności mało sobie miał równych. Wydał w języku francuzkim, w którym był nadzwyczaj biegłym (przymiot naówczas niezmiernie potrzebny dla rządcy collegium nobilium), krótki rys historii powszechniej p. n. *Abregé de l'histoire universelle* 2 tomy: w polskim; *Jeografią czasów terażniejszych* Tom I. Tom drugi mający zawierać obszerny opis Polski nigdy nie wyszedł. *Jeografię* powszechną, historią Ludu Bozego, i wiele innych prac zostawił, częścią drukowanych, częścią też w rękopismach (2).

ŁĘSKI JÓZEF. (3).

(*Spoczywa w Katakumbach bez napisu*).

Łęski Józef, Franciszek, Stanisław, doktor filozofii, professor astronomii w Uniwersytecie Jagiellońskim, dyrektor Obserwatorium Krakowskiego, członek uczonych towarzystw: Warszawskiego Przyjaciół Nauk, i naukowego z Uniwersytetem Krakowskim połączonego, był synem Jerzego Janina Łęskiego, pułkownika wojsk koronnych (w regimencie Dragonii Wielopolskiego) i Barbary z Łukowskich, obywateli zamieszkałych w Wtwie Krakowskim pod Żarnowcem. Urodzony w nadanych ojcu za 50-cioletnie usługi krajowe Małych Łanach 2 Kwietnia 1760 roku, umarł w Warszawie 13 Lipca 1825 r. Na wsi wychowany, już od dzieciństwa uczuwał pociąg do wszystkiego co piękne. Wydobyłtemi z kwiatów barwami malował różne przedmioty. Oddany na początkowe nauki do Gdańska, pod professorem Szyllesem, wydoskonalił się przez trzy lata w Niemczech, która mu potem wielką była pomocą. W roku 1772, a 12-tym życia, wstąpił do korpusu kadetów, gdzie szczególnie przykładał się do matematyki, wykładanej przez profesora, z Uniwersytetu Tübingskiego sprowadzonego, Pfejdera. Tam kolegował

(1) *Przyjaciół Ludu*. 1839 r.

(2) Toż dzieło.

(3) Życiorys niniejszy zawdzięczamy uprzejmości P. Hipolita Skimborowicza, który go raczył nam udzielić z rękopismu swego dzieła, p. n. „*Słownik pisarzy i artystów polskich, z objaśnieniem anonimów, cryptonymów i pseudonymów*, Tom IV.“

z późniejszymi generałami Jasińskim, Sokolnickim, Kościuszką, i zawsze pociąg mając do rysunku, celniejsze swe utwory, jak widok Pieskowej Skały i t. p., poświęcił Stanisławowi Augustowi, który własną ręką go nagradzał, jako celującego ucznia. Otrzymał stopień gefrajtera, a później podbrygadiera, to jest dozorca sali mieszczącej w sobie jedną z 4-ch brygad kadetów, został 1789 r. nauczycielem geometrii, rysunków sytuacyjnych i miernictwa praktycznego w szkole rycerskiej. Umieszczony później w korpusie inżynierii koronnej w stopniu majora, jako adjutant Kościuszki w roku 1794 wysłany będąc z ważnymi papierami do wodza stojącego pod Raszynem, zniemacka trafił na forpocztę pruskie, gdyż naczelnik siły zbrojnej udał się był w tej chwili ku Jeziorniej, a przez to odsłonił stolicę wojsku pruskiemu. Zabranym do niewoli wojennej, odprowadzony został do generała Favrat; napróżno badany, wśród pogroźek śmierci, powierzonej nie wydał tajemnicy. W skutek tego, kajdanami obciążony, przez Kalisz, Poznań, Koziel do twierdzy Głogowskiej, a potem do Nissy odprowadzony, cały rok więzienia osładzał towarzyszom swoim wspomaganie ich pieniędzmi, jakie zarabiał robiąc miniatury. Gdy mu potem, jako oficerowi wyższemu, za wpływem Wodzickiego i daniem słowa honoru, wolno było przechadzać się po twierdzy, wtedy z powodu wysokiej nauki, ujmującego wykształcenia i talentu malarskiego, otwarte dlań były podwoje domu gubernatora de Wendessena. Zapracowany na drogę, z pewnym francuzkim dowódcą wracał do kraju pieszo przez Prusy i Saksonią, zwiedził galerią berlińską i drezdeńską. Kilka robót artystycznych przesłał wtedy do Petersburga Stanisławowi Poniatowskiemu, jaką ostatnią wdzięczności oznakę, za odebrane pod jego opieką, tak staranne wychowanie. Pogościwszy nieco w zakątku najmielszym bo rodzinnym, udał się 1796 roku do Krakowa, gdzie z pożytkiem młódź polską wychowywał. We dwa lata potem powołano Jana Śniadeckiego do Wilna, a Łęski, objął po tym sławnym mistrzu zarząd Obserwatorium i posadę tymczasową profesora matematyki wyższej, oraz astronomii. Kraków zostawał wtedy pod bezpośrednim rządem Austrii, dla tego wydane przez Łęskiego dzieło 1801, musiało być napisane po niemiecku. Warszawa zaś była wtedy pod rządem pruskim i ze stolicy, została tylko miastem pogranicznym. Mimo to, liceum założone w Warszawie 1804 roku, zapragnęło mieć sławnych w gronie swém, mężów. Dla tego powołany Łęski na katedrę fizyki i matematyki, chlubnie pełnił obowiązki profesora aż do 1809 r. Za rządu ówczesnego Księstwa Warszawskiego otrzymał pozwolenie, bez oznaczenia czasu, udał się o własnym koszcie za granicę, w celu popracowania jeszcze nad matematyką wyższą i astronomią. De Lambre z kollegium francuzkiego i Vauquelin, byli najulubieńszymi jego mistrzami w Paryżu. Resztę czasu dwuletniego, poświęcał sztukom pięknym, których najstojniejsze utwory zgromadził wtedy Paryż ze wszech krańców Europy. Wiele obrazów przekopijował; Izba edukacyjna zaprosiła go w roku 1811 na zwyczajnego profesora astronomii teoretycznej i praktycznej przy Uniwersytecie Krakowskim. Od tego czasu czynione przezeń na Obserwatorium postrzeżenia i rachunki, dotyczące się ciał niebieskich, drukowane bywały w astronomicznych rocznikach berlińskich, w Miscellaneach Krakowskich i w Gazecie Krakowskiej, mianowicie w dodatku do Nru 24 tego ostatniego pisma z dnia 14 Marca 1821 r., umieścił postrzeżenia komety uważanej w Obserwatorium w miesiącu Marcu tegoż roku, w przytomności uczniów astronomii, gdzie

także w krótkości opisał stan Obserwatorium i jego potrzeby. Tutaj w końcu tak się wyraził: „Doświadczenie uczy, że w natłoku potrzeb życia praktycznego, potrzeb obecności i zaburzeń krajowych, niknie wzrok wolny na przedmioty umysłowe, nieprzestają jednak te przeto być mniej interesującymi dla istot rozumnych, a w każdym narodzie, skoro raz zakorzenił się był jego gruntowny i zabezpieczyło istnienie fizyczne, nie ogranicza się wtedy jego czynność na potrzebach fizycznych, lecz budzi się w nim oraz czynność umysłowa; a wtedy uroczystym jest jego obowiązkiem dochować starannie postrzeżenia rzetelne zjawisk moralnych i fizycznych, przyrodzenia, aby potomność z nich korzystać i do dalszych doskonaień umysłowych, użyć onych mogła.“ Zgromadził wówczas zamożną w naukowe dzieła biblijotekę, która mu wielce była pomocną do postawienia Obserwatorium Krakowskiego na równi z zagranicznymi. Dwanaście lat z największym poświęceniem siebie, i gorliwością niezwykłą, oddawał swe usługi najwyższej uczelni krakowskiej, pramatce wszystkich akademij polskich. Jednej prawie życia chwili przez ten czas nie zmarnował. Prace swoje naukowe urozmaicał i uprzyjemniał sztukami pięknymi, osobliwie ulubionem sobie malarstwem i muzyką na fortepianie; tak zaś nawykł do ciągłego zajęcia i zawsze to powtarzał, iż każdy dzień świadczyć powinien o naszym tu pobycie, że w ulubione jego przysłowie zamieniły się słowa: „Nulla dies sine linea“ którego do końca życia wiernie się trzymał. Otoczenie nawet domowe Łęskiego, już składało jakby przedsięwzięcie do wielkiego przybytku nauk, dla którego życie swe przeznaczył. Ale to oderwanie się od świata zwykłego i codziennych stosunków towarzyskich, a przestawanie tylko w świecie bogatej przyrody i sztuk pięknych, pozbawiło go uwagi na rzeczy potoczne. Czując swą godność, nie szedł nigdy po nagrody, ani wiedział, co to są zabiegi pospolitych ludzi. Z przekonania wewnętrzznego nie chciał żadną prośbą obarczać zwierzchności akademickiej, słusznie sądząc, że sama władza uzna zasługi jego. Akademia bowiem, jako świątynia prawd niezłomnych, oświetlona górnymi promieniami płynącymi ze źródła wiedzy i uczuć, winna mieć podwoje na wieki zawarte, przeciwko wszelkiej ciemności i namiętnościom, otoczonym grubą skorupą bezsercową. Wszakże, choć podobne zasady niezbitemi być się zdają, jednak i między mistrzami nauk, spotykamy odstępstwa od chęci nieskazitelnych i dróg prostych. Uległ podobnemu losowi i szlachetny Łęski. Pomocnik jego, chcąc osiągnąć posadę swego zwierzchnika, usnuł tkanę intryg, w którą łatwo wplątał męża prawego, niemyślącego o zdradzie, zawiści i niewdzięczności. Łęski, jako dyrektor, idąc do Obserwatorium 29 Grudnia 1823 roku, nie mógł swym kluczem drzwi otworzyć, gdyż nowy wprawiono zamek, a stróż to widząc, znacząc się tylko uśmiechnął. Podobny zamach na godność i spokojność ze wszech miar czi najgodniejszego człowieka, wart jest pogardy publicznej, dla tego wypisujemy tu wyraźnie. Uśmiechnął się tylko dyrektor na podobny czyn bezecny, opowiadając towarzyszom swym i dziekanowi wydziału, ale na drodze urzędowej brudów nie dochodził. Sam czysty w przekonaniu własnym i opinii publicznej, nie chciał się kłaść rozprawami z nikczemnym i niewdzięcznym dla siebie podwładnym, który w parę dni, na własne przełożenie Łęskiego objął zarząd Obserwatorium. Zapewne, że tak wzniósł się tylko człek szlachetny, ale boleść, jaka w głębi duszy zdradzonego zwierzchnika zostaje, mimo okazywanego zewnątrz lekceważenia, nur-

tuje umysłowość i podkopuje siły fizyczne. Moralnie przebaczył professor najniemoralniejszy uczynek, ale na zdrowiu mocno zaraz podupadł. Troskliwość ogólna, zaledwie go przy życiu zdołała utrzymać. Po dobrowolnie zażądaniem uwolnienia od swych obowiązków, dla zmiany miejsca, udał się do Warszawy, gdzie zakończył chlubne życie na łonie swych dzieci, okolony wnukami i tą czią, na jaką prawem zasłużył życiem. Wykład dla słuchaczy astronomii przez Łęskiego był zajmujący, i różnił się od zwykłego dawania lekcji matematycznych, gdyż obok dowodzeń czysto-astronomicznych, przytaczał zdania sławnych ludzi w różnych gałęziach nauki; osobliwie też zwracał uwagę na zajmującą stronę natury pod względem estetycznym, i pokazywał, ile pogład ogólny i umiejętny na przyrodę, wpływa na uczucie i wyobraźnię człowieka. Prezes Towarzystwa Naukowego i Rektor Uniwersytetu Krakowskiego, Sebastyan Girtler, zdając sprawę z działań rocznych dnia 15 Lutego 1826 roku, tak się wyraził: „Kolega Józef Łęski, professor i dyrektor Obserwatorium, znany z niez mordowanej w powołaniu gorliwości, przyczyniwszy się do sławy narodowej i szczęścia kształconych przez siebie ludzi, zasmucił wszystkich przyjaciół oświecenia zawczesnym zgonem swoim.“ (Tom XII, strona 22 Rocznika). Miał trzech synów: 1^{go} Stanisława, który będąc już kapitanem inżynierii, zginął 1812 r. pod Możajkiem w 24 roku życia swego; 2^{go} Adama, byłego prezesa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a dziś dyrektora głównego w Komissyi Przychodów i Skarbu, członka Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego; 3^{go} Edwarda, zmarłego w roku 1830, oraz dwie córki: Józefę, która poszła za mąż za pólkownika sztabu głównego Męciszewskiego, zmarła w 1853 r. i Teklę niezamężną. Rastawiecki, Bandtkie i powinowaty zmarłego Karol Hube, professor matematyki wyższej, pisali nekrolog zmarłego (patrz *Słownik Malarzy*, Tom I str. 284—6. *Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*, T. XIV z r. 1834 str. 125 154, wreszcie *Gazetę Warszawską i Polską*, z r. 1826 Nr. 201 i 12) ale żaden, ani szczegółowo o dziełach jego naukowych, ani o wszystkich pracach artystycznych nie powiedział. Przeto wyliczamy tu po kolei, najprzód rozprawy, a potem inne pisma Łęskiego, aby dowieść że na imię *uczonego*, zasługiwał. Zamiłowany w pracy, spisywał swe codzienne zajęcia. Przy końcu życia, już na łożu słabości, napisał własny życiorys obszerny i bardzo zajmujący, w którym skreślił cały bieg życia literackiego, wojskowego i artystycznego. Żywot ten przeznaczony był do roczników i przysłany Towarzystwu Warszawskiemu Przyjaciół Nauk, przez członka Jarockiego; ale nie był ogłoszony, i niewiadomo gdzie się dziś znajduje. Gdy pozbawieni jesteśmy tego ważnego rękopismu, szukajmy dowodów zajęć jego w następném wyliczeniu biblijograficzném. Krótki rys życia Michała Hube, dyrektora jeneralnego nauk w korpusie kadetów, podany przez Józefa Łęskiego: czytany na posiedzeniu publiczném 30 Kwietnia 1817 r., drukowany w Tomie XII Roczników Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, 1818 roku str. 72—84, w Warszawie. Rozprawa o piękności w sztukach, a szczególniej w malarstwie, czytana przy otwarciu roku szkolnego dnia 15 Października 1816 r. (w Nr. 8 T. I, Roczn. Tow. Nauk w Uniwersytecie Krak. Pols., w druk. Akad. 1817 r. od str. 259—319). Myśli te dorywcze, powstały z powodu daru Michała Soltyka *Muzeum Napoleona* dla Uniwersytetu Jagiellońskiego. W przypisku, na stronie 295, powiada professor Łęski, iż ze sztuk grywanych

w Paryżu podczas jego tam pobytu, miał wiele widoków i dekoracji oznaczonych sobie w rysunku podczas ich reprezentacji. Z tego widna zdolność rychłego przenoszenia na papier i zapamiętania raz widzianych rzeczy, aż do szczegółów artystycznych. W roku 1819, czytał na posiedzeniu publicznem dalszy ciąg rozprawy swój o malarstwie. Zamiarem było okazać zastosowanie zasad piękności w sztukach, w poprzedniej rozprawie rozwiniętych, na dziełach Pussina, jako podających najwięcej wątku do uczuć szlachetnych i myśli wzniosłych. W tém piśmie wystawił przeszło trzydzieści sztuk owego malarza, powiększėj części własną ręką w Paryżu przerobionych. Opisał szczególniej niektóre z tych dzieł, noszących na sobie cechę filozofii, moralności, pięknej wyobraźni i dobrego smaku, a mianowicie: *Pasterzów Arkadyi*, *Godziny tańcujące*, *Testament Eudamenesa*, *Ślub Grecki*, czyli *Wieki ludzkie*, *Potop*, *Rebekę*, *Sąd Salomona*, *Eliazara*, i t. d. Na posiedzeniu 1820 roku, czytał dalszy ciąg rozprawy o piękności w sztukach i objawił zasady piękna, na licznych własnoręcznych rysunkach, przerobionych w Paryżu z wystawionych obrazów Salonu dziesięcioletniego. W dalszym ciągu prac swoich, 1821 roku, na publicznem posiedzeniu czytał wiadomości o życiu Mikołaja Poussina, wzorowego malarza, tak we względzie historycznym, jak i estetycznym. Wystawił wtedy kilka obrazów pierwszo-rzędnych Poussina, pod swą bytność w Paryżu przerobionych, objaśniając niemi zasługi jego i przepisy sztuki w nich wykonane. Krajobraz *roskoszne wiejskie* wystawiający, obraz historyczny *Selingtona, Hersylii w obozie ojca swego, Króla Tacyusza* olejno malowany, podający sposobność poznania piękności, smaku i wyobraźni połączonej z gruntowną refleksją, i *Uranii*, ofiarowane dla Obserwatorium Krakowskiego. Roku 1823 na posiedzeniu, czytał dalszy ciąg o sztukach nadobnych, wykładając, ile estetyczną dzielnością wpływają na wykształcenie człowieka. W końcu, dopełniając części dawniej rozważane, mówił szczególniej o okolicach, przytaczając wyjątki z rękopismu Gesnera. Rozprawa o zaćmieniach z ich zastosowaniami, czytana na posiedzeniu publicznem Towarzystwa naukowego dnia 15 Czerwca 1817 r., z dwiema tablicami na blasze rzniętymi (z podpisem Jos: Łęski) i jedną tablicą rachunków w r. 1819, T. IV str. 29—150. W téj tablicy za jednym rzutem oka widać cały obraz rachunku astronomicznego; a w porównaniu chwil konjunkcyi wyznaczonych z dostrzeżeń zrobionych w Królewcu i we Lwowie, wyznaczył autor różnicę ich południków z Krakowem i Paryżem. Najpierwszy przykład podobnego użycia tablic astronomicznych i takiego urzędzenia rachunków, aby odrazu objąć można było całość, i tym sposobem dochodzić błędów, podał nasz professor w dwudniowych swych obserwacyach (*Micelan: Cracov. 1813 r.*) i w rachunku okultacyi, o którym jest nader pochlebna wzmianka w Bode'go *Jahrbuch*, 1816 p. 179. Toż postępowanie naśladował potem Tönnies w rozprawie swojej wydanej w Berlinie 1816 roku. Są to ułatwienia bardzo ważne w zawitych rachunkowościach, wprowadzone przez naszego ziomka. Rozprawa o Konstellacyach czytana na posiedzeniu Towarzystwa naukowego, drukowaną była w Tomie VII, 1822 roku str. 278—367. Dołączony do téj rozprawy obraz arkuszowy Konstellacyi (podpis na niéj: *J. Łęski s. c. Cracoviae 1818*; tytuł zaś: *Poznanwanie gwiazd ważniejszych za pomocą linii i trójkątów*). W rozprawie saméj opisał gromady gwiazd, ich dzieje, porządek i historiją *Zodyjaku*, gdzie mitologiją starożytną i Słowiań-

ską od Mytów indyjskich wyprowadzić usiłował. Na posiedzeniu prywatném Towarzystwa naukowego 1819 roku czytał drugą rozprawę o kometach, jako dalszy ciąg poprzednich rozpraw, obejmujących głównie zarazem astronomii zasady, zastosowane do postrzeżeń w Krakowie zrobionych. Zjawienie się w tym roku komety, podało, do rozwinięcia dalszego tych zasad i do ich miejscowego zastosowania, powód. Z tych i innych w Europie odprawionych obserwacyj, drukowanych w Rocznikach Berlińskich, widać że Łęskiego postrzeżenia były najpierwsze, i najdalej się rozciągały, gdyż Berlińskie i Olbersa, dochodziły 24 Lipca i Sierpnia, a Krakowskie aż do 28 Sierpnia 1819 r. W oddzielnéj części téj rozprawy, rozwinął nasz autor szczególny wpływ, jaki mieć mogą komety na ziemię, tak pod względem fizycznym, jako i we względzie moralnym. Na prywatném posiedzeniu Towarzystwa naukowego Krakowskiego 1821 roku czytał rzecz o potrzebie redakcyi elementów, czyli początków jeometrii analitycznéj, okazując konieczność odłączenia zasad początkowych od ich zastosowań i trzymania się w téj mierze porządku Euklidesowego; dalej objaśnił pożytki z podobnego nauczania wynikające. Na posiedzeniu 1822 r. czytał rozprawę o mierzeniu wyniesienia miejsc ziemskich nad oceanem za pomocą barometru, z zastosowaniem do miejscowości krajowéj. Po okazaniu związku téj rozprawy z poprzedzającemi, w których była rzecz o długości i szerokości jeograficznój miejsc, (czyli o ich *dwóch podrzędnych*) mówił o wyznaczeniu trzeciéj *spółrzędnej*, rozwijając tu ważne zadanie podane od p. Laplace (*w Mechanice niebieskiéj*) czyniąc zastosowania do Krakowa, gór Karpackich, Babiéj góry, i t. p. Z tych rozpraw, *trzy* tylko wytlócone; jakąż szkoda, że reszta pozostaje dotąd w rękopismach, dowodzących, że nie dla tytułu tylko, ale *prawdziwie czynnym* był Towarzystwem naukowego członkiem. Rozprawa o nauce przyrodzenia, Kraków 1814 r. w pokroju ówiarłkowym, (czytał ją publicznie professor, przy rozpoczęciu roku szkolnego). Teorytyczna i praktyczna nauka żołnierskich rozmiarów, czyli miernictwo wojenne do użycia oficerom i początkowym inżynierom, ułożone przez P. Hogrewe w służbie angielskiéj inżynierów kapitana, na ojczysty zaś język przełożone i arytmetyką, geometryą i pierwszemi zasadami sztuki wojennéj powiększone, przez Józefa Łęskiego oficera i początkowéj matematyki w szkole rycerskiéj nauczyciela; z 14 tablicami na miedzi rytymi (z których podpis jego noszą: 3, 5, 6, 8, 9 i pięć ostatnich głoskami A, B, C, D, E, oznaczonych), 1790 r. w Warszawie, w ósemce, stronic nieliczbowanych 12, przedmów 24, tłómaczenia 355 i dodatków 246, (razem stronic 642). Na czele piękne mieści się emblema, rylca autora. Do wydania miernictwa zachęcił Łęskiego towarzysz jego ze szkoły rycerskiéj, J. U. Niemcewicz. Dzieło poświęcone Królowi. — Darstellung der sämtlichen Theile der Mathematik, welche während des drajjährigen Kurs auf der Krakauer Universität öffentlich, und in den Privat-Stunden vorgetragen werden. Krakau 1801.“ stron 168 w ówiarłce, z trzema tablicami figur na miedzi rytymi przez autora. Napisał przedmowę do Gnomoniki Krzyżanowskiego, wydanéj w Krakowie 1820 roku z trzema rycinami. Rozprawa o zaćmieniach i z nich zastosowaniami: w Krakowie 1822 stronic 122. Do niektórych egzemplarzy dołączony był wizerunek Łęskiego sztychowany w Paryżu (jest to oddruk z IV Tomu Rocznika Krakowskiego Towarzystwa naukowego).

Rozprawa o Konstellacyach 1822, stronic 90 (osobny odbitek z VII Tomu Rocznika To-

warzystwa naukowego, z odmienném stronic liczbowaniem). Znajdujący się przy tém piśmie obraz *Konstellacyi*, kazał autor osobno odbić dla wygody powszechnej ludzi nieoddających się wyłącznie astronomii i przedawać na dochód Krakowskiego Instytutu Dobroczynności, którym się opiekował.

W zbiorze listów ćwiartkowych, do których dał pochop J. K. Szaniawski, wychodzących przy Gazecie Warszawskiej, i zebranych potem w jedną księgę, pod tytułem: Korespondencya w materyach obraz kraju i narodu rozjaśniających, (Warszawa 1807 r.) umieszczał Łęski rzeczy następujące: Opis Kadastru Francuzkiego (List VII do Szaniawskiego). Oświecenie o ile ma związek z cywilizacją i przemysłem krajowym. (List XVII do tegoż). List fizyczny, o Hubem Michale, dyrektorze korpusu kadetów, którego córkę pojął był za żonę. (List XXIII Neymana). List XL do korespondujących w materyach dotyczących się z dołączeniem kopersztychu wystawiającego tryumf Napoleona w świątyni nieśmiertelności i przydatek do listu XXXVI. Rozbiór Regnaulta (List XXV do Orzechowskiego), o oswobodzeniu poddanych; List XXXVIII do Joachima Chreptowicza. O sztuce garbarskiej (List XLI).

Z ważniejszych jego dostrzeżeń astronomicznych, zasługują na wzmiankę: uważanie w Krakowie okultacyi Wodnika 7 Października 1813 r., i zaćmienia całkowitego księżyca 10 Czerwca 1816 r. Wspomnieliśmy już wprzód o nowo odkrytej komecie uważanej w Krakowie 25 Lutego, oraz od 2 do 7 Marca; o dwu-dniowych zaś jego postrzeżeniach, szczegółowo opisanych w Miscellaneach Krakowskich znajduje się pochwała w Getting, Gelehr-Anzeigen str. 185, d. 18 Nr. 1816.

Na ścianie południowej Obserwatorium Krakowskiego, wykreślił kompas wierzchołkowy znacznego rozmiaru, z dodaniem linii krzywój średniego czasu, w kształcie ósemki podłużnej. Powiedzieliśmy już wyżej o kopjowanych przezeń obrazach w Paryżu, jak również o darze kilku z nich dla Obserwatorium Krakowskiego. Przy *miernictwie wojenném*, umieścił rycinę ósemkową bez żadnego nadpisu, wystawiającą trzy Muzy przed Minerwą, z których trzymająca cyrkiel w ręku, klęczy u stóp Bogini mądrości (z prawej strony podpis: *Jos. Łęski s. c. Varsavie 1790*). Wykonał z prawdziwego wydarzenia scenę 1792 roku, sztychem własnoręcznym uwiecznioną *Bouquier d'Achille*. — Wizerunek Karoliny Kordaj (Charlotte Corday) 1794 r. w Krakowie. Tadeusz Kościuszko najwyższy naczelnik siły zbrojnej N. P. z wiadomym nadpisem i podpisem: *Vars: 1794* w formacie ćwiartkowym. Tenże portret w ósemce mniejszy do broszurki p. t. „Pobudki do cnót rycerskich“, drugi tytuł w tej ósmiostronnicowej książeczce: 300 Lakonów posłane przeciw Xerxesowi. Cztery ryciny własnego pomysłu i rysunku do dzieła: „Pamiętka z dziejów bohater-skich, z wieku grajsko-troskiego, w śpiewach Homera i Kwinta, według pierwotworów greckich słowianom dochowana; przez J. J. Przybylskiego.“ Achill w gniewie (do T. I J. Łęski i. n. v. et del. Seb. Langer s. c.) Achil w chwale, (do T. II, podpis jak w poprzednim). Troja w zgonie (do T. III *J. Ł. invenit. Grüner s. c.*) Ulis w domu (do Tomu V, *J. Ł. invenit p. Wyszkowski s. c.*). W galerii królewskiej były jego pędzla wizerunki: Franklina i żony generała Witta (Miara cali $2\frac{1}{2}$).

Ks. kanonik Dubiecki biegły w starożytnéj literaturze, przyjaciel Łęskiego, w roku 1821 ułożył wiersz łaciński na jego pochwałę i poświęcił mu w dniu jego urodzin.

„*Ad Josephum Łęski, Astronomiae in Universitate Jagiellonica Publicum Professorem, Artisque Pictoriae eximium Amatorem et Magistrum, die 26 Januarii 1821.*“ Z tejsze okoliczności uczniowie słuchający astronomii, na zawdzięczenie swemu profesorowi ułożyli wiersz polski. Te publiczne holdów oznaki, z serca bez przymusów idące, najwyższą stanowią pochwałę — i wymowniej nad wszelkie biografije dowodzą, jakim był człowiekiem Łęski.

„CIENIOM Ś. P. **JOZEFA KALASANTEGO JĘDRZEJEWICZA** DOKTORA FILOZOFII, RADCY KOLLEGIJANEGO, SĘDZIEGO POKOJU OKRĘGU I MIASTA WARSZAWY I NAUCZYCIELA PRAWA I ADMINISTRACYI W INSTYTUCIE AGRONOMICZNYM W MARYMONCIE. URODZONY DNIA 7 LIPCA 1803, ZMARŁ DNIA 11 MAJA 1853 R.“

Syn pułkownika wojsk Księstwa Warszawskiego, kształcił się początkowo w instytucie Żoliborskim księży Pijarów, a następnie w Liceum Warszawskiém, zkąd przeszedł do Uniwersytetu Warszawskiego, i w roku 1828, otrzymał stopień Magistra Administracyi. W tym samym roku wyjechał w celu naukowym do Niemiec, Francyi i Anglii. W Paryżu został Członkiem Towarzystwa Jeograficznego, a wracając z za granicy w roku 1830, otrzymał w Krakowie, w Uniwersytecie Jagiellońskim stopień naukowy *Doktora filozofii*. Od roku 1837 aż do chwili zgonu, był nauczycielem prawa i administracyi w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Marymoncie. Wykład ten pozostał w rękopiśmie dotąd. Czynny członek Towarzystwa Dobroczynności, sumiennie pełnił swe obowiązki, a w czasie wylewu Wisły, niósł pomoc nieszczęśliwym mieszkańcom z narażeniem nawet życia. Ożeniony w r. 1832 z Ludwiką Szopen, siostrą nieśmiertelnego *Fryderyka*, zostawił córkę i trzech synów wraz z wdową w żalobie (1).

Dnia 13 Maja 1853 roku, o wieczornéj godzinie, żałobny orszak przeciągał ulicami Warszawy. Długi szereg kapłanów postępował zwolna, a za nimi, na młodych ramionach trumna ze zwłokami tego, który musiał być zacnym człowiekiem, gdy mu tak zaszczytny, choć tak niemy hold składano. Karawan próżny zamykał ten smętny korowód. Liczny wieniec otaczał zwłoki zmarłego, a każdy szedł z rozboleiałem sercem, z rzewnym smutkiem i z prawdziwą Izą żalu; niesiono to zwłoki Jędrzejewicza, przenosiła je z domowego progu na cmentarz Powązkowski, na własnych ramionach zacna młodzież Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, umiejąca cenić dar nauki i zasługi zmarłego nauczyciela. Uroczystemu pochodowi towarzyszyło głębokie milczenie obecnych, przerywane tylko śpiewem żałobnym, bo każdy przerażony nagłym jego zgonem, czuł wielkość straty dla naszego społeczeństwa; i myśl zwrócić musiał na nikły wątek żywota ludzkiego, ale zarazem musiał rozbudzić w sercu i tę błogą pociechę, że cnota i zasługa, jeżeli nie wybija w gwarze życia, to je hold powszechny uwieńczy przy skonie, i uczci martwe zwłoki tego, co stapał zawsze prawości drogą.

(1) Umarł w mieście swojém rodzinnym, w własnym domu, Nr. 526, przy ulicy Podwal.

„**KSAWEREMU SEGNO** URZĘDNIKOWI BANKU POLSKIEGO, NAJLEPSZEMU MĘŻOWI, OJCU, KOLEDZE
I PRZYJACIELOWI, ZMARŁEMU DNIA 23 KWIETNIA 1848 R. W 62 ROKU ŻYCIA.“

Urodził się 1786 roku w Kowalówce na Podolu z ojca Piotra, kapitana wojsk polskich i Wiktoryi z Sienkiewiczów. Po ukończeniu szkół w Winnicy i Warszawie, zjednawszy sobie zaufanie Wojewody Gutakowskiego, Prezesa Senatu, wszedł 1810 roku do służby rządowej, i umieszczony został w biurze Kommissyi Centralnej Likwidacyjnej Księstwa Warszawskiego, gdzie przechodząc stopniowo, w roku 1818 został Kontrolerem Jeneralnym téjże Kommissyi. Kiedy w roku 1820 wyznaczeni zostali Kommissarze pełnomocni do oblikwidowania wzajemnych pretensyj rządu Polskiego i Austryackiego pod przewodnictwem Księcia Ksawerego Druckiego Lubeckiego, oraz Radców Stanu *Kalinowskiego* i Tomasza Grabowskiego; Segno udał się wraz z nimi do Wiednia i wspólnie pracował. W tym czasie towarzyszył księciu Lubeckiemu na kongres monarchów do Lajbach. Ozdobiony zaszczytnymi znakami, w nagrodę prac i zdolności po utworzeniu instytucji Banku Polskiego, powołany został na Kontrollera, a następnie mianowany został Naczelnikiem Wydziału biletów bankowych, i na tym stopniu od roku 1828 zostawał do śmierci.

W katakumbach powązkowskich najpierwsze zwłoki J. Sylwestrowicza były pochowane w r. 1793:

„Pan **JERZY SYLWESTROWICZ** Łowczy Wileński, wielu obywatelom koronnym i W. Ks. Litewskiego dobrze znany, dnia 20 t. m. (Stycznia) w téj stolicy dokonał życia. Po obchodzie pogrzebowym w Kollegijacie ś. Jana, zawieszono na śmiertelne zwłoki do kościoła za Powązkowskimi rogatkami na cmentarzu *nowym* stojącego, aby ztamtąd, pierwsze to ciało w katakumbach świeżo wymurowanych złożone było.“ (Korrespondent krajowy i zagraniczny w Sobotę d. 26 Stycznia 1793 r. w Warszawie, Nr. 8).





rys. i nakłady J. W. Walickiego

Wydawca J. Perzyński w Warszawie Miodowa N. 48.

GROB ANTONIEGO ZYSKIEWICZA.



MD. 626



ND. 626



rys. i. narys. i. lit. W. Walkiewicz.

Odbito w Lit. A. Pecz & C^o w Warszawie N^o 482

KAPLICA FRENKLÓW.



Ryż: warty 2 lit W W. B. 1845

Okle: w lit A. P. 1845 w W. 1845 W. 1845

GRÓB WICHA JÓZEFA TOMASZKOWICZA



MD.626



Ryzy z natury ilust. A. Matuszkiewicz

Odbito w Lit. Ring w Warsz. ul. Rymarska № 741

GROBOWIEC X. KONST. TOM. DEMKA.



ND. 626



rys. z natury i lit. W. Walkiewicz

Wyd. w Warszawie, w drukarni „Prasa” w Warszawie, Nr 428

GROB XIĘCIA GEDROYC.



nr. 626

PRZYPISY I DODATKI

DO TOMU I^{GO} i II^{GO}

ANTONI MALCZESKI.

(Tom 1-szy, str. 41).

Józef hr. Załuski b. generał wojsk polskich, na żądanie wydawcy *Biblijoteki Polskiej* (Sanok 1855) następnę w liście swoim podał o naszym poecie szczegóły, które tu dosłownie podajemy:

„W roku 1807 zostawszy dnia 8 Czerwca mianowany przez Napoleona porucznikiem w pułku lekko-konnym polskim, jego przybocznej straży, pojechałem po pokoju *Tylżyckim* na Wołyń dla pożegnania matki, nim wyruszę w marsz do Francyi. Wtenczas poznałem w Młynowie u Aleksandra Chodkiewicza jeszcze wówczas cywilnego, młodego Błędowskiego, który umarł w roku 1831 na cholereę pod Krakowem będąc generałem, a utracił był nogę w bitwie. Tam w Młynowie Błędowski, zachwycony mundurem moim, powziął myśl udania się do wojska polskiego, tworzącego się w Warszawie. Gdy zaś w roku 1812 przed wyprawą do Rossyi przyjechałem z Paryża do Warszawy z urlopem, przedstawił mi Błędowski w Warszawie, przyjaciela swego Malczeskiego, naówczas młodego oficera w wojsku Księstwa Warszawskiego. Błędowski i Malczeski tak byli zaprzyjaźnieni, iż sypiali w jednym pokoju, rozmawiając z sobą oba w łózkach koło dwóch ścian pokoju, naprzeciw siebie ustawionych. Z błahéj przyczyny, wszczęli między sobą sprzeczkę, która do tego stopnia wzrosła, pomimo przyjaźni, nawet wzajemnéj prawie miłości, że się wyzwali na pojedynek, czyli raczej, że Malczeski wyzwiał Błędowskiego, który jako starszy wiekiem, niechciał narażać młodego przyjaciela na niebezpieczeństwo, lecz ulegając jego natarczywości i obrażony coraz więcej na honorze, przyjął wyzwanie. Tu nie wiem, czy jest prawdą co wówczas mówiono, że oba wyskoczywszy z łózek, porwali za pistolety i strzelali się natychmiast tak, jak byli, nieubrani, bez świadków? czy, że pojedynek odbył się tak, jak go czytałem opisany w jedném z wydań *Maryi*? Okoliczności te, zasługują na sprawdzenie;—możeby p. Aleksander Fredro najlepiej o nich wiedział? Zawsze dowodzą krewkości Malczeskiego i wygórowanego punktu honoru obu przyjaciół, którzy to uczucie posunęli aż do śmieszności, a według zdań dojrzałych wojskowych, do dzieciństwa.

Po ukończonych wojnach i upadku Napoleona wróciwszy do Warszawy, zastałem Błędowskiego i Malczeskiego, który ostatni trochę kulał na nogę i sądzę, że nie złamał jéj szwankując z konia, jak piszą, ale, że kulał z przyczyny owego pojedyunku, o czém im może nie wypadalo wspominać.

W roku 1815, kiedy J. C. M. W. Ks. Konstanty organizował wojsko kongresowego Królestwa Polskiego, ani Błędowski, ani Malczeski nie byli w témże wojsku. Gdy siostra moja zamężna Fryderykowa Lubomirska przyjechała do Warszawy, obaj rzeczeni koledzy, jako Wołyńianie, jój z dawniejszych lat znajomi, uczęszczali do niój tak, że ich codziennie widywałem, bo stałem w jednym domu z moją siostrą. Wkrótce zawiązały się stosunki bliższe Malczeskiego z moją siostrą. Ona wyjechała do Szwajcaryi, Malczeski pojechał za nią i wtenczasto zwiedził jezioro Genewskie i Montblanc. Gdyby moja siostra była rozwiedziona, możeby była poszła za Malczeskiego, który sobie tego życzył. Jakkolwiek bądź, gdy się ten związek rozszedł, stetryczał Malczeski, a to tém bardziej, że nie miał już z czego się utrzymać. Czy kiedy wrócił pierwój na Wołyń nim przybył do Warszawy? nie pamiętam; to tylko wiem, że widziałem go w Warszawie, nim wydał Maryą, zmienionego, dziwnie zestarzałego, stetryczalego; z owego *Adonisa*, przypominającego z rysów twarzy, młodego Stanisława Augusta, zobaczyłem z wielkiem mojm zaskoczeniem człowieka, wyglądającego na pastora luterskiego, w jakimś żałobnym półduchownym stroju, lecz nie katolickich księży; był całkiem zajęty magnetyzmem. Nie wiele się Malczeski do mnie zbliżył, bądź, że w nim widok mój wzbudzał żal, bądź, że ja nie przebywałem wówczas w Warszawie, tylko chwilowo. Atoli czytałem Maryę jeden z piérwszych. Wrażenie, jakie na mnie sprawiło wówczas wydanie Maryi, było bolesne, ponieważ upatrywałem w niój plód pięknego talentu, lecz wydany zawczesnie, niepoprawny, niewyrobiony, i takie jest moje zdanie i teraz; upatrywałem, że Malczeski wydał to poema dla zarobienia sobie czego na życie, umarł albowiem, z nędzy. Był to młody człowiek zbyt uniesionój ambicyi; gdyby się był udał do dawnych kolegów, nie krył przed nimi, byliby go wyratowali z nędzy, lecz wolał uciec się do swego talentu, niż prosić. Wydanie poematu kosztowało go, a nie przyniosło tyle sławy wówczas, ile żądał, a pieniędzy nic. Oddał się rozpacz i podobno sam sobie życie odebrał. Mocno go żałowałem, bo to był młodzieniec pełen uczuć wzniosłych i najpiękniejszych nadziei i, jeżeli grzeszył, grzeszył zbytkiem tych uczuć, które są niestety aż nadto rzadkie.“

(Biblijoteka Polska. *Marya, Powieść Ukraińska*. Sanok 1855, str. VIII. Porównaj nasz życiorys wsparty na autentycznych źródłach, i przypisy wraz z listami Malczeskiego przy końcu Tomu I-go umieszczonemi. Umarł nasz poeta w niedostatku, ale nie w nędzy. Na dowód tego, podam tutaj ogłoszenie urzędowe sprzedaży jego pozostałości: „Po Antonim Malczeskim pozostałość przy ulicy Elektoralnej pod Nr. 796, w miejscu otwarcia spadku, znajdująca się: dnia 27 Lipca r. b. od godziny 4 po południu, w największej części z szaf, stolików, kanap i krzesel, tudzież *nieco* z garderoby, porcelany, fajansu i szkła składająca się, w skutku upoważnienia JW. Prezesa Trybunału Cywilnego I Instancyi Województwa Mazowieckiego, w dniu 11 Lipca r. b. do Nr. 2857 udzielonego, przez publiczną licytację sprzedawaną będzie, o czém chęć kupna mających zawiadamia się.—Jan Feliks Wilski, Regent Kanc. Ziem“. (Kurjer Warszawski z dnia 17 Lipca 1826 r. Nr. 168).

L Y R N I K D Z I U B I Ń S K I .

(Tom 1-szy, str. 71).

Jak w Warszawie Dziubiński Lyrnik znany był powszechnie, tak w Łomży Korzeniowski.

Przed trzydziestu kilku laty mieszkał w ziemlance na piaskach, we wsi Łomżycy, o parowiorst leżącej przed Łomżą. Najczęściej wycieczki swe robił wzdłuż wzgórz ciągnących się nad Narwią, na wschodniej stronie miasta Łomży, gdzie wznosiła się kaplica u podnóża tychże gór, po-

stawiona, jak podanie niosło, przez żonę na tém miejscu, na którym znalazła poległego męża w boju ze Szwedami. Kapliczka ta już nie istnieje. Łańcuch wzgórz tych, poprzecinany wąwozami, okryty drzewami i krzewem, tworząc najprzyjemniejsze widoki, ożywiały liczne podania i legendy, to o królowej wiodącej spory z swą córką, to o wspaniałych zamkach i złocistych pałacach. Lyrnik Korzeniowski, wszystkie znał te podania, i w pamięć młodszemu pokoleniu przelał. Pragnąc uzupełnić wiadomości nasze o téj postaci, udaliśmy się do osoby, mogącej dać dokładne objaśnienie; owoż w liście swoim pisze (z Łomży 14 Października 1856 r.).

„Stuletnia kobieta Bożymowa z Gielczyna następną mi wiadomość udzieliła: Wojciech Korzeniowski syn Wojciecha i Konstancyi, urodził się w Łomżycy. Bracia jego byli gospodarzami; on zaś był wyrobnikiem, gdyż dla braku zdrowia, zrzekł się gospodarstwa na imię braci, których miał dwóch Piotra i Stanisława. Już nie w młodym wieku ożenił się z Franciszką Żylanką; mieli dwie córki i syna Tomasza, który służył w b. wojsku polskiem, a w r. 1831 wzięty do niewoli, po sześciu latach uwolniony, osiadł we wsi Zabelinie, należącej do Nieporętu i tam się obecnie znajduje. Dodała Bożymowa, że Lyrnik Korzeniowski był bardzo poczciwy i pobożny, znały go pobliskie a nawet i dalsze wsie, śpiewał pieśni pobożne, a szczególnie piękną pieśń o świętej Magdalenie. Dzieci go bardzo lubiły, a on im śpiewywał:

„Nie teraz, nie teraz na grzyby chodzą,
Na wiosnę, na wiosnę jak się urodzą.“

Pierwszą o tym Lyrniku wzmiankę miałem, od mego zacnego przyjaciela Piotra Nowińskiego, który będąc dzieckiem, studentem, znał go i wielce lubił. Starzec z długą siwą brodą, mieszkał w ziemlance czyli chatce, ukrytą w ziemi na wzgórzu piaszczystym; już wtedy osłabiony na siłach, i naciśniony wiekiem, nie był zdolnym do pracy. Pracowała na niego czerstwa i jeszcze dorodna żona. Jak tylko miał czas wolny i dostał kilka groszy, biegł zaraz do Łomżycy, niósł dar swój a stary Lyrnik grał mu za to na lirze i śpiewał.

Z pieśni, które naówczas działy się śpiewywał, zatrzymała pamięć. Pieśń z echem:

„Zielona dobrowa!
Czy będzie pogoda?“

Ułamek z długiej dumy:

„Ścieni dąbek, ścieni,
Już się nie zieleni,
Już ci mego Jasia
Do żołnierzy wzieni.
Oj wzieni go wzieni,
Do Cesarskiej ziemi! (1)

Wreszcie owa pieśń weselna, zakończona trafną, bo najczęściej prawdziwą uwagą.

„Wstawaj że synowa,
Jużeś się wyspała,
Poganiaj to bydło,
Coś z sobą przygnęła.
Widziałaś Matulu,
Żem bydła nie miała,
Pocożesz ty syna
Do mnie przysyłała?
Nie ja przysyłała,

Samaś przychodziła
Samaś się stawiała
Przed mojego syna.
Cicho ty synowa,
Nie rozdziawiaj gęby,
Jak wezmę kamienia,
Wybiję ci zęby.
Z kołącego ostu można płoty grodzić,
A mężowej matce nie można dogodzić!

(1) Cesarzka ziemia: Państwo Austriackie.

K. SKAŁSKI.

(Tom 1-szy, str. 114).

Podalem, że napisu grobowego nie ma; jest to myłka, ma bowiem grób w ziemi, mogiła ogrodzona sztachetami żelaznemi, nad nią pomnik kamienny z krzyżem na wierzchu, poniżej napis: „Karolowi Skalskiemu b. dowódcy raketników pieszych b. wojska polskiego, dziedzicowi dóbr Milanówka, urodzonemu w roku 1787, zmarłemu dnia 22 Kwietnia 1841 roku, w nieutulonym żalu pozostała żona.“

J. N. DZIEWANOWSKI.

(Tom 1-szy, str. 124).

Przy opisie zdobycia Wąwozów pod Sommo-Sierra, wspomnieliśmy o Dziewanowskim, co jeden z pierwszych w ataku tym sławnym zginął. Podaje tu bliższe szczegóły z Pamiętnika Fryderyka hr. Skarbka.

„Między Przyjaciółmi domu naszego (pisze hr. Skarbek) byli dwaj młodzi naówczas Dziewanowscy, obaj, jak ich cała familija krajowi życzliwi. Młodszy z nich za powziętą wiadomością o wkroczeniu francuzów do Poznania, gdy jeszcze prusacy zajmowali Warszawę (roku 1806) postanowił uprzedzić wszystkich i złączyć się z niemi. Poszedł na Pragę pieszo, przemierzył most krokami, aby mieć wiadomość o szerokości Wisły, wyjednał sobie paszport w głąb kraju od jenerała rosyjskiego, wyjechał do dóbr matki mojej, tam otrzymał pałasz od komisarza, i lichą furmanką przejechał pomiędzy wojskami pruskimi i kozakami, dostał się szczęśliwie do francuzów, w dniu pierwszego ich wkroczenia do Warszawy, wrócił do niej jako adjutant jenerała Milhaud. Był to później bardzo znakomity oficer gwardyi Napoleona, który bohaterską śmiercią poległ pod Sommo-Sierra“.

GRZEGÓRZ PLUCIŃSKI.

(Tom 1-szy, str. 135).

Podaliśmy w krótkości skreslony życiorys jego. Otrzymałszy obecnie, według opowieści ś. p. G. Plucińskiego spisane jego wspomnienia, tak z lat młodych, w czasie nauki, jak z późniejszych, z lat służby wojskowej: udzielamy w wyjątkach naszych czytelnikom, jako wielce zajmujące i charakteryzujące właściwe czasy.

Grzegorz Pluciński urodził się w mieście Gombinie, dnia 7 Marca 1784 roku. Rodzice jego lubo posiadali dość intratny folwarczek, musieli sobie wszakże uszczuplać wielu potrzeb, ażeby dzieciom których mieli troje, dwóch synów i córkę, dać przyzwoite wychowanie. Posłali go wczesnie do szkół do Płocka, a po ukończeniu szkół, na naukę do Uniwersytetu Królewieckiego.

Przez cały ciąg tak zwanych u nas czasów pruskich, polacy usunięci byli od wszystkich urzędów, a język niemiecki był językiem urzędowym. Nawet imię polski starał się Rząd Pruski całkiem zagładzić; zabraną część kraju podzielił na trzy prowincye, a z tych dwie przezwał Prusami Południowemi i Nowowschodniemi. Młodzież bogata zniechęcona ówczesnym stanem rzeczy, usuwała się od wszelkiej styczności z rządem i garnęła się ku roli, ale mniej zamożna potrzebują-

ca chleba, i mająca nadzieję znaleźć go kiedyś w służbie publicznej, musiała uczyć się po niemiecku, przerabiać się pozornie na Niemców i o własnym koszcie udawać się na Uniwersytety niemieckie.

Kiedy młody Pluciński przybył do Królewca, zastał tam kilkunastu rodaków uczęszczających do Uniwersytetu. Wielką wziętością i powagą cieszyła się owa garstka Polaków między młodzieżą akademicką, a to ztąd, że bili się dzielnie i stali zgodą jeden za wszystkich, i wszyscy za jednego. A były to czasy burszostwa, pijatyk, pojedynków; młodzież niemiecka szalała, a w Królewcu może bardziej niż gdziekolwiek bądź. Rząd pruski strwożony groźnymi wypadkami na zachodzie, przez szpary patrzył na wybryki akademików, ufny że one pozostaną bez następstw, że się na niczem skończą, że utoną w kufiu i w dymie fajczanym. A że młodzież traciła wiarę, siły i zdrowie, że popadała w demoralizację o to zgoła się nie troszczono; owszem, z wielką względnością tolerowano nieprzyzwoitości, szulerstwa, pojedynki akademików, ich wrzaski i sprośne śpiewki rozlegające się nocami po ulicach, ich chulaszcze zabawy po handlach, billardach, piwiarniach, niekiedy nawet ich jawny opór przeciwko zwierzchności. Zdarzyło się raz, że kilku akademików poważniło się na bilardzie z oficerami: przyszło do bijatyki, oficerowie wzięli górę i wyrzucili akademików oknem. Nic im się wprawdzie złego nie stało, bo to było na dole, ale akademicy czuli zniewagi, narobili nie mało ztąd wrzawy, rozbiegli się po całym mieście krzycząc Burschen raus! i w jednej chwili kilkuset burszów opatrzonych w hibery i w kije, stanęło gotowych ująć się krzywdy swoich kamratów. Garnizon miejscowy wystąpił pod broń dla przywrócenia porządku; wszczęła się na dobre bójka, ale że żołnierzom kazano się trzymać tylko odpornie i unikać wszelkiego krwi rozlewu, a akademicy gracko nacierali, więc wyparli wojsko za miasto i powróciwszy potem z wielkim tryumfem, zakończyli dzień ten hucznymi owacyami. Całą tę burdę acz bardzo gorszącą, puszczone mimo i sprawców jój nie kazano ani śledzić ani ukarać.

Inną razą, przybył do Królewca jakiś uczony professor (nazwiska którego przepomniałem) i zapowiedział kilkanaście prelekcji filozoficznych.

Sława jęgo głośna na całe Niemcy ściągnęła mu tu mnóstwo słuchaczy. Pan professor stanąwszy u katedry, rozpoczął prelekcję wyliczeniem nauk, jakie słuchacze znać winni, aby jęgo wykład filozofii należycie rozumić. Wstęp ten nie spodobał się akademikom, obraziło ich że pan professor mógł powątpiewać, aby oni nauk tych nie znali, i ośmielił się do nich jakby do żaków przemawiać. Szurganie nogami przerwało mowę professorowi, a gdy on nie bacząc na to, chciał dalej rzecz swoją ciągnąć, rozgniewani akademicy zagłuszyli go swojemi krzykami, zerwali się z ławek, i zmusili do opuszczenia sali. Nie poprzestając na tém, wieczorem wyprawili mu kocią muzykę, wytłukli szyby w jęgo mieszkaniu i przez całą noc wymyślali mu pod oknami. Naturalnie po takim przyjęciu, nie miał już co dłużej pan professor tutaj bawić, i zaraz na zajutrz wyniósł się cichaczem z Królewca.

Niesforność i burzliwość akademików pociągnęła za sobą ciągłe kłótnie i pojedynki. O lada drobnostkę bili się zaraz; niespodobał się im kto, to umyślnie szukali z nim zaczepki, a nawet zwyczajem było iż każdego nowicyusza nie w pierw przypuścili do swojej zażyłości i koleżeństwa, aż dobrze naturbowawszy go i wypróbowały jęgo odwagi. Głośnym był pojedynek Polaka, który zaczepiony i wyzwany przez niemieckiego bursza, nie tylko że odparł wszystkie jęgo cięcia, ale go jeszcze porządnie pałaszem wyplazował, że go aż zmusił tém do przeproszenia.

Między uczącą się młodzieżą zawiązywały się przyjaźnie, niekiedy na całe życie. Taką przyjaźnią zbratał się był w Uniwersytecie i Pluciński z niejakim Faronem. Nieodstępni, dzielili z sobą i radość i smutek, i dobrą i złą dolę; dzielili się choćby ostatnim groszem, nie licząc, nie patrząc nigdy oddania. Kiedy Pluciński wrócił do kraju i wszedł do wojska Księstwa Warszawskie-

go, to i Faron pospieszył za nim i zaciągnął się pod téż same sztandary, chociaż mu one były obce, a poniekąd i nieprzyjazne. Późniejsze wypadki wojenne, niewola Plucińskiego rozdzieliły go nawzajem z Faronem. Opuścił on wkrótce służbę, w której go tylko sama przyjaźń wiązała, a że nie mógł się żadną miarą nauczyć po polsku i ztąd nie mało doświadczał przykrości, poszedł więc gdzieindziej szukać szczęścia. Styrawszy lata po różnych krajach, udał się wkońcu do Turcyi, został renegatem, dosłużył się stopnia bimbaszy i zginął w wojnie greckiej.

W roku 1806 po batalii pod Jena przybył do Królewca książę Wilhelm, brat królewski, w celu organizowania i kompletowania armii pruskiej. Odwołano się do patryotyzmu akademików, wzywając ich do stawania w obronie ojczyzny, i zapewniając im stopnie oficerskie. Okoliczność ta, stawiała polaków w nader drażliwém położeniu; acz nie mogący podzielać zapału młodzieży niemieckiej, owszem, upatrujący w powrocie oręża francuzkiego jedyną nadzieję dźwignięcia własnego narodu; musieli się jednakże z swojemi uczuciami bacznie ukrywać, aby nie ściągnąć na siebie zawisłości Niemców i prześladowania rządu, który i tak już śledził za każdym ich krokiem. Razem z innymi musiał i Pluciński udać się do hrabiego Denhoff, który przedstawił go księciu Wilhelmowi, a ten mianował go Kornetem regimentu huzarów Kelera. Szczęściem, że przed wysłaniem go do pułku, kazano mu pierwój uczyć się musztry w zakładzie Aura Regimentu Dragonów, gdzie tak się ociągał z swoją nauką, aż się doczekał wkroczenia francuzów do Królewca. Książę Wilhelm umknął do Memla, i o nowomianowanych oficerach zapomniał, którzy za wejściem francuzów, zamiast do pułków, do cytadeli Frydrychsburga dostali się. Naturalnie, że Plucińskiego, jako polaka, nie spotkał ten los, owszem, uszczęśliwiony przybyciem francuzów, pospieszył on do kancelaryi marszałka Soult'a, oświadczyć gotowość wejścia w szeregi polskie. Oddano go znajdującemu się tamże kapitanowi Jarzyńskiemu, wpisano jako towarzysza, i razem z innymi wysłano pod komendą porucznika Damińskiego do Polski.

Przydzielony do powstania Łęczyckiego, odbył kampanię 1807 roku. Po skończonej kampanii wziął dymisyę, przeszedł do służby cywilnej i po kilku-miesięcznej aplikacyi w Ministerystwie Sprawiedliwości, mianowanym został d. 6 Maja 1808 r. Pisarzem Sądu Pokoju Okręgu Biebrzańskiego.

Krótką atoli była jego służba cywilna, bo kiedy w roku 1809 ujrzał ojczyznę znowu zagrożoną, zażądał urlopu na czas wojny, i dnia 11 Maja wszedł powtórnie do wojska, do 13 pułku piechoty, w siopniu sierżanta. Rozkazem dziennym dowódcy pułku z dnia 14 Maja 1809 r. posunięty na podporucznika, poruczonóm miał sobie organizowanie kompanii woltýżerów. Gorliwość w służbie, sumienne spełnianie obowiązków, zjednały mu wkrótce szczerą przyjaźń Szefa bataljonu Surch'a, który tak go polubił, że otrzymawszy przeznaczenie do Modlina, zabrał go z sobą na Adjutanta-Majora.

Surch, był to sobie stary wojak, zamiłowany w swoim zawodzie, przestrzegający rygoru i porządku w służbie. Oficerowie podkomendni, prawie sama młodzież, bali się go i kochali razem. Rady, napomnienia jego nie szły w las, a słuchane chętném uchem, wdzięcznie przyjmowane były. Inne bo téż to były czasy, młodzież choć pod wąsem, choć przy szlifach, nie emancypowała się, nie obruszała się na starszych. a szanowała wiek i zasługę, i w posłuszeństwie, karności, nabywała hartu, wyrabiała się na ludzi.

Surch, bardzo polubił Plucińskiego, czuwał nad jego postępowaniem, nie spuszczał go na chwilę z oka. Wieczorami brał go do siebie, i całe godziny gawędził o dawnych kompaniach, o legijonach, o służbie, i o tém wszystkiém, o czém dobrze było wiedzieć i nauczyć się młodemu. Tę jego życzliwość odplacał mu Pluciński szczerem przywiązaniem, znosił nawet jego marudztwo i gderania, którym kto inny, będąc zwłaszcza oficerem, nie byłby może powolnym. I tak, zdarzało się, gdy się do późna zagadali, i młody adjutant zabierał się odchodzić, mawiał Surch:

— No, ale jakże, sam pójdiesz?

— Albobym miał się bać czego?

— Ale bał nie o tём mowa, krew młoda nie woda, łacna przygoda, a jak zdrowie zepsujesz, to go i za pieniądze nie kupisz. Hej ordynans!

— Słucham Wielmożnego Szefa.

— A ciemno tam bardzo na dworze?

— Oj ciemno, choćby oko wykol.

— No to zapal latarkę, odprowadzisz pana podporucznika do kwatery.

I pan podporucznik rad nie rad, wracać musiał do kwatery w towarzystwie przyświecającego mu latarką wiarusa.

Pod dniem 5 Lipca 1809 roku, otrzymał Pluciński od księcia Poniatowskiego nominację zatwierdzającą go w stopniu podporucznika, a w dwadzieścia dni później nominację na porucznika do 17 pułku piechoty, zaś w dniu 7 Listopada 1811 roku, posuniętym na kapitana w tymże pułku.

Wojsko nasze za Księstwa Warszawskiego ożywione było szlachetnym zapalem. Chociaż płaca zalegała, a niekiedy dla braku funduszków nie dochodziła (¹), a nikt na to nie sarkał, bo służono nie dla chleba, lecz z przekonania, dla ojczyzny: swoboda, wesołość, nadzieja, krzepiły umysł, dawały zapomnieć o biedzie. Nikt się z nią nie krył, ani się jój nie wstydział. Jak dalece wiadano o tём, że wojskowi rzadko mają pieniądze, okaże następująca przygoda, jaka się przytrafiła Plucińskiemu. Przejeżdżał on przez lasy Bolimowskie, gdy wtём wypadło kilku ludzi, zatrzymali konie, i otoczyli podwodę, zabierając się do rabunku. Pluciński zerwał się, chwycił za pistolety, gotując się do obrony, lecz gdy tym ruchem zsunął mu się z ramion płaszcz, i stojący najbliżej rabuś zobaczył mundur i szlify, wnet wrzasnął na swoich: „puszczajcie to żołnierz, on by nas jeszcze obdarł“ i wszyscy umknęli do lasu.

W początkach Księstwa Warszawskiego brano żydów w rekruty. Wprawdzie owych rycerzy izraelowych było bardzo mało, bo zamiast 3700, obiętych spisem i powołanych do wojska w ciągu lat 1808 do 1811, służyło ich rzeczywiście w całym wojsku zaledwie 70. Niechęć żydów i wstręt ich do wojska, utrudniały tak dalece onych pobór, iż rząd ujrzał się w konieczności przychylić się do ich życzeń, i ustanowić w roku 1812 w miejsce służby osobistej, podatek rekrutowego. Kiedy w lat cztery później uchylono ten podatek i zaczęto znowu brać żydów do wojska, to tyle ztąd było lamentu, płaczów, zabiegów, że z liczby przeszło 500 zaciągowych, tylko 144 dało się dostawić do pułków, a i z tych 18 zbiegło, i byłoby ich jeszcze więcej zbiegło, gdyby wkrótce nie uwolniono ich wszystkich z wojska, z powodu przywróconej opłaty rekrutowego.

Owoż kilku takich rekrutów żydowskich przysłano w roku 1816 do miasteczka, w którym kwaterował Pluciński. Jednego poranku, jakoś wkrótce po ich przybyciu, wpada do niego podporucznik S... zaperzony, pomieszany, i rzuciwszy się na sofę, rzecze:

— Al kolego! już dłużej nie wytrzymam, oszaleję! dalibóg oszaleję.

— I cóż się tam stało, cóż się stało? Może ci kochankę porwano? może rodzice nie chcą już płacić dłużków? co?

— Kiedy — bo ci się żarty trzymają, a ja tu zmęczony, zgniewany, mało mnie djabli nie biorą.

— No gadajże, gadaj kochany trzpiocie.

(¹) Między notatkami Plucińskiego, znalazły się następujące pro memoria. „Gaża zaległa należąca mi się od Rządu Polskiego Księstwa Warszawskiego, jak następuje: Gaży Adjutanta-Majora po zł. 5 gr. 20 na dzień należy się za miesiący — z roku 1809, Grudzień z roku 1810, Lipiec z roku 1811 Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik — Gaża kapitańska po złp. 9 dziennie, — z roku 1811 Listopad — z roku 1812 Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad.“

— A to bieda z temi żydami, utrapienie, ucz, pokazuj, wszystko napróżno, jakby groch na ścianę rzucał.

— Dawna piosnka, codzień słyszę to samo, przestałbyś marudzić, a lepiej wziął się do pracy.

— Alboż się jeszcze mało napracuję? niechnoby ci kazano uczyć mustry żydów, dopiero byś zobaczył? Z niemi i djabeł do końca nie trafi, tyle się namęczyłem nimem ich jako tako maszerować i robić bronią nauczył, dzisiaj ot nowa bieda, chcę ich uczyć strzelać, a ci strzelać nie chcą.

— Jak to nie chcą, a od czego subordynacya, kiedy nie chcą, to ich zmusić do tego.

— Łatwo powiedziéć, ale jakże zmusić, kiedy oni na sam widok prochu drżą ze strachu, boją się dotknąć panewki. Zmiluj się pójdź, zobacz, może co poradzisz.

I pociągnął z sobą Plucińskiego, zmierzając ku miejscu, gdzie się odbywała owa mustra żydowska.

Zabawna to była zaiste scena, patrzeć na owych biednych żydków, jak się pocili ze strachu, gdy im podporucznik S... kazał broń nabijać i strzelać. I gdy mimo kilkokrotnéj komendy, żaden z nich nie odważył się dać ognia, zniecierpliwiony podporucznik przyskoczył i stojącemu z brzoza pociągnął za cyngiel... Rozległ się strzał, lecz zarazem i trzymający karabin żydek wrzasnąwszy aj waj, padł jak długi na ziemię.

Obecni żołnierze głośnym wybuchli śmiechem, a i podporucznik i śmiał i gniewał się razem.

— No i cóż tu z temi tchórzami robić? biadał podporucznik, załamując ręce.

— Ej głupstwo, nie ma nad czém suszyć głowy, jakby to co wielkiego nauczyć tych kpów strzelać. Temi słowy odezwał się stary wiarus, stojący na boku i przypatrujący się bacznie niefortunnym usiłowaniom podporucznika. Ubodło to do żywego miłość własną podporucznika, że aż podskoczył oburzony przymówką wiarusa.

— O tak, tak! u was starych legijonistów, to wszystko fraszka, wyście wszystkie rozумы pojedli, a my młodzi nic nie umiemy, zapewne, zapewne...

— Ale z przeproszeniem, niech się pan podporucznik nie gniewa, bo Bóg mi świadkiem niechciałem pana obrażać, korciło mnie tylko widząc, że sobie Wielmożny pan z tém tałajstwem nie możesz dać rady.

— A ty dałbyś im radę?

— Czemu nie? odparł poważnie wiarus pokręcając siwego wąsa.

— Słuchajno stary, ze mną drwin nie masz, trzymam cię za słowo, podejmujesz się więc nauczyć tych żydów strzelać?

— Choćby jutro zaraz.

— O zakład?

— O zakład.

— Dobrze, stawiam pięć dukatów, jeżeli dokażesz swego, twoja wygrana... a jeżeli nie, to co?

— To skórą własną odpowiem, dam sobie wyliczyć dwadzieścia kijów. Czy zgoda panie podporuczniku?

— Zgoda.

Nazajutrz, stawił się wiarus, a odebrawszy pod swoją komendę owych rekrutów żydowskich, pomaszerował z niemi na pobliską łąkę.

Snać stary wyga zmówił się był ze swojemi kamratami, bo kilku ich z bronią na ramieniu czekało go już na łące.

Co tylko żyło pobiegło, aby być świadkiem, czyja będzie wygrana?

Wiarus uszykował żydków, kazał im robić bronią, i szło to dość jakos... ale gdy zakomenderował tuj, cel, pał, ani rusz dalej, żydki sza, jakby ogłuchli, nie myśleli i słuchać nawet.

— Aha, a co? kuso będzie z waszecią, wykrzyknął tryumfująco podporucznik.

— Cierpliwości, odrzekł spokojnie wiarus, a obracając się do swych kamratów, co to już na niego byli czekali na łące; hej bracia, zawoła, pójdźcie no do roboty!

Środkiem łąki, wiała się mała ale bardzo głęboka rzeczka, przez którą zarzuconą była wążka kładka.

Po obu końcach kładki zajęli miejsca żołnierze. Wiarus zakomenderował marsz! i wprowadził żydków na kładkę.

— No! a teraz baczność na komendę, strzelać mi gładko, równo... a wy kochani koledzy, rze-
cze, obracając się do żołnierzy, patrzajcie a dobrze; jak mi który z tych żydków skrewi i nie da
ognia, to go kolbą do wody.

I o dziwo! musztra poszła jak z płatka, żydki strzelali wybornie, strzelali więcej godziny,
żaden z nich ani zemdlał, ani drgnął nawet.

Ależ bo woda była głęboka, a nasi wojacy nie mieli snąć ochoty próbować niebezpiecznej
kąpieli.

Stary wiarus wygrał zakład.

W dodatku, podporucznik wyprawił sutą ucztę, na której tak uraczono wiarusa, tyle spełnio-
no wiwatów, że się aż stary jak bóbr rozplakał.

W kompanii Plucińskiego, służyło stadło małżeńskie. Maciej Żubr był porucznikiem, a żona
jego Joanna Żubr była sierżantem.

Przez długi czas niewiedziano, że Joanna Żubr jest kobietą; zaciągnęła się ona była do woj-
ska razem z mężem, mieniając się bratem jego. Oblicze jęj sniade, rysy wydatne, grube, lekki za-
rost, mina marsowa, wzrost dobry, ruchy śmiałe, nie łatwo dawały domyślić się płci pięknej. Była
to odważna i zacna kobieta, wszyscy ją szanowali. W boju nieustraszona, pierwsza szła w ogień
nieprzyjaciela, pierwsza wdzieriała się na szanice; w nagrodę swych czynów zyskała chlubną oznakę
krzyża wojskowego.

Podczas ciemnej nocy, Maciej Żubr wysłany z małym oddziałem na zwiady, oskoczony znie-
nacka został przez liczny zastęp kozaków. Żubrowa posłyszawszy strzały, bierze z sobą kilku zu-
chów i pospiesza na pomoc mężowi. Niespodziana pomoc zmięszala kozaków, tak, iż pó krótkim
oporze, straciwszy kilku ludzi, pierzchnęli.

Maciej Żubr wesoly, towarzyski, wylany dla kolegów, częstokroć nie tylko swój ale i żony
żołd przehulał; ztąd naturalnie powstawały małe małżeńskie swary: sierżant Żubr czynił ostre wy-
mówki porucznikowi Żubrowi, a ten ażeby mieć rychlęj spokój, uciekać się niekiedy musiał do po-
wagi swojego stopnia, to jest po prostu arestował sierżanta Żubra, za brak subordynacy i za
okazane nieuszanowanie dla porucznika Żubra. Ale to tylko były małe chmurki, zwyczajnie jak
w małżeństwie, zresztą nie było przykładniejszego nad Żubrów małżeństwa.

Po wyjściu z wojska zamięszkali Żubrowie w Wieluńskim, gdzie pan Maciej otrzymał był
posadę Nadleśnego w lasach rządowych.

Postawa Żubrowej i po cywilnemu była zamaszysta, czarna sukienna suknia po szyję zapięta,
błyszczący na piersiach krzyż wojskowy, zwracały na nią każdego oko.

Ile kroc razy przyjeżdżała do Kalisza, bywała codziennym gościem w domu Plucińskiego, wi-
tała się z nim zawsze po żołniersku, jako z dawnym swoim komendantem.

Żubrowa chętnie gawędziła, a że widziała i wiedziała wiele, miała o czém gawędzić. Ulubio-
nym przedmiotem rozmowy jęj, była wojskowość. Do wojaczki, jak powiadała, miała już wrodzo-
ną skłonność. Może miała lat pięć, kiedy we wsi gdzie mieszkali jęj rodzice, gruchnęła wieść, że

nadciąga oddział nieprzyjacielskiego wojska, złożony z kałmuków. Trwoga była wielka. „Lubo i ja także (opowiadała Żubrowa) bałam się trochę kałmuków, o których prawiono, że zjadają dzieci, że mają straszne twarze i jedno tylko oko, zdjęta atoli ciekawością zobaczenia ich, a zwłaszcza tego ich oka, które wybrażałam sobie na środku czoła; wymknęłam się z domu. i przez pół dnia leżałam przyczajona w zbożu przy drodze, którędy przechodzić mieli kałmucy. Ale daremne było moje oczekiwanie, kałmucy nie pojawili się wcale, a ja i nie zaspokoiliam mojej ciekawości i dostałam jeszcze różgą od matki za to, że mnie tak długo nie było w domu.

Macięj Żubr umarł w roku 1849, a w kilka lat później w roku 1852, umarła żona jego Joanna. Prawy ich charakter, dobroć serca, i miłosierne uczynki, znane były powszechnie i zjednały im wdzięczną pamięć.

Starzy wojskowi z uwielbieniem wspominają o księciu Józefie Poniatowskim, i zaiste rzadko kto większej od niego używał popularności. Krążące o nim pogadanki, anegdutki, rozeszły się po najodleglejszych zakątkach kraju, i dzisiaj stały się już niemi tradycją narodową.

Książę Józef ulubieńcem był wojska; gdy przejeżdżał konno po Warszawie, żołnierze wybiegali z kwater, aby go zobaczyć, aby mu okazać należne uszanowanie. Nie raz zagadał do starego wiarusa i dobrém słowem, jedną go sobie na zawsze.

Książę Józef odznaczał się wyższością umysłu i serca, i wywierał ogromny wpływ na wszystkich co go otaczali, przez swoją dobroć, uprzejmość, uczynność; każdego wysłuchał, każdemu rad dopomógł. Nikogo nie zraził niewczesną dumą, choć dalekim był od przypuszczania do zbytnej poufałości. U stołu jego obok dygnitarzy i generałów, widzieć nie raz było można prostych żołnierzy, gdyż książę rad był odznaczać każdą zasługę i uszanować godność osobistą.

Pamiętnym był bal dany przez wojsko dla księcia, w dzień ś. Józefa 1811 roku. Obszerne salony Bryłowskiego pałacu, przybrane wojennym rynsztunkiem zajaśniały niezwykłą okazałością. Piérwsze arystokratki kraju g'woli dostojnemu Solenizantowi ubiegały się tańczyć z znajdującemi się na balu z żołnierzami; a żołnierze z entuzjazmem podejmowali ukochanego Wodza. Mieszkańcy Warszawy z własnej woli oświetlili rzesisto swoje domy, i tłumy ludu snuły się noc całą po ulicach.

Książę Józef wzorowo uorganizował wojsko, potrafił wpoić w nie uczucie honoru, które mu było bodźcem do późniejszych poświęceń, dodawało mu siły moralnej, śród najtrudniejszych okoliczności.

A w wojsku, jakież to było koleżeństwo, jakie przywiązanie żołnierzy do oficerów! Sierota, bez imienia, bez protekcji, byle się odznaczył na polu walki i postępował honorowo, pewnym był swego awansu. Duma, chęć wywyższenia się, wnet upokorzone, nie znajdowały nigdzie przystępu.

Zdarzyło się, iż do jednego pułku świeżo organizującego się, przybyło kilku paniczów, którzy przypiąwszy szlify, pałasz i ostrogi, zaczęli szumić po Warszawie, żyć swoim dworem, bywać tylko w arystokratycznych domach, stroniąc widocznie od innych kolegów. Przykro było oficerom znosić fanaberye od tych, co zamiast własną, jeno przodków zasługą świecili. I zaradzono temu niebawem. W pułku tym służył porucznik N... z acny młodzieniec, którego matka trzymała kramik przy ulicy Freta. Gdy raz oficerowie wracając z wystąpienia przechodzili około tego kramika, porucznik N... ozwał się do nich: „kochani koledzy, hrabiowie i nie hrabiowie, jesteśmy strudzeni, głodni, jeśli nie wzgardzicie śniadankiem u mojej matki, która ot tutaj sprzedaje tasiemki i nici, to was szczerem sercem zapraszam.“ Przyjęto zaproszenie, więc i owym paniczom nie wypadało wyłączać się od innych. Porucznik N... przedstawił kolegów matce i zanim podano śniadanie, zabrano się do fajek i gawędki. Gawędzono długo to o tém, to o owém, ktoś napomknął o tych co wyniosłszy się z niczego, wstydzą potem swoich rodziców. „Może oni mniej są winni, jakby się z pozoru zdawało, rzecze porucznik N... są bo to ludzie nie tyle źli, jak słabego charakteru. Rzuceni między ludzi próżnych, nadętych, pieniężnych, lękają się ich przekasów, przesiakają ich

narowami. Raz wstąpiwszy na błędną drogę, trudno się już wycofać, a przyczyną całego złego któż jeżeli nie ci, co sami czując małą swą wartość, latać się muszą ojców zasługą?" Na te słowa spojrzenia obecnych skierowały się na onych panoszących się oficerów, a ostrzejsze jeszcze przy-cinki sygnęły się gradem. Nauczka ta bardzo skutkowała, odtąd panicznie stali się całkiem innemi, starali się zatrzeć pamięć dawniejszego swego postępowania, a grzecznością, towarzyskością, go-ścinnością, zyskali wkrótce serca wszystkich kolegów.

Nastąpiła pamiętna kampanija 1812 roku. Wojska otrzymały rozkaz marszu, i Pluciński z kompaniją drugą fizylierską, batalijonu 3-go, pułku 17-m, której był komendantem, udał się w pochód dnia 9 Czerwca z Krogulca pod Warszawę. Z pozostałej własnoręcznej jego notatki przytoczę tu daty i kierunek owego pochodu.

„Dnia 9 Czerwca, nocleg pod wsią Dąbiem ku Serocku. Dnia 15 Czerwca po postawieniu baraków pod Serockiem dalszy marsz ciągły na Pultusk, Ostrołękę, Różan, Nowogród, Stawiski, Szczuczyn, Grajewo, Rajgród, Augustów, Lipsk, do Grodna wejście dnia 30 Czerwca. Dnia 5 Lipca wejście do Skidla, dnia 6 Lipca wejście do Szczuczyna, dnia 7 Lipca wejście do Żołudkowa, dnia 8 Lipca wejście do Bielicy, dnia 9 Lipca wejście do Nowogródka, dnia 10 Lipca wejście do Koralicz, dnia 11 Lipca wejście do Miru, dnia 12 Lipca wejście do Nieświeża, dnia 13 Lipca wejście do Ciemkowic, dnia 14 Lipca wejście do Romanów, dnia 15 Lipca wejście do wsi Iwanowa, dnia 19 Lipca wejście do Chroźewa, dnia 20 Lipca wejście do przewozu na Łoszy dnia 22 Lipca wejście do Słucka, dnia 23 Lipca wejście do Wrecze, dnia 25 Lipca wejście do Hłuska, dnia 1 Sierpnia przyjsie do Hołojów miasta, ztąd do Berezyny miasta, z Berezyny do Pohostu, z Pohostu do Białonic, z Białonic do Książyc. Ztąd do Mohilowa marsz był ciągły; w Mohilewie stanie przez dni cztery. Z Mohilowa marsz przez Bujnicze miasteczko, ztąd przez Sułtanówkę, plac bojowiska francuzów z rossyanami: do Daszkówki miasteczka, ztąd do Starego Bychowa, z Bychowa do Czechryнки na obserwacyę fortecy Bobrujska. Pułk 17 należał do dywizyi generała Dąbrowskiego, która nie udała się z wielką armiją do Moskwy, lecz zostawała przez cały ciąg kampanii między Mochylewem a Bobrujskiem dla utrzymania komunikacyi z innemi korpusami. Ażeby uczynić zadość temu zadaniu, potrzeba było i Bobrujsk oblegać, i powstrzymywać parcie korpusu Czyczagowa, zdążającego spieszenie od granic tureckich ku Berezynie. Położenie dywizyi Dąbrowskiego, stawało się z każdym dniem coraz bardziej krytycznem. Trzeba było ucie-rać się ciągle z licznymi oddziałami kozaków, i odbywać marsze w okolicy przez nieprzyjaciela całkiem zniszczonej i wyludnionej.

W składzie 17-go pułku zaszły wtedy liczne zmiany, między innemi Surcha przeniesiono na majora do pułku 18 w Litwie formującego się, a w miejsce jego przeznaczono na szefa Macieja Dąbrowskiego kapitana 3-go pułku.

W ciągłych marszach, w ciągłych utarczkach, doświadczył wówczas Pluciński całej okropności życia wojennego. Z kompaniją swoją przerzucal się kilkakrotnie z pod Bobrujska ku Mochilewu, to znowu z pod Mochilewa ku Bobrujskowi; znajdował się w bitwie pod Bobrem, przy oblężeniu Bobrujska, nad Berezyną, słowem, miał czynny udział we wszystkich działaniach dywizyi Dąbrowskiego.

W aktach Kommissyi Rządowej Wojny, znajduje się następująca o Plucińskim wzmianka:

„Grzegorz Pluciński, kapitan 17-go pułku piechoty z kompaniją swoją z rozkazu JW. generała Żółtowskiego, uprzętnął most na Berezynie, i przeprowadził sześć armat, oraz amunicyje do tychże należące pod wieś Studziankę, ztąd razem z pułkiem udał się na trakt Miński do boru tuż pod Studzianką będącego, gdzie do ciemnej nocy trwała batalija, w której, w awansie gdy pułk szedł

na bagnety, został zrabany i w niewolę wzięty dowódca pułku pułkownik Hornowski, a nazajutrz resztę niedobitków poprowadził Maciej Dąbrowski, podówczas podpułkownik.“

Jeżeli kiedy, to w kampanii 1812 roku, nabyli polacy niezaprzeczenie prawa do wdzięczności Francji i Napoleona. W pochodzie do Rosji, oni torowali nieomal drogę wielkiej armii, a hasło *En avant Polonais!* brzmiało nieustannie w ustach wodzów francuzkich. W odwrocie, oni stawiali czoło nacierającemu nieprzyjacielowi, zasłaniając zawsze i wszędzie uchodzących francuzów, i gdyby nie ich dzielna obrona, to może losy Francji rozstrzygnęłyby się już były wtedy stanowczo, a Napoleon i zdeorganizowana armija, znaleźliby byli grób nad brzegami Berezyny.

Polacy nie pochwalali pochodu na Moskwę, radząc odroczyć go do następnej wiosny. Napoleon nie posłuchał tej rady, zasadność której, usprawiedliwiły aż nadto późniejsze wypadki.

Armija im głębiej zapuszczała się w granice Rosji, napotykała samą pustynię, wieś popalona, ludność rozpierchłą po lasach, nie było co jeść, brak było nawet wody, gdyż nieprzyjaciel cofając się, niszczył co tylko mógł; chaty, gumna, zboże, siano, zarzucał gnojem studnie, uprowadzał mieszkańców, zabierał bydło; trzeba było wszystko wozic za armiją.

W odwrocie rozpręgły się były wszelkie węzły porządku i moralności, znikła karność, żołdactwo włokło się samopas, nie słuchając nikogo, rabując co się dało, obdzierając żywych i umarłych. Słabsi marzli po drodze tysiącami, tratowani przez pieszych i konnych, napełniali powietrze jękami. Świetni wojownicy Napoleońscy wyglądali na żebraków w obszarpanych mundurach, pookrywani kozuchami, kołdrami, łachmanami, kobiecą odzieżą, otulali jak mogli swoje przemarzłe członki, zawodząc głośno żale i narzekania. Do ognisk, do jakiego budynku, zbrojną ręką torowali sobie drogę, wpychając niekiedy jedni drugich w płomienie.

Wojsko tylko polskie trzymało się jako tako w porządku, nie rozpraszało się pojedynkiem, a skupiało się razem, nie ginęło marnie, a w ustawnych bojach z nieprzyjacielem, jednało chwałę, a pożytek sobie i drugim.

Ale i tu bieda była wielka; Pluciński długo bardzo obywać się musiał trochę kaszy, którą miał przy sobie w torbie, wraz z garnuszkiem, służącym mu do gotowania; gdy mu się stłukł ów garnuszek, zapłakał po nim, jakby za utraconym skarbem, i odtąd już tylko pozostała mu surową kaszą żywić się musiał. Raz zdybał swego serdecznego przyjaciela, jak przyczajony za drzewem w lesie, wydobywszy fiaszkę wódki, popijał takową ukradkiem. Mimo próśb, mimo zaklęć w imię koleżeństwa i przyjacielni, ażeby mu dał choć troszkę napić się i rozgrzać, ów przyjaciel nasrożył się, schował fiaszkę i umknął czém prędzej. I dziwić się tu jeszcze, że między biednym gminem, miłosierdzie współczucie, tak rzadko mają przystęp, gdy bieda, nawet i ukształceńszych ludzi czyni niemniej egoistami. Kiedy w późniejszych czasach przyjaciel ten, wynudził swoim gadulstwem odwiedzając Plucińskiego, tak, że go się chciał pozbyć, zwykł mu był wtedy ów wypadek w lesie przypominać, czego on tak nie lubił słuchać, że brał zaraz za czapkę i wychodził.

Zdarzało się, że kęs chleba albo trochę ciepłej strawy, złotem niekiedy opłacano, a i za złoto nie zawsze jej było można dostać, i przy złocie z głodu umierano.

Śród mrozu, na lodem i śniegiem pokrytej ziemi, przepędzać trzeba było noce, jeżeli było drzewo, rozpalano ogniska, i kładziono się pokotem jedni na drugich, po kilku lub kilkunastu spółem; a gdy nie było czém ognia rozpalić, to nad rankiem, w owej kupie śpiących na sobie, zawsze się kilku zmarzłych znalazło.

Przy wojsku naszym, znajdował się oddział, złożony z francuzów, włochów, westfalów, bawarów i t. d. zwany pospolicie kompaniją djabelską. Dowodził nią kapitan Miecznikowski, początek zaś tej kampanii był taki:

Kiedy wojska posuwały się ku Moskwie, wlokło się w ślad za nimi mnóstwo maroderów, włóczęgów, i innych luźnych ludzi, dopuszczając się ciągłych rabunków, kradzieży i gwałtów; kilku takich wagabundów schwytano na gorącym uczynku i stawiono przed jednego z naszych pułkowników, a ten nie wiele myśląc kazał im dać broń, wcielić do pułku, i oddać pod specjalną komendę Miecznikowskiemu. Odtąd każdego, marodera włóczącego się samopas przytrzymano i przydzielono do owjej komendy, która wkrótce wzrosła do stu kilkudziesięciu ludzi. Komenda ta, jak się rzekło, złożona z rozmaitych narodowców, przedstawiała istny babel, jedni drugich nie rozumieli, a wszyscy nie chcieli rozumieć dawanych rozkazów; dla tego téż ją przez pośmiewisko nazywano kompaniją djabelską. Miecznikowski z kilkoma dodanemi sobie wiarusami, nie mało się namozolił nim mu się udało zaprowadzić trochę rygoru i porządku. Razu pewnego, kiedy maszerował ze swoją kompaniją przez las, pierzchnęli mu wszyscy jego nowozwerbowani żołnierze, i powłaziwszy na drzewa, oświadczyli, że nie pójdą dalej. Co tu było robić? perswazyi nie słuchano, z rozkazów wręcz się śmiano. Miecznikowski skoczył po rozum do głowy, uszykował swoich wiarusów, kazał im nabić broń, i zapowiedział zbiegom, że ich każe wszystkich wystrzelać, jeżeli nie staną do szeregu. Jakoż istotnie dano ognia na wiatr, a gdy kule świsnęły między drzewami, zbiegi widząc, że to nie przelewki, pozłazili z drzew, błagając o przebaczenie. Dla przykładu ukarano zaraz na miejscu zuchwalszych, i odtąd wszystko szło już lepszym trybem. Kompanija djabelska nieźle się nawet niekiedy popisowała, zwłaszcza gdy chodziło o własną jēj skórę, to jest gdy nie działano zaczepnie, lecz tylko odpornie. Było więc i z niēj trochę pożytku.

W czasie odwrotu armii, w jednej z potyczek, jakie codzien trafiały się, Pluciński ranny, pozostał na pobojowisku. Ręka miłosierna podjęła go, wyrwała śmierci. Gdy odzyskał zmysły, ujrzał się złożonym na wózku, zaprzężonym w jednego wołu i poganianym przez wiejskiego wyrostka.

Tak przywieziono go do Wilna.

Tutaj, po piérwszém opatrzeniu w lazarecie, urządzonym w Stariej Policji, wzięli go do domu swego, niejacy państwo Polańscy.

Mieszkańcy Wilna ubiegali się wtedy w udzieleniu pomocy obrońcom ojczyzny.

Polańska widząc ojca wynędzniałego, przeziębłego, prawie bez sił, i pragnąc go pokrzepić, podała mu szklankę ponczu. To zbyt nagłe rozgrzanie żołądka, odwykłego od ciepłych pokarmów, wywołało długą i ciężką chorobę. Rozwinęła się zapalna gorączka, utrata mowy. Polańska zanosila się od rozpacz, uważając się być przyczyną całego nieszczęścia. Poświęcenie, troskliwość jēj w pielęgnowaniu chorego, nie miały granic; kiedy po kilku tygodniach nastąpiło przesilenie choroby i Pluciński po raz piérwszy przemówił, ileż ztąd było radości w domu pocziwch Polańskich.

Zwolna wracało zdrowie i siły, ale z drugiej strony rosło innego rodzaju niebezpieczeństwo. W Wilnie byli już rossyanie; mieszkańcy jak mogli ukrywali pozostawionych u siebie wojskowych, tworząc się ich przyszłością, pragnąc ich uchronić od niewoli.

Wiara w potęgę i genijusz Napoleona była jeszcze tak wielką, iż powszechnie podzielano nadzieję, że on wróci niezadługo, że wróci zwycięzcą. Silono się więc, jakby do czasu powrotu Napoleona ukryć przebywających w Wilnie Polaków. Najczynniejszemi w téj mierze okazały się szlachetne i piękne nasze litwinki. Wspierały się ony wzajem radą, pomocą, pieniędzmi, odbywały tajemne narady, wiązały się niejako w stowarzyszenie, ożywione jednym duchem, celem, dążnością.

Polańska zamierzała z początku ułatwić Plucińskiemu ucieczkę z Wilna, przebierając go za kobietę, lecz dowiedziawszy się, że kilku oficerów próbowało już tego fortelu, i że im się takowy nie udał, umysliła szukać innych środków ocalenia. Tym celem, odbyła się u pani Polańskiej formalna kobieca sessya, na której uradzono, iż najpewniejszym środkiem ocalenia Plucińskiego, by-

łoby umieścić go w nowicyacie którego klasztoru. Jedna z przyjaciółek pani Polańskiej oświadczyła, iż ma krewnego przeorem, że przeor ten nie cierpi francuzów, bo ich uważa za libertynów, wolteraisistów, bezbożników, że skutkiem téj antypatyi dla francuzów sprzyja rossyanom, a ztąd ma u nich wielkie zachowanie, że zatém starać się będzie pomieścić Plucińskiego w jego klasztorze, gdyż tam mógłby bezpieczniej jak gdziebądź, oczekiwać powrotu Napoleona.

Przyjęto wniosek i niebawem rozpoczęły się starania i zabiegi do przeora, który po długim wachaniu, zgodził się wreszcie, aby mu przyprowadzono owego młodzieńca, mającego taką żarliwą chęć wstąpienia do klasztoru.

Przedstawiono Plucińskiego pod przybraném nazwiskiem, jakoby rodem z Ukrainy, nauczono go jak ma mówić o swoich niby rodzinnych stronach, jakie są jego ciotki, wujowie, kuzynki i t. d. słowem wszystkiego co było potrzeba.

Przeor zmierzył go okiem, i po kilku stosownych do okoliczności zapytaniach, zagadnął:

— Młodzieńcze, mówisz że jesteś z Ukrainy, gdy tymczasem z akcentu wnosiłoby należało, że jesteś Koroniarzem.

— Być może, iż nabrałem akcentu koroniarzów, gdyż lat kilka przepędziłem w Warszawie dla dokończenia edukacyi.

Przeor jakoś z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Czyś się zastanowił dobrze, ciągnął dalej, co to jest klasztor? jesteś młody, w oczach twoich drga życie, może zatęsknisz kiedyś za światem; a tu trzeba z nim na zawsze uczynić rozbrat, trzeba zamknąć się w sobie, oddać się umartwieniu, pokucie i modlitwie.

— Wielebny ojcze, czas nowicyatu będzie czasem próby, okaże najlepiej, ażali mam istotne powołanie, i czy będę mógł wyrzec słuby, mające mnie związać na zawsze.

— Przyjdź jutro w południe, zjesz nasz klasztorny obiad, pomówimy jeszcze o tém obszerniej, poznamy się bliżej.

Nazajutrz stawił się Pluciński. a przeor zaprowadził go do kościoła, do cel zakonników, rozwoził się nad surowością reguły, pytał, badał, egzaminował.

Pluciński dobrze na wszystko przygotowany, nie mięszał się w odpowiedziach, i zdawało się, że trafnością swojego sądu, spodobał się nawet dosyć przeorowi.

Po skończonym obiedzie rzekł tenże:

— No młodzieńcze; zostaje nam jeszcze do zobaczenia ogród klasztorny, chcę ażebyś dobrze poznał cały nasz mały światek, abys poniewczasie za innym nie tęsknił.

I zeszli do ogrodu.

Już czas niejaki krążyli po alejach, rozmawiając to o tém to o owém, gdy przeor zboczył ku miejscu, gdzie pracowało kilku robotników. Nieszczęście mieć chciało, że między nimi znajdował się dawny żołnierz z kompanii Plucińskiego, który pozostawiony w Wilnie, nie mając z czego żyć, przychodził wraz z innemi na zarobek do klasztoru. Skoro tylko zobaczył go, przybiegł z radością wołając:

— A Wielmożny kapitan żyjesz i zdrow jesteś, dzięki Bogu, dzięki Bogu, a ja już oplakałem pana, myślałem żeś zginął w rejtradzie.

Przeor stanął, pochmurzył brwi i rzekł:

— To więc takiego to w osobie pana mam honor witać nowicyusza, więc wszystko było tylko udaniem, aby mnie podejść, chciałeś z cichego naszego klasztoru zrobić sobie kryjówkę do czasu powrotu francuzów? Tak się nie godzi... Zegnam pana.

I rzekłszy to, oddalił się spiesźnie.

Pluciński zmartwiony, powrócił do Polańskich, którzy szczerze się zasmucili, dowiedziawszy co się przytrafiło.

Wypadek ten doszedł wkrótce do wiadomości władz, wzięto Plucińskiego do niewoli, i w początkach Kwietnia 1813 roku, wyprawiono go razem z wielu innymi jeńcami, na tak zwaną linię Kulkowską. Więcej jak rok zostawał w niewoli, początkowo w Charkowie, najdłużej w Achtyrce, i w okolicach tego miasteczka.

Dano raz Plucińskiemu kwaterę na wsi, w domu starowiercy.

W progu zjawił się gospodarz, siwobrody, wieśniak, poważnego i łagodnego oblicza, a ujrzawszy u niego zawieszony przy pętlicy kapciuch i lulkę, skłonił się uprzejmie i rzekł:

— Wiara nasza nie pozwala nam cierpieć w domu palenia tytoniu, proszę więc was nie chcecie naruszać tego co nam jest święte, pozwólcie, że was pomieszczę nie w moim mieszkaniu, ale ot tam w stodole, wszak teraz lato, wam tam będzie i lepiej i obszerniej, a ja wam dam takie wygody, że nie pożałujecie tego.

Pluciński zgodził się na to, i wkwaterował się do stodoły.

Spędziwszy bezsennie noc, jak to zwyczajna nieszczęśliwym, wyszedł o świcie na podwórze, a nałożywszy lulkę i skrzesawszy ognia, usiadł na przyźbie, goniąc myślą za fantastycznymi kłębamii dymu, dumając o przeszłości, o swoich... Znaęła poczuł na ramieniu ciężar, i spostrzegł ogromnego psa, który uwiązany o kilka kroków na łańcuchu, zaszedłszy z tyłu, jął się lisać i lizać go po ręku. Poglaskany i ukaresowany, legł przy jego nogach. W chwilę potem zaczęto się budzić w chacie, których z domowników wyjrzawszy okienkiem, krzyknął przeraźliwie. Wnet wybiegł z chaty sam gospodarz, wołając:

— Uchodźcie, uchodźcie, bo was ten pies rozszarpie.

— My z sobą w przyjaźni, rzecze na to Pluciński, głaszcząc psisko, które uradowane, machając ogonem, położyło mordę na jego kolanach.

— No widać wy musicie być bardzo poczciwy człowiek, skoro wam ten pies tak rad, zaargumentował gospodarz, on bo oprócz mnie, nikomu dostąpić nie da, a tak zajadły, że go nawet na noc z łańcucha spuszczać nie mogę. My widno oba poczciwi ludzie. Skoro was moj pies lubi, to i ja was szanuję, zachodźcie do mnie, rad poznać was z moją rodziną, podzielić się z wami chlebem i solą, czém mam przy duszy.

A kiedy Pluciński zabierał się pójść z nim do chaty, wstrzymał go jeszcze chwilę gospodarz mówiąc:

— Tylko zostawcie tu waszą lulkę, i nie wnoście jej nigdy w nasz dom, aby nam grzesznie nie było, a niedopuscił Bóg doświadczyć gniewu swojego.

Poczem wprowadził Plucińskiego do chaty, poznał z żoną, z synami, przyjął jak mógł najlepiej.

Odtąd Pluciński uważanym już był jakby członek rodziny; odbierał ciągle dowody gościnności i współczucia.

— Prawda, wy nieszczęśliwi, mawiał gospodarz, wy w niewoli, w dali od swoich, no wy zobaczycie ich kiedyś, i zapomnicie o biedzie. I machnął ręką a łzy zabłysły mu w oczach.

Kiedy po kilku tygodniach, kazano Plucińskiemu udać się w inne strony, to poczciwy starowierca z całą rodziną odprowadzał go do pobliskiego siola, opatrzył w drogę, a żegnając błogosławił, jakby własnemu synowi!

Major K... kolega i przyjaciel Plucińskiego, miał do usług żołnierza, będącego także w nie-

woli. Rodem z Podlasia, pochodzeniem rusin, sprytny, wesóły, hulak, umiał on sobie pozyskać zupełne zaufanie swojego pana.

Kiedy nadszedł rozkaz pozwalający jeńcom wracać do kraju, rusin ów, okazał tak wielki smutek, takie rozrządzenie, że to aż zwróciło uwagę Majora.

— Cóż się to znaczy, zagadnął go, że kiedy my wszyscy cieszymy się naszym powrotem do kraju, ty ni ztąd ni z owad nagle osowiałeś, jakby cię jakie nieszczęście spotkało.

— Ej wielmożny Majorze, to tak sobie, to przejdzie...

— Ależ przecie?

— Ot bo mi żal opuszczać te strony, doma rodzice pomarli, bracia i siostry może odepchną przybędę, a tutaj człowiek mógłby być szczęśliwym.

— A to zkad znowu?

— Kiedy, bo wstyd powiedzieć, rzecze drapiąc się w głowę, ale wielmożny Major jesteś dla mnie tak dobry, to albo i powiem już wszystko.

— No to powiedzże, wiesz przecie, że radbym ci zawsze, ile mogę dopomódz.

— Pan mi przyrzekasz dopomódz, pan nie odrzucisz mojej prośby? zawoła rusin, podbiegając radośnie ku majorowi.

— Gadaj co ci potrzeba?

— Ot sprzedaj mnie wielmożny Major Iwanowi Andrejewiczowi.

— Czyś oszalał! ja miałbym sprzedawać człowieka, człowieka wolnego, żołnierza?

— Wielmożny Majorze! zawoła błagając, wszakżeś mi obiecał, że nie odrzucisz mojej prośby, że mi dopomożesz?

— Prawda, ale cóż to ma do tego?

— Ot wielmożny Majorze jestem zdrow, silny. Iwan Andrejewicz da za mnie sto kilkadziesiąt rubli, pan oddasz mi wzięte za mnie pieniądze, i ja będę tutaj bogaty, szczęśliwy...

— Zastanów się człowieku, i ty chcesz za marne pieniądze sprzedawać się na całe życie, czy ty znasz co jest poddaństwo? Nie, nie, ja w tym nie chcę brać udziału; porzuć tę myśl szaloną.

— Panie! rzecze z rozpaczą, klękając przed majorem, już nie będę kryć dłużej, ot poznałem tu dziewczynę... dziewczyna slichności, krew z mlekiem, pokochaliśmy się, nie wyżyłbym bez niej... Ona jest poddanką Iwana Andrejewicza, rodzice jej mają porządne gospodarstwo w jego wsi, przyrzekli mi ją dać za żonę... Ale pan Andrejewicz ani myśleć, ażeby ją uwolnił z poddaństwa, a jak mnie wielmożny Major sprzedasz jemu, to będę najszczęśliwszym z ludzi; jako poddany jego, będę mógł się ożenić z tą, którą nad życie miłuję, a przy pieniądzach jakie pan za mnie dostaniesz, zagospodaruję się, zamogę się, i będziemy żyć szczęśliwie, będziemy do śmierci błogosławić panu.

I dopóty prosił, płakał, całował po rękach i po nogach, dopóki major nie przyrzekł, że uczyni zadość jego żądaniu.

W dni kilka stawił się Iwan Andrejewicz, objawiając chęć kupienia mniemanego poddanego majora. Przystąpiono do ugody, dobito targu, a wzięte pieniądze, doręczył major uszczęśliwionemu żołnierzowi, który niebawem przeniósł się do swojego nowego pana.

Wkrótce po owym zdarzeniu, majora K., Plucińskiego, iwielu jeszcze innych, będących w niewoli polaków, wyprawiono z powrotem do kraju.

Kiedy stanęli w Warszawie i wyszli na miasto, pierwszy co im się nawinął na oczy, był ów żołnierz rusin, służący niegdyś u majora, który wyelegantowany, z laseczką w rękę, z miną czu-purną, przechadzał się po ulicy, rzucając zalotne spojrzenia na przechodzące kobiety. Ujrzawszy majora zmieształ się bardzo, stracił całkiem fantazyę, i stanął jak wryty.

- A ty co tutaj robisz?
 — Ja... ja... wielmożny majorze?
 — Tak jest, ty.
 — Przyjechałem tak sobie za interesami.
 — A twój pan?
 — Został w domu.
 — A twoja kochanka?
 — Została u rodziców.
 — Ej bratku coś mi się widzi że łziesz, źle ci patrzy z oczu, powiedz mi zaraz, jak i po co tu przyjechałeś?
 — Jeżeli mam prawdę powiedzieć, wróciłem do kraju tak samo jak i wielmożny major.
 — A to jak, czy cię twój pan uwolnił?
 — A bo ja głupi o to go prosić.
 — Więc uciekłeś?
 — Tak jest.
 — I porzuciłeś kochankę?
 — Ej proszę wielmożnego majora, albo ja ją miałem, człowiekowi chciało się wracać doma z grosiwem, i ot tak sobie zmyśliłem, bo wiedziałem, że inaczej nigdybyś mnie wielmożny major nie zechciał być sprzedać.
 — O lotrze więc mnie oszukałeś, i zrobiłeś mnie jeszcze spółnikiem swojego oszustwa, zawołał major zapalając się gniewem.
 Rusin chytro się uśmiechnął, a widząc, że się na burzę zanosi, ukłonił się z gracyą, i za nim major ochłonął z podziwienia i gniewu, drapnął w pierwszą boczną uliczkę.

FRANCISZEK MŁOKOSIEWICZ.

(Tom 1-szy, str. 142).

Podamy tu szczegółowy stan służby tego wojownika.

„Franciszek Młokosiewicz urodził się dnia 5 Maja 1769 roku, w Kośminie, w Województwie Kaliskim. Wszedł w służbę dnia 1 Marca 1789 roku, jako żołnierz do pułku 7-go piechoty wojsk Rzeczypospolitej Polskiej; dnia 16 Grudnia tegoż roku postąpił na kaprała, dnia 1 Kwietnia 1790 r. na sierżanta w tymże pułku, dnia 16 Marca 1794 r. na sierżanta starszego, z przeznaczeniem do pułku 17 piechoty, dnia 1 Września tegoż roku, mianowany podporucznikiem w tymże pułku. Dnia 16 Grudnia 1806 r. mianowany porucznikiem w pułku 4 piechoty, niegdy Księstwa Warszawskiego, dnia 1 Stycznia 1807 r. postąpił na kapitana, a 1 Września 1812 na szefa batalijonu (majora), w tymże pułku. Dnia 1 Sierpnia 1814 r. umieszczony został jako major w korpusie inwalidów i weteranów b. wojska polskiego, a dnia 18 Stycznia 1817 r. otrzymał uwolnienie od służby, z pensją z tegoż korpusu. Odbył kampanije w latach. 1794, 1806, 1807, 1808, 1809, 1810, 1811, 1812 i 1813.

Znajdował się w bitwach i potyczkach pod *Stopcami*, *Brześciem*, *Zelwą*, i nad *Narwią* pod *Serockiem*, *Paltuskim*, w *Hiszpanii*: pod *Ponte-Almaras*, *Cuidad-real*, *Talavera*, *de la Reina Occana*, przy przejściu gór *Sierra-morena*, wejściu do *Malagi*, przy przejściu z *Gauwin* do *Ronda* pod *Malaga*, *Fuengirola*, *Xyrnena de la Frontiera*; na północy pod *Krasnem*, i nad *Berezyną*, tudzież w oblężeniu *Spandau*.

W bitwie pod Zelwą, był ranny kulą karabinową w lewą nogę. Pod Ponte-Almaras na czele jednej kompanii opanował most mimo ciągłego ognia, sześciu dział nieprzyjacielskich. Pod Occana ranny kulą karabinową w lewą rękę. Przy wycieczce z załogą z twierdzy Fuengirola, której był dowódcą, zabrał pięć dział, wziął w niewolę generała angielskiego Lorda Bleyney i 250 ludzi, tamże był ranny w głowę. Ozdobiony krzyżami kawalerskimi, to jest orderu wojskowego polskiego i legijonu honorowego.“

Dla uzupełnienia życiorysu Młokosiewicza, przywiode tu w całości, jak sam opisał sławną obronę zamku *Fuengirola* i ogłosił drukiem w Bibliotece Warszawskiej z r. 1842 w Tomie IV p. n. „*Wspomnienie z wojny hiszpańskiej* z r. 1810.“ Rzecz oddana wybornie, obrazy pełne życia i zajęcia, a malujące najpiękniejszą chwilę z zawodu tego oficera, znajdując chętnie powtórzoną, czytelnicy nasi, jako przedmiot, godzien nie jednokrotnego powtórzenia.

„Przed kilkoma laty dostało mi się w ręce przypadkiem dziełko, napisane przez generała angielskiego Lorda Blaynej, a przetłumaczone na język francuzki w dwóch tomach, pod tytułem: *Relation d'un Voyage forcé en Espagne et en France dans les années 1810 à 1814.*

Zatrudnienia moje własne i później nastąpione wypadki polityczne, przeszkodziły mi odpowiedzieć na nie, tak jak tego charakter mojego narodu, mój własny, i nakoniec czysta prawda wymagają. Stosunki, jakie miałem z autorem tego dzieła, w skutku wypadków wojennych, zaostrzyły moją ciekawość, tém bardziej, że lubo dosyć byłem obeznany z wypadkami wojennymi na półwyspie, szczególnie jednak chciałem się przekonać, w jakim duchu autor opisał zamiar i skutki powierzony sobie wyprawy, a której najpierwszą czynnością było, uderzenie na miejsce powierzone mojej obronie.

Po przeczytaniu trzech pierwszych rozdziałów, postrzegłem tyle błędów i podań z prawdą niezgodnych, tyle potwarzy uszczypliwych i obrażających nie tylko mnie, lecz nawet w ogóle honor polaków, że znając najdokładniej główny wypadek i powód, który autora do napisania tego paszkwilu rozjątrzył, osądziłem za powinność swoją, w krótkiej odpowiedzi, zwrócić pociski autora na niego samego, i uniewinnić się, jako też współrodaków moich, od zarzutów, jakie autorowi z żalu zapewne źle wykonanych wyższych rozkazów, z pod jadu zaprawnego pióra, obrażonej miłości własnej, wypłynęły.

Upредить winienem czytelnika, iż ani chęć sławy literackiej, a tém mniej zamiar ogłoszenia moich czynów w zawodzie wojskowym, nie są mi powodem do wzięcia pióra, gdyż pierwsza wymagałaby większych zdolności, drugie zaś są zanadto w szczupłych zamknięte granicach, aby zasługiwać mogły na ogłoszenie ich światu. Jedynie tylko idzie mi o obronę honoru, który, jak już powiedziałem, autor rzeczzonego dzieła poważał się uszczypliwie dotknąć.

Zamiarem Lorda Blaynej w wydaniu dzieła tego, była najpewniej chęć usprawiedliwienia się przed rządem i narodem angielskim z nieszczęśliwych skutków powierzony sobie wyprawy, i oczyścić się z zarzutów, jakie z tego powodu najsprawiedliwiej mogły być mu robione; podobny krok mógł mu honor nakazywać, lecz ten sam honor winien go był wstrzymać od uwłaczania cudzej sławie, w piśmie swemu uniewinnieniu poświęconém.

Mógłby był generał Lord Blaynej na swoją obronę wyłożyć swój plan i wskazać zawady, jakie znalazł w wykonaniu go, mógłby był powiedzieć, że zamiast *garstki okrutnych polaków* (1), miał do czynienia z ogromną armiją francuzką, tym sposobem byłby dopiął swego celu, gdyż ja, chociaż najdokładniej świadomy rzeczy i przekonany o całej bezzasadności przytoczonych czynów, nie byłbym może pomysłał o zbijaniu utworzonych przez niego marzeń.

(1) Takim to nazwiskiem uczcił nas autor.

Czytając wiele dzieł opisujących tegoczesne wypadki, nie znalazłem w żadnym dokładnie skreślonej wyprawy pod dowództwem Lorda Blaynej. Tego przyczyną jest, iż gdzie generałowie francuzcy dowodzili innych narodów wojskami, zwykli byli za własne, uważać świetne czyny wojenne obcego wojska, jako pod ich sztandarami dokonane.

Tego samego doznało losu i opisanie wyprawy Lorda Blaynej, która lubo została zniweczona zaraz na pierwszym wstępie przez oddział 4-go pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, jakim ja miałem zaszczyt dowodzić, mając powierzoną obronę zamku nadmorskiego Fuengirola w prowincyi Malagi, wszelako tak rapporta umieszczone w pismach publicznych, jako też i dzieła opisujące kampanije wojskowe, mówią o tej wyprawie w sposobie, jak gdyby do jej zniszczenia generał Sebastjani z swoją armiją przyłożył się. Polacy bowiem sami pod dowództwem Bronisza szefa batalijonu pułku 4-go piechoty Księstwa Warszawskiego, nie mogąc się doczekać pomocy obiecanej przez generała Sebastjaniego z Malagi, ani też dłużej patrzeć z Mijas miasteczka, z którego dokładnie widzieć było można oblężenie Fuengirola przez eskardę na morzu Śródziemnym i wojska angielskie na lądzie będące, a widząc współbraci nieochybnie przeciw takiej sile nieprzyjacielskiej na zgubę wystawionych, do boju w liczbie 200 ludzi o godzinie 2-jej z południa ku zamkowi Fuengirola poszli; a dopiero o godzinie 7-jej wieczór tegoż dnia przysłano batalijon z 400 ludzi francuzów, z 32 piechoty linijowej pod dowództwo Bronisza, który też znając, że jeden strzał uczyniony przez francuzów uważany by był za ich dzieło, rozkazał zająć im pozycye, i bez strzelania być świadkami waleczności polaków: a tak nawet ta garstka francuzów w bitwie tej nie była czynną, czego dowodem jest własnoręczny do mnie posłany list wspomnionego generała, umieszczony na końcu tego pisma.

Zostawszy ciężko ranny w pamiętnej w dziejach świata bitwie pod Lipskiem w r. 1813 wróciłem do kraju, skończyłem mój zawód wojskowy, a w zaciszu domowego zakątka, miłem mi było wspomnienie prac i trudów dawniejszych. Nie mogłem więc być obojętnym i czytając w jak mało zbliżonym do prawdy świetle, wystawiony jest w pismach francuzkich opis ściągający się do wyprawy Lorda Blaynej, i dla tego przedsięwziąłem w celu sprostowania omyłek temiz pismami upowszechnionych, zrobić krótki rys tej wyprawy.

W roku 1810 miałem sobie powierzone dowództwo w zamku Fuengirola (o 6 mil od Malagi odległym). Był to jeden z tych, któremi hiszpanie brzegi morza Śródziemnego opatrzyli, częścią dla obrony od Barbaresków, częścią dla zasłony statków handlem nadbrzeżnym trudniących się, które ścigane przez korsarzy, z łatwością pod zasłoną dział w tych zamkach umieszczonych, chronić się mogły.

Zamek Fuengirola, jeden może z najstarszych, oddawna zaniedbany, a nadewszystko ogolony z dział, które cofający się przed wojskiem francuzkiem, hiszpanie pozagwałdzali i z murów porzucali, był w stanie bardzo nędznym, w czasie zajęcia tych okolic przez wojska francuzkie.

Położenie tego zamku robiąc go niejako kluczem do Malagi od strony Gibraltaru (1), było na przeszkodzie handlowi, jaki starali się utrzymywać, tamowało dostarczenie broni i innych potrzeb dla mieszkanców Grenady, a nadewszystko było zaporą tamującą związki pomiędzy różnymi oddziałami powstańców, rozszerzonymi w tych okolicach.

Naczelny dowódzca francuzki w Królestwie Grenady, generał Sebastjani, uznawszy ile ważnym było zapewnić posiadanie tego zamku, przeznaczył dla niego stałą załogę z 150 ludzi z 4-go pułku piechoty Księstwa Warszawskiego pod moją komendą, rozkazując razem, ażeby przedsięwzięto jak najspieszniejsze środki, w celu poprawienia fortyfikacyi miejscowych, i zaopatrzenia w dostateczny zapas ammunicyi i żywności.

(1) Dwie góry panowały nad zamkiem i te zdobyli tyralicery, wielką mi szkodę przrządzający.

Zaledwie atoli rozkazy te w części zostały dopełnione, kiedy w dniu 14 Października 1810 r. eskarda angielska składająca się z dwóch okrętów liniowych, trzech brygów, czterech szalup kanonierskich i wielu statków przewozowych, pokazała się od cieśniny Gibraltaru i naprzeciw zamku stanęła. W tym samym prawie czasie, znaczny oddział powstańców hiszpańskich zebrał się od strony gór przyległych, którzy pewnie w skutku rozkazów danych poprzednio przez generała angielskiego, zbliżywszy się nagle pod zamek, zabrali mi 40 sztuk pasącego się bydła, należącego do szczupłych osady zapasów, i ubili jednego z ludzi strzegących, drugiego ranili. Dla odbicia wprowadzonego bydła, wysłałem oddział z 40 ludzi złożony, pod komendą porucznika Ubysza, lecz zaledwie ten oddział oddalił się od murów zamku, kiedy stojąc na wałach, spostrzegłem że wzgórki bliskie zamku, zajęte już zostały przez piechotę angielską, która wylądowała pod zasłoną tych wzgórków w miejscu zwaném Calle del moral.

Nie chcąc bynajmniej osłabić nielicznej załogi, kazałem uderzyć na murach apel na oddział porucznika Ubysza, który za tym znakiem zaraz do zamku powrócił.

Nieprzyjaciel nie tracąc czasu ⁽¹⁾, rozwiniąwszy swe siły i przygotowawszy się do ataku, wysłał do mnie parlamentarza w mniemaniu, że sam widok sił tak znacznych, zdoła nas zastraszyć i skłoni do poddania na pierwsze wezwanie. Nie mając myśli w żadne wchodzić układy i postanowwszy bronić do ostatniego, miejsca memu dowództwu powierzono, nie przyjąłem parlamentarza. Wtenczas nieprzyjaciel zawiedziony w nadziei opanowania bez żadnej straty zamku Fuengirola, postanowił opanować go mocą.

Okolo godziny 1-jej z południa, batalijon jeden nieprzyjacielski rozpuszczony w tyralierów wysłany został od lądu pod mury zamku, a w tym samym czasie eskarda nieprzyjacielska rozpoczęła gwałtowny ogień przeciw zamkowi od strony morza.

Moje środki obrony, składały się z 150 ludzi, z pułku 4-go piechoty Księstwa Warszawskiego, z dwóch żelaznych 16-funtowych dział starych i dwóch spiżowych armatek dwufuntowych połowych. Do służby przy działach, znajdowało się trzech starych kanonierów hiszpańskich, którzy za pokazaniem się angielskiej eskadry zniknęli. Już więcej godziny nieprzyjaciel sypał grad kul, granatów i kartaczy z eskadry, nim ja byłem w stanie zaradzić brakowi artylerzystów po ucieczce kanonierów hiszpańskich, przez wyszukanie zdatnych do armat ludzi w moim oddziale. Szczęściem miałem pomiędzy memi żołnierzami dwóch, którzy dawniej służyli w artylleryi rosyjskiej, i młodego sierżanta Zakrzewskiego, który nad moje spodziewanie, w tej potrzebie zręcznym się okazał. Po umieszczeniu dział przyzwoitóm i obróceniu ich ku eskadrze, rozpoczęliśmy ogień z tak dobrym skutkiem, iż od pierwszych zaraz strzałów, szalupa jedna kanonierska wraz z całym ekwipażem zatopioną została nieprzyjacielowi.

Po kilkugodzinnym nieustannym z obu stron ogniu, zostałem zasmucony stratą jednego z moich kanonierów, stratą tém dotkliwszą, że nas pozbawiła człowieka, który w tém krytycznym położeniu pełnił tak ważną usługę. Zabity został kartaczem, w chwili, kiedy działo ku nieprzyjacielskiej eskadrze wymierzył. Zgon tego walecznego żołnierza, nie zachwiał bynajmniej stałości innych, przy działach służbę pełniących, lecz owszem zapalił w nich chęć zemśczenia się za kolegę.

⁽¹⁾ Autor w tomie I. rozdz. 2, kar. 14, powiada: że korpus jego został utrudzony marszem od miejsca wylądowania pod Calle del Moral, aż do miejsca zwał Fuengirola widzianą być mogła. Odległość najwięcej pół mili wynosząca, wśród dnia przeprzebyta w okolicy nie zbyt nawet górzystej, nie wiem czyli była wstanie tak utrudzić żołnierza świeżego, jakim był korpus Lorda Blaynej po wysadzeniu go na ląd.

Ogień ten z obu stron, trwał ciągle do ciemnej nocy i tylko gwałtowna ulewa, która w tym czasie nastąpiła, przeszkodziła dalszemu strzelaniu.

W tym dniu, oprócz mnie samego, miałem 12 rannych i 3 zabitych. Strata nieprzyjaciela była pewnie znaczniejsza w ludziach, który tym razem utracił majora dowodzącego batalijonem od ładu atakującym.

W czasie ciemności nocnej, usypał nieprzyjaciel baterią na wzgórkę odległym około 150 sążni od murów zamku i osadził ją sześciu działami sprowadzonymi z eskadry, między którymi był jeden moździerz i granatnik, my zaś nie mogąc dostrzedz nieprzyjaciela działań, tak dla ciemnej nocy, jako też dla ciągle trwającej ulewy, staliśmy przez noc całą pod bronią na murach zamku.

Nim przystąpię do opisanja dalszych wypadków dnia następnego, to jest 15 Października, należy mi nadmienić, jakim sposobem komenda moja została wzmocnioną oddziałem 60 ludzi z tegoż samego pułku, i następnie co sprowadziło drugi oddział, składający się z 200 ludzi piechoty, z 4go pułku Księstwa Warszawskiego i 80 dragonów francuzkich z 21-go pułku, których przybycie przłożyło się znacznie do odniesienia zupełnej nad nieprzyjacielem korzyści, jak się to z dalszego opisu okaże.

Porucznik Chelmiecki stał z oddziałem z 60-ciu ludzi złożonym w małym miasteczku Mijas, położonym na milę od Fuengirola, na górze skalistej, wysokiej i prawie niedostępnej, dla zapewnienia związków tego zamku z Malagą.

W tém to wzniosłem nad całą okolicą położeniu, widział Chelmiecki zbliżającą się eskadrę angielską, a domyślając się jej zamiarów, zrobił zaraz rapport do Malagi, gdzie podówczas znajdował się generał Sebastjani, a zarazem uwiadomił szefa batalijonu Bronisza, który w tym samym czasie stał z swoim oddziałem w miasteczku Alauryn odległym o mil dwie, dla uważania ciągłych poruszeń znacznych oddziałów powstańców hiszpańskich, zajmujących góry Ronda i miasteczko Junquera.

Przez cały dzień 14 Października Chelmiecki widział dokładnie każde poruszenie nieprzyjaciela, nie mógł jednak z małą swoją komendą żadnej oblężonym dać pomocy; wysłał przed wieczorem powtórnie do szefa Bronisza z doniesieniem, o stanie rzeczy i potrzebie prędkiej pomocy zamkowi, mimo tego, tak na pierwszy swój rapport, jako też na powtórny, nie odebrał żadnej odpowiedzi. W téj niepewności waleczny Chelmiecki, troskliwy o los swych towarzyszy broni, których przykre widział położenie, przedsięwziął śmiały i niepodobny prawie do wykonania zamiar, zbliżenia się do zamku i połączenia się z osadą, dla dzielenia z nią niebezpieczeństw i obrony.

Plan ten był tém trudniejszym do wykonania, iż z miasteczka Mijas, jedna tylko ciasna ścieżka do Fuengirola prowadziła, cała zatem nadzieja Chelmieckiego, była w sposobności, jaką mu podawały ciemność nocna, nadzwyczajna burza z piorunami, gradem i deszczem połączonymi, i najdokładniejsza znajomość drogi, którą mu odbyć wypadalo.

Ruszył zatem odważny Chelmiecki z jak największą cichością, a przebywszy wśród nocy kilka potoków, gwałtownie z gór spadających, i przeszedłszy prawie pomiędzy oblegającymi nas angiłkami, którzy leżeli na ziemi, pokryci przed słońcem derami wełnianymi, stanął pod murami Fuengirola.⁽¹⁾

Uwiadomiony od czuwających straży o zbliżeniu się jakiegoś oddziału, nie mogąc się spodziewać, aby to mógł być oddział Chelmieckiego, w obawie jakiego z strony nieprzyjaciela podejsia, z jak największą ostrożnością przystąpiłem do rozpoznania przybyłych.

(1) Lord Blaynej w T. I, Rozd. 2, na kar. 21, mylnie pisze, że załoga krótko przed wylądowaniem została wzmocnioną w Fuengirola, gdyż oddział porucznika Chelmieckiego przybył w nocy z dnia 14 na 15 Października i to przechodząc pomiędzy pikietami angiłskimi.

Poznałem wprawdzie głos dowódcy, jako dobrze mi znajomy, lecz nie mogłem sobie wystawić, jakim sposobem Chełmicki mógł się przedrzeć aż do zamku, kiedy ten prawie w koło od oblegających był otoczony; w mniemaniu, że wzięty w niewolę mógł być zmuszonym do tego podstępu, dla ułatwienia nieprzyjacielowi opanowania zamku, opierałem się początkowo otworzeniu bramy, lecz gdy Chełmicki dał mi słowo honoru, że przychodzi wolny i z całym swym oddziałem, przyjąłem go z tém większą radością, im więcej czułem potrzebę spiesznej pomocy.

Nieprzyjaciel nie ograniczył działań nocnych na wysypaniu baterii, lecz chcąc się zapewnić od strony Mijas i przeciąć wszelką sposobność posiłku, wysłał do tego miejsca 600 ludzi, w celu podejścia i zabrania szczupłego oddziału porucznika Chełmickiego i przeszkodzenia połączenia się z nami oddziału szefa Bronisza. W drodze oddział, który Chełmicki prowadził dobrze sobie znanymi ścieżkami, nie był napotykanym przez nieprzyjaciela, który przybywszy do Mijas, nie zastał oddziału polskiego, którego się spodziewał. Właśnie o godzinie 6 z rana, wszedł nieprzyjaciel do Mijas, gdzie zastał przed godziną przybyłego szefa Bronisza z kolumną ruchomą, z 200 ludzi złożoną, z pułku 4 Księstwa Warszawskiego, przygotowanego do przyjęcia nieprzyjaciela i 60 dragonów z 21 pułku. Nie małe jego było zadziwienie, gdy zamiast oddziału Chełmickiego spostrzegł liczniejszy oddział, właśnie w noc podczas burzy wścieklej przybyły. Wszczęła się żwawa utarczka, a po dzielnym z obudwu stron oporze, a nawet wdrapaniu się części oddziału angielsko-hiszpańskiego do Mijas, nazad bagnetami polskimi z miasteczka i góry zepchnięty i złamany nieprzyjaciel, utracił 20 zabitych i rannych, a około 40 zabranych w niewolę; reszta oddziału angielsko-hiszpańskiego w największym nieładzie pierzchła.

Po tój niespodziewanej walce, szef Bronisz zajął Mijas, żołnierzom kazał odpocząć i posilić się żywnością.

Dnia 15 Października, równo ze dniem nieprzyjaciel rozpoczął ogień, tak z baterii nocą usypanej, jako też i z eskadry, który krzyżując się w zamku, ranił mi wielu ludzi, i w miejscach mur stary zaczął się rozwalać, a nawet obalenie się jednego bastionu, zabiło mi od razu dziewięciu ludzi z załogi. Szczególniej zaś byłem w obawie o mój skład prochu, który umieszczonym był w jednym pustym pokoju, bez okien, bez drzwi, i tylko mokremi skórami okryty (1).

Utrzymywałem odwagę garnizonu nadzieją prędkiej odsieczy, której sam nie bardzo spodziewać się mogłem. Jakoż ogień nasz był ciągłym i szybkim i nie raz widzieliśmy, że był skutecznym.

Nieprzyjaciel mniemając, że po przekonaniu nas o swoich siłach, a przeciwnie krytycznym położeniu zamku, którego słabe mury za każdym strzałem rozsypywały się, łatwiejszemi będziemy jak w dniu poprzednim, wysłał powtórnie parlamentarza, lecz postanowiwszy bronić się do ostatniego, nie dozwoliłem na zbliżenie się tego, nie chcąc przez wdanie się w rozmowę nadwątlić odwagi moich żołnierzy.

Nieprzyjęciem powtórnie parlamentarza rozgniewany dowódca nieprzyjacielski, podwoił swoje usiłowania, wstrzymawszy na chwilę ogień z baterii, na nowo jeszcze gwałtowniej rozpoczęto. Mur nadwątlony znacznym zagrażał wyłomem. Garnizon mój utrudzony obroną ciągłą bez spoczynku i pożywienia, zaczął słabnąć w okazywanym dotąd zapale.

Porucznik Chełmicki zapewnił mnie wprawdzie, iż dwukrotnie uwiadomił szefa Bronisza o mojem krytycznym położeniu, gdy jednakże na żadne nie otrzymał był odpowiedzi, nie można było z pewnością oczekiwać pomocy.

(1) Z baterii wysypanej naprzeciwko mojej prochowni, za pomocą moździerza i granatnika rzucając do zamku bomby i granaty, starano się przez zapalenie składu prochu, wysadzić zamek w powietrze, z innych zaś czterech armat usiłował nieprzyjaciel skutecznie wyłom w murach.

Tymczasem szef Bronisz, po wypędzeniu nieprzyjaciela z Mijas, miał wprawdzie chęć pospieszenia nam na pomoc, lecz nie otrzymawszy na to wyższych rozkazów, a obawiając się na własną odpowiedzialność z tak szczupłymi siłami iść przeciwko nieprzyjacielowi tylokrotnie silniejszemu, zaciągnął rady swych podkomendnych, wystawiając im z jednej strony potrzebę prędkiej pomocy, a z drugiej niepewność dokonania tego, mając przed sobą tak przewyższającego nieprzyjaciela. Nie łatwo było w tém trudném położeniu zdecydować się, wszelako przemogła nad innemi względami chęć dania pomocy współrodakom i jednoznacznie postanowiono bez straty czasu nieść nam pomoc.

Jakoż o godzinie 2 z południa, wyruszył szef Bronisz z swym oddziałem, składającym się z 200 ludzi piechoty polskiej, i 80 dragonów francuzkich z pułku 21, drogą ku Fuengirolu. Gdy zaś ta droga trudna dla piechoty, była trudniejsza jeszcze dla jazdy, przeto piechota udała się przez skaliste pozycje drogą krótszą, a jazda posłana została drogą na lewo, po nad morze prowadząca.

Nieprzyjaciel przez cały ten czas nie przestawał ogniem z dział, łamać osłabionych murów, i małą już tylko mieliśmy nadzieję możności dłuższego utrzymania się.

Ani sternik skołatanego burzą okrętu i zagrożony bliskiem rozbiciem, nie upatruje z większym natężeniem łądu, gdzieby mógł znaleźć ocalenie, jak ja z wysokości murów, śród gradu kul, przebiegłłem okiem znane mi okolice, w nadziei odkrycia zbliżającej się jakiej pomocy. Na koniec przecież i dla nas zabłysnęła nadzieja, dostrzegliśmy pokazujący się z wolna od strony Malagi mały oddział kawalerji: była to przednia straż złożona z 1-go sierżanta i 10-ciu ludzi z pułku 21 dragonów francuzkich.

Przedsięwziętem zatem korzystać jak najspieszniej z wrażenia jakie na nieprzyjacielu mógł sprawić widok przybywającej nam odsieczy, i wysłałem w tym celu 90 ludzi (1) z mojej załogi na ochotnika wybranych pod dowództwem porucznika Chełmickiego, z rozkazem uderzenia z bagnetem na baterję nieprzyjacielską, która nam najbliżej dokuczała, sam wyszedłem mu w assekuracyi w 40 ludzi, resztę zaś garnizonu przygotowałem do dania nam pomocy i do zabezpieczenia odwrotu do zamku.

Uderzenie mego oddziału pod dowództwem Chełmickiego, przy pomocy przedniej straży dragonów, która się z nim połączyła, miało najlepszy skutek, gdyż bez wystrzału wpadł na nieprzyjacielską baterję z bagnetem w rękę, i mimo oporu batalijonu nieprzyjacielskiego który jęj bronił, opanował znajdujące się w niej działa, ubiwszy wielu Anglików i zabrawszy z nich 40 w niewolę, a między temi jednego oficera, który był adjutantem: reszta batalijonu w ucieczce szukała ocalenia.

Odważny Chełmicki goniąc pierzechającego nieprzyjaciela, gdy się za nadto od swoich oddalił, został raniony i schwytyany, lecz w chwili gdy prowadzonego już jako jeńca z szlif obdzierano, żołnierze z jego oddziału idąc za własnym popędem, doganiają nieprzyjaciela uprowadzającego ich dowódcę, odbijają go i kilkunastu Anglików częścią trupem kładą, częścią w niewolę pojmują (2).

(1) Lord Blayney w tom. I. roz. 2 kar. 26 podaje, że wycieczka ta była zrabioną w 600 ludzi piechoty, i 60 jazdy, a w Fuengirolu cała siła składała się jak powiedziano z 150 ludzi, która później wzmocnioną została oddziałem porucznika Chełmickiego z 60 ludzi złożonym.

(2) W dziele T. I. k. 29, zarzuty jakie lord Blayney czynił żołnierzom polskim, grubijańskiego z nim obejścia się na placu bitwy, w czasie wzięcia go w niewolę, bardziejby mogły być zastosowane do jego żołnierzy, którzy ujawszy na moment porucznika Chełmickiego zaraz mu szlify obdarli, i tak niezgrabnie, że mu część kołnierza urwali, gdy przeciwnie lord Blayney przyprowadzony z swymi oficerami do zamku, pozostał równie jak oni przy szlifach, zegarkach i t. d., grubijański zaś

Jenerał nieprzyjacielski będący na pozycji znacznie odległej za bateriją, właśnie wtenczas był przy śniadaniu, a reszta wojska jego zajęta była odbieraniem żywności. Jak tylko dostrzegł uciekający swój batalijon i bateriją opanowaną przez szczupły oddział naszych, zbiera całą swoją siłę do 4000 ludzi wynoszącą, i uderza na mój oddział w celu odebrania baterji straconej. Jakoż udało mu się zmusić Polaków do odwrotu, lecz drogo go kosztowała ta korzyść, gdyż będąc panami dział jego, przez pół godziny prawie żołnierze nasi obrócili do niego armaty z baterji i dobrze kierowanym ogniem znacznie uszkodzili ścięzione jego kolumny. Pod jenerałem ubito wtenczas konia, a w cofaniu się zapalono zapasy amunicji, której nie było można dla braku wozów uprowadzić. Przez eksplozję z nieostrożności sprawioną, trzech moich ludzi zostało mocno skaleczonych.

Niedługo atoli nieprzyjaciel cieszył się tą chwilową korzyścią z odzyskania baterji, gdyż wzmacniwszy mój oddział częścią pozostałej w zamku załogi, kazałem uderzyć na prawe skrzydło nieprzyjaciela; w tej samej chwili szef Bronisz przybywszy z całą kommandą, natarł na lewe skrzydło i z tyłu mu razem zagroził, nie zostawiając mu bynajmniej czasu do rozwinięcia się i uszykowania. Bateriją artylleryi nieprzyjacielską na nowo zdobył, a podporucznik Lalewicz z kommandy szefa Bronisza, znając artylleryją, umiał z dział opuszczonych korzystać, zręcznie i skutecznie przyczynił się do jego zmięszania. Część nieprzyjacielskiego wojska odcięta dostała się w niewolę wraz z jenerałem Blayneym naczelnie dowodzącym i kilkunastoma oficerami; również zabraliśmy i znaczny zapas pozostałej amunicji. Pole bitwy okryte było rannymi i zabitemi Anglikami, reszta w największym nieładzie ucieczką się ratowała.

Wkrótce potem przyprowadzono jeńców pod mury zamku, gdzie byłem dla wydania rozkazów względem rannych, tak moich, jako też nieprzyjacielskich.

Jenerał zbliżając się do mnie wraz z innymi zabranymi oficerami angielskimi, zdjął kapelusze tak jak i inni oficerowie, i rzekł do mnie po francuzku te słowa: „jestem jeńcem W. Pana“ na to ja salutując pałaszem który miałem w ręku, zapytałem go się tonem łagodnym i z delikatnością, jaki był jego stopień? a gdy mi powiedział, że był jenerałem i dowódcą tej całej wyprawy, pytałem go się dalej, dla czego powtarzał swe wezwanie mnie do poddania, kiedy nieprzyjęcie pierwszego parlamentarza powinno go było przekonać, że nie byłem w myśli wchodzenia w jakiegokolwiek układy. Odpowiedział mi na to: że widząc jak szczupłą miałem siłę, a mając blisko 50, prze-ciw jednemu był pewnym, że nie będę się nadaremnie tak przewyższającą siłą opierał.

Rozmowę dalszą przerwał nam jeden z moich żołnierzy, mocno w głowę raniony, a zbliżywszy się do mnie oddał mi pałasz jenerała, którym go przy pojmaniu kilka razy ciął w głowę. Widok tego żołnierza zmieszał jenerała, co spostrzegłszy prosiłem go, aby wraz z swemi oficerami udał się do mojej kwatery. Przechodząc przez plac zamkowy widział jenerał zabitych wielu moich ludzi, i rannych, oraz rozwalone już w wielu miejscach mury, i dziwił się wytrzymałości mojej w obronie zamku. Na co odpowiedziałem: że według mego przekonania, każdy na mojem miejscu postawiony toż samo byłby uczynił.

W mojej kwatery zastaliśmy oficera zabranego w pierwszym uderzeniu na bateriją. Oficer ten mienił się adjutantem jenerała, przywitał się z nim i wzajemnie był powitany w języku angielskim.

W przekonaniu, że jenerał fizycznie i moralnie utrudzony potrzebować mógł co orzeźwiającego, a razem przez gościnność samą, zapytałem się go, czyliby się czego nie napił? dodając ra-

postępek żołnierzy polskich był skutkiem jego nieuległości, gdyż zostawszy już odciętym poddać się nie chciał, i kilku żołnierzy przed odebraniem mu pałasza, mocno ranił.

zem, że wybór nie był trudnym, gdyż w magazynie moim nie miałem jak tylko wino Secco Malaga, i wódkę hiszpańską. Zastanowiwszy się nieco, odpowiedział, że przekładał wódkę nad wino. Wtenczas prosiłem adjutanta jego ażeby poszedł do obok będącego mego magazynu, od którego dałem mu klucze, z dwoma memi żołnierzami, i raczył kazać przynieść nam wódki; użyłem go zaś do tego z powodu, że najłatwiej mogłem się z nim rozmówić, gdyż mówił dobrze po niemiecku, a razem i z obawy abym przez posłanie samych mych ludzi, nie dał okazji do jakiego nieporządku, gdyż dziedziniec pełen był jeńców angielskich, którzy z łatwością mogli byli wpaść do mego magazynu, a ja miałem podówczas w zamku tylko 40 ludzi pod bronią i to na murach stojących.

Po przyniesieniu wódki, wziąłem szklanke, nalałem i wypilem zdrowie jenerała, a nalewając dla niego, gdy była w połowie nalana, jenerał zawołał że dosyć, i prosił aby mu dopełnić wodą. Odpowiedziałem, że wody w zamku nie było, gdyż istotnie miejsce z którego wodę brała osada było zaraz z początku oblężenia zajęte przez nieprzyjaciela, i dodałem, że przez to żądanie czyni zniewagę swemu narodowi; a na zapytanie jego w jakim sposobie? rzekłem: iż Anglicy i Polacy są dwa narody w Europie słynące z tego, że jeśli się dobrze biją, to także i nie źle piją. Wtenczas jenerał rzekł: a więc proszę mi dać; i wychylił za moje zdrowie, co także zrobili i inni oficerowie. Nie było tu bynajmniej zamiarem moim upoić jenerała, lecz widząc zmartwionego, chciałem rozweselić.

Nie mogąc dłużej dla mych obowiązków zostawać z jenerałem, prosiłem go, aby sobie wypoczął na mojem łóżku, a sam zostawiając go z innymi oficerami, udałem się na baterję zamkową, zajęłą ciągle strzelaniem do eskadry, której ogień trwał jeszcze.

Oddział szefa Bronisza wraz z 3-ma częściami méj załogi ścigał nieprzyjaciela uciekającego, i gdyby nie ogień po większej części kartaczowy z szalup kanonierskich i korsarskich, zasłaniających ucieczkę nieprzyjaciela, cały jego korpus byłby się dostał w niewolę, gdyż był w nieładzie, i z łatwością mógł być pokonany nad brzegami, gdzie pozycje równiejsze były korzystne dla oddziału jazdy francuzkiej, która pomiędzy skałami nawet poprzednio, wspierała natarczywe i odważne uderzenie piechoty polskiej. Znaczna część Anglików strachem podszytych, uciekając, w morze Środkowe się rzuciła, szukając ocalenia swego na szalupach kanonierskich pod brzegi przyplływających.

Wracając z baterji zastałem jenerała rozmawiającego na dziedzińcu z jeńcami angielskimi, w obawie zatem sprawiedliwej, aby w téj rozmowie prowadzonej w języku dla mnie obcym, nie było co szkodliwego, prosiłem jenerała aby chciał powrócić do mego pokoju, co istotnie zaraz uczynił. Gdy jednakże wkrótce wyszedł pomiędzy jeńców, wtenczas prosiłem jego adjutanta, aby polecił swojemu jenerałowi wrócić do pokoju, gdyż te częste wychodzenia i rozmowy czyniąc mnie niespokojnym, zmusiłyby do postawienia przy drzwiach straży.

Prawda, że pobyt w tym pokoju nie był bardzo przyjemnym, gdyż był położonym właśnie pod baterję na której umieszczone były moje dwa 16-to funtowe działa, i za każdym tychże wystrzałem trzęsły się mury i gruz z sufitu opadał, równie jak i szyb reszta, jaka w potłuczonych już oknach jeszcze pozostała.

Jenerał wróciwszy z dziedzińca oświadczył mi, iż jak tylko pokaże się z baterji komendantowi eskadry, ustanie z niej ogień: poszliśmy zatem razem na baterję, gdzie widok eskadry rozczulił jenerała, i ze łzami w oczach mówił o swoim położeniu, utyskując na los który mu przyjał w 58 przeszło bitwach, a opuścił go tą razą dotkliwie, bo mając pod swemi rozkazami tak piękną i mocną wyprawę, został ujętym przez garstkę Polaków, których zabrania bez żadnego oporu niedawno, był najpewniejszym.

Wkrótce po ukazaniu się jenerała na mojej bateryi, ustał ogień eskadry angielskiej, która niezadługo podzieliwszy się na dwa oddziały i rozwinąwszy żagle, w oczach naszych oddaliła się majestatycznie, jeden oddział w kierunku ku cieśninie Gibraltaru, a drugi ku brzegom Afryki na przeciwko leżącym.

Po oddaleniu się eskadry, zająłem się zaraz zebraniem mojej osady, i zaprowadzeniem porządku, rozstawieniem straży, które w skutku poprzednich wypadków ściągniętemi być musiały. Poczem szef batalijonu Bronisz z swoją kommandą zabrawszy rannych swoich i angielskich, tudzież jeńców, lorda Blayney i ośmiu oficerów, jako téż przeszło dwustu żołnierzy angielskich, do Mijas na noc się oddalił. Przed odejściem tej kommandy pożegnałem jenerała, który mnie nawzajem serdecznie uściskał, oświadczając mi żal z tak prędkiego rozstania się; przyczem poleciłem jenerała troskliwej opiece dowodzącego eskortą zabranych jeńców.

Po wyprowadzeniu niewolników zająłem się pomieszczeniem wygodniejszem rannych, tak Polaków jakotéż i Anglików później z pobojowiska pościąganych, żadnej między nimi nie robiąc różnicy, starałem się osłodzić ich cierpienia o ile tego dozwalały zapasy zamku. Wysłałem także oddział dla sprowadzenia do zamku zabranych nieprzyjacielowi armat, amunicyi, broni i innych sprzętów, które po ucieczce nieprzyjaciela na placu boju pozostały.

Ułatwiwszy się nieco zająłem się zaraz zdaniem rapportu tak gubernatorowi Malagi, jakotéż i pułkownikowi dowódcy 4-go pułku Księstwa Warszawskiego, który podobnież w Maladze podówczas znajdował się.

Posłaniec niosący te raporta zatrzymanym został w Villa-Modena przez przednie straże jenerała Sebastianiego, który śpiesząc na odsiecz Fuengirola przybył do tego miejsca, znajdującego się na połowie drogi od Malagi. Ten jenerał był w obawie o los Fuengirola, gdyż w przechodzie przez Torre-Molino, miał wiadomość od miejscowego dowódcy, że ja z moim garnizonem zostałem wysadzony na powietrze, do czego dała powód najpewniej eksplozja z spalonej angielskiej amunicyi, po pierwszym zdobyciu bateryi.

W tej niepewności otworzył jenerał Sebastiani mój raport do gubernatora Malagi, i wyczytawszy w nim szczegóły wypadków na prędce opisane, nie chciał temu od razu dać wiary, a chcąc się dokładniej przekonać, otworzył i raport przesłany do mego pułkownika, do którego przetłumaczenia jako pisanego w języku polskim, użył jednego z oficerów polskich przy nim zostających, zalecając mu wytłumaczenie każdego słowa, a lubo jednozgodność raportów winna była przekonać jenerała Sebastianiego o istocie rzeczy, wszelako nie mógł w zupełności dać wiary temu co czytał i słyszał, i dla zupełnego przekonania, wysłał oddział ułanów polskich pod dowództwem pułkownika inżynierów Cossini, i adjutanta swego Lavoistin dla dotarcia na miejsce i przywiezienia dokładnego raportu o mojem położeniu.

Oddział ten równo z dniem 16 Października zbliżył się pod mury zamku, o czém uwiadomiony od straży, rozpoznałem go, i po przekonaniu się, że należał do korpusu jenerała Sebastianiego, kazałem mu otworzyć bramę. Po przywitaniu się z oficerami wzwyż wymienionemi, pytającym się z największą ciekawością, opowiedziałem wypadki dnia poprzedniego, i dowiedziałem się od nich o niedowierzaniu jenerała Sebastianiego raportom moim, które przez niego w drodze były otwarte; niemniej że jenerał najpóźniej za trzy godzin miał przybyć. Jakoż przed wyjściem tego czasu, zobaczyliśmy oddział jazdy ciągnącej po nad brzegiem morza.

Wyszedłem na przyjęcie jenerała Sebastianiego, który przybywszy pod mury zamku i zobaczywszy 6 dział angielskich, w grzecznych nader wyrazach oświadczył mi swoje ukontentowanie i powinszował tak świetnie dokonanego czynu. Wypytywał się potem o najdrobniejsze szczegóły

tęgo wypadku i gdzieby się znajdował jenerał Blayney, a uwiadomiony że został odesłany do Mijas dla odprowadzenia go do Malagi, wykomenderował zaraz szwadron jazdy z swym adjutantem, dla sprowadzenia go do Fuengirola, rozkazując wysłanie konia jednego z swych wierzchowych dla tegoż jenerała; potóm zaś udał się ze mną i z całym swoim sztabem dla obejrzenia pola bitwy; przyczém musiałem mu opisywać wszystkie poruszenia nieprzyjacielskie, i szczegóły naszego ataku, co miało służyć do zdjęcia planu i opisu dokładnego, dla zrobienia rapportu, który z tego powodu miał być do Francyi przesłany.

Jenerał Sebastiani przed oddaleniem się z Malagi napisał do mnie list, którego wierny odpis na końcu tego pisma jest dołączonym.

Oto jest krótki lecz najwierniejszy opis wypadków które miały miejsce w czasie krótkotrwałego oblężenia zamku Fuengirola, dalsze zaś szczegóły jako mające mniejszy związek z témże oblężeniem, tém chętniej przedsięwziąłem pominąć, że czytelnik którego życzeniem było poznać je, znajdzie takowe z największemi nawet drobnostkami opisane w dziele lorda Blayney. Nim jednakże zakończę moje uwagi, przedsięwziąłem jeszcze rozstrząsnąć znaczniejsze uchybienia jakie lord Blayney popełnił w użyciu wyprawy jego dowództwu powierzonój, a razem udowodnić, jak niesprawiedliwemi są tego lorda, uzalenia co do obejścia się z nim po wzięciu w niewolę; o czém jego własne postępowanie jako téż i oficerów razem z nim zabranych najlepiej przekonają.

Wprzód atoli nim przystąpię do tych przedmiotów, winienem wymienić imiona tych moich walecznych towarzyszków broni, którzy znajdując się w téj potrzebie, przez swą odwagę i męstwo osobiste, będąc przykładem swym podkomendnym, przyłożyli się do zniszczenia w sposobie tak zaszczytnym dla oręża polskiego, wyprawy nieprzyjaciela, która gdyby się była udała, znaczne przyniosłaby mu korzyści. W ciągu całej téj bitwy znajdowali się ze strony naszej: szef batalijonu Bronisz; kapitan Płachecki Władysław; porucznicy Chełmicki Eustachy, Osiecki Wojciech, Ubysz Jan, Petit Fryderyk; podporucznicy Lalewicz Franciszek, Otfinowski Michał, Ośniałowski Andrzej; sierżant, Zakrzewski Józef. Ci wszyscy byli z pułku 4-go piechoty Księstwa Warszawskiego, i na równie zaszczytne wspomnienie zasłużyli oficerowie pułku 21 dragonów francuzkich: kapitan Authier, i porucznik Petion.

UWAGI NIEKTÓRE Ó TĘJ WYPRAWIE.

Lord Blayney w dziele swoim, stara się usprawiedliwić dla czego z wyprawą swoją nie uderzył na Malagę, lecz od ataku na zamek Fuengirola działania swoje rozpoczął; powody atoli przytoczone przez lorda Blayney, tak słabo są wsparte, że z łatwością liczne by im można zrobić zarzuty; gdy jednakże ani zakres pisma tego dozwala obszerniejszego rozbioru, ani moim nie jest zamiarem krytykować postępowanie tego jenerała, przestanę zatém jedynie na zrobieniu niektórych uwag, jakie następują się każdemu, komu tylko znajomemi są położenie miejsc i okolic Malagi, jako téż i ówczasowe okoliczności.

Uderzenie wyprawy lorda Blayney na Malagę, więć obiecywać mu mogło dobrego skutku, aniżeli uderzenie na zamek Fuengirola, a to tak pod względem topograficznego położenia, jako téż i ze względu na sposób myślenia mieszkańców (!).

Malaga miasto portowe, otoczone na około górami, w których utrzymywały się ciągle znaczne oddziały powstanców, mające komunikację z głównym tychże korpusem zajmującym góry Ronda,

(!) Jenerał Blayney w dziele swoim tomie I kar. 4 mówi, że miał wiadomość o nieukontentowaniu mieszkańców Malagi i gotowości ich do połączenia się z wojskiem, któreby przeciw Francuzom wysłane było.

pod dowództwem znanych partyzantów: Laque, Valdibia i wielu innych, było otwartém na wszystkie strony, gdyż wyjąwszy cytadellę Gibralfarol panującą nad częścią portu i miasta, nie miało żadnych innych środków obrony, a tém samém z łatwością mogło być opanowaném (1), tém bardziej, że samo pokazanie się angielskiej wyprawy, byłoby ośmieliło powstańców, pewnych pomocy w potrzebie od mieszkańców, i oczekujących tylko przyjaznej chwili do uderzenia na nieprzyjaciela, któremu jedynie z konieczności ulegali.

W tym stanie rzeczy, uderzenie na Malagę mogło się być bardzo udać lordowi Blayney, gdyby był takowe przedsięwziął śmiało i bez straty czasu, a tém łatwiej, że Francuzi nie mieli jeszcze w tym czasie sił dostatecznych, tak do odparcia ataku nieprzyjaciela, jako téż do utrzymania załogi dla spokojności w mieście, liczącém przeszło 40,000 ludności; a gdyby nawet zajęcie Malagi było tylko chwilowe, wszelako już by było korzystném, przez zabranie zapasów nieprzyjacielowi i lordowi Blayney do laurów jego licznych, niepospolity byłby liść przybył.

Przeciwnie zaś uderzenie na Fuengirolę gdyby nawet i pomyślnie było się powiodło, nie mogło żadnych ważnych spowodzić skutków; utrudzenie albowiem przemijające związku nadbrzeżnego między korpusami francuzkiemi, nie mogło się uważać za żadną stanowczą korzyść, i celem wyprawy tyle kosztującej i w największ tajemnicy przysposobionej, nie mogło być przerwanie związku nieprzyjacielowi, w jednym kierunku, kiedy inne drogi pozostawały otwartemi dla niego; ani téż zajęcie starego i zniszczonego zamczyska, w którym długo utrzymać się nie było można, a który sam w sobie był punktem nader mało znaczącym. Uderzenie nakoniec na zamek Fuengirola było, hasłem dla francuzkich oddziałów do skoncentrowania się w sile i przygotowania w Maladze odporu przyzwoitego, którego lord Blayney nie znalazłby był pewnie, gdyby był z wyprawą swoją bez chwiania się uderzył na to miasto (2).

Że lord Blayney popełnił wielki błąd uderzając z swą wyprawą na Fuengirolę a nie na Malagę, to żadnej nie podlega wątpliwości, lecz i w sposobie uderzenia na Fuengirolę, na wiele zarzutów zasłużył.

Baterja usypana przeciw Fuengirola, opatrzona działami, amunicją, w takiej bliskości nieprzyjaciela, czy nie powinna lepiej była być obsadzoną, i mieć zapewnioną prędszą pomoc od reszty korpusu? dla czegoż ten korpus umieścił lord Blayney w tak odległej pozycyi, że nie mógł prędko iść w pomoc oddziałowi baterją osadzającemu.

Wszystkie poruszenia w korpusie lorda Blayney nie mogły być utajone nieprzyjacielowi, który z wałów zamku najtroskliwiej śledził: to położenie zatem winno było uczynić ostrożniejszym generała, a wszelako bez względu na przytomność nieprzyjaciela, wśród dnia nawet, dozwolił rozpuścić ludzi po odebraniu żywności i sam razem w tym samym czasie udał się do śniadania z swemi oficerami (3). Tą nieostrożność nie uszła mu bezkarnie, gdyż korzystając z dostrzeżonego w korpusie nieprzyjaciela nieporządku, zrobiłem wtenczas pierwszą moją wycieczkę, której skutkiem, jak już się wyżej powiedziało, było zdobycie pierwszy raz baterji. Wycieczka ta nie byłaby miała miejsca, gdyby korpus lorda Blayney odebrał był w nocy żywność, a przez dzień stał pod bronią w pogotowiu do odparcia wycieczki.

(1) Zdanie kapitana Hall umieszczone w tomie I na kar. 8, było także za uderzeniem na Malagę, jako nie będącą w dostatecznym stanie obrony.

(2) To co lord Blayney pisze na kar. 42 i 43 t. I. o najeżonych działami bateryjach w Maladze, i że sam widział naocznie jedną mającą dział 14 wielkiego kalibru, było raczej powiedziane dla usprawiedliwienia osobistego, niż zgodne z prawdą.

(3) Lord Blayney na kar. 33 T. I, zapewne przez pomyłkę napisał, jakoby od 24 godzin oprócz kielicha wódki, którą mu ofiarowałem, nic więcej w ustach nie miał, gdy tymczasem wraz z swemi oficerami jadł śniadanie w czasie pierwszej wycieczki

Nie ubliżając bynajmniej talentom wojskowym generała lorda Blayney i oddając zupełną sprawiedliwość osobistej jego odwadze, jaką okazał w wyprawie pod Fuengirolą, podług mnie generał naczelnie dowodzący, w rzadkim nader tylko wypadku (1) ma pole popisania się z osobistą odwagą, a ciągle jest obowiązkiem jego czuwać nad położeniem powierzonego mu wojska, i gdyby w razie obecnym generał lord Blayney zamiast udania się osobiście przeciw atakującym, zajął się był utrzymaniem porządku w swych kolumnach i bronieniem pozycyi, na której się znajdował, natenczas korzyści, któreśmy z początku odnieśli, możeby były następnie straconemi, lub przynajmniej porażka nieprzyjaciela, pozbawionego dowódcy, nie byłaby tak zupełna.

Możnaby tu jeszcze więcej zrobić uwag i zastanowić się, dla czego generał angielski w dziele swoim wypuścił niektóre szczegóły zupełnie, a innych słabo tylko dotknął, lecz nie chcąc zgłębiać, jakie go do tego mogły skłonić powody, poprzestanę na tém co dotąd powiedziałem, i przystąpię do uniewinnienia się z zarzutu, jaki mi zrobił. Przy opisanu wypadków drugiego dnia po wyładowaniu anglików przy zamku Fuengirola, umieściłem najwierniejszy opis przyjęcia generała Blayney, gdy był do mnie jako jeniec przyprowadzony; do tego opisu nic bym już więcej dodać nie powinien, zostawując czytelnikom wolność wyrzeczenia, czyli w mém obejściu się z generałem Blayney było co nagannego, lub ubliżającego jego randze i honorowi?

Gdy jednakże lord Blayney w trzecim rozdziale swego dzieła od tego zaczyna (2), iż wszedłszy do zamku gdzie ja dowodziłem, i spotkawszy mnie z innymi oficerami, został odemnie powitany grubijańskimi wyrazami: „Nuże kolego, wypij kielich wódki! nie jesteś u siebie“ a razem, że i moi żołnierze zpoufaleri z innymi oficerami w największym nieładzie klepiąc go po ramieniu, toż samo powtarzali „nuże, nuże, kolego! pijmy!“ winienem nadmienić, że podobne zarzuty są najniesprawiedliwsze, gdyż nigdy nie było moim zwyczajem, abym z oficerem niższym od siebie, miał sobie pozwalać takiej poufałości, a tem mniej względem generała, który chociaż w niewoli naszej znajdował się, nie mniej atoli miał prawo do uszanowania dla swojej rangi, jako też przez położenie samo z siebie dość dla niego przykre; mógłżem niedelikatnym obchodzeniem się, uczynić takowe jeszcze przykrzejszem?

Co do poufałości żołnierzy o jaką obwinia ich generał, w tém zdarzeniu ten zarzut również jest niesprawiedliwym; w wojsku naszym nigdy młodszy starszemu nie ważyłby się uchybić, nigdy żołnierz nie miał téj poufałości, ażeby w przytomności oficerów swoich, pozwalał sobie uchybiać generałowi, chociażby téż w niewolę zabranemu.

Nakoniec, gdyby istotnie przyjęcie moje i obejście się z generałem Blayney, było takim, jakim podobało się odmalować je generałowi, natenczas samo wspomnienie o mnie generałowi Blayney byłoby przykre, a tém mniej starałby się widzieć człowieka, który w podobnie smutnym jego położeniu, tak niegodnie i nieludzko z nim sobie postąpił.

Przeciwnie jednakże zamiast żalu i wstrętu do jakich nakłaniałoby generała moje obejście, gdyby było tak nieludzkie i barbarzyńskie, jakim generał ten wystawił je w swoim dziele, w pó-

(1) Zdarzają się wprawdzie momenta, wśród bitew, gdzie dowodzący osobistém mężstwem zmienia los tychże. Podobny wypadek miał miejsce w bitwie pod Caana w Hiszpanii, gdzie widząc cofających się naszych, książę Sułkowski ujawszy sztandar 2-go bataljonu pułku 4-go piechoty Księstwa Warszawskiego, rzucił się na nieprzyjaciela. „kto Polak ten za mną,“ wołając: zwrócił cofającą się dywizyą; nieprzyjaciel został odparty z obronieniem pozycyi, od której utrzymania, los téj pamiętnej bitwy był zawisł.

(2) Kar. 30. En entrant dans le chateau je rencontra le capitaine M. qui y commandait; il était accompagné de plusieurs autres officiers et m'accosta avec les paroles les plus grossières en me demandant si c'était moi, qui avait eu l'insolence de lui envoyer une sommation, et qui avait fait verser tant de sang. ect. ect.

źniejszém widzeniu się ze mną, w położeniu zupełnie różném, wysilił się lord Blayney na danie mi dowodów swego szacunku i poważania, do których zapewne nie nabywa się prawa przez postępowanie podobne, jakie mi generał przypisał w czasie późniejszym, i najpewniej w przekonaniu, że nigdy do méj wiadomości nie dojdzie. W roku albowiem 1812 prowadząc z Hiszpanii znaczny oddział przez Francją, gdy w przechodzie zbliżyłem się pod miasto Verdun, w znacznej odległości od tego miasta, postrzegłem kilku jeźdźców na dobrych koniach, ku mnie zbliżających się, i nie małe było moje zadziwienie, kiedy jeźdźcy otoczywszy powóz, w którym będąc nieco słabym jechałem, zaczęli mnie witać: „jak się ma pan komendant Fuengirolí?“ To powitanie zdziwiło mnie tém bardziej, że w gronie tém, nikogo znajomego nie mogłem znaleźć, aż dopiero po zbliżeniu się do mnie generała Blayney, poznałem go po głosie, gdyż przebrany po cywilnemu, zupełnie dla mnie był nieznanym. Generał oświadczył mi najuprzejmiej, że dowiedziawszy się od dowódcy 4-go pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, który parę dni przedemną przez Verdun także przechodził, iż niezawodnie dziś miałem przybyć, wyjechał z innemi oficerami angielskiemi na moje spotkanie, w dowód szacunku, jaki dla mnie powziął od pierwszego ze mną poznania się, a razem dla zawdzięczenia mi, za gościnne z nim się obejście, w czasie dostania się jego do niewoli.

Po przywitaniu się wzajemném, byłem proszony przez lorda Blayney, ażebym zaraz po przybyciu do miasta i umieszczeniu mego oddziału, przybył do jego pomieszkania, a zostawiwszy przy mnie jednego z swych oficerów, sam napowrót odjechał. Przyszędłszy do miasta i rozlokowawszy mój oddział po danym rozkazie, zebrania się w dniu następnym do dalszego marszu, udałem się z zostawionym mi przewodnikiem do pomieszkania lorda Blayney, którego zastałem w gronie kilkunastu jego ziomków anglików. Generał na nowo przywitał mnie najgrzeczniej, przedstawił wszystkim swoim towarzyszą, wspominając najpochlebniej dla mnie okazją, w której się ze mną poznał, a potem prosił mnie, abym mu powiedział, jakim winem może mi służyć? — odpowiedziałem, że takim, jakie sam pija, gdyż, dodałem, pewny byłem jego dobrego gustu. Przyniesiono potem różne jedzenia, przy których piliśmy naprzód wino likierowe, lecz gdy po wypiciu pary kieliszków, kazał generał przynieść inne, nierównie mocniejsze, zacząłem się wymawiać generałowi, składając się utrudzeniem marszu; wtenczas generał w tonie żartobliwym rzekł do mnie: „czy zapomniałeś W. Pan to coś mi powiedział w zamku Fuengirolí, że anglicy i polacy byli najwaleczniejsi w Europie do kielicha“ co następnie kilka razy powtarzał, ile razy tylko wymawiałem się od wypicia kielicha.

Później zaprosił mnie generał Blayney do łoży swojej w teatrze, przybyliśmy już prawie na końcu aktu opery *Woziwoda* Paryzki. Ledwie atoli przez jedną scenę zabawiliśmy w łoży: generał prosił mnie najgrzeczniej do bufetu; długo wymawiałem się, lecz nakoniec musiałem zadość uczynić jego życzeniu. W bufecie jak i w teatrze samym, najwięcej było anglików, którzy, jak mi generał powiedział, sami ten teatr protegowali i dla tego zawsze był przez nich napełnianym.

Generał przedstawił mnie innym anglikom, mówiąc w pochlebnych wyrazach: „oto jest mój zwycięzca, komendant sławny Fuengirolí; on to mnie wziął w niewolę i t. p.“ poczem przy szklankach ponczu prowadzono dyskursa o różnych bitwach w Hiszpanii, każdy opowiadał gdzie był wziętym, gdzie rannym, największa liczba tych oficerów, była zabraną przez ułanów polskich, których pułk wszystkim był dobrze znajomy.

W podobnych rozmowach tak nam czas upłynął, że gdyśmy do teatru wrócić zamysłali, dowiedzieliśmy się, że się już był zakończył. Wziął mnie zatem generał znowu do siebie, gdzie przy kielichach rozpoczęliśmy na nowo rozmowę o dobywaniu i obronie Fuengirolí. Generał utrzymywał, że największy błąd popełnił, że zaraz pierwszego dnia po wylądowaniu, nie przypuścił szturm

za pomocą drabinek, które miał przygotowane na ten koniec, a wskazując na majora tamże przytomnego, powiedział mi, iż ten już był przeznaczonym do tej wyprawy, wysławiając nadto waleczność jego, dodał: „pewniebyśmy byli W. Pana zabrali.“ Na to odpowiedziałem, iż łatwiej dla nas byłoby spychać ich z góry, jak im drapać się po drabinach.

Na podobnych rozmowach do późnej nocy nam zeszło; wtenczas chcąc cokolwiek wypocząć przed udaniem się w marsz, chciałem już pożegnać generała, lecz on nie chciał mnie wypuścić, i w sposobie najgrzeczniejszym nalegał, abym dzień następny dla niego poświęcił, prosząc mnie, abym był u niego na śniadaniu za miastem, gdzie razem miał być kurs odprawiony; później zaś u niego w mieście miał być obiad na kilkadziesiąt osób, na którym miał się znajdować jeszcze jeden generał angielski, także w niewoli będący, z którym chciał mnie zapoznać, dodając grzecznie, że to już sobie ułożył, jak się tylko dowiedział o mojem przybyciu. Wymawiałem się ile mogłem generałowi, obowiązkiem moim, jako kommandanta oddziału i odpowiedzialnością, za wszelki wydarzyć się mogący nieporządek lub przypadek w marszu, a nadto, że nie mając żadnego zdrowego oficera, nie miałem komu zdać komendy nad oddziałem. Na wszystkie moje tłumaczenia generał dawał mi zaręczenie, iż na siebie bierze odpowiedzialność za wszystko złe, co by się w czasie niebytności wydarzyć mogło. Widząc zatem niemożność uwolnienia się inaczej, udałem, że się skłaniam do życzenia generała, abym tylko mógł się uwolnić i udać do mego oddziału, który już nawet zbierać się zaczęł. Przed oddaleniem się atoli z Verdun, napisałem do generała z przeproszeniem, że dla obowiązków służby nie mogłem być dłużej z nim, podziękowałem oraz za jego dla mnie uprzejmą gościnność.

Takie było ostatnie moje pożegnanie z generałem lordem Blayney, którego ciągła i uprzedzająca grzeczność ani mi pomyśleć dozwalała, ażeby kiedy z pod tego pióra wyszło pismo, tak dla mnie obraźliwe, a tak dalece z prawdą niezgodne.

Ja z mojej strony nie mam sobie nic do wyrzucenia, zrobiłem moją powinność tak jak mi się najlepiej zdawało; przyjąłem go, chociaż jeńca, tak otwarcie i ludzko jak tylko mogłem w mojem położeniu, lecz znalazłszy się tak niesprawiedliwie oczernionym, pominąć muszę szacunek, jaki winien jestem generałowi lordowi Blayney, a odpowiedzieć jedynie na zarzuty autora. Gdy zaś w dziele swoim generał lord Blayney i wiele innych osób uszczypliwie dotknął, spodziewam się zatem, iż może która z nich wystąpi w obronie dotkniętego honoru, a piórem zdolniejszym da uczuć autorowi, że można pogodzić obronę własną, chociażby najgorszej sprawy, z oszczędzeniem niesprawiedliwych dla innych zarzutów.

Kopija listu własnoręcznego generała Sebastianiego, pisanego do b. pułkownika Młokosiewicza:

Monsieur le Commandant!

Je pars pour Grenade, mais la conduite extrêmement distinguée que vous avez tenue dans l'affaire du 15, me laisse très tranquille sur la defense du Fort que vous commandez. Mon départ ne vous enlève pas les secours qui pourraient vous être necessaires en cas d'attaque. Tout est prévu et tous les ordres sont donnés en conséquence. Je ne puis vous, repéter assés, et aux braves qui sont avec vous, les témoignages de ma satisfaction. J'ai rendu compte de votre conduite du Gouvernement français, et j'ai sollicité sa bienveillance en votre faveur. Recevez Monsieur le Commandant l'assurance de me considération. Malaga le 17 8bre 1810.

Horace Sébastiani.

M. le Capitaine Młokosiewicz Commandant le Fort de Fuengirola.

KAROLINA LEBRUN.

(Tom 1-szy, str. 158).

Mąż pomienionój Karoliny Lebrun, spoczywa także na cmentarzu Powązkowskim bez napisu grobowego. Oto kartka pogrzebowa, którąśmy wynaleźli:

„Stroskana żona Karolina z Dembińskich Lebrun, wraz z bratem, zapraszają krewnych i przyjaciół na eksportację ciała ś. p. Adama Lebrun, b. majora wojsk polskich, na dzień 1 Września r. b. z domu Nr. 620 przy ulicy Danielewiczowskiej, na godzinę 5-tą po południu na cmentarz Powązkowski, a nazajutrz na nabożeństwo do kościoła parafjalnego XX. Reformatów, na godzinę 10-tą z rana.“ (z r. 1825).

FRANCISZEK DMOCHOWSKI.

(Tom 1-szy, str. 163).

Gazeta Warszawska 1856 r. Pod ogólnym napisem:

„Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego“ wydrukowała i ustęp poniższy o F. Dmochowskim, z pamiętnika jego szwagra. Szczegóły bardzo ciekawe o tym znakomitym mężu, tak w literaturze jak i w usługach krajowych, dla uzupełnienia naszego życiorysu powtarzamy dosłownie: zwracając uwagę czytelników naszych, na sprostowanie ważne, ogłoszone w téjże Gazecie Nr. 5: 1857 roku. „W roku 1807 po zaprowadzeniu rządu Księstwa Warszawskiego, hr. Feliks Łubieński był Dyrektorem Sprawiedliwości, zarządzającym Wydziałem Spraw Duchownych. Do niego udał się ś. p. Dmochowski z prośbą, aby mu wyjednał z Rzymu przebaczenie, i pozwolenie uprawnienia ślubów małżeńskich. Jakoż Łubieński z urzędu potrzebne poczynił kroki, i prośbie Dmochowskiego stało się zadosyć.“

— „Franciszek Dmochowski, urodził się w r. 1762 d. 1 Października, pochodził z szlacheckiej w Polsce familii, rodzice jego w Województwie Podlaskim mieli dziedziczny majątek, część wsi Dmóchy, od którego początkowo dom ten wziął nazwisko. Ojciec Dmóchowskiego, ośmioro dzieci mający, między któremi sześciu synów było, przy szczupłym majątku, lepszemu nie był im w stanie zrobić udziału, nad staranność usiłną w daniu stanowi szlacheckiemu stosownej edukacji. Dwóch synów udało się do stanu duchownego, wszyscy oddawani byli do szkół Drohickich, gdzie po skasowaniu księży Jezuitów, nauczali księża Pijarowie. Franciszek Dmóchowski, przez swoją w naukach pilność i okazujący się zaraz od dzieciństwa szczególniejszy dowcip i pamięć, ściągnął baczniejsze na siebie nauczycielów względy, a ci upatrując w nim rzadką pojętność, żywość wyobraźni i porywającą chęć do pracy, a łatwość w tłumaczeniu swych myśli naturalnie i jasno, wreszcie wrodzony do poezji genijusz, starali się go wszelkimi sposobami namówić i skłonić do zgromadzenia swego, wielkie nadal po nim rokując sobie nadzieje, które w późniejszym czasie udaremnione i zawiedzione zostały. Dmóchowski w osiemnastym roku życia wzięwszy suknie zakonną u księży Pijarów, odesłany został na nowicyjat do Podoleńca, gdzie młodą wielkich nadziei latorośl, zgromadzenie pijarskie starannie pielęgnując, najtroskliwiej wychowało, i najwyborniejsze nauk nasiona, na żyzną rzuciło rolę, z której prędkiej nad spodziewanie, prac swoich dojrzały ujrżeli owoc, gdyż w dwudziestym pierwszym roku swojego życia, Franciszek Dmóchowski został już usposobionym i zdałym nauczać innych, i wywiązywać się z powołania swego przyjętego w zakonie. W szkołach Łomżyńskich był professorem gramatyki, i dawał godzinę języka francuzkiego. Nie była mu téż wzbronioną ambona, z której w Łomży i po innych okolicy kościołach,

w kazaniach na dnie odpustowe lub pogrzebowe obrzędy, umiał przemawiać do słuchaczy z darem wymowy szczególnym i doborem myśli uderzającym. Rzadka pamięć, szybkie pojęcie, wysłowienia dar osobliwy, otworzył mu drogę do sławy, a pracowitość w przykładaniu się do nauk wykształciły go w bardzo krótkim czasie na znakomitego zgromadzenia członka. Po dwuletnim jego w Łomży pobycie, osadzili go księża Pijarowie godnym pokazania się na większym świecie, został tedy w Warszawskich szkołach professorem poezyi, a niebawnie potem nauczycielem wymowy.

Dmóchowski im więcej kosztował słodczy nauk, tém lakomiej chwycił je i pragnął, nienasycony w swęj żądzy, kształcił umysł coraz większym nabytkiem umiejętności, sam się w niemieckim i angielskim języku usposabiał, i wzięwszy dobre ostatniego początki, pracował samotnie nad tłumaczeniem autorów, a szczególniej Milтона; lecz skromność zakonna i miłość własna drażliwa, niedopuszczyły mu powierzyć prac swoich publiczności.

Gdy na sejmie sławną ową sprawę Dugromowój angielski przetrząsano, do której Król, książę Adam Czartoryski i wielu panów wmięszani byli, Dmóchowski ułożył z téj okoliczności poezyję, pod tytułem: Bajka, Pan w dobrach pana Podstolego.... Orzeł i Paw i t. d. w roku 1786. Poezycja ta bardzo była dowcipną i trafnie do okoliczności zastosowaną, czytał ją jednak tylko przyjaciółom swoim, a z tych jeden zaufania nadużył, lecz nie na złe i podał ją do druku. Rozprzedana się bardzo prędko znaczna ilość tych poezyj, które Gröll wydając i wiedząc autora literą D. początkową nazwiska oznaczył; przyjęto je z oklaskiem, tak że księgarz później z dobrej woli dzieląc się zarobkiem, kilkanaście dukatów za nią wyliczył Dmóchowskiemu,

W ten sposób pierwszą szczęśliwą ośmielony próbą, przełożył wierszem polskim z angielskiego Milтона *Rajutracony*, który powszechną na niego zwrócił uwagę, czytany i rozpowszechniony z wielką dla Dmóchowskiego sławą.

W czasie sejmu czteroletniego, napisał odpowiedź na pismo podane przez Akademię Krakowską, równie dobrze przyjętą i ocenioną; wreszcie nieustannie dniem i nocą musiał pracować dla wielu tego zgromadzenia członków, dobre myśli mających, a niemogących ich wyrazić, pisząc i układając im mowy sejmowe; zrobiło mu to stosunki i zjednało wziętość.

Ks. Kollątaj poznawszy wielkie Dmóchowskiego talenta, przybrał go sobie za pomocnika w pracach uczonych, i owe listy Kollątaja w czasie sejmu do marszałka adresowane były wspólnęj pracy owocem. A że Dmóchowski będąc w zgromadzeniu księży Pijarów, miał powinności i ciężary do swojego powołania przywiązane i niedosyć miał czasu swobodnego do pracy użytecznej, nie będąc panem swęj woli i godzin, przeto za radą przyjaciół, przy pomocy i protekcji marszałków sejmowych, Sołtyka, Ignacego Potockiego, Stanisława Potockiego i innych wielu, sekularyzował się naprzód i został proboszczem w Piątku, w miasteczku w Wielkiej Polsce. Lubo tam intratne i spokojne miał probostwo, wszelako nie zgnuśniał i nie porzucił pracy, nie przywiązując się do zbioru majątku, ale starając się dla własnej i kraju korzyści, na pożytecznego wykształcić człowieka. Tu rozpoczął on swoje tłumaczenie Illiady Homera, na którą nawet prenumerata ogłoszoną była, gdy wypadki polityczne zmusiły go udać się za granicę, gdzie tułając się dostał się wreszcie do Paryża. Ale wygnańca niedostatek ściagał, w cudzym kraju dotkliwszy jeszcze i cięższy, bo mu zaradzić trudniej między obcemi; przyszło do tego, że szukając chleba, tłumacz Illiady, musiał po ulicach i domach roznosić na sprzedaż małe pisemka i niedorzeczne broszury republikańskie, układane przy butelce, a czytane też w szynkach. To mu myśl podało zostać samemu dorywczym publicystą; chodziło tylko o nakład na druk, a że roznoszenie broszur i ich sprzedaż bardzo lichy dawały zarobek, w końcu spróbował napisać do okoliczności stosowny pamflet pod tytułem: *Sabaudyja nasza (La Savoie est à nous)* a księgarz

podjął się wydania, obiecując mu czwartą część zysku w nagrodę. Na tej broszurze nie śmiejąc położyć swego nazwiska, Dmóchowski podpisał się tylko początkowymi głoskami F. D., a gdy pisemko do smaku przypadło tak dalece, że w końcu jego umieszczone piosenki po teatrach śpiewać kazano, jakiś awanturnik którego imię i nazwisko literom F. D. odpowiadało, przyswoił sobie autorstwo Anonimu wydanej broszury, i od rządu nawet za nią odebrał nagrodę. Dmóchowski z dowodami w rękę współubiegał się o nią, ale nic nie wskórawszy, zniechęcony krzywdą jakiej doznał, opuścił stolicę w towarzystwie przyjaciela, który go w czasie pobytu po troszę wspierał. Z Paryża do Goetyngi szedł pieszo, żyjąc bardzo oszczędnie, nie mając nic nad skromny tłumoczek z kilką koszulami, kilką książkami i trochę rękopismów. Gdy on tu taki cierpiał niedosłatek, w kraju intratne jego probostwo zabrał rząd pruski, z powodu, że się na oznaczony termin nie stawił. Dmóchowski bez żadnych resursów prócz własnej pracy i zdolności, niemi więcej roku utrzymywał się w Goetyndze, wygodniej niżeli w Paryżu. Tu się nauczył cokolwiek po grecku, wydoskonalił w języku angielskim i włoskim, a pracując ręką i głową, zyskał najwięcej, ukształcając się tak, że gdy w roku 1800 do kraju powrócił, przywiózł z sobą zasób znaczny wiadomości i talent prawdziwie dojrzały.

Radzono Dmóchowskiemu, aby się u rządu Pruskiego o swoje dawne probostwo upomniał, coby mu było z łatwością przyszło przy pomocy przyjaciół, ale na to odpowiedział: „Znam tego nowego proboszcza, który nie miałby sposobu do życia, gdybym mu probostwo odebrał. Ja mam jeszcze zdrowie; byle mi moje pięć palców zostało, mogę zapracować na utrzymanie moje.“

Przyjaciele Dmóchowskiego, po większej części tak jak on ubodzy, lub wypadkami ostatniemi przywiedzeni do trudnego położenia, nie wielką mu zrazu mogli być pomocą, choć radzi byli go poratować; rzucił się więc do pracy, wedle stałego swojego godła: Labor ipsa voluptas. Obwieścił przez gazety powrót swój do kraju, a zarazem zawiadomił publiczność, że przed kilką laty zabrawszy prenumeratę na Iliadę Homera, dla wypadków publicznych, wiadomych wszystkim, chociaż dotąd wywiązać się nie mógł z zaciągniętego długu, gotów jednak wkrótce się z niego wypłacić wydaniem tłumaczenia. Na odgłos jego przybycia, liczba prenumeratorów wzrosła zaraz, ubiegano się i nadpłacano, i tak dzieło to okazało się na świat i z wielkim aplauzem przyjętém zostało od uczonych i pospolitych czytelników, którym prawdziwą sprawiło rozkosz. Dmochowski, miłośnik nauki, pierwszy miał podać projekt założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Na wstępie tych posiedzeń sam przemówił do licznie zgromadzonych słuchaczy, starając się ukazać ważność w tej chwili zajęć literackich, do których powołania wskazywało samo położenie kraju, pozbawionego samodzielności i kierowania losami własnymi. Dmóchowski był organizatorem i członkiem Towarzystwa, a zachowując stałą przyjaźń i wdzięczność dla księży Pijarów (z których drukarni wszystkie jego wychodziły dzieła) starał się nakłonić członków, aby sobie u XX. Pijarów miejsce posiedzeń tymczasowo wybrali. Następnie zajął się wyrobieniem pozwolenia na pismo peryodyczne, pod tytułem Pamiętnika, które miesięcznie wydać przedsiębrał. O wartości jego rozszerzać się nie ma potrzeby; to pewno, że z siebie wydawca czynił co tylko mógł, aby je podnieść, a pismo zajmującym uczynić i pożytecznym. Obejmowało ono historyczno-polityczne przedmioty. Sławny w Polsce z pism i gienijuszu swego arcybiskup gnieźnieński, w testamencie swoim dał dowód szczególnego dla Dmochowskiego szacunku, naznaczając go swojej literackiej spuścizny opiekunem, szacowne swe powierzając mu rękopisma, obowiązując zarazem, o wybór z nich i przygotowanie stosowne do druku tego, co godnym publikacyi osądzi. Nie zostały zawiedzione Ks. Krasińskiego nadzieje, i skutecznie spełniony testament. Dmochowski bowiem zrobił ogólny zbiór dzieł tego pisarza i wydał je w porządku i w komplecie. Pięć tomów tylko były przedrukowane z da-

wniejszych, resztę ułożył Dmochowski z zostawionych rękopismów. Na tém wydaniu, jak na Pamiętniku, znaczny miał zysk Dmochowski, na który wytrwałą pracą zasłużył. Uczciwie i wygodnie w Warszawie żyjąc, powoli tak z własnego dochodu i starania, zebrawszy kapitału do dziewięciu tysięcy dukatów, za tę sumkę w Kujawskim Województwie kupił wieś dziedziczną, w której brat jego żonaty zarządzał; on zaś ciągle przemieszkując w Warszawie, raz obranego zawodu nie porzucił. Oprócz grosza, jaki zgromadził oszczędnością, piękną też zebrał bibliotekę z dzieł wyborowych.

Zapomniałem powyżej nadmienić, iż za powrotem do kraju Dmochowskiego, między przyjaciółmi jego znalazła się i przyjaciółka, a szczególna dobrodziejka, panna Izabella Mikorska, która w małoletności, będąc na opiece u starszej swój siostry Balbiny z Mikorskich Dmochowskiej, wraz z pasierbami jój, uczyła się u Dmochowskiego, naówczas jeszcze pijara. Miała zaś szczególne pojęcie i chęć do nauki wielką: wyuczyła się najładniej historyi i języka francuzkiego, a z czasem coraz większego do pracy nabierając smaku, ciągle się literaturze oddawała i doskonaliła. Nabywszy języka francuzkiego, włoskiego i niemieckiego, które dostatecznie posiadała, wzięła jeszcze angielskiego początki. przyszedłszy do lat, w Warszawie osiadła i utrzymując się z procentu od summy posagowej, zajmowała literaturą, zachowując dla Dmochowskiego wdzięczność i pamięć za początkowe ukształcenie. Gdy tedy Dmochowski powrócił z podróży swojej do Warszawy, panna Mikorska ulitowawszy nad stanem jego, a mając już lata zupełne i wolność zarządzenia majątkiem swoim, cały swój posag złożyła w jego ręce. Ten stanowił początek i nim się to dorobił grosza, łożąc na wydanie dzieł Dmochowski, z Iliady, Pamiętników, wielu innych edycyj i przedruków, szczególniej dzieł Krasickiego, zebrawszy tyle, że mógł wioskę kupić, a później i pałacyk w Warszawie. Panna Mikorska powierzwszy cały posag Dmochowskiemu, postanowiła wkrótce przy nim zamieszkać i żyć w towarzystwie człowieka, od którego zawsze coś umysłowie skorzystać mogła. Zatrudniała się u niego zarządem i utrzymaniem domu, prócz tego dopomagała mu w pracy literackiej, szczególniej przy korekcie dzieł, które w swojej drukarni wydawał, pilnie zajmując się poprawnością edycyi. Tak tedy lat kilka w najlepszej zgodzie i ścisłej z sobą żyli przyjaźni. Nie podobał się jednak ten sposób życia familii Mikorskich, z których jedni z przesądów, drudzy, jak kasztelanice Mikorski, z ambicyi, napróżno usiłując przymusić pannę Izabellę do opuszczenia domu Dmochowskiego, w końcu prześladować ją zaczęli, nalegając u Urzędu nawet, aby ten związek siłą zerwany został.

Dama zaś mniej może skrupulatna i trochę filozofka, zakosztowawszy życia spokojnego i swobodnego słodczy, obrażona przeciw familii, chcąc się z podległości jój wyłamać, a nadewszystko przywiązawszy się już do Dmochowskiego, dla którego szacunek i przywiązanie powzięła, ani mówić sobie o tém nie dozwalała. Owszem, majątek swój dała na wspólne kupno wioski, co niedozwalało się im rozdzielić, a prześladowaniem wzmogło się tylko obustronne przywiązanie obojga. Mikorska tedy prośbami i płaczem dokazała tyle, że zachwiała umysłem kochanka, tak, że ośmielony świeżemi przykładami księdza Wolskiego i księdza Maciejewskiego pijarów, którzy się byli pożeniłi i od rządu za to prześladowania nie cierpili, i on toż samo umyślił uczynić, jako dawniejszy przykład stawał ks. Orzechowski. Tak tedy przywiodła go do tego kobieta, że z nią wziął ślub w zborze protestanckim i ogłosił publicznie małżeństwo swoje, wprzód od rządu pruskiego wszystkie religijne wykroczenia tolerującego, uzyskawszy na to pozwolenie.

Dmochowski uległ w tém więcéj pannie Mikorskiej, którą już kochał mocno i dla niój był słabym, a wdzięczność jój był winien za pomoc sobie daną i obowiązki miał dla niój, bo mu honor, sławę i majątek oddała, niżeli własnemu sercu. Prawdę mówiąc, Dmochowski przez to ożenienie

wiele na sławie i publicznym stracił szacunku: przybrał odtąd na siebie postać smutną, ponurą i surową, mało w towarzystwach bywał, przyjaciół nawet swoich unikając; kupił sobie pałacyk w Warszawie od kasztelana Zakrzewskiego z pięknym ogrodem, przy ulicy Pawiej, a samotność i czytanie wszystek mu czas zajmowały; później syna swojego Franciszka, wychowaniem od lat trzech wieku jego, prawie gorliwie począł się zajmować. Oboje światli rodzice, ustawicznie nad nim pracując, nie wątpię, że talenta swe przeleją następcy. Dziecię to, już w piątym roku życia, mnóstwo polskich i francuzkich wyjątków na pamięć umiało, a odpowiedzi jego były bardzo dowcipne. Jeżeli dojdzie lat dojrzałych, pewien jestem że się na niem sprawdzi przysłowie: „że nie daleko pada jabłko od jabłoni.“

Dmochowski przed ożenieniem swoim był towarzyski, zabawny i ludzki, w domu jego częste przyjacielskie uczonych bywały schadzki, i w dobraném gronie przyjemne spędzano chwile, a każdy pragnął być tak miłym i szlachetnym zabawy uczestnikiem. Sam Dmochowski bez żadnego tonu impozycji, zwykłej literatom, nauczał ze słodyczą, uprzejmie bawił zgromadzonych, a rzadka pamięć jego, obfitych mu dostarczała materyałów. Dwieście lub więcej wierszy ledwie posłyszawszy, gotów był natychmiast powtórzyć, a prozą znaczne wyciągi, cytował z największą łatwością.

Wpływ jego na literaturę był taki, że rzadko kto nie poradziwszy się go, co wydał; przysyłało mu, cokolwiek bądź się gdzie utworzyło, z Wilna, Krakowa i prowincyi, spuszczać się zawsze na szczery, ale delikatności i wyrozumienia pełen sąd jego, który tak się wyrażał, że miłości własnej nie dotykając, prawdę acz ciężką, powiedzieć umiał. Wszyscy też autorowie wydane dzieła nadsyłałi mu w ofercie. W Towarzystwie Przyjaciół Nauk miał też wielką wziętość; trafiało się często, że z Czackim, Starostą Nowogrodzkim, na posiedzeniach toczył spory naukowe i nieraz go przemagał, za co lubo go Czacki nie cierpiał, ale go szanował i sprawiedliwość mu oddawał. Sołtyk, równie jak Stanisław Potocki, szczególni jego byli przyjaciółmi. Pociój, Krasinski, Potoccy i inni młodzi, starali się usilną prośbą wymódcz na nim, aby trzy razy na tydzień pozwolił im zjeżdżać się na lekcye literatury, za co mu rocznie każdy z nich najmniej sto czerwonych złotych składał, za zaszczyt sobie mając, że się uczniami jego zwali.

Akademia Wileńska szczególny dla Dmochowskiego uczuwszy szacunek, zapraszała go listem urzędowym z prośbą, aby dla dobra tego Uniwersytetu, łaską Cesarza Aleksandra I. do pierwszej powagi i świetności podźwignionego. mogła go liczyć w gronie swoim, ofiarując mu katedrę z pensją roczną 1000 czerwonych złotych; ale Dmochowski podziękowawszy za okazane sobie względy, obowiązku tego nie przyjął, i w odpisie swoim to na końcu wyraził, że zaprzęgać się w tak trudny do pełnienia obowiązek, nie ma odwagi

Nikt go próżnującym nie widział, pracował nieustannie i to prawie jednym było jego żywiołem i rozrywką; serce miał czułe na nieszczęścia bliźnich, udzielającym był dla przyjaciół, dobroczynnym dla potrzebujących wsparcia, umiając wybornie darów losu udzielać i onych skromnie używać.

Owidyusza tłumaczenie przyobiegał był publiczności, ale z upragnieniem oczekiwana praca ta nie wyszła jeszcze na świat; prócz tego wiele się po nim zostało rękopismów. Żył z dobranami kilku przyjaciółmi w najściślejszej zażyłości, przenosząc miasto nad wieś, w której gospodarować nie chciał, czy też podobno nie umiał. Dla księży Pijarów zawsze miał największą przychylność i wydawaniem dzieł w ich drukarni, znaczny im przychód czynił. We czwartki regularnie bywały u Dmochowskiego obiady literackie. Ksiądz Pijar Kopczyński, raz na zawsze był na nie proszony i innych ludzi światłych gromadka. Tak tedy wygodnie i porządnie żyjąc, nie mógł się jednak całkowicie nazwać szczęśliwym, albowiem Izabella z Mikorskich Dmochowska, zostawszy jego żoną,

gdy doszła do tego, czego najwięcej pragnęła, z owęj słodkiej, uprzejmiej i uprzedzającej myśli swego ulubieńca niewiasty, stała się ciężką, przykrą i nieulegającą w niczém żoną. Z powodu jej żywego i kłótliwego charakteru, w domu zawsze prawie hałasy i krzyki cierpieć musiał, ale to heroicznym znosił umysłem i sercem. Nikomu się może więcej nie użalił na żonę, prócz mnie, jako mężowi siostry żony jego (Balbiny z Mikorskich primo voto Drewnowskiej) i poufałemu z dawna przyjacielowi, przed którym śmiało mógł swego się zmartwienia powierzyć. Wylewał im te zale serca swego na łono czystej przyjaźni, a mając do mnie zupełną śmiałość, żaląc się na doznawane od żony przykrości, kończyć był zwykłą mowę swoją myślą religijną, w tych słowach:

„Oto jest moja na tym świecie kara; pokuta za grzechy; prócz siebie samego, nikogo więcej o to obwiniać nie powinienem, dobrze mi tak, powinienem cierpieć do krótkich dni moich końca, it. p.“ Jakoż znajdowałem wielką w jego humorze i zdrowiu zmianę, widząc go coraz bardziej zwątlonym i upadającym.

W roku 1807, gdy Warszawa z krajem Wielkopolskim, z powodu wypadków politycznych i obietnic Cesarza Napoleona, nową jakąś bytu uczuły nadzieję, a każdy w miarę sił czynnym się być starał: Dmochowski po śmierci prezydenta Warszawy, szanownego Pawła Bielińskiego, podał do Magistratu swoje żądanie, o dostąpienie tego urzędu, ale intryga i zazdrości osobiste, nie dozwoliły mu doń przystępu. Duchowieństwo wpływało na Radę Magistratu Warszawskiego, która w danej odpowiedzi, naprzód pochlebnie się wyraziwszy o jego zdolnościach i talencie, dołożyła powody, dla których przymuszona była odrzucić jego kandydaturę do prezydencji miasta Warszawy, najwięcej dla gorszącego wyrzeczenia się wiary i powołania kapłańskiego. Wtenczas pierwszy raz Dmochowski uniesiony uczuciem, wymówił żonie, że całego jego nieszczęścia i hańby na świecie była sprawczynią, a ta rozgniewana wyrzutami jego, wprędce potem, zabrawszy syna, wyjechała w Kujawskie.

Sam Dmochowski został w Warszawie, gdzie chorując na krwotoki, nie miał nikogo ktoby go dopilnował w tej słabości; ledwie za wielkim doktorów i przyjaciół staraniem, zaczął jakoś do zdrowia powracać, gdy nowa do zmartwienia przyczyniła się okazyja. Król Saski, szczególnie pobożnością i cnotą religijną wslawiony, zasiadł na tronie z tytułem księcia Warszawskiego, a wnet też i za jego przykładem, gorliwość religijna obudziła się wszędzie. Władza duchowna, dawniej prawem cywilnym uszczuplona, pod rządem pobożnego i cnotliwego pana, wróciła do dawnych prerogatyw, moc swoją i działanie odzyskując. Urząd duchowny nie dawno wzgardzony, ostrzej począł powagi swęj sprężyn używać, i Dmochowskiego (poniekąd słusznie i sprawiedliwie) za jego postępek ściagać. Pozwolenie ożenienia od rządu Pruskiego, wzięto za niedostateczne dla księdza, którego małżeństwo, było publicznem zgorszeniem, tém bardziej, że pismo owe pod imieniem księdza Wolskiego przez Dmochowskiego wydane, pod tytułem: „Ksiądz małżonek, nic nowego, nic dziwnego,“ z wielkim talentem i pracą napisane, stało się powodem wielu złego w kraju i podbudzało do samowolnego postępowania wbrew prawom kościoła i karności powszechniej. Władza duchowna miejscowa, nie siląc się na wymierzenie kary osobistej Dmochowskiemu, nakazała wreszcie niezwłocznie żonę jego, uznaną za nieprawą, na zawsze od niego oddalić, o synie nic nie mówiąc wprawdzie, wreszcie ojca zmuszając, aby do pierwszego stanu i charakteru powrócił. W ciągu tego processu, Dmochowski widząc przeciwko sobie opiniją, wysilał cały swój rozum na uniewinnienie czynności, która była do niewymówienia. Praca i silne zmartwienie, osłabionego już krwi utratą przywiodły do tego, że wpadł w suchoty i zaniemógł śmiertelnie. Tak będąc przyciśniony zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności, choć już bardzo słaby, postanowił wyjechać z Warszawy na wieś, do żony i syna, ustępując pierwszemu

w chwili zapędowi przeciwko sobie. Lecz na pierwszym noclegu w drodze, krwi nagłym wpływem zalany, smutne dni życia swojego dokończył, dnia 6 Lutego 1808 r. Dano o nagłej śmierci Dmóchowskiego znać do Warszawy; przyjaciele pozostali mu wierni troskliwie się zajęli sprowadzeniem zwłok jego do stolicy i wszyscy ludzie uczeni, którzy go za życia cenili, zrobili w tym celu składkę, za którą pogrzeb wspaniały sprawiono.

Mowy żałobne miane przy tym obrzędzie, można czytać w gazetach. ja więc już nic nie dodam, prostym rysem moim pragnąc pamiątkę uczynić przyjacielowi, nad którego losem bolałem.“

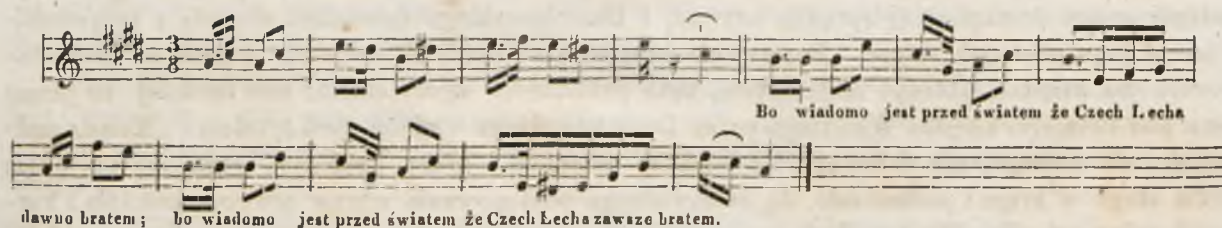
FRYDERYK SZOPEN.

(Tom 2-gi str. 16).

Franciszek Maciejowski, sędzia Appellacyjny Królestwa Polskiego, uczony prawnik, znany z wielu pism ogłoszonych, udzielił następnego mi szczegółu, o tym sławnym muzyku.

„Szopen żył w ścisłej przyjaźni z bratem moim Ignacym, który służąc w b. wojsku Polskim jako oficer artylleryi we Francyi w mieście *Caen* życie zakończył. Pamiętam jak obydwa razem odwiedzaliśmy Szopena właśnie zajętego ukończeniem kompozycyi koncertu, jaki zamierzył wkrótce grać w Wiedniu. Zagrał nam wyjątki z niego na fortepianie ani machoniowym, ani orzechowym, ale prosto sosnowym. Słuchaliśmy z zachwyceniem. Otóż mój brat (będąc wówczas asesorem sądu kryminalnego Warszawskiego) parę razy podróżował z Szopenem w czasie feryi. Ostatnią razą jak w liście z dnia 17 Lipca 1829 brat mi doniósł, wybierali się właśnie do Wiednia wraz z Alfonsem Brandtem, kilka lat temu tu w Warszawie jako doktor medycyny zmarłym, i wtedy zwiedzili Czechy. Tam w Pradze, odwiedzili głośnego już wtedy uczonego Wacława Hanka, a że obydwa byli wesołego oblicza i obejścia, niezmiernie mu się podobali. W dowód zatem przyjaźni Hanka prosił ich, żeby mu w Sztambuchu pamiątkę skreślili. Wzięli więc do mieszkania tę książkę pamiątek: mój brat Ignacy, ułożył wiersze o braterstwie Lecha z Czechem, a Szopen skomponował stosownego mazurka. Oddali Hankiemu sztambuch, w którym starannie skreślili i noty i wiersze: bardzo się tém ucieszył Hanka, powtarzając że jeszcze mu się nie zdarzyło widzieć coś podobnego w sztambuchu. Melodyję tego mazurka dołączam: z wierszy, ostatnie dwa tylko wiersze do drugiej części śpiewu, przypominam sobie:

„Bo wiadomo jest przed światem,
„Że Czech Lecha dawno bratem.“



ROMUALD KSIĄŻE GIEDROIC.

(Tom 2-gi str. 21).

W tymże grobie spoczywa jego syn wraz z żoną, oto grobowe napisy:

1.

„D. O. M.

Celsissimo Constantino Principi Giedroic Succamerario Aulae Imperatorio Regiae S. Stanislava 4 clas. Equiti nato die 1 Mai 1806, mortuo die 17 Aprilis 1844. Uxor posuit. Requiescat in pace.“



rys. z natury i lit. W. Walkiewicz

w Lit. A. Pez & C^o w Warszawie 37452

GRÓB MICH. PIOTROWSKIEGO.



ND. 626

„Aleksandra z Hrabiów Podoskich Księżna Giedroic, w 22 roku życia swojego, zmarła dnia 25 Marca 1846 roku, zwłoki jój obok męża w tym grobie spoczywają.

Wieczny spokój duszom cnotliwym.“

N. A. KUMELSKI.

(Tom 2-gi str. 34).

We dwa prawie lata, pomnik na miejscu pochowania zwłok jego postawiono, z tym napisem: „Tu spoczywają zwłoki Norberta Alfonsa Kumelskiego, Naczelnika Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości, przeżywszy lat 52, zgasł w Bogu dnia 9 Sierpnia 1853 r. Niepocieszona w żalu córka, po stracie najlepszego ojca, kładzie tę pamiątkę.“

JÓZEF ELSNER.

(Tom 2-gi str. 89).

Znakomity ten muzyk należał do ludzi najwięcej roztargnionych. Przytoczę tu kilka przykładów, których byłem świadkiem.

Po teatrze, za życia jeszcze L. A. Dmuszewskiego, schodzono się licznie do traktjerni Poziomkiewiczowej, mieszczącej się w samym gmachu teatralnym, na wieczrę. Stół był nakryty, i siedziało przy nim kilka osób; nakrycie gotowe czekało na Elsnera, z pełnym talerzem mléka posypanego cynamonem. Elsner siada zajęty ciągle rozmową, ale kiedy rzucił okiem na swój talerz, sądząc, że go tabaką poprządził, porywa serwetę aby go wytrzeć, i zalewa sobie i bliższym oczy.

Grając w wista, a żywą prowadząc rozmowę, uniesiony trochę złą grą swego współnika, mając plunąć, a asa czerwienego zadać, plunął na stół: asa zaś pod stół rzucił.

Długo grając w preferansa, kiedy z zebranego towarzystwa wszyscy odeszli, a pozostali grający z Elsnerem przy jednym stoliku, po skończeniu puli, każdy się zabierał do domu: Elsner żywo powstał, włożył kapelusz na głowę, i ciągle szuka to po kanapie, po szafach, nareszcie kijem zaczyna pod sofą i innemi sprzętami szturgać, jakby chciał coś odnaleźć. — „Czegóż dyrektor szuka? zapytano: my pomożemy. Długo nieodpowiadał, tylko dalej poszukiwania swoje prowadził. Wreszcie zniecierpliwiony mówi: gdzie u diabła mój się kapelusz podział? — Dopiero mu wskazano, że go ma na głowie. — Roześmiał się serdecznie, i wyszedł uradowany.

(Tom 2-gi str. 154).

Prostujemy niedokładność w przypisku o dzieciach Szczęsnego Potockiego. Z drugiej żony (Mniskównój) miał on czterech synów, których wymieniliśmy imiona; ale co do córek, tych nie cztery jak powiedzieliśmy, lecz siedem było, a mianowicie: Pelagija Sapieżyna, Wiktoryja Choiseul Gouffier później Bachmatjew, Ludwika Kossakowska, Roza Potocka później Branicka; Konstancyja Potocka, później Raczyńska, Oktawija Swiejkowska i żyjąca dotąd w Porycku Idalija księżna Sapieżyna. Szczęsny Potocki miał ze dwóch żon drugiej i trzeciej razem szesnaścioro dzieci, prócz kilkorga, które w niemowlęcym wieku pomarły. (Notata profesora Antoniego Wagi).

BROWIDENŃCYJA Z FONTANNYCH CZEMPIŃSKA.

(Tom 2-gi str. 187).

Spoczywa na tymże cmentarzu syn jój, i ma obok grobowca swój siostry Maryi Tańskiej, kamień grobowy z napisem:

„D. O. M.

Tu spoczywa Ignacy Lojola Czempiński, referendarz stanu, prezes dyrekcyi jeneralnej Towarzystwa Ogniewego, kawaler orderów. Urodzony 20 Sierpnia 1779, zmarły 20 Października 1842 roku. Wzorowy mąż, ojciec i przyjaciel. Pokój, pokój jego duszy!“

Po prawej i po lewej stronie kamienie mogilne z napisami dla jego dzieci:

„Tu leży Katarzyna Czempińska, urodzona dnia 19 Listopada 1819 roku, umarła dnia 18 Czerwca 1847. Nieukojony żal i tęsknotę zostawiła po sobie w sercu matki i rodzeństwa. Do zobaczenia z tobą na lepszym świecie.“

„Tu spoczywają zwłoki Jana Baptisty Huberta Czempińskiego, urod. d. 3 Listopada 1818, umarł dnia 23 Lipca 1839 roku. Boże! Przyjmij duszę zmarłego do chwały wiecznej. Z niedościgłych wyroków Twoich, nader krótki był żywot jego, ale naśladowania godny. Ukochany synu! do widzenia na lepszym świecie.“

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
WSTĘP. DO JANA KROLIKOWSKIEGO	5	Pawłowicz Michał.	81
Szaniawski Fr. Ksawery.	11	Baraniecki Ferdynand.	—
Dembek K. T.	—	Aszperger Wojciech.	82
Krebsowa Magdalena.	12	Wejnert Filip.	—
Romanowski Filip.	13	Kostecka z Żółkowskich Nepomucena.	84
Dziarkowski A. H.	14	Zieliński Antoni.	—
Chopin Emilja	16	Niwiński Józef.	—
Bader Antoni.	21	Polkowski Józef.	85
Gedroyc Romuald książę.	—	Majewski Józef. B.	—
Witaczek W.	22	Nizinski Andrzej.	—
Leduchowska z Truskolaskich Józefa.	23	Kudlitz Donawentura.	86
Kozłowski J. L.	25	Bielawski Józef.	87
Lintzej Jan.	26	Dobrzyński Ignacy.	—
Skibińska Julianna z Błędowskich.	27	Elsner Józef.	89
Skibińska Helena z Drzewieckich.	—	Matuzewski Michał.	92
Kiliński Jan.	31	Sarbiewski Kazimierz	94
Sztumer J. Chrz.	33	Konarski Stanisław	—
Biegański L.	34	Kopczyński Onufry	—
Komelaki N. A.	—	Bielski Szymon	95
Gregoire bracia.	36	Pomorzant Atanazy	100
Cielecki H. S. F.	37	Zaborowski Ignacy	102
Grajbner A. J.	38	Waga Teodor	103
Jamiołkowski Izidor.	39	Böhm Stefan i Kacper	104
Frankowski K.	40	Korwell Karol	106
Holownia W.	41	Zubelewicz Adam J.	—
Szepletowski Fr.	50	Lisowski Stanisław	108
Celiński J.	52	Grendyszyński Jan	111
Rakowiecki J. B.	53	Bentkowski Feliks	—
Mianowski Antoni.	61	Krzyżanowski Adryan	114
Rudnicki A. J.	62	Pancer Feliks	118
Mikorski Hipolit.	63	Goloński Andrzej	121
Lelowski Antoni.	64	Jędrzejewiczowa z Szopenów Ludwika	122
Krzyżanowski Józef.	67	Dmuszewski L. A.	125
Lesniewski Paweł E.	69	KATAKUMBY POWĄZKOWSKIE	130
Salacki Antoni.	71	Kamiński Kajetan	132
Potocki Stanisław.	72	Bystrzycki Fryderyk	141
Potocki Antoni.	—	Ryx Franciszek	143
Potocki Franciszek.	73	Ryxowa z Melinów Ryxowa	145
Betlóg Jan.	74	Poniałowski Michał Jerzy książę.	147
Hempiński Jakób.	76	Tarnowski Leon	148
Piasecki Wojciech.	78	Metzel Ludwik	149
Pierozynańska Franciszka.	79	Kąsinowski Florjan	155
Zdanowicz Józef.	80	Ledoux Franciszek, G.	—

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Chopin Mikołaj	157	Skrzetński Wincenty	189
Bohomolec Franciszek	158	Ogiński Michał Kazimierz Książ	191
Bohomolec Jan	160	Kitajewski Adam. Max	192
Albertrandy Jan	162	Łabęcki Antoni	194
Żółtowski Edward	165	Bystrzycki Gwałbert	199
Skolimowski Rafał	166	Kollątaj Hugo	200
Potucki Feliks	16	Minasowicz Józef. D.	201
Mroziński Józef	171	Minasowicz Augustyn	204
Muroz Mikołaj	173	Minasowiczowa z Dułskich Agnieszka	—
Armiński Franciszek. Ser.	1749	Minasowicz Jan Klemens	—
Plichta Ignacy	178	Ostrowski Antoni	206
Czekierska z Milewskich Ludwika	179	Łuskińska Stefan	208
Lisiecki Dominik	180	Brzeziński Andrzej	211
Wierzbowski Michał	181	Lhullier Zofja	213
Szczepański Maciej	182	Wyrwicz Karol	214
Kotowski Antoni	—	Łęski Józef	215
Mile Jan. B.	183	Jędrzejewicz Józef Kalasanty	222
Czempiańska z Fontannych Prawidzenya	186	Segno Ksawery	223
Kiciński Pius	188	Sylwestrowicz Jerzy	—
Trębicki Stanisław	189	PRZYPISY I DODATKI	225



UWAGA. CAŁOŚĆ DZIEŁA SKŁADA SIĘ Z TRZECH TOMÓW.